ZWROT

1/87





Ilustrując przeszłość i teraźniejszość Związku chcemy przedstawić w tym miejscu zdjęcia archiwalne oraz fotografie współczesne. Wydarzenia, które miały miejsce przed laty, w pierwszym okresie działalności PZKO, kojarzymy tu z rozgrywającymi się współcześnie, niekiedy w tej samej, choć zmienionej scenerii. Prezentujemy sytuacje oraz idee, które się krystalizowały i z czasem przybrały dzisiejszy, współczesny kształt. Na zdjęciu powyżej I Krajowy Zjazd PZKO, tzw. „połączeniowy" z r. 1950 z czeskocieszyńskiego hotelu „Piast". Poniżej uroczyste zebranie Plenum ZG PZKO w karwińskim „Domu Przyjaźni", na którym 12 listopada 1986 r. zainaugurowane zostały obchody 40-lecia powstania Związku.



fot. ARCHIWUM ZG PZKO, ADAM SZOP

Cz III 375/1988

Książnica Cieszyńska

PIERWSZY STATUT

Cz. 3407

W roku jubileuszowym Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego chcemy na łamach Zwrotu przypomnieć Czytelnikom dokumenty, które stały się kamieniami milowymi w jego historii. Po raz pierwszy Związek, jego prawa i funkcje, określony został „Statutem" ważnym dla ówczesnych dwu organizacji powiatowych — frysztackiej i czeskocieszyńskiej. Oto pierwsze paragrafy ówczesnego „Statutu" (z zachowaniem oryginalnej pisowni):

§ 1. Nazwa, siedziba, zakres działania, rok administracyjny i tytułowanie członków.

Związek nosi nazwę: „Polski Związek Kulturalno-Oświatowy w powiecie fryszstackim", w skrócie PZKO. Związek rozwija swoją działalność na całym terytorium powiatu Fryštát. Siedzibą związku jest Karvinná. Jest związkiem niepolitycznym. Językiem obrad jest język polski. Członkowie tytułują się wzajemnie: obywatelu, obywatelko.

§ 2. Cel związku.

Celem związku jest:

a) skupianie wszystkich zwolenników postępowej kultury i oświaty z szeregów obywateli narodowości polskiej bez względu na przynależność polityczną, wyznaniową lub stanową;

b) wychowywanie ludu polskiego w duchu wzajemności słowiańskiej, zwłaszcza z bratnimi narodami czeskim i słowackim;

c) obrona interesów narodowościowych, kulturalnych i socjalnych ludu polskiego;

d) oddziaływanie na obywateli narodowości polskiej w sensie spełniania zadań gospodarczych, ustanowionych przez rząd, np. spełnianie planu dwuletniego itp.;

e) pomaganie pod względem finansowym, organizacyjnym i moralnym przy pokonywaniu trudności związanych z wychowaniem, szkoleniem i socjalnym zabezpieczeniem polskiej młodzieży i dorosłych;

f) dopomaganie do wszechstronnego rozwoju kulturalnego ludności polskiej.

„Statut" zamyka stwierdzenie, że został zatwierdzony przez „Morawskośląski Krajowy Komitet Narodowy — ekspozytura w Ostrawie rozporządzeniem z dnia 27. 6. 1947 č. j. II/3 — 6030". Tak samo brzmiał również dokument, określający działalność PZKO w ówczesnym powiecie czeskocieszyńskim. W obydwu można zauważyć dążenie władz Republiki do narzucenia Związkowi apolityczności. Powstanie nowej organizacji społecznej Polaków w Czechosłowacji było jednak przede wszystkim dziełem lewicowo nastawionej klasy robotniczej, reprezentowanej przez grupę działaczy ściśle związanych z pismem komunistycznym „Głos Ludu". Już wkrótce, bo w lutym 1948 roku członkowie nowego Związku wykazali, że wprowadzenie pojęcia „niepolityczny" do „Statutu" było tylko formalnym ustępstwem, nie zaś określeniem rzeczywistej postawy większości Polaków, zamieszkujących czechosłowacki Śląsk Cieszyński.

D 35/03
12,00

»GÓRNICY«

Bardziej „męscy" z wyglądu, nieraz już dorosłe chłopy, bardziej rubaszni w zachowaniu, nie stroniący od przeciągających się do nocy zabaw we własnym gronie — to chłopcy. Dziewczyny podobne — oczywiście na swój sposób — do nich: odważniejsze, głośniejsze, ale uroku też im nie brak. Do takich wniosków można dojść po pierwszych, pobieżnych obserwacjach członków zespołu tanecznego karwińskiego „Górnika", porównując ich z „Olzą", w której przeważa raczej młodzież gimnazjalna, czy z innymi zespołami. Jacy są jednak naprawdę? Do bliższego zapoznania się z nimi miał mi posłużyć wyjazd z zespołem do NRD, do Serbów Łużyckich na zaproszenie ich związku „Domowina". Czterodniowe tournée rozpoczęło się 13 listopada 1986.

Autobus wyruszył nad ranem, prawie po całej trasie do Varnsdorfu towarzyszyła nam mgła. Pojazd wypełniony do ostatniego miejsca był jednak jakiś inny — porównywałem go z wycieczkami, jakie organizują Koła, czy z wyjazdem zespołów na festiwal do Rzeszowa. Tam wszędzie towarzyszyły mi śpiewy i wesoła zabawa. Tymczasem tu spokój, czasem tylko usłyszeć można jakiś dowcip, czasem któraś z dziewcząt spróbuje zaintonować piosenkę, jakby nieśmiało dołączy kilka głosów. Nieraz na przekór zupełnie inną melodię wprowadzają chłopcy, by wkrótce obydwie strony zrezygnowane zamilkły. Głośno i zgodnie reaguje cała „załoga" dopiero po przejechaniu granicy — brawami wita się z przedstawicielem zapraszającej organizacji Feliksem Chěžką, który towarzyszyć będzie „Górnikowi" przez całe cztery dni. Cicho i spokojnie jest również wieczorem w ośrodku wypoczynkowym w Oppach, gdzie zostaliśmy ulokowani. „To cisza przed burzą" — zapowiada żartobliwie kierownik zespołu Władysław Stolarz — „ja już ich znam. Jak jest spokój to wiadomo, że coś gotują. Zdarzyło się na przykład, że po takim spokojnym wieczorze poszedłem spać, a tu nagle wpadają do mojego pokoju dziewczyny, wyciągają z łóżka i zaczynają się wokół mnie podejrzanie kręcić. Ze zrozumiałych powodów pilnuję przede wszystkim mojego niekompletnego przecież stroju nocnego, a one tymczasem za moimi plecami wyniosły mi cichcem z pokoju całą pozostałą garderobę!" Tym razem jednak burzy nie było, choć z niejednej chatki słychać było głosy do wczesnych godzin porannych. Okazuje się jednak rano, że w niejednym wypadku była to zabawa ponad siły — ktoś wołał do południa zostać w chatce, inny zasypiał zaraz po zajęciu miejsca w autobusie, wiozącym nas do „stolicy" Serbów Łużyckich Budziszyna. Dziewczyny ożywają dopiero, kiedy mają wyjść na miasto zrobić obowiązkowe podczas każdego wyjazdu zagranicznego zakupy. Rozpierzchły się szybko, za chwilę jednak spotykałem je na tej czy innej ulicy, w końcu w samym Budziszynie prócz małego centrum handlo-

wego nie ma gdzie robić „interesów". Z upływem czasu natrafiałem na coraz bardziej osowiałe miny — sklepy sprawiły naszym zawód. Owszem, towarów dużo, ale nic „super", nie ma tu poszukiwanych np. w Polsce modnych strojów, butów, czegoś, w czym można by wzbudzić zazdrość koleżanek. A jeżeli już coś się znajdzie, to cena za wysoka. Spotykamy się ostatecznie przed obiadem w restauracji hotelu, na którego drzwiach widnieje napis „Běły kóń"; wersję niemieckojęzyczną Weise Ros zauważamy dopiero na jadłospisach, pisanych z kolei tylko po niemiecku.

Po południu zespół przygotowuje się do pierwszego występu. Oni spokojni, może nawet zaspani, poruszują się jakby wbrew swojej woli, ja zaś zaczynam patrzeć na nich z obawami. Przecież występ wymaga od nich czegoś zupełnie innego, czy więc zdołają się ożywić? Czy zdążą — w tym kraju przecież dokładność jest rzeczą świętą . . . Z ośrodka wyjeżdżamy z opóźnieniem półgodzinowym, na miejsce, w którym ma się odbyć pierwszy koncert, docieramy po kilku próbach organizatorów znalezienia właściwej ulicy. Jesteśmy w Wojerecach, znajdujących się prawie na granicy regionu, zamieszkiwanego przez Serbów Łużyckich, widać nie znają miasteczka zbyt dokładnie nawet nasi przewodnicy. Coś jakby przygnębienie rośnie, kiedy wchodzimy na salę, przystosowaną raczej tylko do zabawy przy muzyce (taka zresztą ma się rozpocząć od razu po występie „Górnika"). „Tu mamy występować? A gdzie szatnia? To nie ma sensu, raczej od razu pakujemy manele, lepiej odwołać występ!" — słychać było z kręgu najmłodszych. Zadowoleni nie byli na pewno również starsi, z troską oglądał salę i malutką scenę bez potrzebnego zaplecza kierownik. Sam wspólnie ze starszymi oraz kimś z miejscowych znosi ze sceny zmagazynowane tu ławy, krzesła (młodzi ze zdziwieniem patrzą na nich, dopalając pierwszego papierosa). Zwołuje jeszcze przynajmniej tych, którzy występują pierwsi, by przygotowali się do próby, jakoś jednak się nie udaje, część powoli przebiera się za sceną, inni po drugiej stronie budynku, w salce obok działającej bez przerwy restauracji. Stamtąd co jakiś czas rozlegają się dziwne szmery, pomrukiwania, a czasem piski — to miejscowi raz po raz odchylają zasłony, oddzielające ich od przebierających się naszych dziewcząt. Na sali, ponad godzinę przed koncertem, zbierali się już pierwsi widzowie. Takie zainteresowanie? Może i tak, ale najczęściej powodem była godzina przyjazdu autobusów ze wsi. A było widzów z okolicznych wiosek dużo, zauważyłem wśród nich grupkę dziewcząt w strojach ludowych, co pono jest tu sprawą normalną, noszą je nie tylko kobiety starsze. Przybyła również pani, która wyprowadziła się przed trzydziestoma laty z Cieszyna i zamieszkała wśród Łużyczan. Powitała się z dziewczętami „po naszemu" — poczęstunkiem.

Zaczynamy — zespół zapowiada po polsku Miriam Wranik, po serbsku i niemiecku mówi o nim sekretarz kultury „Domowiny" Jan Handrik. Na pierwszy ogień w skróconym na życzenie organizatorów programie idzie obrazek typowy dla środowiska, które „Gór-



fot. PIOTR PRZECZEK

nik" powinien przedstawiać przede wszystkim — „U nas w kolóniji". Jakoś w niej smętnie, uśmiechy strojone, pary poświęcają nieraz więcej uwagi temu, by się na małej scenie zmieścić. My, siedzący na sali, z niepokojem spoglądamy to na salę, to nawzajem na siebie. Potem — jeszcze gorzej. Orkiestra nie może znaleźć „wspólnego języka", tempa tercetu dziewczęcego. Coś się chyba rozkleiło. Podobnie jak my na sali czują to jednak chyba i za kulisami. Z większą zaciętością, na jaką zresztą pozwala im ten folklor, prezentują ogniste tańce słowackie, zbierając ogromne brawa publiczności, pomogło to niewątpliwie i w finale — tańce rzeszowskie wykonane zostały brawurowo, długo były oklaskiwane, sala po ich zakończeniu odśpiewała swoje „sto lat", czyli pieśń zaczynającą się od słów „Slava, slava im", „Górnik" odpowiedział niespodziewanie serbołużycką ludową pieśnią „Wěseło dźensa". Widzowie wstali, wszyscy teraz śpiewali razem, zauważyłem dyskretnie ocierane łzy w oczach starszych. Poczuliśmy się nagle inaczej — jakby nie wśród obcych, lecz swoich najbliższych znajomych, jakby wśród rodaków.

Może to właśnie ten moment sprawił, że następny dzień — sobota — był inny. Może też przyczynił się do tego program, dzięki któremu mogliśmy dowiedzieć się czegoś więcej o tym małym, wysuniętym najbardziej na zachód słowiańskim narodzie. Zwiedziliśmy szkołę, jakże podobną nawet z zewnątrz do naszych, choćby błędowickiej czy suskiej, skrzętnie przechowującej w izbie tradycji wszystko, co w jakiś sposób związane było z jej patronem, budzicielem narodowym, Jakubem Bartem-Ćišinskim. Byliśmy w Chróścicach, gdzie w ostatnich dniach wojny hitlerowska dywizja pancerna zaatakowała niespodziewanie żołnierzy Wojska Polskiego, nie szczędząc nawet rannych w szpitalu polowym. Widać było, że Serbowie, mieszkający w pobliżu, dbają o pomnik, nawet w czasie naszej wizyty jakaś babcia z grupką dzieci sprzątała tu, grabiła liście. Skojarzeń, podobieństwa do naszych stron rodzinnych, nastroju zadumy nie rozwiało nawet zakończenie tego relaksowego przedpołudnia — przechadzka po Saurierparku, czyli lasku w pobliżu miejscowości Maly Wjelkow pełnym prehistorycznych zwierząt, odtworzonych w naturalnej wielkości.

Przedstawiciele „Domowiny" na czele z J. Grósem (pierwszy z lewej) oklaskują „Górnika"





Tańce słowackie na scenie w Bukecach

Po obiedzie, jeszcze podczas przygotowań do wyjazdu na drugi występ, słyszę ,,Róbmy coś, oni tak się nami opiekują, co sobie o nas pomyślą", jest inna niż wczoraj atmosfera. Przyjeżdżamy do miejscowości Bukecy. Miała być mała wiejska sala, a tymczasem witają nas w zrekonstruowanym i poszerzonym obiekcie czegoś, co u nas nazwano by Domem Robotniczym. Jest wszystko, czego zespołowi potrzeba, choć oczywiście w rozmiarach odpowiednich do małego miasteczka. Scena i tym razem trochę za mała, wysoko nad parkietem sali. Optyczną granicę miały tworzyć doniczki, ustawione na samym skraju — one właśnie spełniły jednak zupełnie inne zadanie, pomogły rozładować napięcie. Na sali zbierali się widzowie i tak samo ponad godzinę przed występem, i tym razem musiało się obejść bez próby. W pierwszym rzędzie zasiedli przedstawiciele ,,Domowiny" — jej I sekretarz Jurij Grós, sekretarz kultury Jan Handrik, redaktor naczelny pisma serbołużyckiego ,,Rozhlad" Cyril Kola, były miejscowe władze. ,,Górnik" wystartował tym razem do swoich popisów z animuszem od samego początku, w wirze tańca od razu też któraś z dziewcząt musnęła sukienką piękny asparagus. Wraz z doniczką, podstawką i wodą w niej zebraną poleciał na salę, rozprysnął się, a razem z nim buchnął na sali serdeczny śmiech. Ten moment chyba ostatecznie zjednoczył wszystkich — widzów, członków zespołu, oficjalnych gości i nerwowych jeszcze organizatorów. Od tej chwili zespół tańczył z takim zapałem, jakby chciał rozsadzić swoim dynamizmem scenę (a poszerzał ją wszelkimi sposobami, niejedna doniczka powędrowała jeszcze z hukiem i śmiechem obustronnym na parkiet, nieraz wspólnie z wirującymi tancerzami kręcić się zaczynały i lekkie, okalające scenę draperie). Nagle widać było już nie strojone, wyćwiczone na dziesiątkach prób uśmiechy, lecz szczere, radosne twarze. Tak uwidacznia się zadowolenie z własnej, dobrej roboty. Nagle przedstawił mi się, a równocześnie prawie czterem setkom widzów, inny niż w Wojerecach ,,Górnik", chyba ten prawdziwy, jaki znają ludzie w wielu miejscowościach Śląska Cieszyńskiego.

Jaki więc jest naprawdę, jacy są tancerze i tancerki tego ,,dolańskiego" reprezentanta

fot. PIOTR PRZECZEK

naszego Związku? Wydaje mi się, że tworzą zespół (mowa przez cały czas o grupie tanecznej oraz towarzyszących jej wokalistkach i orkiestrze, a więc bez chóru, który do NRD nie wyjeżdżał) bardziej od innych zróżnicowany, spotykają się w nim ludzie z różnych środowisk, z różnymi przyzwyczajeniami, są bardzo młodzi (Janka Wranik ma dopiero 15 lat, Łucja Kornuth i Irka Chmiel po 17), razem z nimi wyjeżdżają jednak również ci, którzy podczas wieczornych rozmów nieraz wracają do swoich wspomnień z lat, spędzonych w obozie koncentracyjnym. Pytałem najmłodszych, co sprowadza ich do zespołu, co w nim trzyma. Odpowiedź była prosta — tańczyli w „Górniku" rodzice, więc i my przychodzimy. A trzyma nas to, że możemy w ten sposób ciekawie wypełnić wolny czas. Nie ma więc wielkich słów o utrzymywaniu tradycji przodków, o kultywowaniu zwyczajów itp. Może nawet nikt o tym nie myśli. Jeżeli jednak łączy ich tylko to, że chcą w jakiś bardziej kulturalny sposób spędzać czas, a niedużo mają w górniczych miastach takich możliwości, to i tak jest to dużo. W końcu przecież właśnie takimi drogami możemy osiągać nadrzędny cel, którym jest wychowanie do życia w społeczeństwie. W niejednym wypadku można by krytycznie się ustosunkować do ich zachowania, na pewno dużo pod tym względem pozostaje do zrobienia. Na pewno jednak już teraz „Górnik" wszczepił swoim młodym i najmłodszym poczucie odpowiedzialności za kolektyw, za dobre imię tej grupy i całego społeczeństwa, które podczas swoich występów reprezentują. I to jest najcenniejsze, bo pozostaje na całe życie.

PIOTR PRZECZEK

„Powrót do Edenu" — czyli ZPiT „Górnik" w prehistorycznym skansenie



fot. PIOTR PRZECZEK

TANIEC POWSZEDNI

W dyskusji „Nad uchwałą XIV Zjazdu PZKO" i w całym PZKO-wskim bloku w okresie poprzedzającym następny zjazd, który odbędzie się w październiku br., chcemy powrócić do tematyki działalności poszczególnych dziedzin PZKO-wskiej kultury i oświaty, by sprawdzić, jak zadania wynikające z uchwały zostały w praktyce zrealizowane. Pierwszym tematem rozmowy jest taniec, a przy okrągłym stole z przedstawicielką redakcji spotkali się: Odonia Charvát, kierowniczka zespołu tanecznego z Orłowej-Lutyni, Jarosław Siedlok — kierownik kółka tanecznego z Oldrzychowic, oraz reprezentujący zespół taneczny z Suchej Górnej inż. Marian Weiser.

ZWROT: Proponuję, żebyście najpierw przedstawili swoje zespoły i ich historię.

ODONIA CHARVÁT: Zespół nasz zorganizował Ferdynand Król, ten, który był później kierownikiem „Bajki". Był to jeden z pierwszych zespołów, jeszcze przed „Górnikiem" i „Olzą". Do dziś została nazwa „Lutynia Górna", żeby zachować tradycję, bo właściwie dzisiaj już tej Lutyni Górnej nie ma, jest to już Orłowa IV. Ja byłam jedną z pierwszych jego tancerek. Jeździliśmy wtedy na uroczystości do Pragi, do Strażnicy, Hronowa. Tam spotkaliśmy się z Vítem Nejedlým. Tańczyliśmy na Dniu Górnika w r. 1950 w Karwinie, gdzie obecny był Klement Gottwald. Tradycja tego zespołu jest więc znaczna. Potem się zmieniali kierownicy, a od r. 1961, z małymi przerwami, prowadzę zespół ja. Repertuar jest różnorodny, program przygotowujemy i tworzymy dla potrzeb PZKO, naszych wewnętrznych, w ostatnim czasie specjalizujemy się w naszym miejscowym folklorze.

ZWROT: Czyli jest to jakaś realizacja jednego z postulatów, wynikającego z dyskusji pn. „Zielone światło dla widowisk tanecznych" w Zwrocie przed dwoma laty, kiedy Adam Palowski apelował do zespołów, by brały na warsztat naszą rodzimą kulturę, nasz śląski folklor.

CHARVÁT: Na pewno, myśmy zresztą od tego wychodzili. Zaczynaliśmy od wiązanki tańców śląskich, potem robiliśmy i polskie tańce narodowe, mazura, tańce lubelskie, i tańce charakterystyczne, ale mnie raczej stale ciągnęło do naszych tańców, śląskich. Ostatnio wiele się mówiło o widowiskach tanecznych i o tym, żeby wrócić do folkloru. Moja babcia była kiedyś wodzirejem na zabawie. U niej robił zapiski pan Król, ale te notatki zginęły. Coś z tego zapamiętałam, kilka

przyśpiewek, coś zapamiętał wujek i ojciec. Poszłam do dziewięćdziesięcioletniej cioci, która opowiedziała mi, jak to kiedyś przy muzyce w Lutyni bywało, jak stały dziewczyny, jak to wyglądało w gospodzie. Robiłam notatki i to wszystko służyło mi jako powiązanie do tego widowiska. Moim celem było również nawiązanie współpracy pomiędzy zespołami Koła: chórem, zespołem teatralnym i tanecznym. Zwróciłam się do nich o pomoc, przygotowałam scenariusz widowiska, oni się zgodzili i razem zrealizowaliśmy to widowisko.

JAROSŁAW SIEDLOK: U nas w Oldrzychowicach pracuje tak samo oprócz kółka tanecznego i chór, i kółko teatralne, wszystkie bardzo aktywnie. Nasz zespół taneczny nie ma tak bogatej tradycji, jak lutyński, istnieje około 15 lat. Ja zostałem jego kierownikiem w następstwie za Halinę Szlauer, ona pracuje tam od początku, ja od r. 1979. Repertuar jest różnorodny, nie możemy sobie pozwolić na pójście w jednym tylko kierunku. Przychodzi np. kierownik ROKM-u trzynieckiego i zamawia u nas występ z określonej okazji i my się do tego dostosowujemy. Mieliśmy oprócz tańców góralskich wiązankę śląskich, jest aerobik dla najmłodszych, są tańce disco, są widowiska taneczne.

ING. MARIAN WEISER: Zastępuję tu nieobecną kierowniczkę, panią Jankę Rzyman. Ja zajmuję się głównie przygotowaniem muzyki, a ona potem według tego opracowuje układy taneczne. Historia naszego zespołu jest bardzo bogata, ponad 30-letnia, w tym czasie wymieniły się setki członków, aktualnie jest nas ponad 30. Charakter zespołu jest bardzo wszechstronny, ponieważ musimy tworzyć na różne okazje różne programy. W ostatnich pięciu latach podstawą naszej egzystencji stały się programy balowe, z tego żyjemy. Mamy nawet 15 występów w sezonie. Chyba wszyscy znają nasz blok tańców słowackich, wystawiamy go dosyć długo, wyćwiczyliśmy również tańce śląskie, ale powiem otwarcie, że to było raczej okazyjnie, nie jest to dla nas ani atrakcyjne, ani na pewno to nie będzie stanowiło podstawy naszej działalności. A dlaczego, o tym pomówimy chyba później.

ZWROT: Podstawową przeszkodą w działalności zespołu, nie tylko tanecznego, jest brak nowej kadry, brak narybku. Jak wam się ten problem udało rozwiązać?

CHARVÁT: Robimy to w ten sposób, że co roku prezentując zespół występuję na walnym zebraniu i apeluję do rodziców i dziadków, żeby posłali dzieci do zespołu. Wywodzimy się właściwie z Klubu Młodych, członkowie zespołu często sami na rowerach rozwożą do domów zaproszenia do zespołu, wręczając je kolegom osobiście. Utrzymujemy się stale na jednakowym poziomie — dziesięć par. To są wszystko młodzi ludzie — od 14 do 25 lat.

SIEDLOK: U nas jest tak samo. Chociaż było nas w zasadzie dosyć — około trzydziestki — po występie „Janosika" na przeglądzie w Cieszynie dołączyli do nas dalsi młodzi, nawet 10—14-latki. Mamy więc teraz właściwie dwa zespoły — starszy i młodszy — w sumie około 50 ludzi. Ci najmłodsi to uczniowie podstawówki, a kieruje nimi właśnie Halina Szlauer, ja pracuję z tymi starszymi. Kiedyś co rok przychodziło kilku, dwóch lub trzech, a w ostatnich dwóch latach przychodzi więcej osób.

WEISER: U nas również w tym roku był wielki urodzaj, doszło prawie dziesięciu ludzi. To chyba dzięki temu, że zespół ostatnio prezentuje wysoki poziom. Jego trzon stanowi dwudziestka starszych tancerzy, a reszta to młodzi, tuż po podstawówce. Powróciły do nas nasze asy, z Brna z „Janosika" powróciły siostry Adamiec.

ZWROT: Interesują mnie warunki, w jakich zespół pracuje, czy macie lokal do prób, własną kapelę, stroje, choreografów?

CHARVÁT: Stroje — to nasze największe zmartwienie. Wyrywamy je sobie w czasie przeglądów z rąk jeden drugiemu. Obiecał nam teraz ZG PZKO stroje laskie, bo chcemy zachować ten nasz folklor, ma on tradycję u nas w Lutyni. Stroje przestudiowałam, prof. Fierla publikował je w Kalendarzu „Zwrotu" w r. 1958. Na razie Sibica nam obiecała pożyczyć własne stroje. Co do lokalu, to mamy ładną świetlicę, dwa lokale, ale my ćwiczymy w tym mniejszym, ponieważ w tym samym czasie w piątek jest próba chóru. Do



ZT „Lutynia Górna" w charakterystycznym dla regionu stroju laskim

większej sali schodzimy przed samym występem. Naszą kapelę tworzą studenci konserwatorium. Jeden z członków zespołu jest studentem konserwatorium i on opiekuje się sprawami muzycznymi. Do ludowych tańców organizuje swoich kolegów, razem opracowują muzykę. Jest to więc taka półprofesjonalna orkiestra. Teraz ten kolega poszedł do wojska, zostawił nam jednak piękne opracowania. Pomaga nam nauczyciel Buława, który gra w kapeli „Górnika" i w „Przyjaźni". Dziś mam oparcie w Zbyszku Jeżowiczu, to jest tancerz, muzyk i chórzysta. Wydaje mi się, że zespół ma już teraz większe wsparcie, za dziećmi stoją rodzice, chyba współpraca będzie się układała lepiej.

SIEDLOK: Pracujemy w świetlicy PZKO-wskiej, mamy do niej dostęp w piątki, a kiedy potrzebujemy spotykać się częściej, nikt nam nie przeszkadza, mamy pełne poparcie. Pewną przeszkodą jest to, że często w piątki świetlica przygotowywana jest np. do wesela i wtedy nas „wyrzucają" do szkoły lub do sali w gospodzie u „Tyrasa". Własnej kapeli nie mamy. W zasadzie tańczymy przy muzyce reprodukowanej, ale przy tańcach śląskich tak się nie da. Mamy młodzież — 14—15-latków, którzy grają np. na klarnecie, harmonii, więc potrafią nam przygrywać, ale nie można tego na razie nazwać orkiestrą. Z kostiumami są problemy tego samego rodzaju.

CHARVÁT: Z tym są rzeczywiście ogromne problemy. Ostatnio na występie nawzajem zdejmowaliśmy sobie buty. Zespół musiał być według scenariusza cały czas na scenie, ale buty ściągano schodzącej ze sceny kapeli.

SIEDLOK: My dużo pożyczamy od innych zespołów, od Sibicy . . .

CHARVÁT: Laskie stroje pożyczamy od Sibicy, ale to są tylko dziewczęce, dla chłopców bierzemy stroje z szatni PZKO w Cz. Cieszynie, ale te same stroje potrzebne są Błędowicom, nie ma też butów. Ten problem spędza mi nieraz sen z oczu, w co ubrać zespół? Bo do naszego folkloru i tańców narodowych stroje są bardzo drogie. Zespół taneczny to na pewno najdroższy zespół do utrzymania w Kole.

fot. FRANCISZEK BAŁON



Program balowy w wykonaniu zespołu z Suchej Górnej

WEISER: U nas sytuacja lokalowa jest bardzo dobra, mamy do dyspozycji salę gimnastyczną w szkole, dwa dni w tygodniu. We wtorek jest aerobik dla dziewczyn, a w piątek ćwiczy cały zespół. Przed balami ćwiczymy codziennie, nawet w soboty i niedziele. A stroje na te programy balowe to jest sprawa bardzo denerwująca. Chodzi o to, że my mamy dziesięć, a nawet więcej występów w sezonie, nawet wyjazdy do Polski. Zdarza się jednak tak, że szatnia PZKO nie chce nam strojów pożyczyć na cały ten okres, 2—3 miesięczny. Pono inne zespoły też chcą tańczyć, ale oni zatańczą 2—3 razy i koniec, a my tych kostiumów nie mamy czym zastąpić. Do tańców ludowych mamy własne, ale to są stare rzeczy, do słowackich coś nam zafundował ZG PZKO. To są bardzo drogie rzeczy i my nie mamy zamiaru do tego inwestować. To nam znacznie utrudnia życie. To właśnie jeden z powodów, że nie tańczymy tańców ludowych. Ma to związek również z muzyką. Nie mamy własnej kapeli, a tańców śląskich nie można tańczyć bez tego. Teraz tańce słowackie były na muzykę reprodukowaną, którą żeśmy sami zrobili. I tu jest następny problem, na który chciałbym zwrócić uwagę. Chcemy nagrać tę muzykę na jakimś poziomie, bo ja nie mogę słuchać, jak na różnych przeglądach coś „charczy" z kasetowych magnetofonów. Nie ma jednak możliwości porządnego nagrania. Od zeszłego roku biblioteki zablokowały nagrywanie ze względu na ochronę praw autorskich. Dopiero teraz się zorientowali, po tylu latach? Jesteśmy więc zmuszeni kupować płyty, np. do ostatniego programu balowego musiałem kupić 7—8 płyt po 50 Kčs. Jeśli chce się mieć dobrą jakość nagrania, potrzebna jest droga aparatura. Miksuję to z trzech magnetofonów plus mikrofony — w sumie 30 000 Kčs. Na to sobie zarząd Koła nie może pozwolić, korzystamy więc z aparatury prywatnej.

ZWROT: A czy nie można by do tego celu wykorzystać aparaturę ZG PZKO?

CHARVÁT: My takie nagrania robimy właśnie w ZG PZKO . . .

WEISER: Na przeglądzie w Kocobędzu mieliśmy własny magnetofon, japoński, zupełnie nowy. Polecono nam jednak wykorzystać aparaturę ZG, która miała być lepsza. Okazało się, że ZG-owski magnetofon grał szybciej. U aparatury niesprawdzonej zawsze ryzykujemy. Wolimy więc wozić samochodem własny sprzęt, który nie zawodzi, sami to instalujemy. Musimy być samowystarczalni.

ZWROT: Sekcja taneczna ZG PZKO organizuje kursy dla choreografów na Koszarzyskach, towarzystwo „Polonia" takie kursy, kilkustopniowe, organizuje w Polsce. Czy wy korzystacie z tych możliwości?

CHARVÁT: W Polsce jeszcze nikt z naszego zespołu nie był.

ZWROT: Czy wam tego nie proponowano, czy może nie było chętnych? W jaki sposób wychowuje pani swoich następców — choreografów i przyszłych kierowników zespołu?

fot. PIOTR PRZECZEK

CHARVÁT: To jest sprawa trudniejsza. Sam taniec i kroki — tego można się nauczyć na kursie, ale problemy zaczynają się przy rozstawieniu i tworzeniu obrazu choreograficznego. Kiedy byłam chora, to przychodzili do mnie i musiałam im rysować obrazy. Oni już to potem byli w stanie sami wyćwiczyć. Boją się sprawy choreografii — ta niepewność spowodowana jest nowoczesnym tańcem, choć w tym się jeszcze czują stosunkowo dobrze.

SIEDLOK: My raczej też byliśmy tylko w Koszarzyskach. Ale wiedzieliśmy o tym, że była szansa wyjazdu do Polski. Nie było jednak chętnych ze względu na czas.

ZWROT: A czy są w ogóle w zespole tacy, którzy mogliby z tych kursów skorzystać?

WEISER: U nas jest dużo dobrych tancerzy, zwłaszcza w ostatnich latach, ale o ile chodzi o choreografię, to sytuacja jest taka, jak w Lutyni. Są tacy, co potrafią wszystko zatańczyć, ale kiedy Janka Rzyman wychodzi na chwilkę i mówi, żeby ćwiczyć dalej, to to nie idzie — nie ma tej iskry. Na razie chyba nikogo z nich nie stać na to. Nikt na razie jeszcze niczego nie wymyślił samodzielnie. To musi być człowiek . . .

CHARVÁT: . . . z wyobraźnią, musi widzieć i czuć, jak wygląda całość. Zawsze trzeba zaczynać od ludzi, z którymi się pracuje . . .

WEISER: . . . I widzieć tych ludzi, których się ma do dyspozycji, wyobrazić sobie, kto to będzie tańczyć, dostosować to do możliwości zespołu, wychodzić od muzyki. Ja przygotuję muzykę i przedstawiam to zespołowi. Oni mają pokazać, jak sobie wyobrażają taniec, i na tym się wszystko rozbija. Musi przyjść kierowniczka i trzeba im to pokazać. Może będzie to wyglądało na użalanie się na ZG PZKO, ale chciałbym powiedzieć jeszcze o jednym. W tym roku mieliśmy pojechać do

Młodzież z Oldrzychowic przedstawiła podczas „Spotkania z tancem" w roku 1985 w Kocobędzu taniec sceniczny



fot. RADOMIR KRYGIEL

Torunia, a naraz dowiedzieliśmy się, że nie wiadomo z jakiego powodu do Torunia zespół nie pojedzie. Było duże rozgoryczenie. Niektórzy chłopcy chcieli zrezygnować z pracy w zespole. Proponowano nam zastępczy wyjazd do Oświęcimia, ale myśmy na to nie poszli. Teraz mamy własne możliwości, nasze Koło nawiązało współpracę z Lubomią, z FSM w Bielsku-Białej. Ale to są nieprzyjemne zgrzyty. Co do organizacji przeglądów tanecznych, to np. w Kocobędzu są problemy z odjazdem, nie ma połączenia autobusowego do niektórych pociągów, to się stale powtarza i tworzy nieprzyjemną atmosferę. Może należałoby to wyjaśnić.

SIEDLOK: U nas też były podobne skargi na Kocobędz z powodu opóźnionego programu, wszystko się przez to opóźniało. Mieliśmy tam nasze 14-latki, które nie mogły wcześniej odjechać, i później matki robiły nam wymówki.

CHARVÁT: Ja miałam trudne chwile na ostatnim przeglądzie w Czeskim Cieszynie. Przestawiono nam scenografię i zespół był jak w zwierciadle. Na próbie musieliśmy zejść ze sceny. Myślałam, że to ostatnie chwile mojej kariery w zespole. Po prostu było za mało czasu na zapoznanie się ze sceną, na zorientowanie się w sytuacji, w zespole było sporo młodych debiutantów. Trzeba brać pod uwagę również ten aspekt psychologiczny. Przy okazji chciałabym powiedzieć jeszcze o jednym, takim naszym wewnętrznym problemie. Nasze Koło traktuje nas trochę po macoszemu. Teraz w Lutyni była piękna akademia. Nasze ostatnie widowisko wystawialiśmy już w Czeskim Cieszynie, w Karwinie, ale nie widziała go jeszcze nasza miejscowa PZKO-wska publiczność. To widowisko miało być pokazane na akademii z okazji wystawy w „Domu Kultury". Do jednej części programu zaproszono „Olzę" — w drugiej przedstawiły się zespoły Koła — oprócz naszego, nam tego nie zaproponowano. Dostałam teraz list od dr. Kadłubca, gdzie wysoko ocenił nasz występ na Dniach Folkloru w Karwinie, gdzieśmy wprowadzili, jak pisze, wyjątkową atmosferę. Przeczytam go w zarządzie, żeby wiedzieli, jak inni nas cenią. Zespół bardzo to odczuł, dzieci są zrażone. Tak się cieszyły. Myśmy wprawdzie na walnym z tym występowali, ale tylko cztery pary na kawałeczku sali, a to trzeba było pokazać na scenie, gdzie tańczyło dziesięć par. Chodziło o 20 minut programu. Uważam, że to wielka szkoda.

ZWROT: Uważam, że rzeczywiście, gdzie jak gdzie, ale we własnym Kole powinniście byli wystąpić na dużej scenie, skoro była taka możliwość, bo to wasz lutyński folklor.

WEISER: Myślę, że warto walczyć o swoją pozycję w Kole. Nasz zespół też był kiedyś niedoceniany, były chóry, zespół „Gama", „Melodia" — to była czołówka. Ale teraz jesteśmy uznawani za najbardziej aktywnych, za zespół z największą perspektywą na przyszłość. Wybiliśmy się trochę dzięki temu, że doszło do zmiany w zarządzie, weszli tam ludzie młodsi, którzy mają rozeznanie, kto pracuje. To trzeba pokazać i o tym należy mówić. Na zebraniu np. mówiono o tym, ile kto przepracował godzin przy organizacji balu. Myśmy też swoje podliczyli, ile godzin i prób, i te cyfry wszystkich zaskoczyły — to były setki godzin. Trzeba forsować swoje i trzeba iść za tym, po prostu się nie dać.

My robimy coś, czego chyba nie ma nigdzie — kręcimy z każdego programu balowego kolorowy film, robimy dokumenty. Później wyświetlamy to na zebraniach i spotkaniach. Tak było np. na jubileuszu 30-lecia zespołu, gdzie tak samo spotkało się kilka generacji tancerzy. To też pomaga utrzymać kolektyw.

ZWROT: Gdybyście spróbowali porównać warunki, w jakich pracują wasze zespoły, wasze możliwości — z czołowymi zespołami ZG PZKO — „Górnikiem" czy „Olzą"? Przecież wasze zespoły stanowią jakby szkółkę, z której rekrutują się często tancerze tych silniejszych zespołów. Zdarza się, że ci najlepsi są przeciągani do np. „Olzy".

SIEDLOK: My nie możemy się równać z „Olzą" lub „Górnikiem", gdzie pracują rzeczywiście wybrani ludzie, z którymi można coś stworzyć. My pracujemy z tymi, którzy do nas chętnie przychodzą, choć może nie potrafią tyle, co tamci. Staramy się nie zrażać nikogo, choć i to się zdarza.

CHARVÁT: W tym wypadku trzeba postępować bardzo taktycznie. To jest mrówcza robota, ale mnie to nie zraża. My musimy pracować na żywo, nie możemy sobie pozwolić na przygotowanie programu i wystawianie go przez dwa lata. Pracujemy dla potrzeb naszej i sąsiednich miejscowości, reagujemy na ich potrzeby i zamówienia.

SIEDLOK: Taki program za rok byłby „otańczony", my nie mamy takich możliwości wyjazdu, jak duże zespoły, musimy stale pokazywać naszej publiczności coś nowego.

WEISER: Nasze tańce słowackie już lecą dwa lata, ale to już koniec, to jest tak „ograne" w terenie, że już nie chwyta. Może jeszcze coś na temat wychowania tancerza. Tancerz, który zaczyna pracować w zespole w wieku 14—15 lat, przez cztery lata się „dociera", a potem na szczycie swojej formy odchodzi — do wojska, na studia. I to jest praca na marne. Powinien jeszcze przez 4—5 lat potańczyć. Tak właśnie jest z tymi naszymi chłopcami, którzy chcą odejść, ale oni już swoje odtańczyli. Zdarza się, że zespół wyćwiczy dobrego tancerza, a ten później odchodzi właśnie do innego zespołu, bardziej renomowanego, lepszego. Trzeba podziwiać niekiedy tych kierowników, to niejednego może zrazić.

CHARVÁT: Znamy to, bo już na przeglądach za kulisami odbywa się taki werbunek i rozmowy z najzdolniejszymi tancerzami, do „Olzy", do „Górnika". Niektórym to imponuje, to zależy od samego człowieka.

ZWROT: To znaczy, że wy to potępiacie, to, że ktoś zdradzi własny zespół, własną grupę dla lepszego zespołu?

CHARVÁT: Niezupełnie. Taką możliwość musimy dać im zawsze, nie możemy tego nikomu zabronić, ale to jest na niekorzyść naszego zespołu.

SIEDLOK: To w końcu zespoły reprezentacyjne. Porównałbym to ze sportem, gdzie też zespół klubowy musi niekiedy ucierpieć, żeby reprezentacja była silna.

WIESER: Ale ta reprezentacja nas niekiedy drażni . . .

CHARVÁT: Pozwalamy na to z pobudek patriotycznych, bo wiemy, że te zespoły potrzebują młodego, zdolnego narybku.

SIEDLOK: Uważam, że od tego są właśnie małe kółka taneczne, żeby pomagały tym silniejszym. Ale jeżeli my pomagamy silniejszym zespołom, oddając im niekiedy najlepszych tancerzy, to czy te zespoły nie mogłyby nam pomóc np. pożyczając stroje? Przecież stale w nich nie tańczą?

MARIA GRZEGORZ

Problemy, przedstawione w dyskusji, są dla działalności zespołów niewątpliwie bardzo ważne i trzeba o nich mówić, wiedzieć, że istnieją — na tym między innymi polega rola pisma związkowego. Przede wszystkim jednak trzeba je rozwiązywać, i to na wszystkich szczeblach PZKO, począwszy od samego zespołu, a na Zarządzie Głównym PZKO kończąc. Nie zapominajmy, że w bieżącym roku oceniać będziemy realizację uchwał XIV Zjazdu PZKO, a w nich stwierdza się m. in., że trzeba „poświęcić maksimum uwagi i troski rozwojowi wszystkich form amatorskiego ruchu artystycznego, nieustannie podnosić poziom ideowy i artystyczny zespołów".







fot. FRANCISZEK BAŁON

REFLEKSJE PO PREMIERZE

„Ludowe wartości, które z regionalnych awansowały do wartości ogólnonarodowych, były i będą bez wątpienia czynnikiem najbardziej uaktywniającym zarówno szerokie kręgi społeczeństwa, jak i kręgi związane z bezpośrednim oddziaływaniem kulturalnym . . . " — stwierdza prof. J. Burszta (wybitny polski folklorysta). I dalej „. . . Nawiązywanie w akcji regionalistycznej do dóbr i wartości tradycyjnych może pełnić szereg funkcji twórczych wobec osobowości człowieka . . . stąd prosta droga do identyfikowania się z własnym regionem kulturowym, do wzmocnienia z nim więzi uczuciowej i refleksyjnej".

Ma to szczególne znaczenie, gdy nawiązywanie do tradycji i wybieranie ze spichlerza tradycji narodowej i ludowej odpowiednich elementów ma ścisły związek z określaniem tożsamości kulturowej i psychospołeczną postawą jej akceptacji.

Doskonałym tego przykładem była XIV premiera nowego programu Zespołu ZG PZKO „Olzy" zatytułowana „Kwiaty Polskie". Udowodniła ona, że kultura ludowa jest na Zaolziu ciągle żywa, upowszechniana, a prezentowane wartości osiągają rangę najwyższą.

Przygotowywano się do tego zdarzenia cały rok. W zespole amatorskim to minimum czasu, aby stworzyć w miarę ambitny program, zaspakajający potrzeby własne i środowiska. Tym bardziej, że „Olza" prawie całkowicie zmieniała skład zespołu, a i kierownictwo przeszło w nowe ręce. Stało się to właśnie przed rokiem. Tak więc, mając do dyspozycji prawie zupełnie „surowych" tancerzy, zaledwie kilku „starych" członków no i własne doświadczenie nowy kierownik artystyczny zespołu „Olza" — Otto Jaworek podjął się trudnego zadania: przygotowania nowego programu, wykształcenia młodej grupy tancerzy i podtrzymania dobrych tradycji „Olzy". Specyfika pracy w grupie amatorskiej nie sprzyja ciągłości pracy i wymiernym do wysiłku efektom. W „Olzie" przeważyła jednak motywacja uczestnictwa. Tutaj, po czeskiej stronie Śląska Cieszyńskiego działalność kulturalna to nie tylko zabawa w ludowość, moda czy rekreacja. Przynależność do polskiego zespołu stanowi istotny element związku z Macierzą, z jej historią i kulturą. Znalazło to odbicie w masowym napływie członków do zespołu, w jego strukturze społeczno-zawodowej i młodej, wyjątkowo uzdolnionej młodzieży. I chyba nigdzie nie można spotkać naraz tyle dorodnych i pięknych blondynek, brunetek, szatynek, tylu ognistych i przystojnych młodzieńców . . .

Zauroczyli wszystkich swoją postawą,

zaangażowaniem w sprawy zespołu, ciężką i żmudną pracą, niewiarygodnymi postępami. Zaskoczyli swoją dojrzałością sceniczną, ideowością programu, no i kulturą bycia.

Tajemnica tej błyskotliwej kariery „Olzy" leży chyba m. in. w pracy podstawowej zespołu. Dzięki pieczołowitej opiece ze strony ZG i nowego kierownictwa oraz jasno wytyczanym celom dokonał się przyśpieszony proces socjalizacji członków, ukształtowały postawy społeczno-moralne, sprawdzianem których było zachowywanie się ich w różnych sytuacjach życiowych, sposób ujmowania rzeczywistości z punktu widzenia interesów ogółu, uczuciowe wartościowanie tego punktu widzenia. Można to było obserwować już w Rzeszowie podczas Światowego Festiwalu Polonijnych Zespołów Folklorystycznych, w sytuacjach powszednich. Poprzez swój program „Olza" wywarła i wywiera ogromny wpływ na kształtowanie uczuć patriotycznych i ich rozwój. Demokratyczna struktura zespołu wpływa na zacieranie różnic społecznych i zawodowych między członkami, kształtuje więzi międzyludzkie i narodowe. Mimo tak krótkiego czasu istnieje tutaj silna zasada spoistości wewnętrznej, co świadczy o szybkiej integracji członków z zespołem.

Te nielicznie wymienione funkcje zespołu amatorskiego realizowane były z pewnością od samego początku istnienia „Olzy". Miała ona zawsze doborową kadrę wychowawczą, która wykształciła wielu instruktorów tańca, obecnej grupie dała zdrowe soki, które pozwoliły jej rozkwitnąć. Obecny „szef" zespołu Otto Jaworek jest przecież wychowankiem „Olzy". Tu nauczył się pracy, dyscypliny i koleżeńskości. Tu znalazł swoją wielką pasję życiową — taniec. Poświęcił się jej bez reszty i dzięki temu dojrzała wybitna osobowość wychowawcy młodzieży i nauczyciela tańca. Pod jego „srogim" okiem „Olza" szybko osiągnęła poziom, na jaki inne zespoły pracują wiele lat. Cenną inicjatywą nowego kierownictwa było korzystanie z pomocy polskich specjalistów w zakresie tańca.

Dobrze się też stało, że znalazł się ktoś, kto wykonuje pracę niezbyt wdzięczną, niewidoczną z zewnątrz, bez której żaden zespół amatorski nie może się obyć. Mowa tu o p. Danusi Janik, która wzięła na siebie obowiązki kierownika organizacyjnego. Na niej spoczęły troski i przeszkody związane z ogranizacją zespołu, szatni, prób, wyjazdów itd. Nie wiadomo, czy tego uczono ich na farmacji, czy w jej macierzystym zespole „Górnik", gdzie tańczyła wiele lat, ale efekty są widoczne: zespół jest schludny, zadbany, lśniący świeżością i bielą. Wszystko ma tu swoje miejsce, począwszy od kostiumów, skończywszy na gumkach, zapinkach, guzikach. Ona panuje nad tymi tysiącami drobiazgów, bez których nie można by było normalnie funkcjonować . . .

Praca wrzała nie tylko na zapleczu. Próby stawały się coraz częstsze, zgrupowania coraz dłuższe; wreszcie festiwal w Rzeszowie, koncerty w Polsce i znowu próby na Bożka i codzienne kłopoty. A premiera coraz bliżej . . .

Aż nadszedł dzień, na który wszyscy czekali z niecierpliwością. 8 listopada.

Do gmachu teatru w Czeskim Cieszynie zaczynają się schodzić grupy szczęśliwców, którym udało się zdobyć bilety. Tradycyjnie już bowiem wszelkie nowe premiery zespołów PZKO cieszą się dużym zainteresowaniem miejscowego środowiska. Szeleszczą strojne suknie pań, elegancko prezentują się garnitury panów. Wśród zaproszonych gości konsul PRL z Ostrawy Henryk Zieliński i przedstawiciel Towarzystwa „Polonia" z Warszawy.

Za kulisami niepokój — czy nie zawiedziemy zaufania i potrafimy zaspokoić potrzeby widzów, czy podtrzymamy dobre tradycje artystyczne „Olzy" . . . ?

I zaczęło się . . .

Kiedy kurtyna poszła w górę, wszyscy odnieśli wrażenie, że otwarły się wrota doczegoś, co można by nazwać krainą kwia-



tów. Oto pierwszy z nich: cieszyński — „na żywotkach listki rosną, wyszywane zgrabną rączką, czy jesienią, czy to wiosną, mienią się barwnością pączków . . . ". Jeszcze widzowie nie nacieszyli się barwą i brzmieniem słów polskich, a tu serce raduje lekkość i gracja tancerek i tancerzy, którzy płyną, wirują, pląsają po scenie ledwo ziemi tykając, delikatnie wabiąc swoją powściągliwością, dają posmak jabłonnego kwiecia. Cała harmonia ruchu, ciała, stroju, przestrzeni i muzyki. Tańce mieszczan cieszyńskich (chor. J. Marcinek) w wykonaniu Olzian były zapowiedzią tego, na co stać tych młodych artystów. Trudno było dostrzec, co w tej jutrzence piękniejsze: czy malowniczość strojów, czy uroda wykonawców i perfekcyjne wykonanie trudnych figur tanecznych, czy też świetna choreografia.

Tę chwilę zapomnienia przerwała niespodziewanie kapela H. Chmiela, która przyśpiewki cieszyńskie gościom serwuje, to bawi, to podrywa do tańca, to łzę w oku kręci . . . Oj, Chmielu, Chmielu!!!

Jakże tu dzielić się wrażeniami, głębią, kolorytem tego, co można było wchłaniać ze sceny w Czeskim Cieszynie, za Olzą. Najlepsze chęci nie pomogą, ażeby opisać słowami, nie mówiąc już o braku tychże . . . Płyną strofy wierszy pieczołowicie wybranych z arcydzieł literatury polskiej, dowcipna konferansjerka (E. Branna), suną pary w polonezie, mazurze, kujawiaku, oberku — bukiecie kwiatów najpiękniejszych, najdorodniejszych, najcenniejszych. Duma i szlachetność, liryzm i zapomnienie, żywioł i temperament: cała gama wyzwolonych możliwości w jedności ciała, tańca, muzyki i duszy . . .

fot. FRANCISZEK BAŁON

W przerwie widzowie zerkają w program, gdzie wśród znanych nazwisk jak: Janina Marcinek, Otto Jaworek, Janina Ferfecka, Tadeusz Bar pojawia się nowe: Marta Mikula. W części regionalnej natomiast Alicja Haszczak (t. rzeszowskie), Danuta Koziełło-Fudali (t. wielkopolskie). Opracowanie muzyczne: Eugeniusz Fierla, Bronisław Kalina i Tadeusz Such.

Za kulisami chwila oprężenia. Gorące oklaski publiczności pozwoliły już przełamać tremę i wydobyć trochę jaśniejsze uśmiechy. Ale przed nimi zadanie najtrudniejsze — trzeba zejść z wyżyn salonowych, wzniosłych gestów i słów, a przeistoczyć się w żwawą i rubaszną grupę wieśniaków z Wielkopolski, a potem Rzeszowa. Zmiana uczesania, fruwają piekielnice (halki), gorsety, spódnice, czepce, fartuchy, kubraki, kapelusze.

Zadźwięczał trzeci dzwonek . . .

I faktycznie. Zniknęły gdzieś te piękne mieszczki i szlachcianki, zwiewne nimfy w wiankach i kwiatach, a na scenie pojawiła się gromada chłopów z Wielkopolski: pełna temperamentu, gwarna, przysadzista. Powiewają chusteczki, strzelają baty . . . oj, blada tej, która nawinie się pod rękę! Okazuje się, że wszędzie są podobne problemy moralne i normy obyczajowe, których naruszyć nie wolno. Przekonał się o tym każdy z nas, a na scenie doskonale odegrali Bolek Niedoba, Andrzej Kraina i Ewa Branna. Komizm sytuacji, ich dojrzałość aktorska i technika taneczna, dostarczyły widzom wiele uciechy. Także charakterystyczne dla Wielkopolan wiwaty, przodki, równe, zabawy z miotłą oparte o typowo regionalny rysunek i zmienność figur w wykonaniu Olzian wyglądały dziwnie swojsko i naturalnie; zyskały więc zasłużony aplauz publiczności.

Zdawać by się mogło, że „Olza" już niczym nie zaskoczy widza, że to już szczyt ich możliwości, gdy . . .

„Od Rzeszowa burza wyszła, ty dziewczyno, po coś przyszła?" — to niebezpiecznie zadawać takie pytanie każdej dziewczynie, a cóż dopiero, gdy jest nią Beata Miarka . . .

A burza przyszła rzeczywiście. Tańce rzeszowskie wraz z tańcami bardziej na południe położonego Pogórza nie znajdują sobie bowiem równych pośród tańców pozostałych regionów Polski. Ich specyficzny styl, dynamika, ich choreotechniki z zadzierżystymi gestami rąk, żywe tempo i charakterystyczny rytm oraz brzmienie muzyki, soczysta przyśpiewka — porywały wszystkich. „Olza" przeszła samą siebie. Iluż jurnych chłopaków, jakie zaczepne i zalotne są te baby rzeszowskie! „Nie ma kacek" w wykonaniu P. Brannego podobało się nie tylko w Rzeszowie, a apodyktyczne „GREJ" A. Krainy spotykało się z salwami śmiechu i dodawało suicie specyficznego posmaku. Hej, tańcowali, tańcowali Olziacy, i to nie tylko na scenie, ale i później na Bożka, aż blady świt zastukał w okna . . .

„Olza" zdała kolejny egzamin przed publicznością, a tożsamość kulturalna stała się nurtem, który porwał ich i wypieścił, napoił i umożliwił znalezienie swojego miejsca i własną kreację. XIV premiera „Olzy" użyźniła ten teren, ukazała perspektywy wyżycia się kulturalnego młodzieży, a środowisku dała dużo radości i optymizmu. Oby tak dalej.

dr DANUTA KOZIEŁŁO-FUDALI

31 MAJA 1987 — KARWINA



ROZPROWADZENIE BILETÓW
W LICZBIE ODPOWIADAJĄCEJ
80 % BAZY CZŁONKOWSKIEJ
HONOROWYM ZADANIEM
KAŻDEGO KOŁA PZKO

znak graf. ZBIGNIEWA KUBECZKI, repr. ADAM SZOP


PZKO MOCNYM OGNIWEM FRONTU NARODOWEGO
W REALIZACJI WYTYCZNYCH XVI ZJAZDU KPC
40









UROCZYSTE PLENUM ZG PZKO

Zarząd Główny PZKO zainaugurował obchody 40-lecia PZKO i kampanię przedzjazdową uroczystym zebraniem plenarnym. Zebranie odbyło się 12. 11. 86 w sali Domu Przyjaźni w Karwinie-Frysztacie. W obradach wzięli udział zaproszeni przedstawiciele KO KPCz w Ostrawie z członkiem Prezydium, sekretarzem KO KPCz Čeňkiem Milotą, ambasador PRL w Czechosłowacji Andrzej Jedynak, przedstawiciele Konsulatu Generalnego PRL w Ostrawie na czele z konsulem generalnym Edmundem Wardą, sekretarz generalny Towarzystwa Łączności z Polonią Zagraniczną POLONIA z Warszawy, ambasador Wojciech Jaskot, I sekretarz KP KPCz we Frydku—Mistku Ladislav Ručka, sekretarz KP KPCz w Karwinie Karol Siostrzonek, członek KC FN CRS w Pradze Zdeněk Peterka oraz inni przedstawiciele życia politycznego, społecznego i kulturalnego. Obecne były delegacje zaprzyjaźnionych z PZKO towarzystw kulturalnych i regionalnych z Torunia, Katowic, Opola i Tarnowskich Gór. Ambasador PRL w Czechosłowacji Andrzej Jedynak przekazał przy tej okazji na ręce przewodniczącego I I sekretarza ZG PZKO wysokie odznaczenie państwowe przyznane przez Radę Państwa — Komandorię Orderu Zasługi PRL, którym uhonorowano Polski Związek Kulturalno-Oświatowy za zasługi położone na polu umacniania przyjaźni pomiędzy bratnimi narodami oraz za upowszechnianie kultury polskiej w Czechosłowacji.

fot. ADAM SZOP

PEZETKAOWCY INACZEJ

spotkanie 1.
PRACOWAĆ W EKSPORCIE

Rośli i dojrzewali razem z Nim, po dziewięciu latach nauki opuścili mury swojej pierwszej szkoły, spotykali się potem w klubach młodych, zespołach, aż pewnego dnia zaczęli poważniej myśleć o przyszłości. Założyli rodziny, zdobyli zawód i uznanie w oczach przełożonych, wreszcie swoje pierwsze samodzielne stanowisko. Niektórym szczęście sprzyjało bardziej, inni trudniej dochodzili do najniższych szczebli tego, co jeszcze nie tak dawno pogardliwie nazywali karierą, a co było tylko dopełnieniem życiowego przeznaczenia. Dziś mają lat trzydzieści, może trochę więcej, może trochę mniej, niektórzy zaś są rówieśnikami Związku. W tym cyklu rozmów przedstawimy PZKO-wców z dwunastu zawodów. Wyszli z naszego środowiska w czasie, kiedy miało już ono pełne prawo rozwijać swoją działalność.

Komu nie marzy się zawód związany z wyjazdami, z poznawaniem obcych krajów, ze zdobywaniem uznania w oczach zagranicznych partnerów? Już sam fakt, że dostanie się na wydział handlu zagranicznego wyższych uczelni o kierunkach ekonomicznych nie należy do spraw łatwych, stawia absolwentów w gronie wybrańców losu. Ale wyobrażenia laików o egzotyce tego zawodu nie zawsze pokrywać muszą się z praktyką.

Inżynier Bronisław Haratyk z Jabłonkowa ma dziś zaledwie lat trzydzieści cztery. Na drzwiach jego gabinetu widnieje szyld ,,kierownik eksportu huty trzynieckiej", kombinatu, który eksportuje dziś swoje wyroby do pięćdziesięciu krajów świata wszystkich kontynentów oprócz Australii i Antarktydy. Największe regularne dostawy otrzymują odbiorcy starego kontynentu, dalej Azji, dużo towarów, zwłaszcza stali zbrojeniowej dla budownictwa, ładowanych jest na statki portów śródziemnomorskich i kierowanych do państw Afryki północnej. Bardzo ważnym

rynkiem zbytu z punktu widzenia ogólnospołecznego jest coraz częściej rynek amerykański i kanadyjski.

– Czy łatwo zdobyć sobie zaufanie zagranicy? – pytam na początku naszej rozmowy.

– Zdobyć ten rynek jest w obecnych warunkach ostrej konkurencji bardzo trudno, a jeszcze trudniejsze jest utrzymanie swojej pozycji lub rozszerzenie możliwości eksportowych.

– W jaki więc sposób można zainteresować świat swoimi towarami?

– To jest sprawa bardziej złożona. Pierwsze informacje o możliwościach zbytu przekazują nam pracownicy PHZ Ferromet, którzy podróżują często za granicę w celu zyskania nowych zamówień, albo też pracownicy na delegaturach w poszczególnych państwach.

– A wasze wyjazdy?

– Jeśli chodzi o bezpośredni kontakt dostawcy, czyli przedstawicieli naszej huty z odbiorcą, to odbywa się on najczęściej w ramach krótkotrwałych podróży naszych pracowników.

– Ale czy będziemy mieć powodzenie, o tym chyba decyduje ostatecznie towar, a ściślej mówiąc ludzie w wydziałach produkujących dla zagranicy?

– Towar eksportowy rodzi się właściwie w zakładzie nr 1 Wielkie Piece, i to z rud importowanych ze Związku Radzieckiego i dalszych komponentów. Kolejnym zakładem wykorzystującym surówkę do produkcji jest stalownia, która daje produkt wyjściowy dla walcowni, a walcowania jest już właściwie decydującym rejonem produkującym na eksport. Najważniejszym naszym materiałem eksportowym jest drut produkowany w najnowocześniejszym zakładzie walcowni D, uruchomionej w roku 1974. Jest to drut o średnicy 5,5 do 11 mm. Dla zagranicy produkuje również walcownia C, a to stal zbrojeniową, różne gatunki stali profilowanej od płaskiej przez okrągłą po kątowniki. Oprócz tego ważnym towarem są szyny kolejowe z walcowni A, które wywozimy w ramach specjalnej umowy państw RWPG do NRD w ilości 35 tysięcy ton.

– Czy te zakłady, o których pan wspomniał, są na tyle nowoczesne, by powstające tu wyroby mogły być konkurencyjne na rynkach światowych?

– Dzisiejsza sytuacja wymaga obniżenia do minimum kosztów własnych, zmusza produkować jak najefektywniej wysokojakościowe lepiej płatne gatunki stali. Niezbędny jest więc proces modernizacji naszego liczącego 150 lat kombinatu. Jak wiadomo, w roku 1983 uruchomiła produkcję nowoczesna stalownia tlenowo-konwertorowa, która obecnie produkuje ponad 200 gatunków stali. Najważniejszą inwestycją jest teraz dwuetapowe wprowadzenie ciągłego odlewania stali, które ma być zakończone w roku 1993. Wówczas dojdzie do obniżenia kosztów produkcji stali, co znajdzie odzwierciedlenie we wskaźnikach efektywności produktów opuszczających naszą hutę.

– Rok temu był pan na stażu w Wielkiej Brytanii. Mógł pan porównać nasze i angielskie stalownictwo.

– W czasie mojego stażu w Anglii, gdzie pracowałem na afilacji przedsiębiorstwa handlu zagranicznego Transakta-Exico w Londynie w sekcji metalurgicznej, miałem możliwość między innymi zapoznać się z dalszym wykorzystaniem i przerobem naszych towarów walcowniczych, przede wszystkim w ciągarniach drutu, zwiedzić niektóre konkurencyjne fabryki, porty, gdzie wyładowywane są nasze dostawy drutu na cały rynek angielski. Byłem również w znanych stalowniach w Sheffield w północnej Anglii, gdzie stal produkowana jest podobnie jak u nas na wydziale STK i gdzie osiągane są bardzo dobre wyniki w jakości. Niemniej w Anglii mają obecnie kłopoty z zatrudnieniem i nie wszystkie urządzenia inwestycyjne są w pełni wykorzystywane. Z tego powodu też angielscy handlowcy są zainteresowani produktami walcowanymi z naszej huty.

– A nie taniej byłoby im produkować u siebie?

– Może taniej, ale tylko w wypadku wysokojakościowych gatunków stali, niższe gatun-

ki, które nie opłaca im się produkować na swoich agregatach, importują. Zawsze to cieszy, że trzyniecka stal ma najlepszą ocenę od czasu nawiązania kontaktów z Anglią.

— *Kiedy wy, eksportowcy, macie najgorętszy okres?*

— Najważniejszym okresem są pierwsze trzy kwartały roku. W tym czasie musimy uzyskać za towary tyle dewiz, by w ostatnim kwartale móc się zaopatrzyć we wszystkie sprowadzane z zagranicy surowce i materiały. Tak więc III kwartał roku jest najbogatszy w zamówienia zagraniczne, chociaż komplikują nam to urlopy większości tamtych firm. Największy popyt na stal zbrojeniową jest na przykład na przełomie I i II kwartału.

— *Trzeba więc umieć przewidywać, kiedy ceny na rynkach światowych pójdą w górę a kiedy w dół?*

— PHZ Ferromet uzgadnia kontrakty z zagranicą odpowiednio na dwa lub jeden miesiąc przed kwartałem, w którym te zamówienia miałyby znaleźć się w produkcji. Nie zawsze jednak tak się dzieje. W obecnym czasie, gdy na rynku panuje ostra konkurencja i maleje popyt na materiały walcownicze, Ferromet kontrahuje niekiedy zamówienia dopiero w drugim a czasem ostatnim miesiącu kwartału, byleby tylko osiągnął najlepsze możliwe ceny.

— *Pracuje pan w eksporcie od dziesięciu lat. Pamięta pan swoje pierwsze zadanie?*

— Rozpoczynałem w rejonie ekspedycji. Poznałem wszystkie miejsca, skąd towary ładowane były do wagonów i posyłane w świat. To pomogło mi wyrobić sobie rozeznanie w produkowanym w hucie asortymencie, poznałem ludzi . . .

— *A pierwsza podróż służbowa?*

— To był wyjazd do portów Gdyni, gdzie wspólnie z pracownikami wydziału ekspedycyjnego mieliśmy odśledzić dostawy drutu do Chin, w związku z reklamacjami chińskich odbiorców, i stwierdzić, czy w czasie transportu kolejowego do polskich portów może dojść do uszkodzenia materiału walcowniczego. Podróżowaliśmy z towarem do portów morza północnego, Hamburgu, Holandii . . .

— *Czy możecie wpłynąć na wybór środka transportu?*

— Najefektywniejszy jest oczywiście transport wodny, z którego korzystamy w przypadku eksportu do państw zachodnich przez porty rzeczne Łaby, w dostawach na Bliski Wschód i do Egiptu wykorzystujemy porty w Bratysławie i Komarnie.

— *Czy na tym możecie i wy zarobić?*

— Oczywiście, transport wodny w porównaniu z koleją jest tańszy o 300 koron na tonę.

— *A opłaci się hucie, jeśli dostarcza się materiał aż na miejsce?*

— W kontraktach jest wyszczególniona jedna bardzo ważna pozycja, a mianowicie parytet transportowy. U nas najczęściej używany jest franko — granica dostawcy, to znaczy, że do ceny dołączone są koszty transportu do naszych granic. W wypadku dostaw do Stanów Zjednoczonych i Kanady korzystamy z parytetu transportowego CIF . . .

— *. . . to znaczy?*

— Wskaźnik CIF oznacza, że koszty transportu powiększone o ubezpieczenie wliczone są w cenę aż do portu przeznaczenia. Wówczas im większa odległość, tym więcej możemy dla kraju zarobić dewiz.

— *Czyli tu bardziej niż gdziekolwiek indziej trzeba dobrze i ciągle liczyć?*

— Oczywiście. Ceny materiałów walcowniczych zmieniają się w zależności od sytuacji na rynkach zbytu. Jeśli porównać je z okresem ubiegłym, to nie trudno zauważyć, że od połowy roku 1985 istnieje w świecie stagnacja i ceny powoli spadają. Taki stan przewiduje się jeszcze do przyszłego roku i według prognoz pracowników PHZ częściowej koniunktury możemy oczekiwać dopiero na początku II kwartału 1987.

— *A poza „liczeniem", co powinien znać kierownik działu eksportu?*

— Bardzo ważna jest znajomość produktów, ich właściwości, specyfiki, parametrów jakościowych, możliwości uplasowania ich na rynku zagranicznym. W osobistych kontaktach z partnerami z tych krajów można się później lepiej zorientować, w jakim stopniu

ich zamówienia na konkretną jakość odpowiadają późniejszemu przeznaczeniu. Jest bardzo ważne, by znać możliwości swoich wyrobów, umieć nawet doradzić bardziej odpowiedni gatunek stali na dany wyrób, można uniknąć często niepotrzebnych reklamacji.

— No i oczywiście dobra znajomość języków obcych?

— W naszym wydziale wymaga się znajomości co najmniej dwu języków światowych.

— Dziękuję za rozmowę.

-tob-



fot. JAN BYRTUS

W GOŚCINIE U »PRZEMIAN«

Początek przyjaźni i współpracy kieleckiego miesięcznika społeczno-kulturalnego „Przemiany" ze „Zwrotem" datuje się od dziesięciu lat, jak wyczytałam z dziennika podróży po Kieleczyźnie przedstawionego w naszym miesięczniku przez dwie redakcyjne jaskółki, które odwiedziły Kielce w r. 1978. Ponowne ożywienie kontaktów zainaugurowała zeszłoroczna wizyta dwu przedstawicieli naszej redakcji: redaktora naczelnego Piotra Przeczka oraz redaktora technicznego i grafika Kazimierza Gajdzicy, którzy w r. 1985 uczestniczyli w uroczystościach 15-lecia powstania kieleckiego pisma. W październiku roku ubiegłego do Kielc wybrała się ekipa w składzie: redaktor naczelny, niżej podpisana oraz Elżbieta Wania, redaktor polskich audycji Rozgłośni Ostrawskiej Radia Cs. Samochód, który miał zawieźć nas na miejsce, należał do świeżo upieczonego absolwenta nauki jazdy, czyli naczelnego. Granicę, stojącą otworem dla wyjeżdżających służbowo, przejechaliśmy bezproblemowo, a z Cieszyna na Ziemię Kielecką to już niewiele ponad 200 km. Pogoda, jak na drugą połowę października — cudowna, prawdziwe babie lato, sprzyjała wojażom, trasę jednak pokonywaliśmy ze zrozumiałą ostrożnością. W samych Kielcach od razu trafiliśmy do celu — na balkoniku zawieszonym tuż nad ulicą Śniadeckich, gdzie mieści się redakcja „Przemian", wypatrywał nas już naczelny „Przemian" Jerzy Daniel. Krótkie odsapnięcie po podróży, która zmęczyła nas nieco, zwłaszcza kierowcę, przeklinającego pojawiające się co chwila znaki ograniczające prędkość naszego pojazdu — i od razu wizyta u dyrektora Wydawnictwa Prasowego, wydającego cztery lokalne czasopisma: „Słowo Ludu", dziennik PZPR, popołudniówkę „Echo Dnia", „Tygodnik Radomski" oraz nasze bratnie „Przemiany".

Wieczorem — spotkanie w Pałacyku, jak nazywany jest Dom Związków Twórczych, mieszczący się w odrestaurowanym obiekcie należącym dawniej do kompleksu pałaców biskupich. Właśnie

tu przed rokiem uroczyście fetowano 15-lecie powstania „Przemian". Pytanie, z kim mamy się spotkać, dręczyło nas przez całe popołudnie. W przedsionku Pałacyku wita nas rzeźba dłuta Wacława Staweckiego oraz zaraz przy drzwiach plakat, zapowiadający wielkimi literami, że jeszcze dziś, 17 października, odbędzie się spotkanie z Piotrem Przeczkiem, redaktorem naczelnym miesięcznika „Zwrot" z Czeskiego Cieszyna.

Spotkanie odwleka się, więc korzystam z okazji i oglądam przepiękne wnętrza zabytkowego obiektu. Na parterze przechodzę przez sale w amfiladzie. Najpierw sala medalionowa, w której zainstalowano wystawę książek pn. „Współcześni autorzy Kielecczyzny" — wśród wielu nazwisk udaje mi się zapamiętać kilka — Stanisław Patyk, Borys Pastusiak . . . Zaraz za nią znajduje się sala zwana konferencyjną lub balową oraz sala teatralna (koncertowa), gdzie co miesiąc zmieniają się wystawy fotografików. Tu też wystawiane są przedstawienia jedynego w Polsce „Teatru Kobiet" Henryka Jachimowskiego. Dalej, w dawnej oranżerii pałacowej, Galeria Sztuki Współczesnej, prezentująca ekspozycje malarskie artystów zawodowych. Niedawno wystawiano tu obrazy młodej plastyczki z Japonii. Teraz czynna jest wystawa Wojciecha Ryłki — laureata trzech ostatnich „Przedwiośni" — wystawy o najwyższej randze w tym mieście, które kieleckie środowisko twórcze traktuje jako sprawdzian kondycji twórczej oraz pole do artystycznej konfrontacji. W kawiarni, ulokowanej również na parterze, można co miesiąc obejrzeć inne wystawy miejscowych malarzy — amatorów. Pomieszczenie, na którego drzwiach zauważyłam napis „Biblioteka", na razie jest zamknięte. Przeniesiony tu został i jeszcze jest porządkowany bogaty księgozbiór przekazany przez Wydział Kultury i Sztuki WRN w Kielcach. Pomimo ciemności zaglądam do położonego na tyłach pałacyku ogrodu, który obecnie znajduje się w przeróbce. W przyszłości planuje się otwarcie tu ogrodowej kawiarni, wszystko zostanie tu doprowadzone do stanu, w jakim był ogród w wieku 19., w czasie, kiedy Pałacyk był własnością pana Zielińskiego,

szlachcica i urzędnika carskiego, mecenasa sztuki, który zgromadził w tym domu wiele unikalnych dzieł artystycznych. Tak samo wnętrza na podstawie zachowanej dokumentacji doprowadzono do stanu z okresu największej świetności tego budynku.

Na spotkaniu, któremu gościny udzielił lokal na piętrze, gdzie znajdują się kancelarie i pomieszczenia służbowe, zjawili się spóźnieni członkowie miejscowego oddziału Związku Literatów Polskich. Niektórzy z nich znani są na naszym terenie osobiście, w kręgach członków SLA, jak np. Stanisław Nyczaj, który był gościem Seminarium SLA. Spotkaliśmy się również ze Zbigniewem Nosalem i Longinem Kaczanowskim, redaktorami „Przemian". Okazuje się, że przeciągające się zebranie literatów wyłoniło ze swojego grona nowego prezesa — właśnie redaktora Zbigniewa Nosala. W rozmowach przewija się idea założenia w Kielcach „Świętokrzyskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego", stowarzyszenia regionalnego, pozainstytucjonalnego i społecznego, którego siedzibą stałaby się redakcja „Przemian".

Nazajutrz, w sobotę, zaplanowany na nasze życzenie wyjazd do Krasocina, a właściwie przysiółka tej wsi Borowca, gdzie mieszka poeta i rzeźbiarz ludowy, działacz chłopski i dawny wójt tej gminy Feliks Rak. Sylwetka tego niezwykłego, dziś już 83-letniego, ale jeszcze krzepkiego starca, obdarzonego fenomenalną pamięcią, świetnego gawędzia-

rza, zainteresowała bardzo red. Elżbietę Wania i stanie się tematem półgodzinowej audycji na antenie ostrawskiej rozgłośni. Ukazał się właśnie w księgarniach tomik wierszy pana Raka pt. „Idę do was po słowa otuchy" ilustrowany fotografiami jego rzeźb ludowych, poezji mocno osadzonej w tradycji polskiej twórczości ludowej. Te tomiki wraz z dedykacją autora zabieramy ze sobąw powrotną drogę do Kielc.

Zatrzymujemy się jeszcze przy starym, oryginalnym wiatraku niedaleko domu Feliksa Raka, gdzie zgromadził on przed kilku laty liczne eksponaty, począwszy od narzędzi do uprawy roli, przez żarna po książki i wiersze o zewnbie, dając po-

Stary młyn zamienił się z inicjatywy Feliksa Raka na Muzeum Chleba. Dziś można go niestety oglądać już tylko z zewnątrz . . .



czątek jedynemu chyba na świecie „Muzeum chleba". Eksponaty, których nie udało mu się znaleźć w domach i zagrodach chłopskich w okolicznych wsiach, które odwiedzał, wykonywał sam. Muzeum to jest dzisiaj nieczynne, wiatrak niszczeje, eksponaty również. Wietrzny młyn pana Raka z bliska wydał nam się ogromny i majestatyczny. Zrobiło nam się żal ludzkiego trudu i serca, które w swoje dzieło włożył ten człowiek.

Cały czas pilotuje nas świeżo wybrany prezes kieleckiego ZLP — redaktor Nosal. Przejeżdżamy przez Chęciny, podkielecką miejscowość, która kiedyś, w czasie, gdy Żydom zabroniono osiedlania się w Kielcach, była miasteczkiem żydowskim. Na górze nad miastem ruiny zamku — to tu kręcono niektóre sceny do „Pana Wołodyjowskiego". Jeszcze obiad w przyklasztornym kościele oo. Franciszkanów — tak — w nawie głównej ustawiono drewniane stoły — to sala restauracyjna. W miejscu ołtarza — wejście, w prezbiterium kuchnia. Jedzenie smaczne, ale zapijamy je kiepskim piwem, jak głosi etykietka, z warszawskiego browaru nr 1. Śmiejemy się, że chyba pomyłono się co do kolejności.

Wieczorem opuszczam Kielce i udaję się autobusem do odległego o 60 km Staszowa, by odwiedzić rodzinę. Nie biorę więc udziału w niedzielnym zwiedzaniu zabytków Sandomierza oraz Michniowa, gdzie stanąć ma „Mauzoleum Martyrologii Wsi Polskiej" upamiętniające wymordowanie mieszkańców tej wsi przez faszystów. Ja w niedzielę zwiedzam kopalnię siarki „Siarkopol" w pobliskim Grzybowie w towarzystwie głównego technologa górniczego. Ale o polskiej siarce dopiero w którymś z następnych numerów „Zwrotu".

Późnym popołudniem powrót do Kielc, gdzie w naszym hotelu „Bristol" (naszym, bo tam nas zakwaterowano) uroczysta kolacja na cześć gości z Cze-

chosłowacji. Kelnerka uparła się, żeby cztery dania, z których składała się kolacja, koniecznie podać nam w ciągu półtorej godziny. Przeładowane żołądki całą noc męczą się, trawiąc przystawkę (m. in. wspaniały wędzony węgorz), barszcz z pasztecikiem, drugie danie, tort i kawę i coś tam jeszcze... Popędzani przez trzaskający talerzami personel i szatniarza, który chce zdążyć na PKS, opuszczamy restaurację udając się na ostatni nocleg w tym gościnnym mieście u podnóża Gór Świętokrzyskich.

Nazajutrz, w poniedziałek, z samego rana przymusowy spacer ulicą Sienkiewicza na śniadanie do innego hotelu, w porannej mżawce — czyżby pogoda zamierzała nam w ostatnim dniu spłatać figla? Okazuje się, że w „Bristolu" obydwie restauracje są nieczynne z powodu dnia sanitarnego — deratyzacji i dezynsekcji, czyli walki ze szczurami i karaluchami, choć takowych wcześniej nie zauważyliśmy. Jeszcze tylko pożegnalna kawa w redakcji „Przemian", ustalenie terminów następnej wizyty i rewizyty i przechadzka po Kielcach z red. Urszulą Kendrą w roli przewodniczki — oczywiście sklepy i zakupy, a jakże!

Pożegnalny obiad jemy w ukraińskiej restauracji „Winnica", tej samej, w której przyjmowano przed ośmiu laty pierwsze „zwrotowskie" jaskółki. Gospodarze namawiają nas do skosztowania znakomitej potrawy pod nazwą „żarkoje". Kryje się pod tym pikantny gulasz z frytkami, ziemniakami, suszonymi śliwkami, groszkiem itd. podawany w glinianych dzbanuszkach pod czapą z ciasta drożdżowego — wszystko razem zapiekane w piekarniku. Kapelusz z ciasta kelner zdejmuje i na talerzu polewa smakowitą zawartością dzbanuszka. Nie żałujemy, danie jest oryginalne i bardzo smaczne, postanawiam sobie, że wykorzystam je kiedyś i mile zaskoczę moich gości. Daję się jeszcze skusić na lody, ale na widok przyniesionej mi przez kelnera góry lodowej — kapituluję, zjadając zaledwie jej czubek.

Po tych dygresjach gastronomiczno-kulinarnych nawyższy czas na wyjazd. Wczesnym popołudniem opuszczamy Kielce, a ze względu na zdobyte już doświadczenie nasz kierowca robi to w drodze powrotnej nieporównywalnie szybciej. Jeszcze tylko półtoragodzinowy postój na granicy i wreszcie Czeski Cieszyn.

MARIA GRZEGORZ



W tym budynku zgromadzone są tymczasowo materiały historyczne, upamiętniające tragedię mieszkańców Michniowa. Za kilka lat ma tu właśnie stanąć Mauzoleum Martyrologii Wsi Polskiej.

fot. PIOTR PRZECZEK

BUDOWANIE MOSTÓW PRZYJAŹNI

W pięć lat po założeniu cieszyńskiego Klubu Propozycji zaczęły powstawać podobne kluby po lewym brzegu Olzy. Zaczyn ku temu dał czeskocieszyński Klub Propozycji przy Kole PZKO w Czeskim Cieszynie, prowadzony wzorowo przez lat trzynaście przez prof. Karola Polaka.

Jakie są podobieństwa obu Klubów, zakładając, że każdy Klub — w zależności od środowiska — wypracowuje sobie własne metody działania bez usztywnionych reguł. Oba Kluby skupiają przeważnie ludzi starszych. Ale byłbym nieścisłym kronikarzem, gdybym nie stwierdził, że Klub po prawej stronie Olzy przyciąga także — choć nieliczne — grupy młodzieży, m. in. z Filii Uniwersytetu Śląskiego. Upodobnia również oba Kluby różnorodność podejmowanej tematyki, układającej się w nieplanowany program kształcenia ustawicznego. Są to więc jakby w miniaturze „uniwersytety trzeciego wieku", zyskujące sobie, zresztą nie tylko w Polsce, znaczną popularność.

Ale Klub Propozycji w Cieszynie podejmuje nadto różne akcje i inicjatywy, wyprzedzając nieco swego imiennika z lewego brzegu Olzy. Wiele jego propozycji zaowocowało zgoła niespodziewanie. Dość stwierdzić, że wzorem Cieszyna powstało kilkanaście Klubów Propozycji w różnych częściach Polski, a nawet za granicą, w ośrodkach polonijnych. Część z nich niestety — po kilku latach istnienia — przestała działać, głównie na skutek braku wytrwałości i samozaparcia ze strony ich animatorów. Ponadto tu i ówdzie brakło inspiracji, umiejętności przebijania się przez mury zobojętnienia. Pod tym względem niewiele się różnią od siebie oba obszary polsko-czeskiego pogranicza. Nie łączyłbym jednak tych zjawisk z faktem, że prowadzone są na zasadach bezinteresowności, a więc możnaby sądzić, że brakło motywacji finansowych. Kluby Propozycji prowadzili bowiem i prowadzą urodzeni społecznicy, których często nieubłagany pułap wiekowy zmusza do kapitulacji. Z inicjatywy cieszyńskiego Klubu Propozycji powstały nadto takie organizacje jak: Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Indyjskiej, Towarzystwo Miłośników Języka Polskiego, Towarzystwo Miłośników Ogrodnictwa, Liga Ochrony Przyrody, Komisja Ochrony Środowiska PRON-u „Zielony Front", Polski Klub Ekologiczny, Rada Przyjaciół Niewidomych i inne.

W Czeskim Cieszynie działają w tej chwili dwa Kluby Propozycji: przy Kole PZKO Centrum oraz przy Kole PZKO Osiedle. Po odejściu prof. K. Polaka, pierwszy — głównie z inicjatywy sekretarza Bogusława Brannego — działa systemem rotacyjnym. I tak za każde spotkanie jest ktoś inny odpowiedzialny. System ten sprawia, że młodym ludziom stwarza się szansę do twórczych, inspiratorskich poczynań. Ale przecież zdarzy się, że młodym animatorom nie starczy elastyczności w działaniu, po prostu z braku doświadczenia. Rzecz zrozumiała. Tu następuje naturalna jakby selekcja: nie każdy bowiem ma uzdolnienia organizatorskie, umiejętność rozpalania

ludzkich pasji, sprawnego przeprowadzania imprez klubowych.

Klub na Osiedlu, spotykający się regularnie w ośrodku „Na Mojskiem", sprawnie kierowany przez wypróbowanego działacza PZKO, dr Józefa Macurę, stanowi dowód, jak wiele można zdziałać przy dobrej chęci i żelaznej systematyczności.

Nie sposób w krótkim szkicu sięgać do innych Klubów Propozycji po obu stronach granicy. Jest ich już sporo. Nie wszystkie bowiem spaliły się w „słomianym ogniu". Należałoby sobie jednak życzyć, by było w nich więcej stabilności.

Nie trzeba zbytniej wyobraźni, by pojąć, że ich rola może rosnąć w zależności od pomysłowości, inicjatywy, wreszcie uporu ludzi, mających ambicję przewodzenia tym niesformalizowanym strukturom. Obchodzony niedawno jubileusz 20-lecia działalności czeskocieszyńskiego Klubu Propozycji (patrz broszura okolicznościowa) ujawnił wiele szczegółów. Przypomnę tylko kilka udanych wielce wieczorów podróżniczych, podczas których dzielili się swoimi wrażeniami z wypraw również obywatele narodowości czeskiej. Ich także gościliśmy w Polsce i myślę, że były to dobre akcenty współpracy międzynarodowej, podejmowanej dla budowania mostów autentycznej przyjaźni.

Jeśli w dzisiejszym, ucywilizowanym świecie nie dostaje wartości humanistycznych i człowiek ulega depersonalizacji, to warto na tym tle dostrzec rolę mikrostruktur społecznego działania, choćby typu Kluby Propozycji. Zaobserwowane procesy wskazują bowiem na ich znaczącą rolę w zakresie międzyludzkich kontaktów, co w określonym stopniu wpływa na rodzenie się postaw, służących idei pokoju i międzynarodowej przyjaźni. Stwierdzali to, i to wielokrotnie, m. in. dziennikarze radzieccy, goszczący w cieszyńskim Klubie Propozycji. Dawali temu wyraz w licznych artykułach, drukowanych m. in. na łamach wileńskiego „Czerwonego Sztandaru" (organ KC KPZR na Litwie). Te „małe kontakty", pomnożone przez różne akcje, sprawiły, że na łamach radzieckiego periodyku pojawiło się na przestrzeni lat aż sto (!) artykułów, poświęconych ludziom i zdarzeniom z obu brzegów Olzy.

Gdyby mnie ktoś zapytał, w czym dopatruję się atraktyjności Klubów Propozycji, odpowiedziałbym bez wahania: w atmosferze klubowej. Dzięki niej ludzie chętnie garną się na spotkania (w Cieszynie było ich ponad 1100), a wszystkie odbywały się przy pełnej sali. Powołam się tu na europejskiej sławy uczonego, dr. Antoniego Kępińskiego, autora znakomitych dzieł z zakresu psychiatrii. Twierdził on, że: „o miłej atmosferze mówi się wówczas, gdy dane miejsce działa przyciągająco, gdy czujemy się w nim swobodnie, ciepło, serdecznie, gdy nie obawiamy się w nim krytyki, potępienia, złośliwości, gdy się w nim nie nudzimy, ale czujemy się potrzebni, aprobowani, w jakiejś mierze ważni".

Z punktu widzenia socjologicznego Kluby Propozycji stanowią laboratoria doświadczalne dla znalezienia jeszcze jednej metody służącej „zagospodarowywaniu" wolnego czasu osób różnych kategorii wiekowych w społecznościach lokalnych. Jeśli mimo naporu cywilizacyjnego, szybkiej technizacji życia udaje się to na przestrzeni wielu lat działaczom kulturalnym po obu brzegach Olzy, to jest to dostateczny sygnał, wskazujący, że warto „eksperyment cieszyński" poddać wszechstronnej i rzetelnej analizie. Planując szeroki wachlarz poczynań na rzecz upowszechniania — w szerokim tego słowa znaczeniu — kultury, warto w nie włączyć działalność animacyjną Klubów Propozycji. Są one — na tle dotychczasowych doświadczeń — żywym przykładem, jak wiele, potencjalnych pasji organizatorskich tkwi w ludziach, dowodząc racji tezy o „różnorodności w jedności".

Tylko bowiem „jedność wszystkich form podnoszenia moralnej wartości człowieka może dawać praktyczne efekty". (Mieczysław Michalik „Socjalistyczny sposób życia".)

Nie pozwólmy zarastać ścieżkom, wydeptanym przez pionierów twórczych poczynań, służącym dobru powszechnemu.

WŁADYSŁAW OSZELDA

O DWUJĘZYCZNYM WYCHOWANIU DZIECI

Za kwartalnikiem dla nauczycieli szkół polonijnych „Wisełka" drukujemy artykuł, dotyczący wychowania dzieci w środowisku dwujęzycznym. Wnioski, oparte w tym wypadku na badaniach mieszanych małżeństw polsko-niemieckich, zainteresują zapewne również naszych Czytelników.

Dziecko przychodzi na świat ludzi mówiących i od początku poddawane jest wpływom mowy, którą z czasem coraz lepiej musi sobie przyswajać tak, aby w procesie komunikowania się mogło przejąć aktywnie zarówno rolę słuchacza, jak też i mówiącego. Językowe otoczenie dziecka jest w niektórych przypadkach niejednolite. Występuje to w tzw. małżeństwach mieszanych, w których małżonkowie mają różne języki ojczyste. Decydują się oni często na dwujęzyczne wychowanie swoich dzieci, co w czasie procesu przyswajania mowy wiąże się jednakże z kilkoma problemami. Zagadnienie to traktowane jest różnie, często negatywnie. Argumenty, często przytaczane przeciwko takiemu wychowaniu, są zwykle następujące:

a) dziecko zostaje przez wychowanie dwujęzyczne zdezorientowane;

b) proces przyswajania mowy przebiega z opóźnieniami;

c) dziecko wykazuje zaburzenia mowy i zachowania, jest przeciążone psychicznie itp.

Owo negatywne, a niestety przeważające, nastawienie do sprawy wychowania dwujęzycznego jest jednak bezpodstawne. W naszym artykule podjęta zostanie próba odparcia tych negatywnych argumentów. Na podstawie kilku autentycznych przykładów zademonstrowane zostaną pozytywne strony takiego wychowania. Na wstępie opisana zostanie sytuacja komunikowania się dziecka dwujęzycznego. Można rozróżnić w zasadzie dwa rodzaje dwujęzyczności (ewentualnie wielojęzyczności): dwujęzyczność terytorialną i dwujęzyczność uwarunkowaną rodzinnie. Sytuacja komunikowania się dziecka jest w obydwu przypadkach zupełnie odmienna. W pierwszym przypadku dziecko wzrasta na terytorium, na którym wiele języków używanych jest przez większe grupy ludności. Wszyscy mieszkańcy danego terytorium władają wówczas z reguły danym językiem. Językowy wpływ kilku języków na wszystkich mieszkańców danego terytorium nie jest wówczas wprawdzie identyczny, ale jednak wyważony i porównywalny. W przypadku badanej przez nas dwujęzyczności uwarunkowanej rodzinnie sytuacja komunikowania się jest inna. Dziecko wzrasta na te-

rytorium, na którym używany jest tylko jeden język lub języki, nie będące językami ojczystymi jednego z rodziców. W przypadku, gdy rodzice decydują się wychowywać dziecko również w języku ojczystym współmałżonka, nie będącym językiem otoczenia, muszą liczyć się z tym, że wpływ obydwu języków jest nieproporcjonalny, wpływ języka używanego przez otoczenie jest większy niż wpływ innego języka. Jednym językiem wpływa na dziecko z reguły tylko wąski krąg osób, często wyłącznie jedno z rodziców, drugim językiem natomiast nie tylko członkowie rodziny (lub jeden członek rodziny), lecz również otoczenie: przedszkole, szkoła, środki masowego przekazu, sąsiedzi itd. Proporcje te zmieniają się jedynie przy określonych odwiedzinach drugiego kraju. Wielu rodziców decyduje się na dwujęzyczne wychowanie swych dzieci, ponieważ są zdania, iż głównie przy pomocy języka poznają one ten drugi kraj, w którym nie żyją na stałe, że uznają ten kraj za swoją drugą ojczyznę, za swój dom.

Proces opanowania mowy jest bardzo skomplikowany. Pozostaje on pod wpływem wielu czynników biologicznych i społecznych, np. takich, jak fizyczna i umysłowa konstytucja dziecka, wzajemne stosunki panujące między dzieckiem i rodzicami, stosunek rodziców do obydwu krajów pochodzenia, aktualna sytuacja społeczno-polityczna i wiele innych. Ważną rolę odgrywa poza tym tradycyjnie ukształtowane nastawienie członków jednego narodu do drugiego lub do jego języka. Często zdarza się, iż opanowanie tego drugiego języka nie zostanie uznane za konieczne do komunikowania się. Ma to miejsce wówczas, gdy język kraju zamieszkania danego małżeństwa jest rozpowszechnionym językiem światowym (którym można się wszędzie porozumieć), np. angielski, niemiecki itp., a ten drugi język nie jest na świecie równie rozpowszechniony i uznany, jest zwykle aktywnie używany na tylko jednym, stosunkowo niewielkim terytorium. Poza tym faktem, którego praktyczne znaczenie zależy bardzo od subiektywnych odczuć i zachowania współmałżonka, najważniejszymi są czynniki biologiczne i psychiczne. Proces opanowania mowy nie przebiega według jakiegoś ustalonego schematu, u różnych dzieci może być bardzo różny, możliwe są jedynie uogólnienia w formie ustalenia i pedagodzy z naciskiem ostrzegają przed jednoczesnym używaniem dwóch języków w okresie procesu opanowywania mowy (z wyżej wymienionych powodów). Jesteśmy zdania, że możliwości dwujęzycznego wychowania nie powinno się z góry odrzucać, należy jednak dokładnie rozważyć zarówno jego pozytywne strony, jak też wiążące się z nim ryzyko.

Za czynniki sprzyjające wychowaniu dwujęzycznemu uważamy następującą sytuację dziecka:

1) dziecko ma stabilną konstytucję biologiczną i psychiczną;
2) w każdym z obydwu języków dziecko ma stałych i kompetentnych partnerów;
3) stosunki pomiędzy dzieckiem i rodzicami układają się dobrze (dziecko znajduje się pod dobrą opieką, kontakty słowne z dzieckiem są częste i pozytywne itp.);
4) obydwoje rodzice popierają lub przynajmniej tolerują używanie ubydwu języków, uznają znaczenie opanowania obydwu języków;
5) obydwoje rodzice mówią obydwoma językami;
6) obydwoje rodzice są pozytywnie nastawieni do obydwu krajów i do członków obydwu wspólnot językowych.

Jako negatywne, przeciwdziałające faktory można wymienić:

1) dziecko jest z różnych powodów zagrożone w swym fizycznym lub i psychicznym rozwoju;
2) dziecko ma zaburzony stosunek do jednego z rodziców;
3) nastawienie jednego z rodziców do opanowania drugiego języka jest negatywne;
4) sytuacja socjalna dziecka jest niedogodna (uwarunkowana np. niewystarczającymi umiejętnościami wychowawczymi jednego lub obydwu rodziców).

Z opanowania obydwu języków dziecko ma cały szereg korzyści, są to przede wszystkim:

1) możliwość samodzielnej komunikacji słownej w obydwu krajach;
2) możliwość bezproblemowej integracji do drugiej wspólnoty językowej;
3) podstawa do opanowania języków obcych w ogóle (doświadczenie z różnymi modelami językowymi).

Przykłady:

Czteroletni chłopiec mówi do trzeciego roku życia płynnie po polsku i po niemiecku. W środowisku niemieckojęzycznym stosuje bezbłędnie i automatycznie język niemiecki, a z matką, która jest Polką, rozmawia wyłącznie po polsku.

Troje dzieci w wieku 15, 13 i 11 lat mieszkających w NRD, matka jest Czeszką, a ojciec Niemcem mówiącym dobrze po czesku. Dzieci mówią płynnie i bezbłędnie w obydwu językach. Mają bogate słownictwo, poprawną wymowę i stosują poprawnie wszystkie formy gramatyczne.

Jak pokazują przykłady obserwowanych przez nas dzieci wychowywanych dwujęzycznie, najlepsze efekty przynosi jak najwcześniejsze, tzn. stosowane od urodzenia, konsekwentne wpływanie na dziecko dwoma językami jednocześnie. Duże znaczenie mają poza tym częste kontakty ze środowiskiem mówiącym innym językiem oraz znajomość obydwu języków przez oboje rodziców. Częste odwiedziny drugiego kraju bardzo pomagają, szczególnie w tych wypadkach, gdy obydwoje rodzice nie mówią obydwoma językami.

Przykłady:

Ośmioletnia dziewczynka mieszkająca w Berlinie przebywa często i regularnie przez okres kilku tygodni w Polsce. Matka jest Polką i mówi z dzieckiem prawie wyłącznie po polsku. Ojciec, który jest Niemcem nie mówiącym po polsku, jest życzliwie ustosunkowany do dwujęzycznego wychowania swej córki. Dziewczynka mówi bardzo dobrze po polsku i po niemiecku, jest bardzo dobrą uczennicą zarówno w niemieckiej, jak też i w polskiej szkole, do których uczęszcza równolegle.

Siedmioletni chłopiec mieszkający w Berlinie. Matka Polka początkowo nie mówiła ze swoim dzieckiem w ogóle po polsku, znajdując się pod silnym wpływem męża — Niemca i teściowej, negujących potrzebę mówienia przez dziecko po polsku. Dziecko zaczęło dopiero w wieku 6 lat uczyć się po polsku w ramach kursu języka polskiego dla dzieci. Od tego czasu wzrósł znacznie autorytet matki w oczach dziecka („moja mama umie coś, czego inni nie umieją, i ja się tego teraz też uczę!") Chłopiec uczy się bardzo pilnie polskiego, odwiedził przez ostatni rok dwukrotnie Polskę i zrobił znaczne postępy w języku polskim, nie pogarszając dobrych wyników nauczania w szkole niemieckiej.

Proces opanowania mowy nie przebiega w linii prostej, szczególnie w młodszym wieku dziecięcym zdarzają się często mniejsze lub większe opóźnienia w rozwoju mowy. Mniejsze opóźnienia, jak np. błędna, nie odpowiadająca normie wiekowej wymowa niektórych głosek lub lekko opóźnione rozpoczęcie mówienia, niekoniecznie muszą być spowodowane stosowaniem wychowania dwujęzycznego.

Przykład:

Sześcioletnie dziewczynki bliźniaczki, rodzice robotnicy, matka Polka, ojciec Niemiec. Matka od urodzenia dzieci mówiła do nich po polsku, ojciec jednak od początku był zdania, że jest to dziecom niepotrzebne, gdyż niemiecki jest językiem, którym można się wszędzie porozumieć. Od czasu, gdy dzieci zaczęły uczęszczać do żłobka a później do przedszkola, rozpoczęły się dodatkowo naciski na matkę ze strony wychowawczyń tych placówek. Widziały one w wychowaniu dwujęzycznym niebezpieczeństwo opóźnienia rozwoju mowy. Matka, nie mając z żadnej strony poparcia, zaniechała mówienia do dzieci w swym języku ojczystym. Dzie-

wczynki mówią więc wyłącznie po niemiecku, lecz mimo tego są opóźnione w rozwoju mowy, co wyraźnie wskazuje na uwarunkowanie tego innymi czynnikami niż dwujęzycznością.

Udzielanie podobnych rad i przestróg znane nam jest również z innych obserwowanych przypadków, w których rodzice, będąc często sami pedagogami, nie zastosowali się do życzeń wychowawczyń przedszkoli, a ich dzieci opanowały w efekcie dobrze obydwa języki. Podkreślić należy, że poziom wykształcenia rodziców oraz poziom opanowania przez nich własnego języka ojczystego odgrywa bardzo ważną rolę w procesie opanowania języka przez nieletnie dzieci. Jeśli język potoczny używany przez rodziców, będący wzorem językowym dla dzieci jest błędny, wówczas wyniki wychowania dwujęzycznego są niezadowalające.

Podsumowując można stwierdzić, że wychowanie dwujęzyczne, biorąc pod uwagę wszystkie wymienione czynniki, można polecać małżeństwom mieszanym przy wychowywaniu ich dzieci.

(B. Lommatzsch, E. Saneja)



fot. DRAHOSLAV RAMÍK

ZBIGNIEW LEONIAK

NOCLEG MISTRZA

Idą. Idą moje nogi. Przeklinając krzywe, wyłupiaste bruki, choć potykają się to na chodniku, to na asfalcie. Zatrzymują mnie. Głowa ogląda się, oświetlając nieodległą przeszłość rozognionymi źrenicami w oprawie rubinowo użyłkowanych białek.

Jest noc: groźna pustką wyludnionych ulic, żółtawo ćmiących latarń. Wielkie miasto śmieje się zębami balustrad; moloch z uporem jamochłona usiłuje wessać mnie w trawienną czerń bram.

„W nich znajdę sen kojący i pijaczy" — pomyślał mózg, lecz wnet podjął, na zasadzie echolalii, pieśń. Towarzyszącą od lat, złożoną z jednej strofy i słów niezrozumiałych.

Pieśń tę mógł zanieść dobrotliwy wiatr między zbryzgane gorzkimi wspomnieniami karty mych myśli. Rytm pieśni spieszy się do szaleństwa, serce kiwa ciałem na boki, kołysząc do snu najdłuższego. Każda myśl o śmierci — moje wielkie nad sobą roztkliwienie; melancholia; depresyjny upadek.

Nagle padam na trotuar. Twarz odzieram z naskórka, poprzez ból czując nienawiść do swej fizys. To mnie stawia na łopatki. Wspominam swą biedną żonę, nieszczęśliwą. Jakże się o mnie troszczyła, jakże łagodna była i sumienna. Ubranie cerowała. Czasem podała klina do łoża śmierci i płakała w żałości, gdym leżał na marach, skutkiem opilstwa. Tylko ona nieco rozumiała fascynację śmiercią właściwą artystom. Lgnięcie do niej i niepokojące umiłowanie. Artysta chadza ze śmiercią pod rękę.

— Proszę — powiadała żona, gdy szedłem do kawiarni literackiej — oto kanapki. Straciłeś talent, to przynajmniej nie trać pieniędzy.

A jam tymi kanapkami psy po drodze częstował . . .

Pieśń od nowa zaczyna rozsadzać czaszkę, lecz oto nadjeżdżają radiowozem i biorą. Jedziemy wśród wielgachnych domów, które skutkiem przeraźliwej prędkości łazika bezszelestnie walą się na nas. O ułamek czasu wyprzedzamy zległe w pastelowych temperamentach neonów i wystaw gruzowiska.

„O, moja biedna żono — biadoli mózg. — Czemu mnie nie wyratujesz teraz, jako czyniłaś wielokrotnie, gdym leżał na marach?!"

Od szaleńczej prędkości światła latarń rozmazują się na mych lepkich od potu skroniach. W żałości docierają do mnie dźwięki drugiego „Koncertu skrzypcowego" Bartoka, w wykonaniu — zdaje się — Igora Ojstracha. Czuję intensywny zapach konwalii.

Już wiem!: to artysta malarz Kuczman utkał intrygę. Przecież powiedziałem w kawiarni „Podobno twoje „dzieła" omyłkowo trafiły na konkurs skrzypcowy imienia Wieniawskiego i . . . otrzymały nagrodę!" Bardzo się obraził.

Chcę uciekać. Rozpełzam się jak pocięta rozgwiazda, by restytuować się z dala od zagrożenia, w wielości identycznych osobników. Ręce uciekają od szyb; nogi wybijają dziurę w podłodze, głowa rzuca się w przód — ale troskliwi milicjanci przywracają jedność istnienia.

Pokornieję.

Tak nakazuje mózg utraconego talentu. Czyż nie zniszczył mi go artysta malarz Kuczman?

— Zdrowie! — mówił, gdym postanawiał przestać pić, kusząc z diabelską zdolnością, kołysał kieliszkiem, łyskał jak brylantem w świetle, mamił bulgotem, znów stawiając stopkę na stole. I gadał coś, gadał, a ja oglądałem kieliszek.

— Nie piję! — mawiałem stanowczo przez knebel postu.

— Od kiedy . . . ? — dziwił się, obłudnie kryjąc szelmostwo.

Wtedy moja dłoń powolutku skradała się przez blat, jak wąż grzechotnik drżąca, porywała kielich, usta szeptały:

— Od jutra nie piję . . . — i smakowały wchłustany trunek z goryczą niedotrzymanego słowa.

Kuczman wykrzykiwał:

— Zostaw mój koniak! Piję go na serce! . . .

O moja żono łagodna i kochanko; czyż nie mówiłaś, odwodząc od nałogu: „Czemu nie bierzesz przykładu z Jasia Kuczmana? Nie tylko nie pije po zawale, ale nigdy nie miał skłonności. A ty . . . Byli u nas wczoraj, gdyż nie mogli ciebie znaleźć w żadnej knajpie. Proponują ci posadę redaktora technicznego w wydawnictwie lub cenzora. Władze nie chcą, abyś całkiem się stoczył. Już nawet nie możesz pisać książeczek dla dzieci i musimy z siostrą robić to za ciebie, bo żyć przecież trzeba".

Wprowadzono mnie na korytarz tak dobrze znajomej izby wytrze-

zwień. Drażnią dźwięki, po chwili układające się w ulubioną melodię „Błotnego robaka", graną przez Gary Maligen Sextet. Zasłuchuję się.

Wchodzi lekarz, młody, ogolony, jakby nigdy nie pił tydzień pod rząd. Wstaję.

— Półobrót, odchył, przysiady — komenderuje.

Wyrzucam z siebie treści, po których doktor zmyka, milicjanci mnie hamują.

— To pisarz! — mówi nagle jeden z nich. — Ostatnio pisze książeczki dla dzieci.

Jeszcze się awanturuję.

— Taki artysta — gani mnie drugi — a tak się zachowuje. Mistrz . . .

„Artysta" — brzmi w powietrzu nurtowanym westchnieniami skacowanych pijaków zamkniętych w celach. „Artysta" — wije się jak elastyczne pawie pióra i tęczowo ugłaskuje bajeczną miłość własną oraz talentu utraconego, obyż na wojnie jakiej, a tu . . .

Łagodnieję: czujna jednak moja potulność.

— No, proszę — puszczają mnie — jakie pan ostatnio wydał książki?

— Chyba „Śpioszek Misio" i, zdaje się, „Pan Dentysta i Tygrysek".

Chwała na niby, zbliża się pielęgniarz jak obłaskawiony bazyliszek. Cenzuralnymi słowy żąda mojego ubrania.

Reaguję na to.

— Panie Wór — krzyczą — bo weźmiemy w pasy obezwładniające.

— Cooo? — ryczę. — Zamykacie mnie na noc dlatego, żeby iść do mego wystygłego łoża małżeńskiego! O, wy! . . . Kuczman was przysłał!

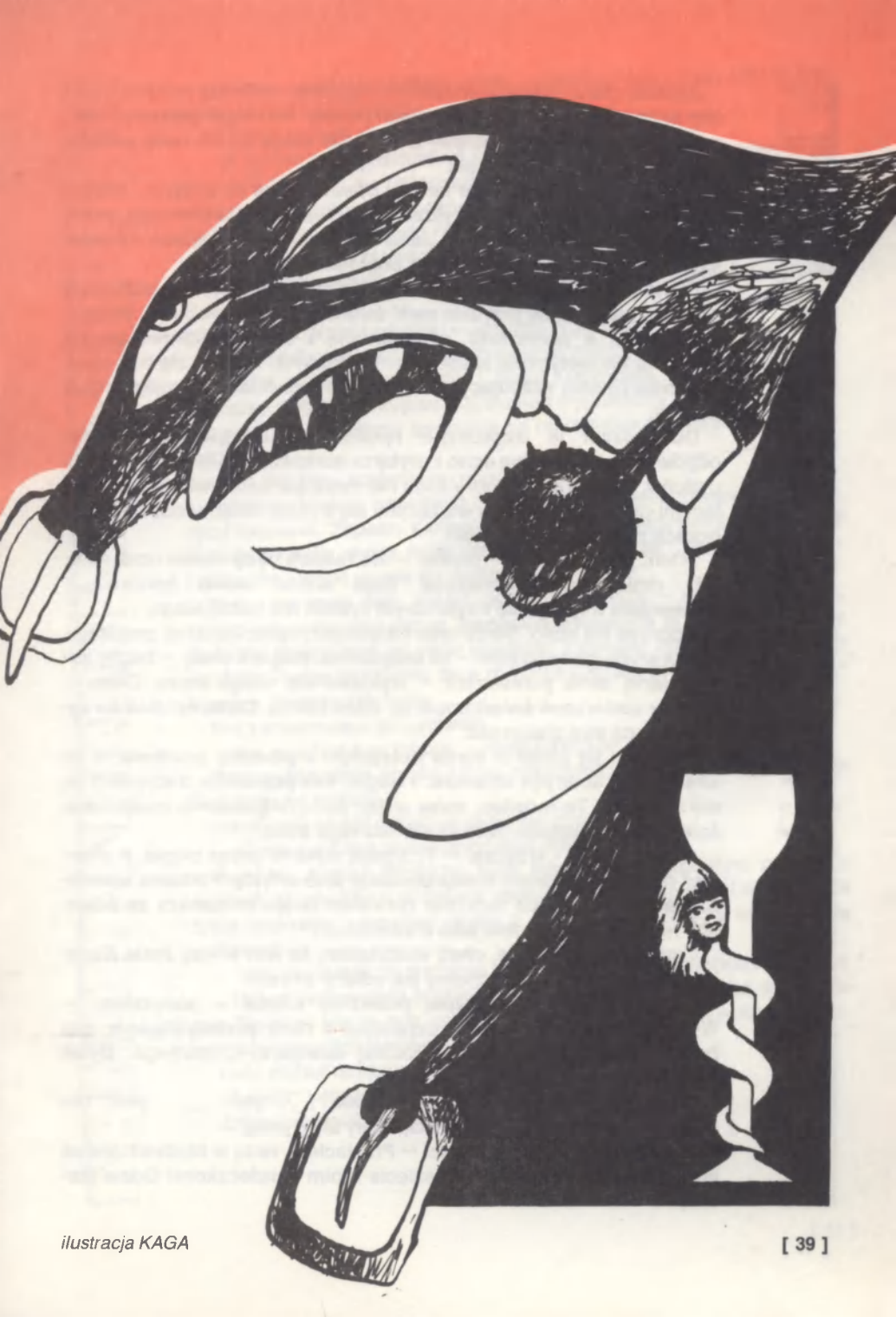
Tego im za wiele. Niosą mnie do „pasowni" izolować od pijanej społeczności, a ja na całe gardło śpiewam swą pieśń niezrozumiałą. Niesiony przez nich cały jestem błogością, niby ptak u lazuru nieba, w cieśninie skrzydeł fiołkowych. Czuję zapach konwalii. Jak grzmot przepaja ciało przecud elektronicznego utworu „Zarys zwierząt mitycznych"; zadziwia i przeraża.

Zawieszony, czujny na cień i mgnienia, śledzę mozaikę lastrico korytarza. Dopatrując się z wysokości zwierząt znanych i stworów przedziwnych. Oglądam iluzoryczne bestie o spotworniałych wyglądach i widzę skamieniałe twarze, którym demonicznych rysów przydała szczerbiąca erozja.

Ciśnięty na twarde łoże izolatki, niby w chmurę najeżoną piorunami, wydaję grzmoty pieśni i wraz z nią upadam rzęsistością spoconej ulewy w pyły ziemi. Między nikczemność robactwa i błoto świata rozedrgane płodną żywotnością mikrobów.

Wiążą mnie i odchodzą.

„O najmilsza — myślę o żonie. — Z jakąś błogością wspominam teraz chwilę, kiedy włożyłem ci rękę pod sukienkę. A ty fuknęłaś na cały autobus: „Co pan! Raków pan tam szuka?" Tak się poznaliśmy . . ."



ilustracja KAGA

Zapada cisza, odcięta brutalnym zgrzytem solidnej zasuwy i jestem skazany na bezruch w okowach pasów. Na długie godziny żółtawo ćmiącej żarówki osłoniętej siatką. Nie mogę z żalu rwać włosów ani obgryzać palców w szale.

Mijają chwile. Tyka zegar serca i posuwa czas ku śmierci. Jestem sam i nikt z bliskich nie przyjdzie towarzyszyć mi w chwilach, które wysypują się z żył. Wzywam Jasia Kuczmana. Odpowiada mi zniekształcone echo z sardonicznym pogłosem.

Cicho płaczę w chwili śmierci. Żałość moja wielka, niby biblijnego proroka, który ujrzał przyszłe męki świata, i ból mój hiobowy. Wpijam się oczyma w przyszłość, utożsamianą z obitymi stalową blachą drzwiami hermetycznie zespolonymi z futryną. Wydają się być płaskim zwierzęciem szacującym mą niemoc jednoocznym spojrzeniem wizjera.

Odstraszam je trzykotnym rykiem lwa nubijskiego i znów odpowiada mi urągliwe echo korytarza nurtowanego westchnieniami opilców. Daleko moja dobra żona nie może usnąć, trawiona niepokojącymi przypuszczeniami wiążącymi się z moją nieobecnością. W jej oczach zbierają się łzy troski.

„Och, jakim podlec — myślę. — Na rękach będę ciebie nosił miła, gdy mnie stąd wypuszczą. Daję sobie słowo honoru . . .“ Zapewniam o tym ciszę trzykrotnym rykiem lwa nubijskiego.

Odgryza się echo. Serce tyka niby zegar, coraz bardziej zwalniający sprężynę obowiązków — to umęczenie. Nagle z ciszy — cechy zamykającej mnie przestrzeni — wykluwa się druga cisza. Cisza — zwierzę obdarzone świadomością; cisza bestia. Cisza-opiekunka zapewniająca swą obecność.

Śpiewam jej pieśń o sercu bolejącym z powodu zepchnięcia na śmietnik utraconych talentów. I nagle, bez powodów, zaczynam jej się zwierzać. To mówiąc, znów waląc pełnym głosem o zasłuchane ściany, w naśladownictwie sardonicznego echa.

— Kuczman! — krzyczę. — Trzymają mnie tu przez ciebie. A przecież ocaliłem cię przed kompromitacją jako artystę. Podczas bankietu dla zagranicznych twórców zerwałem twoje bohomazy ze ścian, aby nie mówiono o tobie jako o miernocie!

Cisza słuchała pilnie, choć wiedziałem, że jest w niej Jasio Kuczman; zasłuchany i nieruchomy jak odlany z brązu.

— Jestem autorem jedynej poważnej książki — szeptałem. — Wyniosła mnie na Parnas, rozpętując z nędz przemyśliwania nad beznadziejnością tworzenia. Później oswajano gniewnego. Byłeś między nimi, Kuczman. Byłeś!!!

Echo siadło mi na nosie i powtarzało: „ . . . yłeś“, „ . . . yłeś“ nie mogłem się podrapać, dłonie obcierały się o pasy.

— Kuczman! — ryknęły usta. — Przyjacielu, ratuj w biedzie! Jesteś ilustratorem zapewniającym wzięcie moim książeczkom! Gdzie jesteś . . .

— Żono — przypomniałem sobie — czyżbyś uprawiała miłość lesbijską z własną siostrą?!

Mój głos zmienił się w syk:

— A czemuż to siedzicie do białego rana przy mojej maszynie do pisania? Udając, że przepisujecie moje bajeczki. Dlaczego, kiedy wracam nad spłowiałym ranem, lękliwe wzroki dwojga pierzchających oczu mej szwagierki rozbiegają się jeszcze bardziej? Co raz to użądlając różne przedmioty, byleby nie urazić majestatu mej grozy. Grozy zgasłej gwiazdy literatury, która zamachuje się na szwagierkę i . . .

— Zdrada! Wokół zdrada! — krzyczę w pasach.

Cisza odchodzi, stając się wypiennie nieczułą. Zrobiło mi się boleśnie żal mojej dobrej żony i Jasia Kuczmana. Ciało cyklinowały dreszcze, żołądek przypominał wulkan wypełniony torsjami.

Jednooczność drzwi spojrzała na mnie ludzko i ozwała się z człecza:

— No, jak tam, szaleństwo minęło?

Odpowiedziałem urywkiem pieśni, a drzwi zareagowały zacichającymi krokami. Zapach konwalii stał się tak intensywny, że wniknął w ciało i nagle skądś rozbrzmiałe „Kyrie d-moll" Mozarta na chór i orkiestrę wabiło wzrok ku sufitowi.

Runął na mnie sen; krótki, bolesny. Zbudził — widok milicjanta, skąpo oświetlonego ranną jasnością wnikającą przez osiatkowany świetlik. Pielęgniarz jął mnie uwalniać z pasów. Zbliżała się godzina wyjścia. Przypuszczałem, że w dyżurce czekają żona z Jasiem Kuczmanem. Zawsze tak było.

Nie zamierzałem powstawać.

— No, niechże pan wstaje — rzekł funkcjonariusz.

Przygważdżałem się do ciepła rozgrzanej męką pryczy. Obaj czekali; było mi dobrze.

Po długiej chwili milicjant znów się ozwał:

— Czeka na pana żona i przyjaciel domu.

Ścichło „Kyrie" Mozarta; sufit intrygował pospolitym plafonem spękań. W otwartych drzwiach wietrzał zapach konwalii i zegar serca tykał miarowo, usypując czasu z żył. Byłem wolny, a mogłem nie wstawać.

— Pan ma talent do zrażania ludzi — rzekł funkcjonariusz z irytacją.

„Talent" wibrowało w powietrzu, „Talent" — skłaniając do działania. Tarzając się na bok usiadłem i jąłem powstawać z wolna, jak Golem ożywiony tchnieniem alchemisty.

Usta cichutko szemrały pieśnią.

„Talent" wibrowało, „talent".

Znów czułem się wielki.

WŁADYSŁAW SIKORA

LAS

(fragment poematu)

* * *

Widzisz jak miłość trudno się rodzi
aż nie odnajdziesz jej przed nazwaniem
aż nie uwierzysz że stała obok
i cały czas nam grzała ręce
głodne nadziei której po drodze

* * *

Ptaki świtanie utwierdzają w wierze
Nowe się staje zewsząd pęd zielony
od dawien dawna od niepamięci
ku pochwale dążenia i wierszom

* * *

Wróble najdłużej spowiadają ranek
szara dziedzina nie przetarła oczu
od razu schodzi na przystanek z bańką

Wróble jak gzy się uczą przystawania
ciasno furkoczą przez słowa hutnicze
lipca spokojnie witanego z drwiną

Wróble języki skrzypią na zawiasach
a będzie dzień nasz i chleb powszedni
do jutra jeszcze grosz wesołej biedy

A zatem w drogę pod twoją obronę
lesie osobny z latami w plecaku
wróble nie skończą rozumieją stado

* * *

Na Starym Groniu grzybowa cisza
sosnowe nadzieje sosnowe wióry
Wiatr nakrył kocioł liczy liście
w górę ku Liściu i Gródkowej

Cóż nam wietrze dziś wyszumisz
wietrze znikąd z lat minionych

Na Starym Groniu traktor gdera chwile
i las spowiada w górę Kozubowej
Lesie lesie ku uciesze
lesie trosko drogo ku dolinom

* * *

Z Kałużnego dmie spiekota malinowa
kołacz chłodny z Babiej Góry borówkowy
zjadły chłody ani grzyba nie uświadczysz
będzie roczek jednostajnie malinowy
Albo czekać na czerniówek dawne dzieje
na jeżyny plackiem — ożyny płożące
ostrężyny w kolcach pasionkowe bractwo
pod tarniną — torką Przez mróz sparzona
daje przednie wino na lasu spoczynek

* * *

Dzień się chyli ku Zotoce
siano w dłonie parzy
pozatykać od podłogi
od pułapu noc na klucz
W samym środku ziarno ciche
przed następną gołoledzią

„Szumi las — ma czas" — niedługi
żegnaj wieku słów na przełaj
i odciętych od korzeni coraz bliżej pestki
gołej nagłej z której dalsze tysiąclecie

Bukowe szczęście mały zawias
ruch się stojąc decyduje
po co miazga wykrot w ciżbie
Buk pochwala wiatr w podołek
i bajdurzy starojeden

* * *

Las na przemian postępuje
wparty w stok wygląda nieba
i odchodzi pod ciężarem
dni wysmukłych od świtania
w nagi piach aż po kotycze

FRANCISZEK BAŁON

Z cyklu „Las, las, las"

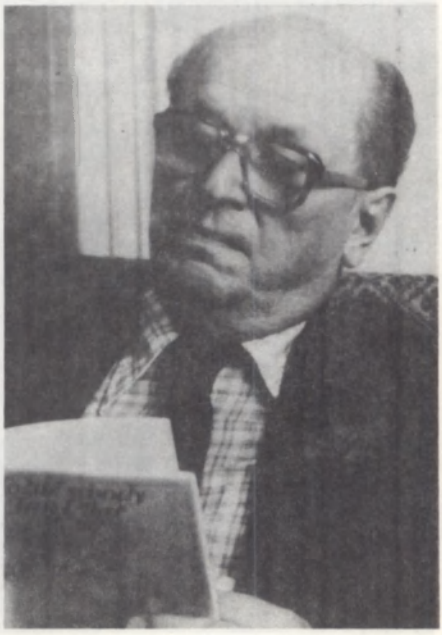




TŁUMACZE LITERATURY POLSKIEJ

JAN PILAŘ

W marcu br. mija 40. rocznica podpisania umowy o współpracy pomiędzy Czechosłowacją i Polską. Umowa ta stworzyła podstawy do wzajemnego poznania i przenikania się kultur obu państw. Olbrzymią rolę w popularyzacji literatury polskiej w Czechosłowacji odegrali tłumacze czescy i słowaccy, z których dwunastu najwybitniejszych i najbardziej zasłużonych poznamy w niniejszym cyklu, przygotowanym przez Wilhelma Przeczka.



JAN PILAŘ urodził się 9 września 1917 roku w południowoczeskiej miejscowości Stříbřec. Gimnazjum realne ukończył w Klatowach, studia wyższe odbył na Uniwersytecie Karola w Pradze uzyskując doktorat filozofii w roku 1946.

W czasie wojny był więźniem obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen. Pracował jako dziennikarz, redaktor wydawnictwa, sekretarz Związku Pisarzy Czeskich.

Wydał dwadzieścia własnych tomików poezji. Debiutem poetyckim był zbiorek „Sad jabłoni" (Jabloňový sad), który pokazał się w roku 1939. Od tej chwili było wiadome, że do poezji czeskiej wchodzi poeta oryginalny, poszukujący i znajdujący w poezji nowe źródła. Po książce debiutanckiej pojawiają się kolejno: „Tęsknota Orfeusza" (1940, 1944), „Listy miłosne" (1941), „Dom bez okien" (1942), „Fale" (1943), „Przygoda miłosna" (1944), „Wiadro" (1946), „Śnieg" (1948), „Radość na ziemi" (1950), „Gwiazda życia" (1953), „Takiego drzewa się nie grzebie" (1957), „Otworzyła się przede mną róża" (1961, 1967), „Świat — siwy gołąbek"

(1961) (wybór), „Przez krajobraz pędzi koń" (1967), „Żółty liść" (1972), „Dzikie krzaki" (1975), (wybór), „Kręgi na wodzie" (1975), „Ziemia, łąka zielona" (1978), „Spojrzenie w oczy" (1980), „Kręte schody" (1983), „Róże dla J. Nerudy" (1984) (wybór). Ostatnim, jak do tej pory, jest tom poezji „Postój w krajobrazie" (1985).

Poza polską poezją tłumaczył również wiersze Pabla Nerudy. Z poezji radzieckiej m. in. Rasula Gazmatowa, Stepana Szczipaczowa, W. Sokołowa.

Znaczące miejsce w twórczości J. Pilaře ma również poezja przeznaczona dla dzieci: „Kopciuszek", „Wóz słoneczny", „Pieśni Wełtawy", „Szczurołap" (Krysař) i in.

J. Pilař był również wykładowcą literatury czeskiej i polskiej na Fakultecie Filozoficznym Uniwersytetu Karola. Doktorska praca habilitacyjna dotyczy dziedziny literatur porównawczych. Tłumaczy również z języka słowackiego (Pavol Horov), bułgarskiego (Christo Botew, Nikoła Jankov), niemieckiego („Tak śpiewaliśmy", pieśni z obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen).

W Polsce pokazały się do tej pory dwa wybory poezji J. Pilaře: „Takiego drzewa się nie grzebie" (tłumaczył A. Włodek, Śląsk, 1962) oraz „Szyderstwo i inne wiersze" (wybór M. Grześczak, PIW, 1975). Ważniejsze tłumaczenia z języka polskiego: Władysław Broniewski „Nadzieja", „Pieśń niepokorna" (Nepokořená píseň), „Komuna Paryska", „Pierwszy motylek". Jan Brzechwa „Tańcowała igła z nitką", „Entliczek Pentliczek", „Kaczka Dziwaczka", Ptasie plotki". Konstanty Gałczyński „Dzikie wino", „Noc cudów", „Palcem obracasz planety", „Zaczarowana dorożka", „Zielona gęś", „Siódme niebo". Stanisław Grochowiak „Zaproszenie do miłości". Jerzy Harasymowicz „Suma zieleni" i „Miłość przeleciała nad domem", Jarosław Iwaszkiewicz „Spławianie koni", „Garść wierzbowych liści". Jan Kochanowski „Renesansowa lutnia" (razem z Erichem Sojką), „Treny" (Žalozpěvy). Bolesław Leśmian „Zielona godzina". Tadeusz Nowak „Bielsze niż śnieg". Ewa Szelburg-Zarembina „Po nitce do kłębka". Julian Tuwim „Lokomotywa", „Słowem do krwi", „Sokrates tańczący", „Cuda i dziwy". Adam Ważyk „Labirynt". Cyprian Kamil Norwid „Czarne kwiaty", „Fortepian Chopina". Tłumaczył również wiele antologii poezji polskiej, do których pisał wstępy i noty biograficzne. M. in.: NIOBE, POCHODNIE (1947), ŁABĄDŹ I LIRA (wybór wierszy Leopolda Staffa) i in.

J. Pilař otrzymał za swoją kolosalną pracę pisarską i działalność społeczną wiele wyróżnień, nagród i odznaczeń: 1962 — odznaczenie państwowe „Za vynikající práci", 1973 — medal z okazji Zwycięskiego Lutego. Jest nosicielem szeregu polskich odznaczeń: 1948 — Złoty Krzyż Zasługi, 1957 — krzyż oficerski POLONIA RESTITUTA, 1965 — wielka nagroda ZAIKSU, 1967 — Odznaka Tysiąclecia, 1974 — odznaczenie „Zasłużony dla kultury polskiej", 1982 — odznaczenie państwowe Budowniczy Polski Ludowej. W roku 1979 — medal pamiątkowy Światowej Rady Pokoju. Za twórczość poetycką otrzymał Nagrodę Państwową CSR (1984), Nagrodę Państwową Klementa Gottwalda (1986). W roku 1967 otrzymał tytuł „Zasłużony Artysta", a w roku 1985 został zaszczycony najwyższym odznaczeniem kulturalnym w CSRS „Artysta Narodowy".

Polski poeta i pisarz Jan Huszcza stwierdził: *Jan Pilař jest głównym „ambasadorem" polskiej poezji wśród czeskich czytelników*, a Julian Tuwim napisał w liście do J. Pilaře: *Z prawdziwym wzruszeniem sprawdzałem w każdym wersie, z jaką miłością i przenikliwością poetycką tłumaczy Pan moje wiersze. Dziękuję najgoręcej za tyle czasu i wysiłku poświęconego mojej poezji. I za tyle miłości im poświęconej.*

Słowa Juliana Tuwima można odnieść do całej literatury, a zwłaszcza do poezji polskiej, którą Artysta Narodowy Jan Pilař przyswoił czeskiemu czytelnikowi.

W. P.: Jak rozpoczęła się Pańska praca tłumacza poezji polskiej? Od kogo pan rozpoczął?

JAN PILAŘ: Rozpocząłem zaraz po wojnie, od poetów, którzy pokazali się w antologii POCHODNIE. Jest to wybór polskiej poezji z lat 1938—1945 Kazimierza Wyki. Obejmuje 26 poetów począwszy od L. Staffa, J. Czechowicza, W. Słobodnika, M. Rymkiewicza, J. B. Ożoga przez J. Tuwima, M. Pawlikowską-Jasnorzewską, M. Jastruna, J. Przybosia, T. Hołuja, W. Broniewskiego, A. Ważyka, K. Wierzyńskiego aż do młodych — Baczyńskiego, Bratnego, Róże-

wicza, Gajcego i Włodka. Jak na początek był to wachlarz bardzo szeroki. Do wielu tych poetów wróciłem potem tłumacząc ich samodzielne książki.

– Gdzie się Pan uczył języka polskiego?

– Nie studiowałem specjalnie języka polskiego. Podczas obrony doktoratu miałem temat – literatury słowiańskie, a w ramach tego tematu studiowałem literaturę polską. W początkowym okresie pomagał mi filolog A. St. Mágr. Potem uczyłem się języka polskiego samodzielnie.

– Czy w trakcie wyboru autora do pracy tłumacza decyduje u Pana temat, osobista sympatia, czy też przypadek?

– Zawsze i wyłącznie decyduje osobisty kontakt. Najlepiej mi się pracowało nad tłumaczeniami tych poetów, których znałem osobiście. Tak było w przypadku Tuwima, Gałczyńskiego, Broniewskiego, Brzechwy, Ważyka, Harasymowicza, Grochowiaka, J. Iwaszkiewicza, T. Nowaka, Lipskiej i innych.

Dopiero znacznie później zaczęła się zarysowywać moja genealogia poezji polskiej – uzupełniana czasem klasykami, jak J. Kochanowski, C. K. Norwid, J. Słowacki, albo poetami dwudziestolecia czy też autorami powojennymi. Właściwie to nigdy nie otrzymałem od wydawnictwa propozycji jakiegoś przekładu. Zawsze inicjatywa wychodziła bezpośrednio z mojej strony.

– Właściwie to Pan już odpowiedział na pytanie, które miałem przygotowane. Niemniej chciałbym jeszcze raz je postawić, żeby uwypuklić sprawę. A więc: czy utrzymuje Pan osobisty kontakt z autorem, którego Pan tłumaczy?

– Z tego co powiedziałem wynika, że tak. Walorem takich kontaktów jest między innymi i to, że powstaje w ten sposób dosyć bogata korespondencja. Niestety, młodsze pokolenie nie lubi już pisać listów. A szkoda . . .

– Z którymi wydawnictwami czechosłowackimi najchętniej Pan współpracuje?

– Na początku był to „Československý spisovatel", a teraz są to wydawnictwa „Odeon", „Mladá fronta", „Práce" oraz wydawnictwo „Albatros".

– Nad czym pracuje Pan w tej chwili?

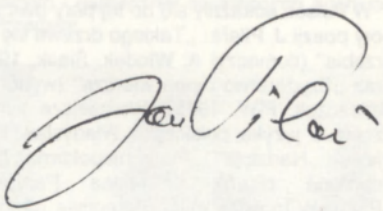
– Pracuję właśnie nad ostatnią redakcją liryki Juliusza Słowackiego. Tytuł: „Ja, Orfeusz". Przygotowałem już trzeci czeski wybór poezji Jerzego Harasymowicza dla „Mladé fronty". Skończyłem właśnie pracę nad obszerną antologią młodej poezji polskiej, która będzie obejmowała szesnaście nazwisk autorów, którzy mają teraz około 35 lat.

– Pana osobiste wyznanie . . .

– Wydałem już czterdzieści poetyckich przekładów z języka polskiego. Zajęło mi to więcej niż połowę mojego życia. Cieszę się, że można było spopularyzować niektórych poetów polskich, którzy znaleźli się w świadomości literackiej czeskich czytelników. Właśnie to jest dla mnie najpiękniejszą i najlepszą nagrodą . . .

– Drogi Mistrzu, najserdeczniej dziękuję Panu za udzieleniu mi wywiadu. Czy mogę prosić Pana o autograf?

– Proszę bardzo . . .



Post scriptum

Utwory Jana Pilaŕa tłumaczono ponadto na kilka innych języków. Poza wzmiankowanymi już wydaniami polskimi („Takiego drzewa się nie grzebie" oraz „Szyderstwo i inne wiersze") wyszły następujące publikacje: ASCHENBRÖDEL (Artia, 1960), OTLITANE NA PTICITE (Sofia, 1979), ZELENÝ ORCHESTR (Bratislava, 1981), IZ SOWREMENNOJ CZECHOSLOWACKOJ POEZJI (Pragopres, 1981), oraz IZBRANNOJE (Moskwa, 1983), LIRYKA (1985).

WILHELM PRZECZEK

ZIELONE NURTY

W zeszłym roku publikowaliśmy w tym miejscu prozatorskie próbki adeptów twórczości literackiej. W nowym roczniku, mając między innymi na uwadze zbliżający się jubileusz Sekcji Literacko-Artystycznej, dajemy szansę również tym młodym ludziom, którzy próbują swoich sił w poezji, a może nawet w pisaniu tekstów do muzyki? Kryteria są proste — każdy, kto nie zalicza siebie do grona renomowanych literatów, może nadsyłać swoje teksty — krótkie opowiadania oczywiście pomimo poszerzenia rubryki o poezję będą również mile widziane. „Zielone nurty" powinny jednak z czasem stać się nie tylko trybuną młodych twórców, ale i miejscem, w którym ich prace spotkać się mogą z fachową oceną. Zapraszamy więc do współpracy również studentów, młodzież, która interesuje się literaturą pod względem teoretycznym — spróbujcie swoich sił w roli krytyka! Spośród nadesłanych wcześniej utworów proponujemy na początek wiersze D. Lotter, Z. Sikory i R. Strzyż.

DANUTA LOTTER

Nagroda specjalna

Werdykt jury
przykleili mi do duszy
i w ogóle
orzekli
że mnie nie stać
Więc zaczęłam garściami
zbierać
moje głupie wiersze
Przeciekały
przez szczeliny rozbitej
ambicji
Trochę bolało gdy
wychodziła ze mnie
muza
A potem się śmiałam bo
odkryłam że poezja
to rodzaj schizofrenii
Pośmiertnie przyznali mi
nagrodę specjalną za
szubieniczny humor

ZBIGNIEW SIKORA

* * *

Wiatrem malowany dom
korzenie rwące
kamienistą ziemię
Blues o pracy
i szczęściu
utonął
A ty stoisz
chociaż serce
mówi
idź

ROMANA STRZYŻ

* * *

Jak szafa bez ubrań
jesteś
tylko swym ciałem
widoczny wśród pustki
Ręka twa
wyciągnięta w ofercie
wciąż pali me palce
zsiniałe
i czeka że obwinie
mnie sznurkiem
niewidzialna
gdy wreszcie nadepnę ci
na nogę
Wybacz
nie czuję bólu
dotyku twych dłoni
palących
Jesteś tylko ogniem
świecącym wśród
pustki
a ja w życia nieładzie
śnię

coraz bardziej



fot. ZDEŇKA TILLOVÁ

OKIEM RECENZENTA

KOLOROWY LAS FRANCISZKA BAŁONA

Franciszek Bałon: Las, las, las (wystawa fotografii), Mini-galeria SLA ZG PZKO w Czeskim Cieszynie, 7 — 21. 11. 1986.

Kolorowa fotografia jest u nas, jak dotąd, zjawiskiem niezbyt częstym. Młodsza od czarno-białej, technicznie bardziej wymagająca i, co też nie bez znaczenia, droższa, nie jest fotografia barwna tylko kolejnym etapem rozwoju fotografii, ale stanowi jakość samą dla siebie — nowy gatunek sztuki. I znowu trudno się oprzeć porównaniom ze sztuką „tradycyjną". Chciałoby się widzieć w fotografii czarno-białej i barwnej analogię do grafiki (tej najbardziej „graficznej", czarno-białej) i malarstwa. Analogia, owszem, istnieje, ale szczególna — oparta na zasadzie odbicia lustrzanego. Zanim powstawać zaczęły czarno-białe arcydzieła grafiki, malarstwo zdążyło wspaniale się rozwinąć — od radosnej, krzykliwej barwności średniowiecza po coraz bardziej wyważony, zharmonizowany koloryt renesansu i baroku. Drzeworyty miedzioryty operujące kontrastem czerni i bieli, różnym natężeniem kreski, nadspodziewanie licznymi odcieniami szarości — były może wyrazem pewnego znużenia plebejską jaskrawością malarstwa — oznaką sublimacji, wyrafinowania smaku artystycznego. Z fotografią sprawa ma się dokładnie odwrotnie. Zaczęło się od braku koloru — od ascetycznej, acz eleganckiej czerni i bieli, aby po wynalezieniu techniki barwnej doszło do zachłyśnięcia się jej nieograniczonymi możliwościami. Ale zbytnia łatwość techniczna zawsze bywa zdradliwa. I w tej dziedzinie okazała się pułapką dla wielu. Niedoskonałość dostępnych u nas materiałów do fotografii kolorowej sprawiła, że za sukces artystyczny uważano już osiągnięcie jakiej takiej jakości odbitek, przyzwoitych kolorów, z grubsza odpowiadających realnym. Ten okres pierwszej fascynacji stroną czysto techniczną mamy już chyba na szczęście za sobą. Pora na dojrzałe owoce tej młodej dziedziny sztuki.

Franciszek Bałon, fotografik z niemałym stażem, o sporym doświadczeniu także w dziedzinie fotografii barwnej dał nam niedawno możność podziwiania swoich prac w salce posiedzeń ZG PZKO.

Podziw i szacunek budzi doskonałość techniczna fotogramów Bałona — znakomite opanowanie formy i koloru. Cała wystawa jest niezwykle efektowna; oglądanie wykonanych z dużą kulturą plastycznych zdjęć to prawdziwa przyjemność dla oka. Dla oka . . . , a przecież od sztuki oczekujemy nie tylko wrażeń czysto estetycznych. Czegoś w tych fotogramach brakuje. Są takie, jakby autor zatrzymał się wpół drogi do wyrażenia tego, co niewyrażalne; jakby bał się wyciągnąć os-

tateczne konsekwencje ze swego stosunku do pejzażu, z obrazu, który stwarza przede wszystkim światło, a dopiero potem kolor. A w końcu nie kto inny, jak Franciszek Bałon, z jego znakomitym warsztatem mógłby, ba! powinien pozwolić sobie na tę odrobinę szaleństwa, jaka jest w każdej twórczości niezbędna; jaka powoduje, że dobre rzemiosło staje się sztuką. Tymczasem Bałon do pejzażu, samego w sobie pełnego treści, wprowadza obce elementy: lalka wśród zeschłych liści, obrazki, puste ramki zawieszone na drzewie. Jakby nie ufał widzowi, podsuwa mu do oglądania pejzaż udekorowany sztucznymi dopowiedzeniami, zbyt natarczywymi, a przez to osłabiającymi ekspresję całości. Lepsze są owe fragmenty lasu z widocznym spomiędzy drzew światłem, formalnie może mniej oryginalne, ale za to bardziej poetyckie. Wszystkie zdjęcia zresztą przedstawiają wysoką wartość estetyczną, jest to dobra fotografia dekoracyjna, co jednak w przypadku fotografika o ustalonej renomie i niemałych ambicjach nie wystarcza. Wydaje się, że ta wystawa to jakiś etap pośredni, przystanek na drodze poszukiwań twórczych artysty.

Uwierzmy, że w końcu autor zaufa i sile wyrazu fotografowanego krajobrazu, i wrażliwości odbiorcy, któremu nie będzie trzeba przekładać błyskawic poezji na rozgadane neony prozy.

A.M.R.

TEATR JUBILEUSZOWY

J. Szaniawski: Dwa teatry. Reżyseria: A. Zlębiński. Scenografia: A. Rachel-Koenig. Muzyka: L. Wronka. Asystent reżysera: R. Moliński. Premiera: 22. 11. 1986.

„Dwa teatry" napisał Szaniawski w roku 1946, a ich krakowska prapremiera wywołała burzę. Chodziło o główny problem utworu, o wyznaczenie zakresu treści i form dramatu, przedstawienia teatralnego, teatru w ogóle, jego uprawnień i jego zadań. Szaniawski w swoim utworze wskazuje złudność wszelkich ograniczeń, niemożność oddzielenia snu od jawy, marzeń od rzeczywistości, więc także oderwania teatru od pełnego życia. Robi to charakterystycznym swoim stylem, upoetyzowanym, nastrojowym, z nutką ironii i humoru, w sposób subtelny, nie nachalny.

Takie właśnie spokojne, płynne przedstawienie przygotował w Scenie Polskiej Andrzej Ziębiński, dyrektor Teatru Popularnego z Warszawy. Zbiegło się ono nie tylko z jubileuszem 35-lecia naszego zespołu, lecz także z setną rocznicą urodzin Szaniawskiego (1886—1970) i była to piąta pozycja tego dramaturga na tej scenie.

Nie miejsce tu, mimo wszystko, na szczegółową analizę tego utworu i przedstawienie rozlicznych jego w Polsce interpretacji. Odnotować jednak należy kilka istotnych dla tejże interpretacji rozwiązań, które wprowadził reżyser. Otóż: w roli Pani w jednoaktówce „Matka" wystąpiła Lizelotta, czego zwykle się nie praktykuje, a raczej podkreśla się w opracowaniach, że nie gra ona w żadnej z prezentowanych dwu sztuk. Posunięcie to wydaje się jednak uzasadnione, biorąc pod uwagę wypowiedź Laury, że „Panna Lizelotta gra teraz we wszystkich sztukach".

W Antrakcie, koniecznym do przebudówki sceny między „Matką" a „Powodzią" przed publicznością koncertował Skrzypek — to też wynika z toczącego się wcześniej dialogu między Lizelottą a Dyrektorem. Natomiast Dyrektor Teatru nie był obecny na „próbach" obu jednoaktówek, mimo że swoją obecność zapowiada, zaś w finale, w „Teatrze Snów" zasnął (jego śmierć stwierdził aktor-lekarz w peruce z epoki Moliera) i zbudził się po przybyciu swych współpracowników z „Małego Zwierciadła".

Dziś, po 40 latach od prapremiery, chyba już nie pora kruszyć kopie o te szczegóły. Zanadto zmieniło się myślenie o teatrze, znacznie bogatsze są doświadczenia zespołów. Trzeba jednak, przyjmując ten spektakl jako fakt artystyczny, przywołać kilka scen wielkiego uroku i kilka ważnych ról.

Należy do nich przede wszystkim Dyrektor Teatru w interpretacji Kazimierza Siedlaczka. Zrównoważony, poważny, reprezentacyjny, rozdysponował swoje walory równomiernie, stosując dużą skalę intonacji i gestu. Dużą, lecz nie przesadną, bez zbędnej deklaratywności, utrzymaną w pewnych rygorach, w dobrym tempie, o szczerym zabarwieniu w momentach lirycznych (bardzo ładne kwestie w dialogu z Lizelottą pod koniec pierwszego aktu). Rola przygotowana z dużą dbałością o słowo, dość statyczna, każe do końca widzieć w Dyrektorze „Małego Zwierciadła" fundament myślenia realistycznego. Nawet „Teatr Snów" nie wyzwoli w nim żadnej głębszej tęsknoty, nie poruszy marzeń.



Kazimierz Siedlaczek (Dyrektor Teatru) i Roch Wajser (Chłopiec) w „Dwóch teatrach" . Szaniawskiego

Wanda Spinka w roli Laury posłużyła się ponownie kresowym akcentem, który zawsze może nadać jednolity styl bohaterce, zawsze jednak jest zaskoczeniem. Zagrała lekko, swobodnie, z wdziękiem, dotrzymując obranej przez siebie formy.

W konwencji realistycznej rozegrała obie swoje role Renata Drössler (Lizelotta, Pani). I mimo, że w obu tych postaciach tkwią także inne pierwiastki, była to interpretacja poprawna i pełna w wyrazie scenicznym.

Do najlepszych swych ról może zaliczyć tytułową Matkę Emilia Bobek. Oszczędna, jednoznaczna interpretacja tej postaci, doskonała intonacja dialogów, niezbędne minimum gestu i ruchu dodały jej trafny rys szorstkości, zdecydowania. Bardzo wiarygodny w konfrontacji z Panią.

Z kolei do najbardziej dramatycznych scen spektaklu należy scena Leśniczego z Żoną. W interpretacji Heleny Tuliszewskiej i Andrzeja Baczewskiego rozegrana subtelnie, lecz z pełnym podtekstem emocjonalnym, doskonale wypunktowana w działaniu i w czasie.

Interesująco toczy się ostatni akt przedstawienia w świetnej scenografii Anny Rachel-Koenig, zaś scena „krucjaty dziecięcej", ze snopem światła wyłaniającym z mroku pięcioosobowy oddział dzieci żołnierzyków w papierowych biało-czerwonych hełmach i zawieszone wysoko polskie sztandary, to wspaniały, przejmujący żywy obraz.

W spektaklu bierze udział cały zespół Sceny Polskiej — tu szczupłość miejsca nie pozwoli na dokładny opis poszczególnych ról. Obejrzeliśmy jeszcze: Kazimierza Czaplę (Woźny), Rocha Wajsera (Chłopiec), Rudolfa Molińskiego (Autor), Karola Suszkę (Montek) i Zbigniewa Zwaka (Dyrektor Drugi), wszystkich w pełnych wyrazu scenach z Dyrektorem oraz Halinę Pasekową (Anna), Krzysztofa Presza (Andrzej), Witolda Rybickiego (Ojciec) i Piotra Augustyniaka (Kapitan) w jednoaktówce „Powódź".

Spektaklem „Dwóch teatrów" Scena Pol-

fot. WŁADYSŁAW WOJNAR



Zespół artystyczny Sceny Polskiej po premierze „Dwóch teatrów" zamykającej jubileuszowy rok 35-lecia

ska zamknęła 35 lat swej działalności, była to 253. premiera w tym zespole. Najlepszym komentarzem tych faktów stała się uroczystość w dniu 22 listopada, która zgromadziła liczne rzesze oficjalnych gości i stałych sympatyków naszego teatru, teatru, który stworzyło społeczeństwo, gdyż jest mu potrzebny.

ALEKSANDRA HUMEL

SCENA POLSKA TEATRU CIESZYŃSKIEGO — SEKCJA ds. WSPÓŁPRACY ZE SCENĄ POLSKĄ ZG PZKO — REDAKCJA MIESIĘCZNIKA „ZWROT"

ogłaszają

konkurs dla uczniów szkół średnich na recenzję teatralną z przedstawienia Sceny Polskiej „DWA TEATRY" JERZEGO SZANIAWSKIEGO.

Recenzję o dowolnej objętości prosimy przesłać w terminie do 28 lutego 1987 na adres redakcji „Zwrotu" ul. Bożka 16, 737 01 Czeski Cieszyn.

Ogłoszenie wyników nastąpi w ramach obchodów Międzynarodowego Dnia Teatru, zwycięska recenzja opublikowana zostanie w „Zwrocie", a autorzy kilku najlepszych prac zaproszeni zostaną do zwiedzenia Teatru Cieszyńskiego i do udziału w jednej z prób kolejnego przedstawienia SP.

fot. WŁADYSŁAW WOJNAR

PIEŚNI GÓRALSKIE

Słowo od autora poprzedza nowy cykl pieśni ludowych z regionu Jabłonkowa, prezentowany w tym roku od stycznia do grudnia. Zapraszamy do wspólnego śpiewania tych autentycznych i zapomnianych niekiedy pieśni naszego ludu, których zapis nutowy i tekst znajdziecie zawsze na 3. stronicy okładki „Zwrotu".

Przedstawiono mi kiedyś propozycję wyboru kilku piosenek z regionu jabłonkowskiego „. . . takich, które społeczeństwo nasze może sobie śpiewać z akompaniamentem . . ."

Myślałem o tym i w końcu doszedłem do wniosku, że warto spróbować, ale w zupełnie inny sposób. Otóż jestem zdania, że trzeba znać również takie pieśni, które można śpiewać właśnie bez akompaniamentu, ot tak po prostu, z serca. Mówimy, że nasz teren jest bogaty kulturowo, lubimy używać zwrotów „nasze pieśniczki", jednak w głowach mamy już taki chaos, że właściwie nie wiemy, które to są te „nasze".

Ludzie u nas lubią śpiewać, jednak kiedy zapytać ich o naszą „nutę", to ich rozeznanie sprowadza się zazwyczaj do „Pognała wołki po bukowinie", „Płyniesz Olzo", „Górału . . . " czy „Głębokiej studzienki". Jaka pieśń jest ludową, jak powinno się ją śpiewać, z jakiego regionu czy podregionu pochodzi — o tym już lepiej nie mówić. Uważam, że pieśń z np. Mostów koło Jabłonkowa należy śpiewać taką gwarą, jaką się mówi w Mostach, a pieśń z Sibicy gwarą cieszyńską. Nie spotkałem się z tym, nawet u nas, żeby ktoś słowacką piosenkę śpiewał po czesku lub na odwrót. Przecież my sami śpiewamy lub przynajmniej staramy się śpiewać poprawnie po słowacku, czesku, gwarą południowych Moraw, staramy się zaśpiewać poprawnie „Nie lyj dyscu, nie lyj . . . ", czy też „Ej, bystro woda, bystro wodzicka . . . ", a naszą gwarę, którą przecież znamy dobrze, w pieśniach, a właściwie w opracowaniach pieśni kaleczymy niemiłosiernie i tak zapisujemy, by generacje przychodzące po nas nie znalazły nic z charakteru gwary poszczególnych podregionów. Bo jak można przeczytać zapis „Przez wodę koniczki . . . ", skoro można to odczytać jako „wode", „wodę", „wodym" i „koniczki" lub „kóniczki" a może „kónićki"? Ktoś powie „przeca wiymy, jak to czitać . . . " Tak, wiemy, ale nasze dzieci już nie wiedzą, co coraz widoczniej przejawia się podczas recytacji poezji naszych poetów ludowych.

Idealnie by było (mam nadzieję, że to nie utopia), gdybyśmy śpiewając „naszą pieśniczkę" wiedzieli, że ta jest z Mostów, ta z Nawsia, a inna „uż ni ma górolsko, bo ta je z Kocobyndza . . . " Brzmi to może jako wymądrzanie, ale skoro nikt nie myli sobie na

Słowacji Čiernego Balogu z Očową, czy Liptowskich Sliačov z Suchą Horą, to dlaczego my byśmy nie mogli rozróżniać przynajmniej gwary i nut góralskich z jabłonkowskiego od nut i mowy regionu od Cieszyna w dół.

Nie chciałbym jednak zniechęcać ludzi do śpiewu. W zasadzie jest to apel do naszych zespołów folklorystycznych. Te w głównej mierze powinny wykonywać pieśni poprawnie, a my powinniśmy słuchać i uczyć się od nich. Również nasze chóry, jako główny popularyzator pieśni, powinne trochę pomyśleć o języku wykonywanych przez siebie opracowań i przynajmniej w pieśniach najbardziej charakterystycznych (Idzie łowczorz gróniym, Łowczorzu, łowczorzu . . . , Ej, wiesiołe gróniczki . . . , Hej, koło Cieszyna . . . , Kole Olzy olszyna . . .) popracować nad poprawną wymową bez przekręcania na literacki język polski.

Wracając jednak do sedna sprawy, pragnę zaprezentować wam 12 pieśni zapisanych w Mostach koło Jabłonkowa, Szańcach, Bukowcu i Łomnej. Wybrałem pieśni smętne, tęskne, takie na szarą godzinkę. Zauważyłem swego czasu, kiedy wracaliśmy z „Górolami" z występu, a mrok w autobusie i zmęczenie wytworzyło specyficzną atmosferę, że właśnie w takiej chwili ludzie zaczęli sobie nucić te tęskne pieśni. Śpiewają o „słożebnym chlebie . . . ", chociaż dziś nikt słożebnego chleba nie je. Atmosfera i nastrój jednak w pieśni pozostały. Następną sprawą jest tekst. Dla przynajmniej częściowego oddania charakteru gwary będę celowo używał zapisu trochę innego, niż używano dotychczas. Chciałem w miarę wiernie oddać charakterystyczne „zmiękczenia i stwardzenia" naszej gwary góralskiej, jednak w tym wypadku musiałbym po każdej pieśni drukować słowniczek z tłumaczeniem znaczenia poszczególnych słów i zwrotów.

Jako pierwszą z serii publikowanych piosenek wybrałem nutę „Už sie mi ławeczka . . . ". Jest to jedna z bardziej znanych pieśni. Znam osobiście trzy warianty muzyczne, w zasadzie jednak tylko nieznacznie różniące się od siebie. Bardziej interesujące są teksty, a ponieważ te znane mi są bardzo piękne, przeto podaję wszystkie. (Dwa dołączam do tego tekstu, a jeden razem z nutami na okładkę Zwrotu. Zarazem podaję, gdzie dany tekst był zapisany.)

Górna Łomna

1.
Už sie mi ławeczka na poły złómała,
Co jo ze swym miłym na nij siodowała.
2.
O, moja ławeczko, zrośnij sie mi jeszcze,
A ty, mój syneczku, nawróć sie mi jeszcze.
3.
Jo sie už nie wrócim, boch je už daleko,
Musim se iść chladać dziywczyncia na lato.
4.
Na uherskij strónie tam dziywczynta majóm,
nie chodz tam, syneczku, bo cie tam zabijóm.
5.
Albo cie zabijóm, albo cie łobieszóm,
Albo cie ptaszkowie po górach rozniesóm.
6.
Po górach, po dołach, po tej zimnej rosie,
Nie chodz tam, syneczku, nawróć sie mi jeszcze.

Bukowiec

1.
Už sie mi ławeczka na poły złómała,
Co jo ze swym miłym na nij siodowała.
2.
Ty moja ławeczko, zrośnij sie mi eszcze,
A ty, mój syneczku, nawróć sie mi eszcze.
3.
Podziwej sie, dziywczyn, na tóm suchóm jedłym,
Jak sie rozzielyni, to jo se cie weznym.
4.
Biada sie zielynieć tej suchij jedliczce,
Biada sie wydować chudobnej dziyweczce.
5.
Jak tóm szutóm łowcym ty rogate żgajóm,
Chudobnóm dziyweczkym ludzie łobmawiajóm.
6.
Jak ta szuto łowca miyndzy rogatymi,
Chudobno dziyweczka miyndzy bogatymi.

Na zakończenie wyrażam nadzieję, że z prezentowanego cyklu przynajmniej jedna nuta Wam się spodoba. To już byłby sukces.

ANDRZEJ NIEDOBA

WĘDRÓWKI NAZEWNICZE

LUDOWE NAZWY MIEJSCOWE LUTYNI DOLNEJ (4)

DOLNOLUTYŃSKIE STAWY

Walną część niziny nadolziańskiej, a blisko dwie piąte całego obszaru wsi, zajmują Stawy utworzone z rozkazu księcia cieszyńskiego Kazimierza II (1477—1528). Po ich całkowitym osuszeniu około 1810 r. gospodarkę rybną zastąpiła wielkoobszarnicza hodowla owiec, a później intensywna uprawa roli. Przemiany te wpłynęły na ewolucję starego nazewnictwa tych terenów; liczne nazwy poszły w zapomnienie (ważniejsze z nich zachowane w różnych zapisach), pamiętane zmieniły mniej lub bardziej istotnie swoje znaczenie.

Pilarsko Grobla albo Pilarsko Grobel — tuż za torami przyjmuje drogę od Pilara, po czym biegnie granicą, mając po zachodniej stronie Pilarski Szlogi na Stawach, a po wschodniej Siedlacze Łyngi w sąsiednich Dziećmorowicach.

Młynka — Właściwiej *młynki* nie ma już od 1893 r., kiedy to Zostawym na Olzie *w Dómbrowe zebrała woda, powódz wielka*, a wzniesienia nowej zapory nikt się nie podjął; dawniejszą Młynkę przypominają wały i rów z płynącą w czasie wielkich deszczów albo roztopów wiosennych wodą, znikające zabudowania dawnych młynów i nazwa. Na teren Lutyni wbiegała Młynka na równinie pod Pilarem; tu obok jej skrzyżowania z Groblą znajduje się Młynarzónka, pole i walący się budynek drewniany — pozostałości po Pilarskim Młynie; w dalszym swym biegu okrążała wielkie stawy: Trojan, Bezdzięk i Nierod od północy (płynąc po zewnętrznej stronie ich grobli) i w Czerwinie wpadała razem z Lutynką do Olzy.

Szlogi przi Szopie — pola, wśród których stoi wielka stodoła, zwana Szopą od czasów, gdy były tu na osuszonym Pilarskim Stawie (nazwa zapomniana) pastwiska dla owiec.

Podymacz — pola na dawnym stawie, na wschód od Młynki oraz Szlogów przy Szopie.

Zadnik — ongiś staw, dziś Szlogi w Zadniku, w obłąku grobli: Pilarskiej *i ku Hermanowi*.

Grobel ku Hermanowi przyjmuje pod Zieleźnym Mostym drogę polną z Wierchów, po czym biegną razem ku Olzie, gdzie znajduje, względnie znajdował się Hermanów Przewóz albo Hermanowa Łódka — przewóz przez Olzę, zniesiony z powodu granicy międzypaństwowej.

Powyżka albo Kómpiel — pola przy Młynce na dawnym stawie.

Łyng, rzadko Łóng, zbiorowo Łyngi — pola między groblami i wałami a Olzą, przecięte Pruską Granicą, obecnie Polską Granicą; przeważnie własności rolników niemiecko-lutyńskich; *na Łyngach je*

ziymia łężno, lekciejszo, na Stawach są śliny.

Sztefkowice — Łęgi — dodatki trzech gruntów sielskich, skonfiskowane za pańszczyzny, później przyłączone do pól folwarcznych Bezdzięku.

Trojan — *pański szlogi za Sztreką, to był też kiesi stow. . . . do Trojana pszynicym sioć.*

Beździńsko Grobel — odgradzała wody Trojana od Bezdzięku, dziś zwanego Lutyńskim Stawem; w pobliżu przejazdu kolejowego łączy się z idącą z Wierchów drogą i prowadzi do Bezdzięku-folwarku. Jest jeszcze (w gwarze głównie Wierzniowiczan) drugo Beździńsko Grobla, po niej prowadzi do tegoż folwarku droga z Wierzniowic.

Beździynk — nazwa oznacza folwark, Dwór i Palarnię (gorzelnię) zbudowane na miejscu owczarni w płn.-wschodnim zakątku dawnego stawu; *tu na Młynce bywoł też młyn i piyła.* Powiedzenia ludowe: *Robi jak wół w Beździynku* albo o leniwym chłopcu: *Pujdzie woły poganiać do Beździynka!*

Lutyński Stow — historyczny Bezdzięk, drugi największy staw Lutyni. *W postrzodku Lutyńskiego Stawu, bliży Beździynka (folwarku) je Beździynsko Rymiza* — młody las liściasty na błotnistym terenie.

Wiyrzniowsko Grobel, w gwarze mieszkańców Wierzniowic Nierodzko Grobel — odgradzała wody Bezdzięku od Nierodu, biegnie po niej bita droga Cesta do Wiyrzniowic.

Nierod, częściej Nieród — pierwotnie nazwa olbrzymiego stawu, zalegającego aż do granicy Skrzeczonia, obecnie w szerszym znaczeniu przysiółek, w węższym folwark i znane stacje doświadczalne państwowego gospodarstwa rolnego Lutyni Dolnej (Niemieckiej); mieszkańcy: Nierodzan, *-nka, -nie // -nio.* Sowiniec — *to są chlywy w Nierodzkim Dworze kaj sie krowy cieliły.*

Nierodzki Stawy — w starych zapisach Nierad — po spuszczeniu wód i dzięki robotom kanalizacyjnym powstałe rozległe łany o ciężkiej, lecz urodzajnej ziemi, *. . . woziyli rzepiónkym z Nierodzkich Stawów.*

Rokici albo (urzędowo) Nierodzko Rymiza — zagajnik wśród pól; . . . *szlimy cestą kole Rokicio.* Nierodzko Mało Rymiza — dalej na zachód.

Wiyrzniowsko Grobel, też Czerwińsko Grobel — długa 3,1 km, stanowiła północne obwałowanie Nierodu-stawu; na jej zboczach zachowało się najwięcej sędziwych dębów i innych drzew, środkiem biegnie droga z Wierzniowic do Czerwiny; w przyśpiewce lutyńskich pasterzy: *Na wiyrzniowski grobli hujśtali sie djobli . . .*

Czerwińsko Grobla — najpotężniejsza z grobli Stawów Lutyńskich; jej czołem biegnie graniczna droga ze Skrzeczonia-Nowej Wsi do Czerwiny na brzegu Olzy.

Sodzawice, Na Sodzawicach — pole w klinie obu Grobli przy Czerwinie; tamże, tylko wysoko na grobli byli Stawiorze, dwie samotne chałupy drewniane.

Marcinów — przed stu laty owczarnia, w naszych czasach folwark, Dwór za Borkym przi Nowejwsi.

DODATEK

Nazwy terenowe, zapisane równocześnie z podanymi wyżej, a nie włączone do tekstu:

a) rzeczownikowe

Barzina, Barzoły, Ciyrni, Goje, Jaruga, Łania, Miedza, Padoł Pański, Pastwisko, Pioskownia, Przycznica, Rajczula, Szutrownia, Ugór, Urwisko, Zegóny, Zapadlisko, Chodnik, Owrotnik, Kaczok, Łaniok, Chodniczek, Cymbołek, Poszónek, Przodek, Skosek, Skoski, Krzipopka, Kympka, Ławka, Miedzka, Uliczka, Olszynka;

b) zestawione

Dłógi Góny, Drugi Góny, Graniczno Miedzka, Grónotwo Miedza, Mały Wywóz, Pańsko Miedza, Piyrsze Góny, Postrzedni Góny, Sprzycznio Brózda, Stary Poszónek, Warożowe Stawy, Zadni Góny;

c) okolicznikowe

Dołym, Groblą, Miedzami, Wyrchami, Wywozym, Zadkami, Zapłocim; Kole Ciyrnio, Kole Krzipopy, Kole Pańskigo, Kole Statku, Kole Stawu, Kole Sztreki, Kole Wody;

Miyndzy Chałupami, Miyndzi Dołkami, Miyndzy Wałami;

Na Cymbołku, Na Ćwiklu, Na Dwanostym; Na Dziole, Na Farskim, Na Glinie, Na Górskim, Na Grobli, Na Kopcu, Na Kopieczku, Na Kympce, Na Krzipopie, Na Kympie, Na Lasowisku, Na Łónce, Na Łyngu, Na Obecnisku, Na Ojczyźnie, Na Odwrotniku, Na Pańskich Łónkach, Na Pańskim, Na Pióntym, Na Placu, Na Postrzedniku, Na Pruchnicy, Na Przodku, Na Rułkowni, Na Skoskach, Na Skotnicy, Na Stawach, Na Stodolisku, Na Szkarpie, Na Sztuchlikowcu, Na Ugorze, Na Zegónach, Na Zegrodzie, Na Zokryńcie, Na Zopłociu;

Pod Brzóskami, Pod Cestą, Pod Czerwiną, Pod Dymbami, Pod Gąsiorym (nosowe ó!), Pod Groblą, Pod Kierchowym, Pod Kopcym, Pod Kympami, Pod Kympą, Pod Lasym, Pod Pilarym, Pod Rakusym, Pod Szkarpą, Pod Wałym, Pod Wiyrzniowicami;

Przed Chałupą, Przed Gospodą, Przed Wywozym;

Przi Ceście, Przi Chałupie, Przi Gruszce, Przi Kościele, Przi Krzipopie, Przi Krziżu, Przi Lesie, Przi Miedzy, Przi Młynie, Przi Nierodze, Przi Rampie, Przi Studni, Przi Studziyncе, Przi Szkole, Przi Sztrece, Przi Tranwaju;

U Cesty, U Krzipopy, U Studnie, U Walcówki, U Wody, U Zokryntu;

W Brzegu, W Ciyrniu, W Kolanie, W Kopcu, W Kympie, W Padole, W Łyngu, We Stowku, We Wiyrbinie, We Wywozie;

Za Beździynkym, Za Cestą, Za Groblą, Za Kaczokym, Za Krzipopką, Za Lasym, Za Dołkym, Za Dworym, Za Rułkownią, Za Stodolą, Za Stawym, Za Sztreką, Za Zegrodą.

Nie objęta zbiorem oraz opracowaniem pozostała na pewno znaczna część bogatego nazewnictwa miejscowego, które należałoby możliwie najszybciej spisać, ponieważ znane jest tylko nielicznym starym Lutyniakom, a coraz częściej ulega zapomnieniu.



fot. JAN NOGA

TRYBUNA CZYTELNIKÓW

Tym razem dwa listy z Polski — pierwszy wraca jeszcze do zeszłorocznego Święta Gorolskiego, a zaadresowany został między innymi do naszej redakcji, w drugim autorka publikowanego już u nas „Pamiętnika" reaguje na list A. Kluza, jaki pojawił się w nr. 10/86 „Zwrotu". Mamy nadzieję, że zostanie w ten sposób ostatecznie wyjaśnione nieporozumienie, wynikające najwidoczniej z różnego rozumienia funkcji samego pamiętnikarstwa... Trzeci list przedstawia sylwetkę „człowieka, który odszedł".

DO REDAKCJI „ZWROTU"

My wymienieni poniżej członkowie BTSK, uczestnicy Waszej tradycyjnej uroczystości folklorystycznej, jaką jest niewątpliwie „Gorolskie święto", składamy serdeczne podziękowanie za zaproszenie do uczestniczenia w tej pięknej imprezie. Dziękujemy za gościnę, honory, a przede wszystkim za serca nam okazywane, a tak po polsku bijące.

Jesteśmy dumni z Waszej godnej i patriotycznej postawy oraz wysokiej kultury, jaką prezentujecie jako Polonia w Czechosłowacji.

Dziękujemy!

Zarząd Główny Beskidzkiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego

KAROL PIECZKA
MIECZYSŁAW TOMICZEK

SZANOWNA REDAKCJO!

Miesięcznik „Zwrot" czytam od lat zawsze z wielkim zainteresowaniem razem z moją rodziną. Otwierając ostatni, październikowy „Zwrot" doznałam bardzo przykrego uczucia. Zobaczyłam ze zdziwieniem, że ktoś moje wspomnienie z lat dziecięcych i szkolnych, mój „Pamiętnik", który miał szczęście (czy pech?) zdobyć I nagrodę na niedawnym Konkursie — analizuje, rozkłada na czynniki pierwsze, operując liczbami i statystyką stara się nagiąć do swoich poglądów, podporządkowuje go duchowi czasu.

Tymczasem pamiętnik jest to rodzaj dokumentu o s o b i s t e g o, gdzie autor opowiada o wydarzeniach, które przeżył, czy był ich świadkiem, w którym ujmuje świat po s w o j e m u, wyraża s w o j e przekonania, s w o j e odczucia, utrwala osobliwości obyczajowe, językowe itp. Tak objaśniają ten termin nasi językoznawcy, tak tłumaczy nasza Wielka Encyklopedia Powszechna PWN, co powyżej w wielkim skrócie powtórzyłam.

„Pamiętnik" mój napisałam bardziej sercem niż piórem. Pragnęłam przedstawić dzieje mojej rodziny, osiadłej w Rychwałdzie od pokoleń, górniczej można powiedzieć również od pokoleń. Dostatecznie wyraźnie opisałam trudne warunki bytowania naszej licznej rodziny, ciężką pracę mojego Ojca na kop. „Zofia" w Porębie, okres masowych redukcji i bezrobocie.

Ale moje dzieciństwo nie było smutne. Mimo ciężkich warunków materialnych, było pogodne, radosne, dzięki moim zacnym, wspaniałym rodzicom i atmosferze, która panowała w moim domu.

Do Orłowskiego Gimnazjum miałam szczęście chodzić dzięki pomocy materialnej mojego starszego rodzeństwa — piechotą, często w przysłowiowych dziurawych butach, z kawałkiem niczym nie posmarowanego chleba w torbie — a po powrocie do domu czekała na mnie zgłodniałą „wodzionka" na obiad — jeśli już tak muszę się tłumaczyć i obnażać tamte nasze niedostatki. (. . .)

Wspomnienie o śmierci prof. Buriana ujęłam w moim „Pamiętniku" w sposób, jak to opowiedział mi mój Brat, to znaczy, podkreślając stosunek emocjonalny, jaki mieli do niego jego uczniowie, a wówczas współwięźniowie, jak depresyjnie podziałała na nich wiadomość o śmierci profesora, jednej z pierwszych ofiar wśród naszych profesorów.

Tymczasem p. Alojzy Kluz przytacza na temat Obozu Koncentracyjnego w Gusen szereg danych statystycznych i liczb dotyczących martyrologii Zaolzian.

Z całym szacunkiem podchodzę do ciężkich obozowych przeżyć p. Alojzego Kluza i dziwię się, dlaczego to on nie pokusił się o napisanie pamiętnika z tamtych lat i nie stanął w szranki Konkursu, zamiast krytykować i podważać to, co kto inny napisał i to z zupełnie innej pozycji.

Prof. Janczar. Otóż to! Ośmieliłam się o nim napisać, napisałam jego nazwisko, używając polskiej pisowni, a nie czeskiej, jak się podpisywał. Ośmielam się i dziś napisać o nim, że był to wieloletni, świetny nauczyciel języka francuskiego w Orłowskim Gimnazjum, co z pewnością potwierdziłaby cała rzesza jego byłych wychowanków. Dyrekcja Szkoły, Macierz Szkolna zaangażowała go, jako nauczyciela języka obcego, wybitnego fachowca, wiedząc o tym, że jest narodowości niemieckiej. Nie taił tego, nie było to tajemnicą również dla uczniów. Swoich politycznych poglądów na lekcjach nie ujawniał, niezrozumiałe kwestie językowe tłumaczył nam zawsze po polsku.

W „Pamiętniku" moim opisuję wydarzenia z czasów międzywojennych, działalności i postawy Prof. Janczara w czasie okupacji nie mogłam wtedy przewidzieć. Sądzę też, że w końcu sam poznał swój błąd, zrozumiał obłudę i ohydę hitlerowskiej „ideologii" — wymierzając samemu sobie sprawiedliwość.

Pan Alojzy Kluz nie może mi wybaczyć, że mogłam w tamtych czasach pojechać razem z moimi koleżankami na kolonię nad morze, że wróciłam stamtąd odżywiona i opalona, zamiast rozpatrywać nędzę moich rówieśników w międzywojennej Polsce i policzyć wszystkich bezrobotnych, których wg obliczeń p. A. Kluza było 11 milionów na 34 miliony ludności. Miałam wówczas lat 13 i świat widziałam oczyma dziecka, które tak jak i dziś miało prawo w czasie wakacji cieszyć się życiem i słońcem. Na tej kolonii w Jastarni, nie wiem przez jaką instytucję zorganizowanej, byłyśmy gośćmi wśród dzieci Warszawy. Były to dzieci z robotniczych dzielnic, z Powiśla, Woli, Czerniakowa, dzieci z proletariackich, biednych rodzin warszawskich, a nie dzieci burżujów. Mogą to potwierdzić koleżanki, które wówczas były razem ze mną na tej kolonii, jeśli aż tak muszę się tłumaczyć z tamtych wydarzeń, z lipca 1933 r. (. . .)

„Konkurs na pamiętnik" ogłosiła Sekcja Folklorystyczna ZG PZKO — opisałam więc w „Pamiętniku" moje dzieciństwo i młodzieńcze lata na tle naszej rodziny, mój dom rodzinny w Rychwałdzie i zwyczaje w nim panujące, uświęcone wielowiekową tradycją.

Narastanie świadomości klasowej górniczego środowiska, wyczerpujący obraz naszego społeczeństwa w okresie międzywojennego dwudziestolecia czy w okresie okupacji — opiszą naukowcy, historycy, socjologowie, czy też inni badacze świadomości społecznej.

Otrzymaną nagrodę konkursową w wysokości 500 Kčs przekazałam do Dyrekcji Gimnazjum z polskim językiem nauczania w Orłowej z przeznaczeniem na kupno nagród książkowych dla wyróżniających się uczniów w nauce i pracy społecznej.

Łączę wyrazy uznania i szacunku dla całego Zespołu Redakcyjnego i wszystkich współpracowników „Zwrotu".

JANINA GALOCZ
Koszalin

O CZŁOWIEKU, KTÓRY ODSZEDŁ . . .

Wilhelm Słowiaczek (1. 10. 1914—27. 10. 1986) urodził się w Górnej Łomnej, kiedy Europa pogrążona była w walce o nowy społeczno-polityczny ład. Całe też Jego życie znaczone było nieustanną, nieustępliwą walką o postęp społeczny, o umasowienie oświaty, kultury, zwłaszcza sportowej.

Był wychowankiem orłowskiego gimnazjum, tam też ukształtowała i hartowała się w różnych dyscyplinach społecznikowskiego działania Jego świadomość. Cechowała go niespożyta energia, sumienność i poświęcenie. Praca społeczna fascynowała Go przez całe życie. O tychże fascynacjach tak napisze: (. . .) Zawodowo pracowałem w czeskocieszyńskim Kółku Rolniczym, przedstawienia reżyserowałem w Boconowicach (tam przenieśli się rodzice w 1928 roku) a grałem w Jabłonkowie, śpiewałem w chórze męskim i mieszanym, sport kultywowałem w jabłonkowskim „Beskidzie" i „Sokole".

Zbliżał się rok 1939 a z nim i koszmar II wojny światowej. Wilhelm Słowiaczek przebył kampanię wrześniową od Istebnej aż po Lwów. Tam dostał się do niewoli, dalej ucieczka i powrót do domu. W 1940 roku w domu rodzinnym zjawia się gestapo . . . Potem — Dachau-Mauthausen-Gusen — häftling z numerem 4541 — dwa lata obozowej poniewierki i znowu powrót w rodzinne strony.

Ziemia i człowiek nie poddają się nigdy. W. Słowiaczek — syn tej ziemi — nawiązuje kontakt z grupą partyzanów działającą w rejonie Kozubowej (współpraca, wpadka i dwa miesiące przesłuchań na gestapo).

Nadchodzi wiosna 1945 roku a z nią i wyzwolenie Jabłonkowskiego przez Armię Czerwoną.

Słowiaczek, wspólnie z innymi, z entuzjazmem podejmuje się pracy społecznej. Przygotowuje Wieczór Pieśni i Tańca oraz Żywego Słowa w dwujęzycznej wersji na boconowickiej scenie. W jabłonkowskiej Czytelni zakłada i prowadzi chór, renowuje działalność sportową. Jest ojcem chrzestnym i współzałożycielem „Gorola", jego dwukrotnym prezesem i współtwórcą wielu Świąt Gorolskich. Obdarzony nieprzeciętnym głosem (bas), po odejściu z Gorola śpiewał w ChNP. Był aktorem i reżyserem pezetkaowskiego zespołu teatralnego w Boconowicach.

Za całokształt pracy ZG PZKO uhonorował Go na II Spotkaniach Teatralnych „WĘDRYNIA '86" najwyższym odznaczeniem „ZASŁUŻONY DLA ZWIĄZKU" I stopnia.

Odszedł dobry i rzetelny człowiek.

-jp-



fot. FRANCISZEK BAŁON

TO I OWO

Katowicki „Dziennik Zachodni" w nr. 263. poświęca sprawom PZKO-wskim prawie całą stronicę. Jedna szpalta przynosi informacje i dane statystyczne o PZKO w ogóle. Obok wydrukowano artykuł pn. „Polskość i przyjaźń niesione słowem, śpiewem i tańcem" o ZPiT „Olza". Poniżej rzecz zatytułowana „Poetka gwary wiślańskiej" — o Anieli Kupiec, poetce ludowej z Nydku. (. . .) W twórczości Aniela Kupiec — *pisze autor artykułu* — „coś z siebie chce dać". Nie umie powiedzieć dokładnie, od jak dawna pisze wiersze, które zaczęła zbierać dopiero w latach siedemdziesiątych. Zauważyła, że inni słuchają i proszą wciąż o nowe. Gdzieś w sercu drzemało to już dawno, bo dziś Aniela Kupiec mówi: — To mój tata był skończonym romantykiem, z niego wiele miałam. Kiedy nikt nie rozumiał, że czuję zachód słońca, on to pojmował. To zrozumienie dodawało mi otuchy, pozwalało myśleć o tym, by zrzucić z siebie rzeczy, które mnie rozpierają (. . .) By pisać, muszę coś przeżyć, przejść jakiś wewnętrzny wstrząs. Niektóre tematy bardzo trudno oddać gwarą, językiem prostych ludzi pracy. Ona jednak zanika i trzeba ją ochronić. To nasza ojcowizna. (. . .)

Ta sama gazeta w następnym numerze publikuje artykuł specjalnego wysłannika „DZ" pt. „Komandoria Orderu Zasługi dla Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w Czechosłowacji", dotyczący uroczystego Plenum ZG PZKO, inaugurującego obchody 40-lecia Związku.

„Nová svoboda", organ KO KPCz w Ostrawie, w nr. 256. przynosi notatkę pn. „Jubileusz „Hasła". Sześćdziesięciolecie zespołu śpiewaczego" dotyczącą chóru MK PZKO w Skrzeczoniu.

W październikowym numerze miesięcznika społeczno-kulturalnego „Opole" w „Małym leksykonie nadolziańskim" przeczytać można m. in. na temat: Jana Chromika, Jerzego Cienciały, Pawła Cieślara, ale również Cierlicka i Czeskiego Cieszyna oraz Czytelni w Michałkowicach k. Ostrawy.

W „Liście z Cieszyna" umieszczonym tradycyjnie w rubryce „Przegląd kulturalny" tego samego nr. opolskiego miesięcznika zatytułowanym „Mosty, festiwale" wiele na temat VII SFPZF, którego uczestników gościł Cieszyn jako jedno z sześciu miast „warsztatowych". Wiele również o samym folklorze:

Nie wiem — *pisze autor artykułu o naszych PZKO-wskich zespołach* — gdzie się ci ludzie nabawili folklorystycznej choroby. Na świecie popularność folkloru wśród młodzieży tłumaczy się modą, frustracją oraz tęsknotą do autentyzmu. Wątpię, żeby Zaolzianie wstępowali do zespołów z tych samych dokładnie powodów. W środowiskach polonijnych kultura ludowa jest jednym ze składników narodowej identyfikacji. Pielęgnowanie jej, owo nieustanne „ocalanie od zapomnienia" dawnych strojów, chat, gawęd, tańców i pieśni przekształca się często w jedyną manifestację przynależności polonijnego środowiska do kultury polskiej.

Zaolzianie nie są typowymi Polonusami, bo nigdy nie wyemigrowali z kraju. (. . .) Długo nie odczuwali potrzeby dowartościowania swego narodowego ducha zepchniętą na obrzeża postępu cywilizacyjnego spuścizną pradziadów. W obecnym renesansie folkloru doszukiwałbym się zatem bardziej wyrazu kryzysu narodowej tożsamości, niż małpowania zachodnich mód. W tej sytuacji nie muszę chyba tłumaczyć, dlaczego nie budzi mego entuzjazmu, obserwowany ostatnio, masowy nieomal udział zaolziańskiej młodzieży w zespołach folklorystycznych. W polonijnym skansenie kulturowym trudno wszak oczekiwać rozwoju oryginalnej lite-

ratury i sztuki, świadczącej o twórczym potencjale środowiska . . .

Oczywiście, folklor jako zdrowy, czyli uzupełniający a nie chorobliwie nadęty składnik kultury narodowej obecny był na Zaolziu zawsze. (. . .)

Pod tytułem „Topografia wrażeń" publikuje krakowskie „Życie Literackie" (nr 46/86) recenzję tomiku poetyckiego Wilhelma Przeczka „Księga urodzaju". Cytujemy: Poezja Wilhelma Przeczka to przede wszystkim subtelne rysunki pejzażu, pod którymi kryje się cień idei, cień przesłania. To poetyckie wyciszenie sprawia, że wiele utworów może być właściwie i do końca odczytanych chyba tylko przez bardzo wrażliwych na przyrodę, na jej muzyczność. Bo często z wierszy tych sączy się coś, co jest tylko klimatem, dźwiękiem — nieokreślonym, a jednak brzmiącym harmonijnie — ledwie wrażeniem. Czyli nie tzw. wielka filozofia, ale wzruszenie w tej poezji dominuje. (. . .)

„Rozhlad", pismo serbołużyckiej Domowiny w NRD, z października br. przynosi artykuł red. naczelnego C. Koli, który był gościem „Zwrotu" i wziął udział m. in. w jabłonkowskim „Święcie Gorolskim". Artykuł nosi tytuł „Górale i ich święto". Autor pisze m. in.: Potrzebna jest niesamowita gorliwość i zapał, pełna zaangażowania ofiarność, by to wszystko, co do zorganizowania święta potrzebne, zapewnić. Efekt potwierdza jedno, że warto poświęcać tyle trudu. Gorolskie święto to moim zdaniem zwarty obraz niezwykłego, w bardzo skuteczny sposób przedstawionego narodowego istnienia ludności narodowości polskiej w Czechosłowacji.

Z prawdziwą satysfakcją publikujemy następujący Komunikat organizatorów Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego o „Złoty Trzewiczek" z Chełmka.

Organizatorzy informują, iż zakończyło obrady jury pod przewodnictwem Tadeusza Śliwiaka (Sołtysik, Kamiński, Ciepły) przyznając nagrody jak następuje:

W dziale utworów prozatorskich:
Pierwszego miejsca nie przyznano.
II miejsce — Bożena Rudko (Żywiec) godło „Filipek"
III miejsce ex aequo — Piotr Horzyk (Czeski Cieszyn — CSRS) godło „Czantoria"
— Jerzy Rochowiak (Toruń) godło „Fikcja"
oraz wyróżnienia — Józef Bułatowicz (Wyszków) godło „Strzelec"
— Wojciech Szypryt (Chojnice) godło „Ica"

W dziale utworów poetyckich redakcja „Echa Chełmka" ufundowała dwa wyróżnienia dla uczestników konkursu „zza czeskiej miedzy". Otrzymali je — Halina Klimsza (Hawierzów) godło „Układ" oraz Franciszek Henner (Trzyniec) godło „Listonosz".

W konkursie uczestniczyło ogółem 257 autorów, z czego większość startowała w obydwu konkurencjach (poezja 236, proza 173). Uroczysty finał połączony z prezentacją laureatów, wieczorem autorskim jurorów oraz wieczorem poetyckim Grupy „Cumulus" odbył się w ramach I Chełmeckich Prezentacji Kulturalnych 25 października 1986 w Klubie „Kaktus" w Chełmku.

„Szpilki" w nr. 47 (2339) z 20. 11. 1986 piszą o konkursie „Złotego Trzewiczka", który zakończył się pomyślnie dla naszych młodych twórców. Wśród publikowanych nagrodzonych prac jest również wiersz Piotra Horzyka „Krzyk", jest i zdjęcie pokazujące autora podczas prezentacji swoich wierszy.

„Informator kutluralny" województwa bielskiego w numerze 11/70 pisze pod tytułem „Rozśpiewany malarz" o Rudolfie Kobieli. Autor prezentując sylwetkę naszego rodaka jako najlepszego solisty VI Światowego Festiwalu Chórów Polonijnych stwierdza: ale Kobiela jest również utalentowanym malarzem (posługuje się wieloma technikami), a jego obrazy zdobyły sobie wysoką ocenę znawców sztuki. Były kilkakrotnie prezentowane na różnych wystawach.

W piątek 28. 11. między godz. 9.00 a 10.00 w Programie I Polskiego Radia mogliśmy w ramach „Czterech pór roku" słuchać wywiadów, nagranych podczas obchodów 35-lecia Sceny Polskiej. Były wypowiedzi dyrektora J. Wierzgonia, kierownika SP K. Suszki, Wł. Niedoby, A. Baczewskiego, A. Humel, przy okazji o wystawie i działalności naszych plastyków mówił przewodniczący pionu SLA inż. arch. Bronisław Firla. Dzięki trwającej godzinę audycji słownomuzycznej dowiedzieli się słuchacze dużo na temat Sceny Polskiej . . . Těšínského divadla, natomiast o Teatrze Cieszyńskim ani słowa. Czyżby straszył duch „Dwu teatrów"?

W ramach informacji ze świata „Panorama" nr 47 z 23. 11. 86 w dwu zdaniach informuje o uroczystym posiedzeniu Zarządu Głównego PZKO oraz przekazaniu wysokiego odznaczenia PRL.

Duży artykuł z trzema zdjęciami, oceniający występ ZPiT „Górnik" w gminie Bukecy (piszemy o nim w niniejszym numerze) opublikowała serbołużycka „NOWA DOBA" nr 274 z 20. 11. 1986. Autor E. Křižan stwierdza m. in.: najbardziej spodobały się sceny taneczne, przedstawiające ciężką pracę górników. Śpiewający tancerze i tancerki zebrali największe oklaski. Na potrójną serbską „sławę", jaką słuchacze spontanicznie na zakończenie zaśpiewali, nasi przyjaciele z sąsiedniego kraju w pełni zasłużyli.

KRONIKA

ZG PZKO

■ 23. 10. w salce Klubu PZKO w Cz. Cieszynie odbyło się Zebranie Sprawozdawczo-Wyborcze Organizacji Zakładowej RZZ przy ZG PZKO. Sprawozdanie z działalności za lata 1985—86 przedłożyła przewodnicząca organizacji, Helena Śliwka. Wysłuchano także sprawozdania Komisji Rewizyjnej. Wybrano nową Radę Zakładową, której przewodniczącą ponownie została H. Śliwka.

■ 27. 10. w salce zebrań ZG PZKO w Cz. Cieszynie odbyło się zebranie plenarne Sekcji ds. Współpracy ze Sceną Polską TC przy ZG PZKO. Obrady prowadził przewodniczący Sekcji T. Nierostek. Przeprowadzono szczegółową kontrolę realizacji postanowień Sekcji na poprzednich zebraniach. Nie wszystkie zadania zostały wykonane. Wysłuchano również sprawozdań z działalności grup roboczych Sekcji repertuarowej oraz propagandy i krytyki teatralnej. Sprawozdania przedłożyły przewodniczące tych grup prof. Pawerowa i prof. Dordowa. O aktualnym stanie abonentów Sceny Polskiej poinformowali J. Wierzgoń, dyrektor TC, oraz K. Suszka, kierownik artystyczny SP TC.

■ Indywidualne mistrzostwa PZKO '86 w tenisie stołowym mężczyzn odbyły się 26. 10. 86 w sali Domu PZKO „Czytelni" w Wędryni. Udział wzięło 22 zawodników z 10 Kół PZKO. Mistrzem PZKO na rok 1986 został Marian Kożdoń z MK PZKO Cz. Cieszyn — Park A. Sikory, który wyprzedził Romana Chorzempę z Koła PZKO Karwina-Granice i Wilhelma Niedobę z MK PZKO Jabłonków.

■ 22. 10. w Teatrze Dzieci Zagłębia w Będzinie doszło do podpisania porozumienia pomiędzy wymienionym Teatrem a Teatrem Lalek „Bajka" ZG PZKO o wzajemnej wymianie dorobku artystycznego pomiędzy zespołami, o wymianie reżyserów i scenografów. Porozumienie podpisali dyrektor Teatru Dzieci Zagłębia Grzegorz Lewandowski oraz kierownik artystyczny TL „Bajka" Paweł Żywczok. Obecni byli I sekretarz ZG PZKO Władysław Orszulik i wiceprezydent miasta Będzina Sylwester Pleszkin.

■ Klub Filmowca przy Pionie Foto-Filmowym SLA przy ZG PZKO odbył 31. 10. w siedzibie ZG w Cz. Cieszynie kolejne spotkanie. Uczestniczyło w nim 9 osób. Swoje filmy wyświetlili Władysław Samek, Stanisław Orszulik i Lech Rygiel.

■ Biblioteka Powiatowa, Oddział Literatur Narodowych w Karwinie-Frysztacie zorganizowała w czasie od 4 do 30. 11. wystawę malarstwa Oskara Pawlasa, członka SLA przy ZG PZKO. Wernisaż, który odbył się 4. 11., zagaiła Helena Legowicz, kierowniczka karwińskiej biblioteki. Ekspozycję tworzyło 40 obrazów z ostatnich dwu lat, głównie z plenerów w PRL i pleneru PZKO-wskiego „Beskidy '86" w Gutach.

■ Sekcja Akademicka „Jedność" przy ZG PZKO — Oddział Ostrawa urządziła 30. 10. w restauracji „Na Dolní" w Ostrawie-Bartowicach udaną tradycyjną „Bażantówkę". Odbyło się pasowanie na studenta nowych kandydatów, członków PZKO ostrawskich wyższych uczelni. Był własny program kulturalny. Bawiono się przy muzyce reprodukowanej Jerzego Hanzla.

■ Sekcja Folklorystyczna przy ZG PZKO wydała kolejny Biuletyn Ludoznawczy — Zeszyt XV pod redakcją Jana Szymika, poświęcony pamięci profesora Gustawa Fierli.

■ Na zaproszenie Jerzego

Berka, przewodniczącego Klubu Cieszyniaków w Warszawie, prelekcję na temat „Wspomnienia o Karolu Śliwce" wygłosił 11. 10. Józef Kazik, prelegent ZG PZKO. Na spotkaniu, które przebiegło w serdecznej atmosferze, obecny był także MUDr Bogusław Kożusznik, były minister zdrowia PRL, pochodzący z Dolnej Suchej. Warszawskie spotkania Klubu Cieszyniaków odbywają się regularnie w połowie każdego miesiąca.

■ Wydawnictwo „Profil" w Ostrawie wydało kolejne dwie książki. Pierwszą pt. „Śmiych Macieja" — Ludwika Cienciały w redakcji dr. Jana Korzennego, ilustrowaną dowcipnymi rysunkami autorstwa Bronisława Liberdy, członka SLA. Drugą książkę — zbiorek poezji Gabriela Palowskiego pt. „Dotykanie czasu" z ilustracjami Józefa Dronga, członka SLA.

■ Na zaproszenie Wojewódzkiego Domu Kultury przebywali w Opolu przewodniczący Sekcji Kultury Teatralnej ZG PZKO Jan Pyszko oraz recytator — student polskiego gimnazjum w Cz. Cieszynie Przemysław Branny. Uczestniczyli oni w XVIII Ogólnopolskim Turnie-

Stanisław Kraus, członek Sekcji Literacko-Artystycznej przy ZG PZKO, przewodniczący kółka malarskiego przy zakładowym Domu Kultury RZZ HT może zaliczyć ubiegły rok pod względem aktywności twórczej do bardzo udanych. W pierwszym półroczu odbyły się z okazji jego 60. urodzin dwie wystawy indywidualne w Jabłonkowie oraz w trzynieckim Domu Kultury. W lipcu wziął udział w plenerze malarskim w Nysie (PRL), a prace tam namalowane wystawiane były na wystawach poplenerowych w Nysie i Opolu. Równocześnie w lipcu czynna była wystawa indywidualna St. Krausa w Klubie Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego w Katowicach. Na przełomie sierpnia i września St. Kraus wystawiał swe prace w Domu Polonii w Krakowie. Była to pierwsza wystawa indywidualna plastyka z naszego terenu w podwawelskim grodzie. Obydwie wystawy St. Krausa w PRL cieszyły się wielkim powodzeniem. W październiku ub. roku wystawa St. Krausa była czynna w stolicy PRL — Warszawie. Wystawy indywidualne w Polsce zalicza autor do swoich największych sukcesów w życiu twórczym. Na zdjęciu moment uroczystego wernisażu wystawy St. Krausa w Krakowie.



fot. JADWIGA RUBIŚ

ju Poetyckim „Zapalonej Świecy", który przebiegał w dniach 6 — 9. 11. w Domu Kultury w Opolu.

■ 3. 11. odbyło się w błędowickim Domu PZKO zebranie wyjazdowe Sekcji Życia Towarzyskiego przy ZG PZKO. Zebranie motywowane było przygotowaniem z okazji 40-lecia PZKO atrakcyjnego Konkursu o „Najszykowniejszą", którego finał odbędzie się 9 maja 1987 w Domu PZKO w Błędowicach.

■ Klub Medyków przy ZG PZKO odbył 7. 11. w Klubie PZKO przy ulicy Bożka w Cz. Cieszynie kolejne spotkanie. Tym razem dr. Czesław Białoń mówił o chorobach odzwierzęcych.

■ Biblioteka Powiatowa — Oddział Literatur Narodowych w Karwinie-Frysztacie urządziła 12. 11. w swoim lokalu spotkanie z prelekcją dr. D. Kadłubca.

■ W ramach nawiązanej współpracy w dniach od 6 do 9. 11. gościł w Będzinie Teatr Lalek ZG PZKO „Bajka" na zaproszenie tamtejszego Teatru Dzieci Zagłębia. Podczas swego pobytu w PRL wystawił dobrze przyjętą przez widownię sztukę Kazimierza Wojnarowskiego pt. „Ondraszku, Ondraszku". Pracownicy TL „Bajka" uczestniczyli także w seminarium oraz obejrzeli kilka sztuk lalkowych, m. in. Teatru „Groteska" z Krakowa.

■ 9. 11. w salach gimnastycznych gimnazjum koło hotelu „Merkury" w Hawierzowie odbyły się ostatnie mecze z serii turniejów siatkarzy o Puchar ZG PZKO. Wzięło w nich udział 5 drużyn, a poza konkursem drużyna „Huta Łabędy" z Gliwic w PRL. W finale z udziałem zwycięzców obu grup eliminacyjnych drużyna MK PZKO Błędowice pokonała drużynę MK PZKO Trzyniec-Osiedle. Trzecie miejsce zajęła drużyna Koła PZKO Mosty k. Jabłonkowa. W końcowej klasyfikacji rozgrywek o Puchar ZG PZKO 1986 zwyciężyła drużyna PZKO z Mostów k. Jabł., wyprzedzając drużyny PZKO Trzyniec-Osiedle i PZKO Błędowice. Dla przypomnienia dodajemy, że tegorocznym mistrzem PZKO w siatkówce mężczyzn została wcześniej drużyna PZKO Trzyniec-Osiedle przed drużyną PZKO Bystrzyca.

■ W ramach Międzynarodowego Roku Pokoju Ars Polona z Warszawy, „Kniha" z Ołomuńca i ZG PZKO urządziły od 19 do 23. 11. w salce Klubu PZKO przy ul. Bożka w Cz. Cieszynie Kiermasz Książki Polskiej połączony ze sprzedażą. Otwarcie Kiermaszu odbyło się 19. 11. Zagaił go dyrektor „Knihy" Miroslav Šubrt. Obecni byli także przedstawiciele Konsulatu Generalnego PRL w Ostrawie — konsule St. Brzeziński i T. Semeniuk, przedstawicielka Ars Polony Alicja Toniakiewicz i delegacja ZG PZKO z I sekretarzem Wł. Orszulikiem.

■ Z okazji jubileuszu 35-lecia istnienia Sceny Polskiej TC 22. 11. w Klubie PZKO w Czeskim Cieszynie odbyło się uroczyste spotkanie Sekcji ds. Współpracy ze Sceną Polską TC przy ZG PZKO z całym kolektywem SP, dyrekcją TC, delegacją Sceny Czeskiej TC i obsługą techniczną. W spotkaniu udział wzięli liczni oficjalni goście TC, którzy zaproszeni zostali na uroczystości jubileuszowe, m. in.: delegacja Ambasady PRL w Pradze na czele z Radcą Ambasady i dyrektorem Polskiego Ośrodka Informacji i Kultury W. Mroczkowskim, delegacja Konsulatu Generalnego PRL w Ostrawie z E. Wardą, konsulem generalnym, kierownik Wydziału Kultury ORN w Ostrawie F. Svobodník, przedstawiciel KO KPCz w Ostrawie M. Kývala i inni.

■ Trzynaste zebranie Prezydium ZG PZKO w roku 86 odbyło się 25. 11. w salce zebrań ZG w Cz. Cieszynie. Prezydium zapoznało się z zamknięciami rachunkowymi ZG za trzy kwartały 86, omówiło i oceniło współpracę Związku ze szkołą, SRPS i OP SZM oraz rozpatrzyło i zatwierdziło ideowy plan miesięcznika „Zwrot" na rok 1987, a także oceniło miesięcznik za rok 1986. Obradom przewodniczył St. Kondziołka, prezes Związku.

BOGUMIN

■ W październiku 86 Miejscowa Organizacja Związku Przyjaźni Czechosłowacko-Radzieckiej w Skrzeczoniu obchodziła 40-lecie swej działalności. Z tej okazji przewodniczący MO ZPCR Emil Stöcker przekazał Kołu PZKO w Skrzeczoniu „Odznakę Honorową ZPCR II stopnia" za aktywny udział pezetkaowców Koła w rozwijaniu przyjaźni czechosłowacko-radzieckiej. Odznaczenie w imieniu Koła odebrał Albert Grzebień.

■ W MK PZKO w Skrzeczoniu dokonano oceny realizacji zobowiązania Koła w roku 1986 na cześć XVII Zjazdu KPCz, 65. rocznicy założenia partii, wyborów do RN i Międzynarodowego Roku Pokoju. Skrzeczońscy pezetkaowcy do końca września 86 przepracowali łącznie 3 969 godzin, w tym m. in. 557 w ramach nieinwestycyjnej części akcji „Z", a 752 godzin w rolnictwie. Pozostałą część czynu społecznego zrealizowali skrzeczoniacy w ramach opieki nad miejscami pamięci — utrzymywano grób 104 Polaków, którzy w latach 1942—45 zginęli w bogumińskim obozie pracy, troszczyli się o tablicę pamiątkową ofiar faszyzmu — mieszkańców Skrzeczonia. Zrealizo-

wano również zobowiązanie w zakresie zbioru surowców wtórnych.

■ Klub Młodych przy MK PZKO w Skrzeczoniu urządził dla klubowiczów całego obwodu bogumińskiego w dniu 22. 11. w Domu PZKO swojego Koła udane tradycyjne „Andrzejki" z bogatym własnym programem kulturalnym.

■ Z okazji 69. rocznicy WSRP odbył się 9. 11. w Domu PZKO w Skrzeczoniu XII turniej tenisa stołowego obwodu bogumińskiego. Udział wzięło 5 dwuosobowych drużyn z Bogumina i Skrzeczonia. Zwyciężyła drużyna Koła PZKO Skrzeczoń w składzie Ilona Gryń i inż. Tadeusz Guziur, która zdobyła puchar przechodni po raz siódmy. Drugie miejsce zajęła również drużyna ze Skrzeczonia, a trzecią lokatę zajęła drużyna PZKO w Boguminie.
W turnieju indywidualnym wygrał Wojciech Pająk (MK PZKO Skrzeczoń).

■ Zespół Kobiet przy MK PZKO w Boguminie zorganizował 5. 11. w Domu PZKO spotkanie z prelekcją Henryka Cieślara o Egipcie i wyspach Morza Śródziemnego, uzupełnioną przezroczami.

BYSTRZYCA

■ Koło PZKO w Koszarzyskach odbyło 16. 11. w swojej świetlicy Walne Zebranie. Na zebraniu czynna była wystawa książki polskiej połączona ze sprzedażą.

CZESKI CIESZYN

■ Sibicka Sekcja Turystyczno-Krajoznawcza przy tamtejszym Kole PZKO zrealizowała w listopadzie dalszych 5 wycieczek: do Mostów, do Jabłonkowa i na Baginiec, do Oszczadnicy i na Dedowkę, do Mostów i na Połom oraz do Wędryni i na Koziniec.

■ Klub Propozycji przy Kole PZKO w Cz. Cieszynie-Osiedlu zrealizował 3. 11. w salce na Mojskiem odczyt MUDr. Zobačowej pt. „Choroby cywilizacyjne". Drugą imprezę oświatową w listopadzie udządził Klub Propozycji 17. 11. w tej samej salce. Tym razem prelekcję pt. „Z muzyką żyje się lepiej" wygłosił Edward Kaim.

■ Zespół Kobiet przy MK PZKO Cz. Cieszyn-Centrum zorganizował zespół gimnastyczny kobiet. Pierwsze zajęcia odbyły się 3. 11. w sali Klubu PZKO przy ul. Bożka. Odbywają się w każdy poniedziałek o godz. 18.00. Zajęcia prowadzi MUDr H. Paszkowa, a do rytmu przygrywa na fortepianie T. Przyhoda.

■ MK PZKO w Mistrzowicach zorganizowało 9. 11. na Fibakówce kiermasz książki polskiej oraz prelekcję dr. Piotra Paszka o morzach Afryki i życiu w nich uzupełnioną wyświetlaniem kolorowych przezroczy, wykonanych przez prelegenta.

■ Koło PZKO Cz. Cieszyn-Mosty urządziło 16. 11. w swoim Domu PZKO Wieczór Świetlicowy z okazji MOKiP '86. Zaprezentowano program rozrywkowy i recytacje młodzieży szkolnej. Czynna była również wystawa książki połączona ze sprzedażą.

■ Koło Techników przy MK PZKO Cz. Cieszyn-Park A. Sikory odbyło 14. 11. w salce zebrań ZG PZKO spotkanie z lekarzem pn. „Zdrowy tryb życia w pracy i w domu".

■ Klub Młodych przy olbrachcickim Kole PZKO urządził 8. 11. w sali Domu Robotniczego udaną dyskotekę dla swoich członków oraz młodzieży z okolicznych Kół PZKO i szkół średnich. Obecnych było 130 młodych pezetkaowców i sympatyków. Sprawy kulinarne zapewnił zarząd Koła, który imprezie patronował.

■ Zarząd Koła w Olbrachcicach zorganizował 16. 11. również w sali Domu Robotniczego spotkanie członków Koła z okazji MOKiP '86. Całowieczorowy program kulturalny wykonał zespół kabaretowy „Andrusi" – z MK PZKO w Skrzeczoniu. Na spotkanie przybyło 105 członków i sympatyków, którzy gorąco oklaskiwali znakomity zespół ze Skrzeczonia.

■ Koło PZKO w Żukowie Dolnym na Walnym Zebraniu 9. 11. w Domu Kultury Pod Dzwonkiem zorganizowało program kulturalny w wykonaniu dzieci oraz wystawkę książek połączoną ze sprzedażą.

HAWIERZÓW

■ W ramach współpracy PZKO w Suchej Górnej z Fabryką Samochodów Małolitrażowych w Bielsku-Białej 26 i 27. 10. gościła w województwie bielskim 45-osobowa grupa działaczy Koła, SRPS oraz dyrekcji PSP w Suchej Górnej. Zapoznano się z działalnością amatorskich zespołów artystycznych oraz innymi formami aktywności społecznej pracowników FSM, a także z dorobkiem regionu i jego historią. Zwiedzono Beskid Żywiecki i jego okolice, ośrodki rekreacyjno-wypoczynkowe dla pracowników FSM nad rzeką Sołą, placówki oświatowe, miejsca pamięci narodowej i zabytki kultury materialnej. Uczestnicy zwiedzili również hale montażowe FSM. Wizytę zakończyło niezwykle serdeczne i przyjacielskie spotkanie w Międzyzakładowym Klubie Książki i Prasy.

■ Zespół wokalny Koła górnosuskiego „Gama" urządził z okazji 69. rocznicy WSRP w dniu 8. 11. w świetlicy Domu PZKO „Spotkanie przy samo-

warze" z atrakcyjnym programem.

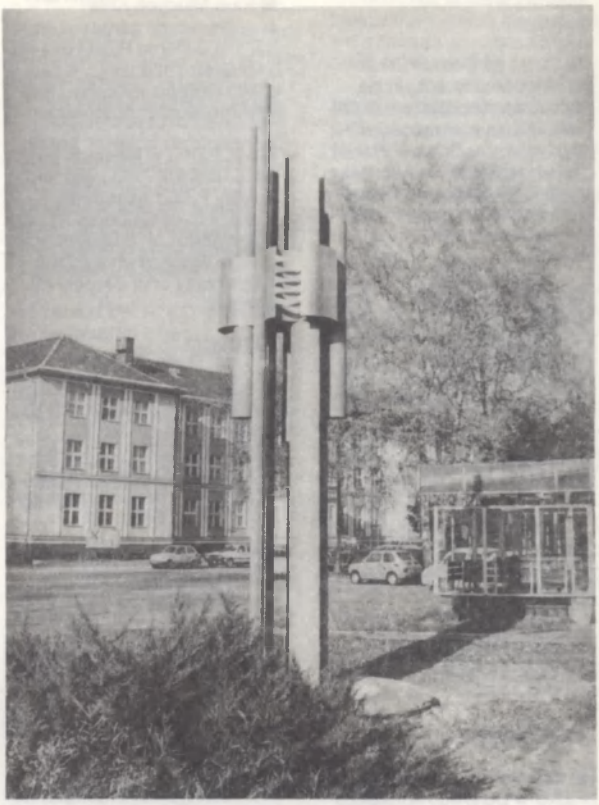
■ Zespół Kobiet przy MK PZKO w Suchej Górnej oraz zarząd Koła zorganizowały 12. 11. w świetlicy prelekcję inż. Marii Shash pt. ,,Kobieta arabska".

■ Zarząd Koła w Suchej Górnej oraz członkowie chóru męskiego zorganizowali w dniu 15. 11. w Domu Kultury Kopalni „Prezydent Gottwald" imprezę pn. ,,Święto Pieśni" z okazji jubileuszów 65. rocznicy chóru męskiego w Suchej Górnej oraz 55-lecia istnienia chóru męskiego ,,Hejnał" w Suchej Średniej, które połączyły się w jeden zespół śpiewaczy ,,Sucha" w roku 1970. Bogaty program jubileuszowy wykonały: chór żeński ,,Tęcza", oktet męski ,,Gama", zespół taneczny Koła oraz chór szkolny PSP i przedszkolacy z Suchej Górnej. Imprezę urządzono z okazji Międzynarodowego Roku Pokoju, 40. rocznicy założenia PZKO oraz 65. rocznicy KPCz. W godzinach przedpołudniowych przedstawiciele górnosuskiego Koła PZKO oraz delegacja chóru ,,Harfa" z Bielska-Białej złożyli kwiaty pod pomnikami ofiar w Żywocicach i na Żwirkowisku w Cierlicku. Z chórem ,,Harfa" przybył także dyrektor Międzyzakładowego Domu Kultury FSM Zygmunt Czarnecki.

■ Klub Emerytów przy MK PZKO Hawierzów-Centrum zrealizował 15. 11. w Domu PZKO w Błędowicach ,,Akademię" z okazji jubileuszu 10-lecia istnienia tego Klubu. Przybyli również zaproszeni członkowie rodzimego Koła i sąsiednich Kół. W programie wystąpił zespół kabaretowy ,,Andrusi" z Koła PZKO w Skrzeczoniu.

■ Z okazji jubileuszu 35-lecia Sceny Polskiej TC oraz ponad 20-letniej współpracy Koła PZKO w Błędowicach ze SP TC 16. 11. w Domu PZKO w Błędowicach odbyło się spotkanie z aktorami SP. Wzięli w nim udział Karol Suszka, Wanda Łysek, Janusz Bobek i inni.

■ 15. 11. w kinie „Radość" w Hawierzowie odbyła się z okazji 40-lecia Polskiego Filmu powojennego projekcja 4 nowych filmów polskich. Organizatorami imprezy były: Dyrekcja Kin, Koło PZKO Błędowice i Polski Ośrodek



W Opolu, w Galerii Sztuki Współczesnej otwarto w grudniu wystawę poplenerową ,,Konfrontacje plastyczne w przemyśle, AZOTY – Kędzierzyn '86". Wśród prac 22 plastyków z Bułgarii, CSRS, Finlandii, NRD, Węgier i ZSRR zainteresowanie wzbudziły projekty kompozycji przestrzennych członka SLA Bronisława Firli. Jeden z nich został nie tylko wyróżniony nagrodą Zakładów Azotowych, ale równocześnie zrealizowany. Na zdjęciu: forma przestrzenna ,,AZOTY", wys. 6 m, wykonana z nierdzewnej stali, zlokalizowana przed Hotelem Centralnym w Kędzierzynie.

fot. BOGUSŁAW ROGOWSKI

Informacji i Kultury w Pradze.

■ 21. 11. w Domu PZKO w Błędowicach odbyło się Spotkanie Młodzieży PZKO-wskiej Koła z udziałem młodych aktorów Sceny Polskiej TC — Renaty Worek i Leszka Wronki. Przeprowadzono również ocenę działalności Klubu Młodych i wybrano nową Radę Klubową.

■ Na Zebraniu Sprawozdawczo-Wyborczym Koła PZKO Cierlicko-Kościelec 16. 11. w restauracji na Kościelcu program kulturalny wykonali przedszkolacy oraz młodzież szkolna z Cierlicka.

■ Na Walnym Zebraniu MK PZKO Cierlicko-Centrum 16. 11. zanotowano dobrą frekwencję. Obecny był przedstawiciel KO KPCz JUDr. Ladislav Slehan. Dorobek Koła za ostatnie dwa lata był znaczny. Program kulturalny wykonała dziatwa miejscowego przedszkola i PSP. Prezesem Koła ponownie wybrano inż. A. Polaka.

JABŁONKÓW

■ Zespół Kobiet przy Kole PZKO w Bukowcu zorganizował 1 i 2. 11. w swoim Domu PZKO wystawę robót ręcznych oraz tradycyjnych strojów.

■ 25 — 27. 10. Koło PZKO w Jabłonkowie urządziło ekskursję do Warszawy. Uczestnikami ekskursji byli organizatorzy Święta Gorolskiego '86 oraz Klub Młodych Koła. Zwiedzono liczne zabytki kultury polskiej. Odbyło się także serdeczne przyjęcie grupy przez Towarzystwo Łączności z Polonią Zagraniczną POLONIA w jego siedzibie na Krakowskim Przedmieściu. W ekskursji wziął także udział Wł. Orszulik, I sekretarz ZG PZKO, który przeprowadził rozmowy z kierownictwem Towarzystwa POLONIA na temat współpracy z PZKO.

■ Klub Młodych Koła w Jabłonkowie zorganizował 15. 11. w Domu PZKO udany „Maraton Taneczny", w ramach którego wybrano „Najszykowniejszą" środowiska.

■ MK PZKO w Mostach k. Jabł. urządził 7. 11. w Domu Kultury PZKO Akademię z okazji 50-lecia Domu PZKO (Kasowego). W bogatym programie wystąpił chór PZKO z Bystrzycy oraz zespoły miejscowe.

KARWINA

■ Spotkanie oświatowe Klubu Propozycji przy MK PZKO Stonawa odbyło się 30. 10. w Świetlicy Koła.
W programie referat o Syrii uzupełniony przezroczami wygłosił inż. A. Cienciała.

■ Zespół Kobiet przy Kole PZKO Karwina-Kopalnie-Centrum odbył 30. 10. w swojej świetlicy przy ul. „ACS" spotkanie, na którym prelegent MUDr. J. Krzywoń wygłosił odczyt pt. „Witaminy i zdrowie".

■ Koło PZKO w Karwinie-Kopalniach na Sowińcu odbyło 9. 11. w swoim Domu PZKO Walne Zebranie. W programie kutluralnym wystąpiły dzieci z PSP w Stonawie oraz zespół kabaretowy „Andrusi" z MK PZKO w Skrzeczoniu.

■ Na zaproszenie Kół Miejscowych PZKO w Piotrowicach i Marklowicach 8. 11. w sali miejscowego kina w Piotrowicach wystąpił z całowieczorowym programem znany 60-osobowy chór dziecięcy „Rabiańskie dzieci" z Raby Wyżnej z województwa nowosądeckiego w PRL. „Rabiańskie dzieci" wystąpiły w przeddzień dla czeskocieszyńskich szkół średnich i podstawowych.

■ MK PZKO Karwina-Kopalnie-Henryk urządziło 13. 11. w sali na Altmanówce Wieczór Świetlicowy z okazji 69. rocznicy WSRP. W programie zaproponowano referat o Związku Radzieckim oraz wyświetlono film polski pt. „Romans Teresy Hennert".

■ Imprezę oświatową zorganizowało 20. 11. w swojej świetlicy Koło PZKO Karwina-Nowe Miasto. Prelekcję pt. „Włochy" z przezroczami wygłosił inż. G. Folwarczny.

■ Z powodu szkód górniczych w Łąkach musiano ostatnio oprócz świetlicy PZKO opuścić lokal biblioteki gminnej w byłej PSP. Kierownictwo Biblioteki Powiatowej w Karwinie w porozumieniu z MRN oraz władzami szkolnymi zapewniło dla biblioteki w Łąkach nowy, zastępczy lokal w budynku czeskiej szkoły podstawowej. Przeprowadzkę biblioteki już zrealizowano przy pomocy niektórych mieszkańców dzielnicy Łąki.

■ W Kole PZKO we Frysztacie zagajono 40-lecie założenia Koła Walnym Zebraniem, które odbyło się 23. 11. w Domu Przyjaźni KZ Kop. „ACS" we Frysztacie. Był bogaty program kulturalny w wykonaniu chóru żeńskiego Koła, młodzieży PSP a po zebraniu odbyło się spotkanie towarzyskie. W WZ uczestniczyli także przedstawiciel KP KPCz w Karwinie A. Vymětalik oraz R. Nemeth, wiceprzewodniczący MRN w Karwinie. Z ramienia ZG obecny był Wł. Orszulik, I sekretarz ZG.

■ Klub Propozycji przy tym Kole zrealizował 24. 11. w Domu PZKO prelekcję inż. G. Folwarcznego pt. „Włochy" z przezroczami.

■ Stonawskie Koło PZKO odbyło swoje Walne Zebranie 23. 11. w Domu PZKO. Bogaty program kulturalny wykonali przedszkolacy, młodzież szkolna i zespoły własne Koła. Czynna była wystawa książek połączona ze sprzedażą.

■ Na Walnym Zebraniu Koła PZKO w Karwinie-Starym Mieście 23. 11. w Domu PZKO program kulturalny wykonał chór mieszany Koła „Przyjaźń".

ORŁOWA

■ 8 i 9. 11. w Domu Kultury w Orłowej-Lutyni tamtejsze Koło PZKO zrealizowało udaną wystawę prac ręcznych i kulinarnych. W ramach tej wystawy 9. 11. na deskach DK całowieczorowy koncert z programem XIV Premiery wykonał Zespół Pieśni i Tańca ZG PZKO „Olza". Koncert wypadł na medal, o czym świadczyły gorące oklaski wypełnionej po brzegi widowni.

■ Wieczór świetlicowy z okazji MOKiP '86 oraz 69. rocznicy WSRP zorganizował 8. 11. w swojej świetlicy zarząd MK PZKO Dąbrowa. Po okolicznościowym programie wyświetlono polski film z serii „07 zgłoś się". Czynna była również wystawa książek połączona ze sprzedażą.

■ 15. 11. Koło PZKO w Rychwałdzie zrealizowało w swojej świetlicy projekcję filmu polskiego pt. „Romans Teresy Hennert".

■ Komitet Miejski PZKO w Orłowej oraz chór męski ZG PZKO „Hasło" Orłowa urządzili 23. 11. w sali Domu Kultury w Orłowej-Lutyni udany Koncert z okazji Międzynarodowego Roku Pokoju. Całowieczorowy program koncertu wykonali chór męski ZG „Hasło" pod batutą doc. Brunona Rygla, przy akompaniamencie fortepianowym Wandy Miech, oraz dziecięcy zespół taneczny „Łączka" z Bystrzycy n. Olzą – uczestnik VII ŚFPZF w Rzeszowie 1986 z kierownikiem Marią Podzemną. Słowo wiążące Halina Koteńko.

TRZYNIEC

■ Z okazji 69. rocznicy WSRP i MOKiP '86, Koło PZKO w Oldrzychowicach urządziło 8. 11. w sali kina Uroczysty Koncert. W bogatym programie kulturalnym wystąpił chór mieszany Koła pod batutą E. Kaima, zespół wokalny z MK PZKO Błędowice oraz połączone zespoły taneczne Koła pod kierownictwem Haliny Szlauer i Jarosława Siedloka.

■ Zarząd MK PZKO w Wędryni zrealizował imprezę z okazji MOKiP '86 9. 11. w Domu PZKO „Czytelni". W programie wystąpił zespół taneczny „Łączka" z PSP w Bystrzycy wraz z uczniami PSP z Wędryni. Czynna była wystawa książek połączona ze sprzedażą.

■ Zespół Kobiet Koła PZKO w Trzyńcu-Osówkach urządził 15 i 16. 11. wystawę pn. „Praktyczna kobieta" połączoną z giełdą rzeczy używanych oraz wystawą książki polskiej i sprzedażą.

■ Komitet Miejski PZKO w Trzyńcu zorganizował 16. 11. w sali Domu Kultury HT koncert – repryzę XIV premiery w wykonaniu ZPiT ZG PZKO „Olzy".

■ Uroczystą Akademię z okazji MOKiP '86 zrealizowało 12. 10. w budynku byłej MRN Koło PZKO w Ropicy. W programie była prelekcja, występ dzieci szkolnych i kiermasz książek.

■ Zarząd MK PZKO w Gutach zorganizował 26. 10. w Domu PZKO z okazji MOKiP '86 zebranie członkowskie. W programie m. in. wystąpili przedszkolacy oraz Karol Suszka, kierownik artystyczny SP TC.



rys. ALEŠ MORÁVEK



fot. DRAHOSLAV RAMÍK

MOZAIKA

TEMAT DLA EWY

DOBRE SAMOPOCZUCIE

Jeśli ktoś powie, że pogodny nastrój, dobre samopoczucie działają niekiedy skuteczniej od renomowanego kosmetyku, to nie sposób nie przyznać mu racji. A każdej z nas zdarzają się przecież takie dni, które najchętniej wykreśliłaby z kalendarza; szare, nieprzyjazne, pełne przykrych doznań. Powrót do domu przestaje być radością, nie daje nadziei na wypoczynek, bo cały spokój zakłócony jest rozpamiętywaniem tego, co nam przykrego powiedział szef, jak nam dokuczyła koleżanka, czego nam się nie udało kupić i jak to przez nieuwagę zapłaciłyśmy w sklepie więcej niż się należało.

ODPRĘŻ SIĘ!

Najlepszym sposobem na nerwowe życie i monotonię powszednich dni jest sztuka odprężania się. Umiejętność usuwania skutków stresów nie wymaga wcale trudnych zabiegów. Skutecznym środkiem obronnym jest urozmaicanie sobie życia czym się da i jak się da — dla jednego tą ucieczką od stresów będzie czytanie książek, dla innego działka, dla trzeciego z kolei chodzenie na koncerty lub do kina. Ogromna większość uwikłanych w powszednie kłopoty jest zbyt blisko swoich zmartwień. Gorzej — trwa w stanie emocjonalnym sprzyjającym wyolbrzymianiu problemu, a nie jego logicznej, racjonalnej interpretacji. Często już samo mówienie o tym, co nas gnębi — oczywiście z osobami, które nas rozumieją — odpręża, a przez to obniża napięcie nerwowe, przywracając równowagę psychiczną. Każdemu przecież łatwiej żyć, gdy wie, że innym też życie nie ściele się na różach, że mają niepokoje i niepowodzenia. W tej sytuacji nawet największe zmartwienie traci znamiona osobistego, nam tylko przypisanego przez los kataklizmu. Cóż, każdy z nas jest egoistą.

JAK ROZŁADOWAĆ ZŁOŚĆ

Psycholog powie — nic prostszego, trzeba ją odreagować. Jakże często mamy ochotę zrobić awanturę — czy to w sklepie, czy szefowi, czy mężowi w domu. Nastrojem przypominamy bombę, która ma za chwilę wybuchnąć. Ale jednak hamujemy się. I słusznie. Nie wolno jednak w takim stanie, grożącym dalszymi wyładowaniami trwać przez całą resztę doby. Spróbujmy zrobić to tak: zamiast pchać się do zatłoczonego autobusu — pokonajmy trasę z pracy do domu forsowym marszem. Albo wykonajmy gruntowe porządki. Albo — jeżeli to wiosna lub lato — skopmy ogródek. Albo zabierzmy się do prucia swetra, który leży i czeka na nasze zmiłowanie już od kilku miesięcy. Słowem — rzućmy się na cokolwiek, jeśli tylko mamy świadomość,

że „to" nas nie tylko zmęczy, ale i do cna wypompuje z nas złość. Groźba zawału serca u ludzi, którzy skutki stresu psychicznego łagodzą wysiłkiem fizycznym, jest o 2/3 mniejsza niż u pozostałych, kontemplujących swoje kłopoty w bezczynności. I nauczmy się śmiać. Nic tak nie relaksuje, jak zdrowy, spontaniczny wybuch śmiechu jako reakcja na dobry dowcip, śmieszne wydarzenie, którego byliśmy świadkiem lub o którym ktoś dowcipnie opowiedział.

ZAMIAST PIGUŁEK

W wielu krajach psychoterapeuci zalecają swoim skołatanym kłopotami dnia codziennego pacjentom szczególną metodę wypoczynku, podobno wyjątkowo skuteczną, sprowadzającą spokój nawet po pełnym stresów dniu. Na czym ta metoda polega? Otóż należy usiąść na stołku kuchennym w tak zwanej pozycji dorożkarza: lekko pochylony tułów i głowa, ugięte łokcie i ręce oparte o uda. Oczy należy zamknąć i powtarzać w kółko, jakby się chciało samej sobie wmówić: „jestem spokojna, cudownie spokojna"... Nie zaszkodzi — przeciwnie — przynosi podobno dobry rezultat — przejście z pozycji dorożkarza do głębokiego skłonu tak, aby głowa zwisała tuż nad podłogą.

Nie doceniamy jeszcze jednej metody uwalniania się od stresów — mianowicie uprawiania ćwiczeń oddechowych. Dla szczególnego odprężenia i uspokojenia trzeba je przeprowadzać na leżąco: ułożyć się wygodnie plecami na podłodze i przenosząc ręce nad głowę — wykonać głęboki wdech, wydychając powietrze — przenieść ręce wzdłuż tułowia do pozycji leżącej.

Na gimnastykę oddechową powinno się po południu poświęcić co najmniej 2 razy po 10 minut. Pomaga ona również — dzięki kojącemu działaniu na system nerwowy — przy bezsenności.

A sen najskuteczniej i najlepiej zmywa z nas zmęczenie, łagodzi stresy i pozwala zmobilizować siły do kolejnego dnia.

ZIELNIK

PIERWIOSNEK LEKARSKI

Nazwa łacińska — Primula officinalis Scopoli — wywodzi się z łacińskiego „primus" — pierwszy (niektóre odmiany tej byliny należą do najwcześniej kwitnących roślin wiosennych).

Pierwiosnek ma wiele nazw ludowych. Najbardziej znane to: prymulka, kluczyk, kluczyczek czy klucz św. Piotra.

Jest to roślina znana od dawien dawna. We wczesnym średniowieczu zna ją uczony Konrad z Megenbergu, ale w spisie roślin Alberta Wielkiego nie ma o niej wzmianki. W tym czasie kwiaty pierwiosnka były dodawane do wina i w ten sposób powstawał „napój zdrowotny" dla osób lepiej urodzonych. Woda uzyskana przez destylację kwiatów pierwiosnka była bardzo popularnym środkiem upiększającym dla pań. Pierwiosnek, według wierzeń, był też czarodziejską rośliną o wielkiej mocy przeciwko „złym duchom". Za pomocą kwiatów można było (podobno z powodzeniem) szukać skarbów. Gdzie indziej znów dawano wiarę legendom, że w kwiatach pierwiosnka żyją różne skrzaty, nimfy i inne leśne duszki.

W Niemczech roślina ta słynęła jako „Heiratsschlüssel", ponieważ wierzono, że dziewczyna, która znajdzie pierwiosnek na Wielkanoc, szybko wyjdzie za mąż.

Zachowała się też ciekawa legenda o powstaniu pierwiosnka: *Kiedy św. Piotr dowiedział się, że oprócz jego kluczy, którymi o-*

twiera dobrym duszom drogę do nieba, istnieją też klucze fałszywe, za pomocą których pragną się dostać do nieba dusze złe, tak się przeląkł, że jego klucze wypadły mu z rąk i spadając na Ziemię głęboko się w niej zaryły. Z kluczy tych wyrosła roślina z pęczkiem żółtych kwiatów — pierwiosnek, który zdradza miejsce, gdzie leżą klucze św. Piotra. Nie mogąc otwierać tutaj na Ziemi bram niebios, otwierają przynajmniej bramy bogini Wiosny, którymi garnie się cały tłum dzieci Flory.

Najczęściej spotykaną u nas odmianą jest pierwiosnek wiosenny (Primula veris) oraz pierwiosnek wyniosły (Primula eliator). Pierwiosnek wiosenny spotykamy w miejscach niżej położonych i raczej suchych. Pierwiosnek wyniosły natomiast rośnie przeważnie w miejscach wyżej położonych, na wilgotnych, nasłonecznionych łąkach i w zaroślach. Występuje w całej Europie, obie odmiany kwitną w zależności od warunków klimatycznych od marca do maja i należą do pierwszych kwiatów wiosennych.

Pierwiosnki to rośliny długoletnie (byliny). Jego liście wyrastają przy ziemi i tworzą różyczkę, są pomarszczone, z obu stron na nerwach owłosione i ząbkowane po obwodzie. Z różyczki liści wyrasta łodyga o długości 15—30 cm, zakończona złocistożółtymi obwisłymi kwiatami z pomarańczowymi plamami w gardzieli. Części podziemnej rośliny nie wolno wykopywać, bowiem w Czechosłowacji jest pod ścisłą ochroną.

Dla celów farmaceutycznych zbieramy kwiaty z kielichem. Zerwanych kwiatów nie wolno ugniatać; należy je wkładać do przewiewnych woreczków i uważać, żeby się nie zaparzyły. Kwiaty suszymy w cieniu, najlepiej na sitach. Suszenie możemy przyśpieszyć przez sztuczne podniesienie temperatury do 40°C. Kwiaty, które podczas suszenia zbrunatnieją lub zabarwią się na inny kolor, tracą swoje właściwości lecznicze.

Suszonych kwiatów pierwiosnka używamy przy chorobach górnych dróg oddechowych. Substancje lecznicze uwalniają śluz i ułatwiają wydalenie go z płuc. Według tradycji ludowej pomagają również przy nerwicach, bez-



senności, zawrotach głowy i migrenie. Przy migrenie poleca się napar z 10 łyżeczek kwiatów na 2,5 dl wody (kwiaty należy parzyć 10 minut); pić po łykach w ciągu całego dnia.

Przy chorobach górnych dróg oddechowych można przyrządzić odwar w następujący sposób: zmieszać kwiaty rumianku, czarnego bzu, lipy, dziewanny i pierwiosnka — po 20 g. Łyżeczkę mieszanki wsypać do 1,5 dl gotującej się wody i gotować 10—15 minut. Odwar ten należy pić 3 razy dziennie (po 1,5 dl). Taka herbata tłumi kaszel i powoduje zwiększone wydzielanie potu (przy gorączce). Działanie to można spotęgować przez kombinowanie kwiatów pierwiosnka z korzeniem żywokostu, liśćmi podbiału, liśćmi i kwiatami macierzanki i owocami anyżu.

Kwiat pierwiosnka jest częścią składową herbaty „Species pectorales Planta", którą można kupić w każdej aptece.

M. C.

KRZYŻÓWKA

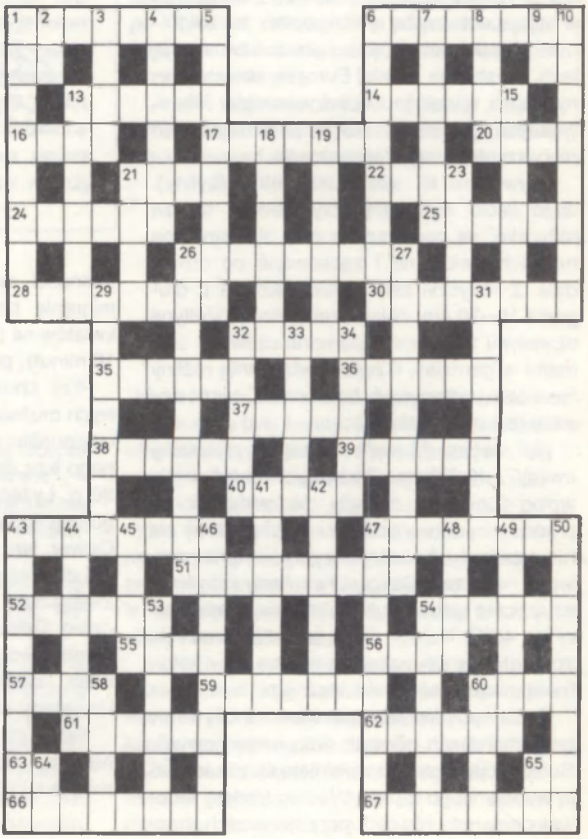
Znaczenie wyrazów:

POZIOMO:

1 kapustnik
6 antyegoizm
11 płynie przez Kujbyszew
12 japońskie szachy
13 lata za komara w tropikach
14 sterem porusza
16 też groźny w kopalni
17 smaczliwka wdzięczna
20 bywał wolny dla Kuleja
21 Ludwig
22 do wykonania
24 ośla dla początkujących narciarzy
25 ten od dziesiątej wody
26 popisowa rola Liz Taylor
28 człowiek w wilczej skórze
30 zgryzota dawna
32 chore państwo
35 tabu dla Marcosa
36 Mendelejew go przewidział
37 z Laurą do pary
38 wszystko ci zobojętniało
39 niedozwolony na 20 poziomo
40 tercja na ringu
43 miejsce pracy dyplomaty
47 kandydat
51 kombinował z 26 poziomo
52 wóz jedzie po bruku
54 siedmiu grajków
55 miał problemy z 45 pionowo
56 minia jej niezbyt smakuje
57 Błochin
59 z grupy aerofonów wargowych
60 pan świnia
61 kamrat
62 przed gepardem nie ucieknie
63 wpada do Morza Karskiego
65 e
66 lokum na atelier
67 z pracy wyleciał za sprawą „Pana Tadeusza"

PIONOWO:

1 Krzywousty
2 999
3 we Francji nad Rodanem
4 Tesla
5 szczególny postument
6 lotnisko dawne
7 złoto udaje
8 śpiewająca Magda
9 naszym związkiem kieruje
10 0,9 mieszkańca na km²
13 złóż mu życzenia 16 stycznia
15 powinien być upalny



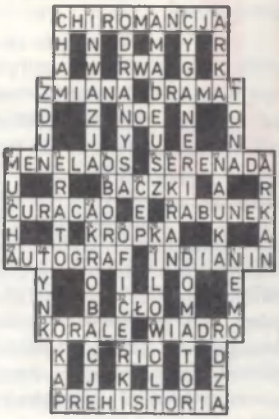
18 „krawat" Azora
19 tajniki
21 na świat**23** Nb
26 Kaśka Zapolskiej
27 Marek, cesarz rzymski
29 pałacowa
31 warowny w mieście hiszpańskim
32 pal wbije w ziemię
33 w Polsce ostatnio rozpowszechniony
34 zadrapanko
41 wyspa Morusa
42 greckie boginki lasów
43 Kopernik
44 jedno z najstarszych polskich drzew
45 wawelski
46 z rodziny dusicieli
47 ornament ciągły ze stylizowanych liści, perełek itp.
48 myśl
49 każdy tydzień jest ich 7
50 w Alpy też może wyjechać
53 łowi sobie w Kanadzie
54 wierzchołek
58 biust wg. krawca
60 duchowieństwo
64 bar
65 1001

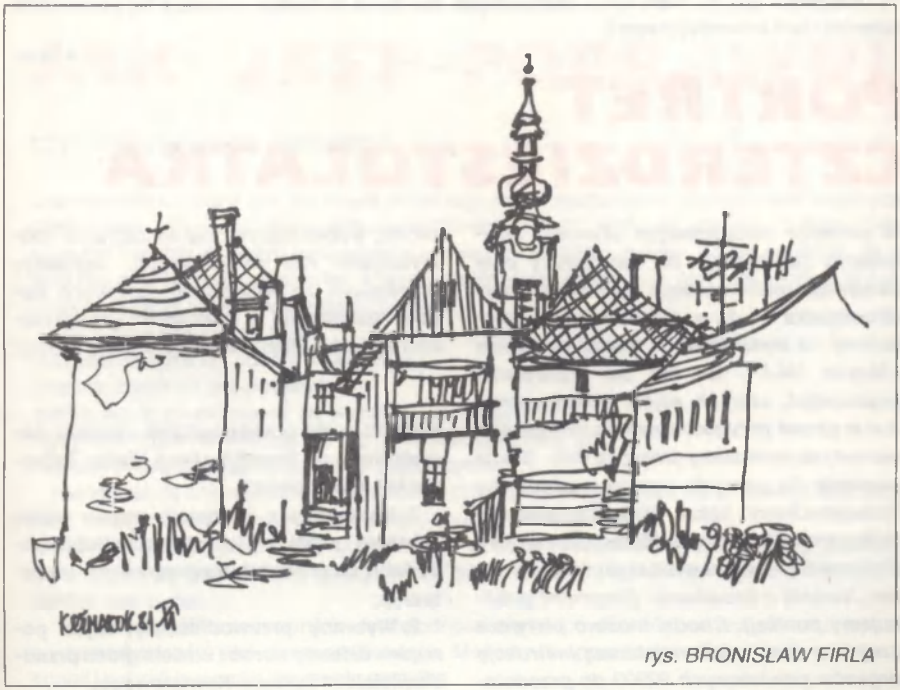
oprac. (JO)

Wśród autorów prawidłowych rozwiązań nadesłanych pod adresem redakcji najpóźniej do 31 stycznia br. rozlosowane zostaną trzy nagrody książkowe.

Obok prawidłowe rozwiązanie krzyżówki z numeru listopadowego. Nagrody otrzymują:

Paweł Santarius — Olbrachcice, Anna Wrubel — Hawierzów—Sucha Górna, Marta Żyłowa — Lutynia Dolna.





rys. BRONISŁAW FIRLA

GALERIA SLA



HALINA SZKOPEK: Fabryka, olej 1986 (4. str. okładki)

Pierwszy to chyba z dotąd prezentowanych w cyklu „Galeria SLA" obraz abstrakcyjny. Tytuł „Fabryka" i niektóre formy sugerujące kształty jakichś mechanicznych urządzeń przeczą co prawda temu określeniu, ale domyślam się, że jedno i drugie (tytuł — i sugestie przedmiotowe) stanowi tylko pretekst do takiego, a nie innego zorganizowania przestrzeni. Właściwie „przestrzeń", to za dużo powiedziane. Obraz jest całkowicie płaski, mówmy więc raczej o powierzchni. Ta zaś jest zapełniona prostymi i skomplikowanymi figurami geometrycznymi o czystych, jednolicie na całej ich powierzchni rozprowadzonych kolorach. Kolorystyka jest tu bardzo uboga, ogranicza się do czerwieni, błękitu, żółci i neutralnej czerni i bieli. Rozmieszczenie tych barw na powierzchni obrazu stwarza jednak pewne wrażenie trójwymiarowości. I na tym — na zestawieniu barwnych plam, linii poziomych i pionowych, uzupełnionych z rzadka ruchliwymi diagonalnymi i krzywymi — polega wartość wizualna tego obrazu. Na tym jednak koniec. To jakby ćwiczenie kompozycyjne. Powtarzanie formalnych zdobyczy kierunków sztuki, zwanych awangardowymi — konstruktywizmu, abstrakcji geometrycznej itp., o ile nie wzbogaci się ich o własne przemyślenia, musi prowadzić do wtórności. Tak też dzieje się, niestety, z obrazem Haliny Szkopek. Prócz poprawnej kompozycji jednak, jest w tych płaskich formach jakaś dziecięca naiwność, chęć widzenia rzeczywistości jako układanki z klocków. Ta układanka jest na razie tylko dekoracyjna, ale może wyniknie jeszcze z tej „abstrakcji naiwnej" coś interesującego?

A.M.R.

PORTRET CZTERDZIESTOLATKA

W numerze listopadowym „Zwrotu" wzywaliśmy Czytelników do współpracy przy tworzeniu nieformalnego „portretu czterdziestolatka" — do wspólnej zabawy, polegającej na wyszukiwaniu wśród członków różnych NAJ—, ale też do przesyłania wspomnień, starych zdjęć, dokumentów. Już w czasie przygotowywania niniejszego numeru otrzymaliśmy pierwsze listy. Swoje poparcie dla pomysłu wyraża w obszernej korespondencji nasza stała Czytelniczka Hildegarda Chorzempa. Niezwykle ciekawy dokument przyniósł wprost do redakcji Erwin Jonszta z Szumbarku (fragment publikujemy poniżej). Chodzi może o pierwsze „naj-", a mianowicie najstarszą instrukcję organów powiatowych PZKO do przedstawicieli, wybierających się na zebrania konstytuujące Kół miejscowych. Jesteśmy przekonani, że podobnych ciekawych śladów działalności w czterdziestoletniej historii Związku można znaleźć o wiele więcej!

Instrukcje dla przedstawiciela zarządu powiatowego na konstytuujące Walne Zebranie kół miejscowych.

1. Najstarszy z obecnych zagaja walne zebranie i prosi zebranych o stawianie kandydatur na przewodniczącego walnego zebrania.

2. Wybrany przewodniczący czyta porządek dzienny obrad i udziela głosu przedstawicielowi Zarządu Powiatowego.

3. Przedstawiciel Zarządu Powiatowego wyraża serdeczne pozdrowienia od organizacji powiatowej i zwraca uwagę na niezwykle doniosłą chwilę, w której zbiera się lud polski, aby powołać do życia własną organizację społeczną. Jest to organizacja kulturalno-oświatowa, mająca zapewnić naszemu ludowi możność rozwoju kulturalnego i narodowego. Podać krótką historię powstania PZKO i podkreślić znaczenie jednej organizacji dla wszystkich Polaków w Czechosłowacji, która ma w dwu powiatach dwie samodzielne placówki. Dotychczasowa działalność PZKO. W osobnym punkcie omówić zadania, jakie nowa organizacja ma spełnić w najbliższej przyszłości.

4. Przeprowadzenie wyborów: członków zarządu Koła miejscowego w myśl statutu. Wybór delegata i zastępcy na zjazd powiatowy PZKO. Wybór delegata do Miejscowej Rady Oświatowej. Wybór 2 rewizorów rachunków. Wybór przewodniczącego i wiceprzewodniczącego sądu honorowego Koła.

5. Nowo obrany przewodniczący otrzymuje przewodnictwo zebrania walnego. Przedstawiciel Powiatowego Zarządu wręcza mu w sposób uroczysty statuty Koła miejscowego zatwierdzone przez władze, księgi kasowe itp. oraz wzywa go do należytego reprezentowania PZKO, do ofiarnej i uczciwej pracy w myśl statutów związku, co ma być przykładem dla innych członków zarządu i członków Koła.

6. Przedstawiciel Zarządu Powiatowego omówi następnie program działania PZKO na najbliższą przyszłość.

JAK JEST POPRAWNIE

CZYLI O RUCHOMOŚCI KOŃCÓWEK

Zapominamy często o tym lub nawet sobie tego nie uświadamiamy, że końcówki czasu przeszłego *(-em, -eś, -śmy, -ście)* i trybu warunkowego *(-bym, -byś, -by, -byśmy, -byście, -by)* są ruchome i można je łączyć najczęściej z pierwszym wyrazem zdania. Nasze odczucie, że zabieg taki można zastosować tylko w języku potocznym, mówionym, jest więc błędne, to samo bowiem dotyczy literackiego języka pisanego.

Tak więc o wiele lepiej brzmi:
dobrzem wiedział niż *dobrze wiedziałem*
jakeście zrobili niż *jak zrobiliście*
żleśmy wyszli na zwłoce niż *źle wyszliśmy na zwłoce*
nigdy bym o tym nie wiedział niż *nigdy nie wiedziałbym o tym*
częściej byśmy chodzili niż *częściej chodzilibyśmy*

Skłonność do unieruchomienia końcówek czasu przeszłego i trybu warunkowego w połączeniu z formą czasownikową staje się dzisiaj coraz powszechniejsze.

Jeżeli w zdaniu jest więcej czasowników w trybie warunkowym, cząstka *-by* połączona z pierwszym wyrazem zdania stosuje się do nich wszystkich, np. *Już by o tym nie wiedział, nie słyszał, nie myślał.*

Tak samo do kilku czasowników może odnosić się końcówka *-śmy*, co jest odbiciem jej dawnej samodzielności jako słowa posiłkowego. Możemy np. powiedzieć: *Gdyśmy się o tym przekonali i nabrali pewności, że zaszła pomyłka.*

ZWROT MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO - KULTURALNY
ROK XXXIX ● NR 446 ● CENA 2,50 Kčs

1/87

[1] Pierwszy statut
[2] „Górnicy" *PIOTR PRZECZEK*
[7] Taniec powszedni *MARIA GRZEGORZ*
[15] Refleksje po premierze *DANUTA KOZIEŁŁO-FUDALI*
[21] Uroczyste Plenum ZG PZKO
[22] Pracować w eksporcie (Pezetkaowcy inaczej) *-tob-*
[26] W gościnie u „Przemian" *MARIA GRZEGORZ*
[30] Budowanie mostów przyjaźni *WŁADYSŁAW OSZELDA*
[32] O dwujęzycznym wychowaniu dzieci
[36] Zbigniew Leoniak: Nocleg mistrza
[42] Władysław Sikora: Las (fragment poematu)
[46] Jan Pilař (Tłumacze literatury polskiej) *WILHELM PRZECZEK*
[49] Zielone nurty
Okiem recenzenta:
[51] Kolorowy las Franciszka Bałona *A. M. R.*
[52] Teatr jubileuszowy *ALEKSANDRA HUMEL*
[55] Pieśni góralskie *ANDRZEJ NIEDOBA*
[57] Lutynia Dolna (Wędrówki nazewnicze)
[60] Trybuna Czytelników
[63] To i owo
[65] Kronika
Mozaika:
[73] Temat dla Ewy
[74] Zielnik *M. C.*
[76] Krzyżówka *(JO)*
[78] Galeria SLA *A. M. R.*
Portret czterdziestolatka
[79] Jak jest poprawnie
[80] *Spis treści*

1. STRONA OKŁADKI — fot. FRANCISZEK BAŁON

WYDAWCA:
POLSKI ZWIĄZEK KULTURALNO-OŚWIATOWY ZARZĄD GŁÓWNY W CZESKIM CIESZYNIE

ADRES REDAKCJI:
UL. J. BOŽKA 16
737 21 CZESKI CIESZYN
TEL. 569 83

ZESPÓŁ REDAKCYJNY:
KAZIMIERZ GAJDZICA
MARIA GRZEGORZ
URSZULA HUDECZEK
PIOTR PRZECZEK
(redaktor naczelny)

RADA REDAKCYJNA:
FRANCISZEK BAŁON
MARIA BIŁKO
WIESŁAWA BRANNA
BRONISŁAW FIRLA
TADEUSZ CHRZĄSZCZ
KAZIMIERZ JAWORSKI
STANISŁAW JEDZOK
WŁADYSŁAW ORSZULIK
RUDOLF POPIOŁEK

Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca. Drukarnia: Tisk, knižní výroba, n. p., Brno, zakład 3 — Cz. Cieszyn, ul. Rewolucyjna 1. Cena prenumeraty rocznej Kčs 30,—, półrocznej Kčs 15,—. Zgłoszenia prenumeraty w CSRS przyjmuje redakcja i administracja „Zwrotu", w PRL Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch", Warszawa, ul. Wronia 23. Zezwolenie na ulgową opłatę pocztową wydał Powiatowy Urząd Pocztowy w Karwinie 20. 8. 1963, 1268/63. Numer indeksu R 389, nakład 4250 egz.

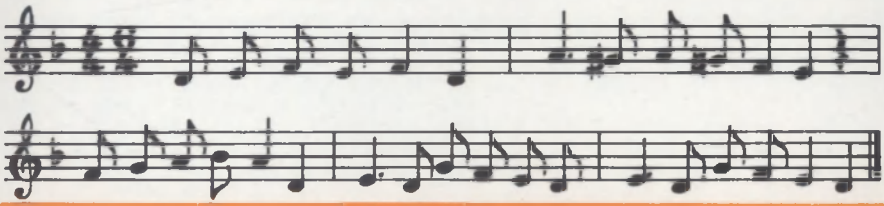
ilustracja JANINA SZOTKOWSKA

PIEŚNI GÓRALSKIE

UŻ SIE MI ŁAWECZKA

Łomna Górna

Ta wersja o złamanej ławeczce jest stosunkowo rozpowszechniona i ma szerokie pokrewieństwo w pieśniowej tradycji wschodnich Moraw. W Cieszyńskiem tekst łączył się z szeregiem innych tematów. Można tu również zaszeregować pojedynczą zwrotkę z „Slovenských spevů", która nawiązuje na pasterską nutę z Jabłonkowskiego (pomimo, że była zanotowana w Tisovcu w Gemerma lekoncie). Dla wersji z naszego regionu jest charakterystyczne wielorakie pomieszanie. Prezentowaną wersję można uważać za charakterystyczną dla naszego regionu. Kształtem najbardziej zbliżona do niej jest pieśń „Pocieszyni moje, dalekoś łody mie" zapisana w Mostach koło Jabłonkowa.

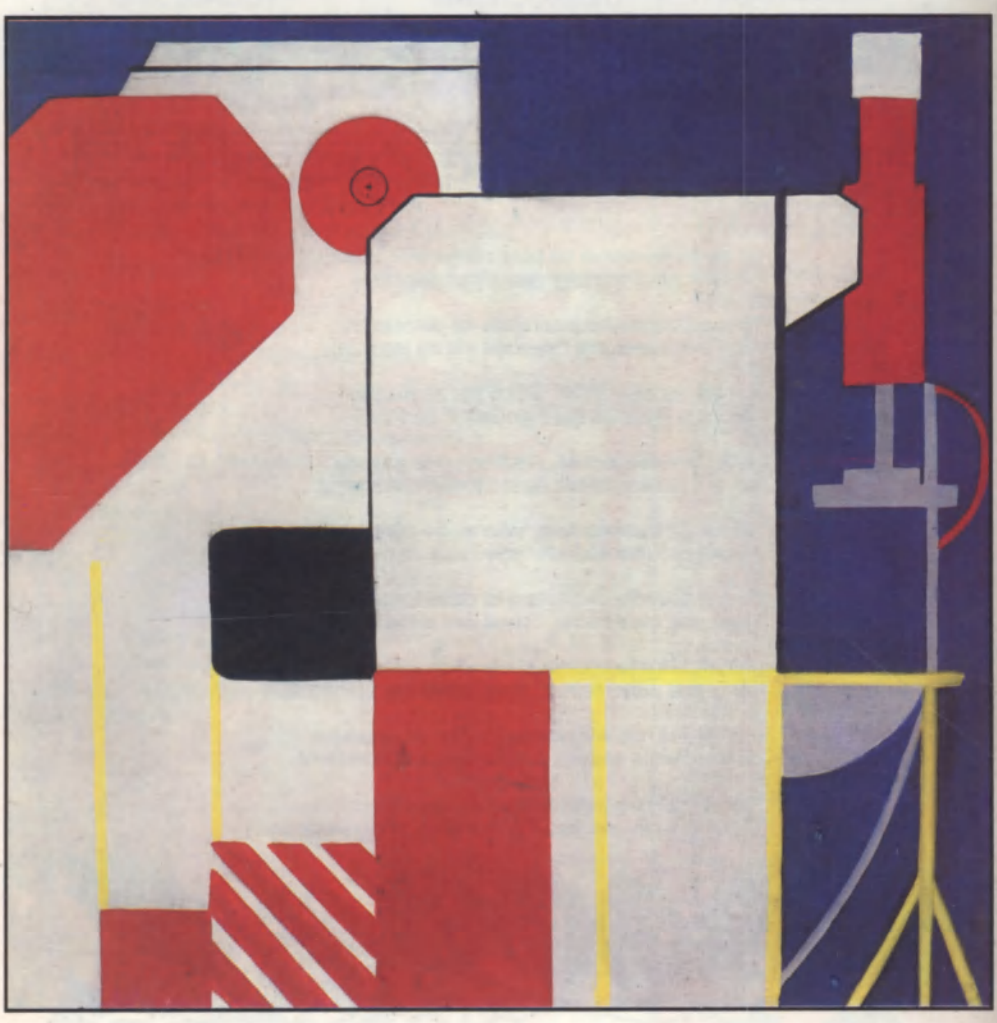


1.
Uż sie mi ławeczka na poły złómała
Co jech ze swym miły /:na nij siodowała:/
2.
Ty moja ławeczko zrośnij sie mi jeszcze
A ty, mój syneczku /:nawróć sie mi jeszcze:/
3.
Już sie nie nawrócim, serco nie zarmucim
Siednym na kóniczka /:pojadym do Rusi:/
4.
Do Rusi mosz jechać, nie jadź mi tam tyndy
Bo mi tu zeszmatlesz /:maryjónek wszyndy:/
5.
Nie tak go zeszmatlesz, jako mi go zdepcesz
Piyrwij żeś mie widzioł /:teraz mie uż nie chcesz:/
6.
Piyrwij żeś mie widzioł przez dziewiónтóm ścianym
Teraz mie nie widzisz /:choć przi tebie stanym:/
7.
Piyrwij żeś mie widzioł w kómorze w łóżeczku
Teraz mie nie widzisz /:choć stanym w słóneczku:/
8.
Piyrwij żeś mie widzioł szumnóm, uczosanóm
Teraz mie nie widzisz /:smutnóm, upłakanóm:/
9.
Piyrwij żeś mie widzioł chodzić we wióneczku
Teraz mie nie widzisz, /:uż chodzim w czepieczku:/.



Trzaskalik Henryk
735 35 HORNÍ SUCHÁ 462

HALINA SZKOPEK: Fabryka, olej 1986 (repr. ADAM SZOP)



ZWROT

2/87





Pierwszy robotniczy prezydent Klement Gottwald, sekretarz KC Komunistycznej Partii Czechosłowacji, dzięki poparciu której idea powstania naszego Związku mogła stać się faktem dokonanym, odwiedzał kilkakrotnie nasz region, spotykając się z ludźmi pracy; robotnikami, spółdzielcami, hutnikami i górnikami kopalń Zagłębia Ostrawsko-Karwińskiego. Na zdjęciach: Klement Gottwald w Boguminie w r. 1950 (u góry) oraz artysta Franciszek Świder w trakcie pracy nad rzeźbą Klementa Gottwalda.

40 LAT PZKO 1947-1987



fot. ARCHIWUM Muzeum Regionalnego w Czeskim Cieszynie, ARCHIWUM F. Świdra

ODEZWA Z LUTEGO 1948



W pamiętnych dniach lutego 1948 r. ukazała się następująca ulotka:

Odezwa do ludności polskiej!

Rodacy! Republika czechosłowacka przeżywa poważne i przełomowe chwile. Z rządu frontu narodowego wystąpili ministrowie narodowo-socjalistyczni, lidowcy i słowaccy demokraci, gdyż nie chcieli dopuścić, aby został przeprowadzony w całości program pracy frontu narodowego. Stronnictwa, które wystąpiły z rządu, postawiły się same poza nawias życia państwowego.

Wszystkie elementy, stojące na gruncie Republiki w tej historycznej chwili, deklarują swoją wierność rządowi premiera Gottwalda i tych wszystkich, którzy walczą o urzeczywistnienie prawdziwej ludowej demokracji.

My Polacy w Czechosłowacji jesteśmy sobie w całej pełni świadomi, że nasz byt narodowy i urzeczywistnienie socjalnego zabezpieczenia naszego pracującego ludu jest związane ze zwycięstwem ludowej demokracji i rządu premiera Gottwalda. Dlatego też nie wolno nam w tych dniach obojętnie przyglądać się temu, co się w Republice dzieje, ale musimy zająć stanowisko jasne i niedwuznaczne.

Wobec tej sytuacji deklarujemy naszą gotowość do współpracy z tymi czynnikami, które są gwarancją ludowej demokracji. Wzywamy ludność polską na Śląsku-Cieszyńskim, aby wzięła aktywny udział w organizowaniu podstaw nowego porządku społecznego w państwie, aby zachowała powagę chwili, nie dała się sprowokować żywiołom reakcyjnym i wszelkie objawy przeciwpaństwowe w zarodku paraliżowała.

Wierzymy, że w tym czasie, kiedy życie w Czechosłowacji wchodzi na tory rzeczywistej demokracji ludowej, na tej drodze zagwarantujemy także swoją przyszłość.

W Czeskim Cieszynie, dnia 21 lutego 1948.

W lutym 1948 roku istniała już nasza organizacja związkowa — Polski Związek Kulturalno-Oświatowy, założone zostały również jej podstawowe komórki — miejscowe Koła PZKO. Nie obejmowały one jednak całej ludności polskiej, dlatego powyższa odezwa zwraca się do wszystkich Polaków, mieszkających na czechosłowackim Śląsku Cieszyńskim, wzywając ich do współpracy i organizowania podstaw nowego ładu społecznego w naszym państwie. Odezwa, którą podpisali czołowi działacze, założyciele PZKO, była wyrazem wysokiej świadomości społecznej naszego polskiego społeczeństwa, które już wcześniej poparło politykę KPCz w czasie wyborów w r. 1947. Świadomości, że tylko w warunkach, jakie stworzyło zwycięstwo klasy robotniczej pod przewodnictwem Partii, urzeczywistnione zostaną ideały internacjonalizmu proletariackiego i współżycia wszystkich narodów i narodowości oraz możliwy będzie pełny rozwój działalności naszego Związku.

GDZIE SŁYSZYSZ ŚPIEW TAM WEJDŹ

W kolejnym spotkaniu miejsca przy okrągłym stole zajęli zaproszeni do redakcji przedstawiciele ruchu śpiewaczego, który stał się tematem naszej dyskusji „Nad uchwałą XIV Zjazdu PZKO", mającej na celu podsumowanie tego okresu działania jednej z najważniejszych dziedzin związkowej działalności kulturalnej. W rozmowie udział wzięli przewodniczący działającego przy ZG PZKO Chóru Nauczycieli Polskich Gustaw Słowik, przewodniczący zespołów śpiewaczych „Harfa" MK PZKO Czeski Cieszyn-Centrum inż. Adolf Bałon oraz długoletnia chórzystka ZŚ „Hutnik" DK HT w Trzyńcu i kameralnego zespołu śpiewaczego „Bystrzyca" Maria Hupka, od niedawna pracująca jako referent ruchu śpiewaczego ZG PZKO.

ZWROT: Na początek poproszę o krótką prezentację naszych zespołów, które choć znane, warto jednak przypomnieć.

ADOLF BAŁON: Jestem kierownikiem organizacyjnym „Harfy" z Czeskiego Cieszyna. Mamy zespoły męski i żeński, śpiewamy również jako chór mieszany. Mamy dwu dyrygentów, kierownikiem artystycznym całości jest inż. Alojzy Kaleta, który prowadzi równocześnie chóry żeński i mieszany, chór męski prowadziła do niedawna mgr Krystyna Suszka, która na pewien czas wyjechała za granicę, a my na ten okres zaangażowaliśmy dyrygenta z Polski, dr. Alojzego Kopoczka. Jeśli chodzi o skład osobowy — obydwa chóry mają koło trzydziestki osób.

GUSTAW SŁOWIK: Chór Nauczycieli Polskich zorganizowany został w ramach Towarzystwa Nauczycieli Polskich w roku 1925, niedawno więc obchodziliśmy sześćdziesięciolecie. Kierowników artystycznych było wielu, ostatnio prowadzi nas dr Alojzy Suchanek i Jan Gojniczek jako drugi dyrygent. Chór należy do starszych nie tylko jeśli chodzi o działalność, ale i skład osobowy. Liczy obecnie koło czterdziestu członków, kierownictwo, które prowadzę od kilku lat, chciało pozyskać młodych członków, ale ze względu na feminizację w szkolnictwie przyszło tylko dwu młodych nauczycieli, a obiecało kolejnych dwu. Liczymy na to, że w nowym roku zaczną uczęszczać. Wobec tego jesteśmy zmuszeni zwracać się do zaawansowanych śpiewaków również spoza nauczycielskiej profesji. Druga wersja jest taka, by zorganizować chór nauczycielek lub zespół mieszany.

ZWROT: Czytelników zapewne zainteresuje, jaki jest obecnie stan przygotowań tego powiększonego chóru nauczycieli?

SŁOWIK: Na razie uważamy, że nie jest to jeszcze konieczne, ale trzeba widzieć perspektywy. Jeśli chodzi właśnie o założenie

chóru nauczycielek, byłem takim inicjatorem akcji werbunkowej. Umówiliśmy się z dr. G. Pyszką, że wyjedziemy do przedszkoli a później do szkół podstawowych. Włączyła się do tej akcji również nasza solistka pani Jadwiga Niemiec. Niestety w wyznaczonym dniu z obiektywnych przyczyn się nie zebraliśmy, a odtąd do dziś akcji werbunkowej się nie udało zorganizować. A szkoda, bo czas pracuje przeciwko nam. Na najbliższym zebraniu mam zamiar poruszyć tę sprawę i ustalić jakiś termin, bo mam wrażenie, że zwłaszcza w przedszkolach są młodsze pracowniczki, a to są nasze rezerwy. Jest jeszcze inny problem — trzeba znaleźć dyrygentkę, która by ten chór prowadziła, bo nie ma sensu organizować chór, nie mając pewności co do obsadzenia tego najważniejszego miejsca.

Wracając do działalności ChNP — była na przestrzeni lat bardzo bogata, zyskaliśmy wiele odznaczeń, chociaż ubiegły rok był raczej mniej udany. Przede wszystkim w konkursie chórów pezetkaowskich nie wiem, czy powinno nas satysfakcjonować to trzecie miejsce. Bardziej nam się wiodło w powiecie frydecko-misteckim, tam uzyskaliśmy nagrodę za pieśń artystyczną. Jeśli o ten konkurs chórów PZKO chodzi, są raczej wśród kolegów nastroje minorowe, bowiem mamy wrażenie, że w sytuacji, kiedy nas ubywa, trzeba raczej dążyć do tego, żeby wszystkich ocenić i docenić.

ZWROT: Ale czy to jeszcze byłby konkurs?

SŁOWIK: Zmierzam do tego, że lepszy byłby — w interesie zespołów — przegląd. Są rozgoryczeni nie tylko u nas, ale i w chórze Hejnał-Echo i w innych. Jury też ma dość kłopotów, mówiono o tym na sejmiku. No, ale to już nie od nas zależy.

MARIA HUPKA: Ja śpiewam w Polskim Zespole Śpiewaczym „Hutnik", który pracuje przy Domu Kultury Huty Trzynieckiej, chodzę tam już osiemnasty rok. Obecnie dyrygentem jest pan mgr Cezary Drzewiecki. Pracuje z zespołem od roku. Skład zespołu podobny jak w Harfie — po trzydzieści kobiet i mężczyzn. Śpiewamy jako zespół żeński, męski i mieszany. Oprócz tego jestem członkinią kameralnego zespołu „Bystrzyca", który obecnie pracuje pod kierownictwem pana Bogusława Czerneka, zresztą członka ChNP. Założycielem zespołu i kierownikiem był pan Mieczysław Piechaczek, który ze względu na stan zdrowia obecnie przekazuje pałeczkę młodszemu koledze. Zespół bystrzycki liczy siedem kobiet i dwunastu mężczyzn. Występujemy również jako zespoły żeński, męski i mieszany. Repertuar mamy raczej rozrywkowy. Teraz przechodzimy pewien kryzys, ale wierzę, że nie na długo.

ZWROT: Czyli są rezerwy, przyjdą młodsi?

HUPKA: Prawdę mówiąc nie za bardzo. Daliśmy sobie zobowiązanie poszerzenia składu, bo w żeńskim zespole dwie panie w jednym głosie to za mało. Ale na razie nam się nie udaje tego zrealizować.

ZWROT: Poważniejsze są chyba jednak problemy związane z brakiem dyrygentów? Jak długo jeszcze przyjdzie nam czekać na własne kadry w tym zakresie, bo na razie posiłkujemy się dyrygentami zza granicy, z filii UŚ w Cieszynie.

HUPKA: Właśnie w tej dziedzinie może być w najbliższych latach widoczna poprawa. W zeszłym roku kilku naszych ludzi wzięło udział w kursie dla dyrygentów w Kraśniku. Część z nich już się do tej pracy zaangażowała, na przykład w Gnojniku. Byli na kursie ludzie bardzo młodzi, chórzyści, czyli trzeba będzie chyba jeszcze trochę poczekać.

ZWROT: Pomówmy o sensie ruchu śpiewaczego, którego tradycje sięgają u nas 19. wieku. W okresie międzywojnia Związek Polskich Chórów w Czechosłowacji, którego 60-lecie założenia obchodziliśmy niedawno, odgrywał w życiu kulturalnym naszego regionu rolę przodującą, angażując tysiące śpiewaków, w tym sporo młodzieży. Dawniej więc, jeszcze w okresie powojennym, ruch śpiewaczy miał olbrzymie znaczenie, obecnie to zainteresowanie, zwłaszcza wśród młodszej generacji, zaczyna upadać. Co was w śpiewactwie pociąga — i jak chcecie to wszczepić młodym?

SŁOWIK: Ja zawsze mówię tak — „gdzie

słyszysz śpiew, tam wejdź, tam dobre serca mają, bo wiedz, że źli ludzie nigdy nie śpiewają." Czyli co nas wiąże? Przyzwyczajenie od małego dziecka. Ja miałem czternaście lat, zaczynałem chodzić do chóru kościelnego w Błędowicach. Miałem starszą siostrę, więc mama powiedziała, że mam chodzić z nią. I od tego czasu aż do wojny, przez chór Macierzy Szkolnej, „Siły" się człowiek do tej pieśni przywiązywał i stało się to potrzebne jak chleb. Ale trzeba też chyba mieć jakieś zainteresowanie od urodzenia, ono chyba nie jest wrodzone, tylko trzeba dziecku od kołyski śpiewać. Ja wychowywałem teraz swojego wnuka Danielka. Większość tego przedpołudnia mu prześpiewam. W przedszkolu różnie bywa — gry, zabawy, śpiew, ale w domu dziecko samo się tego domaga: — dziadziu, co mi zaśpiewasz? I sam też śpiewa. Czyli mam wrażenie, że zaczynać trzeba od dziecka, od przedszkola. I dobrze się dzieje, że w przedszkolach coś się ruszyło, że mają nie tylko śpiew, ale i instrumenty muzyczne, jakieś bębenki, piszczałki. Ale w szkole jest potem nauczyciel, który sam nie umie śpiewać, nie zna nut. Kiedy werbowaliśmy kolegów do ChNP, zauważyliśmy, że tak jest, że nauczyciel nie gra na żadnym instrumencie. Dawniej do szkolnictwa się nie dostał nikt, kto tych warunków nie spełniał. Ale też nie było problemów z werbowaniem do chóru.

HUPKA: Ale wówczas było chyba jedno z drugim powiązane, szkoła dbała o to, by młodzież chodziła do chóru.

SŁOWIK: Nic nie pomoże, jeżeli nauczyciele sami nie pójdą przykładem.

ZWROT: Przed dwoma laty w dyskusji o śpiewactwie odnotowaliśmy te same głosy. Mówiono o tym, że nauczyciele powinni bardziej zaangażować się społecznie.

BAŁON: Tak, ale jeżeli chcemy mówić o przyszłości śpiewactwa, to musimy wracać do szkolnictwa. W związku z jego reorganizacją powstały szkoły zbiorcze, a jeżeli tam nie zacznie dziecko śpiewać pod fachowym kierownictwem, to praktycznie później już nie ma szans, poza jakimś tam wyjątkiem. Owszem, jest rodzina, ale to raczej nie ma takiego znaczenia, decyduje szkoła. W Orłowej w gimnazjum był na przykład chór studencki na bardzo wysokim poziomie i to zostawiło trwały ślad. Pani pytała, co nas łączy — więc to właśnie ten stosunek do śpiewu, jego umiłowanie. Po wojnie, jak można było znowu śpiewać po polsku, to znowu zaczęliśmy. Ja studiowałem w Brnie, więc stworzyliśmy tam chór akademicki. I to z człowiekiem idzie stale. Ale chciałem zwrócić uwagę na jedno niepokojące zjawisko — w Czeskim Cieszynie, w mieście, w którym jest przecież gimnazjum, są polskie klasy w innych szkołach średnich, nie ma na dobrą sprawę zespołu młodzieżowego.

SŁOWIK: Ja do tego jeszcze dodam, że tak samo z grona profesorskiego nie ma obecnie u nas nikogo, a tylko niektórzy śpiewają na przykład w Harfie. A trzeba pamiętać, że tak samo, jak bez przedszkola nie ma podstawówki, tak bez niej z kolei nie ma gimnazjum. Czyli należałoby zastanowić się i ci profesorzy szkół średnich mieliby pomóc. Swego czasu zorganizowaliśmy spotkanie w ZG PZKO i uzgodniliśmy, że my będziemy prowadzili werbunek w podstawówkach, a oni, czyli Zarząd Główny, będą się starali wpłynąć na grono profesorskie w gimnazjum. No ale niestety efektów tego nie widać. Potem przyszliśmy z wnioskiem, żeby ze starszych studentów kilku przyszło do nas. Wtedy powiedziano nam, że mają dużo nauki i też z tego zeszło. I nikt nie doradzi, skąd brać ludzi.

BAŁON: To jest rzeczywiście bardzo aktualny problem i często omawiany również u nas. Nie można jednoznacznie powiedzieć, dlaczego ta młodzież nie czuje zainteresowania. Może do najważniejszych przyczyn należy brak wychowania muzycznego w szkole średniej. Poza tym, jeżeli chodzi o młodych ludzi w wieku do trzydziestu lat, tylko w wyjątkowych wypadkach nam się udaje kogoś pozyskać.

BAŁON: Dziś najczęściej obaj małżonkowie pracują, wracają wieczorem do domu, nie mają czasu na wychowanie dzieci. Ale to chyba nasza wina, że nie potrafimy przekazać tym naszym synom czy córkom swoich doświadczeń. Nie potrafimy ich przekonać, że to śpiewanie może być relaksem, że może pokrzepiać duchowo i nawet fizycznie. Prze

cież nawet w pracy, jeżeli człowiek przypomni sobie fajną piosenkę czy udaną próbę chóru, no to jakoś mu ulży.

SŁOWIK: Czyli ,,piosenka osładza niedolę, każe zapomnieć, przeboleć", prawda?

BAŁON: Tak, ale na razie nam się nie udaje ich do tego przekonać.

HUPKA: Ja też potwierdzę, że trzeba zaczynać bardzo wcześnie. Pracowałam w przedszkolu i mogę powiedzieć, że dzieci bardzo lubią śpiewać. Nasze przedszkole było bardzo rozśpiewane. Pod tym względem stawiam za wzór panią Halinę Niedoba, która prowadzi dzieci od pierwszej do ostatniej klasy i bierze je potem do młodzieżowego i dorosłego chóru. I to mi się bardzo podoba.

BAŁON: Jeszcze jeden czynnik trzeba brać pod uwagę — musimy się pogodzić z faktem, że i w śpiewactwie doszło do gruntownych zmian. To, co kiedyś było piękne i wspaniałe, teraz oceniane jest inaczej. To należy brać pod uwagę mówiąc z młodymi. Do chórów, które mają przeciętną ponad pięćdziesiąt lat, trudno będzie pozyskać osiemnastolatków. Ta różnica w podejściu do wszystkich spraw życiowych jest duża.

SŁOWIK: Chociaż — w konkursie śpiewaczym podziwiałem ,,Hejnał-Echo". Mają dużo młodych. A jeśli chodzi o sprawę ,,starzy-młodzi" to byłem niedawno w Międzyzdrojach po nagrodę dla chóru. Byliśmy tam z kolegami chyba dziewięć dni i co wieczór odbywały się koncerty. I o dziwo, w każdym tym chórze byli ludzie ze wszystkich generacji.

BAŁON: Ja też tam byłem, ale chciałbym to trochę skorygować. Były takie chóry, owszem, ale zauważyłem, że chyba jedną trzecią stanowiły chóry młodzieżowe, akademickie czy licealne. A śpiewają na wysokim poziomie, z wielkim entuzjazmem.

ZWROT: Wróćmy jednak na nasze podwórko. Była idea stworzenia chóru młodzieżowego ze szkół średnich Czeskiego Cieszyna . . .

HUPKA: Coś się rzeczywiście ruszyło, powstał nowy chór przy ZG PZKO Collegium Canticorum. Pracuje kilka miesięcy, jego dyrygentem jest Leszek Kalina, który jest studentem Fakultetu Pedagogicznego w Ostrawie. Myślę, że ten zespół rokuje duże nadzieje. Jest przeszło trzydziestka chłopców i dziewcząt, ale według ostatnich informacji powiększa się (ilościowo) różnica pomiędzy chłopcami i dziewczętami na niekorzyść chłopców. Dlatego też apelujemy do Kół, żeby nam ewentualnie pomogły.

BAŁON: Warto wiedzieć, że dyrygent był i na wspomnianym kursie w Polsce, i na festiwalu w Międzyzdrojach. Na pewno zwrócił uwagę na to, jaki repertuar mają tego rodzaju zespoły.

ZWROT: A czy u nas znajdzie podobny?

HUPKA: O ile wiem, korzystają z repertuaru chóru akademickiego w Ostrawie, gdzie nasz dyrygent jest solistą. A poza tym ma do dyspozycji materiały ZG PZKO. Wiem, że wybrał z nich na razie jeden utwór, ale raczej zabiega o nowszy, bardziej współczesny repertuar. Przewidują, że po raz pierwszy publicznie wystąpią na Festiwalu PZKO w Karwinie, choć może nieco wcześniej, w formie próby generalnej, przedstawią się w którymś Kole. Może będzie to w Bystrzycy, u nas . . .

BAŁON: . . . a może w Cieszynie? My też organizujemy koncerty, na które zapraszamy inne, ciekawe zespoły. W każdym razie dobrze, że taka nowa jaskółka się pojawiła.

* * *

Głosy naszych dyskutujących w zasadzie nie odbiegają znacznie od tego, co usłyszeliśmy w dyskusji redakcyjnej przed dwoma laty, kiedy po XIV Zjeździe PZKO próbowaliśmy wspólnie wytyczyć zadania i cele, wynikające z podjętej przez Zjazd uchwały. Wtedy tak samo słychać było narzekanie na poziom i zakres nauczania wychowania muzycznego w szkołach, brak kadry dyrygenckiej, niechęć do angażowania się w sprawy śpiewactwa chóralnego młodej generacji. Pomimo to od tego czasu urósł w siłę powstały przed pięciu laty chór żeński ,,Kalina" z Karwiny, odbyły się pierwsze próby nowo założonego chóru młodzieżowego ZG PZKO ,,Collegium Canticorum". Czyżby coś jednak w naszym śpiewactwie ruszyło do przodu?

MARIA GRZEGORZ
PIOTR PRZECZEK



SEJMIK ŚPIEWACZY

Z okazji 60-lecia Związku Polskich Chórów w Czechosłowacji odbył się 7. 12. 1986 w sali hotelu „Piast" w Cz. Cieszynie Sejmik Śpiewaczy. Jego organizatorem był ZG PZKO — Sekcja Śpiewaczo-Muzyczna. W Sejmiku uczestniczyli m. in. zaproszeni goście: dyrektor Powiatowego Ośrodka Kultury w Karwinie J. Kaleta, prezes ZG PZChlO w Warszawie K. Stobiecki, sekretarz generalny ZG PZChlO K. Fober, sekretarz Oddziału Śląskiego PZChlO w Katowicach W. Stryja, redaktor naczelny „Życia Muzycznego" B. Bartoszewicz, I sekretarz ZG PZKO Wł. Orszulik i inni. Sejmik zagaił występ chóru dziecięcego „Razem" przy DK HT oraz chóru PSP w Gnojniku pod batutą Krystyny Pieknik, a prowadził go prof. E. Fierla. Główny referat wygłosił A. Kaleta, przewodniczący SŚM przy ZG PZKO. Po południu odbył się dla uczestników Sejmiku koncert laureatów pezetkaowskiego Konkursu Pieśni Chóralnej '86.











fot. FRANCISZEK BAŁON



Laureaci ubiegłorocznego konkursu chórów: w kategorii zespołów żeńskich „Nawsie" pod dyrekcją Władysława Winklera (u góry), wśród chórów mieszanych „Dźwięk" z Karwiny — Raju z Haliną Goniewicz-Urbaś (u dołu)



fot. CZESŁAW GÓRAL

KONKURS CHÓRÓW

Zarząd Główny PZKO zaszczycił mnie powołaniem do jury konkursu chórów PZKO, który odbył się 29 listopada 1986 w Teatrze Cieszyńskim. Zaproszenie przyjąłem z zadowoleniem, jako że problematyka polskich zespołów śpiewaczych znana mi jest szczegółowo, a z niektórymi z nich łączy mnie coś więcej niż oficjalne kontakty. Mam na myśli zwłaszcza orłowski chór „Hasło" z dyrygentem Brunonem Ryglem, z którym związany jestem przyjaźnią już ponad dziesięć lat. Znam również osobiście czołowych przedstawicieli polskiego życia muzycznego w naszym regionie. Nie wchodziłem zatem w środowisko zupełnie mi nieznane.

Pomimo to zaskoczyła mnie liczba zespołów, które stanęły do konkursu — było ich w sumie 26. Jestem przekonany, że bynajmniej nie były to wszystkie polskie chóry, działające na tym terenie. Pozwólcie, że najpierw zatrzymam się przy pracy komisji, której byłem członkiem. Przewodniczącym komisji mianowano znakomitego polskiego kompozytora z PRL doc. Józefa Świdra, dalej członkami jury byli Mieczysław Dzieńdziel i Piotr Jakubiec, dyrygenci również z PRL. Z naszej strony prócz mnie w skład komisji weszli dwaj kompozytorzy narodowości polskiej Paweł Kaleta i Eugeniusz Fierla. Komisja pracowała na luzie, tak więc pod koniec konkursu nawet nie zauważyłem, że absolwowaliśmy ponad dziesięciogodzinny maraton. Warunki pracy jury były znakomite, bo mieliśmy do dyspozycji praktycznie wszystkie partytury wykonywanych utworów.

Chóry prezentowały się w dwu zasadniczych kategoriach. W kategorii II znalazły się zespoły prezentujące nieco niższy poziom techniki wykonania, do kategorii I zaszeregowały się zespoły lepsze. Komisja według przydzielonych punktów decydowała o tym, czy chór w swojej kategorii pozostaje lub przechodzi do kategorii wyższej lub niższej. Ta sytuacja dotyczyła jedynego chóru, który spadł z I do II kategorii.

Wewnątrz poszczególnych kategorii chóry dzieliły się na żeńskie, męskie i mieszane. We wszystkich podgrupach komisja udzielała 1., 2. i 3. miejsca.

A oto wyniki konkursu:

KATEGORIA I

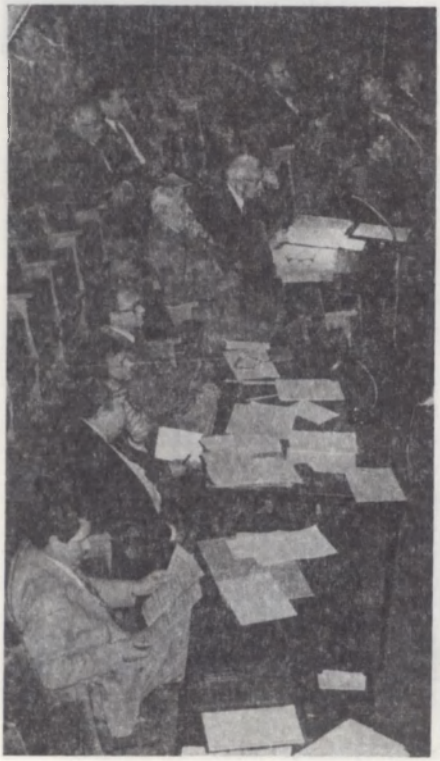
Chóry żeńskie:

1. „Nawsie"
2. „Kalina" — Karwina-Frysztat
3. „Harfa" — Czeski Cieszyn
   „Hutnik" — DK HT WSRP

Chóry męskie:

1. „Hasło" — ZG PZKO
2. „Gorol" — Jabłonków
3. „Chór Nauczycieli Polskich" — ZG PZKO
   „Hutnik" — DK HT WSRP
4. „Hejnał-Echo" — Karwina-Frysztat

Jury konkursu chórów. Jego zadaniem było ocenić poziom 26 zespołów, uczestniczących w tym swoistym przeglądzie dorobku naszego śpiewactwa w roku jego sześćdziesięciolecia



Chóry mieszane:

1. „Dźwięk" — Karwina-Raj
2. „Lira" — Karwina-Darków
3. „Harfa" — Czeski Cieszyn
4. „Lutnia" — Lutynia Dolna

KATEGORIA II

Chóry żeńskie:

1. „Olzianka" — Łąki
2. „Halka" — Stonawa
3. „Przełęcz" — Mosty k. Jabłonkowa
   „Nydek"

Chóry męskie:

1. „Harfa" — Czeski Cieszyn
2. —
3. „Siła" — Stonawa

Chóry mieszane:

1. Mosty k. Jabłonkowa
2. Orłowa — Lutynia Górna
3. Oldrzychowice
4. Olbrachcice
5. „Wędryńka" — Wędrynia
6. „Hasło" — Skrzeczoń

Uważam, że najważniejszym zadaniem tego artykułu jest nie wartościowanie popisów poszczególnych zespołów, ale raczej opisanie moich osobistych wrażeń z tego wielkiego przeglądu. W pierwszym rzędzie zdziwiła mnie stosunkowo wysoka liczba chórów męskich, których w obu kategoriach zaprezentowało się siedem. A właśnie chóry męskie były tymi, które zwłaszcza w kategorii I wykazały się wysokim i wyrównanym poziomem. Do szczytowych osiągnięć konkursu na pewno zaliczyć można występ zwycięskiego orłowskiego „Hasła" pod kierownictwem docenta Brunona Rygla i charakterystyczny popis chóru męskiego „Gorol" z Jabłonkowa, który dysponuje pięknymi, zdrowymi i młodymi głosami, dlatego też jest zespołem o dużych perspektywach. Słyszałem poglądy, że już poprzez swój ubiór zespół ten predysponowany jest raczej do występów z reper-



Wśród chórów męskich pierwsze miejsce zajął zespół ZG PZKO „Hasło" z dyrygentem doc. Bruno Ryglem (u góry), drugie jabłonkowski „Gorol" z Bogusławem Stonawskim (u dołu)



fot. CZESŁAW GÓRAL

tuarem folklorystycznym. Uważam jednak, że chór nie powinien utknąć wyłącznie na folklorze, bo dlaczego górale nie mogliby i nie umieli śpiewać również czegoś innego. Udowodnił to ich sposób podania utworu obowiązkowego. Również pozostałe zespoły męskie wykazały się solidnym poziomem.

Zaskoczeniem dla mnie była tak samo liczba chórów mieszanych, których w obu kategoriach naliczyłem jedenaście. I tutaj mieliśmy możliwość wysłuchania pięknych i ambitnych popisów. Trochę dogłębniej zajmowałem się chórami męskimi i mieszanymi, dlatego że zaskoczony byłem liczbą mężczyzn, którzy poświęcają się śpiewaniu chóralnemu. W naszym powiecie przeważają chóry żeńskie nad męskimi i mieszanymi. Wydaje się, że widocznie mężczyźni nie mają tyle czasu na śpiew co kobiety. Ten PZKO-wski konkurs chórów pokazał, że sytuacja nie jest tak zła, jak wydaje się na pierwszy rzut oka. Słyszałem jednak głosy, że to już nie to, co kiedyś. Spadek zainteresowania męskim śpiewem chóralnym widoczny jest bardziej w miastach niż na wsi.

Chóry żeńskie wykazywały poziom standardowy, co w podobnych konkursach jest rzeczą zwykłą. W tegorocznym konkursie można się było w sposób interesujący przyjrzeć dramaturgii zespołów. Jest rzeczą oczywistą, że repertuar chórów opiera się głównie o kompozytorów polskich i polskie pieśni ludowe w różnych opracowaniach. Kompozytorzy wieku 19. to Polacy, ale nie tylko (np. Moniuszko, Schubert, Beethoven i in.). Wiek 20. reprezentowali kompozytorzy polscy (w przeważającej mierze regionalni), jeden czeski (J. Suk) i jeden słowacki (E. Suchoň). Chciałbym dodać, że utwór czeski i słowacki wykonane zostały w czystym stylu. Kompozycji z wieku 19. i wcześniejszych podano jedenaście, pieśni ludowych w różnych opracowaniach usłyszeliśmy osiemnaście. Pozostałe utwory pochodziły z wieku 20., a między nimi były również kompozycje autorów regionalnych.

Utwory Pawła Kalety usłyszeliśmy sześciokrotnie, Eugeniusza Fierli nawet dziewięciokrotnie, a jeden z nich był obowiązkowym dla chórów mieszanych występujących w kategorii II. Nie liczę tu różnych opracowań pieśni ludowych, których dokonali ci kompozytorzy. Świadczy to o wielkiej popularności utworów wyżej wymienionych kompozytorów. Wiedzą oni, jak dla którego chóru utwór napisać, aby zabrzmiał poprawnie i zyskał poklask słuchaczy. Także to świadczy o gotowości tych doświadczonych autorów, którzy potrafią spełnić oczekiwania zespołów. Nasuwa się jednak pytanie, gdzie podziała się u nas średnia i młoda generacja kompozytorów narodowości polskiej? Byłoby szkoda, gdyby te dwie indywidualności kompozytorskie — P. Kaleta i E. Fierla — zostały osamotnione. Grozi tu niebezpieczeństwo pewnego stereotypu, który powstaje wtedy, gdy brakuje zdrowej konkurencji.

Do nowych utworów należy jeszcze zaliczyć pieśni kompozytora ludowego Żabki, które jednak wchodzą raczej w zakres folkloru.

Na zakończenie chciałbym powiedzieć, że konkurs chórów PZKO był bardzo udany i wniósł wiele do życia kulturalnego naszego okręgu. Wierzę, że tradycja ta będzie nadal kontynuowana. W następnym okresie życzę wszystkim chórom wiele powodzenia.

LEON JUŘICA

ROZMOWY O PIOSENCE

W wyjątkowo ciepłą sobotę 6 grudnia 1986 w Klubie PZKO w Czeskim Cieszynie spotkało się niewielkie grono entuzjastów nowej polskiej piosenki. Sami młodzi, bardzo młodzi, uśmiechnięci i stremowani, prawie wyłącznie debiutanci. Komu z nich będzie dane wystąpić na prawdziwej estradzie z prawdziwą orkiestrą? Czy ktoś z nich zrobi karierę piosenkarską? Ano, zobaczymy! Tymczasem w gorączce przygotowań dwoi się i troi ich dobry duch i opiekun, sercem i duszą zaprzedany piosence Henryk Sumera. Ustawia aparaturę, szuka taśm, ustala kolejność, podaje mikrofony, pilnuje nagłośnienia, radzi, pomaga, sprawdza playback i rozmawia ze mną niemal w biegu.

— Panie Henryku, z festiwalem polskiej piosenki jest pan związany od samego początku i to w różnym charakterze . . .

— Tak, inicjowaliśmy tę imprezę wraz z nieżyjącym już Maciejem. Pierwszy festiwal odbył się w roku 1963 w Trzyńcu i tam organizowano kolejne do roku 1969. W 1970 nastąpiła przerwa, po czym festiwal przeniesiono do Karwiny. Uczestniczyłem w nich rzeczywiście w różnym charakterze: jako organizator, solista, członek zespołu muzycznego, także juror. Może warto przypomnieć, że dopiero w roku 1973 po raz pierwszy towarzyszyła wykonawcom orkiestra rozgłośni ostrawskiej, a niewiele wcześniej „Plameňáci" (1972) i „Bukanýři" (1971).

— Który z festiwali wspomina pan najmilej i jakie są pana zadania dziś na eliminacjach?

— Najmilszy dla mnie był oczywiście festiwal w roku 1967, kiedy wspólnie z Piotrem Dostalem wyśpiewałem pierwszą nagrodę. A dziś, jak pani widzi, jestem tu „panienką do wszystkiego".

— Dlaczego festiwal odbywa się teraz co dwa lata? Czyżby spadło zainteresowanie piosenką?

— Nie, są inne przyczyny i jest ich kilka. Przede wszystkim w ciągu roku nie zdążę przygotować nagrań, taśm, kaset dla zainteresowanych. Korzystam prawie wyłącznie z własnej fonoteki. Mamy różne zgłoszenia kandydatów, nie wszyscy dysponują odpowiednim materiałem muzycznym. Nut nie rozsyłamy i nie opracowujemy tłumaczeń tekstów. Wyłonieni w naszych eliminacjach finaliści nagrają swoje piosenki w Ostrawie z towarzyszeniem orkiestry radiowej, a rozgłośnia już sama decyduje o aranżacji, ma swoich autorów przekładów itp.

— Pora więc przedstawić jury, które w tym roku zadecyduje o wyborze finalistów . . .

— Skład jury dla zainteresowanych na pewno nie jest zaskoczeniem. Przewodniczy Drahoslav Volejníček, oceniają Zbyszek Bittmar, Zbyszek Farnik, Edward Kaim, Jerzy Kaleta, sekretarzem jest Krystyna Pieknik.

— Piosenkarze, jak zauważyłam, mają jednak tremę. Nie pomogło „Studio Piosenki"?

— „Studio Piosenki" funkcjonuje według potrzeby wykonawców. W tym roku nie klei się najlepiej. Wszystkim brak czasu, ja sam



Jury eliminacji FPP pracowało w wypróbowanym składzie (od lewej): K. Pieknik, J. Kaleta, E. Kaim, D. Volejníček, Z. Farnik i Z. Bittmar

jestem zaabsorbowany chociażby nagrywaniem, nie mówiąc o pracy w trzynieckim zespole „Opus" (orkiestra domu kultury) i nie licząc już spraw zawodowych i domowych.

— *Wróćmy może jednak do festiwalu, który odbędzie się w Karwinie 28 marca br. O gości nie pytam, żeby nie zapeszyć. Chciałabym natomiast uściślić pewne sprawy regulaminowe. Czy w Karwinie usłyszymy te piosenki, które są dziś wykonywane? Kandydaci śpiewają po dwie . . .*

— Tak, w zasadzie te, które są dziś śpiewane. Może się jednak zdarzyć wyjątek, wynikający z potrzeb dramaturgii imprezy czy też potrzeb rozgłośni. Tu już decyduje jury, które oprócz oceny konkretnej interpretacji ocenia także predyspozycje i możliwości wykonawców.

— *Jak przebiega nabór kandydatów i kto jest w tym roku najmłodszym uczestnikiem?*

— Informacje o festiwalu rozpowszechniamy, jak zwykle, poprzez radio i prasę. Są to przeważnie krótkie wzmianki w najpoczytniejszych dziennikach, w pismach muzycznych nasze anonse pojawiają się bardzo rzadko. W tym roku wpłynęło 29 zgłoszeń, stawiło się 18 kandydatów. Najmłodszą uczestniczką jest moja córka, sama o tym zadecydowała. Ale myślę, że traktuje to jak eliminacje sportowe.

Kasia Sumera jest czwartoklasistką, w lutym kończy 10 lat. W szkole muzycznej uczy się gry na skrzypcach, sama nauczyła się grać na flecie. W ubiegłym roku wraz z rodzicami przysłuchiwała się koncertom Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu, dokąd państwo Sumerowie wyjechali na zaproszenie organizatorów. Kasia zdecydowanie bardziej woli skrzypce od innych instrumentów, a w swoim repertuarze wokalnym ma na razie dwie piosenki Jarosława Kukulskiego, które skomponował on dla swej córki Natalii. Jest to „Mój pechowy dzień" i „Puszek okruszek".

— *Co o tych pasjach muzycznych swoich najbliższych myśli mama i żona, pani Maria Sumera?*

— Jestem za tym, żeby córka rozwijała swoje zainteresowania muzyczne. Od niej

będzie zależało, który kierunek kształcenia wybierze: wokalny czy instrumentalny. Ja sama wyrastałam w atmosferze sprzyjającej takim upodobaniom, potem nuciłam córce do kołyski, a teraz prowadzę dziecięcy zespół śpiewaczy w trzynieckim przedszkolu przy ul. Morozowa. I nie wątpię, że dziadek Kasi, który był dyrektorem szkoły muzycznej w Vítkowie, byłby uszczęśliwiony, że wnuczka kontynuuje tradycje rodzinne.

Nie znając jeszcze wyników obrad jury poprosiłam o rozmowę jedną z uczestniczek eliminacji, Jarosławę Foltyn z Karwiny-Raju.

— Czy to jest twój pierwszy start w tego rodzaju imprezie?

— Tak. Dotąd nie brałam udziału w żadnym podobnym spotkaniu.

— Może powiesz nam coś o sobie?

— Jestem studentką pierwszego roku Wydziału Prawa Uniwersytetu J. E. Purkyně w Brnie. W tym roku uzyskałam maturę w polskim gimnazjum w Orłowej.

Najmłodsza uczestniczka eliminacji FPP, dziesięcioletnia Kasia Sumera





W finale festiwalu usłyszymy między innymi Jarosławę Foltyn z Karwiny-Raju

— A twoje kontakty z muzyką, piosenką?

— Szkoła muzyczna, 4 lata gry na fortepianie. Tańczyłam też w ,,Górniku" i dwukrotnie wyjeżdżałam na festiwal zespołów polonijnych do Rzeszowa. Teraz tańczę w zespole ,,Jánošík". Jest to wojskowy zespół folklorystyczny w Brnie, który prezentuje folklor słowacki.

— Jakie piosenki przygotowałaś na ten konkurs?

— ,,Gołębi puch" grupy ,,Lombard" i ,,Po prostu stało się" zespołu ,,Bajm".

Wiemy już, że Jarosławę Foltyn usłyszymy na tegorocznym festiwalu z towarzyszeniem orkiestry rozgłośni ostrawskiej. Obok niej wystąpią także: Dana Bichlerová, Věra Chalupová, Agata Grzegorz, Barbara Mrózek, Miriam Wranik oraz duet Halina Przybyła i Libor Baselides. Czy zobaczymy ich tylko ten jeden raz na tej jednej estradzie, czy też magia sceny przyciągnie ich na dłużej? Tymczasem — powodzenia!

ALEKSANDRA HUMEL

fot. FRANCISZEK BAŁON

LEON SZTUŁA:
WIEM COŚ O TYM

Jedyną szansą dla ludności polskiej czechosłowackiego Śląska Cieszyńskiego była polityka Komunistycznej Partii Czechosłowacji. Grupa najbardziej uświadomionych jednostek, wykorzystując sprzyjającą sytuację polityczną, rzuciła myśl o ustanowieniu nowej organizacji dla ludności polskiej, wysuwając równocześnie szereg postulatów, dotyczących uregulowania napiętej sytuacji w polityce narodowościowej państwa. — Ten fragment artykułu Marii Grzegorz pt. „Polacy! . . . a więc do pracy", zamieszczonego w Kalendarzu Śląskim na rok 1987 dał mi asumpt do tego, aby umówić się na spotkanie z Leonem Sztułą — jednym ze wzmiankowanej w artykule „grupy najbardziej uświadomionych jednostek". Wspólnie z Józefem Kadurą, Franciszkiem Szemlińskim i Henrykiem Hrabcem reprezentował w tej grupie polskie środowisko komunistyczne ówczesnego powiatu frysztackiego.

Towarzysz Leon Sztuła przyjął mnie bardzo serdecznie w swoim karwińskim mieszkaniu. Zastrzegł się jednak, że nie posiada już żadnych dokumentów ani materiałów archiwalnych z tamtych czasów bezpośrednio poprzedzających powołanie do życia PZKO. Może mi tylko opowiedzieć, co zachowało się w jego sędziwej pamięci, bo powinienem wiedzieć, że rozmawiam z człowiekiem, który 25 stycznia 1987 roku skończy 88. rok życia. Przedstawiam więc Czytelnikowi „Zwrotu", co zanotowałem z tej rozmowy.

Przyjęło się, że Polski Związek Kulturalno-Oświatowy powstał z inicjatywy i dzięki staraniom ludzi skupionych wokół redakcji „Głosu Ludu", która w początkowym okresie miała siedzibę w Czeskim Cieszynie. Jednak — moim zdaniem — fundamenty ideowe takiej polskiej organizacji o charakterze społecznym i kulturalnym stworzone zostały znacznie wcześniej, bo już na przełomie lat 1943 i 1944. W czwartym roku okupacji odwiedził mnie Gabriel Jurczak, którego znałem z przedwojennego Komsomołu. Uciekł z Rzeszy, gdzie przebywał na robotach przymusowych. Wciągnął mnie do organizowania tak zwanych trójek do nielegalnej działalności antyfaszystowskiej. Ponieważ byłem w Karwińskiem osobą znaną, towarzysz Jurczak polecił mi podjąć działalność na Podbeskidziu. Gnojnik, Toszanowice i Ligotka Kameralna — to te wioski,

w których zaczynałem swoją pracę. Pierwszym moim współpracownikiem został Andrzej Kubisz. Wspólnie rozszerzyliśmy pole działania o kolejne podbeskidzkie wioski. W Ligotce Kameralnej pozyskałem dla naszych celów Henryka Jasiczka. Dzięki niemu mogliśmy też wydawać w języku polskim nielegalne pismo „Naprzód", które było głównie rozprowadzane wśród mieszkańców Ziemi Bielskiej, a które zostało ideowym poprzednikiem powojennego „Głosu Ludu". Jasiczek, Kubisz i partyzantka „Janka" (która po wojnie wyszła za mąż za Gabriela Jurczaka) weszli zresztą później w skład zespołu redakcyjnego „Głosu Ludu". Zebrania odbywaliśmy w Gnojniku w domu Andrzeja Kubisza, który stał na odludziu pod lasem . . .

Zarówno nasza antyfaszystowska działalność polityczna, jak i czasopismo „Naprzód" były mocnym dowodami na to, że w Cieszyńskiem żyje aktywna i zwarta grupa ludności polskiej, były argumentem na poparcie późniejszych naszych starań o przyznanie Polakom na czeskim Śląsku Cieszyńskim prawa do posiadania własnej organizacji kulturalnej.

A bynajmniej nie było sprawą ani prostą, ani łatwą urzeczywistnienie pragnień tysięcy Polaków. Zanim bowiem powstało PZKO — nawet nie wiem, kto zaproponował tę nazwę, ja dla rodzącego się równocześnie z PZKO Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej zawnioskowałem nazwę Młodzież Socjalistyczna — trzeba się było mocno natrudzić i „wyglancować wiele klampek" do drzwi ważnych urzędów w Ostrawie i Pradze. Bardzo nam utrudniali życie jawnie jeszcze wówczas działający czescy narodowi socjaliści, którzy nie dość, że dezinformowali rząd republiki, przekazując mu nieprawdziwe informacje o sytuacji narodowościowej na Śląsku Cieszyńskim, to jeszcze nie dopuszczali naszych delegacji do Gottwalda. Władze dowiadywały się tylko

Leon Sztuła w swoim kajaku na cierlickim sztucznym jeziorze



o jakiejś rzekomej antyczeskiej działalności ekstremy polskiej, natomiast fakty o prześladowaniach Polaków były przed nimi skrupulatnie przemilczane. Wiem coś o tym, jako że po wyzwoleniu przez jakiś czas byłem przewodniczącym komisji narodowościowej przy Komitecie Powiatowym Komunistycznej Partii Czechosłowacji we Frysztacie.

Kiedy wreszcie w roku 1947 został powołany do życia Polski Związek Kulturalno-Oświatowy, to wszedłem w skład jego frysztackiego Zarządu Powiatowego. Jan Pribula wybrany został przewodniczącym, Franciszek Szemliński i Adolf Kubeczka wiceprezesami, Jan Zolich sekretarzem, Stefan Cichy skarbnikiem, Antoni Zahraj i Maksymilian Sznapka rewizorami. Po pierwszej kadencji wycofałem się z działalności w powiatowych władzach PZKO. Miałem tyle innych absorbujących obowiązków wynikających z pięciu czy nawet sześciu funkcji politycznych, że postanowiłem zwolnić miejsce w tym zarządzie komuś, kto z większą inwencją będzie się mógł udzielać na rzecz rozwoju PZKO.

Wiecie, mierzi mnie taka sprawa. Wywalczyliśmy dla siebie PZKO, mamy zagwarantowane wszelkie prawa narodowościowe, a nie chcemy z nich korzystać. Co mam na myśli? Otóż z coraz większym przerażeniem stwierdzam, jak to ludzie, którzy wyrośli z polskiego pnia i co to mówią, że są Polakami, kiedy mają zabrać głos publicznie, to zapominają swojego języka. Nie twierdzę, że wszyscy musimy używać języka literackiego, ale czy gwara cieszyńska jest czymś gorszym? To mowa naszych dziadów i pradziadów, dlaczego więc ich potomkowie mieliby się jej wstydzić? Czyżby ze strachu zapominali Polacy swojego języka? Ale ze strachu przed czym? Nie rozumiem tego, bo jako komunista i internacjonalista nie mogę się wypierać własnej narodowości i tym bardziej zmuszać innych do wypierania się swojej . . .

Jak moje zdrowie? Dziękuję, czuję się nieźle. Choć ostatnio odczuwam jakiś ból w okolicy lewej nerki, co przeszkadzało mi w uprawianiu kajakarstwa i pływania, a teraz nie pozwala przypiąć nart. Jeden z lekarzy „uspokoił" mnie, że „to je stářím". Ja jednak nie dałem za wygraną i zwróciłem się do fachowca. Ordynator, dr Korzeniowski, zrobił mi zdjęcia rentgenowskie i stwierdził u mnie źle zrośnięte żebro. Nawet nie wiem, kiedy je sobie złamałem. Chyba kiedyś przed laty podczas upadku na nartach. Na wniosek ordynatora otrzymałem skierowanie do karwińskiego zakładu rehabilitacji. Wierzę, że mi tam przywrócą sprawność fizyczną. Nie wyobrażam sobie bowiem lata bez kąpieli w zaporze cierlickiej. Mam tam domek letniskowy, w którym rokrocznie spędzam wiele tygodni. Wyobraźcie sobie, że jeszcze w zeszłym sezonie nurkowałem a pod wodą wytrzymywałem całą minutę . . . Tak, tak, aktywność społeczna i sport to jedyna droga do długowieczności. Za dwa lata stuknie mi dziewięćdziesiątka. Dobrze by było urodzinowych gości podejmować w pełni sił fizycznych i psychicznych . . .

A tymczasem proszę przyjąć, Towarzyszu Sztuła, z okazji Waszych 88. urodzin oraz na Jubileusz 40-lecia Waszego i naszego Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego najserdeczniejsze życzenia spełnienia wszystkich Waszych marzeń i pragnień.

KAZIMIERZ SANTARIUS

31 MAJA 1987 – KARWINA



PO RAZ PIERWSZY WYSTĄPI
NA NASZYM TERENIE
DZIECIĘCY ZESPÓŁ
PIEŚNI I TAŃCA
›VARSOVIA‹ Z PRL

PEZETKAOWCY INACZEJ

spotkanie 2.

GOSPODARZ NA 600 HEKTARACH

Dziś drugie spotkanie z jednym z 24 tysięcy rodaków z legitymacją PZKO-wską, ale nie praca społeczna jest tematem tego cyklu, chcemy przedstawić w nim pezetkaowców inaczej. Mają lat trzydzieści, może trochę mniej, może trochę więcej, najwyżej są rówieśnikami Związku: Jak ułożyli sobie życie, jakie były ich pierwsze sukcesy, porażki?

Inżynier Mieczysław Harnoł ma lat trzydzieści cztery, od niedawna jest kierownikiem jednego z dziewięciu gospodarstw PGR-u Karwina z siedzibą w Czeskim Cieszynie. Początek był dobry. Pierwsze żniwa zakończyły się dla farmy w Nieradzie pierwszym miejscem w powiecie. Wynik 50,3 centnara zbóż z hektara. Tu zawsze były dobre wyniki. Świadczą o tym analizy ubiegłej pięciolatki: pierwsze miejsce w zbożach, drugie w rzepaku, trzecie w grochu.

— Czy trudno było panu zdecydować się na przyjęcie miejsca kierownika?

— W moim wypadku trudniej o tyle, że ja jestem z zawodu zootechnikiem a nieradzkie gospodarstwo ma długoletnie tradycje w produkcji roślinnej, przez długie lata było pod zarządami najpierw „Sempry", potem „Osiv". Dyrekcja się zmieniła, ale te zamiłowania w ludziach pozostały. No, bo kto na gospodarstwie ma na przykład truskawki, próbuje robić zimą pieczarki albo kapustę, ćwikłę, buraki nasienne?

— Wasz agronom hoduje tu nawet nikaraguański kawowiec, mandarynki i chińskie ogórki. Ale czy te specyfiki, o których pan wspomniał, przynoszą opłacalne zyski?

— No, weźmy na przykład truskawki, to jest towar atrakcyjny. W ubiegłym roku z tego kawałka sprzedaliśmy trzy tony i to po dobrych

cenach. Z tego jednego hektara mieliśmy poza tym 140 tysięcy sadzonek, które również dobrze spieniężyliśmy. Tu w szerokiej okolicy nie ma producenta tych roślin. A my sprzedajemy w zagwarantowanym asortymencie 15 odmian i to szerokiemu kręgowi chętnych. Czyli jednym zdaniem: z małego skrawka ziemi maksymalny efekt finansowy.

— Brzmi to zbyt pięknie, żeby nie było żadnego „ale".

— Drugą stroną medalu jest w tej produkcji wielka pracochłonność, a liczba zatrudnionych w gospodarstwie maleje. Do tych zagonów nie można wjechać ciężką mechanizacją, tam potrzeba rąk ludzkich, tych pracowitych kobiet, które codziennie dojeżdżają na rowerach lub dochodzą piechotą z sąsiednich Wierzniowic. To nie jest łatwa praca. Trzeba zagwarantować jakość i odmianę, żeby nie stracić zaufania klientów, ale także ludzi z kontroli. To nie może być interes za wszelką cenę.

— Można z tego wnioskować, że kierownik gospodarstwa nie powinien bać się ryzyka, żeby osiągać zyski. Jak to właściwie jest z tym „panowaniem"?

— Plan zobowiązuje, ale nie ogranicza. Zawsze można ulepszać, a to gospodarstwo, gdzie obecnie pracuję, nie należało nigdy do zbyt nowoczesnych. PGR Karwina przejęło go niedawno i stopniowo wygospodarowywało fundusze na inwestycje. Dokończyliśmy budowę pomieszczeń na kiszonki i w ubiegłym roku udało nam się zgromadzić tyle pasz objętościowych, jak jeszcze nigdy przedtem. Dotychczas w prowizorycznych silosach wprost na polach kiszonki kwalifikowały się do trzeciej, najwyżej drugiej klasy jakościowej, ubiegłoroczne wyszły nam w klasie pierwszej ze świetnymi parametrami, zarówno pod względem składników odżywczych, jak i zawartości suszu. Spokojnie możemy czekać przedwiośnia, czego nie można było powiedzieć o okresie sprzed dwu lat, kiedy nasze samochody ciężarowe spotykałem w odległych zakątkach Północnych Moraw. A kto na przednówku sprzeda dobrą paszę?

— Już starzy rolnicy mawiali, że krowa „pyskiem doi". Zauważył pan już zmiany w mleczności tutejszego stada?

— Nie należymy do czołówki PGR-u, nie mamy takich wyników, jak na przykład w żukowskiej oborze, gdzie doi się 5 tysięcy litrów. My obliczyliśmy na początek, że powinniśmy zrobić tych 3 800 litrów, potem poprawiło się na 3 900, a pod koniec roku wyszło 4 015 litrów na krowę. I sprawdza się już to, o czym mówiliśmy. Normy paszy treściwej, śruty, nie można przekroczyć. Jest ustalone, że krowa dostaje latem 17 dkg a zimą 25 dkg na litr mleka. Rezerwy tkwią więc w jakościowej paszy objętościowej. Gorsze pasze zawierają szkodliwe kwasy, krowa źle je przyjmuje i efekty są widoczne.

— Od ubiegłego roku ważne jest dla opłacalności produkcji nie tylko to, ile się sprzedaje, ale również, jak się sprzedaje?

— Chciałbym to pani pokazać w naszych wykazach. Tu jest plan: wynosi 80 procent, a po obliczeniu wyszło na procent 90. Tyle mleka sprzedaliśmy w pierwszej klasie. W ubiegłym roku odwieźliśmy do mleczarni ponad 50 tysięcy litrów mleka dodatkowo.

— Może więc opłaciłoby się zwiększyć stado?

— Może by się opłacało, zresztą w przyszłości liczy się tu z budową nowej obory. Ale paszę mamy jeszcze dla 150 byków. Z tymi bykami też były kłopoty. Z tych samych powodów nie było przyrostów wagowych. W ubiegłym roku liczyliśmy na 75 dkg, w tym chcemy uzyskać 80 dkg dziennego przyrostu. Byki — to zawsze kategoria problematyczna. On urośnie wprawdzie, ale jak my tu mówimy „nie jest w mięsie" i potem trudno go sprzedać.

— A oprócz tych krów i byków, kto jeszcze je paszę z nowego silosu?

— Jeszcze jałówki. Tu w Nieradzie mamy zamknięty obieg stada, dopełniamy je z własnego chowu.

— Jak na człowieka, który był głównym zootechnikiem w największym gospodarstwie PGR-u Karwina w Lutyni, stadko ma pan tu niewielkie.

— Rzeczywiście, po przyjściu z Lutyni też mi się tak wydawało. Kiedy zaproponowano mi trzy lata temu miejsce głównego zootechnika w Lutyni, bałem się je przyjąć. Ale nie miałem zbyt wielkiego wyboru, powiedziano mi, że muszę spróbować, bo mam „perspektywy". A w Lutyni czekało na mnie 800 krów, obora wielka, nowoczesna, ale zimą, gdy temperatura spadła pod minus dwadzieścia stopni Celsjusza, nieraz przy autogenie, próbując rozmrozić wodę i utrzymać jako taką ciągłość tych nowoczesnych technologii, myślałem, że projektanci na pewno zaplanowali tę oborę z myślą o południowej Słowacji lub Węgrzech. Zootechnik, przyznam się pani, nie lubi takich dużych obór . . . No, a oprócz tych krów było jeszcze 150 mlecznych cieląt, 350 tuczników, 60 macior . . .

— Ale pierwsze kroki zootechnika stawiał pan w mniejszej oborze w Olbrachcicach.

— Tam pracowałem sześć lat. Też były i krowy, i cielęta, i prosięta, i jeszcze 8 tysięcy brojlerów.

— I zdobywając doświadczenia speca od zwierząt gospodarskich został pan w końcu szefem farmy, która ze wszystkich dziewięciu w ramach PGR-u ma największe tradycje roślinne.

— Musiałem się więc przeorientować. Tu są tradycyjne obory, gdzie wszystko jest z góry wiadomo, gdzie nie może nas zaskoczyć awaria nowoczesnych mechanizmów, do których brakuje części, gdzie pracują wspaniali ludzie związani z gospodarstwem od lat, ludzie, na których zawsze można polegać. Inaczej jest z pracą w polu, ludzi ubywa. Mamy 90 miejsc pracy, a tylko 86 jest wykorzystanych. Dużo jest emerytów. Ktoś przecież musi tę robotę wykonać, więc ci ofiarni, kiedy trzeba, pracują, nie patrząc na zegarek.

— Nie protestują?

— Powiedziałem już, że to są ludzie zżyci z gospodarstwem, że wspomnę chociażby naszego agronoma Jana Orlitę. Nie chciałbym być złym prorokiem, ale w tej nowej generacji już się chyba tacy ludzie nie rodzą.

— Nie wciąga ich praca?

— Ależ nie, tak bym tego nie ujął. Chcą pracować, ale nie od rana do wieczora. Starzy mechanicy naprawiali traktory w warsztacie bez kanału, bez ogrzewania, bez porządnego oświetlenia. Młodzi patrzą, jakie są warunki, czy jest mieszkanie . . .

— Da się to zrozumieć . . .

— . . . i według tego planować. Widziała pani ten nowy obiekt? To będą nowoczesne warsztaty naprawcze i pomieszczenia dla maszyn rolniczych, bo dawniej były trzy traktory i starczyło, teraz mamy pięć razy więcej, i nie ma ich już gdzie pomieścić. I innych maszyn przybywa. W ubiegłym roku kupiliśmy np. trzeci kombajn zbożowy E 512. To gospodarstwo ma perspektywy. Już poprawiły się warunki BHP, a do końca pięciolatki chcemy wybudować 12 trzypokojowych mieszkań dla pracowników. Musimy stworzyć atrakcyjny rynek pracy dla ludzi młodych, zdolnych, chcących pracować.

OTYLIA TOBOŁA



fot. PIOTR PRZECZEK

MELPOMENKI '86

Powtarzając daną działalność któryś raz z rzędu — winno się osiągnąć perfekcyjność wykonania. To logiczne — ale w dotychczasowej historii MELPOMENEK — nie sprawdzone. Różnego kalibru zastrzeżenia dotyczące organizacji, koncepcji etc. były przez wiele edycji imprezy motywem stałym oceny. I nic nie pomagały zalecenia poimprezowe, uchwały i ich kontrole . . . Wydawać się mogło, że sprawność przebiegu najdawniejszych Melpomenek jest mitem tylko, a w ogóle to częściowo — nieprawdą.

Jak uda się wejście w drugą dziesiątkę lat? Czy po jedenastych Melpomenkach znowu będziemy narzekać? Te i im podobne pytania wisiały nad nowym miejscem (Milików), nowym instruktorem ZG (Wandą Jursa) i odnowionym nieco, zmienionym sztabem społecznych organizatorów.

Już przebieg narad (odpraw) ww. sztabu zdawał się sugerować lekki optymizm. Nie brakło nowych pomysłów, stare zaś skrupulatnie sprawdzano. Zadania — „realizowano rytmicznie". Wszyscy niemal współpracownicy serio traktowali swoje deklaracje. I stało się. Od piątku do niedzieli (28—30. 11. 1986) w lokalach Domu PZKO i gospody p. Mrózkowej w Milikowie-Centrum pomimo spartańskich warunków — wszyscy uczestnicy, goście, widzowie i organizatorzy mogli się nie gorączkować, mieć gwarancję sprawnego przebiegu, dobrej obsługi technicznej, ciekawego zaplecza kulinarnego . . . Więc można, jeżeli się przyłożyć. Wymaga to wkładu pomyślunku, pracy i dobrej woli — ale też procentuje. Z najważniejszych plusów: funkcjonująca technika (światło, dźwięk), sprawność tzw. prezentacji (karty, drogowe . . .), wystawa retrospekcyjna Melpomenek 1—10, rejestracja video (widzieć siebie — frajda, widzieć błędy — nauka), jednorodna oprawa plastyczna. Z minusów: załamanie się wydawania Melpka, efekty węchowe.

Było więc dobrze. Warunki organizacyjno-materialne dla bujania Muz Teatru stworzyć się udało dobre. A to, czy i jak one bujały — to już inna parafia i inny omawiacz . . .

SPEKTAKLE

Laiku! Jeśli to prawda, iż zamierzasz śmiele wzgardliwym sądem uczcić muzy mojej trele, wiedz przeto, iż sąd laika wydany o dziele, o dziele mówi mało, zaś o laiku wiele. Tak napisał kiedyś nieżyjący już dzisiaj prof. T. Kotarbiński. Trudna jest więc rola człowieka, przystępującego do oceny imprezy, na którą złożyło się dziewięć spektakli, plus, nazwijmy to umownie, efekty specjalne dokreślające imprezę, nie mając w zanadrzu zbyt dużo argumentów na plus, za to dużo słów krytycznych. Jednakowoż, mając za sobą uczestnictwo w wielu imprezach teatralnych o charakterze ogólnopaństwowym, stoję i trwam niezmiennie na stanowisku, iż wyrządzamy wielką krzywdę naszym zespołom teatralnym — amatorskim wówczas, kiedy nie oceniamy ich na równi z innymi zespołami w Czechach lub Polsce. Podkreślam — nie musimy się ani wstydzić, ale ani też obrażać na słowa krytyki. Teatr małych form jest młody i agresywny, nie potrzebuje więc fałszywego łaskotania pod brodą! Proponuję więc przejść do konkretów.

1 — TEATR „LAMPA" — PRAGA

Lampa zaprezentowała sztukę wybitnego polskiego dramaturga Tadeusza Różewicza „Kartotekę". Po wprowadzeniu zmian w tekście stworzono z bohatera współczesnego rówieśnika. Jak napisali sami autorzy o swoim przedstawieniu *tradegia zamienia się często w groteskę, a pewność w niepewność.* Obecny na przeglądzie Andrzej Strzelecki, reżyser i wykładowca PWST w Warszawie, powiedział o „Lampie" — *Jest to skromny teatr w dobrym tego słowa znaczeniu i ma do pokazania rzeczy mądre, nie bojąc się śmieszności, głupoty. Serdecznie gratuluję i dziękuję za to, iż mogłem to zobaczyć.* Cóż dodać? Chyba tylko to, iż był to wielki plus Melpomenek nie tylko z powodu samego spektaklu, ale i z powodu ich bytności podczas całego trwania imprezy.

2 — TEATR „CZERWONA KURA" — BRNO

Środowisko akademickie reprezentowało na Melpomenkach Brno spektaklem „Do trzech razy sztuka". Próbowali trzy razy, no i niespecjalnie się udało. Zabrakło mi w tym spektaklu tego, czego od nich oczekiwałem. Fantazji twórczej i młodzieńczej (autorzy i wykonawcy to studenci), wyższego poziomu warsztatowego (mają przecież możliwość kontaktu z częścią czs. czołówki awangardy teatralnej — Divadlo na provázku, Ha-divadlo), no i lepszego poziomu języka polskiego. Wierzę, iż po obejrzeniu kilku spektakli profesjonalnych lub półprofesjonalnych teatrów małych form (nietradycyjnych, autorskich . . . itd. — niepotrzebne skreślić) zespół uświadomi sobie własne możliwości i poprzez popuszczenie cugli własnej fantazji nabierze potrzebnego kolorytu i siły przebicia.

Melpomenki mają już swoje tradycje — Tadeusza Wantułę w roli prowadzącego czy „oskarżyciela publicznego", szampan na otwarcie imprezy. Do tradycji należał również stosunkowo wysoki poziom uczestniczących zespołów . . .



fot. ADAM SZOP



Znakomitym wstępem do Melpomenek '86 była „Kartoteka" T. Różewicza w interpretacji praskiego teatrzyku „Lampa"

3 — „RENIA I IRENA" — WĘDRYNIA

W Melpku nr II czytamy: *„Renia i Irena" przyszły nam powiedzieć o rzeczach, które je nurtują, o których myślą, które je frapują. Ich cechą jest nieśmiałość i w pewnym sensie niepowtarzalność.* Tyle Melpek. W wypadku tego zespołu mam trochę skrępowane ręce, bo nie chciałbym wyglądać na człowieka, który włazi brudnymi buciorami w sfery czystości dziewczęcych dusz. Zabrakło w spektaklu na pewno jednego — korekty reżyserskiej, która by te osobiste wypowiedzi uformowała w kształt, umożliwiający odbiór podstawowych myśli tego spektaklu przez widza wiekowo nieokreślonego.

4 — ZESPÓŁ „ITD" — KARWINA

Zespół Tadeusza Kondziołki przedstawił „Darkowską balladę" i . . . wywołał burzliwą dyskusję, podzielił publiczność na kilka obozów. Zgadzano się w kilku punktach, a mianowicie — zbyt skrótowe potraktowanie spraw historycznych i językowych, co dało w efekcie fałszywy obraz pewnych prawd i zdarzeń; sporo uchybień w języku potocznym; no i zbyt dosłowne przekazywanie pewnych racji. Wszystkie te czynniki spowodowały, iż w efekcie końcowym powstał spektakl nierówny tak pod względem formy, jak i treści. Zespół powinien porzucić skrótową transplantację życiowych dosłowności i zacząć bardziej operować metaforą i fantazją. Na pewno wyjdzie mu to na korzyść a takie możliwości zespół posiada.

5 — ZESPÓŁ „SB" — KARWINA

„Czerwony kapturek" autorstwa Marii Bystroń umożliwił widzom rozluźnienie się po przebytych przedstawieniach. Sam zespół o sobie mówi: *Nie szukajcie w naszych spektaklach żadnych wielkich myśli ani idei. Lubimy rzeczy proste i to jest dla nas najważniejsze, chcemy pobawić publiczność.* Zgoda! Ale i zabawianie publiczności nie zwalnia zespołu z przedstawienia spektaklu

fot. PIOTR WOJOCZEK

oryginalnego, ciekawego, dobrze zrobionego warsztatowo. A tutaj kilka pomysłów zalatywało naftaliną (np. Je t'aime — Jane Birkin), tempo było różne, reakcja widzów także. Ale równocześnie były pomysły świeże, było dużo dziewczęcej delikatności i czaru. Jednak pomimo całej witalności spektaklu było to poważne obniżenie lotu zespołu „SB".

6 — ZESPÓŁ OKTA — OLDRZYCHOWICE

„Imaginacja" Kazimierza Wojnara nie potwierdziła optymistycznych prognoz zeszłorocznych Melpomenek. Zaserwowano nam spektakl niejednolity zarówno pod względem formy, jak i treści. Pierwsza część, obiecująca wiele, kuśtykała przez niemożliwość wyrażenia grą aktorską zawartości scenariusza (trudne zadanie nawet dla profesjonalistów), druga rozwiała poprzednio wytworzoną aurę tajemniczości i epatowała zbyt nachalną dosłownością. Do tego dodać trzeba niepoprawny język i niekonsekwencję historyczną. Wielka szkoda dla Melpomenek i samego zespołu, który według mojego skromnego zdania posiada duże potencjalne możliwości stworzenia dzieła ciekawego i frapującego.

7 — JANUSZ ONDRASZEK — WĘDRYNIA

Przedstawił się poza kolejnością spektaklem pantomimicznym pt. „WEEKEND TOMA" i . . . LAUR! Dlaczego? Jedyny całościowo poprawny spektakl na całym przeglądzie (nie mówię tu o gościach — LAMPIE), zręcznie omijający mielizny przeszarżowania, nachalności, wulgarności itd. Aż podziw bierze, gdzie autor i wykonawca nauczył się tylu rzeczy. Fabuła dosyć prosta — jeden dzień z życia człowieka.

8 — „APROPO" — CIERLICKO-KOŚCIELEC

Przedstawił „Romeo i Julia pod koniec XX wieku", autorstwa W. Shakespeare'a i J. Przywary. Posłużę się znowu cytatem z MELPKA: *Po mobilizujących sukcesach (start i od razu LAUR) i jeszcze bardziej mobilizującym niepowodzeniu w roku minionym, Apropo podniosło sobie poprzeczkę — po raz pierwszy sięga po klasykę. Nieśmiertelnego Romea i Julię potraktowano w Apropo nieco inaczej — po apropowsku. Rodzi się więc komiks sceniczny.* Koniec cytatu. Miało „Apropo" szansę wejścia do historii jako twórca — lokalnego komiksu scenicznego, miało sporo ciekawych pomysłów, miało doskonałe zaplecze techniczne, fachowo i oryginalnie zrobione slajdy. Logicznie rzecz biorąc sprzężenie tych rzeczy powinno pozytywnie zaowocować. Niestety. Wśród publiczności po dwudziestu minutach spektaklu słychać było „nożyce, nożyce" a „Apropo" z imponującą wytrwałością zaliczało następne minuty, grzebiąc w olbrzymiej stercie materiału rzeczy ciekawe i oryginalne. Kiedy zespół rozplącze ten węzeł gordyjski i wyrzuci niepotrzebne — otrzyma spektakl i ciekawy, i dowcipny.

9 — TEATR IM. MAJORA SZMAUZA — TRZYNIEC

Spektakl z nieodpowiednio dobranym i drażniącym tytułem „JAK NIE IDOŁ, TEDY JABŁOŁ", autorstwa i reżyserii Ireny Ondraszek charakteryzował się tym, iż . . . był to tylko pomysł pokazany na scenie, pomysł świeży i kolorowy, ale niekonsekwentnie i niedokładnie zrealizowany. Również dyskusja, która nastąpiła po zakończeniu spektaklu, była pewnego rodzaju kontynuacją działania na scenie. Na postawiony zarzut, iż zespół wpuszcza widzów w maliny, wydaje mi się, że to widzowie sami wpuścili się w maliny, dystansując się od konkretnych argumentów, dając pierwszeństwo argumentom grubego kalibru.

10 — EFEKTY SPECJALNE, CZYLI DOKREŚLENIE IMPREZY

Zespół określony cyfrą 9 był ostatnim zespołem startującym na Melpomenkach, zespołem kończącym trzon imprezy. Oprócz wyżej wymienionych zespołów uczestnicy mieli możliwość wysłuchania wykładów p. Slavickiego z Pragi i p. Andrzeja Strzeleckiego z Warszawy.

I to chyba wszystko o Melpomenkach od strony artystycznej. Za rok kolejna edycja tej ciekawej, co roku innej, imprezy. Jakie będą Melpomenki '87? Pokaże czas i zespoły biorące udział w tym teatralnym maratonie.

TADEUSZ WANTUŁA
JERZY MÖHWALD

MIEJSCE W REPREZENTACJI KRAJU

W podbeskidzkiej Łomnej Górnej mieszka Danuta Brózda (w sportowym światku bardziej znana pod panieńskim nazwiskiem Stryczek) — jedna z niewielu prawdziwych przedstawicielek sportu amatorskiego, która swoim uporem i wytrwałością wywalczyła sobie miejsce w reprezentacji CSRS nie będąc zrzeszoną w żadnym z ośrodków sportu wyczynowego. Nasuwa się pytanie, jaką cenę dzisiaj trzeba zapłacić za taki sukces?

— Jakie były początki twojej sportowej kariery?

— Na nartach w Łomnej jeżdżą wszystkie dzieci. W szkole podstawowej trudno mówić o sporcie, może o zabawie w sport, chociaż w piątej klasie, kiedy byłam uczestniczką Zjazdu Gwiaździstego i wygrałam biegi kategorii klas 6—7, odezwały się emocje — ale wśród kadry sędziowskiej, która początkowo nie chciała mi pierwszeństwa przyznać. W tym samym roku — 1975 —wstąpiłam do Klubu Sportowego w Łomnej i zaczęłam systematycznie trenować.

— Po ukończeniu podstawówki zostałaś uczennicą szkoły zawodowej w Hucie Trzynieckiej i w sporcie również nastąpiły zmiany?

— Tak i to dosyć poważne, bowiem za radą mojego nowego trenera, a zarazem świetnego piekuna B. Kučery, zmieniłam dyscyplinę — z biegów płaskich na biatlon, a latem biegi dukielskie w ramach „Svazarmu". Trener potrafił mi stworzyć dobre warunki do treningu i otrzymałam do własnej dyspozycji, na jego odpowiedzialność, strzelbę — karabinek małokalibrowy, co świadczyło o wielkim zaufaniu.

— Pierwsze sukcesy?

— Już w roku 1981 startując po raz pierwszy w mistrzostwach CSRS sięgnęłam po najwyższy tytuł w kategorii młodszych juniorek, zaś w latach 1982 i 1984 byłam mistrzynią CSRS w kategorii starszych juniorek. Cenię sobie również sukcesy w różnych turniejach, np. zwyciężyłam kilkakrotnie w długodystansowych biegach obronnych o Partyzancką Tarczę w Czeladnej, jestem mistrzynią PZKO w biegach długodystansowych.

— Obecnie pracujesz jako tokarz w Hucie Trzynieckiej na wydziale Aglomeracja I. Jak godzisz sport i pracę zawodową?

— Hm . . . sportowcy w miejscach pracy, gdzie realizacja zadań planowych wymaga dużego wysiłku i nakładu pracy od każdego pracownika, nie są specjalnie hołubieni. Na moim odcinku pracuje nas trzech i w razie mego wyjazdu na turniej czy mistrzostwa muszą mnie zastąpić, za co mogę im być jedynie wdzięczna. Natomiast dużym problemem są wolne dni na treningi. W roku 1986 otrzymałam tylko cztery dni w miesiącu (wcześniej było ich dziesięć) co jest stanowczo za mało. Przyjeżdżam z pracy do domu o 15.30, a to już zimą zapada zmierzch i nie da się w pełnym wymiarze trenować.

— Ile dziennie trenujesz?

— Bieg — 8 do 15 km plus strzelanie, no a najpierw trzeba przygotować trasę.

— Zostaje jeszcze czas na inne przyjemności?

— O ile nie mam wyjazdu w sobotę lub niedzielę, to idę do naszego Klubu Młodych PZKO, a w domu trzeba też trochę pomieszkać.

— Wróćmy do sportu, co działo się w 1985 i później?

— W roku 1985 przyjęli mnie do kadry narodo

wej. W lipcu 1986 wyjechałam na najbardziej prestiżowy turniej w biegach obronnych państw socjalistycznych na Kubę, gdzie razem z dwoma innymi czechosłowackimi zawodniczkami zdobyłam srebrny medal. Ostatnim sukcesem był brązowy medal w kategorii kobiet na Mistrzostwach CSRS w Dukielskim Biegu Sprawności Obronnej.

— Jesteś w reprezentacji, czyli w bieżącym sezonie możesz wyjechać np. na Puchar Świata w biatlone?

— Teoretycznie tak, ale z 15 zawodniczek kadry pojadą tylko cztery . . .

— Czy kobiecy biatlon będzie dyscypliną olimpijską?

— Mówiono, że już na najbliższych igrzyskach w roku 1988 wejdzie w skład dyscyplin olimpijskich, ale nie doszło do tego. W Calgary odbędzie się tylko pokazówka — turniej propagacyjny.

— Jak ważny jest sport, jaką ma rangę w twoim życiu?

— Nie jest dla mnie tym najważniejszym. Trenując staram się — bo jeśli już coś robię, chcę to robić dobrze — by przyniosło to wyniki. Dopingują mnie wyjazdy, poznaję nowych ludzi i ich środowisko. Nie mogę zaprzeczyć, że sport wywiera na mnie duży wpływ, muszę myśleć o treningu systematycznie, nie można tydzień ostro trenować, a później dwa tygodnie nic nie robić. Czasem powstaje konflikt domowy — trening kontra np. kopanie ziemniaków i wygrywają ziemniaki, w końcu to też ruch (choć jednostronny), a pomagać w domu trzeba.

— Pytanie może niedyskretne: wyszłaś niedawno za mąż za szefa Klubu Młodych MK PZKO w Górnej Łomnej, Władka Brózdę. Mieć za żonę mistrzynię CSRS to chyba nie takie proste?

— Jak na razie mąż nie stawia mi przeszkód w działalności sportowej (podpuszczany przez kolegów na wieczorze kawalerskim stwierdził, iż nie będzie miał zastrzeżeń — przypis aut.) twierdzi, że to zależy ode mnie. Sama jestem ciekawa, jak to będzie. A mogę ja o coś zapytać?

— . . .

— Czy pojedziemy jako drużyna PZKO na Polonijne Igrzyska Sportowe w tym roku do Krakowa, bo bardzo chciałabym pojechać?

— A więc do zobaczenia w Krakowie.

HENRYK CIEŚLAR



fot. HENRYK CIEŚLAR

PODRÓŻ DO MIAST ODLEGŁYCH I BLISKICH

[1]

Nigdy jednak nie mogłem zrozumieć, jak można przyjechać dokądkolwiek po to tylko, żeby coś obejrzeć. W ciągu trzech dni turysta obleci wszystkie teatry, muzea, zabytki — obskoczy tyle, ile tobie, autochtonowi, nie udało się zobaczyć przez wszystkie lata tu spędzone. Ale czy turysta stanie się leningradczykiem lub moskwianinem przez to, że wszystko obejrzał? Czyż zdoła zrozumieć Leningrad, tak jak go rozumie leningradczyk, a Moskwę jak moskwianin? Moim zdaniem nie zobaczy dosłownie nic. A raczej wszyscy turyści widzą to samo, czy to będzie Ameryka czy Afryka, Paryż czy Rzym — zobaczą zbrukane cudzymi oczami przypadkowe obiekty.

Żeby cokolwiek zobaczyć, trzeba na każdym nowym miejscu żyć życiem jego mieszkańców. Najlepiej — pracować. Od razu włączyć się w codzienne życie miejscowej społeczności. I nawet kiedy ma się do dyspozycji trzy dni, można je przeżyć ze wszystkimi. Najważniejsze to nie starać się zobaczyć wszystkiego. Wcześniej, niż wam to pisane, i tak nic nie zobaczycie.

Nie chcę przez to powiedzieć, że nie należy podróżować. Nie twierdzę: siedźcie na miejscu. Mówi się, że podróże rozszerzają horyzonty. To prawda. Rozszerzają — bo szerzej widzi się własną ojczyznę.

ANDRZEJ BITOW

Lubię podróże. Kto ich zresztą nie lubi? I owszem, są tacy, którzy rezygnują z przyjemności poruszania się w przestrzeni i czasie. Każdy ma swe ulubione miejscowości i kraje, które najchętniej zwiedza lub pragnie zwiedzić i poznać. Człowiek poznając świat i jego odmienność, poznaje poprzez to także lepiej samego siebie.

Moim marzeniem, marzeniem niedoścignym i nieosiągalnym, jest zwiedzenie wszystkich krajów basenu Morza Śródziemnego oraz dalekiej Syberii wraz z Bajkałem, w tym ostatnim wypadku koniecznie pociągiem . . .

— Tygodnia jazdy pociągiem nie wytrzymasz — chłodzą moje zapały przyjaciele, zapominając, że dla chcącego nic trudnego.

A swoją drogą z Żyliny do Moskwy jest 2112 km, a z Moskwy do Irkucka 5200 km.

Swego rodzaju przedsmakiem takiej podróży była pierwsza faza mojej ubiegłorocznej wycieczki w ramach Związku Dziennikarzy Czechosłowackich do Związku Radzieckiego na trasie Kijów-Odessa-Wołgograd-Leningrad.

•

Międzynarodowym pociągiem dalekobieżnym Duklaekspres (Praga-Moskwa) odcinek Żylina-Kijów długości 1240 km przebywamy w ciągu 25 godzin. Parę naście minut przed północą wsiadamy do wagonu sypialnego i w kilkadziesiąt minut później zasypiamy ukołysani monotonnym rytmem stukotu kół.

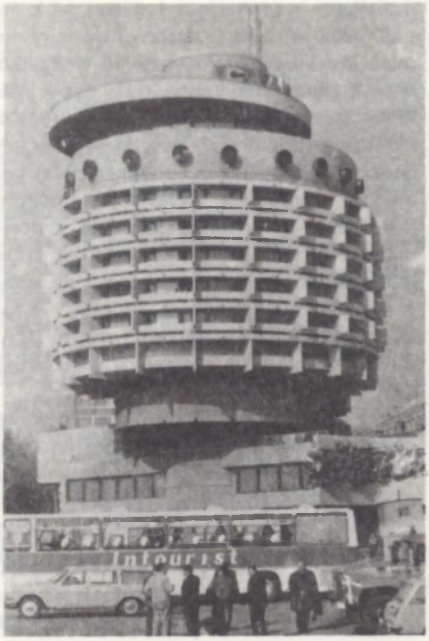
Na pół godziny przed Czarną nad Cisą, gdzie czeka nas kontrola graniczna (przebiegła bardzo gładko), dyżurna naszego wagonu budzi nas energicznie, pokrzykując po rosyjsku.

Później przejazd do Czopu, zmiana podwozi na szerokotorowe, po czym ma się wrażenie, jakby wagonem mniej rzucało i łagodniej jechał.

Już na siedząco, po czterech w przedziale, przemierzamy pierwsze kilometry przez przybraną w kolory jesieni Ruś Podkarpacką. Przed 11.00 moskiewskiego czasu (+ 2 godziny) wyruszamy z Czopu i za niespełna godzinę mijamy Mukaczewo nad Loricą. W tle widoczne góry, przed nami lśni w słońcu uroczy zamek z XIV-XV wieku. Mukaczewo, w średniowieczu twierdza węgierska Munkács o doniosłym znaczeniu strategicznym, od 1241 roku ośrodek dominiów królewskich, od XVI wieku miasto należało do Siedmiogrodu, w 1848 miejscowa ludność wzięła szturmem twierdzę — od 1781 roku austriackie więzienie państwowe — i wyzwoliła więźniów. W okresie międzywojennym Mukaczewo należało do Czechosłowacji, w latach 1938—1945 do Węgier, a po wojnie wraz z Zakarpacką Ukrainą weszło w skład Ukraińskiej SRR.

Mijamy wsie. Domki przypominają tu styl węgierskiego budownictwa wiejskiego, współpodróżni twierdzą, że podobnie buduje się w Rumunii. Czyżby to był specyficzny styl karpacki?

Na pastwiskach resztki trawy spasa bydło koloru szarobrudnego. Przede wszystkim jednak zachwyca nas krajobraz. Jedziemy doliną wzdłuż niewielkiej rzeczki (której nazwy nie mogłem zidentyfikować później nawet w atlasie samochodowym, więc pozostanie dla mnie bezimienna) po obu stronach wznoszą się niewysokie wzgórza, porośnięte lasami liściastymi, jesienno kolorowymi. Jest druga połowa października. Co za kolory, jaka żółć, czerwień, brąz, a nad tym wszystkim niebo błękitne jak nad Adriatykiem. Wszystko to piękne, aż kiczowate, ale przyrody kicz nie dotyczy.



Hotel Inturist SALIUT w Kijowie

Pociąg zatrzymuje się na krótko w niewielkiej miejscowości nazwanej Karpaty, na peronie kilka osób, w oczy rzuca się postać wyorderzonego emeryta. Zastanawiam się, czy czeka on na kogoś, czy też wyszedł tylko na spotkanie ze światem — przecież tory te łączą go z jednej strony z Pragą, z drugiej z Moskwą. A może przeszedł on tę trasę wraz ze zwycięską armią? Za tą ewentualnością przemawiałyby ordery.

Po godzinie 12.00 udajemy się o 11 wagonów wstecz, do wagonu restauracyjnego. Miejscowi ludzie w przedziałach też jedzą obiad, wypakowując swe posiłki i racząc się herbatą.

Na obiad podano nam wędzonego łososia (co za przysmak), czarny i biały chleb, kiełbasę, następnie rosół z kury, ziemniaki

fot. KAZIMIERZ JAWORSKI

zapiekane z groszkiem i mięso wołowe, a do picia jest sok jabłczany i woda mineralna Moskiewska. Smaczne to wszystko. Mijamy kilka tuneli i nagle duży napis Wita Was Zakarpacie. Mijamy wieś Beskid. Przedtem dominowały wszędzie kościoły podobne do naszych, obecnie pojawiają się już cebulaste cerkwie, a później drewniane domy mieszkalne lub stylowe ośrodki wczasowe. Nieco później znów murowańce. Powoli zostawiamy za sobą tereny górzyste, lasy i połoniny. Przed godziną 16.00 docieramy do Lwowa. Tu na dworcu panuje już atmosfera wielkomiejska.

Już czternaście godzin pędzimy pociągiem, całkiem to przyjemne, można oglądać piękne zaokienne widoki, zmieniające się jak w kalejdoskopie krajobrazy, można drzemać, czytać książkę oraz pić dobrą herbatę, którą przyniesie dyżurna za 1 koronę. Zwracam uwagę na stosunkowo dużą liczbę koni. Mijamy Krasne i w niespełna godzinę później zieleniejący łan oziminy od widnokręgu po widnokrąg. Tarnopol nad Seretem, a niebawem, około 18.45, zapada zmierzch.

Za oknami niczego już nie dojrzysz, więc po kolacji zamawiam herbatę, kładę się na siedzeniu-pościeli i rozpoczynam lekturę opowiadań Iwana Bunina „Niegdyś". Ten pisarz, emigrant, który tak pięknie pisał o Rosji, kraju swego dzieciństwa i młodości, towarzyszy mi w tej podróży i słowo daję, że jest on wspaniałym współtowarzyszem podróży. Oczami jego wyobraźni cofam się w przeszłość tego ogromnego kraju.

•

Do Kijowa dotarliśmy w środku nocy i autokarem Inturistu przewieziono nas do hotelu Bratysława.

W Kijowie jestem już po raz drugi, jeżeli liczyć jednodniowy tu pobyt przed kilku laty. Wówczas był maj, miasto tonęło w zieleni i kwitnęły biało kasztanowce. Obecnie to miasto-park mieni się wszystkimi kolorami jesieni. W dodatku dopisuje pogoda.

To 1504-letnie miasto (trzecie po Moskwie i Leningradzie, około 2,5 mln mieszkańców) jest stolicą 51-milionowej Ukrainy, wielkością przypominającą Francję.

Zwiedzanie miast autokarem ma to do siebie, że można objechać szmat przestrzeni, zobaczyć przelotnie wiele ciekawych obiektów, ale ostatecznie człowiek zagubi się w tym wszystkim, straci zupełnie orientację i odczuje bezsensowność podróżowania.

Przewodnik Inturistu Mikołaj Woźny, z wykształcenia bohemista (uniwersytet kijowski), który towarzyszyć nam będzie po całej trasie, stara się nam sumiennie przekazać wszystko, co wie na temat swego rodzinnego miasta. Historia przeplata się ze współczesnością. Mijamy kolejno muzeum historyczne, były zamek książąt kijowskich, osiemnastowieczny, piękny ba-

Nadbramna cerkiew Troicka



fot. KAZIMIERZ JAWORSKI

rokowy kościół św. Andrzeja, Plac B. Chmielnickiego z jego posągiem, znaną nam także postać przywódcy powstania Chmielnickiego, dalej czerwoną budowę Uniwersytetu Kijowskiego im. T. Szewczenki z roku 1834 (18 fakultetów, około 20 000 studentów). Zza płotu oglądamy wspaniały pałac carski (Maryjski) z 1755 roku, architekta B. Rastrelliego. Wszystko to piękne, ale w jakiś sposób nieuchwytne, nie do końca poznane. Takie zwiedzanie zniechęca mnie. Jest to jak nieodwzajemniony uśmiech atrakcyjnej kobiety. A kobiet urodziwych jest tu dużo. Spotyka je człowiek na ulicy, w metrze. Zachwyca ich miękki ukraińsko-rosyjski szczebiot.

•

W trakcie kolacji, tu w hotelu Bratysława, przygrywa orkiestra w strojach ludowych. Około pół godziny trwa program na ludowo. Następnie muzycy przebierają się i grają już nowoczesne przeboje. Przyjemnie się tego słucha. Jest piątek. W trzech osobnych salach trzy wesela. Nowożeńcy i goście weselni schodzą na wspólny parkiet i tańczą. Ludzie tu w ogóle lubią się bawić i tańczyć, a skoro zabraknie partnerów, to panie tańczą same.

•

Zwiedzamy kompleks klasztorów, słynną Ławrę Peczerską. Znów tylko fragmentarycznie, bo całość rozciąga się na obszarze 28 ha, posiada około 100 budynków, z czego 40 to ciekawe obiekty historyczne i architektoniczne z XI—XII i XVII—XVIII wieku. Ławra to większy klasztor prawosławny zależny bezpośrednio od synodu. Tutaj też dowiadujemy się, iż w roku 1988 kościół prawosławny obchodził tu będzie tysiąclecie istnienia. W roku 988 książę kijowski Włodzimierz Wielki wraz z małżeństwem z Anną, siostrą cesarza bizantyńskiego Bazylego II Bułgarobójcy, wprowadza chrześcijaństwo.

Pierwsza wzmianka o Ławrze Peczerskiej znajduje się w kronice mnicha tego klasztoru, Nestora, „Powieści lat minionych" z około 1113 roku. Cały ten kompleks od roku 1926 jest cennym zabytkiem dawnej kultury.

Wchodzimy przez wspaniałą bramę z nadbramną cerkwią Troicką (XII, XVII i XVIII wiek) w stylu baroku ukraińskiego. Zachwycamy się freskami, słuchamy wyjaśnień o historii tego obiektu, niebawem przewodnik kieruje naszą uwagę na dużą dzwonnicę ze złoconą kopułą (podobnie jak pozostałe wieże kościelne). Wieża pochodzi z XVIII wieku (architekt J. G. Schodel), jest wysoka 96 metrów. Pierwsze piętro zbudowane jest z 32 rzymskich kolumn doryckich, drugie z 16 kolumn jońskich i wreszcie trzecie piętro tworzą lekkie rzymskie półkolumny korynckie. Można tak długo podziwiać architektoniczne piękno wieży i co kwadrans słuchać kurantów.

Główną świątynią ławry był Sobór Uspieński z XI wieku. Niestety pozostały z niego tylko szczątki, bo Niemcy uciekając przed Armią Radziecką wysadzili go w powietrze.

Dużo tu wszędzie rozkopów i śladów prac remontowych i renowacyjnych.

Zwiedzamy też labirynt dwu pieczar (280 i 228 m), które przez 600 lat służyły jako klasztorny cmentarz, gdzie oglądamy trumny i mumie mnichów, duchownych i członków dawnych rodzin książęcych. Na zewnątrz turyści fotografują obiekty, malarze malują co ciekawsze ujęcia.

Nazajutrz jeszcze jeden obiekt zachwyci nas swą historią i wspaniałością, bogactwem i urokiem mozaik i fresków, też z XI i XII wieku. Chodzi o Sobór Sofijski z roku 1037. Tu oglądamy też marmurową trumnę ze szczątkami Jarosława Mądrego (fundatora soboru). Wspaniałe, nie sposób tego opisać.

Kijów, jak każde większe, historyczne i piękne miasto, przyciągał artystów, pisarzy i ludzi wybitnych. Ma więc i Kijów swego Tarasa Szewczenkę, Lesię Ukrainkę, pamięta o bytności tutaj Puszkina, Tołstoja itd. Tu również przewinęło się mnóstwo wybitnych Polaków.

KAZIMIERZ JAWORSKI

JINDŘICH GRABACKÝ

KOCHAJMY SIĘ

Właściwie to nie przypominam sobie, kiedy się ostatnio tak mocno przeraziłem. Strach po prostu mnie przybił, nie łapałem tchu — i poważnie pomyślałem, że wybiła moja ostatnia. Ktoś inny ryczałby ze zgrozy, z udawanej odwagi, komuś innemu natura nie pozwoliłaby poddać się biernie, złożyć broń . . . Zresztą jakaż to broń?

Jestem zwyczajnym człowiekiem. Kierownikiem sklepu jarzynowego w jednej z dzielnic ostrawskich. Regularnie oddaję utarg, prowadzę zapisy, kontrola się łatwo orientuje w listach dostaw, manko uczciwie kryję z własnej kieszeni, a nadwyżki odprowadzam na ręce wicedyrektora przedsiębiorstwa Owoce-Jarzyny. Ba, nawet planowane straty procentowe zamieniam w zysk ku korzyści wspólnej kasy. W moim sklepie wisi jeden dyplom i kilka aktów uznania. Utrzymuję kramik na odpowiednim poziomie, a miejski higienik dzięki mnie wziął za artykuł w „Nowej Swobodzie", zaś księga życzeń i zażaleń została nieprzypadkowo umieszczona w sąsiedztwie tytułu Wzorowa Placówka. W księdze zażaleń widnieją pochwały moich drogich klientek. Kobietki mnie lubią. Ja także lubię swoje kupujące, o niektórych marzę, niektóre mógłbym kochać. I może nawet, kto ich wie, niektórym nie jestem obojętny . . .

Wczoraj wpadłem na kawkę do restauracji Slovan. Leży po drodze do tramwaju, co wieczór zamawiam kawkę z koniakiem. Nic tak człowieka nie usatysfakcjonuje, jak patrzenie na młodych pięknych ludzi, kiedy rozprawiając śmieją się, ciągną piwko i wino, bywają w Slovanie także dziewczyny studentki z hutniczej. W lokalu wisi chmura dy-

mu papierosowego, chłopcy umawiają się z dziewczętami na randki, a jeśli po alkoholu poczują się źle, nigdy nie puszczają pawia przy stoliku.

Od trzech miesięcy nie palę. Nie palę, skoro palenie szkodzi, skraca życie. Dawniej paliłem pięćdziesiątkę w ciągu dnia. Przednie zęby pokryła mi warstwa jadu, poczęły się w niej rozgałęziać cienkie czarne nitki smolnego osadu. A co gorsza: bez papierosa nie byłem w stanie skupić się nad listami dostaw, przeniesieniami, nad niczym. Ciągłe palenie doprowadziło mnie do całkowitego uzależnienia od papierosa. W obawie, że przez przypadek zapomnę kupić tytoniu, chowałem wszędzie pudełka. W kszefcie trzymałem dziesiątki znakomitych schowków, w domu tyle samo. Ale czyż to były schowki?

Większość koniaku wlałem do filiżanki z kawką i wypiłem. Kawa ze znakowanym alkoholem to fantazja. Przed odejściem spłukałem wnętrzności resztą koniaku. Po filiżance kawy z koniakiem koniak jest kapitalny. Pod schodkami restauracji trzeba mocno uważać. Dla żelaznych gości ma personel zrozumienie, po zamknięciu załoga zakładu maszeruje z kubłami pitnej wody do schodków restauracji Slovan. Energicznymi ruchami chlusta wodę na trotuar i w ten sposób spłukuje pawie do ujść kanałowych. Miło stwierdzić, że podobnie sympatycznie postępują pracownicy wielu ostrawskich restauracji. Zwłaszcza od owego dnia, kiedy podrożało piwo.

W zeszłym roku najechano mnie z przedsiębiorstwa. Dwóch mężczyzn z jedną taką, wszystko nieomal przeliczała na sztuki, a ważyć ważyła tylko przykre słowa, czy aby nie jestem aż tak trzepnięty, że nie rozpoznam karotki od marchwi. Albo kubańskich cytryn od kubańskich pomarańczy. Albo . . . Rewizorzy oddalili się mówiąc „Dobra noc!“, każdy z kilogramem bananów i z siatką mandarynek. Ale od kobiety nie można było się uwolnić, pewnie zamiast manka tropiła mnie samego. W końcu odkryła braki na koronowych pozycjach: „Oto i mamy. Niech mi pan wobec tego naszykuje te banany i cytrusy. Co pan na to, było to panu potrzebne?“

Wczoraj więc, jak powiedziałem, wracałem z restauracji Slovan do domu. Po godzinie dwudziestej trzeciej niewielu już tylko krąży po mieście, jedynie spóźnialscy z popołudniowych zmian albo negatywne typki. Ale do dziwek nie mam szczęścia, po wielokroć sobie nawet powiedziałem, że podobne doświadczenie nikomu nie ubliży, zwłaszcza kiedy znajomym plotę, iż z kobietkami idzie mi od ręki. Oświetlenie publiczne działało w tę noc sprawnie, zachciało mi się śpiewać, lecz kiedykolwiek biorę się do śpiewania, zawsze coś się nadarzy. W ciasnych uliczkach nie było żywego ducha, młodzi piękni ludzie w tę noc nie brali się do całowania, wzajemnego miętoszenia ani gwałtów. Pewnie dlatego, że był akurat pierwszy dzień wakacji, a kiedy się realizuje wakacje, nie ma czasu na psoty. Młodym w wakacje nie miłość w głowie, bo pragną mocniejszych wrażeń, jakimi bez wątpienia są dla nich folkowe spotkania i „czunder“ albo wyjaz-

dy poza celne szlabany Czechosłowacji. A mi chciało się, na potęgę. Ale sama chęć nie wystarcza, uświadomiłem sobie, a kiedy z naprzeciwka wyrosła przede mną kobieca sylwetka, nie powstrzymałem się: „Mam w domu kolekcję pornofotek, damo", a starsza pani, może i babcia, w kłus. Z jakichś sześćdziesięciu metrów zawołała: „Poznałam ciebie, ty kryplu, ja tego tak nie zostawię, ja ci pokażę!" — i najpewniej poślizgnęła się albo co, lecz ani jęku, ani wołania o pomoc. Nieopodal od miejsca jej ostatniej oznaki życia odezwało się bkrzypnięcie wieka pojemnika na śmieci, półgłośne wyrazy zdenerwowania — i dziadzio wyłowił w skądinąd bogatym rewirze zaledwie dwie spleśniałe kromki chleba i słoik musztardy. Wsiadł na rower i pojechał ku innym bogatym stronom. A kiedym tak podchodził do bramy domu, zrobiło mi się jej żal, babci starej, głupiej, czy aby się przypadkiem nie skaleczyła . . .

Wejście do kamienicy zamyka na noc towarzysz Szwub. Z parteru. Od pójścia na rentę wszystko łaje, a bo: Dawniej zarabiano mało, a ludzie wierzyli. Dzisiaj zarabia się dużo, a nawet ci nie wierzą, którym partia pomogła w dotarciu do koryt! Z towarzyszem Szwubem nigdy na temat wiary czy niewiary nie dyskutuję.

Najpierw więc przeląkłem się, czy aby ta brama jest właściwą bramą, skoro nie skrzypnęła jak zwykle, a smród klatki schodowej też nie wydał mi się dostatecznie znany. A bo to tak: swój dom poznamy nawet z zawiązanymi oczami, nosem rozpoznajemy bezpieczeństwo i pewność. Stąd zawsze podziwiałem te różne śpiewaczki, śpiewaków lub muzyków, wędrujących od jednego hotelu do drugiego, ich nos przecież będzie przeraźliwie otępiony. Mój podziw należał się w jakiejś mierze także złodziejom mieszkań czy pasożytkom. Ale kiedy pomyślę, że oni to wszystko robią dla mamony, wtedy mi się zdaje, że każde zło zda się jednocześnie dobrem i na odwrót. Tyle że pieniądze, mówię sobie, nie są tym właściwym. Sama tylko forsa na pewno nie, bo inaczej nie warto by ani chcieć, ani dążyć. Mi osobiście idzie nie tylko o forsę, tymczasem wielu kolegów dochrapało się limuzyn i hacjend lub wysokich funkcji z solidnym groszem.

Otóż ów przestrach miał coś w sobie: brama wejściowa, korytarz, dom — proszę, jestem w naszej kamienicy (a na drugim piętrze se otworzę własne drzwi), a jednocześnie mi podskoczyło tętno, gdyż szło o coś zewnętrznego. O machinalne kroki, ruchy, o nawyk przychodzenia do domu. W środku zaś coraz więcej brało mnie przekonanie, że dom i te drzwi nie pokrywają się z moim zwykłym zamieszkaniem. Z zaledwie podejrzenia wykluwa się rodzaj szoku, kiedy mianowicie moje jestestwo zauważa obce tchnienie, jakieś ciepło, czyjąś obecność. To że w korytarzyku nie stoję sam!

Podniosłem prawicę do guziczka automatu, kiedy nacisnę, przez sześćdziesiąt sekund będzie światła jak w dzień. I palce prawej ręki dotknęły najpierw materii, następnie ludzkiej skóry i . . . Właściwie to nie pamiętam, kiedy ostatnio tak się przestraszyłem.

- - -

W naszym domu po dwudziestej drugiej wieczorem nie korzysta się z windy. Ludzi denerwuje jej skrzypienie i łomoty, skarżą się u domowego męża zaufania towarzysza Szwuba, a ten idzie wtedy po mieszkaniach i się dowiaduje, kto to i co to. A ja tymczasem jasno i wyraźnie posłyszałem opadanie klatki. Jakby schodzenie, lecz z niewyobrażalnej wysokości albo czasu, albo... Znikąd. I zanim nacisnąłem guzik oświetlenia, zajaśniało światło. Niezwyczajne i zwyczajne, zielone zniewalaniem do uśmiechu i złociste pragnieniem zamknięcia oczu. Sąsiadka z trzeciego piętra, zmora jedna, pozwala sobie: „Bry wieczór, sąsiedzie!" Ano wiadomo, całowała się na parterze z którymś z tych facetów, którzy przyjeżdżają do niej samochodami ze znakami KIB, KIC i NJA i OPC, i SUC, i VSA. Ci z OVD lub OVI przychodzili na piechotę albo jeździli tramwajem. Tak jakby automobil był czymś więcej, czymś w rodzaju pozycji publicznej albo symbolem przewodzenia. Ja zaś, kierownik jarzyn z sąsiedniej dzielnicy, ja nigdy nie byłem warty cieplejszego słówka, jak powietrze. Dla tej z trzeciego piętra, owej ufarbowanej rozwódki.

Towarzysz Szwub nie dzwoni do moich drzwi, skoro jego małżonka i pani robi zakupy w moim sklepiku i ma pięcioro wnucząt. Nie używam zresztą windy.

- - -

Tego faceta skądś znałem. Znam go, błysnęło mi w głowie! I zanim jeszcze zdążyłem wymamrotać coś na kształt pozdrowienia, pojąłem rzeczywistość nad wszystkie zwariowaną: ów mężczyzna w swetrze, z opadniętym prawym barkiem i bladawym wąsikiem... Tym facetem byłem ja sam! Ustąpiłem machinalnie, by mi sobowtór nie wlepił jednego a on tymczasem okazał się nie mniej zgłupiały z niespodziewanego spotkania, przestał całować w szyję piękność z trzeciego piętra. „Człowieku!", powiedział, „człowieku" i kręcił głową, „ty mi się chyba przyśniłeś!"

Głupio tak lękać się samego siebie, dla nas obu ten jakiś wybryk stał się absolutnie jasny. Sąsiadka śmieje się kurczowo, ją także uderzyło w oczy absolutne podobieństwo: „Chłopcy — do jasnej — kim jesteście który?!"

Przebudzenie nie kończy nocy, kończy ją ranek. Przebudzić się i znaleźć się wśród poranka, tak prostaczo nie można podchodzić do życia, kiedy po chwilach czuwania noc przybija nas i deprymuje, zasypiamy i budzimy się po tysiąckroć. I każdy nowy zawód świadomości kończy się — albo i zaczyna — wytęsknionym obrazem miłości i żądzy, czegoś przepięknego i wykończonego przez sen po mistrzowski szczegół.

Spaliśmy razem z sąsiadką z trzeciego piętra może z setkę razy.

We śnie oczywiście! Po sto i po tysiąckroć budziłem się w błogim przekonaniu, że spoczywa ona przy moim boku i wystarczy sięgnąć ręką i — dotknąć jej elektryzującej cery, wyczuć jej odmieniający się co chwilę zapach, objąć ją po prostu i przymknąć jeszcze bliżej. I zasypiałem z pragnieniem co rychlejszego ocknięcia się u niej: we śnie.

- - -

Pobiegłem wczoraj w górę klatki schodowej tempem, którego gotów mi pozazdrościć niejeden atleta. Zrobiłem światło w przedpokoju, zzuwam buty, a przepoconą koszulę rzucam na klasyczny wieszak. — Dom to dom! — coś grzeje koło serca — w domu tkwi to, co najlepszego w świecie i nic nie jest w stanie się z tym mierzyć! Lecz dla pewności biegnę od ustępu do szaf w pokoju, badam oczami meble kuchenne. Za zasłoną też nie zastaję owego ziółka — sobowtóra z parteru.

Przegrywacz połknął tę nowo nagraną kasetę, co mi ją przedwczoraj przyniosła ta pani z radia. A skoro muzyka jest od wieków moim hobby, wzmacniam decybele: wyobrażam sobie sąsiadkę o piętro wyżej idącą w pustce pokoju od ściany do ściany, słuchającą najnowszych melodii i walczącą ze zniewoleniem. Zapukać do moich drzwi, zapukać i się wprosić. Wprosić się, wypić kawę ze śmietaną i . . .

- - -

Przed dwoma miesiącami było ze mną gorzej, byłem — po czesku mówiąc — w sieni posrany. Z przedsiębiorstwa dorzucono mi trzy metry bananów więcej. I ja nagle z sześciu tysiącami w kieszeni, nie wiedziałem co i jak. Krępującą nadwyżkę odkryłem przy miesięcznym zamknięciu. Rozumie się, wnet dzwoniłem do dyrekcji, domagałem się uregulowania sprawy. A oni?! Podobne pomyłki są ponoć absolutnie wykluczone i czy ja przypadkiem nie marzę o urlopie, skoro podobny cynk otrzymali ostatnio przed ośmioma laty.

Kobiety klientki mnie lubią. Ja także je lubię. Należymy do jednej wielkiej rodziny: kierownik jarzyn i dziesiątki kobiet, dla których kolejka w moim sklepie jest codziennym losem, ponieważ w innych sklepach wprowadzono sprzedaż samoobsługową z pustymi regałami, a nic tych moich kobiet nie martwi nad to, kiedy po przydługim czekaniu muszą wracać pusty koszyk, nie pozbywszy się nawet piątki. Ja też, rozumie się, nie otrzymuję pomarańczy i cytrusów oraz papryki na co dzień. Ale współczuję im, matkom, małżonkom i służącym wiecznie umęczonych mężów. Niosą te dwie lub pięć albo jedenaście setek koron w portmonetce, cieszą się zakupami, tyle się te osóbki radują — a ja mam być dla nich zły? Ja?!

Rozmawiałem z klientkami, gawędziłem z nimi, a one czuły się dobrze, ponieważ mogły się ze mną bawić w zakupy, w handel — tak jak w czasie tak dla nich drogim, kiedy były dziewczynkami — i znowu wszystko jest na niby, tyle że pieniądze i towar są prawdziwe.

W listopadzie stuknie mi trzydziestka i dwa lata i kocham swoje kobiety. One także mnie kochają. Pozostaję bez zobowiązań, figlarzem, mówią nawet o mnie — narwany, skoro wkładam swoim kobietom do toreb zakupione przez nie jarzyny, rozmawiam z nimi o gotowaniu, o drożyźnie i o tym, że dzisiaj niczego nie można dostać. Łącznie z emocjonalnie podkolorowanymi frazesami („Pozwoli pani" i „dziękuję z całego serca", i „paniusiu, dla pani kalafiorek spod lady", i „całuję rączki!"), prowadzącymi ku obustronnemu zadowoleniu. Nos mam jak pomidor z ciemną brodawką na końcu, kudłate brwi zrośnięte nad jego korzeniem. Na ile pamiętam, najpewniej już z tymi defektami się urodziłem, mama bodaj o czymś takim gadała z sąsiadkami, tu i ówdzie po prostu przypomina mi się mama. Znowu i znowu opłakuję jej nagłą śmierć.

Nieraz wspominam także poważną sympatię sprzed lat dziewięciu. Panna marząca o swoim własnym gospodarstwie domowym, pozwolała się głaskać i całować, jej pani mama wyśmienicie gotowała, a tatuś obiecywał młodej parze ich ukochane auto, czyli że kupi sobie nowy wóz, a starego gruchota pozbędzie się razem z córą, co oboje rodziców przyprawiało o zawrót głowy. Byłaby z niej znakomita małżonka, z owej panny. Po drodze z niedzielnej wycieczki pęknął im pod błotnikiem wężyk hamowania, wylał się płyn hamulcowy. Cała rodzina zginęła po południu: teść z teściową i moja ukochana. Urządzono wspólny pogrzeb. Część krewniaków nie brała udziału w żałobnym obrzędzie: ograbiali dom spadkowy i jego bogactwa. Wszelkie i do szczętu.

Przed dwoma miesiącami wzięło mnie picie. Trapi mnie w moim przytulnie urządzonym mieszkaniu choroba przejawiająca się brakiem uwagi, niezdolnością skoncentrowania się i lękiem. Przed czym. Przed czymkolwiek. Przymocowałem do drzwi zamek z kodem numerowym, zasuwą i z łańcuszkiem z zaczepką. Ramy okienne opatrzyłem haczykami z nierdzewnej stali, w sypialni — skoro latem nie sposób spać pod zamkniętym oknem, wstawiłem prostą kratę. Zamykam także na noc zawór gazowy. Zaś wewnętrzne demony zabijam „myśliwcem". Albo wódką.

\- - -

Ktoś zapukał. I abym nie pomyślał, że dźwięk jest sprawą ducha, zabrzęczał dzwonek domowy. Wczoraj o północy. Właśnie zabierałem się do odwrócenia kasety, muzyka całkiem mnie rozbrajała, ci chłopcy angielscy wcale grać umieli. Żałowałem tylko, że nie umiem po ichniemu, owego haudujudu lub majlaw izmaj kasl.



Spodziewałem się stróża towarzysza Szwuba i jego ulubionego: „Już pan śpi? Jutro mianowicie jest, wiadomo, brygada?", i znowu harowalibyśmy we dwóch na trawniku oraz koło pojemników na śmieci.

„Patrz, Zdeni, czy to nie ten z dołu? — wepchnął się mężczyzna do mnie do przedpokoju — „w dodatku ma moje klucze. Ja mu chyba rozwalę mordę. Ja się chyba dzisiaj wstawię!". Jego towarzyszka, sąsiadka z trzeciego piętra, Zdeniczka, przesuwa się z tylnej linii: „A tak, ten sam, łajdak".

— Niech to diabli! — wycofałem się — naprawdę mi się pomieszało. To będzie nas dwóch w jednym mieszkaniu? Ja ja, on ja — i ta kozowata Zdeniczka na dodatek?!

Nastawili sobie kasetę z Demisrusosem, wyjęli korek z ostatniej mojej flaszczyny czerwonego, stuknęli się: za moje zdrowie! Za moje!

Gdzieś nad ranem, po czwartej — a jakiś leniuch już tak wcześnie nastartował windę domową — pluskała sąsiadka z trzeciego piętra i szemrała prysznicem w mojej łazience. Bez skrępowania wycierała się moim frote ręcznikiem, glansując sobie gryzy moją tuzeksową specjal-pastą. Obojętnie minęła moje ciało w fotelu, szarpęła natrętnego sobowtóra na składanym tapczanie, postać w mojej własnej piżamie: „Hej, miłości, chciałeś wstawać z ptaszkami, słyszysz!"

Postać siada, znanym mi sposobem mnie oczy, ziewa moim ziewaniem, zakażona moim ziewaniem wysuwa włochate nogi spod mojej pikowanej kołdry: „Co to? — Proszę mnie zostawić!"

Sąsiadka, pani Zdeniczka z trzeciego, nie rezygnuje: „Wstawaj! Rusz się. Bo cię w przyszłości nie puszczę. No — no tak".

Mój bliźniak mi się przygląda, patrzy na standardowe urządzenie kawalerskiego mieszkania, na tę ryżą rozwódkę, a w końcu na poduszkę i prześcieradło. Następnie przykłada sobie nadgarstek do ucha, spogląda na szeroką bransoletę pokrytą maciupeńkimi cyferblatami z licznymi guzami i jarzącymi światełkami, patrzy na niezwykłości — i nie jest w stanie się napatrzeć. Coś tam naciska. Na ekranie mego czarno-białego telewizora na raty bez znanego mi piskliwego szumu i wstępnego błysku zjawia się kolorowy obraz czegoś naprawdę zwariowanego: mnóstwo ludzieńków na ruchomych trotuarach, przegródki z tysiącem napisów, ludzie jednak przez nie wszystkie swobodnie przejeżdżają, i jest to, proszę cię, cudeńko — te napisy rozumiesz. Jak we śnie: KAWA Z PRAWDZIWĄ KOFEINĄ! — PAL CYGARA Z NIKOTYNĄ, ZAPIJAJ JE LUKULO WINEM! — NA MIESIĄC NA KSIĘŻYC Z GALAXITOUREM! — NA SAFARI? JEDYNIE DO PECU POD ŚNIEŻKĄ! — NIE ZAPOMNIJ! WKRÓTCE TERMIN UBEZPIECZEŃ ANTYANTYSTRESOWYCH!, i wreszcie na ekranie pojawiła się tablica z godziną i datą, była akurat 4 : 26 07,15 sierpnia roku . . . boże, roku 2002!!

„No — muszę lecieć!" — powiada moje bezczelniejsze ja, on,

ilustracja JÓZEF DRONG

a Zdeniczka niesie torbę. Całuje swego amanta, pieszczotliwie szepce: „Dwadzieścia pudełek spart i sześć kilo kawy Extra. A naprawdę wpadniesz za tydzień?"

„Chwileczkę!", powiedziałem, „chwileczkę. Powinienem chyba wiedzieć, co się tutaj, w moim mieszkaniu za moimi plecami . . . "

„Spieprzaj, dupku! Niegdyś byłem podobnym głupcem", i z telewizora usłyszałem, że podróżni na wewnętrznej linii mają trzydzieści. Następnie dwadzieścia, w końcu trzy, dwa, jeden i w pokoju pozostał obłoczek przezroczystego dymu, tak jakby skurszlusowała maszynka do golenia. Pani Zdeniczka pisnęła zdumiona i oboje obejrzeliśmy pokój, szafy, ciemność pod składanym tapczanem, ustęp i kosz na śmieci oraz półkę w przedpokoju. Nie było go ani w skrzynce na buty. Zniknął — łajdak. Napiliśmy się kawy ze śmietaną . . . Ale na tapczan ze mną nie poszła.

- - -

W sklepiku u mnie dzień sanitarny. Powiesiłem na drzwiach tablicę Remanent. Panowie w bladych płaszczach ze smugami kładli trujące przynęty dla gryzoni, z bombki o ręcznym napędzie spryskiwali chloraminem kąty i miejsca pod regałami, było ich trzech i gawędzili o kieckach. Po trzech godzinach znudziło mi się słuchanie. Nie dlatego, że byli dla mnie wstrętni, lecz ja nie lubię tego typu mężczyzn, dla których kobiety są onucami, kawałem mięsa albo rzeczą jednorazowego użytku. Być może i takie istnieją, ja jednak swoim klientkom wierzę i kocham swoje kobietki. A one mnie. Kiedy już faceci wszystko zbryzgali i spaskudzili, poprosili o „coś na drogę", zapakowałem im po woreczku cebuli dwójki. Po pięciu minutach wrócili i tłukli w szkło pod napisem Remanent.

Nie jestem głupi. W przeciwnym razie nie byłbym samodzielnym kierownikiem sklepiku Owoce-Jarzyny. Przez całe przedpołudnie mogłem sobie przemyśliwać. I co się w moim mózgu nie przydarzyło? O tak, mnie tam nikt tak sobie nie nabierze, uświadomiłem sobie znakomicie, że ów bywalec i szouman Zdeniczki z trzeciego piętra to gość z przyszłości, a konkretnie ja. I że przy wędrówkach w czasie potrzebna jest forsa, wobec tego będę bogaty. Po chwili powiedziałem sobie, że nic samo z siebie nie wynika, więc należy się przyczynić, nie być głupcem. Dlatego twardo przez trzy godziny harowałem w magazynie, ponieważ mam około czterystu stałych klientek, a jeśli każdą z nich obetnę miesięcznie o dwadzieścia koron . . .

Tł. WS

(Ze zbioru opowiadań przygotowywanego do druku przez wydawnictwo Profil w Ostrawie)

RENATA PUTZLACHER

Do sąsiada z naprzeciwka

Zanim wrzucisz ten chleb
do zsypu
pomyśl o dziecku
którego nie zbawią
koncerty LIVE — AID
ani akcje dobroczynne

Zanim kupisz czołg
dla syna
pomyśl o jego
spaczonej wyobraźni i o
winie której nie okupisz
łapówką

Zanim dasz mi po gębie
za moralizatorstwo
spójrz na niepewne
niebo
i włóż do kieszeni
przerażoną pięść

* * *

Czasem czujesz się
jak mały pies
zaszczuty
i bez komfortu
zapchlonej budy

Wszyscy podsłuchają
nawet niewinnym
szpiclom filiżankom
rozbijasz uszka

I te łapy
w czarnych rękawiczkach
piętnują cię
jak drogowskazy

A ty podtulasz
ogon
bo nie nauczono cię
kąsać
sztuczną szczęką

Wiersze ocenione zostały w konkursie GL '63 „Laurem Janusza Gaudyna" za rok 1986

PIOTR WOJOCZEK

Nocne spojrzenia





ANDRZEJ LENARTOWSKI

delegacyjna wyprawa w życie

pociągi Hotele Przedziały i samotne szafy
które przyjmują cię chłodno i żegnają bez żalu
perony zimne jak hotelowa pościel
kobiety w pościeli obce niczym megafonowy komunikat
odjechał Przyjechał Spóźni się

jeszcze jedna stacja I pokój jeszcze jeden
nikt nie oczekuje Nie wita Nie żegna

i dym z papierosów Rzadka broda proroka
zaplątana w traktat o martwym trójkącie

z cyklu „zaproszenie do piekła"

* * *

krąg po kręgu Tu spotkamy się wszyscy
piekło jest ci przeznaczone jak słup szymonowi
tu będziesz chodził ulicami prześwietlonymi
widziany i opisywany Przypomnij topór zdania
wszystko jest zapisane w księgach piekła Nic nie jest
twoje Ty nie jesteś sobą Nie czekaj więc na nic
ułóż sobie życie na stałe w tej dawno napisanej
już księdze Tu nic się nie zmieni Może tylko kręgi
a piekło nie ma dna I tego właśnie nie zrozumiesz nigdy

miłość dojrzała

1.
mówisz i ja udaję że wierzę
mówię i ty udajesz że wierzysz
snujemy niedorzeczne plany
wspólnych podróży Wymyślonych miast

pachnie obcą pościelą hotelową
i nasze ciała są obce

myślisz: czy mąż pamięta o odrobieniu lekcji
z dziećmi I czy podleje kwiaty przed snem

myślę: ciało mojej żony ma smak
wciąż nienapoczętego owocu

2.
nasza miłość przypomina książkę z dzieciństwa
czytaną po latach Wielkie udawanie pierwszych
wzruszeń Poszukiwanie w kreskach zmarszczek
dawno umarłych twarzy Wypatrywanie w przygaszonych
oczach wyschłej rosy licealnych spacerów

wielkie okłamywanie Że nic nie było
że nie ma za nami ziemi wypalonej
wyskrobanego dziecka Porzuconej żony Zdradzonego męża

przewracamy kartki powoli Wiemy przecież
co przyniesie następna A kiedy zostaje nam ledwie
kilka stron oddalamy dłoń od dłoni Uspokajamy oddechy
nie musimy zapalać światła by znaleźć ubrania

świtem odkładamy książkę na półkę
nie wysilamy się nawet na wymyślanie pożegnań

3.
a potem wszystko odchodzi w nijakość
żadnej czerni Bieli Szarość tylko
i nasza miłość przypomina spraną bluzkę
a pod nią kiedyś był ogród
rosa o zmierzchu Jabłka I wąż

Wydał dwa tomiki poezji: „Umarła podróż" i „Rozkład", oraz powieść „Wolny strzelec". W najbliższym czasie ukaże się tom wierszy „Zaproszenie do piekła" i powieść „Listy z grobów dziecinnych". W przyszłym roku ukaże się w Pradze antologia współczesnej poezji polskiej, przygotowywana przez J. Pilaŕa, w której prezentowane będą wiersze A. Lenartowskiego.

TŁUMACZE LITERATURY POLSKIEJ

HELENA TEIGOWA

Urodziła się we wsi pod Szumawą, w Velké Třebýcini (w pobliżu Předslavi) dnia 12 marca 1902 roku. Dzieciństwo spędziła we Lwowie, Tarnopolu oraz Bielsku-Białej.

Ojciec Heleny Teigowej był kapelmistrzem orkiestry wojskowej armii austriackiej.



W Bielsku nauczyła się języka niemieckiego i francuskiego. W roku 1919 przeprowadziła się H. Teigowa wraz z rodzicami do Pragi, gdzie kontynuowała naukę języków. Znacznie później była nauczycielką języka niemieckiego i francuskiego.

W roku 1927 wyszła za mąż za profesora uniwersyteckiego. Jej małżonek — prof. Karel Teige — był wykładowcą matematyki i fizyki teoretycznej na Uniwersytecie Karola w Pradze. Wielka przygoda tłumaczki rozpoczęła się od przekładów z języka francuskiego. Dopiero później zaczęła również tłumaczyć literaturę polską.

Helena Teigowa była również znaną działaczką społeczną. Pracowała w Akademickim Klubie Przyjaciół Polski, w którym bardzo często gościli czołowi przedstawiciele kultury polskiej. Zaraz po drugiej wojnie światowej podjęła Helena Teigowa pracę dobrowolnej działaczki w centrali Czerwonego Krzyża i zajmowała się, razem z innymi funkcjonariuszami, wyszukiwaniem i odnajdywaniem polskich dzieci, które zostały przeznaczone

przez hitlerowców do germanizacji. Udzielała również pomocy polskim repatriantom.

Działalność ta była bardzo czasochłonna, ale zarazem niezmiernie potrzebna i chwalebna. Niewątpliwe zasługi na tym polu zostały dostrzeżone przez władze polskie.

W 1948 roku odznaczył prezydent polski Bolesław Bierut Helenę Teigową za jej działalność odznaczeniem oficerskim Polonia Restituta.

Następne lata są wypełnione rzetelną pracą na rzecz literatury polskiej. W tym czasie Helena Teigowa poświęciła się bez reszty pracy tłumaczki.

W roku 1969 otrzymała czechosłowackie odznaczenie państwowe „Za vynikající práci". Jest również laureatką nagrody ZAIKSU za działalność przekładową polskiej literatury.

Bogaty dorobek tłumaczki jest określony półwieczną pracą. Przez prawie pięćdziesiąt lat Helena Teigowa przetłumaczyła niespełna 100 tytułów z literatury polskiej. Przeglądając spis książek przetłumaczonych z języka polskiego sprawdzimy, że corocznie pokazywała się przynajmniej jedna publikacja.

Przygoda wybitnej tłumaczki z literaturą polską rozpoczęła się w roku 1937. Wtedy to pokazało się tłumaczenie powieści Marii Kuncewiczowej „Cudzoziemka" (Cizinka).

Kolejne książki zaczęły się pojawiać po drugiej wojnie światowej. 1946 — Pola Gojawiczyńska „Dziewczęta z Nowolipek" (Děvčata z Novolipek). W roku 1947 wychodzą tłumaczenia Seweryny Szmaglewskiej „Dymy nad Birkenau", Jerzego Andrzejewskiego „Noc", Stefana Litauera „Zmierzch Londynu" oraz Leona Kruczkowskiego „Kordian i cham". Kolejny rok jest jeszcze bogatszy: Pola Gojawiczyńska „Krata" i „Rajska jabłoń", Jerzy Andrzejewski „Popiół i diament", Kazimierz Brandys „Miasto niepokonane", Maria Kuncewiczowa „Klucze". W 1949 roku pokazuje się antologia polskich opowiadań, która obejmuje 21 pisarek i pisarzy, tytuł „W imię pokoju na świecie" (Za mír světa), dalej Jerzy Putrament „Rzeczywistość", Bolesław Prus „Lalka", Leon Kruczkowski „Odwety". Rok 1950 — Karol Brzozowski „Płomienie", Lucjan Rudnicki „Stare i nowe", Kazimierz Brandys „Antygona", Zofia Nałkowska „Medaliony", Pola Gojawiczyńska „Stolica". 1951 — Bolesław Prus „Placówka", Kazimierz Brandys „Troja, miasto otwarte", Bogdan Hamera „Na przykład Plewa", Bolesław Prus „Faraon", Witold Zalewski „Traktory znaczą wiosną", Tadeusz Konwicki „Na budowie", Julian Gałaj „W rodzinie Lebiodów". 1952 — Wygodzki „Spotkania", L. Rudnicki „Stare i nowe" (II wydanie), Tadeusz Borowski „Płomień niegasnący", Bolesław Prus „Opowiadania" (I i II tom), 1953 — Eliza Orzeszkowa „Cham", Bohdan Czeszko „Pokolenie", Kazimierz Brandys „Obywatele", Igor Newerly „Pamiątka z Celulozy". 1954 — Julian Stryjkowski „Bieg do Fragala", Wojciech Żukrowski „Dom bez ścian", 1956 — Jerzy Putrament „Wrzesień", Henryk Sienkiewicz „Opowiadania", 1957 — Wojciech Żukrowski „Ognisko w dżungli", 1958 — Zbigniew Uniłowski „Dwadzieścia lat życia", Bolesław Prus „Emancypantki", Adolf Rudnicki „Żywe i martwe morze" (trzy opowiadania). 1959 — Wojciech Żukrowski „Noce Ariadny", Stefan Żeromski „Opowiadania", Bolesław Prus „Opowiadania" (II wydanie), Maria Dąbrowska „Noce i dnie". 1960 — Jarosław Iwaszkiewicz „Ikar" i „Bitwa w dolinie Sedgemoor". 1961 — Kazimierz Brandys „Opowiadanie" i „Hotel Rzym", a także „Dzienniki dzieci", które weszły w skład antologii. 1962 — Leon Kruczkowski „Pięć sztuk teatralnych", Tadeusz Hołuj „Koniec naszego świata". 1963 — Władysław Machejek „Rano przeszedł huragan", Zbigniew Nienacki „Worek judaszów", Igor Newerly „Chłopiec z Salskich Stepów". 1964 — Tadeusz Konwicki „Sennik współczesny", Igor Newerly „Szu-hai". 1965 — Stanisław Zieliński „Dno miski". 1966 — Tadeusz Borowski „Opowiadania Kamienny świat i inne", Jarosław Iwaszkie-

wicz ,,Kochankowie z Marony" (tom opowiadań). 1967 — ,,Mężczyźni i wojna" (część składowa antologii), ,,Dziesięć nowel polskich" (tłumaczenie ,,Przed furtką" Wojciecha Żukrowskiego, ,,Jak być kochaną" Kazimierza Brandysa, ,,Pył miłosny" Adolfa Rudnickiego"), Julian Kawalec ,,W słońcu", Jerzy Andrzejewski ,,Złoty lis" (opowiadania). 1968 — Irena Jurgielewiczowa ,,Ten obcy".

Jak wynika z powyższego spisu tłumaczeń, Helena Teigowa przez dwadzieścia lat, corocznie, wydawała minimalnie jedną pozycję przetłumaczoną przez siebie. W roku 1969 nie pokazało się żadne jej tłumaczenie, ale seria jest kontynuowana od roku 1970 — Jan Gerhard ,,Niecierpliwość", Igor Newerly ,,Żywe wiązanie", 1971 — Wojciech Żukrowski ,,Kamienne tablice", Maria Kuncewiczowa ,,Tristan 1946" oraz ,,Gaj oliwny". 1972 — Wacław Kubacki ,,Koncert na orkiestrę", 1973 — Jerzy Andrzejewski ,,Noc" (nowy, poszerzony tom opowiadań). 1974 — Józef Ignacy Kraszewski ,,Brühl". 1975 — Jerzy Putrament ,,Bołdyn" oraz antologia opowiadań ,,Straże nadziei" (Hlídky naděje), ,,Synowie" J. Andrzejewskiego, ,,Lotna" W. Żukrowskiego i ,,Ikar" J. Iwaszkiewicza), Henryk Sienkiewicz ,,Stary sługa" (opowiadania), Irena Jurgielewiczowa ,,Jestem inna". 1976 — Bolesław Prus ,,Powracająca fala", 1977 — Jerzy Putrament ,,Początek eposu". 1978 — Leon Kruczkowski ,,Sidła".

I znowu, po dziesięciu latach, przerwa w roku 1979. W roku 1980 wychodzi Jarosława Iwaszkiewicza ,,Brzezina i inne opowiadania" oraz antologia sztuk teatralnych Leona Kruczkowskiego ,,Pierwszy dzień wolności". W roku ubiegłym pokazuje się w publikacji ,,Sztuki teatralne" tłumaczenie Jerzego Szaniawskiego ,,Dwa teatry".

Do tego kolosalnego dorobku tłumaczki należy jeszcze dodać sztuki, które były wystawiane w Czechosłowacji: Leona Kruczkowskiego ,,Niemcy", ,,Juliusz i Ethel" oraz ,,Pierwszy dzień wolności", Jerzego Szaniawskiego ,,Dwa teatry" i Zofii Nałkowskiej ,,Dom kobiet".

W. P.: Proszę Pani, chciałem zapytać, od kogo rozpoczęła Pani tak bogatą działalność tłumaczki . . .

HELENA TEIGOWA: Jak się Pan już zorientował — od Marii Kuncewiczowej. I pozostałam jej wierna . . . jesteśmy prawie rówieśniczkami, chociaż . . . niezupełnie . . .

Gdzie się Pani uczyła języka polskiego?

— W Polsce, w Galicji w latach dziecińśtwa. Konkretnie w Bielsku.

— Czy w trakcie wyboru autora do przekładu decyduje w Pani wypadku temat, osobista sympatia czy też przypadek?

— Nigdy nie wybieram autora, wybieram zawsze książkę. Musi mi się podobać. Nawet najwybitniejsi autorzy potrafią napisać — i co gorsza, nawet wydać! — złe książki.

— Czy utrzymuje Pani osobisty kontakt z autorem, którego Pani tłumaczy?

— Na ogół — tak. Ale nie jest to reguła . . .

— Nad czym Pani pracuje w tej chwili?

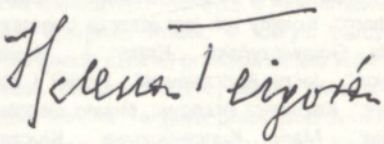
— Nie pracuję już . . .

— A przecież w roku 1986 pokazały się „Dwa teatry" Jerzego Szaniawskiego . . .

— Tak, ale to było tłumaczone dawniej . . .

— Serdecznie Pani dziękuję za rozmowę i za ten ogrom pracy translatorskiej, którą Pani wykonała na rzecz zbliżenia i lepszego poznania literatury polskiej w CSRS. Czy można Panią poprosić o autograf?

— Ależ bardzo proszę . . .



WILHELM PRZECZEK

ZIELONE NURTY

Niech staną się wolną trybuną młodej twórczości bez ograniczeń formy — z taką dewizą wkroczyliśmy w „Zielonych nurtach" do rocznika 1987. I stało się: już dziś mamy do dyspozycji teksty piosenek, świadczące, jeśli już o niczym innym, na pewno o tym, co nurtuje świadomość młodzieży. Kilka tekstów własnych do tak samo własnej muzyki rockowej przesłał do redakcji zespół „Brygada" z Gródku. Zespół działający z przerwami i problemami (zmiana nazwy) od roku 1981 ma obecnie sześciu członków. Pisze swoje piosenki i śpiewa wyłącznie gwarą, choć słuchają ich nie tylko nasi, ale też młodzież w Jarocinie, w Ostrawie czy Wałaskim Międzyrzeczu. Obecnie przygotowuje program pn. „Olza", który chciałby przedstawić podczas tegorocznego Festiwalu PZKO w Karwinie. Spośród nadesłanych wybraliśmy następujące dwa teksty:

OLZA

Tekst: Stanisław Czudek
Muzyka: Andrzej Macoszek

Spod Baranij potokym
cziściućko strzybno woda
społu z bukym i jedlóm
naszo beskidzko pogoda

Górol hutnik i hawiyrz
nad twojim brzegym stojóm
twojij prawej urody
szlachetnym sercym bróniom

Coroz miynij wody Olzo
twojim prastarym biegym
niech nigdy nie zaginie
to słowo nad twojim brzegym

STRESS

Tekst: Stanisław Czudek
Muzyka: Bogusław Czudek

Północ łoko nie spi
mózgym trzynsie dziyń
cicho cicho wszyndzi
usnyć ni mogym.
Mucha sama w kóncie
pajónk robi paść
kapka deszczu w łoknie
czorny wielki strach

/ : Całodziynny stres
nerwów nerwów gra
kiedy bedzie kres
stresowego dnia : /

Rano tympo głowa
w łoczach szczipie proch
trzynsie całym ciałym
nieprzespano noc
łostre słowo szefa
serce ścisko zaś
całodziynne tempo
nerwów mojich gra
/ : Całodziynny stress . . .
Zegar woło drugóm
głuchi echo gro
na bok sie przewracóm
spani ucieko
W łoknie blysk syrena
kómusi pómoc
dziyń na progu czako
nieprzespano noc
/ : Całodziynny stress . . .

Do obydwu można mieć wiele zarzutów. Przede wszystkim widać, że forma w wypadku tekstu do muzyki mająca swoje bezwzględne kanony, krępuje i ogranicza zdolność wypowiedzi autorów. Gwara nieraz sprzecza się z językiem literackim. Równolegle z brakami trzeba jednak widzieć plusy, przede wszystkim tematykę, jaką w swych tekstach podejmują. Choćby już tylko z tego powodu warto o tego rodzaju twórczości wiedzieć i . . . podać pomocną dłoń.



fot. PIOTR WOJOCZEK

OKIEM RECENZENTA

BESKIDY 86

Beskidy 86 — taki tytuł nosiła listopadowa (22. 11. — 6. 12.) wystawa w foyer czeskocieszyńskiego teatru. Była w części plonem letniego pleneru SLA w Gutach, w całości zaś kolejną wystawą zbiorową plastyków SLA (choć nie wszyscy członkowie pionu plastycznego wzięli w niej udział). Że właśnie pejzaż, nierzadko beskidzki, jest głównym tematem malarstwa większości naszych artystów, o tym wiemy wszyscy od dawna. O malarstwie poszczególnych twórców była już mowa w tym miejscu, pozostaje więc porównać (też już nie pierwszy raz) ich pejzaże, sposoby widzenia i środki wyrazu.

Większość autorów traktuje temat, pomijając różnice stylowe, realistycznie. Starają się, każdy na swój sposób, jak najwierniej oddać realność krajobrazu. Robią to różnymi metodami — jedni, jak Oskar Pawlas, Janina Szotkowska, częściowo Józef Drong skupiają się na grze kolorów i światła, posługując się drobnymi barwnymi plamkami składającymi się na kształty drzew, wzgórz i chałup. Inni, jak Walter Taszek, Rudolf Kobiela, malują wprawdzie większymi, rozległymi plamami, ale ich obrazy z obrazami poprzednio wymienionych łączy owa wrażeniowość, akcent położony na malarsko-techniczne walory dzieła. Obrazy tych artystów są przykładami wciąż jeszcze żywotnych tradycji impresjonistycznych. Ciekawe, że właśnie z tego, dość przecież już odległego w czasie, kierunku współczesna sztuka nadal czerpie bodaj najwięcej inspiracji. Najczęściej bywa to jednak coś w rodzaju lepiej lub gorzej wyuczonej lekcji na temat zadany już blisko sto lat temu. Nie jest to z pewnością zjawisko lokalne, podobnie dzieje się również w większych ośrodkach artystycznych. Malarzy trwale zafascynowanych twórczą, budującą siłą koloru i światła spotkać można wszędzie. W tego rodzaju malarstwie uwidacznia się tendencja, która stara się p o k a z a ć rzeczywistość (w tym wypadku, jak zresztą w większości innych — pejzaż) przefiltrowaną wprawdzie przez osobowość artysty, ale traktowaną mniej lub bardziej dosłownie. Są na tej wystawie także przykłady tendencji odmiennej. Jest to rzeczywistość bardziej osobista, wydobywająca głębsze pokłady duszy twórcy, rzeczywistość i n t e r p r e t o w a n a. Należą do tego kręgu obrazy Karola Piegzy, Jana Rusnoka, niektóre Bronisława Firli, Stanisława Krausa, malarzy — plenerowiczów z Polski: Urszuli Trojan, Mariana Chmieleckiego. Mariana Kokoszyńskiego, Stanisława Mazusia. Wybór tej czy innej tendencji jest zapewne sprawą temperamentu twórcy — jedni doskonalą swój warsztat bazując na tym, co zdobyli przed nimi inni, drudzy szukają nowych dróg wypowiedzenia swoich prawd o świecie i swoich o nim wątpli-

wości. Jedni i drudzy są w sztuce jednakowo potrzebni. Nie da się jednak ukryć, że bardziej interesujące twórcze rezultaty dać może właśnie interpretowanie rzeczywistości. W tym zakresie malarz ma praktycznie nieograniczone możliwości: od widzenia realistycznego, poprzez wszelkie kubizmy, konstruktywizmy, nad- i hiper- realizmy aż do całkowitej abstrakcji. Poprzez wybór któregoś ze sposobów przedstawienia krajobrazu, np. deformację formy czy koloru, redukcję elementów, bądź ich pomnożenie autor wypowiada swój stosunek do świata. Poprzez tak lub inaczej namalowany obraz odkrywa swoją osobowość.

Można by szeregować i grupować poszczególne pejzaże na tej wystawie na inne jeszcze sposoby. Były tam zresztą obrazy innych, nie wymienionych tu autorów, były także ekslibrisy autorstwa Zbigniewa Kubeczki poświęcone ludziom związanym z Beskidami. I ten związek z rodzimym krajobrazem miała na celu pokazać ta wystawa. W przypadku gości z Polski była to raczej inspiracja nowym (dla niektórych) otoczeniem, odmiennym od ich „domowego" pejzażem, innością. Ta wystawa dowiodła, że pejzaż beskidzki nie jest dla twórców tylko etnograficznym reliktem, nostalgicznym wspomnieniem „wsi spokojnej", ale czymś znacznie ważniejszym, bliższym — przestrzenią, w której nie tylko przyszło im żyć, ale poprzez którą mogą się twórczo wypowiadać.

KALENDARZ ŚLĄSKI 1987

Kalendarz Śląski 1987. Rocznik XXVI. Zredagowali: Piotr Przeczek i Otylia Toboła. Wyboru zdjęć dokonał Franciszek Bałon. Zdjęcia na okładce: Franciszek Bałon. Redaktor odpowiedzialny: Eva Sobková. Redaktor artystyczny: Václav Beránek. Redaktor techniczny: Ivan Straňák. Wydało wydawnictwo Profil w Ostrawie w r. 1986 przy współpracy ZG PZKO w Czeskim Cieszynie jako swą 848. publikację. (Edycja polska — tom 64).

Poniekąd kłopotliwe jest pisanie o Kalendarzu Śląskim na łamach Zwrotu, ponieważ materiał ten zazwyczaj ukazuje się grubo dwa miesiące po wydaniu kalendarza, więc nie można tego potraktować jako reklamówki, a krytyczne wymądrzanie się, kiedy niczego już nie można zmienić, też nie jest w moim guście.

O tym, na ile ostatni Kalendarz Śląski jest dobry lub niedobry, zadecyduje każdy, kto go kupił i przeczytał.

Spróbujmy jednak na początku prześledzić założenia redaktorów publikacji — Piotr Przeczek i Otylia Toboła. W związku z przypadającymi na rok bieżący rocznicami (70-lecie WSRP i 40-lecie PZKO) nie zabrakło siłą rzeczy materiałów związanych tematycznie z tymi wydarzeniami. W moim odczuciu ciekawą formą przypomnienia nam wydarzeń sprzed 70 lat jest druk słuchowiska radiowego „Dziesięć dni, które wstrząsnęło światem" w opracowaniu M. Z. Mokrowieckiego, które w odpowiednim czasie będziemy mogli skonfrontować z wersją radiową, oraz szczere i bezpośrednie wypowiedzi młodych na temat tego, co wiedzą i myślą o WSRP. Interesującą ilustracją tamtego roku jest krótki opis treści Kalendarza powieściowego . . . z roku 1917 wydanego w Orłowej.

Kolejne materiały Marii Grzegorz, Piotra Przeczka, Brunona Rygla oraz Władysława Niedoby poświęcone są sprawom pezetkaowskiego jubileuszu i dorobku, chociaż wszystkie traktują sprawę poniekąd fragmentarycznie, o początkach tylko lub powierzchownie. Przypuszczam, że ten numer kalendarza zasługiwałby na bardziej szczegółowe i dogłębniejsze potraktowanie i opracowanie zagadnienia historii związku i jego dorobku, śpiewactwa, Świąt Gorolskich itp., chociaż nie jest to sprawa łatwa.

Ciekawie prezentuje się szkic historyczny Jana Szymika „Z dziejów szkoły frysztackiej".

Największą rewelacją omawianej publikacji jest bardzo interesujący i wnoszący wiele światła w nasz (terenu) wkład w dzieje ostatniej wojny materiał Oswalda Guziura „ »Stragan« znad Olzy". Chodzi tu o działalność siatki wywiadowczej AK w Wiedniu, w której brali czynny udział ludzie z Wędryni, Łyżbic, Trzyńca, Bystrzycy itp. Rzecz tę czyta się z dużym zainteresowaniem i już tylko dla tego materiału warto było KŚ kupić.

O okupacji, a raczej losach okupacyjnych naszych ludzi traktują dwa kolejne materiały Józefa Kazika i Alfreda Kocura. Na ogół są to sprawy odległe i jakby już niepotrzebne, a jednak zawsze jeszcze wnoszą coś nowego do tego tematu.

Współczesność i historię naszych pobratymców, Serbów Łużyckich, kreśli P. Przeczek. Jest to materiał, który też warto przeczytać.

Przypomnienie prozy krakowiania Adama Ciompy (malarza i literata) o naszym terenie zawdzięczamy Władysławowi Sikorze w materiale „Kierownik kosi". Ciompa wspomina odwiedziny u Jana Kubisza i kreśli wiele scenek rodzajowych z życia naszego terenu w okresie międzywojennym. Potrzebne są tego rodzaju pozycje, żebyśmy w pełni mogli sobie uświadomić naszą przeszłość i korzenie, skąd się wywodzimy. Sikora przypomina nam również debiut poetycki Pawła Kubisza „Kajdany i róże" w krótkim eseju z właściwą sobie skrupulatnością i swadą. W jego tłumaczeniu przytoczono również kilka wierszy czeskich poetów z ostrawskiego Klubu Literackiego.

Z kolei Wilhelm Przeczek przynosi swe tłumaczenia wierszy V. Závady oraz krótki szkic poświęcony 5. rocznicy śmierci tego wybitnego poety czeskiego, pochodzącego z Ostrawy.

Kolejny blok trzech mini-reportaży poświęcony jest sprawom zdrowotnym — wady wymowy, wzrok i pielęgniarstwo.

Antoni Szpyrc w „Jabłonkowskich rzeźnikach i młynarzach" pokazuje nam przeszłość i współczesność tych zawodów w tym podgórskim mieście. Taki sam (historyczny już poniekąd) charakter, ujęty jednak w formę osobistych wspomień, niezlokalizowanych jednak, ma przyczynek Alojzego Kluza „Hej, wy roki, roki moje".

Temat historyczny, ale już w formie literackiej, kontynuuje Wiesław Adam Berger w prozie „Paweł i Jerzy". Jest to fragment większej całości, będący kontynuacją „Jana i Pawła" z poprzedniego Kalendarza Śląskiego. Oba fragmenty są ciekawie potraktowane, dzięki za to autorowi, ale chciałoby się doczekać całości. W dziedzinie prozy historycznej mamy ogromne luki. Berger z właściwą sobie filozofią tolerancji i internacjonalizmu kreśli tu lata poprzedzające Wiosnę Ludów u nas (z uwzględnieniem szerszego tła historycznego) oraz sylwetki ludzi, których nazwiska nie są, a w każdym razie nie powinny być nam obce.

Ta proza otwiera blok prozy literackiej. Bardzo dobre i piękne opowiadanie pt. „Tęcza" prezentuje nam w tym numerze Kazimierz Wojnar. Temat to niebanalny. Opowiadanie jest zręcznie skonstruowane i od razu chwyta czytelnika. Opowiadanie to (zresztą nie tylko ono) zapowiada prozaika z prawdziwego zdarzenia, zresztą osądźcie sami.

Do spraw socjalizacji wsi, również w sposób niebanalny, wraca w swym opowiadaniu Otylia Toboła (Ludzie nie ci sami). Prozę w dalszej kolejności prezentują Danuta Lotter oraz Renata Ostruszka. Poza tym są teksty gwarowe i humor. Poezja natomiast reprezentowana jest tutaj głównie przez młode pokolenie poetów.

Na ile redaktorom udało się zrealizować swe zamiary, korzystając z takiego a nie innego materiału, osądźcie sami. Opinie odbiorców mogą się różnić. Jedni woleliby z pewnością więcej materiałów historycznych (tych ostatnio jest mało w naszych publikatorach), inni folklorystycznych, jeszcze inni coś lżejszego do czytania itd., itp. Każdy z nich ma na swój sposób rację, chcąc znaleźć lub przeczytać tu co innego. Ostatecznie jednak nie muszą czytać wszystkiego (na co skazany jest recenzent).

Jeszcze kilka uwag o stronie graficznej. Zdjęcie na stronie tytułowej może jest ciekawe z punktu widzenia techniki fotograficznej, ale czy koniecznie musi zdobić okładkę? Poza tym fotografie (nie wszystkie najlepszej jakości) prezentują zbyt małą grupę fotografików — w zasadzie tylko trzech, dwaj pozostali mają tu tylko 3 i jedno zdjęcie (na 51 zdjęć).

Brak w naszych kalendarzach również reprodukcji naszych plastyków, jak miało to na przykład miejsce w KŚ z roku 1984. Powinni chyba pamiętać o tym redaktorzy tej publikacji.

KAZIMIERZ JAWORSKI

„GDY DRZEWA SZUBIENIC WYROSŁY"

Ludwik Kohutek: Gdy drzewa szubienic wyrosły. Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa, 1986, 115 s.

Ruch oporu na Śląsku Cieszyńskim, mimo obszernego opracowania w książce Michała Hellera (Ruch oporu na Śląsku Cieszyńskim, Instytut Śląski w Opolu, 1982) oraz fragmentarycznych raczej wzmianek w książkach Juliusza Niekrasza (Z dziejów AK na Śląsku, Instytut Wydawniczy Pax, Warszawa 1985) i Zygmunta Waltera-Janke (W Armii Krajowej na Śląsku, Wydawnictwo „Śląsk", 1986) oraz innych publikacji, ciągle jeszcze zawiera wiele niezapisanych czy niedopowiedzianych kart swojej historii. Dlatego też z zadowoleniem należy odnotować pojawienie się ostat-

nio pracy Ludwika Kohutka z Cieszyna pt. „Gdy drzewa szubienic wyrosły".

Praca ta w zasadzie dotyczy tragedii, jaką ta ziemia przeżywała, gdy w Cieszynie nad brzegiem Olzy „Pod Wałką", w dniu 20 kwietnia 1942 roku zawisło na szubienicy, na oczach przymusowo spędzonych Polaków z tej i tamtej strony Olzy, dwudziestu czterech młodych ludzi, z tego dokładnie połowa urodzonych na ówczesnym Zaolziu. Byli to członkowie ruchu oporu, przywiezieni z więzień na pokazową egzekucję, która miała posiać przerażenie wśród ludności i przestrzec przed angażowaniem się w działalności konspiracyjnej.

Była to największa do tego czasu masowa egzekucja na tym terenie. Wcześniej miało miejsce zamordowanie już w pierwszych dniach września 12 Polaków, przeważnie górników, w lesie koło kopalni Barbara w Karwinie, a później — z tych największych — były przeprowadzone akcje polowania na ludzi i mordowania ich na miejscu w Ustroniu i w Żywocicach, gdzie w każdym wypadku zginęło ponad 30 osób.

Praca Kohutka wypełnia lukę w udokumentowaniu zbrodni popełnionej w Cieszynie. Oparta jest na obszernym materiale źródłowym, w którym znaczną rolę odegrały zeznania świadków i rodzin ofiar. Niemniej w pracy tej — co jest zjawiskiem zrozumiałym w tego rodzaju przedsięwzięciu — zdarzają się niedokładności i luki. Na niektóre z nich pragnę zwrócić uwagę.

Jak wiadomo, druga wojna światowa właściwie rozpoczęła się na Śląsku Cieszyńskim, choć później została na kilka dni odwołana. Rozpoczęła się napadem bojówki hitlerowskiej w dniu 20 sierpnia 1939 na Mosty koło Jabłonkowa, z zadaniem nie dopuszczenia do wysadzenia przez wojsko polskie tunelu kolejowego na trasie Bogumin-Słowacja. Kohutek pisze, że *„napad został odparty przez załogę szańców jabłonkowskich"*. Napad, dokonany na stację w Mostach, na której mieściła się zapalarka do odpalenia ładunku wybuchowego umieszczonego w odległym o około 600 m tunelu kolejowym, nie został odparty, lecz oddział napastników został odwołany, zanim przybyła zaalarmowana jednostka wojskowa z Cieszyna, gdy do tego oddziału dotarło odwołanie wojny, projektowanej pierwotnie przez Hitlera na dzień 26 sierpnia. W dniu 1 września tunel został przez wojsko polskie prawidłowo wysadzony i przez wiele miesięcy był nieprzejezdny, a nie jak Kohutek podaje przez kilka tygodni.

Jeżeli chodzi o początki ruchu oporu na Śląsku Cieszyńskim, to praca ta zawiera pewne nieścisłości. Autor pisze: *„Musioł zorganizował wojskową organizację podziemną pod nazwą Tajna Organizacja Wojskowa (TOW), której podstawą stały się komórki Organizacji Orła Białego (OOB)"*. Można by z tego wnosić, że podstawą TOW były komórki OOB. Byłoby to odwrócenie porządku rzeczy: najpierw dr Paweł Musioł założył w Cieszynie w dniu 11 listopada 1939 r. swoją organizację, a potem pod koniec listopada włączył ją do organizacji o zasięgu krajowym OOB, której przedstawicielem, a może nawet i członkiem kierownictwa w Cieszyńskiem był pochodzący z Żywca inż. górnik Antoni Studencki, pseudonim Złom.

W książce tej pominięto utworzenie na Zaolziu, również w początkach listopada, odrębnej organizacji powołanej przez inż. Franciszka Kwaśnickiego, której rodowód sięga . . . Lublina i okresu przed 17 września 1939 r. Tam bowiem grupa szesnastu ludzi, ewakuowanych pracowników przemysłu zaolziańskiego, założyła Związek Odwetu z inż. Feliksem Olszakiem z Karwiny i inż. Kwaśnickim na czele. Ten ostatni wrócił na Śląsk i zbudował silną siatkę konspiracyjną za Olzą. Nie jest więc zgodna z prawdą sugestia, że Franciszek Potysz, który po aresztowaniu Musioła w dniu 7 marca faktycznie przejął kierownictwo Inspektoratu Cieszyńskiego ZWZ, zorganizował tam gęstą sieć komórek konspiracyjnych (str. 24). Sieć ta została zorganizowana przez inż. Kwaśnickiego i Jana Matuszka i została na polecenie Musioła przejęta przez Potysza pod koniec października 1940 r. Odnosi się to na pewno co najmniej do południowej części Zaolzia od Trzyńca-Gnojnika aż po granicę słowacką, na co są dokumenty.

Teren ten (obwód jabłonkowski) był podzielony na placówki: Trzyniec, Ligotka Kameralna, Guty, Bystrzyca nad Olzą — Nydek, Mosty koło Jabłonkowa. Każda ta placówka obejmowała po kilka miejscowości, a w każdej z nich była co najmniej jedna „piątka" konspiracyjna. Błędem autora jest twierdzenie, że Alojzy Szotkowski z Mostów koło Jabłonkowa, najmłodszy ze straconych, był dowódcą „piątki" (str. 101). Był on dowódcą placówki, obejmującej szereg miejscowości w okolicy Jabłonkowa, a jego zastępcą był Jan Martynek, również stracony „Pod Wałką". Również pewnego rodzaju pomniejszeniem roli straconych i ich zasług jest po-

minięcie w życiorysie Karola Jadwiszczoka faktu, że był on szefem placówki ZWZ w Ligotce Kameralnej.

O Adolfie Chlebku z Gutów autor podaje, że utworzył *„własną komórkę Organizacji Orła Białego"* (str. 76). Faktycznie była to nie jakaś samodzielna komórka, ale placówka OOB a potem placówka ZWZ w ramach cieszyńskiego Inspektoratu. I tutaj autor nie podał, że ten bohaterski lotnik i konspirator był szefem tej placówki w Gutach-Śmiłowicach.

Na stronie 30-31 autor podaje, że 15 listopada 1941 r. kurierka Wanda Żakówna przewoziła ulotki do Wrocławia, aby je tam rozrzucić. I dalej: *„W pociągu między Brzegiem a Wrocławiem z nieznanych przyczyn petarda, którą Żakówna trzymała w rękawie, samoczynnie wybuchła. Podobno dziewczyna straciła rękę. Żakównę z całym nakładem ulotek aresztowano"*. Według raportu gestapo dotyczącego tej sprawy, znajdującego się w Archiwum Państwowym w Katowicach (sygn. E/8) Wanda Żak ur. 23. 6. 1914 r. w Karwinie, została w dniu 15. 11. 1941 aresztowana w pociągu pospiesznym między Brzegiem a Wrocławiem podczas próby sabotażu (w oryginale: *„bei einem Sabotagenversuch"*). Nie ma tam wzmianki o ulotkach. Natomiast jest stwierdzenie, że podczas przesłuchania zeznała, że działała na polecenie Jana Kuśnierza (pseudonimy Janek, Ryszkiewicz, Richard Wagner, Kruk) ur. 14. 12. 1914 w Gutach.

Jan Kuśnierz, po aresztowaniu inż. Kwaśnickiego, objął kierownictwo „Związku Odwetu" i za to został aresztowany i stracony nad Olzą. A Wanda Żak nie utraciła ręki, bo spotkałem ją w roku 1956 w Sztokholmie zdrową i całą.

W książce też jest jeszcze mowa o Karolu Rakowskim z Bystrzycy i o jego konfrontacji w śledztwie z Franciszkiem Potyszem (str. 37). Był to czwarty szef placówki obwodu jabłonkowskiego ZWZ, wmieszany do śledztwa aresztowanego w dniu 8 grudnia 1941 r. Potysza. Kohutek podaje, że w czasie konfrontacji Potysz nakłaniał Rakowskiego do przyznania się, *„bo oni i tak wszystko wiedzą"*. Rakowski, który organizacyjnie podlegał Potyszowi, wyparł się znajomości z nim i wobec dalszego napierania Potysza na niego, aby się przyznał (*„Karolu, przecież razem chodziliśmy do szkoły"*) uderzył go w twarz. Tyle w skrócie Kohutek. O ciągu dalszym możemy dowiedzieć się z wyroku, jaki zapadł w procesie Rakowskiego po rozprawie w dniu 25 września 1942 r. przeprowadzonej przez 2. Senat Wyższego Sądu Krajowego w Katowicach. Czytamy tam m. in.: *„Świadek Potysz, podczas policyjnego przesłuchania, nie był pewien swego, o czym świadczy to, że już w dzień po konfrontacji* (zapewne chodzi tutaj o konfrontację opisaną przez Kohutka — przypis autora) *miał odnośnie swoich zeznań wyrzuty sumienia, jak to oświadczył na rozprawie głównej"*. To uratowało Rakowskiego od skazania, gdyż innych poważniejszych dowodów oskarżenia nie było. Prawdopodobnie owa energiczna reakcja Rakowskiego w śledztwie oprzytomniła Potysza i pozwoliła na naprawienie krzywdy.

Należałoby nadmienić, że aresztowanie Rakowskiego nie miało nic wspólnego z aresztowaniem Potysza (8. 12. 1941) co mogłaby sugerować zawarta w książce informacja, że Rakowski został aresztowany *„jeszcze w grudniu 1941 r."* (str. 37). Faktycznie został on aresztowany już w dniu 10 lipca 1941 r. na skutek donosu pewnego zaprzańca z Bystrzycy, co nie miało nic wspólnego z Potyszem.

Mimo powyższych usterek, jakie mogą się zdarzyć w tego rodzaju opracowaniu, omawiana książeczka stanowi potrzebną i pożyteczną pozycję w uzupełnieniu naszej wiedzy o czasach, gdy lud Śląska Cieszyńskiego zdawał egzamin wobec swego narodu i jego historii.

OSWALD GUZIUR

WĘDRÓWKI NAZEWNICZE

Nawiązując do naszych wędrówek nazewniczych po *Łynkach* (Łąkach) przechodzimy teraz do rozpatrzenia nazewnictwa ludowego w Kocobędzu, Ligocie i Podoborze, miejscowościach graniczących z Łąkami od południa. Te trzy dawniej samodzielne wsie omawiać będziemy w ścisłej łączności wzajemnej, bo takie podejście do sprawy nakazują uwarunkowania historyczne. Już *Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich* (tom IV z roku 1883) objaśnia w haśle Kocobędz, że wieś ta występuje *„w trzech nomenklaturach: Ligota allodyalna . . . , Kocobędz . . . i Obora albo Zwierzyniec"*, chociaż w innych miejscach informuje oddzielnie o Kocobędzu, Ligocie, Oborze i Podoborze. Ligota była zresztą już od połowy XVII wieku ściśle związana z Kocobędzem.

KOCOBĘDZ

NAZWA MIEJSCOWOŚCI

Kocobędz był dawniej wsią, a od roku 1975 jest dzielnicą miasta Czeskiego Cieszyna i nosi czeską nazwę urzędową **Chotěbuz**. Pierwotne formy nazwy tej miejscowości *Chociebądz, Kocobądz* i *Kociebędz* znajdujemy w *Kodeksie dyplomatycznym klasztoru tynieckiego*, wyd. W. Kętrzyński i F. Smolka, Lwów 1875.

Zachodzi tu potrzeba zwrócenia uwagi na to, że zapisu średniowiecznego nie można odczytywać literkowo, nie wolno przy jego odczytywaniu podążać niewolniczo za grafią, bowiem zwłaszcza w średniowiecznej pisowni istniał duży dystans między formą zapisu i odczytywaniem tego zapisu, czyli elementami systemu dźwiękowego języka pełniącymi funkcję różnicowania znaczeń wyrazów i form wyrazowych. Dlatego też poprawne odczytanie niektórych zapisów nazw miejscowych i nazwisk sprawia kłopoty nawet doświadczonym badaczom nazewnictwa.

Świadomi tych trudności popatrzymy na najdawniejsze zapisy nazwy interesującej nas wsi, jakie wyszły spod pióra zakonników benedyktyńskich z Tyńca pod Krakowem (właścicieli klasztoru w Orłowej aż do roku 1565): *Choteband* 1229, *Koczobantz* 1229, *Koczobenz* 1229, *Chotebanz* 1268. W dokumentach Komory Cieszyńskiej, które przechowuje Wojewódzkie Archiwum Państwowe w Katowicach — Oddział w Cieszynie, spotykamy dalsze formy zapisu: *Koczobenz* 1229; *Choczembudz* 1447; *na wsy Koczebendzy blyz Tiessyna, wsy Koczebendza* 1559; *na Koczobenzy* 1578; *na Koczobendzy, do Ko-*

czobendze, wes Koczobendz 1603; *villam dictam Koczobentz* 1636; *Kotzobentz* 1729. W Archiwum Powiatowym w Karwinie znajduje się dokument pergaminowy z XVI wieku, przejęty z placówki archiwalnej Czeskiego Cieszyna, w którym występuje nazwa *Choczebucz* 1523. Na mapie Śląska Cieszyńskiego I. W. Wielanda z roku 1736: *Koczobentz*. R. Kneifel w swej pracy pt. Topographie des keiserl. königl. Antheils von Schlesien z r. 1804 podaje nazwę *Kotzobenz*. Wreszcie Gemeindelexikon . . . wydany na podstawie spisu ludności z roku 1900 wymienia nazwy *Kocobędz, Kotzobendz*.

Gwarowa nazwa *Kocobync* jest rodzaju męskiego. *Idym do Kocobyndza. Mieszko w Kocobyndzu.* Przymiotnik utworzony od gwarowej nazwy miejscowości: *kocobyncki. Kocobyncko szkoła; kocobyncki zómek.* Gwarowa nazwa mieszkańca: *kocobyndzan* m, *kocobyndzanka* ż. *Na ligocki bal przisli kocobyndzanie.* Nazw żartobliwych, szyderczych lub ironicznych Kocobędz i jego mieszkańcy nie mają.

Nazwa miejscowości pochodzi od nazwy osobowej ***Chociebąd.*** Pierwszy człon tej nazwy występuje i w innych staropolskich imionach osobowych: *Chociebor, Chociemir, Chociemysł, Chociesz*. Nazwę miejscową *Chociebądz* można porównać z czeską nazwą miejscową *Chotěbudice* i staroczeskimi *Chcěbuz* i *Chocěbuz* oraz z nazwą miejscową *Chociebuż* na Łużycach (właściwie po dolnołużycku *Chociebuz*, po górnołużycku *Khociebuz*; po niemiecku Cottbus).

Podobnie jak w języku górnołużyckim, również w dawnej gwarze cieszyńskiej i w innych gwarach polskich nagłosowe *ch-* przechodzi w *k-*. Wymiana tych spółgłosek występuje nierzadko zarówno w nazwach miejscowych, jak też w wyrazach pospolitych. *Chociebąd* zaczęto wymawiać *Kociebąd, Chociebądz — Kociebądz*, tak jak *Charcice — Karczyce, Chowanowo — Kowanowo, Chudoba — Kudowa; chcieć — kcieć*, staropolskie *chełznać* i późniejsze *kiełznać* 'zakładać koniowi kiełzno, wędzidło', też 'poskramiać', *chrzcić* i gwarowe *krzcić, chrząkać*

Odnowiona brama zamku w Kocobędzu



fot. ARCHIWUM Muzeum Regionalnego w Czeskim Cieszynie

i *krząkać; chabanina — kabanina, chrześcijanin — krześcijan* itp.

W drugim członie nazwy — *bądz* nosówka *-ą-* przeszła w *-ę- (-będz).* Wymianę taką spotykamy w wielu innych wyrazach polskich, np. Bądzieciech // Będzieciech, bądź: będzie, dąb: dęby, jądro: jędrny, kąsek: kęs.

O prasłowiańskim pochodzeniu nazw *Chociebądz, Kociebądz* czy *Kocobądz* świadczy występowanie tego typu nazw również na terytorium połabsko-pomorskim, na Śląsku, w Małopolsce i na Mazowszu: *Dargobądz* (powiat Wolin), *Gorzebądz* (pow. Koszalin), *Małobądz* (dziś przedmieście Będzina), *Miłobądz* (pow. Gdańsk), *Pobądz* (pow. Koszalin), *Sierobądz* (pow. Kluczbork), *Zbądz,* dziś Dzbądz (pow. Maków Mazowiecki). Wszystkie wymienione nazwy miejscowe pochodzą od imion osobowych typu *Chociebąd.*

Nazwa miejscowa Kocobędz jest bez wszelkiej wątpliwości wyrazem rodzimym, a doszukiwanie się w niej pierwiastków germańskich jest błędne.

Zauważono już dawno, że najstarszą warstwę nazw miejscowych stanowią nazwy utworzone od imienia rodowego (nazwy patronimiczne), zawierające pełne imię dwuczłonowe w temacie. W naszych krajach powstawały one od XI wieku. Stąd można wnosić, że nazwa *Chociebądz* (posiadająca dwa człony: *Chocie-bądz*) pochodzi z wieku XI. Nie możemy mieć jednak co do tego pewności, bo nie zachowały się zapisy historyczne na ten temat.

TŁO HISTORYCZNE

Pierwszą wzmiankę o Kocobędzu zawdzięczamy dziesięcinie ściąganej przez kościół. Była to danina w wysokości dziesiątej części zbiorów lub dochodów, płacona kościołowi pierwotnie przez księcia, a od XI wieku przez ludność. Otóż w roku 1229 papież Grzegorz IX potwierdził m. in. dziesięcinę wsi Kocobędza i w ten sposób nieświadomie przyczynił się do przekazania nam informacji o istnieniu tej wsi. W latach 1229—1268 Kocobędz był własnością klasztoru benedyktynów w Orłowej, który jak wiadomo był ściśle powiązany z opactwem w Tyńcu pod Krakowem. W roku 1268 książę opolski Władysław z domu Piastów sporządził wykaz posiadłości benedyktynów tynieckich, potwierdził ich własność i prawo do wydobywania soli. W dokumencie tym wymienił m. in. wieś Chotebanz. W latach późniejszych Kocobędz przeszedł na własność książąt cieszyńskich. (Należy w tym miejscu przypomnieć, że po śmierci księcia opolskiego Władysława (1281) doszło do podziału księstwa pomiędzy jego czterech synów. Najstarszy syn Mieszko objął w roku 1290 Cieszyńskie i odtąd też datuje się samodzielny byt Księstwa Cieszyńskiego.) W roku 1447 Kocobędz nabył Jaśko z Kisielowa. W pierwszej połowie XVI wieku właścicielami Kocobędza byli ponownie książęta cieszyńscy. Książę Kazimierz II Kaźko wymienia w roku 1523 Kocobędz pomiędzy wsiami, które zobowiązane były do kupowania piwa w browarze cieszyńskim. W roku 1559 książę cieszyński Wacław III odstąpił Kocobędz swemu kanclerzowi Wacławowi Ruckiemu z Rudz. Ruccy byli odtąd właścicielami Kocobędza przez sto lat. W dokumentach wymieniani są: 1595 Erazm i Mikołaj Ruccy z Rudz; Kaspar Rucki z Rudz, który nabył wioskę w roku 1603 i był w niej jeszcze w r. 1619; 1651 Mikołaj Rucki z Rudz, zmarły w roku 1658. Dalszymi właścicielami Kocobędza byli: w latach 1701—1710 Mikołaj Górecki, później baron Marklovský z Perszytyna, 1717 jego córka Helena Katarzyna, żona Krystiana Fryderyka von Liebe, 1757 Karol Lichnovský z Voštic, 1766 Anna Charlotta Lichnovska (wdowa), 1771 Karol Józef Trach, po nim jego syn Franciszek baron Trach. W roku 1802 zakupiła Kocobędz wraz z Ligotą Allodialną Komora Cieszyńska, która obejmowała posiadłości rodziny Habsburgów na Śląsku Cieszyńskim aż do roku 1920.

Cdn.

WŁADYSŁAW MILERSKI

TRYBUNA CZYTELNIKÓW

Autorami lutowej „Trybuny Czytelników" są wyłącznie członkowie Kół PZKO obwodu hawierzowskiego, choć nie wszystkie listy nadane zostały w Hawierzowie. W redakcyjnej poczcie znalazł się list aż z Hradca Králové od żołnierza, członka MK PZKO w Hawierzowie-Suchej. Dalej publikujemy list chórzysty chóru „Sucha", który obchodził w listopadzie ubiegłego roku dwa jubileusze. Drukujemy również próbę penetracji nazewniczej, którą podjął na terenie swojej rodzinnej gminy, Szumbarku, Erwin Jonszta, zainspirowany „Wędrówkami nazewniczymi" oraz wezwaniem do poszukiwań, które w imieniu Sekcji Folklorystycznej wyraził na naszych łamach Władysław Milerski.

Szanowna Redakcjo miesięcznika ZG PZKO „Zwrot"

Upłynął dokładnie piąty miesiąc, kiedy opuściłem swoich rodziców, ukochaną i moich kolegów, by jak każdy zdrowy i młody chłopiec zostać żołnierzem. Miałem to szczęście, że zostałem żołnierzem uprawiającym swoje hobby i w warunkach wojskowych.

Gram w siatkówkę już jedenaście lat i wiem, że dwuletnia przerwa spowodowałaby koniec moich sportowych marzeń. Gram teraz w I lidze za RH Rychnov nad Kněžnou i jestem zadowolony, że mogę ten piękny sport uprawiać dalej.

Ale dlatego do was nie piszę. Jestem członkiem MK PZKO w Suchej Średniej, byłym przewodniczącym Klubu Młodych. Uczęszczałem także do kółka tanecznego, kierowanego przez dr Danutę Janik zespołu „Zgoda".

Jak z każdym przewodniczącym KM mieli i ze mną nasi starsi członkowie Koła PZKO kłopoty. Chciałbym im teraz podziękować za to, że pomimo tych wszystkich kłopotów, których im przysparzałem, nie zapomnieli o mnie. Co miesiąc przysyłają mi do Rychnova „Zwrot". Nie wiem, czy w ogóle na to zasługuję, ale to z ich strony bardzo piękny gest, o którym chyba nigdy nie zapomnę.

Nie wiem, czy to samo, co zrobiło nasze Koło w Hawierzowie-Suchej-Średniej, robią i inne koła PZKO, jeżeli nie, to powinne wziąć sobie z niego przykład. To bardzo przyjemne, kiedy mogę sobie przeczytać, co się dzieje w naszym rejonie.

Nie umiem dosyć dobrze pisać, ale napisałem wam, co sobie o tym myślę. Przede wszystkim bardzo dziękuję.

Członek PZKO Hawierzów — Sucha Średnia

szer. Zbigniew Folwarczny
Hradec Králové

Szanowna Redakcjo!

W Domu Kultury w Suchej Górnej odbyła się 15 listopada br. podniosła uroczystość

z okazji 65-lecia chóru męskiego w Suchej Górnej i 55-lecia chóru męskiego w Suchej Średniej. Oba chóry z powodu ubytku członków połączyły się w jeden chór męski „Sucha" w r. 1967 a jego dyrygentem został Adolf Dzik, który z chórem męskim współpracuje już od ponad 50 lat. W zespole mamy wzorowego i sumiennego chórzystę, który uczęszczał do chóru męskiego w Suchej Górnej od jego założenia, a obecnie jest nadal członkiem chóru „Sucha". Jest nim nauczyciel Jan Baron, któremu należą się największe wyrazy uznania i szacunku, które trudno wyrazić w słowach. Wszystkim innym członkom, którzy do chóru uczęszczają wzorowo przez kilkadziesiąt lat, należy się również uznanie i szczere podziękowanie.

Uroczystość jubileuszowa była starannie przygotowana. Po występie chóru jubilata ze swym dyrygentem zaprezentowano urozmaicony program. Jego wykonawcami był chór szkolny PSP, przedszkolacy oraz zespoły górnosuskiego MK PZKO. W części drugiej wystąpił zaprzyjaźniony chór męski „Harfa" z Bielska-Białej.

Uroczystość zakończyła się jak zwykle składaniem życzeń, mnóstwem kwiatów i tradycyjnym „Sto lat", co niejednego wzruszyło do łez.

My chórzyści chóru „Sucha" jesteśmy wdzięczni za przygotowanie tak wzruszającej uroczystości. Bylibyśmy jednak w pełni zadowoleni i naprawdę szczęśliwi, gdyby po tych wzruszających przeżyciach znaleźli się tacy, którzy zasilą szeregi chóru męskiego „Sucha". Witamy i czekamy.

Chórzysta
Hawierzów—Sucha

Szumbark

Wieś Szumbark, znajdująca się na zachodnim pograniczu naszego obszaru językowego, w roku 1960 utraciła swoją samodzielność na rzecz stale rozbudowującego się miasta Hawierzowa. Z roku na rok znikają w tej dawnej wsi domki jednorodzinne wypierane przez wielkie bloki mieszkalne. Znikają również dobre pola uprawne a ustąpić także musiał stary cmentarz, skąd ludzkie szczątki przeniesiono na cmentarz nowy. Ustąpiły także bagna i stawy znajdujące się na pograniczu z Dolną Suchą, a na ich miejscu zbudowano nową drogę oraz główny tor kolejowy.

Gmina powstała pod koniec 13. stulecia w czasie kolonizacji. W dawnych czasach był tu starosłowiański gród, koło którego prowadziła droga do Frydku zwana Wilczą Jamą lub Wilczurą. Biegła ona nad lewym brzegiem rzeki Łucyny.

Nazwa Szumbark ma niemieckie pochodzenie i składa się z dwu słów: Schön (piękny) — berg (kopiec). Kolebka tej wsi bowiem znajdowała się na wzgórzu, gdzie pierwotnie stał drewniany zameczek oraz kościół. Obecnie to miejsce znajduje się nad rondem głównej drogi prowadzącej z Ostrawy do centrum miasta a dalej do Cz. Cieszyna. Ponieważ poza głównym kolonizatorem, który nosił nazwę lokator, osadnikami byli Słowianie (Polacy), ci nazwę gminy przysposobili do swojej mowy. Zamiast nieznanego słowa „schön" mówili „szumny", a drugą połowę nazwy „berg" zamienili w lepiej im się wymawiający „bark". Tak powstała nazwa Szumbark, która niektórym obecnym językoznawcom się nie podoba i próbowali ją zmienić na „Výsluní" itp. Jednak ze względów historycznych pierwotna nazwa została zachowana nawet dla nowej dzielnicy Hawierzowa. Pisze się więc Hawierzów — Szumbark.

Gmina rozciąga się na 498 hektarach i leży 283 metrów nad poziomem morza. Pierwotnie pod zamek — dwór należało 54 % obszaru gminy, reszta należała do drobnych posiadaczy, między którymi największymi właścicielami były rodziny Folwarcznych, Gabzdylów i Kaniów.

W roku 1793 było w Szumbarku 65 domków, w których mieszkało 373 mieszkańców, a więc tyle, ile obecnie mieszka w jednym większym bloku mieszkalnym. W roku 1921 na skutek zbudowania kopalń w sąsiednich miejscowościach Szumbark miał już 181 domków i 1279 obywateli. Niestety, posiadał także aż sześć gospód, których właścicielami byli: Rosner (po drugiej wojnie światowej w budynku tym mieściła się ostatnia szumbarska polska szkoła), dalej Buchta, Rotigel,

Folwarczny, Bałon oraz Fukała. Sale taneczne były w czterech gospodach.

Nazwy poszczególnych części gminy były następujące:

Szumbark — gdzie znajdował się zamek na wzgórzu (obecnie nad rondem);

Dziedzina — rozciągała się wzdłuż drogi prowadzącej od zamku w kierunku Suchej Dolnej;

Pasieki — centrum gminy leżące między Suszanką a potokiem wypływającym z lasu w jego zachodniej granicy;

Kręple — rozciągające się na pofałdowanym terenie na zachód od budynku dawnej polskiej szkoły;

Świerkiel — kąt nad stawami graniczący z Suchą Średnią oraz Dolnymi Błędowicami.

W roku 1921 w poszczególnych częściach gminy była następująca liczba domów: Szumbark — 22 domów, Dziedzina — 35, Pasieki — 73, Kręple — 29, Świerkiel — 5.

Szóstą częścią Szumbarku był tak zwany Folwarczok — znajdował się na pograniczu z Suchą Dolną, lecz w roku 1686 część tę odkupił właściciel Suchej Dolnej Wipler i przyłączył ją do tej gminy. Były w niej cztery domy oraz młyn. Po utracie młyna szumbarski obywatel Kania wybudował nowy młyn pod zamkiem nad rzeką Łucyną.

Opisując poszczególne części gminy Szumbark należy jeszcze wspomnieć, że przez jego południowo-zachodnie obrzeże przebiega od dawnych czasów droga, która łączyła przez Ostrawę i Cieszyn a potem Jabłonków północ z południem Europy. Dawniej ta droga nazywała się „cesarska". Droga ta ma znaczenie strategiczne, a w czasie drugiej wojny światowej szły lub jechały nią nie kończące się transporty wojskowe — najpierw byli to Niemcy, maszerujący w kierunku na wschód, a potem wojska radzieckie pędzące Niemców z powrotem na zachód. Oprócz wojska gnano także tysiące koni i krów.

Właścicielami Szumbarku byli:

Do roku 1530 nie wiadomo, do kogo Szumbark należał. Według źródeł archiwalnych właścicielem Szumbarku w roku 1530 był Boryński z Roztropic. Boryński sprzedał go Rudzkiemu z Rudz, ten Pielgrzymowi z Trzankowic, a ten w r. 1596 Janowi Starszemu Linbowskiemu z Linbowic. Potem był właścicielem Karwiński z Karwiny a po nim w r. 1687 Jan Rymultowski. W roku 1786 właścicielem Szumbarku został szlachcic Antoni Wiplar. W roku 1798 był już właścicielem Karol Rusecki z Ejwani, od 1803 do 1813 swob. pan Sedlnicki z Choltic, a po nim Kniezek. Od roku 1823, kiedy spłonął drewniany zamek oraz także drewniany kościół katolicki, do 1827 właścicielem Szumbarku był Jan Michnik. Sprzedał on majątek kanclerzowi cesarskiemu, hrabiemu Fryderykowi z Arcu. Od 1835 do 1845 właścicielem był Józef Ludwik Neiser. W roku 1845 Szumbark odkupiła spółka handlowa Wetter et comp. w Lipsku. Następnymi właścicielami byli: Ferdynand Deper, po nim swob. pan z Mattencloitu, którego po usamodzielnieniu gminy wybrano pierwszym burmistrzem szumbarskim od 1875—1878 r. W latach 1881—1894 właścicielem był notariusz z Bogumina dr Santarius, który sprzedał gminę Franc. Vitkowi z Hranic na Mor. Od Vitka Szumbark odkupili Guttmanowie jako ostatni posiadacze ziemi dworskiej.

W najstarszych czasach nie było żadnych różnic narodowościowych. Ludność mówiła po polsku. W katolickim kościele msze odprawiano po łacinie, a kazania według mowy księdza. Jeśli pochodził ze Śląska, to wygłaszał kazania po polsku, jeśli pochodził z Moraw, to po morawsku. W ewangelickim kościele w Dolnych Błędowicach, do zboru którego należał Szumbark, kazania były zawsze po polsku.

W czasach, kiedy stary Szumbark zanika, pochłaniany przez rozbudowę Hawierzowa, może ta garść historycznych wspomnień niejednemu przypomni dzieje gminy, w której żył lub żyje. Dane zostały częściowo zaczerpnięte z kroniki PZKO, prowadzonej przez dr. Józefa Przeczka.

ERWIN JONSZTA
Hawierzów—Szumbark

TO I OWO

„Krajowa Agencja Informacyjna" (nr 49/1350) wyprzedzając nieco rzeczywistość donosi o cennej inicjatywie budowy izby pamięci Żwirki i Wigury: W miejscowości Cierlicko na Śląsku Cieszyńskim, nie opodal miejsca katastrofy lotniczej, w której 11 września 1932 roku zginęli słynni polscy lotnicy Franciszek Żwirko i Stanisław Wigura, rozpoczęła się budowa izby pamięci, poświęconej temu wydarzeniu. Z inicjatywą budowy wystąpiła grupa miejscowych działaczy Polskiego Związku Kuturalno-Oświatowego, chcąc w ten sposób uczcić przypadającą w przyszłym roku 55. rocznicę tragicznego wypadku. *Świat dowiaduje się w ten sposób o planach jako o fakcie dokonanym. Cóż — trzeba będzie zabrać się do dzieła!*

Trzyniecki tygodnik „Hutnik" w nr. 50—51 sporo uwagi poświęca Adamowi Wawroszowi. W związku z 15. rocznicą śmierci tego pisarza, humorysty i poety drukuje zdjęcie i notatkę biograficzną oraz jego opowiadanie „W pokrzywionym zdrzedle". W rubryce Kultura pojawiła się notatka nt. Biesiady Literackiej GL 63, która odbyła się 28 grudnia w DK w Trzyńcu. Środkowe szpalty tygodnika przynoszą opowiadania Kazimierza Jaworskiego „Świniobicie".

Miesięcznik „Rozhlad", organ kulturalno-polityczny „Domowiny" w NRD, drukuje zdjęcie ZPiT „Górnik", który gościł w październiku u Serbów Łużyckich.

„Po drugiej stronie Olzy" to tytuł artykułu Piotra Przeczka. Artykuł ukazał się w wychodzącej w Lublinie „Kamenie" (nr 25/86), dwutygodniku społeczno-kulturalnym, i dotyczy zarówno przeszłości, jak i teraźniejszości naszej regionalnej twórczości literackiej. Oceniając współczesną twórczość Polaków w Czechosłowacji — pisze autor — zrzeszonych w Sekcji Literacko-Artystycznej ZG PZKO, zauważyć można swoisty paradoks: wcześniej, zwłaszcza w okresie przedwojennym, dominował tu regionalizm opierający się o polski patriotyzm. Postawa taka prowadziła jednak do izolacji regionalnej, do powstawania iluzorycznej samoistnej kultury. Stopniowe osadzanie w istniejącej rzeczywistości, w środowisku dwujęzycznym, nieobcym jednak kulturowo, prowadziło do zrozumienia własnej wartości i miejsca — w społeczeństwie Czechosłowacji i w kulturze polskiej. Twórczość Polaków nad Olzą ukierunkowana jest obecnie przede wszystkim na uchwycenie i zrozumienie rzeczywistości tego specyficznego skrawka ziemi, bez sentymentów i z góry zaprogramowanych treści. Nam samym pomaga to zrozumieć siebie, ale może chyba zainteresować i odbiorcę w Polsce.

W rubryce „Panorama Polonii" Krajowa Agencja Informacyjna, biuletyn prasowy TLzPZ „Polonia", (nr 47/1358) informuje o wyprawie nieborowian na Węgry: Z inicjatywy Komitetu Uczczenia Pamięci dr. Pawła Oszeldy, pochodzącego z zaolziańskiej wsi Niebory bohatera Wiosny Ludów, zorganizowana została czterdziestoosobowa wyprawa działaczy PZKO w Czechosłowacji do miejscowości Sopron na Węgrzech. Tam właśnie, przed 120 laty zmarł z dala od rodzinnych stron ów czołowy rewolucjonista śląski. Jak ustalono, szczątki Pawła Oszeldy zostały przed 100 laty przeniesione do wspólnej mogiły na cmentarzu w Sopron Balf, gdzie grupa działaczy polonijnych z Czechosłowacji złożyła kwiaty. Zasługi dr. Pawła Oszeldy dla ludu śląskiego przypomniał nad jego grobem znany historyk zaolziański dr Stanisław Zahradnik.

Ostrawski Miesięcznik Kulturalny (1/87) zamieszcza w rubryce „Krytyka teatralna" recenzję sztuki A. Dudariewa „Próg", wystawionej przez SP Teatru Cieszyńskiego. Autor recenzji zaty-

tułowanej „Próg — a co za nim" Pavel Janda nie szczędzi słów krytyki, łając zarówno autora, jak aktora:

Już trzeci sezon obserwuję, jak do repertuaru Sceny Polskiej TC przenikają coraz bardziej i głębiej tematy z kiczowatym, a więc łzawym sentymentalizmem. Nie mam nic przeciwko uczuciowemu wychowaniu szerokich (kiedyś mówiono ludowych) warstw widzów. Ono również, tak samo jak wychowanie do artystycznego odbioru, należy do potrzebnych składników oddziaływania teatralnego, zwłaszcza w teatrach objazdowych, ze złożonym składem publiczności, dla jakiej gra Czeski Cieszyn. Ale co za dużo, to niezdrowo. Po zeszłorocznym „Znachorze" przyszła kolej na początku nowego sezonu na dramat radzieckiego, białoruskiego autora Aleksieja Dudariewa „Próg". Popełnilibyśmy błąd, gdybyśmy przy ocenie każdej sztuki radzieckiej zapominali o kryteriach krytycznych. Na pewno i w tej mnogości współczesnych nazwisk autorów i ich dzieł znajdzie się wiele prac, które pragną oddziaływać wyłącznie wychowawczo. Są częścią składową działalności oświatowej, pomagają pokonywać pewne trudności, które występują w życiu ludu radzieckiego. I w naszej współczesnej twórczości dramaturgicznej spotkać można podobne przypadki (. . .) Aleksiej Dudariew jest na pewno autorem zręcznym, jest z pewnością dobrym i wyszkolonym dramaturgiem, zorientowanym zarówno w prądach zagranicznej twórczości teatralnej, jak i we współczesnych potrzebach teatru radzieckiego, co w „Progu" jest widoczne. Sztuka zajmuje się przede wszystkim, pozwólcie tak mi to wyrazić, morową epidemią pijaństwa, którą objęty jest chyba cały świat (. . .). Witold Rybicki jako reżyser postawiony został przed podwójne pasmo fabularne, które na koniec zlewa się w jeden prąd. (. . .) Reżyseryjnie bardziej wiarygodnie (a można powiedzieć i serdecznie) wybrzmiały obrazy ze starej wiejskiej chaty, w której zastanawiają się nad sobą i innymi starzy rodzice Buslaja. Jedynie ich interpretacja była aktorsko przekonywująca. Staruszek i staruszka już pogodzili się z życiem, sami z sobą i z tym, co ich otacza (grają ich Emilia Bobek i Zbigniew Żwak). (. . .) Nie wątpię jednak, że wielka część widzów i te sentymentalne obrazy z życia (nie można bowiem tej sztuki inaczej nazwać) przyjmowała z zadowoleniem, tak jak łzawiła w zeszłym sezonie pod koniec „Znachora". Tylko że . . . nie można iść chyba dalej tą drogą. A cieszyński polski zespół stać na to, by rozegrał się pełniej, w bardziej artystycznie wymagającym repertuarze.



fot. DRAHOSLAV RAMÍK

KRONIKA

ZG PZKO

■ Ostatnie w roku 1986, trzynaste zebranie prezydium ZG PZKO odbyło się 16. 12 w salce zebrań w siedzibie Związku. Obradom przewodniczył St. Kondziołka, prezes ZG. Omówiono i przyjęto ,,Ideowe założenia planu pracy ZG na rok 1987" oraz ,,Plan pracy ZG i jego sekcji na I półrocze 1987". Zapoznano się z wstępną oceną współzawodnictwa MK PZKO o tytuł ,,Wzorowe Koło 40-lecia PZKO" — I etapu oraz z realizacją ,,Programów Wyborczych FN" w Kołach PZKO za rok 1986.

■ Sekcja Zespołów Kobiet przy ZG PZKO odbyła 25. 11. całodniowy wyjazd kierowniczek ZK. Zwiedzono nowo wzniesione Domy PZKO w Trzyńcu, Bystrzycy, Nydku, Milikowie, Gródku, Jabłonkowie, Mostach k. Jabł. W Domu PZKO w Cz. Cieszynie-Mostach omówiono zadania organizacyjne Sekcji i ZK.

■ Sekcja Prelekcji przy ZG PZKO zorganizowała 24. 11. w salce zebrań w siedzibie Związku spotkanie. W programie m. in. MUDr Paszek wygłosił wykład nt. ,,Wojaże podróżnicze" z pokazem przy pomocy nowoczesnej aparatury audiowizualnej.

■ Na spotkaniu Klubu Medyków przy ZG PZKO 5. 12. w Klubie PZKO w Cz. Cieszynie prelekcję pt. ,,Wszystko o diabezie" wygłosił MUDr Janusz Kubatko.

■ Sekcja Młodzieży Związkowej zorganizowała 6 i 7. 12. w Domu PZKO w Gutach dwudniowe szkolenie wodzirejów. W szkoleniu uczestniczyło 30 młodych pezetkaowców z 15 Kół. Zajęcia dotyczyły teatru, zwłaszcza małych form scenicznych (T. Wantuła), śpiewu i muzyki (J. Kaleta), pracy klubowej, propagowania swoich imprez itp.

■ Eliminacje centralne ,,Kluboturnieju '86" odbyły się 13. 12. w Domu PZKO w Orłowej-Lutyni. Udział wzięło 6 drużyn, niestety tylko z 4 Komitetów PZKO — razem 18 zawodników. Zakresy pytań ,,Kluboturnieju" dotyczyły Międzynarodowego Roku Pokoju, 35-lecia Sceny Polskiej oraz działalności młodzieży związkowej w okresie ostatnich 5 lat. Zwyciężyła drużyna Klubu Młodych PZKO Wędrynia, wyprzedzając drużyny PZKO z Olbrachcic i Karpętnej. Po części konkursowej odbyła się zabawa towarzyska. W imprezie wzięło udział 120 osób.

■ 17. 12. w sali Klubu PZKO w Cz. Cieszynie odbyło się Doroczne Zebranie Chóru Nauczycieli Polskich przy ZG PZKO. Z ramienia ZG PZKO podziękował zespołowi i jego kierownictwu artystycznemu i organizacyjnemu za ofiarną pracę w roku sprawozdawczym Wł. Orszulik, I sekretarz ZG.

■ 7. 12. w Karwinie-Nowym Mieście odbyły się XI mistrzostwa w strzelaniu z broni pneumatycznej. Ich organizatorem było Koło PZKO w Karwinie-N. Mieście. We wszystkich kategoriach triumfowali strzelcy z kół karwińskich. W klasyfikacji indywidualnej mężczyzn zwyciężył J. Śniegoń z MK PZKO Karwina-N. Miasto przed A. Sochorem ml. z Koła PZKO Cz. Cieszyn-Osiedle i P. Kubicą z PZKO Ligotka Kameralna. Wśród kobiet wygrała D. Powieśnik z PZKO Karwina-N. Miasto. W kategorii drużynowej po raz jedenasty zwyciężył kolektyw PZKO Karwina-N. Miasto, wyprzedzając drużynę MK PZKO Ligotka Kameralna.

■ W mistrzostwach PZKO '86 w kometce 7. 12. w Cz. Cieszynie wzięło udział 8 drużyn z 5 kół PZKO. Zwycięstwo odniosła drużyna PZKO Wędrynia A i PZKO Błędowice.

■ Szachowe mistrzostwa PZKO '86 odbyły się 13. 12. w hali sportowej w Trzyńcu. Rywalizowali gracze z 6 kół PZKO. W zawodach indywidualnych mistrzem PZKO na rok 1986 stał się inż. E. Gibiec z MK PZKO Cz. Cieszyn-Osiedle, który wyprzedził inż. E. Schoupala z PZKO Trzyniec VI-Osiedle i J. Kubika z PZKO Wędrynia. W rozgrywkach drużynowych 1. miejsce zajęło Koło PZKO Trzyniec VI-Osiedle, 2. miejsce PZKO Cz. Cieszyn-Osiedle a 3. Koło PZKO Wędrynia.

■ 17. 12. w salce zebrań ZG PZKO w Cz. Cieszynie odbyło się zebranie Sekcji Sportowej ZG PZKO z przedstawicielami SRPS polskich szkół podstawowych. Omówiono wspólną działalność na polu sportowym w roku 1987.

■ Klub Nauczycieli Emerytów przy ZG PZKO zorganizował 17. 12. w Klubie PZKO w Cz. Cieszynie uroczyste Spotkanie pod choinką. Obecnych było 86 osób. Przybyła także delegacja Związku Nauczycielstwa Polskiego, Oddziału Bielsko-Biała, która przekazała serdeczne pozdrowienia oraz życzenia świąteczne i noworoczne. Program kulturalny wykonały Marta Bury — śpiew solowy oraz Marta Gogółka — recytacja.

■ 10. 12. w Domu PZKO we Frysztacie odbyło się Doroczne Zebranie ZPiT „Górnik" przy ZG PZKO. Zebranie prowadził inż. J. Foltyn. Referat podsumowujący dokonania zespołu w roku 1986 oraz plan pracy na rok 1987 przedstawił Wł. Stolarz, kierownik organizacyjny. Program nowej premiery, którą ZPiT „Górnik" wystawi w roku 1988, przedstawił choreograf zespołu A. Palowski. Wyrazy uznania i podziękowania za wykonaną pracę i życzenia dalszej owocnej działalności od ZG PZKO przekazał E. Sztabla.

■ 17 i 18 grudnia TL „Bajka" przy ZG PZKO gościł w Knurowie w PRL. Zespół wystawił w Zakładowym Domu Kultury Kopalni „Knurów" 4 spektakle sztuki pt. „Ondraszku, Ondraszku".

■ Został ogłoszony wynik konkursu plastycznego SLA z okazji 40-lecia PZKO. Jury pod przewodnictwem Stanisława Mazusia, przedstawiciela środowiska plastyków z Katowic, przyznało w malarstwie I nagrodę pracy pt. „Pejzaż brązowy" J. Rusnoka, a dwie równorzędne drugie nagrody zestawowi prac B. Liberdy i pracy pt. „Przystań" O. Pawlasa. W grafice przyznano 3 nagrody równorzędne: zestawowi prac (ekslibrisy) Z. Kubeczki, rysunkom z cyklu „Współczesne ołtarze" B. Firli i zestawowi prac pt. „Beskidy" T. Wratnego. W tkaninie artystycznej przyznano tylko pierwszą nagrodę pracy pt. „Impresja zimowa" J. Szotkowskiej. Wernisaż prac nadesłanych do konkursu odbył się w salce zebrań ZG PZKO 12. 12. Wystawa czynna była do 4. 1. 1987.

■ 10. 12. w lokalach Oddziału Literatur Narodowych Biblioteki Powiatowej we Frysztacie odbył się konkurs czytelniczy dla szkół średnich. Wybrano w związku z Rokiem Sienkiewiczowskim (70. rocznica śmierci pisarza) powieść historyczną pt. „Quo vadis". Imprezę zorganizowały ZG PZKO — Sekcja Czytelniczo-Bibliotekarska oraz Biblioteka Powiatowa w Karwinie. Udział wzięło 6 pięcioosobowych drużyn z wszystkich naszych średnich szkół. Jury pod kierownictwem A. Humel przyznało: 1. miejsce Gimnazjum w Cz. Cieszynie, 2. miejsce Gimnazjum w Orłowej i Średniej Szkole Ekonomicznej w Cz. Cieszynie, 3. miejsce — Średniej Szkole Zdrowotnej w Karwinie.

■ SA „J" Ostrawa zorganizował dla swych członków i sympatyków 18. 12. w restauracji „Na Dolní" w Ostrawie-Bartowicach wigilijkę z własnym programem kulturalnym.

■ XXI „Bal Akademicki" odbył się 26. 12. w salach hotelu „Piast" w Cz. Cieszynie. W programie wystąpiły Klub Tańca Towarzyskiego z Witkowic oraz ZPiT „Olza" przy ZG PZKO z polonezem, a do tańca przygrywała orkiestra Zb. Farnika „Steel Quintet" z DK HT w Trzyńcu. Organizatorem Balu był ZG PZKO Sekcja Akademicka „Jedność". Wybrano Miss Balu, którą została Beata Roszak z SA „J"-u Ostrawa. Konferansjerami Balu byli Bogdan Kokotek i Włodzimierz Smugała.

■ W II dekadzie grudnia 86 otwarta została w sali im. Mánesa w DK w Karwinie prezentacja twórczości plastyków karwińskich związanych z tym miastem. Można było obejrzeć ponad 70 prac z zakresu malarstwa, grafiki, rzeźby i in., 25 autorów. Wśród nich były prace członków SLA: D. Figurnego, T. Wratnego, W. Taszka, J. Kneisa i H. Szkopek.

■ 13 i 14. 12. odbył się w Krakowie III Barburkowy Turniej Ringo z udziałem zawodników PZKO. Najlepiej spośród nich spisał się Leszek Franek, który zajął 4. miejsce, natomiast w kategorii dwójek zajął wraz z Andrzejem Szymanikiem 2. miejsce.

■ W nieoficjalnych mistrzostwach CSRS '86 w mini-piłce nożnej zwyciężył Gorolski Klub Sportowy PZKO Bystrzyca.

■ 27. 12. w sali Klubu PZKO w Cz. Cieszynie przebiegło Doroczne Zebranie Zespołu Pieśni i Tańca ZG PZKO „Olza". Zespół odbył w roku minionym 115 prób i 22 występy, wystawił również XIV premierę pn. „Kwiaty polskie".

■ 29. 12. 1986 odbyło się w Klubie PZKO w Cz. Cieszynie spotkanie przedstawicieli ZG PZKO, niektórych komitetów miejskich i kół z zasłużonymi działaczami związkowymi, którym po raz drugi przyznano najwyższe odznaczenie „Zasłużony dla Związku" I stopnia. Do „Złotej księgi zasłużonych", co związane jest z powtórnym odznaczeniem, wpisali się w tym dniu Franciszek Gociek z Kocobędza (na zdjęciu u góry wraz z przew. ZG PZKO St. Kondziołką oraz przew. KM PZKO w Hawierzowie J. Orszulikiem), Jan Baron z Suchej Górnej (zdjęcie środkowe) oraz Franciszek Świder (u dołu z St. Kondziołką oraz przedstawicielem KM PZKO w Karwinie T. Puchałą). Plenum ZG PZKO przyznało równocześnie najwyższe odznaczenie związkowe po raz drugi Wandzie Wójcik, Henrykowi Trzaskalikowi (in memoriam), Ludwikowi Kowalczykowi i Alfredowi Kocurowi.





BOGUMIN

■ Walne Zebranie skrzeczońskiego Koła PZKO 6. 12. w Domu PZKO uświetnili swoimi występami chór mieszany Koła „Hasło" oraz uczniowie dolnolutyńskiej PSP. Koło przedterminowo wywiązało się z wszystkich zobowiązań podjętych z okazji XVII Zjazdu KPCz, 65. rocznicy partii, wyborów do RN i Międzynarodowego Roku Pokoju.

■ Na spotkaniu towarzyskim 13. 12. w skrzeczońskim Domu PZKO zespołu estradowo-kabaretowego „Andrusi", działającego od początku pod kierownictwem K. Krzystka, podsumowano dotychczasową działalność. Ośmioosobowy zespół dał w sumie 68 występów, z tego 26 w roku 86. Wystąpił 52 razy poza Skrzeczoniem, w tym 5-krotnie na terenie województwa opolskiego.



fot. HENRYK CIEŚLAR

■ Zespół Kobiet przy MK PZKO w Boguminie urządził 3. 12. w Domu PZKO prelekcję pt. „Trójmiasto pachnie morzem".

■ Walne Zebranie tego Koła, które odbyło się 6. 12. w Domu PZKO, uświetnił program kulturalny w wykonaniu dzieci PSP i chóru mieszanego „Preludium".

■ Zarząd Koła w Boguminie urządził 26. 12. w Domu PZKO dla swoich członków, działaczek Zespołu Kobiet i chórzystów spotkanie przy choince.

■ Pod koniec listopada zorganizowano w Lutyni Dolnej dla uczniów tamtejszej PSP dwie imprezy. Pierwszą przy współpracy z Kołem PZKO w Skrzeczoniu były mistrzostwa szkoły w tenisie stołowym 21. 11. w sali gimnastycznej PSP. Drugą był „Dzień przysposobienia obronnego", który odbył się 22. 11. z okazji Międzynarodowego Roku Pokoju.

■ 13. 12. w Domu Kultury w Lutyni dolnej OM ZPCR i MK PZKO zorganizowały z okazji zakończenia MPCR '86 „Wieczór Przyjaźni". W programie były występy młodzieży, chóru mieszanego „Lutnia" przy MK PZKO Lutynia Dolna, chóru ZPCR oraz chóru „Moniuszko" z Gorzyc w PRL.

■ Na Walnym Zebraniu w dolnolutyńskim Kole PZKO 6. 12. w świetlicy Koła z programem kulturalnym wystąpili przedszkolacy i uczniowie PSP.

BYSTRZYCA

■ Program kulturalny na Walnym Zebraniu Koła PZKO w Milikowie-Pasiekach, które odbyło się 7. 12. w Domu Kultury, wykonały dzieci PSP w Koszarzyskach.

CZESKI CIESZYN

■ Komitet Miejski PZKO i Miejska Rada Pokoju w Cz. Cieszynie zorganizowały 28. 11. w sali Teatru Cieszyńskiego z okazji Międzynarodowego Roku Pokoju oraz Miesiąca Przyjaźni Czechosłowacko-Radzieckiej i w ramach Dnia Aktywności Pokojowej „Koncert Przyjaźni". Jego wykonawcami były chór „Harfa" PZKO Cz. Cieszyn-Centrum, chór męski „Smetana" Domu Kultury RZZ „Slezan" z Frydku-Mistku oraz chór mieszany „Echo" Międzyzakładowego Domu Kultury „Włókniarz" z Bielska-Białej. Przemówienie okolicznościowe wygłosiła przewodnicząca Miejskiej Rady Pokoju Věra Kubíčkowa. Dochód z koncertu organizatorzy przeznaczyli na Fundusz Solidarności. W godzinach popołudniowych delegacje organizatorów imprezy oraz występujących chórów uczestniczyły w uroczystości zasadzenia „Drzewka Pokoju" w Cz. Cieszynie-Sibicy przed budynkiem tamtejszej szkoły podstawowej.

■ Koło PZKO w Cz. Cieszynie-Mostach urządziło 6. 12. w swoim Domu PZKO Walne Zebranie, a w jego ramach dla dzieci tradycyjną „Mikołajówkę". W programie wystąpiły przedszkolaki, emitowano filmy dla dzieci, a program rozrywkowy zaprezentowała grupa W. Kristena.

■ Sekcja Turystyczna przy MK PZKO w Sibicy zorganizowała w grudniu następujące wycieczki: do Mostów k. J., Dolnej Łomnej i na Akat, do Czadcy i na Husarik, do Frydlantu i na Solarkę, do Dobracic i na Praszywą oraz do Bystrzycy i na Czantorię.

■ Na Zebraniu Sprawozdawczo-Wyborczym w Kole PZKO Cz. Cieszynie-Centrum 7. 12. w sali Klubu PZKO wykonawcami programu byli przedszkolacy z ulicy Moskiewskiej, recytator P. Branny, student Gimnazjum, oraz chór mieszany „Harfa" pod batutą W. Filipkowej. Imprezami towarzyszącymi były wystawa prac kółka haftu i zdobnictwa Domu Kultury „Włókniarz" z Bielska-Białej oraz dla dzieci spotkanie z Mikołajem.

■ Sekcja Ringo przy tym Kole PZKO urządziła 20. 12. w sali gimnastycznej PSP w Cz. Cieszynie „Świąteczny Turniej Ringo". W dwójkach mężczyzn wygrali P. Szczotka — R. Pawera. W jedynkach kobiet 1. miejsce wywalczyła J. Štirba, a w jedynkach mężczyzn P. Szczotka.

■ Na Walnym Zebraniu w stanisławickim Kole PZKO 7. 12. w Domu Kultury wystąpili przedszkolacy z Mistrzowic oraz teatrzyk Klubu Młodych PZKO „Apropo".

■ Program kulturalny na Walnym Zebraniu Koła PZKO w Cz. Cieszynie-Kocobędzu 7. 12. w sali „J-J" wykonał zespół kabaretowy „Andrusi" ze Skrzeczonia.

■ „Spotkanie pod choinką" zorganizowało olbrachcickie Koło PZKO 27. 12. w sali Domu Robotniczego.

HAWIERZÓW

■ 30. 11. w sali Domu PZKO w Błędowicach zarząd MK zorganizował koncert pieśni i arii operowych w wykonaniu Aliny Farnej i Miroslava Podskalskiego, solistów Państwowej Opery im. Z. Nejedlego w Ostrawie. Akompaniowała Danuta Bilan, konferansjerkę prowadziła Halina Kowalczyk.

■ 5. 12. w tym samym lokalu Klub Młodych błędowickiego Koła urządził spotkanie z Andrzejem Zydorowiczem, komentatorem sportowym Telewizji Polskiej nt. „Mistrzostwa świata w piłce nożnej Meksyk '86".

■ Walne Zebranie w Kole PZKO w Błędowicach odbyło

się 14. 12. w Domu PZKO w obecności 136 członków. Zebranie uświetniły występami dzieci z przedszkola oraz zespół wokalny Koła. Imprezą towarzyszącą była wystawa plastyczna prac Oskara Pawlasa, członka SLA, której wernisaż odbył się przed WZ.

■ 20. 12. w Domu PZKO zarząd błędowickiego Koła urządził dla dzieci imprezę pt. „Spóźniony Dziadek Mróz".

■ Klub Młodych przy błędowickim Kole PZKO urządził 20. 12. w Domu PZKO wigilijkę dyskotekową.

■ 15. 11. w świetlicy „Pod Arkadami" w Hawierzowie-Centrum Klub Młodych Koła zorganizował spotkanie z ludźmi, którzy na co dzień stykają się z komputerami. Obecnych było ponad 20 zainteresowanych komputerami.

■ Kolejne spotkanie zorganizował 27. 11. w świetlicy „Pod Arkadami" Klub Emerytów.

■ Na Walnym Zebraniu tego Koła, które przebiegło 29. 11. w salce „Pod Arkadami", program kulturalny wykonały dzieci miejscowego polskiego przedszkola oraz młodzież KM.

■ „Mikołajówkę" zorganizowały 10. 12. w świetlicy Koła w Hawierzowie-Suchej Zespół Kobiet i Klub Panów w Najlepszych Leciech.

■ Klub Młodych w tym Kole urządził 13. 12. w świetlicy wieczór w rytmie starych przebojów.

■ W programie kulturalnym Zebrania Sprawozdawczo-Wyborczego Koła PZKO w Grodziszczu 30. 11. w remizie strażackiej wystąpił zespół kabaretowy „Andrusi" ze skrzeczońskiego Koła PZKO.

■ 23. 11. Koło PZKO Hawierzów-Szumbark zorganizowało Walne Zebranie i jednocześnie uczciło 30-lecie swego istnienia. W obradach udział wzięli przedstawiciele KO KPCz i KP KPCz tow. Kývala i tow. Potoczek. W zebraniu wzięło udział ponad 50 procent członków Koła.

■ Komitet Miejski PZKO w Hawierzowie zorganizował 6. 12. w sali Domu Kultury P. Bezruča w Hawierzowie Uroczysty Koncert Zespołu Pieśni i Tańca ZG PZKO „Olza".

■ Na ostatnim 12. zebraniu plenarnym tego Komitetu PZKO w roku 1986, które odbyło się 17. 12. w Domu PZKO w Błędowicach, omówiono i oceniono Walne Zebrania w Kołach obwodu, przygotowano wstępnie Konferencję Komitetu, która przebiegnie 1. 3. 1987 w Błędowicach, oceniono działalność za rok 1986 oraz przygotowano i przyjęto plan pracy Komitetu na I półrocze 1987.

■ Program kulturalny na Walnym Zebraniu w Kole PZKO w Żywocicach 7. 12. w Domu Robotniczym wykonał zaproszony zespół wokalny z Koła w Błędowicach. Obecny był przedstawiciel KP KPCz w Karwinie tow. Dostal.

■ 13 i 14. 12. w sali restauracji „J-J" na Kościelcu Zespół Kobiet przy tamtejszym Kole PZKO urządził wystawę wigilijną. W jej ramach 13. 12. zarząd Koła zorganizował świetlicę świąteczną dla dzieci. Program kulturalny wykonał TL „Bajka" ZG PZKO, wystawiając spektakl pt. „Ondraszku, Ondraszku". Współorganizatorami świetlicy były ZOP i Rada Nadzorcza „J-J".

■ 5. 12. Koło PZKO w Szumbarku zorganizowało świetlicę dla dzieci. W programie Teatr ZG PZKO „Bajka" wystawił sztukę pt. „Ondraszku, Ondraszku".

■ W Walnym Zebraniu górnosuskiego Koła PZKO 7. 12. w Domu Robotniczym wzięli udział liczni goście reprezentujący OD KPCz, organizacje FN i SRPS. Program kulturalny wykonali przedszkolacy, młodzież szkolna oraz chór żeński Koła „Tęcza".

■ Zespół Kobiet przy Kole PZKO w Hawierzowie-Centrum urządził 4. 12. w świetlicy „Pod Arkadami" świetlicę dla dzieci i dorosłych członków Koła.

JABŁONKÓW

■ Jabłonkowskie Koło PZKO odbyło swoje Zebranie Sprawozdawczo-Wyborcze 7. 12. w swoim Domu PZKO. Przybyli m. in. przedstawiciel KP KPCz z Frydku-Mistku tow. Marek i I sekretarz ZG PZKO Wł. Orszulik. Program kulturalny wykonały dzieci miejscowej PSP oraz zespół regionalny Koła „Gorol".

KARWINA

■ 13. 11. chór mieszany „Lira" przy MK PZKO w Darkowie już po raz 10. wystąpił z koncertem w Ośrodku Rehabilitacyjnym w Karwinie-Granicach.

■ Na Walnym Zebraniu tego Koła 30. 11. w sali Domu Robotniczego w Darkowie program kulturalny wykonały zespół taneczny MK PZKO Błędowice oraz kapela ZPiT „Olza".

■ Uczniowie PSP w Stonawie wspólnie z przedszkolakami wystawili 6. 12. w sali Domu PZKO sztukę Władysława Sikory pt. „Czadownica". Spektakl wyreżyserowały Emilia Makówka, Stefania Piszczek i Wanda Żmija. Sztukę tę zespół wystawił także dla uczniów miejscowej szkoły czeskiej.

■ Zespół Kobiet przy MK PZKO w Stonawie zorga-

nizował 11. 12. w Domu PZKO kolejne spotkanie, na którym panie szyły kotyliony.

■ Klub Propozycji Koła urządził 18. 12. w świetlicy prelekcję MUDr. H. Paszkowej nt. „Moje wrażenia z pobytu w Kuwejcie".

■ Zespół Kobiet przy frysztackim Kole PZKO zorganizował 25. 11. w Domu PZKO prelekcję MUDr. M. Zobačowej pt. „Choroby dróg oddechowych".

■ W Zebraniu Sprawozdawczo-Wyborczym Koła PZKO we Frysztacie 23. 11. w sali Domu Przyjaźni uczestniczyli m. in. A. Vymětalik, przedstawiciel KP KPCz w Karwinie, Wł. Orszulik, I sekretarz ZG PZKO, przedstawiciele OD KPCz, Komitetu Miejskiego PZKO i in. Program kulturalny wykonały dzieci z miejscowego przedszkola i PSP oraz chór żeński „Kalina" pod batutą O. Winklera.

■ 14. 12. w swojej świetlicy Koło PZKO Karwina-Sowiniec urządziło „Wigilijkę". Program kulturalny wykonał zespół „Parafraza" z MK PZKO Cz. Cieszyn-Osiedle pod kierownictwem E. Kaima.

■ Na Zebraniu Sprawozdawczo-Wyborczym w Kole PZKO Karwina-Nowe Miasto 14. 12. w Teatrzyku Szkolnym wystąpiły dzieci miejscowego przedszkola i PSP. Równocześnie od 12 do 14. 12. w Klubie PZKO tego Koła odbyła się wystawa i kiermasz książki polskiej.

ORŁOWA

■ Na Walnym Zebraniu Koła PZKO Orłowa-Lutynia 6. 12. w Domu PZKO program kulturalny wykonali przedszkolacy oraz uczniowie miejscowej PSP.

■ Komitet Miejski PZKO w Orłowej odbył grudniowe zebranie jako wyjazdowe w świetlicy MK PZKO w Dąbrowej. Obrady prowadził prezes dąbrowskiego Koła inż. A. Hanzel. Głównymi tematami obrad były Konferencja Miejska PZKO, plan pracy Komitetu na lata 1987—1988 oraz Festiwal PZKO '87 w Karwinie.

■ Program kulturalny na Walnym Zebraniu MK PZKO w Rychwałdzie 6. 12. wykonał sekstet żeński oraz młodzież. Na WZ obecni byli m. in. P. Zapletal, przedstawiciel KO KPCz, Wł. Orszulik, I sekretarz ZG PZKO oraz Z. Orszulik, przewodniczący MRN w Rychwałdzie.

■ W grudniu Koło PZKO w Porębie zorganizowało w swojej świetlicy dla dzieci choinkę z Dziadkiem Mrozem. Wyświetlono m. in. filmy dla dzieci.

TRZYNIEC

■ Koło PZKO Trzyniec I urządziło 27. 11. w swoim lokalu wieczór świetlicowy połączony z prelekcją H. Cieślara pt. „Egipt i Wyspy Śródziemnomorskie" uzupełnioną przezroczami. W ramach imprezy czynna była wystawa oraz sprzedaż książek.

■ Na zakończenie kursu gotowania prowadzonego w tym Kole przez F. Kučerową zorganizowano 4 i 5 grudnia w świetlicy Koła wystawę zimnych dań połączoną z degustacją.

■ Komitet Miejski PZKO i Rada Obwodowa Klubów Młodych w Trzyńcu urządziły 28. 11. w Domu PZKO im. A. Wawrosza w Trzyńcu-Tarasie „Andrzejki". W programie był koncert Leszka Wronki oraz występ zespołu tanecznego z MK PZKO Oldrzychowice.

■ W programie kulturalnym na Walnym Zebraniu Koła PZKO Trzyniec III — Kanada 30. 11. wystąpiła młodzież szkolna.

■ Na Zebraniu Sprawozdawczo-Wyborczym Koła PZKO w Wędryni 7. 12. w DK PZKO „Czytelni" program kulturalny wykonali przedszkolacy, Klub Młodych Koła oraz chór mieszany „Wędrynka".

■ 12 i 13. 12. na scenie wędryńskiej „Czytelni" zespół teatralny PSP w Wędryni wystawił sztukę Wilhelma Przeczka z muzyką Władysława Winklera pt. „Każdy ma swojego Psikusa" w reżyserii nauczycielki M. Łakotowej. Sztukę wystawiono pięciokrotnie przy pełnej sali.

■ W Ropicy na Walnym Zebraniu Koła PZKO 7. 12. w sali „Centrum" program kulturalny wykonała młodzież szkolna oraz zespół śpiewaczy Koła.

■ Zespół Kobiet przy Kole PZKO Trzyniec-Osówki urządził 10. 12. w lokalu w lasku na Osówce „Wigilijkę".

■ 30. 11. w sali „Braterstwa" w Lesznej Dolnej odbyło się Walne Zebranie MK PZKO. Uczestniczył w nim przedstawiciel KP KPCz inż. Marek. Program kulturalny wykonały dzieci przedszkola pod kierownictwem dyr. Klusowej oraz dziecięcy zespół wokalny „Razem", działający przy DK HT, pod kierownictwem Krystyny Pieknik.

■ W I mistrzostwach PZKO obwodu trzynieckiego w kometce, które odbyły się 14. 12. w średniej szkole zawodowej HT WSRP w Trzyńcu, udział wzięło 15 zawodników z 4 Kół PZKO obwodu. Ich organizatorem było Koło PZKO Trzyniec III — Kanada.

■ Na Zebraniu Sprawozdawczo-Wyborczym w MK PZKO Trzyniec-Podlesie 7. 12. Teatr Lalek „Bajka" przedstawił sztukę pt. „Ondraszku, Ondraszku".



fot. MILAN BOROVIČKA

MOZAIKA

TEMAT DLA EWY

MIEĆ CHARME

Francuskie słowo „charme", które weszło również do innych języków (w tym i do języka polskiego) ma kilka bliskich sobie znaczeń. Można je tłumaczyć zarówno jako wdzięk, jak i powab czy urok. Mieć charme — to znaczy mieć tę dość nieuchwytną i trudną do zdefiniowania cechę osobowości, jednającą jej posiadaczowi sympatię innych ludzi, zaletę, która tak bardzo przydaje się w kontaktach — nie tylko towarzyskich. Posiadać coś, co istnieje od dzieciństwa do starości, opiera się działaniu czasu niweczącego urodę i młodość, nie podlega zmieniającym się modom, obyczajom, lansowanym przez liczące się środowiska sposobem bycia . . .

Życiorysy sławnych kobiet dostarczają nam przykładów na to, że charme wielokrotnie triumfował nad młodością czy urodą.

Czy charme'u można się nauczyć? Chyba tak, za granicą istnieją nawet specjalne szkoły, które uczą pielęgnowania cech, jakie powinna posiadać kobieta pełna uroku. Jest wśród nich zdrowy, schludny wygląd i promienny, szczery uśmiech, błyszczące oczy, lekki chód i dobra postawa, pełne życzliwości traktowanie otoczenia, żywość umysłu, dobry gust w ubiorze, umiejętność prowadzenia interesującej rozmowy, przyjemnie brzmiący głos, pogoda ducha, poczucie humoru, optymizm.

Na sezon karnawałowy (ale nie tylko) przyda się kilka rad, sprawdzonych i uniwersalnych, wartych wprowadzenia zarówno do codziennego sposobu bycia, jak i postępowania z ludźmi. Zasady te warto sobie przyswoić, kiedy pragniemy uchodzić za kogoś z charmem.

- *A więc w rozmowie należy poruszać tematy interesujące rozmówcę, zadać kilka pytań świadczących o zainteresowaniu jego sprawami, powiedzieć coś miłego.*
- *Nie być przesadnie wylewną, ale też nie zachowywać sztywnej rezerwy.*
- *Umieć słuchać z zainteresowaniem.*
- *Zachować złoty środek pomiędzy pewnością siebie a nieśmiałością.*
- *Być naturalną w zachowaniu, swobodną, ale nie nadmiernie poufałą.*
- *Wystrzegać się hałaśliwego sposobu bycia, nie mówić podniesionym głosem, nie śmiać się zbyt głośno.*
- *Okazywać ludziom pogodną twarz, życzliwie się uśmiechać.*
- *Nie wyrażać się źle o nieobecnych, powstrzymać się od uszczypliwych uwag na temat otoczenia, nie plotkować.*
- *Zbytnie rozwodzenie się nad własnymi sprawami jest w złym guście, jak też częste narzekanie — obojętne czy na złą*

pogodę, czy na niezrozumienie przez bliskich.

- *Nie chwalić się swoimi sukcesami, nawet gdyby były one wątpliwe, nie opowiadać też zbyt wiele o porażkach.*
- *Powstrzymać się od krytyki ubioru, stylu bycia, jak również wszystkich ocen dotyczących rozmówcy — a jeśli już nas zapyta, co sądzimy o jego sprawach, wyrazić swe zdanie oględnie.*
- *Być opanowanym — wszelkie zbyt spontanicznie wyrażane uczucia nie są na ogół dobrze przyjmowane przez otoczenie.*
- *Nie traktować nikogo z góry, ale nie zapominać o własnej godności.*
- *Pamiętać o uroczystych dniach przyjaciół i znajomych — złożyć życzenia bodaj listownie lub telefonicznie.*
- *Nie zapominać, że uczynność nawet w drobnych sprawach wywołuje dobre wrażenie.*
- *Nie spóźniać się na umówione spotkanie, kazać na siebie czekać to bardzo w złym guście.*
- *Używać często grzecznościowych zwrotów — formułki te mają i dziś pełne zastosowanie.*

Zapewniamy, iż rezultaty będą warte zachodu, bo urok działa silniej niż uroda i inne zalety, jest najpotężniejszą bronią w życiowej walce, dlatego trzeba go pielęgnować, aby stał się naturalny i oczywisty.

ZIELNIK

PODBIAŁ POSPOLITY

Nazwa łacińska — Tussilago farfara. Słowo tussilago wywodzi się z łacińskiego tussis — kaszel, zaś farfara powstała najprawdopodobniej z greckiego karcharos — zachrypnięty.

Podbiał jest znaną od czasów starożytnych rośliną leczniczą. Hipokrates i jego następcy używali jej pod nazwą „Bechion". Tak samo zresztą nazywa ją Dioskurides. Później Pliniusz nadaje jej nazwę „farfara", „farfugium" i „tussilago". W następnych stuleciach nazywano ją „ungula equi", co można przetłumaczyć jako końskie kopyto. Rośliny tej używano jako środka tłumiącego kaszel. Stosowano ją także przy niektórych chorobach skóry. W ciekawy sposób wykorzystuje ją Pliniusz, który radzi zapalić suche liście podbiału i wdychać przez rurkę dym w celu uwolnienia śluzu w płucach. Jest to właściwie odpowiednik dzisiejszego palenia papierosów, stosowany owszem jako środek leczniczy. Jeszcze dziś niektórzy palacze dodają suche liście podbiału do tytoniu.

Podbiał jest bardzo popularną rośliną leczniczą w naszym lecznictwie ludowym. Świadczy o tym duża ilość nazw ludowych, np.: zwycięska bylina, końskie kopyto, podbiałek, podkowa, podkówka . . .

Ta bardzo znana trwała bylina wypuszcza wczesną wiosną po kilka pędów kwiatowych wysokości 10—20 cm, które rozwijają się przed wypuszczeniem liści i są pokryte łuskami. Na każdym pędzie jest jeden kwiat

w kształcie koszyczka. Kwitnie od marca do maja na nieużytkach, brzegach wód, na wilgotnych zboczach i w zaroślach. Szerokie, sercowate liście wyrastają później i są od spodu pokryte białą pilśnią, która chroni młode liście przed chłodem i podczas chłodniejszych nocy zabrania rosie lgnąć do liścia i zakłócać prawidłową transpirację. Po dorośnięciu liście „łysieją", gdyż nie potrzebują już ochrony. Nie tylko liście, ale również kwiaty bronią się przed zmianą pogody: w nocy zamykają się i pochylają ku ziemi, a w czasie chłodnym i deszczowym w ogóle się nie otwierają. Podbiał jest rozszerzony prawie w całej Europie, od nizin aż po Alpy.

Kwiaty należy zbierać wczesną wiosną na początku ich rozkwitania, w czasie suchej pogody (najlepiej w południe), bez łodyg. Od maja do lipca można zbierać liście — bez nóżki. Liście nie mogą być zbrunatniałe, napadnięte przez szkodniki i nie należy ich mylić z liśćmi dziewięćsiłu, które są większe. Kwiaty należy suszyć w pojedynczej warstwie w cieniu, z dobrym dostępem powietrza. Można przyspieszyć suszenie poprzez sztuczne ogrzewanie, ale temperatura nie powinna przekroczyć 40° C. Nie należy też zbierać kwiatów zbyt rozwkitniętych, gdyż podczas suszenia rozpadają się i tracą swoje właściwości lecznicze. Liście można krótko suszyć na słońcu, a następnie szybko dosuszyć w cieniu. Liście powinne być dobrze wysuszone, inaczej brunatnieją lub czernieją i nie mają żadnej wartości.

Substancje lecznicze zawarte w kwiatach i liściach podbiału wykorzystywane są szeroko w ziołolecznictwie. Najczęściej stosuje się wywary, które tłumią kaszel, leczą stany zapalne i ochraniają śluzówkę oraz skórę.

Kwiaty i liście podbiału najczęściej miesza się z owocami anyżu, kwiatami pierwiosnka, słonecznika, rumianku, z liśćmi szałwii, kwiatem lipy itp. Ze suszonych liści gotuje się wywar: 1—2 łyżki na 4—5 dl wody, pije się 2—3 razy dziennie po 1,5 dl, dzieci maksymalnie



po 1 dl. Wywar na okłady i płukanie gardła robi się z 10—15 g liści na 5 dl wody. Napar z 30 g kwiatów w litrze wody stosuje się jako okład na podrażnioną skórę.

Liście i kwiaty podbiału są zawarte w mieszankach ziołowych używanych przy leczeniu górnych dróg oddechowych — Pulmoran i Species pectorales Planta.

M. C.

KRZYŻÓWKA

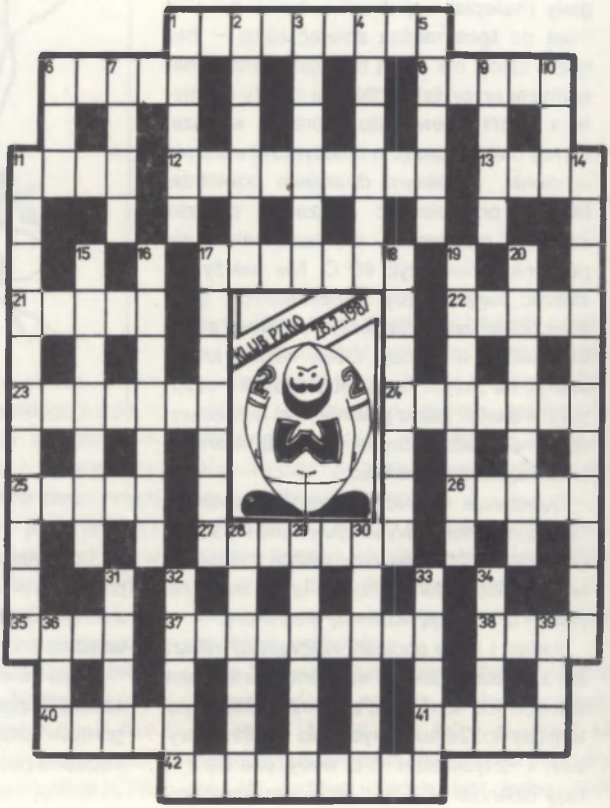
Znaczenie wyrazów:

POZIOMO:

1 maskotka tego balu zdobi niniejszą krzyżówkę
6 krowie smarowidło
8 skrzyżowanie-karuzela
11 kombinezon roboczy von Karajana
12 drobne ciała niebieskie krążące na orbicie pomiędzy Marsem a Jowiszem
13 siarczano-wodna dieta szewca nie wyszła mu na zdrowie
17 zgrabna beczułka
21 jego jest dzieło
22 elektryczne plus
23 pocisk morski
24 „uczłowieczanie" zwierząt
25 uparty tragarz
26 zbiór reguł i zasad w jakiejś dziedzinie
27 zamsz
35 schronienie
37 handlowa nazwa węgliku krzemu stosowanego do produkcji kamieni szlifierskich
38 na niej kawa
40 czarne krowy kręcąc pyskami przy przeżuwaniu trawy mają kropki w tym właśnie kolorze, którego nazwa wzięła się od pewnego rodzaju wina z okolic Bordeaux w południowo-zachodniej Francji
41 na sejm
42 sejm

PIONOWO:

1 Szwejk
2 nawierzchnia bieżni
3 czeski odpowiednik ORBISU
4 Umberto (1885–1978); przeleciał biegun pn. na sterowcu
5 głos głośny
6 chiński
7 japońska ryżówka
9 rzeka-furgonetka
10 cyklonu

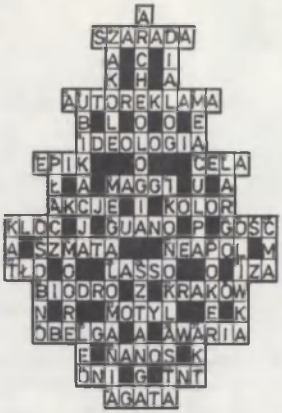


11 dobroczynność
14 atramentowa dziesięciornica
15 żeglarz za kołem
16 towarzysz stołu
17 letni domek ogrodowy
18 łączność
19 pogotowia
20 Zygmunta
28 karna cela
29 bezgłos
30 złudzenia
31 duchowieństwo
32 wrzątek do uwijania się
33 początkujący
34 przeciwieństwo afonii
36 mądrości
39 wspomina swe bycze czasy

oprac. (m)

Wśród autorów prawidłowych rozwiązań nadesłanych pod adresem redakcji najpóźniej do 28 lutego br. rozlosowane zostaną trzy nagrody książkowe.

Obok prawidłowe rozwiązanie krzyżówki z numeru grudniowego. Nagrody książkowe otrzymują: Zofia Cieczotka — Milików, inż. Tadeusz Rzyman — Poprad-Juh, Wincenty Potysz — Hawierzów-Błędowice.





linoryt JÓZEF DRONG



RUDOLF KOBIELA: Pejzaż z Gutów, olej, 1986 (4. str. okładki)

Tyle omawiano już w tej rubryce pejzaży malowanych w podobnej konwencji, że i o tym pejzażu Rudolfa Kobieli nie da się powiedzieć naprawdę nic nowego. Jest to znowu przykład na „wrażeniowe" potraktowanie krajobrazu. To następny z naszych malarzy najlepiej czujących się w kręgu nieśmiertelnych wpływów impresjonizmu. Pejzaż z Gutów to po prostu kolejny, przyzwoicie namalowany krajobraz, bez pretensji do wszelkiej odkrywczości czy awangardy. Poprawnie zbudowana kompozycja, świeży, jasny koloryt, śmiało kładzione barwne plamy, formy o postrzępionym niewyraźnym konturze — ilustracją czysto malarskie podejście do tematu. Jest w tym uczciwość w stosunku do przedstawionego fragmentu rzeczywistości, szacunek dla pejzażu, który autor stara się pokazać w miarę dokładnie, realistycznie, bez deformacji, ale i bez upiększeń. Jego sposób malowania wyklucza też nadmierną drobiazgowość, dzięki czemu zwartej kompozycji obrazu nie rozbijają niepotrzebne szczegóły. Oczywiście wybór fragmentu rzeczywistości, pory roku, dnia, oświetlenia należy do malarza, przez co oglądamy ów krajobraz jego oczami, ale i nic ponadto. Artysta jest wobec świata pełen pokory, pragnie jedynie pokazywać jego piękno, sam pozostając ukryty w cieniu.

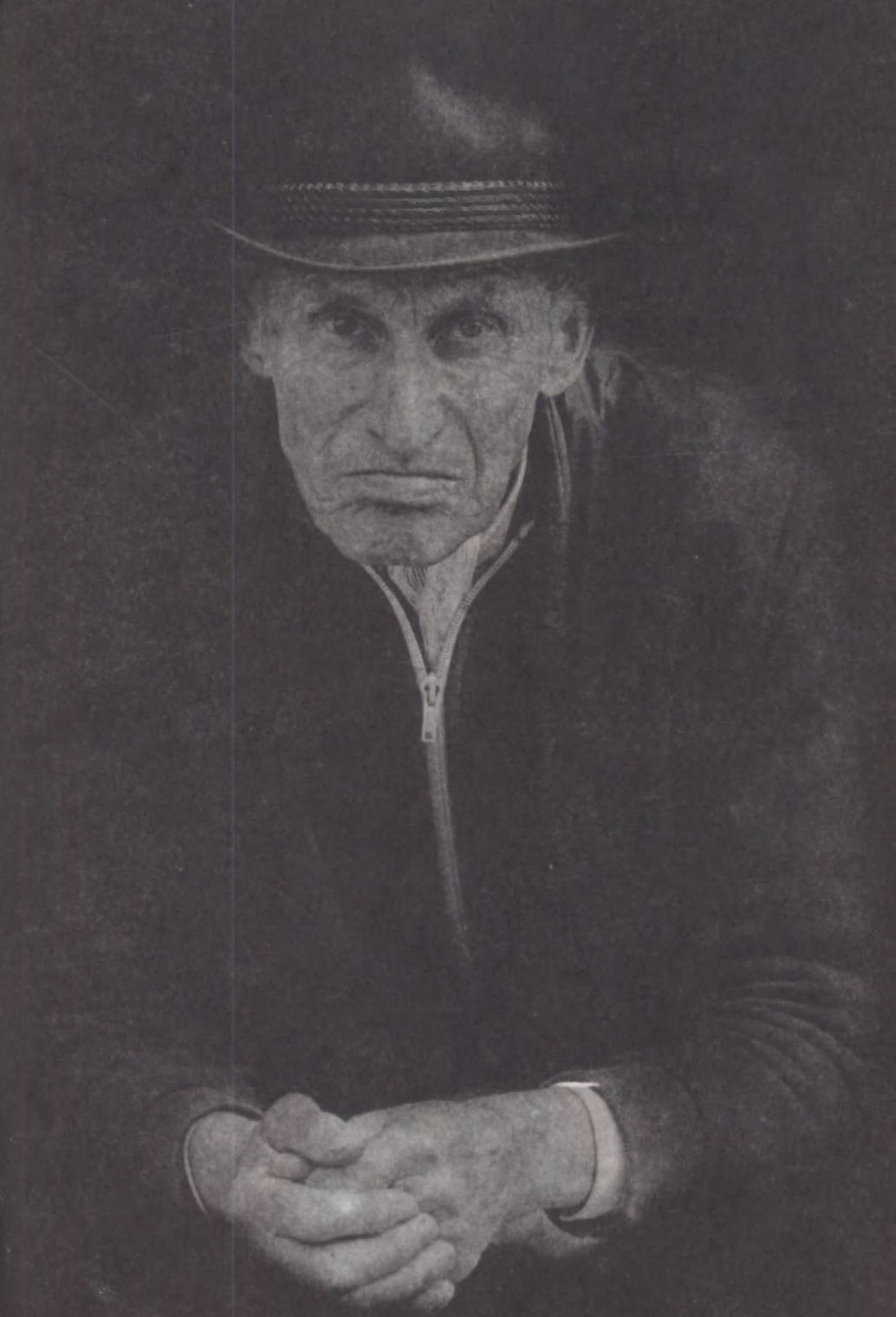
A. M. R.

JAK JEST POPRAWNIE

CZYLI JAK TO CZYTAĆ

Kilkakrotnie zdarzyło mi się usłyszeć, że ktoś obejrzał w kinie lub telewizji komedię z tym, no jak mu tam, *Funesem* albo że film miał ciekawą *pointę* (wymowa równa się pisownia!). Nie wiem, czy w języku polskim ukazała się książka na temat poprawnej wymowy wyrazów i nazwisk obcych. Wiem natomiast, że taka książka wydana została w języku czeskim (M. Honzálková, Čteme je správně?) i do niej odsyłam wszystkich mających wątpliwości co do poprawnej wymowy nazwisk, takich jak *Chevalier, Hemingway, Molière, Musset, Shakespeare* (w języku polskim na szczęście przyjęła się spolszczona forma *Szekspir*) *Freud, Wells* czy *White*. W rozstrzygnięciu dylematu, jak czytać zwroty typu *savoire-vivre, en face, en gros, in blanco, tête-a-tête, vis-à-vis* itp., pomoże nam Słownik wyrazów obcych.

fot. RUDOLF HOMA



ZWROT MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO - KULTURALNY
ROK XXXIX ● NR 447 ● CENA 2,50 Kčs

2/87

[1] Odezwa z lutego 1948
[2] Gdzie słyszysz śpiew, tam wejdź *MARIA GRZEGORZ PIOTR PRZECZEK*
[6] Sejmik śpiewaczy
[9] Konkurs chórów *LEON JUŘICA*
[13] Rozmowy o piosence *ALEKSANDRA HUMEL*
[16] Leon Sztuła: Wiem coś o tym *KAZIMIERZ SANTARIUS*
[20] Gospodarz na 600 hektarach (Pezetkaowcy inaczej) *OTYLIA TOBOŁA*
[24] Melpomenki '86 *TADEUSZ WANTUŁA JERZY MÖHWALD*
[28] Miejsce w reprezentacji kraju *HENRYK CIEŚLAR*
[30] Podróż do miast odległych i bliskich *KAZIMIERZ JAWORSKI*
[34] Jindřich Grabacký: Kochajmy się
[43] Renata Putzlacher: Do sąsiada z naprzeciwka, * * * (Czasem czujesz się)
[46] Andrzej Lenartowski: Delegacyjna wyprawa w życie, Z cyklu ,,zaproszenie do piekła", Miłość dojrzała
[48] Helena Teigowa (Tłumacze literatury polskiej) *WILHELM PRZECZEK*
[51] Zielone nurty
Okiem recenzenta:
[53] Beskidy 86 *A. M. R.*
[54] Kalendarz Śląski 1987 *KAZIMIERZ JAWORSKI*
[56] ,,Gdy drzewa szubienic wyrosły" *OSWALD GUZIUR*
[58] Kocobędz (Wędrówki nazewnicze) *WŁADYSŁAW MILERSKI*
[61] Trybuna czytelników
[64] To i owo
[66] Kronika
Mozaika:
[73] Temat dla Ewy
[74] Zielnik *M. C.*
[76] Krzyżówka *(m)*
[75] Galeria SLA *A. M. R.*
Jak jest poprawnie
[80] *Spis treści*

1. STRONA OKŁADKI — fot. FRANCISZEK BAŁON

WYDAWCA:
POLSKI ZWIĄZEK KULTURALNO-OŚWIATOWY ZARZĄD GŁÓWNY W CZESKIM CIESZYNIE

ADRES REDAKCJI:
UL. J. BOŽKA 16 737 21 CZESKI CIESZYN TEL. 569 83

ZESPÓŁ REDAKCYJNY:
KAZIMIERZ GAJDZICA MARIA GRZEGORZ URSZULA HUDECZEK PIOTR PRZECZEK (redaktor naczelny)

RADA REDAKCYJNA:
FRANCISZEK BAŁON MARIA BIŁKO WIESŁAWA BRANNA BRONISŁAW FIRLA TADEUSZ CHRZĄSZCZ KAZIMIERZ JAWORSKI STANISŁAW JEDZOK WŁADYSŁAW ORSZULIK RUDOLF POPIOŁEK

Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca. Drukarnia: Tisk, knižní výroba, n. p., Brno, zakład 3 — Cz. Cieszyn, ul. Rewolucyjna 1. Cena prenumeraty rocznej Kčs 30,—, półrocznej Kčs 15,—. Zgłoszenia prenumeraty w CSRS przyjmuje redakcja i administracja ,,Zwrotu", w PRL Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych ,,Ruch", Warszawa, ul. Wronia 23. Zezwolenie na ulgową opłatę pocztową wydał Powiatowy Urząd Pocztowy w Karwinie 20. 8. 1963, 1268/63. Numer indeksu R 389, nakład 4250 egz.

ilustracja JANINA SZOTKOWSKA

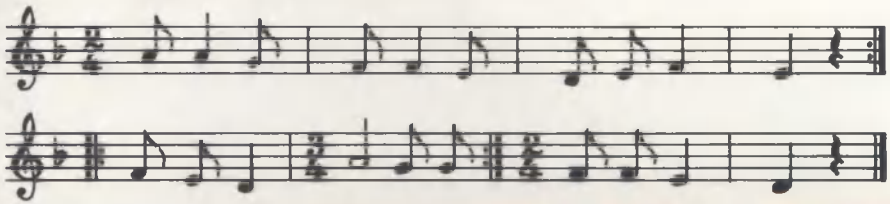
PIEŚNI GÓRALSKIE

ZASNYŁA DZIYWECZKA POD LELUJÓM

Mosty — Szańce

Bardzo popularna pieśń w tradycji cieszyńskiej. Wersja Sučila jest aż z Baworowa na Śląsku Pruskim. W Cieszyńskiem (i w Polsce) pieśń wiąże się z szeregiem motywów melodycznych (m. in. i znana melodia z czeskiej pieśni „Červený šátečku, kolem se toč").

Brzmienie z Mostów-Szańców posiada melodię, która „krążyła" w górskiej i podgórskiej części Jabłonkowskiego.



1.
Zasnyła dziyweczka
Pod lelujóm
Prziszoł k nij Janiczek
Łobudził jóm
Stóń, dziyweczko, nie leż
Moje serce pociesz
Bedziesz mojóm.

2.
Dybych jo wiedziała
Że bedziesz mój
Darowała bych ci
Wióneczek swój
Wióneczek zielóny
W Cieszinie robióny
Janiczku mój.

3.
Dybych jo wiedziała
Że bedziesz mój
Darowała bych ci
Pierścionek swój
Pierścionek ze złota
Cieszińsko robota
Janiczku mój.



Trzaskalik Henryk
735 35 HORNÍ SUCHÁ 462

RUDOLF KOBIELA: Pejzaż z Gutów, olej 1986 (repr. ADAM SZOP)



ZWROT

3/87





Pomysł zrealizowania przeglądu polskiej piosenki dla piosenkarzy-amatorów, poprzedzającego dzisiejsze karwińskie Festiwale Piosenki Polskiej, który w prapoczątkach nazwano „Nasza Piosenka", zrodził się w Lesznej Dolnej. Na zdjęciu u góry zespół „Balbinki" z Lesznej Dolnej na przeglądzie piosenki polskiej w Trzyńcu w r. 1964. Zdjęcie poniżej przedstawia finalistów ostatniego Festiwalu Piosenki Polskiej na scenie karwińskiego „Domu Kultury" w r. 1985.

40 LAT PZKO 1947-1987



fot. ARCHIWUM ZG PZKO, FRANCISZEK BALON

Książnica Cieszyńska

UMOWA O PRZYJAŹNI

Głos Ludu, pismo dla ludu pracującego na Śląsku, z czwartku 13 marca 1947 r. publikuje tekst układu o przyjaźni i wzajemnej pomocy pomiędzy Czechosłowacją i Polską, a zaraz pod nim Protokół — załącznik do układu o przyjaźni i wzajemnej pomocy między Rzeczpospolitą Polską i Republiką Czechosłowacką:

Wysokie umawiające się strony w przekonaniu, że trwała przyjaźń wymaga uregulowania wszystkich spraw, będących w zawieszeniu między dwoma krajami, są zgodne z tym, że rozstrzygną na podstawie wzajemnej zgody nie później niż w ciągu dwu lat, licząc od dnia podpisania układu przyjaźni i wzajemnej pomocy, wszystkie kwestie terytorialne, istniejące obecnie między obydwoma krajami.

Że mając na uwadze potrzebę możliwie najszybszej odbudowy gospodarczej i kulturalnej obydwu krajów, przystąpią w możliwie najkrótszym terminie do zawarcia umów, służących temu celowi.

Że zapewnią Polakom w Czechosłowacji względnie Czechom i Słowakom w Polsce w ramach praworządności i na zasadzie wzajemności, możliwości rozwoju narodowego, politycznego, kulturalnego i gospodarczego (szkoły, stowarzyszenia, spółdzielnie na zasadzie jedności spółdzielczości w Polsce względnie w Czechosłowacji).

Sporządzono w Warszawie dnia 10 marca 1947 roku.

Układ podpisali

Z upoważnienia Prezydenta Rzeczpospolitej Polskiej Józef Cyrankiewicz, Prezes Rady Ministrów, Zygmunt Modzelewski, Minister spraw zagranicznych

Z upoważnienia Prezydenta Republiki Czechosłowackiej Klement Gottwald, Prezes Rady Ministrów, Jan Masaryk, Minister spraw zagranicznych

Od tamtych dni minęło już czterdzieści lat, w wielu miastach, instytucjach czy zakładach organizowane są właśnie z tej okazji różnego rodzaju sesje, imprezy kulturalne czy konferencje, mające potwierdzić znaczenie owej umowy sprzed czterdziestu lat dla rozwoju obydwu krajów. Dla nas ma ona jednak szczególne znaczenie. W myśl cytowanego tu załącznika umowa stała się podstawą do utworzenia w Czechosłowacji nowej organizacji, zrzeszającej obywateli narodowości polskiej (w Polsce na tych samych zasadach powstało Stowarzyszenie Kulturalne Czechów i Słowaków). Nieprzypadkowo też pod dokumentem podpisany był Klement Gottwald, człowiek, u którego idea równouprawnienia wszystkich narodów i narodowości znajdowała zawsze poparcie. Zwłaszcza w roku bieżącym, stojącym dla nas pod znakiem 40-lecia PZKO, powinniśmy przypominać to, jak bardzo istnienie Związku i cała nasza działalność związane są z przyjacielskimi, bratnimi kontaktami pomiędzy Polską a Czechosłowacją.

NAJSZYKOWNIEJSZE

Tradycyjnie już od kilku lat umieszczamy wśród pierwszych materiałów rozmowę z działaczami związkowymi na temat pracy społecznej, ich doświadczeń i problemów. Tym razem gości zaprosiliśmy na innej zasadzie, kierując się wynikami pierwszych konkursów eliminacyjnych ogłoszonego przez Sekcję Życia Towarzyskiego współzawodnictwa o tytuł „najszykowniejszej dziewczyny". Spotkaliśmy się więc w naszej redakcji z laureatkami konkursu z Wielkiego Szpanu Bronisławą Buda oraz z Balu Akademickiego Beatą Roszak. Wkrótce okazało się, że tytuł „najszykowniejsza" udziela się u nas nie tylko za urodę.

ZWROT: Jak przebiegały wybory?

BEATA ROSZAK: Najpierw wybierano „miss" w poszczególnych ośrodkach SA„J"-u, w moim wypadku to było podczas wigilijki ostrawskich studentów, a później ta wybrana miała uczestniczyć w podobnych wyborach podczas Balu Akademickiego. No, obawiałam się tego, ale wszystko było robione na wesoło. Jedna z pierwszych konkurencji polegała na tym, że specjalna komisja podliczała, ilu chłopców w trakcie jednego tańca zmienimy, z iloma zatańczymy. Pomogli koledzy z naszego SA„J"-u, podbiegali jeden za drugim. Stałyśmy na sali cztery, grali walczyka . . .

ZWROT: Widać całkiem miła konkurencja?

ROSZAK: Tak, na pewno każda woli tańczyć niż stać pod ścianą i czekać. A kolejna konkurencja polegała na rzucaniu zapałką na odległość, potem musiałyśmy krajać chleb na oczach wszystkich. Oczywiście, trzeba było przedstawić publiczności siebie i szefa swojego SA„J"-u. Musiałyśmy wspólnie z nim przedefilować przez salę i oceniano według oklasków, ale wszystkie zebrałyśmy tak samo duże brawa . . .

BRONISŁAWA BUDA: Ja zostałam wybrana podczas Wielkiego Szpanu w Jasieniu. Byłam tam w roli kelnerki i nawet nie wiedziałam, że mnie wytypowano między kandydatki na „najszykowniejszą". Byłam bardzo zaskoczona. Najpierw był taniec, potem prezentacja przed publicznością — tu mierzono czas trwania oklasków — no i na zakończenie było trochę pytań.

ZWROT: Jak oceniacie swój sukces?

ROSZAK: Myślę, że wszystkie dziewczyny dobrze się prezentowały i każda z nas miała szansę wygrać. Ale to jest chyba raczej sprawa szczęścia czy losu.

BUDA: Ja też byłam raczej zaskoczona. Były chyba ładniejsze, lepsze kandydatki.

ZWROT: Chyba trochę za dużo tej skromności. A jaka w ogóle powinna waszym zdaniem być ta „najszykowniejsza"?

BUDA: Ja bym powiedziała, że ma to być dziewczyna raczej skromna . . .

ROSZAK: Ale nie zastraszona!

BUDA: Tak, a poza tym musi się umieć

zachować w towarzystwie i w każdej sytuacji.

ROSZAK: Musi być zgodnie z tytułem w konkursie „szykowno", czyli umieć coć zrobić, żeby nie miała lewych rąk. Powinna umieć tańczyć, być koleżeńska, wesoła . . .

ZWROT: Czy istnieje jakiś charakterystyczny typ dziewczyny znad Olzy?

ROSZAK: Chyba charakterystyczna jest nie tyle uroda, ile to, że jest sympatyczna, pełna temperamentu . . .

ZWROT: Czy nasze dziewczyny są właśnie takie?

BUDA: Myślę, że są różne . . .

ROSZAK: Zawsze się mówi, że nasze dziewczyny są bardzo wesołe, mają ten właśnie temperament, są towarzyskie, potrafią się kulturalnie bawić. Tak przynajmniej mówi się między ostrawskimi studentami. A poza tym pono wszystkie dobrze tańczą.

ZWROT: Jest do tego okazja również w czasie studiów?

ROSZAK: Są jakieś bale na studiach, mamy swoje towarzystwo . . . ale taniec nie jest taki ważny w życiu.

ZWROT: Chyba jednak czymś się nasze dziewczyny wyróżniają — zaangażowaniem społecznym. Nie wspomniałyście o tym, a same jesteście dobrym przykładem.

ROSZAK: Ja chodzę od ponad czterech lat do „Olzy", jestem członkiem Sekcji Akademickiej „Jedność", a to jest bardzo dobra rzecz, dużo ludzi nam tego zazdrości. Możemy się spotkać, zabawić, porozmawiać. A teraz jeszcze zaczęłam uczęszczać do nowego chóru Collegium Canticorum, który prowadzi Leszek Kalina. Może to być dobra rzecz, tylko trzeba więcej ludzi wciągnąć i żeby widzieli w tym coś, co by ich mogło zaciekawić. Myślę, że repertuar będzie dość bogaty i każdy może tam znaleźć coś dla siebie. Tylko chodzi o to, aby wszyscy chodzili na próby.

ZWROT: A nie chodzą?

ROSZAK: No . . . zdarza się, że jest ich mało.

ZWROT: Dotyczy to jednak, o ile nam wiadomo, raczej chłopców?

ROSZAK: Tak, dziewczyny chodzą raczej regularnie, i ponadto dobrze śpiewają.

BUDA: Ja obecnie chodzę do zespołu regionalnego „Sibica". Zawsze chciałam być w jakimś zespole, ale mieszkam w Koszarzyskach i ze względu na czas, na dojazdy to było raczej niemożliwe. Teraz już pracuję i jest z czasem nieco lepiej. Poza tym byłam członkinią teatrzyku IKRA, prowadziłam drużynę pionierów, ale to też trudno było pogodzić ze szkołą.

ZWROT: Z twoim wyborem na „najszykowniejszą" była związana jeszcze jedna funkcja . . .

BUDA: Byłam już parę razy jako kelnerka na różnych imprezach, lubię być między ludźmi. Muszę przyznać, że kiedy raz byłam na Szpanie jako zwyczajny gość, to mi czegoś brakowało. Wolę właśnie mieć taką funkcję.

ZWROT: Co was skłania do pracy społecznej?

BUDA: Lubię być w towarzystwie, nie lubię samotności, chociaż ta też jest czasem dobra. Jeżeli wiem, że mogę komuś pomóc, to staram się pomóc, tak było w wypadku mojego kelnerowania w kabarecie. Może ma znaczenie i to, że w naszej rodzinie rodzice też się angażują społecznie. To już tak jakoś jest, normalna kolej rzeczy, że człowiek się angażuje.

ROSZAK: Myślę, że człowiek musi coś robić, żeby w ogóle miał poczucie, że jest komuś potrzebny. Żeby go inni dostrzegali, to, że stara się coś robić, że chce być koleżeński dla innych, żeby to, co wspólnie robią, się udało, żeby był sukces. I w tym chórze: jest to bardzo trudne zadanie, dopiero początki, a te zawsze są trudne. Wymaga się od każdego z nas cierpliwości, ofiarności, bo nie zawsze każdemu się chce iść na próbę. Ale kiedy już tam człowiek jest, to widzi kolegów, tworzy się kolektyw. Myślę, że jak ktoś bardzo chce, to musi się udać to, co robi. Cierpliwość jest najważniejsza, żeby dojść do celu — a chyba po to żyjemy, żeby osiągnąć jakiś swój cel w życiu.

ZWROT: Czym żyjecie na co dzień?

ROSZAK: No więc co — szkoła jest fajna, idę na wykłady, po południu coś robię,uczę się, później można spotkać się ze znajomymi, oglądać telewizję. A problemy? Chyba każdy

widzi swoje jako najważniejsze, nie do rozwiązania. A potem przechodzą tygodnie, miesiące, są inne kłopoty i stwierdza, że nawet tamte problemy może wspominać z uśmiechem. Ja na przykład mam teraz przed sobą kolejne egzaminy.

BUDA: Ja więcej czasu spędzam w pracy niż w domu. Pracuję w „Jedności" w Czeskim Cieszynie. Szkoda, że dojazd do Koszarzysk nie jest lepszy, bo kiedy są spóźnienia, to przyjeżdżam do domu bardzo późno. A w domu zawsze jest coś do zrobienia. A kłopoty? Takie już jest życie, że kłopoty są i będą. Gdyby wszystko szło jak po maśle, to by życie nie było interesujące, kłopoty są dobre choćby dla urozmaicenia.

ROSZAK: Im człowiek trudniej coś zdobywa, tym więcej to sobie później ceni.

ZWROT: Czy to wszystko, co robicie wy, dziewczyny, w ogóle kobiety w PZKO, jest doceniane? Jaka jest waszym zdaniem pozycja kobiety w PZKO?

ROSZAK: Ta pozycja jest zawsze ważna, bo cóżby znaczył ten świat bez kobiet. A w PZKO to już dopiero! Mężczyzna coś zorganizuje, a kobieta temu da charakter, wyraz . . .

BUDA: Po prostu to zrealizuje!

ROSZAK: Tak, mężczyźni coś wymyślą, ale potem jest pytanie, kto to zrobi. Do tego trzeba dużo energii. A z tym docenianiem: są ludzie, których to nie obchodzi, wszystko im jedno, kto co robi. Ale niektórzy widzą ten trud i starają się kobiecie pomóc. Jeśli są efekty pracy, to ludzie, którzy zdają sobie sprawę z tego, ile trzeba wysiłku, potrafią to docenić.

ZWROT: Co wam daje PZKO?

BUDA: Dzięki Związkowi istnieją kluby młodych, a to jest dobra rzecz. Na wsi u nas każdy piątek się młodzi spotykają, rozmawiają o swoich problemach, uczą się razem życia, pracować dla ogółu, współpracować ze sobą. A starsi chcą pomóc, choć nie zawsze to się udaje.

Beata Roszak



ROSZAK: Są różne sekcje, w których młodzi mają okazję pokazać, co potrafią, gdy mają talent, mogą go rozwijać. Są tam ludzie, którzy się na czymś znają, na przykład sekcja literacko-artystyczna czy folklorystyczna czy teatralna. Są ludzie, którzy mogą doradzić. A to jest dla młodych talentów bardzo ważne.

ZWROT: Na razie bardziej was interesuje działalność taneczna, ale tu kiedyś trzeba będzie skończyć, przenieść swoje zainteresowania do innej sfery. Jak widzicie swoją przyszłość na przykład w pracy zespołów kobiet?

BUDA: Ja myślę, że to dobra rzecz, bo to i rozrywka, odreagowanie od spraw codziennych, a poza tym kobiety tam sobie wymieniają doświadczenia, organizują prelekcje.

ZWROT: Z doświadczenia jednak wiemy, że młode kobiety raczej rzadko tam przychodzą?

ROSZAK: Chyba tak. Młode kobiety mają jeszcze swoje towarzystwo, ale w przyszłości też to się zmieni. A poza tym, jak taka kobieta przyjdzie z pracy do domu, to ma sporo roboty z dziećmi, trzeba coś ugotować, zrobić porządki. I jedyne miejsce, gdzie może się odreagować, to zespoły kobiet.

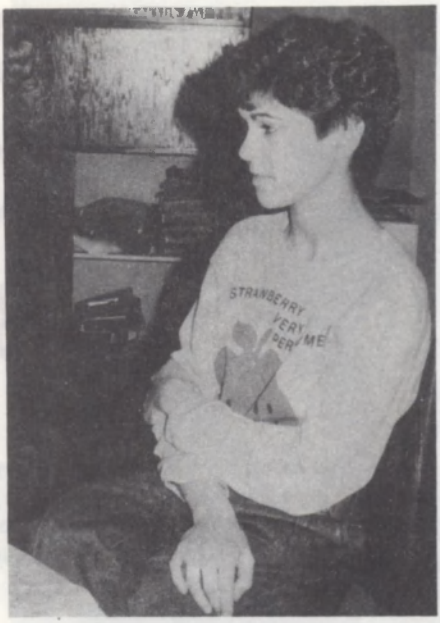
BUDA: Te starsze mają już bardziej dorosłe dzieci i mogą je zostawić w domu. A z mniejszymi trudno i dlatego tych młodszych kobiet jest tam mało.

ZWROT: Co waszym zdaniem trzeba by zrobić dla was, dla waszej generacji, by PZKO było dla was bardziej interesujące?

ROSZAK: Nie wiem, może jakiś specjalny klub?

BUDA: Mnie się wydaje, że młode kobiety interesują na przykład kursy szycia czy kursy gotowania. Ale na wsi często brak kogoś, kto by pociągnął resztę, kto by był jakimś motorem. Bo inaczej trudno coś zorganizować, nawet — tak zdarzyło się u nas — wyćwiczyć poloneza na bal.

ZWROT: Jedną z nowych form, zaproponowanych przez Sekcję Życia Towarzyskiego, jest właśnie konkurs o „najszykowniejszą". Jak wy oceniacie ten pomysł?



Bronisława Buda

ROSZAK: Myślę, że która dziewczyna czuje się na siłach, powinna wziąć udział. Ale są dziewczyny nieśmiałe, które trzeba by jakoś wciągnąć.

BUDA: Jest to dobra myśl, ten konkurs.

ROSZAK: Ale jedno jest jasne — na pewno tego żadna dziewczyna nie wymyśliła!

ZWROT: I ostatnie pytanie — jak oceniacie własne szanse w finale konkursu?

BUDA: Blado, myślę, że jest o wiele więcej dziewczyn, które mogłyby zyskać ten tytuł.

ROSZAK: Też myślę, że są dziewczyny, które mają o wiele większe szanse.

ZWROT: W każdym razie trzymać będziemy za was kciuki!

PIOTR PRZECZEK

fot. PIOTR PRZECZEK

MISS POLONIA '86

Zaproszenie na bal MK PZKO Czeski Cieszyn-Centrum przyjęła chętnie, w końcu z Bielska, gdzie mieszka, to niedaleko. Miała być jedną z trzech atrakcji balu obok piosenkarzy Andrzeja Rosiewicza i Renaty Danel. Oto ona, sympatyczna, bardzo wysoka blondynka o szaroniebieskich oczach — Renata Fatla, najpiękniejsza Polka anno Domini 1986.

— Czy jest pani bielszczanką z urodzenia?

Nie, urodziłam się w Krakowie, ale od siedmiu lat mieszkam z rodzicami w Bielsku.

— A czy czuje się pani w jakiś sposób związana z tym regionem, bo to jest również ten sam Śląsk Cieszyński?

Tak, jestem z tym terenem związana może z tego względu, że mój ojciec pochodzi z tych stron i bardzo często odwiedzaliśmy jego rodzinę. Dzięki temu zresztą w ogóle zamieszkaliśmy w Bielsku i te siedem lat zrobiło swoje.

— Wiem, że kończy pani szkołę średnią. Niedawno oglądaliśmy serię pani zdjęć w Teleexpresie, który przypomniał, że szykuje się pani do matury . . .

To już piąta klasa liceum sztuk plastycznych w Bielsku. Ostatnia. W kwietniu już są egzaminy maturalne, 13 kwietnia pierwsze, a następne 10 maja. W maju kończy się rok szkolny. W szkole wybrałam kierunek: tkanina artystyczna.

— A co później, po maturze?

Mam zamiar startować na studia na Akademię Sztuk Pięknych do Krakowa, a być może do Torunia, jeszcze nie mogę się zdecydować na jedno z tych miast. Nie wiadomo jeszcze, czy od razu po maturze zdecyduję się na studia. Może konieczny będzie rok przerwy, by nadrobić zaległości z zakresu malarstwa. Zdając na uczelnię plastyczną trzeba wykazać się sporym kompletem własnych prac, a to najtrudniej nadrobić. Może więc przez następny rok będę się przygotowywać do egzaminów w domu.

— Czyli nie marzy pani o karierze aktorki albo o innym zawodzie związanym z pani prezencją?

Bezpośrednio związane z moim tytułem jest to, że mogłam pokazywać modę. Bardzo lubię to robić i o ile będę miała jakieś tego typu propozycje, to chętnie z nich skorzystam.

— Czy kreacje, które pani prezentuje, są szyte specjalnie dla pani, czy ubierają panią polskie domy mody?

Przez cały rok ubierała mnie firma „Queen of Saba" z Austrii. To ta sama wiedeńska firma, która ubierała kandydatki ostatniego konkursu Miss Polonia. Firma ta przysłała mi całe komplety — jesienne, zimowe, wiosenne itd. i żadnych rzeczy nie muszę kupować. A polskie firmy to jeszcze uzupełniają.

— Kto panią zgłosił do konkursu, czy pani sama startowała?

Nie, to nie była moja inicjatywa. Zaczęło się od tego, że od dwóch lat z moim młodszym kolegą organizujemy w naszej szkole pokaz mody. W tamtym roku zorganizowaliśmy konkurs miss naszej szkoły i udało mi się wygrać. Później kolega zdjęcia reklamowe, które robiłam kilka lat temu, wysłał do „Ekspresu Wieczornego", przy którym jest biuro Miss Polonia. Na podstawie tych zdjęć zostałam zakwalifikowana do konkursu. Są dwie drogi, jak trafić do konkursu, albo przez zdjęcia, albo przez startowanie w konkursach regionalnych, w ramach województw. Ja startowałam przez zdjęcia. Wcześniej nawet nie wiedziałam, że kolega je wysłał. To on sam napisał list, wysłał zdjęcia, podał moje wymiary, opisał zainteresowania. Byłam kompletnie zaskoczona, kiedy otrzymałam zaproszenie z Warszawy. Pozostały zaledwie cztery dni do wyjazdu, a ja byłam zupełnie nieprzygotowana. Kolega wszystko załatwił i w końcu pojechał ze mną do Warszawy, gdzie 9 marca zebrało się ponad 100 dziewcząt. Absolutnie nie widziałam siebie w finale. Tato mówił do mnie: „Renata, nie startuj, bo odpadniesz w przedbiegach. Po co będziesz sobie szarpać nerwy". Udało mi się jednak zakwalifikować do półfinałów, do liczby 28 dziewcząt. Te półfinały odbyły się w Krakowie, a później 2 sierpnia był finał w Sopocie. I tak się to zaczęło.

— Jak to wszystko wpłynęło na pani życie? Czy to, że jest pani nosicielką tego tytułu, pomaga pani w nauce albo trochę przeszkadza?



fot. PIOTR WOJOCZEK

Na pewno wielkim minusem jest to, że ciągle wyjeżdżam i mam wiele zaległości. To odbywa się kosztem mojego zdrowia i czasu. Kiedy wracam z jakichś wojaży, to dwa, trzy tygodnie siedzę nocami i nadrabiam braki. Jest to więc pewną przeszkodą.

– Jak reaguje pani na zaczepianie na ulicy, wypływające z pani popularności?

Na początku to dla mnie było szokujące, wstydziłam się w ogóle wychodzić, bo wszyscy mnie oglądali i mierzyli. Teraz już się przyzwyczaiłam i nie zwracam na to uwagi. Tylko mama, jak idzie ze mną po mieście, to się śmieje: „Oni na ciebie patrzą i mówią – patrz, miska idzie."

– Czy poznają panią na ulicy również poza Bielskiem w innych miastach Polski?

Tak, szczególnie w Katowicach i Warszawie.

– Ile mierzy najpiękniejsza Polka roku 1986?

Mam 178 cm wzrostu.

– Czy wzrost jest czynnikiem decydującym o wyborze, bo o ile zauważyłam, to wszystkie kandydatki były właśnie bardzo wysokimi dziewczynami. Czyżby niższe kobiety nie miały szans?

Tak, u nas w Polsce wybiera się zazwyczaj dziewczyny wysokie, ponieważ na międzynarodowych konkursach piękności przede wszystkim liczy się wzrost. Chociaż w tym roku było ogólne zaskoczenie, bo Miss Świata ma zaledwie 167 cm.

– Co pani robi, kiedy zaprasza panią do tańca mężczyzna o wiele niższy?

Nigdy nie odmawiam. Nie czuję się skrępowana, może on tak.

– Wiadomo, że w konkursach piękności prócz urody trzeba wykazać się również inteligencją, wdziękiem itd. Wydaje mi się jednak, że walory zewnętrzne są decydujące. Co pani o tym sądzi?

Tak, oczywiście, na pewno przede wszystkim liczy się pierwsze wrażenie wizualne, to, jak dziewczyna wygląda. I niekoniecznie musi mieć idealne wymiary, tyle samo w biuście i w biodrach.

– Czy można przy okazji zapytać o pani wymiary?

Proszę bardzo: w biodrach mam 94 cm, w pasie 64, a w biuście 84.

– Może przypomina pani sobie jakieś ciekawe lub komiczne zdarzenie związane z wyborami Miss Polonia?

Jest taka jedna śmieszna historia. Od kilku lat konkursem, a właściwie dziewczętami, które wygrywają, interesuje się pewna pani, która mieszka w Rudzie Śląskiej, ma syna i koniecznie chce go wyswatać za jedną z Miss. Do mnie np. napisała list, wypytywała o mnie w szkole, dzwoniła. Dzwoniła także do poprzedniej Miss, twierdziła, że są majętną rodziną, syn ma 30 lat, jest dentystą, obiecywała mi, że będę traktowana jak królowa, dosłownie noszona na rękach, tylko żebym za niego wyszła za mąż. Do Kaśki Zawidzkiej, Miss Polonia '85, przyjechała z pełną walizką mięsa, ponieważ pracuje w sklepie wędliniarskim, i tę walizkę jako prezent podarowała Kasi. A teraz przyczepiła się z kolei do mnie. Jej syna żadna z nas nie widziała, może on w ogóle o tym nie wie.

– Co należy do pani obowiązków reprezentacyjnych?

Jeśli chodzi o sprawy regulaminowe, to przede wszystkim nie wolno mi wyjść przez rok za mąż i nie mogę urodzić dziecka. W przeciwnym wypadku odebrano by mi tytuł. Jeśli chodzi o reprezentowanie, to mam obowiązek brać udział w różnych imprezach państwowych, wręczaniu nagród, tak jak ostatnio Wiktorów, i innych. Po złożeniu korony i po wyborze nowej miss, co nastąpi w lipcu br., ja nadal zatrzymuję tytuł Miss Polonia '86, tak jak moje poprzedniczki. Wtedy jednak zakończą się moje obowiązki reprezentacyjne. Jest jednak taka możliwość, że po zakończeniu mojej kadencji będę otrzymywała jakieś propozycje reklamowe, jak np. teraz Miss '85 reklamuje biżuterię.

– Wybór na najpiękniejszą Polkę wpłynął na pani życie osobiste. Czy w jakimś stopniu fakt ten zaważył na pani osobowości,czy widzi pani jakieś zmiany?

Wydaje mi się, że przybyło mi jakiejś wewnętrznej odwagi, pewności i wiary w siebie. Wcześniej może nie zwracałam uwagi na urodę, teraz się wszystko ułożyło inaczej.

– Często wyjeżdża pani za granicę; jakie kraje pani już odwiedziła jako Miss Polonia?

Byłam w Japonii, Francji, Anglii i w Macao (koło Chin, w pobliżu Hong-Kongu) jako reprezentantka Polski na międzynarodowych konkursach piękności. Wyniki bywały różne, jako że jest tam taka zasada, że prócz ogólnej noty sędziów na konkursie typują swoją własną listę również najpopularniejsze gazety, wychodzące w danym państwie. Np. w Londynie nie dostałam się do pierwszej piętnastki samego konkursu, za to na liście ogłoszonej w tamtejszej gazecie byłam w pierwszej dziesiątce. Oceny więc są niejednoznaczne i nie wiadomo, którą traktować poważnie.

– Kto inwestuje w te zagraniczne wojaże?

Koszty moich wyjazdów pokrywają organizatorzy konkursu międzynarodowego. Nawet nasze biuro Miss Polonia nie dopłaca do moich podróży.

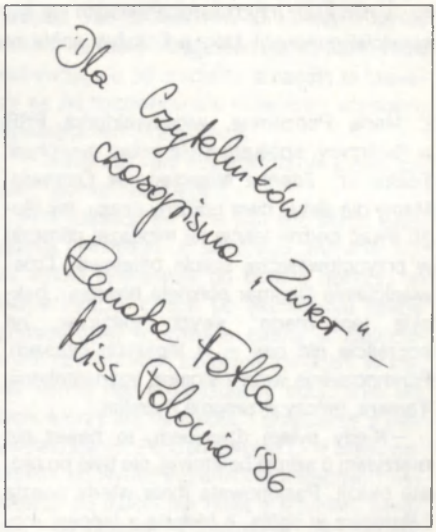
– Czy pani uroda jest wyłącznie darem natury, czy też może używa pani jakichś specjalnych kosmetyków, stosuje godne polecenia diety?

Wielokrotnie już do mnie pisano i dzwoniono w tej sprawie. Mówię wszystkim, bo tak jest naprawdę, że dosłownie jem kilogramami jabłka i to codziennie. Nigdy w życiu się nie malowałam, dopiero teraz, kiedy zmuszają mnie do tego obowiązki wypływające z tytułu, robię makijaż.

Wierzymy, a jabłka gorąco polecamy wszystkim naszym dziewczynom, bo jak śpiewa Andrzej Rosiewicz, którego niestety zabrakło na Balu Cieszyńskim, „najwięcej witaminy mają polskie dziewczyny". Renacie Fatla życzymy samych piątek przy maturze i zdania egzaminów na wymarzone studia!

Rozmawiała: MARIA GRZEGORZ





fot. ZOFIA NASIEROWSKA

PEZETKAOWCY INACZEJ

spotkanie 3.

TAŃCZĄCY PEDAGOG

Na trzecie spotkanie umówiłam się, jakże mogłoby być w marcu inaczej, z kobietą, jedną z wielotysięcznej rzeszy członkiń PZKO. Wspólnym mianownikiem tego cyklu jest to, że prezentujemy w nim ludzi trzydziestoparoletnich lub tych, którzy są rówieśnikami Związku, a więc przedstawicieli generacji, która już ułożyła sobie swoje życie zawodowe.

Z Marią Podzemną, wicedyrektorką PSP w Bystrzycy, spotkałam się przed gmachem Teatru im. Zdeňka Nejedlego w Ostrawie. Mamy dla siebie dwie godziny czasu, tak długo trwać będzie lekcja jej młodszej córeczki w przygotowawczej szkole baletowej. Dziewięcioletnia Dagmar połknęła bowiem ,,bakcyla tanecznego" swych rodziców, na szczęście dla niej — w lepszych czasach. Równocześnie wraz z siostrą, trzynastoletnią Tamarą, tańczy w zespole Rytmika.

— Kiedy byłam dzieckiem, to nawet nie marzyłam o szkole baletowej, nie było po prostu okazji. Pasjonowała mnie wtedy poezja i literatura w ogóle. A historia z tańcem rozpoczęła się dopiero w czasie moich studiów na Fakultecie Pedagogicznym w Ostrawie, kiedy zaczęłam uczęszczać do ,,Górnika" jako tancerka. Tak się zapaliłam do tej pracy, że tańczyłam 20 lat.

— *Skończyła pani niedawno, bo w grudniu ubiegłego roku, ale mąż został.*

— Tak, choć jesteśmy mieszanym małżeństwem, bo mąż jest z pochodzenia Czechem, wciągnęłam go do zespołu, i przez te lata tańczyliśmy razem. Skorzystaliśmy nawet z możliwości dokształcenia się w tym kierunku i w r. 1986 absolwowaliśmy Konserwatorium Ludowe w Ostrawie pod kierownictwem prof. Kyselej. Mąż w ubiegłym

roku ukończył także trzyletnie studium choreografów w Lublinie i teraz pozostając w Górniku prowadzi grupę młodych tancerzy.

— Pani zaś swe doświadczenia taneczne przeniosła aż do Bystrzycy, na teren swej działalności pedagogicznej, kierując szkolnym zespołem tanecznym „Łączka".

— Tak, miałam to szczęście otrzymać w roku 1966 swoją pierwszą posadę w Bystrzycy, w szkole, która posiada bogate tradycje. Szkoła nasza od lat szczyci się bardzo dobrą kadrą pedagogiczną z poczuciem odpowiedzialności, obowiązku i zaangażownia społecznego. Tak się złożyło, że wytrwałam tu aż do dziś.

— Czy trudno było dziewczynie z miasta przyzwyczaić się do pracy na wsi?

— W Bystrzycy od razu mi się spodobało. Może ludzie byli trochę inni, powiedziałabym bardziej swojscy, ale właśnie to pomogło mi wżyć się w tamtejszą atmosferę i szybko się zaaklimatyzować. Tak samo dzieci na wsi są inne niż w mieście. Wielki wpływ mają na nie dziadkowie, z którymi zazwyczaj mieszkają, i którzy zachowują jeszcze pewne tradycje rodzinne. To ma wielkie znaczenie zwłaszcza tam, gdzie rodzice nie mają zbyt wiele czasu dla swych dzieci.

— Pani aprobacja to język polski i język czeski. Jak radzą sobie dzieci z językiem ojczystym na terenie mieszanym narodowościowo?

— Na drugim stopniu uczymy języka polskiego 4 godziny tygodniowo, dwie lekcje gramatyki, jedną literatury i jedną stylistyki. Te dzieci, które mają możliwość rozmawiania w domu z rodzicami po polsku, nie mają problemów z posługiwaniem się poprawną polszczyzną. Mniej więcej połowa ma naleciałości gwarowe, do tego jeszcze wpływ środowiska. Zauważyłam jednak podczas pobytu z „Łączką" na Światowym Festiwalu Polonijnych Zespołów Folklorystycznych w Rzeszowie, że wystarczyło kilka dni przebywania w środowisku polskim i dzieci tak się osłuchały, że mówiły pięknym językiem. Wielka szkoda więc, że kontakty z Polską się urwały.

— Czego dzieci uczą się chętniej: gramatyki czy literatury?

— Najchętniej przyjmowana jest chyba literatura, zwłaszcza wtedy, gdy nauczyciele nie bazują na życiorysach pisarzy, a starają się zainteresować uczniów wprost ciekawymi fragmentami ich twórczości. Staramy się też urozmaicać lekcje korzystając z płyt z nagraniami utworów literackich, ale niestety są to już wszystko rzeczy stare, z tych czasów jeszcze, kiedy otrzymywaliśmy z Polski pomoce naukowe. Według nowej koncepcji bardzo interesująco opracowana jest również stylistyka.

— A gramatyka?

— Ja bardzo lubię uczyć gramatyki i twierdzę, że też można jej uczyć ciekawie.

— Do obowiązków polonisty należy również przygotowanie uczniów do pezetkaowskich konkursów recytacji, konkursów czytelniczych. Czy uczniowe chętnie podejmują tę dodatkową pracę?

— Jest grupa uczniów, która bierze udział we wszystkich konkursach, w tym również języka rosyjskiego, czy nawet akcjach sportowych. Ale chciałabym tu poruszyć jedną ważną sprawę: przygotowania do konkursów odbywają się po lekcjach, a często te imprezy są źle rozplanowane czasowo i uczniowie bywają potem przeciążeni.

— Jakie ma pani doświadczenia z nauczaniem języka czeskiego?

— W klasach od 5—8 jest tyle samo lekcji języka czeskiego co polskiego. Staramy się, by dzieci opanowały go bardzo dobrze, bo jedna trzecia z nich po skończeniu szkoły podstawowej kontynuuje naukę w zawodowych czy średnich szkołach czeskich. W klasie ósmej np. organizujemy douczanie dla tych, którzy idą na studia, i pracujemy z nimi indywidualnie. Podsumowując to w ciągu ostatnich lat wyniki egzaminów wstępnych wykazują, że dzieci nie mają z językiem czeskim problemów. Oczywiście są wyjątki.

— Krąży taka opinia, że nauczyciele spędzają dziś więcej czasu na zebraniach niż w klasach?

— Jest w tym twierdzeniu dużo przesady, ale rzeczywiście bywają okresy, kiedy nagromadzi się tych zebrań dużo. Mnie się wydaje, że niektóre te szkolenia się dublują. Uczestniczymy w akcjach organizowanych przez KPÚ (Krajský pedagogický ústav) i przez OPS (Okresní pedagogické středisko) i w niejednym wypadku tematyka się powtarza. Sytuacja by się na pewno poprawiła, gdyby udało się jakoś skorygować te sprawy. Dodatkowa komplikacja to sprawa dojazdów na szkolenia. Odbywają się one często we Frydku i nauczyciel wyjeżdża z Bystrzycy przypuśćmy o godzinie 11.30, a wraca późnym wieczorem.

— Czego dotyczą te szkolenia czy zebrania?

— Przed dwoma laty mieliśmy cykl szkoleń dotyczących nauczania według nowej koncepcji. Teraz są to szkolenia dokształcające, w celu zapoznania się z nowościami w danym dziale aprobacji. Przede wszyskim koncentruje się teraz uwagę na elektronizację.

— Realizujecie ją u was w szkole?

— Trudno realizować, bo nie ma do tego środków. Na razie wprowadzamy tylko pierwiastki elektronizacji dzięki kilku kalkulatorom, innych możliwości nie mamy.

— Jakimi pomocami naukowymi dysponujecie?

— Mamy dużo pomocy naukowych — aparaty projekcyjne, diaprojektory, epireksy, rzutniki, magnetofony, adaptery, telewizory, mikroskopy, komplety demonstracyjne do nauczania mechaniki, elektrotechniki, biologii itp. Największy problem jest z ulokowaniem tych pomocy i korzystaniem z nich. Gabinety są ciasne, a gdybyśmy ulokowali je w którejś klasie na stałe, to dzieci musiałyby przechodzić na lekcje z budynku do budynku, bo nasza szkoła mieści się aż w trzech. Korzystamy więc z konieczności z pomocy naukowych, przenosząc je z miejsca na miejsce.

— Z 25-osobowego grona nauczycielskiego w Bystrzycy jest tylko dwu mężczyzn. Trochę za bardzo jest chyba szkolnictwo sfeminizowane?

— Niestety tak i chyba wpływa to ujemnie na wychowanie uczniów. Bo spójrzmy na ten problem z punktu widzenia modelu rodziny — pełna rodzina to ojciec i matka. W szkolnictwie brakuje więc tego mężczyzny. Dzieci mają całkiem inny stosunek do nauczyciela. Konkretnie niedawno mieliśmy okazję to stwierdzić. Przyszedł do nas młody nauczyciel na praktykę — dzieci go dosłownie wchłaniały.

— Trzeci rok pełni pani funkcję wicedyrektora szkoły. Czy przysporzyło to pani pracy?

— Teraz już się wdrożyłam, ale jest to nawał pracy. Jest dużo pracy administracyjnej, telefony, które wstrzymują mnie na drodze do klasy itd. Wolę także nie wydawać poleceń na piśmie, a raczej dużo rozmawiać z nauczycielami. Staram się również poszerzyć współpracę szkoły z rodzicami, bo to jest bardzo ważne.

— Ale chyba właśnie w Bystrzycy nie trzeba narzekać na tę współpracę ze strony rodziców. Miałam okazję widzieć ich w akcji przed Zjazdem Gwiaździstym parę lat temu.

— Nasi rodzice naprawdę chętnie pomagają. Komisja sportowa ma tu swoje tradycje i wiele dla szkoły zrobiła. Ale rodzice udzielają pomocy nie tylko w sporcie. Przed wyjazdem „Łączki" do Rzeszowa były prezes pan Wicherek zmobilizował mamusie i sporządzono nowe stroje, w których dzieci prezentowały się na festiwalu.

— Prezentowały się znakomicie zresztą nie tylko dzięki strojom! W jaki sposób przeniosła pani swój zapał do tańca na dzieci?

— Wzorem dla mnie była nauczycielka Wałachowa, która rozpoczęła tę pracę. Ja przejęłam zespół od niej i jestem kierowniczką już ponad 10 lat. Obecnie w „Łączce" tańczą dzieci w wieku od 9—14 lat. Próby mamy dwie godziny tygodniowo. Dosyć wielką wagę przywiązuję do zaprawy tanecznej.

Uważam, że w folklorze trzeba opanować podstawy techniki tanecznej, choć niektórzy twierdzą, że w tańcach góralskich nie jest to potrzebne.

— *Czy przy opracowywaniu programu radzi się pani swojego męża?*

— Tak, mąż pomaga mi. Na przykład dzięki niemu w Rzeszowie dzieci prezentowały się z tańcami lubelskimi. Ja nie mam w tym zakresie doświadczeń. Jeżeli chodzi o folklor góralski, to radzę się z koleżankami, ze starszymi ludźmi, często odwiedzałam nieżyjącą już panią Milerską, korzystam z rad i wiadomości pani Kupcowej. Teraz przygotowujemy blok plenerowy na 40 par, z którym zaprezentujemy się na Festiwalu PZKO.

— *Od trzech lat „Łączka" jakby kontynuowała swą działalność w szeregach PZKO?*

— Na razie jest to zespół bez nazwy. Chcieliśmy z mężem po prostu dać możliwość kontynuowania absolwentom „Łączki" pracy tanecznej. Teraz dzieci, które kończą szkołę podstawową, przechodzą do zespołu pezetkaowskiego. W tym roku ósmacy prawie w komplecie zasilili zespół pezetkaowski. Nie wątpię w to, że jest to wynik udziału „Łączki" w festiwalu w Rzeszowie. Atmosfera tych festiwali jest bowiem niepowtarzalna, wyczuwałam ją jako tancerka Górnika, wyczuły ją i dzieci.

— *Czego mogę życzyć pani z okazji Dnia Nauczyciela, co panią najbardziej cieszy w pracy pedagogicznej?*

— Nauczyciela najbardziej chyba cieszy to, jeśli pod koniec roku stwierdzi, że dzieci opanowały materiał, że je czegoś nauczył. Cieszą zdane przez uczniów egzaminy wstępne, spotkania z byłymi wychowankami, którzy zgłaszają się do nauczyciela i tak jakoś z sercem wspominają lata szkolne — to jest naprawdę bardzo miłe. Mnie osobiście cieszy bardzo również i to, jeżeli uda mi się w dzieci wpoić nie tylko wiedzę, ale równocześnie zapał do pracy społecznej.

ELŻBIETA WANIA



fot. EDMUND KIJONKA















IX BAL GÓROLSKI

10. 1. w Domu Kultury PZKO w Mostach k. Jabłonkowa odbył się IX „Bal Górolski". Przed „Balem", który tym różni się od innych imprez tego typu, że wszystkich jego uczestników obowiązują stroje ludowe naszego regionu oraz tym, że popularyzuje nasz folklor i ludowy sposób zabawy, odbyło się Seminarium Folklorystyczne. W seminarium, które prowadził Mariusz Wałach, udział wzięli m. in. dr D. Kadłubiec, prezes Sekcji Folklorystycznej, Władysław Niedoba — „Jura spod Grónia", dr Jaromír Gelnar, redaktor Rozgłośni Ostrawskiej Radia Czechosłowackiego. Zaprezentowały się także zespoły ludowe, które przygrywały później w czasie „Balu". Region cieszyński reprezentowała kapela „Olzy" pod kierownictwem H. Chmiela, zaś jabłonkowskie Podbeskidzie zespół gospodarzy — kapela „Góroli". Był zespół ludowy z Istebnej, prowadzony przez K. Urbasia z gajdoszami, zdobywcami nagród w konkursach ogólnopolskich — Zbigniewem Wałachem i Józefem Kawulokiem, oraz zespół górali czadeckich ze Skalitego. Z Żywiecczyzny przyjechali Jacek Kotarba — skrzypce i śpiew, oraz gajdosz z Cisca, zwycięzca ogólnopolskiego konkursu w grze na unikalnych instrumentach ludowych — Czesław Węglorz. Z Krakowa przybył studencki zespół „Skalni" pod kierownictwem Ryszarda Gąski, prezentujący folklor Podhala, a z Zakopanego zespół z uniwersalnym muzykiem i gawędziarzem Janem Karpielem, Henrykiem Krzeptowskim, Hanką Karpiel, Januszem Zatorskim i Stanisławem Michalczakiem. Obecni byli również górale czadeccy z województwa zielonogórskiego.

fot. CZESŁAW GÓRAL

KONIECZNOŚĆ DZIEJOWA

W 40. ROCZNICĘ PODPISANIA UKŁADU O PRZYJAŹNI I WZAJEMNEJ POMOCY

Dzień 10 III 1947 r. na trwało wszedł do annałów bilateralnych stosunków między Republiką Czechosłowacką a Rzeczpospolitą Polską. Podpisany w tymże dniu w Warszawie Układ o Przyjaźni i Wzajemnej Pomocy między oboma państwami wytyczył jakościowo nową drogę przyjaźni, budowaną na wzajemnym zaufaniu, internacjonalistycznych stosunkach i demokracji socjalistycznej. Równocześnie interesujący nas układ był ważnym krokiem w kierunku ostatecznej konsolidacji wewnątrz bloku państw socjalistycznych. Nadto jego załącznik, nazwany Protokołem Dodatkowym, w istotny sposób regulował pozycję prawną polskiej grupy społecznej w ramach państwa czechosłowackiego.

Klement Gottwald, który jako premier Czechosłowacji złożył swój podpis na dokumencie wraz z premierem Józefem Cyrankiewiczem i ministrami spraw zagranicznych, Janem Masarykiem i Zygmuntem Modzelewskim, w swym przemówieniu po opatrzeniu traktatu podpisem podkreślił, iż narody polski, czeski i słowacki przeżywały w przekroju historii okresy największego rozkwitu, kiedy kroczyły obok siebie jako partnerzy. Ich wzajemne skłócenie, nie mówiąc o konflikcie wojskowym, natychmiast wykorzystywał nieprzyjaciel. W tragiczny w skutkach sposób potwierdziły to lata drugiej wojny światowej. W podobnym duchu przemówił również Józef Cyrankiewicz.

Energiczne włączenie się przywódców Kraju Rad w tok rozmów dyplomatów czeskich i polskich znacznie przyśpieszyło ostateczne uzgodnienie treści umowy. Szczególnie aktywnie ingerowali przywódcy radzieccy w przededniu spotkania ministrów spraw zagranicznych czterech mocarstw w Moskwie na początku marca 1947 r., występując po raz któryś z rzędu z sugestią konieczności podpisania traktatu politycznego między Czechosłowacją a Polską. Sprawą nie cierpiącą zwłoki stawało się stworzenie zwartego bloku państw socjalis-

tycznych, który byłby w stanie przeciwstawić się mocarstwom zachodnim i ich próbom rewizji granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej. Swą sugestię generalissimus Stalin wysunął m. in. podczas pobytu delegacji rządu polskiego (J. Cyrankiewicz i minister przemysłu Hilary Milic) w Moskwie w dniach 22 II — 24 II 1947 r. Dnia 3 III 1947 r. rząd czechosłowacki otrzymał orędzie od Stalina, potrzebne przede wszystkim do przełamania oporu partii niekomunistycznych, bowiem negocjacje między czechosłowackim ministerstwem spraw zagranicznych a polskim posłem w Czechosłowacji Stefanem Wierbłowskim w Pradze w dniach 28 II — 3 III 1947 r. ostatecznie zakończyły się pomyślnie. Wierbłowski w trakcie pertraktacji informował o stanowisku radzieckim. W radzieckim dokumencie z 3 III eksponowano korzyści gospodarcze dla Czechosłowacji, m. in. bezdolarowy tranzyt towarów przez polskie porty czy uzyskanie w nich specjalnych przywilejów.

Dnia 3 III 1947 r. premier Gottwald zwołał najpierw posiedzenie prezydium rządu, a następnie całego gabinetu. Rząd aprobował radzieckie propozycje. Wieczorem 4 III oficjalnie zakomunikowano o wyjeździe do Warszawy w najbliższych dniach delegacji w celu podpisania umowy sojuszniczej.

Najbardziej kontrowersyjnym problemem do momentu sfinalizowania umowy była sprawa mniejszości narodowych. Już Koszycki Program Rządowy z 5 IV 1945 r. podkreślał wyraźnie narodowy charakter państwa Czechów i Słowaków, nie gwarantując żadnych praw narodowościowych mniejszościom narodowym. Zresztą w trakcie bilateralnych pertraktacji partie burżuazyjne strony czechosłowackiej długo nie zamierzały zrezygnować z obranego kursu wobec polskiej mniejszości narodowej. Skorzystajmy chociażby z oświadczenia ministra spraw zagranicznych Jana Masaryka i wiceministra spraw zagranicznych Vlado Clementisa z sierpnia 1946 r., iż rozmowy nie będą dotyczyć „Śląska Zaolziańskiego albo naszych pretensji terytorialnych, ale polepszenia wzajemnych przyjacielskich stosunków, kontaktów i współpracy" (Rudé právo z 11 VIII 1946). Jeszcze dosadniej podkreślił dany fakt prezydent Beneš w swym przemówieniu w jednej z miejscowości w płn.-wsch. Czechach w dniu 8 X 1946 r.: „. . . nigdy nie podpiszemy żadnej umowy, która by mniejszości narodowej gwarantowała w naszym państwie ochronę".

Swoją drogą, iż KPCz, podkreślając słowiański charakter powojennego państwa, usiłowała zadbać o nieco odmienne rozwiązanie z jednej strony kwestii niemeckiej i węgierskiej, z drugiej zaś ukraińskiej i polskiej. Stąd też władze dzięki interwencji KPCz umożliwiły otwarcie polskich szkół i przedszkoli, częściowy rozwój własnej kultury itp.

Podpisany 10 III 1947 r. Układ o Przyjaźni i Wzajemnej Pomocy, zwany również od miejsca podpisania Umową Belwederską, obowiązywał dwadzieścia lat. Obaj sygnatariusze zobowiązywali się udzielić *niezwłocznie swej pomocy wojskowej oraz wszelkiej innej pomocy wszystkimi środkami „partnerowi" wciągniętemu w działania wojenne z Niemcami lub jakimkolwiek innym państwem, które połączyłoby się z Niemcami w tej poli-*

tyce. Nadto zobowiązano się współdziałać *dla uniemożliwienia każdej nowej agresji.*

Dnia 10 III 1947 r. uzgodniono również tekst wspólnego komunikatu, który zapowiadał zawarcie w najbliższym czasie całego szeregu umów gospodarczych. Poza tym zobowiązano się w komunikacie do wprowadzenia w życie protokołu o współpracy naukowej i technicznej z 23 VIII 1946 r.

Umowa o współpracy gospodarczej została podpisana 4 VII 1947 r. Respektując zasady równouprawnienia partnerów, zapewniała ona wszechstronną pomoc przy odbudowie, rozwoju potencjału gospodarczego czy obrotu towarowego, korzystanie z udogodnień tranzytowych (m. in. stronie czechosłowackiej z portów polskich) i współpracę w podnoszeniu stopy życiowej mas pracujących obu krajów.

Protokół Dodatkowy gwarantował prawa mniejszościom narodowym. *Wysokie umawiające się strony* — czytamy w dokumencie — *rozstrzygną na podstawie wzajemnej zgody nie później niż w ciągu dwu lat (. . .) wszystkie kwestie terytorialne istniejące obecnie między obydwoma krajami. (. . .) zapewnią Polakom w Czechosłowacji względnie Czechom i Słowakom w Polsce w ramach praworządności i na zasadzie wzajemności możliwości rozwoju narodowego, politycznego, kulturalnego i gospodarczego (szkoły, stowarzyszenia, spółdzielnie na zasadzie jedności spółdzielczości w Polsce względnie w Czechosłowacji).*

Na III powiatowej konferencji KPCz w przeddzień podpisania Układu o Przyjaźni i Wzajemnej Pomocy w dniu 9 III 1947 r. w czeskocieszyńskim Domu Śląskim redaktor naczelny „Rudého práva" poseł Vilém Nový niezmiernie trafnie ocenił historyczne znaczenie układu sojuszniczego: *Po tych próbach i wysiłkach, jakie datuje historia, doczekaliśmy się tej wspaniałej dla Słowiańszczyzny chwili, kiedy historia zespoliła nas, by rozpocząć nową erę, która raz na zawsze położy kres niemieckiemu „Drang nach Osten". Dziś, stojąc wobec uskutecznienia tego niezmiernie ważnego wydarzenia, musimy sobie uprzytomnić, że był to generalis. Stalin, który stale pobudzał nas do zawarcia tego słowiańskiego sojuszu. Nareszcie znaleźliśmy wspólny język. (. . .) Obecnie odsunęliśmy sprawy graniczne na dwa lata. Tym samym gwarantuje się obywatelom narodowości czeskiej w Polsce, jak również Polakom w Cieszyńskiem należne prawa na pełne wyżycie się (. . .) Pakt polsko-czeski jest druzgocącym ciosem dla reakcji. Czego nie udało się rządowi agrarnej oraz polskiej sanacji za całych dwadzieścia lat, to obecnie uskuteczniła KPCz i PPR".*

Bezpośrednio po podpisaniu historycznego dokumentu „Głos Ludu" entuzjastycznie stwierdził: *Nareszcie! Przecież nikt tak gorąco nie mógł sobie życzyć zaprzyjaźnienia się dwu narodów słowiańskich, jak walcząca od szeregu lat z faszyzmem demokratyczna ludność Śląska Cieszyńskiego. My nie zapomnieliśmy ogromu cierpień, jakich nam dostarczyła okupacja niemiecka, i dlatego po zwycięstwie w obu państwach prawdziwej demokracji i socjalizmu czekaliśmy z upragnieniem, zanim my będziemy mogli korzystać z dobrodziejstw demokracji i socjalizmu.*

WŁADYSŁAW JOSIEK

31 MAJA 1987 — KARWINA



MIEĆ CZTERDZIEŚCI LAT
ZNACZY BYĆ
W PEŁNI SIŁ
POTWIERDŹMY TO!

PIRAMIDY POD STASZOWEM

Polska bogactwem surowców mineralnych zasobna, wydobywać nam je z ziemi trzeba na pożytek ludziom.
Stanisław Staszic, „O Ziemiorództwie Karpatów"

Staszów, kilkunastotysięczne miasto nad rzeką Czarną w sąsiadującym z kieleckim województwie tarnobrzeskim, wyrósł na siarce. Odkryte pod koniec lat 50. złoża siarki i związana z tym budowa kopalni siarki w położonym o osiem kilometrów dalej podstaszowskim Grzybowie, wpłynęły na rozwój miasta, którego stare centrum dziś otoczone jest nowymi osiedlami.

Jest niedziela, ponieważ jednak mam do dyspozycji tylko jeden dzień, sprawę zwiedzania kopalni załatwia kilka rozmów telefonicznych. Wkrótce samochód kopalni wiezie nas w kierunku Grzybowa. Najpierw zatrzymujemy się w przerobionych z baraków obiektach biurowych, gdzie towarzyszący mi w zwiedzaniu główny technolog górniczy Kopalni i Zakładów Chemicznych „Siarkopol" w Grzybowie mgr inż. Stanisław Pitek pokazuje mi swoje królestwo. Prócz informacji otrzymuję ciekawe, wykonane z siarki plakietki upamiętniające 20-lecie kopalni oraz ważący kilka kilogramów rdzeń wydobyty z otworu wiertniczego. Te cenne pamiątki oraz kilka kawałków zestalonej siarki wywożę z sobą do domu.

Polską siarkę odkryto w latach 50. W r. 1953 uruchomiono w Piasecznie, w okolicach Tarnobrzegu, gdzie dowiercono się pierwszych złóż siarkowych, pierwszą kopalnię, wydobywającą rudę siarki metodą odkrywkową. W tej chwili pracuje tą metodą jedyna kopalnia w Machowie. Wszystkie polskie złoża siarkowe zostały odkryte przez prof. Stanisława Pawłowskiego. Odkrywano kolejno: Piaseczno, Machów, Grzybów, Solec, a następnie Osiek z kopalnią Baranów, Lubaczów. W tej chwili eksploatację prowadzi się na złożu Machów, w Jeziórku, gdzie jest największa kopalnia otworowa na świecie. Na złożu lubaczowskim działa kopalnia Basznia tuż nad granicą radziecką. Pas złóż siarkowych ciągnie się aż na stronę radziecką. Rosjanie eksploatują również metodą otworową złoże koło Jaworowa w tym samym ciągu siarkonośnych złóż, które na zachodzie sięgają prawdopodobnie aż pod Kraków. Kiedyś bowiem, w wiekach 14. i 15., wydobywano siarkę metodą szybikową w kilku podkrakowskich miejscowościach.

W Europie poza Polską i Związkiem Ra-

dzieckim nie ma rud siarki, ale np. Francuzi uzyskują siarkę przez odsiarczanie gazu ziemnego zanieczyszczonego związkami tego pierwiastka. Złoże podobnego typu, jak w Polsce, eksploatowane jest w Iraku; iracka kopalnia o wydajności około miliona ton rocznie zbudowana została przez Polaków, dziś pracują tam fachowcy również z Grzybowa. W tej chwili podobne próby z otworową eksploatacją złóż siarki robią Chińczycy, którzy też natrafili na siarkę.

Chińskie złoże jest jednak nieciekawe — mówi mój opiekun i przewodnik — ze względu na słabą przepuszczalność dla wody. Wiadomo, żeby wytopić siarkę, to skały, które otaczają złoże, muszą być szczelne, za to te skały, które złoże budują, powinny zapewnić przepuszczalność dla wody, żeby mogła rozpływać się w złożu. Chińczycy mają to złoże mocno szczelne i w dodatku zanieczyszczone bituminami — pochodnymi ropy naftowej.

Powróćmy jednak do eksploatacji rud siarki metodą otworową. Równocześnie z powstaniem pierwszych kopalń odkrywkowych rud siarki podjęto w Polsce próby wydobycia tego bogactwa metodą otworową, opracowaną przez polskich inżynierów na wzór amerykańskiej metody Frascha. Próby te prowadzono właśnie tutaj, na złożu grzybowskim, i zostały one uwieńczone sukcesem w r. 1966. Dokładnie 1 czerwca popłynęła pierwsza siarka z otworu wiertniczego na polu D grzybowskiej kopalni. Dziś jeszcze stoi w tym miejscu „pomnik" tego otworu, tzn. więźba otworowa, ustawiona w tym samym miejscu, skąd przed dwudziestu laty wypłynęła pierwsza polska siarka. Odtąd datuje się burzliwy rozwój metody podziemnego wytapiania. Z całym cyklem technologicznym w skrócie i wielkim uproszczeniu zaznajamia mnie główny technolog górniczy zakładu.

Polskie złoża siarki pochodzą z okresu mioceńskiego i tworzą je wapienie, gipsy i margle osiarkowane. Głębokość zalegania tutejszego złoża wynosi od 120—190 m, ale np. w Jeziórku siarkonośne rudy zalegają niżej i wiercić trzeba na głębokość poniżej 200 m. Siarka wydobywana jest przy użyciu otworów wiertniczych. Wierci się je w ten sposób, że dowierca się do stropu złoża i zbroi otwór rurami osłonowymi. Rury te są zacementowane z nadkładem po to, aby nie było kontaktu z wodami trzeciorzędowymi, tzn. pochodzącymi z okresu trzeciorzędu (miocen zresztą też jest jednym z okresów trzeciorzędu). Następnie otwór zbroi się rurami technologicznymi, zapuszczonymi do spągu złoża. Samo wydobycie siarki odbywa się w ten sposób, że do złoża wtłaczana jest gorąca woda o temp. 165 °C i ciśnieniu 8 atm poprzez rury wodne, w których centralnie zapuszczone są tzw. rury siarkowe. Do nich spływa siarka roztopiona i równocześnie oczyszczona. Po prostu wszystkie zanieczyszczenia pozostają w złożu, a spływa tylko czysta siarka. Siarka topi się w temperaturze około 120 °C, ale to jest jej temperatura topnienia, natomiast temperatura wytapiania ze złoża musi być wyższa. To wygrzewanie złoża gorącą wodą trwa konkretnie w warunkach złoża grzybowskiego od 48 do 72 godzin. Potem następuje odprężanie otworów, włącza się pompowanie na powierzchnię przy pomocy sprężonego powietrza i mieszanina powietrzno-siarkowa wyrzucana jest na zewnątrz do zbiorników. Stąd rurami transportowana jest na oddział zestalania. Rury powietrzne zapuszczone są w otworze wiertniczym z kolei centralnie do rur siarkowych.

Metoda otworowa podziemnego wytapiania siarki jest stosunkowo prosta i 2—3 razy tańsza od odkrywkowej. Z odkrywki wydobywa się rudę, która musi zostać poddana flotacji, czyli oddzieleniu kamienia od siarki. Podobnie dzieje się przy wydobyciu węgla, gdzie oddzielany jest on od skały płonnej. Dodatkową korzyścią metody otworowej jest to, że złoża można eksploatować kilka razy, po prostu doeksploatowywać. W kopalni podziemnej, jak nasze kopalnie węgla kamiennego, jeżeli eksploatuje się pokład niższy, a nad nim znajduje się jeszcze cieniutki pokład, którego ze względów ekonomicznych nie opłaca się na razie wydobywać, to po wybraniu pokładu niższego górny się załamuje. W eksploatacji otworowej po częściowym wy-

korzystaniu złoża można z powrotem wiercić obok poprzedniego otworu drugi i eksploatować dalej.

Polska siarka wypływająca na powierzchnię przez otwory wiertnicze jest czysta w 99 %. Jej zawartość w złożu jest różna — od 5 do 30 %. Złoże nie jest jednorodne, w różnych partiach może być uboższe i bogatsze.

Jeden otwór eksploatowany jest średnio przez pięć miesięcy i wydobywa się z niego około 9 tys. ton siarki. W ciągu 20 lat na kopalni grzybowskiej eksploatowano stopniowo około 3 000 takich otworów. Obecnie wydobycie odbywa się przez 70 otworów eksploatacyjnych. W r. 1985 w grzybowskim „Siarkopolu" wydobyto 935 tys. ton siarki. Rekordowy pod względem wydobycia r. 1980 zamykał się liczbą zaledwie o 30 tys. ton mniejszą od półtora miliona ton. Od r. 1966 do października roku ubiegłego wydobyto z miejscowego złoża 21,5 miliona ton siarki, choć na początku zasoby te szacowano skromnie na 19,5 mil. ton.

— Do czego służy siarka? — uśmiecha się Stanisław Pitek, słysząc moje pytanie. — O wiele prościej byłoby zapytać, do czego nie jest potrzebna. Podstawowa rzecz — to produkcja kwasu siarkowego. Kiedyś było takie stwierdzenie, że miarą rozwoju przemysłu chemicznego jest produkcja właśnie tego związku. Kwas siarkowy stanowi jeden z surowców do produkcji nawozów sztucznych, fosforowych. Siarka używana jest w przemyśle gumowym. My sami produkujemy w naszych zakładach dwusiarczek węgla (CS_2), który służy głównie do produkcji włókien sztucznych. Poza tym ma też zastosowanie w przemyśle gumowym, zaś ksantogeniany, produkt pośredni przy produkcji włókien sztucznych otrzymywany przez działanie dwusiarczku węgla, służą z kolei do flotacji w przemyśle miedziowym. Trudno wymienić produkty przemysłu chemicznego, które powstają bez udziału siarki i jej pochodnych. Czysta siarka ma np. zastosowanie w przemyśle farmaceutycznym — w produkcji maści siarkowej itp. Ale to już jest specjalny typ siarki strącanej, poddawanej specjalnej obróbce.

Teoretyczny wykład z zakresu siarkologii przerywa brzęczek telefonu. Przed biuro zajeżdża samochód głównego dyspozytora, człowieka, który w niedziele i święta sprawuje w kopalni władzę najwyższą. Upychamy się w ciasnej szoferce w czwórkę wraz z trzynastolatkiem, Jarkiem, synem głównego technologa, i ruszamy na pola eksploatacyjne.

Dookoła po obu stronach drogi ciągną się na pozór puste siarkonośne tereny, tylko od czasu do czasu widać wychodzące z rozsianych szachownicowo otworów wiertniczych rury, prowadzące do zbiorników. Zbliżamy się do pola na froncie Z i podjeżdżamy do zbiornika. W powietrzu unosi się charakterystyczny zapach — to siarkowodór, drażniący śluzówkę oka. W sterowni dyżuruje górnik Jan Stawiński i jego pomocnik. Taka sterownia liczy sobie osiem celek, tzn. że na zbiornik można podłączyć osiem otworów. Dzisiaj pracują cztery otwory. Do stojącego obok zbiornika odprowadzana jest siarka z najbliższych otworów wydobywczych. Zbiornik jest wcale potężny, stalowy, o średnicy około 5 m. Stąd pompami siarka wypompowywana jest na składowisko.

Opuszczamy pole eksploatacyjne i po kilkunastu minutach jesteśmy na składowisku siarki. Widok przypomina piramidy, oczywiście miniaturowe. Pryzmy zestalonej siarki wznoszą się na wysokość kilku metrów. Wszystko dookoła żółci się od pyłu siarkowego, który cieniutką warstewką pokrywa okolicę. Ponieważ przed chwilą mijaliśmy jakieś prywatne zabudowania i o mało nie przejechaliśmy kilka gęsi ze sporego stadka spacerującego po szosie, niepokoi mnie sprawa zanieczyszczenia środowiska naturalnego.

Dowiaduję się, że najbliższa okolica narażona jest rzeczywiście na emisje siarkowodoru, dwutlenku siarki, a zapylenie siarką pylistą roznosi się w pasie 200—300 m. Jeżeli chodzi o emisję siarkowodoru, to kopalnia podjęła już próby zamontowania urządzenia do oczyszczania wprost przy zbiornikach.

Próbuje się też zawracać wody złożowe, bo z wodą, która jest tłoczona do złoża i tam odda ciepło, trzeba coś zrobić. W nowym zakładzie doświadczalnym wytrąca się z niej siarkowodór, który jest spalany do dwutlenku siarki i wyrzucany do atmosfery. W tej chwili próbuje się wodę zawrócić z powrotem, podgrzać na nowo i na powrót użyć do zasilania otworów wiertniczych, żeby jej obieg został zamknięty. W nowej kopalni w oddalonym o 28 km od Staszowa Osieku planuje się zamknięcie całego obiegu wód, by nie wypuszczać nawet najdrobniejszych zanieczyszczeń. Na razie nie można uniknąć zapylenia pyłem siarkowym ze względu na technologię załadunku siarki. Związek Radziecki, jako jeden z odbiorców, nie jest przystosowany do odbioru w innej postaci, np. jako granulowanej czy płytkowanej, ale wyłącznie w postaci siarki kruszonej. Podejmowano już próby zlikwidowania zapylenia, ale na razie bezskutecznie. Dookoła składowiska stworzono strefę ochronną, wysadzając tam drzewka.

Co dzieje się z polem już wyeksploatowanym? Pierwsze z nich, na którym zaczynano wydobycie przed dwudziestu z górą laty, jest w tej chwili rekultywowane. Prawdopodobnie obsadzone zostanie lasem, bo pod rekultywację rolną teren się nie nadaje. Gleba jest silnie zakwaszona i pomimo nasycenia jej ogromną ilością wapna, trudno doprowadzić ją do stanu normalnego.

Wracajmy jednak do podstaszowskich piramid na składowisku, które powstają przez wylewanie warstwami płynnej siarki na utwardzony teren. Do zbudowanej z blachy osłony wylewa się tu siarkę w warstwie około 3 cm, która krzepnie przez około 3—4 godzin. Później przenosi się osłonę wyżej, tworząc schodek, i wylewa kolejną warstwę. Piramidy osiągają wysokość, na którą sięga koparka, bo pryzmy zestalonej siarki są urabiane przez koparkę i z przenośników trafiają wprost do podstawionych na bocznicy kolejowej wagonów. Część siarki, transportowana w stanie płynnym, wlewana jest bezpośrednio ze zbiornika buforowego do cystern. W zbiornikach siarka jest stale podgrzewana, by nie uległa zestaleniu. Na szczęście jest złym przewodnikiem ciepła, więc w czasie podróży w cysternach tworzy tylko cieniutką warstwę na powierzchni. Przed wyładunkiem w porcie cysterny znowu są podgrzewane. Płynna siarka przewożona jest do Gdańska, do bałtyckich portów. Siarka kruszona wędruje głównie do Związku Radzieckiego. Wśród odbiorców polskiego złota są kraje wspólnoty socjalistycznej: Czechosłowacja, Bułgaria, Rumunia, są państwa Europy zachodniej: Francja, Finlandia, RFN, Holandia, Grecja, Szwecja, Norwegia, Włochy i Anglia, ale również wiele krajów zamorskich — Kuba, Egipt, Brazylia, India, Tunezja, Kenia.

Grzybowski „Siarkopol" zatrudnia 2 200 osób łącznie z zakładem produkcji dwusiarczku węgla, gdzie pracuje około 250 osób. Budowa tego zakładu opłaciła się, nie wysyła się bowiem surowca, ale półprodukt, którego cena jest prawie trzykrotnie wyższa od ceny siarki.

A jak kształtuje się cena siarki? Otóż różnie, w zależności od popytu i podaży, stale jednak na bardzo wysokim poziomie. W roku ubiegłym za tonę wynosiła 130 dolarów. To cena urzędowa, nie przeliczana na złotówki. Oczywiście eksportem nie zajmuje się sama kopalnia, lecz CIECH — Centrala Importowo-Eksportowa Chemii.

Polska jest głównym producentem i eksporterem siarki w świecie, posiada też największe zasoby naturalne tego bogactwa. Wymaga to trafnego przewidywania rozwoju kierunków polskiego górnictwa i przetwórstwa siarki.

Prawie cztery godziny spędziłam na terenie grzybowskiej kopalni, zgłębiając tajniki wydobycia i zastosowania tego „piekielnego" i, jak kiedyś uważano, nadprzyrodzonego pierwiastka. To, czego się dowiedziałam, nie ma jednak nic wspólnego z alchemią. Przyszłość polskiej siarki zależeć bowiem będzie głównie od postępu naukowo-technicznego i wprzęgnięcia cech fizyko-chemicznych tego pierwiastka w zaspokojenie potrzeb człowieka.

MARIA GRZEGORZ

O PAWLE MUSIOLE

Po kilku latach niewidzenia się spotkaliśmy się ponownie pod koniec listopada 1939 roku, tym razem na rynku cieszyńskim, w mieście, które tak zawsze było nam przyjazne i tak zawsze nasze. W ów dzień jednak czuliśmy się tutaj jak ludzie w obcym mieście, na którego ulicach czyha wrogość zza każdego węgła. Rozmowa nasza była krótka. Okazało się, że obydwaj uciekliśmy z niewoli: on, dowódca oddziału karabinów maszynowych 4 pułku strzelców podhalańskich, został wraz ze swoją jednostką wzięty do niewoli pod Rawą Ruską, ja, podchorąży rezerwy 5 Baonu Saperów w Krakowie, zostałem w ramach grupy płk. Kuleszy zagarnięty przez Niemców pod . . . też Rawą Ruską. Nie mieliśmy czasu na dochodzenie, czy to było w tym samym czasie, w tej samej jednostce zorganizowanej w Dubnie, której dowódca postanowił w pamiętnym dniu 17 września zmienić kierunek przesuwania się ze wschodniego na zachodni, „na Berlin", jak to wówczas w ogarniającym nas wisielczym humorze nazywaliśmy.

To nie było ważne. Ważna była przyszłość. Zgodziliśmy się z Musiołem, którego dobrze znałem z pracy w „Zniczu" (Stowarzyszenie Studentów Polaków ze Śląska Cieszyńskiego), że wojna dopiero się zaczęła. Czy chcę? Oczywiście tak. Złożyłem przysięgę na jego ręce, na rzecz organizacji ruchu oporu „Orzeł Biały". Ręki do przysięgi nie podnosiłem — staliśmy bowiem na rynku, na szerokiej promenadzie przed podcieniami, zwanymi wówczas popularnie „łaubami", na wysokości sławnego przed wojną pokoju śniadankowego Prchali. Później miałem się dowiedzieć, że „wpadłem" w ręce samego szefa tej organizacji na tym terenie.

Kim był Paweł Musioł? Na pewno jedną z najbardziej wyróżniających się postaci młodego pokolenia na Śląsku, postacią godną pamięci, zwłaszcza, że był okres po wojnie, gdy tę pamięć o nim starano się zatrzeć.

Urodził się dnia 30 grudnia 1905 r. w Leszniej Górnej, uroczej miejscowości pod Cieszynem, leżącej między Ustroniem a Trzyńcem, u podnóża góry Tuł, znanej ze swego rezerwatu storczyków. Urodził się w rodzinie rolnika, rodzinie wielodzietnej (matka miała z pierwszego małżeństwa sześcioro dzieci, a z drugiego, z którego się wywodził Paweł, dziewięcioro dzieci). Do szkoły ludowej — jak wówczas nazywano szkołę podstawową — chodził na piechotę do Trzyńca. Codziennie ponad 4 km w jedną stronę.

W czasie nauki w gimnazjum (1918—1926), zwłaszcza w klasach wyższych, rozpoczyna twórczość literacką szeregiem opowiadań, a kończy powieścią „Zatracenie" i dramatem „Stracony pierścień". W swoim pisarstwie pozostaje pod niewątpliwym wpły-

wem Władysława Orkana, którego miał okazję później osobiście poznać. Te chłopięce, a później młodzieńcze utwory oczywiście nie zostały odnotowane przez historię naszej literatury, stanowiły jednak wyraz jego zainteresowań i zdolności pisarskich, które miały się później uzewnętrznić raczej w jego działalności publicystycznej.

Bezpośrednio po zdaniu egzaminu dojrzałości w roku 1926 Musioł podjął studia na wydziale filologicznym Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, głównie pod kierunkiem znakomitego historyka literatury polskiej prof. Ignacego Chrzanowskiego, którego był ulubionym uczniem. Studia te ukończył w przepisanym terminie w 1930 r., mimo że w tym czasie rozwijał równolegle działalność organizacyjną i kulturalną w różnych akademickich stowarzyszeniach, jak: Koło Polonistów U. J., Towarzystwo Wzajemnej Pomocy Studentów U. J. a przede wszystkim Stowarzyszenie Studentów Polaków ze Śląska Cieszyńskiego „Znicz".

Prawdopodobnie Musioł jako pierwszy rzucił myśl utworzenia uniwersytetu na Śląsku. Do realizacji tej idei zaangażował się z wielką pasją, ale myśl ta musiała być zbyt śmiała, bo opinia trzech głównych środowisk: Śląska, Krakowa i Warszawy podzieliła się na dwa odłamy — zwolenników i przeciwników tej idei. Projekt ten nie doczekał się jednoznacznej akceptacji, a więc i realizacji. Zdaje się, że główną przyczyną stojącą na przeszkodzie w realizacji tego zamierzenia był brak środków finansowych.

Niezrażony tym Musioł zaangażował się czynnie w staraniach o utworzenie politechniki na Śląsku. Kiedy delegacja śląskiej młodzieży akademickiej z Musiołem na czele udała się w tej sprawie do ówczesnego rektora UJ Henryka Hoyera, znalazła życzliwe przyjęcie. Hoyer oświadczył, że rozumie doskonale szlachetne i słuszne intencje młodzieży śląskiej, ale ma wątpliwości, czy w aktualnej sytuacji kryzysowej (był rok 1930) idee te mają szanse realizacji.

W czasie studiów Musioł stopniowo odchodzi od prób twórczości literackiej na rzecz zainteresowań skierowanych na publicystykę i krytykę literacką. Można przyjąć, że opowiadanie pt. „Świt" zamieszczone we wspomnianej „Księdze o Śląsku", zamyka niejako okres jego twórczości literackiej. W tej samej „Księdze" pojawia się pierwszy jego szkic z zakresu krytyki i historii literatury, dotyczący poety i pisarza cieszyńskiego Jana Kubisza.

Po powyższym szkicu opracowuje Musioł szereg artykułów opublikowanych w roku 1930, których tytuły świadczą o jego zainteresowaniach: Rzut oka na literaturę śląsko-polską, Odrodzenie narodowe Śląska, Literatura śląsko-polska, Charakter literatury odrodzenia narodowego na Śląsku i in.

Musioł kończy studia w roku 1930 pracą magisterską na temat heroizmu w twórczości Stefana Żeromskiego, o której Wilhelm Szewczyk wydaje opinię, że *było to interesujące studium, godne dziś jeszcze publikacji.* Potem Musioł wraca z Krakowa na Śląsk, pracując w szkolnictwie średnim w Tarnowskich Górach i Królewskiej Hucie (Chorzowie) a później w Mysłowicach. W listopadzie 1933 r. zostaje mianowany instruktorem oświatowym Ochotniczych Drużyn Roboczych na województwo śląskie, dla których redaguje do końca 1936 r. „Junaka".

W roku 1935 powołuje do życia miesięcznik (przekształcony później w dwutygodnik) „Kuźnicę". Ówczesny ruch literacki i artystyczny na Śląsku znalazł na łamach „Kuźnicy" poważne oparcie, a tacy pisarze, jak Wilhelm Szewczyk i Jan Baranowicz zostali niejako wprowadzeni do literatury poprzez właśnie „Kuźnicę", która wydała pierwsze utwory tych pisarzy.

Rok 1937 stał się przełomowym w życiu Pawła Musioła. Ówczesne władze państwowe wyzyskały sympatie narodowo-demokratyczne Musioła i upatrzyły go sobie jako narzędzie do walki z lewicowym nurtem ówczesnych władz Związku Nauczycielstwa Polskiego. Stało się tak zapewne za przyczyną Bolesława Piaseckiego, który był wówczas „wodzem" faszyzującej Falangi i w pewnym zakresie współpracował z władzami sanacyjnymi. Po zawieszeniu działalności

ZNP we wrześniu 1937 r. 32-letni wówczas Musioł przyjął nieopatrznie stanowisko kuratora tego liczącego kilkadziesiąt tysięcy członków Związku. Wobec zdecydowanej postawy większości Związkowców kuratorstwo jego trwało bardzo krótko, długo natomiast, bo poza grób, nie zapomniano mu tego, że w walce z poważnym odłamem nauczycielstwa dał się użyć jako narzędzie tej walki. Ten krótki epizod ze Związkiem zaważył mocno na życiu Musioła. Negatywny stosunek do polityki sanacyjnej, która wystawiła go na ciężką próbę i klęskę, pogłębił się jeszcze bardziej, a z drugiej strony nie wypadało mu wracać w szeregi nauczycielskie, gdzie nie widział już swego miejsca. Pozostała mu teraz tylko praca w „Kuźnicy" i praca naukowa, zwłaszcza w zakresie historii literatury.

Powstaje wówczas, w latach 1937—1939, fundamentalne dzieło Pawła Musioła pt. „Piśmiennictwo polskie na Śląsku do początków XIX wieku", dotyczące całego obszaru Śląska w jego historycznych granicach, a więc obejmujące również Śląsk Dolny. Obszerne to i wnikliwie opracowane dzieło zostało przyjęte na UJ przez prof. Chrzanowskiego jako praca doktorska autora. Nie było jednak autorowi dane ujrzeć swego dzieła w postaci książki. Praca ta z przyczyn spowodowanych wojną, a potem długim okresem banicji, na jaką pamięć o Musiole została skazana (incydent z ZNP, a potem zaangażowanie się w okresie okupacji w Związku Walki Zbrojnej) przeleżała przez ponad 30 lat w maszynopisie i dopiero dzięki staraniom przyjaciela Musioła, Ludwika Brożka, kustosza Muzeum w Cieszynie, znanego bibliofila, oraz Marty Musiołowej, wdowy po zgilotynowanym Pawle, została wydana w roku 1970 przez Instytut Śląski w Opolu.

Oprócz pracy naukowej Musioł rozwijał w tym czasie żywą działalność publicystyczną i to nie tylko na łamach „Kuźnicy", której był założycielem i redaktorem. Nie sposób tutaj wymienić całego bogactwa poruszanej problematyki. Pragnę tylko podkreślić, że Musioł był pierwszym człowiekiem w Polsce, który publicznie, bo w prasie, podniósł sprawę granicy na Odrze. Świadczą o tym jego artykuły: „Odra i Bałtyk" (nr 10, 1939) i „Nad Wisłą i Odrą" (nr 16, 1939) zamieszczone w „Kuźnicy", a zwłaszcza artykuł w tygodniku „Prosto z Mostu" z 18 marca 1939 r. W artykule tym mówi o polskim życiu na Śląsku Wrocławskim w okresie od XVI do XIX wieku, o polskim piśmiennictwie na tym terenie tego okresu, świadczącym o charakterze narodowościowym tej ziemi. Wspominając Juliana Ursyna Niemcewicza, słuchającego ze zdumieniem w roku 1821 kazania w języku polskim w kościele św. Krzyża we Wrocławiu, tak oto kończy swoje wywody: *Ściska się serce boleśnie, gdy przewracam pożółkłe karty polskich druków dolnośląskich z 17, 18 czy nawet 19 stulecia. Jak niedawno jeszcze szumiała wokół Wrocławia mowa polska i ludzie czuli tam po polsku. Jeszcze dziś przez cienki pokost niemczyzny przebija słowiańskie oblicze tej ziemi. I choć lud mówi już obcym językiem, jest nam dziwnie bliski. Przecież to poniemczeni Polacy. To nasz lud i nasza ziemia. Gdyby cały Śląsk znalazł się znowu pod panowaniem polskim, nie trzeba by więcej niż 50 lat, żeby zniknął z ziemi Piastów nalot niemiecki.*

Nadszedł wrzesień 1939 roku. Musioł jako żołnierz walczy i dostaje się do niewoli, skąd udaje mu się zbiec. Wraca na Śląsk i wraz ze swoją żoną Martą, z domu Pampuchówną, zamieszkuje u swoich rodziców w Wędryni. Zaczyna organizować ruch oporu. W dniu 11 listopada, w dzień przedwojennego święta państwowego, zakłada w Cieszynie tajną organizację wojskową i wkrótce włącza ją do założonej w Krakowie Organizacji Orła Białego. Potem z tą organizacją przechodzi do Służby Zwycięstwu Polski i wreszcie, było to prawdopodobnie w maju 1940 r., wchodzi ze swoją organizacją terenową w skład Okręgu Śląskiego Związku Walki Zbrojnej jako dowódca Inspektoratu Cieszyńskiego ZWZ. Wykazuje niezwykłą ruchliwość. Jest rzeczą pewną, że brał również udział w organizacji Inspektoratu Bielskiego ZWZ.

W maju 1940 r. gestapo wpada na jego

trop i szuka go w Wędryni. Samochód zatrzymuje się przed sklepem spożywczym Molińskiego, dzierżawionym przez Kostkę, pytają o Musiołów. Tłumaczenie trwa dość długo. Od Kostki biegnie ostrzeżenie do Musiołów. Na szczęście Pawła nie ma w domu. Gestapo przeszukuje dom i obejście, żądają zdjęcia Pawła, przeglądają album rodzinny. oże to ten — może tamten? Matka, jak każda matka, zaprzecza — Pawła zdjęcia nie ma. Gestapowiec ciska ze złością album w twarz matki.

Tymczasem drogą od stacji kolejowej wraca sobie spokojnie do domu Paweł z żoną Martą. Przy owym sklepie, gdzie miał skręcić do odległego stąd o około 150 metrów domu, zostaje ostrzeżony. Idzie więc dalej prosto drogą i przez Wróżną (niewielka góra) udaje się do swojej siostry Franciszki Smolikowej. Nie może się tam długo zatrzymywać i ucieka do Ustronia do Lipowczana, szwagra Smolika. W samą porę, bo gestapo tuż za nim zawitało do Lesznej. Niedługo potem Musioł idzie dalej z Ustronia do Brennej do kuzyna swego ojca Hellera. Ale stamtąd, zaszyty w schowkach, nie może kierować organizacją. Ryzykuje i przenosi się w czerwcu 1940 r. do centrum ruchu oporu, do Cieszyna, do domku Teresy i Aleksandra Jaworskich przy ul. Pięknej 3. Stąd kieruje swoją organizacją, a jednocześnie kontynuuje pisanie książki na temat praw Polski do ziem zachodnich pt. „Nowa Polska". W małym pokoiku na poddaszu wystukuje na maszynie wizję nowej Polski, sięgającej po Odrę i Bałtyk.

Co się stało z maszynopisem owej książki? Wiadomo na pewno, że został on przewieziony przez Martę Musiołową z Cieszyna do Wędryni. Przechowania tego maszynopisu podjął się sąsiad Musiołów, Franciszek Lipka, z zawodu szewc, zatrudniony w tym okresie w hucie w Trzyńcu w wewnętrznym transporcie kolejowym. Gdzie to schował, nie wiadomo. Wiadomo tylko, że indagowany o to odpowiadał: *Jo to tak schowoł, że tego ani djoboł nie znójdzie.* I tak też się stało. Lipka zmarł pod koniec lipca 1943 roku (w niecałe



Dr Paweł Musioł

pół roku po zgilotynowaniu Pawła Musioła)w wypadku przy pracy w hucie, zgnieciony podczas spinania wagonów, zabierając tajemnicę schowka do grobu.

W roku 1986 został rozebrany stary dom nr 385 Lipki, aby na jego miejscu postawić nowy dla jego wnuka. W murach burzonego domu nie znaleziono niczego, choć starannie szukano ze świadomością możliwości znalezienia tam schowka. A więc schowek musiał być gdzieś poza domem.

Tak więc gdzieś nad potokiem Wędryńka, do którego przylega posesja nr 385, leży nadal zakopana pierwsza w polskiej literaturze książka na temat praw Polski do bycia nad Odrą i Bałtykiem i czeka na swego przypadkowego odkrywcę.

Wróćmy jednak do losów Musioła. W nocy z 9 na 10 stycznia 1941 r. zostaje aresztowany najbliższy współpracownik Musioła, Teofil

Kocyan, brat Teresy Jaworskiej. Trzeba usunąć się z zagrożonego mieszkania. Jeden z przyjaciół Musioła namawia go do ucieczki na zachód przez Węgry, oferując na ten cel złote monety. Musioł uważa, że byłaby to dezercja. Przenosi się o kilka domów dalej, do znajomych Jaworskich jako „Cieślar", ukrywający się rzekomo przed wywozem na roboty do Niemiec.Nie przestaje nadal kierować Inspektoratem. W dniu 3 marca zostaje aresztowany Walica, nauczyciel z pobliskiego Pogwizdowa, który kontaktował się z Musiołem w jego nowej kwaterze. Niebezpieczeństwo staje się coraz bliższe. Wieczorem w dniu 6 marca odwiedza go Teresa Jaworska. Musioł wyczuwa jakby fizyczną obecność niebezpieczeństwa. Około godziny 22 Teresa żegna się. Paweł jest wyraźnie zaniepokojony i przed jej wyjściem wypowiada słowa: *Sam nie wiem, co już dalej mam ze sobą zrobić — czy ukryć się gdzieś w grobowcu, czy dać się w kominie zamurować.* Były to jego ostatnie słowa przekazane przez Jaworską, słowa wypowiedziane jeszcze na wolności. W dwie godziny później, po północy z 6 na 7 marca gestapo aresztuje cieszyńskiego Inspektora Związku Walki Zbrojnej.

Przez prawie dwa lata wędrował Musioł po więzieniach: Cieszyn, Katowice, Zwickau, Bytom i znowu Katowice. Dopóki mu zdrowie dopisywało i warunki pozwalały, próbował jeszcze pióra. Jego aktywna natura broniła się przed bezczynnością, która mogła zabić wolę. Tęskni za stronami rodzinnymi. W wierszu „Nasza wieś", po opisaniu uroków wsi swojej młodości, pisze:

Oto wieś nasza w lipcową pogodę
Ojcze niebieski, pozwól dożyć chwili,
Zobaczyć kiedyś ojcowską zagrodę,
Niech ciałem stanie się o czymśmy śnili.

W listopadzie 1942 roku zostaje Musioł skazany na karę śmierci wyrokiem Sondergerichtu w Katowicach. Tam w więzieniu w Katowicach przy ul. Mikołowskiej Wilhelm Szewczyk, jako współwięzień, spotyka go w grudniu i ma możliwość nawet przeprowadzenia z nim w łaźni piętnastominutowej rozmowy. O tym spotkaniu tak pisze: *Wszyscy bliscy mu współwięźniowie widzieli w nim swego przywódcę. Szybko, korzystając z okazji, przekazywał im słowa otuchy, nawoływał do okazywania godności i objaśniał sytuację na froncie, która musi spowodować szybki upadek Rzeszy.* A potem, po wojnie, gdy już było po wszystkim, Szewczyk tak pisze do żony Pawła: *Widziałem Pawła prawie co dzień przez okno. Również i po rozprawie, kiedy nosił kajdany na rękach w czasie przechadzki, był ten sam. Kiedy ludzie idący przed nim opuszczali głowy ledwo włócząc nogami, on szedł prosto, głowę niósł wysoko i czuło się, że panował nad czasem. Nie było w nim ani chwili słabości . . . Wielkie serce miał ten góral.*

Zginął w dniu 19 lutego 1943 roku w katowickim więzeniu przy ul. Mikołowskiej, ścięty na gilotynie. Na tej samej, na której położyło swe głowy wielu jego kolegów i przyjaciół z cieszyńskiego ruchu oporu. Zginął wtedy, gdy potęga hitlerowska zaczęła się wyraźnie załamywać i wykruszać na froncie wschodnim, gdy nadzieja wstępowała nawet w serce tych, co już zwątpili. On nigdy nie wątpił. Ale nie było mu dane doczekać tej chwili.

Pozostała po nim młoda żona i jego syn Zbigniew, urodzony po aresztowaniu ojca, którego nigdy już nie miał zobaczyć.

Rodzina straciła syna, męża i ojca. A Śląsk utracił jednego ze swoich najlepszych, przed którym dopiero się życie otwierało.

OSWALD GUZIUR

PUNKTY STYCZNE

Przed piętnastu laty ukazały się w przekładzie na polski „Wybrane studia slawistyczne; kultura — literatura — folklor" autorstwa profesora uniwersytetu w Pradze Karela Krejčiego (Warszawa 1972). W grupie zagadnień folklorystycznych czytelnik otrzymał niezmiernie ciekawą pracę tego uczonego: „Pieśń praskiej ulicy, jej stosunek do pieśni jarmarcznej i do literatury" (pierwodruk czeski: Praga 1963).

Otóż temat jest równie interesujący dla prażanina, cieszyniaka czy mieszkańca Warszawy, okazuje się bowiem, że ich śpiewniki miejskie nie tylko potwierdzają obowiązywanie podstawowych, wspólnych praw folklorystycznych, lecz także wykazują zbieżności melodyczne i tematyczne. Dzięki powierzchownemu nawet porównaniu wybranych piosenek możemy jedynie potwierdzić przestrogę folklorysty, tak sformułowaną przez Krejčiego: *Rzadko kiedy udaje się stwierdzić, skąd dana pieśń, zwłaszcza miejska, pochodzi, a nigdy nie można być pewnym czy nie zostaną wyjawione jakieś nowe fakty. Pater semper incertus . . .* (— ojciec zawsze nieznany).

Ojciec nieznany, lecz — pozostając przy tej metaforze — jego dziecko znane świetniew kraju i za granicą. Żałować wypada, iż na ślad metryki nie natrafimy zapewne nigdy. Jako przykład szczególnie trudny, bo nie poddający się weryfikacji historycznoliterackiej, wskażmy *groteskową praską piosenkę* (określenie Krejčiego) „Sekyra, motyka, deska, válek . . ." Jeszcze dzisiaj każde dziecko w Warszawie potrafi zaśpiewać kuplety okupacyjne wzorowane właśnie na tym tzw. „okroczaku" z Pragi czy ze Żdiarska na Morawach. Tekst satyryczny był przez nieznanego (-ych) poetę (-ów) wypełniony po brzegi aluzjami do ówczesnej scenerii politycznej. Cytujemy zapis z druczku konspiracyjnego „Posłuchajcie Ludzie . . .", zeszyt 1, luty 1943 r. (s. 3—4):

Siekiera, motyka, bimber, szklanka,
W nocy nalot, w dzień łapanka.
Siekiera, motyka, piłka, młot,
Drałuj, draniu, wreszcie stąd.

Kolejka, riksza, tramwaj, buda,
Każdy śpiewa, gdzie się uda,
Bo po co kukać w cytadeli
Albo w jakiej innej celi.

Już nie wiadomo, gdzie się schować,
Chcą nas z domu wyszabrować,
A po ulicy gonią wciąż —
Jakby tu jeszcze kogo wziąć.

Szczęściem kultura nie zabrania
Dać po uchu, jakem cwaniak.
Dobrze, że kulturę w garści mam
I po d . . . szwabom dam.

Była to jedna z wielu mutacji paszkwilu antyhitlerowskiego krążących po Warszawie od września 1942 r. Dość powiedzieć, że w tym samym zeszycie „Posłuchajcie Ludzie . . ." (na s. 8) znajdujemy jeszcze wariant zatytułowany „Na roboty nie pójdę" — z następującą obietnicą:

Siekierą, motyką, nożem, młotem
Uśmiercimy tę hołotę.
Bagnetem, granatem, gradem kul
Przegnam Niemców z polskich pól.

Oczywiście śpiewnik okupacyjno-wojenny 1939—1945 miewał swoje własne teksty i oryginalne melodie, lecz tym razem spotykamy się z przystosowaniem do jego potrzeb starej (z 1917 r.?), zasłużonej piosenki o rodowodzie towarzyskim. Udowadnia to pierwodruk „Siekiery" w zbiorze Z. Kurczyńskiego: „Relutońskie piosenki obozowe", Lwów 1920 s. 104. O popularności „Siekiery, motyki . . ." świadczy ponadto pewien epizod jubileuszowy. W 1938 r., na dwudziestolecie odzyskania niepodległości, ukazał się tom „Wierszy żołnierskich" wyrażających entuzjazm poetów-żołnierzy, których ręce bardziej przywykły do karabinu niż do pióra. Jeden z rymotwórców, plut. rez. Aleksander Fusek, dokonał sążnistego, poetyckiego opisu „Dnia żołnierza", jako refren wplatając zróżnicowane kombinacje „Siekiera, motyka . . ."

Po wojnie bogatą historię „Siekiery" przypomnieli m.in. Bronisław Wieczorkiewicz („Gwara warszawska dawniej i dziś", Warszawa 1966), Tadeusz Szewera („Niech wiatr ją poniesie . . . Antologia pieśni z lat 1939—1945", Łódź 1970, wyd. II tamże 1975) i Michał Hłasko („Piosenki Szkoły Morskiej w Tczewie 1920—1930", Gdynia 1980, wyd. II tamże 1982, wyd. III w druku). Nietypowość zbioru M. Hłaski polegała na operowaniu — poza źródłami drukowanymi — również pamięcią ludzką. Wydawca, który sam należy do absolwentów uczelni tczewskiej, przywołał ze śpiewnika studenckiego przeplataniec: *Używajmy póki czas, / Bo za sto lat nie będzie nas . . . — Siekiera, motyka, piłka, kleszcze, / Chodźże, Maryś, zatańcz jeszcze, / Siekiera, motyka, piłka, gwóźdź, / Chodźże, Maryś, chodźże już!* (wyd. II s. 100—101). W tym kontekście trudno oprzeć się wrażeniu, iż śpiewacy intonujący „Siekierę" znajdowali się już pod działaniem określonych używek . . . Inny miłośnik śpiewów miejskich, Stefan Uhma, którego kolekcja ukazała się w opracowaniu Mariana Wagnera („Lwowskie piosenki", cz. I—VI z. 1—2, Londyn 1971—1977), był skłonny ową roztańczoną Maryś zaliczyć do folkloru Lwowa. Stąd — zauważmy — znacznie bliżej do Pragi niż z Warszawy.

Refleksyjny ton rozprawki profesora Krejčiego skłania czytelnika do zadumy nad meandrami anonimowych piosenek miejskich. Gdyby ktoś uparty zapytał teraz: gdzie „Siekierę, motykę . . ." śpiewano wcześniej — w Warszawie czy w Pradze? — nie otrzymałby jednoznacznej odpowiedzi. Pobratymstwo śpiewników polskiego, czeskiego i słowackiego jest — zdaniem profesora — dodatkową okolicznością utrudniającą określenie kierunku zapożyczeń bądź naśladownictw.

Trzeba więc umieć cieszyć się przynajmniej samym faktem, że znajdujemy w naszych śpiewnikach punkty styczne.

WOJCIECH JERZY PODGÓRSKI

P. S.: A może kto z Czytelników zna dodatkowe szczegóły, pomocne przy rozstrzyganiu, co było najpierw: „Siekiera, motyka . . ." czy „Sekyra, motyka . . ."? Listy na ten temat przyjmę z wdzięcznością.

KAZIMIERZ POPIOŁEK

W dniu 28 grudnia zeszłego roku zmarł wybitny uczony, organizator śląskiej humanistyki, pierwszy rektor Uniwersytetu Śląskiego prof. dr hab. Kazimierz Popiołek.

Urodził się 25 lutego 1903 r. w Cieszynie jako syn Franciszka Popiołka, profesora i dyrektora polskiego gimnazjum imienia Antoniego Osuchowskiego, wybitnego badacza regionalnych dziejów Śląska Cieszyńskiego. Po ukończeniu szkoły podstawowej i gimnazjum w Cieszynie studiował Kazimierz w latach 1922 do 1926 historię i naukę obywatelską na Uniwersytecie Jagiellońskim, zaś w 1927 r. doktoryzował się tu pod kierunkiem prof. dr. Jana Dąbrowskiego na podstawie pracy „Śląsk i Polska w okresie wojen husyckich".



Po ukończeniu studiów pracował jako profesor gimnazjalny w Cieszynie, Rybniku i Katowicach, wykazując duże zainteresowanie historią Śląska, a głównie jej wprowadzaniem do procesu wychowawczego. W tym charakterze działał wśród nauczycieli-historyków. Rozumiejąc sytuację Ślązaków przez wieki oderwanych od Polski starał się zbliżyć im wiedzę historyczną o Śląsku i jego związkach z narodem polskim, stąd zainicjował w latach trzydziestych pojawienie się serii wydawniczej „Śląska biblioteka historyczna", był jej redaktorem i autorem jednego z tomów.

Agresja hitlerowska zastała Kazimierza Popiołka, wówczas pracownika Ministerstwa Oświecenia Publicznego, w Warszawie. Po-został w okupowanej stolicy, uczestniczył w ruchu oporu, głównie jako organizator tajnego nauczania. Konspiracyjne władze powierzyły mu funkcję kierownika Śląskiego Biura Szkolnego. W czasie powstania warszawskiego od wybuchu do jego kresu walczył jako ochotnik w oddziale im. Jana Kilińskiego w Śródmieściu. Szczęśliwym trafem uniknął niemieckiej

niewoli i przedostał się do Krakowa, gdzie ponownie podjął pracę w Śląskim Biurze Szkolnym, którą w listopadzie 1944 r. przerwało aresztowanie. Po miesięcznym pobycie w więzieniu na Montelupich w Krakowie został zesłany do obozu koncentracyjnego w Gross-Rosen, a następnie w Litomierzycach, gdzie odzyskał wolność 8 maja 1945 r.

Po powrocie z obozu bezzwłocznie włączył się do pracy nad odbudową szkolnictwa wyższego i ośrodków naukowych na Śląsku w jego piastowskich granicach. Był kierownikiem Zakładu Historii Śląska w Instytucie Historii Polskiej Akademii Nauk. Z zespołu tego zakładu wyszło szereg wybitnych uczonych takiej miary, jak Józef Chlebowczyk, Stanisław Michalkiewicz, Marian Orzechowski i inni. Wywarł niezatarte piętno na obliczu śląskiej humanistyki jako jeden z głównych organizatorów Instytutu Śląskiego, a później Śląskiego Instytutu Naukowego w Katowicach, placówki, która wychowała całe pokolenie uczonych w okresie poprzedzającym powstanie Uniwersytetu Śląskiego. Istotny wkład wniósł Kazimierz Popiołek w rozwój współpracy z historykami czechosłowackimi oraz historykami NRD jako przewodniczący polsko-czechosłowackiej i polsko-niemieckiej komisji historycznej przy Instytucie Historii Polskiej Akademii Nauk.

Szczególnie wielkie zasługi położył Kazimierz Popiołek dla stworzenia warunków umożliwiających powstanie Uniwersytetu Śląskiego. Jako prorektor Uniwersytetu Jagiellońskiego kierował katowicką Filią tej uczelni, stanowiącą zalążek śląskiej wszechnicy. Po powstaniu Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach został jego pierwszym rektorem. Niezależnie od bardzo absorbującej działalności administracyjnej i organizatorskiej pracował jako nauczyciel akademicki w Wyższej Szkole Pedagogicznej i Wyższej Szkole Ekonomicznej w Katowicach oraz przez wiele lat w Uniwersytecie Wrocławskim.

Jako uczony Kazimierz Popiołek przez ponad sześćdziesiąt lat prowadził badania historyczne nad szeroko pomyślaną problematyką śląską. Szczególną uwagę poświęcił on sprawie powstań śląskich oraz hitlerowskiej okupacji na Górnym Śląsku. W dorobku Popiołka ważne miejsce zajmuje synteza „Historia Śląska od pradziejów do 1945 r." oraz popularno-naukowe „Śląskie Dzieje". Trwałym wkładem do historiografii Śląska są jego dokonania jako organizatora i redaktora szeregu wydawnictw historycznych, wśród nich „Studiów i materiałów z dziejów Śląska", „Zarania Śląskiego", „Źródeł do dziejów powstań śląskich".

Jako badacz dziejów Śląska zdobył Kazimierz Popiołek powszechne uznanie i czołowe miejsce w nauce polskiej, co znalazło wyraz w jego uczestnictwie w Komitecie Nauk Historycznych PAN oraz w Radzie Naukowej Instytutu Historii PAN. Miał kontakty z uczonymi i instytucjami naukowymi wielu krajów. Polska Ludowa doceniła jego zasługi. Dwukrotnie odznaczony został Orderem Sztandaru Pracy I Klasy, Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski z Gwiazdą i innymi wysokimi odznaczeniami.

Kazimierz Popiołek zawsze z dumą podkreślał, iż jest Ślązakiem; o Śląsku Cieszyńskim mówił „mój Śląsk", o Cieszynie „moje miasto". I choć pracować przyszło mu poza rodzinnymi stronami, chętnie do nich wracał. Był częstym gościem na zebraniach Macierzy, Towarzystwa Historycznego, bliską była mu Filia Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie powstała w czasie jego rektorskiej kadencji. Sam był zwolennikiem jej utworzenia, wierząc, iż Filia na znanym mu cieszyńskim gruncie znajdzie lepsze niż w innych rejonach warunki rozwoju i że dobrze przysłuży się ona Polsce i środowisku.

Żegnamy Kazimierza Popiołka jako wielkiego syna Ziemi Cieszyńskiej, historyka wielce zasłużonego w dziale badania skomplikowanych dziejów Śląska, organizatora nauki, który dużo uczynił dla zrównania Śląska z regionami Polski, stanowiącymi jej kulturalne centra.

Profesor Kazimierz Popiołek żyć będzie w naszej pamięci i w swoich dokonaniach.

EDWARD BULAWA



fot. PIOTR WOJOCZEK

PODRÓŻ DO MIAST ODLEGŁYCH I BLISKICH

[2]

„Odesso, Odesso, miasto moich snów" — tak śpiewali niegdyś (a może jeszcze i dziś) wszyscy ci, których oczarowało to miasto portowe nad Morzem Czarnym. Moje sny o tym mieście zrodziły się z literatury, z lektury dzieł wybitnych pisarzy, którzy tu żyli lub przebywali przez jakiś czas.

Moja droga do tego miasta była trochę drogą przez mękę. Z Kijowa pośpiesznym pociągiem Czernomorcem wyjechaliśmy o godzinie 21,19 przez Kazatin, Winnicę, Żmerinkę, a do Odessy dotarliśmy nazajutrz o godzinie 8,51. W wagonach sypialnych było tak potwornie gorąco (a okien nam nie chciano otworzyć, bo jak poinformowała nas dyżurna, są już zamknięte na okres zimowy), że nabawiłem się po prostu kataru na całą resztę podróży.

A więc nareszcie jestem w mieście moich marzeń . . . Po źle przespanej nocy, zaraz po śniadaniu udajemy się na autokarowe zwiedzanie miasta. Tu również panuje różnobarwna jesień. Każda ulica w centrum miasta przybrana jest w inny kolor jesieni, odpowiadający rosnącemu na niej gatunkowi drzew (a są ulice akacjowe, kasztanowe, platanowe itd.) Jak wytłumaczyła nam przewodniczka Inturistu, ulice obsadzano jednym gatunkiem drzew dlatego, żeby obcokrajowcy, zwłaszcza marynarze lepiej się orientowali, wracając z knajp do portu.

Tu w połowie października niektóre drzewa jeszcze się zielenią, inne przybrane są w różnokolorowe liście, trzymające się jeszcze drzew — w kilka dni później Leningrad powita nas już drzewami prawie zupełnie ogołoconymi z listowia, sprzątniętego już z ulic.

W autobusie raz po raz zapadam w drzemkę, na nic mój wysiłek, żeby niczego nie przegapić. Nie przejmuję się zbytnio — mam jeszcze dwa i pół dnia przed sobą, chociaż, jak się później przekonałem, nawet tygodnia by nie starczyło, gdybym chciał obejrzeć to wszystko, na co miałem ochotę.

Ostatecznie przekonałem się, że Odessa w pewnym stopniu mnie zawiodła. Jest to miasto, zwłaszcza jego centrum, poniekąd zaniedbane, ulice i chodniki wyboiste, podczas deszczu pełne kałuż-pułapek. Ale to nieistotne, tak na ogół bywa z każdą miłością na wyrost, wyidealizowaną, zrodzoną z książek takich pisarzy, jak Babel, Olesza, Paustowski . . . Ale pomimo wszystko jestem szczęśliwy, że znajduję się w mieście, które tak pięknie opisali.

Mieszkamy w hotelu Morze Czarne na skrzyżowaniu ulic Lenina i Worońskiego

w pobliżu dworca odeskiego. To jest moja baza wypadowa w poszukiwaniu miejsc upamiętnionych pobytem ulubionych przeze mnie pisarzy. Rezygnuję nawet z niektórych wspólnych punktów programu, jaki przygotował dla nas odeski Inturist.

Odessa, to brzmiące z grecka miasto portowe (1,2 miliona mieszkańców), łączące południe Związku Radzieckiego z Grecją, Syrią, Cyprem, Jugosławią, Francją, Włochami, Algierią itp., jest swego rodzaju przedsmakiem dalekich podróży morskich, jest bramą do basenu Morza Śródziemnego, do krajów, gdzie narodziła się nasza cywilizacja.

Miasto to powstało pod koniec XVIII wieku, po wyparciu z tych terenów przez wojska Aleksandra Suworowa Turków. Dawniej w tym miejscu znajdowała się osada, port i twierdza Chadżibej. Pierwszą pisemną wzmiankę o tej miejscowości znajdziemy w piętnastowiecznych kronikach Jana Długosza. Przypomnieć należy, iż tereny te w wieku XVI należały do Litwy i Polski, a potem zajęli je Turcy.

Nazwę Odessa nadała zdobycznej miejscowości caryca Katarzyna II. Był to okres walk narodowo-wyzwoleńczych Greków przeciwko Turkom, co odpowiadało interesom Rosji, i stąd właśnie moda nadawania zakładanym nad Morzem Czarnym osadom nazw starogreckich — np. Sewastopol, Symferopol, Cherson itp. Jeśli chodzi o Odessę, to przypuszczano, że właśnie tu znajdowała się starogrecka faktoria Odessos (w rzeczywistości leżała ona tam, gdzie dziś jest bułgarska Warna). Odessa to rodzaj żeński od Odessos.

Miasto to od samego początku było stolicą kupiectwa rosyjskiego, ukraińskiego, polskiego — hadlowano głównie pszenicą z pobliskiego Wołynia, Podola i terenów leżących nad Dnieprem. W latach 1819—59 była portem bezcłowym, toteż ściągała Greków, Żydów, Turków, Ormian, Włochów, Francuzów, Niemców itd.

Posiadało też to miasto jakiś specyficzny genius loci, co sprawiało, iż skupiała się tu stosunkowo duża ilość artystów, zwłaszcza ludzi pióra. Tu się rodzili lub mieszkali przez jakiś czas. Dla mnie istotne jest to, że zdecydowana większość tych pisarzy jest mi szczególnie bliska.

Do zwiedzania tego miasta byłem stosunkowo najlepiej przygotowany. Przeczytałem większość książek najbardziej odeskich pisarzy, przeczytałem też uprzednio cały dostępny mi materiał o tym mieście. Jednak zbyt krótki okres czasu nie pozwolił mi obejrzeć wszystko, na co miałem ochotę.

Swoją literacką pielgrzymkę po Odessie rozpocząłem od Odeskiego Państwowego Muzeum Literatury przy ul. Lastoczkina 2. Znajduje się ono w byłym pałacu książąt Gagarinów z roku 1842 w stylu rosyjskiego klasycyzmu.

Swego czasu Mieczysław Czuma na łamach krakowskiego „Przekroju" w swym cyklu reportaży „Ja też byłem w Odessie" wspominał między innymi, iż tamtejszy związek pisarzy pragnie założyć muzeum literatury, poświęcone wszystkim pisarzom związanym w jakimś stopniu z tym miastem. A liczba tych pisarzy jest niebagatelna — 247. Tak było w roku 1978.

Tablica pamiątkowa Adama Mickiewicza na ulicy Deribasowskiej w Odessie



fot. KAZIMIERZ JAWORSKI

Dziś muzeum to jest już czynne i wcale nie takie skromne. Wprawdzie pracownicy muzeum nie dysponują na razie żadnymi publikacjami na ten temat, swego rodzaju przewodnikami, a mógłby to być niezmiernie ciekawy i obszerny katalog-informator.

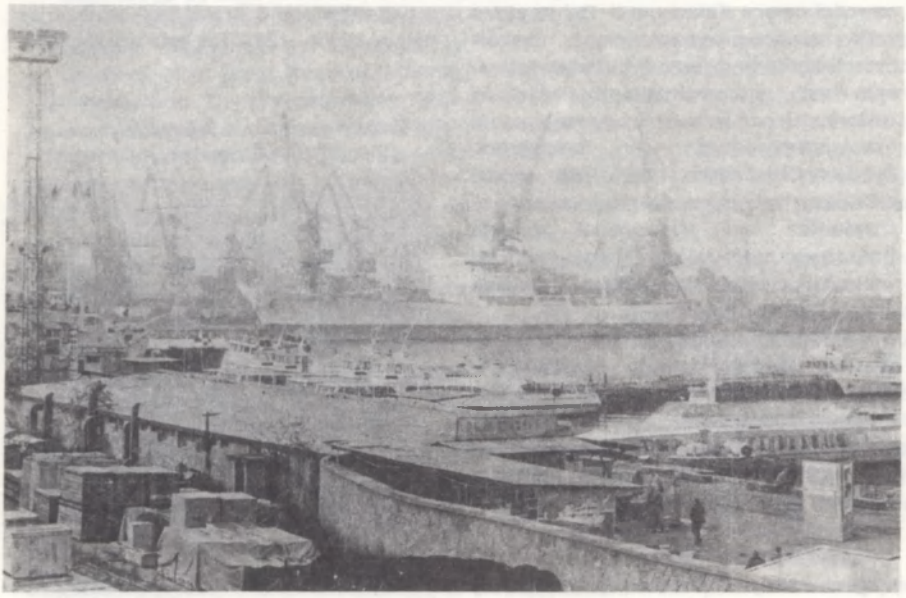
Z żalem stwierdzam, że po prostu nie zdążę obejrzeć dokładnie tych kilkunastu sal (po kilku i kilkunastu pisarzy w każdej). Zwiedzanie rozpoczynam od Złotej Sali, gdzie od roku 1898 odbywały się posiedzenia Towarzystwa Literacko-Artystycznego. Już w sali II natrafiłem na polonika. Jest wzmianka o pobycie tu w roku 1825 Adama Mickiewicza, jest szafka z jego książkami, jego portret, książki Henryka Rzewuskiego, twórcy gawędy szlacheckiej, oraz książki Juliusza Słowackiego, który bawił tu krótko w roku 1827. Ta sama „romantyczna" sala poświęcona jest głównie Aleksandrowi Puszkinowi, chociaż przy ulicy Puszkina znajduje się samodzielne muzeum poświęcone temu poecie.

Sala III (lata 1830—50) dokumentuje między innymi pobyt w tym mieście Józefa Ignacego Kraszewskiego; efektem tego pobytu była książka „Wspomnienia Odessy, Jedysanu i Budżaku" (niedawno ukazało się drugie wydanie tej książki), gdzie autor pisze obszernie o historii i ówczesnej współczesności tego miasta.

Mnie najbardziej zainteresowała sala VII poświęcona Antoniemu Czechowowi, który był tu czterokrotnie, Aleksandrowi Kuprinowi oraz Iwanowi Buninowi. Bunin od roku 1896 bywał w Odessie prawie co roku. Po rewolucji w latach 1918—1919 mieszkał w domu E. O. Bukowieckiego przy Kniażeskiej, dziś Baranowej. Pragnąc nazajutrz odnaleźć to miejsce i sfotografować tablicę upamiętniającą ten pobyt i nie chcąc tracić czasu, skorzystałem z taksówki. Długo, jak mi się wydawało, kluczyliśmy ulicami miasta, a ostatecznie zapłaciłem tylko 1 rubla.

W sali tej znajdował się stół, na którym Bunin pisał, zdjęcia pisarza, jego żony i sy-

Port osobowy i towarowy w Odessie



fot. KAZIMIERZ JAWORSKI

na, książka „Wieś", która tu właśnie powstała itp.

Dla człowieka, który polubi jakiegoś pisarza dla jego talentu, urody jego książek, każda pielgrzymka do miejsc związanych z jego życiem i twórczością ma duże znaczenie. Bunin, ten mistrz języka rosyjskiego, pisze właściwie o jednym, o odwiecznej grze miłości i śmierci, umieszczając akcję swych opowiadań w cudownie opisanych pejzażach Rosji swego dzieciństwa i młodości. Są to pejzaże psychologiczne, przyroda jest tu niejako przepuszczona przez pryzmat ludzkiego odczucia . . .

Kiedy tego samego dnia po południu płynęliśmy statkiem Konstancja do pobliskiej Arkadii, myślałem o Buninie. Niebo było pochmurne, padał rzadki deszcz i trochę kołysało. W wyobraźni widziałem postać szczupłego, nieco wyniosłego, prawie pięćdziesięciolatka, który ostatnim spojrzeniem żegna się na zawsze ze swoją ojczyzną. Miało to miejsce w styczniu 1920 roku. Osiadł później we Francji, gdzie żył na przemian w Paryżu i Grasse i gdzie w 1933 roku za powieść „Życie Arsieniewa" otrzymał literacką nagrodę Nobla.

Izaak Babel, ten najbardziej odeski pisarz, ma swoją salę XI. Któż nie zna jego „Opowiadań odeskich" i „Armii Konnej". Zresztą mógłbym tak jeszcze długo wyliczać pisarzy odeskich, takich, jak na przykład Jurij Olesza, który pochodził z polskiej rodziny, ukończył tu słynne Liceum im. Richelieu, Edward Bagricki, Walentin Katajew, Ilja Ilf i Eugeniusz Pietrow, Anna Achmatowa, Konstanty Paustowski (tu pisał swych „Romantyków"), Aleksander Grin (Gryniewski, syn powstańca polskiego z roku 1863) itd.

O związkach tych wszystkich pisarzy z Odessą można by napisać obszerny esej, a byłaby to ciekawa lektura. Opuszczam w pośpiechu muzeum z uczuciem niedosytu — przecież tyle spraw chciałoby się tu jeszcze sprawdzić, odkryć, zanotować.

Jedną z najpiękniejszych ulic Odessy jest ul. Deribasowska (od Don Jose de Ribas, pochodzącego z Hiszpanii, który zaangażował się w służbę u Katarzyny II i w walce z Turkami był jednym z pierwszych, którzy wdarli się do twierdzy Chadżibej). Ulica jest szeroka, na jednym jej końcu znajduje się duży park. Tu również znajduje się dawne Liceum im. Richelieu (dziś sklepy), gdzie mieszkał podczas swego kilkumiesięcznego pobytu A. Mickiewicz. Znajduje się tu płaskorzeźba-portret z napisem: „W tym domu w roku 1825 mieszkał wielki polski poeta Adam Mickiewicz". Stąd w lipcu tamtego roku wyjechał na Krym, czego owocem były słynne „Sonety krymskie". O tutejszym pobycie poety można by dużo ciekawych rzeczy napisać, o jego flirtach, układach itp. Przypomnijmy, że o to miasto otarli się także Henryk Sienkiewicz, Maria Konopnicka, Jarosław Iwaszkiewicz — to tu, w Odessie, rozpoczyna się akcja jego powieści „Sława i chwała".

Skoro już mowa o literatach, to jeszcze kilka słów o książkach. Już przedtem w Kijowie, tutaj w Odessie, a później w Leningradzie natrafiłem w księgarniach z książkami zagranicznymi na książki polskie, czeskie, serbochorwackie itp. Książki polskie są tu także stosunkowo drogie. Na przykład za starsze już wydanie „Listów" Katherine Mansfield z roku 1978 (60 zł) zapłaciłem 2,16 rubla, natomiast za „Miasta Wezuwiusza" (500 zł) z roku ubiegłego 9 rubli (tu też nie uwzględnia się dewaluacji złotego). Tutaj udało mi się też kupić za 26 rubli wspaniały Przewodnik encyklopedyczno-turystyczny po Jugosławii, ale to już inna sprawa.

Kiedy w późną jasną noc wystartujemy z odeskiego lotniska i wzniesiemy się nad miasto, kiedy będziemy podziwiać świetlną mozaikę tego miasta, zamarzę o tym, żeby tu jeszcze powrócić. Może latem miasto to będzie dla mnie bardziej atrakcyjne i mój wyśniony z książek obraz Odessy bliższy będzie rzeczywistości.

KAZIMIERZ JAWORSKI

LUDVÍK ŠTĚPÁN

MIASTECZKO NA GRANICY
(prolog)

Morawskie miasteczko tuż nad austriacką granicą. Parę kilometrów. I do Czech niedaleko. Bywało. Przyszedł bowiem anszlus. Ostmark des Grossdeutschen Reiches.

Kulisy są szare. Ze wszech miar porwane. Swoista interpretacja. Taka byle jaka.

Komedia? Dramat? Szekspir Tego rodzaju komedie zaliczał do tragedii. Tyle że teatr a życie . . .

Morawskie miasteczko na granicy wielkoniemieckiej rzeszy. Przez parę miesięcy. A potem — Grossdeutsches Reich — Protektorat Böhmen und Mähren. Miasteczko na granicy. Wprost do niej przylepione.

Czadice — Qualmitz. Achtung, bitte! Pisać będzie się w odwrotnej kolejności, Herr Kollege: Qualmitz — Czadice. Jawohl. Najpierw po niemiecku . . .

Miasteczko na granicy. Przy drodze landwach stoi. Przygotować przepustki do kontroli.

Tego rodzaju komedie nie trwają długo. Ani w życiu. W teatrze kulisy się starzeją, starzeje się i klajstrowanie. Odpycha przykry zapach kleju. W życiu . . . pierwsze trupy. A to już nie jest komedia!

POWIEDZCIE NAM, PANOWIE NIEMCY, DLACZEGOŚCIE NAS SOBIE WZIĘLI? CZYŻBYŚMY SIĘ NASZEJ MOWY WYPRZEĆ MIELI, MYŚLELIŚCIE?

Komedia życia. Ile ma aktów? Jeden, trzy, pięć? Jak dla kogo. Za linią mówią — widoki na tysiąc lat. W Czadicach myślą inaczej.

Komedia naszego życia. Gorzka.

W Czadicach padał śnieg. A w Monachium Hitler krzyczał: Mamy już Stalingrad! Mamy już Stalingrad! A w Czadicach szeptem mówiono: Gówno macie, a nie Stalingrad.

Osobliwa komedia.

— Rosjanie przeszli do przeciwnatarcia. Słyszał pan, panie sąsiedzie?

— Tak. A gdzie to, jak to, panie kochany?

— No! Mówię. Przecież pod Stalingradem!

— A! Więc to . . .

— U Hitlera totalna mobilizacja. A Ruski przełamali już blokadę Leningradu. Wczoraj, mówiła Moskwa.

— No! Ten 1943 rok nie poczyna sobie najgorzej.

DO CHOLERY! WSZYSCY DIABLI! NIECH TEN HITLER DA SIĘ WYPCHAĆ! JA SIĘ NA TO HAJLOWANIE Z GÓRY MOGĘ WYSRAĆ!

Na Czadice pada śnieg. Na Gromnicę już go nie było. Wszędzie pełno wody. Roztopy.

— Złapał pan wczoraj Moskwę?

— Tak! Już niedługo Rus da frycom w dupę.

— Adolf wprost odrzucił kapitulację Szóstej Armii.

— To ta spod Stalingradu?

— Właśnie ta.

Komedia życia. Sztandary i zmięte chorągiewki. Role. Większe, mniejsze. Bez znaczenia. Parszywy czas.

W ŻYCIU NIE PRZYSZŁO NAM NA MYŚL, BY DO RZESZY NALEŻEĆ, U LICHA, I ŻE DAJĄ NAM WYPIĆ, DO DNA, GORYCZ TEGO KIELICHA.

Na Czadice padał śnieg. Dolegał — ten czas.

Teraz świeci słońce. Dym z kominów czadzi, dziwna komedia. Kto ją właśnie rozpoczyna . . .

— Widziałam akuszerkę, młodą Kladiwową. Do której też się spieszyła?

— Do Barczy, która za syna do Cajsów na Kamieniste Pole poszła. Już od tygodnia się spodziewa.

— Więc Barcza. A ja myślałam, że do pani Kralowej, woźnej. Bo też już się rozsypuje.

Komedia naszego życia zaczyna się po omacku. Kulisy są dane. Ile aktów? Jak dla kogo.

Śnieg, który pada na Czadice, topnieje. Dym czadzi się ze strzech. Cały świat wydaje się zaczadzony.

Ale słońce przebłyskuje.

Teatr życia. Prywatny i publiczny.

Zwyczajna ludzka komedia. Morawskie miasteczko na granicy.

CZĘŚĆ PIERWSZA
(nasze spojrzenie)

CZAS POPYCHA BRZEMIĘ

Od tego czasu, kiedy aura przed Wielkanocą z dnia na dzień coraz bardziej puszyła się zielenią, ciągnęło Alfreda Hoffera za miasto. Uspokoiły się ostatecznie przedwiośniane kaprysy ostrego wiatru, który dokuczał ziąbem, wciskał się w każdą szparę i zmuszał ludzi do kurczenia się i podnoszenia kołnierzy.

Alfi nie siedział w domu. Pod koniec marca wybierał się do Wilczych Dziur, gdzie na mokradłach porośniętych zagajnikami olch i brzóz zawsze pokazywały się śnieżyce. Uciekał już ostatni śnieg, woda śpiewała melodią potoczków, a Alfi w gumowych butach brodził wertepami, zanurzał zziębnięte ręce w lodowatej wodzie i wyciągał silne pędy z białymi, jak jego paznokcie, dzwonkami. Las ożywał szczebiotem ptaków a na pola zajeżdżali już raz po raz rolnicy z furami gnoju.

Na ten czas Alfi już się cieszył. Wiosna wkradnie się i tutaj, w ten pagórkowaty kraj; ubierze wtedy marynarkę w kratę, założy motylka, głowę nakryje jasnym kapeluszem, zapuści motor tatrulki i jazda w ten jedyny świat wiosny; będzie przejeżdżał od wioski do wioski, wysiadał, kłaniał się ludziom i ściskał im dłonie . . .

Nie będzie.

Jest wojna, gospodarka przydziałowa, benzyna tylko dla wojska i panów Niemców. Zwyczajny zjadacz chleba nie ma prawa, zakaz . . .

Ale wiosny nie mogą zakazać. Rwie z równin w górę, ku pagórkom i kopcom, skręca kark i tak już ustępującej zimie: napełnia pączki, które wabi słońcem do siebie — aby pękły, aby z dziewiczej zieleni i czerwieni wytrysły bielą, jak zawsze, każdej wiosny, cudownie niewinną i cichą.

W Palmową Niedzielę ksiądz dziekan Przichystal w farnym kościele poświęcał bazie. Dostojni mieszczanie wkładali te pręty ze srebrnymi puszkami za zwierciadła, obrazki, a ziemianie rozrzucali po polach, by Bóg błogosławił i ochraniał plony.

W ciągu tygodnia porządkowano obejścia, mieszkania.

W Rzeszy nobilitowano wodza. W protektoracie Czech i Moraw Kuratorium do spraw wychowania i młodzieży po raz pierwszy fetowało urodziny Führera w uniformach. Mundur jest symbolem bojownika. Nieważne — czy duchowego lub z bronią w ręku albo łopatą, z powagą wyrokował minister Morawec.

„Byle gówno", ulżył sobie Alfi. Otworzył drzwi swojego skromnego zakładu fryzjerskiego i ze złością splunął na mokrą dróżkę u Wierzbinek.

Pod koniec tygodnia dzwony milczały. Nie było ich, poleciały na dwa dni do Rzymu. Zresztą wrócą, bo co by tam papież z nimi robił? medytował Alfi. Słońce porozrywało chmury, i kościoły milczały, pogrążone w smutny czas krzyżowej drogi. Zmarł Chrystus, a tyle wiary i nadziei pokładali w nim niektórzy Żydzi. Tak, jak w tej wojnie, rozmyślał Alfi. Nic z tego, człowiek jest śmiertelny. Ale słońce wracało siły: drzewom i ludziom. Kiedy świat tak już sparszywiał, przynajmniej wiosna powraca. Jak moje przelotne miłostki, konkludował sobie Alfi.

I nie było ogrodu, gdzie dziewiczo nie pachniałaby czereśnia.

Czadice budziły się z zimy. Z kolejnej wojennej zimy, ćmiącej dymami kominów i odległym zapachem martwych.

Ależ nie. Martwi byli daleko.

Kilometr za Czadicami, wprost za ogrodami Kamienistego Pola, ciągnęła się granica Rzeszy. Martwi jednak byli dalej. Swąd ich palonych ciał tutaj nie dochodził. W Czadicach dymiły kominy domów i gospód, w których stale jeszcze toczono piwo, coraz lichsze, siódemka, ale piwo! — a nie fabryczna czwórka, czy ten piwolin w Pradze.

Bóg i trupy były daleko, a wiosna blisko. Wystarczyło wyjść przed dom, wystawić twarz do słońca i na chwilę zamknąć oczy, zapomnieć.

przekład JP

LUDVÍK ŠTĚPÁN (1943, Dačice, mieszka i pracuje w Brnie), prozaik, poeta, tłumacz, scenarzysta, autor książek dla dzieci. Wydał między innymi Klepání na lásku, Kradení flétniček, Květiny jsou zbytečné, Vichřice, Znamení břízy, Vysoko letí ptáci, A jinak se pluje po moři. Fragment „Miasteczko na granicy" (prolog) i „Czas popycha brzemię", pochodzi z najnowszej książki L. Štěpána „A jinak se pluje po moři", Československý spisovatel, Praha 1985.

JAN GOCZOŁ

* * *

Jeżeli ktoś rozpowiada o pracy chłopa, o pracy cieśli,
albo też o pracy górnika — to powiadam: oto
jest prorok fałszywy;
jeżeli ktoś pokazuje ciało chłopa, jeżeli ktoś pokazuje
ciało cieśli albo też górnika — to mówię:
oto menażer lichy, który chciał być artystą;
a nawet jeżeli ktoś kroplom potu zapala hołdownicze
ognie reflektorów filmowych — nieprawdziwa
jest jego wiara. Albowiem,
gdy chłop w zatokach owsa, w dymach gnoju — od słońca
wzejścia, do wzejścia gwiazdy — on nade wszystko
możliwością staje się spraw swoich
przeszłych i z czasu przyszłego;
gdy cieśla dębu twardość przymierza do szczelności węgla
— równy on bogom, kiedy stwarzali światy;
gdy górnik zostaje sam z calizną i z żelazem usłużnym,
czuje, jak skała przed nim klęka.

SEN JAWA

powróciłem do ciebie,
wierszu zeschnięty jak zeszłoroczna łódka.
Znowu bowiem wezbrały niebezpieczne rzeki
naszych niemych uczuć. U brzegu się tłoczą
słowa pozbawione domu i ziemi, nad wodą
ciągną
ptaki głodne odpowiedzi. Zamilkły
głosy filozofów, porażone ślepą ścianą
w śnie przyśnioną. Cóż dopiero jawa,
głośna, nieustępliwa.

DO J. G.

Nie poznajesz siebie. Teraz, gdy znów stoisz
W zwierciadlanej rzece. Ryby niepłochliwe
Zdumione są także — płetwy im się jeżą
W tym niedowierzaniu.

W głowie jeszcze boli jakieś zabłąkane
Imię. Kiedyś, w tajemnicy, na nie umrzesz.
Rozdaj swoje palce, w których pozostało
Jeszcze dużo pieszczot.

STADION

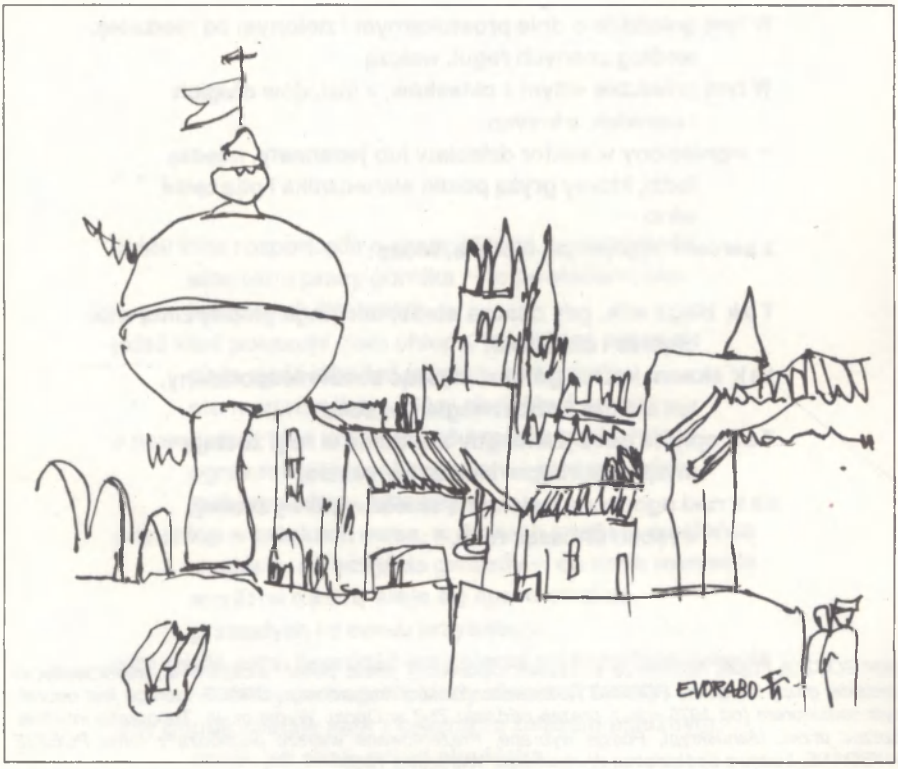
W tym gnieździe o dnie prostokątnym i zielonym co niedzielę,
według znanych reguł, walczą;
W tym gnieździe witym z oklasków, z gwizdów długich
i cienkich, z krzyku,
— wgnieciony w sektor dziesiąty lub jedenasty, między
ludzi, którzy gryzą pestki słonecznika i piją tanie
wino —
z sercem bijącym jak u ptaka, widzę:

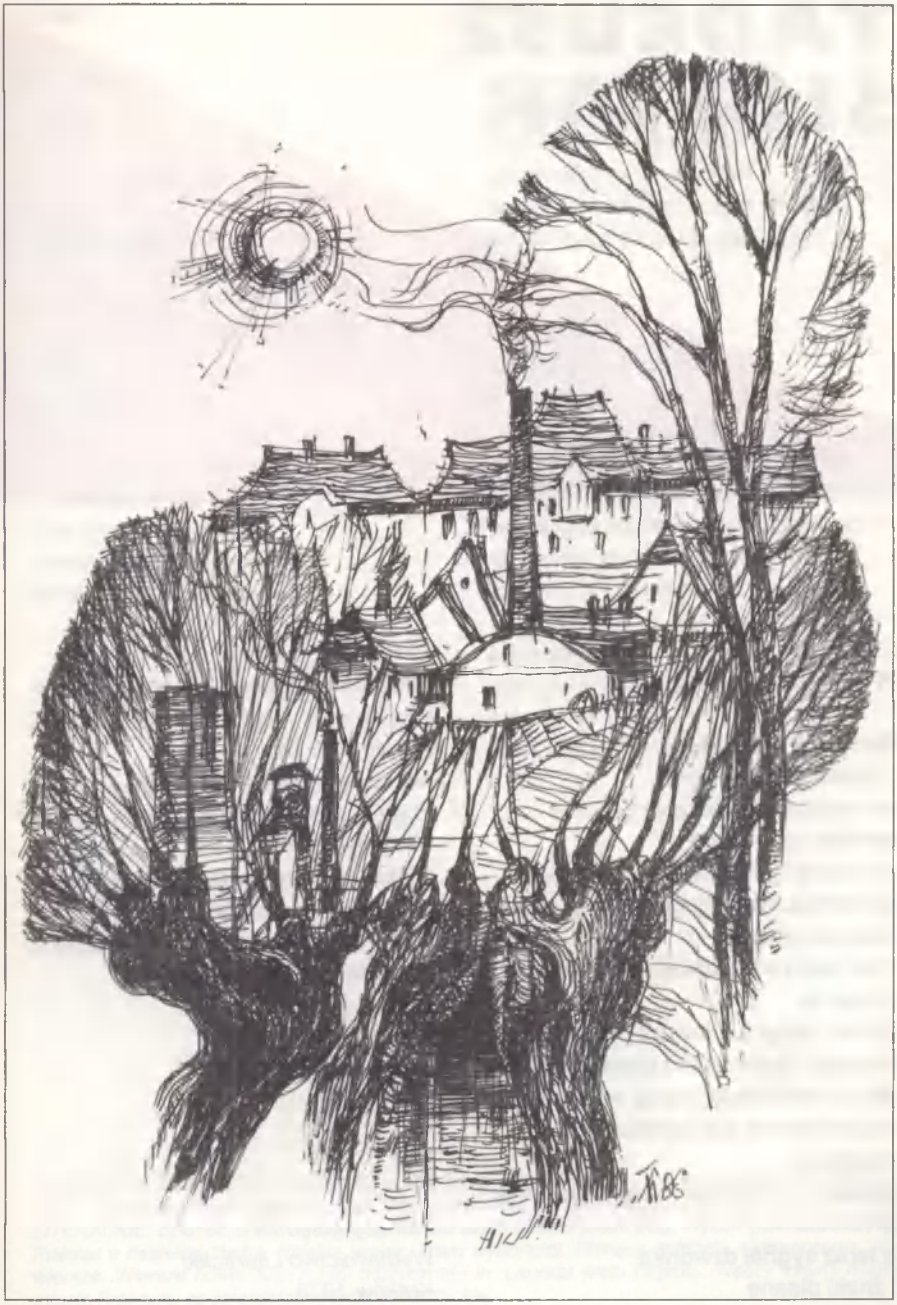
T a k biega wilk, gdy osacza stado, tak biega głodny zimą wilk:
chytrze i cierpliwie;
t a k skacze kozica górska, słysząc strzał niespodziany,
tak skacze kozica: nagle i wysoko;
T a k spływa pot z jeleni, gdy zaplątane w rogi zostają
drżące naprzeciw siebie; i wreszcie,
t a k nad ugodzoną zwierzyną skakał myśliwy dawny,
wysoko unosząc ręce.

JAN GOCZOŁ (1934, Rozmierza k. Strzelec Opolskich), poeta, poseł na Sejm PRL, współzałożyciel opolskiej grupy literackiej FORMATY, miesięcznika społ.-kulturalnego OPOLE, którego jest naczelnym redaktorem (od 1975 roku), prezes oddziału ZLP w Opolu. Wydał m. in. Topografia intymna, Sprzed drzwi, Manuskrypt, Poezje wybrane. Prezentowane wiersze pochodzą z tomu POEZJE WYBRANE, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1985.

BRONISŁAW FIRLA

Evora • Sucha Górna – moja rodzinna wioska





TADEUSZ ŚLIWIAK

HOMO SUM

Rodzi się dziecko
i rośnie orzeszkiem
na matczynej mlecznej gałązce
odrywa się — pada
na cztery kończyny
nakładają mu buty rękawiczki
uczą go jąkania
tych samych do znudzenia sylab
ma ba ta
palce i wargi już coraz dokładniej
poznają użyteczność przedmiotów
przychodzi nauka ognia noża soli
stopka potrafi już bezbłędnie
rozgnieść
robaka na ścieżce i żuka leżącego na
grzbiecie
a teraz sygnał dzwonka
i znaki pisane
i dwa palce w górę i pierwszy donos
na sąsiada
rośnie człowiek
ćwiczy w sobie maski
rozwija sztukę schowków
doskonali gesty
pobudza dumę tych co go zrodzili
gładzą go po głowie
kupują mu łyżwy i nóż w skórzanej
pochewce
mówią — to już dziecko

rośnie na człowieka

Płonący gołębnik
Wydawnictwo Literackie
Kraków 1978

ŚWIECA

ty świecąc mi
a ja pisząc
ubywamy — prawda świeco?
ty żyjesz sycąc ogień
a ja oswajając go
ogień pewnie wie
że jesteśmy jego poddanymi
i wie że nie tylko my
wczoraj widziałem jak zwęglał ciało
władczyni
obsypanej kwiatami
kwiaty też płonęły
świeco łagodna i pokorna
chcę abyś wiedziała
że te ćmy wokół ciebie
to moje ulatające słowa
którym także pisany jest ogień

PRACOWNIA LITERACKA

kiedy z maszyny wykręciłem papier
okazało się że był to gobelin który ożył
a z jego głębi
jakiś człowiek o rudym zaroście
daje mi znaki
abym wsiadł do jego łodzi

UCZEŃ DIABŁA

jeszcze niedawno pisałem
o południu dwudziestego wieku
a już zbliża się jego północ
szybko chodzi ten XX wiek
na tych swoich iksowatych nóżkach
patrzeć tylko a pokaże się księżyc
ale już
z odciśniętą na nim
ludzką stopą
a co będzie z Ziemią
czy dotrwa
czy się nie obsunie
czy nie utuli się Płaszczem Prospera
podbitym czerwoną ognistą podszewką?
czy ostanie się choćby jakiś Gall Anonim
aby opisać do końca
kosmiczną komedię

piszę co piszę
patrzę w noc gwiaździstą
a wersy mi sufluje
prześmiewca Mefisto

Koń maści muzycznej
Wydawnictwo Literackie
Kraków 1986

TADEUSZ ŚLIWIAK (1928, Lwów, obecnie w Krakowie), wybitny poeta, tłumacz poezji, dramaturg, autor książek dla dzieci, redaktor czasopism kulturalnych ZEBRA, MAGAZYN KULTURALNY, ŻYCIE LITERACKIE, członek ZG ZLP. Wydał m. in. Co dzień umiera jeden Bóg, Wyspa galerników, Żywica, Poemat o miejskiej rzeźni, Rajskie wrony, Znaki wyobraźni, Płonący gołębnik, Odmroczenia, Nowe wiersze, Wiersze nowe, Koń maści muzycznej i in. Laureat wielu nagród, między innymi Nagrody miasta Krakowa, za całokształt twórczości literackiej.

TŁUMACZE LITERATURY POLSKIEJ

HELENA STACHOWA

Urodziła się 26 maja 1931 w Pradze. Uczęszczała do szkoły francuskiej, ukończyła też francuskie gimnazjum. Jeszcze jako uczennica, mając dwanaście lat, zaczęła tłumaczyć z języka francuskiego bajki.

Po wojnie, w latach 1946 i 1948, przebywała na wakacjach w Polsce, gdzie zapoznała się z językiem polskim. Rozpoczęła się jej przebogata przygoda z literaturą polską, z tłumaczeniem tej literatury. Świadczą o tym przekłady drukowane na łamach prasy literackiej w latach 1947—1948. W tym czasie rozpoczęła również pracę nad tłumaczeniem swojej pierwszej książki. Była to powieść „Samson" Kazimierza Brandysa, która pokazała się w druku w roku 1950 w wydawnictwie „Melantrich". W tym samym roku ukończyła gimnazjum francuskie w Pradze egzaminem maturalnym. Następnie rozpoczyna studia na Fakultecie Filozoficznym Uniwersytetu Karola w Pradze.

Specjalizowała się w polonistyce i bohemistyce u profesora Karla Krejčego. Po ukończeniu studiów wyższych poświęciła się bez reszty tłumaczeniu literatury polskiej na język czeski. Za swoje osiągnięcia translacyjne została odznaczona nagrodą ZAIKSU w roku 1977.

Helena Stachowa przetłumaczyła do tej pory sto osiem pozycji książkowych z literatury polskiej. W tę niesamowicie płodną pracę tłumaczki nie zostały wliczone pozycje



teatralne, filmy i dubbingi telewizyjne, a także cały szereg przekładów drukowanych na łamach gazet, czasopism i miesięczników literackich. Nie sposób wyliczyć w tym wywiadzie wszystkich przetłumaczonych przez nią książek. Ograniczymy się więc tylko do podania wykazu pozycji najważniejszych.

Kazimierz Brandys „Samson", „Niekochana", „Człowiek nie umiera", „Obrona Grenady", „Zielony kapelusz", „Sposób istnienia", „Rynek". Marek Hłasko „Piękna dziewczyna", „Pierwszy krok w chmurach", „Pętla". Wilhelm Mach „Jaworowy dom", „Życie duże i małe", „Góry nad Czarnym Morzem". Alina i Czesław Centkiewiczowie „Na podbój Arktyki", „W kraju zorzy polarnej", „Na białym szlaku", „Fridtjöf, co z ciebie wyrośnie", „Człowiek, o którego upomniało się morze", „Osaczeni wielkim chłodem", „Tumbo z Przylądka Dobrej Nadziei", „Tumbo nigdy nie zazna spokoju". Leopold Infeld „Albert Einstein i jego dzieło". Julian Stryjkowski „Głosy w ciemnościach", „Austeria". Adolf Rudnicki „Żywe i martwe morze". Janusz Korczak „Król Maciuś Pierwszy". Stanisław Dygat „Podróż". Maria Kann „Dujawica". Jerzy Putrament „Wakacje", „Rozstaje". Janusz Przymanowski „Czterej pancerni i pies". Zenon Kosidowski „Kiedy słońce było bogiem". Wojciech Żukrowski „Skąpani w ogniu", „Ucieczka do raju", „Szczęściarz". Jerzy Andrzejewski „Apelacja". Maria Krüger „Godzina pąsowej róży". Janusz Meisner „Dla zwycięstwa". Gabriela Zapolska „Sezonowa miłość". Józef Hen „Twarz pokerzysty", „Crimen". Józef Ignacy Kraszewski „Hrabina Cosel". Arkady Fiedler „Piękna, straszna Amazonia". Tadeusz Łopalewski „Brzemię pustego morza". Władysław Reymont „Lily". Adam Bahdaj „Czarne sombrero". Jerzy Toeplitz „Nowy film amerykański". Hanna Januszewska „Złoty koszyczek". Stanisław Lem „Bezsenność", „Dzienniki gwiazdowe", „Maska", „Katar", „Przygody pilota Pirxa". Wiktor Woroszylski „Mniejszy szuka Dużego". Jan Pierzchała „Krzak gorejący". Julian Kawalec „Przepłyniesz rzekę". Krystyna Berwińska „Con amore". Leon Wantuła „Romans Luizy". Edward Stachura „Siekierezada". Zbigniew Safjan „Pole niczyje". Wanda Karczewska „Fuga z tematem miłosnym". Elżbieta Jackiewiczowa „Jest nas dwoje". Janina Wieczerska „Lekcja dzielenia". Małgorzata Musierowiczowa „Szósta klepka". Ryszard Frelek „Słona róża". Janusz Zajdel „Cylinder van Troffa". Kazimierz Imieliński „Życie seksualne". Zofia Nałkowska „Dom nad łąkami". Jerzy Krzysztoń „Obłęd". Jarosław Iwaszkiewicz „Zarudzie". Jerzy Broszkiewicz „Długo i szczęśliwie". St. I. Witkiewicz „Sztuki" (Matka, Wariat i zakonnica), Bogdan Szczygieł „Rubikon czarnych dziewcząt". Zofia Bystrzycka „Kontuzja". Antoni Kępiński „Rytm życia".

Wymieniliśmy niektóre publikacje książkowe. Z ogólnej liczby 108 publikacji książkowych przytoczyłem w tym spisie 76 pozycji. Przyjrzyjmy się jeszcze bogatej działalności tłumaczki na polu filmowym i współpracy z telewizją czechosłowacką: 1957 — Kapelusz pana Anatola. 1958 — Król Maciuś Pierwszy. 1961 — Rzeczywistość i Dziś w nocy zmarło miasto. 1962 — Samson (wg K. Brandysa), Ludzie z pociągu, Jutro będzie premiera (wg Jurandota), Marysia i krasnoludki (wg M. Konopnickiej). 1963 — Spotkanie w bajce, Jak być kochaną, Ewa chce spać, Kanał (A. Wajda). 1965 — Czterej pancerni i pies (wg Przymanowskiego). 1966 — Stanisław Lem „Wierne życie" (telewizja), Kazimierz Brandys „Sposób istnienia" (telewizja). 1967 — Bigos (Skowroński). Śmierć w środkowym pokoju (I. Iredyński), Bokser, Niekochana (wg Brandysa), Sami swoi. 1969 — „Zabawa" (Kawalerowicz). „Wszystko na sprzedaż (Wajda). 1970 — Ruchome piaski, Struktura kryształu (Zanussi). Dla telewizji: Aleksander Ścibor-Rylski „Bliski nieznajomy", Zofia Nałkowska „Granica". 1971 — dla telewizji: Fleszarowa-Muskat „Tam i gdzie indziej". W. Sokorski „Milczenie". Film: „Brzezina" (Iwaszkiewicz-Wajda), „Akcja Brutus" (Pas-

sendorfer). 1972 — „Perła w koronie" (K. Kutz). 1973 — „Opętanie" (reż. Lenartowicz). 1974 — „Iluminacja" (Zanussi).

I tak można by wymieniać rok po roku przekłady filmów, inscenizacji telewizyjnych lub dubbingi. Ograniczymy się do wykazu tych najbardziej znanych: „Ziemia obiecana", „Śmierć prezydenta", „Spirala", „Trędowata", „Klincz", „Panny z Wilka", „Dyrygent", „Drogi" (telewizja), „Konstans", „Vabank", „Terrarium", „Faraon", „Pensja pani Latter", „Obi-Oba" i in. Bogata działalność tłumaczki jest również odnotowana w zakresie współpracy z Radiem Czechosłowackim. Przetłumaczyła następujące słuchowiska radiowe: Jeremi Przybora „Aureola", Andrzej Nowicki „Państwo stugłowe", Tymoteusz Karpowicz „Kiedy ktoś zapuka", Sławomir Mrożek „Współczucie", Stefania Grodzieńska „Spotkanie", Jerzy Krzysztoń „Student i róże", Jarosław Abramow „Wysoko nad ziemią", Sławomir Mrożek „Woda" i in.

Współpraca z czechosłowackimi teatrami zaowocowała tłumaczeniem wielu polskich sztuk współczesnych, między innymi: Jerzego Szaniawskiego „Most", Krzysztofa Gruszczyńskiego „Wielki Bobby", Sławomira Mrożka „Indyk", „Czarowna noc", „Śmierć porucznika", „Zabawa", „Śmierć optymisty", „Tango", „Kuglarze", „Dom na granicy", „Derby w pałacu". St. I. Witkiewicza „Kurka wodna". Aleksandra Ścibora-Rylskiego „Rodeo". Stanisława Grochowiaka „Chłopcy". Miry Michałowskiej „Róża jest różą".

W. P.: W jaki sposób rozpoczęła się Pani praca tłumaczki, a raczej od kogo Pani rozpoczynała?

HELENA STACHOWA: Od opowiadań dla dzieci oraz opowiadań satyrycznych Stefanii Grodzieńskiej. To było dawno . . .

— Gdzie się Pani uczyła języka polskiego?

— Jako uczennica gimnazjum — na wakacjach w Polsce oraz — też jako uczennica — na kursach języka polskiego dla niepolonistów, które po wojnie prowadziła na Uniwersytecie Karola lektorka, pani dr Iza Šaunowa.

— Czy w trakcie wyboru autora do tłumaczenia decyduje temat, osobista sympatia czy też przypadek?

— Powiem szczerze, że z moich doświadczeń wynika następujące stwierdzenie: Wszystkie trzy okoliczności, zależnie od przypadku.

— Utrzymuje Pani osobisty kontakt z autorem, którego Pani tłumaczy?

— Tak. Utrzymuję takie kontakty. Szczególnie jeżeli mi są potrzebne jakieś wyjaśnienia autorskie. Przyznam się jednak, że wolę nie utrzymywać kontaktów osobistych.

— Z którymi wydawnictwami czechosłowackimi najchętniej Pani współpracuje?

— Powiem krótko, bez wymigiwania się: z „Melantrichem" i „Odeonem".

— Nad czym pracuje Pani w tej chwili?

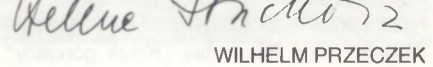
— Nad tłumaczeniami opowiadań Tadeusza Borowskiego, które mają się ukazać w 1987 r. w wydawnictwie „Odeon". Tytuł: „Pożegnanie z Marią" . . . oraz nad wyborem „Dzienników" Witolda Gombrowicza dla czasopisma „Literatura Światowa".

— Pani osobiste wyznanie . . .

— Chciałabym, żeby polska literatura współczesna wydostała się z kryzysu, który nastąpił niewątpliwie po ukazaniu się dwóch arcydzieł — „Obłędu" Jerzego Krzysztonia oraz „Kamienia na kamieniu" Wiesława Myśliwskiego. Żebyśmy my, tłumacze, mieli znów z czego wybierać.

— Dziękuję za wywiad, którego mi Pani udzieliła, a także dziękuję za kolosalne dzieło tłumaczki literatury polskiej . . . Czy można prosić o autograf?

— Proszę bardzo . . .



WILHELM PRZECZEK

LUCYNA PRZECZEK

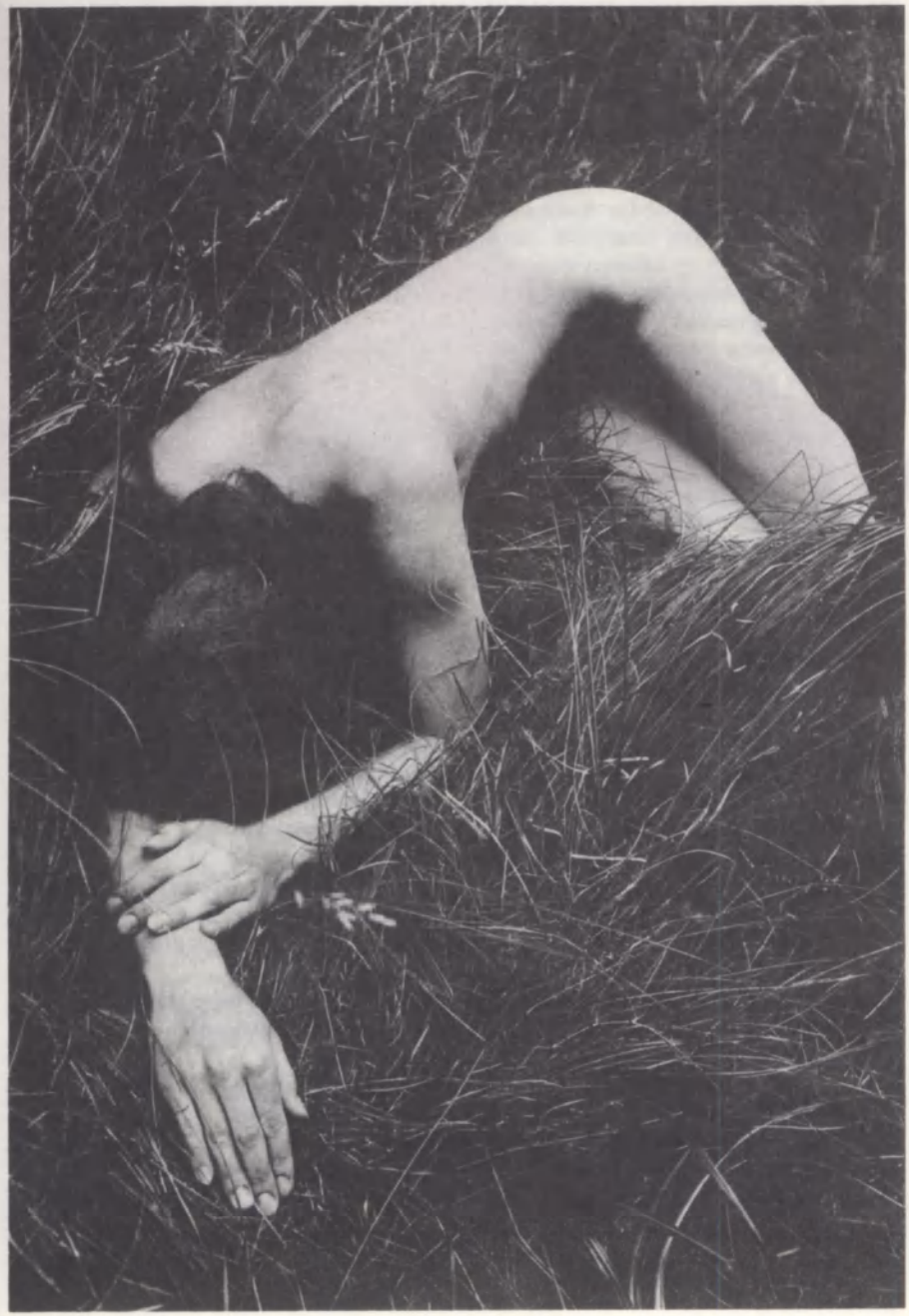
ŚWIECE

Patrzę w drgające oko płomienia
Knot podnosi głowę rozpaloną
i trzyma się prosto
chociaż stearyna pragnie go zalać
lawą
Na świeczniku uroczystość
całopalenia
Nie ogrzeją mnie te świeczki
ale jeśli sięgnąć do płomienia
skwierczy spalony naskórek
powtarzanych doświadczeń
W Zaduszki każda świeca
jest cząstką żywiołu
W imię Ognia
Powietrza Pamięci na ziemi ogrodzonej
wspominaniem

BUNT WŁOSÓW

Z całego ugłaskania wieczoru
został taki smutek że włosy
jeżą się na głowie
Tamto dotknięcie ciepłej ręki
wędruje jeszcze w napięciu
między obcymi palcami
Moje włosy pokochały
samozwańczy wiatr
Wyczesuję z nich pył codzienności
Układam je równiutko
przetykając fioletowym powietrzem
Przed snem
lokówki zmuszają moje włosy
do uległości i zawijasów
Nad ranem
po dziwnych snach
nie chcą się ułożyć
w modną fryzurę
niesforne buntowniczki

Za tomik wierszy „Bunt włosów" Lucynie Przeczek przyznano w ogólnopaństwowym konkursie młodych literatów, kompozytorów i plastyków „GENERACJA 86" dyplom honorowy w dziale poezji. Jest ona trzecią z kręgu SLA, której udało się zdobyć laury w tym konkursie po Bronisławie Sikorze i Stanisławie Jedzoku.



IVANA SZOP

Akt w trawie • Łeba



OKIEM RECENZENTA

NOWE SZATY KRÓLA

A. Maliszewski: Nowe szaty króla. Reżyseria: K. Suszka. Scenografia: Wł. Cejnar. Muzyka: L. Wronka. Teksty piosenek: U. Kozioł. Choreografia: J. Jelínkowa. Premiera: 10. 1. 1987.

Baśń Andersena „Nowe szaty cesarza" zrealizowano w Scenie Polskiej łącząc szwar-

Nowe szaty króla A. Maliszewskiego — scena zbiorowa



cowską w swym charakterze adaptację Aleksandra Maliszewskiego z tekstami piosenek Urszuli Kozioł, zaczerpniętymi z jej wersji scenicznej tego samego utworu. Leszek Wronka opatrzył ten scenariusz świetnie skomponowaną muzyką, dynamiczną, rytmiczną, melodyjną, która jak ulał dopasowana jest do charakterów poszczególnych postaci lub sytuacji. Powstała lekka komedia muzyczna bliska muzikalowi. Nie jest to wprawdzie muzikal w pełnym znaczeniu tego słowa (szereg sytuacji dramatycznych tworzy zamkniętą całość, w którą nie ingerują wątki muzyczne i taneczne), lecz nie w tym rzecz. Określam gatunek sceniczny tylko dla porządku, nie zaś żeby zgłosić zastrzeżenia wobec dramaturgii spektaklu.

W materię oryginału wprowadził autor jedną, lecz nader ważną zmianę: dwójkę andersenowskich oszustów przekształcił w parę sympatycznych spryciarzy. Janek i Franek, bohaterowie wyposażeni w dowcip, chytrość i zdrowy rozsądek, należą do rzędu popularnych w tradycji teatralnej postaci, wyrażających prostą mądrość plebsu, przeciwstawioną fałszowi, sztuczności, pozie króla i jego dworu. W ten sposób wersja Maliszewskiego ostrzej od pierwowzoru kreśli strukturę społeczną i z odcieniem ironii piętnuje przywary i wady, które nie należą do przeszłości.

Wersja sceniczna, jaką przygotował zespół Sceny Polskiej pod kierunkiem reżysera Karola Suszki, to bajka dla dorosłych, lecz nie tylko. Nowoczesne opracowanie muzyczne widowiska zapewne bardzo zainteresuje młodego widza, w tym też i starsze dzieci. (Nie wątpię, że ta właśnie inscenizacja, gdyby wystawiono ją wcześniej, byłaby ozdobą ostatniego przeglądu teatrów dla dzieci w Szumperku). Jest to bez wątpienia rozrywka w lepszym gatunku, ciekawsza, mądrzejsza, bardziej inteligentna i dowcipna niż cały „Znachor". Lekkość, wdzięk i dowcip tej inscenizacji w niejednym (niby odległe echo) przypomniały mi najlepsze lata „Semaforu" Suchego i Ślitra, jakkolwiek nie leżało w intencjach jej twórców odwołanie się do tego scenicznego archetypu.

Cały zespół aktorski (zarówno główni bohaterowie bajki, jak i aktorzy na pozór statystujący — dworzanie i lud) jest mocno zaangażowany w swoje role i to własne zainteresowanie potrafi wnet od pierwszego tańca, świetnie ustawionego i zatańczonego, przenieść na widownię. Mimo to chcę zaznaczyć, że aktorsko najbardziej zainteresowała mnie Emilia Bobek (nie ujmując niczego pozostałym wykonawcom). Rola Królowej jest bowiem napisana najgorzej z wszystkich, charakter tej postaci — w odróżnieniu od pozostałych — jest najmniej sprecyzowany. A przy tym aktorka potrafiła sobie znaleźć kilka różnych i zawsze interesujących płaszczyzn interpretacji (od zwykłej, babskiej ciekawości do z lekka ironicznego stosunku do Króla). W królewskich duetach góruje więc nad Królem w interpretacji Zbigniewa Żwaka, który jest postacią mniej skomplikowaną. Powtarzam jednak, że cały zespół gra tu z pasją i dobrze.



Leszek Wronka i Roch Wajser w rolach Janka i Franka

Doskonale też pokonano trudności zsynchronizowania mimiki z playbackiem oraz pułapki choreograficzne. Choreografia Jaroslavy Jelínkowej nie była zbyt trudna, respektowała charakter muzyki i w ten sposób także charaktery postaci i sytuacji. W zasadzie ruchem przede wszystkim różnili się bohaterowie Janek i Franek, w samym tekście nie posiadający cech indywidualnych (delikatniejszy, o bardziej miękkich i płyn-

fot. WŁADYSŁAW WOJNAR

nych ruchach Leszek Wronka, zaś ostrzejszy Roch Wajser). Jaroslava Jelínkowa w tym spektaklu wyraźnie przyczyniła się do jego sukcesu.

Nie mniej przyczyniła się do niego muzyka, także jakością nagrania, zasługującego na uznanie przede wszystkim w partiach zespołowych. (Należy tylko zwracać baczną uwagę na siłę nagłośnienia.)

Chytre dekoracje Władysława Cejnara ułatwiły przebudówki sceny. Wieloczłonowy, ruchomy parawan na kółkach, zajmujący całą jej szerokość, oraz proste wieżyczki pozostają w zgodzie z formą całego spektaklu. Udane są także kostiumy, dostosowane do charakterów postaci, rozróżniające społeczność dworską i plebejską i dobrane kolorystycznie. (Mniej przekonywała mnie kolorystyka parawanu — złoto i srebro.) Należy tu również niebieski horyzont i inne barwne walory sceny.

Reżyser Karol Suszka nadał swej inscenizacji prostotę i lekki dystans, dążył do uzyskania finezji środków wyrazu aktorskiego, doskonale rytmizował poszczególne sytuacje. I trzeba dodać, że drobne uwagi krytyczne dotyczące całości (dla porządku wypadałoby tu jeszcze wymienić niesprecyzowany charakter postaci Wartownika) w niczym nie zmienią faktu, że powstał spektakl udany, dobry i podobający się publiczności.

PhDr LADISLAV SLÍVA

KAREL HAVLÍČEK BOROVSKÝ W KRĘGU LITERATURY POLSKIEJ

Krystyna Kardyni-Pelikánowa: Karel Havlíček Borovský w kręgu literatury polskiej. Ossolineum, 1986.

W roku ubiegłym, w 130. rocznicę śmierci czeskiego satyryka, w Ossolineum ukazały się studia Krystyny Kardyni-Pelikánowej (znanej nam również z łamów Zwrotu) pt. „Karel Havlíček Borovský w kręgu literatury polskiej". Praca ta wzbogaca stosunkowo obszerną literaturę naukową poświęconą temu autorowi w języku czeskim i jest pierwszym obszernym opracowaniem twórczości Havlíčka w języku polskim.

Autorka kreśli tu sylwetkę tego wybitnego dziennikarza, publicysty i satyryka czeskiego oraz wskazuje na jego związki z historią, kulturą i literaturą polską. Praca ta jednak, jak podkreśla to autorka we wstępie, nie jest monografią twórczości Havlíčka, ale wszechstronnym oglądem problemu literackiego — „wieloaspektowego ujęcia kontaktu Havlíčka i jego dzieła (poetyckiego) z literaturą polską".

A związki te polegały na osobistych kontaktach z Polakami podczas jego pobytu we Lwowie, na tłumaczeniach, zwłaszcza z Mickiewicza, itp. Autorka przedstawia tu także zbieżność motywów „Chrztu świętego Włodzimierza" Havlíčka oraz „Trąb w Dnieprze" L. Siemieńskiego z „Powieściami minionych lat" Nestora. Nie brak tu również obiektywnych faktów dotyczących wzajemnych kontaktów polsko-czeskich w XIX wieku, które ulegały przemianom w zależności od politycznych koncepcji wzajemności słowiańskiej itp.

Czytelnik znajdzie tu również porównanie dwu polskich przekładów „Chrztu świętego Włodzimierza". Pierwszego tłumaczenia dokonał Paweł Hulka-Laskowski — książka ta wydana pod pseudonimem S. Prałacik ukazała się u nas, w Ludowej Drukarni we Frysztacie w roku 1923 nakładem socjaldemokratycznej gazety „Robotnik Śląski". Drugą wersję znajdziemy w tomie „Tyrolskie elegie. Wybór wierszy", który ukazał się w roku 1976 w tłumaczeniu Józefa Waczkowa. Pierwsze tłumaczenie, zdaniem K. Kardyni-Pelikánowej, „ciąży ku poprawności i normie literackiej, a poprzez to ku realizmowi", drugie natomiast oparte jest na „żywiole potocznego języka i żargonów środowiskowych".

Praca ta poza głównym problemem zawiera szereg ciekawych spraw dotyczących wzajemnych stosunków czesko-polskich w przeszłości oraz teoretyczne rozważania o warunkach percepcji przez polskiego odbiorcę nurtu plebejskiego (ludowego) w twórczości Havlíčka, Haška i Hrabala.

KAZIMIERZ JAWORSKI

O TEATRZE LEONA SCHILLERA

(W STULECIE URODZIN)

14 marca bieżącego roku przypada setna rocznica urodzin Leona Schillera, inscenizatora-wizjonera, wybitnego artysty współczesnego polskiego teatru. Zważywszy, jak olbrzymi i cenny jest jego wkład w polską kulturę teatralną, warto dziś przypomnieć chociaż część jego dokonań.

Z BIOGRAFII

Leon Jerzy Wojciech Schiller de Schildenfeld, syn zamożnego handlowca, urodził się w Krakowie i wkrótce po maturze wyjechał w dłuższą podróż zagraniczną po Europie. W latach 1906—1918 przebywał w Paryżu, Berlinie, Monachium, Wiedniu i Salzburgu, studiował po trosze na różnych uczelniach, przy czym stosunkowo najwięcej czasu poświęcił zajęciom muzycznym. Miał już za sobą występy kabaretowe w krakowskim „Zielonym Baloniku" i warszawskim „Momusie", a także dwa artykuły o teatrze drukowane w angielskim czasopiśmie „The Mask" E. G. Craiga i recenzje teatralne w młodopolskiej „Krytyce". Dość długo szukał swego właściwego miejsca, wybierając w końcu sposród literatury, muzyki i teatru ten ostatni. Jego sztuka inscenizatorska wynikała ze świadomości najnowszych reform w teatrze europejskim, rozmiłowania w teatrze polskim i wyjątkowej osobowości i pasji artysty. Jak pisze Stanisław Marczak-Oborski, godny podkreślenia wydaje się jeszcze jeden aspekt. *Schiller pochodził z domu prawie od stu lat spolonizowanego, ale po ojcu i matce płynęła w nim krew niemiecka. I co znamienne dla wielu wybitnych Polaków obcego pochodzenia — a najczęściej właśnie niemieckiego — przeżywał polskość w sposób szczególnie żarliwy. Jakby fascynowała go bardziej zaskakująco i dojmująco niż rdzennie polskich artystów, dla których jest ona czymś zwyczajnym i naturalnym. A równocześnie miał do niej tę świeżość podejścia i zarazem jak gdyby pewien dystans, co właśnie pozwalało mu ową polskość wyrażać w kształcie bardziej uniwersalnym i odkrywczym.*

W „REDUCIE"

Warszawski teatr „Reduta" był drugim z kolei zespołem, w którym pracował Schiller (wcześniej 1917—22 w Teatrze Polskim). Serię znakomitych inscenizacji, w których objawił się on jako wielki artysta, zapoczątkowała

„Pastoralka", uważana przez niektórych znawców teatru za jego właściwy debiut.

Zalicza się do najpiękniejszych, przełomowych w historii sceny polskiej spektakli — pisze Marczak-Oborski. — *Także w „Wielkanocy" Mikołaja z Wilkowiecka oraz w widowiskach opartych na poezji, piosence i zwyczajach staropolskich: „Dawne czasy" i „Pochwała wesołości"* — *zarysował się życiowy program największego z naszych inscenizatorów, program sięgnięcia do oryginalnych zasobów kultury, rodzimej wyobraźni, gustu i rozmachu.* Jak wielki był ten rozmach, świadczą wypowiedzi programowe Schillera, m. in.

TEATR JUTRA

Kształt tego teatru?

Dziś może to być buda, hala, hangar — co kto woli. Wystarczy trochę desek, dykty, blachy, lakieru, kilka reflektorów i najzwyklejsze płótno na kostiumy. Starożytny mimos ludowy, komedia dell'arte i wspaniały teatr linoskoków paryskich skromniejszym rozporządzał aparatem. A jutro — życie podyktuje kształt nowej, gigantycznej budowli, która będzie wypadkową wszystkich dotychczasowych wysiłków reformatorskich — albo też geniusz ludzki przejdzie nad całym tym dorobkiem do porządku i w zgoła nowej formie się wypowie. Myślę jednak, że przeszłość nasza, niedostatecznie przeżyta i zrozumiana, zawiera w sobie wiele twórczych elementów, które dałyby się jeszcze zużytkować po odrzuceniu tego, co było produktem epoki. Myślę, że kapitalna koncepcja teatru słowiańskiego przyszłości stworzona przez Mickiewicza pod wpływami Cyrku Olimpijskiego w Paryżu i synchronistycznej scenerii średniowiecznej — ma w sobie coś bardzo dzisiejszego. Prawie konstruktywizm . . .

Kulig z „Kramu z piosenkami" Leona Schillera w wykonaniu Teatru Zagłębia w Sosnowcu, gościnnie w Czeskim Cieszynie (reż.: Henryk Konwiński, scenografia i kostiumy: Barbara Ptak)



fot. JAN HANUSIK



„Pastoralka" Leona Schillera w Scenie Polskiej
(Reżyseria: W. Rybicki, scenografia: W. Cejnar, premiera: 29. 11. 1968)

TEATR MONUMENTALNY

Szukając nieustannie nowoczesnej formy artystycznej spektaklu, zabiegał też Schiller o uzyskanie własnej, samodzielnej sceny. I tak w sezonie 1924/25 objął dyrekcję teatru im. Bogusławskiego, którą prowadził przez dwa lata. Miał już wtedy jasno sprecyzowany program, w którym nawiązanie do polskich dramatów romantycznych i neoromantycznych oraz idei teatralnych Mickiewicza i Wyspiańskiego było najistotniejszym elementem w jego współczesnej inscenizacji. Wychodziła ona daleko poza sam dramat romantyczny, lecz zawsze wielość wątków i rozmach konstrukcji wystawianych utworów inspirowały do tworzenia „teatru integralnego", w którym słowo, gest, ruch, plastyka i muzyka układały się w harmonijną, stylistycznie jednolitą całość.

Inscenizacjami „Opowieści zimowej", „Kniazia Patiomkina", „Achilleis", „Róży", wreszcie „Nie-boskiej komedii" — Schiller otworzył nowy, bodaj najważniejszy rozdział w historii sceny polskiej: poetycki teatr monumentalny.

W latach swej późniejszej współpracy z Teatrem Polskim (1926—29) Schiller wyreżyserował 14 przedstawień, w tym jeszcze jedno z cyklu wielkiego dramatu narodowego, „Samuela Zborowskiego" Słowackiego. Potem po krótkim pobycie w Łodzi pracował we Lwowie, gdzie wystawił najpierw „Kordiana" Słowackiego, a w roku 1931 słynne „Dziady" Mickiewicza.

TEATR WALCZĄCY

Schiller miał własną koncepcję teatru powszechnego, teatru dla mas. Sądził, że widza należy wprowadzić w krąg zjawisk najcenniejszych dla narodowej kultury, a nie ograniczać jego repertuaru do łatwych, pozbawionych poważniejszych treści sztuk. I rzeczywiście w teatrze im. Bogusławskiego Schiller miał pokaźną liczbę widzów.

Pod koniec działalności na tej scenie Schiller był już wyraźnie związany z programem,

fot. WŁADYSŁAW WOJNAR

domagającym się od artystów zaangażowania po stronie ruchu robotniczego i tworzerzenia teatru manifestującego swój udział w walce społecznej. Przyjmując założenia „teatru proletariackiego" stawiał jednak postulat zachowania ciągłości tradycji kulturalnej.

POZA SCENĄ

W roku 1932 pod dyrekcją Aleksandra Zelwerowicza powstał w Warszawie Państwowy Instytut Sztuki Teatralnej, w roku 1933 obok wydziału aktorskiego otwarto także trzyletni wydział reżyserski pod kierunkiem Leona Schillera. Poza pracą w szkole teatralnej Schiller działał także w Związku Artystów Scen Polskich, przygotowując nadzwyczajny walny zjazd delegatów, który odbył się w roku 1936. W latach 1937—39 współredagował „Scenę Polską", kwartalnik teatrologiczny, pismo wychodzące w Warszawie z przerwami od 1919 roku.

Podczas okupacji przebywał w Warszawie. Był współorganizatorem konspiracyjnej Rady Teatralnej i konspiracyjnych przedstawień. Był więźniem Oświęcimia, a po Powstaniu Warszawskim jeńcem obozu w Murnau. Przez pół roku kierował Teatrem Ludowym im. Bogusławskiego w Lingen, w grudniu 1945 roku powrócił do Polski.

Po wojnie kierował sekcją teatru Państwowego Instytutu Sztuki, był twórcą i redaktorem „Pamiętnika Teatralnego", współtwórcą i przewodniczącym Stowarzyszenia Polskich Artystów Teatru i Filmu. Należał do założycieli Międzynarodowego Instytutu Teatralnego i komitetu redakcyjnego „La Revue Theatrale". W latach 1947—52 był posłem na sejm. Zmarł 25 marca 1954 roku.

TEATR MUZYCZNY

Największym po wojnie triumfem Schillera stało się przedstawienie „Krakowiaków i górali" W. Bogusławskiego w Teatrze Wojska Polskiego w Łodzi (Z tym spektaklem odbył on m. in. tourneé artystyczne do Pragi, Brna, Ołomuńca i Ostrawy w listopadzie 1947 roku). Do dziś też wystawiane są jego „obrazkiśpiewające" — „Kram z piosenkami" oraz adaptacja „Igraszek z diabłem" J. Drdy.

Obok innych jeszcze realizacji niemało zajmowała Schillera reżyseria operowa. *Założeniem jego było, aby ruch sceniczny wywodzić nie tylko z libretta, ale przede wszystkim z muzyki, ruch ten przestawał więc pełnić funkcję ilustracji muzyki, tak jak muzyka przestawała być ilustracją tekstu, razem stanowiły jedność o silnym dramatycznym wyrazie. Umiejętność odczytania treści muzycznej decydowała w jego ujęciu o kształcie całego widowiska. Przełamał stereotypowość ruchów chórzystów, nadał im więcej zrytmizowania, a jednocześnie więcej swobody.* Największy rozgłos zyskało epokowe wręcz przedstawienie moniuszkowskiej „Halki", zrealizowane w Poznaniu, Berlinie i Warszawie. Schiller przygotował także kilka innych inscenizacji operowych.

Jak to najczęściej bywa z wielkimi artystami, Schiller stanowił osobowość trudną do jednoznacznego określenia, osobowość pełną sprzeczności i niespodzianek. . . . Sprzeczności uwidaczniały się i w jego sztuce. . . . A wszystkie te antynomie składały się na oryginalne, niepowtarzalne zjawisko: jego sztukę inscenizatorską.

ALEKSANDRA HUMEL

W tekście zacytowano fragmenty następujących opracowań:

E. Csató: Polski teatr współczesny
St. Marczak-Oborski: Teatr w Polsce 1918—1939
L. Schiller: Teatr jutra

WĘDRÓWKI NAZEWNICZE

KOCOBĘDZ (2)

Z OPOWIADAŃ LUDOWYCH

O Kocobędzu pisał już w Zwrocie przed dziesięciu laty (R. XXVIII: 1976, nr 12, str. 37—38) Alfred Kocur. Na temat nazwy Kocobędz czytamy tam: „Skąd pochodzi nazwa, nie udało się dociec. Jest wersja, że w otaczających wioskę lasach często koczowały bandy cyganów i od słowa „koczować" wioska przybrała nazwę Kocobędz." Objaśnienie to nie jest przekonywujące, ale jest ciekawym przykładem tzw. etymologii ludowych. „Powstają one wtedy — pisze Juliusz Zborowski — kiedy nazwa miejscowa przestała być zrozumiałą ludowi. Wtedy usiłuje on objaśnić jej znaczenie na swoją modłę. Objaśnia zaś najczęściej w ten sposób, iż kojarzy niezrozumiałą nazwę ze zrozumiałym wyrazem, który nie ma wprawdzie nic wspólnego z tą nazwą, za to dźwiękowo jest mniej lub więcej podobny." Dobrze więc, że została zanotowana etymologia ludowa nazwy Kocobędz, chociaż zbieracz na pewno sobie uświadamiał, że jest to wyjaśnienie nienaukowe i błędne z punktu widzenia naukowego. Jeszcze lepiej by było, gdyby zbieracz nie pominął nazwiska, imienia, wieku, zawodu i miejsca pochodzenia opowiadacza.

Według starych opowiadań ludowych istniało dawniej słowo ***kocobyndzarz***. Pisze o nim nauczyciel cieszyński Robert Zanibal (1843—1878), autor rękopisu „Księstwa Cieszyńskiego powieści, osobliwości, lud i jego obyczaje, śpiewy itd." z lat 1869—1872:

„Słowo Kocobędzarz znaczy w starym szląskim języku tyle co rabuś. I też ludek nam opowiada, że zamek w Kocobędzu zbudowali rabusie i z tąd napady i wycieczki swoje robili. Przez wygubienie tychże stał się zamek majątkiem księcia cieszyńskiego, aż go w r. 1267 Władysław zakonowi Dominikanów (?) w Orłowej dał."

Według informacji JUDr. Józefa Macury, używano też dawniej czasownika ***kocobyndzarzić*** w znaczeniu rabować.

POŁOŻENIE KOCOBĘDZA

Gdy popatrzymy na mapę historycznego Kocobędza, zauważymy, że jego granice tworzą nieforemny pięciobok, mający jeden z wierzchołków zwrócony ku południowi. Na południowym zachodzie Kocobędz graniczy z Stanisławicami. Na północnym zachodzie granicę między Kocobędzem a Olbrachcicami tworzy potok ***Kocobóncka, Kocobyncka*** (Kocobędzka). Na północy granica przebiega skrajem ***Łynckigo Lasa, Łynczoka***, leżącego już na terenie Karwiny-Łąk. Na północnym wschodzie pola kocobędzkie przylegają do lasu ***Obora*** (od którego powstała nazwa późniejszej wsi Podobora), dalej zaś Kocobędz graniczy z dawną wsią Ligotą Alodialną. Na południowym wschodzie graniczy

z Mostami (Cieszyńskimi) i Mistrzowicami.

WYRUSZAMY!

Na trasie autobusowej Czeski Cieszyn–Hawierzów jest przystanek ***Wyrómbano*** (Wyrąbana, czes. Vyrubaná). W tym najbardziej na południe wysuniętym przysiółku Kocobędza, ***Na Wyrómbanej***, rozpoczynamy naszą wędrówkę nazewniczą. Schodzimy na boczną drogę, która zaprowadzi nas w kierunku północno-wschodnim do centrum Kocobędza. Znajdujemy się na grzbiecie zaokrąglonego garbu terenowego wznoszącego się tu do 350 m n. p. m., toteż przed nami rozciąga się rozległy widok na pagórkowaty teren zwiedzanej miejscowości. Niewysokie pagórki mają zbocza łagodne i długie. Bystre oko dojrzy stąd w samym środku Kocobędza najwyższe wzniesienie (356 m), a na nim, między drzewami, wieżę zamkową. Na północnym zachodzie teren obniża się (do 255 m), bo wymyły go w ciągu wieków spływające wody. Tędy płynie największy potok miejscowy, wymieniona wyżej ***Kocobóncka, Kocobyncka*** (Kocobędzka), wpadająca w Olbrachcicach do Stonawki. Drugie znaczniejsze obniżenie terenu (do ok. 290 m n. p. m.) znajduje się na południowym wschodzie, nad granicą ligocką, w dolinie potoczka ***Kiszyniec***, ale okolica ta jest dla nas na razie niewidoczna.

Po przebyciu 2 km podchodzimy do budynku szkolnego, wzniesionego w roku 1898. W budynku tym znajdowała się aż do 1979 roku ***ludówka***, polska szkoła ludowa, później podstawowa (za wyjątkiem lat okupacji niemieckiej). Przypomnieć tu trzeba, że jest to już czwarty z kolei budynek szkoły polskiej w Kocobędzu. Pierwszą szkołę otwarto w roku 1785 w izbie u ***Dolskigo*** Czakoja (późniejszy dom Jana Ponczy nr 25). Nowy, drewniany, jednoklasowy budynek szkolny nr 63 zbudowano pod dzisiejszym cmentarzem ewangelickim w roku 1787. W aktach generalnego wikariatu z roku 1815 znajduje się notatka: „W Kocobędzu uczy się po polsku, a trochę po niemiecku". Po 66 latach drewniany budynek szkolny rozebrano, a na jego miejscu wzniesiono w r. 1853 nową szkołę murowaną, ale także jednoklasową. Również po roku 1870 językiem wykładowym był język polski.

Na rozdrożu w pobliżu szkoły znajduje się stary budynek murowany z nieaktualnym już napisem: kino. Je to downo ***Polokowo karczma***. *Potym tam było kino a świetlica PZKO. Kónsek dalij było kiejsi pole Pónczowe, a nazywali to* ***Na Kónty, Na Kóntach.***

Teraz pójdziemy drogą wiodącą w stronę zamku. Od dawien dawna (aż po dzień dzisiejszy) rdzenna ludność Kocobędza nazywa tę drogę ***Tyczónka***. *Tam było kiejsi pole, a ceste tam wytyczyli. Tak nóm mówił we szkole kiyrownik Kubisz. Było to kole roku tysiónc dziewiyńcet dziesiónteg. Ale ta cesta już tam downo była! Była obsadzóno jabłóniami a gruszkami.* (Jerzy Kubisz był kierownikiem szkoły kocobędzkiej w latach 1897–1918.)

Tyczónka zaprowadzi nas do środkowej, najstarszej części Kocobędza, zwanej ***Pod Zómkym***. Nieco dalej na zachód jest ***Nowsi*** (Nawsie), a przed nami – ***Zómek***.

ZAMEK

Już w XIII wieku miał tu klasztor benedyktynów orłowskich obwarowany dworek. Z pierwotnego czternastowiecznego, gotyckiego grodu zachowała się do dziś tylko walcowata ***wieża***, dawna wieża wartownicza – najstarszy zabytek budownictwa świeckiego w powiecie karwińskim. Tyle pozostało z obwarowań dawnego grodu kocobędzkiego, który znajdował się mniej więcej w miejscu dzisiejszej budowli zamkowej, przebudowanej i nadbudowanej ostatnio w roku 1875. Wieża ma wysokość 10 metrów, jest wymurowana z ciosanych albo łamanych kamieni wapiennych i piaskowcowych. Mur wieży jest u dołu do wysokości około dwóch metrów grubszy, im wyżej zaś jest wieża nieco ciensza, przechodzi w kształt lekko stożkowaty, co nadaje jej niezwykły, starożytny charakter. Wewnątrz wieży znajdują się kręte schody drewniane. Podczas wielokrotnych napraw wieży, m. in. w r. 1656 (jak mnie poinformował w czesko-

cieszyńskim muzeum dr Petr Beck), zostały niektóre pierwotne wąskie otwory strzelnicze zamurowane, inne znów poszerzone na otwory okienne. Również dzwonowate zadaszenie wieży jest najprawdopodobniej nowszej daty. Pod koniec XVIII w. służyła dolna część wieży pono jako kaplica dla mieszkańców zamku. Dzisiejszy wygląd nadano wieży w drugiej połowie XIX wieku. Wieża została wtedy gładko otynkowana i został na niej umieszczony zegar. (Jindřich Benatzky, „Těšínsko" 3/1986).

Drugim zabytkiem jest ***brama do zómku***, barokowa brama wjazdowa, pochodząca z końca XVIII wieku.

Na dawne umocnienia ziemne wokół zamku kocobędzkiego wskazuje nazwa terenowa ***Szańce***. *Na Szańcach — to je przi dworze. Tam była tako grobel. To było ku obrónie w starych czasach. Szańce sóm za stodołami dworskimi, miyndzy lasym a pańskimi stodołami.* Dziś są już te dawne umocnienia ziemne, składające się kiedyś z wału i rowu, prawie że bez reszty zniwelowane, chociaż *jeszcze przed poryma rokami dowali tam siłaż* (kiszonki). Pamiątką po dawnych szańcach jest też nazwa drogi ***Na Szańcach***. Przebiega ona na północ od zamku i skręca w kierunku północno-zachodnim. Mieszka w tych okolicach w domu nr 166 dawny wieloletni prezes miejscowego Koła PZKO Franciszek Gociek, zasłużony działacz społeczny, stały czytelnik „Zwrotu", który pomimo swych 81 lat życia pozostaje nadal człowiekiem dziarskim, żwawym i pracowitym.

Lud opowiada, że zamek w Kocobędzu jest połączony podziemnymi korytarzami z zamkiem cieszyńskim. Opowiadał o tym w roku 1986 Alojzy Chlebus, ur. w r. 1913 w Kocobędzu, z zawodu fryzjer, mieszkający obecnie w Czeskim Cieszynie-Mostach pod nr. 150, następująco: *W gospodzie u Pawlasa w Podoborze za przeszłej republiki, około roku 1933, chłopi opowiadali, że z Kocobyndza sóm podziymne chodniki do zómku w Cieszynie. Był miyndzy nimi Jan Chlebus, krawiec z Kocobyndza. To był mój brat. Jedyn z chłopów mówił, że wiy, że tyn korytarz idzie przez Liszkowóm zogrode, Gustawa Liszki. Tóż sie ci chłopi domówili, że na drugi dziyń pujdóm tam. I poszli. Wziyli zielaźnóm sztangle, a zaczyli bić młotym. Dwa razy jóm wbili, a nic nie naszli. Przi trzecim razie wbili pół sztangle, a uciykła im na dół. Zaroz tam w tym miyjscu kopali i przyszli na tyn kanał. Szli tym kanałym kónsek, ale potym już był zasuty i ni mógli iść dalij. Tej dziury tam teraz ni ma, bo jóm musieli zasypać, aby do ni bydło nie spadło. Nie wiymy, czy tyn chodnik szeł ze zómku cieszyńskiego do Kocobyndza, czy też na Stary Cieszyn* (w Podoborze).

SZKOŁA ROLNICZA

Z zamkiem kocobędzkim jest ściśle związana historia szkoły rolniczej w Kocobędzu. Warto o niej wspomnieć, tym bardziej że mało kto z młodszej generacji wie o istnieniu takiej szkoły. W roku 1872 zostały rozlepione na Śląsku Cieszyńskim plakaty informujące rolników (po niemiecku i po polsku), że będą mogli kształcić swych synów we wzorowo urządzonej dwuletniej szkole rolniczej w Kocobędzu. Szkoła ta już w roku 1874 zmieniła swą nazwę na szkołę rolniczą krajową (Landes-Ackerbauschule). Zachowała się z lat następnych „karta korrespondencyjna" wydana nakładem Edwarda Feitzingera w Cieszynie, na której oprócz ogólnego widoku budynku szkoły (zamku) od strony ogrodu są napisy niemieckie i polskie, m. in. „Pozdrowienie z Kotcobendza". Karta ta nie nadaje się niestety do reprodukcji.

Przy szkole były wzorowe zabudowania gospodarcze, 34 ha pola ornego, działki doświadczalne, szkółka drzewek owocowych, stacja meteorologiczna i ogród botaniczny. *Za dzisiejszym kónzumym Jedności była kiejsi za Austryje* ***Szkółka*** *albo Baumszule. Wedle nij za cestóm był* ***Botaniok*** *(ogród botaniczny), a w nim chodniczki, ławeczki, ruże, kwiotka, krzoki rozmaite, całe rzyndy rozmaitych zagranicznych drzew, cedrów a inszych pieknych drzew. Dyć tam rosnół aj dómb korkowy! W Botanioku sie sztudynci uczyli, a profesorzi szpacyrowali.*

Cdn.

WŁADYSŁAW MILERSKI

TRYBUNA CZYTELNIKÓW

Nasze forum czytelnicze użycza dziś swoich łamów listom Jana Zolicha nt. form aktywizacji młodzieży PZKO-wskiej, Tadeusza Guziura o jubileuszu szkoły w Boguminie oraz Stanisława Gawora z podkrakowskiej Bochni, który dzieli się z nami spostrzeżeniami dotyczącymi naszego pisma.

TOWARZYSZE!

Od 15 lat wykonuję funkcję rejonowego MK PZKO w Karwinie-Frysztacie na terenie osiedla w Karwinie-Raju, gdzie opiekuję się 35 członkami. Są wśród nich starzy i młodzi PZKO-wcy. Jeśli spojrzeć prawdzie w oczy, to z tą naszą młodzieżą bywa różnie. Można odnieść wrażenie, że wyrasta z niej pokolenie biernych uczestników naszych imprez PZKO-wskich. Myślę, że może ją jeszcze zainteresować coś nadzwyczajnego, np. wideoprogramy, które są teraz wszędzie w modzie. Ale to wszystko powinno być przemyślane i kierowane przez sekcję młodzieżową przy ZG PZKO w Cz. Cieszynie i myślę, że taka tam istnieje, ale nie wykazuje wielkiej aktywności.

Jako redaktor bywam często w terenie i obserwuję, co się gdzie dzieje. W Domu Przyjaźni w Karwinie-Frysztacie od pewnego czasu są regularne programy wideo dla młodzieży, której to bardzo imponuje. Tak samo w siedzibie Powiatowego Komitetu SZM w Karwinie-Frysztacie bywają często programy wideo, a fachowcy ściągani są z Ostrawy. Wiem o tym, że w Domu Kultury w Cieszynie na rynku (Polska) istnieje też Klub Wideo. I takie przykłady mógłbym wyliczać dalej.

MK PZKO nie stać na takie kosztowne akcje, gdyż nie ma środków na kupno tak kosztownego sprzętu. Tym musi się zająć ZG PZKO w Cz. Cieszynie. Jeśli nic nie będziemy robić, to w takich centrach przemysłowych, jak Karwina i inne miasta, stracimy naszych młodych członków, którzy bardzo często wybierają swoich partnerów życia z innego środowiska, a następnie występują z organizacji PZKO. Takich przykładów w moim terenie mam w tym roku już trzy, a obserwuję, że będzie ich więcej. A my przecież powinniśmy zaopiekować się młodą generacją i różnymi sposobami wciągnąć ją do naszego środowiska, bo od niej zależy dalsza przyszłość PZKO. O starszą generację nie miejmy obaw, ona pracuje i uczęszcza na nasze akcje regularnie.

Pamiętajcie więc, Kochani Towarzysze z ZG, o tej naszej młodzieży i uczyńcie coś przełomowego na serio!

JAN ZOLICH
Karwina-Raj

80-LECIE ISTNIENIA SZKOŁY W BOGUMINIE

Szybko minęło kolejnych pięć lat istnienia Szkoły Podstawowej z polskim językiem nauczania w Boguminie. Obecnie uczniowie z dyrektorką Wandą Kondziołka przygotowywują się do jubileuszu 80-lecia tej zasłużonej placówki. Uroczystość jubileuszowa odbędzie się 21 marca w Klubie Zakładowym ČSD w Boguminie.

Według materiałów kierownika tej szkoły z lat 1934—66 (nie licząc okresu okupacji hitlerowskiej), zasłużonego działacza Alfreda Kocura, myśl wybudowania własnej polskiej szkoły ludowej w dawnym Boguminie-Dworcu zrodziła się w 1904 roku. Dzięki poparciu Zarządu Głównego Macierzy Szkolnej w Cieszynie oraz Towarzystwa Szkoły Ludowej w Krakowie uro-

czystość otwarcia szkoły odbyła się dnia 10 listopada 1907 roku. Szkoła była trzyklasowa, nadano jej imię Tadeusza Kościuszki, pierwszym kierownikiem został Jan Szuścik, a dzieci w roku szkolnym 1907/1908 było 149.

W latach pierwszej wojny światowej szkoła musiała się przenieść do budynku prywatnego, bowiem budynek szkoły zamieniono na szpital wojskowy. W pierwszych powojennych latach do bogumińskiej szkoły uczęszczały również dzieci z Rychwałdu, Lutyni Dolnej i Górnej, było pięć klas, a dzieci ponad 200. Pod koniec lat dwudziestych w okresie kryzysu gospodarczego i bezrobocia zanotowano spadek liczby dzieci, bowiem otrzymanie pracy było uzależnione od tego, do jakiej szkoły rodzice posyłali swoje dzieci. W latach okupacji hitlerowskiej zostały zniszczone wszelkie pamiątki szkolne. W 1945 roku otwarto sześć klas dla 283 uczniów, jednak na mocy jednomyślnej uchwały plenum MRN z dniem 23 lipca 1946 roku polska szkoła w Nowym Boguminie została zamknięta. Ponownie otwarto ją dopiero 3 kwietnia 1948 roku i odtąd już nieprzerwanie kontynuuje swoją działalność.

Po przejściu na emeryturę Alfreda Kocura przez 13 lat szkołą kierowała Gertruda Marosz. Obecna dyrektorka szkoły Wanda Kondziołka pełni tę funkcję od roku szkolnego 1979/80. Dalszymi pracownikami są wychowawczyni świetlicy szkolnej Grażyna Štirba oraz tercjanka Wanda Gryń.

Życzymy dzieciom i wychowawczyniom pełnej realizacji zamierzonych planów na przyszłość, a szczególnie udanych obchodów zbliżającego się jubileuszu 80-lecia istnienia szkoły, podczas którego z programem okolicznościowym wystąpią dzieci z Bogumina i Lutyni Dolnej.

inż. TADEUSZ GUZIUR
Bogumin-Skrzeczoń

ZESPÓŁ REDAKCYJNY „ZWROTU"

Przede wszystkim — mocno opóźnione, ale tym niemniej serdeczne życzenia noworoczne. Samych sukcesów w tym jubileuszowym dla PZKO Roku! Przy okazji — serdeczne podziękowanie za to, że o mnie nie zapominacie, nadal mi „Zwrot" przysyłając: od 6 już lat jest to moje jedyne źródło informacji o Zaolziu i jego ludziach, jako że bezpośrednie moje z Wami kontakty jakoś się niestety urwały . . .

Ale chcę je nawiązać znowu — tym razem jako sekretarz generalny Ogólnopolskiego Ruchu Społeczno-Kulturalnego Związku Młodzieży Wiejskiej „Scena Ludowa". W tym charakterze chciałbym Was odwiedzić i nawiązać bezpośredni kontakt z PZKO, m.in. w sprawie wymiany twórców różnych profesji (nasz Ruch organizuje dla nich mnóstwo warsztatów, seminariów i tzw. konfrontacji, podobnych do Waszych spotkań literackich, plastycznych czy folklorystycznych — myślę, że ich uczestnicy z dużym dla siebie pożytkiem mogliby wymieniać doświadczenia — organizacyjne i warsztatowo-artystyczne).

A dziś pewien drobiazg: otrzymałem właśnie Wasz numer 1/87, a w nim w rubryce „Kronika" przeczytałem m.in. przy okazji informacji o wystawie prac Stanisława Krausa w Krakowskim Domu Polonii, iż była to „pierwsza wystawa indywidualna plastyka z naszego terenu w podwawelskim grodzie". Otóż nie była! Nie bardzo umiałbym w tej chwili powiedzieć, kto z „waszych" prezentował się w Krakowie jako pierwszy, ale z całą pewnością wiem (bo rzecz organizowałem), że już w czerwcu 1979 roku miał tu wystawę kilkudziesięciu swych prac Bronek Liberda (w Galerii Domu Kultury Huty im. Lenina), a parę miesięcy wcześniej — Franek Bałon (w Galerii Muzeum Fotografii im. Bogackiego). Obaj dysponowali ładnymi folderkami — programami, wydanymi tu na miejscu. Szczegóły (oraz owe programy) możecie sobie u nich oglądnąć, bo na pewno je zachowali.

A jeszcze przy okazji: za cenną uważam Waszą nową, tzn. wprowadzoną kilka miesięcy temu rubrykę „To i owo". Uważam jednak, iż 1. jej nazwa jest nijaka (nie odpowiada treści), 2. jeśli już odnotowujecie głosy o Zaolziu, PZKO, SLA oraz poszczególnych ludziach — to warto poczynić starania, by były to głosy bardziej kompletne. Np. w roku ubiegłym pojawiło się w prasie krajowej wyjątkowo dużo artykułów, wywiadów etc. z okazji 40-lecia PZKO, z których jednak zdecydowanej większości nie zauważyliście. Sam czytałem obszerne teksty w: „Dzienniku Ludowym", „Chłopskiej Drodze", „Inspiracjach" i chyba ze dwa razy w „Gazecie Krakowskiej" . . . Może warto Wam — lub PZKO — zamówić prenumeratę w Biurze Wycinków „Głob"?

Przepraszam za te, niewczesne może, uwagi, raz jeszcze życzę wszystkiego najlepszego i raz jeszcze dziękuję

STANISŁAW GAWOR
Bochnia



fot. ADAM SZOP

TO I OWO

Marek Adam Jaworski swój reportaż „Wśród Polaków za Olzą (1)", który ukazał się w 1. tegorocznym numerze lubelskiego dwutygodnika społeczno-kulturalnego „Kamena", zatytułował „Im po prostu chce się . . ." Autor odwiedził nas pod koniec ubiegłego roku, a nie jest to jego pierwsza wizyta za Olzą, i wiele miejsca poświęca naszemu miesięcznikowi: „Zwrot" jest redagowany ekspansywnie. Przyciąga szata graficzna, znakomity papier, dobra fotografia (tu wszystko widać!), ciekawa, nie zawsze tradycyjna, grafika. *Pisząc dalej sporo o innych polskich instytucjach naszego regionu: księgarni, gazetach i gazetkach, „Piaście", budowie świetlic i domów PZKO kończy:* Buduje się i dzisiaj (. . .) Zazdrościć energii. Zazdrościć tego, że im, Polakom — obywatelom czechosłowackim — po prostu chce się! *Sądząc po cyferce (1) za tytułem reportażu nie będzie on ostatnim.*

W „Gazecie Krakowskiej" z 29. 12. 1986 pod nagłówkiem „O autorach i książkach. Trzecia zmiana za Olzą" pisze o naszym środowisku literackim Jacek Kajtoch. Przedstawia redaktora polskiej edycji „Profilu" Evę Sobkową, omawia sprawy przeszłości i teraźniejszości literackiej tego regionu, najszerzej zajmując się profilowskim almanachem „Spotkanie". Wskazując na najbardziej wybijające się spośród jego autorów jednostki podkreśla jednak, że wszyscy oni zasłużyli na druk.

Wyznawana przez nich — *pisze autor* — skala wartości wykazuje ścisły związek z socjalistycznym kierunkiem wychowania. Na pierwszym miejscu są takie wartości, jak praca, harmonijne współżycie społeczne, przywiązanie do regionu, szacunek do innych narodowości, współgospodarzy republiki, ochrona pokoju. Byłem trochę zaskoczony małą ilością wierszy krajobrazowych i motywów zaolziańskich. Dochodzę do przekonania, że ten brak stanowi dalsze świadectwo wyjścia literatury polskiej zza Olzy z opłotka prowincjonalizmu.

Nr 1/87 „Głosu Ziemi Cieszyńskiej" drukuje informację o nowym Kalendarzu Śląskim: Jak zwykle bardzo atrakcyjny graficznie rocznik przynosi kilka artykułów mogących zainteresować również czytelnika z Cieszyńskiego — *zachęca autor notatki do lektury rodaków z prawej strony Olzy.*

W „Zapiskach kulturalnych" tego samego numeru GZC pojawiły się jeszcze dwie notatki zza Olzy. Pierwsza nt. tomiku poetyckiego „Dotykanie czasu" Gabriela Palowskiego, druga o grudniowych eliminacjach do kolejnego, 19. już Festiwalu Piosenki Polskiej, które odbyły się w Czeskim Cieszynie.

„Těšínsko", informator historyczny powiatu Karwina (nr 4/86) w artykule „Organizacja młodzieżowa w Karwińskiem w latach 1945—1960" odnotowuje sporo faktów dotyczących Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej. O kilka stronic dalej przeczytaliśmy garść informacji nt. SLA-owskich twórców Karola Piegzy i Gustawa Nowaka, zamieszczonych w „Spojrzeniu wstecz na tradycję plastyczną Podbeskidzia".

„List z Cieszyna" pt. „Wspólnota" drukuje listopadowe „Opole", miesięcznik społeczno-kulturalny. Oto fragmenty, dotyczące jakże ważkich spraw przeniesienia punktu ciężkości i widzenia sztuki u młodszego pokolenia SLA-owców:

(. . .) Jest coś fascynującego w owej potrzebie Zaolzian jednoczenia się, tworzenia mniejszych lub większych wspólnot opartych wprawdzie na hobbistycznych zainteresowaniach, ale zawsze i przede wszytkim zasilanych egzystencjalnym problematem własnego tu i teraz. Daje to znać o sobie tak samo na zabawach towarzyskich, jak przy piwie w gospodzie, w antraktach przedstawień Sceny Polskiej i podczas spotkań rodzin-

nych (. . .) Zgoła inaczej zaczynają owocować wspólnotowe geny w środowisku artystycznym. Do niedawna byłem przekonany, że PZKO-wska Sekcja Literacko-Artystyczna i hutnicza Grupa Literacka '63 w zupełności zaspokajają potrzeby twórców w zakresie życia grupowego. (. . .) Pod koniec wakacji otrzymałem zaproszenie do wzięcia udziału w spotkaniu młodzieży SLA-owskiej, które miało się odbyć w . . . domku letniskowym fotografika Adama Szopa, na granicy Gutów i Śmiłowic, u podnóża Jaworowego (. . .) Tak zaczęła się seria zdziwień i bulwersujących z lekka doznań. Żona Adama, Ivana, jest Czeszką. Nic nadzwyczajnego. Mieszane małżeństwa wśród zaolziańskich twórców zdarzają się często (. . .) Ivana także fotografuje. Interesują ją przede wszystkim relacje międzyludzkie. Jej czarno-białe, drapieżne fotogramy wykadrowują z rzeczywistości rzadkie momenty harmonii człowieka i przyrody lub chłodno rejestrują i analizują stany uczuciowe między dwojgiem ludzi. Są perfekcyjne, a w każdym razie dążenie autorki do perfekcjonizmu jest w nich łatwo czytelne. Adama inspiruje częściej pejzaż, ale w aspekcie układów geometrycznych. Jego zasługą już jest, że ta harmonijna siatka konfiguracji linii i płaszczyzn ożywa niepokojem pod wpływem światła. Formalna doskonałość obrazów to również nieodzowny składnik Adamowej sztuki. (. . .) Przeglądając wystawione na łóżkach na strychu zdjęcia, mogłem już wiedzieć, że „młodzież SLA" — jak określało tę grupę zaproszenie — niezbyt się przejmuje zaolziańskimi sentymentami czy kanonami artystycznymi, a jeśli nawet nawiązuje do jakiejś tradycji, to do rewolucyjnego niegdyś programu wyzwolenia zaolziańskiej literatury i sztuki z regionalnych ograniczeń. Nie mogłem natomiast przypuszczać, że program ów osłabił w tej młodzieży owo poczucie wspólnoty, ową środowiskową odpowiedzialność za kształt i jakość zaolziańskiej kultury (nie tylko twórczej), która do niedawna jeszcze określała i atmosferę spotkań, i — w znacznym stopniu — ich temat. (. . .) Na razie wiadomo, że uniwersalizm, estytyzm i perfekcjonizm to nowe, bardzo poważnie przez młodzież traktowane bóstwa sztuki rodzącej się za Olzą. (. . .)

„Echo Chełmka" (nr 24/86) w rubryce „Okolica poetów" odnotowuje pn. „Zaolziańskie nurty": W czasie finału konkursu o „Złoty Trzewiczek" gościł w Chełmku Piotr Horzyk, jeden z naszych laureatów a zarazem szef Grupy Literackiej 63. Grupa ta działa w oparciu o Dom Kultury WSRP w Trzyńcu (CSRS). Pragniemy dziś zaprezentować kilka utworów zaolziańskich poetów. Mamy nadzieję, że uda nam się utrzymać stałą współpracę i wiersze tej grupy częściej będą gościć na naszych łamach. *Poniżej wydrukowano wiersze: „Złudzenia" G. Pałowskiego, „Uwierzyłem" P. Horzyka, * * * (Zebrałam jesienią owoce . . .) J. Żabińskiej i * * * (Ty wiesz, które słowo . . .) A. Filipek. W migawkach Foto kroniki „Złoty Trzewiczek" pojawiło się zdjęcie P. Horzyka.*

DO NUMERU NINIEJSZEGO DOŁĄCZAMY PRZEKAZY POCZTOWE. PROSIMY CZYTELNIKÓW O PRZEKAZYWANIE PRENUMERATY ROCZNEJ W WYSOKOŚCI 30,— Kčs W TERMINIE DO KOŃCA KWIETNIA.

Corocznie wielu czytelników zalega z zapłaceniem Zwrotu, nawet po otrzymaniu kilku urgensów. Prosimy zatem o uiszczenie prenumeraty od razu po otrzymaniu przekazu, by Twoje nazwisko nie znalazło się na liście dłużników.
Wszelkie zmiany w nazwisku lub adresie abonenta prosimy podawać na odwrocie przekazu w rubryce „Zpráva pro příjemce".
Rezygnacja z prenumeraty przyjmowana będzie z półrocznym wyprzedzeniem.

KRONIKA

ZG PZKO

■ SRPS przy PSP w Karwinie-Nowym Mieście i kierownictwo ZPiT „Górnik" przy ZG PZKO urządziły 10. 1. w sali Domu Kultury KZ Kovona w Karwinie 1 „Nasz Bal". Program balowy zaprezentował zespół „Górnik".

■ Klub Medyków przy ZG PZKO odbył swoje pierwsze spotkanie w tym roku 8. 1. w Klubie PZKO w Cz. Cieszynie. MUDr. Piotr Göbel wygłosił prelekcję pt. Moje wrażenie z wystawy „Medica '86" w Düsseldorfie, którą połączył z wyświetleniem przezroczy.

■ Samorząd chóru męskiego „Hasło" Orłowa przy ZG PZKO urządził dla chórzystów i ich małżonek 9. 1. w świetlicy w Rychwałdzie tradycyjne spotkanie noworoczne. Walne Zebranie tego chóru odbyło się 13. 1. w sali Ludowej Szkoły Artystycznej w Orłowej-Porębie w obecności kierownika Wydziału Kultury i Oświaty ZG PZKO Heleny Śliwka.

■ Pierwsze zebranie Komisji Festiwalowej PZKO '87 odbyło się 6. 1. w siedzibie ZG PZKO. Wysłuchano sprawozdań z pracy poszczególnych Sekcji Festiwalowych: Organizacyjno-Technicznej, Programowej, Pochodowej, Propagandowej i Ekonomicznej. Podjęto odpowiednie decyzje w sprawie programu festiwalowego oraz propagandy F — PZKO '87. Zaakceptowano wniosek Sekretariatu Festiwalu na skład osobowy oficjalnych delegacji zaproszonych na Festiwal.

■ 8. 1. w Domu Kultury „Witkowic" odbyła się okręgowa konferencja pracowników ideologii, sztuki oraz placówek kulturalno-wychowawczych pn. „Miejsce sztuki i kultury w procesie realizacji uchwał XVII Zjazdu KPCz". Obrady prowadził tow. Vl. Fák, kierownik Wydziału Ideologicznego KO KPCz w Ostrawie. W konferencji udział wzięła delegacja ZG PZKO z F. Szopą, członkiem Prezydium ZG, B. Brannym, sekretarzem WPO, i P. Przeczkiem, redaktorem naczelnym „Zwrotu".

■ 29. 12. 86 w salce posiedzeń ZG w Cz. Cieszynie odbyło się ostatnie w roku ubiegłym spotkanie Sekcji Folklorystycznej ZG. Przewodniczący Sekcji dr D. Kadłubiec przedstawił bilans pracy SF za rok 1986. Wysłuchano również sprawozdania przewodniczącego Klubu Plastyków Ludowych przy SF Br. Procnera o dokonaniach Klubu. Przedstawiono także plan pracy Sekcji i Klubu na jubileuszowy rok 1987.

■ Program balowy na Reprezentacyjnym Balu Kopalni „CSA" 17. 1. w Domu Przyjaźni we Frysztacie wykonał ZPiT „Olza" przy ZG PZKO. Ten sam zespół zaprezentował się 23. 1. w Domu Kultury HT w Trzyńcu na balu polskiego Gimnazjum z Cz. Cieszyna.

■ W salce zebrań ZG PZKO odbyło się 19. 1. zebranie Sekcji Ruchu Tanecznego ZG. Omówiono na nim program taneczny do bloku programowego PZKO na Festiwal '87 w Karwinie. Przedyskutowano także program Przeglądu szkolnych zespołów tanecznych '87 oraz dalsze zadania wynikające z planu Sekcji na rok 1987. Na zebraniu SRT zrezygnował z pełnienia funkcji przewodniczącego Sekcji Andrzej Niedoba, któremu podziękowano za działalność w Sekcji.

■ 14. 1. w salce zebrań Zarządu Głównego odbyło się doroczne zebranie Sekcji Sportowej ZG PZKO. Omówiono i oceniono bogatą ubiegłoroczną działalność sportową PZKO. Wręczono puchar przechodni „Głosu Ludu" naj-

bardziej usportowionemu Kołu PZKO w roku 1986 — MK PZKO Mosty k. Jabł. Sklasyfikowano 25 Kół PZKO. Punktowano za zajęcie 1—3 miejsca drużynowo w mistrzostwach PZKO, za organizację poszczególnych mistrzostw PZKO oraz za organizację turniejów obwodowych. Pierwsze — MK PZKO Mosty k. Jabł. zgromadziło 79 punktów, drugie — MK PZKO Wędrynia 65 punktów, trzecie — MK PZKO Trzyniec—Osiedle 58 punktów. Na zebraniu wręczono również przyznane przez ZG srebrne odznaczenia PZKO „Za Zasługi" działaczom Sekcji Sportowej ZG: R. Zagórze, inż. R. Kufie i inż. E. Schoupalowi.

■ 8. 1. w Cz. Cieszynie odbyło się zebranie jury konkursu na wspomnienia dotyczące pierwszych lat działalności PZKO i SMP ogłoszonego przez ZG PZKO — Sekcję Historii Regionu. Wpłynęły tylko 3 prace. Pierwszej nagrody jury nie przyznało, drugą nagrodę otrzymała praca pt. „Kartka z dziejów ołomunieckiej „Jedności" autorstwa dr. J. Korzennego, a wyróżnienie przyznano pracy pt. „Moje wspomnienia dotyczące pierwszych lat PZKO i SMP" A. Piegzowej.

■ Członek Prezydium i sekretarz KO KPCz w Ostrawie tow. L. Brumek przyjął 20. 1. tow. Tadeusza Chrząszcza z okazji jego jubileuszu życiowego — 65-lecia urodzin i przekazał mu list KO KPCz, w którym wysoko oceniono wkład Jubilata w realizację polityki partii. Tow. T. Chrząszcz przed odejściem na emeryturę przez 11 lat pracował jako redaktor „Głosu Ludu", a poprzednio był redaktorem naczelnym miesięcznika PZKO „Zwrot" i sekretarzem ZG PZKO.

■ W XIII Konkursie Pieśni Przyjaźni zorganizowanym na szczeblu powiatowym 24. 1. w Miejskim Domu Pioniera w Karwinie udział wzięło 7 chórów z powiatu Karwina. Uczestniczyły w nim m.in. dwa chóry męskie PZKO w VII kategorii: chór „Hasło" Orłowa przy ZG PZKO pod kierownictwem inż. Wł. Ruska oraz chór męski „Harfa" z Koła PZKO Cz. Cieszyn-Centrum pod batutą dr. Alojzego Kopoczka. Pierwszy z nich zdobył Złote pasmo i zakwalifikował się do eliminacji okręgowych, drugi jest zdobywcą Srebrnego pasma i dyplomu honorowego.

■ Drugie w br. zebranie Prezydium ZG PZKO odbyło się 27. 1. w salce zebrań w siedzibie Związku. Zapoznano się z realizacją budżetu ZG za rok 1986 i zaakceptowano zamknięcia rachunkowe za ten rok. Prezydium omówiło przygotowanie zebrania Plenum ZG wyznaczonego na dzień 3. 2. w Cz. Cieszynie. Organ ZG przeprowadził także szczegółową ocenę Walnych Zebrań, które przebiegły w Kołach PZKO w IV kwartale 1986.

■ 8. 1. w ZG PZKO przebiegło zebranie kierownictwa Pionu Literackiego SLA. Podsumowano działalność Pionu za rok 1986. Postanowiono robić dokumentację SLA i omówiono przygotowania do Wiosennego Seminarium SLA, do Karczmy Artystów i do imprez towarzyszących Seminarium, które odbędzie się w marcu br. Seminarium będzie miało charakter uroczystości jubileuszowej z okazji 50-lecia Śląskiego Związku Literacko-Artystycznego i 40. rocznicy istnienia SLA.

■ Pion Foto-filmowy SLA obradował 21. 1. w salce ZG. Omówiono plan pracy Pionu na r. 1987: uczestnictwo Pionu w Wiosennym Seminarium SLA, Wiosenne Spotkanie Fotografików w maju 87, 3-dniowy plener fotograficzny zaplanowany na III kwartał 87 oraz wystawę fotograficzną przy okazji Festiwalu '87 w Karwinie.

■ Pion Plastyczny SLA odbył swoje zebranie 22. 1. w siedzibie Związku. Omówiono przygotowania do realizacji planu pracy Pionu w roku 1987. Przewiduje on realizację 4 wystaw zbiorowych oraz 9 wystaw indywidualnych. Przedyskutowano format i technikę „Plakatu Poetyckiego". Omówiono zaplanowany plener SLA w roku 1988 w Cierlicku, udział naszych plastyków w plenerach w PRL '87 oraz udział Pionu Plastycznego w Wiosennym Seminarium SLA. Dyskutowano na temat prezentacji twórczości plastyków SLA i przyznawania nagrody. Poruszono także problem członkostwa plastyków w SLA.

■ 27. 1. w Klubie PZKO w Cz. Cieszynie odbyło się Spotkanie Noworoczne kierowniczek Zespołów Kobiet. Przewodnicząca SZK H. Żabińska przeprowadziła podsumowanie i ocenę pracy pezetkaowskiego ruchu kobiecego za rok 1986. W. Chlup zapoznała aktyw terenowy kobiet z planem pracy SZK na rok 1987. W programie ob. Remešowa wygłosiła referat pt. „ Właściwości lecznicze miodu i propolisu". Przygotowano również wystawkę ciast miodowych oraz prac ręcznych — upominków na Festiwal '87. Wręczono akty uznania przyznane przez ZG PZKO najaktywniejszym Zespołom Kobiet oraz niektórym działaczkom za

pracę w ruchu kobiecym PZKO.

BOGUMIN

■ Noworoczny bogumiński obwodowy turniej w tenisie stołowym odbył się 2. 1. w Domu PZKO w Wierzniowicach.

■ Klub Dziecięcy przy MK PZKO w Skrzeczoniu skupia dzieci członków Koła w wieku przedszkolnym i szkolnym. W jego ramach działa zespół dziecięcy pod kierownictwem Marii Sładeczek. Klub Dziecięcy zanotował na swym koncie trzydniową wycieczkę rowerową do Piotrowic, kulig z końskim zaprzęgiem oraz udział w mistrzostwach Koła w tenisie stołowym i kometce. Ostatnią imprezą w roku 1986 była świetlica dziecięca przy choince 28. 12. 86 pod kierownictwem kierowniczki Klubu Jolanty-Strządała.

■ Reprezentacyjny Bal pn. „Na jarmarku" urządziło skrzeczońskie Koło 10. 1. w Klubie Zakładowym „ČSD" w Boguminie. Wystąpił zespół taneczny Koła, a do tańca przygrywała orkiestra Klubu Młodych „Krater".

■ 27. 12. 86 w świetlicy Koła w Lutyni Dolnej odbyło się „Spotkanie Noworoczne" zarządu, chóru mieszanego „Lutnia" i aktywistów Koła. Podsumowano i oceniono dobre wyniki chóru i aktywistów za rok 1986.

■ Zarząd tego Koła urządził 2. 1. w swoim lokalu I świetlicę dla dzieci przedszkola i klas 1—4 miejscowej PSP. W programie Klubu Młodych Koła odbyło się współzawodnictwo wiedzowe oraz gry i zabawy.

■ Koło dolnolutyńskie zorganizowało 24. 1.w miejscowym Domu Kultury I „Bal Sąsiedzki" pod hasłem: „Niech je tako moda, aby między sąsiadami była zgoda". Program wykonał zespół taneczny z MK PZKO Skrzeczoń, a do tańca przygrywała orkiestra „Styl" KZ RZZ „ACS" z Karwiny.

BYSTRZYCA

■ Koło PZKO i SRPS w Milikowie-Centrum urządziły 16. 1. w Domu PZKO udany „Bal Towarzyski". Program balowy wykonał ZPiT „Olza" przy ZG PZKO.

CZESKI CIESZYN

■ Sekcja Turystyczno-Krajoznawcza przy Kole PZKO w Cz. Cieszynie-Sibicy pod kierownictwem Józefa Miki w roku 1986 zorganizowała 52 wycieczek do Beskidów i Tatr oraz 2 wycieczki do polskich uzdrowisk. W sumie każdy z 30 turystów przemaszerował w 1986 roku 5 000 km. Sekcja planuje w roku 1987 przy-

17. 1. w Konsulacie Generalnym PRL w Ostrawie odbyła się tradycyjna „Choinka Noworoczna", której gospodarzem był E. Warda, konsul generalny. Przybyło około 60 zaproszonych dzieci z naszych PSP, które zaprezentowały własny program. Następnie oglądnęły polskie filmy dziecięce, a resztę czasu spędziły na grach i zabawach. Dla rodziców i wychowawców program kulturalny wykonał zespół PZKO ze Skrzeczonia „Andrusi"



fot. HENRYK CIEŚLAR

czynić się do poprawy środowiska naturalnego i wysadzić drzewka na terenie jabłonkowskiego Nadleśnictwa Lasów Państwowych.

■ Zarząd MK PZKO w Mistrzowicach urządził 2. 1. w sali „Na Fibakówce" „Tradycyjne Powitanie Roku". MUDr. Helena Paszek przedstawiła wspomnienia z pobytu w krajach Bliskiego Wschodu, zaprezentowano także nasze cieszyńskie obrzędy i zwyczaje.

■ Zarząd Zespołów Śpiewaczych „Harfa" przy Kole PZKO Cz. Cieszyn-Centrum zorganizował 3. 1. w Klubie PZKO w Cz. Cieszynie „Noworoczne Spotkanie z Harfą". Podsumowano na nim działalność zespołów „Harfa" w roku 1986 oraz przedstawiono plan działania na rok 1987.

■ Zespół Kobiet przy tym Kole urządził dla swoich członkiń 6. 1. w Klubie PZKO spotkanie noworoczne.

■ Po kilkuletniej przerwie Koło PZKO Cz. Cieszyn-Centrum wspólnie z SRPS przedszkola przy ulicy Moskiewskiej zorganizowały we wszystkich lokalach hotelu „Piast" 24. 1. Bal 40-lecia. W bogatym programie wystąpili m.in. Miss Polonia 1986 Renata Fatla, popularna piosenkarka Renata Danel, kapela ludowa „Torka" z Cieszyna oraz ZPiT „Olza" przy ZG PZKO. Wodzirejem balu była Lucyna Grabowska z Bielska-Białej. Do tańca przygrywały zaproszona z Torunia orkiestra „Vacat" oraz zespół instrumentalny Edwarda Kaima.

■ SRPS przy PSP w Cz. Cieszynie wraz z dyrekcją i gronem nauczycielskim urządziły 17. 1. w sali hotelu „Piast" „Bal Szkolny" pod hasłem: „Płyniesz Olzo po dolinie . . .". W programie wystąpił ZPiT „Olza". Przygrywała orkiestra „Opus" pod kierownictwem Henryka Sumery.

■ Tradycyjną „Wigilijkę" zrealizował 30. 12. 86 w Domu PZKO zarząd Koła PZKO Cz. Cieszyn-Mosty. Zespół W. Kristena wykonał recytacje „Pan Twardowski".

■ Klub Młodych przy MK PZKO w Olbrachcicach urządził dla swoich członków 23. 12. 86 w świetlicy Koła świąteczną wigilijkę. Młodzi klubowicze podsumowali swoją roczną działalność. Obecnych było 30 młodych pezetkaowców.

■ Program kulturalny na spotkaniu przy choince 27. 12. 86 w sali Domu Robotniczego zorganizowanym przez zarząd Koła w Olbrachcicach wykonały nowo założony chór szkolny pod kierownictwem J. Czapowej, chór mieszany pod batutą Wł. Molendy a nastrojową muzykę zaprezentował A. Woźnica.

■ Jubileuszowy Bal z okazji 40-lecia PZKO urządziło 10. 1. w sali Domu Robotniczego Koło PZKO w Olbrachcicach. Program balowy wykonał zespół taneczny Klubu Młodych Koła. Do tańca przygrywała orkiestra ob. A. Woźnicy, a w Klubie „Na Poddaszu" zaproponowano „Disco show".

■ Koło PZKO Cz. Cieszyn — Park Sikory zorganizował 16. 1. w swojej świetlicy seans filmowy, na którym wyświetlono polski film pt. „Romans Teresy Hennert".

■ Klub Propozycji przy MK PZKO Cz. Cieszyn-Osiedle zorganizował 19. 1. w salce „Na Mojskim" odczyt dr. J. Macury pt. „Najstarsze dzieje naszego szkolnictwa."

GNOJNIK

■ Tradycyjny Bal PZKO urządziło 23. 1. w sali placówki oświatowej Koło PZKO w Śmiłowicach. Przygrywała orkiestra Henryka Sumery.

HAWIERZÓW

■ Zespół Kobiet w Kole PZKO Hawierzów-Centrum urządził 5. 1. w świetlicy „Pod Arkadami" spotkanie noworoczne z programem kulturalnym.

■ Klub Emerytów przy tymże Kole zrealizował 2. 1. w swoim lokalu „Pod Arkadami" prelekcję z przezroczami Gustawa Folwarcznego o Afryce.

■ Koło PZKO — Zespół Kobiet Cierlicko-Centrum zrealizował 29. 12. 86 w remizie strażackiej pokaz pieczenia pierników ozdobnych. Zespół ten zorganizował 2. 1. również w sali remizy strażackiej świetlicę pn. „Powitanie Nowego Roku".

■ Tradycyjny Bal PZKO urządziło 10. 1. w Domu PZKO błędowickie Koło. Wystąpił zespół taneczny Koła gospodarza a do tańca przygrywał zespół muzyczny „Format" z DK Zakładów Mechanicznych BUMAR w Gliwicach.

■ Zarząd SRPS oraz dyrekcja PSP w Błędowicach zorganizowały 17. 1. w miejscowym Domu PZKO tradycyjny Bal Szkolny. Przygrywała orkiestra „Forum" pod batutą B. Kapiasa i wystąpił zespół „Andrusi" z MK PZKO w Skrzeczoniu.

■ 14. 1. w Domu PZKO w Błędowicach obradował Komitet Miejski PZKO i zaproszeni prezesi Kół obwodu. Skonkretyzowano ocenę Walnych Zebrań w Kołach PZKO obwodu, oceniono realizację zobowiązań Kół za r. 1986. Omówiono także przygotowania do Konferencji Miejskiej hawierzowskiego Komitetu PZKO. Przedyskutowano

z prezesami Kół główne imprezy ZG PZKO, Komitetu Miejskiego i Kół obwodu za rok 1987 i postanowiono usprawnić ich koordynację. Omówiono także zobowiązania Kół Komitetu na rok 1987.

■ Zespół taneczny Koła PZKO w Suchej Górnej wyćwiczył kolejny balowy obraz taneczny w opracowaniu i choreografii kierowniczki Janiny Rzyman pt. „Cztery pory roku". Program ten tancerze wykonali 24. 1. w Domu Robotniczym w Suchej Górnej na kolejnym reprezentacyjnym balu Koła.

■ Bal Towarzyski zorganizowało 24. 1. w sali Domu Kultury Koło PZKO w Grodziszczu. W programie wystąpił zespół taneczny Klubu Młodych PZKO z Cierlicka-Centrum.

JABŁONKÓW

■ Program kulturalny na Walnym Zebraniu Koła PZKO w Bukowcu 14. 12. 86 w Domu PZKO wykonały dzieci miejscowej szkoły. Referat sprawozdawczy przedstawił sekretarz Koła Władysław Młynek. Działalność Koła w Bukowcu w imieniu KP KPCz we Frydku–Mistku, KM KPCz w Jabłonkowie i WO KPCz w Bukowcu pozytywnie ocenił przedstawiciel KP KPCz we Frydku-Mistku tow. W. Dudek.

■ Zarząd mosteckiego Koła PZKO zorganizował 24. 1. w Domu Kultury PZKO w Mostach k. Jabł. drugi w br. tradycyjny bal. Wodzirejem balu był Jan Młynek.

■ Tradycyjny Bal urządziły wspólnie SRPS przy PSP i przedszkolu oraz MK PZKO w Jabłonkowie 17. 1. we wszystkich lokalach miejscowego Domu Kultury. Przygrywała orkiestra „Ibis".

KARWINA

■ „Bal 40-lecia PZKO" urządził 24. 1. w sali Domu PZKO zarząd Koła PZKO w Stonawie pod hasłem: „Bal 40-lecia to powód, by wrócić tam, skąd mój rodowód".

■ „Bal Reprezentacyjny" Koła PZKO w Karwinie-Raju odbył się 23. 1. w Domu Przyjaźni we Frysztacie. Do tańca przygrywały orkiestra taneczna z Torunia, orkiestra KZ Kopalni „ACS" oraz kapela ludowa „Torka" z Cieszyna.

■ Podsumowania całorocznej działalności chóru mieszanego „Dźwięk" przy MK PZKO Karwina-Raj dokonano 30. 12. 86 na tradycyjnym spotkaniu przy choince w świetlicy Koła. Chór pod batutą mgr. H. Goniewicz-Urbaś zrealizował 9 koncertów i występów, nagrał pieśni dla polskiej redakcji ostrawskiego radia, zdobył również 1. miejsce w I kategorii w Konkursie Polskiej Pieśni Chóralnej zorganizowanym przez Sekcję Śpiewaczo-Muzyczną ZG PZKO. Pierwszy w r. 1987 koncert chór dał 9. 1. dla mieszkańców Domu Emerytów w Karwinie-Nowym Mieście.

ORŁOWA

■ Koło PZKO w Orłowej-Dąbrowie urządziło 10. 1. w Domu Działkowca „Bal Obywatelski". Do tańca przygrywała orkiestra „Frak" KZ Kopalni „Dąbrowa".

■ Klub Młodych „Pod Kasztanem" przy MK PZKO w Orłowej-Lutyni zorganizował 18. 1. wycieczkę na Skałkę i Wielki Połom.

■ Świetlicę Noworoczną urządziło 2. 1. w swoim lokalu Koło PZKO Orłowa-Poręba.

TRZYNIEC

■ „Tradycyjny Bal" zrealizowały 17. 1. w lokalach Domu PZKO Koło PZKO i SRPS w Nieborach. W programie wystąpił zespół taneczny Klubów Młodych PZKO przy Kołach w Nieborach, Oldrzychowicach, Trzyńcu-Podlesiu i Ropicy. Do tańca przygrywał zespół muzyczny „Format", działający przy Domu Kultury Zakładów Mechanicznych „Bumar" w Gliwicach.

■ Na Zebraniu Sprawozdawczo-Wyborczym 7. 12. 86 w Domu PZKO „Czytelnia" wędryńskiego Koła PZKO podsumowano działalność zespołów: chóralnego, teatralnego, tanecznego, gimnastycznego, sportowego oraz Klubu Młodych, Seniora i Zespołu Kobiet. Przedstawiciel KP KPCz we Frydku-Mistku tow. Černy pozytywnie ocenił działalność PZKO.

■ Zespół Kobiet Koła PZKO w Trzyńcu-Osówkach urządził 7. 1. w lokalu w lasku „Na Osówce" spotkanie noworoczne.

■ Koło PZKO w Trzyńcu 1 zrealizowało 16. 1. w Domu Hodowców tradycyjną zabawę karnawałową. Przygrywała orkiestra „Weterani".

■ W Domu PZKO im. A. Wawrosza zorganizowało Koło PZKO w Trzyńcu-Osiedlu 8. 1. projekcję polskiego filmu pt. „Podróże pana Kleksa". Koło to 25. 1. w Domu PZKO urządziło karnawałowe spotkanie z orkiestrą „Vacat" z Torunia.

■ MK PZKO w Oldrzychowicach zrealizowało 28. 1. w świetlicy seans filmu polskiego pt. „Przygody pana Kleksa".

■ SRPS i grono nauczycielskie I PSP w Trzyńcu 1 urządziły 24. 1. w sali Domu Robotniczego „Bal Szkolny". Przygrywała orkiestra „Spektrum".



fot. RUDOLF HOMA

MOZAIKA

TEMAT DLA EWY

WŁOSY – ŻYWA OZDOBA KOBIETY

Lśniące, puszyste, pięknie ułożone włosy o ciekawym odcieniu są istotnym elementem urody. Odpowiednio dobrana fryzura, właściwe ostrzyżenie i długość włosów uzupełnia styl całej sylwetki. Są to więc argumenty, które skłaniają do pieczołowitych starań o ich zdrowie i wygląd. Zwłaszcza teraz, kiedy po zimie zrzucimy z głów czapki, berety, chusty i inne nakrycia głowy i nasze włosy będą mogły nareszcie odetchnąć. Dzięki napowietrzeniu głowy wiosna i lato są najlepszym okresem ich regeneracji. Dopływ powietrza do skóry i do samych włosów wpływa korzystnie na ich stan, gdy nie przeszkadzamy temu nadmiarem środków kosmetycznych, zwłaszcza lakierem. Włosy rozwidlające się na końcach, osłabione trwałą ondulacją koniecznie należy fachowo obciąć, wybierając jedną z wielu modnych fryzur.

Na stan włosów wpływa również ogólna kondycja fizyczna, tak samo jak nasz stan psychiczny. Nie skąpmy więc naszemu organizmowi witamin, odżywiajmy się racjonalnie i w ogóle – dbajmy o swoje zdrowie.

Na temat umiejętnego mycia włosów wiele już napisano. Włosy powinny być zawsze czyste, a to można osiągnąć nie tylko za pomocą mycia głowy. Można też (i trzeba) kilka razy dziennie przeczesać je niezbyt gęstym grzebieniem, na którego zęby nawija się trochę waty, można też raz lub dwa razy dziennie przeszczotkować łagodnie włosy szczotką z naturalnego włosia. Grzebienie i szczotki warto myć jak najczęściej. Do mycia głowy najlepiej używać dobrego szamponu, odpowiadającego stopniowi wytłuszczania się włosów (są szampony do włosów suchych, normalnych i tłustych) i ich kolorowi. Radzimy po umyciu kilkakrotnie wypłukać włosy. Przed ostatnią płukankę dobrze jest zakwasić: do miednicy ciepłej wody dodać łyżeczkę octu lub sok z połowy cytryny – ostatnie płukanie znów czystą wodą.

Proponujemy teraz naszym Czytelniczkom przepis na zestaw ziół, którego działanie na włosy sprawdzone jest przez trzy pokolenia. Jest nieco kłopotliwy w stosowaniu, ale warto go wypróbować. Do dużej torby nylonowej wsypujemy torebkę: chmielu, łopianu, mydlika, rumianku, omanu, piołunu, pokrzywy, skrzypu polnego, tataraku i czarnej wierzby. Zioła dokładnie mieszamy. Trzy garście tej mieszanki zalewamy wrzątkiem w ilości wystarczającej na mycie i płukanie włosów i trzymamy pod przykryciem do momentu, kiedy jej temperatura nadaje się do mycia i płukania. Napar przecedzić i stosować przez kilka miesięcy. Rezultaty widoczne są już po kilku tygodniach.

KRZYŻÓWKA

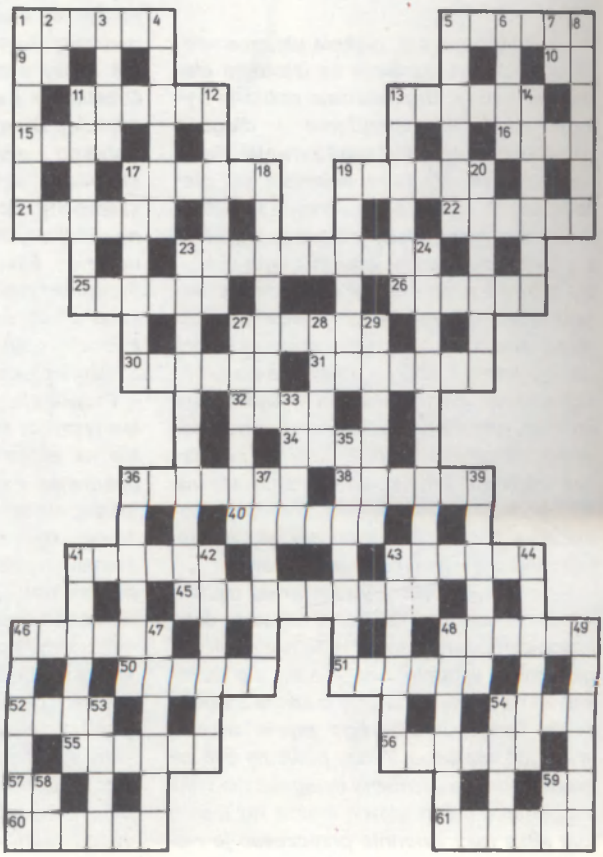
Znaczenie wyrazów:

POZIOMO:

1 gdy auto źle zaparkowane
5 atrybut von Karajana
9 glin
10 inicjały autora 34 poziomo
11 karny
13 pierwszy po Bogu na „Opty"
15 ma niezbyt eleganckie maniery
16 ponad 7 tys. km szczytów
17 z Wernyhorą
19 Dali
21 bursztyn
22 Nie pożyczę!
23 wymagana od retora
25 minipokoik
26 wysłana przez Filipa II przeciwko Anglii
27 zwierzaki trenuje
30 śpiewany w kabarecie
31 staropolski babiniec
32 berberyjski koczownik
34 i huzary
36 za nią profesor
38 w czasie słót jesiennych grasuje
40 pływająca jutrzenka
41 tam cię slipy uwierają
43 fundament chatki Baby-Jagi
45 za panowania Kaliguli
46 kiedyś jeździł po polskich szosach
48 jednoślad wygodny dla pań
50 ostre u drapieżników
51 niejeden w torbie *uczniowskiej*
52 3 pionowo proponuje
54 biwak
55 ta od młyna
56 intratna transakcja Amerykanów
57 na numerze rejestracyjnym karwiniaka
59 Uniwersytet Jagielloński
60 za mało w krwi hemoglobiny
61 popularne imię naszych pradziadków

PIONOWO:

1 niezdara
2 Capone
3 modę lansuje
4 Szurkowski dzisiaj
5 w Hiszpanii tańczone
6 w sądzie obowiązuje
7 tantal
8 tam przeżył Tomek swą drugą wyprawę
11 M1 nioski
12 ma swoje telewizyjne bractwo
13 część maszyny w kształcie rury



14 mikropaństwo w Pirenejach
17 na siarczysty mróz
18 konwój
19 maszynę naprawi
20 częsta przyczyna rozwodu
23 orzeczenie biegłego
24 lubi grzebać w starych szpargałach
27 z wagą w ręku i przepaską na oczach
28 warszawski klub sportowy
29 biegłość
33 w skwarne dni nam zagraża
35 też w niego można przegrać majątek
36 szafran
37 zwoje
39 punkt widzenia
41 papuga-gaduła
42 córka Feniksa, uwiedziona przez Zeusa
43 po obiedzie w Meksyku
44 głowa lwa z obręczą w paszczy służąca za kołatkę
46 nic nie mówisz, a widać co czujesz
47 rodzaj broni białej
48 czyli zgłoska
49 potrzebny w konflikcie Irak — Iran
53 młotem go nie rozbijesz
54 szczególny egzemplarz
58 inicjały kierownika „Góroli"
59 jednostka pasieki

oprac. (JO)

Wśród autorów prawidłowych rozwiązań nadesłanych pod adresem redakcji najpóźniej do 31 marca br. rozlosowane zostaną trzy nagrody książkowe.

Obok prawidłowe rozwiązanie krzyżówki z numeru styczniowego. Nagrody otrzymują: Zofia Göbel — Jabłonków, Karol Porosz — Trzyniec VI, Anna Wrubel — Hawierzów-Sucha Górna.



JAK JEST POPRAWNIE

CZYLI KTO POWINIEN

Która z poniższych form jest poprawna:

Dziewczyny powinne czy *powinny przyjść na czas?*

Otóż powinniśmy wiedzieć, że końcówka tej formy związana jest z rzeczownikową formą przymiotnika powinien. W języku polskim używamy takich obocznośći przymiotników w rodzaju męskim, jak *wesół — wesoły, zdrów — zdrowy, gotów — gotowy*. Formy *wesoły, zdrowy, gotowy* są zwykłymi formami przymiotnikowymi, o czym świadczy ich końcówka *-y*. Natomiast formy bez końcówki: *wesół, zdrów i gotów* pod względem zewnętrznym nie różnią się od zakończonych na spółgłoskę rzeczowników w mianowniku, takich jak *dół, rów, ostrów* itp. Formy oboczne zachowały się w liczbie pojedynczej rodzaju męskiego. Jedynym szczątkowym reliktem rzeczownikowych form przymiotnika w liczbie mnogiej są formy: *powinni* i *powinny*. Pierwsza dla kategorii męskoosobowej, druga dla wszystkich pozostałych, a więc męskorzeczowej, żeńskiej i nijakiej. O jej rzeczownikowej formie świadczy właśnie końcówka *-y*, obowiązująca w liczbie mnogiej dla rzeczowników żeńskich, np. kobiety, nowiny itp. Formy przymiotnikowe mają w rodzaju żeńskim końcówkę *-e*, np. *dobre, małe* itp.

Rzeczownikowa forma *powinny*, tak samo jak odpowiadająca jej forma męskoosobowa *powinni*, używana jest w funkcji orzecznikowej, nie przydawkowej. Mówimy więc i piszemy:

Chłopcy powinni i *Dziewczyny (stoły, dzieci) powinny . . .*

GALERIA SLA



WALTER TASZEK: Kopalnia CZM, olej 1986 (4. str. okładki)

Wśród różnorodnych rodzajów pejzażu — pejzaż przemysłowy ma, z oczywistych względów, historię najkrótszą. Jest też z pewnością mniej popularny, zwłaszcza u tak zwanego masowego odbiorcy, niż obrazy przyrody czy w ogóle inne gatunki malarskie. Trudno się temu dziwić, skoro owoce ludzkiej myśli technicznej pod względem estetycznym na ogół nie wytrzymują konkurencji doskonałych tworów natury. Pierwszy istotny zwrot sztuki ku technice związany był z próbami odrzucenia tradycyjnej estetyki. W kilkadziesiąt lat po tym wybuchu futurystycznej fascynacji maszyną nastąpił całkowity odwrót od jej poetyki. Coraz więcej artystów, oprócz pożytków, jakie przynosi postęp techniczny, dostrzega w nim także zagrożenie. Jak w tym kontekście odczytywać obraz Waltera Taszka? Myślę, że można go umieścić gdzieś pośrodku, pomiędzy jednym a drugim nurtem, z dala od wszelkich skrajności. Obraz przedstawiający płaski pejzaż z zabudowaniami kopalni na horyzoncie — namalowany w ciepłej zielono-brązowej tonacji, zdaje się wyrażać zgodę na obecność obcych elementów w pejzażu. Nie jest to jednak akceptacja ani bezkrytyczna, ani całkowita. Długie, proste lub meandrowate ciągi rur opanowują powierzchnię obrazu, wybiegając niemal poza jego ramy, faktura, miejscami chropowata, porowata, reliefowa, drażni oko. Niepokoi żółte niebo z bladym, nie dającym światła słońcem. W centralnej części obrazu, przesunięty nieco ku lewemu górnemu rogowi, namalował autor kwadratowy wycinek pejzażu o intensywniejszych, wyrazistszych barwach. Kolory, głębsze tutaj, przyciemnione — jakby po deszczu — skupiają uwagę na zasadniczym chyba problemie proporcji między naturą a tworami człowieka.

A. M. R.

ZIELNIK

DZIURAWIEC

Nazwa łacińska — Hypericum perforatum L. (Niektórzy botanicy uważają, że nazwa Hypericum powstała z greckiego *hypo — pod* oraz *eriké — wrzos;* chodziłoby więc o roślinę, która rośnie między wrzosami. Inni wychodzą z greckiego *hyper — nad* oraz *eikón — wyobrażenie;* według nich chodzi o roślinę, której właściwości lecznicze są silniejsze od innych roślin. Łaciński wyraz *perforatus* znaczy *przedziurawiony, perforowany,* bowiem liście tej rośliny mają przeświecające kropki.)

Zachowało się wiele nazw ludowych. Najbardziej znane to bylina św. Jana, świętojańskie ziele, kwiat św. Jana, kwiecie Marii Panny itp.

Dziurawiec jest rośliną znaną w lecznictwie ludowym od dawien dawna. Uważano go za roślinę posiadającą nie tylko właściwości lecznicze, ale także czarodziejską moc. Wierzono, że po dodaniu soku dziurawca do napoju można było zyskać miłość każdej osoby. Dziurawiec przymocowany do drzwi domu bronił go przed złymi duchami — dlatego też był bezcennym środkiem dla ochrony niemowląt i kobiet w okresie połogu. Zawieszony za krokwią chronił dom przed pożarem. Niestety, właściwości tej rośliny drażniły diabła, przedziurawił więc jej liście mniemając, że w ten sposób zniszczy jej moc.

Zachowała się też legenda o powstaniu dziurawca. Roślina ta wyrosła podobno z krwi św. Jana Chrzciciela. Kiedy Herodiadzie przyniesiono na jej życzenie głowę świę-

tego, podziurawiła w złości jego język, którym ogłaszał publicznie jej niecne czyny.

Według innych wierzeń wieczór przed św. Janem wysłano łóżko dziurawcem wierząc, że w nocy przyjdzie św. Jan i położy zmęczoną głowę na przygotowanym łożu. Podobno nazajutrz można było zobaczyć ślad jego głowy na roślinach, które w ten sposób stawały się ziołami leczniczymi. Dodane do paszy leczyły również chore zwierzęta.

Dziurawiec jest rośliną wieloletnią (bylina), wyrastającą do wysokości 50 cm. Pęd jest prostokątny, u góry rozgałęziony, na całej długości gęsto pokryty liśćmi. Liście są elipsoidalne, przeświecająco kropkowane, na brzegach mają czarne kropki — gruczoły. Kwiaty są złotożółte, ułożone w wierzchołkowych kwiatostanach; potarte w palcach wydzielają krwistoczerwony sok. Dziurawiec rośnie w miejscach silnie nasłonecznionych: na łąkach, polanach i wzgórzach, a także w lasach liściastych i mieszanych.



W lipcu i sierpniu zbieramy nać — kwitnące wierzchołki roślin bez zdrewniałych części łodyg. Przekwitnięta roślina z rdzawymi kwiatami nie posiada właściwości leczniczych. Najlepszym sposobem zbierania to odcinanie rośliny nożem w miejscu, gdzie zaczynają się gęste zielone liście. Należy uważać, żeby do dziurawca nie dostała się trawa (ma zły wpływ na suszenie). Rośliny suszymy rozłożone cienką warstwą w miejscach cienistych i przewiewnych. Jeżeli chcemy przyśpieszyć suszenie przez sztucznie podwyższoną temperaturę, nie śmie ona przekroczyć 35 °C. Wysuszone zioła przechowujemy w suchym miejscu, żeby nie spleśniały.

Dziurawiec zalecany jest i najczęściej stosowany w schorzeniach wątroby i przewodu pokarmowego, a także przy stanach wyczerpania nerwowego, nerwobólach, bezsenności i bólach głowy. Przyśpiesza również krążenie krwi a zewnętrznie służy do płukania podczas zapalenia śluzówki gardła i jamy ustnej.

Uwaga! W czasie leczenia dziurawcem nie wolno go używać w nadmiernych ilościach, nie wolno się też opalać, gdyż mogą pojawić się uboczne działania: ogólne osłabienie, zaczerwienienie skóry, pęcherze, a nawet krwawienie wewnętrzne.

Zapar przyrządza się z 15—25 g ziół (1—2 łyżki) na 4 dl wody. Pije się go po 1 dl 2—3 razy dziennie. Przy złym trawieniu, nieżycie żołądka i jelit, stanach zapalnych dróg żółciowych i kamicy żółciowej zaleca się picie najmniej 30 min. przed jedzeniem.

Wiosenne zmęczenie usuwa herbata o następującym składzie: korzeń wilżyny ciernistej (ononis spinosa) — 25 g, liście brzozy — 20 g, liście pokrzywy — 15 g, nać dziurawca, kwiaty i liście bzu czarnego — po 10 g. Łyżkę mieszanki ługować przez kilka godzin w 2,5 dl wody, połowę zlać, drugą połowę razem z ziołami zagotować a następnie obie części zlać razem. Pić 3 razy dziennie po 1,5—2 dl.

Kwiaty dziurawca są częścią składową mieszanek ziołoleczniczych **Alvisan, Stomaran, Eugastrin** oraz kropli **Passit.**

M. C.

ZWROT
MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO - KULTURALNY
ROK XXXIX ● NR 448 ● CENA 2,50 Kčs

3/87

[1] Umowa o przyjaźni
[2] Najszykowniejsze — *PIOTR PRZECZEK*
[6] Miss Polonia '86 — *MARIA GRZEGORZ*
[10] Tańczący pedagog (Pezetkaowcy inaczej) — *ELŻBIETA WANIA*
[15] IX Bal Górolski
[16] Konieczność dziejowa — *WŁADYSŁAW JOSIEK*
[20] Piramidy pod Staszowem — *MARIA GRZEGORZ*
[24] O Pawle Musiole — *OSWALD GUZIUR*
[29] Punkty styczne — *WOJCIECH JERZY PODGÓRSKI*
[31] Kazimierz Popiołek — *EDWARD BUŁAWA*
[34] Podróż do miast odległych i bliskich (2) — *KAZIMIERZ JAWORSKI*
[38] Ludvík Štěpán: Miasteczko na granicy, Czas popycha brzemię
[42] Jan Goczoł: * * * (Jeżeli ktoś rozpowiada), Sen jawa, Do J. G., Stadion
[46] Tadeusz Śliwiak: Homo sum, Świeca, Pracownia literacka, Uczeń diabła
[48] Helena Stachowa (Tłumacze literatury polskiej) — *WILHELM PRZECZEK*
[51] Lucyna Przeczek: Świece, Bunt włosów
Okiem recenzenta:
[54] Nowe szaty króla — *LADISLAV SLÍVA*
[56] Karel Havliček Borovský w kręgu literatury polskiej — *KAZIMIERZ JAWORSKI*
[57] O teatrze Leona Schillera — *ALEKSANDRA HUMEL*
[61] Kocobędz (Wędrówki nazewnicze) — *WŁADYSŁAW MILERSKI*
[64] Trybuna Czytelników
[67] To i owo
[69] Kronika
Mozaika:
[75] Temat dla Ewy
[76] Krzyżówka — *(JO)*
[77] Jak jest poprawnie
[78] Galeria SLA — *A. M. R.*
Zielnik — *M. C.*
[80] *Spis treści*

1. STRONA OKŁADKI — fot. PIOTR WOJOCZEK

WYDAWCA:
POLSKI ZWIĄZEK KULTURALNO-OŚWIATOWY ZARZĄD GŁÓWNY W CZESKIM CIESZYNIE

ADRES REDAKCJI:
UL. J. BOŽKA 16
737 21 CZESKI CIESZYN
TEL. 569 83

ZESPÓŁ REDAKCYJNY:
KAZIMIERZ GAJDZICA
MARIA GRZEGORZ
URSZULA HUDECZEK
PIOTR PRZECZEK
(redaktor naczelny)

RADA REDAKCYJNA:
FRANCISZEK BALON
MARIA BILKO
WIESŁAWA BRANNA
BRONISŁAW FIRLA
TADEUSZ CHRZĄSZCZ
KAZIMIERZ JAWORSKI
STANISŁAW JEDZOK
WŁADYSŁAW ORSZULIK
RUDOLF POPIOŁEK

Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca. Drukarnia: Tisk, knižní výroba, n. p., Brno, zakład 3 — Cz. Cieszyn, ul. Rewolucyjna 1. Cena prenumeraty rocznej Kčs 30,—, półrocznej Kčs 15,—. Zgłoszenia prenumeraty w CSRS przyjmuje redakcja i administracja „Zwrotu", w PRL Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch", Warszawa, ul. Wronia 23. Zezwolenie na ulgową opłatę pocztową wydał Powiatowy Urząd Pocztowy w Karwinie 20. 8. 1963, 1268/63. Numer indeksu R 389, nakład 4250 egz.
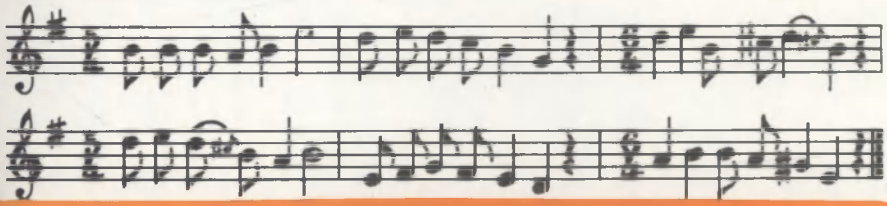
ilustracja JANINA SZOTKOWSKA

PIEŚNI GÓRALSKIE

WYDALI RODZICE

Mosty — Szańce

Wariant z Szańców jest poetycznie silną wersją znanej słowiańskiej ballady o daleko wydanej córce. Melodia zapisana u pani Martauzowej ma szerokie pokrewieństwo w Czechach i na Morawach i jest bardziej melodyjna, aniżeli druga wersja melodyczna z Jabłonkowskiego, która prezentuje unikalną melodię modalnego charakteru z przebijającymi rysami pojęcia harmonicznego. Wydaje się, że ten rodzaj melodii był w Jabłonkowskiem stosunkowo ustabilizowany (np. w 1950 roku śpiewał w Mostach koło Jabłonkowa Jan Wolny z Istebnej pieśń „Na zielonej górze . . . " o bardzo podobnej linii melodycznej, a mającą szersze pokrewieństwo sięgające aż na Ukrainę).



1.
Wydali rodzice
Wydali cerziczkym
Daleko łod sebie
Uż jij zakozali
Uż jij zakozali
Chodniczki do sebie.

2.
Stanym sie ptoszeczkym
Małym szkowróneczkym
I do was przilecim
Siednym w łogródeczku
Na biołym kwioteczku
Na biołej leluji.

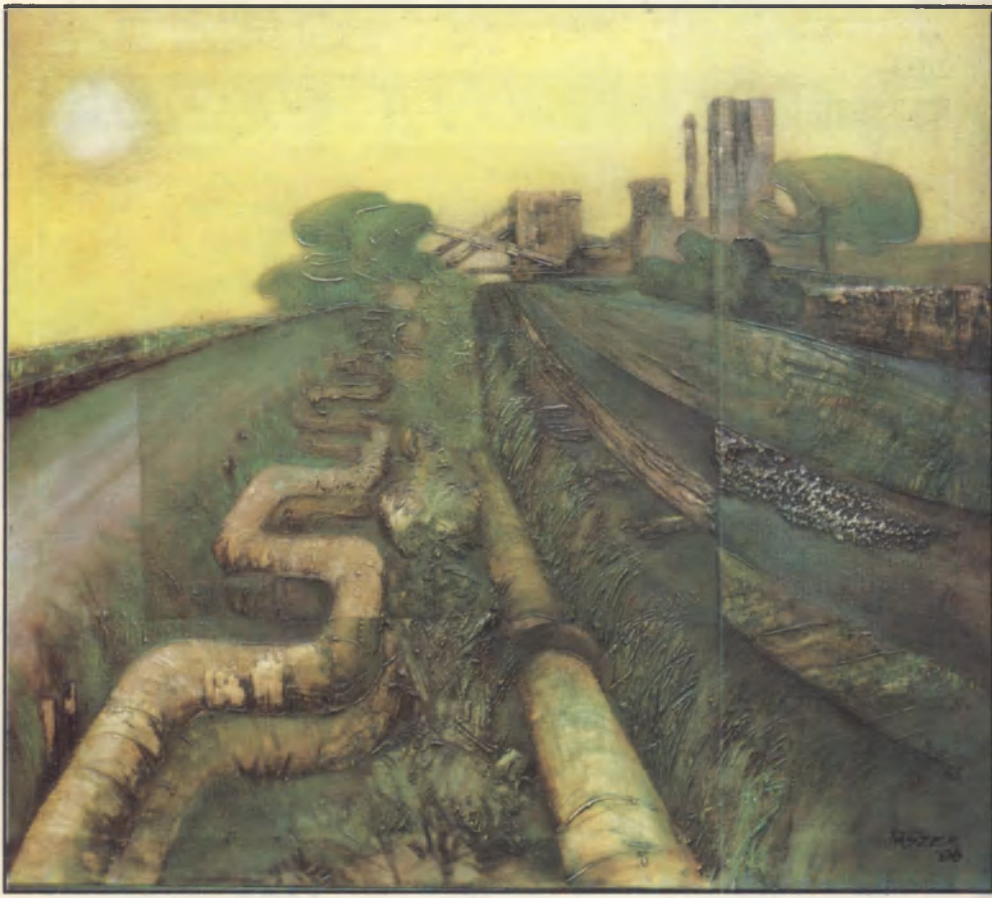
3.
Szu, szu, szu, ptoszeczku
Mały szkowróneczku
Z tej biołej leluje
Łoj, z czego jo, z czego
Mamuliczce mojij
Wióneczek uwijym.

4.
Wyndym na jedliczkym
Z jedle dołu spadnym
I tak sie zabijym
Dobrze ście wiedzieli
Mamuliczko moja
Że tam nie wyżijym.



Trzaskalik Henryk
735 35 HORNÍ SUCHÁ 462

WALTER TASZEK: Kopalnia CZM, olej 1986 (repr. ADAM SZOP)



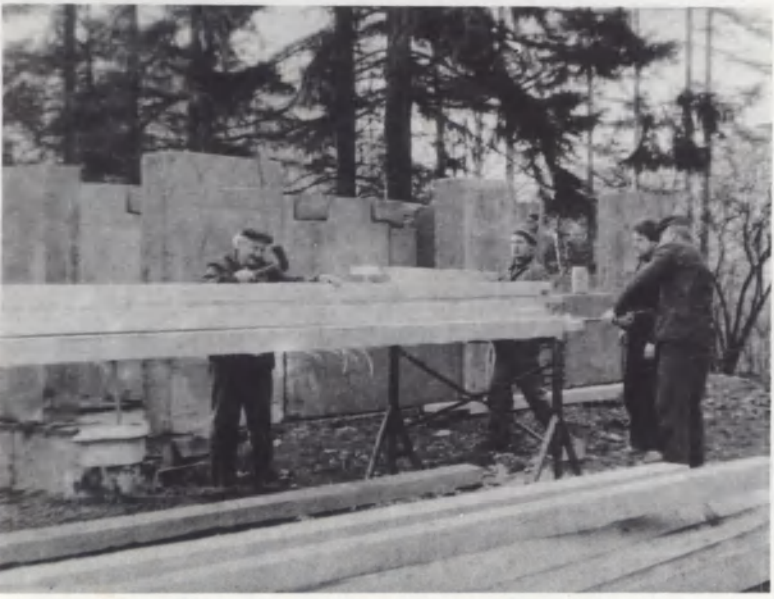
ZWROT

4/87





Na zdjęciu powyżej pierwsi budowniczowie ośrodka szkoleniowo-wypoczynkowego ZG PZKO w Koszarzyskach w latach pięćdziesiątych. Współczesne prace nad rozbudową i rekonstrukcją ośrodka (na zdjęciu poniżej) rozpoczęto w roku 1985, a ukończone zostaną w roku 1987.



fot. ARCHIWUM Zwrotu, HENRYK CIEŚLAR

ZJEDNOCZENIOWY ZJAZD PZKO



Głos Ludu z dnia 28. 2. 1950 roku informuje na pierwszej stronie w artykule pod tytułem „I Krajowy Zjazd PZKO w Czechosłowacji":

Dnia 26 lutego 1950 r. została definitywnie zjednoczona organizacyjnie nasza działalność kulturalno oświatowa, tworząc warunki do ideowego zjednoczenia całego naszego społeczeństwa pod sztandarem polskiej kultury socjalistycznej.

Do tego ważnego wydarzenia wraca również Zwrot w numerze 3 z dnia 21 marca 1950 (podając błędnie jako termin Zjazdu 17 marca 1950, po 37 latach możemy więc tamtą informację sprostować). W referacie ideologicznym, opublikowanym na jego łamach, czytamy:

Naszą przedwojenną działalność kulturalno-oświatową pozornie cechował charakter apolityczny. Ta tzw. apolityczna struktura naszej wieloorganizacyjnej działalności była jednak głęboko polityczną, bowiem w ówczesnych czasach umacniała ona stan posiadania burżuazji, nie naruszała ustroju kapitalistycznego, nie naruszała związanego z nim nierozerwalnie systemu wyzysku i ucisku, na naszym terenie również ucisku i dyskryminacji narodowościowej.

Stwierdzamy, że nasza działalność nie może być ani cieszyńska, ani też karwińska, ale polska w formie i socjalistyczna w treści.

Powyższe zobowiązuje do podjęcia walki z każdym zaściankowym, lokalnym i nader szkodliwym — patriotyzmem lokalnym.

O jaką kulturę nam chodzi? Kultura musi być walką o coraz pełniejsze wyzwolenie człowieka, o coraz wyższe formy życia zbiorowego.

PZKO nie jest partią polityczną. Ale sprawa obrony pokoju i budowania socjalizmu nie jest wyłącznie sprawą partyjną. Socjalizmu nie buduje się i pokoju nie broni się wyłącznie tylko dla partyjnych. Obrona pokoju i budowanie socjalizmu oto dwa podstawowe zadania, jakie stoją przed naszym społeczeństwem, przed całą postępową ludzkością.

Czytając te wytyczne odnosimy wrażenie, że prawie w niczym nie różnią się od współczesnych. Może i powinno to skłaniać do refleksji nad trwałością takich zadań, jak obrona pokoju i budowanie socjalizmu. Równocześnie jednak warto się zastanowić nad tym, czy aby nie zrobiliśmy dotychczas zbyt mało w walce z zaściankowym patriotyzmem lokalnym, w walce o coraz pełniejsze wyzwolenie człowieka. Minęło przecież prawie czterdzieści lat . . .

DOBRE CHĘCI TO MAŁO

Najlepszy sposób to dobry przykład — ten znany fakt przypominano podczas dyskusji o aktywizacji młodzieży na wszystkich trzech konferencjach miejskich i obwodowych, w jakich jeszcze przed zamknięciem niniejszego numeru zdążyłem wziąć udział. Stwierdzenie to może jednak być bronią obosieczną; w niejednym wypadku potwierdziły to niestety właśnie wspomniane konferencje.

Delegaci Kół obwodu gnojnickiego zebrali się w nowym Domu PZKO w Gnojniku 15 lutego. Wspólnie z przedstawicielami ZG PZKO oraz gośćmi ze współpracującego obwodu orłowskiego przybyliśmy na miejsce koło godz. 15.30. Okazało się jednak, że początek dopiero za pół godziny, a rozpoczęto jeszcze nieco później. W obwodzie działa sześć Kół, liczących łącznie 647 członków. Śmiało można powiedzieć, że nie tylko ze względu na tę właśnie liczebność, ale i ogólne warunki pracy działalność, choć skromna, zasługuje na uznanie. Pomimo trudności dzielnie spisuje się jedyny obwodowy chór w Związku — „Godulan", zorganizowano na przykład trzy kuligi, są takie ciekawostki jak kółka miłośników kręgli czy szachów, klub strzelecki. O pracy, problemach i zamiarach obwodu mówił przewodniczący Komitetu Obwodowego PZKO Karol Filipiec w swoim rzeczowym, krytycznym referacie, wiele uwag usłyszeć można było w dyskusji. Przy okazji warto odnotować, że podczas obrad krążyła wśród obecnych lista dobrowolnych datków na rzecz budowy Domu PZKO im. Żwirki i Wigury w Cierlicku-Kościelcu. Na sali była ledwie czterdziestka osób, pomimo to zebrano jednak 730 koron. Konferencja, którą otworzył występ pionierów i wspominanego już chóru „Godulan", zorganizowana była bardzo dobrze, obrady były rzeczowe, a całość z kończącym niedzielną imprezę poczęstunkiem nie przekroczyła trzech godzin.

W czwartek 19 lutego obradowali delegaci sześciu Kół obwodu bystrzyckiego. W Domu PZKO w Bystrzycy zebrali się więc przedstawiciele tej samej co w Gnojniku liczby Kół, reprezentujący jednak o wiele większą, bo ponad 1600 osób liczącą bazę członkowską. Wśród nich przedstawiciele najmniejszego i najwyżej położonego w PZKO Koła — Nydku-Głuchowej. Obrady rozpoczęły się z opóźnieniem 25 minut, na sali zabrakło przedstawicieli miejskich i wyższych władz prócz delegata Frontu Narodowego oraz oczywiście ZG PZKO. Jak wynikało ze sprawozdania zorganizowano w okresie sprawozdawczym 124 imprezy w Kołach, a więc więcej niż w okresie poprzednim. Bardzo pozytywnym zjawiskiem jest to, że w bieżącym roku powinny już wszystkie Koła mieć własną siedzibę; otwarcie nowego Domu PZKO zapowiadają członkowie MK PZKO Milików-Pasieki na niedzielę 6 września. Również te obrady uświetnił swoim występem zespół młodzieżowy, tu oczywiście złożony z ucz-

niów bystrzyckiej szkoły podstawowej.

Podczas swojego wystąpienia w dyskusji na konferencji w Gnojniku tamtejszy prezes K. Filipiec stwierdził między innymi: „Nie bójmy się krytyki!" Doświadczenie uczy, że krytyka, zwłaszcza ta opublikowana na łamach prasy, traktowana jest w naszym Związku prawie bez wyjątku jako „kalanie własnego gniazda", czyli działalność niewłaściwa. Nieraz już słyszeliśmy o tym, że ten czy ów działacz „strzela robotą" a nawet występuje z PZKO po tym, kiedy ktoś zwrócił uwagę na jakikolwiek brak w jego pracy. Pomimo tych doświadczeń uważam jednak, że już podczas opisywania konferencji bystrzyckiej, bez uogólnień z pozostałymi, trzeba zwrócić uwagę na niektóre braki. Wykazała je przede wszystkim dyskusja, a raczej jej brak. Rozpoczęła się . . . milczeniem, nie zmienił tego stanu ani rozgoryczony prezes obwodu stwierdzeniem, że „przecież uzgodniliśmy, że z każdego Koła ktoś wystąpi", nie zmieniła ani półgodzinowa przerwa, operatywnie przeznaczona na posiłek. Po kilku próbach przerzucania odpowiedzialności za brak dyskusji (w stylu „niech mówią goście!" — „Nie, to wasza konferencja!") wreszcie znalazł się temat: Głos Ludu (a przy okazji i Zwrot), co i jak pisać, jak zapewnić odbiór ogłoszeń itd. Dla dziennikarza temat potrzebny, poznajemy poglądy czytelników, ale czy to ma być treścią obrad konferencji obwodowej?

Wreszcie trzecia wizyta — obrady Komitetu Miejskiego PZKO w Orłowej 21 lutego w Domu PZKO Orłowa-Lutynia, początek (bo to sobota) już o godzinie dziewiątej rano. Obwód ten liczy siedem Kół i 1311 członków. Są tu organizacje duże i te, które z trudem się utrzymują, nieraz dzięki ofiarności działaczy dojeżdżających z nowych miejsc zamieszkania. Obrady rozpoczynają się z „pezetkaowskim" poślizgiem kwadransa, za to bardzo efektownie, bo wspólnym odśpiewaniem pieśni „Przyjaźń o bracia . . . " Atmosferę świąteczną poparł również miły występ dzieci i młodzieży z gimnazjum oraz tercetu wokalnego Koła-gospodarza. Konferencja, co widać było na każdym kroku, przygotowana została bardzo sumiennie; każdy delegat otrzymał powielony program obrad, głosowano ładnie wykonanymi kartami delegacyjnymi, dużo pracy poświęcono przygotowaniu referatu sprawozdawczo-programowego. O pozycji Komitetu w mieście świadczyła niewątpliwie obecność licznych czołowych przedstawicieli władz. A jednak również tu zdarzył się mankament, również w tym wypadku związany z dyskusją. Tym razem jednak było zupełnie odwrotnie: po 130 minutach wystąpień (w tym aż 95 minut zajęły przemówienia gości!) zarządzono przerwę . . . na obiad, bo minęła właśnie godzina trzynasta. W efekcie konferencja zakończyła się po piętnastej, po sześciu godzinach obrad. (Również w tym wypadku przepraszam organizatorów za krytyczne słowa, mam nadzieję, że nie zrażą ich do dalszej pracy, zwłaszcza że za to, czym mogli się pochwalić w sprawozdaniu, zasługują na pełne uznanie).

Rzadko kiedy decydujemy się na właśnie krytyczną ocenę własnej pracy. Tym razem skłoniły mnie do tego stwierdzenia, których zasadniczą myśl przedstawiłem na wstępie. We wszystkich trzech wypadkach poświęcono wiele uwagi młodzieży. Było dużo uwag i zastrzeżeń, żalu do „nowej generacji, która przyjdzie po nas" a która jakoś nie bardzo się do pracy społecznej garnie. Chyba na wszystkich konferencjach zabrzmiały jednak i te wspomniane już słowa — najlepszym sposobem, jak młodych pozyskać, to działać dobrym przykładem. Przy okazji mówiono o rodzicach, o szkole, o pracy w Kołach . . . a ja pozwoliłem sobie patrzeć pod tym właśnie kątem widzenia na przebieg obrad konferencji miejskich i obwodowych PZKO. Mogliby się na nich młodzi nauczyć, zgoda, organizowania zebrań od podstaw. W tym względzie mamy dobre doświadczenia. Ich jednak — i to powinniśmy sobie uświadamiać — interesuje zupełnie coś innego. Jeżeli już uda się pozyskać ich do myślenia o pracy społecznej, a takich jest dużo, choć czasem wolimy w to wątpić, to zadają sobie przede wszystkim proste pytanie „jak?". Chcą wiedzieć, jak należy w warunkach, jakie zastali, działać skutecznie. Jak pozyskiwać nowych, jak urządzić imprezę, w tym i zebranie tak, by przyciągało tych, którzy nie traktują udziału



Referat sprawozdawczy wygłosił na konferencji w Bystrzycy przewodniczący Komitetu Obwodowego, wiceprezes ZG PZKO Ryszard Szarowski

Obrady delegatów obwodu gnojnickiego umilił swoim występem chór „Godulan"





Działalność obwodu za okres sprawozdawczy przedstawiła zebranym na konferencji orłowskiej sekretarz Komitetu Miejskiego PZKO Henryka Żabińska

jako swego obowiązku. Takich pytań mają wiele i na nie szukają odpowiedzi. Czy jednak dostaliby jakąkolwiek podczas obrad tak bardzo przecież doświadczonego aktywu? W sprawach dotyczących młodzieży i konkretnych rozwiązań organizacyjnych praktycznie tylko prezes MK PZKO Śmiłowice J. Łabaj wniósł coś nowego. (Zastosowano w jego Kole skuteczną metodę organizowania ,,rodzinnych" imprez z programem dla dorosłych i dzieci, wykonywanym przez jednych i drugich, w dodatku poszczególne rodziny na przemian są gospodarzami imprez.) W pozostałych przyczynkach dyskusyjnych czy nawet w programach działania odnotować mogłem tylko, że ,,trzeba zrobić wszystko", ,,uaktywnić", ,,pozyskać", ,,mobilizować", ,,poszukiwać" . . . I można by z uznaniem pokiwać głową nad tymi dobrymi chęciami gdyby nie fakt, że powtarzają się kto wie, czy nie od . . . czterdziestu lat. Przyszłość Związku, a więc pozyskanie młodej generacji, była generalnym tematem obrad konferencji miejskich i obwodowych, poprzedzających XV Zjazd PZKO. Jeżeli naprawdę chcemy w tym kierunku coś zrobić, powinniśmy na każdym odcinku działalności związkowej krytycznie, bez doszukiwania się podtekstów i złośliwości ocenić własne metody pracy, odpowiedzieć na pytanie ,,dlaczego się nie udało?", pójść po naukę do tych, którym w tym względzie wiedzie się lepiej (a nie muszą to być wyłącznie nasze Koła, działamy przecież w szerokim Froncie Narodowym) i przyjąć odpowiednie decyzje. Historia Związku zapomni o dobrych chęciach, odnotowanych gdzieś tam w protokołach, a oceni tylko realne kroki.

PIOTR PRZECZEK

fot. PIOTR PRZECZEK

SPRAWOZDANIA, SPRAWOZDANIA . . .

W okresie przebiegających kampanii Konferencji Miejskich i Obwodowych PZKO dyskusję „Nad Uchwałą XIV Zjazdu PZKO" skierowaliśmy na działalność sprawozdawczą, wiążącą się z funkcją sekretarza obwodu. W rozmowie na tematy biurokratyzacji sprawozdawczości, sensu i istoty pracy sekretarzy i inne udział wzięli Henryka Żabińska, Magdalena Schwarz i Rudolf Fronc, sekretarze Komitetów Miejskich PZKO w Orłowej, Czeskim Cieszynie i Hawierzowie.

ZWROT: Jaka jest treść działalności sekretarza obwodu, na czym ta praca przede wszystkim polega?

HENRYKA ŻABIŃSKA: Podstawą tej pracy jest wysyłanie sprawozdań kwartalnych do KM Frontu Narodowego. Tę sprawozdawczość w skali rocznej oni już sami podsumowywują i oceniają w kontekście innych organizacji przy okazji rocznicy WSRP. Ja sprawozdawczości względem Zarządu Głównego PZKO nie robię. Zakładam tylko sprawozdania z poszczególnych Kół, a Koła same bez naszego pośrednictwa wysyłają swoje sprawozdania do ZG PZKO. Okazało się, że ostatnio ZG wymaga od nas wypełniania jakichś nowych druków — sprawozdań półrocznych, czego wcześniej nie było. Do organów partyjnych nie wysyłamy sprawozdań, choć wiem, że od niektórych Kół organizacje dzielnicowe partii tego wymagają.

RUDOLF FRONC: U nas sekretarz robi wszystko, niektóre sprawy nawet za prezesa. Wynika to z tego, że prezes mieszka w Suchej Górnej i nie ma połączenia telefonicznego. Ja mam telefon w domu, jestem więc taką skrzynką kontaktową obwodu. KM FN w Hawierzowie, jak wynika to z porównania z innymi obwodami, a mam takie rozeznanie, jest względem nas co do sprawozdawczości bardzo wymagający. Jestem w stałym kontakcie z sekretarzem KM FN, który na bieżąco potrzebuje ode mnie informacji i ja stale muszę coś załatwiać.

MAGDALENA SCHWARZ: W wypadku Czeskiego Cieszyna kontakty z władzami miejskimi są o tyle dobre i ułatwione, że nasz prezes jest członkiem KM FN, czyli że on chodzi na zebrania FN i ja jestem od tych spraw zwolniona. Ja załatwiam właściwie całą agendę pisemną, powielanie i wysyłanie informacji, zaproszeń do Kół i przedstawicieli organów miejskich. Robię raczej urzędnika w tych sprawach.

ZWROT: Czy można by obliczyć, ile tych papierków, sprawozdań, planów, zaproszeń przechodzi przez ręce sekretarza?

SCHWARZ: To trudno określić, ale jest faktem, że wysyła się sprawozdania do KM FN. Do ZG idzie to równorzędnie, to znaczy sprawozdania wysyłają Koła równocześnie do KM PZKO i Zarządu Głównego.

FRONC: U nas zaprowadzono w czasie kadencji poprzednich sekretarzy, że wszystkie sprawozdania przysyłały Koła do KM

i ZG PZKO. Dopiero ja to wszystko za 11 Kół obwodu przesyłam razem do ZG, co kwartał: plan pracy, sprawozdania, załączniki do karty czynu społecznego. W ZG przyjmowane to jest z zadowoleniem, bo oni już nie muszą tego ściągać z poszczególnych Kół. Kosztuje mnie to sporo zdrowia, bo niektóre Koła są dosyć bałaganiarskie i muszę niekiedy reklamować. Tak samo sprawozdań wymaga od nas partia, i to nie tylko z Komitetu, ale poprzez niego również z Kół obwodu. Wszelkie kontakty odbywają się właśnie na szczeblu Komitet Miejski PZKO — KM Frontu Narodowego, Miejska Rada Narodowa i KM KPCz.

SCHWARZ: W Czeskim Cieszynie jest tak samo — KM PZKO jest partnerem zarówno dla miejskich organów partii, FN i MRN.

ZWROT: Ale tylko w wypadku Hawierzowa Komitet Miejski robi sprawozdawczość wobec tych organów za wszystkie swoje Koła. Na ile te wymagania są zgodne? Czy wystarczy mieć jedno sprawozdanie, żeby czerpać z niego informacje do wszystkich innych?

SCHWARZ: Jeśli Koło PZKO prześle dokładnie wypełniony kwestionariusz ZG, to z tego da się wiele wyczytać, ale musi to być naprawdę wzorowo wypisane.

ŻABIŃSKA: Te sprawozdania są w zasadzie jednakowe. Różnią się trochę np. w ewidencji zbioru surowców wtórnych, ale można je robić w oparciu o jeden materiał.

FRONC: U nas kiedyś np. FN żądał podawania 20 danych co kwartał, teraz połowę chce kwartalnie, a połowę raz na półrocze. Dane nt. działalności kulturalno-oświatowej trzeba zgłaszać co kwartał, a dane o przepracowanych godzinach brygadniczych wystarczy co pół roku. Dlatego że ja robię to za wszystkie Koła, zmuszony byłem stworzyć dla własnej potrzeby osobny kwestionariusz, gdzie wnoszę wszystkie dane potrzebne zarówno Zarządowi Głównemu PZKO, jak KM FN i partii. Jeżeli chodzi o sprawozdawczość przesyłaną do ZG, to panuje tu ogromny bałagan. Część danych wpisuję do tzw. załącznika karty czynu społecznego, coś znajdzie się w druku sprawozdawczym, coś w ogóle nie jest potrzebne. Żeby zapanował tu porządek, trzeba by zjednoczyć kartę czynu społecznego i załącznik do tej karty, bo niektóre rzeczy tu się powtarzają, a inne wcale nie są podchwycone. Najpierw powinno być zobowiązanie, a dopiero potem sprawozdanie z jego pełnienia. Żeby sprawę jeszcze bardziej skomplikować, do 1. półrocza mamy wliczać ostatni kwartał roku poprzedniego i 1. roku bieżącego, a półrocze drugie to 2. i 3. kwartał tego roku. To przecież nie jest normalny kalendarz. To następna komplikacja, utrudniająca pracę sekretarza, zwłaszcza w wypadku, gdy robi on sprawozdawczość za wszystkie Koła. Najwyższy czas przenieść to wszystko na jeden papier. Ten przerost biurokracji należy skorygować i wszystko ujednolicić.

ZWROT: Co należałoby zrobić, by powstał jeden druk sprawozdawczy, który można by wykorzystać w stosunku do wszystkich organów nadrzędnych?

SCHWARZ: Należałoby się umówić; wiemy, co chce od nas FN, co ZG i inne organy. Należy przede wszystkim uaktualnić kwestionariusze, które są niekiedy przestarzałe, a sytuacja realna zmieniła się od czasu ich druku.

FRONC: Uważam, że powinno być z ZG jedno zobowiązanie bez załączników i dodatków, które dublują dane. W wypadku godzin brygadniczych FN dzieli je na przepracowane w akcjach inwestycyjnych, nieinwestycyjnych, dla rolnictwa itd., ale ZG chce tylko łączną sumę. Dlaczego, skoro w pozostałych materiałach musimy to rozpisywać. Tak samo jest w wypadku zbioru surowców wtórnych. ZG wymaga w sprawozdaniu podania łącznej sumy, ale nie można przecież mieszać razem papieru i żelaza. Dalej FN chce od nas rozpisania akcji kulturalno-światowych na imprezy o charakterze politycznym, sportowo-obronnym itd. Z KM FN otrzymuję specjalny przeddruk, który należy wypełnić.

SCHWARZ: My w ogóle nie otrzymujemy od nich takich druków. Ja piszę po prostu takie wypracowanie i nigdy tego tak szczegółowo nie rozdziałkowuję.

ZWROT: Z tego wynika kolejny problem, ponieważ Koła i obwody działają w różnych miastach i gminach, każdy organ miejscowy FN wymaga od nich czegoś innego. Żeby to ujednolicić, należałoby zwrócić się do organów wyższych, powiedzmy powiatowych.

FRONC: Ciekawe, bo przecież zarówno Hawierzów, jak Czeski Cieszyn i Orłowa należą do powiatu Karwina. To znaczy, że powinien tym się zająć Komitet Powiatowy FN w tym mieście.

ZWROT: Kiedy już Komitet podsumuje te sprawozdania z Kół, to co się dzieje z danymi, czy z tego wyciągane są jakieś wnioski? Jaki jest sens tej sprawozdawczości?

ŻABIŃSKA: W naszym Komitecie dużo pracy robi pan Pytlik, protokolant, on opracowuje statystyki, podsumowuje dane. Funkcja sekretarza jest więc praktycznie podzielona na dwie osoby. Robi to dobrowolnie, bo jako emeryt ma więcej czasu. Tabele, które zestawia protokolant, wysyłane są do MRN, gdzie wykorzystywane są w kronice miasta. Poza tym Komitet ma rozeznanie o tym, co dzieje się w poszczególnych Kołach. Tak samo Koła interesują się tym, jak działają ich sąsiedzi. Szkoda, że nie mobilizuje ich to do współzawodnictwa między sobą. Może warto by wprowadzić taką rywalizację. My koordynujemy tylko imprezy wspólne Komitetu, ale nie akcje poszczególnych Kół.

SCHWARZ: U nas co miesiąc na zebraniach Komitetu spotykają się przedstawiciele Kół, od czasu do czasu referują swoje sprawy, mówią o imprezach Kół. Poza tym odbywają się wyjazdowe posiedzenia KM w poszczególnych Kołach, gdzie również zapoznajemy się z działalnością Kół wprost na miejscu. W ramach całego obwodu planuje się akcje tak, żeby się nie nakrywały, wychodząc również z planów działalności.

FRONC: U nas robimy to jeszcze trochę inaczej. Postanowiliśmy napisać do wszystkich Kół, żeby podały nam terminy głównych akcji na cały rok. Bo to, co jest w planie kwartalnym, to nie wystarczy. Teraz w styczniu koordynowaliśmy właśnie te główne imprezy wszystkich Kół, żeby nasi sąsiedzi mogli brać udział w akcjach innych Kół obwodu.

ZWROT: Co, waszym zdaniem, należałoby zmienić w biurokratycznej pracy nie tylko sekretarzy, co poprawić w przyszłości? Pracę analityczną, podliczanie sprawozdań, robi chyba, lepiej lub gorzej, dopiero Wydział Polityczno-Organizacyjny ZG PZKO, który ma do tego etatowych pracowników. Gdyby jednak podobną analizę przeprowadzać miały Komitety Miejskie PZKO, czy mogliby to zrobić sami społecznicy?

FRONC: Nie mogli, absolutnie, na to potrzebny byłby pracownik etatowy.

ŻABIŃSKA: Nie wiem jednak, czy byłoby dobre, aby robił to pracownik ZG PZKO. Już lepiej, żeby był to ktoś z obwodu, związany ze sprawami lokalnymi, z ludźmi. Może nawet ktoś z obecnego Komitetu, komu by na podstawie umowy płacono kilka godzin miesięcznie.

SCHWARZ: Gdybym ja miała przeprowadzać takie analizy, to najbardziej bałabym się tego, czy wszystkie Koła wywiążą się na czas z przesyłaniem sprawozdań. Dla społecznika byłoby to bardzo czasochłonne.

ZWROT: Na zakończenie jeszcze jedno pytanie osobiste: Co was skłania do tego, by wykonywać funkcję społeczną najmniej wdzięczną i najmniej widoczną z zewnątrz, a często najbardziej krytykowaną — funkcję sekretarza?

FRONC: Tak samo niewdzięczną funkcję wykonuje skarbnik, w dodatku jest ona bardziej ryzykowna.

ŻABIŃSKA: Kiedyś przekonano mnie i jestem sekretarzem już od 4—5 lat. Teraz na następną kadencję znowu udało się mnie przekonać. Są sytuacje, kiedy nie można odmówić. Poza tym uważam, że musi to robić ktoś, kto ma do tego typu pracy odpowiedni stosunek, i nie oczekiwać laurów.

SCHWARZ: Ja to traktuję trochę jak obowiązek. Skoro się już tego podjęłam, w ramach swoich możliwości, choć sama czuję, że nie robię tego idealnie, ale staram się z tego wywiązać. Ale nie mogę powiedzieć, że odczuwam z tej pracy pełną satysfakcję.

FRONC: Ja czuję to podobnie. Gdyby każdy sekretarz w Kole wykonywał tę pracę sumiennie, praca ta przyniosłaby mi więcej zadowolenia. Ostatnio myślałem, że ze względu na wiek zrezygnuję z tej funkcji. Byłem pedantem już w pracy zawodowej i denerwuje mnie nieodpowiedzialny stosunek do pracy u niektórych z młodszego pokolenia. Ja też należę do tych, co nie potrafią odmówić, ale tacy są chyba wszędzie.

MARIA GRZEGORZ
PIOTR PRZECZEK

KONKURS RECYTACJI

— Jaki wiersz recytowałeś?
— Taki wesoły. „Moje buty". O butach, co lubią kałuże.
— Kto cię go nauczył?
— Pani w przedszkolu.
— Lubisz wierszyki?
— Bardzo. I bajki. Mama mi czyta.
— Ile masz lat?
— Pięć. Jestem w starszakach.

(Wypowiedź laureata pierwszej nagrody w kategorii przedszkolaków 32. Konkursu Recytacji, Jakuba Molina).

Jest rozgarnięty. Będzie miał sześć lat, dopiero pójdzie do szkoły, ale już próbuje czytać, zna literki, dobrze liczy, wie, która godzina — człowiek go już nie oszuka. I wciąż pyta, o wszystko, wszystko go interesuje. Pewnie, to dobrze, ale czasem jest uciążliwe. W zeszłym roku też wygrał w konkursie. Recytował „Pana Hilarego", wtedy jeszcze nosił okulary. Wiersz mu bardzo odpowiadał. Recytował też „Lokomotywę", ale to za długi wiersz dla takiego dziecka. Myślę, że rodzice czy nauczyciele nie powinni przesadzać co do długości wierszy. Dziecko pod koniec już nie potrafi się skupić, przestaje uważać na interpretację, byle jak najszybciej skończyć. Jakuba przygotowywała wychowawczyni z przedszkola, ja pomagałam mu w domu, ale nie pozwalał sobą kierować, choć starałam się mu podpowiadać, jak ma recytować. Zawsze musiał to sam jakby przeżyć i potem recytował tak, jak zrozumiał, po swojemu".

(Urszula Molin, matka zwycięzcy)

* * *

Sobota, 21 lutego, godzina 8.00. Miejsce — pomieszczenia Klubu PZKO przy ul. Bożka w Czeskim Cieszynie. Jak na tę stosunkowo wczesną porę panuje tutaj duży ruch. Ponad dziewięćdziesiątka dzieci i młodzieży i chyba tyle samo ich rodziców, dziadków i nauczycieli kręci się między szatnią, stołem prezencyjnym a główną salą, gdzie już wkrótce ma się odbyć uroczyste zagajenie eliminacji centralnych Konkursu Recytacji. Ogólne podniecenie. Dziewczynki przeglądają się w jedynym lustrze, poprawiają sukienki, kokardki we włosach (i te najmniejsze i te starsze — taka teraz „kokardkowa" moda), chłopcy, też odświętnie ubrani, spacerują poważni,

skupieni, choć nie mniej stremowani od swych koleżanek. Godzina 8.30. Rozpoczyna się ostatni etap kolejnego Konkursu Recytacji. Słowa powitania, sprawy organizacyjne i — „Życzymy powodzenia" . . . Jak zwykle, już po raz trzydziesty drugi.

* * *

Katarzyna Bajusz, PSP Bystrzyca, klasa 5 — kategoria IV:

— ***Podobno miałaś długi wierszyk?***

— *Tak. „O wróblowym weselu" Hanny Januszewskiej.*

— ***To był twój pierwszy konkurs?***

— *Nie. Chodzę już na konkursy od drugiej klasy.*

— ***I zawsze byłaś w eliminacjach centralnych?***

— *Tak.*

— ***A może jeszcze powiesz, że zawsze zwyciężałaś?*** *(nieśmiało przytakuje)*

— ***Kto cię przygotowywał do konkursu?***

— *Mama.*

— ***Jakie wiersze lubisz najbardziej?***

— *Wesołe. I lubię czytać różne książki. Podobała mi się „Rozalcia", to moja ulubiona książka. Teraz czytam „Anię z Zielonego Wzgórza". I też bardzo mi się podoba.*

Matka, Helena Bajusz:

Bardzo przejmowała się tym konkursem. Wiersz, który wybrałyśmy, był bardzo długi. A ponieważ w zeszłym roku przed Świętem Poezji musiałyśmy wiersz skracać, więc tym razem zaraz go skróciłam. Katka pewnie myślała, że tak było źle i rozpłakała się — myślała, że jej się nie udało. Sama przygotowywałam ją do konkursu — ja też lubię wiersze, i recytować lubiłam, a córka od dziecka zdradza zdolności w tym kierunku. Cieszę się tak jak ona z tego pierwszego miejsca.

* * *

Konkurs się zaczął. W dużej sali zostają trzy najmłodsze kategorie. Zaczynają przedszkolaki. Są rozbrajające. Wychodzą przed salę rezolutnie, mówią głośno, z dobrą wyraźną dykcją, choć typowo po dziecięcemu. Ale to właśnie mi się podoba — jest takie naturalne, prawdziwe. Nie widać po nich tremy. Bardziej zdenerwowani są chyba rodzice. Zostaję tutaj aż do chwili rozdania nagród maluchom. Wszyscy recytatorzy wychodzą przed salę, stają w szeregu i czekają, co też im powiedzą panie z jury. A panie rozdają książeczki, dyplomy i jeszcze pytają, z jakiego kto jest przedszkola . . . „Z polskiego" — stwierdzają zgodnie dzieci i dopiero po dłuższej perswazji „zdradzają", w jakiej miejscowości jest owo przedszkole. Po rozdaniu nagród maluchy razem z rodzicami w większości opuszczają salę — o ile nie mają tutaj starszego rodzeństwa, bo na sali pozostają dwie kolejne kategorie — II i III. Wychodzę także, by zajrzeć do pozostałych dwu lokali.

Salkę na piętrze zajęły dwie „średnie" kategorie — IV i V, czyli uczniowie klas 5—8. Tu już atmosfera jest poważniejsza, wiersze trudniejsze, ambitne. Jest Gałczyński, Broniewski, jest jeden czy dwa wiersze naszych rodzimych poetów. W kącie siedzi dziewczynka i cichutko pochlipuje, matka ją pociesza — cóż, i takie sytuacje się zdarzają (w końcu okazuje się, że ta właśnie dziewczynka zajęła pierwsze miejsce w młodszej kategorii).

* * *

Monika Jędrysek, klasa 7 PSP Karwina-Nowe Miasto, kategoria V:

— *W konkursie biorę udział już po raz trzeci. Recytowałam wiersz Broniewskiego pt. „Nadzieja".*

— ***To wiersz bardzo poważny.***

— *Lubię takie wiersze, wiersze o pokoju, o ważnych sprawach. Wiersze, które rozumiem. Lubię też czytać książki, zwłaszcza przygodowe.*

— ***W której jesteś klasie?***

— *W siódmej.*

— ***Zastanawiałaś się już nad tym, co będziesz robić po skończeniu szkoły podstawowej?***

— *Chciałabym pójść do technikum maszynowego.*

* * *

Do najstarszych kategorii zdążyłam już tylko na rozdanie nagród. A szkoda, bo według opinii jurorów poziom był bardzo wysoki. Ale i ogłoszenie wyników jest ciekawe. Przewodniczący komisji oceniającej Karol Suszka prowadzi je w formie twórczej konsultacji, ocenia każdego z recytatorów z osobna, krytykuje, chwali, doradza. Widać, że adresaci tych uwag przyjmują je, traktują poważnie — pewnie w przyszłym roku skorzystają z nich, spróbują być jeszcze lepsi . . .

* * *

Marta Chmiel, Koło PZKO Błędowice, kategoria VII:

— Ile było osób w kategorii PZKO?

— W naszej kategorii byłyśmy zgłoszone tylko dwie, w końcu zostałam sama.

— Dlaczego twoim zdaniem zainteresowanie konkursem recytacji ze strony pezetkaowców jest tak znikome?

— Nie wiem — może się wstydzą, obawiają ośmieszenia. W szkole może jeszcze pomóc nauczyciel, doradzić, potem trzeba już liczyć tylko na siebie.

— Brałaś już kiedyś udział w konkursie recytacji?

— Dawno temu, jeszcze w podstawówce. Potem zaczęłam chodzić do czeskiej szkoły średniej, poznałam i polubiłam czeską poezję, ale od konkursów jakoś uciekłam. Teraz studiuję w ostrawskim konserwatorium. A poezję nadal uwielbiam. Mało uwielbiam. Kocham!

— Jak wpadłaś na pomysł zgłoszenia się do konkursu?

— Lubię recytować. Tak się zastanawiałam, gdzie by spróbować, czy oprócz tego, że lubię, także umiem recytować. — No i wyszło, że jedynie na naszym poczciwym konkursie . . .

WYNIKI 32. KONKURSU RECYTACJI:

I KATEGORIA (przedszkola)
1. Jakub Molin (Trzyniec VI-Taras)
2. Basia Wilczek (Orłowa-Lutynia)
3. Weronika Kondziołka (Karwina-Nowe Miasto)

II KATEGORIA (klasy 1—2 szkół podstawowych)
1. René Raszyk (Karwina-Nowe Miasto)
2. Daniel Trzaskalik (Karwina-Nowe Miasto)
3. Beata Samek (Wędrynia)

III. KATEGORIA (kl. 3—4)
1. Piotr Walczysko (Trzyniec VI-Taras)
2. Dorota Sikora (Wędrynia)
3. Aleksandra Prymus (Hawierzów-Błędowice

IV KATEGORIA (kl. 5—6)
1. Katarzyna Bajusz (Bystrzyca)
2. Witek Szwarc (Wędrynia)
3. Beata Pasz (Karwina-Frysztat)

V KATEGORIA (kl. 7—8)
1. Monika Jędrysek (Karwina-Nowe Miasto)
2. Joanna Chwajol (Lutynia Dolna)
3. Roman Gałuszka (Karwina-Frysztat)

VI KATEGORIA (szkoły średnie)
1. Przemysław Branny i Miriam Pyszko (ex aequo, obaj — Gimnazjum Cz. Cieszyn)
2. Ester Duda (Gimnazjum Cz. Cieszyn)
3. Halina Suchanek (Gimnazjum Orłowa)

wyróżnienia:
Jadwiga Chroboczek (technikum ekonomiczne)
Bogdan Zalisz (technikum rolnicze)

nagroda publiczności:
Lenka Pešák (Gimnazjum Cz. Cieszyn)

VII KATEGORIA (PZKO)
Pierwszej nagrody nie przyznano.
2. Marta Chmiel (Koło PZKO Hawierzów-Błędowice)

(ro)



KONKURS RECYTACJI













fot. PIOTR WOJOCZEK

31 MAJA 1987 — KARWINA



DO FESTIWALU
POZOSTAJE KILKA TYGODNI
CZAS NAJWYŻSZY
BY WSZYSCY WŁĄCZYLI SIĘ
W JEGO PRZYGOTOWANIA

To impreza, której naczelną ideą jest zjednoczenie wszystkich związkowców, sympatyków i przyjaciół PZKO. Mowa tu oczywiście o FESTIWALU PZKO, nazwanym Festiwalem 40-lecia Związku, który odbędzie się 31 maja w Karwinie.

Główne hasło Festiwalu: PZKO mocnym ogniwem Frontu Narodowego w realizacji uchwał XVII Zjazdu KPCz — cały ten przegląd dorobku działalności naszego Związku, którym powinna stać się impreza, postara się udowodnić.

Festiwal rozpocznie się o godz. 12.00, kiedy wyruszy pochód festiwalowy, który przejdzie ulicami Karwiny — Nowego Miasta w kierunku Stadionu Zimowego, gdzie odbędzie się część ficjalna oraz pierwsze występy. Na program na Stadionie Zimowym prócz przemówień najwyższych przedstawicieli PZKO oraz gości złożą się występy połączonych chórów, orkiestr dętych, zespołów tanecznych z wszystkich zakątków naszego regionu oraz recytacje. Przewidywany jest również występ czeskiego zespołu pieśni i tańca. Największą atrakcją wieczoru stanie się zapewne program zaprezentowany na scenie stadionu przez Dziecięcy Zespół Pieśni i Tańca „Varsovia", działający przy Śródmiejskiej Spółdzielni Mieszkaniowej w Warszawie, popularnie zwany „Małym Mazowszem".

„Varsovia" powstała przed dziewięciu laty pod patronatem ZPiT „Mazowsze", który deleguje do pracy z dziećmi choreografa Witolda Zapałę oraz instruktorów: Halinę Ossowską-Borys, Zofię Pawlak i Alojzego Rogockiego. Początkowo zespół prezentuje repertuar z zakresu folkloru i tematyki szkolnej. Najnowszym widowiskiem zespołu, które przedstawi zresztą karwińskiej publiczności, jest spektakl „Piękna nasza Polska cała". Zespół posiada bogaty zestaw kostiumów projektowanych przez znaną scenografkę Barbarę Ptak i Barbarę Kaznowską z Muzeum Etnograficznego w Warszawie. Od pierwszego koncertu zespołu, który odbył się w Sali Kongresowej warszawskiego Pałacu Kultury i Nauki, upłynęło już prawie siedem lat. Zespół brał udział w wielu krajowych i międzynarodowych festiwalach, m. in. w VI Światowym Festiwalu Chórów Polonijnych w Koszalinie, występował w radiu i telewizji. Wszędzie jednakowo zachwyca publiczność nie tylko śpiewem i tańcem, ale również bajecznie kolorowymi kostiumami i prawdziwą maestrią i kunsztem artystycznym. Zachwyca zarówno dzieci, jak i widzów dorosłych.

O tym wszystkim przekonamy się w festiwalową niedzielę. Nie trzeba też chyba zachęcać do odwiedzania licznych stoisk Kół PZKO, umieszczonych w Parku B. Němcowej, gdzie w amfiteatrze po południu rozpoczną się występy zespołów PZKO-wskich, szkolnych oraz orkiestr dętych.

Z okazji Festiwalu sekcje ZG PZKO urządzają wiele imprez towarzyszących. W Galerii im. J. Mánesa w Karwinie w przeddzień Festiwalu otwarta zostanie „Wystawa jubileuszowa SLA".

Jak zwykle nad przygotowaniami do tej największej imprezy związkowej czuwa specjalna Komisja Festiwalowa oraz jej sekcje: organizacyjno-techniczna, programowa, pochodowa, propagandy i ekonomiczna. Od wspólnego wysiłku działających w nich pracowników ZG PZKO oraz społeczników zależeć będzie ostateczny kształt Festiwalu 40-lecia.

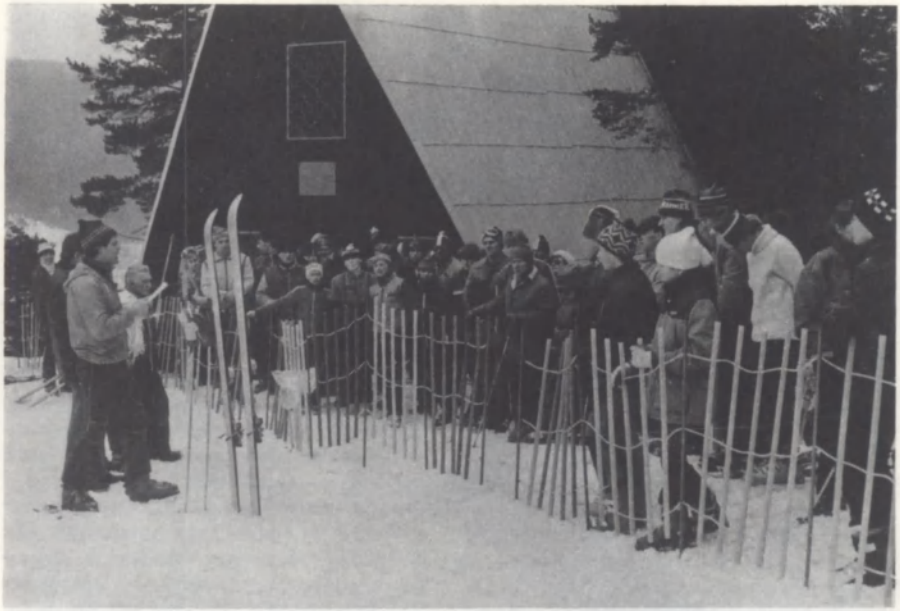
MaG

SPORTY ZIMOWE W PZKO

Narciarstwo zyskuje z roku na rok większą popularność, coraz więcej zwolenników białego szaleństwa wybiera się w soboty i niedziele na narty. Również w środowisku PZKO od dziesięciu lat organizowane są mistrzostwa w dyscyplinach alpejskich, a ostatnio również w biegu płaskim.

Sekcja Sportowa Zarządu Głównego PZKO razem z działaczami sportowymi z Kół ma dużo kłopotów z organizacją tego typu mistrzostw, są one bowiem zależne od kaprysów pogody, jak również od terminów zawodów organizowanych przez inne organizacje, ponieważ jak na razie nie dysponujemy odpowiednim stokiem z zapleczem, na którym można by było przeprowadzić mistrzostwa. Konieczne jest ich wynajmowanie, co pociąga za sobą nie tylko koszty, ale też konieczność dostosowania się do wolnych terminów. Kłopoty zaczynają się wtedy, kiedy np. w jedynym możliwym terminie nie ma śniegu, albo, co jest paradoksem, jest go za dużo, co miało miejsce w styczniu br. przy planowanych mistrzostwach w slalomie gigancie na Kozubowej – ratrak był nieosiągalny, a do tego, by udeptać ponad metrową pokrywę „puchu", byłaby potrzebna setka ludzi co najmniej przez tydzień.

Czytelnicy ZWROTU, którzy nie brali udziału w organizacji sportów zimowych, mogą wysunąć zastrzeżenie, że wprawdzie stoku PZKO nie mamy, ale można wybrać pierwszy lepszy stok o odpowiedniej stromiźnie, powbijać kije i startować. Otóż nie jest to takie proste. Stok musi być odpowiednio przygotowany kilka tygodni przed mistrzostwami, by miał utwardzony podkład, bowiem w przeciwnym razie zawodnik z pięćdziesiątym numerem startowym pojedzie po trawie i kamieniach. Najlepiej przygotuje stok ratrak (choć wynajęcie jest bardzo kosztowne), ale również utwardzi się stok pod warunkiem, że będzie się na nim często jeździć, czyli musi znajdować się obok wyciągu narciarskiego, bo jakoś nie lubimy w dzisiejszych czasach deptać pod górę. Dalszym warunkiem są plastykowe kije slalomowe (drewnianych już nie poleca się stosować ze względu na bezpieczeństwo zawodników) koloru niebieskiego i czerwonego z odpowiednimi chorągiewkami. Do slalomu specjalnego potrzeba minimalnie 70 kijów, do giganta około 100 sztuk. Trzecim warunkiem jest pomiar czasu. Wizualna sygnalizacja pomiędzy startem i metą oprócz tego, że jest bardzo niedokładna, często nie wchodzi w rachubę: ze



Apel uczestników slalomu specjalnego

względu na załamania terenu starter nie widzi mety. Konieczne są krótkofalówki, które niestety czasem zawodzą. Najlepszym rozwiązaniem jest elektroczas, który zawodnik przy starcie sam uruchamia, a czas przejazdu zamyka fotokomórka zainstalowana na mecie. Spełnienie tych trzech podstawowych warunków umożliwia przystąpienie do właściwej organizacji mistrzostw. Na razie można tylko pomarzyć, by był do dyspozycji stok PZKO z prawdziwego zdarzenia. Wybudowanie wyciągu i przygotowanie stoku narciarskiego na pewno nie byłoby chybioną inwestycją i te Koła PZKO, które mają odpowiednie warunki, nie straciłyby na tym, ale wręcz przeciwnie.

Najbardziej popularny z mistrzostw PZKO w dyscyplinach alpejskich jest slalom specjalny. Od lat nie zmienia się lokalizacja — stok klubu sportowego w Mostach koło Jabłonkowa. Od lat przygotowują stok, zapewniają aparaturę pomiarową oraz sędziów bramkowych członkowie MK PZKO w Mostach — i robią to bardzo dobrze. W roku bieżącym nikt nie obawiał się braku śniegu, było go dużo, a jednak w tygodniu poprzedzającym mistrzostwa słupek rtęci w termometrach ustabilizował się wysoko nad zerem i wskutek wielkiej odwilży groziło rozmiękczenie całej trasy do tego stopnia, że powstawało pytanie, czy slalom przebiegnie. Dzięki ofiarności działaczy mosteckich, którzy cały piątek przed mistrzostwami przygotowywali stok, udostępnieniu techniki oraz środkom chemicznym slalom odbył się na dobrej trasie. Mistrzostwa rozpoczynają się prezentacją w Domu PZKO — przybyło ponad pięćdziesiąt zawodniczek i zawodników, później półgodzinny spacer na stok, apel, przypomnienie regulaminu, rozdanie wylosowanych numerów i można przejść się po trasie ustawionego slalomu na miejsce startu. Do pracy przystępują organizatorzy i sędziowie, z których dwaj zasługują na to, by wymienić ich po nazwisku: Bolesław Wronka i Jan Cholewa pomimo tego, że dzieli ich od zawodników różnica dwu pokoleń, corocznie pełnią

fot. HENRYK CIEŚLAR



Tadeusz Kufa w slalomie specjalnym

odpowiedzialne funkcje startera i sędziego głównego; młodsi wiekiem i stażem działacze mogą brać wzór z ich zaangażowania społecznego. Rozpoczyna się pierwszy przejazd, dosyć trudna trasa wyeliminowała wielu faworytów, zwłaszcza z szeregów gospodarzy. W drugim przejeździe również nie opłaciło się zbytnio ryzykować, zwyciężyła rozwaga i dobra technika. Podsumowanie wyników, sędziowie bramkowi wnoszą poprawki, bo ktoś ominął bramkę, i następuje dyskwalifikacja. Stopnie zwycięzców przygotowane, dyplomy i nagrody dla najlepszych i można przygotować się do slalomu giganta.

O ile slalom specjalny nie zmienia lokalizacji, slalom gigant wędruje z Kozubowej na Wielki Połom i z powrotem. Impreza nie ma szczęścia do organizatora z szeregu Miejscowych Kół PZKO, całość organizują członkowie Sekcji Sportowej, ostatnio pomagała młodzież z gimnazjum. Na Kozubowej jest bardzo dogodny stok, na którym długo trzyma się pokrywa śnieżna, mankamentem jest natomiast długie podejście (z Koszarzysk), niemożność korzystania z ratraka i konieczność użycia krótkofalówek.

Zimowy Rajd Turystyczny to najbardziej masowa akcja zimowa młodzieży PZKO.

Centralna impreza Rady Obwodowej Klubów Młodych w Jabłonkowie oraz Sekcji Turystycznej ZG PZKO od 12 lat skupia na Kamienitym ponad dwieście amatorów turystyki i dobrej zabawy na świeżym powietrzu. Rajd, jak sama nazwa wskazuje, ma na celu przejście trasą turystyczną na Kamienity, co w warunkach zimowych nie jest proste. Trasy są prowadzone nieprzetartym szlakiem i po absolwowaniu pięciu lub siedmiu kilometrów (dwie trasy z Łomnej Dolnej lub Koszarzysk) każdemu uczestnikowi daje się porządnie we znaki. Na górze po prezentacji i uroczystym apelu obok byłej polskiej szkoły uczestnicy biorą udział w wybranych przez siebie następujących dyscyplinach: bieg na nartach, zjazdo-slalom (uczestnicy pierwszy przejazd absolwują jadąc slalomem między bramkami, a w drugim przejeździe biorą narty na ramiona i biegną w górę również między bramkami), zjazd na sankach parami, ślizg na workach nylonowych. Jak widać nie są to dyscypliny wyczynowe, ale turystyczno-rekreacyjne, jest przy nich dużo śmiechu i dobrej zabawy. Z reguły o tej porze roku śnieg już jest dosyć mokry i dla tych, którzy mają ambicje artystyczne stworzono dyscyplinę — rzeźbę ze śniegu. Po ukończeniu zawodów płonie ognisko na śniegu, można opiec parówkę, zaśpiewać piosenkę z gitarą. W tym czasie komisja podlicza wyniki, wczesnym popołudniem następuje ich ogłoszenie. Liczy się przede wszystkim współzawodnictwo drużynowe, w którym zazwyczaj prym wiodą drużyny podgórskie. Można powiedzieć, że impreza ta jest wzorcowa tak z punktu widzenia organizacyjnego (choć konieczny jest olbrzymi wkład pracy), jak turystycznego i rekreacyjnego. Cieszy fakt, że w rajdzie coraz częściej biorą udział nie tylko młodzi, ale również rodzice z dziećmi i ludzie starsi wiekiem.

W zeszłym roku Towarzystwo Łączności z Polonią Zagraniczną POLONIA zorganizowało po raz pierwszy Polonijne Igrzyska Zimowe w Zakopanem. Było bardzo dużo chętnych do wzięcia udziału w tej wspaniałej imprezie, skupiającej rodaków z całego prawie świata. Po ostrych walkach eliminacyjnych zmieścili się w trzydziestoosobowej eki-

Start mistrzostw w biegach na nartach



fot. HENRYK CIEŚLAR

pie naprawdę najlepsi. Efektem tego było zdobycie prawie że wszystkich medali w obsadzanych przez nas kategoriach i w klasyfikacji generalnej. Warunkiem zakwalifikowania się na przyszłe PIZ będzie przede wszystkim udział w mistrzostwach PZKO w poprzedzających trzech latach.

Mistrzostwa PZKO w biegu na nartach mają krótką historię, bo dopiero w zeszłym roku odbyła się pierwsza edycja, niemniej od lat dwunastu zawody takie odbywają się w ramach Zimowego Rajdu Turystycznego. W roku ubiegłym było na starcie ponad dwadzieścia biegaczek i biegaczy, a więc stosunkowo mała liczba biorąc pod uwagę dosyć dużą popularność biegówek i tłok na najbardziej znanych trasach biegowych, np. z Jaworowego na Hadaszczok. Mistrzostwa zostały zlokalizowane na dobrze przygotowanej trasie łomniańskich biegaczy w Dolnej Łomnej „Na Zawodziu", organizacja była w obydwu latach nienaganna, a w roku bieżącym startowało zaledwie kilkunastu zawodników, czego nie można nazwać sukcesem. Dziś już wiadomo, że termin (niedziela 15. 2. 1987) nie był dobrze wybrany (mistrzostwa okręgu w biatlonie), ale przecież nie chodzi w naszych mistrzostwach o superwyniki, ale o udział. Może rozwiązałaby ten problem zmiana trasy, np. bieg z Jaworowego na Kamienity organizowany na wzór masowych biegów lub podział na kategorie wiekowe (zdało to egzamin w dyscyplinach alpejskich). Wydaje się, że jest to temat do dyskusji. Prosimy tych czytelników, którzy interesują się sportami zimowymi, by wypowiedzieli się na łamach Trybuny Czytelników lub napisali wprost do Sekcji Sportowej Zarządu Głównego PZKO. Wszystkie wnioski i sugestie zostaną wnikliwie zanalizowane i przedyskutowane w kręgu działaczy Sekcji Sportowej i na pewno przyczynią się do dalszego ulepszenia organizacji zimowych sportów w ramach PZKO.

HENRYK CIEŚLAR

Na podium: Janina Kluz (1.), Beata Morcinek (2.), Monika Szlauer (3.). Nagrody wręcza dr Otmar Macura



fot. HENRYK CIEŚLAR

PEZETKAOWCY INACZEJ

spotkanie 4.

CZEKAJĄC NA NERKĘ

W tym zawodzie nie można się pomylić, tu błędna ocena sytuacji może już nigdy nie mieć szansy powtórki. Tu nikt nie przyjmie usprawiedliwienia, że każdemu może się zdarzyć. Każdemu tak — lekarzowi nigdy. Lekarz ciała powinien być równocześnie lekarzem duszy. Spróbujcie poleżeć przez kilkanaście dni na którymkolwiek oddziale szpitalnym i wciągnąć się w niekończące się rozmowy pacjentów. W końcu zawsze temat zejdzie na plotkowanie o lekarzach i pielęgniarkach. Jaki więc powinien być lekarz? Najlepszy specjalista a jednocześnie najsympatyczniejszy, najbardziej rozmowny, najbardziej ludzki, najbardziej . . . A czy można być równocześnie geniuszem we wszystkich z ludzkich cnót? Pacjent chce wiedzieć, chce poznać. Czy rzeczywiście chce? Pewien filozof, nazwiska nie pamiętam, powiedział, że ludziom trzeba mówić tylko to, co wiedzieć chcą, udzielać tych rad, podsuwać takie decyzje, które oni już dawno podjęli. Czy rzeczywiście? Pacjent jest ciekawy, potajemnie otwiera koperty z opisem swej choroby, niosąc je ze szpitala swemu lekarzowi. Czasem źle odczyta łacińskie pisanie i przeżywa męczarnie. A drugi raz . . . zrobi to samo. Zadałam raz grupie osób pytanie: „Czy woleliby lekarza wybitnego, a jednak zamkniętego w sobie specjalistę, czy fachowca nie tej miary, ale za to wirtuoza słowa, genialnego powiernika strapionej duszy chorego". Nie było odpowiedzi . . .

LEKARZ

MUDr Janusz Kubatko pracuje w zawodzie, o którym najczęściej marzy student z maturą w kieszeni, a szanse zdobycia indeksu kurczą się co roku w tłumie chętnych na studia. Kilka lat temu po raz pierwszy ubrał biały kitel lekarza internisty, by po

doświadczeniach w czeskocieszyńskim szpitalu przejść na oddział ordynatora J. Korzeniowskiego w Karwinie i zostać lekarzem ośrodka dializy.

– Czy tak wyglądały marzenia w latach gimnazjalnej młodości?

– Ja interesowałem się raczej fizyką i matematyką, zamierzałem więc początkowo rozpocząć studia techniczne, ale z drugiej strony chciałem wrócić na nasz teren. A co by tu robił fizyk jądrowy? I tak po głębszym zastanowieniu wybrałem medycynę, bo byłem przekonany, że tam będę mieć również możliwości zastosowania znajomości techniki w praktyce.

– A masz?

– Mogę powiedzieć, że moje marzenia się ziściły. Wykonuję zawód lekarza, a więc korzystam z tego, co nauczono mnie na medycynie a równocześnie mogę zastosować w praktyce swoje hobby, czyli wiadomości z techniki.

– Znalazłeś się więc w szczęśliwej sytuacji. Nie każdy lekarz mógłby to o sobie powiedzieć.

– To prawda, zawsze zależy to od sytuacji, która akurat panuje w danym szpitalu, czy są wolne miejsca i gdzie, na jakim wydziale. Ja miałem to szczęście. Teraz młodsi koledzy są w nieco gorszym położeniu. Muszą „brać", co im się proponuje – a nie zawsze pokrywa się to z ich wyobrażeniami o pracy ze studiów.

– Tobie zaproponowano pracę przy sztucznych nerkach . . .

– To było w roku 1985, kiedy w Karwinie powstał ośrodek chronicznej dializy.

– Jest to najnowszy, więc można powiedzieć najnowocześniejszy ośrodek szpitala?

– Obecnie mamy tu cztery zachodnioniemieckie aparaty firmy Fresenius i jeden rezerwowy . . .

– To wystarcza?

– Nie. Żeby leczyć wszystkich potrzebujących tego pacjentów w powiecie karwińskim, potrzebnych byłoby co najmniej 12 aparatów. W następnej pięciolatce liczymy się z poszerzeniem ośrodka i z taką właśnie liczbą aparatów. Muszę tu powiedzieć, że nasz powiat jest zresztą jedynym powiatem z własnym ośrodkiem dializy.

– Czy nasz przemysł produkuje już sztuczne nerki?

– Na razie to dopiero początki. Kilka ośrodków w naszym państwie zaczęło je testować, ale stan techniczny wymaga jeszcze dodatkowych udoskonaleń, na razie więc wolimy te z importu.

– Kto korzysta z tych aparatów, jacy to są pacjenci?

– W ośrodku leczeni są pacjenci z przewlekłą niewydolnością nerek, czyli tacy, gdzie leczenie zachowawcze nie potrafiłoby utrzymać ich przy życiu przez dłuższy czas. Później wskazane jest leczenie jedną z nowych metod. Należą do nich hemodializa, dializa otrzewna albo przeszczep nerki. Nasz ośrodek realizuje leczenie pacjentów ze schyłkową niewydolnością nerek właśnie przez zastosowanie hemodializy. Leczymy dwudziestu pacjentów z naszego powiatu, którzy bez sztucznej nerki nie mogliby istnieć. Większość pacjentów wpisanych jest na listę oczekujących na przeszczep. W roku ubiegłym dwie z naszych pacjentek doczekały się swojej nerki, w styczniu była kolejna transplantacja. Teraz nie muszą już dojeżdżać na dializę.

– Jak umieszczani są pacjenci na „liście"?

– Lista oczekujących znajduje się w centrum przeszczepowym w Pradze. Jeśli znajdzie się odpowiedni dawca nerki, komputer na zasadzie najbardziej prawdopodobnych cech tego dawcy wyszukuje odbiorcę. Transplantacji dokonuje się później w Pradze, Brnie lub w klinice w Ołomuńcu, tam zwoływany jest specjalny zespół chirurgów, anestezjologów, nefrologów . . .

– Czy transplantacje to już sprawa normalna, nie wywołująca sensacji?

– W roku ubiegłym dokonano w naszym kraju 150 transplantacji nerek.

– W jakim wieku najczęściej choruje się na ich niewydolność?

– Choroba sobie nie wybiera. Mamy pac-

jentów od lat 16 do 60. Ze względu na to, że dysponujemy tylko czterema łóżkami, a zapotrzebowanie jest o wiele większe, kwalifikujemy na leczenie przede wszystkim pacjentów z pierwotnym schorzeniem, dalej takich, którzy mają większą perspektywę na dłuższe przetrwanie, którzy są zdatni do ewentualnej transplantacji itp.

— *Czyli, innymi słowy, trzeba wybierać. To, przyznaję, może być wdzięczny temat dla twórcy literackiego, filmowego, ale dla lekarza to chyba prawdziwa zmora?*

— Rzeczywiście, to jest wielki problem. My chcielibyśmy pomóc jednakowo wszystkim — a mamy tylko te cztery łóżka. Ale jak już powiedziałem pocieszający jest fakt, że w następnej pięciolatce będziemy ośrodek dializy poszerzali na tyle, że w zupełności pokryjemy w naszym powiecie zapotrzebowanie na leczenie takich pacjentów.

PACJENT

Jedną z dwudziestu chorych korzystających z świadczeń ośrodka dializy w Karwinie jest Ewa Podstawka z Marklowic. Odwiedziłam ją w domu. Przed chwilą karetka przywiozła ją tu po zabiegu, mówi, że czuje się dziś dobrze. Jak rozpocząć rozmowę z osobą, która od pięciu lat czeka na swoją nerkę . . .

— *Zaczęło się to jeszcze w czasie, kiedy uczyłam się w szkole średniej. W Ostrawie-Zabrzegu lekarz powiedział, że będzie to trwać najwyżej pół roku, potem powinien być przeszczep. Ale lata mijały, z początku bałam się tej operacji, ale teraz . . . teraz to bym już bardzo chciała. Jak się dowiadujemy, że jest nerka? Kto ma telefon, tego pono wzywają telefonicznie, zanim się przygotuje, nadjedzie karetka, w szpitalu zabierają kartę . . . W Ostrawie mówiono, że czasem samolotem się leci do centrum, ale ja myślę, że to karetką dowożą. W Zabrzegu rozmawiałam z pacjentami, którym się pierwsza operacja nie udała i czekali na kolejną. Niektórzy byli bardzo spokojni, ale ja bym się chyba bardzo denerwowała; ale poszłabym po raz drugi. Jak żyję? Trochę zajmuję się dziećmi siostry, jadę do miasta do biblioteki, latem chodziłam na basen popływać. Ale teraz czuję cię słaba, nogi mam za słabe i odwagi mi brak. Może bym była i silna, ale straciłam odwagę. Jacy są tam lekarze . . . Dobrzy. Ale . . . wydaje mi się czasami, ale oni nas trzymają tak z dala od tych wyników, w Zabrzegu więcej się dowiedzieliśmy, a tu . . . może nas nie chcą martwić, czy ja wiem. Ja bym nie chciała słyczeć to złe, ale coś o tej mojej chorobie, dlaczego tak się czuję, dlaczego jestem słaba, i jakie to lekarstwa i tak dalej, chciałabym się dowiedzieć, jak ze mną jest . . . Dla mnie najgorsze to to, że nie mogę napić się do woli, najwyżej 600 mililitrów, inaczej od razu się pozna, że pacjent pił więcej, bo kto by od poniedziałku do środy przytył aż trzy kilogramy, to jest oczywiście woda, a potem i serce cierpi i inne organy. Do dializy można się przyzwyczaić. I czekać. Cóż, ludzie wstają codziennie i idą do pracy . . . to dlaczego ja nie mogłabym chociaż przez te trzy dni . . .*

LEKARZ

— *Czy potrafiłbyś powiedzieć pacjentowi, że jest z nim niedobrze? Gdyby chciał usłyszeć?*

— . . . no . . . więc my musimy pacjentów nie tylko pocieszyć, ale im także przedstawić konsekwencje, na jakie się narażają, nie stosując naszych wskazówek, niektórych trzeba i złajać . . .

— *A osobiście wolisz pacjentów ciekawych, czy takich, którzy nie za wiele wypytują?*

— My musimy od samego początku zainteresować pacjentów ich chorobą, wymagamy przecież współpracy, udzielamy wskazówek, dotyczących przyjmowania pokarmu, napojów, zasad życia. Bez tej współpracy lekarza z pacjentem dochodziłoby bardzo szybko do poważnych komplikacji, które mogłyby zniweczyć nasz wysiłek.

— *Czy są przypadki choroby, którą spowodował sobie nieprawidłowym stylem życia sam pacjent?*

— Chodzi przede wszystkim o przewlekłe

stany zapalne nerek, które niewyleczone przechodzą w stadia przewlekłe, funkcja nerek stopniowo się pogarsza, aż, jak powiedziałem, leczenie zachowawcze już nie zdaje egzaminu. Oczywiście należą tu również choroby wrodzone nerek, które przejawiają się w większości już w wieku dziecięcym, dalej chodzi o choroby systemowe, gdzie jednym z przejawów jest schorzenie nerek na przykład w wypadku cukrzycy. Cukrzyca może się skomplikować o chroniczną niewydolność nerek.

Obecnie przybywa schorzeń nerek związanych z przyjmowaniem większej ilości pastylek przeciwbólowych. Wiemy już, jakie proszki wywołują te schorzenia: to te z zawartością fenatecyny na przykład Dinyl, Sedolor, Alnagon. Stosowanie tych tabletek może po kilku latach doprowadzić do niewydolności. Poza tym jest to kamica nerkowa, należycie nieleczona; jednym słowem właściwie każda przewlekła choroba nerek może wywołać niewydolność nerek.

— *A alkohol?*

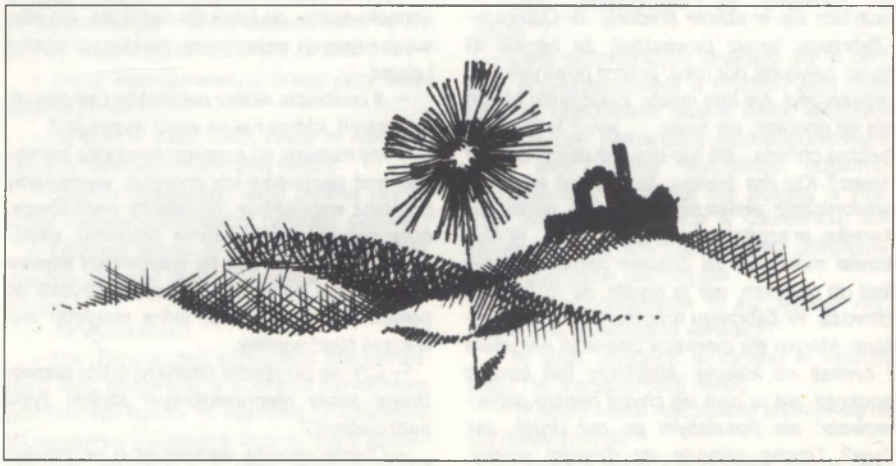
— Alkohol uszkadza wątrobę, nie nerki.

— *A czy ilość cieczy ma wpływ na zdrowie nerek?*

— W zasadzie nie, organizm poprzez uczucie pragnienia u zdrowego człowieka sam reguluje ilość pobieranej cieczy.

Kiedy ukaże się ten numer Zwrotu, w Pilźnie odbywać się będzie konferencja lekarzy z ośrodków dializy z całego kraju. W tym czasie powinny być już otwarte albo szykować się do otwarcia ośrodki dializy w kolejnych powiatach: w Nowym Jiczinie, Frydku-Mistku i Ostrawie.

OTYLIA TOBOŁA



rys. BRONISŁAW FIRLA

PIEŚŃ ZA DRUTEM KOLCZASTYM

Już przebrzmiał grom i świat swą zmienia twarz
Ojcowski dom na powrót czeka nas
Pójdziem w jasny dzień z zasobem nowych sił
Więc żegnaj nam świecie kamiennych brył!
(Hymn Gusenowców)

W kwietniu — Miesiącu Pamięci Narodowej — ożywają nasze wspomnienia z czasów gwałtem narzuconej niewoli. W okresie tym składamy kwiaty przy pomnikach, w hołdzie tym, którzy utracili życie w obronie wolności. W walce o życie zwłaszcza w obozach koncentracyjnych ogromną rolę odgrywał hart ducha. Do jego umocnienia przyczyniła się pieśń; jej znaczeniu w warunkach niewoli poświęcony jest ten artykuł.

Jest rzeczą trudną wytłumaczyć człowiekowi, który przeczytał choćby jedną książkę o obozach zagłady, iż pomimo znęcania się nad więźniami i mordowania ich w rozmaity sposób istniały wśród nich konkretne przejawy żywotności kulturalnej. Typowym przykładem tego faktu był obóz koncentracyjny Gusen na terenie Austrii, w którym decydującą większość stanowili Polacy.

Głównym celem hitlerowskich obozów koncentracyjnych było biologiczne wyniszczenie narodów, zwłaszcza słowiańskich, poprzez morderczą pracę oraz złamanie ducha oporu. A jednak w tych warunkach wykazywali więźniowie wysoki hart ducha, ogromną wolę przetrwania, wspaniałą postawę ludzką oraz solidarność więźniarską. Tworzyły się organizacje podziemne, rozwijał się ruch oporu, który przybierał różne formy.

Działalność obozowa polegała na pracy politycznej, wychowawczej i kulturalno-oświatowej. Jedną z nich było pielęgnowanie polskiej pieśni jako części składowej obozowego ruchu oporu. Rzeczywiście we wspomnianym obozie istniał w ostatnich latach

wojny potężny chór męski. Była również i wspaniała orkiestra.

Jeden z poetów obozowych Włodzimierz Wnuk tak napisał po wojnie w swej książce „Byłem z wami" na temat powstania chóru: *Nie braliśmy tego na serio, chór w Gusen? Diabeł by się z tego uśmiał, tu, gdzie ludzi topiono w gnojówkach, gdzie dobijano ich po to jedynie, żeby im zabrać złote zęby, gdzie mary ludzkie przewracały się przy lada pracy z głodu, wycieńczenia, tu w Gusen myśleć o chórze?...*"

Bardzo trudne były jego początki, bowiem śpiewanie po polsku było zakazane. Mała grupa zapaleńców śpiewała potajemnie w różnych blokach pod kierownictwem jej organizatora i dyrygenta Józefa Pawlaka z Poznania. Później jednak zyskiwano coraz więcej śpiewaków w celu stworzenia większego zespołu.

Śpiewanie, na początku zakazane, z biegiem lat było tolerowane, aż w końcu pieśń zdobyła sobie prawo obywatelstwa w obozie. Nie mieli nic przeciwko niej niemieccy kapowie i więźniowie funkcyjni, zaś oficerowie SS udawali raczej obojętność. Miały na to wpływ i niepowodzenia na froncie.

Najbardziej zapalonym organizatorem okazał się pochodzący z Kaszub Lubomir Szopiński, doskonały dyrygent i znawca w tej dziedzinie. Aby nie dawać powodu do podejrzeń, próby odbywały się w wychodkach lub łaźni. Gustaw Przeczek w „Kamiennej Golgocie" tak opisuje tę scenę: ... *Pierwsze tenory zawiadomione. Zbiórka w ustępie. Na brudnym papierze niewyraźnie, bo w pośpiechu i niewygodnie napisane nuty. Siada kilku obok siebie pozorując załatwienie potrzeby fizjologicznej — i zaczyna się próba chóru... Nie ma skrzypiec, nie ma akordeonu, nie potrzeba. Wystarczy zapał. W niedzielę poza blokiem przykucnięci do ściany bloku próbują wszystkie głosy. Dyrygent Lubos na wszystko ma radę. Cichutko brzmi akord po akordzie, łączy się w melodię, która rozsadza piersi. Pierś rozszerza się, przestronna i mocna i głaz granitowy odbije się od niej. Wśród tłumu więźniów poznasz kilkunastu śpiewaków po blasku w oczach, radosnym skupieniu w twarzy. Nową moc ujarzmili w swej piersi, której nie wydrą im esmani...* W innym zaś miejscu o dyrygencie Szopińskim pisze wspomniany już Włodzimierz Wnuk: *Przy tragach, na których nosiło się w dwójkę piasek, wapno lub glinę, podawał przy marszu ton i szkolił partnera. W kamieniołomie przy obróbce kostki, gdy tylko kapo trochę się oddalił, rozlegało się ni stąd ni zowąd tajemnicze mruczando. W czasie przerwy obiadowej, na którą czekaliśmy jak na zmiłowanie, byle tylko dorwać się do zupy i odpocząć, z głębi baraków służących za umywalnie dolatywał nas śpiew — chóralny śpiew!...*

Śpiewano przeważnie pieśni do tekstów napisanych i skomponowanych w obozie. Było tu bowiem sporo poetów i kompozytorów, wśród których wyróżniał się akordeonista z Poznania „Jasio" (Gracjan Guziński), autor Marsza gusenowskiego i wielu innych wspaniałych utworów. Marsz gusenowski zaczynający się od słów „Już przebrzmiał grom..." stał się obozowym hymnem, ponieważ przepowiadał już zbliżającą się wolność. W początkach tematyka pieśni była smutna, wyrażająca nostalgię, później związana z życiem obozowym naśmiewała się nawet z przełożonych.

Były pieśni wyrażające skargę lub tęsknotę do wolności. Nie brakło pieśni humorystycznych jak np. „Pchła". Pieśni podnosiły więźniów na duchu, wpływały na ich samopoczucie, mobilizowały do walki o życie i godność ludzką.

Pieśń łączyła więźniów w solidarny zespół w stopniu wyższym, niż jakiekolwiek nawoływanie do braterstwa i jedności. Liczba pieśni powstałych w obozie Gusen i organizowane dla więźniów imprezy były świadectwem niepodległego ducha w warunkach niewoli. Niektóre pieśni wykonywane były przez solistów, a było w obozie kilka tenorów, jak Tadeusz Faliszewski, Zygmunt Malinowski, Kazimierz Kiełczewski oraz bas-baryton Józef Gruszczyński, znany aktor polski. We wspomnieniach więźniów niezapomniany był wieczór wigilijny w roku 1943, kiedy to na tle wysokiej jodły na placu apelowym w obecności tysięcy więźniów zaprezentował się 100-osobowy chór męski, chór międzynarodowy, ponieważ śpiewali w nim nie tylko Polacy, tworzący jego trzon, ale Czesi, Słowacy, Jugosłowianie, Niemcy i inni. Byli obecni i oficerowie SS, zaś pełniący tego dnia służbę Kluge wygłosił tam przemówienie, pełne buty, gróźb, wyzwisk, wychwalając się przy tym, iż pozwolił więźniom na wysłuchanie chóru pod kierownictwem Szopińskiego.

Pierwszą pieśnią, którą chór odśpiewał po niemiecku była „Stille Nacht", potem kolęda czeska „Co to znamená . . .", następnie jugosłowiańska „Zvonari zvonite", a w końcu kilka kolęd polskich w układzie dyrygenta Szopińskiego. Ten wspaniały wieczór zakończył się odśpiewaniem kolędy według słów Lenartowicza . . . „Hej ludzie prości, Bóg z wami gości, skończony czas niewoli . . ." Więźniowie zbratani nędzą, głodem i upokorzeniem, stali i słuchali z zachwytem, zapartym oddechem i łzami w oczach.

Mimo iż pieśni wykonano w różnych językach, wszyscy je rozumieli, znajdując w nich niewypowiedziane tęsknoty i nadzieje. Wracali do swych bloków głodni, ale wzruszeni i podniesieni na duchu. Pieśń słuchana przez blokowych i kapów, a więc współwięźniów, których w większości trzeba określić jako zbrodniarzy, oraz przez oficerów spod znaku SS powodowała metamorfozę psychiki, co było można obserwować w ich postawie. Byliśmy przekonani, iż wspomniany Kluge w czasie słuchania na pewno by nie użył swego pistoletu, choć dnia następnego wcale się nie różnił od reszty oprawców.

Wieczór wigilijny w roku 1943 był wydarzeniem wyjątkowym, dla niejednego niewiarygodnym, a jednak prawdziwym. Chór gusenowski był skutecznym lekarstwem przeciwko załamaniu się w walce o zachowanie życia.

Pieśń za drutem kolczastym bratała więźniów różnych narodowości, budziła wiarę w niezniszczalność ideałów i potęgi ducha. Czuliśmy się wtedy złączeni ponad otaczające nas druty z całym cierpiącym ludem śląskim, do którego tak bardzo chcieliśmy wrócić. Słuchając pieśni w obozie jakby w ekstazie, zapominaliśmy o udrękach, mozołach i katordze. Na duszy robiło się lżej. Zrozumieliśmy, jak silną, potężną bronią może być śpiew i słowo polskie w nim zawarte, mobilizujące, hartujące i pomagające przetrwać ciężkie ponad siły czasy.

JÓZEF KAZIK



fot. DRAHOSLAV RAMÍK

JESTEM POETĄ LUDOWYM

— Do końca życia pozostanę chłopem i wierny tradycji ludowej — mówi Feliks Rak, poeta i rzeźbiarz Kielecczyzny, z którym miałam przyjemność spotkać się w jego rodzinnej wsi, w Borowcu, pod koniec ubiegłego roku, goszcząc na Kielecczyźnie wraz z redakcją Zwrotu na zaproszenie miesięcznika społeczno-kulturalnego „Przemiany".

Trudno było uwierzyć rozmawiając z Rakiem, że nie chodził do szkoły, że uczył się sam. Wiedza i doświadczenie, jakie zdobył w ciągu swego niezwykle aktywnego życia, przyniosła mu uznanie całego społeczeństwa.

Do pracy społeczno-politycznej włączył się już w latach przedwojennych. Przez kilka lat pełnił funkcję prezesa Stronnictwa Ludowego, przewodniczył Radzie Nadzorczej Spółdzielni Spożywców Społem, był prezesem Kółka Rolniczego, wreszcie walcząc o prawa chłopskie został wybrany wójtem Krasocina. Za swą działalność, niewygodną często dla władz, był aż pięciokrotnie aresztowany.

W czasie wojny już w 1940 roku zostaje wywieziony do obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen, a potem Dachau. O obozowym doświadczeniu Raka trzeba pamiętać, by zrozumieć jego twórczość powojenną. Debiutuje tomem wspomnień „Krematoria i róże".

— Pracowałem wtedy poza obozem na plantacjach ziół leczniczych, zimą w cieplarni, od wiosny na poletku doświadczalnym. I pewnego razu, to niedziela, zwraca się do mnie sekretarz naszego bloku, rodak ze Śląska Cieszyńskiego, że pójdziemy popatrzeć na róże. Za blokiem trzydziestym rosły róże, różnych kolorów. Pomyślałem, po co oni posadzili te róże, krematoria i róże? Przyszliśmy tam i on mówi tak: Na terenie obozu jest tajna organizacja, kolegę obserwujemy od kilku miesięcy i doszliśmy do wniosku, że kolega się będzie „nadawał". Zrozumiałem, że mam do czynienia z Polakiem, i mówię — „tak, skoro uważacie, że jestem potrzebny". No i zostałem skierowany do komanda, gdzie było zakonspirowane radio. Ileż to rewizji było, ale nigdy nie pomyśleli, że nasza stacja jest na plantacjach. Bohunek nosił radio w konewce, wchodził w te roślinki, nastawiał i słuchał. Było to życie bardzo ciekawe, ale niepewne. Nakryją — śmierć.

Rak we wspomnieniach obozowych nie mówi jednak o śmierci, ale o życiu, wierzy w zwycięstwo dobra nad złem. Stara się nie zarazić obozową deprawacją, broniąc się cwaniactwem, kpiną.



Feliks Rak

— Byłem lubiany przez bractwo, może dlatego, że byłem ruchliwy i wesoły. Zawsze mówiłem — „nie załamywać się". Wchodziłem wszędzie, odważnie, bo wyglądałem jak blokowy — granatowa czapka (uszyłem ją, jak pracowałem jeszcze jako krawiec), nowe pasiaki i koszula (bo miałem kolegę w magazynie), więc szedłem odważnie. Mówię, jak przeżyję, to żebym miał co do opowiadania.

U Raka — pisze Andrzej Lenartowski — trudno znaleźć wykrzykiwaną rozpacz, tragizm na pokaz. To, co u innych wykrzyczane, u Raka jest ukryte, jakby w domyśle. Tylko na krajobrazie się kładzie cień dymu z krematorium, w ciszę wdziera się odgłos strzału. Ale nie ten cień i nie ten strzał dominują, życie trwa mimo nieustannego zagrożenia.

— Żeby urozmaicić trochę życie obozowe, pisałem wiersze i dawałem wieczorki. Miałem lęk, ale gdzieś wewnątrz była taka pokusa, żeby to robić. Na święta jeden kolega mówi, napisz wiersz, taki, żebyś nas myślą przeniósł do domów, do rodzin. Napisałem, i kiedy łamaliśmy się opłatkiem — no, okruchami chleba — czytałem:

Już trzeci rok wigilijny,
smutkiem napełniona chata.
Boże drogi, któż jest winny,
że nie ma ojca, męża, brata . . .

Bractwo płakało . . .

Przychodził też do mnie co wieczór prof. Kurpiński z uniwersytetu poznańskiego i pytał, co napisałem. Pewnego razu mówi tak: „Piszemy wiersze! Ja napiszę dla swojej Haneczki, a ty dla swojej Irci". Dobrze. Piszę:

Już od rana rozśpiewana moja Ircia gąski gna . . .

Rano — brakuje jednego, ktoś na drutach leży. Ja jeden wiem, jak on tęsknił za tą Haneczką.

Po wyzwoleniu Rak wraca do rodzinnej wsi. Znów włącza się w wir życia społecznego. Był członkiem prezydium Powiatowej Rady Narodowej we Włoszczowej, prezesem Związku Samopomocy Chłopskiej i Powiatowego Związku Kółek Rolniczych, zakłada Dom Dziecka w Olesznie, Wojewódzki Oddział Stowarzyszenia Twórców Ludowych w Kielcach, gdzie pełni funkcję prezesa przez 10 lat. Pisze wiersze, artykuły, korespondencje, zajmuje się twórczością pamiętnikarską i uzyskuje wiele nagród, między innymi w konkursie na temat „Wartość i cena samodzielności" otrzymuje pierwszą nagrodę. Przede wszystkim jest jednak Rak poetą. Oprócz tomiku „Krematoria i róże" ukazał się jego zbiór wierszy pt. „Śpiewam wsi mojej", a ostatnio „Idę do was po słowa otuchy". Pisanie wierszy przychodzi mu z ogromną łatwością, pisze o pracy, o ziemi, wiejskim krajobrazie.

— Jadę z Kielc, jest przystanek o nazwie Wierna Rzeka, zanim dojechałem do Lutyni (dwa przystanki) to napisałem:

Wierna rzeko płyń,
bom twój wierny syn . . .

i piszę o chlebie —

Lubię w polu zapach chleba
co w kłosach dojrzewa.

fot. PIOTR PRZECZEK

Lubię bardzo śpiew skowronka
gdy nad niwą śpiewa.

Lubię kiedy rzucam ziarno
na młyńskie kamienie.
Kocham rano i wieczorem
swoich ojców ziemię.

Kiedy stanę na rozstaju
z mego ojca pługiem
będę orał ojców ziemie
nad Odrą i Bugiem.

Będę słuchał głosu ptaków
i krzyku żurawi.
Mały chłopczyk na fujarce
ten mój wiersz rozsławi.

Bardzo kocham zapach chleba
ten co powstał w dzieży.
Upieczony w chłopskim piecu
gdy na stole leży.

Wtedy w siłę moje serce
tak bardzo urasta
i uderza w mojej piersi
niby młotem Piasta.

Staraniem Raka powstało też pierwsze chyba w Europie Muzeum Chleba, urządzone w starym, murowanym wiatraku systemu holenderskiego.

– Zawsze patrzyłem na niego, kiedy chodziłem do Krasocina, żeby to uratować. Kiedy byłem członkiem gminnej Komisji Oświaty i Kultury, zwróciłem się o przeprowadzenie remontu. Potem zająłem się zbieraniem eksponatów. Trwało to rok czasu. Jeździłem po okolicy i zbierałem począwszy od radła drewnianego, którym pradziadowie uprawiali ziemię, poprzez brony, żarna, niecki, dzieże, cepy, wiele rzeczy zrobiłem sam, paprycze i wrzeciono zrobił kowal. Żeby była ładna dekoracja, wyrzeźbiłem kobietę i chłopa, ubrałem w stroje ludowe i tam postawiłem. Przyszedł sąsiad i mówi, co tam syn będzie szukał panny, tak mu się spodobała ta moja kobieta. Na otwarcie muzeum przybyło ponad trzy tysiące ludzi, ja przemawiałem, bo do chłopów to ja umiem mówić, a uczonych to się boję, żeby się nie pomylić i w słowie, i w pisaniu.

Chcieliśmy zwiedzić muzeum, niestety jest nieczynne, eksponaty pewnie zniszczone, ale Rak nie traci nadziei, robiąc starania o jego ponowne przywrócenie do życia. Pod koniec wizyty oglądamy rzeźby Raka – rolnik siejący zboże, kowal, leśnik, kobieta zbierająca zboże, babcia wiejska – moje myśli wędrują w kierunku Łomnej, ale wracam, bo 83-letni gospodarz zaprasza jeszcze do obejrzenia gospodarstwa. Już przed domem opowiada o jego modernizacji, o nowych sposobach gospodarowania, należał przecież do przodujących gospodarzy. Na pożegnanie częstuje nas pachnącymi, czerwonymi jabłkami z własnego sadu. W drodze powrotnej otwieram ofiarowany mi przez poetę tomik wierszy i czytam:

Ręka rękę trzyma
niby w całusie
dzioby bocianie
niby dwie sosny
splecione w borze
moja ręka
spleciona z pługiem
kiedy nią
pole
niekiedy orzę.
Każda ręka
ma znak
swojego życia
Jedna poda
drugiemu chleba
inna
drugiego
kamieniem
uderzy z ukrycia.
Ręka ręce daje
swój uścisk
i często zrywa
dla Ciebie
kwiaty i kwiatki.
Jedna ręka
co nie zawiedzie
to ręka
twojej
i mojej matki.

EWa

WIEŻA LOCHY I TEATR SATYRY

Krakowski Rynek Główny kojarzy się nam zazwyczaj ze słynnymi Sukiennicami i kościołem Mariackim. A przecież dawniej, jak zresztą na każdym szanującym się rynku, stał tu ratusz krakowski — najwspanialszy z ratuszy polskich. Jego budowę rozpoczęto już w II poł. XIII wieku, a ukończono ją za czasów „króla budowniczego" — Kazimierza Wielkiego. Przebudowywany kilkakrotnie, był również niszczony przez wielkie pożary w latach 1556, 1570 i 1680. Dreszczykiem napawa fakt, że wówczas w piwnicach ratusza mieściły się więzienia, izby przesłuchań i tortur, a nawet dziedziniec straceń! Jednak tej średniowiecznej budowli nie było dane dotrwać do naszych czasów — zburzono ją w 1820 roku. Z pamiętnej akcji "burzymurków" ocalały tylko Sukiennice i górująca nad nimi do dziś samotna Wieża Ratuszowa.

W latach 1961—1967, dzięki staraniom prof. Wiktora Zina, znanego nam m. in. z dawniejszej audycji telewizyjnej „Piórkiem i węglem", podjęto prace konserwatorskie, które przywróciły wieży dawny jej wygląd. Odtąd pomieszczenia wieży używane są do celów reprezentacyjnych podczas wielu uroczystości. Mieści się tu również ekspozycja Muzeum Historycznego miasta Krakowa, ukazująca historię rozwoju władz miejskich.

A co stało się z więzieniami i salami tortur? W podziemiach znajduje się teraz stylowa kawiarnia i teatr. A na miejscu dziedzińca straceń . . . hol z szatnią. Pomimo upływu lat mury te tchną nadal średniowieczną atmosferą. Towarzyszy ona już przy wejściu do piwnic — gdzieś poza nami pozostaje jasny, gwarny Rynek, a ogarnia nas chłód i ciemność. Schody prowadzą w dół, a zamiast poręczy służą do podtrzymywania grube łańcuchy. Po przejściu przez mały hol wchodzimy do sal. Surowe, grube mury, potężne sklepienia, piękne kamienne portale, stylowe sprzęty, półmrok sal, stwarzają niepowtarzalną atmosferę kawiarni. Panie kelnerki w długich strojach proponują staropolski miód królewski albo po prostu specjalność kawiarni — płonące lody.

Ale największą atrakcją jest pracujący w podziemiach Wieży Ratuszowej Teatr Satyry „Maszkaron", który zainaugurował swą działalność 17 grudnia 1983. Trzydzieści lat czekał stary Kraków na tego typu placówkę, która dzisiaj zgłodniałym uśmiechu widzom daje kilkadziesiąt spektakli miesięcznie. Są

to propozycje różnorodne: od frywolnych spektakli, jak „Dekameron" Boccaccia, czy „Gargantua" Rabelaisa, po sztuki poważne, lecz optymistyczne, jak „Śmierć na gruszy" Witolda Wandurskiego. Ostatnio jest także grany „Wspinacz" Ivo Brešana, a przygotowywany jest „Wiktor, czyli dzieci u władzy" Rogera Vitraca.

Zawsze zastanawiałam się, jak może wyglądać takie przedstawienie w podziemiach, i z ciekawości poszłam na „Dekamerona", którym niegdyś „Maszkaron" zainaugurował swą działalność a który grany jest z powodzeniem do dziś. Nieprzypadkowo reżyserami tej sztuki byli Mieczysław Górkiewicz i Brunon Rajca. Jak zwykle był komplet widzów, aż dziwiłam się, że tylu ich pomieściła maleńka sala. Scena zaś była prawie że mikroskopijna; towarzysząca aktorom orkiestra usadowiła się obok. Po odsłonięciu kurtyny ujrzeliśmy bardzo oszczędną i skromną, ale za to pomysłową scenografię — duże drewniane drzwi były opuszczane lub ustawiane i w zależności od sytuacji służyły jako mur, okno, łoże lub po prostu brama. Adaptacji kilku nowel dokonał Henryk Cyganik tak, że mogły być zagrane na małej scenie, a poza tym autor adaptacji mówi tu sam od siebie, słowami swych piosenek czy nawet wierszy. Łączą się one w całość z treściami tekstu wielkiego Boccaccia. A w cały ten wesoły, frywolny, a czasem pełen zadumy świat wprowadzają nas dwie główne postacie: Mistrza i Śmierci.

Mistrz na początku opowiada o Śmierci, która niepostrzeżenie przyszła do Florencji w roku 1384. To właśnie w ucieczce przed zarazą autor zatrzymuje się z przyjaciółmi na wsi i tu opowiadają sobie różne zdarzenia. Jest więc pokazana historia sprytnej Sismondy i chciwego Arriguccia, naiwnego Calandrina, który uwierzył, że jest w ciąży, Feronda w czyśćcu i starych mężów. Pełno tu krzyków, kpin, półsłówek. Aktorzy występują w maskach i strojach, jak z dawnej komedii włoskiej. Całości dopełnia wesoła muzyka Henryka Mosny.

Nie jest to w sumie umoralniająca sztuka dla grzecznych dzieci — to po prostu rubaszny Boccaccio i jego prawdziwa „komedia ludzka" — barwna galeria sprytnych i pełnych pomysłów postaci. Zastanawiające, że ludzkość przez tyle wieków tak mało się zmieniła . . . Spektakl ten odrywa nas od codzienności, a częste wybuchy śmiechu pozwalają przypuszczać, że jędrny humor dociera do wszystkich.

Polecam więc „Dekamerona" tym wszystkim, którzy lubią teatr satyry, jak również scenerię odmienną od tej tradycyjnej. Wieża Ratuszowa chowa w swych podziemiach świat trochę inny niż ten, do którego przyzwyczailiśmy się na co dzień, świat, który wciąga wrażliwych, świat, o którym pisze autor adaptacji, Henryk Cyganik, w swoim wierszu:

„Pozostań niedomknięta
„Dekameronu" księgo.
Przez teatr cienie przemkną,
ludzie w pościeli legną.
Zagłuszy kierat prozy
harfę poezji srebrną . . .
Wejdziemy w maski, pozy —
będzie nam wszystko jedno;
ty wtedy otwórz kartę na obojętnej stronie
i zakazanych jabłek
nasyp w otwarte dłonie . . ."

RENATA PUTZLACHER

O MACIEJU

Godząc się na „Macieja", Ludwik Cienciała (10 I 1922—14 VI 1984) nie przypuszczał pewnie, że wyzbywa się własnego nazwiska. Wszedłszy bowiem „nieopatrznie" na tereny, gdzie rządzą prawa kulturowe, stworzył siebie i n n e g o; do tego stopnia innego, że wyrazem „inny" poczęto w końcu określać człowieka prywatnego, „cywilnego". Nie wszyscy wiedzą, że Ludwik Cienciała na co dzień należał do zrównoważonych i poważnych, kłopoczących się zwyczajnie sprawami z t e g o ś w i a t a . Trzeba zresztą wiedzeć, że właściwie dochodził do swego Macieja drogą społecznikowską, która zawarła w sobie w zaskakujący sposób fakty na pozór niespójne i różnorakie. Ale jakże mieszczące się w cieszyńskich życiorysach! Od międzywojennego harcerstwa, od huty i legendy wrześniowego kamieniołomu poprzez losy okupacyjne po intensywne zabiegi społeczno-kulturalne w rodzimej Lesznej Dolnej, w jabłonkowskim „Gorolu" i w ZG PZKO.

Niby ewenement — szczególne zjawisko z pogranicza folkloru i ludowego piśmiennictwa, z zetknięcia się ludowej tradycji ustnej z gawędziarstwem robotniczych kolinii i z jego przeciekami na karty popularnych kalendarzy . . . Czyli kultura tzw. popularna czy powszednia, którą można rozpatrywać w kilku płaszczyznach i pionach: przede wszystkim jako podłoże i tło. Ale także jako autentyczną wartość lub źródło dociekań i dokonań bardziej świadomych i celowych. Kontynuacja — w nowych, odmienionych warunkach — albo wspólnego relaksu na imprezach związkowych, albo poszukiwań ogólniejszych wniosków kulturalnych w twórczym przeobrażaniu.

Dla przykładu i w ramach dygresji: Ot, przed niedawnem sarkano we Frysztacie na niedomogi „Kalendarza Śląskiego 1987" — w zakresie gatunków literacko „najpośledniejszych", jak poradnictwo praktyczne, prognozy itp. Czyli rola specyficznych, drobnych zapotrzebowań wżytych przez lata . . .

* * *

Wobec zbioru „Śmiych Macieja" (. . . Ze zbioru Ludwika Cienciały, Profil, Ostrawa 1986, ss. 239, nakład 2 500, cena 18 Kčs) można z jednej strony wysunąć pewne zarzuty i nawet je zgrabnie uzasadnić, ale nie znajdzie się z pewnością ich potwierdzenia wśród ogólnej bazy czytelniczej. Z drugiej strony zbytni entuzjasta Macieja raczej nie dopatrzy się w jego „Śmiychu . . ." tej rangi zjawiska, jakim ono było na żywo — w opozycji sytuacyjnej wobec Jury spod Grónia. Oczywiście niezależnie od walorów bezpośredniego, żywego wykonawstwa.

Czy można by z owego chyba przydługiego i nieco chaotycznego nagromadzenia pospolitego humoru wykroić właściwą sylwetkę Macieja, który po swojemu patrzy wokół siebie? I obok Jury spod Grónia lub dawniejszego Michoła przede wszystkim zagospoda-

rował wspomniane tereny nadolziańskiego 40-lecia — właściwie niepowtarzalny. Długie są koleje owej książki, jej rękopis krążył pracowicie od lat. Należałem do tych optymistów, którzy sądzili, że w ciągu trzech — czterech wieczorów kompetentna trójka ludzi jest w stanie wyłonić z rękopisu niezłą pozycję, która może oparłaby się Karlikowi z Kocyndra? „Śmiych Macieja", zredagowany w końcu przez Jana Korzennego, spełnił określoną rolę i rozszedł się w kilka dni („Profil" niestety na to nie zareagował). Mimo to książka w jakimś sensie rozczarowuje. Najpewniej dlatego, że każdy z nas poznał i skonstruował sobie swojego własnego Macieja i co innego sobie pod tą przede wszystkim sceniczną postacią wyobrażał. Najlepiej tedy będzie przyznać rację najogólniejszemu czytelnikowi i życzyć mu kolejnych wydań „Śmiychu Macieja", samemu natomiast wyłonić z książki systemem znaków graficznych na marginesie własną wersję — niestety wspomnienia, świata pojęć i przeżyć łączonych nie tylko z Maciejem, bo przede wszystkim z własnymi tamtymi latami. Najlepiej, przypuszczam, tropem sugestii ilustratora Bronisława Liberdy.

* * *

Ważny szczegół z biografii owiany już legendą . . .; wypada sprostować przypuszczenia, że Ludwik uczestniczył w pierwszym naszym leszniańskim starciu z agresorami z 1 września 1939 roku. Fakt ten doczekał się dwóch interesujących SLA-owskich pozycji literackich: reportażowego tropienia tematu w „Pierwszym dniu ostatniej wojny" Kazimierza Jaworskiego (GL — 9—30 X 1984) oraz opowiadania W. A. Bergera „Kamieniołom" (Kalendarz Śląski 1985). Berger powodował się tutaj czyimś wspomnieniem z seminarium trzynieckiej Grupy Literackiej '63, a dotyczyło ono m. in. Adama Wawrosza, przypuszczalnego uczestnika owego wydarzenia, w wyniku którego na szosie leszniańskiej zginęli oficer i podoficer niemiecki oraz miejscowy Polak Jan Błacha. Świadkowie, zamieszkali w spalonej przez Niemców Bardoniówce, nie umieli się wtedy zorientować, czy strzelano z Grodziska, z kamieniołomu lub z wieży kościoła katolickiego . . .

Długośmy rozmawiali o tamtym tragicznym dniu i o innych jeszcze sprawach — relacjonuje K. Jaworski — *o jego pasji zbierania starych miejscowych pieczątek, o historii naszego terenu, o ludziach. Ale wróćmy do 1 września 1939, jak on go* (L. Cienciała) *zapamiętał.*

Był piątek, dzień pogodny, słoneczny. Rano udał się jak zawsze do pracy (. . .) w dziale gospodarki materiałowej w hucie trzynieckiej. W tym dniu trzech miejscowych Niemców nie przyszło już do biura.

Wojsko niemieckie szło od Kanady i Trzynieckiego Lasu. Mosty były obstawione przez ludzi z Przysposobienia Wojskowego i Obrony Narodowej. Około godziny 7 lub 8 już było wiadomo, że jest wojna. W hucie panował chaos. Ludzie rozchodzili się do domów. Cienciała wyszedł także. Dołączył do swojej grupy harcerskiej. Spotkali się przed swym ośrodkiem nad jazem w Trzyńcu. Od swego naczelnika otrzymali rozkaz wycofania się do ośrodka harcerskiego w Górkach Wielkich. Ruszyli znaną nam już drogą koło Niemca (miejsce, gdzie po południu padł Jan Błacha — WS). *Kiedy byli na Mrowcówce, usłyszeli detonację. Wysadzono trzyniecki most. Było coś po godzinie jedenastej. Do Górek wraz z kierownikiem dotarło 18 harcerzy, z tego 8 było z Trzyńca.*

* * *

Czy coś tu czemuś zaprzecza? To, co w barczystej sylwetce robotniczej wydawało się na ogólniejszym tle powszednie albo i pospolite, przynosiło zadziwiające efekty. Czy to człowiek konsekwentny? Albo to działanie grupowe; bo jest obok Ludwika miejsce dla przyjaciela jego i poety Gabriela Palowskiego! . . .

Iluż u nas ludzi ma te zdania w życiorysie: W czasie okupacji najpierw więziony, później zesłany na prace przymusowe w Rzeszy. W hucie pracował od r. 1938 jako frezer i dłutownik w warsztatach mechanicznych. W r. 1982 przeszedł na emeryturę. Członek

ZG PZKO (Prezydium). Współzałożyciel zespołu „Smyki"; współtwórca festiwali piosenki polskiej; długoletni członek jabłonkowskiego „Gorola" — jego popularny „Maciej".

Nie sposób u Ludwika oddzielić faktów biograficznych od społecznikowskich, zauważmy. Wyrastał wśród pilnej działalności społecznej, gdyż była ona takimż chlebem powszednim jak praca zawodowa. Ci sami ludzie i tam, i tu — z całym bogactwem indywidualności oraz wspólnych interesów — powiązanych dawnymi i nierozerwalnymi nićmi klasowymi, kulturalnymi, etnicznymi . . . A miał Ludwik przy tym w darze wnikliwą spostrzegawczość, swoisty słuch wyczulony w kierunkach wspólnych zapotrzebowań duchowych i sposobów ich rozwiązywania; odczuwał wspólnotę jak bratnią indywidualność skorą do rozmowy . . .

Oto jak zrodził się FPP: *W Lesznej Dolnej, tak samo jak w innych kołach PZKO* — zwierzał się Cienciała w r. 1966 — *było dużo śpiewaków, którzy nie byli znani szerszej publiczności, a zasługiwali na to, aby się jej przedstawić. Pracowałem z młodymi i wiedziałem, że ta nowa forma ich pociąga i że dobrze będzie, gdy zmierzą swoje siły z innymi. Urządziliśmy I Festiwal* (właściwie Nasza Piosenka — WS) *w Lesznej, poszło dobrze i to był początek.* Zauważmy tę drogę: FPP musiał trafić do Trzyńca, następnie do ZG PZKO, aby poszukać sojusznika i współorganizatora w ostrawskiej rozgłośni radiowej . . . Podobnie już wcześniej rozwijała się sceniczna biografia Macieja, a to w „innej parafii!" Pobudki były w zasadzie prościutkie, wynikły z programu kulturalnego trwania i przetrwania, wyniki wszak przekroczyły oczekiwania. Trafiły po prostu na żywotne zapotrzebowania rozwojowe, twórcze. Uświadamiamy sobie, że bez indywidualnych walorów Cienciały też by gdzieś dochodziło do owych początków — ale czy w tak prosty sposób trafnych jak strzał w dziesiątkę?

Biograf L. Cienciały, względnie jego alter ego — Macieja, nie natrafi na mnóstwo materiału; najpełniej wypadło mówić o sobie samemu Cienciale. W cyklu "Opowiadania Macieja" w „Zwrocie" (1/84) obok „Życiorysu Macieja" znajdziemy decydujące fakty realnej strony naszego zjawiska ludowego, folklorystycznego: *Zaczęło się w 1950 roku, kiedy zgłosiłem się do jedynego aktywnie wówczas działającego zespołu — jabłonkowskiego „Gorola". Przez pewien czas śpiewałem w chórze, dopiero rok 1952 przyniósł zmianę: wówczas bowiem postanowiono przygotować sztukę Władysława Niedoby „Gorolsko blyskawica". Jedną z postaci był właśnie nieporadny, trochę gburowaty Maciej. Nikt się jakoś nie kwapił do objęcia tej roli, więc zgłosiłem się ja. Maciej w moim wykonaniu spodobał się najpierw kolegom z zespołu, a potem i publiczności. Wkrótce też napłynęły zaproszenia do występów indywidualnych. Było to w Trzyńcu podczas uroczystości z okazji MOKiP 30 października 1954, a więc przed 30 laty. Od tamtego czasu występowałem już ponad 800 razy, wspólnie z Jurą — Władysławem Niedobą od połowy lat 60. drugie tyle. W ten sposób można by w paru zdaniach ująć życiorys Macieja. Już podczas pierwszego występu przedstawiałem jednak słuchaczom inny, sceniczny życiorys . . .*

A. Mainka widział w nim postać, która *jest dosadnym wyrazem właściwego odczytania beskidzkich legend, tkwiąca w bogatym świecie przeszłości ludowej;* wyliczył jego wyjazdy z Gorolem, ChNP, Olzą, Przełęczą i in. *Znają go w Pradze i Jeseníku, Starej Bielej, Ostrawie i po drugiej stronie Olzy — od Cieszyna do Warszawy — wczasowicze Ustronia i Jaszowca. Znają go we wszystkich kołach PZKO.* Dodajmy do tego kolejne „Sabałowe Bajania" w Bukowinie Tatrzańskiej i dalsze konkursy gawędziarzy.

* * *

Jeśli ojcem duchowym Jury spod Grónia był Karol Piegza, to takimż ojcem dla Michoła i Macieja był ówże Jura. Po raz pierwszy zjawisko Macieja interpretuje K. Piegza w „Krótkiej historii Świąt Góralskich" (w: Cudze chwalicie, swego nie znacie — ZG PZKO — SF, Cz. Cieszyn 1970). Zauważa, że w Cienciale — prawej ręce Niedoby, *Święta Góral-*



skie odkryły nadzwyczajne zdolności komika ludowego. Kreuje postać wiejskiego „matoła-jąkały", posiadającego własną logikę i swoiste spojrzenie na świat. Dalszą charakterystyczną postacią ŚG był do roku 1959 Michoł (Alojzy Ligocki . . .).

W zestawieniu z Maciejem przedstawiał typ przeciwny. Był to góral-mądrala, który, jak powiadają, wszędzie był i wszystko widział . . . Wymienieni trzej gawędziarze byli jak gdyby ową solą, która dodawała ŚG specyficznego smaku, a widzom dostarczała radości, optymizmu życiowego i miłych wspomnień. Humor tych trzech nastrajał ludzi do zgody i braterstwa. Miało to wielkie znaczenie polityczne, ponieważ tysięczne rzesze widzów składały się z różnych narodowości, często o różnych przekonaniach politycznych. Tak więc ŚG stawały się nieraz pomostem łączącym Polaków, Czechów i Słowaków, zbliżały górala do hutnika i górnika, zacierały również utrzymujące się na Śląsku antagonizmy". Wystarczy za wiele analiz!

Jan Korzenny we wstępie do „Śmiychu Macieja" widzi w nim współtwórcę anegdot, które *malują atmosferę regionu, ewokują wiele typowych (. . .) spraw zarówno socjalnych, kulturalnych jak i społecznych.* A to w sensie aktualizacji tradycji — przy znakomitym wykonawstwie. Czyli znowu podkreślenie wagi społecznej tego zjawiska, jakim okazał się Maciej. Należy się z tym zgodzić.

Interesowało też zawsze to, j a k Cienciała r o b i ł swojego Macieja. Okazuje się chyba, że był nie tylko znakomitym aktorem. Wspierał go także tkwiący w nim znawca, etnograf odznaczający się zdolnością twórczej interpretacji postaci ludowej, konsekwentnego ożywiania w niej całego bogatego splotu cech i zagadnień. W tym sensie Cienciała kojarzy się nam z postacią po prostu literacką, uogólnioną.

Cienciała, niezmiernie komunikatywny, miał duże aspiracje w kierunku wykorzystania komizmu, przez który szukał kontaktu ze światem i drogi do poprawy stosunków międzyludzkich — powiedział J. Korzenny.

W styczniu tego roku dożyłby się Ludwik Cienciała 65 lat.

WŁADYSŁAW SIKORA

fot. OTTO SZLAUER

PODRÓŻ DO MIAST ODLEGŁYCH I BLISKICH

[3]

Jest godzina 2.15 czasu moskiewskiego, który obowiązuje na wszystkich lotniskach, kiedy nasz Il 134 startuje z odeskiego lotniska. Przed nami 1 300 kilometrów lotu. Samolot nachyla się, zatacza łuk, pozwalając nam zobaczyć Odessę w całej jej nocnej okazałości. Wznosimy się na wysokość 10 000 metrów. Silnik szumi jednostajnie i monotonnie. Jesteśmy senni i zmęczeni, toteż większość współpasażerów zasypia wkrótce. Siłą woli przezwyciężam senność, zwycięża ciekawość i chęć oglądania tej cudownej mozaiki świetlnej, osrebrzonej blaskiem księżyca, tych chaotycznie rozsianych plam świetlnych, większych lub mniejszych, w zależności od wielkości miasta lub wsi. Widać z tej wysokości wyraźnie linie ulic, kwadraty lub prostokąty placów.

Ten świat oglądany stąd wygląda niczym ogromny cmentarz w Zaduszki. Głupie i nietaktowne skojarzenie . . . Kiedy się tak leci, to nie sposób nie myśleć o wszystkich tych katastrofach lotniczych pokazywanych w telewizji. Nie, to chyba nie strach, tylko ciągła świadomość graniczącą z podświadomością, że takie wypadki się zdarzają, że prawa fizyki i aerodynamiki swoją drogą, ale ten wielotonowy kolos wraz z ludźmi tak wysoko nad ziemią sprawia, że człowiek jak najprędzej chciałby już własnymi nogami deptać naszą planetę . . .

W dole, po prawej stronie zamajaczyła ciemna przestrzeń, wyraźnie ograniczona światłami nadbrzeżnych miast i osad. To najprawdopodobniej Morze Azowskie.

Po godzinie i dziesięciu minutach lotu dostajemy się w warstwę rzadkich chmur, które zasłaniają świecący kalejdoskop miast i świecące nad nami gwiazdy. Wkrótce wszystko niknie w gęstej warstwie chmur. Godzina 3.35. Silniki ucichły nieco. Człowiek przyzwyczajony do jednostajnego intensywnego szumu zaczyna się w pierwszej chwili niepokoić. Podchodzimy do lądowania. Powolny opadający lot, prawie bezgłośny. W uszach mi zalega i zaczyna potwornie boleć — nie pomaga przełykanie ślin, bo jestem zakatarzony. Wreszcie przebijamy się przez chmury. w dole pojawiają się światła długiego miasta. Ulice lśnią od deszczu. Lądujemy. Jest godzina 4 z minutami — 5 z minutami czasu miejscowego.

•

Wołgograd to miasto ciekawe, ciągnące się pasmem szerokim od 3 do 5 kilometrów ponad 70 kilometrów wzdłuż Wołgi, po jej prawym brzegu. To niespełna milionowe miasto jest stolicą jednego z największych obwodów w Federacji Rosyjskiej (114 000 km^2 — z czego 96 procent to stepy i półpustynie — nic więc dziwnego, że ten olbrzymi obwód posiada tylko nieco ponad 2,5 miliona mieszkańców — tyle, co sam Kijów).

Wołgograd to dawny, założony w roku 1589 Carycyn (od 1925—1961 Stalingrad).

Miasto to swego czasu miało doniosłe znaczenie strategiczne i handlowe. Miało swoje tłuste i chude lata, lata rozwoju i upadku, miało swoją historię.

Budowa linii kolejowej w roku 1842 pomaga w dalszym rozwoju miasta, w roku 1888 powstaje tu pierwsza na Powołżu huta żelaza, zaś w roku 1914 największe w Europie zakłady zbrojeniowe. Jeszcze jako Carycyn miało to miasto bogatą historię rewolucyjną (1917 i następne lata), ale najbardziej znane jest z przełomowej w dziejach drugiej wojny światowej bitwy stalingradzkiej (trwającej sześć i pół miesiąca, z udziałem ponad 2 milionów ludzi, 2 000 czołgów, tyluż samolotów, 26 000 dział itp.).

Przebieg i znaczenie bitwy stalingradzkiej są na ogół znane, jednak prawdziwy obraz tego piekła na ziemi trudno sobie wyobrazić nawet na monumentalnym Kurhanie Mamaja wraz z kompleksem pamiątkowym poświęconym obrońcom Stalingradu.

Od pięciu lat te sprawy poniekąd wyraźniej ukazuje i ułatwia uzmysłowić sobie tamte czasy muzeum „Panorama bitwy stalingradzkiej", ilustrujące tę niezapomnianą kartę historii. Tutaj w ogromnej rotundzie znajduje się 120-metrowy obraz-panorama (dzieło zespołu artystów moskiewskich Studia im. Grekowa). Jest to trzecia panorama po „Bitwie pod Borodino" i „Panoramie Sewastopolskiej". Panorama ma wysokość 16 metrów i 13 metrów oddalona jest od balustrady, skąd ogląda się obraz batalistyczny. Granica między obrazem a przestrzenią (to jest bronią i figurami żołnierzy) jest nieuchwytna dla wzroku. Ten obraz-panorama przedstawia jeden dzień bitwy z dnia przełomowego — 26 stycznia 1943 roku — z tym, że celowo umieszczono w tym dniu ilustracje wszystkich najciekawszych (bohaterskich) momentów bitwy. Wszystko to ogląda się jakby z Mogiły Mamaja. Całość robi wrażenie, ale jest to raczej wrażenie z monumentalności i dzieła — tu w cieple i w spokoju nie sposób wżyć się w tamte krwawe dni wojny.

Wołgograd to miasto bohater. Taki sam tytuł przysługuje Kijowowi, Odessie i Leningradowi. A więc uczestniczymy w wycieczce po miastach-bohaterach. Tym sprawom można by tu poświęcić wiele uwagi, ale są one na ogół znane, a poza tym nie wszyscy lubią o tym czytać, ja sam też już dawno wyrosłem z lat fascynacji literaturą wojenną. Nie umniejszam rangi poświęceń i ofiar tych, którzy walczyli i ginęli na wszystkich frontach w słusznej sprawie o wolność własnego kraju, nie lubię jednak czytać (ani pisać) o tych sprawach — chociaż pamiętać o tym należy. Każdy jednak lubi innego rodzaju literaturę, filmy itp. Ale będąc w Wołgogradzie nie sposób o tym nie pamiętać, tym bardziej, że na każdym kroku przypominają o tym pomniki, tablice pamiątkowe, miejsca upamiętniające przebieg stalingradzkiej bitwy.

Bogata jest również literatura przedmiotu (reportaże, powieści i wiersze) tworzona przez ludzi pióra, którzy bezpośrednio uczestniczyli w tej batalii — chociażby Aleksander Serafimowicz, Konstanty Simonow, Borys Polewoj, Michał Aleksiej itd. Bitwie stalingradzkiej poświęcono też niejeden obraz, wiele filmów. Pamiętam, nie przypominając już sobie tytułu, że bardzo dawno temu oglądałem film o bitwie stalingradzkiej, gdzie zdecydowana część akcji rozgrywała się w zachowanym po dziś dzień młynie — ruinie.

•

To prawie doszczętnie zniszczone miasto wygląda dziś młodo — ostatecznie można by powiedzieć, że liczy sobie tylko 44 lata. Miasto to jest również piękne i młode urodą swych mieszkanek. Podziwiałem urodę kijowianek, odeskich kobiet, później także leningradek, ale najurodziwsze wydały mi się wołgogradki (dziwnie jakoś dla ucha brzmi ta forma nazwy mieszkanek tego miasta). Wszędzie ich pełno, na ulicach, skwerach, w sklepach, w restauracjach — chociażby kelnerki z naszej restauracji Inturist. Swój nieco

wschodni typ urody podkreślają jeszcze makijażem. Są wyższe, szczupłe, długonogie o dużych oczach pełnych jakiejś stepowej nostalgii . . .

W godzinach wolnych od zwiedzania grupowego (Mogiła Mamaja, muzeum-panorama, wołżańska Elektrownia Wodna XXII Zjazdu KPZR o mocy 2,5 mln kWh, miasto Wołżskij) zwiedzam wraz ze swym współtowarzyszem podróży, przyjacielem Kazimierzem Santariusem, najbliższe okolice naszego hotelu, ulice, skwery, sklepy, targowisko oraz nabrzeże.

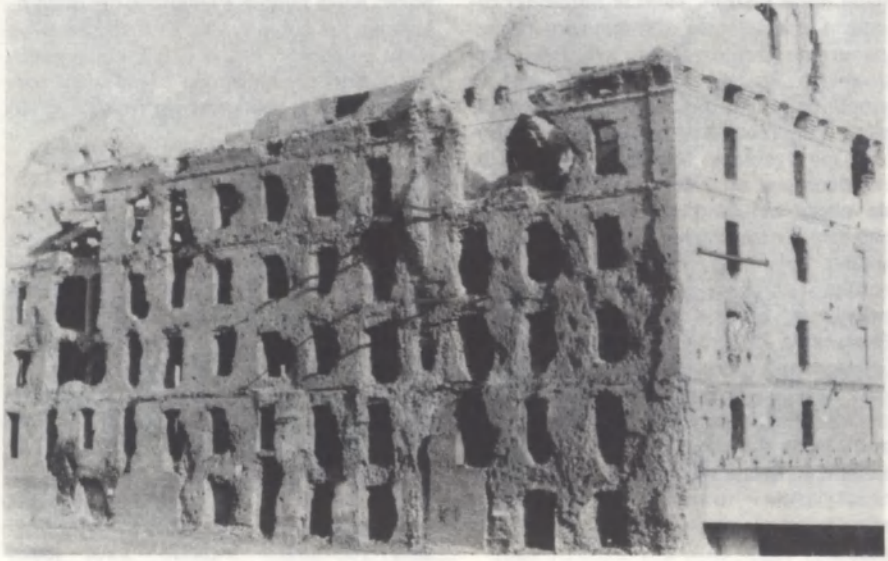
Tu wreszcie kupujemy herbatę, azerbajdżańską i gruzińską po 76 kopiejek za 100 gramów — ta ostatnia jest bardzo dobra, to nie to, co u nas sprzedaje się pod tą nazwą. Tamtejsza herbata gruzińska ma (lub powinna mieć w zależności od jakości i sposobu przechowywania) pełny, aksamitny i lekko cierpkawy smak o słabszym nieco aromacie. Przed jej zaparzeniem trzeba dobrze rozgrzać czajnik. Są także herbaty prasowane po 63 kopiejki cegiełka. O ile w Kijowie i Odessie próżno szukaliśmy herbaty, tu można ją było oprócz sklepów nabyć w licznych kioskach herbacianych.

•

Jest 24 października i stosunkowo ciepło, naprzemienny termometr-zegar wskazuje 17 stopni Celsjusza. Z naszego hotelu jest niedaleko do Wołgi. Po drodze zwiedzamy krótki odcinek Alei Lenina, głównej arterii Wołgogradu, zaglądamy do kilku sklepów, między innymi z napojami, w których pełno jest soków: pomidorowego, śliwkowego, jabłecznego, gronowego, jarzębinowego — te ostatnie z ciekawości kosztujemy — bardzo smaczne.

„Wołga, Wołga, mat radnaja" . . . któż chociażby raz nie słyszał tej pieśni majestatycznej i powolnej jak sama rzeka, którą opiewa. Ta największa rzeka Europy, tocząca swe wody ze Wzgórz Wałdajskich aż po Morze Kaspijskie, na swej 3 500-kilometrowej drodze pochłania około siedmiu tysięcy dopływów. Nazwa Wołgi jest prawdopodobnie pochodzenia fińskiego i oznacza

Młyn — ruina zachowany jako ostrzeżenie. Tu miały miejsce najcięższe walki bitwy stalingradzkiej





Gmach Teatru Dramatycznego im. M. Gorkiego w Wołgogradzie — powojenna rekonstrukcja

po prostu „święta", „świetlana". W dawniejszych czasach nazywano ją Ra, co oznaczać miało „szczodra" — a taka ona jest po dziś dzień, bo żyje w niej około 75 gatunków ryb, między innymi leszczy, sandaczy, sumów, szczupaków, jesiotrów. W średniowieczu nazywano ją Itil, czyli „rzeka rzek".

Nic więc dziwnego, że skoro człowiek znajdując się nad jej brzegiem nie może w niej wykąpać, pragnie przynajmniej zanurzyć rękę w jej nurcie. Jest to swego rodzaju chrzest, zawarcie przyjaźni z tą rzeką, jak gdyby zadokumentowanie tu swej bytności. Oglądanie tej wolno płynącej masy wody robi wrażenie.

Tu pod Wołgogradem szerokość Wołgi dochodzi do dwu kilometrów, zaś w mieście średni przepływ waha się w granicach 8 060 m^3 na sekundę z szybkością 0,7 m/sek (w czasie wiosennego przyboru 2,5 m/sek). Jej głębokość wynosi tu od 4 do 25 metrów. Po rzece pływają statki pasażerskie, tramwaje wodne i wodoloty. Piękny bulwar nabrzeżny koło pasażerskiej przystani i urok zachodzącego słońca, które nazajutrz będę już oglądał w Leningradzie nad Zatoką Fińską.

•

O 3.00 czasu moskiewskiego startujemy z Wołgogradu, a o 5.20 lądujemy w Leningradzie. 1650-kilometrowy odcinek przebyliśmy w ciągu dwu godzin i dwudziestu minut. Wołgograd żegnał nas nocną temperaturą 15 stopni, a Leningrad przywitał tylko 4 stopniami Celsjusza.

Przelot samolotem jest tu w porównaniu z naszym bardzo tani. Na przykład odcinek Odessa—Wołgograd—Leningrad, to jest niespełna 3 000 km, kosztuje tylko 50 rubli . . .

Zamieszkaliśmy w supernowoczesnym hotelu „Pribaltskij" nad samym Zalewem Fińskim. Ten wspaniały hotel na 2 400 osób wybudowali Szwedzi.

Leningrad to rzeczywiście Wenecja Północy — o ile może to twierdzić ktoś, kto nie widział właściwej Wenecji. Zostałem do tego stopnia oczarowany tym miastem, iż po trzech dniach autokarowego zwiedzania pisanie tu o czymkolwiek byłoby po prostu świętokradztwem. Tu trzeba wrócić raz jeszcze na dłużej i połazić na piechotę po tym wspaniałym mieście, żeby mieć prawo cokolwiek napisać.

KAZIMIERZ JAWORSKI

fot. KAZIMIERZ JAWORSKI

WIESŁAW ADAM BERGER

BUDAPESZT

Spokojna, słoneczna, niebieskooka niedziela pełnego lata w Bratysławie wśród starych, miłych, urokliwych uliczek, a później gwiaździsta noc nad Dunajem . . .

Zachrobotało. Rakieta odbija od brzegu, a wychodzące słońce wyprawia przeróżne historie z Dunajem. Statek złapał swoją szybkość: sześćdziesiąt kilometrów na godzinę. Leopold siedzi w kajucie przy oknie na ławeczce, takiej, jakie kiedyś bywały w starych pociągach. Woda — rozpruwana szybkością, bryzga po szybach. Po obu stronach szerokiej rzeki ciągnie się wierzbowa zieleń drzew.

Ona siedzi obok.

Widzi ją wyraźnie tak, jakby rzeczywiście tu była.

ONA! Ze sterczącą piersią, długimi, kształtnymi nogami, z udami nie dotykającymi się w najwyższym punkcie i tworzącymi pomiędzy sobą rozkoszną przestrzeń. Dojrzewające usta, soczyste, tylko dotknąć . . . Osia talia, oczy jak u starożytnych Egipcjanek; czarne, rozpuszczone włosy i ręce, i długie palce z lakierowanymi paznokciami trzymają kolorowy bukiecik kwiatów, dłonie złożone razem z kwiatami jak do modlitwy. Jest tu a zarazem jej nie ma, a jednak mówi do niego tym swoim podniecającym do myślenia i do miłości głosem. Nigdy jej nie miał i nigdy mieć nie będzie. Takie są układy słoneczne a zarazem społeczne. Trzeba zawsze i wszędzie liczyć się z innymi. Mógł tylko marzyć i śnić o tym jej bukieciku . . .

Wreszcie wyjechał, by być sam, by zmienić to wszystko w sobie, by wreszcie mógł myśleć o czymś całkiem innym niż o kobietach, nie mówiąc już o dziewczynach.

— Co czuje eunuch — myślał — kiedy widzi nagą kobietę?

I wzdrygnął się.

— Fatalna sprawa — myśli kłócą mu się jak złe sąsiadki.

Rakieta leci po wodzie strzałą. Leopold wstaje i idzie do baru. Wie, że wódka nie rozstrzygnie tego tematu, a jednak — myśli — coś powinno się stać.

Cały świat jakby stał na tej wierze w TO COŚ. I leci strzałą w kosmos, leci i leci . . .

Barmanka, jak to barmanki, jest piękna. Zamawiając, pijąc i płacąc nie patrzy w jej odważny dekolt.

Wraca.

Siada przy swoim oknie.

Bryzgająca woda mieni się tęczą.

Leopold ma takie uczucie, jakby wymyślił go nie Czechow, a Przybyszewski.

Biały kapelusz, białe spodnie, biała dusza, tylko serce jest czerwone. Więc jednak Czechow. Czechow! Czechow!

Wybrał się na urlop, by oderwać się od swoich zmór. „Zmory", „Zmory" — to znowu Zegadłowicz, a Zegadłowicz miał matkę Czeszkę . . . Skojarzenia, same skojarzenia. Zabija go wyobraźnia.

— Idę — mówi — niczym Liberda do swoich obrazów.

Obsesja i tęcza, i zmory . . .

Dopiero teraz, w tej chwili „moskiewska" zaczęła iskrzyć mu w głowie, począł rozróżniać wyobraźnię od rzeczywistości. Zrobiło mu się jaśniej, nie czuje się taki skrępowany wśród obcych. Zniknęło wyobcowanie. Mięśnie się rozluźniły. Myśli intensywnie nie o tym, kim był, lecz kim jest. Chodzi o tę chwilę. Chłonie krajobraz i z niego powstają w jego myślach obrazy. Widzi, jak zawsze, całe opowiadania:

Białe Karpaty, most prowadzący tylko do połowy rzeki. Ostrzyhom z ogromną katedrą przypominającą paryski Panteon, słońce, woda, ludzie po obu stronach rzeki. Życie jest tu po to, by budować mosty. Jednak bez kobiety nie byłoby myśli, tęsknoty, nie miałby je kto rodzić. Kobieta rodzi wszystko. Mężczyźni chodzą po mostach do kobiet, więc kobiety rodzą też mosty, a pan Sasyn w Błędowicach zabezpieczał most nad Łucyną, by nie zabrała go wielka woda rozeźlonej powodziami rzeki — chodzili i jeszcze chodzą do niej zakochani. Tych zakochanych, a nawet samego pana Sasyna, też urodziły kobiety!

Poszedł po następną wódkę, by rozjaśnić i skoncentrować myśli.

— Szkoda — myślał — że nie można myśleć od razu na taśmę magnetofonową.

Obok siedzi para Węgrów, mąż z żoną, i rozmawiają swoim niezro-

zumiałym językiem. Ich dziecko bawi się w przejściu samochodzikiem. Mówi po słowacku i po węgiersku. Nie ma granic między narodami, są tylko bariery językowe. Wieża Babel, kara boska! To jednak wspaniała sprawa rozumieć bliźniego.

Rakieta śpieszy z prądem rzeki pozdrawiając syreną spotykane statki. Na lewym i prawym brzegu te same wierzby, te same ptaki, a potem Dunaj w całej swej okazałości wchodzi w krajobraz węgierski.

Budapeszt z malowniczym, nowogotyckim Parlamentem — perła architektury wskoczyła Leopoldowi w okno, aż się zachłysnął jej widokiem, chociaż nie widział go po raz pierwszy. Za Mostem Łańcuchowym rakieta przybiła do brzegu. Celnicy ani straż graniczna nie mieli z nimi kłopotow. Na takich, jak Leopold, od razu widać. Patrzył na świat innymi oczami. Zaskoczył go ruch uliczny, niekończące się sznury samochodów, ryk silników. Kiedy chodził tu przed laty, na nabrzeżach panował spokój.

— Trudno — pomyślał i poszedł w kierunku Parlamentu.

Po drodze zaglądnął do supersamu. Urwanie głowy, dwóch ludzi w białych kitlach wciąż w kółko odwoziło setki wózków, by następni klienci mieli z czym wejść. Wszedł i zabłądził . . . Nie kupił nawet ostrej, czerwonej papryki, bo jak miał ją znaleźć w takim straszliwym labiryncie, w mrowisku ludzi. Kiedy wreszcie zorientował się, gdzie jest, poszedł pod Parlament. Tu znalazł trochę ciszy. Usiadł na schodach i oparł się o marmur. Milicjant, też już nie najmłodszy, bo tak samo siwy jak Leopold, popatrzył na niego z sympatią. Tak jakby siwi lepiej się rozumieli od brodatych i długowłosych.

— Wie pan — powiedział — nie wolno tu siedzieć, bo od razu zwali się cała gromada tych niedomytych narkomanów i takich, co to nigdy nic z nimi nie wiadomo. Zdarza się, że trudno rozpoznać babę od chłopa, takie obojniaki . . . No, nie wolno ich obrażać, bo są długowłosi i brodaci, co się myją i nie narkotyzują, taka moda à la Chopin.

Leopold chce wstać.

— Nie, niech pan sobie siedzi, panu wolno, bo to w naszym wieku wiadomo, co i jak . . .

— Dziękuję panu — mówi Leopold — tyle, że pan jest jednak o kilka latek ode mnie młodszy.

— To zasługa mojej matki, proszę pana. Wyszła późno za mąż, ale jeszcze zdążyła . . .

Leopold się uśmiechnął.

— Proszę mi zdradzić — powiedział do milicjanta — skąd pan nauczył się tak dobrze po polsku?

— Chętnie panu zdradzę. Moja mama posiadała trochę ziemi w okolicach Lwowa. Wie pan, jak to było za czasów monarchii austro-węgierskiej.

— Ale mam szczęście — dziwi się Leopold — niech pan powie,

przepraszam, że zadaję pytania milicjantowi, i do tego podczas służby, skąd pan wie, że jestem Polakiem?

— Tajemnica milicyjna — śmieje się sympatyczny facet w mundurze — intuicja. Jestem z wykształcenia psychologiem, wziąłem służbę za syna, pojechał do Bratysławy, do swojej słowackiej dziewczyny. Zapraszam pana na wesele.

— Dziękuję. Dobry z pana ojciec.

— Robię co mogę. Też budujemy, jak i pan, mosty.

— Pan mnie zna? Skąd pan wie o moich mostach?

— Nic trudnego. Kiedy usiądzie tu sobie taki jak pan, pod naszym Parlamentem, by rozmyślać w spokoju o tym tu mieście, wiadomo, że nasz . . .

— Trochę pan zgaduje?

— Może i zgaduję, ale zdaje się, że trafiam.

— Zgadza się — cieszy się Leopold.

Inny milicjant, stojący w środku placu, poprosił go gestem ręki do siebie. Widocznie nie mógł sobie poradzić z długowłosymi, którzy coś tam tłumaczyli wskazując na odjeżdżającą limuzynę z paryską rejestracją. Kogoś, zdaje się, porwano? Albo uciekł jakiś narkoman, na którego zwaliła się choroba AIDS? Nigdy u takich nic nie wiadomo . . .

— Zostawiam pana — zasalutował milicjant — ze swoimi myślami. Aha — przypomniał sobie — poproszę pana o adres, musi być pan na weselu.

— Chętnie — ucieszył się Leopold, podając mu swoją wizytówkę, a wizytówka była to niezwykła, wycięta z opakowania, w którym przysyłano mu „Przekrój".

— Dziękuję . . .

— To ja panu dziękuję za dobre słowa — powiedział Leopold dotykając daszka swojej czapki dwoma palcami.

— Nie ma za co — powiedział milicjant odchodząc. — Może się jeszcze dzisiaj spotkamy?

Leopold siedział i patrzył pod słońce na malowniczą, nowogotycką architekturę i szukał tu siebie sprzed lat. Taka mania a nawet obsesja . . . Musiał tu gdzieś być ów trzydziestoletni facet z siedemnastoletnią, ciemnowłosą dziewczyną, która garnęła się do życia, chociaż była ostrożna, a tak naprawdę to się go bała. Wtedy to ich miłość stąpała z nimi po schodach Parlamentu i schodziła na dół nad zalany słońcem Dunaj. Żył wspomnieniami.

— Taka podróż — mówił sam do siebie — z przeszłości w przyszłość.

Z torby wyjął szkicownik i kolorowe mazaki, począł nimi tańczyć — taki balet na papierze — i wszystko powolutku zaczęło zanikać, istniał tylko Parlament, rosnący powoli według jego woli na białych kartkach — i słoneczne niebo Budapesztu z Dunajem, i jego impresjonistyczne światło i cienie, światło i cienie, od początku aż do końca światłocienie . . .

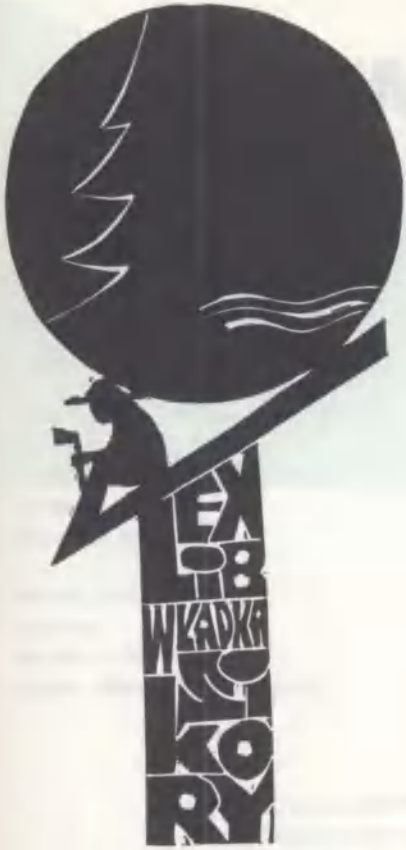
(Ciąg dalszy powinien nastąpić)

ZBIGNIEW KUBECZKA

Ekslibrisy






EX
B
WKŁADKA
KORY


HALINA
PAWERA


EX LIBRIS • ET • MUSICIS
EX RENATY KOŁEK


JANUSZ GAUDYN SADZEWA KTÓRE MÓWIŁA
EX LIBRIS
GIMNAZJUM
WORŁOWEJ

STANISŁAW JEDZOK

ETIUDY WIOSENNE

I
Ta cisza
trwała do chwili
kiedy nagle otworzyło się
okno

Światło runęło
wzdłuż alei
a ty szłaś
spokojnie
dotykając palcami
wierzchołków drzew

W przymkniętych powiekach
lekko
zaciskałaś rwącego ptaka
błękitu

II
W dłoni czarna gruda ziemi
rozcinam ją wzrokiem
otwiera się łono
wypływa rzeka

Na wilgotnych wargach kory
liście zataczające się
w zawrocie głowy

III
Góry przewracają się leniwie
jeszcze
pomrukują echem

IV
Skóra lśni
był deszcz
nagie ciało zostało wydane
błyskawicom

POSZUKIWANIE

biegnę od drzwi
do drzwi
przytykam ucho
nie słyszy
nikt

pięściami
wbijam sęki
zdarte do krwi
do mózgu

mijam ostatnią kamienicę
ostatnie
okno też zamknięte

firanka faluje bokami
szmata
zacina w ścianie
moich pleców bolesne pręgi

WSPOMNIENIE

Tamtego lata
kropla wbiła się
w moje czoło

Ojciec wycinał drzewa
i wyrywał korzenie

Pilne zęby piły
wpijały się
mgliście
w miąższ mięśni

Tamtego lata
pod moje nogi
spadały kłody

Ojciec nie powiedział
ani jednego słowa
znikł
w chłodzie południa

ODPOWIEDŹ

Masz cztery lata
na sznurku
pełznie za tobą milcząca
armata

Pytasz mnie
do kogo
po co
strzelają żołnierze

Jak ci odpowiedzieć

Nie wiem

Masz cztery lata
a ja mam w dłoni kromkę chleba
pójdziemy karmić zgłodniałe gołębie

TŁUMACZE LITERATURY POLSKIEJ

ERICH SOJKA

Urodził się 11 września 1922 roku w Ostrawie (Hrušov), gdzie ukończył szkołę podstawową. Potem uczył się w gimnazjum realnym w Ostrawie (matura w 1941 roku). Po maturze pracował jako urzędnik w rzeźni w Ostrawie, Frydku i Przerowie. W listopadzie 1942 roku został wywieziony na przymusowe roboty do Rzeszy (Halle-Saale), gdzie zatrudniony był w firmie budowlanej, a następnie na dworcu towarowym w Halle. Po roku wraca, żeby podjąć pracę w kopalni Hubert. Najpierw jest górnikiem, potem otrzymał zajęcie na powierzchni, gdzie pracuje do czerwca 1945 roku.



Po wyzwoleniu rozpoczął studia na Uniwersytecie Karola w Pradze, które ukończył egzaminem państwowym w roku 1949. Studiował na Fakultecie Filozoficznym język czeski, polski i filozofię. Otrzymał nagrodę za przekład „Pana Tadeusza" A. Mickiewicza, którą przyznało mu wydawnictwo „Odeon".

W roku 1974 Ericha Sojkę odznaczył minister kultury PRL tytułem „Zasłużony dla Kultury Polskiej".

Przetłumaczył około pięćdziesięciu pozycji z literatury polskiej. Między innymi są to: „Krakowiacy i górale" Wojciecha Bogusław-

skiego, „Uczta Baltazara" Tadeusza Brezy, „Zemsta" i „Nikt mnie nie zna" Aleksandra Fredry, „Monachomachia" Ignacego Krasickiego, „Pan Tadeusz" Adama Mickiewicza, „Solaris" Stanisława Lema, „Emigranci" i „Strip-tease" Sławomira Mrożka, „Komornicy" Władysława Orkana, „Pałac i rudera" Bolesława Prusa, „Sanatorium pod klepsydrą" Brunona Schulza, „Quo vadis" Henryka Sienkiewicza, „Mazepa" i „Maria Stuart" Juliusza Słowackiego, „Poemat o miejskiej rzeźni" Tadeusza Śliwiaka, „Ojczyzna", „Pieśń nad wodami", „Płomień na bagnach", „Gwiazdy w jeziorze" i „Rzeki płoną" Wandy Wasilewskiej, „Wesele" i „Warszawianka" Stanisława Wyspiańskiego, „Ludzie bezdomni" Stefana Żeromskiego i inne.

Przełożył poza tym kilkadziesiąt filmów, wiele wierszy i szereg opowiadań w różnych czasopismach literackich.

W. P.: W jaki sposób rozpoczęła się pana praca tłumacza i gdzie się pan uczył języka polskiego?

ERICH SOJKA: Od najwcześniejszego dzieciństwa słuchałem języka polskiego. Mój dziadek — Jan Berdecki — mistrz kołodziej, był Polakiem i przyprowadził się do Ostrawy-Gruszowa spod Czenichowa pod Krakowem. Gruszów był, jakby to powiedzieć, trójjęzyczny. Żyli tu obok siebie Czesi, Polacy i Niemcy. Znacznie później, kiedy rozpocząłem studia na Uniwersytecie Karola i miałem wybrać język słowiański — nie wahałem się ani chwili. Na uniwersytecie dała mojej gwarze śląskiej solidne podstawy niezapomniana dr Iza Šaunowa. Wykładów z literatury polskiej słuchałem u znakomitych profesorów: Szyjkowskiego i Krejčiego. To, że w sierpniu 1946 roku razem z kilku innymi polonistami otrzymałem stypendium w Polsce, było zasługą właśnie dr. Izy Šaunowej. Był to sześciotygodniowy pobyt w Warszawie, Gdańsku, Poznaniu i Krakowie. Zadecydował ostatecznie o moim zawodzie na całe życie. W Krakowie koncentrował się wtedy kwiat ówczesnej literatury polskiej. W domu pisarzy przy Krupniczej mieszkał K. I. Gałczyński, Jerzy Andrzejewski, Julian Przyboś, Wisława Szymborska i szereg innych pisarzy. Urządzali co niedzielę w kawiarni „poranki literackie", na których nie mogło zabraknąć nas, czeskich studentów polonistyki. Na jednym z nich recytował swoje wiersze Julian Przyboś. Jego poezja poruszyła mnie do głębi. Kiedy po programie rozmawialiśmy przy kawie, Przyboś stwierdził, że jego poezja jest nieprzetłumaczalna. W swojej młodzieńczej nierozważności zaoponowałem twierdząc, że przetłumaczę jego wiersz. Po kilku dniach przyniosłem J. Przybosiowi tłumaczenie jego wiersza „Do ciebie o mnie". Nie wiem, na ile Julian Przyboś umiał po czesku, ale mój przekład mu się spodobał. I kiedy 10 października 1946 roku przyjechała do Pragi pierwsza oficjalna delegacja polskich pisarzy, wśród których był również J. Przyboś, na pierwszej stronie ówczesnej gazety „Svobodné noviny" pokazał się wiersz J. Przybosia w moim tłumaczeniu. Potem nastąpił już cały łańcuch tłumaczeń. Moje tłumaczenie Przybosia zwróciło uwagę A. St. Mágra, wielkiego polonofila, dawnego redaktora „Prager Presse", a po wojnie redaktora wydawnictwa „Orbis", które publikowało również literaturę w tłumaczeniach. Podpisano ze mną umowę na przekład „Rodowodu społecznego literatury polskiej" Ignacego Fika. Nie zdążyłem nawet ukończyć tego przekładu i przyszły kolejne propozycje oraz umowy. W ten sposób rozpoczęła się moja droga tłumacza literatury polskiej.

— Czy w trakcie wyboru autora do pracy translacyjnej decyduje temat, osobista sympatia czy też przypadek?

— Różnie z tym bywa. Mogę powiedzieć, że tylko raz w swoim życiu podpisałem umowę na tłumaczenie książki, która nie zainteresowała mnie specjalnie i która mi wyraźnie „nie leżała". Tłumaczyć taką

książkę — chociaż obiektywnie nie musi to być książka niedobra — to najtrudniejsza praca, jaką poznałem. Teraz, kiedy jestem już na emeryturze i mogę sobie na to pozwolić, tłumaczę tylko to, co mi się osobiście podoba i co zadziałało na mnie w maksymalny sposób. Najczęściej bywa to w ten sposób, że najpierw robię przekład całości, a dopiero potem cyzeluję. W taki sposób tłumaczyłem „Wesele" Wyspiańskiego, „Wzorzec dowodów metafizycznych" Bradeckiego, tak tłumaczę Wilhelma Przeczka i niektórych innych autorów.

— Utrzymuje Pan osobisty kontakt z autorem, którego pan tłumaczy?

— Niekiedy tak, innym razem nie. Z J. Przybosiem wymienialiśmy listy. Przesyłałem mu swoje przekłady, a on z kolei przesyłał swoje nowe książki. Rownież z Romanem Brandsteatterem znamy się od lat. Nie uważam jednak, że osobisty kontakt jest konieczny. Wręcz odwrotnie. Myślę, że dla tłumacza jest to poniekąd krępująca okoliczność.

— Z którymi wydawnictwami czechosłowackimi najchętniej pan współpracuje?

— W ostatnich latach pracuję najczęściej dla wydawnictwa „Odeon". W pewnej mierze zawdzięczam temu wydawnictwu to, że mogłem wydać swój największy przekład, czyli „Pana Tadeusza" A. Mickiewicza. W wydawnictwie tym wydałem niedawno mój wielki wybór z J. Przybosia (Prostor slovem vzklenutý — przyp. W. P.). W „Odeonie" pokaże się w roku przyszłym „Wesele" i „Warszawianka" St. Wyspiańskiego.

— Nad czym pracuje pan w tej chwili. Proszę też zarazem o pana wyznanie . . .

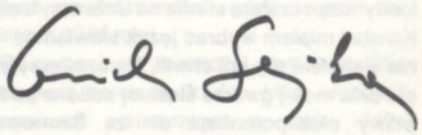
— Nie mam teraz na biurku niczego wielkiego. Właśnie ukończyłem ostatnią redakcję „Wesela" i „Warszawianki". Oba dramaty pokazały się już w wydawnictwie DILIA. Po raz piąty trzeba się zabrać za nową korektę powieści „Quo vadis" H. Sienkiewicza, która ma się pokazać w wydawnictwie „Vyšehrad". Przygotowuję również niektóre inne reedycje, które mają się pokazać w najbliższych latach.

Mam wielką ochotę na przekłady jakiejś pięknej, dobrej poezji. Poezję tłumaczę najchętniej ze wszystkiego. Sam nie wiem jak to, ale wydaje mi się, że dzieje się tak dlatego, ponieważ szalenie kocham język czeski, piękno czeskiego słowa, że lubię to piękno odkrywać. I proszę mi wierzyć, że podczas tłumaczenia poezji stale na nowo odkrywam niesamowite bogactwo tego języka. Doszukuję się piękna, którego w inny sposób nie można się doszukać. Myślę, że dotyczy to również innych języków. Tłumaczenie poezji zmusza do zanurzania się w najbardziej głębokich sensach języka. Przekłady poezji zmuszają do odkrywania tych najbardziej ukrywanych tajemnic języka. Niekiedy bywają to tajemnice bardzo stare i dawno zapomniane, a czasami tajemnice olśniewające i nigdy dotychczas nie ujawniane.

Polska poezja — od czasów Kochanowskiego przez romantyków aż po Przybosia i niektórych współczesnych poetów polskich — to przebogata inspiratorka takiego właśnie odkrywania piękna języka czeskiego.

— Bardzo panu dziękuję za interwiew i proszę o autograf.

— Proszę bardzo . . .



Chciałbym jeszcze dodać, że Erich Sojka wydał następujące wybory z poezji polskiej: „Pieśni" Jana Kochanowskiego (razem z J. Pilařem „Renesanční loutna", 1971), „Polskie pieśni ludowe" (1956) i uczestniczył w przygotowaniu almanachów polskiej poezji „Nová polská poezie" (Čs. spisovatel, 1955) oraz „Slyšel jsem píseň Polska" (Komenium, 1950).

WILHELM PRZECZEK

ZIELONE NURTY

TANIA KUFA

JESIENIĄ

O przemijaniu
mówią mi dziś
te kwiaty zasuszone
ta mgła jesieni
skończonej
Ze starą melodią
przylatują
na skrzydłach wron
wspomnienia
Nawet wiatr
za oknem szepcze
o przemijaniu
A cisza wokół
potęguje tęsknotę
i strach
Przeraża mnie
każdy listek brzozy
na ziemi
W ciszy gołych drzew
słyszę
swoje słowa
takie obce
Ludzie jesieni
mają oczy
bezdomnych
zapomnianych . . .

ZAPOMNIENIE

Dziękuję ci
dniu
za tę rzekę
którą płyniesz
obok mnie
za promyki słońca
z którymi znowu
wróciłeś
Spadasz
lekkim puchem
z drzew
i o nic mnie
już nie pytasz . . .
Na krawędzi
zieleni drzew
i błękitu nieba
ukrywa się
twoje szczęście
i wszystko
śpiewa śpiewa . . .

WRZOSY

Mój
fioletowy świat
zakwitnął
dzisiaj wrzosem
nieposłusznym
wzburzonym
i wszystko
ma kolor wrzosu
nawet niebo
zakwitło fioletem
wśród którego błądzi
nieśmiałe słońce
Nad łąką
unosi się
lekką mgiełką
zapach wrzosu
i wszystko
nawet las
śpiewa fioletowo
Dopiero
późnym wieczorem
zwolna gaśnie
ten bajkowy świat
fioletu
odchodzę więc
nadaremnie szukając go . . .

ADAM SZOP

Z cyklu „W Śmiłowicach"







Z PIOSENKĄ NA USTACH

(KARTKA Z DZIEJÓW OŁOMUNIECKIEJ „JEDNOŚCI")

Pierwszą placówką życia polonijnego, placówką nad wyraz ruchliwą na terenie Czechosłowacji, stał się ośrodek uniwersytecki w Ołomuńcu. Złożyło się na to kilka przyczyn: reaktywowanie Uniwersytetu Palackiego dnia 21 lutego 1947 roku (Uniwersytet został zamknięty 9 października 1852) z wydziałami: medycznym, filozoficznym, nauk przyrodniczych oraz teologicznym. Bliskość placówki, wreszcie dawne tradycje. W tych murach studiowało kiedyś wielu Polaków — w Ołomuńcu więziony był m. in. Hugo Kołłątaj. Przez to miasto maszerował na odsiecz wiedeńską Jan III. Tu przebywali polscy powstańcy z roku 1831 oraz 1863. Stąd nazwy ulic: Polská třída, Třída Jana III Sobieského.

Tuż po wojnie na każdym z wydziałów znalazło się po kilku Polaków. Z nazwisk odnotowujemy: Marian Junga, Franciszek Szopa, Karol Chwistek, Jan Korzenny, Józef Pawlas, Oskar Pawlas, Alfred Hotowy, Rudolf Wygrys, Otokar Matuszek . . . Ponadto byli również studenci z polskiego Cieszyna, po większej części słuchacze wydziału medycznego.

I już z początkiem nowego roku szkolnego 1947/48, a potem następnych, rozpoczęła się ożywiona działalność kulturalno-oświatowa „Jedności" akademickiej Uniwersystetu Palackiego. Przewodniczył tej grupie sekretarz Czechosłowackiego Związku Młodzieży Akademickiej (ówczesny „Spolek posluchačů"), członek Międzynarodowej Organizacji Studentów — Jan Korzenny.

Początkowo grupa liczyła zaledwie dwudziestu pięciu członków. Wystarczająca liczba, by w jej ramach mógł powstać kwartet męski i chór mieszany. Dyrygentem chóru mieszanego został niestrudzony działacz, zmarły przed kilku laty profesor matematyki w gimnazjum cieszyńskim — Rudolf Wygrys. Członkami kwartetu m. in. Franciszek Szopa, Rudolf Wygrys, Otokar Matuszek.

Po hanackiej równinie poleciała polska piosenka . . .

Środowisko ołomunieckie dawało świetne warunki do rozwoju działalności oświatowej. Przede wszystkim, i to trzeba podkreślić, władze uniwersyteckie odnosiły się ze szczególną sympatią do działalności grupy. Bo oto piastującymi godność rektora byli m. in. prof. dr J. Otáhalová-Popelová, prof. dr Jaromír Bělič, prof. dr Josef Metelka. Zwłaszcza

profesor Bělič, odznaczony później orderem „Polonia Restituta", położył wyjątkowe zasługi. Powstały zatem dogodne warunki do szeroko pojętej pracy oświatowej. „Jedności" oddano do dyspozycji salę wykładową, gdzie mogły odbywać się zarówno próby, jak i zebrania członkowskie. Ponadto lokal, gdzie znalazła się biblioteczka i świetlica.

Występy rozpoczęto w ołomunieckiej Reducie, później innych miasteczkach na Hanej. I znowu pomyśleć: wędrowało się z polską piosenką na ustach.

Na jednym z występów w ołomunieckiej reducie obecny był dowódca garnizonu wojskowego z Hranic na Morawie. Tak mu się występ Zaolziaków spodobał, że postanowił zaprosić zespół do swego miasta garnizonowego. W tym celu wystosował nawet list do władz uniwersyteckich i zarządu „Jedności", prosząc w imieniu stacjonujących tam żołnierzy o jeden z takich wieczorów.

Miał odbyć się podczas świąt wielkanocnych. Po wspólnej naradzie wyrażono zgodę na to, by wieczór odbył się w ostatnim dniu świątecznym ze względu na wyjazd wszystkich członków po ciepło rodzinne. A ponieważ impreza nabywała wielkiej rangi, zadecydowano, co następuje: Franciszek Szopa, późniejszy kurator wojewódzki, miał wyruszyć wcześniejszym pociągiem i oczekiwać członków zespołu na dworcu w Hranicach. Ci z kolei mieli wspólnie wracać jednym z pociągów pośpiesznych. Akurat tak się złożyło, że był to pociąg kursujący na trasie Warszawa-Praga.

Z późniejszych relacji Szopy, oczekującego na peronie w Hranicach na przyjazd grupy, wynikało: już na długo przed nadejściem pociągu panował na peronie wyjątkowy ruch. Garnizon przygotowywał się do przyjęcia zespołu. Na dworcu orkiestra wojskowa, flagi narodowe czechosłowackie i polskie, masa żołnierzy. Przed dworcem rzędem ustawione wówczas tak bardzo popularne, w dodatku reprezentacyjne w czarnym kolorze „Tatraplany". Dowódca musztrował obecnych na przyjazd . . . Impreza odbyć się miała w oddalonym o kilka kilometrów ośrodku wczasowym.

A gdy pociąg zatrzymał na stacji, orkiestra rozpoczęła powitanie . . . Co za wzruszenie! Potem do wagonów podbiegali żołnierze, odbierając taszczone przez członków zespołu walizki ze świąteczną „ojcowizną". Poproszono do samochodów. Po dwóch. Tego zapomnieć się nie da . . .

Przed budynkiem wczasowym, gdzie odbyć miała się najpierw uroczysta kolacja, w oczekiwaniu siedmiu kelnerów. Też ustawionych szeregiem. Z rękawów zwisały białe obrusy. Uroczysty toast, znakomita kolacja, a potem uroczysty koncert. I brawa. Gorące brawa. Gdzieś nad ranem odjazd do Ołomuńca. Jeden z pięknych wieczorów, o których nie powinna pamięć zniknąć bezpowrotnie.

Z chwilą przybycia do Ołomuńca nowych studentów w znacznym zakresie poszerza się działalność koła. Poprzednio śpiewać musiał każdy. Było tylko dwudziestu czterech studentów. Wszyscy więc uczestniczyć musieli w występach. Teraz można było dokonywać wyboru.

Wybitną rolę odgrywa nowo przybyły suski dyrygent — Otokar Matuszek. W tym czasie — to już rok 1949 — powstaje chór męski z dyrygentem Otokarem Matuszkiem, chór liczący czterdzieści pięć członków. To jest już zespół. Równocześnie powstaje chór mieszany pod batutą tegoż. Oba chóry liczą ponad osiemdziesiąt członków. Nieco później powstaje zespół taneczny, który prowa-

dzi dojeżdżający na próby z dalekiego Brna Jasiek Konieczny. Zespół liczy szesnastu członków. Kierownictwo organizacyjne objęła ówczesna studentka medycyny, siostra Jasia Koniecznego, Wanda. Repertuar zespołów wypełniają: pieśni ludowe w opracowaniu E. Fierli, J. Kiszy, kompozytorów polskich: Lachmana, Walka-Walewskiego, St. Moniuszki i innych. Śpiewano ponadto pieśni górnicze, partyzanckie, śpiewano pieśni artystyczne. I dodajmy: wiele z tych pieśni nucili później również koledzy czescy. Tak im się spodobały.

Zespół taneczny podbija publiczność ludowymi tańcami śląskimi, polskimi tańcami ludowymi (krakowiakiem, mazurkiem, tańcami zbójnickimi). Zarząd Główny PZKO, a nawet Scena Polska wypożyczają stroje.

Na przełomie lat pięćdziesiątych polskie życie w Ołomuńcu rozbrzmiewało wszystkimi melodiami. Do czeskich serc wlewało się polskie ciepło.

Przybyli do Ołomuńca łącznicy z innych ośrodków uniwersyteckich: Pragi, Brna, Bratysławy. Słuchajcie — mówili — jak wy to robicie? Potem wspólnie omawiano programy wzajemnej współpracy, występów. Do Ołomuńca często zjeżdżają również przedstawiciele ZG PZKO. Nie tylko pokrzepić serca młodych entuzjastów, podziękować za piękno tworzone o ziemi śląskiej, przybyli porozmawiać, zachęcać do dalszej pracy.

Pierwsze powojenne roczniki maturalne powracają z dyplomami na Śląsk Cieszyński. Wracają równocześnie z poczuciem dobrze wykonanej pracy, wykonanej w imieniu ziemi, która ich wydała. Na Hanej zaś zyskują prawo obywatelstwa piosenki „Góralu, czy ci nie żal . . . ", „Na fojtowej roli" i ten śląski hymn narodowy, który śpiewamy o płynącej Olzie w dolinie.

Przychodzą nowe piosenki teraz już z dźwiękiem akordeonu Tadeusza Błanika . . . Józefa Wierzgonia . . . To oni przedłużają żywot tej grupy, żywot legendy, zanim wygaśnie. To następne ogniwo wspólnej łączności . . . Szkoda byłoby, gdyby czas rozpylił w tumany mgły tamto. Dlatego o tym piszę.

•

Zmieniły się czasy i my w nich. Tamte zdobycze nasuwają sporo myśli. Powiedział kiedyś znakomity Cyprian Norwid, że z karafki można się napić wody, biorąc ją w rękę. Ale by pić ze źródła, trzeba klęknąć przed nim. Myśmy czerpali ze źródła natchnień, ze czcią klękaliśmy przed ziemią, na którą dane nam było powrócić.

doc. dr JAN KORZENNY

Fragmenty pamiętnika, który zdobył 2. nagrodę w konkursie na wspomnienia dotyczące pierwszych lat działalności PZKO i SMP, ogłoszonym przez Sekcję Historii Regionu ZG PZKO.

WĘDRÓWKI NAZEWNICZE

KOCOBĘDZ (3)

Naszą wspólną wędrówkę po Kocobędzu musieliśmy w zeszłym numerze przerwać w toku przedstawiania kocobędzkiego zamku i umieszczonej w nim krajowej szkoły rolniczej. Obecnie drukujemy ciąg dalszy.

Sztudyntów było kole pindziesiónt, byli też trzo profesorzi a dyrektór. Ci sztudynci robili wszystki roboty, kiere było trzeba na folwarku zrobić. Każdóm robote musieli poznać. Jak robili praktyke na polach, to mieli kopaczki na takowych dłógich sztylach. Isto tymu, aby sie nie musieli zgibać. A po robocie to szli se spocznóć do ***Botanioka.*** *(Inni informatorzy mówili też:* ***Betaniok, do Betanioka.****) Szło sie tam z cesty od szkółki, z Tyczónki, przez takóm szyrokóm drzewiannóm brame. Na noc były ty wrota zamykane. W Botanioku było pieknie. Rosły tam aj morwy, czyrwóne kasztany, sosny szlachetne, brzimy, rozmaite krzoczki, a na kraju, w małych smreczkach, sztudynci hodowali bażanty. O cały tyn ogród, aj o szkółke, sie staroł ogrodnik Gelner. Tyn Gelner mi roz opowiadoł, że spod kocobynckij wieże idzie tunel przez Podobore do Markłowic na zómek. Mówił też, że downij był zómek spojóny z wieżóm, ale potym to rozchybali, a miyndzy zómkym a wieżóm zrobili ceste ku stodołóm.*

Ja, tóż jak tu w tym zómku była jeszcze rolniczo szkoła, to po prawej stronie schodów do zómku był ponad futrami dzwón. Był tak z piyńćatrzicet cyntymetrów wysoki i piyńćadwacet cyntymetrów szyroki na spodku. Na tym dzwónie dycki zwóniła szkolnica Borgielowa o pióntej rano, potym ku obiadu, a o dziewióntej wieczór.

Ostatnim dyrektorym był Krizofer. Jego cere se wzión Adolf Morcinek, co był potym na szachcie technikym czy inżyniyrym. (Franz Krieshofer pracował w kocobędzkiej szkole rolniczej w latach 1892 — 1921).

Chociaż kocobędzka szkoła rolnicza znajdowała się w regionie, w którym rolnicy byli w ogromnej większości Polakami, uczono w niej wyłącznie po niemiecku. Przeciwko temu nienaturalnemu stanowi przedstawiciele miejscowej ludności występowali. W roku 1897 rolnicy zażądali utworzenia przy szkole rolniczej polskich paralelek, ale sejm krajowy w Opawie żądanie to w roku następnym odrzucił. Również interwencja poselska posła do sejmu śląskiego w Opawie, adwokata Jana Michejdy, była bezskuteczna. Niechętnie wobec Polaków ustosunkowana niemiecka większość posłów nie dopuściła do tego, by dzieci polskich rolników mogły się kształcić w szkole zawodowej z polskim językiem nauczania. W tych warunkach krajowa szkoła rolnicza w Kocobędzu spełniała przez cały czas swego istnienia funkcję placówki germanizacyjnej.

Po powstaniu Republiki Czechosłowackiej i po włączeniu do niej zachodniej części Śląska Cieszyńskiego krajowa dwuletnia szkoła rolnicza w Kocobędzu została w roku 1921 zlikwidowana. W roku 1922 zajęła pierwsze piętro budowli zamkowej nowo otwarta jednoklasowa szkoła ludowa czeska, parter zaś przeznaczono na mieszkanie kierownika szkoły oraz na urząd pocztowy. W na-



Mapka topograficzna Kocobędza

stępnych latach gospodarstwo rolne dawnej szkoły rolniczej straciło znaczenie, coraz bardziej podupadało, a ogrody — chluba dawnej szkoły — zdziczały.

Nasz kiyrownik Karol Zagóra zakludził nas roz (kole 1930 roku) do zómku, a tam w sali na piyrszym piyntrze nóm pokazował ławe (stolice), na kierej za czasów pańszczyzny byli bici chłopi, co nie chcieli robić na pańskim. Była tak ze trzi metry dłógo,

a może meter dwacet szyroko. Nogi miała grube, graniate, z twardego drzewa. Nie wiym już, czy była z dymbowego czy jasiyniowego drzewa. Była zrobiōno z twardych desek osiym aż dziesiynć cyntymetrów grubych. Na tej ławie były umocowane szyroki rzymiynie na upiynci nóg aj rónk. Tela pamiyntóm. Ale kaj ta ława je teraz, to nie wiym. Isto jóm porómbali a spolili.

Z kiyrownikym Zagóróm my też roz szli sie podziwać do Liszkowej zogrody na tyn podziymny chodnik. Byli my uwiónzani ku dłógimu porwozu, dzierżeli my sie porwoza, zlyźli do tej dziury a szli. Ale kónsek dalij już był tyn kanał zaloty wodóm, tak my sie musieli wrócić.

Zapuszczony i nie doceniany ogród botaniczny przestał istnieć tuż przed drugą wojną światową. *Dyrektōr cieszyńskiego statku Na Mojskim, Kóniczek, kozoł wszystko w Botanioku wykarczować a zlikwidować. Wtedy był gazdóm w kocobynckim dworze Smelik. Teraz je na miyjscu Botanioka rajczula, krowy sie tam pasóm.* Tak więc względy ekonomiczne sprawiły, że dziś po ogrodzie botanicznym nie ma tu ani śladu.

DZIEDZINA

Najstarsza część Kocobędza rozciąga się w pobliżu, mówiąc ściślej na wschód od zamku. Część tę nazywano dawniej ***Dziedziną.*** *Mieszkali tam Kynik, Bajer, Buzek siedlok, Grania, Czakoj, Michel Jozef. Sóm tam trzi cesty: Pod Zómkym, Wiydyńsko a Pod Depym. Przi* ***ceście Pod Zómkym*** *je gospoda Buzkowa, ale my teraz mówiymy Do Justyny, U Justyny, bo cera Buzkowa, Justyna, była tu po śmierci rodziców gospodzkóm.* Niektórzy mówią też ***Do Istyny, U Istyny.*** Po założeniu Miejscowego Koła PZKO zespół teatralny Koła wystawiał U Justyny sztuki sceniczne, wyćwiczone przez reżysera Izydora (*Dorka*) Palarczyka. Odegrano tu m. in. „Iste roki" Ernesta Farnika. Sceny stałej tutaj nie było, więc aktorzy musieli sobie zbudować scenę prowizoryczną na beczkach od piwa. Po przedstawieniu scenę było trzeba znów rozebrać. Gospoda U Justyny spełniała więc w przeszłości pewną rolę kulturotwórczą, chociaż pod tym względem wyraźnie ją przewyższała Karczma Jana Poloka, w której już w latach dwudziestych odbywały się bale i wszystkie inne imprezy organizacji polskich w Kocobędzu.

Równolegle do *Cesty Pod Zómkym* przebiega na północ od niej ***Wiydyńsko Cesta.*** Każdemu nasuwa się chyba pytanie, skąd taka nazwa w małej wiosce? Najstarsi mieszkańcy przypuszczają, że nazwę tę wymyślili miejscowi austrofile. Okazją do tego miały się jakoby stać „wysokie" odwiedziny dziewiętnastoletniego następcy tronu Austro-Węgier, „Jego Cesarskiej Wysokości, najjaśniejszego arcyksięcia" Rudolfa w Frysztacie dnia 31 października 1877 roku. Dla upamiętnienia tego wydarzenia zasadzono wtedy w Kocobędzu nie opodal zamku pamiątkową lipę. Wokół odwiedzin narobiono z nakazu administracji wszędzie szumu co niemiara. Dr Julius Bayer, współczesny autor frysztackich zapisków kronikarskich, pisze w związku z odwiedzinami arcyksięcia Rudolfa: „Wspomnijmy jeszcze przy tych odwiedzinach o radości, która ogarnęła w owych dniach wszystkie warstwy mieszkańców na mile daleko aż do najbardziej zapadłych zakątków górskich wsi w Beskidach i znalazła ujście w przejawach przywiązania i wierności wszystkich wobec najwyższego dworu cesarskiego; odwiedziny te wywołały prawdziwy entuzjazm patriotyczny, jakiego dotychczas nie zdołały zapisać annały naszej historii." Bez wątpienia jest w tej ocenie wiele przesadnej euforii, ale odzwierciedla ona pośrednio ówczesne dążenia cesarsko-królewskiego aparatu urzędniczego i kierunek jego oddziaływania w zakresie kształtowania osobowości obywateli Austro-Węgier.

Cesta Pod Depym — to droga prowadząca na wschód od remizy straży pożarnej. Nazwa ludowa *depo* jest pożyczką z francuskiego *dépôt* 'skład, składnica, remiza'. *Nad dwiyrzami depa był za Austryje napis: Straż Pożarna.*

Droga przebiegająca od zamku w kierunku zachodnim otrzymała czeską nazwę urzędową Náves (pol. Nawsie). Miałaby to być nazwa kulturowa, wskazująca na to, że w tym miejscu była kiedyś pusta część wsi służąca zapewne za pastwisko. Byłoby to całkiem możliwe. Szkopuł tkwi jednak w tym, że wszyscy starzy informatorzy twierdzą zgodnie, że takiej nazwy ludowej (Nowsi) w Kocobędzu nie ma. W ustach ludu nazwa tej drogi brzmi ***Przedewsi*** (Przedewsie). Jest to nazwa topograficzna: przed wsią.

Cdn.

WŁADYSŁAW MILERSKI

TRYBUNA CZYTELNIKÓW

Z korespondencji, jaka dociera do naszej redakcji, publikujemy dziś list-propozycję E. Jonszty na temat ratowania cennych książek, krótką informację o balu w Suchej Średniej oraz ciekawe uzupełnienie do recenzji ostatniego Kalendarza Śląskiego, zasługujące chyba na samodzielne opracowanie przez historyków czy publicystów.

Druga połowa XIX wieku, jak i kończący się wiek XX, były bogate w wydarzenia, które nie ominęły także naszego terenu. Dotąd ujarzmiane narody nareszcie odzyskały wolność. Niebywały rozmach zanotowała kultura, zwłaszcza piśmiennictwo. Wszystkie te wydarzenia głośnym echem przeszły przez nasz teren.

Dzięki tym procesom książka stała się dostępna dla prawie wszystkich myślących ludzi, a tych u nas nie brakowało. Jest dużo ludzi między nami, którzy posiadają bogate zbiory książek, broszur okolicznościowych, prasy polskiej oraz innych materiałów o znaczeniu historycznym. Ludzie ci urodzili się w początkach dwudziestego stulecia, dzisiaj są już sterani życiem i powoli odchodzą od nas. Jest dobrze, jeżeli właściciel sam znalazł godnego dziedzica tych skarbów, obojętnie czy to będzie krewny, obcy kolekcjoner lub badacz historyczny. Niestety, nie zawsze tak jest, i to z kilku przyczyn:

Pierwszą z nich jest to, iż zbieracz wartościowych przedmiotów naszej kultury tak się w ciągu swojego życia do nich przywiązał, że nie potrafi się od nich oderwać w swoim podeszłym wieku. Stały się bowiem częścią jego życia. Drugą przyczyną jest to, że obecne młode pokolenie mało objawia chęci do studiowania historii a często brak mu szacunku dla pracy swoich przodków. Z tych przyczyn w wypadku śmierci kolekcjonera bardzo często te cenne materiały, wśród których są i białe kruki, ulegają zniszczeniu — są spalane, wyrzucane do makulatury itp. Ten barbarzyński sposób traktowania wartościowych materiałów historycznych wspiera także wysoki standard nowoczesnych mieszkań — jest w nich dużo luksusu oraz pseudo-kultury, ale nie ma tam miejsca na jedną lub dwie szafy na stare książki oraz materiały piśmienne. Dawniej prawie w każdym domu był strych, gdzie rzekomo niepotrzebne rzeczy odkładano, a wśród nich i książki, które za kilkanaście lat odkrył przypadkowy szperacz, uratował je i wykorzystał. A tak być powinno. Obecnie nastał renesans prawd historycznych. W wielkich ilościach są drukowane różne wspomnienia, których, gdyby nie było zapisków, różnych publikacji z bieżącego życia, nie byłoby można odtworzyć.

Opowiadano mi o pewnym pedagogu, któ-

ry w podeszłym wieku, kiedy musiał przeprowadzić się do willi swojego syna, odwoził swój księgozbiór do ... makulatury. Albo inny przykład: Po śmierci ojca, jego zięć, cudzoziemiec, przez okno wyrzucał polskie książki, a były wśród nich unikatowe dzieła...

Aby podobne sytuacje nie powtarzały się, jest wskazane, aby młode i średnie pokolenie rozejrzało się w swoim środowisku i wszystkie te skarby, o których była wyżej mowa, ratowało przed zniszczeniem. Sposobów jest kilka, trzeba tylko chcieć a także umieć podejść do ich kolekcjonera lub jego rodziny. Jednym z nich byłoby np. otwarcie w naszym Zwrocie rubryki oznajmiającej, co, gdzie i na jakich warunkach można otrzymać.

ERWIN JONSZTA
Szumbark

Od redakcji: Specjalna rubryka wymagałaby regularnego dostarczania odpowiednich przyczynków, a tego ani redakcja, ani też zapewne nasz korespondent nie zagwarantują. Chętnie natomiast opublikujemy w Trybunie Czytelników kolejne listy czy wnioski, dotyczące tego rzeczywiście ważnego tematu.

PRAWDZIWA ATMOSFERA BALOWA

I w tym roku MK PZKO w Suchej Średniej urządziło 7 lutego br. w Domu Kultury na Osiedlu swój tradycyjny Bal Towarzyski. Bal nasz zyskał sobie dobrą opinię i to nie tylko wśród członków PZKO. Na tegorocznym balu zjawiła się wyjątkowa ilość uczestników i wszyscy bardzo dobrze się bawili.

Bal rozpoczął tradycyjny polonez, prowadzony przez wodzireja Władysława Folwarcznego, który w czasie tańca swymi dowcipnymi opowiadaniami wytworzył miły nastrój w całej sali. Do tańca przygrywała orkiestra „Frak". Do uświetnienia i wywołania miłego nastroju przyczynił się też występ zespołu tanecznego PZKO z Suchej Górnej. Niespodzianką okazała się polka sercowa; tańczyli ją ci wszyscy, którzy poprzednio zakupili piernikowe serca, jakie upiekła i ozdobiła kierowniczka Zespołu Kobiet Marta Folwarczna.

W bufecie można było się posilić różnymi specjałami, przygotowanymi przez panie z Klubu Kobiet. Były też kwiaty, kotyliony, czapki i losy.

Dziękujemy wszystkim uczestnikom z bliższa i dalsza za przybycie i cieszymy się na spotkanie na naszym balu w przyszłym roku.

UCZESTNICZKA

NA MARGINESIE JEDNEJ RECENZJI

W nr. 2/87 Zwrotu została zamieszczona recenzja Kalendarza Śląskiego 87, w której Kazimierz Jaworski, znany mi tylko z nazwiska, dopuścił się skomentowania mojego artykułu pt. „Stragan znad Olzy" określając go jako „największą rewelację omawianej publikacji" itd. itp.

Mimo takiego przyjęcia, omawiany artykuł został pozbawiony swego może najsilniejszego akcentu. W miejscu, gdzie omawiam działalność szefa grupy wywiadu na Protektorat Marii Magnusek ps. Mica, wyłączony z tekstu został pasus dotyczący oceny znaczenia wydobycia przez nią — jako pierwszą — tajemnicy montażu rakiet V1 i V2 w Peenemünde:

„W swojej książce pt. „Ostatnia broń Hitlera", poświęconej rakietom V1 i V2, dr Józef Garliński, korzystający ze źródeł dostępnych na Wyspach Brytyjskich, pisze: Wiosną (chyba w kwietniu lub na początku maja) nadszedł z kraju pocztą kurierską szkic ...

wykonany ręcznie z zaznaczeniem grubym ołówkiem pewnego terenu rejonu Peenemünde". W recenzji do anglojęzycznego wydania tej książki recenzent brytyjski tak skomentował ten wyczyn: „Odwaga jednej kobiety odmieniła bieg wojny".

I tutaj od siebie dodałem: „Tą odważną kobietą, niewiele ponad dwadzieścia lat liczącą, była Maria Magnusek „Mica" z Trzyńca-Kanady".

Być może, że recenzent, kwalifikujący ten artykuł do druku, w tym miejscu zawahał się. No bo jakże — jakaś „Mica" z Trzyńca miałaby odwracać bieg wojny? Nie do uwierzenia.

W czasie śledztwa „Mica" konfrontowana z inżynierem, członkiem SA, który jej dostarczał najtajniejszych dokumentów, w ciągu zaledwie kilku dni posiwiała. Dziś żyje we Francji, nosząc nazwisko francuskie. Jest zamknięta w sobie, niechętnie wraca do przeszłości. Przeżyła kilka tygodni w celi śmierci, oczekując momentu wejścia kata. To zostaje na całe życie. Nie chce też zdradzić nazwiska owego inżyniera, ze względu na jego rodzinę, która żyje w przekonaniu, że zginął z pobudek ideowych jako bohater — antyfaszysta. Tymczasem w grę tutaj wchodziły pieniądze, i to duże.

Postać Marii Magnusek jest również znana historykom czeskim. Alena Hájková w swoim referacie pt. „Údaje o polské zpravodajské organizaci „Stragan" v dokumentech uložených v čs. archívech", wygłoszonym na polsko-czeskiej sesji naukowej w Nowym Sączu w dniach 1—4. 6. 1977 r. przytacza zeznanie aresztowanego po wojnie Karla Schrettera, kierownika sekcji kontrwywiadu IV 3a w Brnie, który oświadczył, że w kwietniu 1943 r. otrzymał z gestapo w Wiedniu polecenie aresztowania Eugena Lacha, urzędnika czeskiej służby kryminalnej w Ostrawie. W następstwie aresztowano cztery dalsze osoby, których nazwisk Hájková nie podaje. Schretter zeznawał, że zostało udowodnione, że E. Lach pełnił funkcję kierownika placówki „Straganu" w Ostrawie. Dalej Hájková podaje, że łączniczką („spojka") między E. Lachem a Janem Mrózkiem w Wiedniu była Marie Magnušková. Tutaj A. Hájková się myli. Maria była nie łączniczką, a szefem wywiadu na Protektorat. Świadczy o tym jej kryptonim „P 5", który według raportów gestapo oznaczał Protektorat, a jednocześnie — zgodnie z przyjętą zasadą — stanowił oznaczenie szefa tego obszaru. Ponadto nie nazywała się ona Magnušek, a z całą pewnością Magnusek. Tak twierdzi rodzina, najbardziej w tych sprawach kompetentna.

Udało mi się natomiast stwierdzić nazwiska dwóch (być może spośród owych czterech nie wymienionych imiennie przez Hájkową) Czechów, którzy wspólnie osadzeni byli z polskimi kolegami w więzieniu Margaretten w Wiedniu. Są to adwokat dr Robert Milata i Václav Brodil. Ten ostatni prawdopodobnie pochodził z Brna, gdyż wiadomo o nim, że był przyjacielem inż. architekta Eugeniusza Raczunasa, Polaka z Litwy, absolwenta politechniki w Brnie, członka Związku Akademików Polaków w Brnie, ożenionego i tam zamieszkałego przy ul. Nové Sady 22. W czasie wojny zajmował on eksponowane stanowisko w wydziale urbanistyki przy zarządzie miejskim w Linzu, prawdopodobnie występując tam jako obywatel Protektoratu. Lach, Milata i Raczunas zginęli w Stein, o czym była mowa w moim artykule. O losie Brodila nie mam informacji.

I wreszcie na koniec uwaga samokrytyczna. W owym artykule „Stragan znad Olzy" dwukrotnie występuje nazwisko „Sieminigowski" zamiast Siemiginowski. Ilość i jakość liter niby ta sama, a wyszło z tego przekręcenie zupełnie niefortunne. Dlatego też za to przepraszam czytelników. Nawet tych, którym w dalszym życiu by to zupełnie nie przeszkadzało.

OSWALD GUZIUR

TO I OWO

„Polityka" w nr. 5 publikuje obszerny materiał, dotyczący życia Polaków w Czechosłowacji. Autorem artykułu, nazwanego „Mówi się po polsku" jest znany publicysta Leszek Mazan. Po przeczytaniu reportażu z mniejszym zaufaniem podchodzić musi każdy, kto zna nasze środowisko, również do innych prac tegoż autora. Z obszernego materiału dowiaduje się bowiem między innymi, że: Nie wolno pisać o balach, sylwetkach działaczy i smażeniu jajecznicy — *to o Głosie Ludu. Są pono u nas polskie klasy w czeskich szkołach podstawowych, obywateli narodowości polskiej jest 70 tysięcy, prezesem ZG PZKO jest St. Kądziołka, redaktor naczelny „Zwrotu" odprowadza codziennie swoje dzieci do polskiego przedszkola (choć ma tylko jedno, i to już trzynastoletnie), nie ma też dla autora różnicy pomiędzy Cieszynem a Czeskim Cieszynem, śpiewamy sobie piękną pieśń „Płynie, Olza, płynie . . .". Stwierdza też autor, że:* brak jest polonijnych, narodowych, patriotycznych obchodów, tak charakterystycznych dla zbiorowości Polaków w innych krajach. *Dużo w tym wszystkim dobrych chęci, nie zauważył jednak autor charakterystycznej cechy tego ludu: poszanowania dla rzetelnej roboty. Również dziennikarskiej.*

W „Głosie Ziemi Cieszyńskiej" nr 6 A. Ptak również reaguje na powyższy tekst L. Mazana, jak również na jego wcześniejszy reportaż, zatytułowany „Wycie wilków". Pogląd sąsiada zza Olzy na wspomniane artykuły najlepiej charakteryzuje tytuł jego notatki: „Kulą w płot".

W nr. 5. to samo pismo informuje o udanym balu, zorganizowanym przez PZKO w Cz. Cieszynie w dniu 24. 1. 1987, z udziałem Miss Polonia R. Fatla, piosenkarki R. Danel i wielu innych gości.

„Chłopska droga" nr 3 publikuje obszerny artykuł Renaty Korpak pt. „W beskidzkim Jabłonkowie czy w górniczej Karwinie". Prócz informacji o PZKO i jego działalności oraz o Polakach na Śląsku czechosłowackim autorka przedstawia wywiad z I sekretarzem ZG PZKO Wł. Orszulikiem. To wy Polacy czy Czesi? — dziwią się i pytają nas i po tej, i po czechosłowackiej stronie granicy. Jakoś, mianowicie, nie pasuje: paszporty czechosłowackie, a mówimy po polsku — o ile nie zupełnie bezbłędnie, to w każdym razie jak każdy polski Ślązak. Z drugiej strony — kiedy mówimy „u nas", to mamy na myśli Czechosłowację, konkretnie mały jej skrawek, Śląsk Cieszyński — *tyle ze wstępu, są prócz tego informacje o osiągnięciach, odznaczeniach i o perspektywach nawet na następne 50 lat. Pięknie to brzmi . . .*

Dziennik Zachodni nr 45 zapoznaje swoich czytelników z miejscem tragedii polskich lotników w artykule pt. „Żwirkowisko". Autor, Krzysztof Franek, pisze m. in.: Dziś już niezbyt wielu wie, co wydarzyło się w Cierlicku-Kościelcu 55 lat temu. Warto więc przypomnieć. *Szeroko przypomina więc osiągnięcia i tragiczny finał kariery Żwirki i Wigury, wskazując jednak, że wśród mieszkańców Cierlicka i okolicy ich pamięć nie zaginęła.* Obecnie miejscem tym opiekuje się Koło Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w Cierlicku-Kościelcu, a szczególnie jego Klub Młodych „Ikar", z prezesem inż. Leszkiem Kotulą. Do śmierci właścicielki młodzi dysponowali domem p. Steblów i tam zorganizowali małe muzeum, a w nim wystawy cieszące się dużym powodzeniem. Niestety, obecnie wszystkie eksponaty leżą w skrzyniach. Można mieć tylko nadzieję, że już niedługo, bowiem PZKO-wcy z Kościelca chcą zbudować własny dom związkowy, a w nim izbę pamięci poświęconą obu wspaniałym lotnikom. Na razie młodzi pielęgnują pomnik i jego otoczenie, służą za przewodników na Żwirkowisko, coraz więcej jest wpisów w prowadzonej przez nich księdze pamiątkowej. Czy starczy im sił i środków na zbudowanie domu związkowego? Gdyby nie, stałaby się wielka szkoda.

KRONIKA

ZG PZKO

■ 3. 2.w Klubie PZKO w Cz. Cieszynie odbyło się pierwsze w br. zebranie Plenum ZG PZKO. Dokonano oceny walnych zebrań MK PZKO '86, omówiono i uchwalono ideowe założenia planu pracy ZG na rok 1987 oraz plan pracy ZG i jego sekcji na I półrocze 87. Plenum ZG zaakceptowało zamknięcia rachunkowe ZG za rok 1986 oraz plan budżetu ZG na 1987 rok. Najwyższy organ związkowy zapoznał się z informacją o aktualnym stanie przygotowań do Festiwalu PZKO '87.

■ 23. 2. obradowało Prezydium ZG PZKO. Omówiono stan aktów normatywnych Związku, realizację „Zestawu posunięć" oraz przygotowania do tegorocznego Festiwalu Piosenki Polskiej. Przygotowano również obrady zebrania plenarnego ZG PZKO, które zaplanowano na 31. 3.

■ 17. 1. w Domu PZKO we Frysztacie odbyło się spotkanie noworoczne byłych więźniów obozu koncentracyjnego Mauthausen-Gusen. Spotkanie prowadził przewodniczący Klubu Gusenowców J. Kazik. Program kulturalny wykonała solistka Jadwiga Niemiec oraz jej uczeń Romek Malczyk. Akompaniowała Wanda Miech.

■ 21. 1. I sekretarz ZG PZKO Wł. Orszulik spotkał się w siedzibie Związku z reżyserem przedsiębiorstwa „Kratký film" Praga, Vladislavem Kvasničką. Omówiono możliwości propagacji pracy PZKO-wskiej. Uzgodniono, że przedsiębiorstwo to spenetruje nasz teren i przygotuje odpowiedni film, który będzie wyświetlany w klnach na terenie CRS. Omówiono i uzgodniono także współpracę i możliwości propagowania PZKO w następnych latach.

■ Komisja Kadrowa przy ZG PZKO odbyła swoje zebranie 21. 1. w siedzibie Związku. Przewodniczył R. Popiołek, członek Prezydium ZG. Oceniono przebieg Walnych Zebrań w Kołach PZKO, omówiono przygotowania kadrowe Konferencji Miejskich i obwodowych PZKO, które przebiegną w I kwartale 87. Przedyskutowano rezerwy kadrowe do wybieralnych organów naczelnych Związku. Omówiono także sprawy odznaczeń związkowych i pozazwiązkowych z okazji 40-lecia PZKO.

■ I sekretarz ZG Wł. Orszulik i redaktor naczelny „Zwrotu" P. Przeczek odbyli w dniu 28. 1. spotkanie z dyrektorem Telewizji Ostrawa E. Sajdokiem i dyrektorem Rozgłośni Czechosłowackiego Radia w Ostrawie J. Morisem. Omówiono sprawy propagandy pracy PZKO przez te ośrodki masowego przekazu w roku 40-lecia PZKO. Przedłożone propozycje w tej sprawie przez przedstawicieli ZG PZKO zostały przyjęte.

■ 29. 1. w salce ZG PZKO odbyło się Seminarium Sekcji Historii Regionu ZG poświęcone 40. rocznicy podpisania umowy o przyjaźni i współpracy pomiędzy CSRS i PRL. Referaty wygłosili dr J. Lukaštik nt. „Podłoże historyczne podpisania umowy" oraz mgr. J. Klajsek pt. „Wpływ umowy na stosunki czesko-polskie".

■ Klub Medyków przy ZG PZKO swoje kolejne zebranie zorganizował 6. 2. w Klubie PZKO. W programie było spotkanie z posłem do Zgromadzenia Federalnego CSRS Karolem Michalskim, który podzielił się swoimi wrażeniami z dwumiesięcznego pobytu w Związku Radzieckim.

■ 1. 2. w Klubie PZKO w Cz. Cieszynie odbyła się odprawa przewodniczących Klubów Młodych Kół PZKO i ROKM-ów z Sekcją Młodzieży

Związkowej ZG, która była organizatorem spotkania. Obrady prowadził przewodniczący SMZ Bogusław Raszka, członek Prezydium ZG. Omówiono obecny stan pracy z młodzieżą w PZKO oraz przygotowania do przesuniętego na rok bieżący Forum Młodzieży Związkowej. W wyniku dyskusji ustalono cele związkowego ruchu młodzieżowego na najbliższą przyszłość.

■ ZG PZKO — Sekcja Śpiewaczo-Muzyczna zorganizowała 2. 2. w salce ZG spotkanie z dyrygentami i kierownikami chórów PZKO i polskich chórów pracujących przy Klubach Zakładowych RZZ. Zebranie prowadził przewodniczący SŚM inż. A. Kaleta. Omówiono Konkurs Polskiej Pieśni Chóralnej, który odbył się 29. 11. 86. Analizę utworów festiwalowych przeprowadził prof. J. Świder.

■ Prezydium KO KPCz w Ostrawie na swoim zebraniu 4. 2. omawiało m. in. działalność PZKO. Obecna była delegacja ZG na czele z St. Kondziołką, prezesem Związku. Prezydium KO KPCz pozytywnie oceniło pracę PZKO pro XIV Zjeździe PZKO. Jednocześnie zwróciło uwagę na konieczność wychowywania członków Związku w duchu uchwał XVII Zjazdu KPCz oraz na pracę z młodą generacją związkową. Delegacja ZG PZKO przekazała na ręce I sekretarza KO KPCz V. Vaclavíka zobowiązanie socjalistyczne, dedykowane 70. rocznicy WSRP oraz 40-leciu PZKO.

■ 7. 2. na stoku w Mostach k. Jabł. odbył się XIX Zjazd Gwiaździsty pod hasłem „Pokój — najwyższym dobrem ludzkości". Jego organizatorem były PSP i SRPS w Jabłonkowie. Na starcie stanęło 429 uczniów z 21 PSP, w tym 30 zawodników z 3 zaprzyjaźnionych czeskich i słowackich SP. Przemówienie okolicznościowe wygłosił J. Kowala, okręgowy inspektor szkolny. Delegacja uczniów i wychowawców udała się do pomnika poległych w Mostach k. Jabł. i na grób inicjatora Zjazdów Gwiaździstych — dyr. G. Zuczka, gdzie złożyła kwiaty. Po części oficjalnej odbyły się zawody. W punktacji generalnej XIX Zjazdu Gwiaździstego za biegi i slalomy wygrała drużyna PSP Bystrzyca, wyprzedzając PSP Jabłonków i PSP Mosty k. Jabł.

■ Biblioteka Powiatowa, Oddział Literatur Narodowych w Karwinie zorganizowała 12. 2. spotkanie z Teatrem Lalek „Bajka" przy ZG PZKO. Teatrzyk wystawił spektakl Edwarda Wojnarowskiego pt. „Ondraszku, Ondraszku". Odbyło się również spotkanie z kierownikiem teatrzyku Pawłem Żywczokiem. Biblioteka urządziła również wystawę ilustracji Bronisława Liberdy, otwartą od 6 do 28 lutego br.

■ 21. 1. w Domu PZKO w Trzyńcu VI odbył się konkurs recytacji w języku rosyjskim PSP z powiatu Frydek-Mistek. Wzięło w nim udział 19 najlepszych recytatorów w języku rosyjskim z tych szkół.

■ ZG PZKO — Sekcja Życia Towarzyskiego wydała w styczniu br. swój 7. Biuletyn, którego redaktorem odpowiedzialnym jest Henryk Kraina, członek tej Sekcji. Biuletyn obejmuje teksty — propozycje do wykorzystania w Kołach PZKO na różne uroczystości i okazje, np. na MDK, 40-lecie PZKO, na konkurs — zabawy dla dzieci, terminarz imprez ogólnozwiązkowych oraz niektórych obwodowych itd.

■ Kolejne mistrzostwa PZKO w slalomie specjalnym odbyły się 14. 2. w Mostach k. Jabł. Zawodników, których na starcie stanęło 51 z 21 Kół PZKO podzielono na kategorie wiekowe. Oprócz kategorii otwartej (bez różnicy wieku) zawodników sklasyfikowano w grupach I — do lat 16, II — do lat 30, III — do lat 40. W klasyfikacji generalnej wśród kobiet 1. miejsce zajęła J. Klus PZKO Trzyniec VI, wyprzedając I. Morcinek, PZKO Trzyniec — Podlesie i M. Szlauer, PZKO Łąki, wśród mężczyzn zwyciężył R. Madeja z PZKO Trzyniec — Kanada przed Z. Kocurem, PZKO Bystrzyca i W. Szotkowskim, PZKO Mosty k. Jabł.

■ Mistrzostwa PZKO w biegach na nartach odbyły się 15. 2. w Łomnej Dolnej przy słabszej frekwencji z powodu niedogodnego terminu (np. mistrzostwa CSRS w biatlonie). Wśród mężczyzn (7 km) wygrał St. Kawulok, MK PZKO Mosty k. Jabł. przed Zb. Kawulokiem, PZKO Łomna Dolna i H. Kowalczykiem, PZKO Trzyniec VI. Najlepszą biegaczką wśród kobiet (3 km) była Beata Wacławek z MK PZKO Łomna Górna, wyprzedzając Janinę Wacławek i Jadwigę Wacławek obydwie z PZKO Mosty-Szańce.

■ 9 — 13. 2. w Domu PZKO w Trzyńcu VI odbyło się szkolenie dla działaczy PZKO z wszystkich Kół powiatu Frydek-Mistek. W szkoleniu uczestniczyło 53 działaczy PZKO. Mówiono o zadaniach, jakie postawił przed PZKO i innymi organizacjami Frontu Narodowego XVII Zjazd KPCz, o problematyce polityki narodowościowej i polityki kulturalnej partii, o problematyce wychowania młodzieży w organizacjach FN oraz o zagadnieniach dotyczących pracy polityczno-organizacyjnej w PZKO, szczególnie w świetle przygotowań do XV Zjazdu PZKO i obchodów 40-lecia PZKO.

■ Spotkanie filmowców SLA przy ZG PZKO odbyło się

30. 1. w Karwinie. Uczestnicy zapoznali się z różnorodnym sprzętem filmowym, obejrzeli m. in. kilka filmów amatorskich oraz omówili dalsze spotkanie.

■ Eliminacje obwodowe tegorocznego Konkursu Czytelniczego PZKO, których organizatorem była Sekcja Czytelniczo-Bibliotekarska ZG, przebiegły 16. 2. w Karwinie, 17. 2. w Cz. Cieszynie, 18. 2. w Trzyńcu oraz 19. 2. w Jabłonkowie. W eliminacjach obwodowych udział wzięło 446 uczniów. Do eliminacji centralnych zakwalifikowało się 56 finalistów z obu powiatów.

■ ZPiT „Olza" ZG PZKO wystąpił z programem balowym 14. 2. w Karwinie w Domu Przyjaźni na Balu SZM Kopalni CSA oraz 20. 2. w Domu Kultury Kopalni Gottwald w Suchej Górnej na Balu Kopalni 1. Maja.

■ Tegoroczne eliminacje obwodowe Konkursu Recytacji '87 odbyły się 14. 2. w czterech ośrodkach, w Jabłonkowie-Nawsiu, Trzyńcu, Cz. Cieszynie i Karwinie. Współzawodniczyło 284 recytatorów w siedmiu kategoriach. Do eliminacji centralnych, które przebiegły 21. 2. w Klubie PZKO i w salce zebrań ZG w Cz. Cieszynie, zakwalifikowało się 99 recytatorów.

BOGUMIN

■ Dyrekcja szkoły i przedszkola oraz SRPS w Boguminie urządziły 1. 2. w Domu PZKO balik dziecięcy. Wystąpiła młodzież szkolna oraz przedszkolacy. Do tańca przygrywał zespół Klubu Młodych „Krater" z Koła PZKO w Skrzeczoniu.

■ 30. 12. w Domu PZKO w Skrzeczoniu odbyło się spotkanie noworoczne. Imprezę zagaił programem okolicznościowym chór mieszany Koła „Hasło". Scenkę składającą się z piosenek, recytacji i tańców, opracowaną przez Marię Sładeczek, wykonał zespół dziecięcy Koła. Wystąpił także zaproszony zespół wokalny „Gama" pracujący przy Kole PZKO w Suchej Górnej.

■ Klub Seniorów przy tymże Kole zorganizował 25. 1. w Domu PZKO prelekcję nt. „Lecznictwo ludowe", którą wygłosił prelegent ZG Jan Szymik.

■ Koło PZKO w Wierzniowicach urządziło 7. 2. we własnym lokalu „Bal PZKO". W programie wystąpił zespół taneczny PZKO ze Skrzeczonia. Grał zespół muzyczny „Domino" z Hawierzowa.

■ 5. 2. w Domu PZKO w Boguminie odbyła się Konferencja Komitetu Miejskiego PZKO w Boguminie. Oprócz delegatów uczestniczyli w niej przedstawiciele okręgowych i miejskich władz partyjnych, ZG PZKO, MRN w Boguminie, OW KPCz w Lutyni Dolnej, radni. Przyjęto plan pracy na najbliższe dwa lata, wystosowano też rezolucję pokojową do Czeskiego Komitetu Pokoju w Pradze.

BYSTRZYCA

■ „Bal PZKO" zorganizowało 30. 1. w Domu Kultury „Na Pile" Koło PZKO w Milikowie-Pasiekach.

■ SRPS i MK PZKO w Nydku urządziły 14. 2. w Domu PZKO tradycyjny bal. Grała orkiestra „Tony".

CZESKI CIESZYN

■ Koło PZKO w Stanisławicach zainaugurowało swoje obchody w ramach 40-lecia PZKO „Balem Towarzyskim", który się odbył 31. 1. w miejscowym Domu Kultury. Przygrywała orkiestra „Expres" pod batutą Andrzeja Wacławika.

■ „Bal Towarzyski" urządziło 31. 1. w Domu PZKO Koło PZKO Cz. Cieszyn — Mosty. Grała orkiestra „Trioton". Program balowy zaprezentował zaproszony ZPiT „Olza" przy ZG PZKO.

■ Zarząd tego Koła przy współpracy z Kołem PZKO Cz. Cieszyn — Osiedle oraz Komitetem Obywatelskim i Spółdzielnią „J — J" zorganizował 8. 2. III Zimową Olimpiadę dla dzieci i młodzieży szkolnej, w której uczestniczyły 103 osoby. Zawody odbyły się na stoku pod mosteckim Domem PZKO w dyscyplinach: slalomie, zjeździe, skokach narciarskich, zjeżdżaniu na sankach i bobach. Dla najmłodszych zorganizowano kulig konny.

■ Sekcja Turystyczno — Krajoznawcza sibickiego Koła PZKO zorganizowała w lutym br. kolejne 4 wycieczki, do Jabłonkowa i na Hadaszczok, do Mostów k. Jabł. i Czadcy, do Mostów k. Jabł. i na Girową oraz do Bystrzycy i na Koziniec.

■ Zarząd sibickiego Koła urządził 14. 2. w Domu Kultury w Żukowie Dolnym „Pod Dzwonkiem" bal PZKO.

■ Zarządy Kół PZKO w Cz. Cieszynie-Kocobędzu i Ligocie zorganizowały 14. 2. w lokalach Ośrodka sportu i kultury w Kocobędzu „Bal PZKO". Program balowy wykonał ZPiT „Olza" ZG, do tańca przygrywała orkiestra „Opus".

■ Zarząd MK PZKO Cz. Cieszyn-Osiedle urządził 20. 2. w Domu Kultury w Żukowie Dolnym „Bal pod Dzwonkiem".

■ Klub Propozycji przy tym Kole oraz Biblioteka Miejska





Złotą odznakę „Zasłużony dla Związku" za długoletnią działalność społeczną przyznało Plenum ZG PZKO po raz drugi działaczowi z Gnojnika Ludwikowi Kowalczykowi. Powtórne odznaczenie powiązane jest z wpisem do Złotej księgi zasłużonych ZG PZKO. Przekazania wysokiego odznaczenia oraz wpisu dokonano w dniu 15. 2. 1987. Delegacja ZG PZKO na czele z jego prezesem St. Kondziołką ze względu na stan zdrowia odwiedziła L. Kowalczyka w jego domu, by tu złożyć mu przy okazji również osobiście podziękowania za dotychczasową działalność

urządziły 16. 2. w salce Biblioteki Miejskiej w gmachu Teatru Cieszyńskiego odczyt Heleny Legowicz pt. „Rozważania nad Trylogią H. Sienkiewicza".

■ Tradycyjny, organizowany od przeszło 20 lat „Bal Śląski" odbył się na „Fibakówce" 21. 2. Jego organizatorem było Koło PZKO Mistrzowice. Program balowy zaprezentował zespół taneczny PZKO z Suchej Górnej. Do tańca przygrywała orkiestra „Opus" H. Sumery.

■ Koło PZKO Cz. Cieszyn — Park Sikory zorganizowało 20. 2. w świetlicy „Śledziówkę". W programie wystąpiła kapela ZPiT „Olza" ZG.

■ Zarząd Koła PZKO w Żukowie Dolnym urządził 21. 2. w Domu Kultury „Pod Dzwonkiem" świetlicę z okazji MDK '87 połączoną z zabawą ostatkową.

HAWIERZÓW

■ Zespół Kobiet przy Kole PZKO w Datyniach Dolnych zrealizował 31. 3. w Ośrodku Agitacyjnym prelekcję MUDr. Piotra Paszka pt. „Podmorskie cuda Wysp Koralowych".

■ Klub Panów w Najlepszych Leciech pracujący przy Kole PZKO w Hawierzowie-Suchej zorganizował w styczniu br. imprezę oświatową. Ponad 50 obecnych członków Klubu wysłuchało prelekcji MUDr. Piotra Paszka o Środkowej Afryce.

■ Zarząd tego Koła urządził 7. 2. w Domu Kultury Kopalni „Dukla" (na Osiedlu) „Bal Towarzyski". W programie wystąpił zespół taneczny PZKO z Suchej Górnej. Grała orkiestra „Frak".

■ Koło PZKO w Hawierzowie-Szumbarku urządziło 31. 1. we wszystkich lokalach restauracji „Pod Jeleniem" jubileuszowy Bal PZKO na 40-lecie Związku.

■ Klub Młodych przy Kole PZKO w Błędowicach zorganizował 31. 1. w Domu PZKO karnawałową dyskotekę.

■ Klub Propozycji przy tymże Kole zrealizował 15. 2. w Domu PZKO odczyt MUDr. P. Paszka nt. „Afryka" z przezroczami.

fot. PIOTR PRZECZEK

■ Klub Młodych Koła błędowickiego urządził 21. 2. w Domu PZKO „Bal Młodzieży". Grał zespół PZKO „Krater" ze Skrzeczonia, a w lokalu Klubu Młodych była dyskoteka K. Klimoszka. Imprezą towarzyszącą była wystawa z okazji 10-lecia Klubu Młodych „Na Strychu", otwarta w sali wystaw Domu PZKO w dniu balu.

■ Swój „Bal Towarzyski" urządziło żywocickie Koło PZKO 21. 2. w Domu Robotniczym.

■ Klub Emerytów przy MK PZKO w Hawierzowie-Centrum zorganizował 5. 2. w świetlicy „Pod Arkadami" pogadankę z wyświetleniem przezroczy J. Folwarcznego z wycieczki w Opolu, zaś 19. 2. „Podwieczorek ostatkowy" z własnym programem. „Bal Śląski" urządził zarząd tegoż Koła 14. 2. w Domu PZKO w Błędowicach.

■ 13. 2. w restauracji „Na Kościelcu" odbyło się spotkanie Komitetu Budowy Izby Pamięci Żwirki i Wigury. Organizatorem spotkania były zarządy Kół PZKO Cierlicko — Kościelec i Stanisławice. Z ramienia ZG PZKO udział wzięli Wł. Orszulik, I sekretarz ZG i B. Branny, sekretarz WPO. Omówiono sprawy związane z lokalizacją obiektu oraz organizację rozpoczęcia realizacji dzieła a także jego finansowanie.

■ Tradycyjny „Bal u utopców" urządziły 21. 2. w sali Powiatowego Domu Pioniera i Młodzieży Koło PZKO i SRPS w Cierlicku-Centrum. Do tańca przygrywała orkiestra „Steel Quintet" Zbyszka Farnika.

■ XII zawody obronne „O partyzancką pepeszę" zorganizowały 21. 2. w Suchej Górnej Komitet Obywatelski nr 109, MK PZKO, SRPS obydwu szkół i przedsiębiorstwo OPOS. Uczestniczyło około 60 uczniów miejscowych szkół. Nagrodę zespołową ufundowało Koło PZKO w Suchej Górnej.

■ Koło PZKO Hawierzów-Szumbark odbyło 20. 2. w Ośrodku Agitacyjnym zebranie członkowskie. W ramach zebrania prelegent dr K. Rzyman wygłosił prelekcję pt. „Litwa, Łotwa, Estonia" uzupełnioną wyświetleniem przezroczy.

■ Na zebraniu Komitetu Miejskiego PZKO w Hawierzowie, które odbyło się 18. 2. w Domu PZKO w Błędowicach, omówiono przygotowania do konferencji komitetu, do kolejnego „Wieczoru Przyjaźni" i do koncertu ZPiT „Górnik". Przedyskutowano również projekt nowego Statutu PZKO oraz udział obwodu hawierzowskiego w Festiwalu PZKO w Karwinie.

■ Zarząd Koła PZKO w Cierlicku-Kościelcu urządził 7. 2. w sali restauracji „Na Kościelcu" bal „U Czarnej Księżnej". Przygrywała orkiestra „Witamin", całość prowadził aktor Sceny Polskiej TC Rudolf Moliński.

JABŁONKÓW

■ Klub Młodych przy MK PZKO w Jabłonkowie zorganizował „Maraton Taneczny" w Domu PZKO w Jabłonkowie, trwający 12 godzin. Startowało 8 par tanecznych. 1. miejsce zdobyła para J. i E. Tacinowie, 2. M. Rudzka i T. Świerczek, a 3. B. Drózd i J. Szpyrc.

■ MK PZKO Nawsie zorganizowało 1. 2. w Domu PZKO w ramach pracy oświatowej projekcę filmu polskiego pt. „07, zgłoś się".

■ 13. 2. w lokalach Domu PZKO w Nawsiu dzieci miejscowej szkoły podstawowej bawiły się na dorocznym baliku maskowym.

■ 14. 2. wszystkie pomieszczenia tego Domu gościły niespełna setkę młodocianych recytatorów, biorących udział w obwodowym konkursie recytacji zorganizowanym przez ZG PZKO.

■ 21. 2. urządzono tu bal PZKO i SRPS. Członkowie Klubu Młodych przygotowali program, który wykonali tego samego wieczora również na balu w Nawsiu-Jasieniu.

KARWINA

■ Klub Propozycji przy stonawskim Kole PZKO zrealizował 29. 1. w świetlicy Koła prelekcję dr. K. Rzymana pt. „Korea" uzupełnioną przezroczami.

■ 12. 2. Klub zorganizował w Domu PZKO spotkanie, w programie którego Jadwiga i Władysław Gałuszkowie zaprezentowali prelekcję uzupełnioną przezroczami pt. „Macedonia i Czarnogóra".

■ „Bal PZKO" frysztackiego Koła PZKO odbył się 31. 1. w Domu Przyjaźni. W programie wystąpił ZPiT „Górnik" z polonezem i tańcami ludowymi. Zaprezentował się także zaproszony zespół taneczny PZKO Sucha Górna z tańcami południowoamerykańskimi.

■ 23. 1. w Domu PZKO we Frysztacie odbyło się zebranie sprawozdawcze chóru męskiego PZKO Frysztat „Hejnał-Echo" za rok 1986. Występowano 17 razy, m. in. w auli filii UŚ w Cieszynie.

■ Zarząd frysztackiego Koła urządził 21. 2. jednodniową wycieczkę do Wratnej Doliny.

■ Zarząd Koła urządził 14. 2. w Domu PZKO wieczór filmowy. Wyświetlono polski film fabularny pt. „Strzał na dancingu".

■ 14. 2. w Domu Robotniczym w Darkowie odbył się 40. jubileuszowy bal PZKO. Do tańca przygrywała kapela ZPiT „Olza" i orkiestra z Kopalni „Siersza" w Trzebini (PRL).

■ Karwiński Komitet Miejski PZKO odbył swoją Konferencję 27. 1. w Domu PZKO we Frysztacie. Program kulturalny wykonał żeński chór „Kalina" z MK PZKO Frysztat oraz uczniowie miejscowej PSP, której patronuje Koło PZKO we Frysztacie. Sprawozdanie z działalności Kół karwińskiego obwodu przedstawił przewodniczący Komitetu Z. Kocur. Osobny rozdział w sprawozdaniu poświęcono przygotowaniom karwińskiego obwodu do Festiwalu PZKO '87 w Karwinie.

■ MK PZKO w Łąkach urządził 7. 2. w sali „J — J" Centrum Bal PZKO. Grała orkiestra „Smolaři" Klubu Zakładowego „Kovona".

■ „Bal Jubileuszowy" urządziło Koło PZKO Karwina-Sowiniec 13. 2. w świetlicy PZKO na Sowińcu. Grała orkiestra ob. Woźnicy.

■ „Bal PZKO" zorganizowało 14. 2. w Domu PZKO we Frysztacie Koło PZKO Karwina-Granice. Grała orkiestra „Mostrio".

■ Zespół Kobiet oraz Klub Seniora przy MK PZKO w Karwinie-Raju urządziły 19. 2. w Domu PZKO wspólne spotkanie, na którym m. in. wyświetlono polski film fabularny pt. „Romans Teresy Hennert".

ORŁOWA

■ SRPS wraz z dyrekcją PSP i przedszkola oraz Klub Młodych MK PZKO w Orłowej-Lutyni urządziły 31. 1. w Miejskim Domu Kultury Bal SRPS i Klubu Młodych „Pod Kasztanem". Grała orkiestra „Reflex" HD Bogumin.

■ „Bal PZKO" zorganizowało 14. 2. również w Miejskim Domu Kultury Koło PZKO Orłowa-Lutynia. Program balowy wykonał zespół taneczny Koła-gospodarza. Do tańca przygrywała orkiestra „Reflex" z Bogumina.

■ MK PZKO w Orłowej-Porębie urządziło 7. 2. w Domu Kultury w Porębie 38. tradycyjny „Bal PZKO". Przygrywała orkiestra „Krater" z MK PZKO w Skrzeczoniu.

■ Zarząd Miejscowego Koła PZKO w Dąbrowej zorganizował 30. 1. w świetlicy spotkanie klubowe z MUDr. Heleną Paszek, która podzieliła się swoimi wrażeniami z Kuwejtu, gdzie pracowała przez 6 lat. Pogadankę uzupełniła przezroczami.

TRZYNIEC

■ Miejscowe Koło PZKO w Lesznej Dolnej zorganizowało 30. 1. w sali „Braterstwa" dziecięcy balik maskowy.

■ Zarząd Koła zrealizował 8. 2. w sali „Braterstwa" prelekcję pt. „Europa południowa".

■ „Bal Towarzyski" urządziło Koło PZKO wraz z SRPS w Trzyńcu-Kanadzie 31. 1. w sali internatu. Wystąpił ZPiT „Olza" przy ZG PZKO, a do tańca przygrywała orkiestra Domu Kultury HT.

■ Koło PZKO Trzyniec-Stare Miasto zorganizowało 19. 2. w świetlicy Koła wieczór świetlicowy połączony z prelekcją i przezroczami inż. A. Cienciały pt. „Wrażenia z pobytu w Syrii".

■ Zarząd Koła PZKO w Oldrzychowicach zrealizował 11. 2. w Domu PZKO prelekcję MUDr. Piotra Paszka pt. „Wrażenia z pobytu w Afryce" uzupełnioną przezroczami. Zarząd tego Koła zorganizował 15. 2. na stoku pod „Groniem" zawody narciarskie w slalomie dla wszystkich kategorii wiekowych.

■ Przy Kole PZKO w Nieborach powstał dzięki inicjatywie Klubu Młodych nowy zespół taneczny. Pierwszy występ zrealizował na tegorocznym balu Koła. Choreografii podjęła się Beata Miarka, członkini ZPiT „Olza". Zespół liczy 13 członków, którzy wywodzą się z Klubów Młodych PZKO przy Kołach w Nieborach, Gutach i Ropicy.

■ SRPS oraz MK PZKO Trzyniec-Osówki urządziły 14. 2. w gospodzie na Osówce bal.

■ Koło PZKO w Tyrze zorganizowało 20. 2. w sali miejscowej gospody występ zespołu teatralnego tego Koła, który wystawił sztuki sceniczne Władysława Niedoby pt. „Babski raj" i „Stary pachołek, czyli Złota Rybka". Przedstawienie wyreżyserował Władysław Walek. Po spektaklu odbyła się zabawa taneczna, na której przygrywała orkiestra „Opus" H. Sumery.

■ SRPS szkoły i przedszkola oraz MK PZKO w Ropicy zorganizowały 21. 2. w sali „Jednoty" „Bal Towarzyski". W programie wystąpił Klub Młodych Miejscowego Koła, a do tańca przygrywała orkiestra „Daxon".

■ MK PZKO oraz SRPS przedszkola w Karpętnej urządziły 20. 2. w sali ob. Kotasa bal. W programie wystąpił zespół taneczny PZKO z Oldrzychowic. Grała orkiestra „Trio Universum".



fot. PIOTR WOJOCZEK

MOZAIKA

TEMAT DLA EWY

ROŚLINY, KTÓRE ODCHUDZAJĄ

Można powiedzieć, że obecnie cały cywilizowany świat się odchudza. Wiadomo, otyli żyją krócej, a osoby szczupłe są na ogół zdrowsze, bardziej sprawne fizycznie, nie mówiąc już o sprawach estetyki. Osoby odchudzające się są za bardzo niecierpliwe. Szukają więc rozmaitych pomocniczych środków odchudzających, począwszy od gimnastyki, masażu, ruchu na świeżym powietrzu, a kończąc na ziółkach i innych roślinach o właściwościach odchudzających. Przyjrzyjmy się bliżej tym cudownym roślinom, których moc znana była już naszym dalekim przodkom, a które dzisiaj robią na nowo karierę.

Cytrus albo grejpfrut — tak jak i inne produkty i zioła przyspiesza przemianę materii, reguluje żołądek, przeciwdziała sklerozie, żylakom, wspaniale gasi pragnienie i, co najważniejsze, pełno go w sklepach jarzynowych. Ma jedną wadę — nieco pobudza apetyt, czyli trzeba uważać, aby po nim zjadane były posiłki niskokaloryczne.

Ogórki — w zasadzie nie brak ich przez cały rok, w lecie są świeże, w zimie jeszcze zdrowsze — kiszone. O ile świeże ogórki nie zawsze są dobrze przyswajane przez delikatne żołądki i wątroby, to ogórki kiszone — chyba nie szkodzą nikomu. Nawet w dużej ilości nie tuczą, ale jeszcze odchudzają. Przyspieszają spalanie w organizmie i przyczyniają się do usuwania nadmiaru wody z naszego ustroju. Już przed tysiącami lat ogórki znane były w Indiach jako warzywo upiększające. Nie tylko wtedy, kiedy się je jada, ale także, gdy się stosuje zewnętrznie. Znana jest maseczka wybielająca i pojędrniająca cerę twarzy z plasterków świeżego ogórka. Te same efekty osiągamy przemywając twarz sokiem z tego świeżego warzywa. Warto pamiętać o tym, że świeży ogórek ma bardzo aktywny enzym — askorbinę, który momentalnie rozkłada witaminę C.

Seler — nie bardzo można twierdzić, że „odchudza", bo jego 100 g dostarcza około 30 kalorii. Przedłuża młodość, czyści krew, a ponadto wypełnia żołądek tak, że przez dłuższy czas ma się uczucie sytości. Choć więc sam nie odchudza, to przez to, że zaspokaja łaknienie na jakiś okres czasu i nie tuczy — jest ogromnie ceniony we wszystkich kuracjach odchudzających.

Sałata — 100 g sałaty to zaledwie 14 kal. Tuczące są tylko dodatki do sałaty — słonina, olej, śmietana, majonez. W czasie odchudzania koniecznie trzeba jeść sałatę,

bo także upiększa. Ma sporo witamin (A, C, E, z grupy B), makro- i mikroelementów. Pomaga zachować jędrność skóry, co przy gwałtownym odchudzaniu jest bardzo ważne.

Nać pietruszki — pomaga sałacie. W 100 g pietruszki kryje się aż 60 kal, ale któż zjadłby naraz 10 dkg natki? Zawiera ogromną ilość witamin, makro- i mikroelementów, m. in. żelaza, magnezu, fosforu.

Ogonki wiśni i czereśni — ponoć właśnie herbatce z ogonków Francuzki zawdzięczają swoje wąskie biodra i chłopięce sylwetki. Herbatka nie jest smaczna, ale niezwykle skuteczna. Ogonki moczymy przez 12 godzin w zimnej wodzie. Potem 22 dkg ogonków gotujemy 10 min. w litrze wody. Wywar pijemy przez 1—2 dni przez cały czas kuracji.

Mięta — ulubione „ziółko" Anglików. Łagodzi i leczy zaburzenia żołądkowe, obkłady z mięty pomagają przy bólach głowy. Pomaga strawić jedzenie, przyspiesza przemianę materii, radzimy ją pić w czasie posiłków.



rys. ALEŠ MORÁVEK

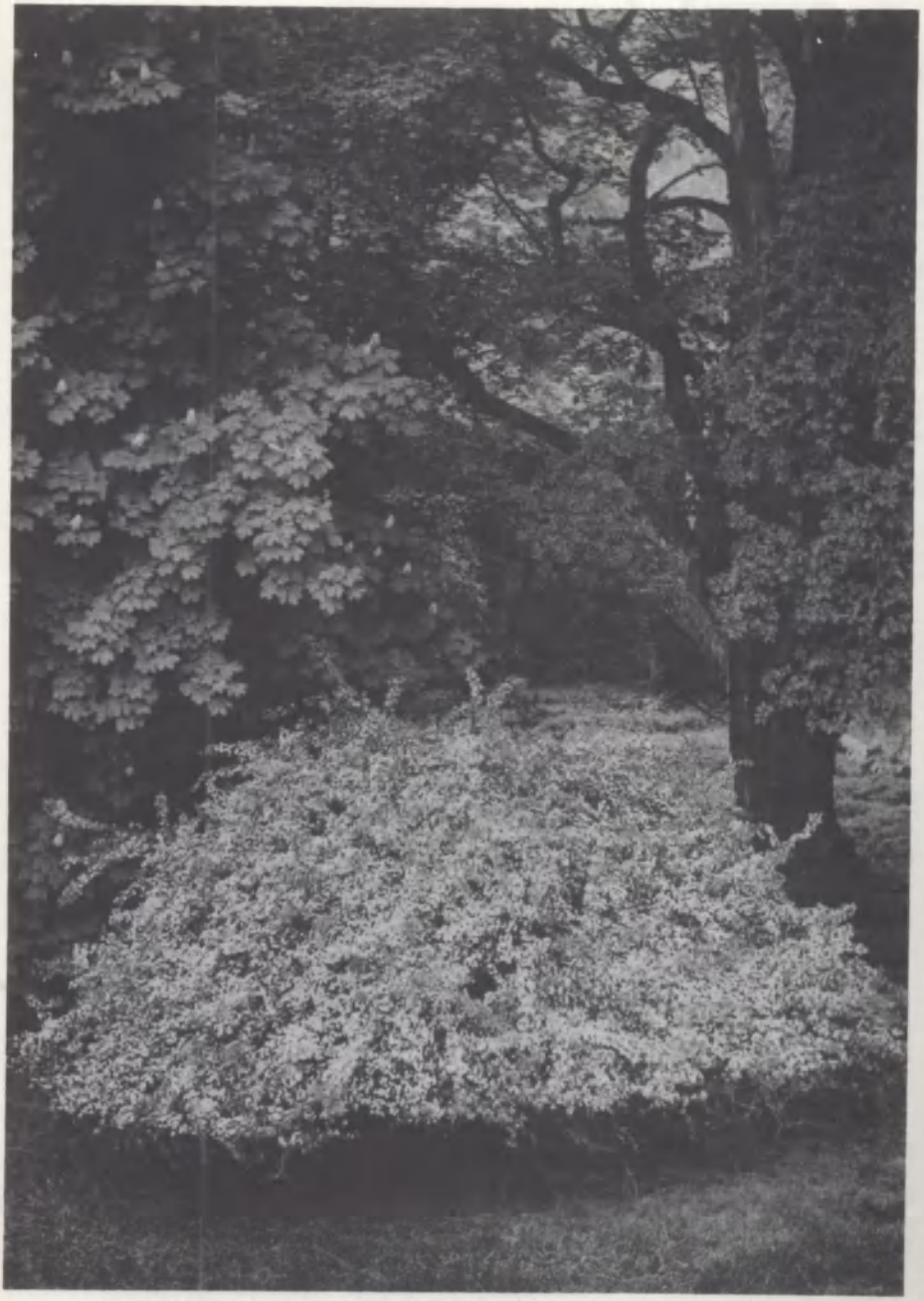
JAK JEST POPRAWNIE

CZYLI MÓJ CZY SWÓJ

Użycie zaimka dzierżawczego *swój* wcale nie jest przypisane do podmiotu występującego w zdaniu w 3. osobie. Zaimek ten występuje często w różnych funkcjach nie tylko wtedy, gdy posiadaczem jest on, ona, oni czy one. (np. *Nie miałem swojego kąta w mieszkaniu. Coś ty zrobił ze swoimi pieniędzmi?* itp.)

Obowiązuje tutaj inna prosta reguła: o ile podmiot zdania (niezależnie od osoby, w której występuje) jest posiadaczem tego, do czego odnosi się zaimek dzierżawczy, to używamy zaimka *swój*, np. *Byłem w swoim domu. Byłeś w swoim domu* lub *Byli w swoim domu.*

Językoznawcy w tym wypadku nie stawiają jednak sprawy rygorystycznie, podkreślając, że czasem dla wyraźniejszego uwypuklenia posiadacza można użyć śmiało innych zaimków dzierżawczych, takich jak: *mój, twój, swój, nasz, wasz.* Teoretycznie poprawniej brzmi: *Nie wiem, gdzie położyłem swoją książkę*, ale często, jeśli chodzi nam o położenie nacisku na tym, do kogo książka należy, mówimy również: *Nie wiem, gdzie położyłem moją książkę.*



fot. PAVEL DANEL

KRZYŻÓWKA

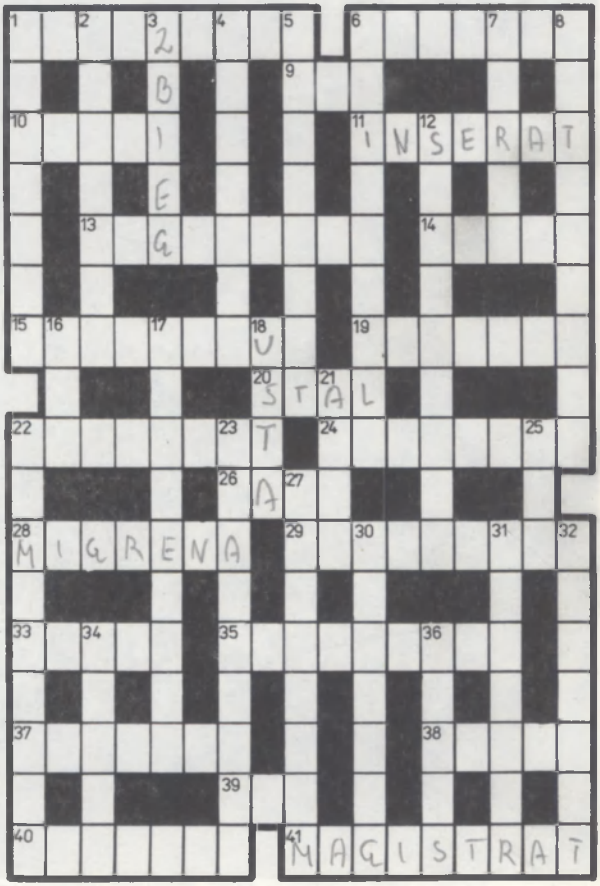
Znaczenie wyrazów:

POZIOMO:

1 kłujący przedstawiciel przedziwnych ssaków australijskich
6 trema w rękach
9 jabłkodawczyni
10 z piasku
11 wzrost średni, oczy piwne, włosy blond, znaków szczególnych brak
13 wykonuje fugi Bacha
14 srebrny odpowiednik dukata
15 najwyższa z obu Ameryk
19 w jego języku znajdziesz kilkadziesiąt określeń śniegu, lecz słowa „wojna" nie usłyszysz
20 hartowała się
22 ubiega się
24 operator wiertarki z tytułem
26 peruwiańsko-boliwijski wielbłąd
28 uporczywy ból głowy
29 od czasów Augusta tytuł nadawany cesarzom rzymskim
33 zastępuje pieniądz w ruletce
35 zaświadczenie, zwłaszcza dotyczące specjalizacji lekarskiej
37 w średniowieczu: żołnierz ze straży przybocznej dostojnika, potem: satelita księżyca, obecnie: popularny samochodzik
38 napisał książkę
39 biegający przedstawiciel przedziwnych ptaków australijskich
40 napada
41 dawna siedziba władz miejskich

PIONOWO:

1 dzieje się, gdy brak sprawiedliwości
2 płynie przez południe Afryki
3 uciekł
4 zawiesisz na nim kociołek
5 statek powietrzny napełniony gazem lżejszym od powietrza
6 jedna z cieśnin tureckich
7 Ministerstwo Turystyki tego kraju da ci zezwolenie na zaliczenie Everestu
8 sugestywne wyrażenie uczuć
12 artysta-rzemieślnik wykonujący prace ze stiuku
16 Centralna Agencja Wywiadowcza
17 miejsce do zbiorowego uprawiania lektury
18 największy otwór w głowie
21 jabłkobiorca

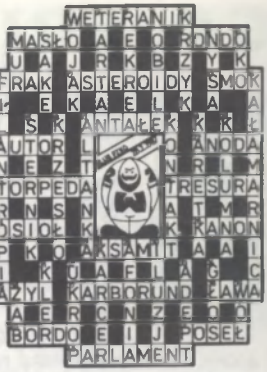


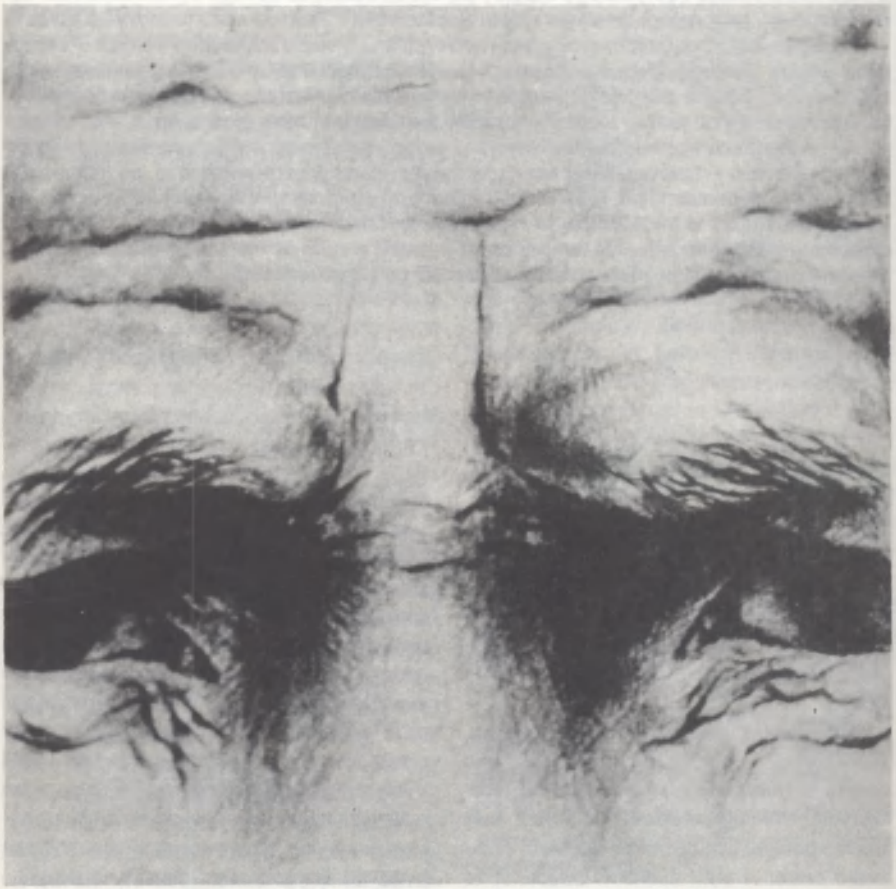
22 staroindyjska ars amandi
23 elegancka odmiana gipsu
25 najdalsza część obrazu
27 tysiąclecie
30 bada przyczyny, formy, objawy i skutki chorób
31 przejął pług po koniu
32 do wygłoszenia
34 świat jest jego największą sceną
36 zamęt i zamieszanie

(m)

Wśród autorów prawidłowych rozwiązań nadesłanych pod adresem redakcji najpóźniej do 30 kwietnia br. rozlosowane zostaną trzy nagrody książkowe.

Obok prawidłowe rozwiązanie krzyżówki z numeru lutowego. Nagrody otrzymują: Emilia Wachtarczyk — Czeski Cieszyn, Tadeusz Farny — Grodziszcz, Jan Ondraszek — Wędrynia.





rys. JANINA SZOTKOWSKA (z cyklu „Metamorfozy")

GALERIA SLA



JANINA SZOTKOWSKA: Z cyklu Impresje, tkanina artystyczna 1985 (4. str. okładki)

Tkanina artystyczna to dość rzadka specjalność wśród artystów SLA. Janina Szotkowska swoją twórczością częściowo wypełnia tę lukę. „Impresje" to tkanina bardzo malarska i jako taką można ją chyba analizować. Powierzchnia tkaniny nie jest jednolita. Prócz koloru pełniącego tu rolę dominującą, istotne jest w tym obrazie-tkaninie zróżnicowanie faktury podkreślające obecność w nim trzeciego wymiaru. To dzieło, jedno z tych, które dopuszczają wielość i dużą dowolność interpretacji. „Impresje" — tytuł tyleż adekwatny, co i mylący; taka nazwa dla cyklu kompozycji abstrakcyjnych wydaje się być jak najbardziej właściwa. Z drugiej strony — czy po tym tytule, oznaczającym wrażenia, a więc coś ulotnego i delikatnego mógłby się kto spodziewać takiego dynamizmu i tak silnej ekspresji, jaką osiąga w swym dziele Szotkowska? Tkanina ma kompozycję otwartą — składającą się z postrzępionych plam i falistych linii — silnie zdynamizowanych — ułożonych jednak według jakiegoś porządku kolorystycznego. Plamy ciemne przeciwstawiają się obszarom bieli, w jaśniejsze połacie wdzierają się ciemne akcenty. Kolorystyka tkaniny ogranicza się do jednej tonacji — brązów z dodatkiem bieli. Można ten obraz widzieć różnie: w harmonii kontrastów barwnych, w przeciwieństwach linii i plam dopatrywać się aluzji do pejzażu — twardej, ale i pulsującej życiem ziemi. Można widzieć to, co najbardziej oczywiste — dynamizm linii, rytm układu barwnych plam, ekspresję całej kompozycji. Co jeszcze widz ujrzy w tej tkaninie, to rzecz jego wyobraźni. Sprawą twórczyni było nadać swej wypowiedzi odpowiednią temperaturę, wprawić w ruch powierzchnię obrazu-tkaniny, ukierunkować myśli i uczucia odbiorcy i czekać, co z tego wyniknie.

A. M. R.

ZIELNIK

POKRZYWA

Nazwa łacińska — Urtica dioica L. (Nazwa Urtica pochodzi z łacińskiego *uro* — parzę i *dioica* z greckiego *dis* — dwa razy i *oikos* — dom).

Pokrzywa była znana już w średniowieczu. Dioskurides i Pliniusz wysławiają ją jako roślinę o znakomitych właściwościach leczniczych. Według wierzeń ludowych była bardzo dobrym i skutecznym środkiem przeciwko czarom i złym duchom. Uważano, że pokrzywa zakopana w rogu świeżo zaoranego pola chroniła urodzaj przed ptakami, gąsienicami i innymi szkodnikami. W niektórych regionach dodawano liście pokrzywy do paszy zwierzętom i w ten sposób chroniono je przed rzuceniem na nie uroku. Krolmus zapisał podanie, według którego w wieczór przed pierwszym majem młode dziewczęta wychodziły nazbierać pokrzyw. Przyniesione rośliny sadzono po jednej do skrzynki z piaskiem, na której przymocowana była tabliczka z nazwiskiem gospodyni. Następnie skrzynkę

niesiono do piwnicy, gdzie zostawiano ją przez całą noc. Pierwszego maja przed wschodem słońca schodzono do piwnicy i wynoszono skrzynkę z pokrzywą. Jeżeli przez noc roślina zwiędła, oznaczało to, że gospodyni tego domu umrze w ciągu roku. W XVI i XVII wieku oraz podczas pierwszej wojny światowej z łodyg pokrzyw produkowano włókna, z których tkano bardzo mocną i trwałą tkaninę.

Pokrzywa jest rośliną wieloletnią, osiągającą wysokość do 150 cm i jest cała pokryta parzącymi włoskami. Rośnie najczęściej przy płotach, w rowach, w pobliżu zabudowań, w lasach i na rumowiskach. Już w starożytności leczono pokrzywami reumatyzm i paraliż w ten sposób, że chore miejsce chłostano świeżo zerwanymi pokrzywami. Zabieg ten nazywano ,,urticatio". Jeszcze dziś gdzieniegdzie można się spotkać z tą metodą leczenia reumatyzmu. Obecnie pokrzywa jest bardzo ważnym surowcem w przemyśle farmaceutycznym.

Pokrzywa kwitnie zielono od maja do września i w tym czasie należy zbierać liście i nać. Liście można zrywać bezpośrednio z rośliny zaczynając od góry. Nać, to znaczy młode, liśćmi pokryte wierzchołki roślin do 40 cm najlepiej jest kosić sierpem. Średnica zbieranych łodyg nie może przekroczyć 5 mm, ponieważ grubsze bardzo źle schną i pleśnieją. Zarówno liście, jak i nać mogą się bardzo łatwo zaparzyć i dlatego należy je suszyć w cienkich warstwach, w przewiewnym miejscu. Pod koniec suszenia, kiedy liście są już prawie że suche, należy je ostrożnie obracać. Pierwszy dzień, zaraz po zbiorze, można je suszyć w cieniutkiej warstwie na słońcu. Jeżeli podczas suszenia podwyższamy sztucznie temperaturę, to nie powinna ona przekroczyć 50°C. Nie należy również zbierać kwitnących pokrzyw — są bezwartościowe. Jeżeli jednak zbierzemy pokrzywy przed zakwitnięciem, to za 6 tygodni w tym samym miejscu można zrywać już nowe. Dobrze ususzone liście powinny mieć kolor ciemnozielony. Zioła z pokrzywy działają moczopędnie. W ludowym ziołolecznictwie stosuje się ją jako środek przeciwreumatyczny, na tzw. ,,czyszczenie krwi" i często w formie wywaru jako środka przeciwko wypadaniu włosów i łupieży. W dzisiejszej medycynie, oprócz wyżej wymienionych działań, pokrzywa stosowana jest też jako środek wspomagający i regulujący przemianę materii w organizmie.



Najczęściej gotuje się wywar z pół łyżki liści na 2,5 dl wody i pije po 0,5 dl kilka razy dziennie. Do płukania gardła stosuje się ten sam wywar zrzedzony w stosunku 1 : 3. Zazwyczaj miesza się ją z ziołami o podobnych właściwościach leczniczych, a nadaje się właściwie do każdej mieszanki ziołowej.

Liście pokrzywy są częścią składową mieszanek ziołoleczniczych *Pulmoran* i *Species urologicae Planta.*

M. C.

ZWROT
MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO - KULTURALNY
ROK XXXVIII ● NR 449 ● CENA 2,50 Kčs

4/87

[1] Zjednoczeniowy Zjazd PZKO
[2] Dobre chęci to mało — *PIOTR PRZECZEK*
[6] Sprawozdania, sprawozdania . . . — *MARIA GRZEGORZ, PIOTR PRZECZEK*
[9] Konkurs Recytacji — *(ro)*
[16] Sporty zimowe w PZKO — *HENRYK CIEŚLAR*
[21] Czekając na nerkę (Pezetkaowcy inaczej) — *OTYLIA TOBOŁA*
[25] Pieśń za drutem kolczastym — *JÓZEF KAZIK*
[29] Jestem poetą ludowym — *EWa*
[32] Wieża, lochy i teatr satyry — *RENATA PUTZLACHER*
[34] O Macieju — *WŁADYSŁAW SIKORA*
[38] Podróż do miast odległych i bliskich — *KAZIMIERZ JAWORSKI*
[42] Wiesław Adam Berger: Budapeszt
[48] Stanisław Jedzok: Etiudy wiosenne, Poszukiwanie, Wspomnienie, Odpowiedź
[50] Erich Sojka (Tłumacze literatury polskiej) — *WILHELM PRZECZEK*
[53] Zielone nurty
[56] Z piosenką na ustach — *JAN KORZENNY*
[59] Kocobędz (Wędrówki nazewnicze) — *WŁADYSŁAW MILERSKI*
[62] Trybuna Czytelników
[65] To i owo
[66] Kronika
Mozaika:
[73] Temat dla Ewy
[74] Jak jest poprawnie
[76] Krzyżówka — *(m)*
[78] Galeria SLA — *A. M. R.*
Zielnik — *M. C.*
[80] *Spis treści*

1. STRONA OKŁADKI — fot. FRANCISZEK BAŁON

WYDAWCA:
POLSKI ZWIĄZEK KULTURALNO-OŚWIATOWY ZARZĄD GŁÓWNY W CZESKIM CIESZYNIE

ADRES REDAKCJI:
UL. J. BOŻKA 16 737 21 CZESKI CIESZYN TEL. 569 83

ZESPÓŁ REDAKCYJNY:
KAZIMIERZ GAJDZICA MARIA GRZEGORZ URSZULA HUDECZEK PIOTR PRZECZEK (redaktor naczelny)

RADA REDAKCYJNA:
FRANCISZEK BAŁON MARIA BIŁKO WIESŁAWA BRANNA BRONISŁAW FIRLA TADEUSZ CHRZĄSZCZ KAZIMIERZ JAWORSKI STANISŁAW JEDZOK WŁADYSŁAW ORSZULIK RUDOLF POPIOŁEK

Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca. Drukarnia: Tisk, knižní výroba, n. p., Brno, zakład 3 — Cz. Cieszyn, ul. Rewolucyjna 1. Cena prenumeraty rocznej Kčs 30,—, półrocznej Kčs 15,—. Zgłoszenia prenumeraty w CSRS przyjmuje redakcja i administracja „Zwrotu", w PRL Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch", Warszawa, ul. Wronia 23. Zezwolenie na ulgową opłatę pocztową wydał Powiatowy Urząd Pocztowy w Karwinie 20. 8. 1963, 1268/63. Numer indeksu R 389, nakład 4250 egz.

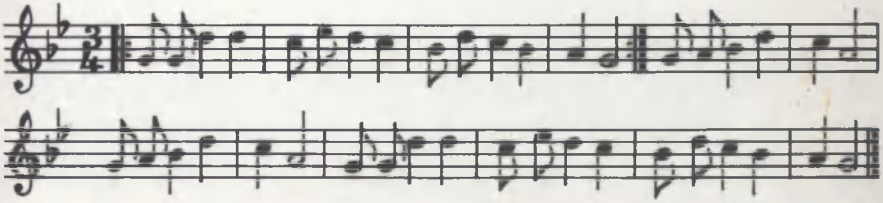
ilustracja JANINA SZOTKOWSKA

PIEŚNI GÓRALSKIE

IDZIE SYNEK DO MASZTALE

Mosty koło Jabłonkowa

Mosteckie brzmienie odpowiada zapisowi Mojžíška z Hradiště i jest prawdopodobnie wersją pieśni rekruckiej, znanej z południowomorawskiej tradycji (z Petrova, Tvrdonic, Pavlovic) i ze Słowacji (z Nitranskė župy).



1.
Idzie synek do masztale, wróne kónie czesze
Lobziyro sie z boczku na bok, co mu gdo przyniesie
A niesie mu niesie, fojciczek sztelunek
Tu mosz, synek, tu mosz dukot, cysorski zawdanek.

2.
A jo was też, mój fojciczku, żo to głównie prosił
Bo jo już też tyn zowdanek downo w sercu nosił
Móm maciczkym staróm, galaneczkym szwarnóm
Jak jo pujdym na wojynkym, bedóm płakać za mnóm.



Trzaskalik Henryk
735 35 HORNÍ SUCHÁ 462

JANINA SZOTKOWSKA: z cyklu Impresje, tkanina artystyczna 1985
(repr. ADAM SZOP)



ZWROT

5/87





Gorolski Święto odbędzie się już po raz czterdziesty. Od początku należało do najważniejszych wydarzeń pezetkaowskiego roku, liczebnością uczestników nieraz prześcigało imprezy centralne, choć niezmiennie organizowane było „tylko" przez Miejscowe Koło PZKO Jabłonków. Na zdjęciach u góry — tłumy widzów podczas Gorolskigo Święta w roku 1954, u dołu tysiące widzów oglądają program święta z roku 1986.



fot. ARCHIWUM ZG PZKO, WŁADYSŁAW FRANEK

W 10. ROCZNICĘ WYZWOLENIA



W przededniu 9 maja 1955 roku, dziesiątej rocznicy wyzwolenia Czechosłowacji, kwietniowy numer „Zwrotu" przynosi pod nagłówkiem „Na dzień Czwartego Zjazdu PZKO" (Zjazd odbył się w Czeskim Cieszynie 24 kwietnia 1955 roku) wygłoszony przez Bogumiła Goja, sekretarza ZG PZKO, referat, którego fragmenty drukujemy:

Dobrze się składa, że bilansu dwuletniej działalności naszego PZKO dokonywujemy w tak uroczystym historycznym okresie czasu. Upływa prawie dziesięć lat od chwili, kiedy niezwyciężona i bohaterska Armia Radziecka staczała decydujące walki w legowisku krwiożerczej bestii faszyzmu, w Berlinie, zadając jej ostatni śmiertelny cios. Milionom strapionych ludzi zajaśniała jutrzenka wolności. Zatrzymano w marszu pochody śmierci. Wygasły piece krematoriów, opustoszały obozy koncentracyjne. Szaro-biały słodki dym buchający z kominów pieców krematoryjnych przestał zatruwać piękne okolice Oświęcimia, Ravensbrücku, Mauthasen i innych miejscowości, w których faszyzm niemiecki zbudował znane katownie grozy i śmierci dla ludzi. Czarne chmury wojny, która przez całych sześć lat wisiała prawie nad całą kulą ziemską, zostały rozładowane przez zwycięstwo. — „Nareszcie nadszedł koniec wojny" — zdanie to powtarzały miliony strapionych i zmęczonych ludzi. Lecz czy był naprawdę koniec wojny? Nieprzyjaciel przeszedł do nowego ataku. Sojusz podpisany przez mocarstwa zachodnie i Związek Radziecki zaczęto coraz mocniej podważać. Oszczerstwo, obłuda i fałsz to wypróbowana broń obozu imperialistycznego, którą zastosowano w całej swej sile przeciwko Związkowi Radzieckiemu.

W dniu IV Zjazdu Kół PZKO, który odbywa się 24 kwietnia br., oraz w dziesiątą rocznicę wyzwolenia naszej ojczyzny PZKO przystępuje nie tylko do podsumowania swej działalności, ale równocześnie członkowie nasi czy kolektywne zespoły PZKO podejmują cały szereg zobowiązać, aby zadokumentować nie tylko nasze zaufanie, ale i naszą miłość do rządu i partii Republiki Czechosłowackiej. Jesteśmy przekonani, że dalsze wyniki naszej pracy będą potwierdzeniem tego, iż PZKO jest naprawdę organizacją postępową, która pomaga rządowi i partii wychować nowego socjalistycznego człowieka.

W jakże innej atmosferze obchodzimy tegoroczne święta majowe. Wspomnienia z lat okupacji hitlerowskiej dla nowych generacji są jednym, choć niezwykle ważnym, doświadczeniem zanotowanym w historii ludzkości. Inaczej będą brzmieć referaty wygłaszane po ponad trzydziestu latach od wspominanego IV Zjazdu PZKO, mowa w nich będzie o innych problemach i zadaniach. Pozostanie tylko jedna wspólna idea, dążenie do tego, by już nigdy nie było wojny, by móc rozwijać życie w pokoju.

Z ŻYCZENIAMI DALSZYCH SUKCESÓW

(Z przemówienia tow. Čeňka Miloty, sekretarza KO KPCz w Ostrawie, wygłoszonego podczas uroczystego posiedzenia plenarnego Zarządu Głównego PZKO 12 listopada 1986 w Karwinie).

Towarzyszki, towarzysze!

Patrząc wstecz, podsumowując miniony okres możemy z dumą powiedzieć, że nie mamy się czego wstydzić. We wszystkich dziedzinach życia osiągnęliśmy szereg sukcesów, które są odbiciem uczciwej, pełnej poświęcenia pracy również waszych kolektywów i jednostek. Trzeźwy stosunek do naszych osiągnięć jednak pokazuje, że ręka w rękę z pozytywami istnieje wokół nas szereg problemów, braków i rezerw, szereg zagadnień, które przeszkadzają w szybszym marszu naprzód. Właśnie przy dzisiejszej okazji wszyscy musimy sobie uświadomić, że nowe nigdy nie rodziło się łatwo i nawet dzisiaj łatwo się nie rodzi. Dokumentuje to 65-letnia historia naszej partii komunistycznej, której towarzyszyły cierpienia, ofiary i krew najlepszych synów naszego narodu, dokumentują to i 40-letnie doświadczenia waszego Związku. Każdy krok naprzód jest i będzie walką, walką z powtarzającymi się problemami, walką nowego ze starym, w poglądach i zachowaniu ludzi. Iść naprzód oznacza dziś nauczyć się wszędzie pracować w nowy sposób, potrafić zwalczać przeciętność, obojętność, wygodne koleje, przeżyte formy pracy. Oznacza to nauczyć się bezkompromisowo walczyć z problemami i brakami. Do tego, byśmy spełnili trudne cele 8. pięciolatki, trzeba poprawić jakość naszej pracy. Bądźmy świadomi, że będzie to wymagać wiele wysiłku intelektu i talentu, potencji technicznej i rzemieślniczych zdolności. O ile intensyfikacja rozwoju nauki, jakość, gospodarność i dobra organizacja pracy są zagadnieniami kluczowymi, to najważniejszym tego ogniwem zawsze był i zostanie człowiek. On jest największym bogactwem, jego inicjatywa, zdolności, zapał i pracowitość to największe źródła i możliwości.

Dlatego kładziemy nacisk na pracę z ludźmi, ich wychowanie uważając za najważniejsze zadanie. Przecież walka o nowy sposób myślenia, nowe podejście, to walka o nowego socjalistycznego człowieka, uświadomionego obywatela i mądrego gospodarza. Tutaj otwiera się szerokie pole oddziaływania, wielkie zadania dla pracy polityczno-organizacyjnej i ideologicznej we wszystkich jej formach.

O ile w ten sposób, bardzo zwięźle i prosto, scharakteryzowałem to, o co w obecnym okresie w związku z realizacją uchwał XVII Zjazdu KPCz prowadzimy z naszej strony walkę, to dlatego, że otwiera się tutaj wielkie pole możliwości działania również dla waszego Związku, dla każdego waszego członka, obywatela naszej socjalistycznej republiki. Chodzi nam o to, byście rozwijali taką działalność polityczno-wychowawczą i kulturalno-oświatową, by każdy członek PZKO systematycznie dążył do pokonywania i rozwiązywania problemów. By i w waszych szeregach rośli ludzie, u których rozwój naukowo-techniczny, naukowe zarządzanie, jakość, socjalistyczny stosunek do pracy, kultury, polityki, do życia społecznego znalazłyby praktyczny wyraz nie tylko w słowach, ale przede wszystkim w konkretnych czynach. By i w waszych szeregach rośli ludzie, których poglądy na życie oparte są na optymistycznym przekonaniu o zaletach i możliwościach socjalizmu, ludzie, którzy wartości życiowe mierzą nie tylko poprzez własne ja, ale i poprzez pryzmat dobra kolektywu, korzyści walki klasowej, walki o pokój, przyjaźni ludzi pracy całego świata.

To bardzo ważne zagadnienia jeśli chodzi o młodych ludzi, bo zwłaszcza tutaj konieczna jest większa koncepcyjność działania, zróżnicowane podejście i wysoka odpowiedzialność względem rodziny, szkoły, całego społeczeństwa. Przecież do młodzieży nigdzie nie można podchodzić w sposób szablonowy. Młody człowiek nie lubi moralizowania. Ale prowadzić go do tego, by szanował rodziców, był oględny w stosunku do starszych, by respektował podstawowe normy współżycia socjalistycznego, by przyswajał sobie zasady moralności socjalistycznej, zasady dobrego postępowania — to nie jest moralizowanie. To nieodłączny i doniosły składnik wychowania. Dlatego chodzi nam o zaangażowane wciąganie młodych ludzi do wszystkiego, co dzieje się w sektorze wytwórczym, kulturze, w życiu naszych miast i gmin. To jest wielkim zadaniem nie tylko Socjalistycznego Związku Młodzieży i jego Organizacji Pionierskiej, ale całego Frontu Narodowego, w tym i waszego Związku.

Towarzysze i Towarzyszki!

Zdobyliście bogate doświadczenia w rozwoju działalności kulturalno-oświatowej. Chodzi teraz o to, byście ze świadomością celu podporządkowali treść, formy i metody tej pracy walce o zwycięstwo myśli związanych z realizacją XVII Zjazdu naszej partii komunistycznej. Prawdziwa sztuka i kultura, czy uprawiana jest w języku czeskim, słowackim, polskim czy innym, zawsze związana była z życiem i angażowała się w walce o postęp. W tym i wasza kultura niech dostrzega swoje wielkie możliwości. Jeszcze ściślej wiąże się to z waszą działalnością oświatową. Jej jasna orientacja ideowa na wyjaśnianie światopoglądu naukowego, zasad internacjonalizmu proletariackiego i patriotyzmu socjalistycznego, zasad naszej współczesnej ekonomiki, moralności niech

stanowi dla waszej działalności kryterium jej przydatności.

Wszyscy wiemy, że wyraźnym pozytywem minionego okresu jest fakt, że rozwiązaliśmy zagadnienia narodowościowe tak, że nawet najbardziej rozwinięte państwa kapitalistyczne nie mogą z nami współzawodniczyć. Nasza socjalistyczna Czeschosłowacja stała się prawdziwą ojczyzną obu naszych narodów, Czechów i Słowaków, oraz grup narodowościowych, Polaków, Niemców, Węgrów i Ukraińców. Zostały usunięte przyczyny, które umożliwiały burżuazji u nas i w państwach sąsiednich wichrzenie sprzeczności narodowościowych aż do okrutnych następstw roku 1938.

Do największych osiągnięć budowania socjalizmu zaliczyć możemy usuwanie nienawiści i sprzeczności pomiędzy narodami i narodowościami, pogłębianie stosunków z państwami socjalistycznymi i ugruntowanie ich współpracy. Dlatego mogli towarzysze Husák i Jaruzelski w czasie majowego spotkania w Warszawie z zadowoleniem ogłosić, że czechosłowacko-polskie kontakty stoją na dobrych przyjacielskich podstawach i według wszelkich założeń powinny się dalej rozwijać. Dowodem tego są i wzajemne kontakty naszego okręgu z województwem katowickim. Pogłębianie politycznej, ekonomicznej i ideologicznej współpracy krajów socjalistycznych jest więc niezbędną częścią składową realizacji naszej polityki. Jak naglące jest to zadanie pokazały znowu niedawne rokowania najwyższych przedstawicieli naszych partii komunistycznych w Moskwie. Zadaniem całego naszego systemu społecznego, a więc i waszej organizacji, jest dążyć do tego, by każdy obywatel tę rzeczywistość zrozumiał i realizował poprzez swoje postawy i czyny. Równocześnie jest rzeczą niezbędną, by wszystkie organizacje Frontu Narodowego w swej codziennej działalności potrafiły lepiej niż dotychczas zaspokajać również specyficzne zainteresowania swoich członków tak, by pomagały w ten sposób w rozwiązywaniu problemów ogólnospołecznych. Z tego wynika także, że każda organizacja społeczna, każdy działacz powinien rozwijać swoją działalność polityczno-wychowawczą na podstawie dobrej znajomości środowiska, w którym działa i żyje.

Tym bardziej wymagająco należy podejść do rozważania, komu powierzyć tę lub inną funkcję czy pracę. A wasz okres przedzjazdowy stwarza szansę, byście wszystkie te zagadnienia konsekwentnie rozważyli i w sposób wymagający rozwiązywali.

Jesteśmy przekonani, że PZKO będzie jeszcze bardziej konsekwentnie i pomysłowo realizować hasło swojego XIV Zjazdu: „Każdy członek PZKO wzorowym pracownikiem", że w gminach i miastach, gdzie działają wasze Koła, poprzez rozwinięcie aktywności budowniczej i kulturalnej swych członków dalej będziecie wzbogacać nasze życie społeczne.

Szanowni Towarzysze i Towarzyszki!

Życzę wam, byście rok jubileuszowy 40-lecia waszego PZKO uczcili szeregiem dalszych sukcesów i w ten sposób przyczynili się do przyśpieszenia gospodarczego i socjalistycznego rozwoju naszej pięknej ojczyzny, Czechosłowackiej Republiki Socjalistycznej, oraz ugruntowania tego, co najcenniejsze — pokoju światowego. W dalszym okresie życzymy wam dużo sił, entuzjazmu, wielu sukcesów zawodowych i osobistych.

Cześć naszej dalszej wspólnej pracy!

POLACY W CZECHOSŁOWACJI (1945—1948)

Okres lat 1945—1948, który decydował o definitywnym charakterze politycznym wyzwolonego państwa czechosłowackiego, miał również bardzo ważne znaczenie dla dalszego rozwoju i losów polskiej grupy narodowościowej w Czechosłowacji.

Obywatele narodowości polskiej udzielili zdecydowanego poparcia Komunistycznej Partii Czechosłowacji w jej walce o przeprowadzenie przemian socjalistycznych. Trudne były warunki życia polskiej grupy narodowościowej w atmosferze nasilenia tendencji nacjonalistycznych i szowinistycznych forsowanych zwłaszcza przez przedstawicieli partii narodowo-socjalistycznej i ludowej. W polityce tej przodował przede wszystkim poseł partii narodowo-socjalistycznej Franciszek Uhlíř, pełniący funkcję naczelnika wydziału przedszkolnego w ministerstwie szkolnictwa, czy Wilhelm Pavlík, przewodniczący Miejskiej Rady Narodowej w Czeskim Cieszynie, członek partii ludowej.

W tej sytuacji jedyną partią polityczną broniącą interesów ludności polskiej była KPCz. Dzięki jej inicjatywom mogło dojść do otwarcia polskich przedszkoli i szkół, zostały stworzone możliwości rozwoju działalności w dziedzinach kultury i oświaty czy na odcinku kultury fizycznej i sportu. Komuniści w stosowaniu swej marksistowsko-leninowskiej polityki narodowościowej musieli zwalczać wiele przeszkód. Kręgi nacjonalistyczne i szowinistyczne przeforsowały zamknięcie wszystkich polskich przedszkoli oraz niektórych szkół ludowych i wydziałowych.

Kolejną sprawą wielce kontrowersyjną była kwestia przekazywania zaświadczenia o tzw. lojalności państwowej, której odmawiano osobom rzekomo współpracującym z okupantem hitlerowskim oraz ludności, której zarzucano działalność antyczeską w czasach przedwojennych. Uhlířowcy domagali się również zwolnienia z pracy niektórych robotników narodowości polskiej, a nawet wysiedlenia Polaków za Olzę.

Istnym barometrem nastrojów politycznych ludności nadolziańskiej były wybory parlamentarne z maja 1946 r. O ogromnej

popularności KPCz świadczyły wymownie ich wyniki – w powiecie czeskocieszyńskim partia komunistyczna była najsilniejsza w ponad połowie miejscowości, w ośmiu z nich na komunistów oddało głosy ponad 50 % głosów (38 % w skali ogólnopaństwowej).

Punktem przełomowym w dziejach polskiej grupy narodowościowej w Czechosłowacji w okresie 1945–1948 było podpisanie Układu o Przyjaźni i Wzajemnej Pomocy oraz jego „Protokołu Dodatkowego" z dnia 10 marca 1947 r. Od tego momentu zaczęło stopniowo dochodzić do obniżania tendencji i wystąpień o treści antypolskiej, uległy znacznej poprawie warunki i możliwości rozwoju działalności społecznej i kulturalno-oświatowej ludności narodowości polskiej. Komunistyczna polityka narodowościowa znalazła swe konkretne oparcie w zalegalizowanym dokumencie o treści państwowo-prawnej.

Na podstawie „Protokołu Dodatkowego" mogło dojść do ukonstytuowania ram organizacyjnych polskiego ruchu kulturalno-oświatowego. Działalność ta, pomimo trudnych warunków, wykazywała tendencje zwyżkowe nawiązując do wielkich tradycji, stworzonych na tym odcinku w okresie międzywojennym. W czerwcu 1947 r. został zaakceptowany przez Krajowy Komitet Narodowy w Brnie – ekspozyturę w Ostrawie statut Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego oraz Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej. Siły reakcyjne, w obawie przed dalszym wzrostem poparcia KPCz przez ludność polską zastrzegły sobie „apolityczność" tych organizacji, ale polityczne zaangażowanie PZKO oraz SMP ujawniało się od samego początku ich istnienia. Dużą rolę na tym odcinku odegrali zwłaszcza komuniści narodowości polskiej, udzielający się bardzo aktywnie w życiu społeczno-politycznym. Lata 1947–1948 to również okres wielkiego napływu Polaków do KPCz, zwłaszcza nauczycieli.

Wymownym dowodem i świadectwem rozwijających się intensywnie tendencji postępowych i internacjonalistycznych wśród polskiej grupy narodowościowej w Czechosłowacji były Wydarzenia Lutowe z 1948 r. Ludność polska poparła jednoznacznie linię polityczną lansowaną przez KPCz, przyjęła z powszechną aprobatą historyczne słowa Klementa Gottwalda wypowiedziane w dniu 21 lutego na Rynku Staromiejskim w Pradze.

W tym samym jeszcze dniu przedstawiciele polskiej grupy narodowościowej utworzyli Komitet Obywatelski, który wydał znaną „Odezwę do ludności polskiej": „Rodacy! Republika czechosłowacka przeżywa poważne i przełomowe chwile. Z rządu Frontu Narodowego wystąpili ministrowie narodowo-socjalistyczni, ludowcy i słowaccy demokraci, gdyż nie chcieli dopuścić, aby został przeprowadzony w całości program pracy Frontu Narodowego. Stronnictwa, które wystąpiły z rządu, postawiły się same poza nawias życia państwowego. Wszystkie elementy, stojące na gruncie republiki w historycznej chwili deklarują swoją wierność rządowi premiera Gottwalda i tym wszystkim, którzy walczą o urzeczywistnienie prawdziwej ludowej demokracji. My, Polacy w Czechosłowacji, jesteśmy sobie w całej pełni świadomi, że nasz byt narodowy i urzeczywistnienie socjalnego zabezpieczenia naszego pracującego ludu jest związane ze zwycięstwem ludowej demokracji i rządu premiera Gottwalda. Dlatego też nie wolno nam w tych dniach obojętnie przyglądać się temu, co się w republice dzieje, ale musimy zająć stanowisko jasne i niedwuznaczne. Wobec tej sytuacji deklarujemy naszą gotowość do współpracy z tymi czynnikami, które są gwarancją ludowej

demokracji. Wzywamy ludność polską na Śląsku Cieszyńskim, aby wzięła aktywny udział w organizowaniu podstaw nowego porządku społecznego w państwie, aby zachowała powagę chwili, nie dała się sprowokować żywiołom reakcyjnym i wszelkie objawy przeciwpaństwowe w zarodku paraliżowała. Wierzymy, że w tym czasie, kiedy życie w Czechosłowacji wchodzi na tory rzeczywistej demokracji ludowej, na tej drodze zagwarantujemy także swoją przyszłość".

Obywatele narodowości polskiej wykazywali także dużą aktywność w formowaniu i działalności Komitetów Wykonawczych Frontu Narodowego, które przystąpiły w sposób energiczny i zdecydowany do paraliżowania poczynań reakcji. W skład utworzonego w dniu 24 lutego Powiatowego Komitetu Wykonawczego Frontu Narodowego w Frysztacie weszło dwu Polaków — Alfred Kaleta oraz Jan Pribula. W analogicznym organie w Czeskim Cieszynie znalazło się aż 13 obywateli narodowości polskiej. 26 lutego utworzono w Cz. Cieszynie Miejscowy Komitet Wykonawczy, w którym ludność polską reprezentowali — A. Kubala, J. Adamus, J. Franek, R. Kisza, J. Teper oraz J. Kluz. Z inicjatywy KPCz odebrano honorowe obywatelstwo Cz. Cieszyna oraz Pietwałdu zaciekłemu szowiniście Fr. Uhlířowi, z organów władzy państwowej usunięto dalszych przedstawicieli sił reakcyjnych (W. Pavlika, K. Smyčka z Jabłonkowa itp.)

Aktywna postawa ludności polskiej w okresie Wydarzeń Lutowych świadczyła o dojrzałości politycznej, o rozwijającym się wśród niej i przynoszącym konkretne wyniki procesie formowania nowej świadomości społecznej. Zaangażowanie Polaków ujawniło się m. in. w składzie poszczególnych miejscowych rad narodowych. O ile np. przed Wydarzeniami Lutowymi było ich członkami w powiecie czeskocieszyńskim ok. 22,3 % Polaków, to po Zwycięstwie Lutowym liczba ta wzrosła aż do 41,5 %.

Okazale obchodzono na Śląsku Cieszyńskim triumf ludu pracy z lutego 1948 r. Odbyły się tu m. in. masowe uroczystości z okazji pierwszej rocznicy podpisania czechosłowacko-polskiego Układu o Przyjaźni i Wzajemnej Pomocy. W spontanicznej manifestacji wzięło udział ponad 40 tysięcy Polaków i Czechów z obu stron Olzy. Również w marcu 1948 r. doszło do otwarcia pierwszych uprzednio zamkniętych przedszkoli polskich. Wkrótce potem reaktywowano kolejne placówki oświatowe, w przeciągu 1948 r. została całkowicie odnowiona sieć szkolnictwa polskiego nad Olzą. Z dynamiką, niezwykle skutecznie i sprawnie rozpoczął swoją pracę Polski Związek Kulturalno-Oświatowy, angażując się również na odcinku ukierunkowań ideowo-politycznych, o czym świadczy chociażby jego intensywna działalność w kampanii przedwyborczej. Swe głosy na wspólną listę kandydatów Frontu Narodowego oddało w maju 1948 r. tak w powiecie czeskocieszyńskim, jak i frysztackim, ponad 90 % wyborców (91,9, ew. 95,7 %, w skali ogólnopaństwowej odsetek ten wynosił 89,3 %). Ludność polska w Czechosłowacji udowodniła ponownie, że polityka partii komunistycznej jest jej polityką, że KPCz może zawsze liczyć na jej poparcie.

BOGDAN KISZA


40
LAT
PZKO
1947–1987

WCZORAJ DZIŚ JUTRO

Zbliża się pierwszy kulminacyjny punkt jubileuszowego roku czterdziestolecia — Festiwal PZKO '87. W pochodzie, na Stadionie Zimowym i na terenie parku B. Němcowej w Karwinie można będzie się przekonać o tym, jaki jest ten nasz Związek dziś, czym możemy się pochwalić. Jubileusz powinien jednak skłonić nas również do ogólniejszych rozważań nad przeszłością, dniem dzisiejszym i perspektywami. Z tymi właśnie tematami zwróciliśmy się do przedstawicieli kilku generacji — dzieci i młodzieży, działającej już w Klubie Młodych, do ludzi w sile wieku i do przedstawicieli generacji, która przed czterdziestoma laty odbudowywała życie kulturalno-społeczne na Śląsku Cieszyńskim. W przeddzień naszego wielkiego święta rozmawialiśmy o tym, co było, i o tym, co powinniśmy jeszcze wykonać.



NAJMŁODSI

Z czym kojarzy się pojęcie PZKO najmłodszemu pokoleniu, jaki jest podstawowy sens istnienia Związku, czego od niego oczekują? Dla najmłodszych działalność PZKO wiąże się najczęściej z własnym Kołem, tym, co obserwują na co dzień w miejscu swojego zamieszkania. Niektórzy z nich wyciągają z działalności starszej generacji krytyczne wnioski. Uczestnicy naszej ankiety są uczniami najstarszych klas polskich szkół podstawowych w Czeskim Cieszynie i Bystrzycy, paru z nich deklaruje ochotę własnego udziału w pracy związkowej, w Klubach Młodych, zespołach.

PZKO jest organizacją Polaków w Czechosłowacji, zamieszkałych na Śląsku Cieszyńskim. Organizacja ta powstała w roku 1947. Wchodzi w skład Frontu Narodowego. Zarząd Główny organizacji znajduje się w Czeskim Cieszynie. Głównym zadaniem PZKO jest rozszerzanie kultury i oświaty wśród swoich członków, obywateli narodowości polskiej w języku ojczystym. Działalność ta rozwijana jest w miejscowych Kołach PZKO we wsiach, miastach i osiedlach. Świetlice i domy PZKO są miejscami spotkań członków klubów oraz kółek zainteresowań w danym Kole. Moi rodzice są członkami PZKO. Corocznie po ukończeniu klasy ósmej zgłaszają się do PZKO nowi członkowie. Ja również chcę zostać członkiem PZKO.

Irena

Moim zdaniem na spotkaniach PZKO-wskich członkowie chcą się raczej zabawić. W naszym Kole przede wszystkim przygotowuje się program kulturalny na różnego rodzaju imprezy. Tak więc członkowie Klubu Młodych raczej nie mają okazji do zabawy, tak samo Klub Kobiet, który przygotowuje bufet, różne rzeczy na wystawy. Mnie wcale nie zadziwia taki mały udział w spotkaniach. Dla większości jest to organizacja kulturalno-oświatowa. Na balu można się zabawić, wszystkim podobają się występy przedszkolaków. Ale dla niewielu aktywnych członkostwo przynosi przeważnie pracę i obowiązki. Na przykład na tradycyjnym już balu naszego Koła jedno z moich rodziców sprzedaje bilety już w przedsprzedaży, oboje mają funkcję na balu, a po balu znowu sprzątają. Obowiązki powinny być równomiernie podzielone pomiędzy wszystkich członków. Nie można chcieć, by starszy członek — emeryt, roznosił zaproszenia. Ale może on np. przygotować referat okolicznościowy. A wszystko w myśl hasła: „Najpierw praca, potem zabawa!"

Lenka

Dla mnie jedną z najciekawszych imprez organizowanych przez PZKO jest Gorolskie Święto w Jabłonkowie oraz Festiwale. Najbardziej zapamiętałam ostatni Festiwal PZKO w Trzyńcu. Oczekuję, że PZKO będzie stale szerzyć i rozpowszechniać kulturę polską w Czechosłowacji. Czy robi to dobrze? Uważam, że nie zawsze i nie wszędzie.

Joanna

Myślę, że PZKO na naszym terenie ma bardzo wielkie znaczenie. Zrzesza obywateli

narodowości polskiej, a jego celem jest szerzenie kultury polskiej i utrzymywanie starych tradycji ludowych. Szeroki zakres działalności PZKO na naszym terenie ma wielkie znaczenie dla wszystkich warstw społecznych. Umacnia i szerzy kulturę polską i buduje dumę narodową.

Katarzyna

Samo istnienie Związku ma bezsprzecznie wielką wagę dla naszej grupy narodowościowej. Jak to wynika z nazwy, Związek skierował się na pracę kulturalno-oświatową, bowiem kultura i wszystko co jest z nią bezpośrednio związane odgrywa ważną rolę w życiu każdego człowieka. W ciągu 40 lat PZKO przekazało już kawał pracy młodemu pokoleniu. Co do przyszłości, to orientuję się trochę w planach naszego Koła PZKO. Słyszałam, że głównym zadaniem Koła jest wybudowanie własnego budynku. To zadanie na dłuższy okres czasu, w którym trzeba się dokładnie zaznajomić z warunkami budowania. Dotychczas plan ten nie został jeszcze zrealizowany, ale może za kilka lat nasi członkowie spotkają się już w nowym Domu PZKO.

Gabriela

Za najciekawsze imprezy organizowane przez PZKO uważam imprezy dla młodzieży, szkolne zawody sportowe, kiermasze książek oraz koncerty zespołów z Polski (np. TSA). Oczekuję, że PZKO dalej będzie organizowało takie imprezy. Związek robi to bardzo dobrze i myślę, że dobrze spełnia swoją podstawową rolę.

Marian

PZKO zostało założone w r. 1947. Jest organizacją społeczną, która zrzesza obywateli CSRS narodowości polskiej żyjących na Śląsku Cieszyńskim. Zadaniem PZKO jest szerzenie kultury i oświaty polskiej i zachowanie tradycji naszych przodków. MK PZKO mają swoje świetlice, w których działają różne kółka i kluby, gdzie można realizować swoje zainteresowania. Po ukończeniu szkoły podstawowej będę również członkiem PZKO i mam zamiar pracować w Klubie Młodych.

Marta



fot. PIOTR WOJOCZEK



FESTIWAL 10-LECIA PZKO (CZESKI CIESZYN, 7. 7. 1957)



fot. ARCHIWUM ZG PZKO



WY MUSICIE IM POMÓC

Popularność olbrachcickiego środowiska spod znaku PZKO w pierwszym piętnastoleciu istnienia Związku uzależniona była głównie od aktywności ludzi młodych, którzy zgodnie z ówczesną modą śpiewali masowo w trzech chórach, tańczyli w ludowym zespole tanecznym i grali — nierzadko dwa razy w ciągu roku — przedstawienia teatralne. Później, chociaż popularność pezetkaowskich Olbrachcic nie zmalała, nie decydowali już o niej niestety ludzie młodzi, lecz średnia generacja, a więc znowu to samo grono osób, co to na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych budziło do życia kulturalno-oświatowego miejscowych Polaków. Dziś z tego grona pozostała garstka weteranów-animatorów rodzimej kultury (uzupełniona nielicznymi zaledwie jednostkami trzydziesto- i czterdziestolatków), która na zasadzie siły rozpędu podtrzymuje miejscową tradycję zespołowego śpiewania już tylko w jednym jedynym chórze — mieszanym. Ale chór ten obecnie jest także jedyną wizytówką artystyczną Koła, bo młode pokolenie jakoś nie potrafi nawiązać do tradycji zapoczątkowanej przez swoich ojców i dziadków przed niespełna 40 laty. Wszelkie próby przełamania tego impasu mają charakter jednorazowego okazjonalnego wzlotu, którego nawet poza miejscowym środowiskiem nie zdążą odnotować ani Koła ościenne, ani też . . . autorzy scenariuszy centralnych przeglądów zespołów młodzieżowych, jako że młodzi olbrachciczanie od jakiegoś czasu nie biorą w nich udziału.

Były — i owszem — w minionym 25-leciu przebłyski amatorskiej aktywności artystycznej olbrachcickiej młodzieży. Podejmowała ona głównie próby zespołowego tańczenia, co pozostawało w ścisłym związku z zainteresowaniami osobistymi i zdolnościami dziewczyn, które przyjmowały na siebie kolejno obowiązek zintegrowania nastolatków. W zależności od „materiału ludzkiego" i talentu młodej choreografki, tancerze olbrachciccy decydowali się, albo też nie, wychodzić poza opłotki swej miejscowości. Z różnym się to odbywało powodzeniem, to fakt. Ale zarząd Koła też nigdy nie przykładał do tego większej wagi — cieszył się, że młodzi się schodzą, przynajmniej coś robią dla wypełnienia lokalnej luki generacyjnej i dzięki temu mogą „zawtórować" na imprezach Koła jego dominancie artystycznej — chórowi.

Taka sytuacja utrzymuje się w Olbrachcicach po dziś dzień. Klub Młodych ożywia się „artystycznie" w zasadzie tylko przed karnawałem, decydując się wyćwiczyć pokazowego poloneza na osiem par i najwyżej jeden dodatkowy taniec na bis. Resztę czasu jego członkowie marnują — jeśli nie liczyć świetlic noworocznych, pikników przy jajecznicy i dyskotek — na nieefektywnych debatach nad ewentualnym idealnym programem działania, który w sposób autentyczny zainteresowałby wszystkich klubowiczów bez względu na wiek i przynależność socjalną i pomógł rozwiązać problem generacyjny (tak, tak, nawet w gronie ludzi młodych on

występuje — dwudziestokilkulatek z indeksem bądź dyplomem wyższej uczelni z samozaparciem znajduje wspólny język z nastolatkiem i vice versa). Nierzadko debaty te toną w używkach — i to bynajmniej nie w herbacie ani kawie.

W sukurs temu poszukującemu własnej klubowej tożsamości gremium przyszła pani Jadwiga Czapowa, która zaproponowała mu udział w tworzonym przez nią Teatrzyku „Drops". Kilkoro młodocianych ludzi dało się wciągnąć do tej roboty, reszta natomiast w dalszym ciągu czeka na lepsze czasy . . .

Chciałem się dowiedzieć kilku szczegółów na temat programu olbrachcickiego Klubu Młodych, wybrałem się więc w pewien marcowy piątek na poddasze Domu Robotniczego, gdzie mieści się świetlica MK PZKO. Poszczęściło mi się, bo podobny zamiar w tym właśnie dniu miał również prezes Koła inż. Jerzy Czap. Zaproszono go do wspólnego (długiego) stołu, przy którym lewą stronę zajęła klubowa „rada starszych", a przeciwległy koniec stołu nastolatki.

Z uwagą przysłuchiwałem się rozmowie, która nie była łatwa ani przyjemna, lecz — co najważniejsze — cechowała ją obustronna chęć nadania Klubowi rangi, na jaką zarówno on, jak i olbrachcickie Koło (ze względu na tradycję) zasługują. Strzępy poszczególnych wypowiedzi zanotowałem. Być może, z uwagi na ich uniwersalny charakter, zainteresują czytelników tego tekstu również spoza Olbrachcic.

PREZES: Najpierw chciałbym wam serdecznie podziękować za udział w przygotowaniach świetlicy z okazji Dnia Kobiet. A teraz prośba. Prośba o pomoc w urządzeniu w Domu Robotniczym koncertu „Górnika", którym 29 marca nasze Koło wspólnie z organami władzy w Olbrachcicach uczci 40-lecie podpisania umowy czechosłowacko-polskiej. Trzeba zlikwidować karnawałową dekorację i posprzątać salę i scenę . . . Stasiek i Bohdan, jak macie we czwartek szychtę? Studenci są poza domem, nie mogą nam pomóc.

(. . .)

PREZES: Jest turniej ping-pongowy. Zgłosiliście do niego swoją reprezentację?

MISIA (szef Klubu): Nie, bo zaproszenie wpłynęło za późno. A i tak nie mamy dobrych graczy.

PREZES: Tak nie można. Udział się liczy. Jak się nie będziecie pokazywali, to w PZKO o was zapomną . . . A co z tym turniejem piłkarskim? Podobno jesteście organizatorami eliminacji?

STACHO (student stomatologii): To Gustaw nas w to wrobił, a teraz sobie poszedł do wojska.

GUSTAW (odbywający służbę wojskową inżynier): Przed laty obiecałem koledze Cieślarowi z ZG PZKO urządzić jeden z turniejów eliminacyjnych, a on dopiero teraz przypomniał sobie o mojej propozycji. Boję się, że kierownictwo KS Kop. „9 Maja" nie zgodzi się wypożyczyć nam w planowanym terminie boiska, gdyż nazajutrz rozgrywane są na nim trzy mecze mistrzowskie. Istnieje niebezpieczeństwo, że murawa mogłaby tego nie wytrzymać.

STASIEK (elektryk kopalniany, członek zarządu Koła): Ja to załatwię. Jak nie w Olbrachcicach, to w Stonawie. Nie możemy zawieść Cieślara.

PREZES: Pomogę ci . . . Wpłynęło też zaproszenie na spotkanie teatralne w Boconowicach. Kogo tam wyślecie?

MISIA: Bogdana Kokotka. Co prawda nie należy do naszego Klubu, ale dlaczegóżby nas nie mógł reprezentować? Jest w Scenie Polskiej, przyda mu się takie spotkanie.

(. . .)

PREZES: Ponoć nie ma u was jedności? Mówiono mi o jakimś konflikcie generacyjnym . . .

MISIA: Cały Klub jest na głowie tych, co to już dawno pokończyli dwadzieścia lat. Młodsi się „wiozą", są bez inicjatywy. Organizacją naszych imprez i akcji też zajmują się głównie starsi.

MAREK (gimnazjalista): A kto zwoził „towar" na ostatnią dyskotekę? My!

PREZES: Nie możecie dzielić Klubu na starych i młodych. A swoją drogą, od was starszych zależy, jak tu się będą czuli wasi młodsi koledzy. Musicie im zaimponować, uczynić życie klubowe bardziej atrakcyjnym, żeby tu nie chodzili tylko po to, aby się wyrwać z domu, ale że sprawia im to autentyczną przyjemność. Nie twierdzę, że musicie



wystawiać sztuki teatralne, skoro was na to nie stać. Postarajcie się jednak te piątkowe wieczory wypełniać wartościową treścią, po której nie ma się nazajutrz ani kaca, ani wyrzutów sumienia. Dlaczegóżby nie zaprosić do siebie byłych klubowiczów-lekarzy, inżynierów i innych fachowców, którzy mieliby wam coś ciekawego do powiedzenia.

STACHO: Już to próbowaliśmy. Spotkaliśmy się z odmową. Zresztą nie tyko u nas odosobnione jest to zjawisko, że jak nasi ludzie pokończą studia, to się oderwą od korzeni i słuch po nich zaginie. Innym znów nie przystoi schodzić do dołów.

PREZES: Powtarzam, nie narzucam wam żadnej formy działania. Wy sami powinniście wiedzieć, co wam odpowiada najlepiej. Chciałbym wam tylko przypomnieć, że od was będzie zależało, od waszej aktywności, od postaw patriotycznych, jak długo w Olbrachcicach utrzyma się PZKO. Zabrzmiało to, być może, jak slogan, ale taka jest prawda.

GUSTAW: Szkoda, że przeminęły wspaniałe czasy Józka Toboły (Józef Toboła to był w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych organizacyjny fenomen, który nie zawahał się zorganizować w Olbrachcicach ogólnopezetkaowskich festiwali muzyki młodzieżowej oraz zaprosić do swojej wioski Marka Grechutę i prezentera Polskiego Radia Marka Gaszyńskiego — przyp. K. S.). Żeniąc się w Wierzniowicach osierocił nasze środowisko, aby zaktywizować tamtejsze. Długo przyjdzie czekać w Olbrachcicach na drugiego Tobołę.

MISIA: Tym dłużej, że dzisiejsza szkoła nie wychowuje zapalonych dla naszej sprawy społeczników. Mentalność absolwentów naszych szkół podstawowych i nie tylko — odbiega od tradycyjnej. W Klubie Młodych tego nie przerobisz.

PREZES: Skoro tu przychodzą, to chyba jednak gotowi są poddać się takiej próbie i wy musicie im pomóc, aby ona wypadła po naszej myśli. Co się zaś tyczy weteranów Klubu, którzy waszym zdaniem nie chcą schodzić do dołów, to — jak wiem — będziecie mieli jutro okazję pogadać z nimi (obecni klubowicze urządzili w pierwszy dzień wiosny spóźnioną ,,śledziówkę", na którą zaprosili trzydziestolatków — przyp. K. S.). Słyszałem,

fot. KAZIMIERZ SANTARIUS



FESTIWAL 20-LECIA PZKO (KARWINA, 2. 7. 1967)



fot. ARCHIWUM ZG PZKO

że wybiera się na wspólną z wami zabawę masa ludzi . . . Szkoda, że nie zaprosiliście przedstawiciela zarządu.

* * *

Pomimo że również nie otrzymałem zaproszenia, postanowiłem sprawdzić, jak wyglądać będzie to spotkanie klubowych pokoleń. Otóż, co od razu dało się zauważyć, to brak jakichkolwiek objawów rzeczonego „konfliktu generacyjnego". Tak nasto-, jak dwudziestolatki, każdy na swoim stanowisku robił wszystko, aby „jego" popisowa impreza wypadła bez zarzutu. Fakty również zadały kłam tezie, że inteligencja nie ma ochoty schodzić do dołów. Sposób, w jaki przyjęli jej przedstawiciele narzuconą przez spadkobierców klubowych tradycji formułę zabawy, zaświadczył, że im tu może być dobrze, że nigdy nie ośmielą się odmówić pomocy „swojemu" Klubowi. Nie wątpię, że im też już leży na sercu to, co powiedział prezes, że od aktywności młodzieży, od jej postaw patriotycznych, zależeć będzie, jak długo w Olbrachcicach utrzyma się PZKO.

KAZIMIERZ SANTARIUS

PRZYSZŁOŚĆ TO PRACA Z KADRAMI

Generację, która stoi u sterów współczesnego rozwoju życia społeczno-kulturalnego naszego Związku, można nazwać pokoleniem czterdziesto-pięćdziesięciolatków. Do najaktywniejszych w tej właśnie grupie zaliczamy od kilkunastu lat członków Sekcji Folklorystycznej, do nich zatem zwróciliśmy się z naszymi pytaniami ankietowymi. Odpowiadali Władysław Młynek, dr Daniel Kadłubiec oraz Bronisław Procner.

WŁADYSŁAW MŁYNEK: Moim zdaniem w minionym czterdziestoleciu najcenniejszym zjawiskiem była mobilizacja tych wszystkich, którzy zrzeszeni są w Związku — ale nie wszystkich. Wiemy, że w każdym Kole są członkowie aktywni i pasywni. Tych aktywnych zmobilizował Związek do podtrzymywania tradycji, kultury, a co się z tym wiąże do tworzenia całego szeregu zespołów. Doprowadziło to do tego, że ludzie chcąc się spotykać zaczęli rozważać możliwość budowy własnych domów. To, co się zrobiło za te czterdzieści lat w dziedzinie kultury i w sferze materialnej w PZKO, to jest ogrom pracy, jakiś ewenement chyba na skalę Europy.

BRONISŁAW PROCNER: U nas w Łomnej PZKO było i ciągle jest organizacją przodującą. Też wybudowaliśmy własną świetlicę, wokół której koncentruje się życie społeczeństwa polskiego. Mam niestety trochę obawy o przyszłość tejże organizacji na terenie łomniańskim i nie tylko ze względu na to, że młoda generacja wyprowadza się do miast,

a szeregi ludzi, którzy byli czołowymi animatorami, powoli się wykruszają. Zaczyna się wielki problem generacyjny. Ale miejmy nadzieję, że wszystko się jakoś ułoży.

DANIEL KADŁUBIEC: PZKO jest organizacją, która daje możliwości nie tylko kultywowania tradycji kulturowych, językowych polskich, ale też ich rozwijania. W związku z tym oczywiście w czterdziestoleciu dokonano wiele, ale jest jedno niebezpieczeństwo: zdążyliśmy za te czterdzieści lat wpaść w pewien stereotyp. Rozpoczyna się od bali, a kończy, powiedzmy, na wystawie książek w październiku. I w kółko to samo co rok. W związku z powyższym pojawia się postulat wypracowania nowych modeli rozwijania kultury i oświaty w PZKO, czego niestety często nie zauważamy. Zarząd Główny PZKO powinien chcąc nie chcąc jakąś inicjatywę w tym kierunku rozwijać. Hasłem powinno być „łamiemy stereotyp i szukamy nowych rozwiązań". Za czterdzieści lat życie potoczyło się bardzo szybko do przodu również w rozwiązaniach, które by odpowiadały zróżnicowanemu społeczeństwu, młodszym i starszym, mieszkańcom osiedla i wsi. W tym kierunku niestety robi się na razie bardzo mało.

ZWROT: Mówimy już o zadaniach na przyszłość, ale warto zatrzymać się jeszcze przy dniu dzisiejszym naszego Związku . . .

PROCNER: Na pewno jest to ciągle organizacja znacząca, która w jakiś sposób reprezentuje nasze polskie społeczeństwo tutaj na tym terenie — i reprezentuje dobrze.

MŁYNEK: Słusznie mówił dr Kadłubiec o stereotypie. Ten przejawia się ogólnie w prawie każdej działalności. Między innymi nasze imprezy stały się stereotypem, a my przecież powinniśmy wiedzieć, że do tej naszej działalności w ciągu tych czterdziestu lat bardzo mocno włączyły się środki masowego przekazu, które właśnie taką sytuację wytwarzają. To, że ludzie raczej oglądają telewizję, a uczestniczą tylko w balach, festynach, w obchodach dnia kobiet, to właśnie wynik takiego wpływu. Ale też mało jest jakichś nowoczesnych form, pomysłów w naszej pracy. I tu trzeba się zastanowić i szukać nowych możliwości. Jest nowa generacja i ona powinna się tą sprawą zająć. Bo my już jesteśmy w tym wieku, kiedy można powiedzieć, że już się „wyżyliśmy" pracą społeczną. Trzeba, żeby ją robili teraz młodzi, i oni zaczęli według nowych wymagań tworzyć nowe formy działalności kulturalno-oświatowej.

ZWROT: Zbyt wcześnie ustępujecie pola młodszej generacji — wszak wytypowaliśmy was właśnie jako przedstawicieli generacji przodującej obecnie w całym ruchu!

PROCNER: Jeśli chodzi o młodą generację, która przychodzi po nas, to trzeba jej umożliwić szersze kontakty. Choćby w wypadku zespołów folklorystycznych poza granicami kraju, i to nie tylko w Polsce, lecz podobnie jak zespoły - reprezentujące inne środowiska również gdzieś dalej.

KADŁUBIEC: Wydaje mi się, że dziś w pewnych dziedzinach działalność ma tendencję zniżkową. Można to odnieść na przykład do śpiewactwa czy twórczości literackiej i wielu innych. A powinno być odwrotnie. Nowe rozwiązania są więc bardzo potrzebne. Jeszcze jedna rzecz jest godna zastanowienia, mianowicie dość duża luka powstała między Kołami a Zarządem Głównym. Dość mało w praktycznej działalności odczuwa się wpływ najwyższych organów; owszem, są dotacje, są prelegenci, ale brak konkretnej pomocy metodycznej przy organizowaniu imprez. Bardzo istotną sprawą jest więc bycie na co dzień ZG PZKO w terenie.

ZWROT: Pozostaje nam więc ostatni temat naszej ankiety — przyszłość, perspektywa Związku.

KADŁUBIEC: Wydaje mi się, że rozwiązania Sekcji Folklorystycznej są w pewnym względzie wzorcowe, jeśli chodzi o kontynuację pracy, i warto je chyba rozpowszechnić na forum PZKO. Sprawy niedoboru nowych działaczy wynikają z braku pracy kadrowej. Nie można powiedzieć, że nie mamy ludzi, to wszystko wynika z braku pracy z nimi. Ludzie są, ale trzeba z nimi pracować, prowadzić ich, po prostu rozwijać systematyczną, przemyślaną działalność kadrową w każdej dziedzinie . . . O to właśnie staramy się w naszej sekcji i chyba właśnie dlatego połowa sekcji to młodzi ludzie. Mają konkretne zadania badawcze, publikacyjne, te zadania są spraw-

dzane i dzięki temu nie musimy się obawiać o przyszłość. Takie zaplecze powinno być w każdej sferze naszej pracy. Myślę, że jeżeli chodzi o przyszłość, to praca z kadrami jest najważniejsza ze wszystkich.

MŁYNEK: Moim zdaniem nie możemy w Związku na przyszłość działać według zasady każdy dla siebie. Musi powstać jeden organ, kierownictwo wszystkich sekcji, działających przy PZKO tak, żeby każda sekcja wnosiła jakiś konkretny wkład w nasze życie, ale żeby była to działalność skoordynowana, bo na razie pracuje nieraz każdy dla siebie.

KADŁUBIEC: Jest jeszcze jedna sprawa, o której warto wiedzieć: my w naszej sekcji zawsze najpierw się zastanawiamy, komu to będzie służyło. Staramy się pracować nie po to, żeby sporządzać później rejestry działalności, ale zawsze staramy się, żeby ta praca przynosiła korzyści społeczne. Dlatego na przykład wydaliśmy „Haft śląski" czy śpiewnik „Z biegiem Olzy". Najpierw myślimy o użyteczności społecznej, a potem o reszcie. I tak powinna chyba postępować każda sekcja, by tzw. „teren" miał nowe bodźce, nowe inicjatywy mobilizujące do pracy.

MŁYNEK: Jeszcze jedna sprawa — trzeba się w przyszłości zastanowić nad niebezpieczną luką, jaka powstaje pomiędzy zgłoszeniem się dziecka do PZKO gdzieś w wieku piętnastu lat, a jego włączeniem się do pracy. Luka ta obejmuje kilka lat, których nie umiemy wypełnić odpowiednią do wieku tej młodzieży działalnością. Te sześć czy siedem lat formalnego członkostwa powoduje, że wielu młodych właśnie wówczas tracimy bezpowrotnie. O tym się mówi, ale jeszcze nikt nie powiedział, co zrobić, by się z tym problemem uporać.

PIOTR PRZECZEK



fot. EUGENIUSZ MLECZKO



FESTIWAL 30-LECIA PZKO (KARWINA, 22. 5. 1977)



fot. ARCHIWUM ZG PZKO

Z WIZYTĄ POD JAWOROWYM

Odcinek drogi od restauracji „Tacina" do kolejki linowej pod Jaworowym jest zapewne znany większości pezetkaowców. Przemierzając tę trasę baczniejsi zauważyli wrośnięty już w krajobraz nad Tyrką budynek z napisem Dom PZKO.

Pierwsza wzmianka o tym obiekcie pojawiła się w kronice MK PZKO Oldrzychowice przed 20 laty, otwarcia najmłodsi członkowie już nie pamiętają, a jednak rozmowa o 40-letniej działalności Koła dotyka stale tego tematu. Trudno się zresztą dziwić, tu spotkałam się z aktywistami Koła i w dodatku z autorem projektu budynku Janem Kowalczykiem, ing. Wilhelmem Zmeltym — prezesem Koła i Kazimierzem Stecem, członkiem zarządu. W świetlicy jest przyjemnie ciepło, za godzinę zejdą się bowiem chórzyści na swą poniedziałkową próbę. Pan Kowalczyk manipuluje jeszcze przy piecu, sądzę więc, że jest gospodarzem . . . ?

KOWALCZYK: Teraz już nie, ale śpiewam w chórze, więc przychodzę trochę wcześniej i choć w ten jeden dzień pomogę gospodarzowi.

— To znaczy, że pełnił pan tę funkcję?

STEC, ZMEŁTY: I nie tylko!

Dowiaduję się ciekawej historii. Pan Kowalczyk wykonywał funkcję prezesa właśnie w okresie, kiedy przystąpiono do budowania świetlicy. Zrezygnował z tej funkcji tylko dlatego, by objąć kierownictwo budowy i poświęcić tej sprawie cały swój wolny czas. Był fachowcem, bo z zawodu referentem budowlanym, ale tu, gdzie pracowało się w czynie społecznym, liczyły się i inne zdolności. „On rósł z tym domem, a dom PZKO rósł razem z nim" — czytamy w kronice. Na budowie przepracował ponad 1 400 godzin, a 13 czerwca 1971 roku dziękował zebranym na otwarciu oldrzychowianom za pomoc już znów jako prezes. Z domem nie rozstawał się nawet później, towarzysząc odbywającym się tu imprezom również jako gospodarz.

ZMEŁTY: Wybudowanie własnego Domu PZKO było pozytywnym punktem w naszej 40-letniej działalności. Od tego czasu podwoiła się liczba członków z 200 do ponad 400. Zaktywizowały się zespoły — chór, zespół teatralny, powstał zespół taneczny, klub kobiet, klub propozycji, klub młodych.

KOWALCZYK: Młodzi wreszcie mieli gdzie się spotykać, przedtem do zadymionych lokali restauracyjnych, gdzie odbywały się spotkania, rodzice nie pozwalali im przychodzić, i trudno się dziwić.

— Jako gospodarz bywał pan w świetlicy i miał okazję obserwować młodzież. Czy umie zorganizować sobie spotkania, bawić się?

KOWALCZYK: Bawi się inaczej niż my kiedyś. Ja przez długie lata pracowałem w SMP, zawsze mieliśmy wytyczony cel i wydaje mi się, że dzisiejszej młodzieży tego brakuje, czasami nie wiedzą, co robić. Brakuje im też starszych kolegów, którzy podzieliliby się z nimi doświadczeniami. Kiedyś tych najmłodszych prowadzili chłopcy gdzieś 28-letni, z pewnym stażem społecznym. Dziś

sytuacja wygląda tak, że po kilku latach pracy już dobrze zgrana paczka osiąga wiek dwudziestu paru lat i nagle odchodzi. Jej miejsce zajmują kolejne 16—17 latki i zaczynają znów od początku.

STEC: Obecnie mamy bardzo dobrze pracującą grupę młodzieży, gdyby wytrwali, to może w przyszłości wprowadziliby zupełnie inne, jakieś ciekawsze formy działania.

— Obserwując przychodzących na próbę chórzystów określiłabym wiek waszego zespołu jako średni. Czy młodzieży ta forma pracy nie odpowiada?

KOWALCZYK: Tu jest ta różnica, że my mieliśmy chór SMP. Dziś zwłaszcza chłopców to nie pociąga. Mają inne zainteresowania, ale uważam, że przede wszystkim liczy się chęć do pracy.

— A tej chęci waszej młodzieży chyba nie brakuje, weźmy chociażby zespół taneczny.

ZMEŁTY: Zespół taneczny pracuje ostatnio bardzo dobrze. Początkowo kierowali nim fachowcy z sąsiednich Kół, dziś mamy już swoich wychowanków. Zespół przygotował w tym roku np. program balowy i w okresie karnawału był wprost rozchwytywany.

— Które imprezy cieszą się w waszym Kole największym powodzeniem?

KOWALCZYK: Przedstawienia teatralne. Sztuki całowieczorowe wystawiane są zawsze dwa razy, dzień po dniu, a sala jest pełna. Liczę, że spektakle te obejrzy przeciętnie 400 widzów.

STEC: Raz tyle odwiedza wystawy, które organizuje Klub Kobiet, ale tu przychodzą i ludzie z dalekiej okolicy. Nasze panie wystawy haftu i robót ręcznych urządzają co dwa lata. W roku jubileuszowym zaplanowana została w dniach od 1 do 3 maja.

— Dzięki waszym zespołom, w których aktywnie pracuje, jak zdążyłam się zorientować, ponad 80 ludzi, należycie do najaktywniejszych w obwodzie trzynieckim. Czy macie okazję zaprezentować się sąsiednim Kołom?

ZMEŁTY: Chciałbym najpierw poruszyć sprawę tworzenia się Komitetów Miejskich. Wywołało to wśród ludzi wiele krytyki, po co dodatkowy szczebel między Kołem, a Zarządem Głównym. Dziś po kilku latach działalności stwierdzamy, że ma to swój sens. Wprawdzie każde Koło ma własne, ustalone imprezy, ale prócz tego bywają akcje obwodowe, na których można się właśnie pokazać. W tym roku np. akademia obwodowa z okazji 40-lecia Związku odbędzie się 22 maja w Domu Kultury w Trzyńcu. Wystąpi tam nasz chór i zespół taneczny.

STEC: O ile Koła nie zawsze czują potrzebę działania w ramach obwodu, to w ruchu młodzieżowym ma to wielkie znaczenie. Młodzi spotykają się na przemian w Oldrzychowicach, Wędryni, Nieborach i mają okazję do prezentowania zespołów, programów i do wzajemnych kontaktów.

— Z jakimi planami wstępujecie do kolejnego 40-lecia?

ZMEŁTY: Wielka aktywizacja, jak już wspomnieliśmy, nastała w latach siedemdziesiątych. Teraz będziemy się starać co najmniej utrzymać ten poziom, jaki osiągnęliśmy.

— Czy spotkamy się na Festiwalu?

ZMEŁTY: W tym roku Festiwal jest w Karwinie, chcemy więc być przede wszystkim widzami, obejrzeć program, nacieszyć się wspaniałą atmosferą. Kiedy Festiwal odbywa się w Trzyńcu, nie ma po temu okazji. Czujemy się gospodarzami i jesteśmy zapracowani. Pokażemy się oczywiście w pochodzie festiwalowym w bloku trzynieckim razem z naszą szkołą, mam nadzieję, że w bardzo licznym gronie.

EWa

26 kwietnia br. długoletni działacz oldrzychowickiego Koła Jan Kowalczyk, posiadający najwyższe odznaczenia związkowe, obchodził Jubileusz 60. urodzin. Z tej okazji życzymy mu wiele zdrowia i zapału do dalszej pracy społecznej.

Zdjęcie na sąsiedniej stronie: Dom PZKO w Oldrzychowicach



GENERACJA ZAŁOŻYCIELI

Z pokolenia asystującego narodzinom powojennego życia organizacyjnego naszego społeczeństwa wybraliśmy głosy dwu działaczy, prezentując ich ocenę dorobku, obecnego stanu posiadania oraz perspektyw działania Związku.

Każda z rocznic daje dużo do myślenia, szczególnie jeśli dotyczy ona organizacji. Nasz Związek nie rodził się łatwo i nie miał w swym 40-leciu łatwego życia. Wydaje mi się jednak, że z wszystkich kłopotów wyszedł obronną ręką. Rozwój naszego PZKO w ubiegłym 40-leciu oceniam na ogół dodatnio.

Aktualnie żyjemy w czasach ogromnych przemian społecznych. Zarówno jednostki, jak i organizacja muszą się do nich dostosować. Od stopnia i umiejętności dostosowania zależeć będzie również przyszłość PZKO. Konieczna jest głęboka analiza ubiegłego 40-lecia.

fot. FRANCISZEK BAŁON

Naturalnie naczelne hasła i zasady naszej działalności wewnątrzzwiązkowej muszą pozostać i być nadal poszerzane i rozwijane.

Nie boję się o przyszłość Związku, pod warunkiem, że uda nam się podchwycić i zainteresować młodzież. Mogą się zmienić formy działalności związkowej, mogą się dostosować do zachodzących przemian. Wierzę, że nasza wszechstronnie uzdolniona młodzież poprowadzi dalej to, co zostało w trudnych powojennych warunkach zapoczątkowane.

Dr JÓZEF MACURA

Mówiąc ogólnie i skrótowo dorobek 40-lecia naszego Związku dla rozwoju naszej grupy narodowościowej jest imponujący. Twierdzenie to nie jest sloganem. Opieram je na dokumentacji fotograficznej znajdującej się w ZG, z którą mam do czynienia od dłuższego czasu. Tysiące zdjęć z najróżniejszych imprez, z działalności zespołów, kursów, festiwali, uroczystych zebrań i spotkań, ze wzajemnych kontaktów z PRL nie pomijając akcji młodzieżowych są namacalnym i na szczęście trwałym świadectwem tego bogatego dorobku.

Jestem przekonany, iż nasze polskie społeczeństwo odznacza się nie tylko przywiązaniem do ziemi ojczystej, ale i umiłowaniem własnej kultury. Mamy pełne prawo być dumni z naszych własnych twórców i to w każdej dziedzinie sztuki. Świadczy to o zdolnościach ludzi, których wydała ziemia śląska.

Tym tłumaczę sobie wyjątkową wrogość polityki stosowanej wobec naszej ludności polskiej przez hitlerowców w czasie II wojny światowej, której wynikiem były tak liczne ofiary.

W stanie obecnym pocieszający jest fakt, iż działalność związkowa utrzymuje się na dobrym poziomie. Twierdzenie to odnosi się do Kół Miejscowych, które są podstawowym ogniwem aktywności. Dlatego też pomoc i to wszechstronna ze strony ZG jest czołowym zadaniem wobec tych Kół.

W ostatnich latach w wielu Kołach aktywność skierowana została na budowę własnych obiektów, co stanowi jakby osobny rozdział w poczynaniach związkowych. Z wielkim uznaniem i podziwem trzeba oceniać zapał i ofiarność członków, którzy przy niejednej budowie dokonują wprost cudów.

Nie zaniedbuje się w Kołach przy tym organizowania imprez kulturalno-oświatowych i to jest ważne stwierdzenie.

Nie bez znaczenia jest ocena aktywności naszych Kół ze strony przedstawicieli organów państwowych i partyjnych, o czym mogliśmy się przekonać na ostatnich zebraniach sprawozdawczych. Dowodem zrozumienia zadań w szerszym pojęciu jeśli chodzi o sprawy gospodarki państwowej jest nadal aktualne hasło związkowe: „Każdy członek PZKO wzorowym pracownikiem".

Jeśli chodzi o perspektywy Związku, to dalszy pomyślny rozwój zależny jest wyłącznie od nas samych. Mamy do tego zapewnione warunki ze strony władz administracyjnych i partyjnych. Chodzi o to, abyśmy nie zniechęcali się do pracy społecznej, abyśmy doceniali i szanowali naszą kulturę ludową oraz język ojczysty. Nie mniej ważną sprawą jest zachowanie w naszym działaniu skromności i wzajemnego wobec siebie szacunku.

JÓZEF KAZIK

31 MAJA 1987 – KARWINA



STARSI, MŁODSI
CAŁKIEM MALI
NA NAJBLIŻSZYM
Z FESTIWALI!

PEZETKAOWCY INACZEJ

spotkanie 5.

BEZ SŁOMKOWEGO KAPELUSZA

Dziś mają lat trzydzieści, może trochę mniej, może trochę więcej. Mają już własne mieszkanie, rodzinę, pracę, czasami tylko w gronie starych znajomych wspominają, jak to było wtedy, kiedy kilkanaście lat temu trzeba było się zdecydować.: „Co dalej". Czasem pomógł przypadek, czasem łut szczęścia a czasem . . . tradycja rodzinna, tak jak miało to miejsce w dzisiejszym spotkaniu. Ojciec Franciszek Humel był przez długie lata kierownikiem zakładu ogrodniczego huty trzynieckiej, matka, choć z miasta, sadziła w przydomowym ogródku w Ropicy mnóstwo kwiatów i jarzyn.

— Nas troje — wspomina córka Edyta Sladkowa — najpierw zaganiano do pracy, a potem już sami chcieliśmy pomagać na grządkach. — I tak dziesięć lat temu pani Edyta otrzymała promocję w lednickiej Wyższej Szkole Ogrodniczej i z dyplomem w kieszeni rozpoczęła pracę w szklarniach Rekultywacji Hawierzów. O szóstej piętnaście szybko przebiera się w kombinezon, żeby o wpół do siódmej zdążyć na ranną odprawę. Potem „pani majstrowa" rozdziela robotę w sześć i pół hektarowych szklarniach, trzech tunelach foliowych — czyli innymi słowy na gospodarstwie liczącym 22 i pół hektara ogrodu.

Taka praca wśród tylu piękności chyba uszlachetnia?

— Wie pani, że tak brzmi najczęstsze pytanie i najbardziej powszechna opinia. Ja sama, kiedy w dzieciństwie słyszałam „ogrodnik" — wyobrażałam sobie pana w słomkowym kapeluszu, z brzuszkiem i nieodłączną koneweczką do podlewania kwiatków. I nawet sama sobie chciałam kupić taki kapelusz i koneweczkę (tę resztę mogłabym sobie już darować). A ogrodnik — to zupełnie coś innego. To nie tylko oglądanie pięknych kwiatów, ale także przygotowywanie substratu, mieszanie gleb i to z niezbyt pachnącym nawozem, noszenie doniczek, nieraz bardzo

ciężkich. Praca może być i taka, że kobieta osiem i pół godziny stoi przy stole i sadzi młode roślinki, a nie widzi gotowych produktów. I trzeba bardzo kochać kwiaty i w ogóle rośliny, bo inaczej taki ktoś szybko ucieka.

— Pani specjalizacja to produkcja, a konkretnie odżywianie roślin. Wiadomo, że trzeba znać strukturę gleby, potrzebną kwasowość lub zasadowość. Ale czy rzeczywiście trzeba badać każdą glebę w szklarniach?

— Tak. Badamy każdą glebę. Możemy sobie na ten luksus pozwolić, ponieważ mamy własne laboratoria, w których ziemia zostanie dokładnie przeanalizowana i na podstawie wyników możemy zaplanować nawożenie. Zdarza się również, że musimy nawet w czasie wegetacji kontrolować glebę, a to wówczas, kiedy rośliny nie są w porządku, coś im dolega. Pobieramy próbki z każdej kultury, mniej więcej co sześć tygodni, i co sześć tygodni musimy ponownie kontrolować, czy rzeczywiście wyniki, które otrzymaliśmy z laboratorium, odpowiadają wymaganiom roślin.

— Wiadomo, że wasze kwiaty zdobyły wiele złotych odznaczeń na różnych wystawach. Czy te same kwiaty można zobaczyć i kupić w szklarniach lub w sklepach i kioskach kwiatowych?

— My nie mamy specjalnych kwiatów hodowanych na wystawy. Nie wybieramy ich i nie troszczymy się o nie bardziej niż o wszystkie pozostałe. Czyli innymi słowy: to, co wystawiamy, można tu kupić, i to uważamy za nasz plus.

— Więc dlaczego np. jeden kwiat jest oceniany wyżej od innego?

— To przede wszystkim zależy od jego jakości, medale otrzymujemy za jakość. Oczywiście, że czasami nie bez znaczenia są różne modne prądy. Były na przykład okresy, kiedy wysoko ceniono strelicje, obecnie bardzo modne są storczyki a stale jeszcze nasze gerbery lub rośliny o ozdobnych liściach. Mogę powiedzieć, że zawsze przywozimy z wystaw kilka medali za gerbery, fikusy i difenbachie.

— To również kwiaty podlegają modzie?

— Kiedy zaczęłam tu pracować dziesięć lat temu, hodowaliśmy coś niecoś goździków i gerber, były uprawy anturii i bardzo mało storczyków. We wszystkich szklarniach natomiast były kwiaty doniczkowe. Obecnie kwiatów doniczkowych jest bardzo mało a bardzo dużo ciętych. Ciągle jeszcze przeważają goździki, gerbery, anturie, są storczyki, róże, mnóstwo roślin cebulkowych, przede wszystkim frezji, tulipanów i żonkili. Mamy pół hektara róż, a chryzantemy uprawiamy na okrągło przez cały rok. Kiedyś były tylko w listopadzie . . .

— Przesądne panie ciągle uważają, że to kwiaty cmentarne . . .

— Ale tych pań jest coraz mniej. Teraz te kwiaty wręcza się już bez obaw o zły smak również w święto kobiet, Dzień Nauczyciela czy urodziny. Chryzantema to zresztą bardzo ciekawy kwiat. Ona nie zawsze zakwitnie. Pochodzi z krajów położonych bardziej na południe, a tam, wiadomo, dnie są inne niż u nas. U nas bywa bardzo długi zmierzch, a tam nie. Chryzantema jest zdolna wytworzyć kwiat tylko wtedy, kiedy dzień jest krótszy niż dwanaście godzin. Tak więc jeśli chcemy, by zakwitła nam latem lub wczesną jesienią, musimy ją przykrywać. Nie powinna otrzymać ani odrobinki światła więcej. I tym można tłumaczyć fakt, że często w ogrodach chryzantema nie zakwitnie, bo dzień jest ciągle zbyt długi. Zimą natomiast jest za długi zmierzch, czyli za mało światła, żeby mogła wyrosnąć. Ona mogłaby zakwitnąć, ale byłaby bardzo niziutka. I tak zimą musimy najpierw ją oświetlić, żeby wyrosła i nie zakwitła, a dopiero później przestajemy świecić, skracamy dzień i roślina kwitnie . . .

— Czyli cały czas się ją okłamuje . . .

— I tak to można nazwać. Planujemy sobie jej kwitnięcie zależnie od popytu, a ten jest największy przed Świętem Zmarłych, koło 20 października, przed świętami 20 grudnia, pod koniec lutego i na początku marca . . . itp.

— Trzeba znać przyzwyczajenia roślin, żeby można było nowocześnie hodować. To może poradzi mi pani, dlaczego nie wszędzie podoba się na przykład palmom?

— Palma, wiadomo, jest rośliną tropikalną, jej ojczyzną jest często dżungla. Kiedy jest malutka, rosną nad nią inne drzewa i krzewy

i użyczają jej cienia. Dopiero kiedy wyrasta ponad te drzewa, przyzwyczaja się do słońca. I to trzeba respektować: małe palmy potrzebują cienia, a duże wiele słońca.

— Czy pani ma takie rośliny w swoim mieszkaniu?

— Ja tu mam cały szpital roślin. Córeczka znalazła taką łodyżkę z paroma listkami, było akurat 27 stopni mrozu. Ktoś musiał wyrzucić, a ona: „Mamo, ratuj roślinkę, bo zginie". Zasadziłyśmy ją więc i okazało się, że mróz nie bardzo jej zaszkodził. Mam tu również chorą, to znaczy trochę już podleczoną palmę . . .

— Mówi pani o tych roślinach, jak niektórzy o bliskich im zwierzętach. Ale wróćmy do pani zawodu. Jak w każdym przedsiębiorstwie nie bez znaczenia jest bilans, efektywność, jakość, rachunek ekonomiczny, a także rozwój naukowo techniczny. Czy i wy macie w szklarniach jakiś zalążek „instytutu badawczego"?

— To zależy wyłącznie od inicjatywy pracowników. Można powiedzieć, że mamy właściwie szczęście, bo pracuje tu człowiek, który nie jest ogrodnikiem z wykształcenia, a z zamiłowania, co brzmi może paradoksalnie, ponieważ udało mu się wyhodować trzy odmiany gerber, które można już uprawiać, a w najbliższym czasie pojawią się kolejne odmiany . . .

— Kto to taki?

— Ten pan nazywa się Mirosław Toman, mieszka w Ostrawie, ale znany jest już w całej republice, ponieważ zaprowadził u nas merystemowe rozmnażanie roślin . . .

— Co to znaczy?

— Rośliny są rozmnażane z komórek. Z kilku komórek można uzyskać bardzo dużo roślin . . .

— Podejrzewam, że proces otrzymywania komórek jest dosyć skomplikowany, ale niech pani spróbuje mi wytłumaczyć . . .

— Rzeczywiście, to sprawa dosyć skomplikowana. Nasze pracownice odbierają kilka komórek z wierzchołka wzrostowego rośliny pod mikroskopem, w warunkach całkowicie sterylnych. Następnie pobrane komórki wkładają do probówek na agar nasycony różnymi pierwiastkami potrzebnymi roślinie do życia. Probówki wkładane są do specjalnego bębna i tam wirują, żeby zapobiec przedwczesnemu wytwarzaniu wierzchołków wzrostowych i korzeni, a uzyskać kilka takich roślinek, które mają tendencje znowu się dzielić. Dopiero później te zalążki roślinek wkłada się do kolejnych probówek i tam już się komórki orientują na wierzchołki wzrostowe i na korzenie, by wyrosły młode roślinki . . .

— Przepraszam, a jakie to ma praktyczne znaczenie. Czy kwiaty uzyskane tą drogą różnią się od tradycyjnych, czy prędzej wyrosną, a może taniej?

— Prędzej oczywiście nie wyrosną, bo zanim otrzyma się gotową roślinkę, upłynie jakiś czas. Ale możemy wybrać sobie roślinę — tak zwaną matkę, która ma cechy nam najbardziej potrzebne: to znaczy w ciągu roku daje bardzo dużo kwiatów i to jakościowych, w modnych kolorach. Z tej jednej rośliny można uzyskać bardzo dużo „potomków", mówi się, że nieskończoną ilość, ale prawdą jest również to, że człowiek nie jest doskonały i w końcu musi przestać dzielić te powstające komórki. Kiedyś dzielono w ten sposób gerbery. Z jednej rośliny otrzymywano około pięciu nowych. Jeśli udało się dosyć skomplikowanym sposobem odebrać oczko z korzenia, można było uzyskać więcej roślin. Obecnie z jednej rośliny uzyskujemy kilkadziesiąt tysięcy nowych. Nie ograniczamy się tylko do gerber i storczyków, merystemowe rozmnażanie przenosimy np. na podkładki drzewek owocowych.

— Jeśli dobrze zrozumiałam, chodzi tu przede wszystkim o zagwarantowanie odmiany?

— Dzięki stosowaniu tej metody możemy zagwarantować przede wszystkim jakość. To dziś liczy się najbardziej. Bo nikt już nie chce kupować roślin, o których nic nie wie, to znaczy, nie ma pewności, co mu wyrośnie. A u nas ma pewność i co do kształtu, i koloru, i odmiany, i jakości.

— Teraz widzę, że rzeczywiście nie byłoby pani do twarzy w tym pocztówkowym słomkowym kapeluszu . . .

OTYLIA TOBOŁA

PIERWSZE LATA PZKO I SMP

Chociaż 40 lat działalności PZKO w Czechosłowacji to stosunkowo nie tak wiele, jednak przyznawać się do tego, że pamiętamy urodziny tego Związku, że staliśmy nieopodal jego kolebki, jest równoznaczne z przyznaniem się do własnej starości. No cóż! Prosta logika każdemu przecież podsunie wniosek, że nawet najmłodsi świadkowie tego wielkiego wówczas wydarzenia muszą sobie liczyć obecnie co najmniej 50 lat.

W moich wspomnieniach opierać się będę o fakty, w których osobiście uczestniczyłam i których byłam świadkiem, to znaczy, że dotyczyć będą przeważnie okolicy Jabłonkowa.

Po nieustabilizowanych jeszcze politycznie miesiącach letnich, ocknęłam się od września 1945 roku w Milikowie, jako nauczycielka w tamtejszej szkole ludowej. Szkoła była trzyklasowa tylko z nazwy, ponieważ wobec dotkliwego braku nauczycieli uczyliśmy z kierownikiem Janem Morcinkiem przeważnie we dwójkę.

Wszystko odbudowywało się na nowo — stosunki polityczne i międzyludzkie, bazę materialną i wreszcie życie kulturalne. To ostatnie realizował z początku każdy po swojemu. Ludzie w mieście mieli nieco szersze możliwości, bo było kino, kawiarnie, odnawiane kluby sportowe, ale na wsi, w dodatku jeszcze niezelektryfikowanej, a takich koło Jabłonkowa było wtedy kilka, pozostawała tylko praca w gospodarstwie, gospoda, dla niektórych lektura, a zimą po chałupach szkubaczki. Mniej lub więcej świadomie odczuwało się głód przeżyć kulturalnych, toteż potrzeba zaspakajania sześcioletniego niedosytu była ogromna.

Na koniec roku szkolnego już wszędzie organizowano festyny szkolne z popisami gimnastycznymi, tańcami itp. Kołacze na poczęstunek dla dzieci i do bufetu pieczono ze zbiórki przeprowadzonej po całej wsi. Przypominam sobie, że przeszłam wtedy wielką próbę odwagi, bo zlecono mi stronę organizacyjną tego domowego wypieku na tak wielką skalę. Wyszłam z tej opresji z niezłym honorem, za co mogłam podziękować dzielnym kucharkom.

W następnym roku szkolnym już młodzież pozaszkolna, zwłaszcza dziewczęta, które po ukończeniu podstawowej edukacji pozostawały w domu nie podejmując żadnej pracy zawodowej, dopraszały się odnowienia przedwojennej działalności młodzieżowej. W terenie

zbierały się już chóry, tworzyły się zespoły taneczne, grano nawet przedstawienia amatorskie, ale jeszcze pod firmą jakichś organizacji sportowych lub związku antyfaszystowskiego.

Niedługo jednak powiało z góry jakimś chłodniejszym wiatrem, w klasie czeskiej zmieniono nauczyciela, a ten nowy ustosunkował się do nas wyraźnie nieprzychylnie.

My, Milikowianie, zachęceni przykładami z innych miejscowości, nie rezygnowaliśmy z naszej czynności. Samozwańczy chór schodził się dalej, a wiosną 1947 roku ćwiczyliśmy na podwórku szkolnym, oczywiście wieczorami, tańce śląskie według znanej wiązanki J. Drózda.

W tym czasie teren coraz wyraźniej domagał się zatwierdzenia dawnych lub wytworzenia nowych polskich organizacji, w których Polacy w Czechosłowacji mogliby się legalnie wyżywać w własnej kulturze narodowej. Bardzo liczono na poparcie partii komunistycznej, na którą większość Polaków w naszych powiatach oddała swój głos w wyborach do Konstytucyjnego Zgromadzenia Narodowego CSR, przeprowadzonych w maju 1946 r. Różnymi kanałami dochodziły do nas wieści o tym, że polski poseł Paweł Trombik czyni w Pradze starania w tym kierunku. Najświeższe wiadomości przynosił kierownik od swego syna ing. Pawła Morcinka, również w tej sprawie zaangażowanego. W związku z tymi staraniami obijały mi się o uszy nazwiska redaktorów Głosu Ludu, Kalendarza i wielu innych gorących społeczników. Z niecierpliwością czekano, co z tego kwasu wyniknie. Sprawa była paląca, bo między innymi chodziło też o jak najszybsze przejęcie do kompetentnych rąk byłych polskich majątków przedwojennych, jak np. hotelu Piast, schroniska na Kozubowej, budynków Czytelni, Domów Robotniczych, Domów Braterstwa itd.

Na początku roku szk. 1947—1948 rozeszła się wiadomość, że uzyskano zatwierdzenie statutów dwu polskich organizacji kulturalno-oświatowych o nazwie SMP — Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej i PZKO — Polski Związek Kulturalno-Oświatowy. Praca została rozdzielona do dwu powiatów: frysztacko-karwińskiego i naszego cieszyńskiego.

Akcja wpisowa członków do miejscowych kół nie trwała długo, bo już w listopadzie przebiegały Walne Zebrania. Przewodniczącym MK PZKO w Milikowie został wybrany ob. Raszka (imienia nie pamiętam), w Jabłonkowie zaś JUDr Franciszek Hanak. Po dwóch czy trzech latach wybrano jednak przewodniczącego z szeregów robotniczych — człowieka światłego, zorientowanego w pracy organizacyjnej, ob. Alojzego Sikorę. Niektórzy prezesi pozostali w tej funkcji długie lata, np. w Gródku Jan Kluz z numeru 202 (tak go nazywano w odróżnieniu od innych Kluzów). Ten pracował jako prezes bez przerwy chyba przez 30 lat. Dopiero po wybudowaniu Domu PZKO złożył funkcję w młodsze ręce.

Jeszcze szybciej niż Koła PZKO ukonstytuowały się miejscowe grupy SMP i od razu rozpoczęły działalność świetlicową, chórową, taneczną, teatralną i sportową. Bardzo prężną, pamiętam, była np. grupa SMP w Jabłonkowie, na czele której stał nauczyciel Władysław Milerski. Już na Walnym Zebraniu MK PZKO przedstawił się tam chór mieszany z dyrygentem nauczycielem Gustawem Słowikiem. W ramach pracy świetlicowej urządzono w grudniu mikołajówkę i wigilijkę. W sali gimnastycznej pol. szkoły rozpoczęto ćwiczenie tańców śląskich na najbliższy bal. Nastrój radości i po-

gody, jaki przy tych czynnościach panował, jeszcze dziś wionie z pierwszych stron SMP-owskiej kroniki.

Jej pierwsze strony to jeden wielki hymn zachwytu i satysfakcji z uzyskania praw, z których, trzeba przyznać, korzystano naprawdę pilnie.

Po nowym roku (mam na myśli rok 1948) nie było Koła, które by nie urządziło balu albo własnego, albo w połączeniu z miejscową szkołą. Osobiście uczestniczyłam w takim balu w Milikowie. Pamiętam zapał przy szyciu kotylionów, szykowaniu bufetu czy strojeniu sali. W dekoracji dominował ogromny dzwon zwisający od sufitu, pod który łapano tańczące pary dla wykupu. W Jabłonkowie ten pierwszy bal zorganizowano na ludowo. Odbywał się w dwu salach równocześnie a ochotnicy na saniach przejeżdżali z Czytelni do Ratusza, aby obejrzeć kobietki wystrojone w stroje śląskie i jabłonkowskie a także pomysłową dekorację, dzieło członków SMP, głównie jednak nauczycieli Władysława Milerskiego i Władysława Gałuszki. Jeszcze długo potem niektóre elementy tej dekoracji zdobiły salę Czytelni.

Luty roku 1948 przyniósł, jak wiadomo, wielką zmianę polityczną w CSR, bardzo korzystną dla późniejszego rozwoju państwa i naszego Związku. Rozwijano pracę kulturalno-oświatową we wszystkich możliwych formach. Zarówno przy kołach PZKO, jak i grupach SMP rozpoczęły ożywioną pracę teatry amatorskie. Wkrótce naliczono ich około 80. Pamiętam, jak ambitna grupa SMP w Mostach koło Jabłonkowa wystawiła już wiosną 1948 r. dramat Lucjana Rydla „Zaczarowane koło". Cała okolica pojechała na premierę, a ja głównie dlatego, że rolę młynarki kreowała moja serdeczna koleżanka Maria Kawulokówna, obecnie Zwyrtkowa z Lomnej Dolnej. Przedstawienie repryzowano w Czytelni w Jabłonkowie a wzamian zaproszono do Mostów jabłonkowian ze sztuką „Przewodnik tatrzański". Reżyserem w Jabłonkowie był naucz. Leonard Gunka. Przygotował z młodzieżą kilkanaście przedstawień. U niego zbierał doświadczenie gorliwy amator Józef Jachnicki, który potem już w ramach PZKO przejął tę funkcję. Jeździło się też obejrzeć w Trzyńcu sztukę „Zbrodniarze", autorstwa Adama Wawrosza.

Największym chyba wydarzeniem roku 1948 było pierwsze Święto Góralskie w Jabłonkowie w Lasku Miejskim. Odbyło się ono trochę po sezonie festynowym, bo dopiero początkiem września. Jednak główny inicjator i organizator tej imprezy dyr. szkoły Karol Piegza dobrze ją umiał rozpropagować, bo ogromna masa ludzi zjechała się do Jabłonkowa. Byli goście ze wszystkich kątów naszego Śląska a nawet z pozagranicznej Istebnej i z Koniakowa. Wspaniała pogoda, swojski program przyczyniły się do wytworzenia tego ciepłego nastroju, jaki potem towarzyszył kolejnym Świętom Góralskim.

Ja swoją pracę społeczną dzieliłam między Jabłonków i Gródek, skąd do szkoły codziennie dojeżdżałam. W Jabłonkowie już w grudniu pomagałam grupie SMP w przygotowaniu akademii ku uczczeniu 150. rocznicy urodzin Adama Mickiewicza. We wszystkich prawie kołach poświęcono tej rocznicy wielką uwagę, podobnie jak w następnym roku 100. rocznicy śmierci Fryderyka Chopina. Wtedy nawet zaproszono na nasz teren kilku wybitnych pianistów z Polski — laureatów Konkursów Chopinowskich. Zorganizowano koncerty w kilku większych ośrodkach. Koncertowali nawet w Czytelni w Jab-

łonkowie, o ile pamiętam, to Władysław Kędra, Klara Langer-Danecka i Halina Czerny-Stefańska. Przypominam sobie, ile to było zachodu z przygotowaniem odpowiedniego fortepianu. Sprowadzono nawet specjalnego stroiciela, który przez kilka dni dostrajał rozklekotany instrument. Tym nadzwyczajnym wydarzeniem żyła cała okolica, już naprzód sąsiednie koła zapewniały sobie bilety.

Wspomnienia o żywym ruchu teatralnym kojarzą mi się też z przyjazdem na nasz Śląsk ówczesnego nestora aktorów polskich L. Solskiego. Miałam szczęście zobaczyć jego wspaniałą grę na scenie w Piaście w Cz. Cieszynie, w komedii A. Fredry „Pan Jowialski". Wówczas to w ramach czesko-polskiej wymiany kulturalnej zapraszał do nas czeski Teatr Cieszyński niektóre teatry z Polski. Szczególnie żywa była współpraca z Państwowym Teatrem Polskim w Bielsku, którego dyrektorem był A. Gąssowski. Tenże dyrektor Gąssowski pomógł potem ZG PZKO w zorganizowaniu kursu dla reżyserów w Jabłonkowie – w Czytelni.

W tym czasie pojawił się też Teatrzyk Cieni, jedno z hobby ob. Strzybnego, nauczyciela w Wędryni i w Bystrzycy. Te pomysłowe efekty rzucania cieni na biały ekran mogły być nawet wykorzystane na normalnej scenie teatralnej, gdzie na białą kurtynę rzucało się cienie z tyłu. Tego sposobu użyliśmy za przykładem Wędryni także w Gródku podczas akademii ku uczczeniu jakiejś rocznicy Juliusza Słowackiego.

Tyle jeszcze najróżniejszych ciekawych spraw chciałoby się przypomnieć, ale z braku czasu już tylko skrótowo wspomnę o pierwszych wystawach naszych malarzy i plastyków zrzeszonych w SLA – Sekcji Literacko Artystycznej, jako sekcji ZG PZKO. Właśnie staraniem SLA sztuka zaczęła docierać aż pod nasze Beskidy. Nawet stara Czytelnia w Jabłonkowie wypiękniała, gdy wypełniono ją obrazami pędzla prof. Gustawa Fierli, Franciszka Świdra, Rudolfa Żebroka, Józefa Bergera, Władysława Pasza, Władysława Cejnara, Karola Piegzy, Dominika Figurnego i w ogóle całej tej pierwszej generacji naszych plastyków PZKO-wskich, którzy się tutaj po raz pierwszy przedstawili i w ramach PZKO rozpoczynali po wojnie zorganizowany ruch artystyczny.

Z twórczością naszych ówczesnych literatów i poetów: Pawła Kubisza, H. Jasiczka, G. Przeczka, Józefa Krzywonia i jeszcze dalszych, zapoznawaliśmy się najpierw poprzez Kalendarz Głosu Ludu, po utworzeniu SLA już regularnie poprzez miesięcznik Zwrot, którego pierwszy numer nosi datę 24 grudnia 1949. Redaktorem był przewodniczący SLA Paweł Kubisz.

Wiele się tego przeżyło za to pierwsze dziesięciolecie, o wiele więcej niż napisałam. Wiele z tego, co było rozpoczęte, przetrwało, rozwinęło się i udoskonaliło, wiele zmarniało, zanikło.

Pamiętam niejedno walne czy członkowskie zebranie, Zjazdy w Cieszynie. Niektóre bardzo ciepłe, konstruktywne, inne burzliwe, reagujące na to, co się nie podobało.

Wielu też ludzi, których wymieniłam, nie ma już dzisiaj między nami. Z szacunkiem wypisywałam ich nazwiska.

AGNIESZKA PIEGZOWA

Fragmenty pamiętnika, który zdobył wyróżnienie w konkursie na wspomnienia dotyczące pierwszych lat działalności PZKO i SMP, ogłoszonym przez Sekcję Historii Regionu ZG PZKO.

UROCZYSTOŚCI JUBILEUSZOWE SLA



Na tegoroczne jubileuszowe Wiosenne Seminarium SLA przybyłam wcześnie, bo już o godzinie ósmej, i od razu zostałam wciągnięta w wir ostatnich prac organizacyjno-przygotowawczych. I bardzo dobrze, bo w przeciwnym wypadku mogłabym się nudzić, czekając bezczynnie, aż impreza — z niemal półgodzinnym spóźnieniem się zacznie (za co zresztą trudno winić organizatorów, a raczej — samych uczestników, którzy ściągali do salki Klubu PZKO przy ul. Bożka bez specjalnego pośpiechu). Ale — mniejsza o to. Przyzwyczailiśmy się już do tego, że trudno jakąkolwiek imprezę pezetkaowską zacząć o przewidzianej porze, a poza tym — nie to było na seminarium najważniejsze. Porozmawiajmy więc o przebiegu samej imprezy.

Przed południem oddano głos gościom z Polski, którzy mieli przedstawić przygotowane referaty, jako że ta część miała charakter roboczy i przeznaczona była tylko dla członków SLA. Rozpoczął ją Cezariusz Kotowicz, plastyk z Przemyśla, który przedstawił referat na temat realizmu w sztuce w ogóle, ze szczególnym uwzględnieniem sztuki plastycznej. Był to wykład bardzo konkretny, uwzględniający historyczny rozwój tego kierunku i spo-

40-LECIE SLA
50-LECIE ŚZLA



Uroczystości jubileuszowe Sekcji Literacko-Artystycznej ZG PZKO oraz Śląskiego Związku Literacko-Artystycznego odbyły się w dniach od 13 do 15 marca 1987. Przedstawiamy je w reportażu fotograficznym Adama Szopa: rozpoczęto obchody jubileuszowe od złożenia kwiatów na grobach członków SLA (na zdjęciu delegacja nad grobem Jana Kubisza). W sobotnim programie utwory Pawła Kalety grał skrzypek-solista Filharmonii Słowackiej z Bratysławy Ewald Danel, referat na temat historii SLA wygłosił Władysław Sikora (zdjęcia poniżej). Na następnej stronie od góry: po odłoszeniu wyników konkursu literackiego członkowie jury przedstawili ocenę prac. O pracach, nadesłanych w kategorii poezji, mówił Tadeusz Śliwiak. Przed południem referat na temat realizmu w sztuce współczesnej wygłosił Cezariusz Kotowicz (zdjęcia u góry). Z okazji jubileuszu przyznano wielu twórcom odznaczenia związkowe. Najwyższe, złote odznaki „Zasłużony dla Związku" przekazuje (na zdjęciu w środku) przewodniczący ZG PZKO RSDr Stanisław Kondziołka. Wśród gości honorowych uroczystości jubileuszowych nie zabrakło również założycieli SLA Franciszka Świdra i Władysława Pasza (u dołu z lewej). Do najbardziej udanych imprez towarzyszących należyła niewątpliwie wystawa plakatu poetyckiego, świadcząca o integracji środowiska twórczego PZKO.















fot. ADAM SZOP

soby jego przejawiania się w sztuce poszczególnych autorów. Nieco odmienny charakter miało spotkanie z drugim gościem — Janem Goczołem, poetą z Opola, który zaprowadził słuchaczy aż do gór Ałtaju (trzeba było przenieść się z dużej sali, gdzie było zimno nie do wytrzymania, do salki mniejszej, tak że zrobiło się nawet jakby kameralniej). Gawęda, bo tak chyba nazwać można formę, w jakiej Jan Goczoł przedstawił nam swoją wyprawę na Ałtaj w celu poznania kultury jego mieszkańców, była bardzo ciekawa, autor opowiadał żywo i dowcipnie, tak że atmosfera od razu podniosła się o kilka stopni. Na zakończenie przeczytał fragment eposu ałtajskiego, który z wersji rosyjskiej tłumaczy na polski.

Jednak jeszcze gorętsza atmosfera zrobiła się, kiedy nastąpiło odczytanie wyników konkursów twórczych SLA ogłoszonych z okazji 40-lecia PZKO. Konkursy te ogłoszone zostały w trzech kategoriach: prozy, poezji i sztuki scenicznej. W tym miejscu należałoby oddać głos członkom jury w poszczególnych kategoriach, którzy od razu, na miejscu, przedstawili krótką ocenę prac, jakie zostały nadesłane na konkurs.

Do kategorii II — sztuka sceniczna lub lalkowa (skład jury — Zofia Sajdok, Karol Suszka, Leszek Wronka) nadeszły zaledwie dwie prace, z których jednej przyznano nagrodę drugą, pozostałych nagród nie udzielając. W wypadku pracy nagrodzonej komisja motywowała swoją decyzję w sposób następujący: *Ponieważ konkurs został ogłoszony przez ZG PZKO z okazji 40-lecia na pewno z myślą o TL „Bajka" i teatrach szkolnych — komisja stwierdza, iż po dokonaniu drobnych zabiegów dramaturgicznych utwór ten jest możliwy do zrealizowania, co jest jego największym plusem. (. . .) Komisja podejrzewa również, iż autor korzystał z pierwowzoru, co wprawdzie nie jest uchybieniem przeciwko regulaminowi, mimo wszystko jednak zmniejsza jego wartość jako dzieła oryginalnego.* A na temat drugiej pracy nadesłanej do konkursu: *Brak podstawowej myśli — idei sztuki, brak konstrukcji dramaturgicznej, niekonsekwentne prowadzenie postaci, brak morału oraz fatalny język (czechizmy), jak również ewidentne korzystanie najprawdopodobniej z czeskiego oryginału — skłoniło komisję do nieudzielenia tej pracy nagrody.* Tyle z protokołu komisji. Ocena tej kategorii z pewnością nie napawa zbytnim optymizmem, zarówno biorąc pod uwagę poziom, jak i znikomą liczbę nadesłanych prac, świadczącą wyraźnie o tak samo znikomym zainteresowaniu tą dziedziną twórczości w środowisku naszych literatów. Oczywiście, sztuka sceniczna czy lalkowa ma swoją specyfikę, reguły, wymaga odpowiedniego przygotowania itp., ale i tak nie chce mi się wierzyć, by nasze środowisko twórcze nie stać było na lepsze osiągnięcia w tym zakresie. A przecież w obecnej sytuacji, kiedy teatry amatorskie — pezetkaowskie i szkolne — narzekają na brak odpowiedniego repertuaru pióra naszych rodzimych autorów, poświęcenie tej właśnie dziedzinie twórczości większej uwagi byłoby jak najbardziej wskazane.

Ocenę rozpoczęto tym niezbyt optymistycznym akcentem, ale ciąg dalszy, tzn. pozostałe dwie kategorie, prezentowały się już o wiele lepiej, a nawet, rzec można, bardzo dobrze, choć w żadnej z nich jury nie przyznała pierwszej nagrody.

W kategorii I — powieść lub zbiór opowiadań (jury w składzie A. Żak, J. Korzenny i P. Przeczek) nieprzyznanie pierwszej nagrody motywowano faktem, iż w dwu najwyżej ocenionych zbiorach opowiadań (nagroda druga) znajdowały się wprawdzie prace na bardzo wysokim poziomie, zasługujące nawet na pierwsze miejsce, ale obok nich pojawiały się opowiadania słabsze, co ogólnie osłabiało wydźwięk artystyczny zbioru jako całości. Do konkursu nadesłano w sumie 5 prac i wszystkie zostały nagrodzone lub zyskały wyróżnienia. I nie chodzi tu bynajmniej o dążenie do zadowolenia wszystkich, jak mogliby sugerować złośliwi. Po prostu każda z prac —

czy to zbiorów opowiadań (dwa), czy to powieści (pozostałe trzy) — miała swoje walory i niezaprzeczalne plusy. Np. praca z godłem „Przelacz" (autor Władysław Sikora), oceniona została bardzo wysoko pod każdym względem, niemniej jury uznało, iż kwalifikuje się ona raczej do gatunku eseju historycznego niż do kategorii powieści jako takiej i z tego powodu została zaproponowana tylko do wyróżnienia. Podobnie było z pracą opatrzoną godłem Zeflik (autor — Gabriel Palowski), która z kolei miała formę pamiętnika i pomimo wysokiej wartości poznawczej również zyskała tylko wyróżnienie. Trzecia z kolei wyróżniona powieść (godło Światłocienie, autor — Kazimierz Wojnar) zyskała uznanie jury m. in. z tego względu, iż była to jedyna nadesłana do konkursu powieść prawdziwie współczesna.

Wreszcie kategoria ostatnia — poezja, czyli zbiór wierszy lub poemat (jury — Tadeusz Śliwiak, Jan Goczoł i Ludvík Štěpán). Zbiorów wierszy nadesłano 13, poemat jeden, natomiast nagrody i wyróżnienia zyskało 7 prac. Jak już wspomniałam tutaj również nie udzielono pierwszej nagrody, choć motywacja tego była troszeczkę inna. Jury oceniło poziom wszystkich prac jako dobry, ale — nic więcej, czyli, jak powiedział przewodniczący komisji oceniającej T. Śliwiak: *Poezja była na dobrym poziomie, ale — Homerów nie znaleźliśmy.* Niemniej w przedstawionej ocenie kategorii poezji sporo było momentów pozytywnych, m. in. nieraz podkreślano fakt (zwracali na to uwagę zwłaszcza goście z Polski), iż wśród nagrodzonych sporo było młodych (Renata Putzlacher — 2. nagroda, Lucyna Przeczek i Franciszek Nastulczyk — wyróżnienia).

Część popołudniowa programu miała już charakter bardziej jubileuszowo-uroczysty i była imprezą otwartą nie tylko dla samych członków SLA, ale i dla sympatyków, gości — a było ich sporo: wspomniany już Ludvík Štěpan z Brna, Cezariusz Kotowicz, Tadeusz Soroczyński i Jan Goczoł z Opola, Tadeusz Śliwiak z Krakowa, dyrektor muzeum w Wiśle Jan Krop, byli również przedstawiciele „Profilu" — red. naczelny Jan Macháč i redaktor ds. polskiej edycji Eva Sobkowa. Były też najwyższe władze związkowe w osobach prezesa ZG PZKO Stanisława Kondziołki, sekretarza Władysława Orszulika, wiceprezesa Romana Suchanka i in. Uroczystą część Wiosennego Seminarium zagajono koncertem, na który złożyły się utwory naszych rodzimych kompozytorów w interpretacji Ewalda Danela oraz pianistki Soni Krivčíkowej, przeplatane wierszami naszych poetów w wykonaniu aktorów Sceny Polskiej. Był również bardzo szczegółowy referat Władysława Sikory na temat historii SLA.

Na szczególną uwagę zasługuje jednak punkt programu pn. „Prezentacja plakatu poetyckiego". Idea ta, jak się dowiedziałam, nie jest nowa, z całą pewnością jednak mogę stwierdzić, że jej realizacja na tegorocznym Wiosennym Seminarium była bardzo udana. Plakatów — autorstwa naszych plastyków i fotografików, dla których inspiracją były z kolei wiersze naszych poetów (często pojawiały się nazwiska młodych, m. in. Stanisława Jedzoka, Renaty Putzlacher, Janiny Borowskiej, choć byli oczywiście i przedstawiciele pokolenia starszego — Jan Pyszko, Jan Szymik i inni) uzbierało się w sumie 13. A sam przebieg owej prezentacji? W trakcie recytowania przez aktorów Sceny Polskiej wierszy, które były motywem przewodnim prezentowanych prac, reflektor wyłaniał z mroku odpowiadający plakat. Zresztą — trudno to opisać, jako że tak samo ważna była atmosfera, jaka się stworzyła. W sumie i pomysł, i realizacja (potwierdzili to nie tylko sami SLA-owcy, ale również goście) na pewno zasługują na kontynuację.

Przypomnieć również należy konkursy: tradycyjny Konkurs Jednego Wiersza oraz — jako novum — Konkurs Jednej Fotografii i Konkurs Jednego Rysunku. Zacznijmy może od Konkursu Jednego Wiersza. Z utworów, które napłynęły (a było ich 12),





ŚWIĘTO POEZJI — JABŁONKÓW — 15. 3. 1987



fot. BOGUSŁAW RAJSKI

jak stwierdzili członkowie jury, trudno było wybrać trzy najlepsze utwory. Niestety, nie dlatego, by wszystkie były tak dobre, że komisja nie mogła się zdecydować, a wręcz przeciwnie ... Może fakt ten nie byłby wart większej uwagi, gdyby nie to, że niepoważnie potraktowanie Konkursu Jednego Wiersza i, co za tym idzie, niski poziom nadsyłanych utworów nie zdarzył się po raz pierwszy. W tej sytuacji zatraca się chyba sens ogranizowania takich konkursów ... Nie było rewelacji także w pozostałych dwu konkursach — rysunku i fotografii, tutaj jednak można jeszcze znaleźć usprawiedliwienie — chociażby w tym, że były zorganizowane po raz pierwszy.

I cóż jeszcze? Podziękowanie najbardziej zasłużonym twórcom i animatorom naszej kultury oraz przyznanie im odznaczeń PZKO, a wieczorem — „Karczma artystów", znów pomysł staronowy i znów — udany. Rozbawił wszystkich kabaret przygotowany i wykonany przez aktorów SP, nastrój stworzyły improwizacie muzyczne Bronisława Liberdy a spotęgowały go jeszcze wiersze poetów Tadeusza Śliwiaka, Ludvíka Štěpána i Jana Goczoła, w interpretacji zresztą samych autorów.

Tak, w miłej atmosferze, zakończyło się Wiosenne Seminarium SLA, które było punktem centralnym obchodów przypadającego na rok bieżący 40-lecia Sekcji Literacko-Artystycznej oraz 50-lecia Śląskiego Związku Literacko-Artystycznego. Nie można jednak pominąć licznych akcji towarzyszących. Jedną z nich było otwarcie — w piątek 13 marca — wystawy grafiki Tadeusza Bergera w Mini-galerii Sla w budynku ZG PZKO, a w godzinach przedpołudniowych tegoż dnia — złożenie kwiatów na grobach zmarłych twórców — członków SLA. Imprezą towarzyszącą było również tradycyjne już jabłonkowskie Święto Poezji, na program którego złożyła się recytacja w wykonaniu uczestników eliminacji centralnych Konkursu Recytacji.

RENATA OSTRUSZKA

WYNIKI KONKURSÓW TWÓRCZYCH

Z OKAZJI 40-LECIA PZKO

W poszczególnych kategoriach przyznane zostały następujące nagrody:

KATEGORIA I

POWIEŚĆ LUB ZBIÓR OPOWIADAŃ

1. nagroda — nie przyznano
2. nagroda (2 tys. koron) — ex aequo *Wilhelm Przeczek* (godło ABBE) — zbiór opowiadań „Bluszcz" i *Wiesław Adam Berger* (godło PIEŃ) — zbiór opowiadań „Opowiadania idą po grudzie".
3. nagroda (1 tys. koron) — ex aequo *Kazimierz Wojnar* (godło TONIC) powieść „Światłocienie", *Władysław Sikora* (godło PRZELACZ) — powieść „Przelacz", *Gabriel Palowski* (godło ZEFLIK) — powieść „Dojrzewanie głogu".

KATEGORIA II

TOMIK WIERSZY LUB POEMAT

1. nagroda — nie przyznano
2. nagroda (2 tys. koron) — ex aequo *Renata Putzlacher* (godło EOS) — zbiór wierszy — bez tytułu i *Wilhelm Przeczek* (godło KRONIKA) — zbiór wierszy „Notatnik liryczny".
3. nagroda (1 tys. koron) — *Władysław Sikora* (godło LAS) — poemat „Las osobny".

Wyróżnienia: (500 koron) — *Wilhelm Przeczek i Jan Pyszko* (godło NUTKI) zbiór wierszy „Malowanki", *Lucyna Przeczek* (godło LETE) — zbiór wierszy „Bunt włosów", *Franciszek Nastulczyk* (godło WOYZECK) — zbiór wierszy „Wiersze" i *Gabriel Palowski* (godło ZMIERZCH) — zbiór wierszy „Wyciszanie chwil".

KATEGORIA III

SZTUKA SCENICZNA LUB LALKOWA

1. nagroda — nie przyznano
2. nagroda (2,5 tys. koron) — *Wilhelm Przeczek* (godło NIC) — sztuka lalkowa „Nic".
3. nagroda — nie przyznano.

WILHELM PRZECZEK

GARB KRAWCA GAWLIKA

Kto pamięta wielki budynek czynszowy w Suchej Górnej, nie będzie miał trudności z rozpoznaniem. Większość z was nie mogła go jednak oglądać. Tego jestem pewien. I właśnie dla tych nieobytych z górnosuskim domem szczegółowa informacja: stał na kopcu. Czynszowiec posiadał dwa wejścia — z przodu, to frontowe ziejące piżmem i szczynami — oraz tylne wejście, skromne i prawie niepozorne. Tu pachniało cynamonem i wanilią, a był to przecież ten sam korytarz. Waniliowe schody były szczerbate jak dobrotliwa babcia. Po prawej stronie frontowego wejścia są drzwi wiodące do pracowni krawieckiej.

Adasiowi nie wolno było wchodzić do babci inaczej, jak tylko tylnym wejściem. Adaś jest dla wszystkich Adasiem. Jedynie garbaty krawiec Gawlik mówił do niego „Wiesiu-Obwiesiu".

Babcia nie omieszkała przypominać nakazu, który z biegiem czasu stał się spełniającą prawdą:

— Gawlik jest smutny, bo ma chory pęchez i wiecnie scy w korytazu . . . Unikaj garbusa, Adasiu!

Chłopak — siedmioletni, niedomyty grubasek — kłamał z prawdziwą wirtuozerią, więc dziadzio Lolek przepowiadał, że na pewno wyrośnie z Adasia pisarz albo adwokat . . . bo „fantazyruje", co miało znaczyć, że ma wyobraźnię. A starzik Lolek czuł takie rzeczy siódmym zmysłem. Potajemnie wykradał babci Teodorze cukier, ucierał go w moździerzu na miał, dosypywał jeszcze do moździerza szkło z „cylindra" lampy naftowej, ponownie ucierał i całą zawartość zjadał, żeby mu dobrze trawiło. Z tego brała się jego siła.

Pracownia krawiecka Gawlika stanowiła dla Adasia coś na kształt siódmej komnaty. Nigdy nie wolno jej otwierać! Po całym domu

krążyły tajemnicze legendy o niepowtarzalnej kolekcji motyli przyłapanych przez Gawlika na gorącym uczynku nieostrożności. W oszklonej gablocie, przyszpilone solidnie do białej tektury, zadziwiały kolorami: szlakoń torfowiec, rusałka-żałobnik, pawik, admirał . . . dalej kraśnik, modraszek, brudnica mniszka i królowa kolekcji . . . czyli zmierzchnica — trupia główka.

Nie wiadomo właściwie, skąd wzięły się motyle w mieszkaniu zamienionym na warsztat. Wiadomo natomiast, że garbus nie wychodzi dalej niż na korytarz. Starzik Lolek twierdził, że nie należy mu się dziwić. Kto by tam chciał dźwigać taki garb, który na pewno będzie jeszcze obciążony spojrzeniami ciekawskich gapiów.

Kontrowersyjny korytarz — z dwoma antypodami — wystawiał na sam przód domu przykre piżmo, a na zapleczu chował wanilię. Atmosfera napięcia nie mogła zostać niezauważona. Często Adaś zachodził od strony cynamonowo-waniliowej, ostrożnie posuwając się wzdłuż ścian, aż do tej granicy, gdzie zapachy toczyły walkę o przetrwanie.

Głównym i jedynym przewodnikiem Adasia w takiej wyprawie stawał się oczywiście zmysł powonienia. Nos wydłużał mu się na pół metra i węch wyprzedzał jego zaokrąglone ciałko. I tu zawsze dopadał Adasia sepleniący głos babci Teodory:

— Nie leź w ten moc zascany, Adaś!

Wracał pokornie na tyły i okopywał się w cierpliwość.

Cała Sucha Górna zbywała wysiłki Adama pogardliwym milczeniem. A jakże! Jeśli taka Sucha — proszę sobie wyobrazić — nie mogła się zmieścić w jednej gminie — bo były i Górna, i Dolna, i Średnia — to ile spraw musiało się roić w głowach, w tych trzech głowach wsiowych . . .! Nie, biedny marzycielu Adasiu, twoja ciekawość jest w takim zestawieniu tym, co dziadek Lolek określa pojęciem „malina".

Wakacje miały się ku końcowi. Na Adasia czekała już oschła druga klasa. Jakże tu jednak wracać z wakacji, skoro nie rozwiązało się tajemnicy siódmej komnaty? Dziadek prowokował swoim prorokowaniem, babcia przekupywała wspaniałymi „kreplikami" i zachęcała zakazem odwiedzenia krawca Gawlika. Rosło w Adasiu niezdecydowanie bardziej krągłe niż on sam. W dodatku jeszcze cała ta Sucha Górna. Jakby chciała górować nad Adasiem. Może ciekawość w Suchej Średniej byłaby też taka sobie średnia — a w Dolnej Suchej mogłoby wcale nie być ciekawości. Cóż. Nikt nie wybiera miejsca zamieszkania swoich dziadków!

Warsztat Gawlika miał kształt prostokąta. Okno, jedyne w tym pomieszczeniu, wychodziło na las. Pod oknem umieścił garbaty krawiec maszynę do szycia. Marka Singer pamiętała czasy austro-węgierskie. Olbrzymi kredens pęczniał od pucułowatych garnuszków. A ile tu szuflad, szufladek, schowków, skrytek, zakamarków —

istny labirynt niespodzianek. Chyba wszystkie suskie lęki i niepokoje chodziły tu nocować.

Garbus był z nimi zaprzyjaźniony. Bezwiednie zgadzał się na obecność niesamowitości. Poczesne miejsce na stoliku, obok bujaka, zajmowała monstrualna poduszka, w którą wbijał Gawlik ostrza najróżniejszych igieł, szpilek, agrafek, igląt i ... była też wielgachna igła, a raczej iglisko — monstrum, bez przesady można powiedzieć: majestatyczna i g l i c a .

W igielne ucha wśpiewywał się przeraźliwie żółty kanarek Maciuś. Gawlik był do niego tak przyzwyczajony, że nawet nie słyszał treli-moreli zacietrzewionej kulki. Podłogę pokrywa stare linoleum. Jest podrapane tak, jakby wróciło z wyprawy po ostrężyny. Dziadek Lolek zobaczywszy po raz pierwszy linoleum — a było to jakieś dwadzieścia lat temu — pomyślał, że przychodzą tu ostrzyć zębska śląskie wampiry.

Poza tym: tapczan-łóżko z wyraźną wklęsłością w okolicy poduszki. Nigdy nie zasłana pościel. Ponad legowiskiem legendarna gablotka z motylami. Kolory wychodziły najpełniej przy blasku księżyca. W lunatycznej poświacie zdawały się nabierać prawdziwej wymowy, właściwego życia.

Gawlik strzegł kolekcji przed słońcem i zasłaniał swój skarb w dzień kocykiem zrobionym z sierści angory, królika, który ma zawsze przekrwione oczy.

Krawiec pracował prawie zawsze siedząc w przepastnym bujaku. Do jego tajemnic będzie należała umiejętność fastrygowania podczas nieustannego ruchu ... bujanego ... Nie wolno zapomnieć o manekinach — trzy kobiece: Olga, Matylda, Hermina, jeden męski — Arnold. Gawlik nadał im imiona. Mówił do nich, one łasiły się do niego, głaskał czule wypukłości. Tajemnicą suskiego poliszynela było współżycie płciowe garbusa z Herminą, która posiadała najobfitsze kształty. Gdyby kiedykolwiek ktoś — poza Gawlikiem — zechciał dotknąć piersi Herminy, musiałby sprawdzić, że są one przylepne, dziwnie kleiste i takie jakieś krochmalne.

Sufit pracowni wznosił się bardzo wysoko. Prawie cztery metry. W zimie trudno było napalić w Gawlikowym warsztacie — stąd w tym mieszkaniu-pracowni panował zawsze chłód. Krawiec cierpiał na przewlekły reumatyzm, nieustanny katar i bronchitis. W kącie rozpanoszyła się szafa z neurastenicznym charakterem. Nigdy nie można jej było otworzyć bez zawistnego skrzypienia. Chował w niej krawiec nieliczne materiały. Kiedyś dawno temu przyniosło je kilku klientów. Miały być przeznaczone na uszycie jakiegoś wdzianka, ale potem jakoś klienci zapominali odebrać twory krawca.

Gawlik miał w sobie coś z perpetuum mobile. Szył nikomu niepotrzebne ubrania bez przerwy, jadał tyle co kanarek Maciuś, czyli prawie nic, a na przekór wszystkiemu trwał. Jeśli można w taki sposób określić jego życie. Postronny obserwator może nazwać taki stan — trwaniem na posterunku, albo jeszcze lepiej — wyczekiwaniem ...



rys. DARINA KRYGIEL

Marzyciel Adaś, aczkolwiek jeszcze dzieciak, najwyraźniej dojrzewał do tego, że przekroczy wreszcie próg komnaty Gawlikowej. Nikt — poza mną — jeszcze nie wie, kiedy to nastąpi. Trzeba także wiedzieć, że krawiec ma brata, różnież garbusa, który mieszka w Orłowej, na Obrokach. Poza tym, że brat jest zegarmistrzem — nie wiadomo o nim nic bliższego. Może tylko to: miał do czynienia z czasem. Przepływał mu między palcami.

Zegar wahadłowy Gawlika zatrzymał się w poniedziałek o godzinie czwartej nad ranem. Krawiec nie pamiętał już, w którym to było roku. Chciał kiedyś nawet napisać do brata, żeby wprawił w ruch mosiężne wahadło, ale potem zrezygnował.

Adaś stoi teraz na granicy zapachów. Wanilia słabnie najwyraźniej. Mocznik tężeje coraz bardziej — a tu nie ma wołania babci Teodory. Klops. Może zasłabła, a może przyłapała dziadka Lolka na kradzieży cukru. Po prostu nie ma babci w pobliżu . . . nie ma jej ostrzegawczego wołania!

Adaś przekroczył Rubikon korytarza i jego kości — opakowane w obfity tłuszcz — zostały rzucone . . . Na szali, na tej czułej wadze sprawiedliwości, stanęła teraz pani Temida, stworzenie ze zawiązanymi oczami, nie może dostrzec skutków własnej roboty . . . i szala przechyla się w stronę dobrze odżywionego Adasia! Na drzwiach tabliczka: JAN GAWLIK, krawiec — informacja wygrawerowana w mosiądzu. Adaś — dobrze wychowany — puka. Przypominają mu się teraz bajki babci Teodory ściągane z braci Grimmów (o czym mały Adaś nie wiedział). Zapomniał jednak o samej babci i jej ostrzegawczym seplenieniu.

Nikt nie odpowiada.

Ponawia pukanie. Nic.

Nacisnął klamkę i drzwi ustąpiły. Jest późny wieczór, przez okno zagląda spaśny księżyc, a krawiec śpi w bujaku. Adaś podchodzi coraz bliżej przyciągany naparstkiem na palcu Gawlika. Naparstek wygląda jak sygnet. Jedyny przedmiot — poza gablotą z motylami — który wabiąco błyszczy w półmroku warsztatu krawieckiego.

Garbus poruszył się niespokojnie i Adaś instynktownie chowa się za manekinem o imieniu Hermina. Krawiec podchodzi szybko do gabloty, podstawia pod nogi zydelek, przygląda się motylom, jakby chciał sprawdzić, czy są tam wszystkie. Nagle stracił równowagę, macha rękami w powietrzu, kantem dłoni uderza o zegar. Wahadło ruszyło i znowu odmierza czas . . .

Gawlas jeszcze przez moment walczy o miejsce na zydelku, wreszcie pada na podłogę. Z palca obsunął się naparstek. Leży jak nieżywy.

— Adasiu — odzywa się głos płynący z naparstka — chcesz pomóc biednemu krawcowi?

Adaś, od wczesnego dzieciństwa prowadzony do niesienia pomocy, odpowiada twierdząco.

— Weź tę wielką igłę i przekłuj garb — namawia naparstek —

weź . . . zabierz . . .

Teraz sprawy potoczyły się szybko: Adaś nakłuwa garb starego Gawlika. Z garba uchodzi powietrze i krawiec rośnie, już dotyka głową sufitu. Taki czterometrowy olbrzym. Adaś czuje, że został podniesiony. Traci podłogę pod nogami i tęskni do porysowanego linoleum. Olbrzym trzyma Adasia w jednej ręce, a w drugiej — iglisko. Chłopczyna dynda nogami na wysokości dwu metrów, prawie w połowie pokoju.

— Przeprowadzę cię przez ucho igielne — powiedział krawiec przypominający teraz olbrzyma i zrobił to, co powiedział. Adaś czuje jeszcze, jak uderzył głową w górne sklepienie ucha igielnego i maleje . . . maleje . . .

Wszystko to dzieje się w absolutnej ciszy . . . tylko zegar przyzwala na te czary swoim upartym . . . tak . . . tak . . .

— A gdzie jest tik? — chciał krzyknąć Adaś, ale głos wcale nie dostał się na zewnątrz. Na twarzy wielkoluda pojawił się grymas. Widocznie to był TIK, o który chodziło Adasiowi.

Kanarek popiskuje cienko, choć o tej porze nigdy dotąd nie śpiewał. Najwidoczniej cieszy się z faktu, że jego pan nie ma już teraz tego przeklętego garbu. Wielki Gawlik próbuje się nagiąć do gablotki z motylami. Nie jest to wcale łatwe, rysy łagodnieją. Przygląda się pomniejszonemu Adasiowi, jakby to był motylek. Krawiec nie może się nacieszyć widokiem.

— Co za śliczny okaz!

Podnosi Adasia-motylka pod światło księżyca.

— Od dawna chciałem uzupełnić kolekcję — myśli głośno dawny garbus — brakowało mi tylko tego jednego . . . pazia pokrzywnika! I Adaś czuje jakby go teraz dotykano pokrzywami. Z waniliowego końca korytarza dobiega słodki głos babci Teodory . . . tak dobrze znane seplenienie nawołuje:

— Adaś, nie leź w ten moc zascany!

Pokrzywy palą coraz dotkliwiej. Adasiątko szamoce się w palcach krawca Gawlika. Czuje, że w miejscu ust wyrasta mu aparat ssący, że powoli staje się owadem . . . co to? . . . oczy zmieniają się w czułki . . . czuje, że przemożna siła za chwilę całkiem go pokrzywi . . .

— Oto i paź pokrzywnik — powiedział Gawlik i wbija szpilkę w ciało Adasia. Niesie go teraz w kierunku gablotki z motylami. Znalazł odpowiednie miejsce. Przyszpilił Adasia-Pazia do białej tektury . . . Jedynym obcym świadkiem zajścia jest księżyc, który śmieje się w pełni i nikomu nie zdradzi sekretu.

Manekin Hermina — staje się kobietą. Odrastają ręce, biust zaczyna falować, wyciąga ramiona w kierunku byłego krawca-garbusa. Nie może jednak dosięgnąć olbrzymiego, ukochanego kolekcjonera, który schyla głowę pod sufitem. Ręce manekina głaszczą więc przynajmniej nowy nabytek w kolekcji motyli.

2. nagroda ex aequo w Konkursie Literackim z okazji 40-lecia PZKO



OTTO SZLAUER

Wiosenne reminiscencje



RENATA PUTZLACHER

* * *

Jamnik kolejnego tygodnia
przeciął mi drogę
z mokrym zimnym nosem
poniedziałku
i niedzielą na ogonie

Bez smyczy kagańca
szczekają na mnie
te tygodnie
sfory miesięcy

A ja z pustymi rękami
nie mam co rzucić
na odczepnego
tylko bezradną ogryzioną
kość

BEZSILNOŚĆ

Pusta kartka
muzie w brzuchu
burczy
wyschnął
grafoman długopis

To dobrze
ludzi nie zamęczę
papier trzeba szanować

Głowa jak pusty
balon
myśli sflaczałe

A jednak
czegoś żal

* * *

A ja ci nie powiem
że alfabet twych
niewidomych palców
mam wyciśnięty na skórze
i czasem oglądam
ręce pod światło
jak oświecona analfabetka

To mój pierwszy elementarz
sylabizuję cię co noc
choć te zdania są
mokro-nieporadne
i pełno tu znaków przestankowych
długich jak przerwa
w spektaklu pocałunków

I już bez białej laski
czytam z zachwytem
dziecka
książki naszych ciał
skazana na wieczną
jednojęzyczność
w bibliotece miłości

* * *

Jeszcze kiedyś zaskrzypi
podłoga
przeniesiesz mnie na rękach
przez próg wspomnień
W kranie szept
zamiast wody
noc poflirtuje z fontanną
Skrzypną sprężyny
a ty już
nie będziesz się rumienił
Zmęczona noc odejdzie
i tylko brunatny jeleń
filozoficznie pokiwa
gipsową głową

* * *

Była otwartą książką
korzystali skwapliwie
akcentując swą
obecność

ktoś obiad zostawił
zagiął rożek
nagryzmolił trzeci krzyżyk

wyrwali parę wstydliwych
kart życia

okładka odjechała w dal
z makulaturą

Kupili zeszyt

* * *

To można przeżyć
wyrasta się z tego
jak z dżinsowej kurtki
i snów
nakrapianych różem

Już świat nie ma
długich nóg
ani waty w uszach

Masz lejce w stu dłoniach
czasem bat
a konie łamią nogi
na odkurzonym dywanie

Nie trzeba ci
apokalipsy
wystarcza mały odcisk

Z wszystkiego się wyrasta

2. nagroda ex aequo w Konkursie Literackim z okazji 40-lecia PZKO

TŁUMACZE LITERATURY POLSKIEJ

VLASTA DVOŘÁČKOWA

Urodziła się 27 lutego 1924 w Żdárze nad Sázavą. Po ukończeniu gimnazjum realnego w Havlíčkowym Brodzie studiowała na fakultecie filozoficznym Uniwersytetu Karola w Pradze (w latach 1945—1949, bohemistyka i polonistyka).



W roku 1952 doktoryzowała się z zakresu literatur słowiańskich. Od 1950 roku pracuje jako redaktor w wydawnictwie „Práce". Następnie podejmuje pracę redaktora w Wydawnictwie Państwowym Literatury Pięknej (obecnie „Odeon"). W roku 1979 przechodzi na emeryturę.

W latach 1957—1968 wydała sześć własnych tomików poetyckich. W praskim radiu pojawiły się jej słuchowiska radiowe.

Vlasta Dvořáčkowa jest tłumaczką z języka polskiego, angielskiego i niemieckiego. Przetłumaczyła trzydzieści książek z literatury polskiej. Poza tłumaczeniami, które pokazały się w wydaniach książkowych, publikowała wiele tłumaczeń z polskiego na łamach prasy literackiej, zwłaszcza w „Literaturze Powszechnej" (Světová literatura).

W bogatym dorobku tłumaczki spotykamy między innymi następujące pozycje: J. I. Kraszewski „Stara baśń" (Stará báje, 1952), Eliza Orzeszkowa „Dziurdziowie" (Vědma,

1958), Henryk Sienkiewicz „Pan Wołodyjowski" (1965, 1969, 1977, 1983), Kazimierz Brandys „Listy do pani Z." (Dopisy paní Z., 1967), Stefan Żeromski „Wiatr od morza" (Vítr od moře, 1974), Jarosław Iwaszkiewicz „Sława i chwała" (Čest a sláva, 1974), Władysław Terlecki „Czarny romans" i „Odpocznij po biegu" (Černý román, Odpočni po běhu, 1981), Sławomir Łubiński „Ballada o Januszku" (Balada o Januškovi, 1983), Tadeusz Różewicz „Stara kobieta wysiaduje", „Kartoteka", „Do piachu", „Rozmowa" (wybór poezji) i in.

W roku 1986 pokazały się: Jarosława Iwaszkiewicza „Ogrody" i wybór polskich ballad „Pani zabiła pana".

W. P.: W jaki sposób rozpoczęła się pani praca tłumaczki, a raczej — od kogo Pani rozpoczynała?

VLASTA DVOŘÁČKOWA: Myślę, że początki większości tłumaczy bywają podobne: przekłady krótszych utworów prozatorskich albo tłumaczenia wierszy dla czasopism. To bardzo pożyteczne i przydatne „lata terminowania". Rozpoczęłam około 1947 roku — przeważnie od prób współczesnej literatury polskiej. Moim pierwszym wydanym w postaci książki przekładem były wspomnienia polskiego robotnika Józefa Boka „Na Uralu" (1950 r.). Była to proza prosta. Po prostu szczerze opisane przeżycia z lat trzydziestych i z okresu wojny. Wspomnienia te nadawały się bardzo dobrze do edycji „Twarz stulecia", która pokazywała się w wydawnictwie „Práce". Pierwszym książkowym wydaniem polskiej poezji w moim tłumaczeniu był wybór z dzieła Marii Konopnickiej „Na fujarce" (1958, Państwowe Wydawnictwo Literatury Pięknej).

— Gdzie się Pani uczyła języka polskiego?

— Jeszcze w czasie wojny, jako studentka gimnazjum, zaczęłam się interesować językiem polskim. Podziwiałam Polaków, którzy tak bohatersko walczyli z hitlerowskim okupantem. Starałam się nauczyć przynajmniej podstaw języka polskiego, przeczytać parę polskich książek. Kiedy po wyzwoleniu, w lecie 1945 roku, rozpoczynano wykłady na wyższych uczelniach, zgłosiłam się na Fakultet Filozoficzny Uniwersytetu Karola w Pradze. Na pewno wiedziałam, że chcę studiować język czeski. Decydowałam się, jaki inny język wybrać do kombinacji. Wahałam się między językiem polskim i angielskim. W końcu, za radą prof. Alberta Pražáka — wybrałam język polski. Wykłady i seminaria prof. Mariana Szyjkowskiego i prof. Karla Krejčiego były niesamowicie interesujące. Tak samo, jak lektorskie zajęcia z panią Izą Šaunową. To byli moi pierwsi nauczyciele języka polskiego, którym jestem i będę zawsze wdzięczna. A dalej? Kolejnymi nauczycielami byli wszyscy wybitni autorzy polscy, których czytałam i tłumaczyłam.

— Czy w trakcie wyboru autora do pracy translacyjnej decyduje temat, osobista sympatia czy też przypadek?

— Nie można tego określić jednoznacznie. Na przykład jeśli chodzi o prozę tego typu, co „Konopielka" Edwarda Redlińskiego, „Czarny romans" Władysława Terleckiego albo „Ballada o Januszku" Sławomira Łubińskiego — zachwycił mnie temat: był typowo polski, ale równocześnie niebywale atrakcyjny dla czytelnika czeskiego. Dlatego starałam się przekonać wydawnictwo, że książki te powinny się u nas pokazać. Obszerną powieść Iwaszkiewicza „Sława i chwała" otrzymałam od wydawnictwa do tłumaczenia raczej przez przypadek, ale za to jego „Ogrody" pragnęłam przetłumaczyć od dawna. Poza tym jest różnica w tym, czy tłumaczę prozę, czy też poezję. Przy przekładach prozy mogę sobie ustalić dzienną normę. Z tym, że do tekstu będę później wracała, że poddam go obróbce literackiej. W trakcie tłumaczenia poezji nie można tego zrobić. Poezję tłumaczę w podobny sposób, jak piszę własne wiersze — z radością albo z cierpieniem. W danej chwili

przemówi do mnie jakiś wiersz zupełnie inaczej niż te pozostałe. Poezja polska, w której rozczytuję się od lat, którą wnikliwie obserwuję i cieszę się na kolejne tomiki znanych i nieznanych autorów — poezja ta podsuwa mi wiele dobrych utworów. Zapamiętam wers, dwa albo całą zwrotkę. Towarzyszy mi na każdym kroku. Domaga się swojej czeskiej wersji. Niekiedy przychodzi to łatwo, innym razem trudniej. Wiersze, nawet tłumaczone od środka — prześladują mnie bez przerwy: w czasie podróży metrem, podczas pracy w ogrodzie. Najczęściej tak długo, aż nauczę się całego oryginału na pamięć. Potem zaczyna się pierwszy wiersz, jego jądro obrasta otoczką, zaczyna się przybliżać do swojego kształtu ostatecznego. Niekiedy wydaje mi się, że nie dam rady, że wiersz jest nieprzetłumaczalny. Dotyczy to przede wszystkim autorów, którzy zmierzają w kierunku aforyzmu, kiedy staje się koniecznością to, żeby zachować prawie każdy szczegół i żeby — oczywiście — oddać dokładnie pointę. Na przykład cztery wersy Marii Jasnorzewskiej-Pawlikowskiej „Tancerka" były dla mnie nielada problemem:

Dvě vrásky škrtly tě, byť skryty pod šminkou,
a třebas tančíš dál s lehkostí motýla
v své sukni modravé a trochu do lila,
nejsi už život sám, jsi už jen vzpomínkou.

I jest to chyba — jeśli chodzi o tłumaczenie poezji — czterowers typowy: przecież poezja musi być, nie rezygnując z całej powagi intelektualnej, także melodią, tańcem motyla. Podczas wyboru nie chodzi więc wyłącznie o temat, osobistą sympatię czy przypadek, ale także o melodię, która urzeka, o klimat, który mnie, właśnie mnie — porywa.

— Utrzymuje pani osobisty kontakt z autorem, którego pani tłumaczy.? Chodzi, rzecz jasna, o autorów żyjących.

— W przeważającej mierze — tak. I myślę, że w ten sposób powstały przepiękne przyjaźnie, które trwają, chociaż często nie znamy się osobiście. Takie przyjaźnie przetrzymują całe lata.

— Z którymi wydawnictwami czechosłowackimi najchętniej pani współpracuje?

— Przez długi okres pracowałam na etacie redaktora w wydawnictwie „Odeon". Jest to u nas największe wydawnictwo literatury tłumaczonej z języków obcych. Cieszę się, kiedy książka wychodzi właśnie tu. Ale chwalę sobie również współpracę z wydawnictwami „Mladá fronta", „Svoboda" i „Vyšehrad".

— Nad czym pracuje pani w tej chwili?

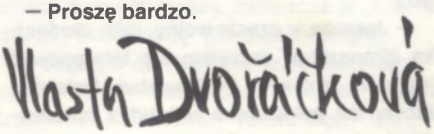
— Oddałam w wydawnictwie „Mladá fronta" wybór polskich ballad, w którym są poza wierszami, ponadto także utwory współczesnych poetów polskich. Jedna zwrotka z „ Romantyczności" Adama Mickiewicza nie odstępowała mnie tak długo, aż przetłumaczyłam prawie całe „Ballady i romanse". Fragmenty nadawało Radio Czechosłowackie — i chyba, wierzę w to, znajdzie się dla tych ballad miejsce w planach wydawniczych. Na podstawie umowy z „Odeonem" przygotowuję wybór starszej poezji polskiej — do romantyzmu. I stale na nowo czytam dzieła Karola Irzykowskiego. Myślę, że wiele z tych spraw może być ciekawe również dla czeskiego czytelnika.

— Pani osobiste wyznanie . . .

— Tadeusz Różewicz napisał kiedyś, że poezja jest właściwie wołaniem do drugiego człowieka. Tłumaczenie jest częścią tej sztafety. Przenosi to wołanie i posłannictwo dalej. Nie może zboczyć z trasy i musi biec do celu jak najlepiej potrafi i ze wszystkich swoich sił . . .

— Serdecznie dziękuję za wywiad, droga Pani Vlasto. I na zakończenie proszę uprzejmie o autograf.

— Proszę bardzo.



WILHELM PRZECZEK

ZIELONE NURTY

WANDA MRÓZEK

Przygoda Jury z Chrostu

(monolog sceniczny)

Jura (wchodzi z prawej strony na scenę. Jest bosy. Buty ma ze sobą związane sznurowadłami i przewieszone przez ramię. Jest ubrany w podarte, obszarpane spodnie, surdut i koszulę. Idzie na przód sceny, mając zamiar skręcić w lewo, ale zatrzymuje się, patrzy na publiczność, po chwili mówi):

— Na dziyń dobry ludeczkowie! Widzym, że sie tak dziwocie na ty moje potargane galaciska, ale jo za to ni mogym, że idym w takich szkarednych galaciskach. Za to może letnikorz od sómsiada. Ja, doprowdy, je to tak, jak prawim. Za to może letnikorz od sómsiada. Tyn letnikorz sie doł zy mnóm do rzeczy i prawił: Jurku, jo na waszym miejscu bych se już downo pszczoły do chałpy skludził. Mocie poszónki, lipy kole stodoły, miałyby pszczoły kaj miód zbiyrać, a utarżył byście moc piniyndzy. I tyn letnikorz mi aji hól na papiyrze namalowoł, jaki mo być, abych se taki z desek sklecił. I prawił, że za tydziyń w Cieszynie w hotelu „Polónija" bedzie zebrani pszczelorzy i że bedóm tam aji pszczoły przedować. Nó, i tyn letnikorz mi wbił klin do głowy. W nocy ni móg żech spać, rozmyślół żech o pszczołach i utarżónku, kiery by sie mi strasznie przydoł. I powiedzioł żech se, że na to zebrani pujdym i pszczoły do chałpy przykludzym. Ale żech sie zastaroł, kaj ty pszczoły dóm, skónd weznym hól. Spómnioł żech se, że w Ligotce — wiycie ludkowie, jo mieszkóm w Ligotce — tóż, że w Ligotce je przeca Hólica, tam kaj mieszko staro Biołczyno, co capa chowie, i że beztak w tej Hólicy sie mie podarzy hól kupić. Ale w Hólicy żodnego hóla nie było. Ale za Hólicóm przy Stachowskij we wymolu leżoł wyciepany stary wyndzok. Tak żech sie zaradowoł, to bedzie dobry hól! Na śćmiywku żech porwoł trakacz i hól żech do chałpy przywióz. Zasadził żech go w zogrodzie w kóncie. We dzwiyrkach żech wywiertoł dwie dziury, aby pszczoły mógły wlazować i wylazować z hóla. Do hóla żech postawił drzywko od kapusty, kiere żech wydrzył wiechciym, aby pszczoły miały do czego miód zbiyrać. W niedzielym, jak sie zaczyno widnić, migoł żech boskym — bóty w gorści — do

Gnójnika ku cugu. Zajechoł żech do Cieszyna. W hotelu „Polónija" sie już ludzie zbiyrali na zebrani. Jo żech se siednył w kóncie, pojod żech placków, kiere żech mioł schowane za pazuchóm, nó i zebranie sie zaczyno. Panoczkowie, jedyn po drugim, godali o pszczołach, jak sie z nimi trzeba obchodzić, że trzeba do hóla jakisi rómki dować na miód. Jo żech sie po cichu śmioł, że żodnego móndroka nie napadło dać do hóla drzywko od kapusty. Jedyn panoczek opowiadoł o pszczelij królowej. Jo żech sie zadziwił, kiery mamlas wymyślił takóm kónine, a potym mie śmiych tak zaczón puczyć, że jeszcze dobrze, że móm dobre ździyrże, bo galaty pody mnóm zostały suche. Po zebraniu żech sie pytoł jednego panoczka, czy mo na przedoj pszczoły. Prawił, że mo i że wiela roji chcym od niego kupić. Jo żech prawił, że chcym jyny pore pszczół kupić na plymiyno. Panoczek sie roześmioł i prawił, że to nie idzie, że na to musi być cały rój. Jo żech mu na to prawił, że niech nie fulo gupoty, że pszczoły sie plóngnóm, tak jak muchi. Dyć wiym, wieczór było w chlywie pore much a do rana sie ich tak naplóngło, że było aż ćma w chlywie. Ale panoczek fórt tuplowoł swoje, bo se myśloł, że trefił na gupigo i że mie może okminić. Jo żech też tuplowoł swoje, bo sie przeca nie dóm wyraficzyć. Ale za chwile sie przeca tymu panoczkowi rozwidniło w głowie, że ni mo z gupim do czyniynio, i prawił, że mi przedo tych pore pszczół, ale że bedóm drogi, bo sóm szczypióne i tresowane. Że jedna tako pszczoła za tydziyń kilo miodu nazbiyro. Jo żech na to przystoł, bo kiej sóm taki robotne, tak sie mi wypłacóm. I poszli my do niego dudóm. Kupił żech ich szejść, doł żech ich do szkatółki od maszinek i styrczył do kapsy do galot. I poseł żech ku cugu. We wagónie, kaj żech wloz, był krawal. Było tam pełno bob, kierym ciyrki jechały jak sznelcugi. Jo żech se siednył ku odewrzytymu oknu i zebrała mie drzymota. Naroz czujym, że mie cosi łechce po brzuchu. Jo żech sie śmiało po brzuchu poszkroboł, ale jak mie siekło, to żech o mało na głos nie zawrzeszczoł. Myślym se, co za diasek ta błecha. I zaś mie zmógła drzymota. Za chwile mi zaś cosi zaczło gmyrać po brzuchu. Jak żech sie poszkroboł, to mie tak strasznie siekło, żech zawrzeszczoł i skoczył na rowne nogi. Baby w pisk i wypoliły do drugigo wagóna. Wyciógnółech koszule z galot i oglóndóm brzuch, kaj je ta błecha, ale żodnej błechi nie było. Jak mie siekło w zadek, tak żech już nie czakoł. Zedrzyłech galaty ze siebie i sióngóm opaternie do kapsy. Nó ja! Szkatółka od maszinek była odewrzyto a pszczół nigdzi. Tóż żech nic nie czakoł, chycił żech galaty i zaczón żech wytrzepować przez okno. Naroz dziyrg! cosi mi galaty z rąk wytargało! Jo żech zostoł jak zarażóny! Na jakóż jo pujdym do chałpy bez galot! Jak żech z tego wylynkanio kapke okrzyźbioł, to żech na ścianie przy oknie uwidzioł taki pociógacz z napisym. Spómnioł żech se na niebogóm ciotke, kiero prawiła, że w cugach sóm taki pociógacze, za kiere w nieszczyńściu trzeba pociógnyć a cug stanie. Podarzyło sie mi przeczytać tyn napis. Było napisane: neužití se trestá. Tóż jo żech był przeca w takim strasznym nieszczyńściu i jeszcze by żech móg być korany, jak pociógacza nie użyjym? Tóż żech za tyn pociógacz tak strasznie pociógnył, że mi omało w rynce nie zostoł, a jo żech bechnył zadkym na ławe. Cug zapiskoł i stanył. Zaczón sie horuch. Konduktorzy lotali po wagónach, co sie kany stało. Jak wlecieli do mojigo wagóna i zawrzeszczeli, co sie stało, to żech se ze strachu jynzyk przygryz i ni móg żech mówić. Jak zawrzeszczeli po drugi roz, to żech też zawrzeszczoł: Co sie stało? Wy żeście mi, złodzieje przegrzeszone, galaty przez okno ukradli. I gdosi mie tak rznył po czepani, że żech wszystkich świyntych uwidzioł. Konduktor zaś zawrzeszczoł: Co sie stało? Jo żech sie rozpłakoł i opowiedzioł żech, co sie stało. Konduktor prawił, że mi żodyn galot nie ukrod, ale że beztak wiszóm kansi na latarni wedle glajzów. Tak żech go pytoł na zmiłowani, aby sie cug wrócił i galot pohledoł. Konduktor prawił, że sie cug nie wróci i galot nie bedzie hladać. Jo żech go zaczón pytać na nowo i abych go upytoł, tóż

żech stanył i dźwignył żech koszule, aby uwidzioł, jak mi brzuch spuchnył. Konduktor zawrzeszczoł: Na kaj mocie gacie? Po piyrszy roz w życiu żech usłyszoł to słowo. Możne, że wy, ludeczkowie, wiycie, co to je? Jo żech sie spytoł konduktora, co to je, ale ón mi nie odpowiedzioł, jyny sie strasznie rozpajedził. Zaczón wrzeszczeć, że bedym sztrof płacić! Sztrof, na za co? I konduktor mie z jakimisi kafablami z cugu wyciepali i przypadowało by mi do wieczora kansi w chrostach siedzieć i czakać, aż sie zećmi, a potym sie ku Ligotce miarkować. Całe szczynści, że niedaleko było pole ze straszokami na wróble. Galaty z jednego straszoka pasowały na mie. (Patrzy przez chwilę na swoje spodnie) Dobrze że tak, bo na śćmiywku by mie mógły jeszcze nocznice w gnójnickim lesie posmykać. I tóż widzicie, ludeczkowie, co narobił tyn letnikorz od sómsioda i że ón niesie na tym, co sie stało, wine. I jo sie już nigdy na pszczoły nie niechóm nachytać. Tak sie miywejcie dobrze, ludeczkowie! Jo sie pomykóm ku Ligotce. (Odchodzi w lewo, ale wraca i mówi) Ale co jo teraz zrobiym z hólym? Spolić go szkoda. (Chwilę się zastanawia i mówi) Już wiym, mój wychodek sie lada chwila zawali ze starości, tóż bedym do hóla chodził z potrzebóm. Tak do widziska! Miywejcie sie dobrze! (Odchodzi w lewo).

Od redakcji:

Autorka tekstu Wanda Mrózek nadesłała go do redakcji z nadzieją, że nadaje się do wykorzystania w programie świetlicowym. Naszym zdaniem zasługuje na publikację, stąd zamieszczamy go w „Zielonych nurtach", których łamy otwarte są dla wszystkich, nie tylko tradycyjnych gatunków literackich — od krótkich form prozy, wierszy, poprzez teksty piosenek do form scenicznych — skeczów, monologów itd. a również dla prac plastycznych i fotograficznych.



rys. KRYSTYNA KLIMSZA

PIOTR WOJOCZEK

Migawki z Krakowa













WĘDRÓWKI NAZEWNICZE

KOCOBĘDZ (4)

KRAŃCE WSI

W północno-zachodniej części Kocobędza teren obniża się stopniowo i przechodzi w dolinę Kocobędzki. Na mapce załączonej do trzeciego odcinka naszych wędrówek nazewniczych po Kocobędzu widzimy, że większość tego obszaru porastają lasy. Spośród nich najbardziej na wschód jest wysunięte ***Sośni***, zwane też ***Kocobynckim Lasym.*** (Nazwa topograficzna: sośnie 'las sosnowy'.) W jego zachodniej części są ***Brzimy, Brzymy, Przi Brzimach*** (gwarowe *brzim* lub *brzym* 'modrzew, Larix').

Jeśli wyruszymy z *Przedewsio* dróżką w kierunku północno-zachodnim, przejdziemy koło miejsca nazywanego ***Na Wołku, Na Wołek*** i znajdziemy się na końcowym odcinku wąskiej drogi *Na Szańcach.* (Nazwa topograficzna: *Na Wołku, Wołek* — gwarowe zdrobnienie rzeczownika wał 'mały szaniec, rów mający przed sobą wał'.) W suchych porach roku jest tutaj bardzo ładnie, bowiem rozciąga się stąd rozległy i przepiękny widok w stronę Olbrachcic, ale na przedwiośniu wzrok wędrowca musi być skierowany przede wszystkim pod nogi, bo brnąć tu w tym czasie trzeba przez roztopy, omijać zdradliwe, przysypane śniegiem, głębokie kałuże i raz po raz przeskakiwać strugę wody płynącą to tu, to tam po zniszczonej traktorami drodze, nie posiadającej jeszcze rowów przydrożnych.

Przi Brzimach była kiejsi kuźnia Jozefa Wojkowskigo. Potym tam był Izydor Palarczyk, kiery se wzión Wojkowskigo cere. Jego syn Dorek sie wyuczył kowalskigo rzymiosła u swojigo ojca, ale potym robił we werku w Trzyńcu, w mechaniku, tóż kuźni już tam teraz ni ma.

Od Izydora Palarczyka (mieszkającego tu pod numerem 162) można jeszcze dziś uzyskać bardzo ciekawe i szczegółowe informacje o kowalskim rzemiośle, narzędziach kowalskich, sposobach zgrzewania i ludowego zdobienia wyrobów kowalskich. Dalszym mieszkańcem tych stron był Polok ***Spod Brzimów.***

Dalszą część obszaru leśnego, rozpościerającego się od *Brzimów* w kierunku południowo-zachodnim, nazywają leśnicy i miejscowa ludność ***Łamami, Łamy.*** Nazwa istniejącego tu dawniej kamieniołomu (***Łóm***) została przeniesiona na cały las. Gdybyśmy przeszli dróżką biegnącą na skraju tego lasu w kierunku południowym, doszlibyśmy do wspominanego już w drugim odcinku naszego kocobędzkiego wędrowania gospodarstwa Franciszka Gońka, gdzie dawniej prowadził ogrodnictwo Jan Głuszny. Rzecz ciekawa, że i ta okolica nosi ludową nazwę ***Na Szańcach*** lub ***Szańce.*** Wnosić z tego należy, że i w tych stronach były kiedyś wzniesione rowy i wały obronne.

Pomiędzy tymi Szańcami a Kocobędzką na zachodzie jest położony ***Jeruzalym.*** *Przi Jeruzalymie był kiejsi łóm. Potym my tam chodzili na fijołki. W Jeruzalymie, kónszczek*

od Ożany, je też dobre źródło. Czymu sie to nazywo Jeruzalym? — Na bo tam kiejsi mieszkoł Jeruzalymski. Kónsek dalij sóm nad Kocobynckóm **Kalytowe Doły**, teraz tam je Przeczek Karol. Sóm też **Pinkasowe Doły**, ale ty sóm tu stela ku **Brzezinie**, albo **Brzezince**, jak tyn losek też nazywajóm. Do Brzeziny my chodzili na grziby. Rosły tam zajónczki, kurki a półprawoczki. Nie potrafiliśmy sprawdzić, czy nazwa *Jeruzalym* pochodzi rzeczywiście od nazwiska Jeruzalemski. Najprawdopodobniej jest to nazwa kulturowa przeniesiona typu Babilon, Nowy Jork, Warszawa.

Sośni, Brzimy, Łamy — to były kiejsi ksiónżynce lasy, ale Łynczok był już grofowski. Do gojnego sie musiało iść aż ku Łynczoku, bo tam obo gojni mieli chałupy.

Przerzućmy się zatem do części północnej Kocobędza, nazywanej ***Przi Łynczoku***, gdzie kiedyś były obok siebie dwie gajówki: książęca i hrabiowska. *Tóż obo gojni mieli chałupy pindziesiónt metrów od siebie. W ksiónżyncym lesie był za Austryje gojnym Jan Stokłosa. Nosił brunatne ubrani ze zielónymi wyłóżkami, a z kościannymi kneflami. Po nim tam byli gojnymi Prziwara, Kufa, Grygar, a teraz je Noga. W Łynczoku (to już patrziło do Łónk) był kiejsi grofowski gojny Karol Duda. Tyn Duda był gojnym u Larysza a nosił zielóny ancuk.*

Wzniesienie opadające stąd w stronę Kocobędzki i Olbrachcic nazywa się ***Wojkowskigo Kympa.*** (Nazwa topograficzna: *kympa* 'mała wyniosłość, wzgórek, kępa'.) Nazwy pól ornych: ***Na Kympie, Na Wojkowskigo Kympie*** oraz ***Na Zapłóciu, Zapłóci, Zapłóć, Zapłoć*** (nazwa topograficzna: zapłocie 'miejsce za płotem, pole za płotem').

W ksiónżyncym lesie Brzimy było ***Wyrymbisko****, nazywane też* ***Rymbisko.*** *Tam rosły maliny, kiere sie zbiyrało i nosiło feszterowi do miasta* (Cieszyna), *a potym za republiki do Trzicieża.* Nazwa *Wyrymbisko* pochodzi od staropolskiego czasownika *wyrębić* 'wyrąbać'. W gwarach cieszyńskich zachował się czasownik *wyrymbować* (staropolskie *wyrębować*) 'wycinać'. Nazwa kulturowa: *wyrębisko = wyręba = poręba* 'miejsce po wyrąbanym lesie'.

Na Wojkowskigo Kympie ku Olbrachcicóm je ***Babio Góra.*** Zagadkowa ta nazwa topograficzna występuje w regionie cieszyńskim dosyć często i oznacza przeważnie 'kopiaste wzniesienie'. Poza Kocobędzem Babia Góra jest np. w Datyniach Dolnych, gdzie w roku 1788 zaświadczono „Feld nad Babiom Gurom genannt", w Stanisławicach (*Kocobóncka wypływo w Stanisłowicach spod Babi Góry*) oraz w Wędryni, gdzie tę nazwę nosi pagórek i las. Babią Górą jest też nazwany masyw górski w Beskidzie Żywieckim, na granicy polsko-słowackiej, z najwyższym szczytem 1725 m.

Robert Zanibal napisał w latach 1869—1872: „W Karpatach mamy kilka gór od ludu Babią Górą zwanych. Taka góra (kępa) jest i w Wędryni. Były te Babie Góry za czasów pogańskich miejscami świętymi, ozdobionymi różnymi posągami, czy z drzewa wyrzniętymi, czy to z kamienia wyciętymi. Aż do nie tak dawnych czasów, bo do roku 1850 było można na Babiej Górze w Wędryni widzieć różne figury z kamienia wycięte, gdy ale w tymże roku się stodoły pańskie spaliły, wzięto te kamienie do gruntów i murów pod nowy chlew."

Inne źródła mówią, że Babami lud nazywał niekształtne posągi kamienne wyobrażające najczęściej kobiety w postawie stojącej, z rękami trzymającymi na brzuchu jakiś przedmiot podobny do pucharu, rogu lub klepsydry (dawnego przyrządu do mierzenia czasu). Kamienne Baby umieszczane były też na kurhanach w stepowych krajach eurazjatyckich. Najczęściej znajdowano je na Nizinie Czarnomorskiej i na stepach pomiędzy Ukrainą i Morzem Azowskim. Wznoszono je tam od III do I w. przed n. e., ale głównie we wczesnym średniowieczu. Ostatnie postawiono w XII wieku n. e.

Nie ma wątpliwości co do tego, że w nazwie wzniesienia Babia Góra są ślady i dowody rozpowszechnienia dawnego kultu Baby, ale dotychczas nie wyjaśniono dostatecznie roli, jaką w pojęciach religijnych naszych przedchrześcijańskich przodków owe Baby odgrywały.

Przejdźmy teraz do wschodniej części Kocobędza. Od gajówki prowadzi dróżka w kierunku wschodnim, w stronę lasu ***Obora***, skręca następnie na południowy wschód i bieg-

nie skrajem tego lasu. Idąc tą dróżką wchodzimy na mostek przez potoczek ***Targacz***, czyli ***Stargacz***, *kiery płynie od Pónczowego pola ku* ***Podoborszczoku.*** Widocznie po obfitych opadach potoczek ten mocno targa i szarpie brzegi, skoro zasłużył na taką właśnie nazwę. Pobliskie pola to ***Zadki*** (fonetycznie: *zatki*). Jest to nazwa topograficzna oznaczająca 'tyły wsi, koniec wsi, pola na krańcu wsi'. (Tę samą nazwę spotykamy nad granicznym potokiem Kiszyńcem oraz na polach pomiędzy Wyrąbaną i Pinkasowymi Dołami, nad granicą kocobędzko-stanisławicką).

Jesteśmy w części wsi zwanej ***Przi Oborze, Przi Oborskim Lesie***, albo też ***Przi Podoborszczoku.*** Wchodzimy na drogę, która nas zaprowadzi znów do *Dziedziny*. W okolicy jest pole zwane ***Na Strzybnioku, Do Strzybnioka.*** *To było na Pónczowym; mówiom, że tam kiejsi strzybło kopali. (Strzybniok, strzybny* — od staropolskiego *strzebro* 'srebro', *strzebrny, śrzebrny* 'srebrny'; również u Kaszubów jest *strzybro* i *strzybło*.)

Na granicach lasów Komory Cieszyńskiej umieszczone były przed pierwszą wojną światową kamienie graniczne z wyciosanymi literami TK (Teschener Kammer). ***Granicznioki*** *z literami TK były kole ksiónżyncych lasów. Na granicy Pónczowego Pola były co kónsek, ale teraz już mało kiery zostol, bo to traktory wyłómały.*

Dobro woda je w ***Studziynce (Studziynka, Do Studziynki****). To było downi na Kalytowym polu, kaj teraz sóm zahradkarze* (działkowcy), *blisko Jana Głusznego.*

Piasek wydobywano w Kocobędzu w dwóch piaskowniach. *Była* ***Pónczowo Pioskowina,*** *u Jozefa Póncze, a* ***Michlowo Pioskowina,*** *u Jozefa Michla; ale u Michla to nie był dobry piosek, to był* ***mergel*** (margiel). *Na Pónczowym był dobry piosek. Przi Pónczowej Pioskowinie za piyrszej republiki mieli harcerze przez dwa tydnie obóz pod loskym. Jan Pribula był komendantym, a była też tam Anna Sedlaczkowa. Ludzie sie tam dycki wieczór schodzili na program przi ognisku. To było piekne. Na koniec tam dycki na trómbce zagroł: Idzie noc, słońce już zeszło z gór, zeszło z pól, zeszło z mórz, w cichym śnie spocznij już . . . Przed wojnóm my w pioskowinie grali aj sztuke „Karpaccy górale". Organizowol to sztudynt Walter Zagóra, syn kiyrownika szkoły Karola Zagóry. Ale stary Zagóra to był potym hitlerowiec. Walter przez wojne mówił, że sie wstydzi za swojigo ojca. Walter to był szykowny synek . . . Po drugi wojnie w pioskowinie u Póncze growało Koło PZKO przedstawiynia. Reżyser Paweł Morcinek tu wystawił aj „Przewodnika Tatrzańskiego".*

Cdn.

WŁADYSŁAW MILERSKI



fot. DRAHOSLAV RAMÍK

TRYBUNA CZYTELNIKÓW

Najważniejszy temat tego miesiąca, 40-lecie powstania PZKO, przewija się również w korespondencjach naszych czytelników, które drukujemy w tej rubryce. Erwin Jonszta z Hawierzowa-Szumbarku przypomina o zbieżności dat założenia Związku i budowania pierwszych domów dzisiejszego Hawierzowa, o dwu jubileuszach traktuje również korespondencja z MK PZKO Karwina-Stare Miasto. Adolf Szurman zamieszcza tu uzupełnienie do przedwojennej monografii naszego śpiewactwa, a list Józefa Raszyka porusza ważką sprawę posługiwania się publicznie naszym językiem ojczystym.

HAWIERZÓW A PZKO

Te dwie sprawy mają to do siebie, że narodziły się w tym samym 1947 roku. Dla ścisłości historycznej należy dodać, że prawnie miasto Hawierzów powstało dopiero w 1955 roku, ale jego pierwsze domy zaczęto budować właśnie w r. 1947, a to w południowej części Szumbarku, tuż obok dworca kolejowego.

Koło miejscowe PZKO w Szumbarku założono 14 grudnia 1947. Jego założycielami byli: dr Józef Przeczek, Karol Cichy, Adolf Folwarczny oraz dalszych 42 członków wymienionych w protokole z walnego zebrania.

Już w następnym 1948 roku zaczęli napływać do nowo budującego się Osiedla, tak bowiem w początkach nazywano tą część Szumbarku, nowi mieszkańcy, w tym także Polacy. Zajmowali piękne i duże mieszkania, tzw. dwulatkowe, bowiem budowano je w okresie pierwszego planu dwuletniego, jaki republika czechosłowacka ogłosiła. Nowo przybyli Polacy zaraz po osiedleniu zgłosili się do pracy w wyżej wymienionym MK PZKO. I tak z roku na rok powiększało się szumbarskie Koło PZKO, a z nim także polska szkoła, którą otwarto dopiero 15 września 1948 po historycznych wydarzeniach lutowych.

Osiedle się rozrastało, a w roku 1955 utworzono samodzielne miasto Hawierzów. Polacy w centralnej części nowego miasta utworzyli samodzielne Koło PZKO – czyli dalsza wspólna data urodzin. Jego założycielami byli Antoni Adamek, Guńka i inni. W imieniu Zarządu Głównego PZKO narodzinom Koła asystował Władysław Niedoba z Jabłonkowa.

W roku 1956 mieszkańcy pierwszej części Hawierzowa, oznaczonej później jako Hawierzów 3, postanowili oderwać się za obopólną zgodą od MK PZKO Szumbark i utworzyć samodzielne Koło w nowej dzielnicy. Przyczyną oderwania było to, że siedziba Koła znajdowała się poza miastem, bez połączenia autobusowego, a drogi do niej były błotniste, przy czym odległość trzech km dla nowo upieczonych mieszczan wydawała się za długa.

Nowo utworzone Koło PZKO, na czele którego stanęli Adolf Farny, Erwin Jonszta, Jan i Józef Folwarczni, ob. Wojewoda, Chmiel i inni, rozwinęło szeroki wachlarz swojej działalności. Powstał chór, sekcja teatralna, zespół taneczny i inne. Na orbitę tej działalności próbowano także wciągnąć polskich chłopców z miejscowych szkół zawodowych, którzy rekrutowali się z całego Śląska i mieszkając w internatach, stracili kontakt z polskim środowiskiem. Niestety, ta próba należy do nieudanych, ponieważ nie znalazła znikąd poparcia.

Miejskie Koła PZKO opiekowały się polską szkołą i przedszkolem, walczono o dwujęzyczność. Koło znajdujące się w Hawierzowie 3 pomimo usamodzielnienia nadal bardzo blisko współpracowało i współpracuje z szumbarskim Kołem ku obopólnej korzyści.

W roku 1960 przyłączono do Hawierzowa Szumbark i Błędowice Dolne a także Suchą Średnią i w ten sposób przybyły do miasta dalsze trzy Koła PZKO. Ostatnim przybyszem były MK PZKO Sucha Górna, Datynie Dolne oraz Żywocice na skutek włączenia tych gmin w obręb Hawierzowa. To najmłodsze miasto socjalistyczne posiada dziś aż 8 Kół PZKO. Aby tę działalność koordynować, utworzono w r. 1960 Komitet Miejski PZKO, pod który spadają jeszcze trzy Koła PZKO z Cierlicka.

ERWIN JONSZTA
Hawierzów-Szumbark

W OBLICZU DWU ROCZNIC

Koło PZKO w Karwinie-Starym Mieście wkroczyło w obchody 40-lecia Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego, mając świadomość ich zbieżności z drugą ważną rocznicą — 70-lecia WSRP. Zbieżność i zależność, gdyż istnienie Związku i jego wysoka ranga — wypływa ze zwycięstwa Rewolucji Październikowej. Już na walnym zebraniu pod koniec listopada ubiegłego roku zainaugurował prezes Koła inż. Jan Sznapka obchody 40-lecia, przedstawiając historię i działalność naszego Koła od chwili założenia do dnia dzisiejszego. Uchwalono plan pracy na okres trwania obu jubileuszy, gdzie uwzględniono szereg akcji urządzanych dla ich uczczenia. By zachęcić do udziału w Festiwalu PZKO w roku 1987 — rozlosowano 10 biletów wstępu na tę uroczystość. Spotkanie przedwigilijne Zarządu i Chóru przebiegało również w nastroju wspomnień. Już wiele lat zbierają się członkowie przy stole świątecznym w idei pojednania, zgody i pokoju — jakże ważnej w obecnych czasach antagonistycznie podzielonego świata. W krąg dawnych zwyczajów wprowadziła zebranych Andrea Kucharczyk, czytając „Historię obrzędów wigilijnych", i chór, wykonując stare pieśni. Od początku istnienia Koła przyjął się zwyczaj, by chór towarzyszył każdej imprezie. Miejmy nadzieję, że nie zaginie pamięć o tym, jak to dawniej bywało — gdy młodzi będą sięgać do historii. W styczniu odbyła się w naszym Kole udana prelekcja prowadzona przez dr. Stanisława Kondziołkę pn. „Historia i dorobek PZKO od początku istnienia". Nie wszyscy członkowie wprawdzie z takich spotkań korzystają i doceniają ich wartość, ale obecni zawsze odchodzą zadowoleni, obiecując sobie skorzystać z następnych na ten rok przewidzianych jeszcze dwu prelekcji.

Pod koniec karnawału (28. 2.) urządzono Jubileuszowy bal PZKO również pod znakiem 40-lecia Związku. Niespodzianką dla balowiczów był występ ZPiT „Górnik" w 18-osobowym składzie. Przewodniczył tej imprezie ob. Wł. Łukosz wraz z komitetem i Zespołem Kobiet, który jak zwykle zajmuje się bufetem i kuchnią.

3 marca odbyła się akcja Zespołu Kobiet — „Ostatki". Przewodniczące M. Kucharczyk i R. Uherek zorganizowały małe przyjęcie dla kobiet i gości z zarządu, z okazji przypadającego w tym dniu 35. spotkania kobiet. Z inicjatywy R. Uherek schodziły się kobiety od października 1985 roku regularnie co 2 tygodnie do świetlicy, by pod kierunkiem Heleny Uherek haftować, szydełkować i zapoznawać się z różnymi technikami kobiecych robót. I tak się składa, że po 40 spotkaniach odbędzie się 9. 5. br. wystawa robót

ręcznych, którą pragniemy uczcić 40-lecie PZKO i 70-lecie WSRP.

J. J.
Karwina-Stare Miasto

UZUPEŁNIENIE DO MONOGRAFII ZWIĄZKU POLSKICH CHÓRÓW

W związku z obchodami 60-lecia Związku Polskich Chórów w Czechosłowacji znowu uważnie przewertowałem „Monografię" z r. 1937 i postanowiłem zwrócić uwagę na pewne nieścisłości w tym jedynym i w zasadzie wyczerpującym źródle. Nie byłoby też ujmą dla monografii, gdyby wspomniano o zespołach śpiewaczych nie zorganizowanych w Związku. Reszta — to drobnostki, które nie podważają wysokiej dokumentarnej wartości tego osobliwego wydawnictwa. A jednak, uważam, należy dostrzeżone braki uzupełnić.

a) W tekście obok zdjęcia zarządu okręgu bystrzyckiego powinno być Kupka Franciszek, a nie Karol.

b) Na zdjęciu zarządu okręgu kameralno-ligockiego — w środku siedzi Jan Kula (a nie jak mylnie podano Jan Kołder).

c) Na zdjęciu zarządu okr. frysztackiego — między Adolfem Kubeczką a Franciszkiem Krzistkiem stoi Franciszek Menšík.

d) Pod zdjęciem chóru L. 23 zamiast A. Kwiczala, winno być Franciszek Kwiczala.

e) Pod L. 34 — zamiast Karol Łasztówka, winno być: Józef Lasztówka.

f) Pod L. 91 w nawiasie — patrz L. 31; winno być: (patrz L. 38)!

g) Pod L. 93 zamiast Edward Hila, powinno być: Ewald Hilla.

h) Pod L. 102 — pominięto nazwisko: Kornel Niemczyk, który był przez pewien czas dyrygentem. Na zdjęciu czwarty od lewej (siedzi).

i) Pod L. 112 powinno być Franciszek Kupka, zamiast K. Kupka.

j) Na str. 68 przy nazwiskach brak imion, należy uzupełnić: Bonczek — Eugeniusz, Góralik — Edward, Michalik — Karol.

k) ad Ł. 89: Notatkę pod zdjęciem należy uzupełnić: Chór Podlesie istniał już dawniej. W r. 1923/24 założycielami byli studenci orł.



dimnazjum: Wincenty Potysz, Rafał Sznapka, Emanuel Kożusznik, bracia Szurmanowie i Adolf Żyła.

Pierwszym dyrygentem był naucz. Leonard Bonczek, rodak z Podlesia, później naucz. Jan Baron. Często próby prowadził Adolf Żyła, wówczas student gimnazjum, utalentowany skrzypek. Na przełomie lat 20.—30. działalność wznowiono, dyrygował Adolf Żyła, wówczas już nauczyciel. Pracę znowu przerwano, a dopiero w r. 1934 założono chór, jak donosi tekst pod zdjęciem.

O chórach górnosuskich w monografii znalazłem sześć notatek, z których można wnioskować, że pierwszym zorganizowanym zespołem chóralnym na terenie gminy był chór na Podlesiu. Jego zdjęcie załączam. W środku siedzi dyrygent, naucz. Jan Baron, a zdjęcie pochodzi z r. 1925.

Na zakończenie osobista uwaga: W Monografii często brak nazwisk założycieli, podany jest natomiast rok założenia i pierwszy dyrygent. Ośmielam się twierdzić, że w przygniatającej większości pierwszy dyrygent był jednocześnie faktycznym założycielem. Do takiego przekonania doszedłem po dokładnym zbadaniu kilkunastu wypadków, gdzie wchodzą w uwagę moi koledzy — wychowankowie ostrawskiego seminarium.

ADOLF SZURMAN
Czeski Cieszyn

DLACZEGO SIĘ WSTYDZIĆ, CZEGO SIĘ BAĆ?!

W lutowym „Zwrocie" czytaliśmy rozmowę przeprowadzoną przez Kazimierza Santariusa z 88-letnim działaczem partyjnym i społecznym, towarzyszem Leonem Sztułą. Jako darkowianin znam swego ziomka bardzo dobrze jeszcze z lat międzywojennych i powojennych. Dobrze się stało, że nasz związkowy miesięcznik zamieścił wywiad z tym bardzo zasłużonym działaczem, który po ostatniej wojnie wszedł w skład pierwszego Zarządu Powiatowego PZKO dla powiatu frysztackiego.

Uważam za bardzo znamienną wypowiedź Leona Sztuły na temat ludzi, którzy „zapominają swojego języka". Dobitne są również jego słowa, jako komunisty i internacjonalisty, mówiące, że za mowę naszych dziadów i pradziadów nie powinniśmy się wstydzić. Również niepotrzebny jest w tym wypadku strach, bo przed czym? Nasza konstytucja gwarantuje nam wszystkie prawa narodowościowe, zaś układ o przyjaźni i wzajemnej pomocy, zawarty 10 marca 1947 między Polską i Czechosłowacją, którego czterdziestolecie właśnie obchodziliśmy, zapewnia pełnię wyżywania się w naszej kulturze i oświacie i korzystania przez nasze dzieci z wychowania w polskich szkołach.

Niektórzy Polacy na różnego rodzaju zebraniach „zapominają" o posługiwaniu się jeśli już nie polskim językiem literackim, to przynajmniej naszą gwarą cieszyńską. Jest to bardzo przykre, kiedy musi się słuchać dyskutującego członka takiej czy innej organizacji, w skład której wchodzi znaczna część członków narodowości polskiej, a dyskutujący Polak prawdopodobnie ze wstydu, niczym nieuzasadnionego, nie posługuje się swoją mową ojczystą. Znam ludzi, którzy okres okupacji spędzili za drutami kolczastymi obozów zagłady tylko dlatego, że byli Polakami, a teraz publicznie wypierają się przynależności do społeczeństwa polskiego. Bo jakże inaczej nazwać nieużywanie swej mowy na zebraniach, jak nie wypieraniem się swej polskości?! I tak inni o nas wiedzą, że jesteśmy Polakami, co nam nie przeszkadza w codziennym życiu, nie szkodzi to naszym dzieciom, więc pytam: dlaczego ten nieuzasadniony wstyd względnie strach? Niechaj wypowiedzi Leona Sztuły otworzą oczy tym wszystkim, którzy jeszcze nie zrozumieli naszych uprawnień i równorzędnego traktowania w państwie socjalistycznym.

JÓZEF RASZYK
Karwina-Darków

TO I OWO

*„Echo Chełmka", sympatyzujący z nami dwutygodnik załogi Południowych Zakładów Przemysłu Skórzanego „Chełmek", w swym 1. tegorocznym numerze zgodnie z zapowiedzią poświęca rubrykę „Okolica poetów" damskiej poezji. Kobiece strofy zza Olzy reprezentują wiersze „Królowa nocy" Jolanty Żabińskiej i * * * (Mgliskami ciężkimi . . .) Anny Filipek.*

Nr. 3 „Echa Chełmka" przynosi w tej samej rubryce artykuł zatytułowany „Nad Olzą słowa swe rozsnuwam", w którym przedstawiono sylwetki Wiesława Adama Bergera, Gabriela Palowskiego i Gustawa Sajdoka. Niedawno — *czytamy w dwutygodniku* — prezentowaliśmy na naszych łamach kilka utworów polskich poetów z CSRS, związanych z Grupą Literacką '63. Utwory te wzbudziły duże zainteresowanie naszych czytelników.

*W witrynie poetyckiej zamieszczono wiersze „Erotyk z chlebem" i * * * (Pragnąłem i pragnę . . .) Janusza Gaudyna, „Biała laska" W. A. Bergera, * * * (Wieczorami . . .) i * * * (Najbardziej cenię sobie . . .) G. Palowskiego oraz * * * (Szłaś do mnie . . .) i * * * (Ojciec — tyle co dom . . .) G. Sajdoka. Ostatni z nich prezentuje również swoje fraszki.*

Niedawno na łamach „Gazety Krakowskiej" recenzowałem almanach poetycki i prozatorski pt. „Spotkanie", wydany w 1985 r. w Ostrawie" — *pisze Jacek Kajtoch na łamach 25. nr. „Gazety Krakowskiej" w artykule pn. „Dojrzewanie".* — Jedną z autorek jest Renata Putzlacher. (. . .) Okazało się, że Renata Putzlacher mieszka obecnie w Krakowie, jest studentką drugiego roku polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego i uczęszcza na moje konserwatorium z literatury współczesnej. Z prawdziwą przyjemnością rekomenduję czytelnikom (. . .) jej wiersze. W ciągu dwu lat, jakie dzielą od wydania wspomnianego almanachu „Spotkanie", uczyniła znaczny krok naprzód w opanowaniu warsztatu literackiego. (. . .) Teraz można już z większą pewnością myśleć o przyszłości Renaty Putzlacher. (. . .)

*W tym samym numerze opublikowano cztery wiersze naszej młodziutkiej poetki: * * * (Są wieczory . . .), Kraków at night, * * * (Odysie . . .) i * * * (Moja głowa . . .).*

Seminarium Sekcji Literacko-Artystycznej ZG PZKO, które odbyło się w Czeskim Cieszynie 14. 3., utrwaliły kamery ekip telewizji ostrawskiej i katowickiej. Na wizji jubileusz SLA znalazł się na krótko w obu regionalnych magazynach sprawozdawczych, w katowickim w poniedziałek 16. 3., w północnomorawskim we wtorek 17. 3.

„Jubileusz SLA" — pod takim tytułem 12. nr „Głosu Ziemi Cieszyńskiej" odnotował trwające trzy dni obchody 40-lecia Sekcji Literacko-Artystycznej. Udział wybitnych twórców z Polski odzwierciedla rangę SLA w środowisku polskim na Zaolziu — *czytamy w artykule.* — Sekcja ta przeciwstawia się bowiem — charakterystycznej dla wszystkich mniejszości narodowych — tendencji do folkloryzacji kultury, która grozi skostnieniem życia umysłowego, a bardzo często prowadzi także do izolacji kulturowej całej grupy. Założone w r. 1947 SLA kontynuuje działalność powstałego w 1937 r. Śląskiego Związku Literacko-Artystycznego. (. . .) Grupa ta, zasilana z biegiem lat przez reprezentantów młodych pokoleń twórców, potrafiła upowszechnić w zagrożonym polonijną skansenowością środowisku zaolziańskim treści i formy sztuki współczesnej, otwartej na problemy ogólnoludzkie.

Ten sam numer GZC pod nagłówkiem „Czy powstanie Izba Pamięci" pisze m. in.: Niedawno zapadła decyzja o budowie Domu PZKO w Kościelcu, w którym poczesne miejsce zajmować będzie Izba Pamięci Żwirki i Wigury. (. . .) Niestety, pomimo iż pomoc zadeklarował Konsul PRL w Ostrawie, zakres tego przedsięwzięcia przekracza możliwości „Ikara" i liczącego niespełna 80 członków Koła PZKO. Kościelczanie liczą zatem na pomoc wszystkich Zaolzian, a także . . . Cieszyniaków w Polsce.

KRONIKA

ZG PZKO

■ ZG PZKO — Sekcja Historii Regionu wydała kolejny Biuletyn pt. „Życie i działalność Władysława Wójcika", autorstwa Władysława Jośka i Wandy Wójcik. Biuletyn jest hołdem pamięci dla jednego z czołowych postępowych działaczy społecznych.

■ Pod koniec lutego br. Sekcja Folklorystyczna przy ZG PZKO opublikowała z okazji 40-lecia PZKO w nakładzie 2000 egzemplarzy, z czego 500 egzemplarzy w wersji czeskiej, kolejny XII Zeszyt Folklorystyczny pt. „Haft na żywotku cieszyńskim" autorstwa Ewy Milerskiej. Redaktorem publikacji jest Władysław Milerski. Publikacja zawiera oprócz tekstów 150 oryginalnych wzorów. Cena 1 egzemplarza 20,— Kčs.

■ 1. 3. na stoku Banika 1 Maja Karwina na Kozubowej rozegrany został slalom gigant o mistrzostwa PZKO. Do rywalizacji stanęło 26 zawodników z 12 Kół PZKO. W kategorii kobiet zwyciężyła M. Szlauer PZKO Łąki, w kategorii mężczyzn wygrał J. Heczko PZKO Trzyniec-Podlesie, w oldbojach zwyciężył A. Wacławik PZKO Mosty k. J., w kategorii do lat 16 zwyciężył K. Sikora PZKO Koszarzyska, do lat 30 — Wł. Szotkowski, PZKO Mosty k. J., a do lat 40 — J. Heczko PZKO Trzyniec-Podlesie. W łącznej klasyfikacji kombinacji alpejskiej (slalom specjalny i slalom gigant) drużynowo wygrało MK PZKO Mosty k. Jabł. przed MK PZKO Bystrzyca n. Ol. i MK PZKO Pioseczna.

■ 2. 3. w Klubie PZKO w Czeskim Cieszynie odbyły się eliminacje centralne Konkursu Czytelniczego '87 dla szkół podstawowych. Organizatorem eliminacji była Sekcja Czytelniczo-Bibliotekarska ZG PZKO przy współpracy z Biblioteką Powiatową, Oddziałem Literatur Narodowych w Karwinie. W konkursie, w kategoriach III i IV, udział wzięło osiem 6-osobowych drużyn reprezentujących powiaty Karwina i Frydek-Mistek. W kategorii III (kl. 5—6) — książka „Mary Poppins" L. P. Travers — wygrała drużyna z Frydku-Mistku, również w kategorii III — książka „Wakacje z duchami" A. Bahdaja — zwyciężyła drużyna z Karwiny, w kategorii IV (kl. 6—7) — książka „Szatan z siódmej klasy" K. Makuszyńskiego — zwycięstwo odniosła drużyna z powiatu karwińskiego, wreszcie w tej samej kategorii — książka „W 80 dni dookoła świata" J. Verne'a — wygrała drużyna frydecko-mistecka.

■ XII Zimowy Rajd Turystyczny PZKO pn. „Kamienite '87" zorganizowany przez Radę Obwodową Klubów Młodych PZKO w Jabłonkowie razem z Sekcją Turystyczną ZG PZKO odbył się 22. 2. Udział wzięło niespełna 200 młodych pezetkaowców. Sklasyfikowano 19 drużyn. W łącznej klasyfikacji 1. miejsce zajęło MK PZKO Łomna Dolna, wyprzedzając MK PZKO Mosty k. Jabł. i MK PZKO Piosek.

■ Kolejne spotkanie Klubu Medyków przy ZG PZKO odbyło 7. 3. w Klubie PZKO w Cz. Cieszynie. W programie kierownik Zakładu Medycyny Sądowej Śląskiej Akademii Medycznej w Katowicach prof. dr Władysław Nasiłowski wystąpił z referatem pt. „Refleksje na temat etyki lekarskiej". Spotkanie połączono z obchodami MDK '87.

■ XVI Spotkanie Działaczek PZKO z okazji MDK '87 w ramach obchodów 40-lecia PZKO oraz 70. rocznicy WSRP odbyło się 16. 3. w sali Teatru Cieszyńskiego. Organizatorem imprezy był ZG PZKO — Sekcja Zespołów Kobiet. Spośród zaproszonych gości

przywitano delegację Konsulatu Generalnego PRL w Ostrawie na czele z konsulem generalnym E. Wardą, przedstawiciela KP KPCz w Frydku-Mistku tow. J. Cieślara, przedstawicielki KP CZK w Frydku-Mistku tow. J. Heničkową i tow. W. Tomiczkową oraz przedstawicielkę KP CZK w Karwinie H. Wałoszkową. Program kulturalny wykonał zaproszony zespół dziecięcy Domu Kultury Kopalni „Murcki" z Katowic. Przemówienie okolicznościowe wygłosił Wł. Orszulik, I sekretarz ZG PZKO.

■ 21. 3. w Domu PZKO w Nawsiu odbyło się Wiosenne Seminarium Folklorystyczne, zorganizowane przez Sekcję Folklorystyczną ZG PZKO. Referaty wygłosili: R. Gill pt. „Problematyka socjolingwinistyczna Śląska Cieszyńskiego", A. Rusnok nt. „Sztuka ludowa Śląska Cieszyńskiego" oraz W. Młynek przedstawił „Ciekawostki ludoznawcze z Nawsia i okolicy". Wiosenne Seminarium Folklorystyczne prowadził przewodniczący SF dr D. Kadłubiec. Obecni byli R. Suchanek, wiceprzewodniczący ZG oraz H. Śliwka, sekretarz WKO.

■ 26. 2. w salce zebrał ZG w Cz. Cieszynie odbyło się zebranie Prezydium Sekcji ds. Współpracy ze SP TC przy ZG PZKO. Obrady pod nieobecność przewodniczącego Tad. Nierostka prowadził B. Branny, sekretarz WPO. Przeprowadzono ocenę werbunku abonentów SP. Stwierdzono pewien wzrost abonentów SP. Wskazywano na konieczność prowadzenia systematycznej agitacji abonenta SP w Kołach i Komitetach PZKO, na potrzebę koordynacji imprez Kół PZKO z terminami przedstawień SP i na odwrót.

■ 13. 3. konsul generalny PRL w Ostrawie Edmund Warda przyjął w swej siedzibie z okazji MDK '87 kilkudziesięcioosobową delegację kobiet-działaczek PZKO z przewodniczącą Sekcji Zespołu Kobiet ZG Henryką Żabińską na czele. Obecni byli przedstawiciele Związku z przewodniczącym St. Kondziołką i I sekretarzem Wł. Orszulikiem. Konsul generalny PRL złożył paniom serdeczne życzenia zdrowia oraz pomyślności w pracy zawodowej i społecznej. Program artystyczny wykonali artyści z PRL — Maria Pawlik — śpiew, Michał Korzistka — fortepian oraz Ewa Jeruzal — akompaniament.

■ 14. 3. w Domu Kultury w Orłowej-Lutyni odbył się powiatowy konkurs tańca towarzyskiego pn. „Orłowska Młodość". Organizatorem konkursu był Powiatowy Ośrodek Kultury w Karwinie. W konkursie udział wziął m. in. ZPiT „Olza" ZG PZKO, kwalifikując się do konkursu okręgowego, który odbędzie się w maju w Przerowie.

■ 7. 3. odbył się we Wrocławiu VI drużynowy turniej miast w ringo, będący nieoficjalnymi halowymi mistrzostwami Polski. Wzięło w nim udział 19 zespołów, w tym również drużyna PZKO (już po raz piąty). Zwycięstwo odniosła drużyna z Ustki, która wyprzedziła AZS Wrocław i drużynę PZKO z Cz. Cieszyna. Najlepszą zawodniczką w kategorii kobiet została Jolanta Urbaś PZKO Cz. Cieszyn-Centrum.

■ Opublikowana w roku 1985 przez Ludową Spółdzielnię Wydawniczą w PRL książka pt. „Cudowny chleb" folklorysty Józefa Ondrusza, byłego nauczyciela i redaktora naczelnego „Jutrzenki", została wydana w roku 1986 przez Zakład Wydawnictwa i Nagrań dla Niewidomych w PRL systemem Braille'a w ośmiu tomach.

■ 15. 3. w szkolnych salach gimnastycznych w Jabłonkowie rozegrano 1. z serii 5 turniejów siatkarzy PZKO o Puchar Zarządu Głównego PZKO. Organizatorem turnieju było MK PZKO Gródek. W dwóch grupach eliminacyjnych rywalizowało 7 drużyn. Zwyciężyła drużyna MK PZKO Ropica, która wyprzedziła PZKO Trzyniec-Podlesie i PZKO Mosty k. J.

■ 14. 3. w sali gimnastycznej PSP w Cz. Cieszynie odbył się tradycyjny turniej ośrodków „SAJ-u" w koszykówce o „Puchar Mleczny". O pierwszeństwo walczyło 7 drużyn studenckich, w tym 3 z Brna i 2 z Ostrawy. Zwyciężyła drużyna „SAJ" Ostrawa A przed „SAJ"-em Brno A i „SAJ"-em Żylina. Drużyna Gimnazjum polskiego z Cz. Cieszyna zajęła czwartą lokatę.

■ W uroczystym Koncercie Przyjaźni w Teatrze J. Myrona w Ostrawie 19. 3. zorganizowanym przez okręgowe i miejskie władze polityczne, społeczne i administracyjne w Ostrawie z okazji 40. rocznicy zawarcia układu między Czechosłowacją i Polską oprócz najwyższych władz okręgu i miasta Ostrawy oraz województwa katowickiego udział wzięła liczna, około 50-osobowa grupa działaczy PZKO. Delegacji PZKO przewodniczył B. Branny, sekretarz WPO. Po oficjalnych przemówieniach przewodniczącego ORN tow. F. Skácela i wojewody katowickiego tow. T. Wnuka program kulturalny wykonali orkiestra Radia i Telewizji Katowice z dyrygentem Jerzym Milianem oraz soliści. Wystąpili również artyści scen ostrawskich oraz mistrz świata w grze na harmonijce ustnej Lubomir Pleva.

■ 7. 3. w Domu Kultury „Witkowice" w Ostrawie odbył się okręgowy konkurs „Pieśni

Przyjaźni" Wystąpiło w nim 23 chórów (840 chórzystów) wyłonionych na szczeblu powiatowym. Z powiatu Karwina z dwóch zakwalifikowanych chórów udział w konkursie wziął męski chór „Hasło" Orłowa ZG PZKO, który uplasował się na drugim miejscu. Dyrygował inż. Władysław Rusek, który otrzymał nagrodę specjalną.

■ 22. 3. w Izbie Pamięci Ferdyša Dušy we Frydlancie n. Ostr. otwarto wystawę zbiorową 15 plastyków zrzeszonych w SLA. Nasi twórcy wystawili około 40 prac. Organizatorami wystawy były Powiatowe Muzeum w Frydku-Mistku oraz ZG PZKO — SLA. Wernisaż zagaił K. Bogar, dyrektor Powiatowego Muzeum, a przemówienie okolicznościowe wygłosił B. Firla, przewodniczący Pionu Plastyków SLA. Zarząd Główny PZKO reprezentował na wernisażu B. Branny, sekretarz WPO.

■ Trzecie zebranie Prezydium ZG PZKO w br. odbyło się 24. 3. w siedzibie Związku w Cz. Cieszynie. Głównym punktem obrad było sprawozdanie i ocena działalności ZG PZKO za rok 1986. Przedyskutowano także „Plan organizacyjno-politycznego zabezpieczenia XV Zjazdu PZKO", który odbędzie się w Cz. Cieszynie w dniu 24 października 1987. Dokonano również oceny Konferencji Komitetów Miejskich i Obwodowych PZKO, które przebiegły w I kwartale br.

■ Tegoroczny karnawał akademików zakończyła zabawa nieco starszych roczników akademików „Weteranik", zorganizowana po raz drugi z rzędu. Odbyła się 28. 2. we wszystkich lokalach Klubu PZKO w Cz. Cieszynie. Przygrywała orkiestra Zbyszka Farnika „Steel Quintet" z piosenkarką Krystyną Farnik. Wystąpiła solistka opery ostrawskiej Alina Farny-Podskalska z akompaniamentem Danuty Bilan, zespół „Brygada" z Gródku, aktor Sceny Polskiej TC Krzysztof Presz, a całość prowadził również aktor SP Rudolf Moliński.

■ 20 i 21. 3. odbył się w Kotbusie (NRD) XI Zjazd Związku Serbołużyczan Domowina. Polski Związek Kulturalno-Oświatowy na tym Kongresie reprezentowali St. Kondziołka, przewodniczący Związku i Wł. Orszulik, I sekretarz ZG PZKO.

BOGUMIN

■ W połowie lutego br. zarząd MK PZKO w Wierzniowicach zorganizował w swoim Domu PZKO Karnawał Pionierski dla przedszkolaków i uczniów klas 1—4 PSP w Lutyni Dolnej.

■ Uroczyste popołudnie z okazji MDK '87 urządziło 8. 3. w Domu PZKO dla swoich członkiń PZKO w Boguminie. Wystąpiły dzieci szkolne oraz męski zespół wokalny PZKO „Gama" z Suchej Górnej.

■ Zebranie członkowskie połączone z obchodami MDK '87 odbyło 8. 3. w świetlicy Koło PZKO w Lutyni Dolnej. W programie kulturalnym zaprezentowali się przedszkolacy, młodzież szkolna oraz zespół żeński PZKO „Żukowianka" z Koła PZKO w Żukowie Dolnym.

■ W domu PZKO w Skrzeczoniu przebiegły 14. 3. VII mistrzostwa Koła w tenisie stołowym. W kategorii młodzieży szkolnej zwyciężyła 11-letnia Sabina Gryń przed Mariuszem Bugdolem i Adamem Michalskim. Tytuł absolutnej mistrzyni Koła zdobyła 15-letnia Ilona Gryń, wyprzedzając Wojciecha Pająka i Rudolfa Grabowskiego.

BYSTRZYCA

■ MK PZKO Bystrzyca zorganizowało 8. 3. w Domu PZKO „Dzień Kobiet". Program wykonały przedszkolaki oraz uczniowie PSP Bystrzyca. Prelekcję na temat „Kobiety Trzeciego Świata" wygłosiła MUDr H. Paszkowa.

CZESKI CIESZYN

■ 31. 1. w Klubie PZKO w Cz. Cieszynie odbyło się pierwsze w br. spotkanie Klubu Młodych przy MK PZKO Cz. Cieszyn-Centrum. Było to już drugie spotkanie z komputerem — jego możliwościami wykorzystania w nauce i zabawie. Spotkanie młodych pezetkaowców — studentów szkół średnich, prowadził inż. Jerzy Cienciała.

■ Zarząd Miejscowego Koła PZKO w Cz. Cieszynie-Centrum urządził 7. 3. w Klubie PZKO Uroczyste Spotkanie z okazji MDK '87. Wystąpiły dzieci z przedszkola przy ulicy Moskiewskiej z piosenkami i recytacjami, męski chór „Harfa" Koła gospodarza oraz Teatr Lalek „Bajka" przy ZG PZKO, który wystawił sztukę pt. „Ondraszku, Ondraszku".

■ Olbrachcickie Koło PZKO zorganizowało 8. 2. w sali Domu Robotniczego tradycyjny bal przedszkolaków. Przy dźwiękach orkiestry ob. Woźnicy dzieci zaprezentowały tańce, recytacje i wspólne zabawy oraz złożyły życzenia babciom z okazji Dnia Babci. Zarząd tego Koła zrealizował 26. 2. również w sali Domu Robotniczego zebranie członkowskie. W ramach prezentacji ciekawych zespołów PZKO wystąpił Teatr Lalek „Bajka" przy ZG ze sztuką pt. „Ondraszku, Ondraszku".

■ Spotkanie z okazji MDK olbrachcickie Koło urządziło w Domu Robotniczym 8. 3. Program artystyczny wykonali przedszkolacy, zespoły szkolne „Słoneczko" i „Wesołe Nutki" oraz zespół wokalno-muzyczny PZKO „Parafraza" z Cz. Cieszyna-Osiedla pod kierownictwem E. Kaima.

■ Zarząd MK PZKO w Sibicy zrealizował 26. 2. w swoim Domu PZKO prelekcję dr. Józefa Macury pt. „Historia Śląska – część 2". Stale aktywna Sekcja Turystyczno-Krajoznawcza przy tymże Kole zrealizowała w marcu br. wycieczki: do Trzyńca i na Jagodną, do Gnojnika i na Godulę, do Trzyńca i na Jaworowy oraz do Czernej i na Hrczawę.

■ Klub Propozycji w Kole PZKO w Cz. Cieszynie-Osiedlu zaproponował swoim klubowiczom 23. 2. w salce na Mojskiem odczyt z przezroczami inż. G. Folwarcznego pt. „Cuda świata". Dalszy odczyt dr. J. Macury zorganizowano 2. 3. pn. „Śląsk Cieszyński za Piastów". Klub Propozycji przy tym Kole oraz Biblioteka Miejska w Cz. Cieszynie urządziły 16. 3. w czytelni Biblioteki w Teatrze Cieszyńskim Wieczór Poezji Śpiewanej w wykonaniu aktora Sceny Polskiej TC Leszka Wronki.

■ W Kole PZKO w Stanisławicach odbyło się 1. 3. w Domu Kultury zebranie członkowskie z prelekcją J. Szymika pt. „Prognostyka ludowa".

■ 24. 2. w Klubie PZKO w Cz. Cieszynie odbyła się Konferencja Komitetu Miejskiego PZKO w Cz. Cieszynie. Wystąpił chór żeński „Harfa" MK PZKO Cz. Cieszyn-Centrum. Wśród gości byli przedstawiciel KO KPCz tow. M. Kývala, wiceprzewodniczący KM KPCz w Cz. Cieszynie tow. Toman i sekretarz MRN w Cz. Cieszynie tow. M. Fajkus. Delegacji ZG PZKO przewodniczył tow. R. Szarowski, wiceprzewodniczący Związku. Sprawozdanie z działalności za ubiegłą dwuletnią kadencję przedstawił przewodniczący KM T. Smugała. W centrum uwagi Komitetu była sprawa wychowania młodzieży. Przewodniczącym Komitetu wybrano ponownie T. Smugałę.

■ Zarządy Kół PZKO w Czeskim Cieszynie-Ligocie i Kocobędzu zorganizowały 1. 3. w sali kina „Karnawał dziecięcy" i MDK '87. Program wykonał zespół małych form scenicznych Klubu Młodych z Koła PZKO w Stanisławicach, wystawiając bajkę, oraz dzieci miejscowego przedszkola w Kocobędzu i uczniowie PSP w Cz. Cieszynie.

■ Zebranie członkowskie połączone z świetlicą z okazji MDK '87 urządziło 7. 3. w swoim Domu PZKO Koło Miejscowe PZKO Cz. Cieszyn-Mosty. Program kulturalny wykonała młodzież szkolna.

■ PZKO Mistrzowice zorganizowało 15. 3. w sali restauracji na Fibakówce obchody MDK. Program wykonał znany zespół kabaretowy „Olziok" z MK PZKO Łąki.

■ Kolejne spotkanie piątkowe zorganizowane 20. 3. w świetlicy Koła PZKO Cz. Cieszyn-Park Sikory poświęcone było MDK '87 oraz Dniu Nauczyciela. Wystąpi kabaret „Andrusi" z Koła PZKO w Skrzeczoniu.

GNOJNIK

■ Bal Towarzyski zorganizowało 28. 2. w Domu Kultury w Trzycieżu tamtejsze Koło PZKO.

HAWIERZÓW

■ Interklub Klubów Młodych PZKO Cierlicko-Kościelec i Stanisławice zorganizował 27. 2. w sali restauracji na Kościelcu „Dyskobal". W programie zaprezentowano pokazy tańców latynoamerykańskich i ludowych. Zaproponowano zabawę o „najszykowniejszą". Dyskotekę prowadził J. Hanzel.

■ 8. 3. w Domu PZKO w Błędowicach odbyła się uroczysta świetlica z okazji MDK '87, której organizatorem był zarząd tamtejszego Koła PZKO. Wystąpili przedszkolacy oraz młodzież szkolna. Na spotkaniu Klubu Seniora przy błędowickim Kole PZKO 11. 3. odbyła się prelekcja nt. „Ogród wiosną".

■ Koło PZKO w Datyniach Dolnych urządziło 28. 2. w sali restauracji „Rolnik" tradycyjny „Babski bal". Grała orkiestra Svazarmu z Cierlicka.

■ Konferencja hawierzowskiego Komitetu Miejskiego PZKO odbyła się 1. 3. w Domu PZKO w Błędowicach. Obrady poprzedziły występy uczniów PSP w Błędowicach i Suchej Górnej oraz górnosuskiej „Gamy". W konferencji uczestniczyli zaproszeni goście – przedstawiciel KO KPCz tow. M. Kývala, przewodniczący KM KPCz w Hawierzowie tow. L. Indrak i przewodniczący MRN w Hawierzowie tow. V. Klečatský oraz delegacja ZG PZKO z tow. Wł. Orszulikiem, I sekretarzem Związku. Konferencję prowadził F. Szopa, a sprawozdanie z działalności Komitetu za ubiegłą kadancję przedstawił J. Orszulik, przewodniczący Komitetu. W imieniu ZG wystąpił Wł. Orszulik. Dyskusja poruszyła szereg istotnych spraw, m. in. działalność młodzieży pezetkaowskiej, współpracę z szkołami, pracę kobiet, abonament SP TC itd. Przewodniczący KM KPCz tow. L. Indrak pozytywnie ocenił działalność Komitetu i Kół hawierzowskich i wręczył przyznane przez KM FN w Hawierzowie akty uznania zespołom tanecznym PZKO Sucha Średnia, Sucha Górna i Błędowice, chórowi męskiemu „Sucha" oraz zasłużonemu działaczowi Emilowi Kubeczce. Prezesem Komitetu został nadal tow. J. Orszulik.

■ Klub Emerytów przy Kole PZKO Hawierzów-Centrum zorganizował 19. 3. w świetlicy pod Arkadami spotkanie, na którym wyświetlono film.

■ 15. 3. MK PZKO w Żywocicach urządziło z okazji MDK spotkanie dla członkiń Koła. Program wykonały dzieci polskiego przedszkola w Hawierzowie i dzieci 6. klasy PSP w Błędowicach, nad którymi ma Koło patronat. Wystąpił również iluzjonista.

JABŁONKÓW

■ Koło PZKO w Jabłonkowie urządziło 28. 2. w Domu PZKO „Śląskie Ostatki". Zorganizowano m. in. konkurs o „najwspanialszy papuć". Grała orkiestra z PRL. Koło to zorganizowało 8. 3. w swoim Domu PZKO zebranie członkowskie połączone z obchodami MDK. Program zaprezentowali przedszkolacy i młodzież szkolna. Odbyło się także spotkanie z kierownikiem Sceny Polskiej TC Karolem Suszką.

■ Konferencja Komitetu Miejskiego PZKO w Jabłonkowie odbyła się 24. 2. w Domu PZKO jabłonkowskiego Koła. Obradom przewodniczył St. Gawlik, a referat sprawozdawczy przedstawił T. Pawlus, przewodniczący Komitetu. Obecni byli goście: przedstawiciel KO KPCz tow. J. Václavek, przewodniczący KM KPCz w Jabłonkowie tow. Gajdušek, za MRN tow. Białożytowa oraz za KM FN tow. T. Janiczek. Delegacji ZG PZKO przewodniczył Wł. Orszulik, I sekretarz ZG PZKO.

■ Klub Młodych PZKO w Piosku zorganizował w pierwszej połowie marca br. zabawę sportową — zawody weteranów w biegu na nartach (granica wieku od lat 30 wzwyż). Na starcie stanęło 25 zawodników. Najstarszym zawodnikiem był obywatel Józef Lorenczyk, liczący 76 lat, ze sprzętem narciarskim sprzed sześćdziesięciu lat.

■ 6. 3. w Domu PZKO w Nawsiu odbyła się uroczystość MDK dla członkiń SRPS i PZKO. Wystąpili uczniowie miejscowej PSP oraz chór mieszany PZKO z Bystrzycy pod batutą B. Czerneka.

■ 8. 3. Koła PZKO Jasienie i Milików-Centrum urządziły wspólną imprezę z okazji MDK. W sali restauracji „U Mrózka" w Milikowie Scena Polska wystawiła komedię A. Fredry „Gwałtu co się dzieje".

KARWINA

■ Klub Propozycji przy frysztackim Kole PZKO zorganizował 23. 2. w Domu PZKO spotkanie z posłem do FZN tow. K. Michalskim. Prelegent podzielił się ze słuchaczami swymi wrażeniami z dwumiesięcznego pobytu w Związku Radzieckim. 21. 2. pezetkaowcy frysztackiego Koła po raz czwarty z kolei wyjechali do Wratnej Doliny.

■ Tradycyjny bal urządziło 28. 2. w sali kina „Elektra" Koło PZKO w Piotrowicach. Wystąpił zespół taneczny PZKO ze Skrzeczonia, a do tańca przygrywała orkiestra PZKO „Krater" również ze Skrzeczonia. Koło zorganizowało 22. 3. w swoim Domu PZKO świetlicę z okazji MDK. Wystąpili „Andrusi" z Koła PZKO w Skrzeczoniu.

■ Koło PZKO Karwina-Henryk zrealizowało 26. 2. w sali na Altmanówce wieczór świetlicowy. W programie m. in. prelekcje wygłosili prof. H. Pawera i H. Cieślar. Koło to urządziło także 12. 3. na Altmanówce zebranie członkowskie połączone z obchodami MDK. Wystąpił zespół żeński „Żukowianka" z MK PZKO Żuków Dolny.

■ Jubileuszowy Bal zorganizowało 28. 2. w Domu PZKO Koło PZKO Karwina-Stare Miasto.

■ „Rajskie Ostatki" odbyły się 28. 2. w Domu PZKO MK PZKO Karwina-Raj. W tym samym lokalu zarząd Koła urządził tradycyjne obchody MDK. Zespół Kobiet oraz Klub Seniora przy tymże Kole zorganizowały 19. 3. spotkanie, na którym MUDr. H. Paszkowa wygłosiła prelekcję o Kuwejcie.

■ 15. 3. w Domu PZKO odbyło się zebranie członkowskie stonawskiego Koła PZKO połączone z obchodami MDK. Program wykonali przedszkolacy oraz zaproszony zespół dziecięcy „Dolina" z Karwiny. Klub Propozycji przy tymże Kole zorganizował 19. 3. w świetlicy Domu PZKO prelekcję MUDr. O. Wałoszka pt. „Narkomania".

■ W świetlicy Koła PZKO Karwina-Kopalnie—Centrum 14. 3. odbyło się wiosenne spotkanie z piosenką i muzyką regionalną z okazji MDK. Program prowadził Edward Kaim.

■ Zarząd Koła PZKO w Karwinie-Sowińcu urządził 15. 3. w swoim Domu PZKO świetlicę z okazji MDK. Wystąpił zespół taneczny PZKO i młodzież szkolna ze Stonawy.

■ Spotkanie z okazji MDK '87 zorganizowało w I dekadzie marca br. w swojej świetlicy Koło PZKO Karwina-Solca. Program wykonał chór mieszany ZPiT „Górnik" ZG PZKO.

■ Rada Obwodowa Klubów Młodych przy Komitecie Miejskim PZKO w Karwinie zorganizowała 13. 3. w Domu PZKO w Stonawie imprezę pn. „Rekonesans muzyczny".

ORŁOWA

■ Koło PZKO Orłowa — Miasto zorganizowało 1. 3. w swojej

świetlicy uroczyste zebranie członkowskie połączone z obchodami MDK '87. Wystąpili „Andrusi" z MK PZKO w Skrzeczoniu oraz dzieci szkolne.

■ MK PZKO w Dąbrowej urządziło 27. 2. w Domu PZKO spotkanie klubowe, na którym inż. A. Cienciała przedstawił wrażenia z pobytu w Syrii. Świetlicę z okazji MDK Koło to zrealizowało 8. 3. w Domu PZKO.

■ 14. 3. w Klubie Emerytów odbyła się świetlica Koła PZKO Łazy z okazji MDK. Zarząd tegoż Koła zrealizował 16. 3. w świetlicy prelekcję MUDr. H. Paszkowej pt. „Kuwejt". Dalszą imprezę oświatową z prelekcją nt. „Czy można uniknąć zawału" MUDr. O. Wałoszka Koło to zorganizowało 24. 3. w pawilonie na Podlesiu.

■ Komitet Miejski PZKO w Orłowej zorganizował z okazji MDK '87 15. 3. w Miejskim Domu Kultury w Orłowej-Lutyni Koncert Dziecięcego Zespołu Pieśni i Tańca Domu Kultury Kopalni „Murcki" z Katowic.

TRZYNIEC

■ Klub Seniora przy Kole PZKO w Wędryni był organizatorem udanego „Ostatkowego Spotkania" 3. 2. w Domu PZKO „Czytelni" pod hasłem „Z muzyką żyje się weselej". Gościem spotkania był Edward Kaim ze swoim zespołem. 28. 2. Zarząd tegoż Koła urządził również w Domu PZKO Czytelni „Śląski Ostatki" pod hasłem „Płyniesz Olzo . . ."

■ Zarząd wędryńskiego Koła i Klub Młodych PZKO Trzyniec-Osiedle zorganizowały 7. 3. w Domu PZKO im. A. Wawrosza „Bal Gałganiarzy". Program kulturalny wykonał m. in. zwycięzca „Melpomenek '86" — Janusz Ondraszek. Obchody poświęcone MDK '87 odbyły się w Domu PZKO „Czytelni" 8. 3. Program wykonali przedszkolacy, młodzież szkolna oraz członkowie Klubu Młodych Koła organizatora.

■ Tradycyjną zabawę ostatkową zorganizowało 3. 3. w sali „Braterstwa" Koło PZKO Leszna Dolna. Uroczyste spotkanie poświęcone MDK '87 odbyło się w tym Kole 8. 3. również w sali „Braterstwa".

■ Akademię z okazji MDK urządziło 6. 3. w sali restauracji „U Tyrasa" Koło PZKO w Oldrzychowicach. Wystąpił zespół „Andrusi" z MK PZKO w Skrzeczoniu oraz zespół taneczny Koła gospodarza.

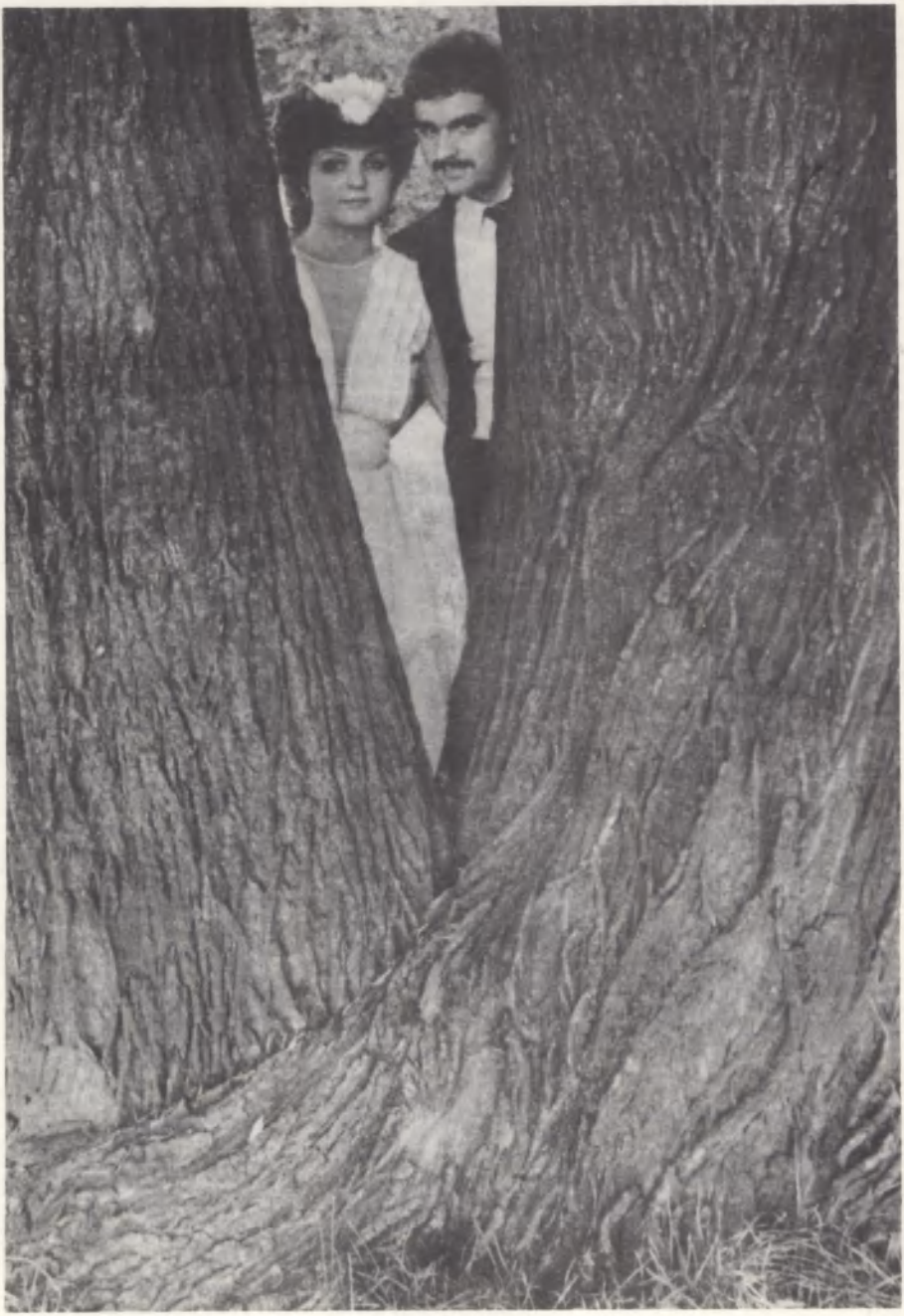
■ Obchody poświęcone MDK zrealizowało 8. 3. w swojej świetlicy Koło PZKO Trzyniec-Kanada. Program wykonała kapela ZPiT „Olza".

■ MK PZKO Trzyniec-Osiedle zrealizowało 18. 3. w Domu PZKO im. A. Wawrosza obchody z okazji MDK. Wystąpił chór dziecięcy DK HT „Razem".

■ W marcu br. odbyły się II obwodowe mistrzostwa PZKO w biegach narciarskich w obwodzie trzynieckim. Startowali zawodnicy z 4 Kół. Zwycięzcy poszczególnych kategorii: dziewczyny — Gabriela Strokosz, chłopcy — Renek Strokosz, mężczyźni — Ryszard Kowalczyk, oldboje — Roman Szczuka — wszyscy z MK PZKO Trzyniec-Kanada.

■ MK PZKO Guty zrealizowało 22. 3. w Domu PZKO akcję oświatową, na której Władysław Cieślar wygłosił odczyt o sadownictwie i ogrodnictwie.

■ Konferencja trzynieckiego Komitetu Miejskiego PZKO odbyła się 25. 2. w Domu PZKO im. A. Wawrosza MK PZKO Trzyniec-Osiedle. Obradom przewodniczyła Halina Kowalczyk. Z gości obecni byli tow. J. Podškubka, przewodniczący KM KPCz w Trzyńcu, przedstawiciele trzynieckich MRN tow. J. Lašak i KM FN tow. H. Sumera oraz delegacja ZG PZKO z St. Kondziołką, prezesem Związku. Sprawozdanie z działalności Komitetu przedstawił przewodniczący R. Suchanek. W dyskusji poruszono m. in. problem konieczności ożywienia działalności młodzieży związkowej, sprawę cen polskich książek oraz abonamentu SP TC. Przewodniczącym Komitetu pozostał R. Suchanek.



fot. EDMUND KIJONKA

MOZAIKA

TEMAT DLA EWY

O POTRZEBIE WIĘZI

Każdy prawidłowo rozwinięty człowiek odczuwa potrzebę, aby kochać i być kochanym. Ich brak jest inwalidztwem psychicznym. Brak potrzeby więzi jest najczęstszą przyczyną porzucania przez mężczyzn rodziny i niepłacenia alimentów. U kobiet zaś to patologiczne odchylenie uczuciowe bywa przyczyną porzucenia dziecka na czyimś progu. Dlatego problem właściwego ukształtowania potrzeby więzi staje się w wychowaniu sprawą zasadniczą.

Rozróżniamy trzy fazy prawidłowego rozwoju uczuciowego: 1) w okresie dzieciństwa więź z matką, 2) w okresie szkolnym więź z przyjacielem lub przyjaciółką tej samej płci, 3) w okresie dojrzewania więź z osobą ukochaną (płci przeciwnej).

Przez te wszystkie trzy fazy dziecko powinno przejść. Nie powinno się ani jednej fazy przeskoczyć czy pominąć. Równocześnie istnieje zasada, że jeżeli któryś z początkowych okresów trwa zbyt długo, nie powinno się go sztucznie utrwalać i przedłużać.

Faza I

Już od szóstego miesiąca po urodzeniu do końca drugiego roku życia kształtuje się potrzeba więzi z matką. Żaden najlepszy szpital czy najtroskliwszy żłobek nie potrafi wykształcić u dziecka „potrzeby więzi" — tego uczucia, jakie daje dziecku matka lub bardzo bliska osoba wychowująca dziecko. Pozbawione serca i pieszczot matki wyrasta dziecko z psychofizycznym zespołem „choroby sierocej". Dlatego też nasze prawodawstwo uwzględnia dla kobiet dłuższe urlopy macierzyńskie. Matka jest dla dziecka najlepszym towarzyszem, przyjacielem, powiernikiem. Dziecko czasem grymasi, żeby matka się nim zajęła, nie chce iść do przedszkola dlatego, żeby nie rozstawać się z matką, chce być z nią stale — przez całe życie . . . i tylko z nią się ożenić.

Faza II

W latach szkolnych pojawia się następny obiekt uczuciowy — przyjaciel lub przyjaciółka, z reguły tej samej płci (homofilia). Matka jest w dalszym ciągu bliską dla dziecka osobą, ale przestaje być jedynym przedmiotem zaspokojenia potrzeby więzi. Jednym z podstawowych błędów wychowawczych tego okresu jest walka matki o prawo do utrzymania swej wyłączności. Chce być dla dziecka jedynym towarzyszem i powiernikiem. Pragnie do końca życia dzieckiem się opiekować, panować nad nim i uszczęśliwiać je. I oto w życiu dziecka pojawia się rywal. Matka zabrania

widywać się z przyjaciółmi, kontroluje listy do przyjaciółek, podsłuchuje telefony, czyta pamiętniki. Walka o miłość dziecka jest beznadziejna i niepotrzebna. Niemądra matka swoim postępowaniem robi wszystko, aby resztę więzi utracić.

Jak więc należy postępować? Przede wszystkim należy pogodzić się z faktem, że „dziecko wychowuje się dla ludzi, a nie dla rodziców", zostawiając dla siebie rolę dyskretnego obserwatora, który taktownie interweniuje — wyłącznie w sprawach zasadniczych. Przez poważne traktowanie dziecka, przez życzliwość i wyrozumiałość i dzięki mądrym radom bez wątpienia zachowana zostanie więź uczuciowa z dzieckiem, mimo że nie będzie w niej już prawa wyłączności.

Faza III

We wczesnym okresie dojrzewania zjawia się zainteresowanie płcią przeciwną. Chłopcy, którzy dotąd ignorowali dziewczęta, teraz zaczepiają je, manifestując swoją męskość brutalnym zachowaniem. Chłopcy zaczynają pracować nad sobą, zaczynają troszczyć się o swoją powierzchowność, dbać o kulturę słowa, pisać wiersze.

Więź z matką i przyjacielem oczywiście pozostaje, ale ulega znacznemu rozluźnieniu. Zakochany młodzieniec potrzebuje ich jako słuchaczy, doradców i sędziów w sprawach serca. Nie ważmy się bagatelizować tych przeżyć, które młody człowiek uważa za równie ważne jak odkrycie Ameryki. W przeciwnym wypadku utracimy z dzieckiem kontakt psychiczny, stracimy jego zaufanie.

U dziewcząt okres ten przebiega łagodniej. Dziewczęta, mimo wcześniejszego dojrzewania na razie ograniczają się do więzi psychicznej z chłopcem. Jest to naturalny rozwój więzi uczuciowej. Tutaj również, podobnie jak pod koniec pierwszego okresu, nie wolno przedłużać poprzedniej fazy przyjaźni homofilnej. Stosowane dawniej w tym okresie zamykanie osobno dziewcząt i chłopców na pensjach i w internatach mogło powodować niekiedy utrwalenie niewłaściwej orientacji uczuciowej.

W tym okresie musimy czuwać nad naszymi nastolatkami, aby wykształciła się u nich odpowiednia potrzeba więzi uczuciowej z płcią przeciwną. Pozwoli to na przyjacielski kontakt z córką i odpowiednią orientację w młodzieńczych problemach osobistych, lecz trzeba pogodzić się z tym, że rodzice nie mają prawa do zbyt natrętnej indagacji i niedelikatnej kontroli.

Do niewybaczalnych błędów należy robienie awantur dzieciom za to, że przyszły do domu o parę minut później, co w mniemaniu niektórych rodziców równoznaczne jest ze złym prowadzeniem się. Niedopuszczalnie postępujemy wtajemniczając znajomych i sąsiadów, że znaleźliśmy list miłosny, że ten chłopiec, który stoi na przystanku, to jest właśnie nieudany „fatygant" naszej córki. Wyśmiewanie syna, że wygląda przez okno, a potem zrywa się i biegnie do „niej" — nie odnosi żadnych rezultatów pozytywnych. Odwrotnie, oddala to dzieci od rodziców, ugruntowuje przeświadczenie, że rodzice nie nadążają, nic nie wiedzą, nie rozumieją. Rodzice i dzieci stają się zupełnie dla siebie obcymi ludźmi, a czasem wrogami.



rys. JÓZEF DRONG

KRZYŻÓWKA

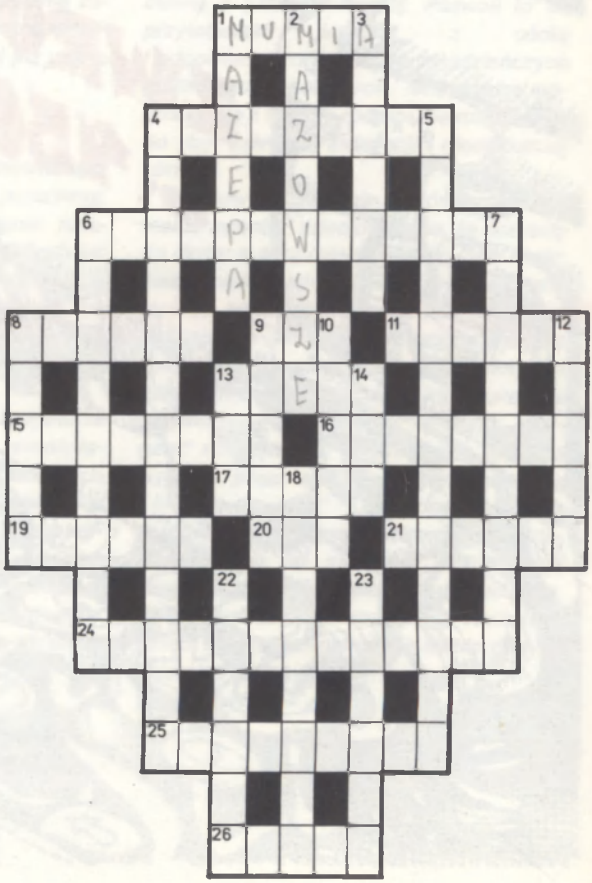
Znaczenie wyrazów

POZIOMO:

1 bandaż + zwłoki
4 zmyśla i szkaluje
6 maksyma
8 marynarka pękła w szwach
9 „Wielki" kreowany przez Nowickiego
11 bank w obieg pieniądze wypuszcza
13 robak
15 bywał przyczyną pojedynku
16 była przy obleganiu grodów przydatna
17 można go zalać „Soplicą"
19 pojazd dla Heliosa
20 tęgie polskie głowy zrzesza
21 drugą stronę lustra zwiedziła
24 woli żyć po staremu
25 półpiętro
26 witka

PIONOWO:

1 tragedia Słowackiego
2 konkurent „Śląska"
3 5. marca złóż mu życzenia
4 pralnia ścieków
5 nie każdy samochód posiada
6 Horn
7 wchłanianie
8 do filmów z Flipem



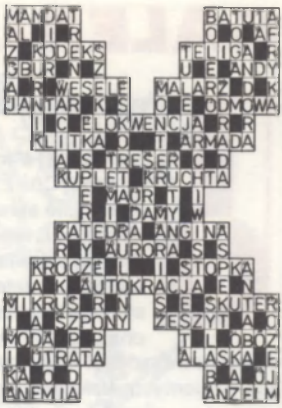
i Flapem przygrywał
9 szwab
10 ochrzczony Ursus
12 zespół dla Grechuty
13 metal ziem rzadkich
14 ostatni z Rożmberków
18 golibroda, cyrulik i chirurg w jednej osobie
22 lubi pouczać
23 jedna z dwu w sądzie

oprac. (JO)

Wśród autorów prawidłowych rozwiązań nadesłanych pod adresem redakcji najpóźniej do 31 maja br. rozlosowane zostaną trzy nagrody książkowe.

Obok prawidłowe rozwiązanie krzyżówki z numeru marcowego. Nagrody otrzymują:

Karol Porosz — Trzyniec VI, Karol Raszyk — Czeski Cieszyn, Wanda Gąsior — Karwina-Nowe Miasto.



JAK JEST POPRAWNIE

CZYLI CO NAS RAZI

Przychodzą do redakcji listy, a w nich bardziej lub mniej uzasadnione pretensje naszych czytelników, m. in. dotyczące poprawności. Jednemu z nich nie podoba się wyrażenie *humor szubieniczny* („Zwrot" 1/87, Zielone nurty). *„To przecież* (tak pisze) *po czesku. Po polsku mówi się humor wisielczy."*

Zerkam więc do „Słownika frazeologicznego języka polskiego" Stanisława Skorupki i pod hasłem humor czytam *szubieniczny* obok *wisielczy*. Jesteśmy z góry uczuleni na wszystkie czechizmy, dopatrując się ich nawet tam, gdzie ich nie ma. Zjawisko dopatrywania się błędów językowych tam, gdzie ich w istocie nie ma, unikania elementów językowych, które zgodne są w rzeczywistości z obowiązującymi normami językowymi, co często daje w efekcie błędy, językoznawcy nazwali hiperpoprawnością.

Następny z listów (nawiasem mówiąc nie podpisany) wysuwa zarzut pod adresem Biuletynu PZKO pn. „Życie i działalność Władysława Wójcika" opracowanego przez Władysława Jośka i Wandę Wójcik. Autorzy biuletynu na str. 28. piszą: *Zresztą gros ciężaru zadań (. . .) leżał na barkach Wójcika*. Naszego Anonima, jak pisze, krew zalała. Oburza go użycie w *„biuletynie tak wielkiego zasłóżonego* (!) *polaka* (!) *takiego znienawidzonego germańskiego słowa"*, za co autorzy powinni się wstydzić. Pomijam tu błędy popełnione przez zalanego krwią (a może tylko zalanego?!) Anonima oraz obraźliwe epitety i pogróżki, którymi straszy autorów, i nie tylko, powyższego biuletynu. Przejdźmy do meritum sprawy.

Słowo *gros*, szanowny panie, ma w języku polskim dwa znaczenia a pochodzi z języka niemieckiego (*Gros*) lub francuskiego (*grosse*). Znaczenie pierwsze: dwanaście tuzinów, tzw. wielki tuzin, dawna miara (odmieniaj jak nos). Znaczenie drugie: większość (nieodmienne). I właśnie w tym znaczeniu zostało to słowo użyte poprawnie przez twórców publikacji.

Sprawdziłam to, otwierając „Słownik ortograficzny języka polskiego", do czego potencjalnych autorów następnych listów do redakcji szczerze namawiam.

GALERIA SLA



EDWARD KAIM: Beskidy, akwarela 1986 (4. str. okładki)

Ten sielski obrazek z Beskidów należy do gatunku malarstwa bardzo popularnego. Cóż z tego, że tą swoją akwarelą autor nie posuwa naprzód dziejów sztuki, nie stawia kamieni milowych na jej drodze? Widać chodzi mu jedynie o możliwie wierne odtworzenie fragmentu rzeczywistości; możliwie pięknego i pociągającego fragmentu rzeczywistości. Edward Kaim maluje swój krajobraz rzetelnie, z zaangażowaniem dokumentalisty, który musi zarejestrować dokładnie jakąś prawdę. Rejestruje więc drewniane wiejskie chałupy pośród drzew i sine zarysy gór na dalekim horyzoncie. W technice akwarelowej zdobył Kaim sporą biegłość. Kompozycja obrazu jest statyczna, z przewagą linii poziomych, kolorystyka zgaszona, o barwach złamanych. Całość stanowi pogodny, choć nieco nostalgiczny obrazek zakątka, jakich niewiele już nawet w naszych Beskidach. Rzecz jest dekoracyjna, fragmentowi natury tutaj przedstawionemu nie sposób odmówić urody. Wydaje się, że takie pejzaże, sielankowe i pogodne, autor darzy szczególnym sentymentem. Dla rodzaju emocji, jakie taki pejzaż wywołuje — zachwytu nad pięknem matki natury zaprawionego szczyptą melancholii — akwarela zdaje się być najodpowiedniejszą techniką malarską. Natura jest tu traktowana instrumentalnie w gruncie rzeczy. Służy do stworzenia efektownej kompozycji; przedmiotu estetycznego. I tak, jak lekki i delikatny jest sposób malowania, charakterystyczny dla akwareli, tak i sam temat obrazu został zaledwie muśnięty myślą artysty.

A. M. R.

ZIELNIK

RUMIANEK POSPOLITY

Nazwa łacińska — Matricaria chamomilla L. Słowo matricaria pochodzi z łacińskiego *matrix — zarodnia, matka,* ze względu na właściwości lecznicze, zaś *chamomilla* powstała z greckich słów *chamai — przy ziemi* i *melón — jabłko,* ze względu na pachnące kwiaty.

Nazwy ludowe — rumianek pachnący, apteczny, zwykły, lekarski, kamelki . . .

Rumianek jest rośliną hojnie rosnącą w Grecji i we Włoszech, uważa się więc, że starożytni Grecy i Rzymianie znali zarówno roślinę, jak jej właściwości lecznicze. Jednakże historię rumianku bardzo trudno śledzić, ponieważ starożytni autorzy często zamieniali go z innymi gatunkami roślin. Tak na przykład Dioskurides raz mówi o roślinie „anthemis", później znów o „parthenion". Jedna z tych dwu roślin jest na pewno rumiankiem. Inni autorzy twierdzą, że rumianek był w starożytności nazywany „euanthemon". Według twierdzenia Pliniusza sławny grecki lekarz Asklepiades wychwalał wspaniałe właściwości rośliny „anthemis", czyli rumianku.

Również we wczesnym średniowieczu w poglądach na rumianek panował zupełny chaos. Dopiero późniejsze średniowieczne herbaria wniosły do tej sprawy trochę światła, a na końcu tej epoki rumianek był już znany i opisany doskonale.

Wśród prostego ludu znane i cenione były

nie tylko jego właściwości lecznicze, lecz także czarodziejska moc. Dlatego o rumianku można znaleźć wzmianki w starych bajkach, opowiadaniach i wierzeniach. Wierzono, że za pomocą rumianku można rozpoznać czarownice i złe duchy oraz że z jego pomocą można „obudzić" miłość. Rumianek, podobno, pomagał też spojrzeć w przyszłość.

Według wierzeń ludowych rumianek jest właściwie zaklętym żołnierzem, tak samo jak cykoria jest zaklętą panną.

Rumianek jest jednoroczną rośliną aromatyczną. Ma rozgałęzioną łodygę, liście pierzaste, delikatne. Charakterystyczny jest kwiatostan — koszyczek, który składa się z 2 rodzajów kwiatów: żółtych, rurkowych, zebranych w „główkę" i białych — płatków, które ją okalają. Rumianek pospolity różni się od innych gatunków tym, że dno koszyczka ma wewnątrz puste, a także miłym zapachem.

Rumianek rośnie dziko na polach, rumowiskach, ugorach, przy drogach i na łąkach. Ze względu na duże zapotrzebowanie w lecznictwie jest również uprawiany. Kwitnie od maja do października.

Zbieramy zupełnie rozwinięte białe kwiaty, a żółte powinny być rozkwitnięte maksymalnie do jednej trzeciej główki. Nierozwinięte kwiaty i liście nie mają żadnej wartości. Zbiór przeprowadzamy kilkakrotnie, co 2 dni, w miarę dojrzewania kwiatów, po południu, w dni pogodne. Zebrane koszyczki rozkłada się pojedynczą warstwą na sitach i matach i suszy na strychach lub w szopach. Przy sztucznym ogrzewaniu temperatura nie powinna przekroczyć 40 stopni Celsjusza.

Źle ususzony rumianek traci zapach i kolor i nie ma właściwości leczniczych. Po wysuszeniu surowiec przechowujemy w miejscu suchym i przewiewnym.

Rumianek działa przeciwzapalnie, wiatropędnie, przeciwskurczowo, odkażająco. Stosuje się go zewnętrznie w postaci okładów przy różnego rodzaju stanach zapalnych skóry, uszkodzeniach naskórka, oparzeniach słonecznych, trudno gojących się głębokich ranach, zapaleniu powiek i spojówek, do płukania jamy ustnej i gardła przy zapaleniu dziąseł, gardła i anginie. Kąpiel z rumianku



z dodatkiem soli kuchennej dobrze działa przy obrzmieniach nóg.

Wewnętrznie przetwory rumianku stosuje się przy stanach skurczowych żołądka i jelit, przy przewlekłym zapaleniu nerek i pęcherza moczowego, przy schorzeniach alergicznych, jak katar sienny i alergiczne zapalenie spojówek.

Napar przygotujemy w następujący sposób: łyżkę kwiatów zalejemy szklanką wrzątku, zostawimy pod przykryciem przez 10 minut i następnie odcedzimy. Pić należy 2—3 razy dziennie po szklance naparu. Taki sam napar można przyrządzić z dodatkiem mięty.

Nalewkę do płukania i okładów przygotujemy w ten sposób, że dwie łyżki kwiatów zalejemy w słoiku szklanką spirytusu, odstawimy na 14 dni, po czym przesączymy. Do stosowania zewnętrznego rozpuścić 1—2 łyżeczki nalewki w szklance wody. Doustnie przyjmować 30 kropli 2—4 razy dziennie.

Kwiaty rumianku zawierają mieszanki — *„Dětský čaj s heřmánkem"*, *Tormentan*, *Stomaran* i wiele kremów.

M. C.

ZWROT MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO - KULTURALNY
ROK XXXVIII ● NR 450 ● CENA 2,50 Kčs

5/87

[1] W 10. rocznicę wyzwolenia
[2] Z życzeniami dalszych sukcesów *ČENĚK MILOTA*
[5] Polacy w Czechosłowacji (1945—1948) *BOGDAN KISZA*
[9] 40 lat PZKO: Wczoraj — dziś — jutro
[10] Najmłodsi
[13] Wy musicie im pomóc *KAZIMIERZ SANTARIUS*
[17] Przyszłość to praca z kadrami *PIOTR PRZECZEK*
[21] Z wizytą pod Jaworowym *EWA*
[23] Generacja założycieli
[26] Bez słomkowego kapelusza (PZKO-wcy inaczej) *OTYLIA TOBOŁA*
[29] Pierwsze lata PZKO i SMP *AGNIESZKA PIEGZOWA*
[33] Uroczystości jubileuszowe SLA *RENATA OSTRUSZKA*
[34] 40-lecia SLA, 50-lecia ŚZLA
[39] Wyniki konkursów twórczych z okazji 40-lecia PZKO
[40] Wilhelm Przeczek: Garb krawca Gawlika
[48] Renata Putzlacher: * * * (Jamnik kolejnego tygodnia, Bezsilność, * * * (A ja ci nie powiem), * * * (Jeszcze kiedyś zaskrzypi), * * * (Była otwartą książką), * * * (To można przeżyć)
[50] Vlasta Dvořáčkowa (Tłumacze literatury polskiej) *WILHELM PRZECZEK*
[53] Zielone nurty
[58] Kocobędz (Wędrówki nazewnicze) *WŁADYSŁAW MILERSKI*
[61] Trybuna czytelników
[65] To i owo
[66] Kronika
Mozaika:
[73] Temat dla Ewy
[76] Krzyżówka *(JO)*
[77] Jak jest poprawnie
[78] Galeria SLA *A. M. R.*
Zielnik *M. C.*
[80] *Spis treści*

1. STRONA OKŁADKI — fot. PETR RUBAL

WYDAWCA:
POLSKI ZWIĄZEK KULTURALNO-OŚWIATOWY ZARZĄD GŁÓWNY W CZESKIM CIESZYNIE

ADRES REDAKCJI:
UL. J. BOŻKA 16
737 21 CZESKI CIESZYN
TEL. 569 83

ZESPÓŁ REDAKCYJNY:
KAZIMIERZ GAJDZICA
MARIA GRZEGORZ
URSZULA HUDECZEK
PIOTR PRZECZEK
(redaktor naczelny)

RADA REDAKCYJNA:
FRANCISZEK BALON
MARIA BILKO
WIESŁAWA BRANNA
BRONISŁAW FIRLA
TADEUSZ CHRZĄSZCZ
KAZIMIERZ JAWORSKI
STANISŁAW JEDZOK
WŁADYSŁAW ORSZULIK
RUDOLF POPIOŁEK

Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca. Drukarnia: Tisk, knižní výroba, n. p., Brno, zakład 3 — Cz. Cieszyn, ul. Rewolucyjna 1. Cena prenumeraty rocznej Kčs 30,—, półrocznej Kčs 15,—. Zgłoszenia prenumeraty w CSRS przyjmuje redakcja i administracja „Zwrotu", w PRL Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch", Warszawa, ul. Wronia 23. Zezwolenie na ulgową opłatę pocztową wydał Powiatowy Urząd Pocztowy w Karwinie 20. 8. 1963, 1268/63. Numer indeksu R 389, nakład 4250 egz.

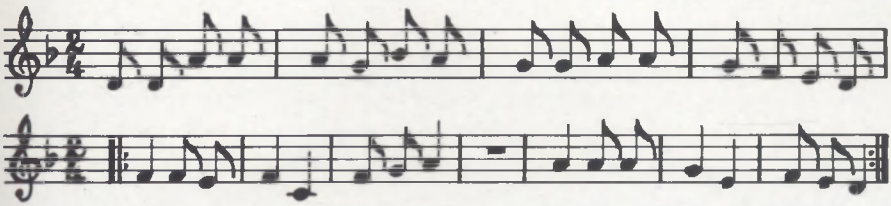
ilustracja JANINA SZOTKOWSKA

PIEŚNI GÓRALSKIE

ZA STODOŁÓM SŁÓNKO WSCHODZI

Szańce

Śląska wersja pieśni, która ma w swoim tekstowym materiale (o niespełnionej obietnicy – wiz 3–4 zwrotka naszej wersji) olbrzymie pokrewieństwo w całych Morawach (wiz. np. Janáček – Váša str. 94–99, nr 47). Prezentowane brzmienie jest specyficznym, miejscowym wariantem pieśni, której melodyczne warianty znajdujemy na Śląsku i nawet jeszcze „na Valašsku" (viz Bart I 214 ze Zděchova).



1.
Za stodołóm słónko wschodzi a mój miły kónia wodzi
Ej, kónia, kónia wranego, siodej ma miła na niego.
2.
Siadać, siadać jako siadać, ale gorszi łopowiadać
Ej, synku, synku rozmiły, cóż żeś je taki uprzimny.
3.
Ślubowoł żeś, że mie weźniesz, jak za wodóm żitko zeżniesz
Ej, uż żeś skosił i skludził, a mie żeś jednak łoszidził.
4.
Poczkej, dziywczyn, weznym jo cie, jak be wiyrba rodzić trześnie
Ej, wiyrba trześnie nie rodzi, jyny zielóne gałynzi.
5.
Dostaniesz ty pynto za to, że żeś prziwiód dziywczyn na to
Ej, pynto, synku, dostaniesz, za dziywczynciym płakać bedziesz.



Trzaskalik Henryk
735 35 HORNÍ SUCHÁ 462

EDWARD KAIM: Beskidy, akwarela 1986 (repr. ADAM SZOP)



ZWROT

6/87





Śląski Związek Literacko-Artystyczny, poprzednik Sekcji Literacko-Artystycznej ZG PZKO, uformował się w czerwcu 1937 roku, przed 50 laty. Na zdjęciu u góry założyciele Związku. Stoją od lewej: Dominik Figurny, Franciszek Świder, Eugeniusz Fierla, Gustaw Fierla, Adolf Fierla, Władysław Pasz; siedzą: Henryk Nitra, Karol Piegza, Józef Niemiec, Paweł Kubisz, Jerzy Trombik, Jerzy Tomoszek. Poniżej członkowie SLA ZG PZKO, która obchodzi w tym roku swoje 40-lecie, na jubileuszowym Seminarium Wiosennym w Czeskim Cieszynie.



fot. ARCHIWUM K. Piegzy, ADAM SZOP

I SEKRETARZ
KOMITETU CENTRALNEGO PZPR

Warszawa, 1987.03.20.

Zarząd Główny
Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego
w Czeskim Cieszynie

na ręce
dr Stanisława KONDZIOŁKI - przewodniczącego ZG PZKO
Władysława ORSZULIKA - I sekretarza ZG PZKO

Dziękuję za list.

Rad jestem, że Związek kontynuuje polskie, patriotyczne tradycje kulturalno-oświatowe.

Zaangażowanie w tej pracy, uzyskiwane wyniki wysoko oceniła Rada Państwa PRL przyznając Związkowi Komandorię Orderu Zasługi PRL. Raz jeszcze serdecznie gratuluję. Jednocześnie życzę kierownictwu dalszych osiągnięć umacniających zarówno naszą kulturę, jak i przyjaźń między Polakami a Czechami i Słowakami.

Proszę o przekazanie pozdrowień i życzeń wszelkiej pomyślności członkom Waszej organizacji.

Wojciech JARUZELSKI

POD POKRYWKĄ »FORUM MŁODZIEŻY«

Sprawom młodzieży Uchwała XIV Zjazdu PZKO poświęca specjalną uwagę. W dyskusji nad jej realizacją ponownie wracamy do tego tematu w gronie działaczy Sekcji Młodzieży Związkowej, która na jubileusz 40-lecia organizuje ogólnozwiązkowe spotkanie młodzieży pn. „Forum Młodzieży PZKO". Ukazał się również numer specjalny „Suplementu Młodych", skierowany do aktywistów młodzieżowych, ale również do tych wszystkich, którym, jak piszą autorzy, „praca młodzieży (czy z młodzieżą) nie jest lub nie powinna być obojętna". W redakcji na dwa miesiące przed imprezą spotkali się: Jan Przywara (członek Prezydium ZG PZKO, członek SMZ), Bogusław Raszka (przewodniczący Sekcji Młodzieży Związkowej), Bogdan Kokotek (ROKM Karwina, Klub Młodych „Syzyf" Stonawa) oraz Antoni Łacek (instruktor ZG PZKO ds. młodzieży związkowej) i inż. Wiesław Przeczek (instruktor ZG PZKO).

ZWROT: W grudniowym numerze „Zwrotu" dyskusja pn. „Forum młodzieży" pojawiła się nieprzypadkowo. Właśnie w grudniu miało się odbyć Forum Młodzieży. Dlaczego go nie było?

WIESŁAW PRZECZEK: Dobrze, że nie było, bo nie było przygotowane.

ANTONI ŁACEK: Myślę, że Forum Młodzieży nie odbyło się z tego powodu, że w tym czasie istniała tylko nazwa, a nikt nie miał pojęcia, co to powinno być, co to oznacza i jak ta impreza powinna wyglądać. Wszystko było po prostu w zalążkach, a na tym nie można bazować. Sam pomysł był dobry i dla naszego Związku bardzo ważny, ale realizacja akcji w tak krótkim czasie nie spełniłaby swojego zadania.

ZWROT: Forum już wtedy pomyślane było jako impreza na kilku szczeblach, czyli już w Kołach w tym czasie się zaczynało coś dziać.

ŁACEK: O ile wiem, to był opracowany plan organizacyjny tej imprezy, w biuletynie PZKO, ale tezy, które tam były, nie dotarły do ludzi, tzn. nie były przez nich właściwie zrozumiane. Kolejny termin Forum znowu przesunięty został z różnych powodów z 19 czerwca na sobotę 20 czerwca i wtedy w Domu PZKO w Mostach koło Czeskiego Cieszyna powinna się ta impreza odbyć ostatecznie.

ZWROT: Naszą rozmowę potraktujmy jako wstęp do dyskusji na Forum. Choć upodobni się trochę do dyskusji z grudniowego numeru, zacznijmy może od tego, jaka

jest młodzież? Żyje inaczej, niż np. generacja założycieli PZKO. Spróbujcie określić, jak?

ŁACEK: Nie powiedziałbym, że żyje inaczej o ile chodzi o sprawy związkowe, ale stara się te sprawy realizować w inny sposób.

JAN PRZYWARA: Ale tu chodzi nie tylko o życie PZKO-wskie . . .

BOGDAN KOKOTEK: Z tym bym się nie zgodził. Uważam, że nie żyje inaczej, ale innymi formami. Samo jądro tego życia jest takie samo. Tzn. że człowiek i przed 40 laty, i teraz potrzebuje życia towarzyskiego, potrzebuje kontaktów międzyludzkich, a to wszystko było i przed 40 laty.

BOGUSŁAW RASZKA: Tylko że to było w innych warunkach . . .

PRZYWARA: Chodzi o to, by PZKO umożliwiło jak najbogatsze kontakty, jak najszersze wyżycie się towarzyskie, by człowiek potrzebował tego PZKO. Bo niekiedy wygląda to tak, że to właśnie PZKO potrzebuje ludzi, członków, a powinno być odwrotnie. To członkowie powinni gorąco czuć potrzebę istnienia tej organizacji, choćby z tego powodu, że są Polakami. Dzisiejszej generacji to już jednak nie wystarcza, oni chcą mieć taką organizację, która by im dała możliwość wyżycia się kulturalnego, sportowego czy innego.

RASZKA: Myślę, że dziś młodzież stawia coraz większe wymagania sobie oraz rówieśnikom, którzy coś organizują. Tym wymaganiom trzeba sprostać. I tu jest problem. Co zrobić, by zabawa miała należyty poziom, i by impreza organizowana po raz drugi znów była udana, by nie skończyła się fiaskiem.

PRZECZEK: Trzeba znaleźć odpowiednią formę. Te formy od lat się nie zmieniają i ostatnio wiele się o tym mówi. Przeciętna wieku naszego grona, prócz Bogdana, jest znacznie wyższa, zbliża się do 30, a mówimy tu raczej o młodzieży nastoletniej. Mamy prawo o niej mówić. Ale czy my ją zawsze rozumiemy, czy znamy jej zainteresowania?

RASZKA: Myślę, że myśmy przeszli to wszystko, co oni teraz przeżywają, chociaż inaczej.

ŁACEK: Chyba nie czujemy się jeszcze tak wiekiem odlegli od nastolatków, żeby jako ich starsi koledzy, którzy organizowali już działalność związkową, choć w inny trochę sposób, nie czuć współodpowiedzialności. Dla tych nastolatków możemy być w pewnej mierze doradcami.

PRZECZEK: Ale to nie chodzi o to, jak my się czujemy, ale jak nas widzą ci młodsi.

ZWROT: Bogdan powiedział, że właściwie sposób życia i potrzeby pozostały niezmienione. Nam trudno oceniać, jakie były rzeczywiste potrzeby przed 40 laty, co skłaniało ludzi, żeby zakładać tego rodzaju organizację w r. 1947. Chyba jednak motywacja była wtedy inna. Były potrzeby kulturalnego wyżycia się, co skłaniało do zakładania chórów, do śpiewania w języku polskim i słuchania, do zakładania teatrów amatorskich. Dziś te potrzeby są inne . . .

PRZYWARA: Nie zgadzam się z tym, że zmieniły się potrzeby, zmieniły się tylko formy ich realizacji. Tu zgadzam się z Bogdanem, że człowiek ma stale te same ludzkie potrzeby i na tyle nie zmienił go w tym czasie rozwój nauki i techniki, że stale jest w nas to samo.

ZWROT: Bogdan mówił o potrzebie spotkania się, życia w kolektywie. Na wsi środowisko było zintegrowane, znali się wszyscy. Teraz powstają nowe osiedla, gdzie jako pierwszą i podstawową odczuwa się potrzebę spotkania się, tam ta potrzeba jest pierwszoplanowa i stale narasta. Nowa generacja żyje w innych warunkach, kulturę ma w telewizji, w prasie . . .

BOGDAN: To wcale nie jest nowa potrzeba. Na pewno potrzeba kontaktu z ludźmi istnieje od dawna . . .

ZWROT: Ale teraz np. nie ma już tak dużej potrzeby oglądania kultury w wykonaniu zespołów PZKO. Ludzi bardziej ciągnie spotkanie międzyludzkie niż sam program kulturalny.

PRZYWARA: Kiedyś potrzeba spotkania się na wsi była zaspokajana, a teraz w osiedlach tego rzeczywiście nie ma. Różnice są więc na pewno, te czterdzieści lat, które nas dzielą od powstania PZKO, miały wpływ na zmianę stylu życia i wyraźnie się dziś przejawiają. Nie możemy już brać za wzór modeli

pracy z tamtych lat, czyli np. modelu pracy zespołu teatralnego czy chóru, dobrych na tamte czasy. Dlatego staramy się dyskutować na te tematy i szukać nowych form, dlatego między innymi to całe Forum.

ZWROT: Dlaczego młodzieży nie odpowiadają takie formy działalności, jak np. chór?

RASZKA: Potrzeba spotkania albo forma tego spotkania jest dana warunkami, w jakich człowiek w danym momencie żyje. Wspomniałeś o osiedlach — to wielki problem w życiu PZKO-wskim. Nie chcę krzywdzić ludzi mieszkających na osiedlach, bo nie we wszystkich wypadkach są właśnie tacy, ale większość z nich jest za wygodna, wystarcza im to, że usiądą przed telewizorem. Ludzie ze wsi, którzy kontakt z sobą mają bliższy, są może przyzwyczajeni do innego, w pewnym sensie twardszego życia, i do tego, żeby coś robić. Na ludziach w osiedlu nie można polegać. Podam przykład: w Trzyńcu-Osiedlu Klub Młodych liczy mniej więcej 300 młodych. Niestety, Klub nie jest zdolny do stworzenia jednego własnego zespołu. Oni mogą jeszcze zorganizować raz za dwa miesiące zwykłą dyskotekę, gdzie przychodzi ich sporo, ale to wszystko. Do samej organizacji i likwidacji imprezy pozostaje garstka ludzi — a dyskoteka to najprostsza forma działania. Jak trzeba wymyślić coś ambitniejszego, to nie ma ludzi. Dalszy przykład: Oldrzychowice — a więc wieś w prawdziwym znaczeniu tego słowa. Tam działa wzorowo zespół taneczny, zespół teatralny i inne. Wędrynia to samo. Wiele zależy od ludzi, którzy tym kierują.

ŁACEK: Od tego powinno być Forum, które powinno nakreślić kształt działania, jak wyjść z tej sytuacji w miastach.

PRZYWARA: Widzę przyczynę tego wszystkiego nie tylko w ludziach, ale w tych, którzy nimi kierują. Dość długo szukano metody, jak podnieść kutlurę na wsi, jak ją organizować. To sprawa bardzo stara, dotycząca już budzicieli narodowych sprzed ponad 100 lat. Teraz trzeba się poważnie zastanowić, jak dotrzeć do ludzi na osiedlach. Tego próbuje mało kto, nie wiem, czy udaje się to SZM-owi, bo oni raczej koncentrują się na zakładach pracy i szkołach. Tego nie umieją nawet doświadczeni działacze PZKO-wscy, którzy rzeczywiście potrafią ludzi zmobilizować. W tym kierunku również powinna pójść dyskusja na Forum.

RASZKA: Najważniejsze to zyskać sobie ludzi zdolnych do tego, żeby prowadzili innych.



fot. PIOTR WOJOCZEK

KOKOTEK: Z tym się nie zgadzam, choć w sumie na to wygląda. Nie mam żadnego doświadczenia z pracy w mieście, a mając skromne doświadczenia z pracy na wsi twierdzę, że o wiele lepiej się organizuje te sprawy w mieście. O ile są warunki lokalowe, to jest wszystko.

PRZYWARA: Warunki lokalowe nie wystarczą. Trzeba mieć ludzi, i to takich, jak ty i paru innych zapaleńców.

KOKOTEK: Ale o ile w Stonawie jest dziesięciu młodych ludzi i ośmiu chodzi do Klubu, to w mieście, gdzie jest 300 młodych, do Klubu powinno przychodzić 260. I ja nie wierzę w to, że tak nie jest.

ŁACEK: Tobie dobrze mówić, bo zyskałeś kilku zapaleńców, wspaniałych ludzi, nie zapominaj jednak, że bazujesz na integracji, nie tylko na jednym Klubie, jednym Kole. Bo teraz mówiłeś na podstawie doświadczeń karwińskich?

KOKOTEK: Mówię na podstawie Stonawy . . .

ŁACEK: Mówiłeś o pracy w mieście. Karwińscy młodzi PZKO-wcy są zintegrowani, razem tam pracują ludzie z kilku Kół.

PRZECZEK: Współpracujecie z miastem, taka Apokalipsa czy Wieczór muzyczny były robione przy współpracy wszystkich karwińskich Kół.

KOKOTEK: To dlatego, że w Stonawie jest tylko dziesięciu młodych. Ale każda większa wioska jest zdolna do zorganizowania 20 młodych ludzi, np. Cierlicko, Oldrzychowice itd.

PRZYWARA: Właśnie że nie każda. Dlatego tak ważna jest sprawa wspomnianej tu integracji, która jest jedną z metod czy form na przyszłość, form perspektywicznych, które trzeba przez poparcie Zarządu Głównego upowszechniać.

ZWROT: Sprawę integracji powinno kojarzyć się jeszcze z czymś innym — specjalizacją. Integracja spowodowałaby powstawanie ogromnych organizmów, m. in. administracyjnych. Ale byłaby możliwość powstania w jednym Kole np. zespołu tanecznego na cały obwód, a w innym kole na tych samych zasadach zespołu teatralnego. No bo wszystkiego robić nie można.

ŁACEK: Na podstawie Karwiny próbujemy robić taki eksperyment. Udało nam się stworzyć ROKM (Radę Obwodową Klubów Młodych), która zrzesza nie po jednym członku każdego klubu, ale więcej ludzi. Oni organizują powiedzmy 2—3 imprezy, żeby dać impuls poszczególnym Klubom Młodych do samodzielnej działalności.

PRZYWARA: Zdobędą w ten sposób nie tylko doświadczenia, ale przede wszystkim kontakty.

RASZKA: Nikt nie twierdzi, że w ROKM-ie musi być tylko jeden przedstawiciel każdego Klubu. Tam powinni być ludzie z danego Klubu czy Koła, którzy coś znaczą, którzy są zdolni coś wymyślić i na których można polegać.

KOKOTEK: Przed chwilą padło tu pytanie, dlaczego młodzi nie chcą śpiewać w chórach? Przyczyn jest wiele. Jedną z nich widziałbym w tym, że u młodych istnieje wrodzona potrzeba negacji tego, co było, i tworzenia czegoś innego.

PRZYWARA: Jako dalszy przykład podałbym tu powstały niedawno chór, który jest negacją negacji.

KOKOTEK: Następuje renesans starych form, sprzed 40 lat. Ja np. przeglądałem różne dawne pisma, gdzie przeczytałem o chórach rewelersów. Kiedy przyszedłem z tym do naszej młodzieżowej braci PZKO-wskiej, to, o dziwo, ich też to zaciekawiło.

ZWROT: Można by powiedzieć, że młodzi nie bardzo mają ochotę wiec to, co już istnieje, natomiast mają nieraz ochotę ponownie, ale inaczej, zrobić to, co kiedyś już było.

KOKOTEK: To wychodzi z tej samej negacji. U nas w Stonawie jest już przesyt dyskotek, telewizji, wideo i na innym poziomie wraca się do tych starszych form. To należy wykorzystać.

RASZKA: Coś w tym jest, bo np. u nas w Wędryni graliśmy „Ondraszka", gdzie na 45 osób grało 25 do lat dwudziestu. Sprawa niby przeżyta, niby nie pociąga młodych, ale ich to tak wciągnęło, że ci, co grali po raz pierwszy, na pewno znowu spróbują.

KOKOTEK: Może należałoby wymyślić taki „podstęp", bo to chyba na tym polega, by

wykorzystać tę naturalną skłonność młodych do negacji i tworzenia czegoś nowego?

PRZYWARA: Na tym powinna opierać się działalność takich ciał, jak Sekcja Młodzieży Związkowej, tych, które pracą młodzieży kierują. Ich metodą pracy powinno być właśnie to szukanie „podstępu". Tego, niestety, nie robią. Już całe to Forum jest trochę jakby „podstępem". A polega on na tym, że chcemy przekonać młodych, że to jest autentyczna reakcja młodzieży na jubileusz i że właśnie taka impreza jest potrzebna.

PRZECZEK: Ale w terenie na razie kojarzy się to ze sprawą oficjalną.

PRZYWARA: Może Bogdan, który ma bezpośrednie kontakty ze środowiskiem, nam powie, jak to jest w terenie odbierane. Czy oni to rzeczywiście widzą jako coś formalnego?

KOKOTEK: To smutne, odnoszę wrażenie, że oni tego w ogóle nie widzą. Moim zdaniem o Forum wie stu ludzi, może więcej, a powinno wiedzieć powiedzmy 5 000.

ŁACEK: Forum to wielkie słowo. Uważałbym to za pierwszy wstępny etap. To powinien być impuls, który młodzież rozrusza. Sami powinni się przekonać, że to nie jest jakaś oficjalna konferencja czy zebranie, ale że coś rzeczywiście zacznie się dziać.

RASZKA: Myślę, że renoma danej imprezy zależy od tego, jacy ludzie ją organizują.

PRZYWARA: Dlatego trzeba na tych spotkaniach przed imprezą ogólnozwiązkową, centralną, ludzi przekonać, by próbowali na te tematy dyskutować. Chcemy, by tę analizę własnych sukcesów i porażek potraktowali poważnie i by na to cieszyńskie Forum przyszli przygotowani.

ZWROT: Powiedzieliście tu, że Forum to powinien być finał pierwszego etapu, gdzie przedstawione zostaną pewne doświadczenia, ludzie to usłyszą i co dalej?

KOKOTEK: Powinien zmienić się w ogóle styl pracy i to w takim sensie, że choć PZKO to organizacja społeczna, powinno obarczać się przewodniczących ROKM-ów i Klubów pewną odpowiedzialnością i rozliczać ich z tego. Chwalić ich za pracę i ganić. A na razie takiego systemu pracy nie widzę. To powinno się radykalnie zmienić.

PRZECZEK: Ale my się boimy krytykować, bo ktoś może się obrazić.

RASZKA: Ja nie widzę innej szansy, jak ta, by znalazło się znowu paru takich „głupich" zapaleńców, którzy znowu będą naciskać na innych, o których wiedzą, że coś potrafią zrobić. Zadania w pewnym sensie wypłyną z samego Forum, czyli będziemy wiedzieć, czego się chwycić. Dużo zależeć będzie od aktywistów, którzy będą do szeregów wkuwać, co należy robić. Chcielibyśmy, by to dalsze Forum osiągnęło wyższy stopień, poziom, i wyższą rangę.

PRZYWARA: Jeśli my Forum zrobimy dobrze, to znowu paru ludziom doda chęci do działania i oni postarają się o to, by tę pałeczkę przekazać następnym. O tym, czy to dalsze Forum powinno być na wyższym poziomie, czy też nie, nie ma co dyskutować, bo musi ono być na miarę czasu.

ZWROT: Jaką rolę ma odegrać Forum w roku 40-lecia PZKO?

PRZYWARA: Od tego zaczynałem i od tego zaczyna się w „Suplemencie" w artykule „O co właściwie chodzi?". Ujmujemy to tak, że Forum jest reakcją na jubileusz. Młodzi tak właśnie reagują, że zamiast robić akademię na cześć tych, których nie znali lub znają ich z gazet, raczej robią dyskusję, gdzie pomówią o tym, co zrobić, żeby można było obchodzić dalsze jubileusze, 80-lecia, nawet 100-lecia PZKO. Chcemy, by już dzisiaj starali się robić wszystko, by to 100-lecie można było obchodzić niemniej hucznie, jak tegoroczny jubileusz. Musimy młodych nastawić, by tak to czuli.

RASZKA: Chyba myślisz o tym, by w tym 40-leciu, o którym tak wiele się mówi i organizuje się z tej okazji tak wiele imprez, młodzi mieli swój własny wkład.

PRZYWARA: Zaryzykuję tu takie twierdzenie, że gdyby nie było 40-lecia, to nie byłoby Forum. Pomysł by leżał i w końcu nie zostałby zrealizowany. Może to zbyt odważne, zbyt subiektywne, ale tak myślę. W tej atmosferze jubileuszowej, kiedy wszyscy robią coś wielkiego, młodzi też chcą zaznaczyć swoją obecność w życiu związkowym.

MARIA GRZEGORZ
PIOTR PRZECZEK



fot. CZESŁAW GÓRAL

CHCEMY BYĆ SOBĄ

Nie mam zbytniego zaufania do współczesnej muzyki młodzieżowej, kojarzy mi się z określeniami ,,za głośna, banalna, zmanierowana". Postanowiliśmy jednak w redakcji poświęcić czerwcowy numer ,,Zwrotu" sprawom młodzieży, zwłaszcza ze względu na jej związkowe ,,Forum". A jak tu mówić o dzisiejszych młodych ludziach, pomijając muzykę rockową? Skorzystałem więc z zaproszenia szefa młodzieżowego zespołu ,,Brygada" z Gródku dr. Stanisława Czudka i pojechałem na próbę. Odbywała się w niedzielę po południu — jedynie wówczas mogą się spotkać wszyscy i ćwiczyć przez kilka godzin.

W momencie przekraczania progu Domu PZKO w Gródku w salce znajdowały się już wszystkie atrybuty nowoczesnej orkiestry: wzmacniacze, nagłośnienie, kolorowe światła itp. Członkowie zespołu w niczym jednak nie przypominali owych długowłosych, nieraz pomalowanych na różne kolory ,,idoli" nastolatków; ustawiali właśnie krzesła, trzeba było napalić w piecu, zagotować wodę na herbatę (to dopiero początek kwietnia, pamiętamy tegoroczną chłodną wiosnę). Kolejno zaczęli dostrajać instrumenty, czasami nawet wydawało mi się, że po prostu bawią się takim przypadkowym, próbnym muzykowaniem. Lider zespołu sprawdził mikrofon, po czym zaczął stroić . . . skrzypce. Słuchałem przez chwilę prób, zagrali kilka piosenek, tym bardziej jednak byłem skłonny zapytać przede wszystkim: — Co to ma być? Przecież miałem być na próbie zespołu rockowego, tymczasem wasze melodie kojarzą się ze wszystkimi innymi stylami, tylko nie z tym właśnie najpopularniejszym . . .

— Z tym naszym stylem były od początku kłopoty — wyjaśnia Andrzej Macoszek, dziewiętnastolatek, student Fakultetu Pedagogicznego w Ostrawie — bo nawet fachowcy nie wiedzą, gdzie nas zaszeregować. Ani ,,punk", ani ,,heavy metal" czy ,,reggae". Gramy chyba coś między tym . . .

Podpowiada (tą samą gwarą co inni, choć jest rodzonym Czechem) gitarzysta,

z zawodu elektryk, najstarszy w zespole Petr Králíček: — Kiedy mnie koledzy pytają ,,Co ty właściwie grasz z tymi Polakami?" to zawsze mówię ,,No, taki bigbitek . . ."

— Byliśmy w 1985 roku w Jarocinie — przypomina Stanisław Czudek — no i tam w każdym dniu prezentowano inny styl. I też był kłopot, bo nie pasowaliśmy do żadnego z nich. Widocznie nas w ogóle nie da się zaszeregować.

Zbigniew Kotas, perkusista, lat 27, z zawodu ślusarz: — To są w nowym składzie dopiero nasze początki, może z czasem dojdziemy do jakiegoś stylu, ale na razie gramy z każdego coś. Z tym, że teksty już swój własny styl mają . . .

Nie jestem fachowcem, pomimo to jednak — bez względu na zapewnienia samych członków ,,Brygady", iż swojego wyrazu dopiero szukają, zauważyłem w ich piosenkach, w poszczególnych melodiach, jakiś jednoczący rys, znajdujący się może nawet poza warstwą muzyczną.

— Może chodzi o to — konkluduje ostatni z tej piątki, dwudziestosiedmioletni elektryk, gitarzysta zespołu Bogusław Czudek — że cały nasz program tu ma swoje korzenie. Nie tylko w słowach, ale i w muzyce, w tym, jak akordy idą za sobą, jest chyba coś śląskiego. Jest to . . . takie nasze. Śląska fala, rockowy styl przetrawiony przez śląską duszę.

Powiadają, że jest ta nasza dusza rogata. W Gródku widać tak jest nadal, no bo powiedzcie sami — komu przyszłoby do głowy grać jak najbardziej nowoczesną muzykę ,,po naszemu". Nie dość tego: tak samo pisane są teksty. Ich gwara jest jednak jakaś inna, drażniąca wieloma odchyleniami od formy, z jaką spotykamy się dziś w materiałach folklorystycznych. Widać, że dyskutują na ten temat dość często, odpowiadają spontanicznie: — Śpiewamy w gwarze, bo chcemy być sami sobą. Folkloryści na pewno by nam zarzucili, że to nie jest ,,czysta gwara". Ale czy można w ogóle dokładnie określić, która jest czysta?

— Jest to powiedzmy język, jakim mówi się od Cieszyna po Jabłonków . . .

— Tak się u nas mówi, obojętne, czy ktoś ma narodowość polską czy czeską, ale tak się u nas mówi!

— Według mnie trzeba śpiewać w tym języku, bo on powoli znika. Uważam, że dobrze robimy, kiedy śpiewamy ,,po naszymu" (to słowa gitarzysty Králíčka, skorzystałem więc z okazji, by dowiedzieć się czegoś więcej właśnie o nim). Jestem trzyńczanem, tu się urodziłem, teraz mieszkam w Bystrzycy. Mam narodowość czeską, dzieci posyłam do czeskiej szkoły. One mówią raczej po czesku. Ale ja z nimi często mówię właśnie tak ,,po naszymu", żeby ten język nie zaginął. My na przykład w szkole mieliśmy zabronione tak mówić, można było tylko po czesku, a to mi się nie podoba. Dlatego myślę, że trzeba ten język zachować choćby w muzyce rockowej.

— No, jak mnie mama nauczyła mówić — uzupełniają go pozostali — tak chcę też śpiewać.

— Każdy, kto pisał dawniej gwarą, czy to Wawrosz czy inni, miał swoje zasady tworzenia. Ale dziś musimy widzieć, że naleciałości jest coraz więcej, zwłaszcza czeskich. I my również to chcemy odnotować, zachować rzeczywisty język lat siedemdziesiątych na tym terenie.

— Byliśmy z innym zespołem w Brnie, Ołomuńcu, tam też śpiewaliśmy gwarą, ale nigdy nie spotkaliśmy się z czymś takim, by to komuś przeszkadzało. Zawsze to traktowano na równi z innymi.

Zespół jest oryginalny pod każdym względem — gra w nim student, lekarz i robotnik, Polacy i Czech, wcześniej interesował się każdy czymś innym: P. Králíček grał ,,folk", Zbyszek Kotas country, Andrzeja Macoszka sami oceniają jako ro-







fot. PIOTR PRZECZEK

mantyka, Bogusława Czudka jako „folkowca z pierwiastkami rockowymi". W sumie daje jednak ta mieszanka ciekawe efekty, które ocenić można na koncertach (choć praktycznie w nowym składzie przed moim spotkaniem z „Brygadą" jeszcze ich nie było). Mówiliśmy o formie muzycznej, o języku, o pracy zespołu i jego problemach — przecież zorganizowanie nowocześnie wyposażonej orkiestry to dziś przede wszystkim sprawa pieniędzy, tysięcy koron. Pomimo to opis spotkania z zespołem młodzieżowym można by w tym punkcie zwyczajnie zakończyć, gdyby nie . . . to najważniejsze (moim zdaniem). Często można usłyszeć krytyczne słowa pod adresem tekstów nowoczesnych, zwłaszcza rockowych zespołów. Tymczasem „Brygada" właśnie w nich ukrywa sens swojego istnienia. Ich autorem jest lider zespołu, dr Stanisław Czudek. O czym pisze? „Siedzim se w gospodzie przi dziesiońtym piwie, a łod rozmyślanio głowa mi uż siwnie, bo mi dzisio Hela moja powiedziała, że se mie wziónć musi choć tego nie chciała" (Hela), „Wrzask w pieluchach ciepłe słowa mamy piyrszi nieśmiałe kroki sine czoło śmiych bez zymbów po kolana w Olzie czymu na co jako co to bylo" (Album), „Bo niejedyn z ludzi byłby strasznie rod, aby bez roboty piniónd z nieba spod" (Kury), „Uż pyndziałek rano nie chce sie mi stować, po dwóch dniach wolnego zaś móm iść harować" (Tydziyń), „Kumin za kuminym puszczo czorny dym, jo to ale dali dychoł nie bedym" (Krzipiym). Czasami żartobliwie, z przymrużeniem oka, czasem z całą brutalnością obnaża zwyczaje, codzienne życie. Niby nic oryginalnego, wszak w ten właśnie sposób powstawały piosenki ludowe przez stulecia . . . gdyby nie właśnie to! Przez stulecia codzienne życie znajdowało swoje odbicie w spontanicznie tworzonych pieśniach. Dziś — odtwarzamy tamte piosenki, z łezką w oku wspominamy, szanujemy i chronimy od zapomnienia. Zachłystując się nieraz przeszłością pomijamy podstawową naukę, jakiej nam ta właśnie historia udziela — że dla potomnych powinniśmy przede wszystkim odnotować nasze własne problemy, doświadczenia życiowe, radości i smutki. Następne generacje, jeżeli zechcą poznać nasze życie i to, jak odbijało się w spontanicznej twórczości muzycznej, sięgną niewątpliwie do tej, która właśnie się rodzi.

Nie tworzą jednak członkowie „Brygady" swoich piosenek na pewno z myślą o historii, odbiorcy szukają bliżej.

— Chcemy śpiewać i grać dla takich ludzi, jak my.

— Po prostu dla ludzi, którzy mają — od piętnastu do stu lat.

— Jeżeli chcę coś powiedzieć, to muszę zwracać się do wszystkich.

— Chcemy pokazać życie regionu, ale nie tylko u nas, również poza nim. Chcemy pokazać to normalne życie, codzienne.

Nieraz słyszymy, że „trzeba pracować z młodymi, trzeba ich poznać i zrozumieć". Gródecka „Brygada" w swoich piosenkach (a nie są one wcale takie głośne, by ucho dorosłego człowieka nie mogło ich słuchać) daje szansę wprowadzania tego hasła w życie.

PIOTR PRZECZEK

ZAPAŁ NIE POZWALAŁ NA CHWILĘ WYTCHNIENIA

W publicystycznych powrotach do początków PZKO nie sposób pominąć takiego ważnego rozdziału w powojennym życiu nadolziańskiej społeczności polskiej, jakim była sześcioletnia aktywna egzystencja Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej. SMP było co prawda niezależną od PZKO organizacją, ale zarówno fakt jego istnienia, jak i niebanalna ruchliwość rzutowały na późniejszy dorobek kulturalno-oświatowy właśnie PZKO. Sporo na ten temat ma do powiedzenia jeden z prezesów ówczesnego Zarządu Powiatowego SMP w Czeskim Cieszynie, Karol Hracki — obecny wiceprezes MK PZKO w Olbrachcicach a do ubiegłego roku długoletni jego prezes. Tym, co spamiętał z tamtych lat, a także komentarzem do wydarzeń, które go bezpośrednio bądź pośrednio dotyczyły, chętnie się ze mną podzielił. Za moim pośrednictwem zaś z Czytelnikami „Zwrotu".

Przed wojną na naszym terenie istniało wiele organizacji robotniczych, kulturalno-oświatowych i wyznaniowych. Przy każdej z nich działał chór, a czasami dwa. A chóry te zrzeszone były w Związku Polskich Chórów w Czechosłowacji. Monografia wydana w 1937 roku na 10-lecie tego Związku mówi, że do ZPCh należało 112 zespołów śpiewaczych. To była masa . . . Kiedy zjechały się na wspólne imprezy, to nie ulegało wątpliwości, że reprezentują społeczeństwo niezwykle aktywne, rozkochane w kulturze polskiej. Później okupacja — koniec chórów, zmierzch wszystkiego, co polskie. Ale po wyzwoleniu natychmiastowe odrodzenie entuzjazmu. Żywioł polski — nie splamiony kolaboracją z Hitlerem — podniósł dumnie głowę, przystąpił z werwą do ożywiania polskich tradycji kulturowych na tej ziemi. Nim powołano SMP i PZKO „polski teren" z przyjemnością dawał znać o sobie reaktywując stare albo też zakładając nowe chóry. Organizowano publiczne występy — na przykład na dożynkach. Ale było to możliwe tylko za pozwoleniem urzędu zwanego „Spolkové oddě-

lení Okresního národního výboru". W urzędzie tym składało się repertuar — nuty, teksty piosenek, a odpowiedni decydent wyrażał zgodę na to, albo też nie, aby polski chór mógł publicznie wystąpić na imprezie gminnej. W Śmiłowicach mieliśmy chyba z pięćdziesięcioosobowy chór, ceremoniał uzyskiwania zgody na jakikolwiek występ zawsze był taki sam. Fojt Kiša strasznie lubił, jak nasz chór śpiewał przy różnych wiejskich okazjach, chętnie nas więc zapraszał, nigdy jednak nie obeszło się bez zezwolenia „spolkového oddělení". Przytoczę epizod z dożynek. Po części oficjalnej, w toku zabawy ktoś zaintonował „Płyniesz Olzo", chór się dołączył i rozpoczął się spontaniczny festiwal piosenki polskiej i swojskiej. Wtem z tłumu wyłonił się nieznany osobnik i odezwał się w te słowa: „To, co jsme vám povolili zpívat, to máte odzpíváno, a včil klid!" Nikt się nie przestraszył i chłopa pogoniliśmy do granic Śmiłowic. Szczęśliwie odbyło się bez jakichkolwiek dla nas przykrych konsekwencji, ale warto o tym zdarzeniu pamiętać, bo jest ono charakterystyczne dla tego okresu.

Nasza aktywność wzrosła, kiedy zaczęto głośno mówić o szansie założenia polskich organizacji kulturalno-społecznych. Na przełomie lat 1946 i 1947 spotykaliśmy się już w celu omówienia statutów, które — jak wiem — przygotowała grupa działaczy skupionych wokół „Głosu Ludu". Po zatwierdzeniu statutów przez władze okręgowe w Ostrawie przystąpiliśmy do organizowania po wsiach i miastach kół miejscowych PZKO i grup SMP. O ile mnie pamięć nie myli, z początkiem roku 1948 odbyły się konferencje powiatowe, na których wybrano zarządy powiatowe SMP. Znak SMP okrągły — na czerwonym tle biały napis SMP. Naszywki takie nosiliśmy na rękawach koszul.

Konferencja powiatowa w Czeskim Cieszynie wybrała na przewodniczącego Zarządu Powiatowego SMP inż. Pawła Morcinka. Sekretarzem został Jan Łabaj, brat Emila i Rudolfa. Ja zostałem członkiem tego zarządu. Nasza siedziba mieściła się w hotelu „Piast".

Chciałem podkreślić, że aparat i członkowie tego zarządu wyjeżdżali do terenu na wszystkie zebrania członkowskie. Nie było zebrania członkowskiego SMP, na którym by nie był obecny przedstawiciel zarządu powiatowego. Zresztą do „mas" wyjeżdżało się z dużą ochotą. Zapał i entuzjazm nie pozwalał nam na chwilę wytchnienia. Robota paliła nam się w rękach. Za podstawę naszej działalności uznaliśmy amatorski ruch kulturalny i artystyczny, a także pracę oświatową. Młodzieży nie trzeba było spraszać, agitować. Frekwencja na zebraniach czy próbach zespołów bywała niemal stuprocentowa. Tylko szychta popołudniowa albo nocna była konkurencją dla obowiązków w SMP. Zresztą w niejednej miejscowości jedynym organizatorem życia kulturalno-oświatowego była właśnie tylko ta organizacja. Odczyty, chóry, zespoły taneczne, teatralne,



fot. KAZIMIERZ SANTARIUS

świetlice — oto naczelna treść naszej pracy. W silniejszych grupach, które posiadały zdolną kadrę kierowniczą i dobrych liderów, urządzało się tak zwane świetlice pokazowe dla grup małych i nie nadążających za potrzebami własnego środowiska, ale ambitnych i chcących coś znaczyć na SMP-owskiej mapie.

Co robiło PZKO? Było taką jakąś organizacją gospodarczą. Tak to przynajmniej wtedy odczuwaliśmy. Troszczyło się — ja wiem — o budynek hotelu „Piast", o schronisko na Kozubowej, w Olbrachcicach o Dom Robotniczy... Kiedy się schodziły obydwa te zarządy powiatowe SMP i PZKO, to czasami przygadywaliśmy pezetkaowcom: „wyście są od kulanio piwnych beczek do gospodowych piwnic a my od robiynio kultury". Były wyjątki — na przykład w Olbrachcicach, gdzie zespół taneczny, uprawiający tańce śląskie, tworzyli ludzie starsi wiekiem, a więc członkowie PZKO.

Tak, członkowie SMP mogli jednocześnie należeć do PZKO. To się wzajemnie nie wykluczało. Specjalnej rywalizacji raczej nie było, jako że każda z tych organizacji miała wydzielone pole działania. Raczej panowała zgoda i życie w symbiozie. Czasami tylko, kiedy młodzież prosiła PZKO o wsparcie finansowe: „nagospodarzyliście, to dajcie nam na pożyteczne cele" — odzywały się pod naszym adresem krytyczne głosy seniorów.



Oczywiście, na Podbeskidziu działały grupy Związku Młodzieży Czeskiej. Ale nie stanowiły dla nas konkurencji. Na zewnątrz pokazywały się zakładając również zespoły chóralne czy taneczne, lecz były to grupy nieliczne i z niewielką bazą członkowską. Oni raczej w zakładach pracy się organizowali, wioski to był teren naszej działalności. W Olbrachcicach, gdzie się ożeniłem, była podobna sytuacja. W miejskich środowiskach to może wyglądało inaczej, jednak w wiejskich prym wiodła przede wszystkim młodzież spod znaku SMP.

SMP było członkiem kolektywnym Ústředí mládeže Československé republiky, wspólnie z Czeskim Związkiem Młodzieży, Słowackim Związkiem Młodzieży, Związkiem Młodzieży Karpat, Związkiem Młodzieży Ukraińskiej.

Po Morcinku przewodniczącym Zarządu Powiatowego SMP została Hela



fot. KAZIMIERZ SANTARIUS

Morżoł, a po Morżołównie ja. Moja kadencja trwała od roku 1951 do drugiego połączenia młodzieży. Pierwsze połączenie nastąpiło w 1949 roku. Wchodziłem w skład 11-osobowej delegacji naszej młodzieży, która była obecna na tym pierwszym zjeździe połączeniowym w Pradze. Wtedy też powstała organizacja pionierska. Łączyliśmy się w Czechosłowacki Związek Młodzieży, ale zachowaliśmy częściową autonomię. Nasza firma brzmiała Czechosłowacki Związek Młodzieży — Sekcja Młodzieży Polskiej. I tak się to utrzymało do roku 1953, kiedy doszło do całkowitego zjednoczenia ruchu młodzieżowego w CSR. Wtedy to SMP zanikło, a polskie grupy młodzieżowe w terenie połączyły się z czeskimi w organizacje podstawowe CZM. Samodzielne pozostały tylko organizacje CZM przy polskich szkołach średnich. Specjalna umowa w KO CZM gwarantowała nam prawo do stosowania języka polskiego i wyżywania się w kulturze rodzimej. Niestety umowa ta pozostała tylko na papierze, jej wprowadzenie w życie okazało się sprawą trudną. Nie przypominam sobie, aby w którejkolwiek organizacji podstawowej CZM w terenie działał polski zespół taneczny czy chóralny. I tak więc nasza przysłowiowa aktywność kulturalno-oświatowa zanikła. Może częściową winę ponosi znane hasło, rzucone wówczas przez władze nadrzędne CZM, które brzmiało: „Pryč s kulturničením, mládeži patří výrobní úkoly". W myśl tego hasła młodzież nie powinna była organizować życia kulturalno-oświatowego. Ale nie upłynął rok, a ten sam Komitet Centralny CZM postawił przed młodzieżą zadanie „rozvíjejte bohatou kulturní činnost".

Chcę jednak podkreślić, że nasza młodzież i PZKO masowo włączyły się do popierania rewolucji ludowej. Nasi ludzie wiedli prym w wioskach, dostawali ważne zadania polityczne i gospodarcze, które wypełniali w stu procentach. Młodzież uczestniczyła w procesie socjalizacji wsi, budowała nowe obiekty gospodarcze.

Jak więc powiedziałem, ten początkowy zapał SMP-owców zaczął stopniowo słabnąć. Gdyby ta umowa o naszym prawie do rozwijania kultury polskiej została przez nas wykorzystana, to nie doszłoby do takiego regresu. Przykro mi z tego powodu — tym bardziej, że wspólnie z Ernestem Sembolem, przewodniczącym karwińskiego zarządu powiatowego SMP, walczyliśmy o każdy punkt tej umowy. Nie było nam łatwo. Osiągnęliśmy też to, że legitymacje członkowskie CZM były początkowo dwujęzyczne.

Jak potoczyły się losy ludzi z SMP? Część przeszła do PZKO wraz ze swoją wolą kontynuowania działalności kulturalno-oświatowej. Inni pozostali na uboczu. Należeli wprawdzie do PZKO, ale nie włączyli się do pracy z taką aktywnością, z jaką działali w SMP. Trzeba też wiedzieć, że w tych czasach pokutowała teza: „PZKO ruce pryč od mládeže!" — Błędna, oczywiście! Uważam, że każda organizacja ma prawo wychowywać swój narybek i obowiązek w pełni korzystać z tego prawa. Zresztą nie tylko ja tak uważam. Takie jest oficjalne założenie władz centralnych Frontu Narodowego.

Komu zależało na tym, aby środowisko polskie na Śląsku Cieszyńskim tętniło życiem i oddychając pełną piersią rozkwitało kolejnymi dokonaniami na polu kultury, długo nie marnował czasu na rozpaczaniu nad zanikiem Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej czy Sekcji Młodzieży Polskiej przy Czechosłowackim Związku Młodzieży i włączył się do działalności PZKO.

Zanotował i opracował
KAZIMIERZ SANTARIUS

SZKOŁA USPORTOWIONA

czyli recepta na sukces

Bystrzycka polska szkoła podstawowa ma szczęście do nauczycieli wychowania fizycznego, którzy dzieciom prócz obowiązkowych godzin lekcyjnych poświęcają także swój wolny czas. Doskonałe owoce wydaje także współpraca ze Stowarzyszeniem Rodziców i Przyjaciół Szkoły. W dyrekcji szkoły spotykam się z nauczycielką wychowania fizycznego Wandą Tomčala oraz rodzicem, Janem Konderlą, współtwórcami bystrzyckiego sukcesu. Trzecim decydującym czynnikiem, jak zgodnie podkreślają obaj moi rozmówcy, jest sprzyjający klimat stworzony przez kierownictwo szkoły, dyrektora Stanisława Paszka oraz jego zastępcę, Marię Podzemną. Bez tej atmosfery i bez zaplecza materialnego, którym SRPS oraz MK PZKO wspomaga dzieci zwłaszcza w zakresie sprzętu sportowego, niewiele można by osiągnąć.

Pretekstem do spotkania stało się już pięciokrotne zwycięstwo bystrzyczan w Zjeździe Gwiaździstym, międzyszkolnych zimowych mistrzostwach szkół podstawowych z polskim językiem nauczania. W trakcie rozmowy okazuje się jednak, iż sukces ten jest wynikiem przemyślanego i systematycznego wdrażania koncepcji wszechstronnego usportowienia bystrzyckiej młodzieży. Nie tylko sporty zimowe, ale również lekkoatletyka jest mocnym atutem uczniów tej szkoły na różnych imprezach sportowych.

Wielka to zasługa sprawnie działającej w ramach SRPS-u komisji sportowej, której długoletnim szefem był inż. Stanisław Hławiczka. Jego następcą jest inż. Mitręga.

Wanda Tomčala jest szefową gimnastyczek, prócz niej uczą tego przedmiotu jeszcze Iwona Mucha, Irena Gorzyk, Anna Zmelta i Władysława Sikora. *W roku ubiegłym uczniowie naszej szkoły wystartowali aż w 26 imprezach sportowych — letnich i zimowych* — informuje mnie. — *Braliśmy udział w „Sportowej Lidze Pionierskiej", zarówno w biegach, jak slalomie oraz lekkiej atletyce. W biegu osiągnęliśmy w Nydku, gdzie odbywały się te zawody, doskonałe wyniki. Siedmiu uczniów zakwalifikowało się do następnej powiatowej rundy. Tak samo było w roku ubiegłym. Następne zimowe zawody obronne pn. „Zawody młodych obrońców granic" odbywają się w Nydku. Jeszcze inne, zorganizowane dla obu bystrzyckich podstawówek, czeskiej i polskiej, przez Front Narodowy i ZPCR, mają miejsce w Pasiekach. Corocznie nasi uczniowie wygrywają je i to z dużą przewagą. Jak na razie nie udaje nam się zwyciężać tylko tam, gdzie startują uczniowie z szkół sportowych, a jest taka szkoła z klasami sportowymi w Trzyńcu. Tam nie mamy szans. To dotyczy konkurencji technicznych. Są jeszcze inne zawody obronne, np. te organizowane przez Teslę Trzyniec. Muszę się*

tu pochwalić — dodaje Wanda Tomčala z satysfakcją — *czymś, czego chyba nie ma jeszcze w żadnej naszej polskiej szkole. Otóż udało nam się zdobyć dwie złote odznaki sprawności.*

Możliwość uzyskania takiej odznaki mają uczniowie wszystkich szkół. Odznakę brązową można zdobyć stosunkowo łatwo, po srebrną sięgnąć już trudniej, a złoto . . . złoto dla wielu jest sprawą nieosiągalną.

Trzeba zaliczyć bieg na 60 i 1 500 m, rzut piłeczką lub granatem u starszych chłopców, skok w dal, wspinanie po linie, starsi uczniowie pływanie. Każda dyscyplina jest punktowana i w zależności od liczby punktów zdobywa się brąz, srebro, złoto lub . . . nic, kiedy rezultaty są słabe. Oczywiście, w każdej dyscyplinie uczeń musi zmieścić się w określonym limicie. Odznak brązowych ma szkoła sporo, nawet srebrnych zgromadzili dosyć dużo, w wyższych kategoriach trochę mniej. Ostatnio dwu uczniów sięgnęło po najwyższą odznakę sprawności.

Najpierw byliśmy pod koniec ubiegłego roku szkolnego w Hradcu Králové — wspomina bystrzycka gimnastyczka — *w ogólnopaństwowym finale złotej odznaki sprawności. Tam nam się niestety nie udało. Mieliśmy fatalne warunki, noc spędzona w autobusie, dopołudnia nie udało się odpocząć a dopiero po południu zawody. Udało nam się dopiero za drugim razem, w tym roku szkolnym jesienią w Ostrawie. Trzeba wiedzieć, że o ile brąz i srebro przydziela sama szkoła na podstawie osiągniętych rekordowych wyników danego ucznia, to złoto zdobywa się właśnie na takich igrzyskach, jednorazowo. Czasami uczeń w szkole wykazuje się odpowiednią, ba nawet wyższą liczbą punktów, ale na zawodach nie zawsze się udaje. Nam się powiodło, trafiliśmy za drugim razem idealnie z formą, szczęście nam dopisało. Dwoma zdobywcami najwyższej odznaki sprawności zostali Darek Wałach i Rysiek Sikora.*

Rysiek Sikora w roku ubiegłym zdobył tytuł najlepszego sportowca szkoły. Był wtedy uczniem klasy szóstej, a wyróżnienie to zazwyczaj przypada w udziale najstarszym, ósmakom. Ten konkurs to również specyfika bystrzyckiej szkoły, nie spotykana chyba



Jan Konderla, inż. Stanisław Szwarc, Władysław Burawa, Wanda Tomčala — twórcy bystrzyckich sukcesów sportowych

w innych naszych szkołach. Zapytana o kryteria, którymi kierują się przy tym wyborze, Wanda Tomčala wyjaśnia:

Organizacja tego rodzaju konkursu wymaga sporo wysiłku od nas, nauczycieli WF. Obowiązuje tu hasło: Dobry sportowiec jest wzorowym uczniem i dobrym reprezentantem szkoły. W najgorszym wypadku jego świadectwo musi być opatrzone dopiskiem „otrzymał promocję bardzo dobrą". Ale najczęściej są to uczniowie celujący. Oczywiście, najważniejsze są wyniki sportowe i to nie tylko w jednym kierunku, ale wszechstronne. Liczymy, ile zdobył złotych medali, ile srebrnych i brązowych. Najlepszy sportowiec musi mieć doskonałe wyniki w lekkiej atletyce oraz w którejś z dyscyplin narciarskich. Doliczamy również ewentualne osiągnięcia z zawodów obronnych. Tablica z nazwiskami i fotografiami najlepszych sportowców wisi na korytarzu naprzeciw wejścia do szkoły.

Rysiek Sikora teraz reprezentuje szkołę na miarę ogólnopaństwową. Uplasował się na trzecim miejscu w mistrzostwach CRS w biegach na nartach. Na mistrzostwach ogólnopaństwowych zajął jedenastą lokatę.

fot. JAN KONDERLA



Nosiciele jedynych złotych odznak sprawności w polskich szkołach podstawowych — Dariusz Wałach i Ryszard Sikora (najlepszy sportowiec szkoły w zeszłym roku szkolnym)

W czasie Zjazdu Gwiaździstego Rysiek startował właśnie w mistrzostwach CRS.

Gdyby był w Mostach, to mielibyśmy na Zjeździe w tej najsilniejszej kategorii wiekowej wszystkie trzy medale — mówi Jan Konderla, trener biegaczy. — *Zwyciężył tam największą różnicą punktów Darek Wałach, a drugi był Roman Cieślar. Tej klasy zawodnik co Rysiek musiałby tam wygrać, przecież już wygrał dwukrotnie.*

Osiągnięcia Ryśka stanowią uzasadniony powód do dumy Jana Konderli. To on przygotowywał chłopca od pierwszej klasy. Dziś mówi o nim: *Aż serce rośnie, kiedy widzę, że udało nam się w naszej szkole wspólnie wychować zawodnika takiego kalibru. Wszędzie dokoła wygrywa wszystkie zawody, włącznie mistrzostw okręgu. Ten syn nauczycielki Władysławy Sikora to ogromny talent i bardzo skromny i sumienny zawodnik.*

Jakie perspektywy ma taka nadzieja sportowa? Okazuje się, że blisko, w Nydku pod skocznią, istnieje ośrodek, w którym młodzi utalentowani biegacze mają szansę rozwijania swoich zdolności i umiejętności. Treningowy Ośrodek Młodzieży pod patronatem Huty Trzynieckiej zrzesza najzdolniejszych zawodników z okolicy. Ryszard Sikora nie jest pierwszym, którego Jan Konderla przekazał z bystrzyckiej szkoły pod fachową opiekę człowieka z uprawnieniami I klasy trenerskiej Jana Ćwika. Przed kilku laty przeszedł do ośrodka jego bratanek, Marian Konderla, teraz uczeń szkoły zawodowej, i René Sikora, ostatnio dwaj najlepsi sportowcy szkoły — Rysiek i Darek. Najzdolniejsi z podopiecznych trenera Ćwika mają szansę dostania się do szkoły sportowej i ośrodka sportu wyczynowego w Jabloncu, gdzie wybierani są najlepsi z wszystkich treningowych ośrodków młodzieży.

Jan Konderla współpracuje z bystrzycką szkołą od wielu lat. Zaczęło się wcześniej, nim starszy z dwu jego synów rozpoczął tam naukę. Dziś jest już w klasie szóstej. To zdolny sportowiec, na Zjeździe zajmuje miejsce zawsze w pierwszej szóstce. Młodszy syn, pierwszoklasita Roman, to talent, chyba jeszcze o nim usłyszymy w przyszłości. W tym roku wygrał bieg na Zjeździe w swojej kategorii. Własne dzieci trenuje Jan Konderla od najmłodszego wieku. Wyznaczył trasę koło domu i tam zabierał ich najpierw na małych nartach. Dzieci uczą się szybko, przyzwyczajają się do tego, że najpierw nie obejdzie się bez upadku.

Tak samo zabiera się do treningu pierwszoklasistów bystrzyckich. Zachęca ich poprzez zabawę. Bardzo ważna sprawa to utrzymanie równowagi, uczyć ich jeździć bez kijków, utrzymania się jak najdłużej na jednej narcie, by wyrobili sobie stabilność.

Wszystko to w ustach trenera młodocianych biegaczy z Bystrzycy brzmi bardzo prosto. Tylko on wie, ile wysiłku i czasu pochłania samo przygotowanie trasy. Bo o ile wymaga się czegoś od dzieci, to w zamian trzeba im dawać tak samo coś z siebie — solidny sprzęt i należycie przygotowaną trasę. Przygotowanie dobrej trasy zajmuje dobre 2—3 godziny. A często, zwłaszcza ostatniej zimy, zdarza się, że w nocy zasypuje ją świeży śnieg i nazajutrz trzeba robić nową.

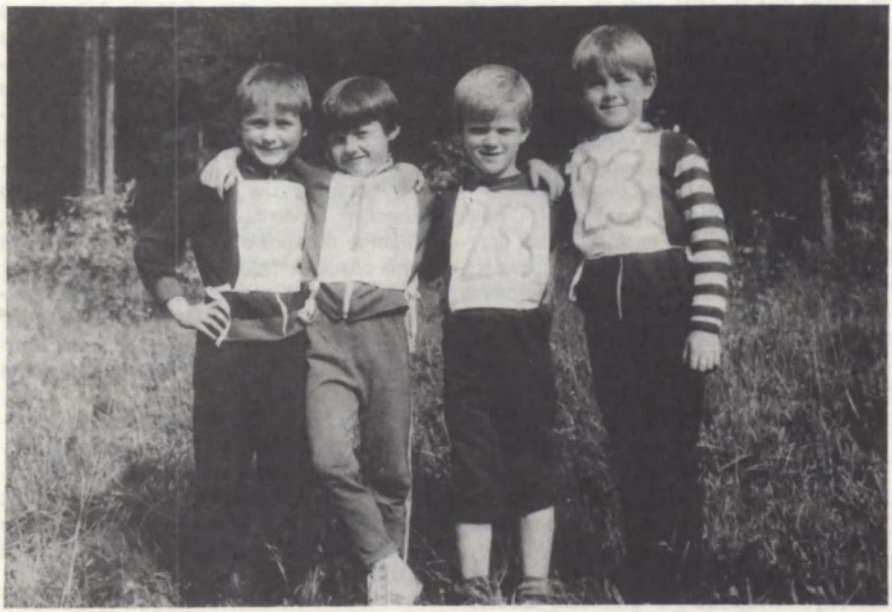
Trasa powinna być odpowiednio szeroka i twarda — wtajemnicza mnie ten ofiarny bystrzycki rodzic — *Najpierw trzeba ją siatkować, to znaczy udeptać do krzyża, dopiero potem robi się ślad (stopę) i utwardza pobocza na kijki.*

Treningami żyje cała rodzina Konderlów. Babcia i mama przygotowują dla zziębniętych maluchów i dla tych starszych ciepłą herbatkę. Rozpoczynają zaraz po lekcjach, o wpół do czwartej dzieci już rozjeżdżają się do domów — do Gródku, Milikowa, Koszarzysk, Nydku i innych miejscowości, skąd dojeżdżają do szkoły. Kiedy nie ma śniegu, wraz z nauczycielkami wychowania fizycznego i innymi rodzicami wyjeżdżają często autobusem do Nydku, skąd znowu wracają wczesnym popołudniem, by dzieci zdążyły odjechać o wpół do czwartej do domu. W treningach pomagają również byli wychowankowie szkoły, już od początku roku szkolnego przeprowadzają tzw. suchą zaprawę w sali gimnastycznej lub na boisku. Wymaga to niezwykle sprawnej organizacji, a zarówno dzieci, jak ich opiekunowie wywiązują się z tego bez zarzutu.

Pozostając teraz przy sportach zimowych, niezwykle ważne jest to, na czym dzieci jeżdżą. O ile chodzi o biegi — to zarówno buty, jak narty i wiązania są stosunkowo tanie. Dużo pomaga tu szkoła. Wymagania co do jakości sprzętu rosną z roku na rok. Kiedyś wystarczały narty drewniane, teraz muszą to być biegówki ze sztuczną płozą, kiedy chce się walczyć o medale. Biegówki kupuje szkoła, co roku kilka par. I tu zaczyna się praca pana Konderli. Wszystkie wiązania trzeba umocować — przed każdym treningiem nasmarować. Wiele pomaga nauczyciel Jan Heczko, który z połamanych wielkich biegówek wyczarowuje małe dla pierwszoklasistów.

Gorzej jest ze sprzętem dla zjazdowców i slalomistów. Jest tak drogi, że szkoła nie może sobie na jego kupno pozwolić. Dzieci jeżdżą wyłącznie na własnym sprzęcie. Wanda Tomčala zajmuje się właśnie tą grupą

Najmłodsi bystrzyccy zawodnicy w biegu przełajowym w Łomnej Dolnej



fot. JAN KONDERLA

dzieci, sekunduje jej w tym kilkoro rodziców, najbardziej aktywnie inż. Mitręga, prezes komisji sportowej.

O ile konkurencje biegowe wymagają głównie doskonałej kondycji fizycznej — wyjaśnia mi gimnastyczka z Bystrzycy — *to w zjeździe liczą się przede wszystkim umiejętności, a tego w szkole nie jesteśmy w stanie nauczyć. Dziecko musi uzyskać podstawy w czasie treningów z rodzicami. Jeżeli rodzice nie zechcą kupić dziecku nart, wiązań i butów, bardzo drogich, i nie zaczynają jeździć z nimi od najwcześniejszego dzieciństwa, to my tego później nie nadrobimy. W konkurencjach zjazdowych startują więc nie tylko najlepsi, ale ci, którym rodzice fundują sprzęt i uczą jeździć. Dziecko podstawowe umiejętności zdobywa jakby prywatnie, my zajmujemy się tylko „dopiłowaniem". Chodzimy z nimi na treningi, ale dzieci jest tak dużo, że często nie ma czasu zajmować się każdym indywidualnie.*

Kiedyś na Zjeździe biegi wygrywały dzieci z Jabłonkowa, Łomnej, Mostów, z wiosek typowo podgórskich, gdzie było najwięcej trenerów, jeżdżących w jakimś klubie sportowym. Ostatnio w konkurencjach biegowych bezapelacyjnie wygrywa Bystrzyca. Ale nie tylko w biegach. Czas wrócić do „zjazdowych" sukcesów szkoły. Ostatnią imprezę wygrali różnicą 300 punktów w punktacji ogólnej, w zeszłym roku było podobnie.

Przed kilku laty wygrali minimalną różnicą puktów, później o kilka punktów przegrali. Wtedy inż. Hławiczka, ówczesny przewodniczący komisji sportowej, powiedział: Dyrektorze, chłopcy, musimy tę drużynę tak przygotować, żeby nie było żadnych wątpliwości. Rozpoczęli systematycznie. Co roku wybierali najlepszych już w pierwszej klasie. Wcześniej zdarzały się lata, że tę selekcję przegapiono i w niektórych rocznikach było to później odczuwalne. W tym roku w biegach słabsze były dziewczynki z klas 5—6 i chłopcy z klas 3—4. Jan Konderla wybrał sobie w tym roku grupkę najmłodszych, mieszkających w obwodzie 500 m od jego domu, w najbliższym sąsiedztwie szkoły. Trenował z nimi ponad miesiąc i na zjeździe było to widoczne. Wszyscy, i dziewczynki, i chłopcy uplasowali się na czołowych miejscach, w pierwszej szóstce.

W tegorocznym zjeździe wystartowało 44 uczniów tej szkoły, było również 12 rezerwowych. Zdobyli 5 złotych, 4 srebrne i 3 brązowe medale. Cztery najcenniejsze zdobyto w biegach, jeden w slalomie, z srebrnych dwa przywieźli slalomiści, a dwa biegacze, brązowe wywalczyli jeden w biegu i dwa w slalomie.

Już trzy razy udało im się wygrać zarówno w biegu, jak i slalomie. Z dziewiętnastu roczników tej imprezy Bystrzyca wygrała już dziewięciokrotnie w punktacji ogólnej, w tym pięć razy pod rząd w ostatnim pięcioleciu.

Gdyby nie Jasio Konderla — mówi Wanda Tomčala — *nie mielibyśmy takich wyników w biegach. On jest jedynym z rodziców, który pomaga nam w tej dyscyplinie. Dzieciom poświęca wszystek wolny czas. Zajmuje się nimi od klasy pierwszej, stąd tylu wspaniałych biegaczy w klasach wyższych. To z jego strony kolosalne poświęcenie i bardzo to sobie cenimy. Ma specyficzny dar — wspaniały stosunek do dzieci.*

Na Zjazdy Gwiaździste przychodzą również w charakterze gości nauczyciele, rodzice i dzieci ze szkół czeskich. Atmosfera, jaka tam panuje, tak im się podoba, że chcieliby stale w nich uczestniczyć. Myślę, że i dla tych dzieci należałoby robić coś więcej. Ja sam biegam na nartach już 28 lat, wygrałem ponad 80 zawodów, np. Beskidzką 70. Byłem trzy razy na mistrzostwach republiki, wyprzedzając np. biatlonistów, którzy przyjechali z olimpiady, np. Ploca, ojca tego skoczka. Najpiękniejsze jest, kiedy przekazuję to dzieciom, a one tak szybko mnie rozumieją. Znam je doskonale i żadne z nich nie może mnie oszukać. Trzeba tylko zadbać o sprzęt, trasę, wpoić im podstawy techniki, a one rosną jak na drożdżach. A kiedy złapie się takiego bakcyla już w pierwszej klasie, to się człowieka trzyma na zawsze — tyle Jan Konderla o sobie.

Należy życzyć innym szkołom takich zapaleńców, bo na pewno i tam znajdzie się utalentowana młodzież, która wchłonie sportowego ducha zarówno od nauczycieli, jak i rodziców. Tylko że ilu znajdzie się Janów Konderlów, gotowych ponieść społecznie trud szkolenia cudzych dzieci?

MARIA GRZEGORZ

PEDAGOG I SPOŁECZNIK

Dnia 9 czerwca br. obchodzi 75. urodziny Adolf Kubeczka z Orłowej. Człowiek, bez którego historia polskiego szkolnictwa na tym terenie oraz życie społeczne naszego regionu byłoby niewątpliwie o wiele uboższe. Nauczyciel i społecznik, od młodości kierował się najgłębszym przekonaniem, że oba te zajęcia wymagają od człowieka całkowitego poświęcenia. Jego uczniowie i współpracownicy po dziś dzień wspominają odwagę i bezkompromisowość, z jaką podejmował pojawiające się na nauczycielskiej drodze problemy. Jego towarzysze — społecznicy mają stale w żywej pamięci ogromny zapał, z jakim udzielał się najpierw w „Sile", a potem, po II wojnie światowej, w partii komunistycznej i Polskim Związku Kulturalno-Oświatowym. Za swoje zaangażowanie był wiele razy odznaczany. W roku 1971 został uhonorowany tytułem „Zasłużony nauczyciel". Posiada odznaczenia i medale partyjne. Jest kawalerem Medalu Komisji Edukacji Narodowej PRL, może poszczycić się wszystkimi odznaczeniami PZKO-wskimi.

* * *

Urodził się w Żukowie. Uczył się w szkole wydziałowej w Łazach. Ukończył ją w roku 1927. W tym samym roku podjął studia w seminarium nauczycielskim w Ostrawie. W cztery lata później zdał maturę i wrócił do Łazów, do szkoły Macierzy Szkolnej, już jako nauczyciel. W łaziańskiej szkole pracował aż do okupacji. Lata wojny spędził jako robotnik na Kop. „Zofia", dziś zakład nr 5 Kop. „Fučík". Po wyzwoleniu uczył krótko we Frysztacie, potem przeszedł do gimnazjum. Tam pracował do marca 1948 roku. Po zwycięstwie Lutowym został bowiem mianowany sekretarzem inspektora powiatowego w Karwinie. W trzy lata później objął stanowisko inspektora powiatowego dla szkół polskich. Zajmował je do roku 1961. Potem wrócił do nauczycielskiego zawodu — najpierw we Frysztacie, a później, po trzech latach, w Łazach, gdzie pełnił funkcję dyrektora szkoły. Z Łazów odszedł w roku 1972 na zasłużoną emeryturę.

Pracę nauczyciela przez całe życie łączył z aktywną działalnością społeczną. Był wiceprzewodniczącym Powiatowego Zarządu PZKO w Karwinie, przez dwa lata piastował funkcję prezesa Zarządu Głównego PZKO. Długo był członkiem Prezydium ZG PZKO. Obecnie — pomimo nie najlepszego zdrowia — działa w Kole orłowskim, Komitecie Miejskim PZKO, oraz w dzielnicowej organizacji KPCz w Orłowej.

O PRACY SPOŁECZNEJ

Praca społeczna towarzyszyła całemu mojemu życiu. Zawsze czułem potrzebę bycia wśród ludzi, dzielenia ich smutków i radości,

potrzebę działania. Pracowałem w „Sile", potem zaangażowałem się w PZKO. Dziś mało kto o tym mówi, ale stosunek działaczy „Siły" do formującej się nowej organizacji nie zawsze był jednoznacznie pozytywny, dochodziło do kontrowersji. I przeciwnie — wielu członków Związku krytycznie odnosiło się do „Siły" . . . To były takie, jak to widzę dziś, nieuniknione chyba problemy. Kiedy porównuję życie społeczne dawniej a dziś, nie mogę pozbyć się wrażenia, że kiedyś ludzie mieli w sobie jakby więcej uporu w dążeniu do wytyczonych celów. Było też w ludziach więcej szacunku dla cudzych zasług i dla wieku. Mam co wspominać. Czy pani wie, że do partii wstępowałem już właściwie jako członek Rewolucyjnej Rady Narodowej w roku 1945? Czasy były trudne, ale motywowały ludzi do działania, wyzwalały chęć uczestniczenia w doniosłych dla każdego prostego człowieka przemianach. Byliśmy spragnieni kultury, oświaty, kontaktów międzyludzkich opartych na równości, zaufaniu. Dziś nie tylko ja widzę, że wielu ludzi uchyla się jak może od społecznej pracy. Inne są warunki, to prawda. Żyjemy w dostatku. A dobrobyt — niestety — wielu demoralizuje. Głównie młodzież. Mam też wrażenie, że ludzie myślą głównie o sobie, o korzyściach, jakie przyniesie im ta czy inna praca. Przykład: Trzeba złożyć wnioski na odznaczenia. Ci, którzy robią najwięcej i których zasługi nie ulegają wątpliwości, nie upominają się, ci, którzy wolą słowa od czynu, wołają, że im właśnie odznaczenie się należy . . .

O MŁODOŚCI I MŁODZIEŻY

Młodość, młodość . . . To najpiękniejszy okres w życiu chyba każdego człowieka. Młodość . . . bezkrytycznie wtedy wszystko przyjmowałem . . . Chociaż nie, miałem już wtedy różne wątpliwości, zastrzeżenia wobec niektórych ludzi, wobec niektórych zdarzeń i postaw. Ale mimo wszystko o wiele więcej optymizmu i sił było wtedy w człowieku. Moim ideałem był profesor Badura. Już w młodości próbowałem kierować się Mickiewiczowską maksymą „Mierz siły na zamiary, nie zamiar podług sił". Chociaż nie byłem romantykiem. Umiałem trzeźwo patrzeć na życie. A dzisiejsza młodzież? Młodzi ludzie są tacy, jakie jest społeczeństwo, w którym wyrastają. To nie ulega dla mnie wątpliwości. A społeczeństwo — to my wszyscy, to szkoła, rodzina, organizacje Frontu Narodowego . . . Verba docent, exempla trahunt. Słowa uczą, przykłady pociągają. Czy to było kiedyś do pomyślenia, żeby rodzice kupili dziecku ekwipunek narciarski za kilkanaście tysięcy koron? Jeżeli rodzice lub wychowawcy hołdują konsumpcyjnemu stylowi życia, to czy młodzież może być inna? Jeżeli dorośli pogardliwie wyrażają się o zapalonych społecznikach, ludziach, w których życiu pieniądz i korzyści osobiste nie odgrywają większej roli, to czy można winić młodzież za preferowanie prywatnych spraw przed sprawami ogólnospołecznymi?

O NAUCZANIU

Jakim byłem nauczycielem? Jedno wiem na pewno: Starałem się być jak najlepszym. Ale czy byłem . . . Człowiek wiele spraw po latach widzi w innym świetle, na pewno niektóre rzeczy robiłbym inaczej. Jako nauczycielowi brakowało mi bardzo zdolności muzycznych, wokalnych, tanecznych. To stwarzało pewną barierę między mną a uczniami. Wychowano mnie według zasady, że dzieci należy utrzymywać w bezwzględnym posłuszeństwie. Partnerski stosunek nauczyciela do uczniów nie był wtedy jeszcze taki modny. Starałem się za wszelką cenę bronić swego autorytetu. Może byłem za ostry? Pamiętam taki dzień: Rozsierdziłem się o coś na uczniów, poszedłem do pokoju nauczycielskiego, a kiedy już spokojny wróciłem do klasy, młodzież bawiła się w najlepsze. Powiedziałem sobie wtedy — po co ja się denerwuję, to przecież nie ma sensu. Zmieniłem odtąd radykalnie swój stosunek do uczniów, starałem się unikać przymusu . . . Uczyłem

języka polskiego, geografii, historii, ale jak trzeba było — to i czeskiego. Nigdy nie umiałem się przed uczniami maskować, udawać kogoś innego, robić coś, co byłoby sprzeczne z moimi zasadami . . .

O LUDZIACH

Najwyżej w ludziach cenię skromność. I bezinteresowność. Szanuję ludzi, którzy znajdują siły i czas na pracę społeczną. Szanuję ludzi, którzy wszystko to, czego się podejmują, robią rzetelnie i odpowiedzialnie. W stosunkach między ludźmi razi mnie lekceważenie obowiązków, gonitwa za pieniędzmi i osobistymi korzyściami. Nadmierne koncentrowanie się na własnych sprawach i zamykanie się przed cudzymi problemami. Wiem, to wszystko brzmi jak frazes, ale ja naprawdę uważam, że wykorzenienie z naszego życia tych właśnie zjawisk przyniosłoby całemu społeczeństwu ogromne korzyści . . .

HENRYKA BITTMAR

Adolf Kubeczka z synem Zbigniewem i córką Haliną Kowalczyk na otwarciu wystawy ekslibrisów Zbigniewa Kubeczki w Mini-galerii SLA



fot. FRANCISZEK BAŁON


BUFET
REMANENT



















SPOTKANIA TEATRALNE

W niedzielę 26 kwietnia w Wędryni odbyły się III Spotkania Teatralne PZKO, w których udział wzięły trzy amatorskie zespoły teatralne. Zespół boconowickiego Koła wystawił sztukę „U nas dóma" Władysława Młynka w reżyserii Zygmunta Brannego. Wędrynia zaprezentowała w reżyserii Jerzego Cienciały sztukę Karola Bergera „Ondraszek — zbójnik śląski". Zespół z Oldrzychowic przywiózł na wędryńskie spotkania sztukę słowackiego autora I. Bukovčana „Poszukiwanie w chmurach" w reżyserii Kazimierza Wojnara. Wystąpił również uczestnik ubiegłorocznych „Melpomenek" Janusz Ondraszek z Wędryni

fot. CZESŁAW GÓRAL

PEZETKAOWCY INACZEJ

spotkanie 6.

CZUĆ SIĘ JAK W DOMU

Trochę czasu minęło od chwili, gdy zamknęły się za nimi drzwi szkoły, potem uczelni, pierwsze spotkanie po . . . latach, drugie, następne, dzieci wyrastają z ubrań . . . Dwupokojowe mieszkanie, które niedawno jeszcze mogło od biedy wystarczyć, skurczyło się jakoś nieprzyjemnie. A może wybudować sobie własny domek? Jaki on powinien być? Różne są na to poglądy, różne teorie. Ta, którą wysunął w rozmowie dzisiejszy gość spotkania na łamach Zwrotu, architekt Bronisław Zwyrtek, wydała mi się na tyle interesująca, że pragnę zapoznać z nią nie tylko tych, którzy w najbliższym czasie chcą budować.

— Powiem pani tak: studia architektury trwają sześć lat, tyle co medyczne, ale na architekturze to każdy się zna, wie doskonale, jak trzeba budować, co poprawić. U nas właściwie jest tak: jest inwestor — czyli przyszły właściciel, i jest murarz. A ten często mówi: „Ja, panoczku, to sie zrobi tak, jako się to dycki robi". Przychodzi potem projektant i widzi, że wszystko jest do niczego. Wystarczy zmienić jedną ścianę i cały projekt można wyrzucić.

— Czy pan lekko nie przesadza?

— Wiem, mówi się o mnie, że jestem uparty, że mam taki twardy łeb. Ale jeśli ktoś przyjdzie do mnie i powie, że chce, bym mu za pół roku zrobił projekt domku rodzinnego, to ja go muszę przeprosić. Potrzebny mi jest co najmniej rok. Najpierw sporządzam szkice, takie wstępne studium, potem daję to do wglądu swemu klientowi, żeby przyzwyczaił się do tego projektu, zostawiam mu dwa — trzy miesiące, potem dyskutujemy . . . kto by chciał czekać rok?

— No, bądźmy realistami. Kto chce bu-

dować, musi nauczyć się czekania, chodzenia po urzędach, musi mieć dobre zdrowie . . .

— To już inna rzecz . . . Ale w sprawie wizji swojego przyszłego domu trzeba mieć jednak trochę więcej odwagi. Uważam, że zadaniem architekta jest nauczyć ludzi rozumieć, do czego ma służyć ich dom. W pewnym momencie należy przestać oglądać zagraniczne czasopisma; u nas są inne warunki, a takie bezkrytyczne oglądanie może wyrządzić nawet więcej zła.

— Dobrze, więc przestajemy oglądać te kolorowe prospekty. A co powinniśmy zrobić?

— Możemy sobie na przykład znaleźć trzech architektów i zrobić taki mały prywatny konkurs na swój domek . . .

— Ależ to kosztuje!

— Nie znów tak bardzo. To się zawsze opłaca. Końcowy zysk będzie zawsze widoczny. Proszę sobie wyobrazić: Jeden z projektantów zrobi szkic na domek za 300 tysięcy, a inny za 600. To już jest różnica. Ale z drugiej strony architekci nie lubią projektować domków. Oni pokończą szkoły i od razu mają zamiar budować pałace. Można więcej zarobić i uznanie jest większe. Mówię teraz o tych projektantach, którzy nie kopiują dotychczasowych, może nawet własnych pomysłów. Ale ludzie się spieszą, chcą mieszkać jak najwcześniej, a czy to będzie mieszkanie ładne i funkcjonalne, czy rozwiązania energetyczne będą trafne, to na tym etapie jest sprawą drugoplanową.

— Na temat „mieszkać ładnie" każdy ma swój pogląd. Ile pana zdaniem powinno być na przykład pokoi w domku jednorodzinnym?

— Dwa. Oprócz sypialni . . .

— ?

— No, toaleta i pozostałe pomieszczenia.

— Nic nie rozumiem.

— Tak oczywiście ludzie reagują, więc chciałbym to wytłumaczyć. Ludzie troszeczkę niepotrzebnie wstydzą się pewnych czynności i ograniczają je zamkniętymi ze wszystkich stron ścianami, drzwiami. Ale tak na chłopski rozum: Czyż mycie rąk to rzecz wstydliwa, czy musi odbywać się za zamkniętymi drzwiami? Wystarczy przecież ściana, jakaś zasłona, a jaka oszczędność! Tak samo prysznic. Może to brzmi paradoksalnie, ale nawet łazienka może być częścią pomieszczenia mieszkalnego. Tu przecież żyją ludzie, którzy tworzą rodzinę, którzy mają wiele spraw wspólnych, kochają się. Tu wielkie znaczenie ma wychowanie dzieci. Jeśli łazienka jest na przykład zasłonięta, znaczy, że jest zajęta, nikt nie będzie wchodzić, zaglądać. To są sprawy normalne, nikogo to już nie powinno intrygować. Albo kuchnia. Zarzuca mi się, że projektuję kuchnię otwartą, tylko wizualnie oddzieloną od pozostałych pomieszczeń. A że zapachy przeszkadzają, a że nie zawsze porządek wokół zlewozmywaka . . . Jak jest dobra gospodyni, to zapachy nie powinny przeszkadzać. Domek jest jednym z czynników, który powinien scalać rodzinę. Budować powinno tylko bardzo dobre małżeństwo, bo dom to jest to „gniazdo rodzinne", „ognisko domowe". Może brzmi to zbyt patetycznie, ale podczas projektowania właśnie o to mi chodzi. Wszystkie czynności tu wykonywane powinny utrwalać więzy rodzinne, a nie je rozbijać, izolować domowników. A dziś jest często tak, że mąż przyjdzie z pracy, siądzie w pokoju gościnnym, żona w kuchni, nie ma tego kontaktu wizualnego, oni właściwie nie są razem. Ja zawsze projektuję domek rodzinny tak, jakbym sam z własną rodziną miał w nim mieszkać. Zresztą to już taka zasada, że każdy projektant projektuje tak, jak sam żyje, czy lubi ten kontakt z rodziną, z dziećmi . . . Czyli, powtarzam, najważniejsza w domu jest kuchnia i niezależnie jak ją nazwiemy, czy dzienny pokój z kuchnią, czy farmerska kuchnia — to jedno pomieszczenie. Trzeba nauczyć się żyć nie dla gości, ale dla siebie. Bo jeśli przyjdzie naprawdę dobry przyjaciel, mama, gdzie ją pani zaprosi?

— Do kuchni, rzeczywiście . . .

— A widzi pani, ktoś powie, że kuchnia jest

nieestetyczna, a najlepszego przyjaciela do niej zaprosimy! Tymczasem gościa takiego bardzo oficjalnego zapraszamy . . .

— . . . *do pokoju pod pokrowcami. Chcemy, żeby pękł z zazdrości* . . .

— A powinno być odwrotnie. Gość w domu jest bardzo ważny, on musi mieć wgląd do wszystkiego. Przecież chcemy, żeby „czuł się jak w domu". A nie jak w restauracji. Są również tacy goście, którzy zostają na drugi dzień. Nie można bez przerwy siedzieć w kuchni, to nielogiczne. Miałby więc powstać pokój służący do takiego „uspokojenia przed snem". Może znajdować się przy części przeznaczonej na sypialnię. Nie musi być duży, już bez stołu, siedzenie gdzieś wygodnie na ziemi, może być radio, książki, wideo, kogo na co stać. A potem sypialnie, i znowu ich liczba zależy od zamożności gospodarzy. Sypialnie mogą być rozwiązane w stylu pracowni, miejsca, gdzie chcemy mieć spokój, być sami.

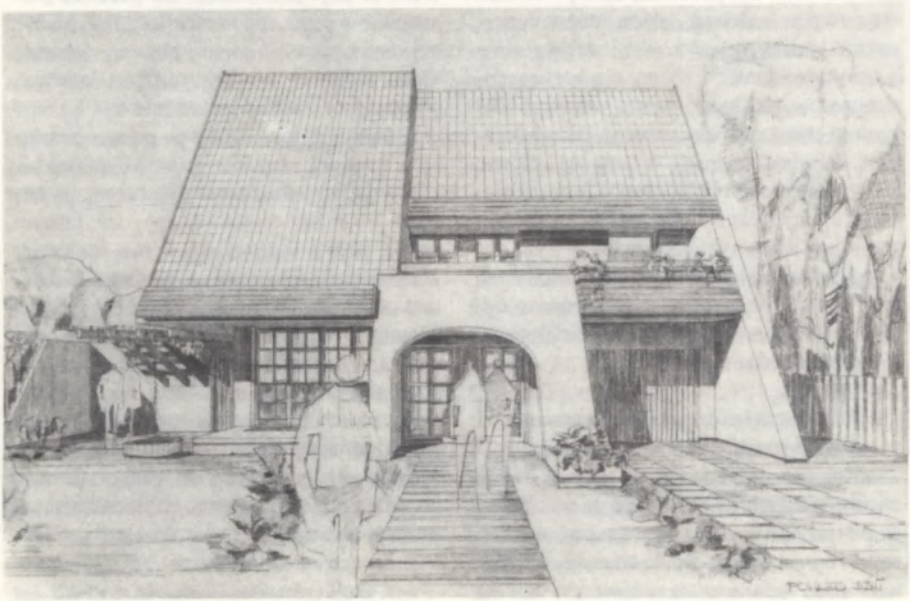
— *Podsumujmy więc.*

— Jest więc dzienne pomieszczenie, pokój przed snem, sypialnie . . .

— *A jak w to wszystko włączyć ogród?*

— To jest bardzo względne. Często jeszcze ludzie izolują domek od ogrodu. Dom nie stoi w ogrodzie, bo żeby do ogrodu wejść, trzeba przejść przez drzwi, iść po schodach . . . Ważne jest bezpośrednie wejście z pomieszczenia mieszkalnego do ogrodu, ale nie na zasadzie kontrastu. To musi być przejście, które zmienia się w zależności od pory roku: jesienią i zimą jest bardziej odizolowane, jest półcień, wejście jest osłonięte werandą, jesteśmy niby w ogrodzie, ale nie tak zupełnie — dopiero potem możemy wejść naprawdę do ogrodu i to miejsce wykorzystujemy latem lub na wiosnę. Powinna być możliwość wyczyszczenia obuwia, coś na zasadzie drewnianych rusztów, gdzie błoto jest zatrzymywane, spada, nie zaśmieca. Nawet grządki warzywne nie muszą być wciśnięte gdzieś

Inż. arch. BRONISŁAW ZWYRTEK: Projekt domku rodzinnego



w kąt ogrodu, mogą być na przykład „przedłużeniem spiżarni". Widziałem gdzieś takie rozwiązanie, grządki oddzielone drewnianymi chodnikami, taką drabinką, nie zabrudzi się obuwia, a może być estetyczne.

— Czy istnieją w budownictwie jednorodzinnym sztywne normy?

— W budownictwie wielkopłytowym normy muszą być dotrzymywane, ale ja osobiście tych norm tak znowu sztywno się nie trzymam. Twierdzę, że norma powinna pomagać, a nie przeszkadzać. Jeśli chcę kogoś przekonać o słuszności swej tezy, wskazuję normę. Ale przecież nie norma wytworzy atmosferę tego domu. Jeśli uważam, że takie a nie inne rozwiązanie jest z punktu widzenia psychologicznego tej rodzinie potrzebne, nie krępuję się normą. Oczywiście, muszę działać w jej granicach. Dam pani przykład. Norma mówi, że drzwi powinny mierzyć dwa metry wysokości. Jeśli gospodarz chce, żeby gość mu się wchodząc pokłonił, to daje sobie drzwi metr osiemdziesiąt, ale musi tak ustawić wejście, wytworzyć takie bariery, żeby gość nie szedł zbyt prędko i nie rozbił sobie głowy. Albo weźmy: dzieci. Gdzie najczęściej lubią się bawić? Pod stołem, pod schodami. Pomieszczenia wielkie, wysokie, dzieciom nie odpowiadają. Idealne by było na przykład podnosić sufit w zależności od tego, jak dziecko rośnie, zachowując oczywiście kubaturę powietrza. A nasze normy tworzone są dla człowieka 1,75 cm.

— To architekt musi być i psychologiem?

— W ogóle więcej czasu powinno poświęcać się tu psychologii, zagadnieniom socjologicznym. Dom zaczyna być domem w momencie, gdy zamieszkają w nim ludzie. Często trzeba ich dopiero nauczyć m i e s z k a ć .Nie może być dobrym projektantem domku rodzinnego ktoś, kto nie prowadzi ustabilizowanego życia, nie czuje potrzeby kontaktu z własną rodziną.

— Ale architekt to zawsze artysta, a prosty człowiek to prosty człowiek . . .

— Nie lubię tego słowa „artysta". Architekt to taki sam zawód, jak każdy inny. Architekt powinien mieć jednak w sobie coś innego, coś z wynalazcy, z naukowca, ale w sensie zadowolenia wewnętrznego z tego, co robi. Jeden może być bardziej zdolny, inny mniej, mieć w sobie mniejszy lub większy talent. To nie jego zasługa. Musi natomiast umieć rozwinąć w sobie dążność do udoskonalania tego, co już osiągnął. To rzemieślnik, który nie może być nigdy zadowolony z tego, co ma, musi iść dalej, bo inaczej będzie stagnował. Musi zawsze dodać coś nowego, bo inaczej może robić dobrze, ale nie pójdzie do przodu, będzie projektował tak, jak projektowało się kilka, kilkanaście lat temu. Ja tę pracę traktuję jako zabawę, to znaczy tak, jak zabawę traktują dzieci. One potrafią tak zapalić się do niej, że nie widzą nic poza nią. Tak należy pracować. Wówczas architekturę można nazwać . . . zabawą.

— Ale co z tego, jeśli pan zaprojektuje wspaniale wnętrza, skoro nie ma go kto wykonać. Inwestor powinien być więc „złotą rączką".

— Ja mam warsztat stolarski, bo interesuje mnie bardzo drewno. W tym roku zacząłem robić do projektów modele. To nie jest jeszcze przyjęty zwyczaj. A co do pani pytania, to jest rzeczywiście wielki problem. U nas nie ma takiej możliwości, że płaci się, a otrzymuje gotowe wyposażenie. Trzeba założyć sobie własny mini-warsztat. Ale i to się opłaca. Ja projektuję domek razem z interierem, nie można tego traktować osobno. Same przestrzenie powinny być już piękne, a złe rozwiązanie jest wtedy, kiedy interierem zakrywamy błędy projektu. Proponuję, by w tym budynku nie stanął ani jeden kupiony mebel. Po co dawać za meblościankę 20 tysięcy, skoro lepiej pasują tu zwyczajne belki na półki za dwa tysiące.

— A co pan myśli o tapecie?

— Tapeta? Może być. Nie podoba mi się jednak, gdy jest na wszystkich ścianach. Dla mnie najlepszy jest biały tynk, drewno, kamień . . .

— A kominek?

— Może być . . . w kuchni. Tu zawsze było jego właściwe miejsce. Można go wykorzystać na przygotowanie różnych zbójeckich specjałów, z kuchni jest wejście do spiżarki, do piwnicy, można łatwo umyć ręce, przynieść drewno i nie zaśmiecić, może służyć jako wizualne rozdzielenie przestrzeni. Jego umieszczenie w innej części pomieszczenia jest właściwie niepraktyczne. A poza tym można go wykorzystać w systemie ogrzewczym domku.

— Właśnie, nie mówiliśmy jeszcze, jak taki domek powinien być najoszczędniej ogrzewany.

— Jeśli dziś budujemy domek, a nie myślimy perspektywicznie o rozwiązaniach energetycznych — to ten domek jest już od początku zły. Czyli, to jest moja teoria, domek powinien być energetycznie oszczędny. Można wykorzystać energię słoneczną, wiatr, biogazy, o tych rzeczach się mówi. A ja dodaję jeszcze czynnik czwarty: człowiek. Bo w domku powinno być jak najmniej mechanizmów, a zawsze na planie pierwszym człowiek. W naszych warunkach chodzi o wykorzystanie energii pasywnej, na przykład słońca, pomijając już energię aktywną, a więc wszelkiego rodzaju drogie kolektory itp. Czyli innymi słowy, cały domek powinien być architektonicznie rozwiązany tak, aby wytworzony został jakiś ,,akumulacyjny piec", takie centrum cieplne. To nie jest drogi mechanizm, sama działalność człowieka pomoże oszczędnie ogrzewać. W środku projektuję coś w rodzaju słupa energetycznego, tam prowadzą kominy, tu włączone są na przykład wentylatory z sauny: po co rezygnować z tej energii, wykorzystane jest ciepło słoneczne odbite przez szyby o ciemną posadzkę itp. Każde pomieszczenie przynajmniej jedną ścianą dotyka tego ,,słupa". U nas teoretycznie wystarczyłoby ogrzewać mieszkanie przez trzy miesiące w roku: grudzień, styczeń, luty.

— Powiedział pan ,,system ogrzewczy". Czy istnieją dla naszego terenu jakieś specjalne zasady budownictwa racjonalnego?

— Starałem się nawet zebrać te zasady. Oto kilka przykładów: idealna orientacja na naszym terenie, oprócz Mostów, gdzie jest inny kierunek wiatrów, jest taka, że pomieszczenia pomocnicze, czyli wejście, fotokomora, toaleta itp. powinny znajdować się od strony wschodu i północy, do tej szerokości 1,80—2,40. Pełnią dodatkowo funkcję izolacji cieplnej dla części otwartej na południe i zachód. W środku centrum akumulacyjne ciepła, powtórnie wykorzystanego za pomocą wentylatorów, to jest sprawa technicznie bardziej skomplikowana, trzeba byłoby skorzystać z rysunków. Pomieszczenie mieszkalne rozdzielić ściankami. W śląskich domach też była środkowa sień i duża kuchnia, to jest właściwie modyfikacja tradycji . . .

— A czy jest już gdzieś taki domek, który pan zaprojektował i tak jest zbudowany . . .

— Tak.

— A nie powie pan, gdzie?

— Nie powiem. To jest już trzeci domek, a ten będzie może gotowy za rok, za dwa. Czy moje teorie się sprawdzą, tego dziś nie wiem. Czy mój system ogrzewania zda egzamin? Ci właściciele po prostu mi zaufali i zaryzykowali. Ale czy dotrwają do końca . . .

— Może więc samemu trzeba zacząć budować?

— Chcę, za pięć — sześć lat, ciągle jeszcze zdobywam doświadczenia, powiem po prostu, chcę mieć pewność, że zyskam nie 60 procent energii, jak się ogólnie mówi w literaturze, ale przynajmniej tych osiemdziesiąt procent.

— Dziękuję za rozmowę.

OTYLIA TOBOŁA



fot. JAN BYRTUS

NADREŃSKA MOZAIKA

W RZYMSKIM OBOZIE

Tam, gdzie okolony winnicami Men wlewa swe wody do szerokiego nurtu Renu, upatrzyli sobie starzy rzymscy wodzowie dogodne miejsce do wybudowania umocnionego nadgranicznego punktu obronnego. Materialne dowody pobytu i panowania Rzymian w tej okolicy przypominają nie tylko liczne eksponaty w Römisch-Germanisches Centralmuseum, lecz również i niektóre nazwy współczesnych hoteli, jak np. „Römerstein", czy lokali — „Porta Romana". Nazwy ulic również nawiązują do rzymskich czasów. Tak na przykład można tu spotkać ulicę „Römerwall", „Am Römerlager" czy też „Trajanstrasse". Lecz Moguncja ma oprócz swego rzymskiego rodowodu i inne powody do uzasadnionej dumy. W pobliżu katedry, w centralnym punkcie miasta, znajduje się plac nazwany imieniem Gutenberga, wielkiego obywatela Moguncji — wynalazcy druku. Jego ubrane w beret popiersie wznosi się na cokole przed muzeum poświęconym jego wynalazkowi i osobie. Wieczorną porą, w świetle reflektorów, prezentuje się ono szczególnie efektownie, wręcz fantazyjnie. Wiekowa, romańska w swym założeniu katedra góruje nad dachami miasta i przytłacza najbliższą okolicę swoją ogromną zwieńczoną sześcioma wieżami bryłą. Kościół św. Stefana nie dorównuje wprawdzie rozmiarami ani też wysokością wieży mogunckiej katedrze, lecz może poszczycić się czymś innym. Zburzony w czasie wojny został pieczołowicie odbudowany. Do ostrołukowych okien ostatni z wielkich malarzy pierwszej połowy XX wieku, sam Marc Chagall, zaprojektował witraże o powierzchni prawie że 200 m^2. Utrzymane w niebiesko-zielonej tonacji przedstawiają sceny biblijne i są darem Republiki Francuskiej dla miasta, które nawet przez pewien okres wchodziło w skład państwa francuskiego. Witraże są widomym dowodem praktycznego zastosowania idei pojednania pomiędzy narodami francuskim i niemieckim propagowanej przez przywódców obu państw nadreńskich. Zaaferowani, wciąż śpieszący się gdzieś przechodnie, deptają po ułożonym w fantazyjne wzory bruku chodników Ludwigstrasse. Nie przeczuwają nawet, iż w pewnym momencie przekraczają oni jeden znaczący symbol geograficzny. Przez jezdnie i chodniki wyżej wspomnianej ulicy przebiega ukośnie metalem obrzeżona linia, przypominająca wszystkim i po wsze czasy, że tędy właśnie wyznaczono dokładnie trasę 50. równoleżnika północnego. Krążąc po ulicach miasta można łatwo i tanio uczyć

się historii i całego szeregu innych nauk. Zastosowano tutaj całkiem sympatyczny zwyczaj, że na tabliczce, podającej nazwę ulicy, umieszczono w bardzo, z natury rzeczy, skrótowej formie charakterystykę osoby, której imieniem ochrzczono ten czy inny ciąg komunikacyjny. Szara, kanciasta bryła nowego ratusza miejskiego, wznosząca się na nabrzeżu Renu, ostro kontrastuje z okrągłymi, spiralnymi kształtami umieszczonego przed nim akcentu plastycznego. Do złudzenia przypomina on inny, umieszczony przed biurowcem w pobliskim Frankfurcie nad Menem. Czyżby to przejaw niemieckiego dążenia do ładu i porządku, czy też przejaw pewnych tendencji w zastosowaniu prefabrykacji w sztuce? W porannej mgle majaczą sylwetki domków rodzinnych przy Curiestrasse. Białe akcenty różnorodnie ukształtowanych fasad odcinają się wyraźnie od czerwonych, spadzistych dachów. Solidne płoty z kamienia, metalu i drzewa oddzielają wypielęgowane ogrody od chodników. Gładkie płaszczyzny krótko przystrzyżonych trawników urozmaicają kępki krzewów, dywany kwiatów i grupy drzew. Wszędzie wzorowy ład, czystość i estetyka jak w najdroższych reklamach. W jednym pełnym kwiatów, jeziorek, skałek i pergoli ogrodzie uśmiechają się spoza krzewów, drzew dosłownie dziesiątki jaskrawo pomalowanych brodatych gipsowych krasnoludków . . .

Na nabrzeżu Renu stoi pomnik o wątpliwej wymowie. Bryła surowego betonu symbolizuje mapę terytorium Niemiec. Żeby nie było wątpliwości, fakt ten potwierdza i napis „Deutschland". Pionowe pęknięcie dzieli bryłę na dwie nierówne części, budząc niedwuznaczne skojarzenia z zaistniałą w wyniku klęski Niemiec w 1945 roku rzeczywistością powstania dwu państw niemieckich. Farbą nabazgrany napis jest już jasną prowokacją. Głosi o milionach uciskanych Niemców w Polsce. Napisy malowane na cokołach, fasadach, płotach, w podziemnych przejściach gęsto „urozmaicają" krajobraz miejski wszystkich miast i miasteczek, nawet i wiosek. Napisy i hasła odzwierciedlają poglądy i nastroje najróżniejszych grup, a może nawet niekiedy tylko poszczególnych osób. A oto mała próbka przypadkowo zebranych napisów: „Dzisiaj Czernobyl, jutro Grafeurheinfeld!" — głoszą przeciwnicy elektrowni atomowych (Grafeurheinfeld to największa elektrownia atomowa w RFN), „Vive Le Pen" — krzyczy hasło zwolenników ideologa francuskich neofaszystów, „Nieder mit Chomeini" — skończyć z Chomeinim — woła napis przeciwników brodatego starca z Teheranu, „Freiheit für Mandela!" — wolność dla Mandeli — żądają przeciwnicy południowoafrykańskich rasistów, „Strauss in den ZOO!" — Strauss do ogrodu zoologicznego — to kategoryczne żądanie przeciwników osławionego przywódcy bawarskiej CSU — F. J. Straussa. Hasło „Sonne statt Reagan!" — Słońce zamiast Reagana — odzwierciedla chyba trafnie i najlepiej żądania szerokich mas i nastroje panujące nie tylko nad Renem.

TADEUSZ WRATNY

Moguncja



fot. TADEUSZ WRATNY

WIESŁAW ADAM BERGER

MIKOŁAJ

Stojąc pod Łukiem zwanym „Bramą Europy" widzę siebie sprzed lat wałęsam się po mieście po galeriach sztuki szukając Łucji Rollanda ale jej takiej jak ją sobie wyobrażam nie znalazłem — chodzę w cieniu kolumn i wzruszam się patrząc na trumnę Cesarza zwiedzam przeróżne place dotykam Wieży Babel i idąc pod podcieniami bujam w obłokach walcząc z pokrzywami albowiem to są te moje palmy — jakoś wojny nie nauczyły mnie realizmu używałem nadal wielkich słów przebrzmiałych zdań pełnych romantyzmu i impresji — dziewczyny — nie jestem ich typem boję się być śmieszny a one lubią zdobywców — mówią nie i myślą tak zaś ja jeśli nie to nie zabieram się i odchodzę a one wykrzykują jurodiwyj — taki mój grzech nieśmiałości jurodiwyj opuszczałem je nieukojone albowiem zdobywcy zawsze wydawali mi się śmieszni kompleks czy jak śmieszą mnie pewni siebie ludzie — oglądałem Łuk ze wszystkich stron stoję nad grobem Nieznanego ja wojak Szwejk maciupeńki człowieczek igła w stogu siana w samym sercu kamiennego Babilonu dla policji jestem facetem podejrzanym i tylko o tym pomyślałem przyjeżdża radiowóz wysiada dwóch eleganckich policjantów w białych rękawiczkach salutują szarmancko od razu tłumaczę co i jak albowiem przed nimi zawsze trzeba się tłumaczyć i niech mi nikt nie mówi że jest niewinny a nie mówiłem — nie wierzą — widocznie biorą mnie za wojskowego hipisa za dezertera za hipisa dziękują i mówią jak jeden że wszystko w porządku i dla pewności wsadzają mnie w zakratowany radiowóz chociaż Pola Elizejskie stoją w słońcu otwarte dla mnie

na oścież — jedziemy wczesnym rankiem ja w mundurze mam nawet w kaburze rewolwer oni w mundurach oj te mundury widocznie nie pasuję do niego oni się na tym znają — jedziemy diabli wiedzą dokąd — nie pytam bo i po co — zatrzymujemy się przed różnymi kolorowymi spelunkami otwierają się drzwi i wsiadają następni pasażerowie mężczyźni w ogromnych beretach i czarnych pelerynach egzystencjalistki w czarnych swetrach, kobiety dziewczyny pisarze i prostytutki malarze i pedałowie aktorki aktorzy świat i półświatek — radiowóz ożył zrobił się niezwykły kabaret jest nawet ksiądz w sutannie — kabaret kabaret śpiewa subreta — wysiadamy w Cité przed Pałacem Justycji ale gmaszysko wspaniała architektura blask blichtr i my niezwykły korowód pojmanych idziemy długimi kafkowskimi korytarzami z potężnymi rzeźbionymi drzwiami klamkami powyżej głowy żebyś wiedział człowieku że TU jesteś pędrakiem pętakiem i w każdej chwili bezkarnie można cię rozdeptać wchodzimy w drucianą klatkę pilnują nas umundurowani policjanci i nie wiedzą co z nami zrobić zazwyczaj tak bywa z kłopotliwymi niewinnymi dla których powinno się znaleźć winę wszystko wygląda jak w francuskich kryminałach kiedy faceta przyprowadzą na komisariat — za zadrutowanymi oknami kołyszą się zielone hemingwayowskie klony Cité nadchodzi południe jesteśmy głodni — siatka kratka klatka merd alor mówię zły przecież jak by nie było noszę ten mundur alianta i pcham się bezczelnie do drzwi nie macie prawa przez waszą przesadną ostrożność wsadzać mnie w pakę mówię do policjanta stojącego w jednej jedynej niezadrutowanej dziurze — łapią się za pistolety i pod nos wsadzają mi pałki — przemierzłe skurduple denerwuję się — cof sie mówi jeden taki granatowy widocznie nasz gdzieś się tu w wojennej zawierusze zawieruszył i służy — bo ci przypieprzą mówi mając rację nie znaczy jeszcze przynajmniej tu że prawda jest po twojej stronie — trochę mnie to uspokoiło zwłaszcza ten język lecz w tej samej chwili zobaczyłem poprzez srebrne prześwity drzew Sainte Chapelle przecież to tu przed swoją śmiercią zjawił się król i cesarz Karol IV później sam Cyprian Kamil Norwid — jakoś tak za kratkami rozpoczyna się moja powojenna edukacja — za osiem długich niczym tygodnie godzin pozwolono mi się wytłumaczyć przed obliczem wysokiego dostojnika przy czym nie ja a oni powinni byli to uczynić — niepewność jest niecierpliwa wyolbrzymia wreszcie mnie wypuścili i salutując życzyli szczęśliwej wolności — jestem w o l n y jedno z najlepszych uczuć wychodzenie z klatki a potem biegnę w słońcu by zobaczyć z bliska Kaplicę —

do „mojego domu" w dzielnicy Levallois wchodzi się poprzez duże drewniane wrota przypominające co nieco wejście do gospodarstwa w Czulimsku i obszerne podwórze tu wśród słoneczników stoją drewniane baraki Czerwonego Krzyża Croix Rouge podobne do fińskich domków z kuchnią jadalnią i izbami mieszkalnymi z piętrowymi łóżkami wracając zobaczyłem tu biegającego jak kiedyś w Alpach na placu hotelu du Porc jasnobrązowego dużego psa

myśliwskiego — Mikołaju Mikołaju wołałem wzruszony podszedł do mnie z nieufnością widocznie w międzyczasie musiała mu się niejedna przykrość przydarzyć — Mikołaju Mikołaju poznał mnie i ponownie on i ja uwierzyliśmy w tamte alpejskie czasy widziałem radość w jego smutnej psiej twarzy podniósł się na tylnych łapach przednie położył mi na ramiona liżąc mnie po twarzy tylko psy potrafią być tak przyjazne — Mikołaju Mikołaju co więcej mogłem mu powiedzieć — powinienem był wrócić z nim w góry tam gdzie czuliśmy się w domu — stoimy tak wszakże przyjaciele się nie opuszczają pies i człowiek — w barakach oprócz innych rozbitków i mnie żyło jeszcze kilku bezdomnych studentów ze zlikwidowanych szkół którym nie udały się ostateczne egzaminy małych i wielkich matur czekali jak i ja co przyniesie czas — wędrownych ptaków klucz który mógł otworzyć naszą przyszłość — czy otworzy — spaliśmy na piętrowych łóżkach tuż obok okien wypełnionych słonecznikami van Gogha — tu w tym baraku na tym barłogu po raz pierwszy wlazła na mnie bliska znajoma José Lezama Limy a s t m a w szpitalu do którego poszedłem z moim nieszczęściem widzę szczupłe pięknopiersiste pielęgniarki z kształtnymi nogami rentgenolożki z uspokojającymi uśmiechami mówią do mnie że to nic to przejdzie pociesza mnie młoda lekarka dając mi lekarstwa balsamy dla zdrowia — przeszło dusznica zniknęła ale i tak wróci cholerne przeznaczenie —

leżę na pięterku pod zielonym wojskowym kocem i płaszczem pode mną śpi mój przyjaciel Staszek chłopak z Powstania zakochany w płowowłosej Eli-Weronice to była jego dziewczyna czekała na niego u rodziców w Honfleur nad Wielką Kałużą — Weroniko Weroniko dzwoni w jego snach słyszę to nawet na moim pięterku aż raptem ktoś wali w nasz barak budzę się w dychawicznym zamglonym świcie coś mi się przypomina jest siódma rocznica tragicznego września obok mego łóżka stoi facet w cywilnym ubraniu i gada do mnie że jest policjantem — śni mi się mówię do Stacha jakiś pijak i odwracam się i śpię dalej — tajniacy łamią mokre od rosy śpiące jeszcze słoneczniki i nasze i tak już nadwerężone tak zwane „Ludzkie Prawa" — vit vit wykrzykują intruzi ubierajcie się policja — policja dziwi się Stach i ja się dziwuję tu wśród słoneczników i czego oni tu szukają? szpiegów — policja policja diabli nadali istnieje po to by innym utrudniać życie utrudniać i tak już trudne życie tym razem nas sobie wybrali — Weroniko Weroniko dzwoni w głowie Stacha — Mikołaju Mikołaju wzywam psa i znowu jadę w zakratowanym radiowozie ponownie obwożą mnie po całym tym kamiennym mieście myszkują w knajpach i burdelach i sprowadzają do samochodu przeróżne powieściowe i poezyjne typy kobiet i mężczyzn — dziewczyny widać przyzwyczajone do takich przejażdżek i ty się przyzwyczaisz mówią uśmiechają się są łaskawe inne znowu zdenerwowane palą w nieskończoność błędne ogniki marihuany i jeszcze inne obojętne bogate i biedne — wiesz opowiada mi jedna odstawiają nas na granicę ale my wracamy kochamy to Wieczne Miasto — siedzą w pióropuszach

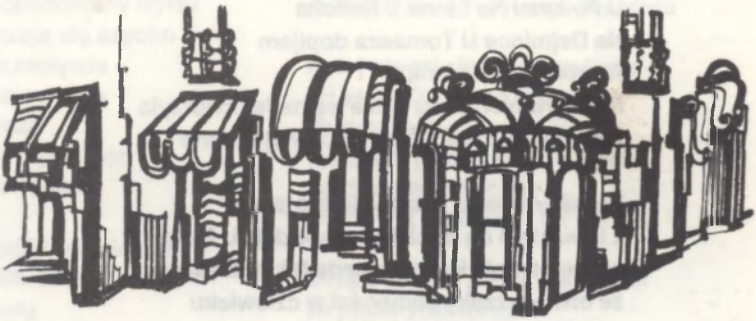


rys. HELGA BERGER

boa pachną drogimi perfumami lecz w tym samochodzie nie ma między nimi różnicy ani zazdrości są wobec siebie życzliwe bieda łączy ludzi wszakże mnie podobają się bardziej skromne na „hrabiny" z rozciągniętymi zabójczo rozkroczami (a wtedy jeszcze nie było rajstopów) patrzę z rozszerzonymi ze zdziwienia oczami to było coś dla takiego jak ja wsiowego chłopaka — Staszek siedział twardo niby wyciosany z kamienia tylko Mikołaj wiercił się merdając lizał szarmancko dziewczyny po rękach wąchał po nogach dochodząc aż do ud a one tylko chichotały — ale numerek ten twój Mikołajek mówiły i karmiły go cukierkami — za zakratowanymi oknami samochodu pędziły nieznane mi kulisy wszystko było jakimś dziwacznym teatrem mojego dziwnego życia — siedziałem w wehikule profilaktyki moralnej przy czym policja sama zakażona miała być rzeczywistym sposobem na odkażenie czym byli ci panowie od władzy wobec tych kobiet sprzedających miłość — one przecież nie sprzedawały swojej rozkoszy za tak zawrotne sumy jak politycy których właśnie ta policja chroniła od wszystkiego złego — wolę ostatniej klasy pijaną prostytutkę od najwytworniejszego dyplomaty lub sprzedajnego polityka prostytuci na wulkanie wysokiej gry — god-dam cocksack fucker boys krzyczę nagle skurduple przemierzle co to za porządki gdzie nas wieziecie — samochód o dziwo stanął tajniacy wyskoczyli z pukawkami w rękach było to śmieszne niczym w złym filmie zaś Mikołaj szczekał w niebogłosy dziewczyny powłaziły w kąty — kto to pyta kierowca jedyny facet w mundurze — ja mówię i wstaję trzymając Mikołaja za obrożę — pan jest Amerykanem — oui mówię wściekły ale duszyczkę mam na ramieniu jestem oficerem US-army — dokąd mam pana odwieźć pyta i nawet salutuje — zatrzymajcie samochód teraz już rozkazuję przy pierwszej lepszej knajpie — rozkaz przy lepszej knajpie powtarza służbowo — ci z pukawkami powłazili gdzie się dało i byli cicho nie ma to jak wojskowy dryl jedziemy Staszek jednak się uśmiecha samochód się zatrzymuje drzwi się otwierają — proszę mówi kierowca jest restauracja będzie panu na pewno odpowiadała — wysiadamy z Mikołajem kierowca chce zatrzasnąć drzwi nie pozwalam — proszę wypuścić wszystkich mówię ręczę za nich oni i jeśli sobie panowie życzą zwracam się do policjantów jesteście moimi gośćmi trochę się wahają i to mnie poniekąd denerwuje ale powoli wsadzają pukawki pod marynarki i wysiadają — nad rzeką staje białe rano słychać mnóstwo dzwonów widać białe mosty pałace z galeriami obrazów widać Wyspę ze starodawną Katedrą o ściętych wieżach po ulicach chodzą stare dziwaczne samochody zwłaszcza te „zrób sobie sam" z wózków i motorów patrzymy na to z zaciekawieniem miasto zmartwychwstaje — wchodzimy policjanci poniekąd sztywno do wczesnoporannego baru — patron się kłania zdziwiony — towarzystwo jest rzeczywiście niezwykłe a ja na upartego zamawiam polską wódkę chociaż nie mam w kieszeni ani sou ale jakoś trzeba nadal grać ten teatr i powoli dojrzewa we mnie cwaniak i pytam siedzącej obok mnie dziewczyny ze wspaniałym dekoltem

i boa na ramieniu niczym Sarah Leander — czy nie dałoby się proszę pani w jakiś sposób załatwić trochę pieniędzy przyznaję się że nie mam grosza w kieszeni i że nie mam nic wspólnego z armią US — uśmiecha się i całuje w usta i mówi OK wstaje podchodzi do telefonu tajniacy są poniekąd niespokojni ale ich ruchem ręki uspokojam dziewczyna z kimś tam rozmawia przez telefon i uśmiecha się do mnie spod przymkniętych powiek potem przychodzi do mnie i całuje mocno w usta i wyjmuje z torebki swój adres — musimy mówi w jakiś sposób niszczyć tych zramolałych bogaczy musisz do mnie często przychodzić bo bardzo mi się podobasz — więc od razu jestem w raju a kiedy towarzystwo pilnowanych i pilnujących jednym są przychodzi potężny w barach facet elegancko i to za elegancko ubrany z pierścieniami na palcach siada obok mojej sąsiadki i wyciąga gruby portfel patron tylko sobie cichutko gwizdnął i ucieszył się — widzisz kotku mówi moja przyjaciółka wszystko gra oto nasz mecenas — wierzyć mi się nie chce mówię do niej znowu jest jak w kinie — OK mówi dziewczyna i trzyma mnie za rękę zaś facet z grubym portfelem tylko się uśmiecha — coś takiego podoba mi się chociaż trochę niezwykły ten sposób walki z pasożytami — przed południem wynosimy ze Staszkiem kompletnie zalanych tajniaków wsadzamy ich do samochodu i zatrzaskujemy drzwi jak zauważyliśmy można je otworzyć tylko z zewnątrz — wracamy — zabawa leci dalej Mikołaj siedzi na krześle i je ze swego talerza na stole popijając piwem z miski — do wina ma wstręt — potężny facet nie tylko że się uśmiecha do wszystkich jest też niezmiernie szczęśliwy i przypomina mi Benię Krzyka i kiedy zapada zmierzch dziewczyny dziękują mi za wolność to są pierwsze w moim życiu dziewczyny — wspaniałe rzeczy mówię do nich dzieją się na świecie lecz trzeba mieć śmieję się trochę szczęścia a o policjantach nie zapomniałem budzę ich wyglądają jak całkiem normalni ludzie.

(fragment)



Z tomu „Opowiadania idą po grudzie", 2. nagroda ex aequo w Konkursie Literackim SLA z okazji 40-lecia PZKO

rys. HELGA BERGER

WILHELM PRZECZEK

PRASKIE PIWIARNIE

Gorzki smak chmielu w czeskich piwiarniach
Dym papierosów, z których twarz wykwita
Nikt tu nie myśli o burzeniu świata
chociaż gwar się rodzi przy ludnych stolikach
U Pinkasu Na Letne U Kalicha
Na Dejmince U Tomasza dopijam
resztki piwa z pianą
Noc strumień pragnienia we mnie otworzyła
Zamyka to źródło dziwnie chwiejne rano

Wypiłbym teraz jeszcze jedno piwo
z Haszkiem do spółki w gospodzie U Fleku
widzę na dnie kufla gwiazdę tak szczęśliwą,
że otwiera rzekę płynności w człowieku

Wirują gospody w zawrotnych mirażach
Wspomnieniom zostaje odjęta piwiarnia

Z DZIENNIKA

Nie słuchaj, gdy mówią, że to dom przybrany. Oglądaj białe sznurowadła ziemi, aż się z nich korzeń wylęgnie prawdziwy. Pomyśl o przodkach wrośniętych w tę glebę i wspomnij dziadka pełnego nadziei.
Niech płyną chmury przestrzennie i szybko, bo to ich prawo, ale także cząstka przeznaczenia. A gdy ci ogień będzie opowiadał płomienny wyraz dzielony językiem — wiedz, że opowieść jest gorącym tchnieniem żywiołu natchnienia.
W kołysaniu znajdziesz odcisk Kosmosu i nawet rzeka przyzna ci wypowiedź.
W zgodzie z duchem (czasu?) wsłuchaj się w te szumy. A kiedy pióra parad będą opadały: znajdź to jedno, które jest godne, by nim pisać — prawdę . . .

WIERSZE

Nieczęsto mogę się dzielić
wilczym zielem własnej samotności
Rzadko przychodzi
w odwiedziny opanowany wyraz
Słowa oczyszczają się szybko
w mojej krwi przepływie
I wtedy się dzielę z tobą
kołaczem wiersza
Obrobiłem rogi wystające
Wiążę koniec z końcem

Niech ta krągłość turla się dalej
od jednej wrażliwości
po kolejne światy
kwadratury koła

UCIECZKA Z PASTWISKA

Wygnany z owieczkami na pastwę
nie schodzę z niebieskich łąk losu
Pasterz wzbił się w światło

Dudni późna beczka lata
Zagnieździł się w niej odgłos
nagłej burzy
W owczym pędzie uciekamy
ku dolinom spoczynku

PODRÓŻ

Ewie Ditzmann

Wybrałem się do krwi w odwiedziny
Szybkobieżny pociąg pulsu
znosi mnie na tory losu
Jadę w przygodę
wyobraźni
Za horyzontem przeczuć
moment zwrotny innego wymiaru

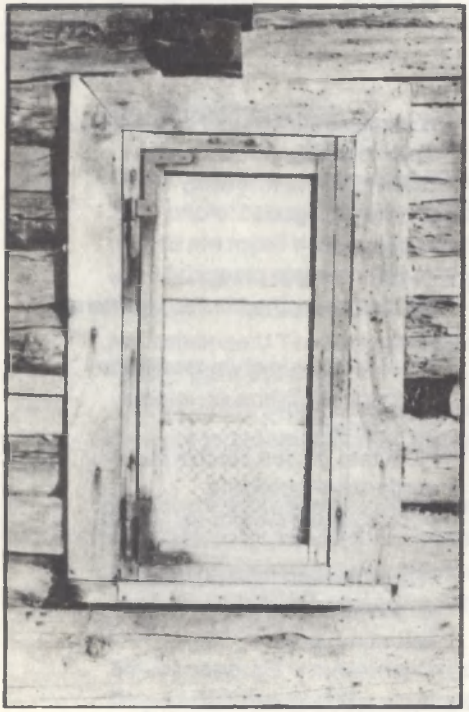
Kolej biegnie krętym zawijasem
od stacji Ojczyzna do miasta
Mutterstadt
I jest tam gdzieś siostra moja
serdeczno-jabłeczna
potoczyła się daleko od jabłoni

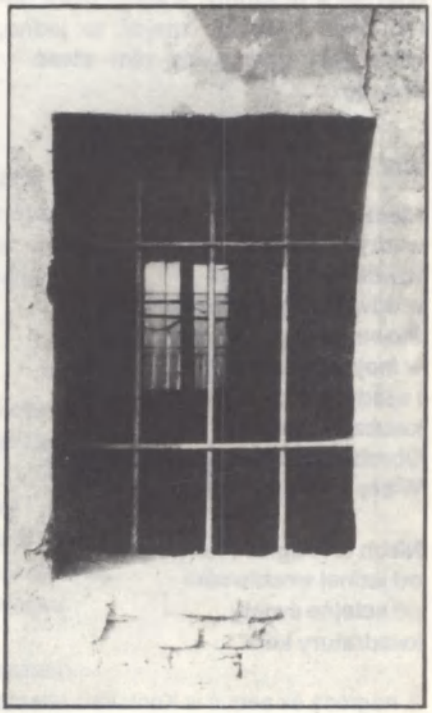
Wraca liściem jesienią ptakami
za puste podwórka
kolonijnej bramy

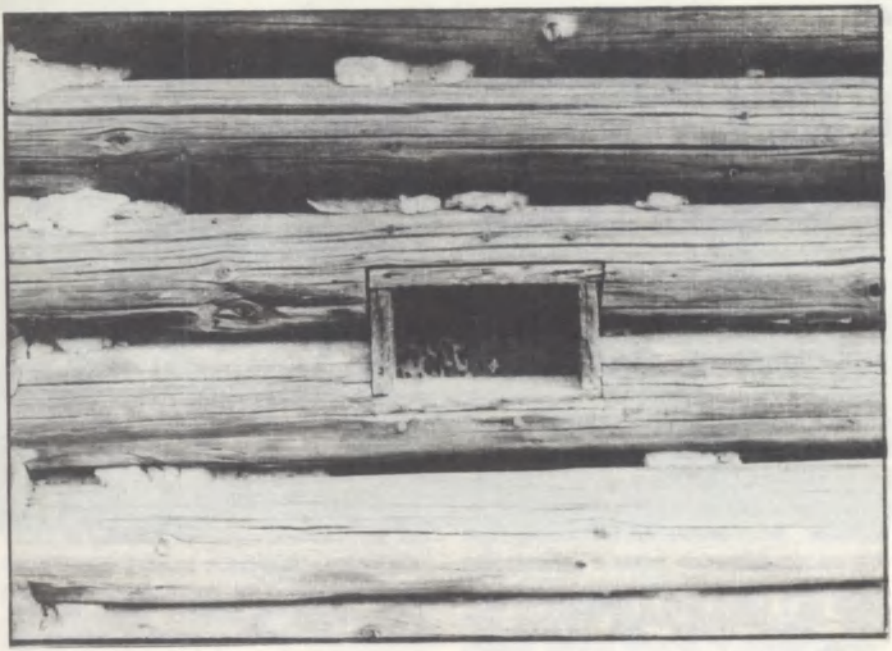
2. nagrodą ex aequo w Konkursie Literackim z okazji 40-lecia PZKO

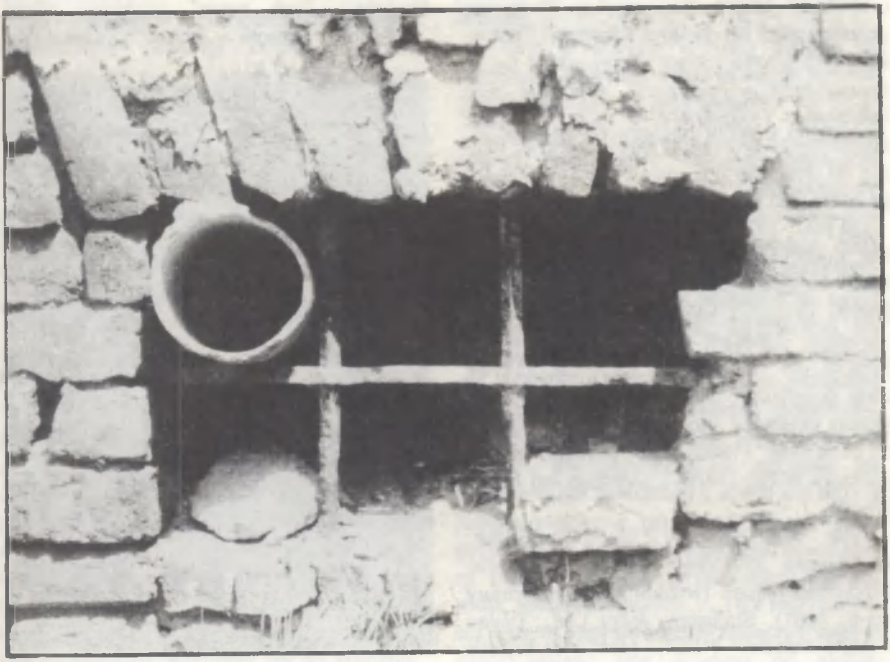
TADEUSZ WRATNY

Okna









TŁUMACZE LITERATURY POLSKIEJ

LUDVÍK ŠTĚPÁN

Urodził się 2 lutego 1943 w Dačicach na Morawie, gdzie spędził całe dzieciństwo i ukończył szkołę podstawową. Następnie przeprowadził się do Brna. Ukończył Technikum Maszynowe (Střední průmyslová škola, specjalizacja — maszyny). Pracował jako konstruktor i projektant. Przechodził przez najróżniejsze profesje w teatrach. Przez szereg lat pracował jako dziennikarz. Studiował psychologię i historię sztuki.

Od roku 1975 poświęcił się pracy literackiej, publicystycznej i translacyjnej. Zadebiutował tomikiem poezji „Klepání na lásku" (1973). Drugim z kolei zbiorem wierszy jest „Kradení flétniček" (1973). Dalej wydał książkę dla dzieci „Pan Střelnice" (1979), zbiór opowiadań „Květiny jsou tu zbytečné" (1976), powieści „Vichřice" (1977) i „Po moři se pluje jinak" (1986) oraz opowiadania „Ve znamení břízy" (1979) i „Vysoko letí ptáci" (1980).

Ważniejsze przekłady z literatury polskiej: Ewa Lipska „Wernisaż" (1979), „Pragnienie błękitnego nieba" (wybór polskiej literatury sci-fi, 1981), Stanisław Jerzy Lec „Tysiąc i jedna fraszka" (1984), Maciej Kuczyński „Kask" (Tajemná přilba, 1984), Bohdan Czeszko „Powódź" (nowela, w zbiorze O. Bartoša, „Pięć nowel polskich", 1984) „Wiersze przeciw śmierci" (antologia,



przekład wierszy M. Jastruna, St. R. Dobrowolskiego i L. Szenwalda, 1980), „Liryczne listy do Czech" (antologia wierszy o Czechach, przekład wierszy J. Przybosia i J. Sztaudyngera, 1980), „Poeta kocha świat" (antologia — Jiří Wolker w literaturach państw socjalistycznych, 1980), „Poszukiwanie czasu przyszłego" (antologia światowej literatury sci-fi, przekład opowiadań Cz. Chruszczowskiego, A. Czechowskiego, St. Lema i K. Fijałkowskiego, 1985).

Od roku 1975 pojawiają się jego tłumaczenia na łamach „Literatury na świecie". Pokazał się tu wybór wierszy Jana Zycha, opowiadania Stanisława Lema, opowiadania satyryczne Jerzego Górzańskiego, aforyzmy Karola Irzykowskiego, wybór fraszek Jana Sztaudyngera, groteski Jerzego Afanasjewa. W Radiu Czechosłowackim pojawiają się tłumaczenia L. Štěpána — wiersze i proza — Jarosława Iwaszkiewicza, Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, Kazimiery Iłłakowiczówny i in.

Dla Telewizji Czechosłowackiej Brno przetłumaczył (dabing) seriale „Rodzina Leśniewskich" (wg J. Leńskiego), „Chłopiec i dziewczyna (wg Hanny Ożogowskiej). L. Štěpán tłumaczy również sztuki teatralne, np. „Lesk skleněné koule" A. Zaniewskiego i in.

W. P.: W jaki sposób rozpoczęła się twoja praca tłumacza literatury polskiej, a raczej od kogo rozpoczynałeś?

LUDVÍK ŠTĚPÁN: Właściwie to przez przypadek. Związek Pisarzy Czechosłowackich wysłał mnie na stypendium zagraniczne. Mogłem sobie wybrać kraj. Wybrałem to, co było najbliżej. I kiedy już byłem w Polsce — powiedziałem sobie: na pewno będą chcieli coś w zamian. Dlatego zacząłem się uczyć po polsku i po powrocie ze stypendium rozpocząłem pracę nad przekładami. Rzecz jasna — na początek wybierałem takich autorów, których dobrze czułem, którzy byli mi najbliżsi. To znaczy poetów i pisarzy z tej generacji, która jest zbliżona do mojej (Zaniewski, Jerzyna, Lipska, Górzański). Sięgałem też do autorów, którzy mają poetykę zbliżoną do mojej. Przykład: Jan Zych — wyborem z jego poezji debiutowałem jako tłumacz w roku 1975 na łamach „Literatury na świecie". Żeby podsumować: moja praca tłumacza była właściwie wynikiem zbiegu okoliczności, a rozpoczynałem od tłumaczenia poezji Jana Zycha.

— Gdzie uczyłeś się języka polskiego?

— Po polsku uczyłem się właściwie podczas swoich wyjazdów do PRL, a także — co należy podkreślić — w domu. Jestem samoukiem, w dosłownym tego słowa znaczeniu. Z biegiem czasu, oczywiście, zacząłem się uczyć nie tylko języka, ale również historii i literatury polskiej. Wierny zasadzie, że człowiek powinien się kształcić przez całe życie — wróciłem po latach ponownie na uniwersytet. Studiuję polonistykę, a także bohemistykę, co jest mi bardzo potrzebne w pracy przekładowej. Poprzez studia polonistyczne chcę jeszcze głębiej wniknąć w polską problematykę.

— Czy w trakcie wyboru autora do przekładu decyduje u ciebie temat, osobista sympatia czy też przypadek?

— Prawdę mówiąc, to sprawa przedstawia się następująco: tłumacz proponuje, ale zarazem jemu również proponują. To znaczy jest tak i tak. Zawsze staram się jednak, zwłaszcza jeśli chodzi o poezję, żeby był to autor, który rezonuje we mnie intelektualnie albo posiada podobną do mojej wrażliwość wewnętrzną. Przyjaźnię się z wielu polskimi poetami, których wierszy nie mógłbym nigdy tłumaczyć, ponieważ „nie czuję" ich temperatury poetyckiej. Chyba sprawa ma się w ten sposób: każdy „gwałt" nie wychodzi na zdrowie ani autorowi, ani tłumaczowi. Z drugiej strony jednak nie lubię tak zwanych „łatwych" przekładów. Wolę tłumaczyć taki tekst, który stawia przede mną całą masę problemów, jest wymagający . . . To z tego powodu, żebym miał się z czym zmierzyć, żebym mógł wnieść coś nowego od siebie.

Dlatego bardzo lubię przekładać epigramy. To jest szczytowy taniec na małej przestrzeni — jak to określa mój przyjaciel Pepik Vlášek. Na przykład niektóre zawiłości St. Lema. Z tego samego powodu polubiłem również Czeszkę. Kiedy tłumaczyłem „Povodeň" (Powódź) — mogłem się do syta pobawić językiem . . .

— Czy utrzymujesz osobisty kontakt z autorem, którego tłumaczysz?

— O ile znam autora —jest to dla mnie większa przyjemność. W żadnym wypadku nie jest to jednak łatwiejsze. Znajomość nie pomaga nigdy w tłumaczeniu, chyba odwrotnie. Tłumacz odczuwa wtedy prawdopodobnie jeszcze bardziej brzemię odpowiedzialności. Ale jeśli mogę zajrzeć głębiej do wnętrza autora, to prowadzi mnie to do szybszego osiągnięcia deszyfrującego klucza, który każdy tłumacz musi posiadać, żeby móc „otworzyć" autora poddawanego przekładowi. Cieszę się, że było mi dane poznać całą plejadę autorów. Również tych, których nigdy nie tłumaczyłem, oczywiście. Pomaga mi to w lepszym odczuwaniu całego kontekstu literatury. Świadomość ta nigdy mnie nie opuszcza, a potęguje się podczas pracy nad tłumaczeniami.

— Z którymi wydawnictwami czechosłowackimi współpracujesz najchętniej?

— Odpowiem może trochę aforystycznie: podobnie — jak nie wybieramy sobie rodziny, czy pokrewieństwa — tak samo jest bardzo trudne, żeby wybierać sobie wydawnictwo. U nas każdy w czymś się specjalizuje, każdy robi coś innego. Trzeba więc chodzić do kowala, żeby kuć, a do zegarmistrza z budzikiem. Często decyduje rzeczywiście przypadek, osobiste kontakty, zainteresowanie tej drugiej strony. Jeśli uda mi się coś „przepchać" — to cieszę się w dwójnasób. Za siebie i za autora.

— Nad czym pracujesz w tej chwili?

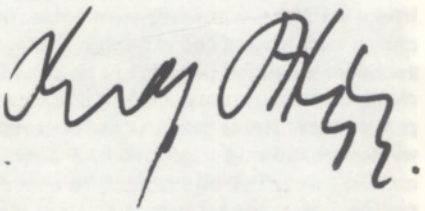
— Ukończyłem właśnie przekład książki Arnolda Mostowicza „My z Kosmosu". Książka, która — jeśli można to tak określić — jest właściwie literaturą faktu. Pozycja, która kosztowała mnie bardzo wiele pracy, ponieważ nie chodziło wyłącznie o tłumaczenie. Rozpocząłem kilka prac dla „Literatury na świecie", ale w tym czasie pracuję przede wszystkim „we własnym ogródku", po prostu piszę . . . własne rzeczy.

— Twoje osobiste wyznanie . . . ?

— Nie oczekuj ode mnie wzniosłych słów. Również w moich książkach jest poezja i tajemnica głębszych warstw. Nie znoszę „plakatów", ilustracji hasła. Nie lubię patosu i nadętości. Jako czytelnik — a tym jest tłumacz zawsze najpierw — odczuwam wielką radość, kiedy spotykam utwór, które we mnie jako w pisarzu wzbudzi szczerą zazdrość: do diabła, to jest coś, jak on to robi?! Przetłumaczyć potem takie dzieło na swój język ojczysty jest niezmiernie pięknym, chociaż najczęściej trudnym, zadaniem. Przyglądając się polskiej literaturze widzę, że mam w stosunku do niej wiele długów, szczególnie jeśli chodzi o literaturę klasyczną, ale mam także wiele zaległości wobec autorów współczesnych, przede wszystkim współczesnych . . . Tylko . . . wiesz jak to bywa — tłumacz niejednokrotnie chciałby, ale . . .

— Serdecznie dziękuję za rozmowę! Może na zakończenie poproszę jeszcze o twój podpis.

— Chcesz sprawdzić, czy umiem się podpisać? Proszę bardzo . . .



WILHELM PRZECZEK

OKIEM RECENZENTA

NOWOCZESNY MANIERYZM HELGI BERGER

Chcę zwrócić uwagę na niezbyt może znaną, a interesującą malarkę z Ostrawy. Helga Berger jest członkinią miejscowego koła PZKO. Jej przynależność do nielicznej w tym mieście polskiej społeczności wydaje mi się być tym bardziej cenna, że nie wynika z pochodzenia, ale ze świadomego wyboru. Helga Berger pracuje w ostrawskim teatrze i z teatrem właśnie silnie wiąże się jej twórczość. Wystawiała swe prace niedawno w foyer teatru na zbiorowej wystawie członków kółka plastycznego istniejącego przy Państwowym Teatrze im. Z. Nejedlego w Ostrawie. Artystka uprawia różne gatunki plastyczne — malarstwo, rysunek i rzeźbę. W ostrawskim teatrze pokazała m. in. swoje obrazy olejne — dwa pejzaże jugosłowiańskie (?) i dwie sceny teatralno-operowe. Wszystkie są przede wszystkim bardzo kolorowe. Helga Berger kolorem posługuje się, można powiedzieć, brawurowo. Używa najczystszych barw, w najbardziej intensywnych odcieniach. Maluje niewielkimi plamkami gęstej farby, tworzącej na płótnie chropawą, niemal reliefową, rozmigotaną warstwę. Miejscami autorka uzupełnia obrazy reliefami a nawet pełnymi rzeźbami — ptaszków, drobnych detali. Formy na obrazach — architektura, postacie z „Rigoletta" — są lekko przestylizowane, ale stylizacja nie postępuje, jak to najczęściej bywa, w kierunku uproszczenia, redukcji kształtu, lecz przeciwnie. Autorka formę rozwija, dodaje jej od siebie fantazyjną linię i kolor, jakiego nie widuje się w rzeczywistości.

Rysunki Helgi Berger przedstawiają głowy postaci teatralnych. Są tam bohaterowie Szekspira, Moliera i innych wielkich i mniejszych dramaturgów. Twarze portretowanych wyłaniają się z gęstwiny ornamentu, który tworzą wijące się, zakręcające ślimakowato linie. Zarówno w malarstwie Helgi Berger, jak i tu występuje jakiś nadmiar formy — portrety przywodzą na myśl manierystyczną groteskę, gdzie z wici roślinnej, kwiatów, liści wyrastają nieoczekiwanie postacie półludzkie, półmityczne — syreny, nimfy, nereidy. Choć te rysunki to „tylko" portrety, ale rysowane w podobnej konwencji: muszą być ograniczone bardzo ozdobną, nawet dominującą nad portretem ramką. Obraz jest wtopiony w ornament i równie jak on wyrafinowany w rysunku. Rzeźbę Helgi Berger reprezentują dwie figurki z białej modeliny (moduritu) — portrecik Elizy Doolittle (przed jej cudownym przeobrażeniem w światową damę) i postać

wiejskiego obdartusa zatytułowana „Jaaá Kraaál". Mają formę rozwianą, gwałtownie wdzierającą się w przestrzeń — podobną do rzeźby późnego baroku i rokoka. Gwałtowny ruch, w jaki artystka wprawiła swoje figurki, daje im pozór życia. Ta próbka twórczości Helgi Berger zaprezentowana w teatrze ostrawskim pozwala umiejscowić jej twórczość gdzieś na tej linii, jaką wytycza rozwój sztuki od późnego gotyku poprzez manieryzm, rokoko, do romantyzmu i secesji. Jest to więc sztuka pełna dynamizmu, ekspresji, ale ekspresji głównie zewnętrznej, dotyczącej artystycznej warstwy dzieła, a nie jego przedmiotu. Jest w tej sztuce manierystyczna skłonność do pewnej przesady, obfitość formy; widoczna jest tu radość tworzenia dla samego tworzenia, doskonałe wyczucie koloru i kształtu. Podziw i szacunek budzi odwaga, z jaką Helga Berger kształtuje swoje prace, nawiązując do, bynajmniej niełatwych w odbiorze, dzieł powstałych w okresach szczególnego wyrafinowania i wysublimowania sztuki.

A. M. R.



TALENT I PRACA

Wystawa grafiki Tadeusza Bergera, Minigalerla SLA, ZG PZKO w Czeskim Cieszynie, 13—28. 3. 1987

Kiedy po Abrahamowinach Tadeusza Bergera (1980) na otwarciu jego wystawy w Minigalerii SLA wpisał mi do katalogu „dzięki Ci za przyjaźń", nie przypuszczałem, że Jego dzieło jest zamknięte, że to jest ostatnie nasze spotkanie z nim. Tegoroczna retrospektywa wystawa na zagajenie jubileuszowych uroczystości SLA urasta na miarę symbolu.

Linoryty Tadeusza Bergera komponują się w swoistą koncepcję układów przestrzennych. Nie lubił Tadeusz słowa koncepcja, bowiem jego propozycje wychodzą spod linorytowego noża jakby same przez się, przefiltrowane przez indywidualną jaźń, przez jednoczesną czynność umysłu i ręki, tworzą dekoracyjne struktury ograniczane czytelną formą przedmiotowości. Precyzja linii i kresek prowadzi niby do baśniowego abstraktu, ale w swej klarownej kompozycji tworzy wyraźny kształt konkretu. Świadczą o tym wymownie m. in. cykle „Ołtarze marki Tesla" i „Tulipany marki Tesla color". Właśnie kolor, barwa! Berger doskonale sobie zdaje sprawę, że klasyczna forma czarno-białych odbitek linorytu nie dotrze do współczesnej świadomości widza. Zrywa również ze sztampą małych formatów. Atakuje kolorem, dużymi planszami, zaskakuje odkrywczą formą. Przy tym prace skomponowane z dużym rozmachem, wykonane warsztatowo bezbłędnie z dużą precyzją i niezwykłą dbałością o szczegół nie są pozbawione wdzięku sarkastycznego humoru, tak charakterystycznego dla osobowości

HELGA BERGER: Z cyklu Zapamiętywanie twarzy, rysunek 1986

Tadeusza Bergera, np. „Z obciętym wkołomacieju" czy cykl „Jeden z dynastii Ping-Pong".

Czemu zawdzięcza Berger bezsporny artystyczny sukces, sięgający poza granice jego doczesnej śmierci? Czy tylko talentowi?

Tadeusz Berger urodził się 30. 6. 1930 w rodzinie tapicera w Orłowej. Wyrasta w twórczej atmosferze stryjów Karola i Józefa Bergerów, z których jeden nauczyciel i literat staje się członkiem założycielem Śl. Związku Literacko-Artystycznego, drugi pastor ewangelicki jako plastyk z powołania osiągnął członkostwo Zw. Słowackich Plastyków w Bratysławie. Po ukończeniu polskiego gimnazjum w Orłowej kształci się w ołomunieckim Uniwersytecie im. Palackiego, gdzie w pracowniach prof. Aljo Berana, Františka Bělohlávka i Vladimíra Navrátila poznaje tajniki warsztatu i kunsztu sztuk plastycznych. Pierwsze kroki twórcze stawia więc pod urokiem czeskich estetyzujących kierunków. Uprawia najpierw malarstwo, ale tu już nie wystarcza mu tradycyjne tworzywo, farbę miesza z trocinami uzyskując bardziej lub mniej udane efekty. Po wystawie w 1957 (a więc przed 30 laty), kiedy Wacław Sęk (Paweł Kubisz) ocenia w Głosie Ludu nową twórczość „młodych", nie ujmując talentu T. Bergerowi, pisze krytycznie: . . . *niestety „słonecznik" jest kompozycją nieco zwichniętą, pomimo wyraźnego awangardyzmu . . . Posprzeczałbym się także w dyskusji o „Macierzyństwo". Zbyt ono nawiązuje do podobnej pracy czeskiego literata i malarza z lat międzywojennych J. Čapka, brata słynnego Karola Čapka. Zarazem jednak pośpieszam z usprawiedliwieniem. T. Bergera, któremu wolno doszukiwać się własnej drogi nie na jeden utarty sposób. Im więcej sposobów, tym lepiej!*

Czy ta krytyczna ocena pomogła Bergerowi w żmudnej wędrówce poznania istoty własnego artystycznego kredo? Co spowodowało, że z malarza, dekoratora okien wystawowych przedzierzgnął się w grafika o wysokiej świadomości artystycznej? Skąd czerpał inspirację?

Nie upraszczając problemu, pozwolę sobie uwypuklić kilka momentów, które według mnie pomogły rozwinąć talent i ukształtować osobowość twórczą Tadeusza Bergera.

Po pierwsze, na jedno z zebrań plastyków SLA przywiozłem z Pragi pudełko noży linorytniczych, którymi zawładnął Tadeusz.

Po drugie, w r. 1964 uzyskuje Berger I nagrodę w grafice za słynny cykl „Gwoździe", którym jako pierwszy przekroczył granice zaścianka zaolziańskiego w przenośni i dosłownie, wystawiając w r. 1965 w Katowicach, Rybniku, Knurowie i Cieszynie.

Po trzecie: podjęcie pracy redaktora technicznego „Zwrotu" w r. 1966 uważam za jedno z szczęśliwych zdarzeń, które umożliwiło mu wspiąć się na wyżyny czołowego grafika na Śląsku czeskim. Bo później już jego opracowania graficzne niepodzielnie zapanowały w Kalendarzach Śląskich, w wydawnictwach „Profilu", a w niebagatelnej mierze w okolicznościowych publikacjach, dyplomach, katalogach SLA wydawanych przez ZG PZKO.

Po czwarte: w latach 70. bliższy kontakt ze współczesnymi kierunkami sztuki polskiej na międzynarodowych plenerach malarskich w PRL, jak o tym sam wspomina. Cytuję z artykułu K. Kaszpera w Głosie Ludu: . . . *Bez tych plenerów ani ja, ani Liberda nie prezentowalibyśmy się tak, jak się prezentujemy, bez tych plenerów nie osiągnęliby obecnego stopnia świadomości członkowie młodego pokolenia — Tadeusz Ramik czy Józef Drong.*

A po piąte: wspólne wystawy i imprezy slaowskie, gdzie podczas wzajemnych konfrontacji, ścierania poglądów rodziły się nowe koncepcje, ale też i przyjaźnie, z których szczególnie te z Władysławem Sikorą i Bronisławem Liberdą owocowały w nowych przemyśleniach i wizjach.

Ostatnie: przede wszystkim jego osobiste cechy charakteru, których nie waham się wymienić. Przeciwstawne, jakże czytelne w jego podporządkowanych pionowi kompozycjach: krytycyzm i beztroska; wytrwałość i nonszalancja; pilność i umiejętność relaksu; humor i nostalgiczna beznadziejność.

Talent i praca, praca i talent — dostrzegł to również Związek Artystów Plastyków Czeskich w Ostrawie, rejestrując go w poczet członków pod koniec lat 60.

Talent, wyraźnie określona świadomość artystyczna, doskonałość warsztatu graficznego pomogły Bergerowi w odkryciu prawdy o rzeczywistości, stworzyły sztukę wypływającą z natchnienia, znaczącą się wyraźnym śladem twórczym w historii naszego regionu. I nie tylko. Jestem przekonany, że znakomite nowatorskie linoryty Bergera czekają jeszcze na odkrycie.

BRONISŁAW FIRLA

PODWÓJNA KSIĄŻKA GUSTAWA SAJDOKA

W połowie kwietnia pojawiła się w księgarniach nowa książka Gustawa Sajdoka: zapowiadany od lat „Zaczarowany młynek" (wydawnictwo „Profil", Ostrawa 1987, s. 78, nakład 2 000 egz., cena 18 Kčs). Kolorowa i baśniowa obwoluta Evy Šedivej, jednocześnie autorki bardzo oryginalnych piórkowych ilustracji, rzuca się w oczy i powinna znaleźć drogę do dziecięcego czytelnika „od 5 lat". Redaktorem publikacji jest Jan Korzenny, redaktorem odpowiedzialnym Eva Sobková, redaktorami artystycznym i technicznym zaś Václav Beránek i Ivan Straňák (lecz to z pewnością nie ich wina, że leżący przede mną egzemplarz wyszedł poniekąd zmęczony z procesu produkcji).

Po wielu, wielu latach więc nareszcie rodzima książka dla dzieci, którą spotkało szczególne wyróżnienie w postaci jednoczesnej wersji czeskiej w przekładzie Karla Vůjtka (wg informacji czeskiej księgarni pojawi się ona w połowie maja). Książka, która bliżej precyzuje kierunki rozwojowe talentu poetyckiego Gustawa Sajdoka i właściwie wyprowadza z dotychczasowego dorobku poety nową gałąź — twórczości dla dzieci. Chociaż obserwatorzy literatury nadolziańskiej pewnie zauważą, że Sajdok właściwie rozpoczynał swoją twórczość od produkcji dla dzieci i przypomną chociażby sceniczną „Bajkę jesienną" (dwukrotnie była wystawiana w TL „Bajka" — 1959 i 1973) lub „Jemiołkę" (1964); obok „Halo! Tu wieś!" dla dorosłych. Po udziale w kilku almanachach Związku Nauczycielstwa Polskiego (wraz z G. Przeczkiem autor żywo uczestniczył zawsze w ruchu nauczycieli literatów), G. Sajdok debiutował książkowo przed 11 laty tomem poezji „Zanim rozdzwonią się kosy" (Profil, Ostrawa 1976). Zaś w r. 1980 wydał w ZG PZKO-SLA swoje poetyckie „Korzenie".

Krytyka dostrzegła w tekstach poety pewne rozdwojenie, mówiła np. „o wierszach „ładnych" i „brzydkich" — używając „dziecięcych" kwalifikatorów estetycznych, tak bliskich Sajdokowemu sposobowi ujmowania świata" (GL — 24. 1. 1978: Poetyckie wyznania Gustawa Sajdoka — KK). Zaczarowany młynek, co od razu rzuca się w oczy, stawia na dziecięcą rymowankę, chociaż nie tę folklorystyczną. Autor zawierzył rymowi i przede wszystkim z rymu uczynił budulec wiersza i posiadł rymowy klucz do świata wyobraźni. Nie powiemy, by brak w tym było zabawy i dowcipu, ba, odczuwa się w owych wierszach klimat pogodnej szkółki wiejskiej, tej onegdaj z Kamienitego lub z Karpętnej . . . ; pamiętamy, że były takie szkółki ze szczególnym nastrojem i uczniów, i pananauczycielowym; a towarzyszyła owym szkółkom długa, żywa tradycja polskiego wierszowania dla dzieci, któremu przewodzi właściwie bez przerwy wiecznie młody pan Brzechwa, — a także naturalna tradycja dziecięcych zabaw lub przekomarzań: „An tan tiki — dwa szpyndliki . . . " Tyle że Sajdok, znalazłszy się bodaj gdzieś w środku pomiędzy wspomnianymi zjawiskami, ustrzegł się — prawdopodobnie ze szkodą dla swojej książki, wpływów lub nawiązań. A może i warto było nie żałować sobie i poszaleć; na tym polu bodaj nie trzeba zbytniej wstrzemięźliwości lub tzw. poprawności. Tym lepiej bowiem, im głębiej w naturalne w końcu nurty absurdu sytuacyjnego i komizmu — no i niezbędnego zresztą dydaktycznego morału!

Autor próbuje więc raczej oryginalnej drogi, na swój sposób zgodnej z jego poetyką „dorosłą". Pomimo że zwraca się do dziecka, prezentuje przeważnie typ wyobraźni konkretnej, lekko stroniącej od poetyckiego „szerszego" oddechu i przeważnie nie stosuje poetyckiej intrygi uwalniającej od nazbyt logicznego prawodawstwa. Wiersz tutaj leci ciurkiem przy rzadkich właściwie fantastycznych zdarzeniach poetyckich, podobnie jak w kierującym się dydaktyczną logiką „Chomiku", który może służyć uczniowi za przykład właściwego układu dnia. Przypomnijmy zresztą cytowany już szkic: „. . . patrzenie poety na rzeczywistość w nazbyt wielu wypadkach każe sądzić, że Sajdok nie konstruuje świadomie rzeczywistości poetyckiej, ale jak większość liryków zapisuje swoją osobowość. Obecny on jest w świecie „patrzenia", ale nie — myślenia, doznaje świata zmysłami, ale nie abstrakcyjnymi kalkulacjami myślowymi". Tutaj powiedzieć by wypadło: wyobrażeniowymi. Wnioski poetyckie po prostu nie sięgają w wyobrażeniowe „zaświaty", a pozostają na naszym dotykalnym świecie, najwyżej żartują zgodnie z logiką rymowania: „będzie z niego / kot, / co go stuknął / młot".

W ogóle wydaje się, że świat poetycki „Za-

czarowanego młynka" mieści się w klasie wspomnianej szkółki wiejskiej — z jej zwierzęcymi obrazami na ścianach i z żywym wróbelkiem na parapecie, z szafką biblioteczną, otwieraną na lekcje lektury z jej niezwykłym nastrojem, a być może i z rzeczywistym babcinym młynkiem do kawy w nauczycielskim gabinecie . . . Czyli na swój sposób świat realny ze szczyptą sentymentu ożywiającego dydaktyczne przykazania i zabiegi. Notowany na skrawkach papieru z myślą o „Jutrzence" lub „Gazetce Pioniera". Znaczy się wyliczanki mające na celu wzbogacenie zasobu słownego, zgadywanki kojarzące i rozwijające wyobraźnię, wierszyki ożywiające „Taaaką rybę", „Wiewiórkę Agnieszkę" lub owego „Chomika" z planszy na ścianie, oraz „Wróbelka" — opanowanie reakcji klasy wobec jego bezceremonialności. Z tym związana jest także poetyka: w „Taaakiej rybie" wywodzi się ona ze znanej przesadności wędkarzy, u wiewiórki z jej skojarzenia z racjonalnym dziadkiem do orzechów, u „Starego fiata" ze znanego nienadążania w produkcji pomocy naukowych . . . Onegdaj!

A działo się to wszystko bodaj przed kilkunastu laty, kiedy to jeszcze w naszych szkołach raczej stroniono od folkloru, stąd znajdziemy w tych wierszach zaledwie napomknienie o komarze spadającym z drzewa (Pech) oraz przytoczenie ludowego prognostyku w „Kogucie". Współżycie rytmiki z rymem polega tutaj przeważnie na tym, że rytm stara się naruszać monotonię rymowania, stąd tekstów tych łatwiej słuchać niż je czytać (rytmiczna rola pauzy!). Chodzi bowiem przeważnie o wiersze stychiczne. Obok rymu pełnego zdarzają się śmiałe asonanse jak „deszczem — królestwie", „chcesz — przejść" . . . Dodać wreszcie wypada, że najbardziej przekonującym językiem dla dzieci jest humor. Z książki Sajdoka można by wydedukować, czemu dzieci się śmieją. Przeważnie nie temu, czemu śmieją się dorośli. I gdzieś tutaj tkwi tajemnica osobistych przekonań naszego nauczyciela-poety. Jeśli bowiem będziemy tę książkę czytać z punktu widzenia tamtych „dorosłych" kwalifikatorów estetycznych, stanie się ona trudna do pełnego przyjęcia; np. w przypadku „Czapli", która dziwnym trafem (najwyżej rymowym znowu!) stroi się w piórka — przepiórcze, tymczasem jej postępowania nie tłumaczy tylko logika rymowania, ale związany z nią tzw. zwariowany humor, tak istotny dla dziecięcego odczuwania.

Książkę Gustawa Sajdoka sprawdzi przede wszystkim dziecięcy czytelnik i jego należy spytać o zdanie na jej temat. Tyle że niełatwo mu będzie dotrzeć do „Zaczarowanego młynka", jeśli, jak można sprawdzić w czeskocieszyńskiej księgarni, 15 szkół podstawowych zamówiło raptem 22 egzemplarze (w tym trzy pełne szkoły ani jednego). Może książka znajdzie większe zrozumienie w Kołach PZKO.

WS

CIESZYŃSKI ŚPIEWNIK DANIELA KADŁUBCA

Daniel Kadłubiec: Z biegiem Olzy (Cieszyńskie piosenki ludowe). Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Opolu, Opolskie Towarzystwo Kulturalno-Oświatowe. Opole bez roku wyd., ss. 168. Rysunki wykonał Władysław Milerski. Red. techn. Marian Olender.

Zbieractwo pieśni ludowych na Śląsku Cieszyńskim ma bogate tradycje. Na pieśń ludową i jej walory artystyczne zwracali uwagę dokumentatorzy tego wykwitu kultury ludowej już od początków ubiegłego wieku. Cieszyńską pieśń ludową dokumentowali zarówno folkloryści polscy, jak i czescy. Początkowo notowano tylko tekst słowny, później, w zależności od umiejętności muzycznych, rejestrowano także melodie. Niestety do tej pory zbierany przez dziesiątki lat materiał nie został w pełni opublikowany. Spora jego część w postaci rękopisów znajduje się w zbiorach prywatnych oraz w archiwach.

Z publikacji dziewiętnastowiecznych wymienić można Pawła Stalmacha „Zbiór śpiewek słowiańskich", Andrzeja Cinciały „Pieśni ludu z okolic Cieszyna", zaś ze zbiorów dwudziestowiecznych wspomnieć należy „Zbiór śpiewek wiślańskich" Ferdynanda Pustówki oraz materiały publikowane przez Jana Tacinę i Jerzego Drozda. Ten pierwszy znaczną część materiału z okresu międzywojennego umieścił w zbiorze „Pieśni ludowe z polskiego Śląska" oraz w śpiewniku „Gronie, nasze gronie. Pieśni ludowe znad źródeł Olzy" wydanym w Katowicach w 1959 roku, natomiast Jerzy Drozd wydał w 1978 roku „Cieszyński śpiewnik regionalny".

Obok zbiorów zwartych znaczna liczba pieśni ludowych publikowana była w czasopismach, zwłaszcza w „Zaraniu Śląskim", oraz w wydawanym w Czechosłowacji w latach 1935—1938 „Ogniwie" — dwutygodniku dla młodzieży. Spośród zbieraczy publikujących swoje materiały w czasopismach między innymi można wymienić Karola Piegzę, Eugeniusza Fierlę, Henryka Doffka, Emanuela Guziura, Jerzego Samca i innych. Właśnie pieśni nie wchodzące w skład zbiorów zwartych, jak również te, które znajdują się w zbiorach obejmujących teren o znacznym zróżnicowaniu etnicznym, są z biegiem czasu coraz trudniej dostępne dla ogółu społeczeństwa.

Dlatego też z wielkim uznaniem trzeba przyjąć kolejny zbiór pieśni ludowych z terenu czechosłowackiego Śląska Cieszyńskiego opracowany przez Daniela Kadłubca. Śpiewnik ten zatytułowany „Z biegiem Olzy" przygotowany został przez Sekcję Folklorystyczną ZG PZKO w Czeskim Cieszynie, a wydał go w nakładzie 10 000 egz. Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Opolu oraz Opolskie Towarzystwo Kulturalno-Oświatowe.

Zbiór Daniela Kadłubca zawiera 150 pieśni ludowych. Publikowane pieśni autor zaczerpnął z wspomnianej wyżej a dziś trudno dostępnej trzytomowej edycji „Pieśni ludowych z polskiego Śląska" (Kraków 1934—1939) oraz z „Ogniwa" (1936—1938), a także z własnych materiałów pozyskanych z najnowszych badań terenowych. Daniel Kadłubiec dokonał wyboru co cenniejszych zaolziańskich pieśni. Starał się w ten sposób, jak sam pisze we wstępie, „dostarczyć ludziom chętnym do śpiewania . . . odpowiedniego materiału, w miarę możliwości różnorodnego, pochodzącego z różnych miejsc . . . z gór i dolin". Rzeczywiście śpiewnik ten zawiera wiele cennego materiału w wielu wypadkach już dziś zapomnianego i może, a nawet powinien stanowić źródło repertuarowe zespołów śpiewaczych, regionalnych, młodzieżowych itp. Powinien zainteresować wszystkich tych, którym szczególnie miła i bliska sercu jest cieszyńska pieśń i muzyka ludowa.

Już pobieżne przejrzenie śpiewnika przekonuje nas, że ma on charakter popularyzatorski i zarazem podręczny. Adresowany jest do szerokich mas społecznych. Przemawia za tym jego „kieszonkowy" format, a także rzadko stosowany w współczesnych wydawnictwach folklorystycznych alfabetyczny zestaw pieśni zamiast układu systematycznego. Podkreślić jednak należy, że tego rodzaju wydawnictwa budzą także zainteresowanie wśród znawców polskiego folkloru muzycznego. Interesująca jest zwłaszcza ta część materiałowa, która pochodzi ze współczesnych badań terenowych autora. Szkoda, że w tym przypadku autor wykazał nadmierną skromność i nie określił swojego materiału oddzielnym przypisem.

Przyjęta konwencja wydawnictwa, dostosowana do materiału z lat międzywojennych, bardzo ograniczyła autorowi pełne zobrazowanie cech muzycznych pieśni. Stąd brak tak ważnych dla interpretacji pieśni i oddania jej specyfiki regionalnej oznaczeń tempa, zmian agogicznych, a także właściwej notacji zjawisk metrorytmicznych. Autor zajął się natomiast szczegółowo warstwą tekstu słownego. Dokonał przeglądu i adiustacji dialektologicznej. Podobnej korekty, zgodnie z współczesnymi wymaganiami etnomuzykologicznymi, dokonać należałoby w warstwie muzycznej śpiewnika.

Śpiewnik Daniela Kadłubca jest niewątpliwym osiągnięciem folklorystyki cieszyńskiej za Olzą, zwraca także uwagę na potrzebę nie tyle osobniczego spojrzenia na muzyczny folklor tego ciekawego i kulturowo zachowawczego terenu, co bardziej wieloaspektowego, a nawet interdyscyplinarnego.

ALOJZY KOPOCZEK

MIĘDZY PANEM I SUMIENIEM

Mikuláš Kočan: Gorący ziemniak, czyli Przypowieść o Janosiku. Przekład: Jan Pyszko. Reżyseria: Karol Suszka, scenografia Władysław Cejnar, muzyka Leszek Wronka. Premiera: 28. 3. 1987.

I.

Jest późne marcowe popołudnie. Słońce znowu się tapla w burych chmurach. Człowieka aż ponosi do wiosennych prac ogrodniczo-przyzagrodowych, gdy tymczasem jedyna sprzyjająca im gwiazda bawi się latoś w chowanego. Aż strach, co z tego może wyniknąć. Przyroda jakoś się pewnie opamięta z czasem, ale człowiek? Co ma w tym czasie robić przywykły do rytmicznej

pracy nasz człowiek? Wyglądam przez okno i znowu widzę za płotem siwą czuprynę Bronisława. Sąsiad bierze od paru lat górniczą emeryturę i zdążył się już dorobić silnego kompleksu niewykorzystania. Niewykorzystane są jego mięśnie i jego marzenia. — Jeszcze wczoraj — mówi — wszystko było proste, bo ułożone w ośmiogodzinny rytm pracy, wypoczynku po pracy w ogrodzie oraz snu. Człowiek wiedział, po co rano wstaje, i nie miał czasu myśleć, po co się kładzie. Teraz to się obróciło do góry nogami. Za dużo czasu na rozmyślanie człowiekowi szkodzi.

— Jedzie pan do teatru wieczorem?

— Na Scenę? No pewnie, co mam robić w chałupie?

Nie myślę, iżby teatralne autokary przywiozły na premierę samych sfrustrowanych emerytów. Przeciwnie, większa część widowni zajęta była przez ludzi w tzw. sile wieku, których kompleks niewykorzystania nie miał jeszcze prawa dosięgnąć. Mimo to, można było mieć nadzieję, że przesłanie sztuki „Gorący ziemniak, czyli Przypowieść o Janosiku" zostanie odczytane przez wszystkich zgodnie z intencjami autora.

II.

Słowak Mikuláš Kočan napisał ten dramat w 1984 roku, mając 38 lat oraz 3 wydane zbiory wierszy i 5 wystawionych sztuk scenicznych. Mamy zatem do czynienia z autorem dojrzałym, dobrze obeznanym zarówno z rzemiosłem dramaturgicznym, jak z alfabetem lirycznych środków emocjotwórczych. Z tego powodu, miast irytować się semantyczną pustką tytułu, powinniśmy zaufać autorowi i spróbować odczytać go metaforycznie, zgodnie zresztą ze znaczeniem większości zbitek idiomatycznych. Słowacki zwrot „gorący ziemniak" należy rozumieć jako „drażliwą kwestię", jako coś bardzo nieprzyjemnego, co . . . „staje ością w gardle", czyli — wedle „Słownika frazeologicznego" — „dokucza, dopieka, daje się we znaki, zatruwa życie". „Ość w gardle, czyli Przypowieść o Janosiku" — oto jak, moim zdaniem, mógłby brzmieć po polsku tytuł tej sztuki. Nie wiem, dlaczego tłumacz Jan Pyszko zrezygnował z niego; podejrzewam, że przeląkł się jego nadmiernej jednoznaczności i publicystycznej czy wręcz rewizjonistycznej agresywności. W dosłownym wszak tłumaczeniu „gorący ziemniak" nie wywołuje prawie żadnych skojarzeń i pozwala bujnie rozkwitać wieloznacznej, choć najbliższej folklorowi, funkcji „przypowieści". Gwoli sprawiedliwości muszę jednak dodać, iż — paradoksalnie! — niedookreśloność Pyszkowego tytułu doskonale korespondowała z Karola Suszki zamiarem inscenizacyjnym tego pierwszego polskiego przedstawienia „Ziemniaka".

Ale o tym później. Na razie odnotujmy, że dzięki dwuczłonowemu tytułowi autor uwzględnił (założył, usprawiedliwił) potrzeby co najmniej dwóch kategorii widzów: utożsamiających się z mitem społeczno-kulturowym Janosika i rewidujących go, czyli widzów akceptujących siebie w tradycji kulturowej i ciągle określających się wobec niej, bałwochwalczych z natury i krytycznych, podporządkowujących się bezmyślnie rzeczywistości i usiłujących rozpoznać ją i zrozumieć jej argumentację nie do odrzucenia. Kontynuując tę wyliczankę, można powiedzieć na wyrost, iż autor uwzględnił nawet obecność na widowni naszej, góralsko-zagłębiowskiej, uzależnionej od nałogu pracy, publiczności. Janosik z „Ziemniaka" jest bowiem dzieckiem prostych młynarzy i przeklętym bękartem biednych, zaharowanych górali, oddających za robotę i pańską łaskę własną godność i wartości ludzkiego ducha.

Trzecią kategorię widzów można by utworzyć z humanistycznej elity (awangardy, arriergardy) każdej społeczności. Kočan otóż zbudował swój dramat na wzór tragedii greckiej, a poszczególne sceny i bohaterów wyposażył w znaki charakterystyczne dla mitologiczno-religijnego fundamentu kultury „basenu Morza Śródziemnego". Śledzenie ich, obserwowanie procesu ich słowacko-góralskiej naturalizacji i adaptacji do współczesnej rzeczywistości — to prawdziwa gratka dla filozofów, filologów, kulturo- i teatroznawców, etnografów etc. Ów kulturowy rodowód „Ziemniaka" decyduje ostatecznie również o jego sile wyrazu; emocjonalnie zatem jest odbierany przez wszystkich, bez względu na stopień znajomości Pisma Świętego i twórczości Sofoklesa, Eurypidesa, Ajschylosa, Parandowskiego, Kosidowskiego i in.

III.

Przedstawienie składa się z dwóch części, z których pierwszą nazwałbym „Wyrocznia" (czyli „Przypowieść o Janosiku"), a drugą „Mit" (czyli „Ość w gardle"). W części 1. bowiem, zawiązanej dramaturgicznie przez wróżbę Cyganki, małość, bojaźliwość, wyra-

chowanie mieszkańców zabitej deskami wiochy obnażone zostały przez wyrocznię, przez niezależne od nikogo fatum, natomiast te same cechy „wzbogacone" o walor podłości i zeszmacenia wydobył z tych samych, lecz starszych o 20 lat górali, właściciel wsi i — okazuje się — także dusz człowieczych — Graf, przy pomocy mitu. W sumie jest to więc dramat skazanych na wieczne niewolnictwo nieoświeconych ludzi, dla których jedyną i rozstrzygającą instancją w sprawach życia, śmierci i moralności jest pan, a więc filozofia posłuszeństwa, pokory i wiernopoddaństwa. Dochowanie jej wierności wydaje się być ich jedyną cnotą, skoro nawet na starość nie są w stanie jej się przeciwstawić.

Brak ewolucji stosunku bohaterów do podstawowych składników swej psychofizycznej egzystencji zadecydował o gatunkowej przynależności „Ziemniaka" i — domyślam się — stanowił istotną wskazówkę dla reżysera. Karol Suszka zainscenizował „Janosika" jak klasyczną tragedię grecką z przesłaniem do współczesnych. Osiągnął efekt piorunujący! Nieuniknioność losu, błędne koło nadziei i upadków, iluzoryczna wartość niewolniczej w tym kontekście wiernopoddaństwa pracy — to przyczyny nędzy i sponiewierania bohaterów, ich bezsilności oraz egzystencjalnej rozpaczy i bólu, a zarazem najmocniejsze walory poznawcze przedstawienia. Jego emocjonalna z kolei siła bierze się z opozycji: zły los — uporządkowane (czyt.: „dobre") życie. Na scenie nie jesteśmy się w stanie dopatrzyć najdrobniejszej nawet aluzji do bałaganu, niekonsekwencji czy artystycznej niekompetencji. Przeciwnie: i architektura dekoracji, i krój kostiumów (Władysław Cejnar!), i kompozycja przestrzenna poszczególnych scen (K. Suszka) podporządkowane zostały szczególnemu rytmowi klasycznego ładu, harmonijnie współistniejącego z rytmem życia bohaterów. Wieśniacy z Terchowej nie przekraczają przecież nakazanych im norm postępowania. Nie buntują się, nie sprzeciwiają, nie szemrzą nawet na stronie. Całym swoim jestestwem pragną służyć konkretnemu panu, rano wstawać, żeby zdążyć na pańskie, wieczorem kłaść się, żeby rano móc wstać . . . Wydaje się, że

Scena z pierwszego aktu „Gorącego ziemniaka" — na pierwszym planie Graf (W. Rybicki) oraz Kościelny (R. Moliński), w tyle nad kołyską Janosika Matka (E. Bobek) i Ojciec (K. Siedlaczek)





Kowal (Kazimierz Czapla) i Cieśla (Zbigniew Żwak) oraz Graf (Witold Rybicki) — scena z aktu drugiego

wszystko w ich życiu zostało ułożone w rozwijającą się w nieskończoność spiralę ładu i postępu. I właśnie na ten świat spada zły los w postaci — o ironio! — dobrego z punktu widzenia sprawiedliwości społecznej Janosika. I słowo po słowie, gest po geście, norma moralna po normie zaczyna się ten porządek załamywać, a jego wyznawcy i aktywni nad podziw obrońcy — tracić poczucie rzeczywistości i godności własnego ja. W końcu pobiegną za smarkatym naśladowcą Janosika z okrzykiem: „W imię Janosika — na zbójnika!". Destrukcja moralna i światopoglądowa stanie się faktem.

Spokojnej poetyce przedstawienia, wyraźnie złożonego ze stopniujących napięcie sekwencji scenicznych, towarzyszy wyważone aktorstwo. Przede wszystkim główne postaci dramatu: rodzice Janosika oraz ich sąsiedzi, wieśniacy, Kowal, Cieśla i Ociepka, a także Kościelny i Cyganka, zostały napełnione przez aktorów w równym stopniu psychologią akcji jak ponadczasową, symboliczną treścią wiejskich typów: mocarza (Kazimierz Czapla), słabeusza (Zbigniew Żwak), sknery (Piotr Augustyniak) i chytrusa wydrwigrosza (Rudolf Moliński). W odróżnieniu od nich większy ładunek liryzmu musiały zawierać postaci Ojca (Kazimierz Siedlaczek) i Matki (Emilia Bobek). One też były predystynowane najwyraźniej do przekazania mitologicznego stereotypu rodzicielskich uczuć i zdeterminowanych nimi postaw. Rysunek aktorski tych typów był bardzo wyraźny. Ojciec zbudowany z delikatnych linii papilarnych ojcostwa i bardziej nabrzmiałych fizyczną treścią — męskości, Matka zaś cała z macierzyńskiej czułej nadziei i niezłomnej wierności. Obydwoje zaś w końcu z szaleństwa jako jedynej ucieczki przed Tragicznym Niepoznanym. Świetne role. Najbardziej kontrastowo poprowadziła swoją Cygankę Helena Tuliszewska, co jest zrozumiałe z uwagi na wyjątkową funkcję tej postaci. Mimo iż występuje w cygańskiej sukni, Tuliszewska gra przecież Wyrocznię. O tyle jednak niemitologiczną, że podległa świeckiej władzy. Jak wszyscy. Graf jest bowiem alfą i omegą ich małego świata, uosabia siły doczesne i . . . nadprzyrodzone.

fot. WŁADYSŁAW WOJNAR

„Nie ma siły na panów" — poucza syna Matka, „Oni muszą odejść, inaczej gniew grafa na nas spadnie" — straszy chłopów Kościelny, „Jak nie zechcę, to ani wiatr nie dmuchnie" — Graf każe wierzyć sobie i poddanym w swoją nieomylność. Perfidną zaiste koncepcję przyjął Witold Rybicki, postanawiając zrezygnować z utworzenia wizerunku majestatycznego władcy, na rzecz cynika z manierami plebejusza, który nawet sam siebie będzie przedrzeźniał, byle udało mu się wyprowadzić chłopów w pole.

Wbrew założeniom jednak, ta wielopiętrowa interpretacja zamazuje raczej niż wyostrza oblicze Grafa. Kimże on w końcu jest? Mordercą w rękawiczkach dyplomaty?, schłopiałym arystokratą?, sługusem cesarza z kompleksem niższości? Podstarzałym łobuzem, zdziecinniałym starcem, kim? Zaiste przybyszem z innego świata.

Portret Grafa najwyraźniej koresponduje z polemicznym ładunkiem dramatu, z owym tytułowym „gorącym ziemniakiem" alias „ością w gardle". Stanowi oczywistą aluzję do nieodległej przeszłości, w której deklaracje nieomylności władzy były równie buńczuczne co szkodliwe społecznie. W tym sensie interpretację Rybickiego można by odczytać jako karykaturę nadużywającej swych uprawnień władzy. Więcej w Grafie abstrakcyjnych wyobrażeń o własnych możliwościach niż człowieka je uwierzytelniającego.

IV.

W inscenizacji Suszki wątek polemiczny „Ziemniaka" trzymany był jednak na krótkiej smyczy. Hasać tutaj miały — jak się rzekło — dorodne dzieci cywilizowanej Europy: etyka, estetyka, filozofia, czyli Człowieczeństwo. W wyakcentowaniu tego akurat składnika chcę się dopatrzyć wpływów na przedstawienie polskiej kultury artystycznej, sytuującej się tradycyjnie w pobliżu uniwersalnych pytań o kondycję duchową człowieka. Słowacka, a zwłaszcza czeska kultura chętniej natomiast inspirują się tzw. małym realizmem codzienności. Chociaż . . . Początkowo szacunek i podziw budzą impet i talent, z jakimi Kočan burzy — wydaje się — funkcjonujący w kulturze słowackiej mit Janosika jako bohatera narodowego i pierwowzór rewolucyjnej świadomości ludu. Są to przecież płaszczyzny, na które „Ziemniak" wprowadza publiczność w pierwszej kolejności. Nie było bohaterów wśród uciskanych — zdaje się prowokować od pierwszych już scen. — Pobratymcy Janosika byli tchórzami i prostakami — posuwa się do obelg, kiedy każe Kowalowi prostodusznie wierzyć, iż rola sprawiedliwego bojownika o prawa ludu może przypaść wyłącznie człowiekowi mocarnemu w barach . . . — Janosik to tylko mit rekompensujący nasze niedostatki — uderza w tony demaskatorskie. Wkrótce jednak okazuje się, iż zabieg ten był zaledwie dramaturgicznym chwytem. Talent autora kazał nam otóż niebawem zapomnieć o tych rewizjonistycznych armatach, ponieważ na scenę wciągnięto kolubryny, które przeniosły atak z narodowej kultury i historii ruchów społecznych na nas: na siedzących na widowni robotników i chłopów, którzy już dawno przestali wszak wybierać — jak sceniczny Cieśla — między panem i sumieniem. Wiadomo — rano trzeba wstać . . . Inicjując przekład sztuki Kočana i wystawiając ją Scena Polska ponownie dobitnie potwierdziła swe ogromne możliwości twórczego uczestnictwa w procesie zbliżenia naszych kultur i wyposażania ich w istotne, nieprzemijające wartości. Brzmi to jak slogan, choć jest doświadczoną scenicznym życiem prawdą.

Z. O.

WĘDRÓWKI NAZEWNICZE

KOCOBĘDZ (5)

Droga, którą zdążamy od *Podoborszczoka* do centrum Kocobędza, prowadzi koło stawu. *To je* ***Pónczów Stow,*** *albo stow u Póncze. Drugi stow mioł Michel. Stawy też były przi Olbrachcicach, ale teraz już tam je jyny jedyn. Po naszymu my tam mówili:* ***Do Stawów.***

Downij był też chodnik ***Na Groblach.*** *Groble były kole stawu u Michla, ale jak Michle pomrzili, to sie groble zniszczyły, bo wiycie, to trzeba fórt oprawiać, aby woda nie przerwała.*

Był też ***Pónczów Las,*** *ale to była jyny tako* ***gojica*** *z małymi strómkami. Zaś na miedzach były posadzóne rzyndy śliw. My tymu mówili* ***śliwnicze.*** *Pod Oboróm to nazywali* ***we śliwniczu.*** *Dzisio śliwnicza już ni mómy, bo mómy wyharatany* (traktorem powyrywany) *cały śliwnicz.*

Zarośla nazywa się w Kocobędzu przeważnie *chrost, chrosty, do chrostów. Tych chrostów było wiyncyj: był* ***Buzków Chrost, Michlów Chrost, Zielinów Chrost.*** *W Buzkowym Chroście były smreki, brzimy a sosny, tóż sie też mówiło* ***Buzków Losek,*** *a nikiedy* ***Buzkowe Zarośli.***

W pobliżu granicy ligockiej znajduje się ***Żabiniec,*** czyli ***Morski Oko.*** Jest to mokradło, w którym pono kiedyś ugrzęznął i utopił się żołnierz wraz z koniem. *Je to wedle Glacowej; jak sie idzie od Ligoty, za Budkóm w prawo. (Budka* 'budka na przystanku autobusowym'.)

Obeszliśmy Kocobędz od strony północno-wschodniej i zbliżyliśmy się znów do *Dziedziny.* Było tu kiedyś pole zwane ***Na Kóntach.*** (Nazwa topograficzna *Kónty,* kąt 'miejsce na uboczu, na granicy wsi; miejsce wyrąbane w lesie lub między ścianami lasu').

Kocobędzanie rozróżniają trzy rodzaje gliny. ***Glinka*** *je ziym lekciejszo, krucho. (Glinka* 'gleba powstała z aluwialnych utworów pyłowych'.) ***Ślin*** *to je ciynszko ziym, źle uprawno. Je ślin czorny aj żółty. Czorny ślin je urodzajny. (Ślin* 'rędzina, gleba powstała ze zwietrzenia wapienia, margla i łupków cieszyńskich wieku kredowego'.) Śliny są dość trudne do uprawy, gdyż na mokro się mażą i nie dają się łatwo orać, po wyschnięciu zaś twardnieją i są niełatwe do rozkruszenia. ***Celina*** *je tako maźno, żółto, zło ziym. Z celiny se ludzie u nas sami robili a polili cegłe. Celine też bieróm na piece, jak piece robióm. (Celina* 'żółta glina ilasta do wyrobu cegły'.)

Najbardziej na wschód wysunięta dziś część historycznego Kocobędza nosi nazwę ***Zadki.*** (Nazwa topograficzna *Zadki* 'tyły, koniec wsi'.) Zaznaczyć tu trzeba, że Zadki należały jeszcze przed kilkunastu laty do Mostów i zostały przyłączone do gminy Kocobędz dopiero na skutek podjętych przez mieszkańców tej części zabiegów u władz. Była w tej okolicy dawniej strzelnica wojskowa

i dlatego dróżka prowadząca od *Tyczónki* nosi nazwę *Ku Strzelnicy.* Mieszka tu Paweł Biedrawa, osiemdziesięcioletni emerytowany górnik, jeden z najstarszych kocobędzkich członków PZKO, a także Władysław Niedoba, członek Prezydium ZG PZKO i wieloletni poseł do Czeskiej Rady Narodowej.

Wiele starych chałup czy zabudowań gospodarczych miało dawniej swoje nazwy, których młodsze pokolenie już prawie że nie zna. Nie opodal *Polokowej karczmy* jest ***Sypani, Na Sypaniu.*** *Sypani* — to nazwa kulturowa oznaczająca 'budynek przeznaczony do składania (sypania) i przechowywania zboża'. *Nieskorzi mieszkali tu kwartyrnicy, co robili we dworze, a też u Poloka.* Obecnie właścicielem tego domu jest Stanisław Suchanek, wysokiej klasy kierowca samochodów ZG PZKO.

Większość nazw starych domów jest utworzona za pomocą przyrostka -ówka. Nazwy te zostały utworzone od nazwiska właściciela danej zagrody lub kawałka pola, miały więc znaczenie dzierżawcze: *Unuckówka (Unucówka) wygorała za piyrszej republiki a była pod Polokym;* ***Gaurówka*** *je blisko gospody Poloka, teraz tam mieszko Pala;* ***Szczukówka*** *je już rozebrano;* ***Rakusówka*** *— teraz tam je Smelik a Mrózek;* ***Kozłówka; Kulówka*** *— była przi lesie za dworym;* ***Kropówka*** *— to była piekno drzewiónka przi Łynczoku* (właścicielem jej był rolnik Paweł Polok).

Do największych dawniejszych *siedloków* należeli: Karol Zielina (później Jerzy Dziadek); *Miyncielowie (dwo synowie a jedna cera), od kierych kupili grunt Pinkasowie;* Karol Buzek i Józef Michel. Wszyscy wymienieni posiadali około 20 hektarów pola. Dalszymi rolnikami byli: Karol Michel, Paweł Poncza (po nim Karol Poncza), Jan Poncza (po nim Józef Poncza). *Bo wiycie, dwo Pónczowie mieli grunty.* Jednego konia trzymali Paweł Polok oraz Jan Polok.

Młyna większego w Kocobędzu nie było, ale były małe *powieternioki.* (*Powieterniok* 'młyn napędzany siłą wiatru'.) *Były taki powieternioki u Dorka Palarczyka pod Brzimami, u Janka Stynchłego przi Budce, u Jana Szklorza a u Kalyty.*

Z rzemieślników byli (poza wspomnianym już kowalem) tylko szewcy. *Szewcowoł Kotas, Herman, Bajer (tyn był jeszcze za piyrszej republiki). Kisiel też był szewcym, ale ón tak jyny do siebie korpoł.* (*Korpać* 'latać, naprawiać. Od czasownika *korpać* pochodzi nazwisko Korpak.)

Spomiędzy autochtonów najwięcej jest w Kocobędzu obecnie Kiszów i Smelików. Spotykamy tu również następujące nazwiska: Biedrawa, Buzek, Czakoj, Drobisz, Dziadek, Folwarczny, Gatnar, Gieraczka, Glac, Głuszny, Gociek, Grania, Jana, Kaleta, Kisiel, Kotas, Michel, Mienciel, Morcinek, Mrózek, Niedoba, Nowak, Ożana, Pala, Palarczyk, Pinkas, Polok, Poncza, Przeczek, Raszka, Stęchły, Suchanek, Szklorz, Szotkowski, Szturc, Wacławek, Wacławik, Wadowski, Walek, Wojkowski, Zielina i in.

Mała liczba powtarzających się tych samych nazwisk spowodowała, że w Kocobędzu (w odróżnieniu od sąsiednich Łąk) jest w użyciu bardzo mało przezwisk i przydomków. ***Wyrchni*** Michel (Karol) *był na Wyrchu w pobliżu folwarku;* ***Spodni (Dolni)*** Michel (Józef) miał pola położone niżej, w pobliżu karczmy Jana Poloka; Franciszka Folwarcznego nazywano ***Mrózkiem, Do Mrózka,*** *bo tam kiejsi był Mrózek (teraz tam je Giyraczka, ziyńć Folwarcznego);* do Alojzego Szotkowskiego przylgnęło przezwisko ***Szubrawiec,*** bo często zwracał się do chłopów „ty szubrawcu"; „Polok ***Spod Brzimów*** mieszkał *Przi Brzimach,* zaś Polok mieszkający w pobliżu Łęckiego Lasu — to Polok ***Sianiorz*** (handlował sianem).

Nie wymieniliśmy jeszcze kilku kocobędzkich nazw: ***Łónka Przi Czornym Lesie (Na Czornóm Łónke),*** potoczek ***Strzybnioczka,*** szynk ***U Morcinkule*** *— kaj sie stawiali hawiyrze po achtlik, jak szli ze szachty do dómu,* ***Krziż*** (kamienny) niedaleko karczmy Poloka, ***Kóński Kierchów*** — część Kocobędzkiego Lasu, w której grzebano padlinę, a także nowsze nazwy przystanków autobusowych:

Ku Budce (Przi Budce), Ku Kinu (Przi Kinie), Ku Dworu (Przi Dworze), Ku Hajence (czeskie hájenka 'gajówka').

Na tym moglibyśmy zakończyć naszą wspólną wędrówkę nazewniczą po Kocobędzu i odjechać autobusem w stronę Ligoty (którą zwiedzać będziemy za miesiąc), ale ja wolę wrócić w stronę Czarnego Lasu, z którym wiążą mnie wspomnienia ponurego wydarzenia z czasów okupacji niemieckiej. Otóż na skraju Czarnego Lasu, w pobliżu miejsca, gdzie od drogi Ku Wyrąbanej odgałęzia się dróżka prowadząca w głąb Czarnego Lasu, 8 września 1944 roku został zastrzelony przez niemiecką tajną policję polityczną (Gestapo) Adam Boszczyk, przedwojenny gajowy, a podczas okupacji robotnik leśny w Mistrzowicach, mój bliski krewny. Zwłoki jego i zwłoki trzech dalszych zastrzelonych gdzie indziej członków ruchu oporu kazali później gestapowcy wrzucić do dołu, wykopanego za płotem cmentarnym w Kocobędzu. Pogrzebani tu zostali: Józef Biedrawa z Trzycieża, urodzony 24. 3. 1916, Adam Boszczyk z Mistrzowic, ur. 4. 10. 1902, Gustaw Kubeczka z Ropicy, ur. w r. 1919, oraz Alojzy Palach z Grodziszcza, ur. 21. 1. 1917.

Nie słyszałem dotychczas, by jaki historyk ruchu oporu na Ziemi Cieszyńskiej odnotował ich patriotyczną działalność i okoliczności ich tragicznej śmierci. Tymczasem świadkowie ich zmagań z hitlerowską przemocą wymierają. Organizujemy miesiące pamięci narodowej (co jest dobre i słuszne), ale kogo ma pamiętać młoda generacja, jeśli nazwisk godnych zapamiętania w wielu wypadkach nawet poszukujący nie znajdzie? W Mistrzowicach został wzniesiony po wieloletnich staraniach skromny pomnik z napisem „ofiarom faszyzmu". Ogólnikowy, nikogo konkretnie nie przypominający. Można by tego rodzaju pomnik postawić chyba w każdej miejscowości Europy. W Ropicy była kiedyś po wyzwoleniu prosta tablica z nazwiskami ofiar faszyzmu. Ktoś został na niej pominięty, więc została usunięta. Od tej pory nie ma tu ani tablicy, ani pomnika. Pawle Oszeldo z Nieborów, byłeś jednym z pierwszych bojowników o prawa ludu cieszyńskiego, cierpiałeś za to na Szpilbergu, a też nie masz u nas ani pomnika, ani ulicy! Podobnie ma się sprawa innych cieszyńskich działaczy społecznych z roku 1848 oraz niektórych późniejszych miejscowych działaczy robotniczych. Wstyd mię ogarnia, gdy widzę na co dzień, jak niefrasobliwie przyglądamy się wytrwałemu zamazywaniu i puszczaniu w niepamięć naszej chlubnej przeszłości narodowej, chłopskiej, robotniczej... Chyba najwyższy już czas, aby się do tych spraw poważniej zabrać.

Na zakończenie cyklu wędrówek nazewniczych po Kocobędzu pragnę serdecznie podziękować za współpracę wszystkim informatorom, a przede wszystkim Gustawowi Walkowi, dyrektorowi szkoły podstawowej, działaczowi społecznemu i przewodniczącemu Koła Miejscowego PZKO w Kocobędzu, za wskazanie mi niektórych informatorów i za udzielenie mi innej jeszcze pomocy.

WŁADYSŁAW MILERSKI

Od redakcji: W nr 4/87 na str. 61 w wierszu 17 od dołu prawej kolumny zamiast „depôlt" ma być „dépôt".

TRYBUNA CZYTELNIKÓW

W naszej czerwcowej rubryce publikujemy jak zwykle listy i krótkie artykuły naszych czytelników: inż. Tadeusza Guziura nt. jubileuszu bogumińskiej szkoły, Adolfa Szurmana o pierwszym zespole jazzowym w przedwojennej Karwinie, korespondencję Władysława Małysza dotyczącą artykułu O. Guziura „Stragan nad Olzą" z tegorocznego Kalendarza Śląskiego, krótki fragment obszernego i serdecznego listu Hildegardy Chorzempa oraz list Marii Trombik z lutyńskiego Klubu Kobiet. Z prawdziwą przyjemnością zamieszczamy artykuł, jaki przesłano na adres naszej redakcji z brneńskiego Zjednoczonego Klubu RZZ Kolejarzy.

JUBILEUSZ 80-LECIA BOGUMIŃSKIEJ SZKOŁY

Pod hasłem „Wszystko co dobre Tobie zawdzięczam szkoło . . . " w sobotę 21. 3. br. odbyły się w Klubie Zakładowym ČSD w Nowym Boguminie uroczyste obchody 80-lecia istnienia miejscowej szkoły podstawowej z polskim językiem nauczania, które pod patronatem Komitetów Miejskich KPCz, Frontu Narodowego i PZKO oraz Miejskiej Rady Narodowej w Boguminie i kierownictwa stalowni Huty i Druciarni Bogumin zorganizowały dyrekcje oraz SRPS tejże szkoły i przedszkola.

W programie kulturalnym najpierw zaprezentowały się połączone pezetkaowskie chó-



fot. HENRYK MICHALSKI

ry obwodu bogumińskiego — Preludium z Bogumina, dolnolutyńska Lutnia i skrzeczońskie Hasło pod batutą Tadeusza Kołatka, Alojzego Babińskiego i Władysława Ożoga. Dyrektorka szkoły Wanda Kondziołka zapoznała wypełnioną salę z przekrojem obecnej pozalekcyjnej działalności dzieci szkolnych. Bogumińscy przedszkolacy przedstawili wiązankę tańców, piosenek i wierszyków w opracowaniu Marii Sładeczek. Z gratulacjami i pozdrowieniami przybyli również uczniowie dolnolutyńskiej szkoły wystawiając tańce rzeszowskie.

Głównym punktem programu kulturalnego był występ bogumińskiego zespołu szkolnego „Karolinka", w którym uczestniczyły wszystkie dzieci szkoły.

Przybyli goście przekazali Szkole — Jubilatce akty uznania, dyplomy, słowa podziękowania oraz życzenia pomyślności w dalszej działalności tej zasłużonej placówki. Szkole wręczono najwyższe miejskie odznaczenie „Za zasługi dla rozwoju miasta Bogumina" oraz nadaną przez Zarząd Główny PZKO złotą odznakę „Za zasługi" (na zdjęciu dyrektorce Wandzie Kondziołka przekazuje ją przedstawicielka ZG PZKO Jadwiga Firut).

inż. TADEUSZ GUZIUR
Skrzeczoń

PIERWSZY JAZZ W KARWINIE

W latach międzywojennych ówczesna Karwina pod każdym niemal względem wyprzedzała najbliższą okolicę, a w wielu wypadkach wyraźnie przodowała.

Chciałbym parę zdań poświęcić pierwszej w okolicy orkiestrze jazzowej.

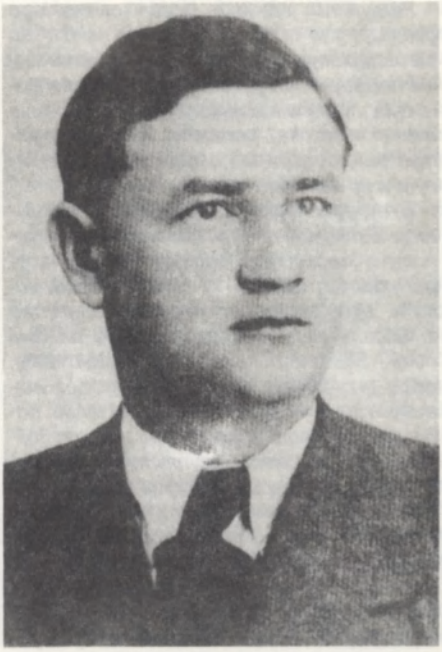
Nim muzyczne zespoły jazzowe opanowały na naszym terenie lokale taneczne, jedyną muzyką przygrywającą do tańca były orkiestry dęte. Takie same produkowały się na manifestacjach publicznych, festynach, weselach a także obrzędach pogrzebowych, kiedy kondukt musiał przemaszerować połowę miejscowości. Obsada kapel bywała różna zarówno co do składu instrumentów, jak przygotowania lub uzdolnienia poszczególnych muzykusów. Jeszcze dzisiaj spotykamy się z tą muzyką upiększającą obrzędy pogrzebowe i na uroczystościach urządzanych pod gołym niebem. Z „tancbud" (poza nielicznymi wyjątkami) wyparły ją nowe formy muzyki. Nawet jazz w pierwotnej postaci należy już raczej do przeszłości.

Wróćmy do wspomnianego karwińskiego jazzu.

Najpierw muszę przypomnieć, że w omawianych latach radio było w początkach, rzadko kto posiadał odbiornik, najczęściej na słuchawki. Toteż dla przygniatającej większości obywateli słowo „muzyka" kojarzyło się przeważnie z orkiestrą dętą czy kapelą podwórkową.

Wyłomem były w Karwinie pierwsze występy grupy jazzowej Ferdynanda Bystronia. Ten utalentowany skrzypek w miarę lokalnych możliwości cechy autentycznego jazzu „specyficzną pulsację rytmiczną (synkopy), wariacyjne opracowania tematu, swoistą artykulację i intonację" — wprowadził do swego

Ferdynand Bystroń





Pianistka Maria Bura-Jarosińska

zespołu. Zespół ten w początkowej fazie składał się z czterech osób. Ferdynand — skrzypce, jego brat Edward — saksofon, Maria Bura — fortepian i Jan Leszczuk — perkusja.

Ferdynand już jako uczeń orłowskiego gimnazjum w orkiestrze szkolnej należał do niezastąpionych prymistów. Jego brat był klarnecistą w „Laryszowej kapeli". Maria Bura była znaną w Karwinie pianistką. Dobranie Jana Leszczuka, perkusity, było szczególnym trafem, gdyż ten okazał się niezrównanym w opanowaniu złożonej perkusji.

Był więc komplet. Jazz Bystronia robił furorę. Z miejsca zjednał sobie przychylną renomę w kręgach młodego pokolenia łaknącego modnych tańców. W okresie karnawałowym był rozrywany. Imprezy zabawowe z tańcami siłą faktu rozdzieliły się na dwa nurty. Starsze pokolenie odwiedzało bale, gdzie przygrywała „dechula". Młodzież hołdowała jazzowi, by wyżywać się w tańcu, popisując się tangiem, angielskim walcem, fokstrotem, slow-foxem i innymi charlestonami.

Omawiany zespół przyczynił się niewątpliwie do popularyzacji polskich oryginalnych przebojów (a także polskich tekstów najbardziej rozpowszechnionych z zagranicy). Młodzież przepisywała słowa, zapamiętała je, często nuciła w czasie tańca. (Nie mówiąc o fakcie, że słowa i melodie chwytliwych przebojów wzbogaciły repertuar młodych śpiewaków.)

Przypomina mi się pewien bal: Wspomniany jazz triumfował, urozmaicony niespodziewanymi popisami Leszczuka, który oprócz obsługiwania instrumentu, znalazł czas, by z rutyną cyrkowca żonglować pałeczką ku ogromnej uciesze i powszechnej aprobacie roztańczonej sali. Ponadto podczas przerwy, w wypożyczonym z teatru kostiumie, tańczył na podium do upadłego — kozaka. Aplauzom nie było końca. (Ojciec Jana pochodził gdzieś od Sanoka, z tych stron, gdzie każdy młodzieniec miał kozaka „w nogach". On był mistrzem dla syna, a Janek był pojętnym danserem). Młodzież rozochocona wytrwała w tańcu do białego rana; wszyscy jednocześnie opuszczali salę dopiero, gdy Janek z bębnem na ramionach wychodził na ulicę.

Takie były początki jazzu w Karwinie. W ślad za Bystroniem pojawiały się inne zespoły, zwłaszcza z niedalekiej Ostrawy. Fer-

Jan Leszczuk — perkusista zespołu Ferdynanda Bystronia



dynand doskonalił się w nowej formie sztuki muzycznej — był zapraszany do odleglejszych miejscowości.

Jazz zwycięskim krokiem parł naprzód. W rozpropagowaniu tej wówczas nowalijki muzycznej (i modnych tańców) położył jazz na naszym terenie podwaliny — pozostaje niezaprzeczalnym faktem, że pierwszy jazz rozbrzmiewał w wykonaniu zespołu Ferdynanda Bystronia w polskich ośrodkach zabawy w dawnej Karwinie.

Oczywiście — gdyby zespół porównać z jazzowymi kompletami obecnych czasów — porównanie wypadłoby niekorzystnie dla tego zespołu. Niemniej sympatyczny „Dżez Ferdy" w swoim czasie z nadwyżką zaspokajał potrzeby żądnej emocji generacji i jemu należy przypisać, że walnie przyczynił się do urozmaicenia życia społecznikowskiego karwińskiej (i nie tylko) rozśpiewanej młodzieży.

ADOLF SZURMAN
Czeski Cieszyn

SZANOWNA REDAKCJO!

Chciałbym częściowo sprostować kilka nieścisłości w artykule „Stragan znad Olzy" Oswalda Guziura (Kalendarz Śląski '87), który na stronie 80-tej pisze między innymi:

Współpracownikami Dytki byli Bogusław Krzystek ur. 17. 3. 1913, Franciszek Cieńciała ur. 18. 8. 1910, Franciszek Malisz, ur. 25. 7. 1900 roku. Otóż powinno być Franciszek Małysz a nie Malisz.

Co do braku informacji o losach wyżej wymienionych, prosiłbym autora „Straganu" o odwiedzenie miejscowości Leszna Dolna, o której kilka razy pisze w swym artykule, gdzie przy polskiej szkole ludowej może przestudiować napisy na pomniku poległych ofiar i gdzie między śp. 52 ofiarami tam upamiętnionymi znajdzie i Franciszka Małysza, i Bogusława Krzystka, i Franciszka Cieńciałę.

Syn Franciszka
WŁADYSŁAW MAŁYSZ
Cierlicko

SZANOWNA REDAKCJO!
SZANOWNY REDAKTORZE P. PRZECZEK!

Serdecznie Was wszystkich pozdrawiam. (. . .) Chciałabym przedstawić tu pewną propozycję. Dlaczego książek, które zostają na półkach w księgarni, nie rozdaje się jako nagrody czy prezenty z dedykacją? Jak bym się ucieszyła ze zbioru takich książek, trzeba je dać do ręki członkom, te nasze drogie książki, jednodniówki, broszury, wierzę, że w ten sposób każdy je chętnie przyjmie. Jest tyle okazji, np. MDK, a nigdy mi nie ofiarowano książki. Jaka szkoda, miałabym zbiorek naszych autorów!

HILDEGARDA CHORZEMPA
Orłowa-Lutynia

DO REDAKCJI „ZWROTU"!

Klub Kobiet MK PZKO Orłowa-Lutynia jest filarem pracy Koła. Jego członkinie aktywnie działają w innych sekcjach, np. w chórze mieszanym, zespole żywego słowa czy zarządzie Koła. Najwięcej trudu i wysiłku poświęcają na zabezpieczenie strony kulinarnej imprez organizowanych przez MK PZKO.

Klub liczy czterdzieści członkiń, które co drugi wtorek zbierają się w świetlicy Koła. Swoje spotkania poświęcają wymianie doświadczeń z zakresu robót ręcznych, prac kulinarnych a także obchodom urodzin. Dużą uwagę poświęcają panie odczytom na aktualne lub interesujące je tematy.

Na marginesie działalności nie pozostaje współpraca z SRPS miejscowej szkoły, SRPS Orłowskiego Gimnazjum oraz z Komitetem Miejskim PZKO. W roku 1987 Klub Kobiet przepracował 864 godzin, upieczono 4 500 sztuk ciastek oraz ugotowano 900 ciepłych dań, uczestnicząc zarówno w Balu SRPS, Balu PZKO, Balu Gimnazjum i spotkaniu Komitetu Miejskiego PZKO. Tych parę liczb świadczy o dużej aktywności naszych pań, które w ten sposób przyczyniają się do uświetnienia całokształtu pracy związkowej lutyńskiego Koła.

MARIA TROMBIK
Orłowa-Lutynia

SUKCES „GÓROLI" W BRNIE

W sobotę 11. 4. Zjednoczony Klub RZZ Kolejarzy w Brnie (SKŽ Brno) zorganizował przegląd zespołów folklorystycznych pn. „Od Pálawy do Beskidów". Impreza poświęcona była XI Zjazdowi RZZ, 150. rocznicy urodzin wybitnego morawskiego etnografa Františka Bartoša oraz Międzynarodowemu Dniu Tańca, który z inicjatywy UNESCO obchodzony jest 29 kwietnia. Prócz zespołów SKŽ (Slovácký kroužek, Hanácký kroužek, soubor „Tanečnica" Valašského kroužku) w przeglądzie wystąpił zespół PZKO z Mostów koło Jabłonkowa „Górole".

Występ „Góroli" stanowił punkt kulminacyjny imprezy. Zachwycił wszystkich obecnych od pierwszych tonów gajd, grumli do piszczałek w końcówce. Aż ciarki przechodziły po plecach słuchaczy, kiedy trio dziewczęce zaintonowało proste i przez swoją surowość wzruszające pieśni górali cieszyńskich. Znalazło w nich odbicie trudne życie w górskich warunkach, ale i witalność i nieuległość tamtejszych mieszkańców.

Po pełnym ekspresji śpiewie przedstawiono z niemniejszym skutkiem archaiczne owięzioki i młodsze figuralne tańce i zabawy taneczne z Cieszyńskiego, jak boškany, rejna, kołomajki, żabi, zajączek itd. Znalazły tu ujście i zastosowanie temperament i doskonała kondycja taneczna tancerzy. Nagrodą i wyrazem uznania stały się skandowane oklaski, którymi widownia domagała się bisów.

Wieczór stanowił godny przyczynek do obchodów Międzynarodowego Dnia Tańca i potwierdził niezastąpioną rolę tańca w życiu człowieka poprzez zdolność do jednoczenia wszystkich ludzi bez różnicy.

JITKA MATUSZKOWA
Brno





fot. IGOR DOBŘICKÝ

TO I OWO

Ostrawski „Miesięcznik Kulturalny" (nr 4/87) w recenzji „Pięcioletni bilans" powraca do jubileuszu 35-lecia Sceny Polskiej: Była to rzeczywiście uroczysta premiera. Spotkała się na niej nie tylko jak zwykle miejscowa publiczność, ale i szereg gości oficjalnych, zarówno ze strony czeskiej, jak i z sąsiedniej Polski. Polski zespół Teatru Cieszyńskiego premierą sztuki Szaniawskiego „Dwa teatry" przypomniał 35-lecie swojego istnienia i z tej uroczystej okazji otrzymał liczne dyplomy honorowe z obu stron. Polska Scena Teatru Cieszyńskiego, właściwie jedyny polski teatr zawodowy poza granicami Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, jest i na ziemiach polskich dobrze znana z wielu swoich występów gościnnych i z udziału na niejednym polskim festiwalu teatralnym. Przed kilku laty SP zaprezentowała się w Opolu, gdzie wystawiła sztukę J. Szaniawskiego „Ptak".

„Polska piosenka za miedzą" — tak zatytułował Głos Ziemi Cieszyńskiej (nr 14/87) notatkę z XIX Festiwalu Piosenki Polskiej w Karwinie. Jedną z festiwalowych nagród było zaproszenie laureatów do udziału w Festiwalu Piosenki Czeskiej i Słowackiej w Ustroniu.

Ten sam numer GZC drukuje recenzję z premiery sztuki Mikołaša Kočana „Gorący ziemniak, czyli Przypowieść o Janosiku" w tłumaczeniu Jana Pyszki. Napisana w 1984 r. sztuka była dotychczas wystawiana zaledwie dwukrotnie i to wyłącznie przez teatry słowackie — Narodowy w Bratysławie i teatr w Preszowie. (. . .) Warto, by „Gorącym ziemniakiem" zainteresowały się teatry polskie. Póki co, jego czeskocieszyńską realizację będą mogli cieszyniacy obejrzeć na deskach Teatru im. A. Mickiewicza. Podobno jeszcze w kwietniu — *tyle recenzent. My dodajemy po fakcie: rzeczywiście obejrzeli, 23 kwietnia.*

I jeszcze jedna informacja spod znaku PZKO z tego numeru. Pn. „Seniorzy na szczytach" GZC donosi, iż działa u nas składająca się z 30 członków Sekcja Turystyczna Miejskiego Komitetu PZKO w Czeskim Cieszynie, która w roku ub. zorganizowała 52 wycieczek w Beskidy i Tatry oraz dwie do uzdrowisk polskich. Sprostujmy tylko, że turyści ci działają wprawdzie na terenie obwodu czeskocieszyńskiego, lecz jako sekcja Miejscowego Koła PZKO w Sibicy.

W związku z gościnnym udziałem Sceny Polskiej Teatru Cieszyńskiego w Czeskim Cieszynie na opolskich konfrontacjach teatralnych w prasie opolskiej zatrzęsienie artykułów. „Trybuna Opolska" (nr 86/87) przynosi recenzję Jana Płaskonia pn. „Szaniawski z Cieszyna", gdzie czytamy m. in.: Występy na opolskim festiwalu Sceny Polskiej z Czeskiego Cieszyna stały się już tradycją. Zespół ten działający w ramach Těšínskiego Divadla już od 35 lat stawia sobie coraz ambitniejsze zadania. (. . .) Na tegoroczne konfrontacje polscy aktorzy z Czechosłowacji (niektórzy mieszkają tam na stałe, inni są angażowani okresowo z Polski) przywieźli „Dwa teatry" Jerzego Szaniawskiego w reżyserii Andrzeja Ziębińskiego, ze scenografią Anny Rachel-Koenig i muzyką Leszka Wronki.

Ten sam organ PZPR z Opola (nr 89/87) publikuje rozmowę Janiny Hajduk-Nijakowskiej z dr. Józefem Wierzgoniem, dyrektorem artystycznym „Těšinskego Divadla" w Czeskim Cieszynie pt. „Wiemy, że jesteśmy potrzebni". *W odpowiedzi na pytanie:* czy młodzi aktorzy po studiach chętnie do was wracają? Przecież praca w waszym teatrze nie jest łatwa, gracie w sezonie ponad 200 spektakli, co sześć tygodni przygotowujecie premierę, *Józef Wierzgoń mówi:*

Tak, to stały rytm naszej pracy. Ponadto aktor SP musi być jeszcze wszechstronny. W każdym sezonie na przykład mamy w repertuarze jedną sztukę muzyczną, a więc aktor powinien także tańczyć, śpiewać, grać . . . Ale jest u nas coś więcej . . . W Polsce są na pewno szersze kontakty, można przechodzić z zespołu do zespołu. U nas nie. Praca w naszym teatrze oznacza dożywocie, trwanie w nim do końca. Ale w żadnym innym teatrze aktor tyle sobie nie pogra co u nas.

Gorące przyjęcie w Opolu i Sosnowcu, jakie zgotowali tamtejsi Ślązacy naszemu zespołowi, cieszy nas bardzo. Nie rozumiemy tylko jednego. Dlaczego nikt z dwujęzycznych przedstawicieli SP nie wytłumaczył jednojęzycznym przedstawicielom prasy, że Těšínské divadlo tłumaczy się na język polski po prostu: Teatr Cieszyński.

KRONIKA

ZG PZKO

■ Drugie w br. zebranie Plenum ZG PZKO połączone z odprawą przewodniczących Komitetów Miejskich i Obwodowych PZKO oraz prezesów Miejscowych Kół PZKO odbyło się 31. 3. w Klubie PZKO w Cz. Cieszynie. Obradom przewodniczył prezes Związku St. Kondziołka. Przedstawiono sprawozdanie z działalności ZG PZKO za rok 1986, ocenę Walnych Zebrań Kół PZKO i Konferencji Komitetów Miejskich i Obwodowych PZKO oraz przygotowania do Festiwalu PZKO '87 w Karwinie.

■ Eliminacje drużynowych mistrzostw PZKO w tenisie stołowym '87 odbyły się 22. 3. dla powiatu karwińskiego w sali gier w gmachu MRN w Boguminie, a dla powiatu frydecko-misteckiego w wędryńskiej „Czytelni". W Boguminie rywalizowało 18 zawodników z 7 Kół PZKO. Zwyciężyła drużyna MK PZKO Karwina-Granice w składzie B. i R. Chorzempowie (ojciec i syn) przed zespołem PZKO ze Skrzeczonia i Suchej Górnej. W Wędryni startowało 15 zespołów z 11 Kół PZKO. Awans wywalczyły drużyny MK PZKO Jabłonków (W. Niedoba i R. Pawłowski), MK PZKO Trzyniec I „A" i MK PZKO Gródek. Finałowy turniej drużynowych mistrzostw PZKO '87 w tenisie stołowym, którego współorganizatorem było Koło PZKO Skrzeczoń, odbył się 5. 4. w sali gier KS HD Bogumin. Uczestniczyło w nim 8 drużyn, w tym ubiegłoroczny mistrz MK PZKO Cz. Cieszyn-Park Sikory „A" oraz zwycięzca barażu MK PZKO Cz. Cieszyn-Park Sikory „B". Po raz trzeci zwyciężyła drużyna MK PZKO Karwina-Granice, wyprzedzając PZKO Jabłonków oraz PZKO Cz. Cieszyn-Park Sikory „A".

■ XII Mistrzostwa PZKO w szachu błyskawicznym odbyły się 28. 3. w Klubie PZKO w Trzyńcu-Kanadzie w kategorii seniorów-amatorów, młodzieży do lat 15 i tytuł mistrza Koła PZKO Trzyniec III-Kanada. W kategorii seniorów zwyciężył Władysław Niesłanik, PZKO Trzyniec-Osówki, wyprzedzając Henryka Bilana, PZKO Błędowice, i Andrzeja Janeczka, PZKO Trzyniec-Kanada. W kategorii młodzieży do lat 15 — 1. miejsce zajął Roman Wojnar, 2. Daniel Wojnar, obydwaj PZKO Wędrynia, 3. Radek Sobek, PZKO Trzyniec-Kanada. W klasyfikacji generalnej zwyciężyło PZKO Trzyniec-Kanada przed PZKO Wędrynia i PZKO Cz. Cieszyn-Mosty.

■ Wśród wyróżnionych nauczycieli z okazji Dnia Nauczyciela znaleźli się również: Danuta Grabowska, nauczycielka PSP w Karwinie-N. Mieście, która otrzymała wyróżnienie Rządu CSRS i CRZZ, oraz Paweł Czudek, dyrektor PSP w Gródku, wyróżniony Aktem Uznania KP KPCz we Frydku-Mistku.

■ Od 16 do 20. 3. odbyło się w Domu Wychowania Politycznego w Karwinie szkolenie działaczy PZKO powiatu karwińskiego z udziałem 50 aktywistów z 36 Kół Miejscowych PZKO. Organizatorem szkolenia był KP KPCz w Karwinie przy współpracy ZG PZKO. Wykładowcami byli przedstawiciele KO KPCz, karwińskiego DWP i ZG PZKO.

■ Klub Medyków przy Zarządzie Głównym PZKO odbył swoje kolejne spotkanie 3. 4. w Klubie PZKO w Cz. Cieszynie. Referat pt. „Problematyka nauczania i wychowania dzieci upośledzonych umysłowo" wygłosiła MUDr Ewa Göbel.

■ Doroczne zebranie Klubu Nauczycieli Emerytów przy ZG PZKO odbyło się 25. 3. w Klubie PZKO w Cz. Cieszynie. Obecni byli na zaproszenie przedstawiciele sekcji nauczycieli emerytów i rencistów z Wisły i Bielska-Białej oraz Wł. Orszulik, I sekretarz ZG PZKO. Program z okazji MDK '87 i Dnia Nauczyciela wykonali uczniowie z miejscowej PSP. W sprawozdaniu z działalności KNE podsumowano dorobek Klubu za rok 1986. Zebranie uzupełnił referat nt. 80-lecia szkoły górniczej w Dąbrowej i o początkach górnictwa na terenie Śląska, który wygłosił prof. Karol Polak.

■ 6. 4. w salce zebrań ZG PZKO w Cz. Cieszynie odbyło się spotkanie z dyrektorami polskich szkół podstawowych i średnich. ZG reprezentowali St. Kondziołka, prezes Związku, oraz Wł. Orszulik, I sekretarz ZG. Obecni byli okręgowy inspektor szkolny J. Kowala oraz inspektorzy powiatowi W. Walkowa i B. Lasota. Omówiono zadania roku jubileuszowego PZKO oraz sprawy współpracy PZKO ze szkołą.

■ Spotkanie delegacji Zarządu Głównego PZKO z odznaczonymi nauczycielami i odchodzącymi na emeryturę z okazji Dnia Nauczyciela odbyło się 8. 4. w Klubie PZKO w Cz. Cieszynie. Obecni byli również okręgowy inspektor szkolny J. Kowala oraz powiatowi inspektorzy W. Walkowa i B. Lasota. Przewodniczący delegacji ZG Wł. Orszulik, I sekretarz Zarządu Głównego, podziękował za pracę naszym pedagogom oraz złożył gratulacje nauczycielom odznaczonym przez władze powiatowe, okręgowe i centralne.

■ Sekcja Młodzieży Związkowej ZG PZKO wydała w kwietniu br. specjalny numer „Suplementu Młodych", który w całości był poświęcony przygotowywanemu na 20 czerwca „Forum Młodzieży PZKO". Numer zredagowali działacz młodzieży związkowej Jan Przywara, członek Prezydium ZG, redaktorem odpowiedzialnym z ramienia ZG był inż. Wiesław Przeczek. Załącznikiem Suplementu był „Raport-ankieta" o pracy młodych członków PZKO, którego wyniki mają być przedstawione na czerwcowym Forum Młodzieży PZKO.

■ 4. 4. w Boconowicach odbyły się warsztaty teatralne Młodego Teatru Klubowego pn. „Młotek". Ich organizatorem była Sekcja Kultury Teatralnej ZG. Przybyły dwa zespoły małych form scenicznych, im. mjra Szmauza z MK PZKO Trzyniec VI-Wieś oraz ITD z Koła PZKO Karwina-Granice.

■ 10. 4. w Konsulacie Generalnym PRL w Ostrawie odbyło się spotkanie z okazji Dnia Nauczyciela z 40 zasłużonymi na-

10. 4. w sali Teatru Cieszyńskiego odbył się kolejny Przegląd Chórów Szkolnych. Imprezę zorganizował ZG PZKO — Sekcja Śpiewaczo-Muzyczna z okazji 40-lecia PZKO oraz Dnia Nauczyciela. Przeglądowi patronował ZG PZKO oraz Komitet Miejski PZKO w Cz. Cieszynie. Przemówienie okolicznościowe wygłosił B. Branny, sekretarz WPO ZG PZKO. W imprezie udział wzięło 13 chórów dziecięcych PSP: dwa z Cz. Cieszyna, z Gródku, Błędowic, Trzyńca VI, Olbrachcic, dwa z Mostów k. Jabł., z Suchej Górnej, Gnojnika, Jabłonkowa oraz chóry „Razem" KZ HT WSRP w Trzyńcu i „Promyk" z Karwiny.



fot. FRANCISZEK BAŁON







V Rajd Szlakiem Ofiar Faszyzmu odbył się we wszystkich środowiskach PZKO 11. 4. Centralna impreza Rajdu przebiegła w Żywocicach pod pomnikiem Tragedii Żywocickiej. Wzięli w niej udział m. in sekretarz KP KPCz we Frydku-Mistku tow. J. Chodura, przedstawiciel KP KPCz w Karwinie i przewodniczący KM KPCz w Hawierzowie tow. L. Indrák, konsul Konsulatu Generalnego PRL w Ostrawie H. Zieliński, przedstawiciel Okręgowej Rady Pokoju w Karwinie J. Lugsch, przewodniczący MRN w Hawierzowie V. Klečatský oraz za Powiatowy Związek Bojowników Antyfaszystkowskich J. Franek. Delegacji ZG PZKO przewodniczył St. Kondziołka, prezes Związku. Ta doniosła związkowa impreza pietystyczna poświęcona była 40-leciu PZKO oraz Międzynarodowemu Dniu Solidarności Byłych Więźniów Politycznych i Bojowników z Faszyzmem. Uroczystą manifestację pokojową w Żywocicach zainaugurowała sztafeta młodzieżowa, która wyruszyła od Pomnika Lenina w Hawierzowie, by zapalić znicz u stóp pomnika w Żywocicach. Delegacje ZG, Komitetów i Kół PZKO położyły wieńce i kwiaty pod Pomnikiem Tragedii Żywocickiej. Przemówienie okolicznościowe wygłosił St. Kondziołka. Program kulturalny wykonały połączone chóry męskie: ChNP i „Hasło" przy ZG oraz „Hejnał-Echo" i „Sucha" oraz recytatorzy. Odbył się Apel Poległych. Wystosowano rezolucję pokojową do Czeskiej Rady Pokoju w Pradze. W manifestacji udział wzięło około 400 członków PZKO z całego terenu.

fot. FRANCISZEK BAŁON

uczycielami i wychowawcami polskich szkół oraz: kierownikiem wydziału ideologicznego KO KPCz V. Fákiem, wiceprzewodniczącą ORN J. Fojtíkową, przewodniczącym ZG PZKO St. Kondziołką, I sekretarzem ZG Wł. Orszulikiem i okręgowym inspektorem szkolnym J. Kowalą. Konsul Generalny PRL E. Warda podziękował wszystkim naszym nauczycielom i wychowawcom za wychowanie socjalistyczne młodzieży i złożył im serdeczne gratulacje i życzenia z okazji ich święta. Program kulturalny wykonali artyści Opery Śląskiej w Bytomiu — Jacek Machalski i Marek Wysocki.

■ Od 11 do 12. 4. w Domu RZZ w Bratysławie odbyło się Walne Zgromadzenie Związku Węgrów CSEMADOK. Z ramienia ZG PZKO na zaproszenie w Walnym Zgromadzeniu uczestniczył Wł. Orszulik, I sekretarz ZG PZKO, który podziękował bratniej organizacji za owocną współpracę z PZKO i przekazał nadane przez ZG PZKO Związkowi CSEMADOK wysokie odznaczenie PZKO „Zasłużony dla Związku" II stopnia, srebrne.

■ ZG PZKO — Sekcja Akademicka „Jedność" zorganizowała 18. 4. w sali gimnastycznej PSP w Cz. Cieszynie turniej ringo. Wieczorem tego samego dnia urządziła w Domu PZKO w Cz. Cieszynie — Mostach tradycyjną „Śmiergustówkę".

■ W ogłoszonym przez Sekcję Historii Regionu ZG PZKO oraz Gabinet Języka Polskiego i Literatury Okręgowego Instytutu Pedagogicznego w Ostrawie konkurs z okazji 40-lecia PZKO dla uczniów szkół podstawowych, średnich oraz byłych i obecnych studentów wyższych uczelni udział wzięli uczniowie PSP w Cz. Cieszynie, Jabłonkowie, Bystrzycy, Karwinie-Nowym Mieście, Wędryni, Mostach k. Jabł. i Trzyńcu I. Nadeszło 25 prac na temat: „Z działalności PZKO w miejscu zamieszkania". Jury konkursowe w składzie: O. Matuszek, J. Kazik i G. Bednařowa pierwszą nagrodę przyznało pracy Urszuli Worek (PSP Karwina-Nowe Miasto), drugie Renacie Sikora (PSP Mosty k. Jabł.), trzecią Renacie Sikora (PSP Jabłonków). Wyróżnienia przyznano pracom Gabrieli Rusz, Ryszarda Tomanka i Lenki Chlebik (PSP Cz. Cieszyn), Ireny Kluz i Dany Słowioczek (PSP Jabłonków), Andrzeja Iwanuszka (PSP Wędrynia) oraz Ireny Podola i Jolanty Wojnar (PSP Bystrzyca). Na konkurs nie wpłynęła ani jedna praca ze szkół średnich oraz obecnych i byłych studentów wyższych uczelni.

■ 13. 4. w salce zebrań Zarządu Głównego w Cz. Cieszynie odbyło się zebranie SLA — Pionu Muzycznego. Omówiono i przygotowano m. in. „Regulamin Konkursu Muzycznego" ogłoszonego z okazji 40-lecia PZKO przez ZG PZKO — SLA i Sekcję Śpiewaczo-Muzyczną.

■ Zebranie Sekcji Życia Towarzyskiego ZG odbyło się 7. 4. w siedzibie ZG w Cz. Cieszynie. Omówiono na nim szczegóły finału konkursu ZG „O Najszykowniejszą". 14. 4. Sekcja Życia Towarzyskiego spotkała się w tym samym lokalu z uczestniczkami finału o tytuł „Najszykowniejsza". Zaznajomiono 20 finalistek ze scenariuszem i regulaminem imprezy finałowej ustalonej na dzień 9. 5. 87 w Domu PZKO w Błędowicach.

■ Czwarte w br. zebranie Prezydium ZG odbyło się 28. 4. w salce zebrań w siedzibie Związku w Cz. Cieszynie. Omówiono i zaakceptowano zamknięcia rachunkowe budżetu ZG PZKO za I kwartał 1987, zapoznano się i przyjęto POZ Forum Młodzieży Związkowej i POZ kursów i szkoleń w okresie letnim 87. Oceniono V Rajd Szlakiem Ofiar Faszyzmu.

BOGUMIN

■ Zespół Kobiet przy Kole PZKO w Nowym Boguminie zorganizował 1. 4. w Domu PZKO spotkanie z ob. Remešową, która zapoznała słuchaczki z właściwościami leczniczymi miodu i propolisu.

■ 11. 4. pezetkaowcy środowiska bogumińskiego złożyli hołd ofiarom faszyzmu na skrzeczońskim cmentarzu. Uroczystość zorganizował obwód bodumiński PZKO w ramach V Rajdu Szlakiem Ofiar Faszyzmu. Złożono kwiaty przy tablicy pamiątkowej 8 mieszkańców Skrzeczonia, ofiar obozów koncetracyjnych, oraz przy pomnikach 43 żołnierzy radzieckich — wyzwolicieli i 104 Polaków umęczonych w bogumińskim obozie pracy.

BYSTRZYCA

■ Zespół teatralny PSP w Bystrzycy odegrał 28 i 29. 3. w sali miejscowego Domu Robotniczego sztukę Wilhelma Przeczka pt. „Dziewczyna z ostrogami" w reżyserii nauczycielki Danieli Ondraszek. Przedstawienie premierowe i repryzę poprzedziły dwa spektakle wystawione dla uczniów okolicznych szkół.

■ Przedszkolacy i uczniowie PSP w Milikowie-Centrum odegrali w dniu 29. 3. w Domu PZKO przedstawienie pt. „Śpiący rycerze".

■ Zespół Kobiet przy bystrzyckim Kole PZKO odbył 6. 4. w Domu PZKO spotkanie, w programie którego omówiono i przygotowano wystawę robót ręcznych.

CZESKI CIESZYN

■ 11. 4. członkowie Koła w Stanisławicach oraz Rada Nadzorcza 061 spółdzielni „J — J" w Stanisławicach złożyli hołd pamięci ofiar faszyzmu, składając kwiaty pod pomnikiem zamordowanych

w Mauthausen-Gusen i w Oświęcimiu miejscowych obywateli Franciszka Szymanika i jego syna Józefa.

■ Klub Młodych przy MK PZKO w Olbrachcicach urządził 21. 3. w lokalu klubowym PZKO na zakończenie karnawału tradycyjną „Śledziówkę". Młodzi klubowicze zaprosili do wzięcia udziału starszych kolegów — byłych członków Klubu Młodych PZKO. Impreza zgromadziła 70 uczestników.

■ Sekcja Turystyczno-Krajoznawcza przy MK PZKO Cz. Cieszyn-Sibica zrealizowała w kwietniu br. 4 wycieczki, do Czadcy, na Buków i do Oszczadnicy, do Frydlantu i na Solarkę, do Mostów k. Jabł. i na Skałkę oraz do Jabłonkowa i na Stożek.

■ Klub Propozycji przy Kole PZKO Cz. Cieszyn-Osiedle zorganizował 6. 4. w salce na Mojskiem prelekcję J. i W. Gałuszków pt. „Przez Macedonię i Czarnogórę do Dubrownika" uzupełnioną przezroczami.

■ Rada Obwodowa Klubu Młodych przy Komitecie Miejskim PZKO w Cz. Cieszynie odbyła 11. 4. w Klubie PZKO w Cz. Cieszynie spotkanie, gdzie omówiono aktualny stan pracy młodzieży związkowej w obwodzie czeskocieszyńskim oraz przygotowania do czerwcowego Forum Młodzieży PZKO.

■ Zarząd olbrachcickiego Koła PZKO przy współpracy z Wiejską Organizacją KPCz, KM FN oraz MRN zorganizował 29. 3. w sali Domu Robotniczego „Uroczysty Koncert" z okazji 40. rocznicy podpisania układu o przyjaźni pomiędzy CSRS i PRL. Imprezę zagaił prezes Koła PZKO J. Czap, witając delegacje władz miejskich Zabrza i delegację ZG PZKO. Przemówienie okolicznościowe wygłosił przedstawiciel WO KPCz Karel Svoboda. Program artystyczny w wykonaniu Zespołu Pieśni i Tańca ZG PZKO „Górnik" obejrzało 200 mieszkańców Olbrachcic.

■ Zarząd sibickiego Koła PZKO zorganizował 6. 4. w Domu PZKO prelekcję JUDr Marii Mrózek pt. „Przestępczość i wychowanie obywatelstwa w powiecie karwińskim. Koło to urządziło 25. 4. w Domu PZKO spotkanie towarzyskie — „Majówkę".

■ 24. 4. w świetlicy Koła Cz. Cieszyn-Park Sikory MUDr. H. Paszkowa wygłosiła prelekcję nt. „Wrażenia z pobytu w Kuwejcie" połączoną z wyświetlaniem przezroczy.

■ Zespół teatralny Koła PZKO Cz. Cieszyn-Kocobędz odegrał 26. 4. w sali Ośrodka Sportowo-Kulturalnego w Kocobędzu-Ligocie przedstawienie pt. „Babski raj" i „Wajca Feniksa" autorstwa Władysława Niedoby. Sztuki wyreżyserował inż. T. Wacławik.

HAWIERZÓW

■ Klub Seniora przy Kole PZKO w Błędowicach odbył 26. 3. w Domu PZKO spotkanie, które poświęcono tematyce układu o przyjaźni i współpracy między CSRS i PRL oraz Polsce współczesnej.

■ 25. 3. w hawierzowskim Domu Kultury im. P. Bezruča odbył się tradycyjny, XI już „Wieczór Przyjaźni", zorganizowany z okazji 40. rocznicy podpisania układu o przyjaźni między CSRS i PRL. Impreza odbyła się pod auspicjami władz miejskich miasta Hawierzowa — KM KPCz, MRN, KM FN oraz KM PZKO. Program kulturalny wykonały dzieci z Jastrzębia-Zdroju i Hawierzowa. Po imprezie goście z Jastrzębia-Zdroju i przedstawiciele władz Hawierzowa spotkali się z działaczami PZKO-wskimi w Domu PZKO w Błędowicach.

■ Zarząd Koła PZKO w Błędowicach zorganizował 29. 3. w Domu PZKO zebranie członkowskie połączone z odczytem inż. A. Cienciały nt. jego pobytu w Syrii. Odczyt prelegent uzupełnił przezroczami.

■ Klub Młodych błędowickiego Koła PZKO urządził w Domu PZKO tradycyjną „Śmiergustówkę". W programie były dyskoteka K. Klimoszka i konkurs — zabawa.

■ W marcu br. odbyło się w świetlicy Koła 12. tegoroczne spotkanie „Klubu Panów w Najlepszych Leciech" działającego przy Kole PZKO w Hawierzowie-Suchej. W programie m. in. Erych Kozieł podzielił się swymi wiadomościami na temat pszczelarswta. Zespół Kobiet przy tym Kole odbył 8. 4. spotkanie z zaproszonymi przedstawicielkami z miejscowej organizacji Czeskiego Związku Kobiet. Wysłuchano prelekcji na temat życia i twórczości Adama Wawrosza.

■ 24. 4. Zarząd Koła PZKO w Hawierzowie III-Szumbarku zorganizował w miejscowym Ośrodku Agitacyjnym publiczne zebranie połączone z wygłoszeniem przez Wandę Górską referatu nt. postaci Karola Klimszy, działacza ruchu robotniczego w Pietwałdzie na Kopalni „Postęp" w latach kryzysu 1929—1933.

■ Klub Emerytów przy Kole PZKO w Hawierzowie-Centrum odbył 2. 4. w świetlicy „Pod Arkadami" spotkanie, na którym prelekcję o Syrii wygłosił inż. A. Cienciała. Prelegent uzupełnił ją przezroczami. Zespół Kobiet przy tym Kole zorganizował 6. 4. w świetlicy „Pod Arkadami" spotkanie z MUDr. O. Wałoszkiem, który wygłosił prelekcję nt. „Czy można uniknąć zawału", uzupełnioną przezroczami.

■ Marcowe zebranie członkowskie Koła PZKO w Szumbarku

XIX FPP

XIX Festiwal Piosenki Polskiej 28. 3. w Miejskim Domu Kultury w Karwinie-Nowym Mieście odbył się z okazji 40. rocznicy podpisania umowy o przyjaźni między CSRS i PRL oraz 40-lecia PZKO. Organizatorem Festiwalu był ZG PZKO — Sekcja Śpiewaczo-Muzyczna przy współpracy z Rozgłośnią Czechosłowackiego Radia w Ostrawie. Zaproszonych gości, m. in. przedstawicieli KO KPCz, Konsulatu Generalnego PRL w Ostrawie, KP KPCz i PRN w Karwinie, POK we Frydku-Mistku, delegacje Towarzystwa Łączności z Polonią Zagraniczną POLONIA z Warszawy i zaprzyjaźnionych z PZKO organizacji kulturalnych z Opola, Zabrza i Ustronia przywitał I sekretarz ZG PZKO Wł. Orszulik. Do współzawodnictwa stanęło 7 finalistów (w tym jeden duet — razem 8 wykonawców). Jury pod przewodnictwem D. Volejníčka zwycięzcami XIX FPP ogłosiło duet Halinę Przybyła i Libora Baselidesa (fot. u góry), który wyprzedził Danę Bichlerową i Barbarę Mrózek. Wyróżnienie uzyskała Agata Grzegorz. Laureatem nagrody publiczności okazał się również zwycięski duet. W części drugiej Festiwalu pt. „Retro" wystąpiło 5 laureatów poprzednich FPP: H. Sumera (wystąpił na początku Festiwalu), I. Żabińska, Z. Letocha, R. Worek-Dröslerowa i Z. Tulis. Finalistom XIX FPP i wymienionym laureatom akompaniowała orkiestra Radia Ostrawskiego pod batutą V. Figara. Konferansjerkę prowadzili Halina Drabek i Miroslav Hruška, redaktorzy Radia Ostrawskiego. Trzecią część programu wypełnił koncert piosenkarza Bogusława Meca z PRL z zespołem instrumentalnym (fot. u dołu).





fot. FRANCISZEK BAŁON

wzbogaciła prelekcja MUDr. H. Paszkowej z Cz. Cieszyna, która mówiła o swej pracy w Kuwejcie.

■ Komitet Miejski PZKO w Hawierzowie zorgnizował 12. 4. w sali Domu Kultury im. P. Bezruča Koncert Zespołu Pieśni i Tańca ZG PZKO „Górnik" poświęcony 40-leciu PZKO.

■ „Interklub" PZKO Cierlicko-Kościelec-Stanisławice odbył 10. 4. spotkanie klubowe na Żwirkowisku, gdzie porządkowano park miejsca tragedii polskich lotników.

■ Tradycyjną „Śmigustówkę" zorganizowały 19. 4. w restauracji na Kościelcu tamtejsze Koło PZKO i IKS. W programie była zabawa przy goiczku, muzykowanie kapeli ludowej i disko J. Hanzla.

■ Zespół Kobiet przy Kole PZKO w Cierlicku-Centrum zorganizował 25. 4. w sali gimnastycznej miejscowej PSP „Papuciowe igraszki".

■ Zarząd górnosuskiego Koła PZKO zrealizował 23. 4. w Domu PZKO ciekawą prelekcję lekarską MUDr. Janusza Kubatki pt. „Dializa nerek".

■ 25. 4. na Stadionie Zimowym w Hawierzowie Komitet Powiatowy SZM w Karwinie i ZG PZKO — Sekcja Młodzieży Związkowej urządziły kolejne „Interdisco". Imprezę zorganizowano z okazji 40. rocznicy podpisania Układu o Przyjaźni, Współpracy i Pomocy Wzajemnej między CSRS i PRL. W programie najpierw przebiegł konkurs drużyn SZM i PZKO z zakresu wydarzeń politycznych, kulturalnych i sportowych oraz wiedzy o 40-letniej historii PZKO. Później odbył się koncert dwóch zespołów, zespołu „Hrot", działającego pod KZ SZM Kopalni „9 Maja" w Stonawie oraz zespół „Turbo" z Poznania (PRL). W koncercie wzięło udział około 1 000 osób.

JABLONKÓW

■ 4. i 5. 4. w Domu PZKO w Łomnej Dolnej Zespół Kobiet pod kierownictwem Marii Zwyrtkowej urządził wystawę robót ręcznych i twórczości ludowej pn. „Spotkanie pod goiczkiem". Program kulturalny wykonali uczniowie miejscowej PSP.

■ 20. 3. Klub Młodych nawsiańskiego Koła PZKO zorganizował w Domu PZKO dyskotekę dla 30 klubowiczów.

KARWINA

■ Klub Propozycji MK PZKO Karwina-Frysztat zrealizował 30. 3. w Domu PZKO imprezę oświatową, na której alpiniści ob. Twardzik i inż. Kołatek z Karwiny, zdobywcy m. in. szczytu Mont Blanc w Alpach, wygłosili prelekcję uzupełnioną przezroczami pt. „Tatry i Alpy".

■ Koło PZKO Karwina-Granice urządziło 21. 3. spotkanie z okazji MDK. Program wykonały dzieci miejscowego przedszkola oraz teatrzyk Klubu Młodych PZKO „ITD". Uczestniczki spotkania przekazały 500 Kčs jako dar na fundusz budowy Izby Pamięci Żwirki i Wigury w Cierlicku-Kościelcu.

■ Zespół Kobiet i Klub Seniora przy MK PZKO w Karwinie-Raju urządziły 9. 4. w Domu PZKO wspólne spotkanie. W programie O. Durczok wygłosił prelekcję o Westerplatte.

■ MK PZKO Karwina-Kopalnie-Henryk zrealizowało 16. 4. w świetlicy na Altmanówce prelekcję MUDr. J. Kubatki o dializie nerek.

■ Z okazji 40-lecia PZKO oraz Uroczystości Majowych '87 PSP w Karwinie-Frysztacie zorganizowała 12. 4. w Domu Przyjaźni „Uroczystą Akademię". Program artystyczny wykonali przedszkolacy, uczniowie szkoły, zespół dziecięcy „Dolina" oraz żeński chór PZKO Karwina-Frysztat „Kalina".

■ W kwietniu br. we frysztackim „Interklubie" spotkały się członkinie Zespołu Kobiet MK PZKO Frysztat i miejscowego Czeskiego Związku Kobiet. Spotkanie poświęcono 40. rocznicy podpisania układu o współpracy między CSRS i PRL. Referat okolicznościowy wygłosiła M. Murowa. Program kulturalny wykonali uczniowie szkoły specjalnej w Karwinie-Frysztacie oraz Średniej Szkoły Górniczej w Karwinie.

■ MK PZKO — Zespół Kobiet w Karwinie-Nowym Mieście zorganizował 23. 4. w salce Klubu PZKO prelekcję ob. Remešowej pt. „Wszystko o miodzie".

■ 23. 4. Koło PZKO w Darkowie zorganizowało w swojej świetlicy odczyt MUDr. H. Paszkowej pt. „Wrażenia z pobytu w Kuwejcie" uzupełnioną przezroczami.

ORŁOWA

■ Koło PZKO w Dąbrowej zorganizowało w swoim Domu PZKO kurs zimnej kuchni, który rozpoczął się 27. 3. W tym samym dniu odbyło się spotkanie oświatowe z dr. J. Macurą, który referował nt. „Historii Śląska Cieszyńskiego". 2. część tego tematu prelegent wygłosił 24. 4.

■ Kolejne spotkanie Klubu Seniora przy Kole PZKO Orłowa-Lutynia odbyło się 31. 3. w Domu PZKO.

■ Zespół Kobiet przy Kole PZKO Orłowa-Miasto zorganizował 14. 4. w świetlicy spotkanie, którego tematem były nowe wzory beretów i przepisy kulinarne.

■ Zespół Kobiet przy

łaziańskim Kole PZKO odbył swoje spotkanie 10. 4. w salce PZKO. Zarząd tego Koła zrealizował 23. 4. w salce prelekcję J. i W. Gałuszków pt. „Przez Macedonię i Czarnogórę do Dubrownika", uzupełnioną przezroczami.

■ SRPS, SZM, dyrekcja oraz grono pedagogiczne Gimnazjum z polskim językiem nauczania w Orłowej urządziły 24. 4. w Domu Kultury Kopalni „AZ" w Łazach „Uroczystą Akademię" szkolną pt. „Tobie, Ziemio" przygotowaną z okazji 40-lecia podpisania czechosłowacko-polskiego układu o przyjaźni i współpracy oraz z okazji 40. rocznicy założenia PZKO. Program artystyczny wykonali studenci gimnazjum.

TRZYNIEC

■ MK PZKO Trzyniec-Stare Miasto zorganizowało 26. 3. w świetlicy Koła uroczystą świetlicę z okazji MDK '87 oraz 40. rocznicy podpisania umowy czechosłowacko-polskiej.

■ Zespół Kobiet przy tymże Kole urządził 21. 4. w świetlicy „Wieczór świetlicowy" połączony z prelekcją MUDr. H. Paszkowej pt. „Wrażenia z pobytu w Kuwejcie", uzupełnioną przezroczami.

■ Koło PZKO Trzyniec VI-Wieś urządziło 29. 3. w świetlicy spotkanie z okazji MDK. Wystąpili przedszkolacy oraz zespół kabaretowy „Andrusi" z MK PZKO Skrzeczoń. Koło to odbyło 11. 4. w swojej świetlicy zebranie członkowskie połączone z prelekcją dra Göbla pt. „Medycyna 1986".

■ 8. 4. w starej szkole w Trzyńcu I odbył się koncert wychowawczy Chóru Nauczycieli Polskich przy ZG PZKO.

■ Zespół teatralny MK PZKO w Wędryni wystawił z okazji 40-lecia PZKO oraz 70. rocznicy WSRP 11 i 12. 4. w sali Domu Kultury PZKO „Czytelni"



Zespół Kobiet nieborowskiego Koła PZKO urządził 11 i 12. 4. w Domu PZKO wystawę prac ręcznych i gotowania.

sztukę teatralną Karola Bergera — w opracowaniu Jana Pyszki pt. „Zbójnik śląski — Ondraszek". Sztukę wyreżyserował Jerzy Cienciała. Scenografię i śpiewy przygotowali Halina Sikora i Franciszek Hes, choreografię Danuta Ondraszek.

■ Zarząd MK PZKO Trzyniec VI-Osiedle zrealizował 15. 4. w Domu PZKO im. A. Wawrosza prelekcję MUDr. H. Paszkowej o Kuwejcie, uzupełnioną przezroczami.

■ Komitet Miejski PZKO w Trzyńcu oraz Rada Obwodowa Klubów Młodych urządziły 19. 4. w Domu Kultury w Trzyńcu na Podlesiu tradycyjną „Śmiergustówkę". W programie wystąpił zespół taneczny PZKO „Orłowa" oraz kwartet śpiewaczy PZKO z Cz. Cieszyna. Odbył się także wybór „Najszykowniejszej".

fot. JAN BRZUSKA



fot. IVAN SLÁMA

MOZAIKA

TEMAT DLA EWY

O KĄPIELACH SŁONECZNYCH

Do urlopu pozostał jeszcze miesiąc, może dwa, ale już teraz można, ostrożnie i stopniowo, oswajać się ze słońcem. Spacer lub sobotni wypad za miasto, niedziela spędzona na działce — te małe dawki przygotowują każdego do bezkarnego korzystania z plaż w lipcu i sierpniu, bez obawy oparzeń słonecznych i bolesnego i nieestetycznego obłażenia ze skóry.

Słońce emituje — poza widzialnym światłem — również promienie niewidzialne: podczerwone (po francusku infra-rouge, skrót IR) i nadfiołkowe (pozafiołkowe, ultrafioletowe, po francusku ultra-violet, skrót UV). Podczerwień — to promieniowanie cieplne, przenikające głęboko przez skórę i wywołujące przekrwienie narządów. Nadmiar promieniowania IR może wywołać tzw. udar cieplny.

Promieniowanie UV, także niewidoczne, o częstotliwości większej niż światło fiołkowe, składa się z trzech frakcji. Frakcja UVA wywołuje w skórze efekt pociemnienia wskutek gromadzenia się w niej ziarenek pigmentu, promienie te przechodzą nawet przez niezbyt grube szkło. Promienie frakcji UVB przez zwykłe szkło nie przenikają, przechodzą zaś przez szkło kwarcowe. Wywołują one w skórze nie tylko efekt barwny (opaleniznę), lecz przede wszystkim odczyn zapalny — rumień. Działają nieco bakteriobójczo, wpływają na syntezę w organizmie witaminy A, działają też hamująco na łojotok. Promienie frakcji UVC ani nie opalają, ani nie wywołują oparzeń, natomiast działają silnie bakteriobójczo.

Jeśli dozuje się światło słoneczne bardzo ostrożnie, można wyeliminować niemal całkowicie prawdopodobieństwo powstawania rumienia. Osoby o bardzo jasnej karnacji powinny po raz pierwszy w sezonie wystawić się na działanie słońca na 5 minut, następnego dnia na 10 minut, a począwszy od dnia trzeciego mogą się kąpać w słońcu przez kwadrans. Osoby o karnacji śniadej mogą bez obawy podwoić te ekspozycje. Opalenizna jest bez wątpienia przyjemna, twarzowa i estetyczna, sprawia wrażenie zdrowia i tężyzny fizycznej. Ale nie powinna być zdobywana zbyt szybko ani zbyt intensywnie.

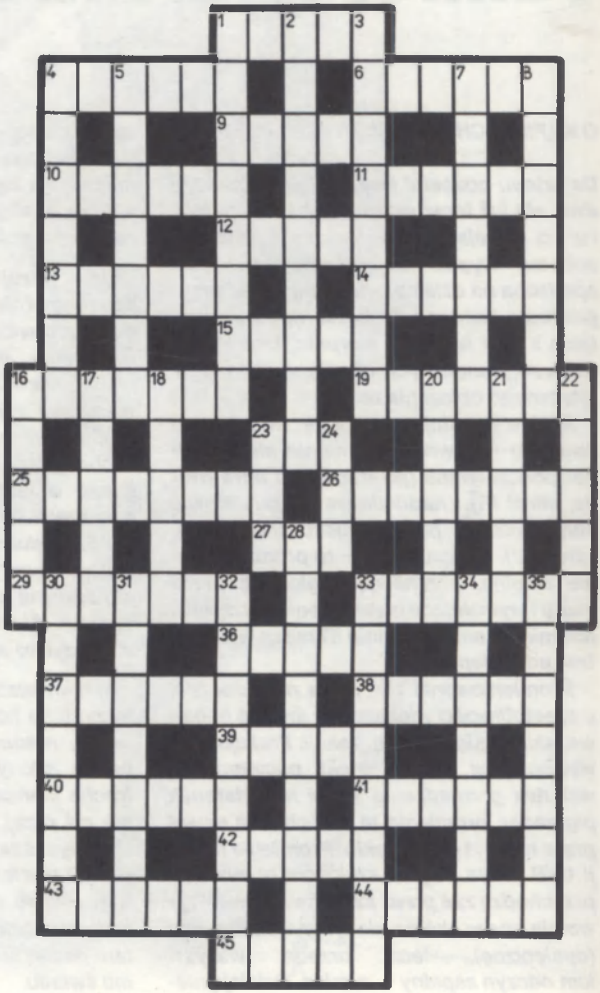
Nasłonecznienia czerwcowe doradzamy wszystkim kobietom młodym i w średnim wieku, natomiast plażowanie — tylko zupełnie młodym. Po trzydziestce jeszcze trochę słońca nie zaszkodzi (przynajmniej nie od razu), po czterdziestce słońce już zbyt wysusza skórę, a po pięćdziesiątce po prostu postarza i niszczy skórę na amen. Korzystając ze słońca pamiętajmy o tym, że lekką pozłotę słoneczną uzyskuje się latem nawet w cieniu — dzięki rozproszonemu światłu.

KRZYŻÓWKA

Znaczenie wyrazów:

POZIOMO:

1 ugier
4 dobry u Ritza pod szampana
6 usta wulkanu
9 w tamtejszym szpitalu psychiatrycznym leczył się van Gogh
10 po prostu jedynka i głupie sześć zer
11 roślinożerca ludzki
12 surowiec do tworzenia Ewy
13 odświeżanie dawnych ideałów
14 zręczne posunięcie
15 koc dla siwka
16 wszyscy krewni ojca rodziny
19 miejski szynowiec
23 starszy gilotynowy
25 słodki deser
26 nic co angielskie nie jest mu obce
27 większy brat ręcznego karabinu maszynowego
29 słodki z ula
33 dba o żołądki owiec
36 efekt spotkania jajka, tłuszczu i patelni
37 banał
38 liczba atomowa 95
39 jedyny fragment korespondencji przeznaczony dla listonosza
40 spopularyzował niezbyt odkrywczą tezę, że dziwny jest ten świat
41 przekreślenie zaufania i lojalności
42 wypełniony wodą tunel



łączący dwie groty, lecz nie tylko
43 mniej elegancko: starocie
44 upośledzony umysłowo wg Dostojewskiego
45 wodociągowy odpowiednik wyłącznika

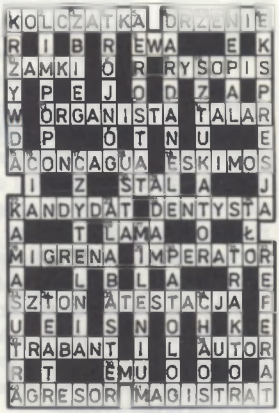
PIONOWO:

1 gazowany napój na bazie soku pomarańczowego
2 siekiera jako broń pałacowa
3 twierdzenie nie wymagające dowodów
4 do ulatniania się
5 wysokie buty z wojłoku
7 rogi w domu myśliwego
8 pozwala dojechać do najbliższej stacji benzynowej
16 specjalista od wyrywania się
17 wypływając na powierzchnię Ziemi staje się lawą
18 granica nieprzekraczalna
20 Tytan obarczony sklepieniem niebieskim
21 kruche ciasteczka warstwowe
22 polski Ikarus
23 następnego dnia po większej bibce
24 najprostsza odpowiedź na pytanie „gdzie?"
28 nie grzeje w blokach
30 długa i monotonna wyliczanka
31 żebrak, ale pan
32 miłosteczka
33 z Tyrolu na scenie operowej
34 trąba powietrzna
35 „LOTem bliżej"

oprac. (m)

Wśród autorów prawidłowych rozwiązań nadesłanych pod adresem redakcji napóźniej do 30 czerwca br. rozlosowane zostaną trzy nagrody książkowe.

Obok prawidłowe rozwiązanie krzyżówki z numeru kwietniowego. Nagrody otrzymują:
Aleksandra Niemiec — Stonawa, Lidia Przeczek — Jabłonków-Nawsie, Jan Pytlik — Rychwałd.



JAK JEST POPRAWNIE

CZYLI O CHODZENIU ZA KIMŚ

Często słyszymy i sami mówimy: *On poszedł za majstrem. Muszę iść za Frankiem. Byłeś już za nią?* Wiadomo przy tym, że osoby, które tak mówią, wcale nie mają na myśli dosłowne chodzenie za kimś, czyimś śladem. Po prostu poszli do kogoś lub byli u kogoś coś załatwić. Błędy te wynikają z codziennego obcowania z językiem czeskim. Zdanie: *Byl za ním v jisté věci* w języku polskim brzmi przecież — *Poszedł do niego w pewnej sprawie.* A jak my mówimy zwykle? W najlepszym wypadku: *Poszedł za nim w pewnej sprawie. Za kimś* można *iść w ogień, na kraj świata, trop w trop, krok w krok* — w sensie naśladować kogoś, iść za kimś wszędzie, można też *iść za kimś* w sensie dosłownym. Ale załatwiać różne rzeczy chodzimy *do kogoś* ewentualnie *u kogoś.*

GALERIA SLA



DARINA KRYGIEL: Ilustracja do ballady „Dwie koszule", pastel 1986 (4. str. okładki)

Autorką tego pastelu jest jedna z najmłodszych, jeśli nie najmłodsza, członkini SLA. Rozważania nad tym, czy istnieje jakiś specyficzny nurt kobiecy w sztukach plastycznych, pozostawiam czytelnikom. Mówi się o literaturze, kinie kobiecym — w malarstwie jakby nie było takiego problemu, może dlatego, że do tej dziedziny sztuki kobiety wciąż jeszcze przenikają raczej rzadko. Pastel stanowi ilustrację utworu literackiego, jego temat jest więc z góry określony: wyznacza go treść ilustrowanej ballady. Jeśli odrzucić ową anegdotę — pozostanie na obrazie zamglona, tajemnicza grupa czarnego konia i dwóch drobnych, biało odzianych postaci, umieszczona w nieokreślonej, niemal pozbawionej głębi, przestrzeni. Dominującym kolorem jest na obrazie żółty w różnym natężeniu z nielicznymi i niewielkimi akcentami czerni, bieli i szarości. Z tego opisu nie wynika jeszcze, z jakim rodzajem ekspresji mamy do czynienia. Dopiero, gdy uświadomimy sobie rolę, jaką odgrywa w tym obrazie kolor — pierwszorzędną obok, a może nawet ponad przedstawioną treścią literacką, objawi nam się wielkie napięcie emocjonalne tego dzieła. Owa żółcień, czysta i zmysłowa, rozsadza prostokąt kompozycji, pulsuje życiem, namiętnością. Żółty kolor ma to do siebie, że działa jakby odśrodkowo — występuje na zewnątrz, naprzeciw widza, napiera, atakuje. Jest w nim ogromna siła, ładunek uczuciowy tak wielki, że graniczący z obłędem. W tej przestrzeni bez głębi, o szarych rozmazanych cieniach jest romantyczna wiara w nieuchronność przeznaczenia, w szaleństwo, którego nic nie jest w stanie powstrzymać.

A. M. R.

ZIELNIK

CYKORIA PODRÓŻNIK

Nazwa łacińska — Cichorium intybus. Cichorium to właściwie greckie słowo — *kichórion.* Tę nazwę dał cykorii Theophrastos. Według Pliniusza jest to słowo egipskie, według innych pochodzi od arabskiego *chikourieh.* Intybus pochodzi najprawdopodobniej z greckiego *entomos* — wykrojony, ze względu na kształt liści. Nazwy ludowe: *podróżnik lekarski, podróżnik błękitny, podróżnik — cykoria.*

Cykoria była bardzo dobrze znana już w starożytnym Egipcie. Grecy i Rzymianie bardzo wysoko cenili jej właściwości lecznicze. Cesarz Karol Wielki pisze o cykorii w swym „Capitulare", w którym wręcz nakazuje jej uprawę; w dziele tym nazywa ją solsequium. W średniowieczu nazywano ją też „sponsa solis", czyli narzeczona słońca. W tych czasach wierzono, że zaklęci ludzie zmieniają się w cykorię: dobrzy w białą, a źli w niebieską.

Silny środek chroniący przed każdą chorobą i przynoszący szczęście w miłości można było uzyskać z korzenia biało kwitnącej cyko-

rii wykopanego jelenim rogiem w święto św. Jakuba. Dziewczęta rwały rozkwitnięte kwiaty rękami owiniętymi białą chustą i tak zapewniały sobie szczęście w miłości. Kiedy dotknięto człowieka cykorią zerwaną w dzień św. Piotra, pozyskiwano sobie jego miłość. Jeszcze większą moc miała podobno cykoria wykopana bosymi nogami w Wielki Piątek, ale należało ją również podnieść ręką owiniętą białą chustą. Według podań i wierzeń ludowych cykoria jest dziewczyną zmienioną w kwiat, która lata całe czekała na powrót ukochanego z wojny.

Cykoria jest rośliną wieloletnią, o łodydze wzniesionej, szorstkiej. Liście dolne są zebrane w różyczkę, łodygowe mają charakterystyczną linię lancetu, ostro ząbkowanego. Kwiaty są niebieskie. Rośnie na miedzach, pastwiskach, przy drogach, na podłożu kamienistym i piaszczystym. Kwitnie od czerwca do października. Jest to roślina pospolita. Może być rozmnażana przez siew lub przez sadzenie pociętych kawałków korzenia.

Zbieramy nać dziko rosnących roślin, których łodyga nie może być grubsza niż 5 mm. Zbiór można przeprowadzać przy pomocy ostrego noża lub sierpu. Zioła należy suszyć w warstwach do 15 cm w przewiewnym miejscu. Nie wolno sztucznie podwyższać temperatury suszenia. Kwiaty podczas suszenia bledną, nać musi zostać zielona. Zbieramy również korzenie — tylko z roślin dziko rosnących, we wrześniu i październiku. Wykopane korzenie należy dokładnie obmyć i bardzo dobrze wysuszyć!

Substancje chemiczne zawarte w naci i korzeniu charakteryzują się działaniem żółciopędnym, moczopędnym oraz pobudzającym wydzielanie soku żołądkowego.



Lek roślinny jest polecany przede wszystkim przy bezsenności i bezkwaśności żołądka, przy nieżytach przewodu pokarmowego oraz pomocniczo w wypadku niedostatecznego wydzielania żółci.

Napar z korzenia i nati cykorii przygotowujemy w następujący sposób: 6 łyżek sproszkowanego korzenia zalać 2 szklankami wrzątku. Po 15 min. przecedzić i pić pół szklanki 2—3 razy dziennie. Dodatek kory kruszyny, liścia mięty, ziela krwawnika wzmaga wydzielanie żółci, a mieszanka cykorii ze skrzypem, rdestem ptasim i korzeniem wilżyny działa moczopędnie.

M. C.

ZWROT
MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO - KULTURALNY
ROK XXXVIII ● NR 451 ● CENA 2,50 Kčs

6/87

[1] List Wojciecha Jaruzelskiego
[2] Pod pokrywką „Forum Młodzieży“ *PIOTR PRZECZEK, MARIA GRZEGORZ*
[8] Chcemy być sobą *PIOTR PRZECZEK*
[12] Zapał nie pozwalał na chwilę wytchnienia *KAZIMIERZ SANTARIUS*
[16] Szkoła usportowiona czyli recepta na sukces *MARIA GRZEGORZ*
[21] Pedagog i społecznik *HENRYKA BITTMAR*
[24] Spotkania teatralne
[26] Czuć się jak w domu (PZKO-wcy inaczej) *OTYLIA TOBOŁA*
[32] W rzymskim obozie (Nadreńska mozaika) *TADEUSZ WRATNY*
[34] Wiesław Adam Berger: Mikołaj
[40] Wilhelm Przeczek: Praskie piwiarnie, Z dziennika, Wiersze, Ucieczka z pastwiska, Podróż
[44] Ludvík Štěpán (Tłumacze literatury polskiej) *WILHELM PRZECZEK*
Okiem recenzenta
[47] Nowoczesny manieryzm Helgi Berger *A. M. R.*
[48] Talent i praca *BRONISŁAW FIRLA*
[50] Podwójna książka Gustawa Sajdoka *WS*
[51] Cieszyński śpiewnik Daniela Kadłubca *ALOJZY KOPOCZEK*
[53] Między panem i sumieniem *Z. O.*
[57] Kocobędz (Wędrówki nazewnicze) *WŁADYSŁAW MILERSKI*
[60] Trybuna czytelników
[65] To i owo
[66] Kronika
Mozaika:
[75] Temat dla Ewy
[76] Krzyżówka *(m)*
[77] Jak jest poprawnie
[78] Galeria SLA *A. M. R.*
Zielnik *M. C.*
[80] *Spis treści*

1. STRONA OKŁADKI — fot. FRANCISZEK BAŁON

WYDAWCA:
POLSKI ZWIĄZEK KULTURALNO-OŚWIATOWY ZARZĄD GŁÓWNY W CZESKIM CIESZYNIE

ADRES REDAKCJI:
UL. J. BOŻKA 16
737 21 CZESKI CIESZYN
TEL. 569 83

ZESPÓŁ REDAKCYJNY:
KAZIMIERZ GAJDZICA
MARIA GRZEGORZ
URSZULA HUDECZEK
PIOTR PRZECZEK
(redaktor naczelny)

RADA REDAKCYJNA:
FRANCISZEK BAŁON
MARIA BIŁKO
WIESŁAWA BRANNA
BRONISŁAW FIRLA
TADEUSZ CHRZĄSZCZ
KAZIMIERZ JAWORSKI
STANISŁAW JEDZOK
WŁADYSŁAW ORSZULIK
RUDOLF POPIOŁEK

Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca. Drukarnia: Tisk, knižní výroba, n. p., Brno, zakład 3 — Cz. Cieszyn, ul. Rewolucyjna 1. Cena prenumeraty rocznej Kčs 30,—, półrocznej Kčs 15,—. Zgłoszenia prenumeraty w CSRS przyjmuje redakcja i administracja „Zwrotu“, w PRL Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch“, Warszawa, ul. Wronia 23. Zezwolenie na ulgową opłatę pocztową wydał Powiatowy Urząd Pocztowy w Karwinie 20. 8. 1963, 1268/63. Numer indeksu R 389, nakład 4250 egz.

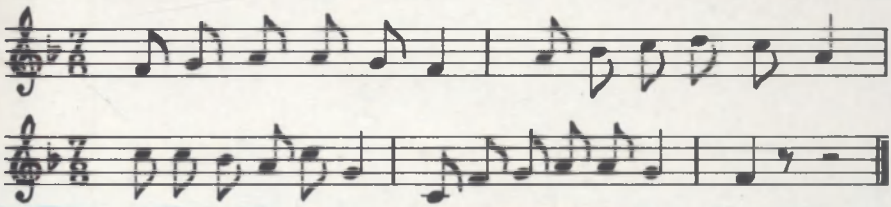
ilustracja JANINA SZOTKOWSKA

PIEŚNI GÓRALSKIE

STAREGO MI DALI

Mosty koło Jabłonkowa

Ze względu na brak innych wariantów można sądzić, że pieśń jest typowo miejscowa. Pokazuje nam socjalne tło niewesołego życia w nierównym małżeństwie, jak zresztą w szeregu innych rodzinnych i socjalnych pieśni z Cieszyńskiego, zwłaszcza w jego południowej części. Na indywidualną twórczość wskazuje nietradycyjna wersyfikacja (6667 w odróżnieniu od tradycyjnego 6666). Muzyczna struktura zwrotki wskazuje na niektóre miejscowe sałasznicze, jak również weselne śpiewki („Idymy, idymy, chodniczka nie wiymy" lub „Pocóżście tu przyszli").



1.
Starego mi dali, szanować kozali
Jo dziywczina młodo, a mie sie nie podobo.
2.
Starego mi dali, jo go kochać musim
Poczkej że ty stary, jo cie w nocy zadusim.
3.
Lobróć że sie stary, zymbami do ściany
Wybiyrej płościce, coby nas nie zeżrały.



Trzaskalik Francisek [redacted]
735 35 HORNÍ SUCHÁ 462

DARINA KRYGIEL: ilustracja do ballady Dwie koszule, pastel 1986 (repr. ADAM SZOP)



ZWROT

7/87





Ośrodek szkoleniowy w Koszarzyskach już od ponad trzydzieści lat umożliwia podnoszenie kwalifikacji działaczy PZKO. Spotykali się tu uczestnicy kursów kulturalno-oświatowych (u góry na zdjęciu z lat pięćdziesiątych szkolenie prowadzi Eugeniusz Suchanek) czy kursów tanecznych (u dołu — rok 1972).



fot. ARCHIWUM ZG PZKO

FESTIWAL PZKO

Książnica Cie

PRZEMÓWIENIE TOWARZYSZA HENRYKA POŁEDNIKA

Szanowne towarzyszki i towarzysze, drodzy przyjaciele!

Przede wszystkim dziękuję serdecznie za zaproszenie na PZKO-wskie uroczystości. Sądzę, że każdy człowiek chętnie powraca w swoje strony rodzinne, pomiędzy bliskich, pomiędzy ludzi, wśród których wyrastał i z którymi pracował. Pozwólcie, że z okazji dostojnego Jubileuszu Polskiego Związku Kulturalno — Oświatowego przekażę wam pozdrowienia w imieniu Komitetu Centralnego Frontu Narodowego. Z radością przekazuję osobiste pozdrowienia i gratulacje od sekretarza generalnego KC KPCz, prezydenta republiki towarzysza Gustáva Husáka, który życzy wam osiągnięć w pracy, dobrego zdrowia i zadowolenia.

Przed 40 laty powstała organizacja, która w wyzwolonej przez Armię Radziecką ojczyźnie w pełni nawiązała do dziedzictwa swoich przodków — rewolucjonistów, patriotów oraz internacjonalistów narodowości polskiej z czasów republiki przedmonachijskiej, z lat walki z faszyzmem. Z wdzięcznością wspominamy dzisiaj tych, którzy kładli podwaliny socjalizmu w Czechosłowacji, którzy z poświęceniem pomagali odbudowywać i budować kopalnie i huty, którzy stali u kolebki socjalistycznej wsi, którzy ucząc się rządzić całym narodem pokonywali trudności i problemy związane z procesem odbudowy. Wysoko oceniamy fakt, że w rewolucyjnych przemianach naszego kraju aktywnie uczestniczyło PZKO — znacząca organizacja kulturalno-oświatowa, zrzeszająca obywateli czechosłowackich narodowości polskiej. W ciągu 40 lat swego istnienia wykonał Związek wiele pożytecznej pracy i przyczynił się do pomyślnej realizacji polityki partii komunistycznej i rozwoju społeczeństwa socjalistycznego w naszym kraju.

Na szczególnie duże uznanie zasługuje wasza aktywność i osiągnięte wyniki przy upiększaniu i rozwoju miast i wsi. Znany jest wkład waszej organizacji w rozwój twórczej inicjatywy górników Zagłębia Ostrawsko-Karwińskiego, hutników trzynieckich oraz ludzi pracy innych zakładów i przedsiębiorstw.

Z organizacji PZKO wyrósł szereg aktywnych i ofiarnych działaczy partii komunistycznej, rad narodowych i organizacji społecznych. Pocieszający jest fakt, iż PZKO długi czas rozwija szeroką działalność kulturalną, która wzbogaca nie tylko życie obywateli narodowości polskiej, ale obywateli całego regionu, że wnosi wkład w ich wychowanie socjalistyczne, w ich pełny i harmonijny rozwój.

Za to wszystko składam waszej organizacji podziękowanie i słowa uznania. Równocześnie chcę wyrazić przekonanie, że w ramach Frontu Narodowego będzie PZKO z powodzeniem kontynuować obraną drogę. Jest to droga dalszego internacjonalistycznego umacniania więzi naszych ludzi pracy.

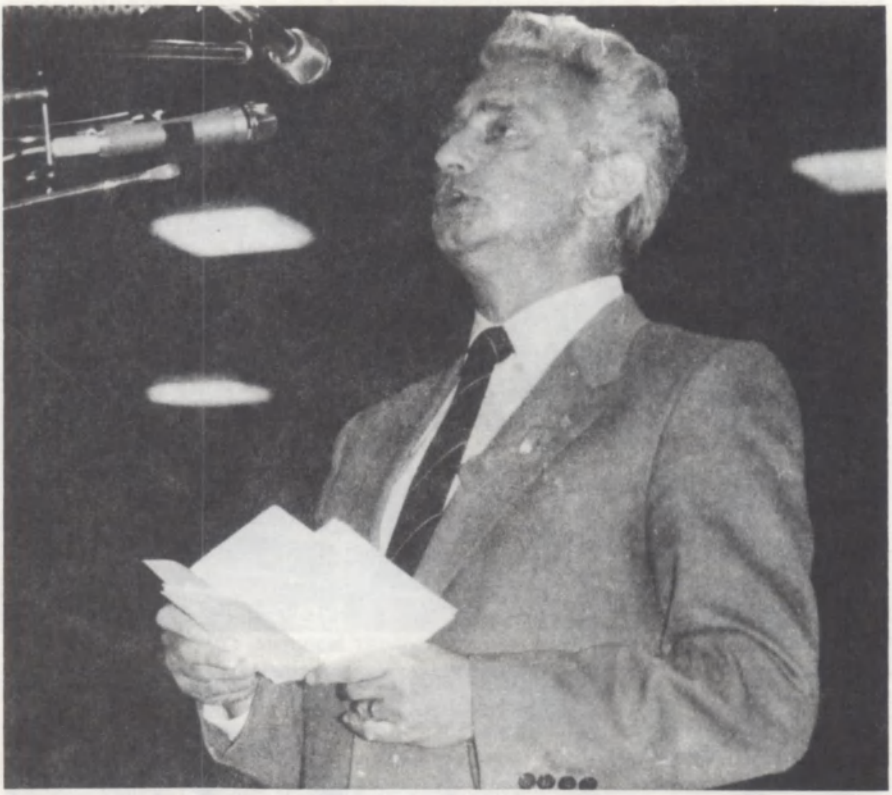
Szanowni przyjaciele, wielką uwagę poświęca nasza partia komunistyczna — dowodzą tego uchwały XVII Zjazdu — rozwiązywaniu zagadnień polityki narodowościowej. Dąży do tego, aby w procesie socjalistycznego budownictwa umacniała się współpraca narodów i narodowości w interesie pomyślnego rozwoju Czechosłowacji.

Nasze socjalistyczne państwo jako wspólne państwo narodu czeskiego i słowackiego i narodowości żyjących na jego terytorium zapewnia obywatelom narodowości węgierskiej, polskiej, niemieckiej oraz ukraińskiej możliwość pełnego wszechstronnego rozwoju. Daje gwarancje równoprawnego uczestnictwa w pracy wszystkich organów społecznych. Zapewnia kształcenie w języku ojczystym, wszechstronny rozwój kulturalny, zapewnia możliwość posługiwania się językiem ojczystym w urzędach, daje prawo zrzeszania się w narodowościowych organizacjach kulturalno-społecznych, stwarza możliwość informacji w języku ojczystym.

Wszystkie zmiany, które w okresie socjalistycznej rozbudowy dokonały się na polu polityki narodowościowej w ramach federacyjnej organizacji naszego państwa, pozwalają stwierdzić, że problem narodowościowy w tym kształcie, w jakim pozostawił go system burżuazyjny, został w Czechosłowacji z powodzeniem rozwiązany. Jest to wielki sukces leninowskiej polityki narodowościowej KPCz, która od początku swego istnienia łączyła walkę klasy robotniczej o wyzwolenie społeczne ludzi pracy z walką o rozwiązanie problemów narodowościowych.

Świadczy o tym codzienne życie ludzi i oblicze regionu Karwiny, Trzyńca oraz Cz. Cieszyna, miast, które zmieniły się ogromnie w czasie socjalistycznej rozbudowy. Wytworzone ogromne wartości materialne, nowoczesne zakłady przemysłowe i rolne, wygląd i architektura miast i wsi, stopa życiowa i poziom kulturalny ich mieszkańców — to wszystko świadczy o tym, ile można osiągnąć dzięki wyzwolonej ludzkiej pracy, pozbawionej wyzysku i przesądów narodowościowych. Obszary, na których dziś wspólne i zgodnie pracują i żyją Czesi, Polacy, Słowacy i obywatele innych narodowości, stały się szczęśliwym domem ludzi pracy we wspólnym państwie czechosłowackim.

Korzystając z dzisiejszej okazji pragnę z tego miejsca wyrazić słowa szczerego podziękowania górnikom, hutnikom, wszystkim ludziom pracy Karwińskiego i Frydecko-Misteckiego za wkład, jaki wnoszą w realizację zadań gospodarczych kraju. Jesteśmy świadomi wszystkich związanych z tym trudności, jak również stopnia złożoności aktualnych zadań. Rozwój wydobycia węgla stwarza wiele problemów w zakresie ochrony środowiska, rodzą się nowe potrzeby na polu



opieki zdrowotnej, na polu kultury. Zaspokojenie zaistniałych potrzeb to nie tylko sprawa dobrej woli, ale przede wszystkim — naszych możliwości i środków, które wytwarzamy własną pracą. Faktem pozostaje to, co w minionych latach wykonano dla dobra ludzi. Jesteśmy krajem wysoko rozwiniętym, należymy do państw o najwyższej stopie życiowej na świecie.

Niemniej wymagania ludzi stale rosną, życie przynosi nowe trudności, świat idzie naprzód, a to rodzi konieczność mądrego rozwiązywania wszystkich zaistniałych problemów. Są sprawy, w obliczu których stajemy bezradni. Dlatego też szukamy dróg i sposobów, które pozwolą lepiej organizować gospodarkę, a także — nieustannie doskonalić życie społeczeństwa, w pełni wykorzystywać potencjał ludzkich myśli i czynów wszystkich tych, którzy kochają swoją ojczyznę, którzy pragną służyć sprawie socjalizmu. Na tym właśnie polega istota przebudowy, o której tak wiele mówimy, dla której tak wiele robimy z myślą o przyspieszeniu rozwoju społeczno-gospodarczego kraju, z myślą o ludziach.

Szanowne towarzyszki i towarzysze, drodzy przyjaciele!

Szczerze życzę wam dużo pomyślności i wielu dobrych wyników w dalszej pracy, a także zdrowia i zadowolenia w życiu osobistym. Niech PZKO wnosi

fot. PIOTR WOJOCZEK





[4]

fot. CZESŁAW GÓRAL

jeszcze większy wkład w pomnażanie socjalistycznych zdobyczy, w szczęśliwe pokojowe życie obywateli, w dzieło wszechstronnego rozwoju naszej drogiej ojczyzny — Czechosłowackiej Republiki Socjalistycznej.

Niech żyje Polski Związek Kulturalno-Oświatowy!

KULMINACJA OBCHODÓW

31 maja 1987 w samo południe zabrzmiał na ulicach Karwiny hejnał Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego — znak, że pochód może ruszyć, że Festiwal PZKO rozpoczęty. Tysiące działaczy, uczestniczących w barwnym pochodzie, pozdrawiali z trybuny honorowej zacni goście: sekretarz KC KPCz Henryk Połednik, ambasador PRL w Czechosłowacji Andrzej Jedynak, przedstawiciele okręgu północnomorawskiego z sekretarzem KO KPCz Ladislavem Brumkiem, sekretarz KC FN CSRS Milan Grande, goście z Katowic na czele z sekretarzem KW PZPR Janem Zielińskim, przedstawiciele konsulatu PRL na czele z konsulem generalnym Edmundem Wardą, przedstawiciele władz powiatów karwińskiego i frydecko-misteckiego, zakładów i przedsiębiorstw, miasta Karwiny. Licznie zaprezentowały się na Festiwalu PZKO delegacje zaprzyjaźnionych towarzystw z Torunia, Tarnowskich Gór, Opola, Bielska-Białej, Katowic, z zespołem „Budyšin" przybyła delegacja Związku Serbów Łużyckich „Domowina". Właściwy program festiwalowy rozpoczął się w hali Stadionu Zimowego w Karwinie. Jubileuszową imprezę zagaił przewodniczący Związku St. Kondziołka, po czym przemówienie (prawie w całości w języku polskim) wygłosił sekretarz KC KPCz Henryk Połednik. Uczestników obchodów jubileuszowych pozdrowił również ambasador PRL A. Jedynak. Na płycie stadionu, a równocześnie i w amfiteatrze Parku B. Němcowej trwały odtąd aż do godzin wieczornych występy zespołów, w tym imponujących chórów połączonych, liczących w sumie ponad 1 200 śpiewaków. Choć w czasie oddawania niniejszego numeru Zwrotu do druku (w dwa dni po Festiwalu) nieznana była jeszcze oficjalna ocena imprezy, w której wzięło udział ponad 12 tysięcy osób, jedno można stwierdzić z całą pewnością: członkowie PZKO swoim udziałem w Festiwalu godnie uczcili 40. rocznicę powstania Związku.

Jubileuszowy Festiwal PZKO odnotowała praktycznie cała prasa czechosłowacka — obszernie zacytowało przemówienie tow. H. Połednika Rudé právo, podobnie i inne pisma centralne, bardzo dużo miejsca reportażowi i licznym zdjęciom poświęciła Nová svoboda, oczywiście najwięcej uwagi poświęcił tej imprezie Głos Ludu. Jeszcze w niedzielę 31 maja, zaledwie w dwie godziny po zakończeniu imprezy, pojawiła się krótka relacja w dzienniku TV CS. Na Festiwalu obecnych było ponad trzydziestu dziennikarzy, pracujących dla pism, radia i telewizji Czechosłowacji i Polski, niewątpliwie więc niejeden materiał znajdzie Czytelnik w prasie po zamknięciu numeru 7/87 Zwrotu. Obecnych na Festiwalu dziennikarzy poprosiliśmy, by zdradzili nam przynajmniej niektóre ciekawostki, zanotowane podczas karwińskiej imprezy.



MIGAWKI Z FESTIWALU

Koło naszej uzdrowiskowej miejscowości Darkowa reklamowało swoje wody lecznicze: „Kto darkowskóm wode pije — długo i zdrowo żyje". Spotkani tu śpiewacy chóru „Lira" wyrazili nadzieję, że ich wody uleczą z pewnością przebywającego od dłuższego czasu na chorobowym dyrygenta Władysława Winklera. Bo z powodu jego braku w zespole, jak stwierdził kierownik Wilhelm Sembol, chór zmuszony był odwołać trzy tradycyjne koncerty dla pacjentów darkowskiej lecznicy.

„Nasze stoisko jest tam, gdzie jest nasza muzyka" — stwierdził pochylony nad skrzypcami mostecki „gorol" Mariusz Wałach. — "Gramy dla siebie i dla własnej przyjemności" — dodał jeszcze, a tymczasem kapelę gorolską otaczały już tłumy przygodnych sympatyków, próbujących nawet śpiewać.

Jeśli już mowa o „samozwańczych" występach ludowych, rozrywkowych i popisach podwórkowych kapel, wspomnieć

należy o dwu stoiskach, wypchniętych za płot głównych aprowizacyjnych tras: Skrzeczonia i Piotrowic. Z początku funkcjonowały na uboczu, później znajdowały rosnące rzesze stałych bywalców. Program na przemian odbywał się w piotrowickiej „Kawiarni u Piotrusia" i pod andrusowską przyczepą. Niezmordowany Tadeusz Błanik użyczał swego głosu obu zespołom. Skrzeczoń miał jeszcze jeden swoisty sukces. Długonoga solistka Andrusów — w cywilu Albert Grzebień — ogłoszona została nieoficjalną Miss Pochodu Festiwalowego.

Wiele wzruszeń dostarczył publiczności amfiteatru 47-osobowy studencki chór pod dyrekcją Leszka Kaliny, mający na Festiwalu swoją premierę. „To są wspaniali ludzie — powiedział później dyrygent — ich to pochłania bez reszty". Niemniej wzruszające było przyjęcie tych bądź co bądź trudnych pieśni chóralnych przez publiczność. Długotrwałe oklaski przerodziły się w skandowanie, ludzie wstali ze swoich miejsc, słuchając na bis pieśni „Gaude mater".

„Ligotka Kameralna zaprasza" — takim hasłem witali gości festiwalowych w swym stoisku pezetkaowcy z Ligotki. Stoisko zainstalowali w ogóle po raz pierwszy.

— Jesteśmy zadowoleni i dziękujemy kierownikowi tego stoiska panu Kuncowi z Karwiny.

Na klientelę ligocanie nie musieli narzekać. Popularny szaszłyk, świeżutkie, niemal gorące pączki były najlepszą reklamą. Nie zabrakło w stoisku rzecz jasna i cytrynówki, miodówki, piwa, lemoniady.

— Dlaczego nagle ta decyzja z kioskiem?

— 16 maja otworzyliśmy nowy Dom PZKO, chcemy więc podreperować kasę. Dalsza rozmowa toczy się już o budowie, o tym, że jest to mniejszy domek, taki rodzinny, by było w nim swojsko. Przerwaną na razie z konieczności pracę zespołu teatralnego zamierzają w jak najkrótszym czasie odnowić — jeszcze w tym roku wystawią przedstawienie pod kierownictwem prezeski mgr Marty Wurszt.

— Już nie przeszkadzam, bo kolejka rośnie.

Na festiwalu spotykałam również często młodzież szkolną.

— Czy nie nudzicie się w Karwinie?

Basia, kl. 5.: Ależ nie, bardzo mi się tu podoba. Jest tu wiele ciekawych rzeczy i ładnych kiosków. Przed południem szłam



fot. EDMUND KIJONKA



w pochodzie razem z naszą szkołą wędryńską, obejrzałam już część programu, nawet ciekawe atrakcje, karuzele, strzelnica, taki mały kosmos.

— Czy twoi rodzice pracują w PZKO?

— Tak i ja chętnie pójdę ich śladami.

Godzina 13.45, pochód się skończył, ludzie powoli zajmują miejsca na widowni Stadionu Zimowego. Hala ogromna, ludzi dużo — trudno znaleźć kogoś ze znajomych. Zatrzymuję się na chwilę i uważnie rozglądam. „Pani, hledocie miejsce? Tu je jedno wolne" — starszy pan z drugiego rzędu wyraźnie zwraca się do mnie. Dość już mam łażenia, korzystam więc z jego uprzejmości i zajmuję proponowane mi miejsce. Zbliża się czternasta, za chwilę powinien rozpocząć się program. Rozglądam się po stadionie i mimo woli docierają do mnie fragmenty rozmowy — to ten pan, który „zarezerwował" mi miejsce, a ta pani obok to chyba jego żona. „Už žech se nimóg doczkać tego festiwalu! To je dobre, że se pogoda wydarziła, że nie padze. Pamiyntosz, w Trzińcu też było pieknie" — i po chwili „Pani, a wyście sóm z Polski, albo tu stela?" Odwracam się, bo to pytanie znowu skierowane jest do mnie. „Ja? Stąd" „A z kierego koła?" „Od Cieszyna, z Mistrzowic". „Aha. My sóm z Rychwołda. Ale, wiycie, my sóm tacy dziwni pezetkaowcy" — pan uśmiecha się tajemniczo. „No, ón mo czeskóm narodowość, ale je w PZKO. Jak dłógo? Už osiym roków — no, osiym" — wyjaśnia żona. „Na tóż, chodzili my dycki wroz na wszystki imprezy, zebrania — bo wiycie, óna je rodzóno rychwołdzanka, jyny jo se tam prziżynił. I tak mi to było gupi, że tam fórt chodzym, jak cudzy, tak žech roz zaszeł za prezesym i prawiym mu, że bych chcioł wstómpić do PZKO. A prezes prawi, że dobre, że bydóm radzi. Bo wiycie, u nas to ni ma nic dziwnego, u nas w kole je pełno takich miyszanych małżyństw, co to chłop je Polok, a baba Czeszka, abo naopak, a obo sóm w PZKO. Podobo sie mi tyn spółek, jako że je zamierzóny na kulture, oświate. A nejbardzi sie mi podobajóm festiwale. Na tyn žech se už nimóg doczkać ..." — rozmowę przerywa nam sygnał festiwalu, potem hymny, przemówienia, program ... Żegnając się z sympatycznym małżeństwem przedstawiam się (jako że do tej pory występowałam „incognito", nie jako przedstawicielka prasy). W zamian za to dowiaduję się, że moi rozmówcy to Ada i Andělin Komendowie. Nie udało mi się ich już później spotkać w tłumach festiwalowych gości. Szkoda. Ale mam nadzieję, że festiwal im się podobał co najmniej tak, jak te poprzednie.

tob, EWa, ro





fot. EDMUND KIJONKA



ZACZĘŁO SIĘ OD TARNOWSKICH GÓR

Wśród obecnych na Festiwalu delegacji towarzystw regionalnych z Polski był również przewodniczący Stowarzyszenia Miłośników Ziemi Tarnogórskiej w Tarnowskich Górach Norbert Kot oraz Henryk Tyrała, członek zarządu tego Stowarzyszenia. Oto, co powiedzieli nam na temat kontaktów z naszym Związkiem.

NORBERT KOT: Nasza współpraca z PZKO trwa już trzydzieści lat. Nawiązaliśmy kontakty w r. 1957 i w tym roku po raz pierwszy wasza „Olza" zawitała na uroczystości letniego święta górników, tzw. Dni Gwarków, które uświetniła swoim występem. To były początki naszej współpracy. Wypłynęło z niej wiele korzystnego i dla PZKO, i dla nas. Podpatrywaliśmy PZKO we wszystkich przedsięwzięciach, działaniach organizacyjnych różnych imprez i w ogóle śledziliśmy całokształt waszej pracy. To, co było cenne, przenieśliśmy na nasz teren. Skorzystaliśmy bardzo wiele z tej wymiany doświadczeń i myślę, że PZKO również przez te trzydzieści lat sporo korzyści odniosło dla swojej działalności. Ale to już pozostawiam do oceny Zarządowi Głównemu PZKO. Co konkretnie udało nam się przeszczepić na nasz grunt? Przede wszystkim sprawy dotyczące organizacji imprezy masowej. My organizujemy jedną taką imprezę, wspomniane już Dni Gwarków. I tu właśnie skorzystaliśmy z doświadczeń PZKO-wskich, bo i u nas,

fot. CZESŁAW GÓRAL

podobnie jak na waszym festiwalu, gwoździem programu jest niedzielny pochód. Mogliśmy wiele bardzo cennych spraw przenieść na nasze uroczystości. Działalność naszego Stowarzyszenia ma przede wszystkim charakter popularyzatorski. Skorzystaliśmy z waszych doświadczeń z działalności w kołach terenowych. Nasze Stowarzyszenie Miłośników Ziemi Tarnogórskiej, nie Tarnowskich Gór, ma również koła terenowe. Sporo zyskaliśmy od was w zakresie powiązania działalności kół PZKO z centralą, ZG PZKO, a w naszym wypadku kół terenowych z Zarządem Głównym Stowarzyszenia, bo nasze koła nie mają zarządów. Bardzo cenna jest również wymiana tego typu, że przyjeżdżają do nas nie tylko wasze zespoły, ale gościmy bardzo często wycieczki organizowane przez PZKO. Szczególnie w okresie początkowym, w pierwszych latach naszych kontaktów, jak się orientuję, było to dla was bardzo cenne i atrakcyjne. To na pewno pobudziło trochę tego ducha do działania u tych, którzy mogli w tych wycieczkach uczestniczyć. Pomagaliśmy w wielu innych sprawach, które znalazły się w sferze zainteresowań ZG PZKO. Jeżeli chodzi o wydawnictwa, to my tutaj nie możemy się poszczycić jakimiś specjalnymi osiągnięciami, ale skorzystaliśmy z waszych wydawnictw, by naszemu społeczeństwu przybliżyć działalność PZKO na terenie Czechosłowacji, bo o tym przed nawiązaniem naszych kontaktów niewiele się wiedziało. A jak to nasze społeczeństwo przyjęło, na to dowodem może być każdorazowy aplaus, z jakim spotykają się wasze zespoły, wasze delegacje podczas pobytu u nas. Nasze społeczeństwo jest ogromnie wami zainteresowane i emocjonalnie przeżywa obecność waszych zespołów. Najlepiej mogą to ocenić same zespoły i ci, którzy bywają u nas. Nasze Stowarzyszenie nie ma własnych zespołów, natomiast wspomagamy te, które na naszym terenie istnieją. Nasza działalność idzie w ogóle w kierunku wspierania wszelkiej działalności kulturalno-oświatowej na tym odcinku, gdzie nie dociera państwo. Na przykład ostatnio nawiązaliśmy współpracę i wspieramy chóry na naszym terenie działające. Przez nas właśnie wasz karwiński chór „Hejnał — Echo", w którym śpiewa również wasz prezes, nawiązał kontakty z naszym związkiem chórów i już w następnym tygodniu będziemy ten chór gościć u siebie.

HENRYK TYRAŁA: Jestem dziś po raz pierwszy na waszym Festiwalu, poza tym byłem już u was kilka razy na innych imprezach. Uderzyła mnie jedna rzecz — pochód festiwalowy a pochód gwarkowski różnią się tym, że wy prezentujecie przede wszystkim osiągnięcia kulturalne, tu przeważa przede wszystkim zespół — chóralny czy taneczny, i młodzież, która jest zrzeszona w PZKO. Natomiast my reprezentujemy miasto, tych wszystkich miłośników Ziemi Tarnogórskiej, tzn. że uczestniczą w nim szkoły, zakłady pracy, bez których nie możemy się obejść, po prostu całe miasto. Staramy się społecznie zaangażować maksymalnie, żeby to nasze górnicze letnie święto było dla tarnogórzan rzeczywiście wielką sprawą. Chciałem również zwrócić uwagę na to, że do nas przyjeżdżają przyjaciele z Budziszyna, bo tak samo mamy powiązania kulturalno-oświatowe z naszymi przyjaciółmi w NRD, z Serbołużyczanami. Daje to naszemu społeczeństwu możliwość obejrzenia innej kultury. Chciałbym zwrócić uwagę również na to, że dzięki nam nawiązaliście kontakty z towarzystwami regionalnymi w Toruniu i innymi, tak samo kontakty z Łużyczanami nawiązane zostały za naszym pośrednictwem, inaczej by tego nie było.

Wszystko zaczęło się więc od Tarnowskich Gór. Potwierdzenia tych faktów poszukałam u przewodniczącego ZG PZKO Stanisława Kondziołki, który powiedział:

To wszystko są kontakty pochodne. A pierwsze i najważniejsze były właśnie zadzierżgnięte ze Stowarzyszeniem Miłośników Ziemi Tarnogórskiej, z gwarkami tarnogórskimi, i te kontakty trwają już równych 30 lat. W zasadzie w sposób zor-

ganizowany nasze zespoły zaczęły wyjeżdżać właśnie do Tarnowskich Gór. Tam to się rozpoczęło i wychodząc z doświadczeń, jakie tam zdobyliśmy, rozciągnęliśmy je na inne towarzystwa regionalne miłośników jakiejś ziemi lub miasta. One są chyba najlepszym motorem działalności i okazją do stwarzania warunków wymiany zespołów, wyjazdów naszych zespołów. Organizacje typu „odgórnego", jak bym to nazwał, mogą nas popierać, patrzeć na nas przychylnym okiem, ale muszą być ci, którzy wprowadzają to w życie. I właśnie w tych organizacjach regionalnych realizują się bezpośrednio te wszystkie szczytne idee o współpracy, o których tyle mówimy, tam ta współpraca jest najistotniejsza i dla nas najważniejsza.

Rozmawiała: MARIA GRZEGORZ

TAŃCZY I ŚPIEWA »VARSOVIA«

Zespół istnieje już dziewięć lat. Powstał z inicjatywy Śródmiejskiej Spółdzielni Mieszkaniowej w Warszawie. Przedstawicielka spółdzielni w r. 1978 zwróciła się do dyrektor Miry Zimińskiej — Sygietyńskiej z „Mazowsza" o przydzielenie kadry instruktorów, która miała stworzyć coś w rodzaju szkółki śpiewu i tańca, żeby zająć dzieci warszawskich szkół tego rodzaju działalnością. Nie myślano jeszcze wtedy o zespole. Dziś „Varsovia", którą mieliśmy możliwość podziwiać na scenie Stadionu Zimowego w Karwinie w czasie Festiwalu PZKO, to zespół małych profesjonalistów. Zachwyciła chyba wszystkich, czego dowodem były gorące brawa, jakie towarzyszyły jej występom od początku do końca, przez ponad 100 minut programu. O chwilę rozmowy w przerwie spektaklu poprosiłam opiekunów małego „Mazowsza": instruktora tańca Zofię Pawlak, kierownika muzycznego Halinę Ossowską-Borys, kierownika organizacyjnego Wiesława Bartczaka oraz Ewę Szabłowską i Dorotę Śniadałę, członkinie zespołu.

ZOFIA PAWLAK: Nie mógł z nami przyjechać kierownik artystyczny „Varsovii" Witold Zapała. W tej chwili „Mazowsze" występuje w kraju, a on jest równocześnie kierownikiem baletu i choreografem „Mazowsza". W naszym zespole tańczą i śpiewają dzieci z wszystkich warszawskich szkół. W tej chwili eliminacje przeprowadzamy co dwa lata. Przychodzą do nas dzieci, które chcą się bawić na zasadzie poznawania muzyki i tańca i przy okazji się uczą. Przygotowanie trwa w zasadzie pełne dwa lata, nie wszystkie dzieci mogą ukończyć tę szkółkę, jak my mówimy „zerówkę", bo okazuje się, że niektóre są nierytmiczne, inne nie wytrzymują kondycyjnie, niektóre przeciążone są dodatkową pracą. Co dwa lata przyjmujemy około setki dzieci, z których część przechodzi do zespołu, który już występuje, a tych dzieci występujących jest około 70. Reszta przechodzi

do innych zespołów, do domów kultury. Staramy się wybrać dla siebie te najzdolniejsze, ale czasem takich dzieci jest bardzo dużo. Jeżeli są wybitnie uzdolnione, mają szansę przejść później do „Mazowsza", do tego ich przygotowujemy. W tym widowisku, które zostało tu pokazane, widzieliście folklor starej Warszawy, natomiast potem będą tańce regionalne, suita krakowska, zajmująca dużą część programu, i czternaście regionów Polski, między innymi cieszyński, tych najbardziej charakterystycznych. To będzie w drugiej części widowiska pn. „Piękna nasza Polska cała". Występujemy na playbecku, bo nie mamy własnej kapeli. Natomiast wszystkie dzieci świetnie śpiewają, to ich własne nagrania, i te dzieci, które widzimy na scenie, nagrały te wszystkie piosenki. Świetnie też śpiewają na żywo, o czym publiczność mogła się przekonać w czasie nielicznych koncertów z wypożyczoną orkiestrą. Ale to jest wielka rzadkość, na to nie możemy sobie pozwolić. Naszą siedzibą jest Dom Kultury na Stawkach przy ulicy Dzikiej w Warszawie.

HALINA OSSOWSKA — BORYS: W zespole jestem od samego początku, od jego założenia. Przychodzą do nas dzieci zupełnie świeże, z normalnych szkół, dzieci, które nigdy nie tańczyły, które śpiewały tylko na lekcji śpiewu w szkole. U nas zaczynają całą naukę, naukę śpiewu w głosach, naukę tańca od podstawowych prostych kroczków. Dopiero z biegiem lat dochodzą do tego, co w tej chwili prezentują. Ćwiczenia odbywają się aż trzy razy w tygodniu, dwa razy tańczymy, raz w tygodniu śpiewamy. Lekcje trwają od 16.45 do godziny ósmej wieczór w grupach wiekowych, jednocześnie są wspólne zajęcia, gdzie robimy próby całości, próby tańców w zespole. A w soboty i niedziele występujemy. Warunkiem pobytu dziecka w zespole jest to, by dobrze radziło sobie w szkole. Wtedy nauczyciele chętnie zwalniają dzieci na występy, nawet te zagraniczne. Byliśmy na przykład w Stanach Zjednoczonych, pięć tygodni w czasie roku szkolnego, ale dzieci to wszystko nadrobiły. Na ogół mamy dzieci bardzo zdolne nie tylko artystycznie, ale również w przedmiotach ogólnokształcących. Przychodzą do nas w wieku 6—7 lat, choć zdarzają się również młodsze, pięciolatki, i zostają mniej więcej do wieku 16—17 lat, niektóre do matury. Bardzo by chciały zostać w zespole, ale to zespół dziecięcy. Najzdolniejszych wysyłamy do „Mazowsza", gdzie przeszło już czterech naszych wychowanków, trzy dziewczyny i jeden chłopiec. Co wiemy o waszym Związku? O, wiemy bardzo dużo, że istnieje już czterdzieści lat, że jesteście tu państwo bardzo prężną polską organizacją. Bardzo się cieszymy, że mieliśmy możliwość uczestniczenia w waszym jubileuszu. Oglądaliśmy dwa lata temu w „Koszalinie" wasz zespół „Olza", tam żeśmy się poznali i spotkali w programie galowym. Wasz dzisiejszy pokaz na płycie stadionu był wspaniały, wasze dzieci świetnie tańczą!

WIESŁAW BARTCZAK: „Varsovia" występowała w Stanach Zjednoczonych, w Nowym Jorku, i teraz w Czechosłowacji. Mieliśmy zamiar wyjechać do Francji, ale ze względów finansowych ten wyjazd nie wyszedł. Prawdopodobnie we wrześniu pojedziemy do Moskwy. To wszystkie jak na razie zagraniczne występy zespołu. Poza tym dużo jeździmy w kraju. Musieliśmy się nauczyć dobrze wykonywać to, co robimy, żeby się podobać. Na razie jeszcze wszystko przed nami.

EWA SZABŁOWSKA: W Czechosłowacji jestem po raz pierwszy, byłam z „Varsovią" w Stanach Zjednoczonych. Na waszym festiwalu jest wspaniale, ludzie biją nam brawa w czasie tańca!

DOROTA ŚNIADAŁA: Mieszkam w Warszawie, ukończyłam liceum ogólnokształcące. Jestem właściwie na wylocie z zespołu, bo zdałam w tym roku maturę. Bardzo chciałabym gdzieś dalej tańczyć, o ile mi się uda, na pewno będę to kontynuować. Uważam, że byłyby to zmarnowane lata. W „Varsovii" jestem od początku, byłam wtedy w 4. klasie szkoły podstawowej. Zawsze bardzo będę wspominała mój udział w zespole. Wasza publiczność jest bardzo miła, bardzo dobrze się tańczy, kiedy jest reakcja na nasze tańce. To jest bardzo przyjemne. Ale muszę już wracać na scenę ... MaG







fot. PIOTR WOJOCZEK

Z MYŚLĄ O PRZYSZŁOŚCI

Dr hab. Daniel Kadłubiec jest pracownikiem naukowym Wyższej szkoły Pedagogicznej w Ostrawie, przewodniczącym Sekcji Folklorystycznej ZG PZKO, przewodniczącym Koła Miejscowego PZKO w Mistrzowicach oraz członkiem Międzynarodowej Komisji do Badań Folkloru Łuku Karpackiego. Pochodzi z Karpętnej. Tutaj też uczęszczał do szkoły ludowej, szkołę wydziałową ukończył w Bystrzycy, 11-letnią Szkołę Ogólnokształcącą w Czeskim Cieszynie. W Pradze zaś Uniwersytet Karola. Na uczelni tej uzyskał też doktorat i kandydaturę nauk z zakresu językoznawstwa. Stopień doktora habilitowanego przyznano mu na Uniwersytecie Warszawskim, gdzie obronił pracę dotyczącą pogranicza językoznawstwa i folklorystyki.

— Miałem kłopot z umówieniem się z tobą na tę rozmowę. Na uczelni ostrawskiej poinformowano mnie, że jesteś na stażu w Warszawie.

— Przyjechałem na Festiwal, ale zaraz wracam do Warszawy ... Na podstawie umowy kulturalnej pomiędzy Polską i Czechosłowacją odbywam trzymiesięczny staż na Uniwersytecie Warszawskim, w Instytucie Języka Polskiego. Pobyt w Warszawie wykorzystuję na dokończenie prac nad pierwszym naszym cieszyńskim podręcznikiem języka polskiego dla wszystkich typów szkół średnich. Chcemy bowiem odejść od dotychczasowej praktyki wyłącznego przejmowania podręczników z Polski. Na naszym terenie istnieje specyficzna sytuacja językowa, którą kształtują wpływy na język polski tak ze strony języka czeskiego, jak gwar ludowych i środowiskowych. Podręcznik ten musi więc respektować tę sytuację, no i reagować na nią. Będzie to książka obszerna, w granicach mniej więcej 25 arkuszy, czyli około 500 stron maszynopisu. Jej koncepcja odpowiada współczesnym osiągnięciom metodyki i metodologii języka polskiego. Toteż praca nad nią nie jest prosta. Jeżeli uda nam się zrealizować to ambitne zamierzenie i nie odstąpić od koncepcji, którą zaprogramowaliśmy, myślę, że będzie to dobry pomocnik dla naszej młodzieży w udoskonalaniu się w języku ojczystym.

— Nie wątpię, że ze stażu tego wyniesiesz również niemałe korzyści osobiste, które będziesz mógł spożytkować w swojej pracy naukowej i dydaktycznej na ostrawskiej uczelni.

— Każdy kontakt z pracownikami naukowymi Instytutu Języka Polskiego, który jest przodującą placówką lingwistyczną w Polsce,

uczestniczenie w dyskusjach z nimi, a także w prowadzonych przez nich pracach bardzo poszerza horyzonty i pomaga spojrzeć na wiele spraw z innego punktu widzenia.

— A propos, ilu jest w Wyższej Szkole Pedagogicznej studentów polonistyki?

— Na pierwszym roku sześć, na drugim dziewięć osób studiuje polonistykę. W tym roku również przeprowadziliśmy rekrutację studentów polonistyki na przyszły rok akademicki. Takiej sytuacji już dawno nie było — na trzech latach polonistyka. Jesteśmy najsilniejsi w kraju.

— Czy to znaczy, że zapotrzebowanie na polonistów rośnie?

— Z przeprowadzonych obliczeń przez kompetentne instytucje wypłynął wniosek, że w najbliższej przyszłości zapotrzebowanie na polonistów wzrośnie. I to nie tylko w szkolnictwie.

— Jaki procent absolwentów polonistyki ostrawskiej zostaje nauczycielami?

— Tylko wyjątki nie pracują w tym zawodzie. Co najmniej dziewięćdziesiąt procent trafia do nauczycielstwa. Przydatność polonistyki naszej jest znaczna. Zresztą nie tylko w szkolnictwie, ale także np. w środkach masowego przekazu.

— Co możesz powiedzieć o przygotowaniu maturzystów do studiów polonistycznych?

— Większość stanowią ci, którzy wybierają polonistykę świadomie i według tego też są przygotowani, ale są też przypadkowi studenci, którzy uważali, że łatwiej im się będzie dostać na naszą uczelnię niż którąkolwiek inną. Oczywiście rezultaty studiów tych dwu grup odpowiednio się też kształtują.

— Co sądzisz o sposobie nauczania języka polskiego w naszych szkołach? Absolwenci zarówno szkół podstawowych, jak i średnich mają kłopoty ze swobodnym prowadzeniem rozmowy w swoim języku ojczystym.

— Można pozazdrościć swobody wypowiadania się tym, którzy takie szkoły kończą w Polsce. Nasi rodacy mieszkający w Polsce są bardzo elokwentni. Przed kamerą telewizyjną swobodnie wypowiada się robotnik, urzędnik, uczeń, student, nie mówiąc już o tych, którzy zajmują wyższe stanowiska w hierarchii społecznej. Nasi ludzie nie są skłonni do zwierzeń, lecz za to chętnie działają. Przyczyna tkwi, moim zdaniem, także w sferze psychiki, usposobienia. Niemniej jednak nasze szkoły także mają w tym swój udział. Za małą wagę przywiązuje się bowiem do ćwiczeń w mówieniu i pisaniu. Nacisk kładzie się raczej na przekazywanie wiadomości teoretycznych i o literaturze, i o języku, natomiast mniej się dąży do tego, żeby te teoretyczne wiadomości stały się umiejętnościami praktycznymi. Nauczania konwersacji i praktycznej stylistyki stale u nas mamy za mało. Tutaj jest wiele do nadrobienia.

— Tym bardziej, że nasza gwara, coraz bardziej zachwaszczana, w sposób zatrważający oddala się od polskiego języka potocznego. Dla niejednego Polaka na Śląsku Cieszyńskim język polski jest w zasadzie językiem obcym ... Jako autorytatywny lingwista przedstaw swoje stanowisko w sprawie stosowania przez niektóre drukarnie w polskich tekstach czeskiej pisowni nazw miejscowości na Śląsku Cieszyńskim.

— Jest to problem, który niepokoi wielu obywateli naszego terenu. Rozpocząłbym od spraw ogólniejszych. Składnikiem kultury każdeho społeczeństwa, w tym również naszego, jest także kultura języka. Język kulturalny to taki język, który jest jednorodny. Lingwiści walczą — tak samo w języku czeskim, jak i polskim — z „modnymi" naleciałościami języków obcych, które nie spełniają żadnej funkcji. Walczymy z zapożyczonymi wyrazami, których dokładne odpowiedniki istnieją w rodzimym języku. Jeżeli zapożyczamy wyrazy w sposób bezmyślny, to wtedy język staje się niespójny i traci również na swojej wartości funkcjonalnej. I z tego punktu widzenia należy oceniać problem pisowni czeskiej nazw miejscowych w tekstach polskich. Teksty polskie z takimi właśnie formami stają się tekstami „makaronistycznymi", niejednorodnymi. Stosowanie polskiej pisowni tych nazw nie zagraża

zresztą komunikacji językowej, nie prowadzi do nieporozumień. Jeżeli ktoś napisze, że bierze ślub w urzędzie stanu cywilnego w Trzyńcu, a nie w Třinci, to nikogo nie wprowadza w błąd. Tak samo jak informacja, że zebranie odbędzie się w MRN w Czeskim Cieszynie nie zakłóca porozumienia. Warto przypomnieć w tym miejscu, że tradycja używania na Śląsku Cieszyńskim polskich nazw geograficznych jest przecież wielowiekowa. Język polski i czeski, języki spokrewnione, trwają tutaj od wieków i wypracowały sobie specyficzną formułę współistnienia, której nie trzeba zmieniać. Nie widzę więc potrzeby kurczowego trzymania się tej dziwnej zasady. Co innego, jeżeli chodzi o znaki drogowe czy szyldy na dworcach kolejowych i autobusowych. To jest zrozumiałe. Ale żeby w tekstach, na dodatek prywatnych, w ogłoszeniach o zawarciu związku małżeńskiego czy w nekrologach stosować przymus używania formy czeskiej, to wydaje mi się to dużą przesadą.

— A chyba całkowitym nieporozumieniem są końcówki czeskie tych nazw w zdaniach polskich, jak np. „... Festiwal PZKO odbędzie się w Karviné", czy „Bal Szkolny odbędzie się w Domu Robotniczym w Albrechticích".

— No tak. To już przykład dwudziestowiecznego makaronizowania. Był taki okres dziejów języka polskiego, okres jego wielkiego upadku. Ale to było dawno, w wieku XVII i na początku XVIII. Wtedy to bezmyślnie „upiększano" język polski wyrazami łacińskimi, co nazywamy właśnie makaronizowaniem. Ale te czasy dawno minęły i praktyki te zostały jednoznacznie ocenione. My zaś powinniśmy dążyć do języka godnego cywilizacji końca wieku XX. Przypominam tylko, że najważniejszym kryterium poprawności językowej jest kryterium funkcjonalne — jak wykazała praska szkoła językoznawcza. I z tego trzeba wychodzić. Polskie nazwy miejscowe w polskich tekstach, w dodatku nazwy z terenu Śląska Cieszyńskiego, znane doskonale tutejszej ludności, nie prowadzą do dezorientacji. Funkcjonalność języka łączy się także z jego estetyką, a estetyka z jego jednorodnością. W tym kontekście chciałbym przypomnieć słowa profesora Doroszewskiego: „Nam nie powinno być wszystko jedno, jak będziemy mówili i pisali. Nie powinno nam być rzeczą obojętną, czy osiągniemy porozumienie z innymi za pomocą bezładnego bełkotu, czy też za pomocą mowy ukształconej, godnej członków zorganizowanego i ku jakimś celom zmierzającego społeczeństwa."

— Kto powinien wystąpić z inicjatywą w tej sprawie?

— Wydaje mi się, że sprawą tą powinien się między innymi zająć — jako że język jest fundamentalnym warunkiem istnienia społeczeństwa, dźwignią jego kultury i oświaty — także Zarząd Główny Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego. Ale również i inne instytucje w skali powiatu czy województwa mogłyby tutaj wiele zdziałać.

— Ciekawe, czy coś wreszcie drgnie w tej sprawie?

— Problem ten łączy się z zagadnieniem szerszym. Z zagadnieniem funkcjonowania języka polskiego na terenie narodowościowo mieszanym. Chodzi mianowicie o to, żeby zakres użycia języka polskiego nie ograniczał się tylko do szkół polskich, do rodzin czy działalności pezetkaowskiej, ale żeby był jak najszerszy, żeby obejmował wszystkie aspekty rzeczywistości, w której żyjemy. To tylko skrótowo powiedziane. Myślę, że sprawie tej poświęcamy w PZKO stosunkowo mało uwagi. A dialektyka jest prosta — jeżeli język nie rozwija się prawidłowo, rzutuje to i na procesy w społeczeństwie nim mówiącym. Dlatego poziom posługiwania się językiem ojczystym i zakres jego funkcjonowania powinny być przedmiotem naszej ogromnej troski. Także związkowej.

— Przejdźmy do innej twej domeny, do folkloru. Skąd twoje zamiłowanie do tej dziedziny?

— Stosunek do kultury ludowej, do tradycji kulturowej może się wywodzić z wielu źródeł. Jednym z nich jest sfera emocjonalna człowieka, która z kolei bierze swój początek w domu rodzinnym. Ja właśnie wyrastałem w atmosferze, która nacechowana była wielkim szacunkiem do tego, z czego się wywo-

dzimy, co nas określa i co kształtuje nasz dzień dzisiejszy i wyciska piętno na naszym dniu jutrzejszym. Żadne społeczeństwo nie może się logicznie i sensownie rozwijać bez korzeni i bez własnych dziejów. Na pustyni kulturalnej nigdy nie wyrosło żadne drzewo wielkiej kultury.

— Emocjonalny stosunek do folkloru to za mało, aby zostać dużej klasy naukowcem w tej dziedzinie.

— Miałem szczęście, że w swoim życiu napotkałem ludzi wyjątkowych, którzy cieszą się w światowej folklorystyce autorytetem najwyższym. Jednym z nich jest mój dawny i obecny opiekun, profesor Karel Horálek z Uniwersytetu Karola, drugim, który już, niestety, nie żyje, był światowej sławy uczony polski, prof. Julian Krzyżanowski. Obydwaj reprezentują w folklorystyce 20. wieku to największe. Kontakty z tymi uczonymi były dla mnie wielką inspiracją. Rozmowy z nimi były owocniejsze niż lektura wielu książek. To one kazały mi iść ciągle naprzód, i to ścieżkami nie zawsze wygodnymi.

— Kiedy zaangażowałeś się w pracach Sekcji Folklorystycznej Zarządu Głównego PZKO?

— Jestem przewodniczącym tej sekcji od samego jej początku, od roku 1965. Myślę, że ogół naszego społeczeństwa wie, co osiągnęła za tych dwadzieścia lat z okładem. Chciała i nadal chce uczynić z kultury ludowej ruch społeczny, coś, co może powiedzieć bardzo dużo naszemu współczesnemu człowiekowi nie tylko o wyjątkowej twórczości ludu Śląska Cieszyńskiego, ale co także może być dla niego inspiracją do bycia i działania w latach przyszłych. Znakiem, który sekcja nosi w swoim godle, jest społeczeństwo.

— Jakie zagadnienia macie obecnie na warsztacie?

— Najbliższą sprawą, którą chcemy urzeczywistnić, jest napisanie monografii Zagłębia Karwińskiego. Powinna to być monografia wszechstronna, która by uwzględniała najróżniejsze aspekty kultury ludowej, ale z punktu widzenia dynamicznego, rozwojowego i funkcjonalnego. Chcemy po prostu opisać, jak zachowuje się kultura ludowa na tym przemysłowym terenie w dzisiejszych warunkach. Sprawa zupełnie niezrozumiała. Na terenie najbardziej uprzemysłowionym kultura robotnicza jest prawie nieznana. I mało się robi, by ją poznać. Idziemy w tym kierunku. Zobaczymy, dokąd dojdziemy.

— Oknem wystawowym naszego folkloru jest Gorolski Święto. Podejmujecie kroki zmierzające do zmiany jego formuły z festynu ludowego we wszechstronną prezentację naszego dorobku w dziedzinie kultury ludowej. Jesteś zadowolony z przebiegu tych zmian?

— Niedawno powołana do życia rada programowa Gorolskiego Święta miała interesujące propozycje w tej sprawie, uzasadnione zresztą. Natomiast realizacja tych postulatów poniekąd różni się od założeń. Impreza ta, w moim przekonaniu, poza dostarczaniem zabawy i rozrywki powinna być przede wszystkim źródłem poznania naszej kultury, kultury Śląska Cieszyńskiego, która jest tam na razie w defensywie. To, co jest wokół niej, przeważa nad nią. Celem działania rady programowej jest więc doprowadzenie do zmiany stereotypu myślenia organizatorów o Gorolskim Święcie, tej największej imprezy na pezetkaowskim terenie.

— Poza oczywiście Festiwalem ...

— Poza Festiwalem, który nie wiem dlaczego zrezygnował ze sobotniego spotkania młodzieżowego. Gdyby takim myśleniem kierowali się na Święcie Gorolskim i w niewielu Kołach, to młodzieży pozostałyby spotkania w karczmach. Tak po prostu nie można. Bo jeżeli mówimy, że zależy nam na młodzieży, jeżeli proklamujemy, że z tą młodzieżą trzeba pracować, a jest to naszym oczywistym obowiązkiem, to nie wiem, dlaczego likwiduje się właśnie ten dzień, który był przeznaczony dla niej?

— Może z obawy przed ekscesami?

— Ten dzień mógł się bardziej czy mniej udawać w przeszłości, ale niepowodzenia nie mogą prowadzić do tego, żeby z tej formy pracy z młodzieżą rezygnować. Nigdy tak nie było i nie będzie, że przez odsuwanie problemów załatwią się same. Od dłuższego czasu

obserwuję niepokojące zjawisko: małą skuteczność oddziaływania naszego najwyższego organu na teren, który boryka się sam ze swoimi problemami. Zaczyna przeważać administracyjny model kontaktu z nim. Są okólniki, sprawozdania, natomiast żywego kontaktu i efektywnej pomocy jest coraz mniej. Teren potrzebuje działaczy i pracowników, zdolnych zmienić koncepcję pracy PZKO, która się mocno zużyła i stała się szablonową.

— W czym przyczyna?

— Odpowiedź na to pytanie jest trudna. Należałoby się przede wszystkim zastanowić nad sensownością działania. Bo jeżeli sprawozdania z działalności PZKO prezentowane na zebraniach plenarnych są rejestrem liczb, bez analizy, bez wnikania w to, co za tymi liczbami stoi, to do czego to prowadzi? Sprawna działalność musi się opierać na pracy koncepcyjnej, i to wybiegającej znacznie w przyszłość. Myślę, że jest małe rozeznanie, czego teren potrzebuje, zróżnicowany przecież teren. Komisja nauki, kiedy jeszcze istniała przy Zarządzie Głównym PZKO, opracowała elaborat, bardzo obszerny elaborat, który był analizą pracy związkowej. Obejmował on nie tylko analizę, ale również postulaty, propozycje, co trzeba robić, aby uniknąć błędów i niedociągnięć. Był rzeczywiście reprezentatywny. No i co? Po dzień dzisiejszy leży gdzieś głęboko w szufladzie zapomniany i niewykorzystany. Czyli nadal poruszamy się w kręgu stereotypów: tak robiło się przez dziesiątki lat, to dlaczegóż by teraz miało to być niedobre? Ale zapomina się o jednym, że współczesne społeczeństwo ma już inne wymagania, do których należy dostosować system pracy społeczno-kulturalnej PZKO. Ruch społeczny i twórczy zaczyna wchodzić w ślepą uliczkę na skutek braku rodzimych nowatorskich koncepcji, także organizacyjnych, oraz kontaktów. Ożywiła się zima i wiosna wyborem Najszykowniejszej, a finał był znakomity. Zmobilizował młodzież czymś nowym! Ale to jedyna licząca się innowacja. Zanikły mobilizujące teren pomysły, z których chciałbym tylko przypomnieć konkursy między kołami w najróżnieszych dziedzinach, Rok Kultury Ludowej 1981. Czekamy na decyzję, kiedy zrobić następny. Nie było już także świetnej młodzieżowej imprezy — przeglądu zespołów tanecznych w Kocobędzu, na którym tak znakomicie bawili się młodzi. Jeżeli nic się nie zmieni, uschniemy na stereotyp.

— Czego ci życzyć na przypadające 22 lipca „Abrahamowiny"?

— Przede wszystkim zdrowia i spokoju w pracy. I żeby ta praca pozwoliła lepiej poznać chlubne cieszyńskie dzieje, wypełnione wartościami fundamentalnymi, wśród których kultura, oświata i język — jako wyznaczniki twórczości, trwałości i ciągłości liczyły się najbardziej. Była tu też ogromna tolerancja i współpraca. Saint Exupéry kiedyś napisał: „Uważam za cywilizowany taki naród, który komponuje swoje tańce, chociaż taniec nie przynosi plonów ani nie zapełnia spichrzy. Podczas gdy nazywam prymitywnym taki naród, który ustawia na etażerkach przedmioty, choćby najbardziej wyrafinowane, ale zrodzone z cudzej pracy, nawet jeśli potrafi upajać się ich doskonałością". A my polegaliśmy zawsze na własnej pracy. I ta praca była cieszyńską wielkością. Oby zapładniała i przyszłość.

— No więc, niech ci się to wszystko spełni!

KAZIMIERZ SANTARIUS

PEZETKAOWCY INACZEJ

spotkanie 7.

CZY BĘDZIEMY PANA PACJENTAMI?

Czas biegnie tak szybko, że może się zdarzyć, że nie zauważysz jednej z pór roku; bywa to wówczas, gdy jest ona nie taka, jaka powinna być. Wtedy wiosna przechodzi nagle w jesień, zapominając trochę miejsca zostawić latu. Ale i my spieszymy się bezlitośnie, praca, zebrania, zakupy, dzieci i znowu poniedziałek, kiedy zaś przyjdzie wreszcie wymarzony urlop, leżymy na wczasowym łóżku i rozmyślamy wsłuchani w bębniący o szyby deszcz: „Czy jesteśmy jeszcze normalni?". Całoroczna szarpanina wyzwalała często okrzyki na temat wizji przyszłego miejsca leczenia naszych schorowanych nerwów. Podrażnienie, stresy, nerwice . . . Po prostu robota dla psychiatry.

— Kiedy człowiek pozna, że już przestaje być normalny? — zapytałam doktora psychiatrii karwińskiego szpitala Mieczysława Cieślę, od trzech lat specjalizującego się w psychiatrii dziecięcej.

— Po sobie sam człowiek tego nie pozna, to muszą zauważyć inni. Jeśli ktoś zaobserwuje, że jest jakiś nienormalny, to jeszcze z nim jest dobrze, to większością chodzi o nerwice i różne podobne stany reaktywne.

— To znaczy, że wasi pacjenci twierdzą, że są zdrowi?

— Psychotycy tak. Oni nie mają świadomości swojej choroby. Tymczasem neurotycy na odwrót: mają mnóstwo różnego rodzaju dolegliwości, bólów, lęków, czują się krańcowo chorzy, w odróżnieniu od psychotyków, którzy twierdzą, że są zdrowi.

— Jesteśmy znerwicowani, bo nie mamy nikogo, kto by nam pomógł. W niektórych krajach ludzie mają swoich psychologów, w Stanach pono nawet wypada mieć własne-

go psychologa, żeby nie musieć korzystać z porad psychiatry.

— To nie jest zupełnie tak, jak pani mówi. Mieć swojego psychologa to może mieć znaczenie dla kogoś, kto sam sobie ze swoimi problemami życiowymi nie może poradzić, kto odczuwa potrzebę zwierzenia się komuś . . . Może więc i u nas miałoby to swój sens, pacjenci mieliby się gdzie wygadać i nie musieliby z tym przychodzić do lekarza rejonowego, który właściwie nigdy nie ma czasu, a w poczekalni siedzi jeszcze trzydziestu pacjentów. Ale w taki sposób powstaniu tej choroby nie da się zaradzić, ona ma charakter endogenny. To jest już w danym człowieku i w pewnym czasie zacznie się rozwijać, choroba raptownie postępuje, czasami jest ograniczona, pacjent, jak się u nas mówi, „zwariuje", ale podleczy się i później jest już zupełnie normalny, nie ma nawrotów choroby. Zazwyczaj jednak stan ten trwa już całe życie, z mniejszym lub większym defektem w organizmie danej osoby.

— *Co zatem jest gorszą chorobą: nerwica czy psychoza?*

— Trudno wybrać. Neurotyk cierpi, chociaż czynności rozumowe, myślenie, intelekt funkcjonują normalnie. Jeżeli choroba nie jest jeszcze zbyt zaawansowana, człowiek taki może pracować, zarabiać na siebie. Ale nie ma radości z życia. Wydaje mu się, że jest ciężko chory, ma ciągłe bóle głowy, których nie może się pozbyć, ponieważ dolegliwości neurotyczne bywają chroniczne, trudne do wyleczenia. A psychotyk? On właściwie traci podstawę własnej psychiki, nie może odbierać rzeczywistości taką, jaka jest. Żyje w swoim własnym świecie, który wcale nie jest podobny do tego, w którym żyje naprawdę.

— *Jakie są tego powody?*

— Oj, żebyśmy to wiedzieli . . .

— *Czy choroby psychiczne rozwijają się stopniowo, popada się w nie na przestrzeni dłuższego okresu?*

— Różnie to bywa. Często bezpośrednim powodem jest obciążenie dziedziczne; w niektórych rodzinach choroby te występują częściej niż w innych. Ale to też nie jest reguła. Choroba może być spowodowana uszkodzeniem w czasie porodu, a zacznie się rozwijać dopiero w wieku późniejszym. Zauważono na przykład w wypadku jednojajecznych bliźniąt, że jeśli jedno cierpi na schizofrenię, drugie najczęściej także. Ale bywa również, że drugie jest pod tym względem zdrowe, więc prawa dziedziczności nie są tu wyłączne. Psychozy mogą powstać po zatruciach organizmu meskaliną, LSD i innymi narkotykami, ale jeśli organizm uwolni się od działania tych substancji, psychoza mija. Uważano, że psychozy spowodowane są jakimś czynnikiem, który tworzy się w organizmie człowieka i jest dla organizmu trujący, ale dotąd go nie wykryto. Przeprowadzane są liczne badania czynności mózgu, systemu neurotransmiterów, powiązań między ich zmniejszoną bądź zwiększoną czynnością z jednej strony, a występowaniem chorób ze strony drugiej. Ale nikt jeszcze jasno nie orzekł, na czym to polega. Żaden psychiatra nie stwierdzi: „Jeśli ty będziesz miał o tyle i tyle dopaniny lub acytelcholiny więcej w mózgu — to będziesz schizofrenikiem." Bo mózg jest najbardziej skomplikowaną rzeczą na świecie.

— *Można go leczyć lekarstwami?*

— W tej dziedzinie medycyny z lekarstwami jest jak wszędzie indziej. Jednym pomogą, innym nie. Na schizofrenię przepisujemy recepty na neuroleptyki, na depresję leki antydepresyjne, na nerwice środki uspokojające. Ale jak w żadnym dziale medycyny stuprocentowych wyników nie mamy, wręcz na odwrót sytuacja jest jeszcze bardziej skomplikowana, ponieważ właściwie niewiele wiemy o istocie choroby.

— *A wydawałoby się, że skoro choroba ta dotyczy zaburzeń, nazwijmy to potocznie „sfery duchowej" człowieka, leczenie proszkami jest niecelowe. Chory ze swoimi dolegliwościami mózgu, leczony jak każdy inny*

pacjent „materialnym" lekarstwem, wzbudza jednak wśród społeczeństwa o wiele więcej niezdrowej sensacji niż na przykład chory na dyski kręgowe. Wystarczy powiedzieć „Opawa"...

— W powiecie karwińskim nie mamy części łóżkowej, gdzie moglibyśmy hospitalizować nawet lżejsze wypadki. Słusznie pani zauważyła, że słysząc słowo „Opawa" od razu ludzie myślą: „No, z nim to już jest strasznie". A wcale tak nie jest. W opawskim szpitalu leczeni są na przykład neurotycy, czyli osoby absolutnie inteligentne, bez obciążeń psychicznych. A opinia społeczeństwa negatywnie oddziaływuje na naszych pacjentów. Gdyby znalazły się finanse, bo to zawsze kłopot, można byłoby w powiatowym szpitalu leczyć nerwice i stany graniczne między nerwicą i psychozą.

— Można powiedzieć, że tak samo wstydliwą chorobą, ukrywaną często przez najbliższą rodzinę pacjenta, jest uzależnienie od alkoholu. Te przypadki, niestety, również musicie odsyłać na hospitalizację do Opawy.

— Alkoholików jest u nas w powiecie stosunkowo dużo. (W okręgu północnomorawskim jest zarejestrowanych 30 tysięcy, liczba jest jednak niepełna a przez lekarza I. Sokola ze szpitala w Opawie nazwana „górą lodowca, którą widać" — przyp. OT.) Mój były szef, który przyszedł tu z Czech, wspominał, że miał kiedyś kilkadziesiąt takich pacjentów, a tu ma ich tysiące. A są i tacy, którzy już powinni się zacząć leczyć, ale nie czynią tego, bo uważają, że są zdrowi. A jak można kogoś leczyć, skoro on sam tego nie chce. Dopiero, kiedy ma już wielkie kłopoty w pracy, absencje, „ultimatum" partnera życiowego, który już tego dłużej nie może wytrzymać, przychodzi, czasami za późno.

— Pan specjalizuje się w psychiatrii dziecięcej. Jest pan cały tydzień w szpitalu, a we wtorki w przychodni w Hawierzowie-Szumbarku. Jacy są ci pana pacjenci?

— W karwińskim szpitalu jest oddział psychiatryczny, ambulatoryjny, zarówno dla dorosłych, jak i dla dzieci, jest ordynacja A-T (poradnia dla alkoholików i toksykomanów — przyp. OT). Jestem pediatrą ze specjalizacją dziecięcej psychiatrii. Praca na tym oddziale różni się bardzo od normalnej praktyki. Nie może być pośpiechu, na wszystko trzeba mieć dużo czasu, często trzeba dzieci z rodzicami zapraszać na badania kilkakrotnie, żeby dziecko się przyzwyczaiło, ośmieliło i chciało z lekarzem współpracować. Dzieci to zupełnie inni pacjenci niż dorośli. Na szczęście tych najcięższych psychoz jest u nich bardzo mało, w powiecie dziesięć, najwyżej dwadzieścia przypadków.

— Czy łatwo można poznać dziecko dotknięte tą chorobą?

— Pozna nawet laik. Dziecko takie dziwnie się zachowuje. W odróżnieniu od dorosłych, których w czasie tej choroby prześladują halucynacje, urojenia, bo schizofrenia jest rozkładem osobowości, zatratą zdolności do samodzielnej egzystencji... Do najczęstszych naszych pacjentów należą dzieci z lekkimi ograniczonymi uszkodzeniami mózgu, oligofremią, opóźnieniami rozwoju, nerwicami różnego rodzaju.

— Czy ma pan skalę porównawczą, dotyczącą wzrostu bądź spadku chorób nerwicowych u dzieci? Czy one częściej chorują na skutki naszego pośpiechu i wiecznego braku czasu?

— Niestety, nie mogę tego porównać, pracuję dopiero trzy lata w tej dziedzinie medycyny. Pacjentów wprawdzie przybywa, tak samo zresztą jak i na pozostałych oddziałach szpitalnych, ale to wcale nie musi oznaczać, że częściej chorują, po prostu jest większa możliwość leczenia. Dziś częściej niż dawniej osoby podejrzane o choroby psychiczne odsyła się do lekarzy-psychiatrów. Oni je badają i nierzadko diagnoza ta znajduje potwierdzenie.

— A jaki miał pan dzisiaj dzień w przychodni w Szumbarku?

— Przed południem przyjmuję zawsze nowe dzieci, na to potrzeba zawsze najwięcej cza-

su, wypisać kartę, anamnezę. Jak dobrze idzie, zejdzie na jednym pacjencie pół godziny. Rozmawiam z dzieckiem, wypytuję o różne rzeczy, które dotyczą i nie dotyczą problemu choroby. Muszę sobie wytworzyć obraz danej osobowości, by stwierdzić przyczynę choroby. Rozmawiam z rodzicami, bo małe dzieci nie zostałyby tu same. Ale zawsze najpierw staram się w czasie tego pierwszego kontaktu z dzieckiem być z nim sam, bez rodziców. Stwierdzam, czy może być samodzielne, powiedzieć coś samo. Niektóre są rozmowne nawet za bardzo, inne trzeba wzywać kilkakrotnie.

— Współpracuje tu pan z psychologiem. Czy można to tak rozumieć, że on „dostarcza" panu pacjentów?

— W żadnym wypadku. Badania psychologiczne są badaniami pomocniczymi, to tak jakby internista, chcąc zmierzyć zawartość cukru w moczu, posłał pacjenta na potrzebne badania. W dziecięcej psychiatrii ważne jest znać stan intelektu dziecka, zmierzenie IQ jest zadaniem psychologa, w ten sam sposób może stwierdzić, czy występują symptomy organicznego uszkodzenia mózgu. W niektórych testach można to stwierdzić bezbłędnie.

— A czy rodzice współpracują?

— Większością dziecko trafia do nas z tego powodu, że to rodziców powinno było się już dawno zbadać. Dziecko nie wytrzymuje tych różnych neurotycznych reakcji spowodowanych kłótniami i awanturami rodziców, pijaństwem, biciem. Z takimi rodzicami trudno się współpracuje i jak tu dziecku pomóc?

— A nie zawsze są to ludzie marginesu, są wśród nich na pewno i ci zalatani, nerwowi, wybuchowi, agresywni, „normalnie pijący, jak każdy", nie mający czasu inteligenci, po prostu zwyczajni mieszkańcy dwudziestowiecznej cywilizacji. Czy kiedy pan z nimi rozmawia, wie pan już z góry, że to pańscy przyszli pacjenci?

— O, nie tak zaraz! Od czasu, kiedy zacząłem interesować się psychiatrią, bardziej penetruję ludzi, obserwuję, mam o nich inne niż dotychczas sądy. Co to za osobowość? Przecież przeczytałem tomy książek, mam coraz większe wiadomości z literatury fachowej. Ale żeby od razu: „Pani będzie moim pacjentem?" — to nie! Ja jestem zwolennikiem szerszych norm normalności. Nie zawsze to, co wydaje się dziwne, musi być od razu nienormalne, chore.

— A samobójców uważa pan za chorych psychicznie? Bo przecież każdego niedoszłego samobójcę odsyła się u nas na badania psychiatryczne.

— To prawda, że odsyła. Może mamy już dosyć psychiatrów . . . Bywa, że osoby popełniają samobójstwa, głównie w stanie depresji, ale większość samobójstw czynią ludzie absolutnie zdrowi psychicznie. Ale i to nie jest znowu takie zupełnie jednoznaczne. Niektórzy uważają, że ten, kto jest zdrowy psychicznie, nie może popełnić samobójstwa. Ale my z punktu widzenia psychiatrii nie znajdujemy w nim nic chorobliwego. Powiedziałem, że mam szersze normy normalności, i dam pani przykład. Dla mnie nie ma nic chorobliwego w tym, że człowiek, który ma świadomość, że jest nieuleczalnie chory, sam zadaje sobie śmierć. To jest najwyżej tragiczne, ale można to zrozumieć. Bo większość przypadków, o których teraz mówimy, to są raczej swego rodzaju demonstracje, próby samobójstwa, które zazwyczaj nie wychodzą, ale czasami osoba ma to nieszczęście, że jej się to uda. A więc powtarzam, nie wszystko dziwne jest od razu nienormalne.

— W takim razie dziękuję panu . . . za rozmowę.

OTYLIA TOBOŁA

JUŻ WSZYSTKO JASNE

»NAJSZYKOWNIEJSZA«

TO EWA BRANNA

Tego jeszcze nie było! Wybory Miss PZKO, czyli „Najszykowniejszej" zgromadziły 9 maja w błędowickim Domu PZKO tłumy ludzi. Głównie młodzieży, ale w morzu głów widać było i czupryny szpakowate, i nobliwe trwałe ondulacje. Ciekawość była wielka, skoro do Błędowic zjechali goście nawet z odległych podgórskich miejscowości, była też grupka działaczek bogumińskiego Zespołu Kobiet.

Wygrzewając się na krześle tuż pod oświetlającym scenę reflektorem (innych wolnych miejsc już nie było) lub kręcąc się po gwarnych salach Domu PZKO wysłuchuję strzępków rozmów. Gorączkowo rozprawiają najbliżsi „szykownych", żartobliwie — koledzy obserwatorzy oraz ludzie zbliżeni do grona jurorów, nerwowo — spóźnialscy, którzy nawet pod reflektorem nie znaleźli już miejsca i byli skazani na miejsca stojące.

Rozmowy i krzątanina urywają się punktualnie o godz. 16. Zaczyna się z taką niecierpliwością oczekiwane „show". Siedzący na sali wyciągają szyje — byle nie przeoczyć niczego, co dziać się będzie na scenie, byle nie uronić jednego słowa konferansjera. (Kto poprowadzi imprezę? Jurek Möhwald? To dobrze — usłyszałam przedtem w kuluarach.) I było dobrze. Dowcip, lekkość, dużo zabawnych pomysłów, a do tego świetne tło muzyczne (pianista Piotr Mikeska i taśma magnetofonowa) — to wszystko sprawiło, że publiczność, sama nie wiedząc kiedy, dała się wciągnąć do zabawy. Na sali robiło się coraz cieplej, dosłownie i w przenośni. A najlepsze miało dopiero nadejść. Otóż i nadeszło: piętnaście pięknych dziewcząt wybranych na lokalnych eliminacjach „w terenie", gotowych teraz podbić błędowicką publiczność.

Dziewczyny prezentują się najpierw w strojach ludowych. W tym wcieleniu są uosobieniem wdzięku, prostoty, skromności. Renata, Renata nr 2, Dagmar, Beata, Paulina, Gabriela, Lucyna, Basia, Janka, Beata nr 2, Ewa, Dorota, Wanda, Felicja, Bronka. Wyszedłszy obronną ręką z pierwszej konkurencji utrzymanej w ludowym tonie (obieranie ziemniaka), dziewczyny mają okazję powiedzieć coś o sobie. Jerzy Möhwald usłużnie podsuwa mikrofon i . . . podchwytliwe pytania. Dziewczyny walczą — bardziej lub mniej skutecznie — z tremą. „Prezentuję strój cieszyński, bo jest mi najbliższy . . . W zespole błędowickim pracuję . . . tańczę w zespole pieśni i tańca „Olza" . . . za kilka dni będę zdawała maturę . . . „Czy mogłaby pani wymienić cztery dramaty Szekspira?" — pyta Jerzy Möhwald z miną pokerzys





fot. PIOTR WOJOCZEK







fot. PIOTR WOJOCZEK, OTTO SZLAUER

ty . . . — „Romeo i Julia, Romeo i Julia. . . " Cóż, trema. I dalej: „Zdaję maturę . . . tańczę w „Olzie" . . . jestem przewodniczką w „Sportturiście" . . . interesuję się poezją . . . prowadzę zespół taneczny w Nieborach . . . strój cieszyński nosiła moja babka . . ."

Wreszcie kandydatka z numerem 15 schodzi wśród oklasków ze sceny. Dla „szykownych" chwila wytchnienia. Po przerwie, którą wypełnia występ błędowickiej kapeli, dziewczyny prezentują się ponownie, tym razem w stroju wieczorowym. Jeszcze cieplej na sali. Mój sąsiad z prawej nie może zdecydować się pomiędzy numerem 4 a 7. Wreszcie opowiada się za siódemką. Dziewczyny tańczą na scenie w rytmie disco, a potem (kapitalny pomysł z wprowadzeniem na scenę grupy „gimnastyków") — zmysłowe, pełne ognia tango w stylu poniekąd dowolnym, ale niemniej czarującym.

I kolejny antrakt wypełniony spektaklem — pantomimą w wykonaniu Janusza Ondraszka z Wędryni. A potem na scenę wchodzą „szykowne" po raz trzeci już, tym razem w stroju dowolnym. Szum na sali, panowie wytężają wzrok, dziewczyny na widowni chłoną szczegóły strojów „szykownych". A jest na co patrzeć. Dominuje czerwień, czerń, ale są piękne kreacje w tonacji szarej, i bardzo kolorowe, i wzorzyste. Liczy się pomysł, efekt. Kandydatki do tytułu „Najszykowniejszej" sprawiają wrażenie spokojnych, widać czują, że finał już niedaleko. Uśmiechy nie schodzą z twarzy. Pełny luz, wdzięk, elegancja. Spojrzenia wielu par oczu przestają krępować.

I jeszcze jedna przerwa, a w niej — minirecital kwartetu dziewczęcego. Po przerwie — kulminacyjny punkt wieczoru. Wybory „Najszykowniejszej". Ale jeszcze zanim wszystko okaże się jasne, Jerzy Möhwald wprowadza na scenę gościa imprezy — „Miss Polonia 87", Renatę Fatla. Publiczność wita pannę Fatla burzą oklasków. Miss Polonia pochwaliła organizatorów imprezy oraz kandydatki na „Najszykowniejszą", które — jej zdaniem — są wspaniałe. Poniekąd rozczarowała zebrane na sali dziewczyny oświadczając, że nie stosuje żadnej specjalnej diety. Rozbawiła publiczność pytaniem, jak długo kandydatki przygotowywały się do występu. Gwarząc sobie przyjaźnie z konferensjerem błyszczała nie tylko urodą, ale i dowcipem.

A potem błyskały flesze, brzęczała kamera, nie milkły oklaski . . . „Miss Polonia 86" ukoronowała „Najszykowniejszą". Została nią Ewa Branna z Cz. Cieszyna. W pięknym stroju, z promiennym uśmiechem i znajomością — ku uciesze konferansjera — sześciu dramatów Szekspira. „Najszykowniejszej" ufundowało Towarzystwo Łączności z Polonią Zagraniczną „Polonia" w Warszawie miesięczny pobyt w Polsce. Drugie miejsce i nagrodę w postaci trzydniowego pobytu w Polsce zdobywa Beata Miarka z Nieborów, trzecie miejsce zajmuje Renata Mołdrzyk z Cz. Cieszyna. Renata Mołdrzyk zostaje zarazem „Miss Obiektywu". Swoją „Najszykowniejszą" wybiera także publiczność, uszczęśliwiając tym tytułem Beatę Roszak. I znowu błyski fleszów, kwiaty, gratulacje . . .

Z wolna opadają emocje wywołane wyborami i koronacją „Najszykowniejszej". Organizatorzy imprezy z działaczami Sekcji Życia Towarzyskiego i Sekcji Młodzieży Związkowej ZG PZKO wpisują na swoje konto ze wszech miar udany wieczór. Honorowi goście, wśród nich konsul Konsulatu Generalnego PRL w Ostrawie Stanisław Brzeziński, który przywiózł gospodarzom Domu PZKO dar od Towarzystwa „Polonia" w Warszawie, oraz wiceprezes ZG PZKO Roman Suchanek rozprostowują kości. Jury odpoczywa. Fotograficy mają pełne ręce roboty. Tak zwany ogół przygotowuje się do dyskoteki.

„Szykowna" dzieli się z przyjaciółką przedmaturalnymi kłopotami i martwi się, czy zdąży jeszcze przerobić co trzeba . . .

Do domu PZKO w Błędowicach z wolna powraca proza życia. Pozostaną wspomnienia i pamiątkowe fotografie.

HENRYKA BITTMAR

Zdjęcie na sąsiedniej stronie: „Najszykowniejsza" Ewa Branna (siedząca) oraz „Miss Obiektywu" — Renata Mołdrzyk w ujęciu plenerowym tuż przed finałem konkursu — jeszcze jako „kandydatki".



fot. PIOTR WOJOCZEK

ZE »ZBRODNIĄ I KARĄ« W ŚWIAT CZYLI CO SŁYCHAĆ U TULIPANA?

„Czuję się trochę zmieszany, kiedy dziennikarz zwraca się do mnie z pytaniami i zaczyna notować . . .“ — to wyznanie sprzed pięciu lat, które opublikował na łamach „Zwrotu“, przypomniałam Janowi Monczce w czasie spotkania w jego krakowskim mieszkaniu, a było to jeszcze przed emisją ostatniego odcinka serialu, w którym kreował rolę tytułową — Tulipana. Dziś nie czuje się skrępowany obecnością przedstawicieli prasy, obcowanie z dziennikarzami, nawet przed kamerą telewizyjną, stało się dla niego chlebem powszednim. Z satysfakcją stwierdziłam, a potwierdził to również mój rozmówca, że „Zwrot“ był pierwszym. Pierwszym, który na większą skalę, przed pięciu laty, zainteresował się Monczką — aktorem.

Urodził się w Karwinie, ale wkrótce rodzice przenieśli się do Hawierzowa i z tym miastem związany był do okresu krakowskich studiów w Wyższej Szkole Teatralnej im. L. Solskiego. Ukończył błędowicką podstawówkę, potem orłowskie gimnazjum. Już wtedy brał czynny udział w konkursach recytacji i niezapomnianych kursach reżysera i aktora w Koszarzyskach. Kiedy w r. 1980 zagrał w sztuce dyplomowej, którą było Szekspirowskie „Poskromienie złośnicy“ w reżyserii Anny Polony, otrzymał równocześnie dwie propozycje — od dyrektora Teatru Starego w Krakowie Jana Pawła Gawlika i od Jerzego Grzegorzewskiego, który wtedy był jeszcze w Teatrze Współczesnym we Wrocławiu. W tym samym roku podpisał umowę ze Sceną Polską Teatru Cieszyńskiego.

— Propozycja przejścia do dwu liczących się w Polsce zespołów była dla mnie ogromną satysfakcją, czułem się w ten sposób doceniony. Ale równocześnie czułem pewne moralne zobowiązanie wobec naszych rodaków, wobec Sceny Polskiej, która pomogła mi w uzyskaniu stypendium. Byłem tam zżyty z wszystkim i wszystkimi, nie wyobrażałem sobie wtedy nawet, żeby można było nie wrócić. Scena Polska spełniła moje oczekiwanie, że będę grał dużo. Takiej gwarancji gdzie indziej nie miałem. Zapytałem wtedy dyrektora Gawlika, czy gwarantuje mi wejście do teatru jakąś rolę, a on odpowiedział: Nie, mogę panu tylko zapewnić to, że będzie pan w jednym z najlepszych zespołów w Polsce.

Cztery sezony w Scenie Polskiej to ponad dwadzieścia kreacji aktorskich Jana Monczki. Rozpoczęła je rola Lisarda, służącego, w sztuce Calderona de la Barca „Księżniczka na opak wywrócona“.

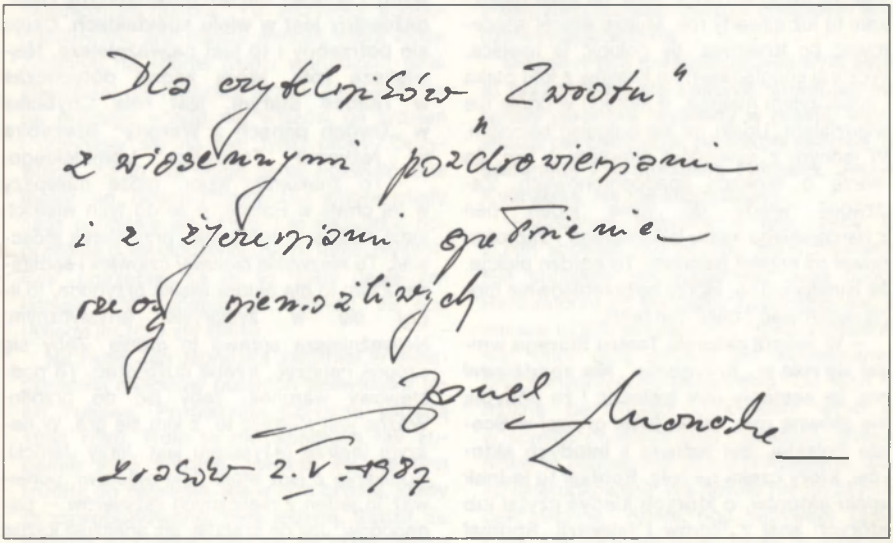
— Wszystkie te role były dla mnie jednakowo ważne, gdyby ich nie było, sądzę, że nie byłoby również tego filmu, który dał mi taką popularność. Na to, co aktor w danym momencie reprezentuje swoimi umiejętnościami, składają się wszystkie role, które zagrał przed jakimś istotnym momentem, stanowiącym przekroczenie jakiegoś progu. Za taki próg uważam to, że udało mi się zagrać tę rolę w serialu.

W ostatnim roku swojej bytności na naszym terenie Jan Monczka dzieli swój czas pomiędzy Teatr Cieszyński a krakowski Teatr Stary, z którym podpisał umowę w r. 1983. W Cz. Cieszynie zagrał jeszcze w dwu sztukach: w „Ptaku" J. Szaniawskiego oraz rolę Maćka w „Popiele i diamencie" J. Andrzejewskiego.

— Nie było mnie stać na taką ofiarność, żeby pozostać w Scenie Polskiej na zawsze, żeby poświęcić się tak, jak poświęcili się aktorzy starsi, państwo Bobkowie, Wanda Spinka, Karol Suszka, Kazimierz Siedlaczek, pani Cejnarowa, wszyscy ci, którzy wywodzą się z naszej ziemi i pozostali wierni temu teatrowi. Być może było w tym z mojej strony trochę tchórzostwa, ale myślę, że naturalnym pędem każdego młodego człowieka jest dążenie do zyskiwania nowych doświadczeń, do podnoszenia poprzeczki. Być może zawiodłem kogoś, że tam nie zostałem i że nie próbowałem podnosić tej poprzeczki w naszym teatrze. Myślę jednak, że raczej nie pozostawiłem po sobie niemiłego wrażenia wśród kolegów w Scenie, że traktowali moje odejście nie jako ucieczkę, tylko właśnie jako naturalną chęć poznania innych reżyserów, innych aktorów, jako rozszerzenie swoich umiejętności. Ludzie z branży zrozumieli to lepiej niż widzowie.

Monczka związał się więc z krakowskim Teatrem Starym oraz z Krakowem. Z Krakowem również rodzinnie. Żona Daria jest rodowitą krakowianką. Pobrali się w rok po studiach, w r. 1981, mają dwie córeczki, pięcioletnią Kasię i trzyletnią Anię. Żona, po studiach ekonomicznych, nie pracuje, zajmuje się domem i wychowaniem córek. Monczkowie zajmują duże mieszczańskie mieszkanie po rodzicach, a pani domu okazała się doskonałą gospodynią, częstując nas znakomitymi ciasteczkami domowej roboty. Jan lubi życie domowe. To ważne, zwłaszcza w jego zawodzie, mieć dokąd wracać.

— Na razie jeszcze nie mogę powiedzieć,





Jan Monczka z Krystyną Zachwatowicz, autorką scenografii do „Zbrodni i kary" w reżyserii jej męża, Andrzeja Wajdy

że Kraków to moje miasto. Nie czuję go jeszcze tak, jak swoich stron rodzinnych, do których i tak zawsze człowiek będzie wracał. Dopiero wchodzę w to miasto, nieraz może jeszcze czuję się obcy, choć na stałe mieszkam tu już czwarty rok. Muszę więcej spacerować po Krakowie, by polubić te miejsca. Wczoraj spoglądałem na Kraków z lotu ptaka i zobaczyłem miejsca, o których w ogóle nie wiedziałem. Udało mi się polecieć balonem. W jednym z wywiadów mówiłem o tym, że marzę o skokach spadochronowych. Zadzwonił wtedy do mnie jeden pan z harcerskiego klubu balonowego i zaproponował mi przelot balonem. To bardzo piękne, że istnieją ludzie, którzy bezinteresownie mogą realizować czyjeś marzenia.

— W zespół aktorski Teatru Starego wpisał się rolą w „Antygonie". Nie spodziewał się, że zostanie tam gwiazdą i że posypią się główne role, takie, jakie grywał w Scenie Polskiej. Był jednym z młodych aktorów, który czeka na rolę. Spotkał tu jednak wielu aktorów, o których kiedyś czytał lub których znał z filmów i telewizji. Spotkał wielu znakomitych reżyserów i to wszystko było wielkim doświadczeniem, bardzo cennym dla młodego aktora. Czuje się w pełni wykorzystany, nie siedzi na ławce rezerwowych, i chociaż nie gra głównych ról, zaangażowany jest w wielu spektaklach. Czuje się potrzebny i to jest najważniejsze. Największą rolą, którą zagrał dotychczas w Teatrze Starym, jest rola Chybcika w „Dwóch panach z Werony" Szekspira w reżyserii Tadeusza Łomnickiego.

— To znakomity aktor, może najlepszy w tej chwili w Polsce, o ile do tych wielkich ludzi można w ogóle taką przymiarkę stosować. To niezwykle ciekawy człowiek i spotkanie z nim to dla aktora wielka przygoda, to liczy się w życiorysie artystycznym. Najważniejsza sprawa to granie. Żeby się czegoś nauczyć, trzeba dużo grać. To podstawowy warunek, żeby iść do przodu. Ważne jest również to, z kim się gra. W naszym teatrze reżyserem jest Jerzy Jarocki. Spotkanie z nim wiele daje aktorowi, ponieważ to jeden z nielicznych reżyserów — pedagogów. Jak on pracuje, jak analizuje każde

słowo, nie ma kwestii, która byłaby dla aktora niezrozumiała . . . Andrzej Wajda jest innego rodzaju reżyserem. Praca u niego wymaga większej samodzielności, może dlatego lubi pracować z aktorami dobrze przez siebie poznanymi. Udało mi się u niego zagrać dwa razy, raz w „Antygonie", drugi raz trochę większą rolę w „Zbrodni i karze" Dostojewskiego.

Ze „Zbrodnią i karą" w reżyserii Andrzeja Wajdy oraz ze spektaklem „Życie jest snem" Calderona w reżyserii Jerzego Jarockiego Jan Monczka występował w kilku państwach Europy, w Hiszpanii, Niemczech Zachodnich, Berlinie Zachodnim, Anglii, we Włoszech. Byli także w Nowym Jorku, a w ostatnich dniach maja Teatr Stary ze „Zbrodnią i karą" wyjechał do Izraela. Wiele grają również w innych miastach Polski. Specyficzny klimat, który wyczuwa się w tym teatrze, sprzyja rozwojowi talentu aktora. Choć nie jest to może najświetniejszy okres działalności tego teatru, jak za czasów Konrada Swinarskiego, to jednak czas ten zaciążył na zespole.

— Teatr Stary zawsze imponował mi pewnym luksusem, na który można sobie tylko tam pozwolić. Luksusem czasu, luksusem psychicznym aktora. Tu wszystko podporządkowane jest rzeczy wielkiej, która może zaistnieć na scenie dzięki warunkom, jakie stworzono dla realizacji sztuki. Zamykało się na przykład scenę dla widzów na tydzień i odbywały się na niej tylko próby. Oczywiście, na to nie mogą sobie pozwolić inne teatry, np. Scena Polska. Dla aktora wtedy czas przestaje się liczyć. I te wszystkie poprzednie doświadczenia, może mniej błyskotliwe, potrzebne są po to, żeby nagle zaistniało coś wspaniałego. Wierzę, że coś takiego jeszcze się stanie.

Na razie Jan Monczka zaistniał w świadomości milionów polskich telewidzów jako Tulipan. Propozycja przyszła wiosną 1985 roku. Rola ta nie spełniała tak zupełnie jego ambicji, uważał, że nie jest trudna do zagrania, ale w tym czasie, kiedy ją zaproponowano, była jedyną. Sądził, że spełnia wszystkie warunki na przełamanie anonimowości. Aktor szuka swojego spełnienia również poprzez dążenie do popularności. Rola w tym serialu przyniosła mu popularność większą niż np. role w trzech filmach fabularnych.

— Udało mi się przejść pomyślnie przez zdjęcia próbne i zostałem zauważony może właśnie dlatego, że miałem już jakieś doświadczenia i nauczyłem się nie podlegać emocjom. Przede wszystkim jednak nie chciałem zagrać tego za wszelkę cenę. Oczywiście, aktor chce zagrać, ale nauczyłem się podchodzić do tego z pewnym dystansem. Zdjęcia trwały pół roku od sierpnia 1985 do lutego 1986, a prace nad serialem ukończono latem 1986 roku. Serial przynosi zawsze pewne niebezpieczeństwo, że widzowie i reżyserzy zapamiętają aktora właśnie w tej jednej a nie innej roli. Praca nad Tulipanem dała mi wielkie doświadczenia w znalezieniu się przed kamerą, która przestała mi przeszkadzać, przestali mi przeszkadzać ludzie, którzy kręcą się naokoło. Na początku trafiła mi się duża rzecz, ale nie wiadomo, czy to nie koniec. Potem była kolejna propozycja filmowa, na jesień ubiegłego roku, ale wtedy byłem mocno zaangażowany w teatrze, nie dało się pogodzić terminów, więc musiałem z niej zrezygnować. Bardzo chciałbym jeszcze wystąpić w filmie.

Do roli w tym sześćcioodcinkowym serialu przygotował się solidnie, studiując materiały pisemne, wywiady w prasie, wypowiedzi psychologów, protokoły sądowe. Na spotkanie z prototypem Tulipana, Jerzym Kalibabką, się nie zdecydował.

— Myślałem najpierw o tym, żeby się z nim spotkać, ale później zrezygnowałem. Nie chciałem się sugerować jego osobą. Realizatorzy od początku zastrzegali się, że nie jest to film biograficzny, i rzeczywiście nie jest, choć gros sytuacji jest inspirowanych przez autentyczne wydarzenia. Od tego nie można się odciąć. Usiłowałem wżyć się w sposób myślenia tego człowieka. Niewątpliwie to osobowość dosyć prymitywna, wąsko ukierunkowana. Na pewno nie myśli perspektywicznie, działa pod wpływem chwili, i tak starałem się to w filmie przedstawić.

Wprawdzie filmowe przygody Jurka Tulipana nie wszystkich telewidzów wprawiły w zachwyt, nie brakowało wśród nich takich, co zgorszeni byli samym tematem — półświatek oraz naiwne panienki i jeszcze bardziej naiwne dojrzałe kobiety, lecz samo aktorstwo Jana Monczki przyjmowane było bardzo pozytywnie.

— Ze strony moich kolegów w teatrze spotyka mnie bardzo pozytywna reakcja i wierzę, że tak myślą naprawdę. Można dyskutować na temat ogólnego poziomu tego serialu, ale gdy rozmawiamy na temat mojej roli, to są nastawieni rzeczywiście bardzo życzliwie. Może nawet w tym wszystkim umiałem się znaleźć. Tak samo życzliwie przyjmuje serial moja żona, stoi po mojej stronie i przeżywa to wszystko równie mocno jak ja. Jest bardzo krytyczna, rozmawiamy raczej o rzeczach dotyczących mojej gry, a nie o rzeczach, które może nurtują ludzi, jak żona może oglądać swojego męża w tak niedwuznacznych sytuacjach na planie filmowym. Jest po prostu wyrozumiała i ma świadomość, że jest to taki zawód, kiedy trzeba nieraz traktować siebie instrumentalnie. Co do kobiet, to nie sądzę, by było z nimi aż tak źle. Jednak pewien stopień naiwności wśród młodych dziewcząt, nastolatek — takich dyskotekowych, usprawiedliwia poniekąd sytuacje z filmu. Na pewno z powodzeniem osoby podobne do Tulipana z tego w tej chwili w Polsce korzystają.

Już recenzenci przedstawień, w których Monczka grał w Scenie Polskiej, zwracali uwagę na jego doskonałą sprawność fizyczną. W roli Tulipana aktor, oczywiście, wyręczał się kaskaderami, bo niektóre sytuacje były zbyt ryzykowe, by wystawiać na szwank zdrowie i życie odtwórcy głównej roli. Np. po pierwszej ucieczce Tulipana z ośrodka zdrowia skok do wody wykonuje kaskader. Za to skoku z motorówki na pełnym morzu w 1. odcinku dokonuje sam Monczka. Aktora, zwłaszcza młodego, ciągnie wykonywanie tak niebezpiecznych i brawurowych rzeczy samodzielnie. Jan Monczka dba o swoją kondycję fizyczną. W dni, kiedy wieczorem gra w teatrze, całą godzinę spędza na treningach w hali krakowskiej „Wisły". Do teatru przychodzi na godzinę przed spektaklem, żeby się rozgrzać. Rola w najnowszej sztuce „Dwóch panach z Werony" wymagała ćwiczeń z zakresu akrobatyki i żonglerki.

Żegnając się z Tulipanem chciałam wyjaśnić sprawę, która wzbudziła u nas sporo kontrowersji. Była to wypowiedź pana Jana w telewizyjnej „Antenie" po nadaniu pierwszego odcinka serialu, gdzie wzmiankując o tym, że wyjechał po studiach do Teatru Cieszyńskiego, gdzie grał w jego Scenie Polskiej, nie wspomniał o tym, że właściwie wrócił do swoich rodzinnych stron. Odpowiedź jest chyba szczera:

— Ja zdecydowałem się na krok poważniejszy, przeniosłem się na stałe do Polski. Rzeczywiście dotarły do mnie głosy dotkniętych tym, że nie wspomniałem o tym, że tam się urodziłem, o czym mówię zawsze, ilekroć jestem o to pytany. Wcale się nie wypieram swojego pochodzenia i mówię o tym bez żadnych kompleksów. Sam jestem patriotą lokalnym, lecz te pretensje uważam za przesadzone. Nie chciałbym, żeby rodacy czuli się obrażeni, że akurat wtedy tego nie powiedziałem, chociaż była może po temu okazja. Proszę wytłumaczyć to czytelnikom „Zwrotu", których serdecznie pozdrawiam.

A więc do zobaczenia na deskach Sceny Polskiej.

— . . . może kiedyś, gościnnie.

MARIA GRZEGORZ

NADREŃSKA MOZAIKA

MIASTO NAD PEGNITZ

Liczne rzesze ludzi kierują swe kroki za wiekowe, wieńczące wzgórze mury Norymberskiego zamczyska, wywyższonego na siedzibę cesarzy rzymskich narodu niemieckiego przez wojowniczego, rudobrodego Fryderyka Barbarossę. Siwowłosi staruszkowie drepczą dzielnie pod górę. Maluchy podskakują rytmicznie w wózkach dziecięcych, pchanych z trudem przez rodziców po nierównościach kocich łbów zamkowych dziedzińców. Te trudy sowicie wynagrodzi wspaniały widok na gęstwinę spadzistych dachów norymberskiej Starówki. Rozczłonkowaną w detalu, lecz jednolitą w swym ogólnym wyrazie panoramę miasta urozmaicają pionowe akcenty szpiczastych wież gotyckich kościołów św. Sebalda, św. Wawrzyńca, Frauenkirche.

Pod łukami ponad rzeką Pegnitz zbudowanego historycznego szpitala św. Ducha pływają liczne stada kaczek, oczekując na pokarm rzucany im przez przechodniów i turystów. Wysokie, spadziste, czerwoną dachówką pokryte płaszczyzny dachów tego historycznego budynku są urozmaicone w kilku piętrach nad sobą usytuowanymi oknami. Z parapetów okien zwisają kolorowe, białe i czerwone pelargonie, tak typowe dla niemieckiego krajobrazu. Całość odbija się w leniwo płynącej wodzie. Ten fragment Norymbergi trochę przypomina podobną scenerię z nadwełtawskiej stolicy — zaułek na Kampie.

Stara, gotycko-renesansowa, otoczona barwnymi murami norymberska Starówka rozpadła się w gruzy i popiół pod bombami aliantów w trakcie drugiej wojny światowej. Średniowieczne kamienice odbudowano, zachowując zasadniczy układ ulic oraz zarysy brył poszczególnych budynków. Zrezygnowano z wiernego odtwarzania pierwotnych szczegółów i detali. Tylko nieliczne obiekty, które wyszły w miarę obronną ręką z wojennej pożogi, odbudowano w ich pierwotnym, wiernym pierwowzo-



Norymberga — Dürerhaus — dom rodzinny A. Dürera *rys. TADEUSZ WRATNY*

rowi kształcie. Na licznych kamienicach widnieją tabliczki upamiętniające ich historię z uwzględnieniem danych o sławnych osobistościach związanych z nimi. Z większości tabliczek można wyczytać, iż pierwotny dom został zburzony podczas nalotów w latach 1943—1945. Natomiast niełatwo można odnaleźć gmach, gdzie sprawiedliwość dziejowa rozprawiła się z butnymi przywódcami III Rzeszy. Nawet w przewodniku z trudem można odszukać miejsce, gdzie toczył się Proces Norymberski.

Kiedy ciekawski turysta, chcący uwiecznić na zdjęciu zachowane gotyckie formy murów warownych i wież obronnych, zapuści się niebacznie w zaułek Frauentormauer, to uwaga jego szybko skieruje się na coś innego. Bramy kamieniczek, okna są gęsto „zaludnione" naturalnymi czy też utlenionymi blondynkami. Panie o jednoznacznej, szczycącej się mianem najstarszej profesji świata, wystawiają swe obfite, rubensowskie wdzięki na widok publiczny, kusząc przechodniów niedwuznacznymi gestami czy też okrzykami. Nie wszystkie jednak przejawiają zainteresowanie potencjonalnymi klientami. Najspokojniej w świecie szydełkują, robią na drutach, czytają książki — udając, iż nic innego na świecie ich nie interesuje. W otaczającym plenerze można dostrzec gdzieniegdzie dyskretnie rozmieszczone muskularne typy. Niedbale oparci o zabytkowe mury, z rękami w kieszeniach, z nieodzownym papierosem w kątach warg, bacznym okiem śledzą aktywność podopiecznych panienek, okiem szacują zawartość portfeli ewentualnych klientów — w ogóle panują nad sytuacją. W takich okolicznościach instynkt samozachowawczy doradza nieomylnie pozostawienie aparatu fotograficznego w futerale i zrezygnowanie z udanego ujęcia niewątpliwie fotogenicznych gotyckich murów i wież obronnych przy Frauentormauer.

Wąska uliczka pnie się stromo w górę pod warowne mury grodziska, którego ciężka bryła góruje nad miastem. Typowo niemiecka, z pruskiego muru zbudowana narożna kamienica zaprasza do swego cienistego wnętrza. Szwabachem wypisany szyld głosi, iż znajduje się tutaj gospoda, w której chyba często przesiadywał przy piwie, przy winie sam mistrz Albrecht Dürer. Z nazwiskiem tego wybitnego artysty nierozwiązalnie łączy się narożny dom przy murach zamkowych, w którym znajduje się obecnie muzeum poświęcone jego osobie. Nazwisko tego najwybitniejszego przedstawiciela początków renesansu na północ od Alp jeszcze kilka razy pojawia się w nazewnictwie ulic, placów czy domów miasta. O ile z nazwiskiem Albrechta Dürera można się tutaj spotkać niemal na każdym kroku, to nazwisko Wita Stwosza, który spędził tutaj chyba połowę swego życia, wymienia się raczej tylko w związku z rzeźbą Zwiastowanie Aniołów, zawieszoną w nawie kościoła św. Wawrzyńca. Przy okazji można przypomnieć, że Niemcom nie w smak był fakt, iż Wit Stwosz wyczarował w drewnie swe najwspanialsze, najbardziej dojrzałe i znane dzieło — słynny ołtarz Mariacki nie tutaj nad Pegnitz, lecz w nadwiślańskim Krakowie. Hitlerowcy chcąc naprawić ten „błąd historii" zrabowali w latach okupacji słynny ołtarz krakowski i ukryli go w lochach norymberskiego zamczyska, chcąc go po wygranej przez nich wojnie na stałe instalować w którymś z norymberskich kościołów. Lecz tym razem sprawiedliwość dziejowa wywiązała się bez zarzutu ze swego zadania, przekreśliła te szaleńcze plany i ołtarz Wita Stwosza znów cieszy oczy podziwiających go w miejscu swego „urodzenia" — w podwawelskim grodzie.

TADEUSZ WRATNY

KARWIŃSKA GLOSA

W związku z FESTIWALEM PZKO w Karwinie Galeria im. J. Manesa przy tamtejszym Miejskim Domu Kultury zorganizowała kolejną wystawę plastyków Sekcji Literacko-Artystycznej, zaś Oddział Literatur Narodowych Biblioteki Powiatowej wystawę fotografików SLA. Przy okazji wernisaży, a w ramach obchodów 40-lecia SLA (i 50-lecia ŚZLA), wspomniano polski wkład w kształtowanie obecnego prężnego i dynamicznego środowiska karwińskiego utrzymującego żywe kontakty na zewnątrz.

Otóż zauważalny ruch plastyczny na lewym brzegu Olzy związał się z pierwszymi latami gimnazjum orłowskiego, z okresem tuż przed- i powojennym; w sierpniu przyszłego roku minie 65. rocznica prawdopodobnie pierwszej ówczesnej wystawy malarskiej na wspomnianym terenie, zorganizowanej w gimnazjum przez studenta krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, Gustawa Fierlę, i przez jego przyjaciela, nauczyciela Karola Piegzę. Mówimy „prawdopodobnie", ponieważ według Vladimíra Hýla (Přehled výtvarně uměleckých výstav na Ostravsku, Opavsku a Těšínsku /v letech 1920—1949/ — Opava 1961) rok wcześniej, w sierpniu 1922, miała się odbyć wystawa ostrawskiego „Klubu umělců" w czeskiej szkole w Jabłonkowie; jednakże, jak dotąd, nikt tutaj nie słyszał o podobnej wystawie — może tylko zamierzonej lub odbytej w zamkniętym gronie.

Na mapce wystaw międzywojennych najczęściej występują Orłowa i Czeski Cieszyn, niemniej już w r. 1925 w Domu Gwarectwa w Karwinie zorganizowano — bodaj pierwszą tego rodzaju — wystawę czesko-polsko-niemiecką; z ramienia Polaków Fierla wystawił 12, Piegza 10 obrazów, czyli ekspozycja to była pokaźna . . . O jaki to wówczas, że tak powiemy, flirt chodziło, trudno dzisiaj dociekać, inicjatywa wyszła najpewniej ze strony pańskiego popleczника, dyrektora kopalń laryszowskich, Zajíčka; obydwaj nasi plastycy informowali potem z wesołą drwiną, że dyr. Zajíček okazał się później defraudantem na niekorzyść swego feudalno-kapitalistycznego chlebodawcy. W tym samym roku wystawiał w Karwinie indywidualnie Fierla, z jego notatek wynika, że na zamku. To wszak dawne dzieje, dzisiaj już całkiem z innego świata . . .

Jeszcze wcześniej, tuż po pierwszej wojnie, Fierla związał się przejściowo z Karwiną; najpierw uczył Na Granicach, odbywał też służbę wojskową we Frysztacie. W swoim „Sprawozdaniu z działalności Kierownika Muzeum" (Macierzy Szkolnej — Sekcji Muzealnej) z roku 1938 mówi dosłownie: „Podczas mojego pobytu we Frysztacie w r. 1919 (w służbie wojskowej) w wolnych od zajęć chwilach przeszukałem zabytki dawnego Frysztatu, gdzie m. in. znalazłem wartościowy dokument z XVI w. pisany na pergaminie (chodziło o postanowienia cechowe księcia frysztackiego Fryderyka Kazimierza z r. 1569 — WS) i odrysowałem tamtejsze zabytki budownictwa z zamiarem pokazania ich na wystawie malarskiej, którą też urządziłem w czasie od 19 — 16. 8. 1923". Oglądałem jeszcze w domu Fierli na orłowskich Obrokach ciekawe rysunki konstrukcji belkowych wieży frysztackiego kościoła, bodaj i dzwonu . . . Odnoszę wrażenie, że Fierla pracę tę następnie wznawiał dla krakowskiej akademii podczas swoich studiów.

W tamtym czasie w Rajkowej i w którejś z dalszych kolonii karwińskich gonili już za piłką albo zwykłą szmacianką i przypatrywali się życiu górniczemu synowie galicyjskich imigrantów Świder i Wielgus, przyszli plastycy, którzy wypowiedzieli wiele zdecydowanych zdań o mieście i o jego ludziach. J. Wielgus zatrzymał się po studiach w Pradze, zaś Fr. Świder pozostał wierny górniczemu miastu i wrósł w nie w sensie dosłownym, losowym — i towarzyszy mu w jego odchodzeniu w krajobrazy rzeczywiste i nierzeczywiste; — najpewniej dla jego śląskich i proletarskich treści, których nie sposób się wyzbyć . . .

Karwiniakiem był także piekarz z zawodu, utalentowany uczeń Świdrowy — Rudolf

Żebrok. Zaś z Suchej Górnej doszlusował do karwińsko-frysztackich pejzaży specyficzny talent Dominika Figurnego — też osobny rozdział w ewentualnej księdze karwińskiej. Później doszedł do owego pokolenia Władysław Pasz, z młodszych architekt Tadeusz Wratny.

Pierwszą czeskocieszyńską wystawę SLA powtórzono w karwińskim Gwarectwie w dniach 16 — 27. 5. 1948. W listopadzie 1951 r. z kolei powtórzono tutaj wystawę bogumińską; zaznaczyła ona współpracę SLA z amatorskim kółkiem huty trzynieckiej oraz pokazała także prace niektórych czeskich kolegów. Do kolejnych internacjonalistycznych inicjatyw karwińskich należała ważna wystawa „Výtvarníci našeho kraje" w dniach 24. 9. — 8. 10. 1961 w Domu Oświaty. Swoje prace pokazało wówczas 18 plastyków okręgu ostrawskiego, w tym 9 Polaków.

Wraz z kurczeniem się możliwości lokalowych w Karwinie 2 poczęła wzrastać rola Frysztatu, gdzie rozpoczęła działalność grupa młodych „Parasol". Bodaj w roku 1966 starsi malarze, jak Baran, Świder, Figurny, Żebrok, ale także orłowski Fierla, podjęli myśl młodych z owej grupy skupiającej się wokół zacnej Sali Wystaw w Frysztacie i postawili na nową Karwinę jako na wspólną okazję, na rozbudzenie jej zainteresowań kutluralnych. Trudno tutaj wyliczyć te wszystkie wystawy, które przywołały do Karwiny miłośników sztuki z całego regionu. Młodsi plastycy SLA w tym czasie poczęli zadzierzgać przyjaźnie wokół pracowni plastycznej Miejskiego Domu Kultury. Oslizlok, Taszek, Kodeš, Jančar — i dalsze nazwiska, które stanęły u początków cieszącej się obecnie znacznym wzięciem Galerii im. J. Manesa. W ostatnich latach, pomimo istnienia galerii, Karwina nadal poszerza swoje możliwości wystawiennicze — czy to będzie zacna inicjatywa wspomnianego już Oddziału Literatur Narodowych Biblioteki Powiatowej, względnie wystawy w mini-kawiarni kina „Centrum", a nawet pokazy w Domu PZKO we Frysztacie . . . Wznawiane są wystawy plastyków-karwiniaków, w zeszłym roku podjęto kolejną inicjatywę: 1. Karwiński Plener Twórczości Zaangażowanej. W tym wszystkim spotkamy także SLA-owców starszych i młodszych, wśród których pojawiają się nowe nazwiska związane z miastem: Józef Kneis, Halina Szkopek . . .

Osobno należałoby prześledzić karwińskie odniesienia wśród fotografików, filmowców, literatów — przy jakiejś przyszłej okazji.

WS



fot. TADEUSZ WRATNY

WŁADYSŁAW SIKORA

HRYCEK

Jura Jasz spędzał z młodym Hryckiem kierdel do koszora. Pies — owczarek ujadał seriami zaganiając niesforne barany do owiec, a baczów wilczur pobiegł do szałasu i nagle strzygąc uszami szczeknął pojedynczo w stronę bucznika nad łąką. Bacza Bachlet wstał od gielaty:

— Kisz piekli . . . — przyszli mu na myśl niedawni zbójnicy, wziął zza belki pistolet i wsadził go pod pazuchę.

— Muras, bier! — pobudził psa. I Muras pobiegł na ukos przez łąkę i zatrzymawszy się pod bucznikiem zamerdał ogonem. Z lasu wyszło dwóch ludzi: uherski wojak i śląski góral. Bacza uspokojony domyślił się w góralu sąsiada z Przelaczy, Jurka Kluza — przed niedawnem czmychnął on na węgierską stronę biorąc poważnie szeptaniny o zagrożeniu ze strony Cieszyna i całą tę zawieruchę wolności i stawiania na nowo świata pod lasami. — No to sie zaczyno — powiedział do siebie Bachlet.

Owczarze pobiegli chyłkiem do szałasu, lecz bacza zatrzymał ich skinieniem.

— Honwedzi . . . Bedzie bitka z cesarskimi — powiedział do Jasza — co to mówili, że Uhry się ruszają . . .

— Jak bedzie trza, dacie, baczo, pistolkę? — dyszał Hrycek.

— Abyś puścił w gacie jak strzeli? — Jasz stał się nerwowy i podrzucił ciupażkę chwytając ją za cieńszy koniec; drażnił go każdy mundur, poczuł chwianie w kolanach i ucisk w dołku; odkąd się wyrwał z trenczyńskiej szyrowni, a będzie temu lat ze trzydzieści, nie

schodził na doły, gdyż powietrze na dołach mu nie świadczy; dopiero w tym roku poszedł ku Frydkowi, kiedy nawet tutaj nad Sałajką posłyszano, że biydacz po Beskidach frydeckich się zwołuje . . .

Kluzek schodził przodem i odwracał się do Madziara wskazując ręką dolinę Łomnej oraz w kierunku Połomu i Mostów.

— Witejcie, ujec. A nie kręcą się tam jacy pod Jelitowem? Na Sałajce cicho?

— Ale . . . byli tu z chlebym i ze solą, nic takigo nie mówili. Leda że nic dobrego sie nie gotuje i lepi siedzieć bliży lasu . . . ?

Idąc za wzrokiem Bachleta, Kluzek wskazał na wąsatego, chudego lecz gibkiego Honweda:

— Klapka, kapitan huzarów Kossutha — powiedział, a następnie Madziarowi przedstawił baczę oraz spokojnego już Jasza z Hryckiem.

— Regiment siedzi za buczkami.

Na zadnim sałaszu siedziano przy ogniskach. Młody Hrycek wsparł się dłońmi i brodą na tyninach i przypatrywał się mundurom Madziarów, paradnie wyszywanym srebrem i złotem bluzom i galatom huzarskim. Szamerunkom, galonom? — czort wie, jak to się wszystko nazywa w mieszczańskim języku, wolał jednak nie pytać, aby go znowu nie wyśmiano, podejrzewał zresztą, że jeśli się pyta niewiedzących, oni wtedy dopiero wydrwiwają, zasłaniając w ten sposób swoją niewiedzę. Hrycek był zawsze ciekaw odległego świata, owych dolin ścielących się płasko za Cieszynem albo gdzieś tam z drugiej strony nad Wagiem, byłby szedł i szedł, byłby łaził, przypatrywał się ludziom i słuchał ich dziwnych języków, lecz owczarz z Wyrchłomnej należał przecież do sałasza, do owiec i buczków wpierających się mocno w spadzisty grunt nad górskimi łączkami. Hrycek nie był rad temu, że bez końca uważają go za młodzieniaszka, a on przecież już niejedno pojął ze spraw dla dorosłych i ckniło mu się do . . . — sam nie wiedział, do czego mu się ckniło, zadrościł wszak starszym ich dorosłego zdania, mądrego spojrzenia, któremu słowa nie potrzebne, a jedynie ruch brwi albo warg, zwyczajny grymas lub najzwyklejsze skinienie powiek. Muras kręcił się koło niego domagając się pogłaskania i młodzieńczej swawoli, lecz chłopak odtrącił psa kolanem i chłonął świecące przy ognisku postacie huzarów, połyski metalowych guzów i glansowanych cholew.

— Magyar voyok, magyar, magyarnak születtem . . . — zaintonował łykowity wojak, a krąg przy ognisku pochwycił melodię. „Maďar som ja, Maďar, maďarského rodu . . . " — Hrycek znał pieśń ze słowacka, odkąd Kluz, wracając z szabru, począł przynosić z tabaką węgierskie nowiny.

— Szep! — powiedział owczarz, kiedy już skończyli. — Pięknie! — powiedział i Madziarzy szukając oczami głosu w mroku zapraszali go

gestem do ogniska.

I zgadali się przywierając ciasno do ognisk na dnie nocy.

— Był niegdyś taki Madziar w Cieszynie. Nie ten, co to się mocował z silnym Kadłubcem o miech bobu i szpyrki, a inszy — uśmiechnął się bacza Bachlet — mówili, tysiąc guldenów zebrał Kalchberg u panów i mieszczan, no i taką tróhełkę na nogach przywiózł z Wiednia — fortepiano jakoweś z biołymi i czornymi klapkami do grania. — Madziar Klapka podniósł słowackie oczy, lecz Jurek uspokoił go skinieniem. — Za mocka tych guldenów ten Madziar wiele dni groł na zamku w Cieszynie. A to było jeszcze przed głodnymi rokami, jak sie jeszcze na popisy wałaskie na zamek chodziło i podle starego obyczaju trzy dni i dwie noce z urzędnikami jadło i piło, tak że sie wracało bez piniążka grapami . . . I tóż ten Madziar grał, a wojewoda z wałachami . . . ; to my tak stoli pod oknem i posłóchali tego granio. I tóż jakby potóczek lecioł i lecioł ruńtem i harwosił do świata góry i lasy, abo tamtą pusztę madziarską . . . Liszt mu mówili, tymu Madziarowi.

Klapka się ocknął znienacka:

— Liszt? Ferenc Liszt?

— A Liszt — zaniepokoił się Bachlet — feszak Madziar i śmieszek okruteczny, jak za starych dobrych czasów! — i zauważywszy uroczystą dumę w oczach Klapki, mówił znowu o owym graniu i graniu, które go wtedy tyle zajęło.

— Ale o tych pónczochach . . . Jak ten Liszt był w Cieszynie, tóż wielki jarmark tam zrobili; tam ciężko sie było przecisnąć tymi ulicami: tkacze, garncarze, powróżnicy i kto tam jeszcze . . .

Tóż baron Kalchberg szli z Lisztem też na ten jarmark i przyglądali się tym bogactwom: tu zygnyli, tam spróbowali, a na Szerokiej ten Liszt ciągnie cosi z czerwonej wełny i pyta się, co to jest. Mówię, że pończochy, że z dziedziny babki w takich chodzą. Taki sznury na parę metrów długi; to sie je tak układa i składa w fałdy czerwone . . . I wtedy, wiecie, Liszt jak nie zacznie się śmiać! — patrzy, dookoła sie dziwo, a babki w tych pónczochach! — no i tak się śmiał i śmiał na całą ulicę, że go wzięli pod ramiona, aby nie upadł, zakludzili do bramy, a Liszt się śmiał i nie mógł ani wytchnąć. A jak go już uspokoili, to prosił, aby mu koniecznie zaoszczędzić widoku tych czerwonych pończowych, bo jak je jeszcze zobaczy, to skona ze śmiechu i tela bedzie . . .

Klapka już także śmiał się do rozpuku, położył się na trawie i chichotał, potem nagle usiadł i kazał szukać przy siodłach tokaja, aby nim uczcić narodową okazję i zbratanie przez śmiech. I by Hrycko nazajutrz, kiedy zejdzie na Przelacz i Sałajkę albo i ku Jabłonkowu, wrócił z dobrymi wieściami.

Kiedy już Hrycek odszedł i kiedy zaszlachtowano barana dla wielkiej sprawy, Jura Jasz przy sporze i wzdętej namiętności nie powstrzymał się i rąbnął swoją nieodłączną ciupagą w żarzącą się na ognisku kłodę:



rys. STANISŁAW KRAUS

— Jak to jest? Z panoczkami z Preszburgu? Z Pesztu? — miał najwyraźniej dość Honweda Klapki; on, dawny batiar i zbójnik Słotika z Turzówki, znał życie od innej strony. — Jam też ember — człowiek! — i swoje wiem o sądach w Cieszynie i Trenczynie, i o mieszczanach na ławie przysięgłych . . . Oni to dla siebie tak! — i z urodzonymi panami nam położą nóż na gardle, aby dalsze sałasze zalewać, sadzić smreczki w owsie, pańskimi kopcami góralskie pola obcinać . . . Nie darmom młody z Jabłonkowa na uherską stronę uciekał, a potem od Żyliny i Trenczyna do Krasulki na Beskidzie w Ostrawicy, do Słotika. Nie mam wszak u nich miłości ani zlitowania — ani u mieszczana, ani u pana jednego czy drugiego.

Kluzek zniecierpliwił się wtedy:

— Nie było, ale być musi! O nowe nam idzie, Jura: tak jak u Francuza, przeciwko któremu nie chciałeś wojować i szedłeś do zbójników. Cesarza z Wiednia trza wygnać, a panów ukrócić, chłopom i góralom dać pole . . . Niech wolność mają!

— Nowe, nowe . . . — gderał Jasz uparcie. — A panoczkowie z czym do nas przychodzili: Nowe lasy, nowe drzewo na piłę do Nawsia, nowa Przelacz po sałaszu . . . Sprawiedliwości nam dajcie! Takiej, żeby nie ściągała i nie zdzierała z grzbietu ostatni guni i setnych dowek z góralskiej krwawicy. Takiej, żeby nie rodziła nowych cesarzy — Napoleonów. Dajcie nam tak żyć, jak chcemy żyć i potrafimy. A żandarmów zaprzągnijcie do pługa, panom każcie buty szyć, nauczycielom mówić po naszemu . . . Fiks! — chleb trzeba siać, ziemniaki sadzić, a z czego? Chleb trza robić, serek trza robić, a nie nowych panów na nasze grzbiety, nowe wojsko na wojsko nasyłać, rekrutów naszych grzebać po cudzych krainach, nowe dowki zdzierać, od gęby ludziom odejmować . . .

— Jura! — Kluzek tłukł pięścią w kolano — a za cóż to chcemy bić cesarskich? Trzeba im wziąć pole, władze, nad nami i inszy porządek — ludowy — otworzyć. Cesarza zegnać z tronu i niech wybrana przez nas rada rządzi. Cesarz sam nie odejdzie ani z Pesztu, ani z Wiednia. Siłą musimy gnać Austriaków — kansi do Trantarie, i wolność głosić, wszystkich wolnymi uczynić: Polaków, Czechów, Słowaków i Węgrów . . . Pańszczyzna nie wróci, roboty na pańskim nie bedzie — no to dla kogo będziesz robił? Dla siebie i dla wolności!

Jura Jasz oparł ręce na siekierce, zacisnął żelazo:

— Wszak se robicie i zrobicie po waszemu; ja tam już swoje przeżyłem — powiedział z przekąsem — ze zbójnickich chodniczków sie do wspólnego na sałaszu przyuczałem. A panów ani mieszczan nie będę w palce lizał, nie pójdę z nimi, abym nie musiał, bo lat już młodych nie mam, na nowo w lasy się uchylać i panów nowych gnębić.

Kapitan Klapka przysłuchiwał się w zamyśleniu sporowi Kluzka ze starym batiarem i nie rozumiał zrazu, chociaż sam nosił w sobie słowiańską krew, po co zaraz tyle tych żądań i ów brak po-

czucia pełnej solidarności ze sprawą Kossutha eks-zbójnika-dezertera, który zachował głowę uchyliwszy się w łomniańskie ostępy. Wytrącony z własnego konceptu byłby wołał huzarów do naparzenia Jaszowi bykowcem, lecz przypomniał sobie debaty w kółku demokratycznym szlacheckiej młodzieży i owego studenta — radykała, który mówił o francuskich socjalistach i niemieckich artykułach w „Neue Rheinische Zeitung", o komunizmie. Pojął więc, iż na walce z cesarzem nie koniec, a początek nowych rozdrażnień. Oto Słowacy zaczynają się burzyć, oto chłopi i górale patrzą na świat każdy po swojemu i ciasno . . . Właściwie przelękła go rozwierająca się dolina Łomnej i poczuł, że trzeba będzie ostrożnie schodzić ku miastu i nie od razu spodziewać się śląskiego powstania na rzecz Kossutha. Pozostała jeszcze nadzieja albo i ułuda, lecz wierzył, że skoro Ślązacy idą na austriackie dwory, to walka rozgorzeje także na Morawach i w Czechach, chociaż Praga już dawno upadła; że w Galicji będzie gorąco, a wojska cesarskie wtedy pogubią się wśród ogólnej wrzawy i pozostanie z nich zaledwie pył, kurz . . . Za to Kossuth umocni władzę, opanuje sytuację, Węgry okrzepną i staną mocno przeciwko Wiedniowi . . . Demokratyczne, republikańskie! . . .

Jurek Kluz, zeźlony na małostkowe fąfranie Jasza, wstał od ogniska i patrzał w stronę Przelaczy i Sałajki, skąd Hrycek powinien przynieść pierwsze wieści. Tam już ludzie na pewno wiedzą, co się święci w Jabłonkowie i co zamyśla tamtejsza gwardia z Paduchem. Jutro honwedzcy huzarzy uderzą na mostecki szaniec, a Klapka odetnie drogę nad albo pod miastem, i wtedy tylko skoczyć do Cieszyna i Bielska . . .

— Dzisiaj idziemy? — powiedział do Klapki.

— Nie! Aż owczarz wróci.

Fragment powieści „Przelacz", 3. nagroda ex aequo w Konkursie Literackim SLA z okazji 40-lecia PZKO.

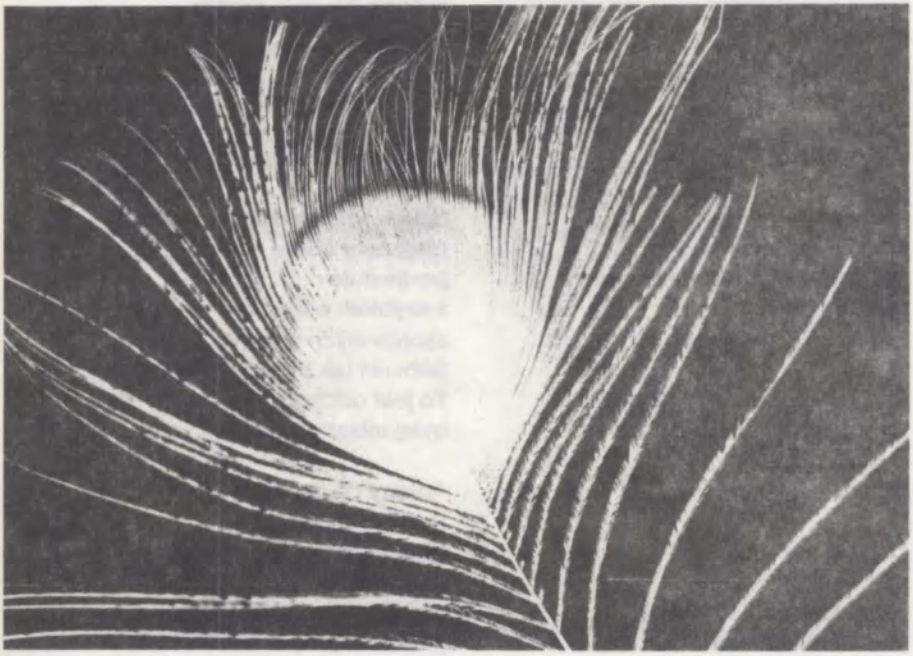
IVANA SZOP

Fotogramy









LUCYNA PRZECZEK

WIERSZ

Zwierzam ci się czasami
i z tajnych skrytek wybieram
słowa uspokojone
Jesteś pojemny
i nie przeczysz niczemu
To przez ciebie idzie
spowiedź
mój wierszu

Nie planuję czynów
wielkich jak Ziemia
Nie zamierzam wspólnie z wiarą
przenosić gór
z miejsca na miejsce

Chcę tylko uniknąć polowania
w którym człowieka się zapędza
w ciemny zaułek
samotności

Teraz wiesz o tym
mój wierszu
i domagam się od ciebie
prawdomówności

JABŁONKÓW

Wracam do tego miasta
bez przerwy i stale
w poszukiwaniu drobin
dzieciństwa
Na rogach
ulicy młyńskiej czas miele domy
leci mąka
z rozbieranych domów

Noszę zdjęcia dawnych miejsc
utajone w sobie
porównuję
z szybkim wzrostem
zachłannych osiedli
Babcia i tak by tego nie przeżyła
To jest odchodzenie
byłej miastowości

Anteny na dachach
zjeżyły się wyraźnie
jakby strach przed uniformizmem
wywołał
gęsią skórkę miasta
góralszczyzny

SZMINKA

Kiedy kupiłam pierwszą szminkę
pomyślałam: jestem dorosła
Napisałam to zresztą na lustrze

Nastąpił czas spalania
i czas splatania
koszyka z palców i dłoni
w magnetycznym polu zmierzchu
poruszał się tylko cień wiatru
A koszyk?
Jest przyciężkawy
od całej pustki
która została po tobie

Wróciłam do lalek dzieciństwa
ale nie promieniują już życiem

Niekiedy udaje mi się tworzyć
rozjaśnione słońce
Szkoda że taki cud
zdarza się w nocy
w objęciach złotonośnych snów

Nie ma już napisu na lustrze
Wypatruję czasami w odbiciu
zmarszczek

Teraz dorosłam do własnej twarzy
nieświadomie

DZIEŃ Z KOPERKIEM

Oczy otwarte jak okno
chmury podnoszą brwi
Za firanką ogród
a w nim koper
jak zwichrzona wieża
z której mszyce oglądają świat

Koperek trzyma się jeszcze
w miarę równo

Mszyce krwiste i zielone
wiecznie nienasycone
Koper nie potrafi zrzucić
głodu gości
Niecierpliwe mrówki przyszły
po wieczorny udój
zbyt późno
Biedronka siedmiokropka
oczyściła mój koper
doszczętnie

Jutro kolejne mszyce
rozpoczną wspinaczkę
i wszystko się powtórzy

Wyrzekam się widoku
Zamknę oczy na ogród
zbyt oczywisty i dosłowny

Wyróżnienie w Konkursie Literackim z okazji 40-lecia PZKO

TŁUMACZE LITERATURY POLSKIEJ

OTOKAR BARTOŠ

Urodził się 26 sierpnia 1928 w powiatowym miasteczku Louny. W roku 1947 zdał maturę w gimnazjum realnym i rozpoczyna studia na Uniwersytecie Karola w Pradze. Ukończył



Fakultet Filozoficzny (histora literatur słowiańskich oraz socjologia). Dokrotyzuje się w roku 1952, pisząc dysertację na temat „Socjalno-rewolucyjny charakter polskiej krytyki literackiej w okresie romantyzmu". W roku 1959 uzyskuje kandydaturę nauk filologicznych.

Od roku 1951 jest asystentem, od 1956 adiunktem, w latach 1964—1966 zastępcą docenta, a od 1967 roku jest docentem literatury polskiej na Fakultecie Filozoficznym Uniwersytetu Karola. W latach 1953—1964 O. Bartoš jest członkiem rady redakcyjnej „Przeglądu Słowiańskiego", w latach 1961—1968 członkiem rady redakcyjnej „Literatury na świecie".

Otokar Bartoš jest wybitnym rzecznikiem czesko-polskich kontaktów przyjaźni, autorem szeregu skryptów dla wyższej uczelni.

Ważniejsze publikacje książkowe: „Adam Mickiewicz" (publikacja popularno-naukowa, Praha, 1955), „Lounsko w dziele K. Konráda i K. Biebla" (wyróżnienie w konkursie z okazji 15. rocznicy wyzwolenia Czechosłowacji, Ústí n. L., 1960), „Wyznanie" (publikacja z okazji 55. rocznicy WSRP, przygotował kolektyw prowadzony przez doc. O. Bartoša, 1972, doroczna nagroda Wy-

dawnictwa Północnoczeskiego), „Słownik pisarzy — Polska" (Kolektyw pod kierownictwem doc. O. Bartoša, doroczna nagroda wydawnictwa „Odeon", Praha, 1974), „Sztandar buntu" (wybór z wierszy poetów robotniczych, doroczna nagroda, Ústí n. L., 1981).

Ważniejsze tytuły książkowe: „Polska partia robotnicza w walce o wyzwolenie narodowe i socjalne" Franciszka Jóźwiaka-Witolda (tłumaczenie z A. Měšťanem), Bolesław Bierut „O Partii" (tłumaczenie z L. Řeháčkiem, 1953), A. Mickiewicz „Artykuły krytyczno-literackie" (Praha, 1957, Kazimierz Wyka „O potrzebie historii literackiej" (Wybór, posłowie i notki O. Bartoš, tłumaczenie M. Havránková i J. Vlášek, Československý spisovatel, 1975), „Pięć polskich nowel" (wybór i posłowie O. Bartoš, własne tłumaczenie St. Zielińskiego „Snów pod Fumarolą", Praha, 1984), „U progu drugiego tysiąclecia" (szkic rozwoju czechosłowacko-polskich stosunków kulturalnych, Praha, 1985), „Dziesięć polskich nowel" (posłowie, notki biograficzne, własne tłumaczenie Sławomira Mrożka „Ad astra" — O. Bartoš).

Tłumaczenia polskiej prozy: Sławomir Mrożek „Słoń", „Wierny strażnik" (1963, 1966), Bruno Schulz „Sklepy cynamonowe" (tłumaczenie wspólnie z H. Jechową i E. Sojką, 1968).

Otokar Bartoš otrzymał następujące polskie odznaczenia: 1966 — Odznaka Tysiąclecia, 1979 — Zasłużony dla kultury polskiej, 1980 — nagroda i medal Stowarzyszenia Kultury Europejskiej — Polska Sekcja.

W. P.: W jaki sposób rozpoczęła się pana praca tłumacza literatury polskiej?

OTOKAR BARTOŠ: Podobnie jak większość studentów pisałem wiersze, próbowałem tłumaczyć w czasie wojny francuską poezję modernistyczną oraz niemiecką poezję klasyczną. W roku 1945 przetłumaczyłem melancholijny sonet Władysława Orkana „Przelotne ptaki". Dzięki wszechobecnemu przypadkowi rękopis tłumaczenia odnalazł się nawet po potrójnej przeprowadzce. Nosi datę 11 września 1945 r., Louny. Mogę go zatem zaliczyć jako prapoczątek moich przekładów poezji polskiej, z której tłumaczyłem później wiersze K. I. Gałczyńskiego, Adama Ważyka, Juliana Przybosia, Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego. Przetłumaczyłem także poemat Tadeusza Różewicza „Złowiony" (Světová literatura, 1971 r.).

— Gdzie się pan uczył języka polskiego?

— W czasie studiów na wyższej uczelni, na kursach lektorskich zasłużonej propagatorki kultury polskiej — Izy Šaunowej, która była najbliższą współpracowniczką prof. Mariana Szyjkowskiego. Słuchałem również wykładów profesora w języku polskim, a prof. Karel Krejčí prowadził nas od samego początku do lektury literatury polskiej w oryginale. Samodzielne czytanie bardzo poszerzało mój zasób słów. Po swoim pierwszym pobycie w Polsce (1954 r.) mogłem już rozmawiać znośnie po polsku.

— Czy w trakcie wyboru autora do pracy translacyjnej decyduje temat, osobista sympatia czy też przypadek?

— Moje trzy pierwsze książki były wynikiem zamówienia społecznego (F. Jóźwiak-Witold, B. Bierut, A. Mickiewicz). Ale już przekład artykułów krytyczno-literackich Adama Mickiewicza był ściśle związany z moim głębokim zainteresowaniem Mickiewiczem. Pisałem na ten temat pracę dysertacyjną. **Od roku 1960 wszystkie moje przekłady są związane z tematem pracy habilitacyjnej „Groteskowość we współczesnej prozie polskiej". Największą uwagę zwracałem na Brunona Schulza, Witolda Gombrowicza i Sławomira Mrożka. Analizowałem również groteskowe elementy w dziele Witkiewicza, Andrzejewskiego, Dygata, Zielińskiego, Żukrowskiego i innych. Jestem przekonany, że nurt groteski jest jedną z najważniejszych części składowych polskiej literatury XX wieku. Jest to nurt intelektualny specyficznie polski, poniekąd inny od tradycji literatury czeskiej, która dała światu słynną groteskę plebejską Haška i poetyczną groteskowość tekstów Bohumila Hrabala oraz Oty Pavla. Właśnie polska specyfika intelektualna jest warunkiem wzbogacenia czeskich tradycji narodowych i jej zrozumienie umożliwia lepsze pojmowanie polskiej psychologii narodowej. A przecież zgłębianie wzajemnego zrozumienia jest kardynalnym zadaniem pracy przekładowej. Mam swój**

skromny wkład w przenikanie dzieł Hrabala i Pavla do Polski. Kiedy przed piętnastu laty zadedykowałem Hrabalowi czeski przekład „Sklepów cynamonowych" Brunona Schulza (Skořicové krámy, Odeon, 1968), wrócił czeski autor w swojej wyobraźni do Drohobycza, jak to wyraził w książce „Zadania domowe na temat pilności" (1982). Hrabal został oczarowany ekspresjonistyczną narracją Schulza, który wpłynął na dalszy rozwój jego twórczości. Dowodem tego jest luźna trylogia z lat siedemdziesiątych „Miasteczko przy wodzie". Swój podziw dla Schulza wyraził Hrabal w szeregu wywiadów dla polskich pism oraz miesięczników. W ostatnim czasie w „Literaturze na świecie" (1984) i w „Miesięczniku Literackim" (1985).

— Utrzymuje pan osobisty kontakt z autorem, którego pan tłumaczy?

— O ile to tylko było możliwe, zawsze nawiązywałem osobisty kontakt z autorami, których tłumaczyłem, albo do dzieł których pisałem przedmowy czy posłowia. Sławomira Mrożka poznałem w roku 1954 w Krakowie, wymieniliśmy szereg listów. Mam również bardzo piękny list Jerzego Andrzejewskiego, listy Jarosława Iwaszkiewicza, Adama Ważyka, Wojciecha Żukrowskiego, prof. Kazimierza Wyki, który poza prof. Krejčím był moim głównym wzorem, mam listy Tadeusza Różewicza. Wiele godzin spędziłem na rozmowach z Andrzejem Kuśniewiczem, którego „Król obojga Sycylii" zrobił na mnie fantastyczne wrażenie. Mam prawie sto listów mojego przyjaciela Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego, wielu polskich pisarzy poznałem w Polsce albo w Pradze, kiedy wprowadzałem ich wieczory autorskie w Polskim Ośrodku Kultury i Informacji. Chciałem tłumaczyć „Ferdydurke" Witolda Gombrowicza i napisałem do niego do Francji. Nie ukrywałem swoich obaw, ponieważ wiedziałem, że ten światowej sławy autor znany był ze swojego ostrego stosunku do krytyki literackiej. Witold Gombrowicz odezwał się natychmiast. Dnia 3 lutego 1968 roku pisze: „Szanowny Panie, jestem osobą potulną raczej i niestraszną, która z krytykami wojuje tylko, gdy jej zanadto zajdą za skórę. A Panu wdzięczność winienem za tyle życzliwości i pomocy. Owszem, G. przesłał mi Světová literatura z tą publikacją, która, o ile mogłem wyrozumieć, bardzo mi się w swoim układzie i komentarzach podobała. Cieszę się, że mogę Panu podziękować. Naturalnie bardzo bym się ucieszył, gdyby Ferdydurke, już przetłumaczona na jakichś 15 języków (między in. na kataloński, fiński etc.) ukazała się także po czesku ...".

Dopiero w drugim liście z dnia 10 lutego 1968 Autor pisze m. in.: „... owszem, bardzo chętnie udzielam Panu autoryzacji na przekład Ferdydurke do roku 1970-go (włącznie), tj. mówiąc jaśniej do 1. 1. 1970-ego. Proszę to zrobić z temperamentem". Trzeci list dotyczy sprawy honorarium. Do tej pory nie sprostałem temu wielkiemu zadaniu — przetłumaczyć Ferdydurke, a temperamentu stale ubywa ... uważam to jednak za swoje zobowiązanie wobec Autora i czeskich czytelników.

— Z którymi wydawnictwami czechosłowackimi najchętniej pan współpracuje?

— Odpowiedź na to pytanie jest krępująca, ale odpowiem szczerze. Najchętniej współpracuję z wydawnictwami Československý spisovatel i Mladá fronta, które mają wolniejszą rękę przy ustalaniu honorariów oraz wysokości nakładu. Delimitacja działalności wydawniczej zmusza mnie jednak do intensywnej współpracy z „Odeonem", gdzie w dziale literatury polskiej zatrudnieni byli zawsze fachowo przygotowani redaktorzy.

— Nad czym pracuje pan w tej chwili?

— Przygotowuję tom esejów o współczesnej polskiej prozie. Nie chcę się rozwodzić na ten temat, ponieważ poważna choroba już dwa razy przerwała moje wysiłki w tym temacie.

— Pana osobiste wyznanie?

— Nie jestem właściwie tłumaczem w dosłownym tego słowa znaczeniu. Jestem teoretykiem literatury, historykiem i krytykiem. Praca tłumacza jest tylko uzupełnieniem mojej działalności naukowej. Chcę choćby w skromny sposób przyczynić się do humanizacji stosunków międzyludzkich.

WILHELM PRZECZEK

OKIEM RECENZENTA

O SZTUCE LUDOWEJ I JEJ TWÓRCACH

„Twórca ludowy i jego dzieło". Przedmowa doc. dr hab. Barbara Bazielich. Śląski Instytut Naukowy, Katowice 1987. 267 s.

Pod trafnym tytułem „Twórca ludowy i jego dzieło" Śląski Instytut Naukowy w Katowicach na zlecenie finansowe Muzeum Górnośląskiego w Bytomiu i przy współpracy Oddziału Śląskiego Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego wydał ciekawą książkę poświęconą współczesnym twórcom ludowym i ich pracom na Śląsku Górnym i Cieszyńskim. Książka formatu A5, bogato ilustrowana i mająca 267 stron, prócz Przedmowy pióra doc. dr hab. Barbary Bazielich i jej angielskiego streszczenia tejże autorki, indeksu twórców ludowych, który zawiera 294 nazwiska, w tym i z naszego terenu, wykazu literatury oraz słownika wyrazów gwarowych, w właściwej treści traktuje o „Twórczości literackiej w latach 1945—1975" (Elżbieta Szubert), „Przejawach życia muzycznego na Podbeskidziu" (Jan Tacina), „Rekwizytach obrzędowych" (Irena Białas), „Zdobieniu jaj wielkanocnych" (Maria Voelpel), „Rzeźbie w węglu" (Irena Bukowska-Floreńska), „Garncarstwie" (Marianna Czubalina i Dionizjusz Czubala), „Wytwórczości drobnych przedmiotów z drewna" (Maria Lipka-Kuczyńska), „Zdobieniu haftem" (Romualda Nachmilner), „Koronkarstwie" (Barbara Bazielich) i o „Roli „Cepelii" w popieraniu twórczości ludowej" (Maria Voelpel).

Niezwykle cenna i interesująca pod wieloma względami książka pomyślana jest jako jedna z serii, w której sukcesywnie uwzględniane będą pozostałe gałęzie twórczości ludowej, jak np: malarstwo, rzeźba w drewnie, kowalstwo, plecionkarstwo, tkactwo, jubilerstwo itd. Jest publikacją popularną, informującą rzetelnie o powyższych tradycyjnych i współczesnych formach twórczości ludowej, a także o ludziach — wykonawcach i twórcach.

Chociaż poruszany w tej książce temat jest nienowy, a powiedzmy, że podejmuje się go także m. in. w CSRS, gdzie traktowany jest jednak nieco inaczej, bowiem czechosłowackie publikacje mają odmienny charakter, to w omawianym przypadku ewidentna jest pewna specyfika, wynikająca ze sposobu ujęcia poruszanej problematyki i ze swoistych cech regionalnych. Warto więc się z nią zaznajomić także i z tego powodu, że powyższa publikacja niezwykle komunikuje z wystawą „Twórczość ludowa" Oddziału Beskidzkiego Stowarzyszenia Twórców Ludowych, zorganizowaną przez OB STL, WK ZSL, WDK i Muzeum Okręgowe w Bielsku-Białej w dniach 23 marca do 26 kwietnia br. pod

hasłem „Sztuka ludowa dobrem Narodu". Na zakończenie tej wystawy, połączonej z kiermaszem wystawianych prac, zaproszeni zostali przez STL i Muzeum Okręgowe w Bielsku-Białej nasi twórcy zrzeszeni w Klubie Twórców Ludowych przy Sekcji Folklorystycznej ZG PZKO.

Kiedy bowiem weźmiemy pod uwagę, że na tej wystawie w trzech dużych salach eksponowanych było ponad 350 uprzednio wyselekcjonowanych przez znawców prac około 100 twórców ludowych wyłącznie z województwa bielsko-bialskiego, a należały do nich: malarstwo olejne, malarstwo na szkle (tutaj wyróżniały się obrazki Rozalii Szypuła z Czechowic), różnorodna ceramika, kowalstwo artystyczne, rzeźba w drewnie (bardzo ciekawe rzeźby Czesława Olmy z Hałcnowa), rzeźba w kamieniu (Ryszard Biel), maski obrzędowe (Anny i Józefa Hulków oraz Henryka Kamieniarza z Koniakowa), plecionkarstwo, sztuka użytkowa, zabawki, haft (Apolonii Szema-Jureczko z Porąby), a nade wszystko koniakowskie koronki (szczególnie Heleny Kamieniarz z Koniakowa), to uzmysłowimy sobie w pełni niezwykłą żywotność sztuki ludowej na całym Śląsku Cieszyńskim. Na nic zdały się więc narzekania począwszy od końca XIX wieku o ginięciu sztuki ludowej nie tylko nad Olzą. Przekonuje nas o tym dobitnie wspaniała wystawa współczesnej twórczości ludowej w bielskim Muzeum Okręgowym, świetna omówiona wyżej publikacja, a także — choć jako bardzo skromny przyczynek do tej problematyki — publikacja Sekcji Folklorystycznej pt.: „Cieszyńska plastyka ludowa" wydana w roku ubiegłym.

JAN SZYMIK

KTO SIĘ BOI GOMBROWICZA

Witold Gombrowicz: Iwona, księżniczka Burgunda. Reżyseria: Janusz Klimsza. Scenografia: Józef Rozbrój. Asystent reżysera: Leszek Wronka. Premiera: 16. 5. 1987.

/

W majowym zeszycie „Zwrotu" zostało opublikowane opowiadanie Wilhelma Przeczka „Garb krawca Gawlika". Jego bohaterem jest 7-letni Adaś, który wbrew zakazowi babci Teodory wkracza do mieszkania krawca, gdzie zostaje za karę zamieniony w motyla. Rzecz wygląda na zwykłą makabryczną bajkę z morałem. Ale jeśli się jej przyjrzeć uważniej, to okaże się, że można ją odczytać dokładnie naopak. W „Garbie" należałoby się doszukać przede wszystkim pochwały wyobraźni. Został bowiem napisany tak, żeby czytelnik nie miał wątpliwości co do tego, że wyimaginowany świat dziecka jest o wiele bardziej wiarygodny od tego, który został zamknięty w ściśle zaprojektowanej bryle domu. Świat mieszkających w niej ludzi jest nierzeczywisty ze względu na panujące w nim absurdalne podziały, z których podział korytarza na część pachnącą cynamonem i wanilią oraz część zalatującą piżmem jest wzorcowo wyprany z sensu. W tym świecie nic nie dzieje się naprawdę, działania osób są pozbawione siły sprawczej, czyli dalszego ciągu. Są pozorne. Natomiast świat wyobraźni istnieje naprawdę choćby z tego względu, że dopiero po wkroczeniu do zaczarowanego pokoju każdy gest chłopca zaczyna obrastać w konsekwencje i prowadzić do finału. Przy czym finał — owo przepoczwarzenie się chłopca w motyla — wcale nie musi mieć waloru negatywnego. Przeczek bowiem zbudować piedestał dla wyobraźni w taki sposób, żeby znalazło się na nim miejsce także dla maksymy: stój przy swoim, słuchaj swego indywidualnego, jedynego w swoim rodzaju głosu wewnętrznego, a zaznasz więcej satysfakcji w życiu niżbyś doświadczył ulegając przyziemnym, familijno-grupowym normom poczciwej egzystencji.

Podwójną interpretację utworu umożliwia gatunek, do którego należałoby go zaliczyć, mianowicie: groteska. Groteska jest karykaturą rzeczywistości, parodią celowości działania, wynaturzeniem klasycznych stylów respektujących logikę zdarzeń. Jest intelektualną perwersją. Słusznie uchodzi ciągle za miernik awangardowości w sztuce. W naszej literaturze trafia się nader rzadko, a jeśli nawet, to raczej jako chwyt niezamierzony. Nasza literatura dopiero do niej dojrzewa. Nie trzeba jej za to opóźnienie w rozwoju ani ganić, ani lekceważyć. Po prostu, będąc wytworem kultury zrodzonej z niepodległościowego ruchu w regionie, literatura nasza zajęła miejsce w służbówce tego salonu i ograniczyła się do upowszechniania treści społeczno-narodowych. W swoim polu widzenia zawsze chętniej dostrzegała dramat społeczeństwa niż człowieka. Musiało upłynąć wiele wody w Olzie, zanim uświadomiła sobie swoją autonomiczność i pozwoliła się

wzbogacić treściami ogólnoludzkimi, dostrzeżonymi w dramacie człowieka jako jednostki pełnej i duchowo samowystarczalnej.

Zdaje się, że po latach względnego spokoju dopiero ostatnio jesteśmy świadkami przemeblowywania mieszkania. Literatura zdradza ambicje wyjścia ze służbówki i zajęcia miejsca za katedrą. Zamierza odkryć przed społeczeństwem widoki, jakie ono samo zamalowało moszcząc sobie drogę w przyszłość. Widokiem najwdzięczniejszym jest oczywiście człowiek, a konkretnie: jego psychofizyczna autonomia. Nie jest to proces łatwy. Nowe treści będą wymagały nowego ujęcia, czyli również zmiany formy przekazu. Pojawią się na firmamencie nowe style i gatunki, a wraz z nimi nowe wymagania pod adresem odbiorców. Niewątpliwie, cierpliwość i dobra wola tych ostatnich zostaną wystawione na wielką próbę. Wierzmy jednak, że ze względu na szlachetność celu, jakim jest w ostatecznym rachunku rozwój naszej kultury i każdego z nas z osobna, próba ta zostanie podjęta i pomyślnie przeprowadzona. Cieszy, że w procesie poszerzania horyzontów naszej kultury aktywnie zaczęła uczestniczyć także Scena Polska.

//

GOMBROWICZ! Przyznaję się, że kiedy przeczytałem to nazwisko na afiszu naszej Sceny zaparło mi oddech z wrażenia. Gombrowicz to jest legenda teatru, literatury i kultury jednocześnie. Wyklinano go i hołubiono zarazem, tj. czytano z wypiekami pod poduszką a pisano z bladą zawziętością nazajutrz. Tzw. środowisko nie mogło mu wybaczyć trzech rzeczy: że w 1939 opuścił Polskę i osiedlił się za granicą, w Argentynie, że w tym obcym środowisku zdobył uznanie i sławę oraz że miał czelność zdemaskować narodowe mity i nazwać polską kulturę prowincjonalną. Trzeba było dopiero wnikliwego krytyka Artura Sandauera, żeby została zaakceptowana artystyczna i filozoficzna wartość jego twórczości. Mimo to, podręczniki do literatury polskiej omawiały ciągle tylko jedną jego powieść, debiutancką „Ferdydurke" z 1937 r. Do świadomości odbiorców dotarł praktycznie dopiero po śmierci w 1969 r., kiedy wszystkie bez mała teatry w Polsce zaczęły na gwałt i na przemian wystawiać trzy jego sztuki: „Iwonę, księżniczkę Burgunda" (napisaną w 1938), „Ślub" (1953) i „Operetkę" (1966). Ale aż do 1986 r. trzeba było czekać na kompletne wydanie jego „Dzieł". Kiedy trafiło do księgarń owych 9 tomów w nakładzie 20 000 egz. i cenie 10 000 zł, dokładnie nie wiadomo, ponieważ nie zdążono ich nawet wystawić na półki. Zostały rozchwytane w biegu.

Tę ostatnią informację podaję z zamiarem uwypuklenia zasług Sceny. Domniemywam otóż, że większość spośród jej widzów nie miała nigdzie indziej poza nią okazji do zaznajomienia się z twórczością Witolda Gombrowicza. Dzięki wystawieniu „Iwony" SP wypełniła zatem jeden ze swoich obowiązków upowszechniania wśród naszej publiczności dorobku współczesnej kultury polskiej. Zostaje oczywiście otwarte pytanie, co się z tego czeskocieszyńskiego Gombrowicza utrwaliło w naszej świadomości, jakie treści sobie przyswoiliśmy a co pozostało przez nas niedostrzeżone czy niezaakceptowane.

W związku z tym, że mamy do czynienia z groteską w czystym ujęciu, mogę bez obawy o rozdrażnienie przyszłego widza zdradzić fabułę „Iwony". Młody książę Filip, arystokrata z urodzenia i kultury, poznaje przypadkowo głupią, niskiego stanu, żałosnej postury i kultury osobistej dziewczynę imieniem Iwona. Czuje się do tego stopnia rozdrażniony jej nachalną odmiennością, że postanawia dać jej nauczkę. Ale jak to bywa w przypadku wyrafinowanych kultur, nie rzuca się na nią z kułakiem ani obelżywym słowem lecz ... proponuje ożenek. Rodzice księcia, małżeństwo królewskie ma się rozumieć, zmuszeni są zaakceptować ten szalony pomysł tylko dlatego, żeby broń boże nie wywołać skandalu. Wzajemne współżycie zamienia się jednak w walkę dwóch światów kulturowych a kończy zabójstwem Iwony.

Niedorzeczna historia, doprawdy. Przecież nikt przy zdrowych zmysłach nie oferuje małżeństwa ze złości. Nikt nie morduje tylko dlatego, że ofiara nie chciała z nim rozmawiać! A jednak ... jednak ma „Iwona" sens a Gombrowicz swoją głęboką rację.

Czy można zawrzeć małżeństwo z rozdrażnienia? Zależy jakie. Gombrowiczowskie tak, ponieważ nie zawierają je osoby, lecz ... idee dwóch kultur. Czy można zabić milczącą, nikomu nie wadzącą osobę? U Gombrowicza tak, ponieważ ta milcząca figura uosabia niską kulturę, zagrażającą wysokiej przez sam fakt skojarzenia się z nią. Cała sztuka jest skrupulatną wiwisekcją powolnego przepoczwarzania się arystokratycznej kultury w plebejską, przewartościowywania dobrze dotychczas funkcjonującego dworskiego świata, wyjaławiania go z treści stanowiących o jego randze kulturowej i spo-



Iwona, księżniczka Burgunda (Renata Droessler) z książęcym małżonkiem Filipem (Andrzej Baczewski)

łecznej. Gombrowicz należał do tych twórców, którzy bardzo dotkliwie odczuwali napływ treści populistycznych do literatury i sztuki XX wieku. Oto, co na ten temat zanotował w swoim Dzienniku w 1966 r.: „Co się dzieje? Gdzież ulotniły się z naszej artystycznej kuchni wspaniałe, krwiste, oszałamiające befsztyki, jak Goethe, Beethoven? Jak sprawić, żeby sztuka przestała być wyrazem naszej mierności, a z powrotem stała się wyrazem naszej wielkości, piękności, poezji? Oto mój program: PRIMO zdać sobie jak najboleśniej sprawę z naszego kapcaństwa. SECUNDO odrzucić wszystkie teorie estetyczne, wyprodukowane w ciągu ostatnich lat pięćdziesięciu, a zmierzające ukradkiem do osłabienia osobowości: cały ten okres jest zatruty dążeniem do niwelacji wartości i ludzi, precz z nim! TERTIO porzuciwszy teorie, zwrócić się do osób, do wielkich osobowości czasu minionego, i w przymierzu z nimi odnaleźć we własnych naszych osobach wieczyste źródła polotu, natchnienia, rozmachu i wdzięku. Albowiem nie ma demokracji, w której by jakiś rodzaj arystokracji, jakiś gatunek wyższości nie był osiągalny."

Piękne zaiste ideały, ale nie jestem pewien, by mogły zadowolić tzw. przeciętnego widza Sceny. Prawdą jest bowiem, że sprawami kultury, jej wewnętrznym rachunkiem strat i zysków interesuje się niewiele osób. Właściwie tylko paru krytyków, teoretyków i twórców. Cóż zatem pozostało do zaakceptowania z „Iwony" większości na widowni? Myślę, że jedno przesłanie „ludzkie" dałoby się ze sztuki wyłuskać.

Łatwo było otóż zauważyć, że zarówno Filip, jak para królewska poczuli się w pewnym momencie naprawdę unieszczęśliwieni, przeżywali iście egzystencyjny dramat tożsamości własnych osobowości. A mogli go przecież uniknąć, gdyby nie rozpoczęli swej szaleńczej gry. Oni sami wszak przyzwolili Iwonie na wkroczenie do salonów, sami wystawili się na próbę współistnienia, sami wreszcie zaczęli rezygnować z manier i stylu. Opamiętali się dopiero wówczas, kiedy zaczęli tracić twarz. Sądzę, że zawarta jest tutaj przestroga przed zbyt pochopnym uleganiem innym, przed wystawianiem własnych osobowości na pastwę doraźnych, chwilowych układów. — Stój przy swoim — wracam do Przeczka — słuchaj swego indywidualnego, jedynego w swoim rodzaju głosu wewnętrznego, a zaznasz więcej satysfakcji w życiu ...

III

Janusz Klimsza, świeży absolwent praskiego Fakultetu Reżyserii, Dramaturgii i Organizacji Teartu, powiedział po premierze, że „wziął Gombrowicza, bo mu się sztuka podobała ..., ale — dodał — gdyby nie aktywny, współtwórczy stosunek aktorów, to nie wie, jak byłoby". Zdradził zatem, że: 1. ma gust intelektualisty, co mu się chwali, 2. że aktorzy świetnie sobie radzili z interpretacją sztuki (na tym chyba polega „współtwórczy stosunek"), 3. że przedstawienie jest w znacznej mierze aktorskie. Dodałbym do tego, że jest także znacznie realistyczne i tym odróżnia się korzystnie od wielu inscenizacji w Polsce. Realizm „Iwony" jest zasługą reżysera. Klimsza mógł pójść, oczywiście, utartym szlakiem i zrobić jeszcze jeden zwariowany fajerwerk zwariowanych typów. Przeciągnąć strunę i kazać udawać Królowi wizjonera, Królowej na przykład dziwkę, Iwonie mężczyznę, Księciu pederastę a Szambelanowi ciotkę z Ameryki. Niewykluczone,

że wówczas byłby ubaw po pachy po jednej i drugiej stronie rampy, ale czy mielibyśmy także szansę dostrzec w tym dramacie choć kawałek sensownej myśli? Obawiam się, że raczej czulibyśmy się jak w cyrku.

Najbardziej realistyczny był Książę w wykonaniu Andrzeja Baczewskiego. To dobrze. On wszak wprawił w ruch machinę demaskacji. Gdyby od niego zaczęła się maskarada, przedstawienie straciłoby rację bytu. Na granicy groteski i realizmu balansowała natomiast cała następna wiodąca trójca bohaterów: Król (Kazimierz Czapla), Królowa (Wanda Spinka) i Szambelan (Rudolf Moliński). Sceny z ich udziałem były prawdziwym majstersztykiem aktorskim, a do brawurowych zaliczam spiskowanie Króla z Szambelanem. To naprawdę sztuka, utrzymywać się na krawędzi groteski i farsy, a nie popaść w śmieszność. Wybitne, inteligentne, lekko cieniowane aktorstwo! Krwiste typy komediowe stworzyły także Wanda Łysek i Emilia Bobek (Ciotki) oraz Leszek Wronka (Cyryl), a mimiką i gestem przekonująco zbudowała swą postać również Renata Droessler (Iwona).

Kilka słów o scenografii Józefa Rozbroja. Ten absolwent krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych wymyślił rzecz znakomitą: krzesła! Zwyczajnie postawił na scenie 11 różnej wielkości, kształtu i zdobień wysokich krzeseł, które imitowały jednocześnie i plac miejski, i wnętrze pałacu, i meble, a kiedy było trzeba — przekształcały się w poręczne rekwizyty. Bardzo funkcjonalna, a przy tym prawdziwie piękna dekoracja!

IV

Cóż na zakończenie? Wypada sobie życzyć, aby poszukiwania Sceny znalazły serdeczne przyjęcie u publiczności. Na pewno nie każdy miesiąc będzie stać jedną i drugą stronę na Gombrowicza, ale próba warta była ryzyka. Tym bardziej, że okazała się w pełni udana!

Z. O.

Na czterech krzesłach, stanowiących w tym spektaklu uniwersalny element scenografii, siedzą (od lewej) Szambelan (Rudolf Moliński), Iwona (Renata Droessler), Królowa (Wanda Spinka) oraz Król (Kazimierz Czapla)



fot. WŁADYSŁAW WOJNAR

WĘDRÓWKI NAZEWNICZE

LIGOTA I PODOBORA (1)

NAZWA MIEJSCOWOŚCI

Dawne wsie Ligota Alodialna i Podobora zostały najpierw przyłączone do gminy Kocobędz, a w roku 1975 z kolei Kocobędz został włączony do miasta Czeskiego Cieszyna i stał się jego dzielnicą. Tak więc obecnie Ligota i Podobora, o których będzie mowa, są już tylko częściami dzielnicy miejskiej.

Nazwa kulturowa ***Ligota*** jest śląską odmianą dawniejszej nazwy ***Lgota***, która tak jest zapisana w średniowiecznych dokumentach śląskich (*apud Lgotam* 1228, *Lgota* 1337)[1] i która jeszcze obecnie jest znana na terenach sąsiednich Małopolski i Wielkopolski. *Lgota* oznacza to samo, co występująca licznie poza obszarem Śląska *Wola*, tj. osadę zwolnioną od pewnych ciężarów publicznych (opłat, pańszczyzny i innych obowiązków) w zamian za uprawianie przez osadników dotychczas niewykorzystanych rolniczo gruntów. Nazwa ta jest oparta na tym samym pniu co u-lga. Śląskich Ligot jest 58, natomiast czeskich Lhot jest kilkakrotnie więcej. Również czeska nazwa *Lhota* pochodzi od pierwotnego *Ьgota*. Nazwy Ligota i Lhota są więc wynikiem tej samej w dwu pokrewnych i sąsiednich językach działającej tendencji, jednak od siebie niezależnie.[2]

Ligoty i Wole są wskazówkami dla dziejów osadnictwa i związanych z nim dawnych stosunków prawnych. Fr. Popiołek w swej *Historii osadnictwa w Beskidzie Śląskim (str. 14)* przypuszcza, że Ligotka Alodialna powstała na miejscu pierwotnego przedmieścia cieszyńskiego, wymienionego w roku 1223.

W pisowni niemieckiej nazwa Lgota otrzymała dostawkowe w nagłosie E- i w ten sposób utworzona została nazwa ***Elgoth.*** Najstarsze zaświadczenie tej nazwy znajdujemy w opisie dokumentu z roku 1416 (rękopis J. L. Szersznika), znajdującego się w Muzeum w Cieszynie, sygn. DD-VIII/6 16: *Das gut und dorfelein mit namen Elgoth, das man andirs nennet Burgerdorf.*[3] Dowiadujemy się więc z tego dokumentu, że Ligotę nazywano wtedy też ***Burgerdorf*** (*Bürgerdorf*), wioską mieszczańską, czyli należącą do miasta Cieszyna.

W zespole akt Komory Cieszyńskiej, przechowywanych w Wojewódzkim Archiwum Państwowym w Katowicach — Oddział w Cieszynie, znajduje się dokument (sygn. KC 2000) z roku 1610, pisany urzędową wówczas czeszczyzną, w którym pojawia się po raz pierwszy czeska nazwa ***Lhotka****: dawame wes Lhotku u Obory Tiessynske, druhu wes Lhotku przy Oborze.*

Zauważyć tu należy, że zarówno piętnastowieczna nazwa *Elgoth*, jak i siedemnastowieczna nazwa kancelaryjna *Lhotka* nie świadczą o przynależności językowej rdzennej ludności. Przynależność tę poświadcza nazwa gwarowa *Ligota* czy *Ligotka*,

która zachowała stan dawny, w formie zgodnej z rozwojem języka polskiego, a odmiennej od form kancelaryjnych. Nazwy miejscowości i nazwy terenowe, zachowane w żywej mowie ludu, w jego gwarze, mają na ogół charakter trwały, większość z nich nie zmieniała się od setek, a nawet niekiedy tysięcy lat. Są więc pod względem językowym niezmiernie ciekawe, przechowując jak skamieliny geologiczne różne zjawiska językowe już dawno wymarłe lub w ogóle nie utrwalone poza nazwami[4].

Nazwa gwarowa *Ligota* wykazuje zdecydowanie polskie cechy językowe. Już M. Karaś, recenzując pracę V. Davídka, udokumentował polskość nazwy Ligota w XV wieku, stwierdzając zgodność jej poświadczeń źródłowych z dzisiejszą wymową gwarową[5]. Gdyby ludność miejscowa należała do czeskiego zespołu językowego, nazywałaby swą miejscowość nie Ligotą czy Ligotką, ale Lhotou, bowiem na gruncie języka czeskiego dokonała się zmiana pierwotnego *g* (łgota) w *h* na przełomie XII i XIII wieku.

W dokumentach późniejszych znajdujemy następujące formy: *Ellgoth* 1722; *Ellgoth, pohlnisch Ligota* 1804; *Ellgoth, Lgota* 1808; *Allodial Ellgoth* 1845; *Lhota* 1885; *Allodial Ellgoth, Ligota Alodialna* 1894; *Ligotta koło Cieszyna* 1909 (mapa); a w roku 1917 pojawiła się po raz pierwszy nazwa *Lhota Zpupná*[6], późniejsza czeska nazwa urzędowa.

Zauważamy więc, że dopiero w XIX wieku użyto w nazwie miejscowości człona odróżniającego *Allodial, Alodialna*. Przymiotnik ten pochodzi od średniowiecznego starogórnoniemieckiego terminu prawniczego *allod*, własność feudalna, którą właściciel swobodnie rozporządza, dziedziczna posiadłość, wolna od wszelkich zobowiązań i ciężarów o charakterze lennym'. Do nazwy wsi Ligota wprowadzono przydawkę przymiotną Alodialna w celu odróżnienia tej wsi od drugiej cieszyńskiej Ligoty, Ligotki Kameralnej, podlegającej bezpośrednio księciu cieszyńskiemu, względnie Komorze Cieszyńskiej (Teschener Kammer), która zarządzała jego dobrami.

W czeskiej nazwie *Zpupná Lhota* człon odróżniający *Zpupná* jest odpowiednikiem wyrazu *Allodial, Alodialna,* ale nie jest to całkiem poprawne tłumaczenie. Nawet w słowniku języka czeskiego[7] jest znaczenie wyrazu *alodiální* dane do cudzysłowu (*zpupný*) w celu zaznaczenia powątpiewania autorów co do trafności użytego wyrazu czeskiego; zpupný znaczy bowiem ‚butny, dumny, napuszony, zuchwały' (nemírně bujný, drzý, opovážlivý, velmi pyšný, panovitý, povýšený, arogantní). Najprościej i najtrafniej wyjaśnił tę sprawę dialektolog czeski Bedřich Téma: Zpupná Lhota znaczy to samo co „Svobodná Lhota", a więc Ligota oswobodzona na stałe od świadczeń.

Nazwa ***Podobora*** jest nazwą topograficzną i oznacza grunta znajdujące się pod *Oborą*. Powstała ona przez połączenie (zrost) nazwy miejscowej *Obora* i przedrostka przyimkowego pochodzenia *pod*, przy czym nie doszło do prawidłowej reakcji podstawy (rzeczownika). Przyimek *pod* łączy się bowiem z rzeczownikami (lub innymi wyrazami pełniącymi ich funkcje) w narzędniku lub bierniku. Jest np. coś pod lasem, pod tytułem, ale sądzimy coś pod motykę, a niektórzy lubią wypić kieliszek pod śledzika.

Tego typu nazwy miejscowe nie są świeżej daty. Zanotowano je w dokumentach z terytorium języka polskiego już w wiekach od XII do XIV, chociaż wtedy były jeszcze niezbyt liczne. W następnych wiekach ich liczba wzrasta, by wreszcie na przełomie wieku XIX i XX osiągnąć maksimum nasilenia[8]. Nazwy przedrostkowe, oznaczające położenie danej osady czy innego obiektu terenowego w stosunku do pewnych wyróżniających się obiektów topo- i geograficznych, powstawały na terenie Śląska Cieszyńskiego dosyć licznie. Jak wskazują poświadczenia źródłowe i gwarowe, wiele z nich zachowało się i jest w użyciu po dzień dzisiejszy. Oto kilka przykładów: *Podgroń* — osada Oldrzychowic (zbocze góry Koziniec); *Podlaski* (*Podloski*) — część Nawsia; *Podkozubowo* — dzielnica Milikowa; *Podlas* — dawna kolonia Radwanic; *Podrecman* — staw w Suchej Dolnej; *Podwyrch* — osada Oldrzychowic (zbocze góry Jaworowy); *Nadkońska* — osada Końskiej; *Nadrecman*

— staw w Suchej Dolnej; *Oblasek* (*Oblask*) —lasek w Łąkach i Ropicy (tutaj także w liczbie mnogiej: *Oblaski*); *Odnoga* — osada, potok i las w Ligotce Kameralnej; *Zagróń* — część Oldrzychowic; *Zakamiyń* (*Zokamyń*) — część Nydku; *Zalas* (*Zolas*) — osada Ropicy; *Zatyra* (*Zotyra*) — część Oldrzychowic.

Podczas gdy na terytorium języka polskiego nazwy tego typu rozwinęły się i są ciągle żywe, w języku czeskim występują bardzo rzadko (np. *Podbaba* — pod pagórkiem Baba w Pradze[9]).

Popatrzmy jeszcze na podstawę nazwy Podobora i jej znaczenie. ***Obora*** — pierwotnie *obwora* ‚miejsce zabezpieczone, opatrzone przeciw komu lub czemu, miejsce ogrodzone'. Rzeczownik ten pochodzi od czasownika *obwarować* ‚zabezpieczyć', np. obwarować dom przed złodziejami. Tego samego pochodzenia jest staropolskie *obwarty* ‚obwarowany, zamknięty'. W języku cerkiewnym są czasowniki *obarowati* „ochronić' i *warowati (się)* ‚strzec'.

Nazwa pierwotnie kulturowa *obora* oznacza więc ‚zagrodzony majątek ziemski należący do władcy, gdzie hodowano bydło rogate i konie, a także przetrzymywano zajęte zwierzęta domowe'. W tym znaczeniu używa Grzegorz Knapski (1564—1638) wyrażenia *zająć* (bydło obce) *do obory*. Trzymanie takiej obory leżało w interesie księcia cieszyńskiego zarówno ze względów gospodarczych, zaopatrzeniowych, jak i wojskowych. Toteż gdy po roku 1290 gród cieszyński zyskał na znaczeniu jako stolica samodzielnego księstwa i został rozbudowany, na pewno obora taka pod Cieszynem istniała. W każdym razie dawno przed jej najstarszym poświadczeniem źródłowym z roku 1592.

W roku 1657 był przy Oborze również młyn i folwark: *diese Mühle des Obora Vorwergks.* Folwark ten istniał w roku 1695, a w dokumencie z tego roku wymieniony jest *dwornik w Oborskym folwarku* (staropolskie *dwornik* ‚dozorca, rządca folwarku, włodarz dworski'). Słowiańska nazwa Obora razi niemieckich przybyszów, a także zgermanizowanych kancelistów, więc starają się ją zastąpić nazwą niemiecką. Stąd pojawia się *Forwerg* ***Thiergarthen*** 1692; *Vorwerg Thiergarten* 1722; chociaż ciągle jeszcze powraca tu i ówdzie dawna nazwa: *Obory* 1724, 1750; *Obora in Thiergarten* 1835.

W Słowniku Geograficznym Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich (tom VII, 1886, s. 335) czytamy: *Obora albo Zwierzyniec, niem. Tiergarten, część wsi Chociebądza, w powiecie i obwodzie sądowym cieszyńskim, na półn.-wsch. od wsi, na lewym brzegu Olszy, tuż przy torze kolei żelaznej cieszyńsko-bogumińskiej; ma 18 domów, 141 mieszkańców (mężczyzn 64, kobiet 77); rzymskokatolików 60, protestantów 81; wszyscy Polacy.*

Dopiero podczas spisu ludności w roku 1900 pojawia się obok nazwy Thiergarten po raz pierwszy nazwa ***Podobora***, *auch Zwierzyniec.* Powiedzieć tu trzeba, że nazwa *Zwierzyniec* jest nazwą papierową, która w gwarze nigdy nie zapuściła korzeni.

Cdn.

WŁADYSŁAW MILERSKI

[1] *H. Borek: Opolszczyzna w świetle nazw miejscowych. Opole 1972, s. 55*

[2] *W. Taszycki: Rozprawy i studia polonistyczne. Wrocław — Warszawa — Kraków 1959, s. 313—314.*

[3] *Por. też Listinář Těšínska (Codex diplomaticus Ducatus Tessinensis). Díl I. Část II. Český Těšín 1958, čís. 136.*

[4] *H. Borek, Opolszczyzna w świetle nazw miejscowych, Opole 1972, str. 13.*

[5] *M. Karaś, rec. pracy: V. Davídek: O názvech a jménech Těšínska . . „Onomastica" II, 1956, s. 343—344.*

[6] *L. Hosák, R. Šrámek: Místní jména na Moravě a ve Slezsku, tom I, Praha 1970, s. 517.*

[7] *Slovník jazyka českého. Zpracovali prof. Pavel Váša a dr. František Trávníček. Praha 1946, str. 13.*

[8] *Por. M. Karaś, Nazwy miejscowe typu Podgóra, Zalas w języku polskim i w innych językach słowiańskich, PAN-Komitet Językoznawczy: Prace Onomastyczne nr 1, Wrocław 1955, s. 144.*

[9] *L. Hosák, R. Šrámek, op. cit., tom II, s. 264.*

MIECZYSŁAW PIECHACZEK

W środę 6 maja br. przestało bić szlachetne serce nestora śpiewactwa polskiego na naszym terenie, serdecznego Przyjaciela, Druha, znakomitego śpiewaka-chórzysty, kierownika artystycznego, dyrygenta, organizatora i propagatora zespołów wokalnych świetlanej pamięci inż. Mieczysława Piechaczka, który zmarł w szpitalu trzynieckim w wieku 78 lat.

W domu rodzinnym w Karwinie na Sowińcu, gdzie się urodził 13 lutego w 1909 roku, otrzymał wykształcenie i wychowanie patriotyczne w całym tego słowa znaczeniu polskie. Wyrósł więc na człowieka o silnym, specyficznym charakterze. Świadomy poczucia własnej godności, nigdy nie skłaniał się do ślepego posłuszeństwa, uległości, kultu władzy — był niezłomnym patriotą i szlachetnym Polakiem, posługującym się na co dzień poprawnym językiem macierzystym. Oprócz pracy zawodowej w hucie trzynieckiej był nade wszystko działaczem społecznym, pozostającym do śmierci w służbie powszechnego ruchu śpiewaczo-muzycznego.

Związany z naszym regionem był zawsze gorącym zwolennikiem i orędownikiem amatorskich zespołów śpiewaczych, działających na Śląsku Cieszyńskim. Pierwsze w tym zakresie doświadczenia wyniósł z domu rodzinnego, pełnego zawsze muzyki i śpiewu, w którym przed pierwszą wojną światową odbywały się próby chóru męskiego i orkiestry nauczycielskiej powiatu frysztackiego, prowadzone przez nauczyciela Jana Kiszę. Od tej chwili muzyka i śpiew stały się pasją jego życia.

W szóstym roku rozpoczął grę na skrzypcach u nauczyciela Pawła Kubaczki, a później u nauczyciela wiolinistyki Franciszka Sochora w Karwinie. W niższych klasach gimnazjum orłowskiego grał na skrzypcach w orkiestrze szkolnej, a w wyższych klasach gimnazjalnych (w latach 1926—1928) śpiewał w dwóch chórach męskich: w szkolnym, pod batutą J. Kiszy, i klasowym, prowadzonym przez Karola Urbańczyka.

Podczas studiów na Akademii Górniczej w Krakowie (1929—1930) był członkiem słynnego chóru akademickiego pod dyrygenturą Adama Kopycińskiego, byłego dyrygenta Filharmonii Poznańskiej. Od roku 1930 M. Piechaczek kontynuował studia w Przybramie w Czechach na Akademii Górniczo-Hutniczej, którą ukończył w r. 1935 jako inżynier — metalurg. Tam w r. 1931 studenci Polacy: H. Kremiec, A. Ofiok, E. Liberda i M. Piechaczek założyli Koło Przyjaciół Polski, którego przewodniczącym był prof. Kalous a członkiem

wspierającym dr Jirkovský, późniejszy profesor Akademii Górniczej w Ostrawie. Przy tym Kole M. Piechaczek zorganizował i prowadził przez cztery lata chór męski (1931 do 1934). Z nim ćwiczył pieśni polskie i nieraz występował na wieczorkach muzyczno-wokalnych i recytacyjnych. Dysponując pięknym basem w okresie studiów w Przybramiu śpiewał również w chórze akademickim JEDNOŚĆ w Czeskim Cieszynie pod kierownictwem artystycznym swego kolegi i serdecznego przyjaciela Emanuela Guziura oraz w chórze praskiej sekcji JEDNOŚĆ (1934—1935), którym dyrygowali Józef Kazik i Karol Dziadura. Po ukończeniu studiów akademickich i powrocie do domu angażował się w chórze seniorów byłej akademickiej JEDNOŚCI tzw. TRZYNASTCE pod kierownictwem E. Guziura (1938—1939).

Lata drugiej wojny światowej i okupacji hitlerowskiej przeżywał bardzo ciężko, pracując w rolnictwie (Marklowice). Od września 1943 roku ścigany przez niemieckie gestapo, ukrywał się w Beskidach, często zmieniając miejsce swego pobytu, i w ten sposób przeżył szczęśliwie okres w jego życiu najtragiczniejszy.

Po wyzwoleniu związał się ponownie z amatorskim ruchem śpiewaczym, któremu służył nieugięcie dalej w nowej powojennej rzeczywistości. W latach 1946—1947 śpiewał dorywczo w kwartecie i chórze męskim TOWARZYSTWA ŚPIEWACZEGO w Cieszynie, którym dyrygowali Jerzy Drozd i Emanuel Guziur, oraz w reaktywowanym chórze akademickim TRZYNASTKA (1947—1948). W 1948 roku M. Piechaczek przyczynił się do wznowienia robotniczego chóru męskiego LUTNIA przy Kole Miejscowym PZKO w Trzyńcu, którego przez pierwsze dwa lata istnienia był dyrygentem. W latach 1950—1954 był członkiem chóru męskiego GOROL w Jabłonkowie, który prowadził Karol Heczko. Przy GOROLU zorganizował M. Piechaczek kwartet męski, który prowadził do 1952 roku. Odtąd praca z kwartetem męskim i małymi zespołami wokalnymi stała się jego ulubionym zajęciem. W roku następnym (1953) założył i przez jeden rok prowadził kwartet męski przy Miejscowym Kole PZKO w Trzyńcu-Kanadzie.

Niezwykłe zaangażowanie, upór w dążeniu do celu i nieodparta chęć służenia sprawie społecznej — nadawały postaci M. Piechaczka niecodziennych wartości, określających jego wielki autorytet moralny i bogatą osobowość. Jak mało kto, potrafił przekonać i zmobilizować do pracy śpiewaczej wiernych druhów, którzy na niwie społecznej wraz z nim współtworzyli pokaźny dorobek naszego ruchu amatorskiego.

W. r. 1954 M. Piechaczek był głównym inspiratorem, współzałożycielem i przewodniczącym przez pierwszych pięć lat Polskiego Chóru Męskiego przy Klubie Zakładowym Huty w Trzyńcu, który w rok później przyjął nazwę HUTNIK (dyrygował Karol Wronka). Przy tym zespole również zorganizował kwartet męski i był jego kierownikiem do 1966 roku, a przez następne trzy lata pracował z nim pod patronatem organizacyjnym ZG PZKO w Czeskim Cieszynie.

Po przejściu w stan spoczynku przeprowadził się z Trzyńca do własnego domu w Bystrzycy nad Olzą, i nie byłby to Piechaczek, gdyby i tu nie wznowił po 10-letniej przerwie działalności męskiego zespołu wokalnego i nie powołał do życia podwójnego tercetu żeńskiego. Należy tu podkreślić szczególne jego zasługi jako kierownika artystycznego, który chociaż już nie pierwszej młodości, a w dodatku nękany różnymi chorobami ofiarnie prowadził zespół przez 18 lat, był jego duszą, mogąc równocześnie służyć za wzór swym zdyscyplinowaniem i sumiennością w wykonywaniu swych zadań innym członkom zespołu.

Na przestrzeni ostatnich 40 lat swej działalności organizacyjnej i artystycznej M. Piechaczek nie szczędził wielu zabiegów o dobór odpowiedniego repertuaru. Często z braku

gotowych opracowań dla kwartetu męskiego sam harmonizował pieśni i współpracował w tym kierunku z Leonem Kaczmarkiem z Ostrowa Wielkopolskiego, Pawłem Kaletą i Eugeniuszem Fierlą. Z zespołami wyćwiczył przeszło 120 pieśni, które wykonywał na wokalnych przeglądach konkursowych polskich i czeskich, na kilkuset występach okolicznościowych i całowieczorowych w naszym regionie, w Polsce i na Morawach. Setki prób i występów, pozytywnie ocenionych przez społeczeństwo, zapisał M. Piechaczek w kilkutomowej kronice swego jakże bogatego życia śpiewaczo-muzycznego.

Za swoją długoletnią działalność społeczno-muzyczną i zasługi położone na polu krzewienia polskiej kultury muzycznej na naszym terenie został odznaczony m. in. Złotą Odznaką PZKO „Za Zasługi" (1972) i Medalem 25-lecia PZKO (1972), Dyplomem honorowym Okręgowego Ośrodka Kultury w Ostrawie (1982), Dyplomem za wybitne osiągnięcia Towarzystwa Łączności z Polonią Zagraniczną w Warszawie i Złotą Odznaką Honorową z Laurem Związku Polskich Chórów i Orkiestr w Warszawie (1979).

Pogrzeb jego odbył się 12 maja 1987 w Bystrzycy nad Olzą. Pochowany został na bystrzyckim cmentarzu, na który odprowadzili go starzy przyjaciele z okresu międzywojennego, jak też koledzy-śpiewacy z Bystrzycy, Trzyńca, Czeskiego Cieszyna i okolicy, żegnając Zmarłego jego umiłowaną pieśnią.

Cześć Jego pamięci.

BRUNON RYGIEL

Na uroczystości z okazji 70-lecia urodzin oraz jubileuszu Kameralnego Zespołu Śpiewaczego „Bystrzyca" w roku 1979 Mieczysław Piechaczek przyjmuje gratulacje z rąk przewodniczącego Sekcji Śpiewaczo-Muzycznej ZG PZKO Alojzego Kalety



fot. ARCHIWUM ZG PZKO

KRONIKA

ZG PZKO

■ Klub Medyków przy ZG PZKO odbył 8. 5. w Klubie PZKO w Cz. Cieszynie kolejne swoje spotkanie, na którym wysłuchano prelekcji MUDr. A. Bury pn. „Nagła śmierć noworodka".

■ Ostatnią i czwartą pozycją w tym sezonie wystawioną przez Teatr Lalek „Bajka" przy ZG PZKO była sztuka Wilhelma Przeczka pt. „Pluskacz i Mąciwoda" w reżyserii Pawła Żywczoka. Muzykę napisał Rudolf Chowaniok, a autorem scenografii była Halina Szkopek.

■ Dr Alina Kopoczek, pracownik naukowy Uniwersytetu Śląskiego, Filii w Cieszynie, opracowała obszerny Śpiewnik Macierzy Ziemi Cieszyńskiej. Wydany został z okazji stulecia Stowarzyszenia Kulturalno-Oświatowego Macierzy Ziemi Cieszyńskiej. Śpiewnik obejmuje pieśni historyczne, towarzyskie, współczesną twórczość regionalną oraz ponad 350 pieśni ludowych. Szatę graficzną śpiewnika opracowała Jadwiga Smykowska, o poprawność dialektologiczną zadbał Robert Danel, a redaktorem publikacji jest Kazimierz Fober.

■ Mistrzostwa PZKO'87 w siatkówce mężczyzn odbyły się 17. 5. w Mostach k. Jabł., zaliczone również jako kwalifikacja na tegoroczne Polonijne Igrzyska Sportowe w Krakowie. Do zawodów stanęło 7 drużyn z 6 Kół PZKO: Trzyniec-Podlesie, Trzyniec 6-Osiedle, Karwina-Frysztat, Błędowice, Ropica i Mosty k. Jabł. „A" i „B". Mistrzem PZKO stała się drużyna z Błędowic. Wyprzedziła drużyny Trzyniec 6-Osiedle i PZKO Mosty k. Jabł. „A". Poza konkursem udział w turnieju wzięła drużyna żeńska polskiego Gimnazjum w Cz. Cieszynie.

■ 22. 5. w pomieszczeniach Oddziału Literatur Narodowych Biblioteki Powiatowej w Karwinie-Frysztacie odbył się wernisaż wystawy fotografików SLA, imprezy towarzyszącej Festiwalowi PZKO. Swoje prace wystawiło 9 fotografików: F. Bałon, R. Rygiel, B. Krzywoń, J. Pindur, O. Szlauer, I. Szop, A. Szop, P. Wojoczek i T. Wratny. W programie kulturalnym wystąpili Ivana Spurná, Zbigniew Siwek — gitara klasyczna. Słowo wstępne wygłosił mgr M. Siedlaczek. Wystawa trwała do końca maja 87.

■ Przedfestiwalowa konferencja prasowa odbyła się 19. 5. Dziennikarze zwiedzili Dom PZKO w Błędowicach, gdzie wysłuchali obszernej informacji prezesa Koła T. Nierostka o bogatym dorobku błędowickich pezetkaowców. Następnie zwiedzono budowę nowego okazałego Domu PZKO w Milikowie-Pasiekach i wysłuchano informacji o aktywności Koła przedstawionej przez prezesa Koła Wł. Dronga. Właściwa konferencja prasowa odbyła się w Domu PZKO w Gutach z udziałem delegacji ZG PZKO inż. R. Suchanka, wiceprzewodniczącego Związku, Wł. Orszulika, I sekretarza ZG, i E. Hyrnika, członka Prezydium ZG i prezesa guckiego Koła PZKO. Dziennikarze zapoznali się z działalnością PZKO od początku jego istnienia.

■ 9 i 10. 5. odbył się w ramach 42. rocznicy wyzwolenia XVI z kolei Pionierski Rajd Zwycięstwa dla pionierów z szczepów przy szkołach z polskim językiem nauczania w Trzyńcu, Gnojniku, Suchej Górnej, Cz. Cieszynie, Bystrzycy, Mostach k. Jabł., Jabłonkowie i Wędryni, a także dla harcerzy z Kuźni Raciborskiej i Tarnowskich Gór oraz dla pionierów z czeskich szkół z 2. Szczepu OP przy SP w Cz. Cieszynie (ul. Ostrawska) i szczepu przy SP w Trzyńcu-Tarasie. Organizatorem rajdu była Komisja ds. Polskich Szczepów Okręgowej Rady OP SZM w Ostrawie oraz ZG PZKO, Milicje Ludowe HT WSRP i Redakcja „Gazetki Pioniera". Patronat nad stroną organizacyjną imprezy objął Szczep im. F. Dzierżyńskiego przy I PSP w Trzyńcu I. Na starcie w Trzyńcu stanęło 14 pięcioosobowych patroli pionierów i harcerzy. Celem rajdu był ośrodek Milicji Ludowych w Koszarzyskach. Maszerowano dwoma trasami. Było także ognisko z programem,

w którym m. in. wysłuchano opowiadania o tragedii w Lidicach z ust naocznego świadka Anny Rohlowej, przewodniczącej ZBA w Lidicach. Najlepszymi okazali się pionierzy szczepu im. F. Dzierżyńskiego przy PSP w Trzyńcu I.

■ Po czteromiesięcznej przerwie zimowej rozpoczęto kontynuację robót przy rekonstrukcji ośrodka szkoleniowego ZG PZKO w Koszarzyskach. Pierwsi ochotnicy, grupa SAJ-owców, rozpoczęli prace 2. 5.

■ W dniu 6. 5. w Klubie PZKO w Cz. Cieszynie odbyła się pierwsza próba nowo utworzonego zespołu wokalnego polskich nauczycielek. Dyrygentem tego zespołu została nauczycielka muzyki Wanda Miech.

■ Na zaproszenie Toruńskiego Towarzystwa Kulturalnego od 22—24. 4. bawiła w Toruniu delegacja ZG PZKO w składzie Wł. Orszulik, I sekretarz, i R. Popiołek, członek Prezydium ZG. Z kierownictwem TTK omówiono i uzgodniono konkretną współpracę z ZG PZKO. Ustalono m. in., że tegoroczne uroczystości lipcowe w Toruńskiem uświetni swoimi koncertami ZPiT „Górnik". Odbyło się także spotkanie naszej delegacji z sekretarzem KW PZPR ds. propagandy J. Szymańskim.

■ 16. 5. w Ligocie Dolnej k. Ostrawy odbyły się I Międzynarodowe mistrzostwa CSRS w ringo. Ich organizatorami byli KO SZM, Akademia Górnicza, KM SZM w Ostrawie oraz czeski KC SZM. Udział wzięło 110 zawodników z 15 miejscowości w CSRS, w tym drużyna PZKO Cz. Cieszyn-Centrum oraz drużyny z PRL, z Warszawy i Wrocławia. Mistrzostwa zagaił twórca i niezmordowany propagator ringo Włodzimierz Strzyżewski z Warszawy. W kategorii kobiet 1. miejsce zajęła Jolanta Urbaś z Cz. Cieszyna, w kategorii dwójek 1. miejsce L. Widenka i M. Wałach z Cz. Cieszyna, a w kategorii mężczyzn 1. miejsce zdobył G. Woźniak z AZS Wrocław a drugie L. Franek z Cz. Cieszyna. W sukcesie ringowców z Cz. Cieszyna duży udział mają ZG PZKO i MK PZKO Cz. Cieszyn-Centrum.

■ Sekcja Czytelniczo-Bibliotekarska przy ZG PZKO zorganizowała 29. 4. 87 na zaproszenie Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Bielsku-Białej autokarową wycieczkę bibliotekarzy polskich oddziałów bibliotek publicznych z powiatów Karwina i Frydek-Mistek do Bielska-Białej. Zwiedzono bibliotekę wojewódzką, miasto Bielsko-Białą, muzeum G. Morcinka w Skoczowie oraz bibliotekę szkolną Zespołu Szkół im. Osuchowskiego w Cieszynie.

■ Chór Nauczycieli Polskich przy ZG PZKO 17. 5. uczestniczył w XI Powiatowym Przeglądzie Zespołów Śpiewaczych OB pn. „Staroveské Arkády 1987" w Starej Wsi n. Ondrzejnicą, któremu patronowali POK i PZSR we Frydku-Mistku.Przegląd poświęcono 70. rocznicy WSRP i XI Zjazdowi RZZ. W przeglądzie oprócz ChNP uczestniczyło 5 chórów wiejskich oraz gościnnie żeński chór kameralny DK NHKG z Ostrawy.

■ Na zaproszenie Międzyzakładowego Domu Kultury „Włókniarz" w dniu 1 maja przebywał w Bielsku-Białej ZPiT „Olza". Nasz reprezentacyjny zespół maszerował w pochodzie 1-majowym oraz wystąpił z koncertem.

■ Na zaproszenie Towarzystwa Łączności z Polonią Zagraniczną „Polonia" oraz Polskiego Związku Chórów i Orkiestr w Warszawie od 9—11. 5. bawił w stolicy PRL zespół regionalny „Gorol" przy MK PZKO Jabłonków. Zrealizował 2 koncerty, pierwszy w amfiteatrze w Pułtusku, którym zainaugurowano przewidziane w przyszłości występy zespołów polonijnych z całego świata, a drugi w Domu Kultury przy ulicy Elektoralnej w Warszawie. Zespół „Gorol" został przyjęty przez zastępcę sekretarza generalnego Tow. Łączności z Polonią Zagraniczną „Polonia" A. Pieniaka.

■ 9. 5. przebywały w Katowicach na Śląskich Dniach Folkloru chór mieszany oraz zespół regionalny „Górole" MK PZKO Mosty k. Jabł. na zaproszenie Polskiego Związku Chórów i Orkiestr, Oddziału Śląskiego w Katowicach. Chór koncertował dwukrotnie, a zespół „Górole" wystąpił z jednym koncertem. Od 7 do 10. 5. w Śląskich Dniach Folkloru uczestniczyła także kapela ludowa zespołu „Górole", która wystąpiła 9-krotnie.

■ 5. 5. w Klubie PZKO w Cz. Cieszynie odbyło się kolejne zebranie Sekcji Folklorystycznej ZG PZKO i jej Klubu Plastyków Ludowych. Omówiono i uściślono imprezy Sekcji, którymi folkloryści pragną uświetnić obchody 40-lecia PZKO.

■ Sekcja Akademicka „Jedność" przy ZG PZKO urządziła 16. 5. w Domu PZKO w Mostach k. Cz. Cieszyna tradycyjną imprezę pn. „Majsaj", czyli pożegnanie z absolwentami.

■ Nagrania wzorcowego utworu chóralnego na Festiwal PZKO'87 pt. „Proste słowa" Józefa Świdra do tekstu Adolfa Dostala dla zespołów męskich dokonał Chór Nauczycieli Polskich z dyrygentem A. Kaletą. Do obydwu nagrań akompaniowała Wanda Miech.

■ Kilkadziesiąt wspaniałych upominków dla honorowych gości tegorocznego jubileuszowego Festiwalu PZKO wykonały bezinteresownie w czynie społecznym członkinie wielu Zespołów Kobiet w Kołach PZKO.

ZBRATANIE POPRZEZ WSPÓLNY LOS ...

Zapraszając z okazji tegorocznego Dnia Zwycięstwa przedstawicielkę Lidic Zarządowi Głównemu PZKO chodziło przede wszystkim o przekazanie obrazu, którego autorem jest Tadeusz Ramik a który powstał w czasie pleneru malarskiego zorganizowanego przez SLA w Żywocicach w roku 1984 z okazji 40. rocznicy tragedii, do jakiej doszło w tej miejscowości. (Na zdjęciu akt przekazania obrazu przez przewodniczącego pionu plastycznego SLA inż. Bronisława Firlę.) Spotkanie z młodzieżą i przybliżenie jej prawdziwego oblicza hitlerowskiego faszyzmu było dalszym powodem zaproszenia naocznego świadka zbrodni popełnionych w Lidicach w roku 1942, a świadkiem tym była Anna Rohlowa, przewodnicząca Podstawowej Organizacji Związku Bojowników Antyfaszystowskich. Główną uroczystością, w której wzięła udział, było spotkanie zorganizowane przez tamtejsze Koło PZKO w dniu 9 maja w wypełnionej sali Domu Kultury w Kocobędzu oraz złożenie hołdu ofiarom faszyzmu. Specjalną wymowę miały jednak liczne spotkania z czeskocieszyńską młodzieżą szkolną w Szkole Ekonomicznej, w Gimnazjum z polskim językiem nauczania, w Polskiej Szkole Podstawowej, w czeskim Gimnazjum oraz spotkanie z pionierami w Ośrodku Wczasowym Milicji Ludowych w Koszarzyskach. Prelegentka wyraziła wdzięczność, jaką żywią obywatele Lidic dla nieżyjącego już polskiego lekarza dr. Jana Zieliny z Cieszyna oraz pielęgniarki Makowskiej, którzy otoczyli troskliwą opieką, narażając własne życie, dzieci lidickie, które przewieziono do Łodzi. O ofiarach obywateli Śląska Cieszyńskiego w czasie II wojny poinformowano Annę Rohlową w czasie pogadanki w Zarządzie Głównym w obecności kilku byłych więźniów obozów koncentracyjnych. Przypomniano tam dwie historyczne daty: 10. 6. 1942 oraz 6. 8. 1944, które w następstwie wspólnego losu zbratały obywateli Lidic i Żywocic. Wizyta Anny Rohlowej w Czeskim Cieszynie była ostrzeżeniem, jak bardzo niebezpieczny i tragiczny w skutkach jest faszyzm. Przekonanie o tym niebezpieczeństwie młodzieży było ważnym przyczynkiem do zdecydowanej walki o pokój na całym świecie, przeciwko wojnie i bezprawiu.



fot. KAZIMIERZ BRANNY

■ W turnieju ringo z okazji 30-lecia TKKF w Krakowie udział wzięli również ringowcy PZKO z Cz. Cieszyna. W kategorii kobiet zwyciężyła Jolanta Urbaś (PZKO), w dwójkach wygrały Janina Piszkiewicz (PZKO) i Janina Pecyna (AZS Wrocław). W kategorii mężczyzn 2. miejsce zajął Milan Wałach (PZKO), w dwójkach zwyciężyli M. Wałach i Leo Widenka przed Leszkiem Frankiem i Adamem Szymonikiem (wszyscy PZKO).

■ 26. 5. w salce zebrań ZG PZKO w Cz. Cieszynie odbyło się piąte zebranie w br. Prezydium Zarządu Głównego PZKO poszerzone o przewodniczących Sekcji Roboczych ds. F-PZKO'87, Komisję Festiwalową oraz o przewodniczących Komitetów Miejskich i Obwodowych PZKO. Przeprowadzono ostateczną kontrolę przygotowań do Festiwalu PZKO'87. Prezesi KMiO przedstawili stan przygotowań obwodów do Festiwalu. Omówiono także realizację rekonstrukcji ośrodka szkoleniowego ZG PZKO w Koszarzyskach oraz nowelizację statutu PZKO.

BOGUMIN

■ Klub Młodych Koła PZKO w Skrzeczoniu zorganizował trzydniową zimową wycieczkę do Ostrawicy, przygotował program kulturalny na obwodową zabawę śmiergustową w Lutyni Dolnej, uczestniczył w turniejach tenisa stołowego w Wierzniowicach i Lutyni Dolnej, we własnym Kole i w finale mistrzostw PZKO. Taneczny zespół młodzieżowy wystąpił na kilku balach w obwodzie bogumińskim, a instrumentalny „Krater" zaliczył 12 występów, w tym w Sidzinie w PRL.

BYSTRZYCA

■ Zespół Kobiet MK PZKO Milików-Centrum urządził 2 i 3. 5. w Domu PZKO wystawę szycia i robót ręcznych.





Sekcja Literacko-Artystyczna ZG PZKO zorganizowała od 14—31. 5. w Galerii im. Mánesa w karwińskim Domu Kultury festiwalową wystawę plastyków SLA poświęconą 40-leciu PZKO. Wernisaż wystawy odbył się 14. 5. br. Zagaił go przewodniczący Pionu Plastyków SLA inż. B. Firla, a przemówienia okolicznościowe poświęcone historii i dorobkowi SLA wygłosił Wł. Sikora, literat, członek SLA. W programie kulturalnym z recytacją wystąpił Karol Suszka, kierownik SP TC. Obecni byli konsul PRL w Ostrawie H. Zieliński oraz delegacja ZG PZKO z Wł. Orszulikiem, I sekretarzem Związku. Na wystawie swoje prace zaprezentowało 14 plastyków, członków SLA: J. Drong, B. Firla, R. Chmiel, J. Kneis, R. Kobiela, S. Kraus, Z. Kubeczka, B. Liberda, Wł. Pasz, O. Pawlas, J. Rusnok, H. Szkopek, W. Taszek i T. Wratny.

fot. TADEUSZ GABRYŚ

WYSTAWA MAJOWA

W dniach od 30. 4.—2. 5. czynna była w Klubie PZKO na Bożka w Czeskim Cieszynie tradycyjna wystawa, dedykowana 40-leciu Związku, którą pezetkaowcy z Koła Centrum pragnęli dołożyć swoją cegiełkę do podniosłego nastroju obchodów Dni Majowych. Już po raz dziesiąty zaprezentowały dzieło swych pilnych rąk członkinie Zespołu Kobiet, którego przewodniczącą jest Halina Branna. Przedstawiły owoc wielogodzinnego, żmudnego trudu przy różnego rodzaju robótkach ręcznych, czyli haftowaniu, robieniu na drutach i szydełkowaniu, a całości dodały dodatkowego blasku ikebanowe bukiety. W drugiej salce znajdowała się ekspozycja poświęcona 30-leciu chóru „Harfa" i 60-leciu założenia polskich chórów w Czechosłowacji. Wernisaż zagaił Władysław Josiek, a w programie artystycznym wystąpił miejscowy dziewczęcy kwartet wokalno-instrumentalny. Największy tłok panował na wystawie w dniu 1 Maja, kiedy to spotkali się tam jak co roku uczestnicy pochodu, a wśród nich przedstawiciele władz powiatowych i miejskich oraz delegacji Cieszyna, Kysuckiego Nowego Miasta i Cieszyńskiej Jednostki Lotniczej z Czaslawia. Wszyscy z zainteresowaniem obejrzeli wystawę i delektowali się smakołykami kuchni śląskiej. Dużym wzięciem cieszyła się również loteria, na której można było wygrać różne drobiazgi, wykonane także przez gospodynie wystawy.







fot. KAZIMIERZ BRANNY

■ Zespół Kobiet MK PZKO w Bystrzycy zrealizował od 1 do 3. 5. w Domu PZKO wystawę robót ręcznych z okazji 40-lecia PZKO. Panowie mogli zakupić na wystawie miotły, grabie, kosiska i kosze wiklinowe.

■ Na zaproszenie Towarzystwa Turystyczno-Sportowego „Ogniwo" w Katowicach przebywał z okazji Dni Majowych na Górnym Śląsku 40-osobowy ZPiT „Bystrzyca", pracujący przy miejscowym Kole. Zespół dał koncert w sali Zespołu Szkół Zawodowych im. M. Kopernika w Rudzie Śląskiej w ramach obchodów Świąt Majowych.

■ Z okazji 42. rocznicy wyzwolenia oraz 40-lecia PZKO Koło PZKO w Bystrzycy zrealizowało 10. 5. w Domu Robotniczym Koncert Majowy. Program wykonały: ZPiT PZKO „Bystrzyca", szkolny zespół folklorystyczny „Łączka" oraz chór mieszany SA„J" „Collegium Canticorum" pod batutą Leszka Kaliny.

■ Zespół Kobiet przy Kole PZKO w Nydku zorganizował od 8. 1. do 26. 3. kurs szycia pod kierownictwem Ewy Szurman.

CZESKI CIESZYN

■ Klub Propozycji MK PZKO Cz. Cieszyn-Osiedle zorganizował 27. 4. w salce na Mojskiem wieczór filmowy. 4. 5. br. w tym samym lokalu Klub Propozycji urządził „Wieczór pieśni rewolucyjnych, robotniczych i narodowych". 18. 5. JUDr Mrózkowa, pracownik Prokuratury Powiatowej w Karwinie mówiła o przestępczości w powiecie karwińskim.

■ Sekcja Turystyczna przy sibickim Kole PZKO zrealizowała w maju 5 wycieczek: do Mostów k. Jabł. i Łomnej, na Akat, do Frensztatu i na Pustewny, do Czadcy, na Husarik i Zakopczie, do Wędryni, na Kozieniec i do Oldrzychowic oraz do Nydku i Kolibiska.

■ Zespoły śpiewacze „Harfa" przy kole PZKO Cz. Cieszyn-Centrum zorganizowały 9. 5. w sali Teatru Cieszyńskiego „Koncert Wiosenny'87" dla uczczenia 40. rocznicy założenia PZKO i 60-lecia założenia Związku Polskich Chórów w Czechosłowacji. Przemówienie wygłosił inż. E. Macura, przewodniczący Koła, gospodarza imprezy. W koncercie udział wzięły delegacje ZG PZKO z J. Cieślarem, członkiem Prezydium, oraz Koła Macierzy Ziemi Cieszyńskiej z PRL. Wykonawcami koncertu były: 70-osobowy chór miejscowej PSP pod kierownictwem Janiny Kudelka, zespoły śpiewacze „Harfa" — chóry żeński, męski i mieszany pod batutą Alojzego Kalety i Alojzego Kopoczka oraz gościnnie pianista Franciszek Polednik. Imprezę prowadził Andrzej Jaroszewski, redaktor Polskiego Radia.

■ Zespół Kobiet przy MK PZKO Cz. Cieszyn-Mosty odbył 15. 5. w swoim Domu PZKO spotkanie połączone z prelekcją ob. Remeszowej pn. „Miód i jego zastosowanie". Zarząd tego Koła wspólnie z MK PZKO Cz. Cieszyn-Osiedle urządził w Domu PZKO tradycyjną „Majówkę".

■ Zespół Kobiet przy mistrzowickim Kole PZKO zrealizował 9 i 10. 5. w sali restauracji na Fibakówce wystawę robót ręcznych.

■ W tegorocznym pochodzie 1-majowym w Cz. Cieszynie maszerowały także zespoły PZKO: chóry „Harfa", Zespół Regionalny „Sibica" oraz zespół dziecięcy „Rytmika" przy ZG PZKO.

GNOJNIK

■ Obchody Dni Majowych pezetkaowcy obwodu gnojnickiego uczcili akademią pn. „Wiosna Kulturalna" dedykowaną 40-leciu PZKO. 3. 5. w sali restauracji „Stonawka" w Gnojniku wystąpił prawie 70-osobowy chór dziecięcy przy PSP w Gnojniku pod batutą Krystyny Pieknik. Były również recytacje, występ zespołu instrumentalnego oraz dziecięcego zespołu tanecznego pod kierownictwem Ireny Duda. Drugą część programu wypełniły występy zespołu tanecznego przy MK PZKO Trzanowice z choreografem O. Jaworkiem oraz obwodowy chór mieszany PZKO „Godulan" z dyrygentką inż. Ireną Krzyżanek.

■ Amatorski zespół śmiłowickiego Koła PZKO odegrał 9. 5. w sali miejscowego Ośrodka Kultury z okazji 40-lecia Związku trzy jednoaktówki: „Kalosze" A. Fredry, „Rodzinny supełek" A. Lachowicza oraz „Jeden z nas musi się żenić". Przedstawienie wyreżyserowała Zofia Wanok.

HAWIERZÓW

■ Koło PZKO w Suchej Górnej zorganizowało od 25—28. 4. w Domu PZKO z okazji 40. rocznicy założenia PZKO zbiorową wystawę plastyków swojego Koła. Ekspozycja obejmowała obrazy pędzla J. Śliwki, J. Urbana, J. Palowskiego, S. Burego i T. Górala.

■ W ramach współpracy górnosuskiego Koła PZKO z Fabryką Samochodów Małolitrażowych w Bielsku-Białej zarząd Koła zorganizował 26 i 27. 4. wycieczkę dla chóru „Harfa", działającego przy DK FSM w Bielsku-Białej. Odbyło się „Rajd Śladami Operacji Ostrawskiej", zwiedzono "Arboretum" w Nowym Dworze k. Opawy, Ołomuniec i zamek Bouzów. Górnosuskie Koło PZKO zorganizowało w ramach współpracy z DK FSM w Bielsku-Białej od 7 do 9. 5. autokarową wycieczkę do Warszawy. Wycieczkowicze zostali przyjęci przez

kierownictwo Towarzystwa Łączności z Polonią Zagraniczną „Polonia". Delegacja Koła w ramach uroczystej odprawy warty z okazji Dnia Zwycięstwa złożyła wieniec na Grobie Nieznanego Żołnierza.

■ Klub Emerytów przy MK PZKO Hawierzów-Centrum zorganizował 14. 5. w świetlicy „Pod Arkadami" prelekcję z przezroczami pt. „Wrażenia z Kuwejtu", którą wygłosiła MUDr H. Paszkowa.

■ Klub Seniora MK PZKO w Błędowicach zrealizował 20. 5. ekskursję do cieplarni oraz ogrodu przedsiębiorstwa ZOK „Rekultywacje". Z osięgnięciami przedsiębiorstwa zapoznała obecnych inż. Ewa Sikora.

JABŁONKÓW

■ MK PZKO w Jabłonkowie przygotowało w swoim Domu PZKO na tegoroczne Święto Pracy wystawę pod hasłem „Historia naszego miasta". Otwarcia wystawy dokonano 1. 5. Wyeksponowano na niej rękodzielnictwo rzemiosł, z których słynął Jabłonków: tkactwo, garncarstwo, domowy wyrób świec i kościanych grzebieni, garbowanie skóry, meblarstwo ludowe itp. Prezentowano oryginalne wyroby jabłonkowskich rzemieślników oraz narzędzia pracy, jakimi się posługiwali. Wystawę uzupełniono bogatą dokumentacją fotograficzną, rysunkową i piśmienną. Wystawę zainstalował członek Sekcji Folklorystycznej ZG PZKO Antoni Szpyrc.

■ Zespół Kobiet przy MK PZKO w Piosku zorganizował 9. i 10. 5. w areale sportowym „Sokol" wystawę robót ręcznych poświęconą 40. rocznicy założenia PZKO.

■ Zespół teatralny przy MK PZKO w Boconowicach wystawił 17. 5. w sali miejscowego Domu Kultury z okazji 40-lecia PZKO sztukę teatralną Władysława Młynka pt. „U nas dóma" w reżyserii inż. Zygmunta Brannego.

■ MK PZKO — kółko teatralne w Bukowcu odegrało 24. 5. w sali gospody „Jednoty" u Sikory (U Turka) przedstawienie teatralne. Zaprezentowało dwie komedie Wł. Młynka pt. „Tako miłość" i „Z deszczu pod rynne". Przedstawienie wyreżyserował kolektyw pezetkaowców.

■ Zespół teatralny Koła PZKO w Łomnej Górnej odegrał 20. 4. w sali miejscowej gospody sztukę teatralną Władysława Niedoby pt. „Snemby" w reżyserii Stanisława Stryczka.

■ Od 23 do 25. 5. w DK w Jasieniu drużyna OP SZM przy PSP w Nawsiu przy współpracy i pod patronatem MK PZKO Jasienie odegrała bajkę pt. „Sól cenniejsza niż złoto". Sztukę wyreżyserowała Emilia Sikora.

KARWINA

■ Klub Propozycji przy frysztackim Kole PZKO zrealizował 27. 4. w Domu PZKO akcję oświatową, na której E. Kaim wygłosił odczyt pt. „Polonia francuska" połączony z wyświetlaniem przezroczy. 25. 5. Klub Propozycji zorganizował w Domu PZKO prelekcję MUDr J. Krzywonia pt. „Witaminy i zdrowie".

■ Na zaproszenie chóru mieszanego „Sienkiewicz", działającego przy Hucie Cynku w Tarnowskich Górach — Miasteczku Śląskim bawił w PRL 2 i 3. 5. chór żeński „Kalina" przy frysztackim Kole PZKO. Obok chóru gospodarza wykonał pod batutą O. Winklera znaczną część programu na uroczystości z okazji 25-lecia Huty Cynku. Zespół „Kalina" i chór „Sienkiewicz" uzgodniły rewanżowe spotkanie w Karwinie na uroczystościach 70. rocznicy WSRP.

■ 9. 5. Koło frysztackie urządziło wycieczkę autokarową do Ustronia, Wisły i Żywca.

■ 26. 4. odbył się w teatrzyku PSP w Karwinie-Nowym Mieście koncert dziecięcego zespołu tanecznego „Dolina". Organizatorem było MK PZKO w tej dzielnicy Karwiny. Koncert dedykowano 40. rocznicy założenia PZKO oraz Dniom Majowym. Zespół „Dolina", działający przy Miejskim Domu Pioniera i Młodzieży w Karwinie-Nowym Mieście, liczący z kapelą około 70 członków, rekrutuje się z PSP w Karwinie-Nowym Mieście i Frysztacie. Zespół przedstawił tańce i zabawy ludowe z różnych regionów Polski i Czech. Dochód z imprezy został przeznaczony na konto Izby Pamięci Żwirki i Wigury w Cierlicku-Kościelcu.

■ Wystawę haftu i szycia pod hasłem „Aby nam się milej żyło, aby w domu było piękniej" przygotowaną z okazji 40-lecia PZKO zorganizował 9 i 10. 5. w Domu PZKO Zespół Kobiet przy MK PZKO Karwina-Stare Miasto. Wystawę przygotowały przewodnicząca ZK Maria Kucharczyk i Rozalia Uherek.

■ MK PZKO w Karwinie-Raju zorganizował 9. 5. w Domu PZKO uroczystą Akademię z okazji Dnia Zwycięstwa. Przemówienie okolicznościowe wygłosił przewodniczący Koła PZKO T. Puchała. Na program Akademii złożyły się występy chóru mieszanego „Dźwięk" przy Kole PZKO w Raju pod batutą H. Goniewicz-Urbaś oraz dzieci szkolnych PSP we Frysztacie.

■ MK PZKO w Darkowie zrealizowało 13. 5. w swojej świetlicy seans filmowy. Wyświetlono polski film pt. „Podróże pana Kleksa".

■ Na Wieczorze Leninowskim 25. 4. zorganizowanym przez Związek Przyjaźni Czechosłowacko-Polskiej w Karwinie koncertował m. in. zaproszony chór żeński „Kalina" przy Kole PZKO Frysztat, prowadzony przez Otokara Winklera z pianistką







Mistrzostwa PZKO oraz igrzyska młodzieży PSP w lekkiej atletyce odbyły się 24. 5. na stadionie przy ulicy Leśnej w Trzyńcu, także jako kwalifikacja na PIS'87 w Krakowie. Udział wzięło ponad 70 lekkoatletów pezetkaowców z 15 Kół PZKO. Drużynowo zwyciężyły Mosty k. Jabł. przed PZKO Oldrzychowice i PZKO Wędrynia. Padły dwa rekordy PZKO.

fot. HENRYK CIEŚLAR

Heleną Pawlas, konferansjerką Urszulą Winkler i recytatorami J. Szarowską i J. Malczykiem.

■ Koło PZKO w Karwinie na Sowińcu urządziło 17. 5. w Domu PZKO świetlicę majową. W programie m. in. prelekcję połączoną z wyświetlaniem przezroczy pn. „Przez Kaukaz do Morza Czarnego" wygłosili J. i W. Gałuszkowie.

ORŁOWA

■ Zarząd MK PZKO w Łazach urządził 28. 4. w pawilonie na Podlesiu prelekcję MUDr. H. Paszkowej pt. „Bóle kręgosłupa".

■ MK PZKO w Rychwałdzie zorganizowało 2. 5. w świetlicy przedfestiwalowe zebranie członkowskie. Po zebraniu wyświetlono polski film fabularny z serii „O7, zgłoś się".

■ Zespół Kobiet MK PZKO w Dąbrowej urządził 5 i 10. 5. w Domu PZKO wystawę kulinarną przygotowaną z okazji zakończenia kursu zimnej kuchni.

■ MK PZKO w Orłowej-Porębie urządziło 21. 5. w świetlicy prelekcję o Kaszubach.

■ Komitet Miejski PZKO w Orłowej odbył 25. 5. w swoim lokalu w Porębie zebranie pod kierownictwem F. Halfara, prezesa Komitetu. Omówiono ostateczne przygotowanie obwodu orłowskiego do udziału w Festiwalu'87 oraz najbliższe zadania obwodu.

TRZYNIEC

■ Koło PZKO w Trzyńcu 6-Osiedlu zorganizowało 29. 4. w Domu PZKO im. A. Wawrosza prelekcję z przezroczami MUDr. H. Paszkowej pt. „Wrażenia z pobytu w Kuwejcie".

■ Zespół Kobiet MK PZKO w Oldrzychowicach urządził 1—3. 5. w Domu PZKO jubileuszową wystawę haftu i prac ręcznych pod hasłem „Trzeba rąk, trzeba serc ...". Była to 10. jubileuszowa wystawa pokazująca dorobek pań tego Koła. Aranżację całej wystawy wykonała Helena Zmełty, kwiaty ułożyła Zofia Kukuczka, prace malarskie wystawiała Anna Raszykowa.

■ Zespół teatralny Koła PZKO w Oldrzychowicach wystawił 30. 4. i 1. 5. w sali restauracji „U Tyrasa" sztukę I. Bukovčana pt. „Poszukiwanie w chmurach" w reżyserii Kazimierza Wojnara.

■ Zespół Kobiet Koła PZKO w Lesznej Dolnej urządził 5. 5. w sali „Braterstwa" prelekcję pt. „Miód i jego zastosowanie".

■ W roku jubileuszowym PZKO Koło PZKO w Trzyńcu VI — Wsi zorganizowało tradycyjną mikołajówkę z udziałem dzieci z patronackiego przedszkola w Łyżbicach przy ulicy SPN, spotkanie przy świecach, bal towarzyski z udziałem ponad 50 procent członków, MDK'87. W kwietniu br. złożono kwiaty na grobach ofiar faszyzmu na cmentarzu na Kamionce. 9 i 10. 5. Zespół Kobiet zrealizował w lokalu FN nr 110 na przeciwko hotelu „Slovan" wystawę robót ręcznych pt. „Wczoraj i dziś". Pod przewodnictwem Jarosławy Jursa przygotowano ponad 400 ciekawych eksponatów oraz bufet.

■ W Kole PZKO w Nieborach obok nowego zespołu tanecznego zrzeszającego młodych pezetkaowców z Nieborów, Podlesia, Ropicy i Gutów odnowił swoją działalność „Klub pod Świecznikiem".

■ Koło PZKO w Nieborach zaprosiło do siebie zespół teatralny z Kocobędza, który 3. 5. wystawił dwie jednoaktówki Władysława Niedoby „Wajca Feniksa" i „Babski raj" w reżyserii inż. Tadeusza Wacławika.

■ 16. 5. w Domu PZKO w Nieborach odbyła się tradycyjna 34. z rzędu „Oszeldówka", czyli Dzień Pawła Oszeldy, traktowana jako impreza trzynieckiego obwodu pezetkaowskiego. Program kulturalny wykonały zespoły Koła — gospodarza. Wystąpił „Klub pod Świecznikiem" z widowiskiem poświęconym osobie Pawła Oszeldy, dalej po raz pierwszy w Nieborach chór mieszany z dyrygentką I. Małyszową oraz zaproszony Zespół Regionalny „Sibica".

■ W Trzyńcu-Podlesiu przy mieszczącej się w parku tablicy pamiątkowej „starego nauczyciela" Jana Kubisza odbyło się 19. 5. przyrzeczenie iskier i pionierów drużyny, noszącej Jego imię. Uroczystość zakończyła wspólnie zaśpiewana pieśń „Płyniesz Olzo", której tekst napisał właśnie Jan Kubisz. Przewodniczący MK PZKO Józef Kubisz wręczył dzieciom upominki, ufundowane przez Koło.

■ Oddział turystyki przy KS Wędrynia oraz MK PZKO i FN w tej dzielnicy Trzyńca urządziły 9. 5. tradycyjny Marsz Zwycięstwa. Przygotowano 7 tras: łatwych — dla najszerszego grona uczestników, jak i bardzo trudnych — dla wyczynowych turystów. Długość tras wynosiła: 12, 20, 25, 30, 40, 50 i 65 km.

■ MK PZKO — Klub Seniora w Wędryni zorganizował 25. 5. w Domu PZKO „Czytelni" spotkanie majowe. Omówiono przygotowania Koła do Festiwalu PZKO'87 oraz do wycieczki krajoznawczej. Odbyło się również tradycyjne smażenie jajecznicy z programem kulturalnym i zabawą.

■ Zespół Kobiet przy Kole PZKO Trzyniec-Kanada urządził 23 i 24. 5. w Klubie PZKO spotkania, na których pieczono miodowe serduszka na tegoroczny Festiwal PZKO.

TO I OWO

Pod nagłówkiem ,,Przed festiwalem w roku 40-lecia PZKO. W trwałej jedności internacjonalistycznej" 114. nr. ,,Novej svobody" przynosi artykuł informujący czeskie społeczeństwo Północnomorawskiego o działalności Związku oraz zaproszenie na Festiwal PZKO. Mylący byłby pogląd — *pisze autor artykułu* — że w tej organizacji tylko się tańczy i śpiewa, że działalność ukierunkowana jest jednostronnie. Przecież już od szeregu lat jest to w zakresie naszego okręgu jedna ze znaczących organizacji Frontu Narodowego, zrzeszająca dzisiaj 23 913 członków. (...) 7 471 członków nie przekroczyło jeszcze wieku 30 lat, co stanowi gwarancję, że ich aktywność będzie stopniowo wzrastać. (...)

Katowicki ,,Dziennik Zachodni" w swym 107. nr. pisze pod zdjęciem chóru mieszanego z Mostów koło Jabłonkowa:

Śląscy śpiewacy i muzycy gościli na swoim tradycyjnym Święcie Pieśni rodaków zza Olzy. W związku z przypadającym w tym roku 40-leciem PZKO i 60. rocznicą założenia Związku Polskich Chórów w Czechosłowacji dedykowali im koncert, który odbył się w katowickim Centrum Kultury (...) Wysoko oceniono zaangażowanie PZKO w rozbudzaniu zamiłowania do śpiewu zbiorowego. Przewodniczącemu PZKO Stanisławowi Kondziołce (...) i sekretarzwi Władysławowi Orszulikowi przyznano medale im. Michała Wolskiego. *Artykuł nosi tytuł ,,Święto Pieśni dedykowane rodakom zza Olzy".*

W 103. nr. ,,Dziennika Zachodniego" w notatce ,,Klub propozycji zaprasza" anonsowane jest spotkanie z szefem ,,Zwrotu", które odbyło się 8 maja w cieszyńskim Centrum Kultury w ,,Naszym Kąciku".

Ten sam numer ,,Dziennika ..." w rubryce ,,Spotkania z Polską" drukuje obszerny artykuł Rajmunda Hanke pn. ,,Radość rodaków zza Olzy" nt. naszego ruchu śpiewaczego. Cytujemy:

Pod auspicjami PZKO działa obecnie 39 chórów. Śpiewa sam Stanisław Kondziołka, prezes PZKO — śpiewa w chórze ,,Hejnał-Echo" od ponad trzydziestu lat. W samej tylko czeskocieszyńskiej ,,Harfie" prowadzonej pod dyr. Krystyny Suszki i Alojzego Kalety śpiewakami są m. in.: przewodniczący Koła PZKO w Cz. Cieszynie-Centrum inż. Edwin Macura, prezes Miejskiego Komitetu Tadeusz Smugała, kierowniczka biblioteki miejskiej Lidia Gojniczek, członkini KC Związku Zawodowego Nauczycieli Danuta Wachtarczyk, redaktorka miesięcznika ,,Zwrot" Maria Grzegorz.

W ,,Głosie Ziemi Cieszyńskiej" (nr 16/87) ukazała się notatka pn. ,,Teatr zza miedzy" o wystawieniu przez Scenę Polską TC na deskach Teatru im. A. Mickiewicza w Cieszynie sztuki M. Kočana ,,Gorący ziemniak, czyli Przypowieść o Janosiku".

Pod tytułem ,,Bronisław Firla w KZT" Trybuna Opolska w nr. 103. zamieszcza biografię oraz zapowiedź otwarcia w Klubie Związków Twórczych w Opolu wystawy prac artystycznych Bronisława Firli. Wystawa odbyła się w związku z obchodami 40-lecia PZKO na Ziemi Opolskiej.

Wydawany przez Opolskie Towarzystwo Kulturalno-Oświatowe kwartalnik informacyjno-metodyczny społecznego ruchu kulturalnego Śląska Opolskiego ,,Wczoraj — Dzisiaj — Jutro" (nr 3 — lipiec, wrzesień 86) drukuje ,,List zza Olzy" pt. ,,Kuźnia młodych społeczników", traktujący o 15-leciu bystrzyckiego Klubu Młodych ,,Groń".



fot. IVAN SLÁMA

MOZAIKA

TEMAT DLA EWY

RAZEM CZY OSOBNO

Trwają wakacje: wyjazdy, wypoczynek, zabawa, relaks. Wczasy indywidualne czy rodzinne mogą być źródłem radości, zdrowia i siły, ale także przyczyną rozczarowań a nawet prawdziwych dramatów. Jednym z podstawowych problemów staje się dylemat: razem czy osobno?

Poglądy na temat wypoczynku zmieniają się z biegiem lat. Najpierw rodzina wyjeżdżała razem, towarzyszyła jej babcia, niania, gosposia, pakowano kufry, kosze i inne tobołki. Do głowy nikomu nie przychodziło, że można jechać oddzielnie. Potem w ramach wielkiej emancypacji wymyślono, że będzie bardzo dobrze, kiedy on i ona pojadą osobno i sobie od siebie odpoczną.

Wyjazd osobno ma tę zaletę, że istotnie można od siebie odpocząć, czasem nawet bardzo gruntownie, bo na zawsze. Wczasowy romans może być przelotnym flirtem, czasem bardziej, czasem mniej udanym, ale może też mocno skomplikować życie i to nie tylko tym dwojgu. Odpoczywać osobno to zatem dość ryzykowna sprawa — ludzie mają różny stopień kultury, samouświadomienia, wreszcie poczucia odpowiedzialności.

Odpoczywajmy więc raczej razem. W czasach, kiedy obładowani jesteśmy masą problemów — zawodowych, rodzinnych, zaopatrzeniowych — i tak mało czasu pozostaje na pogawędkę, na chwilę serdecznej bliskości, i można, a nawet trzeba, w tym celu wykorzystać urlop. A dzieci? Wypadałoby przecież także w dzieciach wyrobić nie tylko nawyk mycia zębów, ale i bycia razem w rodzinie. Ileż to trzeba zachodu, ile czasu, żeby powstała i utrwaliła się miłość między rodzicami a dziećmi, między mężem i żoną. A na wczasach ten czas jest. Można razem czytać, chodzić do lasu, zbierać grzyby, można pływać, wspólnie fotografować. To wszystko ma w oczach dzieci cenę wprost niewymierną. To są chwile, które pamięta się na całe życie. Dom i rodzina nie musi być ponurą pułapką! Ale trzeba zwyczaje i nawyki, zapotrzebowanie na czułość i opiekuńczość wyrabiać na co dzień. A wczasy są tu nieocenionym darem. Jeśli tylko jest okazja, wypoczywajmy wspólnie. Najlepsza kolonia nie da dziecku tego, co wspólne wczasy, oczywiście mądrze zorganizowane. Niestety, nasz model wypoczynku sprowadza się najczęściej do leżenia plackiem na plaży, opalania się „na murzyna" i jedzenia. Wypoczynek powinien być czynny: rowery, żaglówki, plecaki, namiot. Takie wakacje powietrzno-leśno-wodne są wspaniałe. Na czynnych wakacjach dziecko ma szansę nauczyć się rozpalać ognisko, ugotować mleko na tym ognisku, nadmuchać materac, rozłożyć namiot — tworzy się pozytywna wartość życiowa. Ponadto jest szansa pośmiać się razem, pogadać, pobyć razem i w dodatku polubić tę formę wypoczynku.

KRZYŻÓWKA

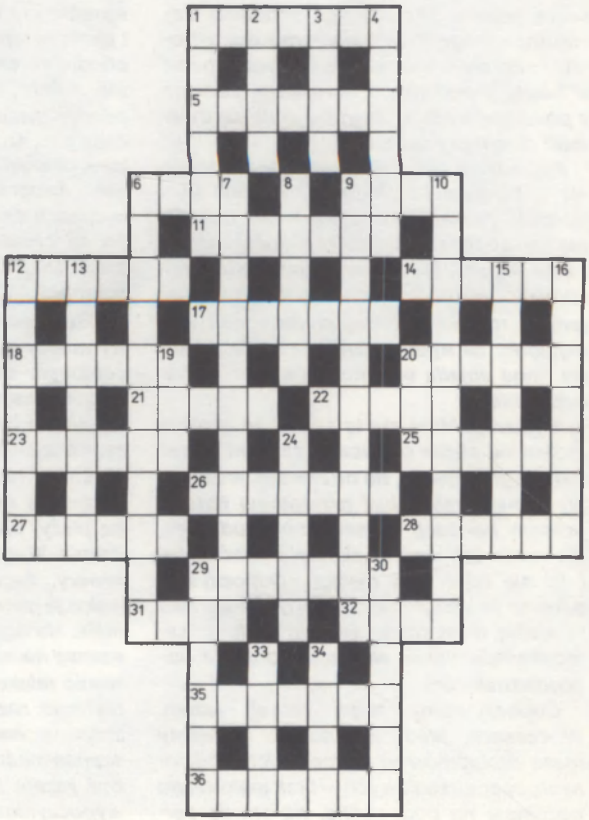
Znaczenie wyrazów

POZIOMO:

1 w gestii mr. Cardana
5 Kalwaria
6 do pójścia za nim
9 zatonął ostatnio w Kanale
11 „złe powietrze"
12 Rocky
14 recenzją się para
17 furman
18 ferma jankesa
20 Fernando
21 „Alnus z rodziny brzozowatych, pospolity w Polsce"
22 Stašek
23 Mieszko I był pierwszym w Polsce
25 szczególny trunek
26 renegat
27 mlekiem i miodem płynąca
28 jedyne „dziecko" Bajkału
29 dużo tego nie namówi
31 Wandę spłodził
32 na ławę
35 „czarna perła Mozambiku"
36 twórczyni

PIONOWO:

1 dla Turków pod Wiedniem
2 „Germinal" napisał
3 „motor" omegi
4 była republika we wsch. Nigerii
6 ze słynnym deptakiem
7 Pan Nienackiego
8 prywatny basen



9 wiózł kapustę do Meksyku
10 śpiewana, gdy Prost zwycięża
12 pierwszy między grzybami
13 na uroczystą akademię
15 brzuch wypełniają
16 warkocz ozdobi
19 żona Kmicica
20 „Weteranik"
24 prawnie poradzi
29 wyspa winem słynąca
30 pojazd dla Śnieżki
33 w dawnej Anglii za lekarstwo służył
34 oprawca

oprac. (JO)

Wśród autorów prawidłowych rozwiązań nadesłanych pod adresem redakcji najpóźniej do 31 lipca br. rozlosowane zostaną trzy nagrody książkowe.

Obok prawidłowe rozwiązanie krzyżówki z numeru majowego. Nagrody otrzymują: Jan Pszczółka — Trzyniec oraz Paweł Santarius — Olbrachcice.



JAK JEST POPRAWNIE

CZYLI O CUDZYSŁOWIE

Chciałabym przestrzec przed nadużywaniem tego znaku interpunkcyjnego, co ma często miejsce w prasie, ale także w publikacjach książkowych. Pełni on w pisowni polskiej dwie zasadnicze funkcje, służąc:

1) do wyodrębnienia w tekście przytoczonych wyrazów, cudzych słów i wypowiedzi, fragmentów utworu, tytułów dzieł i ich części itp.

2) do wyodrębnienia z tekstu wyrazów i zwrotów użytych w innym znaczeniu niż znaczenie podstawowe, np. ironicznym, humorystycznym.

Sam wyraz cudzysłów odmienia się bez zmiękczania w przypadkach zależnych tematycznego *-w*, a więc: *cudzysłów — cudzysłowu — cudzysłowowi — cudzysłów — cudzysłowem — cudzysłowie (w cudzysłowie)*, a nie *cudzysłowia — cudzysłowiowi — w cudzysłowiu*. Mianownik liczby mnogiej brzmi — *cudzysłowy*.

GALERIA SLA



KAGA (Kazimierz Gajdzica): Hołd dla średniowiecza (z cyklu Wzlot archetypów), olej 1982 (4. str. okładki)

Jeden z niewielu w cyklu „Mini-Galeria SLA" obraz nieprzedstawiający, symboliczny czy metaforyczny, nie jest łatwy do rozszyfrowania. Stosunkowo czytelna i klarowna jest jego warstwa formalna. Jest malowany precyzyjnie, gładko, o rysunku ostro, wyraziście okonturowanym, zdecydowanie wydobywającym kształty alegorycznych znaków z tła. Tło jest niejednolite, ciemniejsze pośrodku i rozjaśniające się stopniowo po bokach. Na tym brązowo-zielono-niebieskawym tle widoczna jest romboidalna wypukło-wklęsła forma opasana dwoma metalicznie połyskującymi obręczami. Ten kształt unosi się na pierwszym planie, mniej więcej pośrodku obrazu, ale jakby chciał się wyrwać z jego przestrzeni, występuje z tła próbując się usamodzielnić. Na dalszym planie płaszczyznę obrazu dzieli pionowo metalowy piszczałkowaty kształt. Kolory użyte w obrazie są czyste i nasycone. Takie rozwiązanie kompozycji, zabudowanie przestrzeni obrazowej umownymi, alegorycznymi znakami kieruje myśli widza ku poszukiwaniu programu ideowego, jaki zapewne został tu zawarty. Pewną wskazówką do rozszyfrowania ukrytych znaczeń jest tytuł obrazu. Jakie jednak znaczenia tkwią w tych, prostych przecież, znakach? Jakiego rodzaju archetypy ma autor na myśli? Jak widzi tytułowe średniowiecze i dlaczego składa mu hołd? Nie wiem, czy widz zdoła dostrzec w tym alegorycznym przekazie wszystkie te treści, jakie autor chciał w nim zawrzeć? Wszystkie te metafory, aluzje przedmiotowe zaszyfrowane w namalowanych kształtach — rysunku, barwie? Czy ów hołd to bezpośrednia pochwała, ukłon dla jakichś szczególnych wartości tego okresu historycznego; czy też kryje się w tym tytule ironiczny dystans, dowód rozczarowania współczesnością wyrażony pośrednio, poprzez podwójną metaforę.

A. M. R.

ZIELNIK

KOZŁEK LEKARSKI

Nazwa łacińska — Valeriana officinalis. (Valeriana pochodzi z łacińskiego *valere* — być zdrowym, ze względu na właściwości lecznicze, łacińskie *officinalis* — lekarski.) Nazwy ludowe: *waleriana, odolacz, stoniebo, balderian.*

Roślina ta była znana już w starożytnej Grecji i Rzymie, ale nie wiadomo, czy roślina „fu", jak pisze Dioskurides, jest naszym kozłkiem. W średniowieczu jednakże była już bardzo dobrze znana i wychwalana jako lek przeciwko różnym chorobom. Tę opinię utrzymała sobie zresztą do dnia dzisiejszego.

Kozłek należy do roślin o mocnym zapachu i dlatego był uważany za roślinę o silnej czarodziejskiej mocy. Według wierzeń skutecznie odpędzał diabły i złe duchy i uniemożliwiał rzucanie uroków czarownicom. Sucha roślina zawieszona nad drzwiami pokoju sama zaczęła się chwiać, kiedy do domu weszła czarownica. Według podań ludowych kozłek przynosi szczęście w miłości i w grze. Największą moc ma podobno roślina zerwana w dzień św. Jana Chrzciciela. Kozłek położony w ulu trzyma rój pszczół razem i nawet przywabia inne pszczoły.

Pliniusz Starszy w starożytności opisywał kozłek jako lek przeciwko skurczom pochodzenia nerwowego, a lekarze włoscy w XVII

wieku stosowali go przy epilepsji, przede wszystkim w stanach histerii.

Kozłek jest byliną wieloletnią. Występuje u nas dziko na błotnistych łąkach, nad brzegami rzek i w wilgotnych zaroślach; jest również uprawiany. Roślina ma charakterystyczną część podziemną, składającą się z grubego kłącza i wyrastających z niego drobnych korzonków, tworzących „brodę". Kwiatki są drobne, różowe lub białe. Roślina wyrasta do wysokości 1,5 metra. Uprawy kozłka udają się dobrze na glebach żyznych, próchnicznych lub piaszczysto — gliniastych, z dużą zawartością wapnia.

Surowcem jest korzeń i kłącze. Korzenie zbiera się jesienią, oczyszcza z drobnych rozgałęzień, płucze w bieżącej wodzie i kraje podłużnie. Suszyć należy początkowo na powietrzu, później w pomieszczeniach o podwyższonej temperaturze. Dopiero po wysuszeniu pojawia się charakterystyczny zapach. Wysuszony surowiec przechowujemy w potrójnych torbach papierowych lub w skrzyniach wykładanych papierem. Surowiec należy chronić przed kotami, które zwabione ulubionym zapachem mogą zniszczyć zbiór.

Substancje chemiczne zawarte w surowcu działają uspokajająco i przeciwskurczowo. Kozłek jest szeroko stosowany w stanach wyczerpania nerwowego, napięcia i lęku, przy nadmiernej pobudliwości nerwowej, histerii, bólach żołądka, jelit i wątroby.

Lek stosujemy w postaci odwaru, nalewki, naparu i maceratu.

Odwar: łyżeczkę korzenia zalać szklanką letniej wody, ogrzewać przez 30 minut (nie doprowadzając do wrzenia). Przecedzić, pić 3 razy dziennie po szklance.

Nalewka spirytusowa: 2 łyżki sproszkowanego surowca zalać szklanką spirytusu. Odstawić na tydzień. Przecedzić, zażywać 2—4 razy dziennie po 10—30 kropli.



Napar: łyżkę surowca zalać szklanką wrzącej wody, trzymać pod przykryciem 15 minut, odcedzić. Pić 2—3 razy dziennie po szklance płynu.

Macerat: 4 łyżki korzenia zalać szklanką letniej wody. Odstawić na 6 godzin. Pić 2—5 razy dziennie po łyżce stołowej.

Uwaga! Stosowanie kozłka przez dłuższy czas bez przerwy wpływa ujemnie na trawienie.

M.C.

Warunki prenumeraty Zwrotu w krajach Europy Zachodniej oraz w Stanach Zjednoczonych:

Prenumeratę można zgłaszać w następujących biurach pośrednictwa:

SZWECJA: Wennergren Wiliam AB, P.O.B. 30004, S-105 25 Stockholm

SZWAJCARIA: Schweitzer Buchzentrum, Postfach 522, 4600 Olten 1

RFN: Kubon und Sagner, Postfach 34 01 08, D 800 München 34

USA: P. O. Box 1943 Birmingham, Alabama USA 35 201

lub bezpośrednio przekazując roczną opłatę na konto: **Czechosłowacki Bank Handlowy 156/211 (Československá obchodní banka).**

Koszt prenumeraty rocznej (poczta zwykła) wynosi:

21,50 dolarów amerykańskich

39,00 marek zachodnioniemieckich

11,40 funtów angielskich

Wysyłkę do zagranicy zapewnia przedsiębiorstwo ARTIA — Foreign Trade Corporation, Praga 1, Ve smečkách 30, Czechosłowacja.

UWAGA! Prenumerata krajowa z wysyłką do zagranicy pozostaje bez zmian.

ZWROT
MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO - KULTURALNY
ROK XXXVIII ● NR 452 ● CENA 2,50 Kčs

7/87

Festiwal PZKO:
[1] Przemówienie tow. Henryka Połednika
[5] Kulminacja obchodów
[6] Migawki z Festiwalu *tob, EWa, ro*
[10] Zaczęło się od Tarnowskich Gór *MARIA GRZEGORZ*
[12] Tańczy i śpiewa „Varsovia" *MaG*
[16] Z myślą o przyszłości *KAZIMIERZ SANTARIUS*
[21] Czy będziemy pana pacjentami? (Pezetkaowcy inaczej) *OTYLIA TOBOŁA*
[25] Już wszystko jasne: „Najszykowniejsza" to Ewa Branna *HENRYKA BITTMAR*
[30] Ze „Zbrodnią i karą" w świat, czyli co słychać u Tulipana *MARIA GRZEGORZ*
[35] Miasto nad Pegnitz (Nadreńska mozaika) *TADEUSZ WRATNY*
[38] Karwińska glosa *WS*
[40] Władysław Sikora: Hrycek
[48] Lucyna Przeczek: Wiersz, Jabłonków, Szminka, Dzień z koperkiem
[50] Otokar Bartoš (Tłumacze literatury polskiej) *WILHELM PRZECZEK*
Okiem recenzenta:
[53] O sztuce ludowej i jej twórach *JAN SZYMIK*
[54] Kto się boi Gombrowicza *Z. O.*
[58] Ligota i Podobora (Wędrówki nazewnicze) *WŁADYSŁAW MILERSKI*
[61] Mieczysław Piechaczek *BRUNON RYGIEL*
[64] Kronika
[73] To i owo
Mozaika:
[75] Temat dla Ewy
[76] Krzyżówka *(JO)*
[77] Jak jest poprawnie
[78] Galeria SLA *A. M. R.*
Zielnik *M. C.*
[80] *Spis treści*

1. STRONA OKŁADKI — fot. JAN BYRTUS

WYDAWCA:
POLSKI ZWIĄZEK KULTURALNO-OŚWIATOWY ZARZĄD GŁÓWNY W CZESKIM CIESZYNIE

ADRES REDAKCJI:
UL. J. BOŻKA 16 737 21 CZESKI CIESZYN TEL. 569 83

ZESPÓŁ REDAKCYJNY:
KAZIMIERZ GAJDZICA MARIA GRZEGORZ URSZULA HUDECZEK PIOTR PRZECZEK (redaktor naczelny)

RADA REDAKCYJNA:
FRANCISZEK BAŁON MARIA BIŁKO WIESŁAWA BRANNA BRONISŁAW FIRLA TADEUSZ CHRZĄSZCZ KAZIMIERZ JAWORSKI STANISŁAW JEDZOK WŁADYSŁAW ORSZULIK RUDOLF POPIOŁEK

Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca. Drukarnia: Tisk, knižní výroba, n. p., Brno, zakład 3 — Cz. Cieszyn, ul. Rewolucyjna 1. Cena prenumeraty rocznej Kčs 30,—, półrocznej Kčs 15,—. Zgłoszenia prenumeraty w CSRS przyjmuje redakcja i administracja „Zwrotu", w PRL Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch", Warszawa, ul. Wronia 23. Zezwolenie na ulgową opłatę pocztową wydał Powiatowy Urząd Pocztowy w Karwinie 20. 8. 1963, 1268/63. Numer indeksu R 389, nakład 4250 egz.

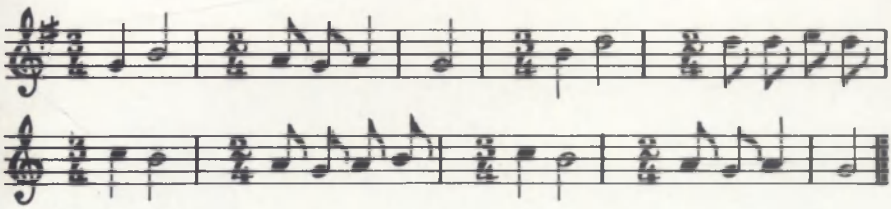
ilustracja JANINA SZOTKOWSKA

PIEŚNI GÓRALSKIE

GNAŁO DZIYWCZYN KROWY

Mosty koło Jabłonkowa — Szańce

Jest to lokalna wersja, która pojawiała się w Cieszyńskiem w dwóch wersjach (jedna z refrenem — „harum birum tudź madziarum"). Brzmienie z Mostów-Szańców wskazuje na miejscowe pochodzenie pieśni.

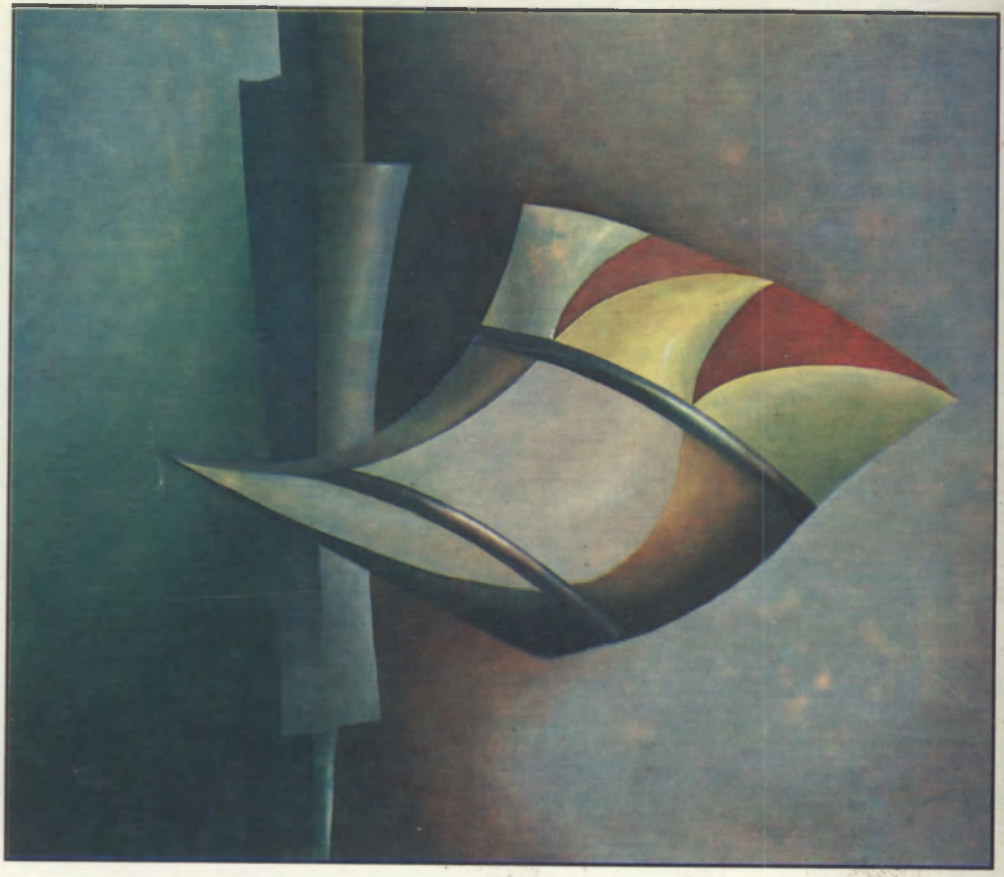


1.
/ :Gnało dziywczyn krowy: /
/ :Przez las jaworowy: /
2.
/ :Krowy potraciło: /
/ :Samo pobłóndziło: /
3.
/ :Siadło pod jaworym: /
/ :Jadło chlyb ze syrym: /
4.
/ :Przyszoł ku nij Janko: /
/ :Co tu robisz, Hanko: /
5.
/ :Jo tu wijym wiyńce: /
/ :Na zielónej łónce: /
6.
/ :A móm jo jich uż szejść: /
/ :Zebier se, kiery chcesz: /
7.
/ :Nie bier z polejowa: /
/ :Z tego boli głowa: /
8.
/ :Bier se grzebiczkowy: /
/ :Świadczi Janiczkowi: /



Trzaskalik Franciszka
735 35 HORNÍ SUCHÁ 462

KAGA: Hołd dla średniowiecza (z cyklu Wzlot archetypów), olej 1982
(repr. OTTO SZLAUER)



ZWROT

8/87





Święto ludzi pracy — 1 Maja — przez czterdzieści lat historii PZKO było okazją do zamanifestowania poparcia Związku dla idei robotniczych. Nie brak było Polaków wśród uczestników uroczystości w roku 1952 na rynku w Orłowej (zdjęcie u góry), tradycyjnie tworzą barwny finał pochodu pierwszomajowego w Czeskim Cieszynie (u dołu zespoły ZG PZKO „Rytmika" i „Olza" w roku 1986).



fot. ARCHIWUM Muzeum Regionalnego w Czeskim Cieszynie, F. BAŁON

Książnica Cieszyńska

UCHWAŁA XII ZJAZDU PZKO

Obrady XII Zjazdu PZKO przebiegały w roku 30-lecia wyzwolenia republiki czechosłowackiej, 6 kwietnia 1975 w Karwinie. Oto fragmenty uchwały, podjętej na tym zjeździe:

Realizowane są zadania ostatniego roku piątego planu pięcioletniego oraz program Frontu Narodowego. W roku jubileuszowym 30. rocznicy wyzwolenia Czechosłowacji przez Armię Radziecką na wszystkich odcinkach pracy związkowej wysiłek organizacyjny skierować należy na wykonanie zadań wypływających z listopadowego Plenum KC KPC. XV Zjazd KPC nakreśli zadania związane z dalszym budowaniem wysoko rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego. Po zjeździe, pod przewodnictwem KPC, członkowie PZKO uczestniczyć będą w kampanii wyborczej oraz w wyborach do wszystkich szczebli rad narodowych. W myśl instrukcji Frontu Narodowego Zarząd Główny opracuje plan uczestnictwa PZKO w kampanii przedwyborczej oraz w wyborach.

Najważniejszym zadaniem w pracy organizacyjnej Związku jest sprawa przystosowania form i metod pracy do potrzeb i zadań. O przydatności form nie mogą decydować wyłącznie przyzwyczajenia i tradycje; decydują przede wszystkim warunki i cele. Praca oświatowa, kulturalna i organizacyjna w każdym wypadku pomagać musi wychowywać człowieka — budowniczego socjalizmu.

Zjazd podkreśla znaczenie pracy masowo-politycznej. Polityczna, ogólnospołeczna działalność jest środkiem masowego oddziaływania. Dlatego Zjazd poleca Zarządowi Głównemu oraz wszystkim instancjom związkowym realizację całokształtu zadań na tym odcinku wspólnie z Frontem Narodowym. Pomagać należy przedstawicielom PZKO w organach Frontu Narodowego, doceniać ich pracę i aktywność. Zjazd zobowiązuje Zarząd Główny do opracowania i przyjęcia konkretnej uchwały określającej formy współpracy z innymi organizacjami w ramach Frontu Narodowego. Podczas przygotowań oraz w trakcie kampanii wyborczej należy systematycznie pogłębiać współpracę z Frontem Narodowm, Radami Narodowymi oraz posłami.

Z okazji zagajenia uroczystości jubileuszowych **(z okazji 30-lecia powstania Związku w r. 1977 — przypis red.)** zwoła ZG Ogólnozwiązkową Konferencję, na której omówione będą plany działania poszerzone o zadania wypływające dla PZKO z uchwał XIV Zjazdu KPC. Zaznajomi aktyw związkowy z programem obchodów jubileuszowych oraz z programem dalszej aktywizacji działalności PZKO.

Wszystko to świadczy o niezmienności podstawowych zadań Związku, do których należą pomoc w realizacji zadań gospodarczych, wynikających z kolejnych planów pięcioletnich, kontynuacja i rozwój działalności oświatowo-wychowawczej, współudział w pracy masowo-politycznej i rozszerzanie oddziaływania kulturalnego na społeczeństwo.

KROK NAPRZÓD

Do XV Zjazdu PZKO pozostaje już tylko kilkadziesiąt dni, czas więc najwyższy, by w naszych dyskusjach na temat Uchwały XIV Zjazdu pokusić się o podsumowanie jej realizacji. Zapraszamy zatem do redakcji tych, którzy przed czterema laty w podobny sposób wypowiadali się na temat „jak wykonać postawione przez Zjazd zadania". Teraz oczywiście pytanie brzmi inaczej — „czy zamierzenia udało nam się zrealizować, czy spełniło się to, o czym nasi goście wówczas mówili?" W połowie czerwca rozmawialiśmy na ten temat z uczestnikami dyskusji o pracy kulturalnej, opublikowanej w numerze listopadowym „Zwrotu" z roku 1983: wiceprezesem ZG PZKO inż. Romanem Suchankiem, kierownikiem artystycznym Sceny Polskiej TC Karolem Suszką oraz ówczesnym działaczem młodzieżowym Tadeuszem Wantułą.

ZWROT: Zacznijmy naszą rozmowę od cytatu. W trakcie poprzedniej dyskusji Tadeusz Wantuła powiedział: „... jeśli się nauczymy doceniać swoją i innych robotę, a także dostrzegać swoje i innych błędy, to wtedy będzie z naszą kulturą lepiej". Stąd nasze pierwsze pytanie — nauczyliśmy się tak właśnie postępować?

TADEUSZ WANTUŁA: Chyba niewiele się zmieniło, jeśli chodzi o kryteria oceny, o nazywanie dobrego dobrym, a fatalnego fatalnym. Nadal funkcjonuje to, co wtedy nazwałem bolączką, czyli jowialne poklepywanie po ramieniu, zbytnia tolerancja. Nie wychowaliśmy tu krytyka z prawdziwego zdarzenia czy też taki się tu nie urodził.

KAROL SUSZKA: Trzeba jednak widzieć różnice między działalnością społeczną a zawodową, bo trudno krytykować pracę społeczną. Potem kończy się to słowami „jak jeszcze roz tak napiszecie, to jo z tym strzelym!"

ROMAN SUCHANEK: Uważam, że na tę działalność społeczną trzeba rzeczywiście inaczej patrzeć niż na zawodową, z tym że oczywiście nie wolno zaspakajać się byle czym.

ZWROT: Przed czterema laty zgodnie podkreślaliście, że bez tej właśnie krytycznej oceny nie ruszymy do przodu. Jeżeli więc rzeczywiście tam mało zmieniło się w tym kierunku, to czy w ogóle poszliśmy w pracy kulturalnej naprzód?

SUCHANEK: Jestem przekonany, że tak —

i na pewno w korzystnym kierunku. To, że działalność nie była oceniana przez krytyka-zawodowca jeszcze nie oznacza, że ocenę pomijaliśmy. Ważne imprezy i wydarzenia oceniamy regularnie w organach naczelnych. Na tej podstawie wprowadzono pewne poprawki, by nie powtarzały się ewentualne błędy. Według mnie to właśnie jest przykład takiej społecznej oceny naszego działania.

ZWROT: Co w takim razie za te wspomniane cztery lata się zmieniło?

SUCHANEK: No, zmieniło się dużo. Niektóre renomowane zespoły mają obecnie duże problemy, z drugiej strony jednak powstały niektóre nowe, młode zespoły, które od samego początku dobrze się zapowiadają. To jest zjawisko, które będzie chyba towarzyszyć naszej działalności zawsze — i w przyszłości. O ile chodzi o te nowe — jest to przede wszystkim sprawa młodzieży, a to przecież bardzo ważne. Czyli ja traktuję zmiany jako coś normalnego, zwłaszcza że można zaobserwować przy okazji jakościowy wzrost naszej działalności. Takim dobrym przykładem jest regionalny zespół taneczny, w którym spotyka się młodzież prawie z całego obwodu trzynieckiego, choć działa w Nieborach. Podobnie ma się sprawa już bardziej znanego chóru Collegium Canticorum przy ZG PZKO.

SUSZKA: Weźmy na przykład teatr, bo to mnie najbardziej interesuje. Mówi się, że Melpomenki idą w dół — ale dlaczego? Moim zdaniem po prostu dlatego, że przed kilkoma laty, kiedy się zebrały zespoły Janka Przywary, Stasia Jedzoka, Zygi Brannego i kilku innych, to byli oni wówczas pełni zapału, zrobili kilka dobrzych rzeczy, ale z czasem ta forma musiała w ich wypadku stracić siłę przekonywania — i stąd jakby zastój. Tylko że to powinno się przerodzić w inną jakość, jeżeli oczywiście będą nadal nad sobą pracować. Tak musi być i to nie tylko w teatrze amatorskim — w każdej pracy społecznej: raz się festyn uda, raz nie.

ZWROT: Jak w tej sytuacji określicie obecny stan amatorskiego ruchu teatralnego — co się w tym czasie zmieniło?

SUSZKA: W zasadzie też nic. Powstała nowa impreza — przegląd zespołów w Wędryni, czyli Melpomena, ale to nie zmieni poziomu, a o ten nam przecież chodzi. Natomiast wielce pocieszające jest to, że właśnie tam pojawia się masa młodych ludzi. A więc już nie tylko w teatrzykach małych form, ale i w tych nazwijmy to umownie „klasycznych". Powiedziałbym nawet, że w tych przedstawieniach uczestniczy więcej młodzieży niż w Melpomenkach — i to o czymś świadczy.

SUCHANEK: Ja też uważam, że to jeden z przykładów wzrostu jakości. Pomimo narzekań, że młodzi tylko szukają nowych form, nie starają się rozwijać tego, co już jest wypróbowane. Ale okazuje, że w tym teatrze klasycznym bierze udział wielu młodych.

WANTUŁA: Tu się włączę z sądem zupełnie odmiennym: po pierwsze uważam Melpomenę za imprezę fajną, ale ocena na miejscu czy później w prasie jest z gruntu fałszywa, jest to pocieszanie się, że jest masa ludzi na scenie, ale nikt nie odważy się powiedzieć, że ten czy ów zrobił fatalne przedstawienie. Tego się nie nauczyliśmy. Powinna być rzeczowa ocena — nie obraźliwa, ale trzeba powiedzieć, że był zły dobór sztuki, źle ustawieni aktorzy, niedbalstwo i niechlujstwo językowe. To wszystko jest ukryte w tym naszym pseudospołecznikowskim sosie. I to jest ciągle nasza bolączka. Jeśli chodzi o „Melpomenki" — to poziom tych ostatnich był rzeczywiście jednym ze słabszych. Czy krytyka może coś dać? Tak! Dowodem jest to, że poprzednie krytykowaliśmy za braki organizacyjne — tym razem pod tym względem wszystko było w porządku. A czy przypadkiem niski poziom jedenastej edycji Melpomenek nie był efektem źle przygotowanych kilku poprzednich? Może to właśnie konsekwencja tamtych błędów?

ZWROT: Przyczyn trzeba chyba szukać raczej w nie tak dobrej w porównaniu z poprzednimi laty pracy w trakcie całego roku, na przykład na kursach aktora i reżysera.

WANTUŁA: Możliwe, zresztą ja nie chcę być stale tym „człowiekiem na nie". Są przecież i plusy, choćby powstanie wspomnianego już chóru młodzieżowego ZG PZKO. I to jest mocny argument, za czym warto iść. Dalej — w omawianym okresie zauważyłem rosnącą tendencję do porównywalności w skali całego kraju czy Polski. Niech to będzie teatrzyk im. mjra Szmauza, który startuje w szrankach ogólnopaństwowych, został nawet zakwalifikowany do reprezentowania CSRS za granicą. A że później do tego nie dochodzi, to już inna sprawa. I jeszcze jeden przykład — działalność zespołu „Górole", który machnął ręką na bylejakość, chce robić robotę stuprocentową. Skończył z wykorzystywaniem błyskotek, ze sprzedawania folkloru masowemu widzowi. To są moim zdaniem duże plusy, bo nasza kultura będzie zdrowa wtedy, jeżeli będzie porównywalna z analogicznymi działaniami w ogólniejszej skali. Nam nie wolno tu skisnąć.

SUSZKA: Absolutnie się zgadzam — ale z czym to jest związane? Przepraszam, że użyję takiego bardzo już sprofanowanego określenia „właściwy człowiek na właściwym miejscu". Jest to więc związane z jednostką czy grupą „szaleńców-zapaleńców", którzy wokół siebie potrafią skupić ludzi czy ewentualnie mają własny program. Wówczas, kiedy znajdziemy takich ludzi, zyskujemy nową jakość. Jest to więc sprawa jakiegoś „profesjonalizmu" w amatorskim działaniu. Bo jeżeli spotykamy się tak tylko, dla własnej przyjemności, a potem mamy nagle gdzieś wystąpić czy brać udział w konkursie, to wszyscy są tak wystraszeni, że niczego nie osiągną.

ZWROT: Wracając do naszego pierwszego spotkania — przed czterema laty powiedział Roman Suchanek: Potrzebujemy wodzirejów, wzorce, przewodników. Co nam się udało w tym kierunku zrobić?

SUCHANEK: Ja uważam, że niestety niedużo. Pomimo ponawiania szkoleń czy kursów w Koszarzyskach, gdzie regularnie przygotowujemy 10—15 osób bezpośrednio w tym zakresie. Ale po zakończeniu kursu prawie zawsze ci młodzi ludzie znikają, nie włączają się, w każdym razie nie w tej roli. Kiedyś zrobiliśmy taki przegląd zaangażowania absolwentów tych kursów i okazało się, że tylko znikoma część kontynuuje swoją działalność, korzysta z tego, czego się nauczyła. Jeśli już bawimy się w te cytaty, to chciałbym przypomnieć ówczesne słowa Karola Suszki, że jesteśmy ewenementem na miarę światową w tej naszej działalności. Powinniśmy sobie odpowiedzieć na pytanie, czy w wypadku nieosiągania tzw. „odpowiedniego" poziomu na przykład w zespole teatralnym ci ludzie mają przestać to robić? Ja uważam, że nie, bo nam przecież nie chodzi tylko o samą działalność kulturalną. Jesteśmy związkiem społecznym i jeżeli ludzie przy takiej okazji mogą się spotykać, to już to spełnia swoją funkcję. Oczywiście musimy dążyć do nieustannego podnoszenia poziomu, ale nie tylko w tym widzę sens naszego działania.

WANTUŁA: Wydaje mi się, że udało się na tych kursach zrobić jednak coś dobrego, a logiczne jest, że np. nie wszyscy z kursu wodzirejów się nimi staną. Ale nawet ci, którzy nie stali się jakimiś tam animatorami czy prowodyrami, nauczyli się jednego na tych kursach: przyjmowania krytycznych słów. Przed powiedzmy dziesięciu laty, kiedy na Melpomenkach powiedzieliśmy choć jedno ostrzejsze na temat czyjejś pracy, to były od razu łzy, obraza, nienawiści — teraz tego prawie nie ma. Czyli ci młodzi ludzie, którzy przechodzą przez różne nasze działania, nauczyli się chociaż słuchać krytyki.

ZWROT: Może więc taki człowiek stanie się „starym zasłużonym", którego wolno bez obrazy krytycznie oceniać?

SUSZKA: No pewnie, do przyjmowania krytyki musi być człowiek przygotowany.

WANTUŁA: Czyli nadal uważam, że jeżeli chcemy popychać kulturę do przodu, musimy połączyć dwa ogniwa — kogoś, kto potrafi rzeczowo oceniać, i kogoś, kto chce i potrafi krytyki wysłuchać i wykorzystać ją.

ZWROT: Jest taki jeden paradoks — Koła mają problemy, skarżą się na brak zdolnych tancerzy, śpiewaków, wodzirejów, ale nie wysyłają swoich młodych na wspomniane kursy, a jeśli już — nie interesują się nimi, nie korzystają z ich nauki. Czekają na gotowego człowieka.

SUSZKA: Może dzieje się tak dlatego, że każdy oczekuje efektu od razu, w tej chwili, a wychowanie takiego człowieka nie jest przecież proste.

SUCHANEK: Ale chodzi chyba o to, czy widoczne jest w Kołach jakieś świadome działanie, czy też jest to efekt przypadku, ot, znalazł się ktoś, kto z własnego zainteresowania chce coś zrobić. Uważam, że tego świadomego działania jest rzeczywiście niestety bardzo mało. Sprawom kultury poświęca się w Kołach zbyt mało miejsca, zwłaszcza jeśli chodzi o perspektywiczne myślenie.

WANTUŁA: Tu się zgadzam, kwestie jakiejś świadomej polityki kadrowej w Kołach są pomijane. Jeżeli jest coś funkcjonującego, automatycznie przestajemy myśleć o kontynuatorach. Dopiero wracamy do tematu, jeśli kogoś zabraknie. Czyli przede wszystkim trzeba młodych wyszukiwać w Kole, wysyłać na te kursy — i tu rozpoczyna się drugi etap: staramy się znaleźć wśród nich młodzież najbardziej utalentowaną i prowadzić ją dalej.

ZWROT: Zarząd Główny stwarza dość duże możliwości kształtowania młodej kadry — są własne kursy i szkolenia, są też możliwości wyjazdu na kursy polonijne. Nie zawsze są widać właściwie wykorzystywane. Czy można więc powiedzieć, że to wina Kół, nie dbających o swoje kadry?

WANTUŁA: Coś mnie tu korci powiedzieć publicznie parę przykrych słów pod adresem aparatu Zarządu Głównego PZKO ... Wydaje mi się, że bylejakością, niechlujstwem w przygotowaniu imprez wiele psuje. Mogę tu wymienić różne rajdy turystyczne — zeszło-



fot. EDMUND KIJONKA

roczny Rajd na Kozubową skończył się na przykład już w ośrodku w Koszarzyskach. Takich przykładów można by niestety przytoczyć wiele.

ZWROT: Przed czterema laty inż. R. Suchanek powiedział: „w wychodzeniu naprzeciw pezetkaowskiemu terenowi ważną rolę powinien odegrać aparat ZG PZKO". Te zamierzenia ma jednak realizować zespół ludzi, spośród których wielu nie ma nawet rocznego stażu ...

WANTUŁA: Racja, można tak argumentować, choć z drugiej strony jest komisja i jakaś polityka kadrowa, nie powinno to więc mieć wpływu na całokształt pracy. Ale błędy, o których mówiłem, popełniają ludzie ze stażem o wiele dłuższym.

SUCHANEK: Niestety, na podstawie reakcji terenu trzeba przyznać, że aparat nie spełnił oczekiwań, jakie postawił przed nim XIV Zjazd. Nadal na przykład brak repertuaru dla zespołów, opracowań imprez wymaganych już na XIV Zjeździe, brak wielu innych spraw, do zrealizowania których zobowiązał właśnie Zjazd.

SUSZKA: W niejednym wypadku działalność metodyczna instruktorów, bo o taką przecież nam chodzi, zamieniła się w zwykłą biurokrację.

SUCHANEK: Wynika to może i stąd, że brak nam indywidualności, ludzi, którzy by potrafili fachowo prowadzić poszczególne piony, spełniać rzeczywiście funkcje instruktorów.

WANTUŁA: Jeszcze jedna sprawa, wskazująca na niekorzystne zmiany. Świat poszedł do przodu pod względem stosowania różnorodnej techniki również w takim działaniu, jakie rozwija PZKO — my natomiast zostaliśmy stać w miejscu. To dotyczy techniki wideo, wysoko jakościowych nagrań itp. A tu nam tymczasem brak nawet teleksu w ZG PZKO, umożliwiającego o wiele bardziej operatywną pracę. Właśnie w tym kierunku powinniśmy się nauczyć myśleć po nowemu, bo w innym wypadku będziemy zostawali coraz bardziej w tyle.

ZWROT: W Uchwale XIV Zjazdu PZKO można przeczytać — „W działalności kulturalno-oświatowej poświęcić maksimum uwagi i troski rozwojowi wszystkich form amatorskiego ruchu artystycznego, nieustannie podnosić poziom ideowy i artystyczny zespołów; czynić starania, by aktywny udział członków w amatorskim ruchu artystycznym w jak największej mierze zaspokajał ich zainteresowania kulturalne twórcze i odtwórcze, by członkom zespołów, jak również odbiorcom sztuki amatorskiej, dostarczał wartościowych przeżyć artystycznych oraz motywacji do podejmowania inicjatyw i wysiłków na rzecz realizacji zadań w ich pracy zawodowej i społecznej, by kształtował ich postawy moralne, patriotyczne i internacjonalistyczne, budził uzasadnioną dumę z przynależności do socjalistycznego kraju i społeczeństwa". Czy po tylu krytycznych uwagach — możemy twierdzić, że te zadania zostały zrealizowane?

SUCHANEK: Osobiście uważam, że Uchwała została w tym kontekście zrealizowana, świadczy o tym choćby Festiwal PZKO 87, świadczą odznaczenia, jakie PZKO za tą właśnie działalność otrzymało, czyli — swoje zamierzenia zrealizowaliśmy. Oczywiście nie powinno to oznaczać, że nie będziemy już szukać form dalszego pogłębiania naszej działalności.

ZWROT: Mówiliśmy jednak o wielu problemach. Czy jedno drugiemu nie przeczy?

SUSZKA: Jedno drugiego nie wyklucza, na odwrót. Ja na przykład zawsze mówię, że robię program na Festiwal po raz ostatni. A tym razem spotkałem się z masą ludzi, z którymi doskonale mi się pracowało. Dla mnie jest to dowód podnoszenia poziomu, wyższej wartości.

PIOTR PRZECZEK

NAD SPOŁECZNYM KONTEKSTEM ŚWIĄT GOROLSKICH

Przed czasem poproszono mnie, abym na spotkanie z gośćmi jabłonkowskiej imprezy przygotował kilka zdań na temat jej społecznego znaczenia. Temat na pozór prościutki, a jednak mógłby stanowić sążniste studium; powinno by ono z wielu punktów widzenia rozpatrzyć owo zjawisko, wspólną sprawę tkwiącą w najnaturalniejszy sposób w bliskim nam krajobrazie społeczno-kulturalnym.

Brak na te tematy ogólnie dostępnych danych, dokumentów, materiałów, które by rozpoczynały ocenę sympatycznego zjawiska, ale, zauważamy, w sprawie Świąt Gorolskich orientujemy się przeważnie według własnych wspomnień i przeżyć. A to byłby sygnał stałej żywotności imprezy i jej młodości, a także odnoszenia jej właśnie do zjawisk społecznych, kulturowych.

Jubileuszowa publikacja sprzed lat: 30 ŚWIĄT GOROLSKICH W JABŁONKOWIE (1977), acz zgrabna i kolorowa, przecież okazała się zaledwie najniezbędniejszym odnotowaniem kilku historycznych faktów, zbiorem tekstów zaznaczających szkicowo, że oto w latach powojennych dokonało się w Jabłonkowie coś, co nie tylko zasługuje na ocenę, ale jej stanowczo się domaga.

W dużym stopniu wyręczył mnie Kazimierz Santarius w „Głosie Ludu" z 8. 8. 1965 roku, kiedy powiedział, że ... *kultura ludowa to nie tylko śpiew, taniec, zbójnicka pieczeń i placki ziemniaczane.* Zauważmy zresztą, że takie materiały jak „Festiwal nad Sprewą" Piotra Przeczka w „Zwrocie" z sierpnia 1985, analityczne i podpatrujące, są pisane przede wszystkim z myślą o naszym związkowym festiwalu i o Święcie Gorolskim. To, co Przeczek zrobił z festiwalem serbołużyckim w NRD, to samo robi ze Świętem Gorolskim Bernard Waleński w artykule „W Jabłonkowie chcą ..." w kwartalniku „Wczoraj — dzisiaj — jutro" z Opola sprzed trzech lat. Autor opisał tutaj dokładnie to, co posłyszał i zobaczył w Jabłonkowie, aby w ten sposób dać z kolei przykład własnej organizacji. W opolskich warunkach, powiem krótko, zaciekawia nasza armia ochotników oraz ich świadoma ofiarność, pomysłowość, dobra organizacja. I owo „od początku do końca". Zacytuję zresztą: *W każdym kiosku „zatrudnionych" było po kilka osób. Ten cudzysłów dlatego, że wszyscy pracowali społecznie. I panie, które wcześniej w domach przyrządzały kanapki, piekły ciasta. I panowie, którzy warzyli gorzałki według zmyślnych receptur. I ci, którzy to potem sprzedawali. I ci, którzy zmywali naczynia. Wszystkim zależało, by jak*

najwięcej sprzedać, bo zysk zostawał w kole i służyć będzie przeróżnym celom. Podziwiałem — nie kryję tego — zaangażowania tych setek anonimowych ludzi. Dalej chwali autor sprawność porządkowych, zmontowanie i rozmontowanie widowni, radiofonizacji, oświetlenia. Dla nas to może i oczywistość, przyznajmy jednak, że ocena imprezy mieści się już w tym, co innych ciekawi i zaskakuje. I jeszcze cytat: *Co im kazało to*



fot. EDMUND KIJONKA

zrobić? Pytałem o to PZKO-wskich działaczy. Zamiast odpowiedzi dziwili się, że zadaję takie pytanie. Dla nich jest to oczywiste: skoro jest impreza, która od lat cieszy się olbrzymim zainteresowaniem, która bawi, ale pozwala też się wzruszać, a członkom zespołów zaprezentować swój artystyczny kunszt, to musi ktoś się potrudzić, aby mogła się odbyć. W Opolu, okazuje się, nie brak środków, a raczej wykonawców. Widzimy więc, że oceny znaczenia związkowego i społecznego naszej imprezy narzucają się same, lecz zebrać je trzeba będzie po kolei. Zwłaszcza że dotyczą spraw, których byśmy może i nie zauważyli.

Biorąc się do uporządkowania zagadnienia Świąt Gorolskich przejrzałem z ołówkiem w ręku wspomnianą jubileuszową jednodniówkę sprzed lat; i tak jakoś wyszło, że temat ułożył się według poszczególnych myśli Jury spod Grónia. Wystarczy je krótko uzasadnić lub rozwinąć, albo po prostu zwyczajnie je sobie uświadomić.

1. *Trzicet roków śpiywanio, tańcowanio, hełokanio, łopowiadanio ...* Dodajmy: *a tych rozmaitych kumedyi co my sie narobili — i po dzisio co gębę łodewrzymy, to nóm klaskają.* Mamy tutaj zwyczajnie na myśli powołanie zespołu „Gorol" po pierwszym Święcie Gorolskim, realizację założeń jabłonkowskiego Koła PZKO, jego dorobek, który dopiero wypadnie określić, nazwać. Społeczne uzasadnienie przyszłej działalności nie odbiegało od folklorystycznego ludowego tła. Jego potwierdzenia dopatrzymy się w takiej oto postaci: droga do nowoczesności przez kontynuację i rozwijanie oraz wzbogacanie tradycji. Na ile Święto Gorolskie stało się w Beskidach pojęciem, świeży przykład sprzed szpitala Trzyńca w związku z odwiedzinami pacjentów: kobiecina z Nowiny mówi do sąsiadki: W niedzielę tu było aut! — to było jak na Gorolskim Świyńcie! Czyli nadal powstają powiedzenia i porzekadła, a ŚG jest takim zjawiskiem i wspólnym niezaprzeczalnym faktem, że służy jako tło, jako z dawien dawna przyjęta rzeczywistość ...

2. *Ale przi zabawie kiela sie to pieknej i pożitecznej roboty zrobiło.* Jest to właściwie wniosek wynikający z poprzedniego, czyli uświadomienie sobie sensu owego wysiłku. *Trzicet Świąt, trzicet programów, stówki pieśni, stówki tańców. A tego humoru kiela było.* O pierwszej istocie ŚG mówi dosłownie Karol Piegza we wspomnianej jednodniówce: *Poszerzony komitet i cztery komisje robocze zabrały się z zapałem do pracy, a raczej do pokonywania trudności, nie uświadamiając sobie jeszcze wcale, że odtąd borykać się będą z podobnymi i większymi jeszcze trudnościami przez całe szeregi lat.* Chodziło więc i chodzi o kształtowanie nowej tradycji społecznego dorabiania się na tle przywiązania do wszystkiego, co zostało wykonane w przeszłości, czego nie wolno lekceważyć i zaprzepaścić. Nazwijmy to umownie drogą ku przyszłości — wierną sobie i autentyczną, znajdującą ogólny posłuch i poparcie. K. Piegza mówi i o organizatorach, że *są czymś w rodzaju sprężyny jakiegoś niezauważalnego mechanizmu, który ożywia całą imprezę.* Mogłoby się wydawać, że praca to wyłącznie dla siebie, to jest rodzaj izolacjonizmu, tymczasem przekonano się już ogólnie, że pojedyncze nieprzychylne okrzyki z okien nowych bloków jabłonkowskich są naprawdę tylko pojedyncze i nikogo nie przekonują o złych zamiarach tych wszystkich, którzy się tutaj angażują lub w tym wszystkim uczestniczą. A ŚG wnet w pierwszych latach poczęło wychodzić niejako na zewnątrz: najpierw zaangażowało i zdopingowało całe podgórskie środowisko, aby następnie wyjeżdżać z „Gorolem" tam wszędzie, dokąd udawał się on z koncertami w CSRS lub w PRL. Poprzez ŚG wzrastała i utrwalała się ranga środowiska. K. Piegza tak to nazwał: *Pragną to uczynić jeszcze lepiej, aby młodym generacjom przekazać czyste piękno materialnej i duchowej kultury ludowej naszego oraz innych regionów.*

3. ... *kiejsi gorol to było to łostatni. Jak chcioł kiery kogo znieważić, to mu do goroli nadowoł, a jak my łukozali ludziom, jaki tyn gorol je, to czopki przed nami sjimali.* Z historycznego punktu widzenia jest to miejsce bardzo czułe. *Ale my sie też nawywodzali a napsioczyli* — dodaje Jura — *ale my nigdy*

żodnymu nie łubliżili. ŚG, można sądzić, zapożyczyło się na dawniejszych odpustach w Sałajce, w Mostach i w Bukowcu, na kiermaszach i czakaczkach — i zgarniając ich świeckie treści stało się czymś niezmiernie wspólnym, w czym można zawrzeć swoją istność, o co można się oprzeć. Ogólna akceptacja ŚG oznacza, że tutaj po prostu trafiono i że zewsząd będzie się dorzucać do wspólnego po małym groszu. Jak na razie ŚG może i nie znalazło zorientowanych i potężnych patronów, którzy by pomogli, tak jak to się częściowo dzieje w Łomnej Dolnej, dorobić się walorów amfiteatru czy małego skansenu ze stałym zapleczem gospodarczo-wypoczynkowym w jabłonkowskim Lasku Miejskim. Obserwujemy tęsknoty w tym kierunku, lecz wypadnie czekać. A twórcy na przykład chętnie by tutaj skorzystali. I pomogli.

4. *A nejpiekniejszi to ta radosno atmosfera, to miłe spotkani, to braterstwo i przocielstwo* — mówi Jura spod Grónia. K. Piegza wnet na pierwszym ŚG podkreślił zbratanie ,,doliniarzy" (miał na myśli górników i hutników, lecz słowo nie jest szczęśliwe!) z góralami. Na tym samym ŚG obok górali z polskiego Koniakowa wystąpił karwiński chór ,,Echo". Zaś hasłem drugiego ŚG było: ,,Górnik i góral jeden brat". Pamiętam, że w zamian wyjeżdżaliśmy potem na pierwszy Dzień Górnika w Karwinie — na buforach i na stopniach przepełnionych wagonów. Przypominam też sobie odpowiedzi górników na gwarowe felietony Jury spod Grónia w ,,Głosie Ludu". Jedynym zespołem PZKO-wskim, który na początku lat pięćdziesiątych zrobił furorę w terenie i pochwycił powojenną falę entuzjazmu kulturalnego, był ,,Gorol". To on trafił z boconowickim zespołem tanecznym Wili Słowiaczka na obraz ścienny Franciszka Świdra w czeskocieszyńskim ,,Piaście" — ,,Brygada kulturalna". Wieczna szkoda, że zlikwidowano ją na rzecz piastowskiej kuchni. ,,Chłop potęgą jest i basta!" Każdy na swój sposób może sobie sparafrazować owo zdanie Stanisława Wyspiańskiego.

Sprawa braterstwa i zbliżenia jest ciągłą troską ŚG, wystarczyłoby zestawić wszystkie zespoły występujące na tej imprezie: polskie, czeskie, słowackie, węgierskie, ukraińskie — nawet belgijski. Z czeskimi terenowymi. I s państwowymi: SĽUK-iem i ŚLĄSKIEM. *W ten sposób* — mówi Piegza — *ŚG stawało się nie tylko zabawą, lecz przede wszystkim przeglądem twórczości ludowej różnych regionów i okazją zbratania się różnych narodowości.* Czyli internacjonalizm. I zdecydowane popieranie specyfiki regionu nadolziańskiego.

5. Zanim zakończymy Jurą spod Grónia, zauważmy u ŚG ich treści ideowo-polityczne i w pełnym wymiarze społeczne. Impreza była zawsze trybuną wypowiadania decydujących i najaktualniejszych treści społecznych. ,,Walka o pokój" i ,,Przyjaźń ze Związkiem Radzieckim" — czytaliśmy jej hasła w roku 1951. Pamiętamy wspólne rezolucje, manifestacje przywiązania do ustroju socjalistycznego, każdorazowe uczczenie rocznic państwowych, łączność z dożynkami w okolicznych spółdzielniach. Felietony Jury spod Grónia przeważnie żywo reagowały na aktualne zagadnienia społeczne, a wiadomo, że jego humor wygładza niejednokrotnie chropowatości w rozumieniu zagadnień społecznych oraz cementuje wspólne prawdy. Z różnym skutkiem, lecz od roku 1969 poprzez młodzieżowe soboty starali się działacze rozwiązywać także problemy wychowania młodszych pokoleń.

Doceniają okazję ŚG władze partyjne i administracyjne od miejskich po powiatowe i okręgowe, doceniają kierownictwa zakładów pracy, klimat imprezy bowiem zbliża i pozwala lepiej się zrozumieć, przekroczyć bariery oficjalności. Bytność dyrektora Boublika budziła zawsze manifestacje serdecznego przywiązania do huty trzynieckiej. A kogo Jura uraczył ze swej ,,grzędy" swoją gburowatą serdecznością, ten już mógł liczyć na ogólne poparcie, ba, należał odtąd do swojaków.

6. ... *A jak wylezę na tę grzędę, podziwóm się kole siebie, widzim ty nasze grónie i Was, roztomili ludeczkowie, to sie mi zdo, żech wdycki młody, wdycki wiesioły i chciołbych tu na wieki zostać.*

Ten punkt powinien zamknąć nasze roz-

ważania. Sprawy emocjonalne jako najwyższy wymiar ludzkiej sprawiedliwości wewnętrznej i rachunek sumienia, wyraz ludzkiej kondycji, wspólnoty, zżycia się z krajobrazem poprzez wszystkie czasy. Jura mówił dalej: *Ale prowcie co chcecie, nejpiekniejszo to już je, jak pieńdziesiąt wyparadzónych goroli wyleci na scynym i tymi zdrowymi gorolskimi głosami zaśpiywo, to człowieka aż gęsio skura łoblazuje.*

Cóż tu dodać? Święto Gorolski jest symbolem naszej tożsamości, naszego równouprawnienia, wspólnego gospodarowania na tej ziemi. „Chłop potęgą jest i basta!"

WS



fot. PIOTR WOJOCZEK

DAWNI GÓROLE

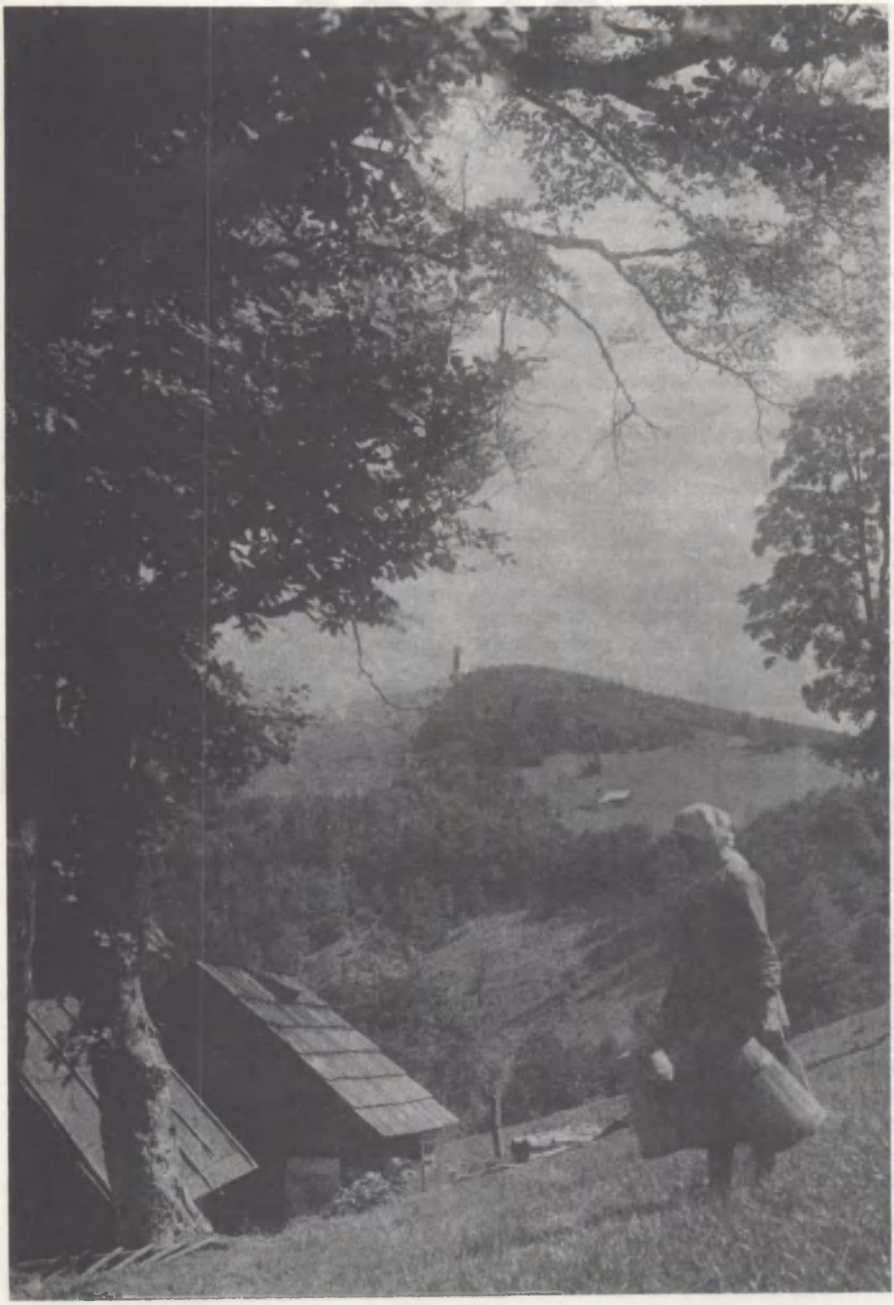
Już niebawem cztery dziesiątki lat będą dzieliły nas od dnia 12 września 1948, kiedy to w Jabłonkowie odbyło się pierwsze Święto Gorolskie. W tym roku znów spotkamy się w Lasku Miejskim, by podziwiać folklor góralski, stroje ludowe i dawne zwyczaje. Z minionymi laty bezpowrotnie odeszli dawni bacowie, pasterze, ci górale, których przodkowie wołoscy przywędrowali wraz ze swymi stadami owiec na nasze tereny już w XVI wieku. Wielu z odwiedzających Święto Gorolskie, zwłaszcza ludzie młodzi, nie zna, nie pamięta dawnych mieszkańców naszych gór. Pojęcie góralszczyzny nie jest im jednak obce. Zakładają zespoły folklorystyczne i czerpią nadal z bogactwa kultury góralskiej.

Przypomnijmy, co zainspirowało założycieli i organizatorów pierwszego Święta Gorolskiego, i to w takim stopniu, że w tym roku organizują go po raz czterdziesty. W roku 1938 odbył pieszą wycieczkę na Kozubową Karol Kaleta z Bystrzycy. Będąc zapalonym fotografem, niósł ze sobą ciężki aparat fotograficzny. Celem wycieczki było bowiem sfotografowanie życia na ówczesnym szałasie. Swój zamiar Karol Kaleta zrealizował. Zrobione wtedy zdjęcia zachowały się do dnia dzisiejszego. Mają już pół wieku. Spójrzmy na nie uważnie. Zobaczymy autentycznych górali w kierpcach, nogawicach, koszuli, z kłobukiem na głowie i z gunią. Tak górale ubierali się naprawdę. Obraz dopełniają zabudowania szałasu, pasące się owce, kozy i nieodłączna trąbita. Widzimy świat dawnych górali.

Dzisiejsze pojęcie góralszczyzny jest już jednak nieco abstrakcyjne. Dlatego fotografie Karola Kalety nabierają szczególnego znaczenia. W miarę upływu czasu staną się coraz cenniejszym źródłem poznania. Po ich obejrzeniu górale na tegorocznym Święcie Gorolskim będą nam bardziej bliscy i zrozumiali.

ANTONI SZPYRC





fot. KAROL KALETA

GARŚĆ GOROLSKICH WSPOMNIEŃ

... Oczywiście wspomnień sprzed 40-tu lat, z początków jabłonkowskiego „Gorola". Współdziałałem przy jego powstawaniu, a było to w warunkach powojennej eksplozji zapału społecznego, potrzeb kulturalnego wyżycia się wszystkich, starych i młodych. A byliśmy młodzi. Przeżywaliśmy bardzo intensywnie wszystkie początkowe wzloty i upadki „Gorola". Były to przeżycia i wesołe, i mniej wesołe, nawet nerwowe, jak się dziś mówi — stresowe. Im bardziej oddalamy się od tych chwil i przeżyć, tym bardziej sentymentalnie się je wspomina. Niektóre wydarzenia — przyjemne i nieprzyjemne — z tych lat chciałbym przypomnieć sobie, żyjącym kolegom i wszystkim sympatykom „Gorola".

Na początku był chór. Mieliśmy wspaniałego dyrygenta, Karola Heczkę, obdarzonego pono absolutnym słuchem (co to jest, do dzisiaj nie wiem), do podawania tonów nie potrzebował ani „piszczałki", ani skrzypiec, ani innego instrumentu.

Sam chór, chociaż dobry, nie stanowił dostatecznej atrakcji, nie pokrywał zapotrzebowania i możliwości akceptacji szerokiego wachlarza kultury regionalnej. Wszyscyśmy to odczuwali i szukali form poszerzenia repertuaru. Były to przede wszystkim tańce ludowe, widowiska regionalne, obyczajowe, gawędziarstwo. Na Śląsku Cieszyńskim po obu stronach Olzy znalazło się tego w nadmiarze. W tym kierunku poszedł „Gorol" i powstał wspaniały, bardzo gorąco i burzliwie witany i oklaskiwany Zespół Regionalny „Gorol".

Początki były trudne, nie było strojów, zbierało się je po chałupach i kompletowało — każdy własnym sprytem i kosztem. Nie było rekwizytów do widowisk, nie było scenariuszy, ale był zespół.

Inicjatywę poparł przede wszystkim Karol Piegza, dyrektor szkoły w Jabłonkowie. Namalował także na płótnie wspaniały widok na zbocza Kozubowej, jako tło sceny. Był to początek kariery „Gorola". Zrobiliśmy również piękny „sałasz", a ponieważ sałasz powinien stać na „groniu", skleciłem taki pagórek z desek i części do rozbierania i przewożenia. Jako „jinżynier" miałem do tego prawo i obowiązek. Czyli mieliśmy panoramę do widowisk plenerowych. Do obrazków w gospodzie zbudowaliśmy kulisy. Wrażenie pleneru potęgowało parę autentycznych jałowców i smreczków z przodu. A wrażenie było piorunujące, zwłaszcza jak wbiegła zgraja rozbawionych goroli i go-

rolek, w kyrpcach, w kopycach, w brucie-kach, niektórzy z guniami, ciupagami, nawet w gorolskich kapeluszach, które nam podarowano po występie w Nowym Jiczynie.

Nowe piękne stroje góralskie — to zasługa konsula Węgierowa. Jakoś mu „Gorol", a zwłaszcza gorolki przypadły do serca i zorganizował dziesiątki metrów oryginalnego czerwonego i czarnego sukna. Krawiec pierwszej klasy, mistrz krawiecki Lisztwan z Nawsia, szył kilka tygodni na miarę brucieki i spodnie, chyba za „Bóg zapłać".

Więc było wszystko, co było trzeba, oprócz „dzieuch". Ale te same zaczęły się garnąć do „Gorola", gdzie było dość szykownych chłapców i tanecznikow. Powstały wspaniałe, żywiołowe tańce śląskie, a prym wiódł „szarocz" pochodzenia węgierskiego.

Potrzebne były scenariusze. Chętnych do pisania było sporo, ale tu nie szło tylko o ochotę, ale i pewną „żyłkę". Na próbach chóru padały często wariackie pomysły, ale z każdego coś zostało. Autorytetem w tym kierunku był Władek Niedoba, który się stawał „duszą" zespołu. Jakoś wspólnym wysiłkiem i zasługą Niedoby powstały pierwsze, dosyć luźne scenariusze: Na sałaszu, Zolyty (zaloty), Wesele gorolskie, Gorolsko błyskawica, no i oczywiście układy tańców, luźne scenki obyczajowe: zabijaczka, szkubaczki i gawędziarskie godki. To wszystko nie było sztywne, przy każdym występie zmieniało się, ulepszało.

Główną cechą, głównym atutem tego wszystkiego było nawiązywanie bezpośredniego kontaktu z widownią, kiedy to Niedoba sam albo z kimś siadał przed kurtyną, wyciągał z węzełka swaczynę, niekiedy, jak się dobrze doma sprawowoł, to nawet gęsią kitkę. Zaczynał godkę z ludźmi, pytał o miejscowe plotki, opowiadał żarty, niekiedy „masne". Zawartością węzełka obdarowywał co piękniejsze dziewczyny na widowni. Często sekundowali mu Michał (Ligocki), ciotka, później Maciej. To przełamywało lody.

Były ale też „wpadki" i wesołe przygody. Np. w scenie „Zolyty" przed sałaszem galan ma przynieść pół litra „rozolki", poczęstować mamę, tatę, a potym sie ciść do komory ku galance. Dla urozmaicenia tym razem galan miał pięknie śpiewać przed sałaszem, prosząc o wpuszczenie „do komórki". Galanka, Marylka Jeżowicz, niemniej pięknym śpiewem się broniła, wyszydzała jego zaloty, a w pewnym momencie stosownie do słów pieśni miała na galana (Niedobę) wyrzucić kocura. Było to piękne i ktoś na przedstawienie przyniósł rosłego, czarnego kocura. Wszystko szło jak z płatka, na sali cicho jakby makiem zasiał. Tylko kocur przerażony tym wszystkim, co widział i słyszał, wyrwał się opiekunowi z rąk używając pazurów, dał drapaka i zniknął na zawsze z Jabłonkowa. Ktoś przytomnie podsunął Maryli czarny śmiatok i Władek dostał śmiatokiem po głowie.

Były też występy wzruszające, szczególnie występ dla chorych w sanatorium w Istebnej, a później tego samego dnia w Wiśle i w Ustroniu. W Wiśle było tak dobrze, żeśmy trochę o Ustroniu zapomnieli, a na dobitkę zgubiliśmy jedną część pagórka z desek i musieli wracać. Do Ustronia przyjechaliśmy chyba pół godziny po zapowiedzianym początku występu. Sala była pełna i przez nią musieliśmy wchodzić na scenę i taskać rekwizyty. To była katastrofa, ale Włada jak zawsze sypnął żartami — i sytuacja została uratowana. Widowisko było w dwójnasób udane, bardzo gorąco i wesoło przyjmowane.

Były też zatargi z prasą. Po którymś tam występie „Głos Ludu" zamieścił dłuższą i rzeczową recenzję Pawła Kubisza — „Od rzemyczka do trzewiczka". Chodziło o to, by nie upiększać, nie idealizować kultury ludowej, regionalnej. Tą krytyką w porównaniu ze sukcesami na widowni, z entuzjastycznymi recenzjami w prasie byli bardzo oburzeni nasi kierownicy i niektórzy członkowie. Myślę, że niesłusznie, bo pomogło to w bardziej autentycznym podejściu do folkloru, chociaż pewne ko-

loryzowanie, zwłaszcza w tańcach, było i jest konieczne.

Później zespół przeżywał kryzysy. Praca i przygotowanie widowisk koncentrowało się bardziej na Święto Gorolskie. Zaczęły się rodzić wielkie, zawodowe zespoły regionalne, jak „Śląsk" i inne, mniejsze, lokalne.

Z zespołem „Śląsk" wiąże się jedno z najbardziej emocjonalnych przeżyć tysięcy jego wielbicieli na tym terenie, na Święcie Gorolskim, na wieczornym występie w Lasku Miejskim w Jabłonkowie. Tuż przed występem zachmurzyło się, nadchodziła burza, gromy, błyskawice, początek się odsuwał. Pomimo napięcia i zawodu wszyscy siedzieli na ławkach, chociaż trochę padało, i czekali. A było na co. Burza przeszła obok, chmury się zupełnie rozpłynęły, a po niebie płynął piękny, jakby umyty, księżyc. Była piękna letnia noc. W tej scenerii i pełnym napięcia oczekiwaniu rozświeciły się reflektory, z kopca z lasku na scenę runęła nawała goroli i gorolek z burzą okrzyków, helokań i oklasków. Na scenie i na widowni rozszalała teraz prawdziwa burza tańców, śpiewów, głośnych zachwytów, oklasków, oszałamiające wszystkich wspaniałe widowisko.

To wszystko są rzeczy, o których warto i przyjemnie jest wspominać — póki się żyje.

KAROL SZLAUR



fot. PIOTR WOJOCZEK

NIGDY NIE ZAGINIE . . .

Przed nami już czterdzieste jubileuszowe Gorolski Święto. Nie pomyśleli przed laty organizatorzy, że nabierze ono takiego rozmachu i znaczenia. Jako centralna impreza folklorystyczna PZKO ma dla nas wszystkich olbrzymie znaczenie polityczne, kulturalne i towarzyskie.

Gorolski Święto jest na terenie republiki jedyną tego typu imprezą, która ma mocny ideowy początek. Deklaruje on zgodność wykonawców i uczestników z ideowymi zasadami polityki partii, wyraża jednoznaczne postulaty zachowania pokoju i bratniego współżycia. Wryło się to Święto w świadomość nie tylko Polaków, członków i niecłonków PZKO, bo przecież słyszymy na nim rozmowy w różnych narzeczach języka czeskiego i słowackiego. Ideowy wstęp jest również okazją do zaprezentowania się wszystkich pezetkaowskich chórów w jednym połączonym zespole, a Jabłonkowskie jest jak dotąd bastionem śpiewactwa na naszym terenie. Spotykamy się z krytyką, że początek Gorolskiego Święta — połączone chóry, przemówienia, powitania gości — jest statyczny i nieciekawy, że stał się na tego rodzaju imprezie folklorystycznej niepożądanym stereotypem. Już na ostatnich Gorolskich Świętach odrzucono wiele z tego „statycznego" wstępu. Prezentowana jest minimalna liczba pieśni ludowych w wykonaniu chóralnym, a przecież występy chórów poprzedzały zawsze wszelkie tego rodzaju imprezy o znaczeniu lokalnym. Stało się to u nas tradycją, tak jak tradycyjny jest u nas również śpiew chóralny. Nie odrzucam jednoznacznie uwag krytycznych na ten temat, lecz nie jestem też za zupełnym zlikwidowaniem chóralnych występów.

Nie sposób opisać szczegółowo znaczenia kulturalnego tej imprezy. Jej głównym założeniem jest upowszechnianie, ożywianie i przybliżanie dawnych pieśni, tańców, obrzędów i zwyczajów tak, by stały się one znowu nieodłączną częścią naszego życia codziennego. Nie można żądać, by ludzie znowu wrócili do prymitywnych warunków mieszkania, do kurloków, komor, na żerówka, lecz i w nowocześnie urządzonym mieszkaniu, w bloku, może brzmieć piękna pieśń ludowa, bajka, opowiadanie, mogą być podtrzymywane tradycje dawnej obrzędowości ludowej, szczególnie rodzinnej. Jednorazowa doroczna impreza nie może tego dokonać, daje jednak jej uczestnikom wątek do przemyśleń, do porównania obecnych i dawnych wartości kulturowych. Prezentowany folklor jest również jedną z metod mocnego oddziaływania estetycznego. Jego formy tworzone były przez cały szereg generacji, są estetycznym katalizatorem sposobu i środowiska życia.

Główną rolę w tej części znaczeniowej

Gorolskiego Święta odgrywa zespół „Gorol" oraz wszystkie inne zespoły, które prezentują się na scenie. Wiele zależy tutaj od dramatyzacji i reżyserii, co dotąd było czynione tylko przez pojedyncze osoby z Jabłonkowa. Nie jest tajemnicą, że w przeważającej większości ubiegłych czterdziestu lat robił to sam Władysław Niedoba. Trzeba stwierdzić, że zamierzenia programowe udają się czasami lepiej, innym razem gorzej. Wpływ na to ma wiele różnych czynników. Na pierwszych Gorolskich Świętach występowali ludzie, którzy folklor nosili w sobie, żyli nim na co dzień, chodzili w stroju ludowym, przy każdej okazji tańczyli i śpiewali. Tworzyli jeden wielki autentyczny zespół rodzinny lub sąsiedzki. Dziś każdego drobnego przejawu kultury ludowej trzeba nauczyć, trzeba się z nim zżyć, poznać jego styl i funkcję. Nie wiem, czy każdy zespół jest zdolny do wyćwiczenia corocznie nowego programu. Może jednak wyćwiczyć część widowiska, które pokazywałoby jeden dawny wielki obrzęd.

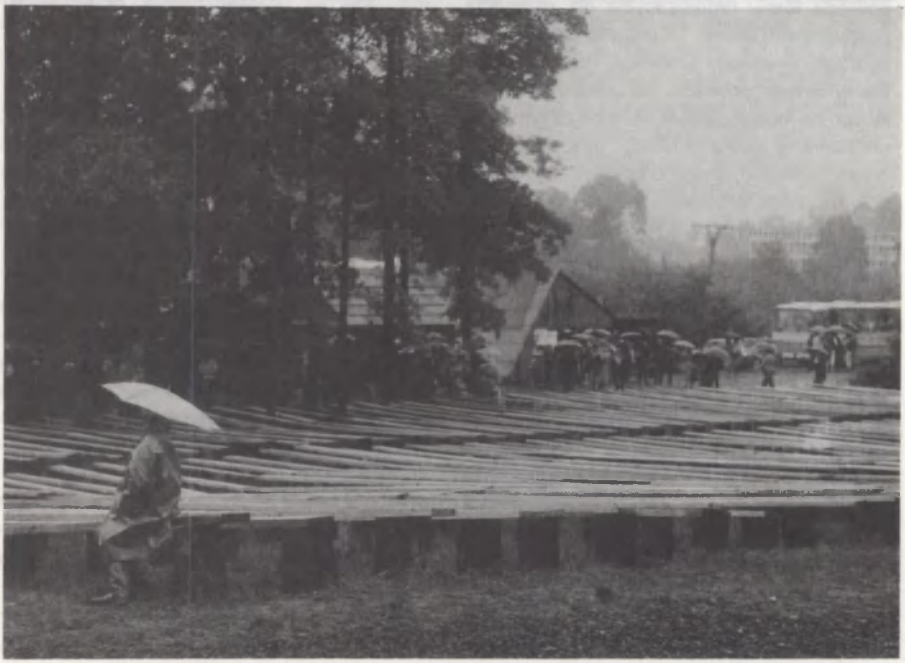
Gościnnie występują na Gorolskim Święcie zespoły z różnych regionów etnicznych: z Moraw, Słowacji i Polski — dla urozmaicenia programu. Inna sprawa to zapraszanie znanych i renomowanych zespołów, które dotąd na Gorolskich Świętach występowały, takich jak np. Śląsk, Lučnica. Podniesiono przez to nie tylko poziom, ale i wymagania. Dziś już d o b r y zespół, lecz mało znany, wywołuje mieszane odczucia, krytykę. Corocznie spotykam się z pytaniami: Jaki „bombowy" zespół wystąpi? Impreza odbywa się w czasie wakacji, urlopu. Wiele zespołów jest wtedy nieczynnych, inne znajdują się na zagranicznych wojażach. Bywało, że zespół, z którym uprzednio spisano umowę, w ostatniej chwili ją zrywał, bo miał możliwość wyjazdu np. do Francji. Łatano potem na prędko dziurę — ku niezadowoleniu widza. To nie jedyny problem. Wiadomo, że nie mamy na naszym terenie wielkich baz noclegowych. Znany i ceniony zespół nie będzie nocował w sali gimnastycznej na materacach, a wszyscy wiemy, jak kształtują się ceny noclegów w hotelach. I tutaj organizatorzy muszą się liczyć z możliwościami ekonomicznymi. Wielu działaczom się wydaje, że Koło jabłonkowskie, które jest finansowym gwarantem imprezy, zarabia na biletach wstępu krocie, że jest najbogatsze na naszym terenie. Rzecz jasna, że w razie pogody bilety wstępu dają piękną sumę, ale też i wydatki są olbrzymie. Koło finansuje wszelkie koszty połączone z przygotowaniem Lasku Miejskiego, drogowe, pobyt, honoraria wszystkich uczestniczących zespołów i orkiestr. Z zysków, które w razie niepogody zmieniają się w deficyt, ulepsza zaplecze Gorolskiego Święta. W ostatnich trzech latach do Lasku sprowadzono wodę do picia (również dla innych Kół), wybudowano „Jurowice", nowe wielkie stoisko, zakupiono prawie 500 desek, oheblowano je, by się uczestnikom wygodniej siedziało — wszystko z funduszy Koła. Wiele pochłoną sprawy propagacji, zabezpieczenia zespołów i jeszcze inne. Nie można żądać, by partycypowały w tym wszystkie małe Koła Jabłonkowskiego, dla których uczestnictwo na zapleczu GŚ jest bardzo praco- i czasochłonne, zaś dochód stoi pod znakiem zapytania, ponieważ pogody nie da się wcześniej zamówić.

W ostatnich czasach pada wiele uwag pod adresem przyszłych Gorolskich Świąt. Są tacy, którzy uważają je za przeżytek, sądzą, że dać im trzeba inną nazwę (np. Święto Olzy, Święto Gór), że wraz z odejściem Władysława Niedoby będą stopniowo upadały. Uważam, że głosy te są obrazą dla tysięcy corocznych uczestników, którzy uznają Gorolski Święto za swoje własne święto, rodzinne, przychodzą na nie, by zaczerpnąć mowy i pieśni, spotkać się z przyjaciółmi, okazać przywiązanie do tradycji, by być o b e c n y m ! Wszystko przygotowują ludzie i wszystko osądzają ludzie. Organizatorzy dołożą starań, by i w przyszłości każdy uczestnik tej wspaniałej imprezy odchodził zadowolony, by gorolski śpiywani nigdy nie zaginęło, i w tym jest sens.

Poruszyłem niektóre problemy najważniejsze i te zasłyszane tylko marginesowo. Wymagają one nie tylko szerszego potraktowania, ale i doglębnej analizy, skupienia wszystkich myśli i sił twórczych i odtwórczych, a przede wszystkim zrozumienia i poparcia. Każda zaś uwaga pod adresem Gorolskich Świąt i ich organizatorów będzie analizowana i brana pod uwagę dla dobra widza i uczestnika.

WŁADYSŁAW MŁYNEK





fot. JAN MILERSKI, KAZIMIERZ BRANNY

WIERCHOWE NUTY '87

Od kilkudziesięciu lat obserwujemy nasilanie się procesów unifikujących potrzeby społeczeństwa, przy czym rolę dyktatora odgrywa przemysł, w korzystny dla siebie sposób kształtujący model życia pojedynczego człowieka. Stwarza motywacje zarobkowe, podpowiada formy organizacyjne dla osiągania postawionych celów. Ta polityka producenta, poprzez masowość produkcji, obniżkę kosztów własnych, prowadzi do zysków pozwalających na monopolizowanie, a co za tym idzie unifikowanie rynku odbiorcy. Jest to proces ogólnoświatowy, podporządkowujący monopolom kształt produkcji. W tych procesach tkwią również źródła kosmopolitycznej, zunifikowanej kultury masowej, która zaciera różnice między ulicami Meksyku, Frankfurtu, Budapesztu czy Jokohamy. To wszystko tłumaczy postępującą pauperyzację zapotrzebowań kulturowych. W szeregu procesów prowadzących w imię ogólnoświatowych wzorców kulturowych do wynaradawiania licznych i nadal bogatych kultur mieszkańców wszystkich kontynentów jest też odchodzenie od do niedawna żywej kultury ludowej. Pomijam zaniechanie stroju czy gwary, te musiały przegrać już w pierwszych kontaktach z ,,kulturą miejską" lub ,,przemysłową", ale można by się na chwilę zatrzymać przy szansach przetrwania narodowych kultur muzycznych.

Zupełnie czytelny jest obraz współczesnej masowej kultury muzycznej formowanej przez producentów współczesnej muzyki rozrywkowej (TV, radio, estrada, film, nagrania itp.); moda na określone wzorce i postawy rodzi wstydliwy stosunek do kultury ludowej. Ale już dzisiaj należy przewidywać dezaprobatę społeczeństw dla wspomnianej dyktatury, w związku z bardzo prawdopodobnym niespełnieniem oczekiwań życiowych w uprzemysłowionych, rozwiniętych, coraz bardziej świadomych grupach odbiorców taniejącej z dnia na dzień kultury. Należy więc oczekiwać wzrostu zainteresowań dla tradycyjnych wzorców kulturowych. Mieściłby się w tym wzrost zainteresowania muzyką ludową w jej najbardziej archaicznych formach. Może w tej sytuacji dojść do ponownego a naturalnego ciągu rozwojowego — od najbardziej archaicznych wątków, najprostszej materii muzycznej, poprzez jej rozwinięcie i rozwój sposobów wykonawczych, do perfekcjonizmu, wirtuozerii i form bardzo wyszukanych.

Muzyka górali karpackich jest jednym z nielicznych bastionów zanikającej (zadeptywanej) muzyki ludowej. Wśród bardzo wielu czynników, składających się na ,,samoobronność" góralskiego muzykowania, najważniejszym jest jej bogactwo i różnorodność,

zwłaszcza gdy spogląda się na całość obszaru występowania kultury górali karpackich.

Na muzyce ludowej dokonywano wielu zabiegów, traktując ją już to jako tworzywo kompozytorskie, bądź jako surowiec do przeróbki dla potrzeb estrady (Mazowsze, Śląsk itp.), bądź jako ilustrację muzyczną dla filmów, widowisk (sporadycznie teatru) o profilu etnograficznym. Tylko czasem (bardzo rzadko) spotykamy sytuacje, gdzie muzykę ludową traktuje się, odbiera jak MUZYKĘ. Nie zdarza się to na festiwalach folklorystycznych, bo tam panują widowiska. Poza anteną radiową nie spotyka się muzyki ludowej w formie słuchowiska. Nam idzie właśnie o słuchowisko, o muzykowanie dla MUZYKI — oczywiście dla ludzi, słuchaczy. Chcemy udowodnić, że muzyka ludowa warta jest słuchania, jak np. klasyczna muzyka kameralna.

Byłoby truizmem mówić o roli, jaką odgrywała muzyka ludowa w historycznym kształtowaniu muzycznych szkół narodowych, choć może warto przypomnieć niektóre nazwiska największych, jak Haydn, Mozart, Schubert, Weber, Chopin, Brahms, Liszt, Dvořák, Smetana, Szymanowski, Bartok, Strawiński i wielu innych, którzy garściami brali tworzywo z muzyki ludowej, urzeczeni jej bogactwem, barwnością, melodyką, nastrojem; często w miejsce przetwarzania tego materiału do potrzeb własnych — ulegali jej, dostosowując własny warsztat kompozytorski do kanonów tej lub innej muzyki ludowej mającej sędziwy, a często złożony rodowód.

Chyba warto zaglądnąć do rodowodu muzyki góralskiej, a zwłaszcza najbliżej nam — karpackiej. Rodowód ten złożony jest tak, jak rodowód etniczny karpackiej góralszczyzny. Stare kultury słowiańskie towarzyszące osadnictwu Słowaków (IX w.), Morawian (X w.), Małopolan (XI—XII w.), Niemców (XIII w.), Wołochów, a z nimi Rusinów — Łemków i Rusinów — Bojków (XV—XVII w.), powtórnie Małopolan i Słowaków (XVI—XVIII w.) — wśród tych fal osadnictwa znaleźli się i Madziarzy, i Cyganie, i Żydzi, spotykały się religie katolickie (rzymska, prawosławie, unicka, różne kościoły reformowane) i hebrajskie, tu i ówdzie islam (osadnictwo jenickie). w tym tyglu musiała powstać bardzo, ale to bardzo bogata kultura — w tym i muzyczna. Wykształciły się rozliczne grupy etniczne, nieraz w najbliższym sąsiedztwie wykazujące olbrzymie różnice jakościowe w kulturze materialnej i duchowej. Beskidy Śląski i Żywiecki zamieszkują górale śląscy i żywieccy, a na południe Kysuczanie, doliny za Babią Górą aż po Tatry na wschodzie i Małą Fatrę na południu zasiedlili Orawiacy, wokół Tatr — Podhalanie od północy, a Liptowanie i Spiszacy od południa, w dolinie Wagu, w jego środkowym biegu na stokach gór Wielkiej i Małej Fatry, Gór Strażowskich i Jaworników, Inovca i Białych Karpat wykształciło się wiele kultur, dla uproszczenia określanych łącznie kulturą Poważa, w dolinach między Białymi a Małymi Karpatami mieszkają Myjawianie, między Niskimi Tatrami a Rudawami mówimy o kulturze Horehronia, na stokach Polany i w Kotlinie Zwoleńskiej mamy do czynienia z kulturą Podpolania, w Rudawach aż po granicę węgierską mówimy o kulturze gemerskiej, na wschód od Magury Spiskiej kultura oparta na dorobku Łemków słowackich zwana szarzyszską, a jeszcze dalej na wschód ondawską; na północnych stokach Karpat w dolinie Dunajca mamy kulturę Lachów, na wschód, w Beskidzie Sądeckim i Niskim oraz w Bieszczadach, mamy dzisiaj niemal pustynię kulturową po wysiedleniu Łemków i Bojków.

Najżywsze ośrodki kultury muzycznej w Karpatach to na północy Podhale (Zakopane), Beskid Śląski (Istebna) i na Orawie Jabłonka. Na południowych stokach Karpat to Jabłonków na Śląsku, Terchowa na Poważu, Wychodna i Ważec na Liptowie, Szumiac i Czierny Balog na Horehroniu, Detwa na Podpolaniu, Myjawa na Zagórzu, Wranow i Zamutow na Ondawie.

W dniach 8—13 maja spotkali się w Katowicach i Zakopanem muzycy góralscy z różnych części Karpat, by, oprócz wspól-

nego muzykowania, pokazać również „wspólny rodowód muzyki góralskiej". Na zaproszenie organizatorów — Śląskiego Oddziału Towarzystwa Ochrony Tatr, Zarządu Miejskiego ZSMP w Katowicach, Klubu Wysokogórskiego TATREX w Katowicach oraz Tatrzańskiego Towarzystwa Kulturalnego w Zakopanem — znaleźli się w doborowym gronie kapel góralskich również „Górole" z Mostów. Chociaż spotkanie to nie miało charakteru konkursu czy festiwalu, było niecodzienną imprezą i — co tu dużo ukrywać — ciężką harówką dla muzyków. W programie nie było luk i „muzykowanie" rozpoczęło się dla nas właściwie od momentu przekroczenia granicy, gdzie nas oczekiwali organizatorzy (duszą i twórcą całej imprezy był Marek Jenner — z wykształcenia inżynier architekt i artysta plastyk, a z zawodu i powołania pedagog i przewodnik PTTK) i chłopcy z Terchowej.

Autobusem dojechaliśmy do Tych, gdzie była kolacja i pierwsze muzyczne konfrontacje w pokojach hotelowych. W dniu następnym (piątek) pojechaliśmy do Katowic, gdzie na rynku odbył się pierwszy oficjalny koncert. Tam do nas dołączył znany Józef Broda z całą grupą i kapela z Zakopanego pod „dowództwem" Adama Doleżuchowicza, w skład której wchodzili znani nam uczestnicy Balu Gorolskiego. Po południu odbyła się próba generalna a wieczorem uroczysta kolacja (Wieczór Przyjaźni Czechosłowacko-Polskiej) z okazji Święta Narodowego CSRS z wszystkim, co tworzy tego typu imprezy, to znaczy z przedstawicielami życia politycznego CSRS i Polski, masą ludzi i ... graniem do niemal rannych godzin.

Dzień następny (sobota) nie przyniósł nam pożądanej i potrzebnej chwili wytchnienia. W południe koncert na rynku Katowic. Po południu w ramach Katowickich Dni Młodości

Kapela braci Muchów z Terchowej wraz z kapelą „Góroli"



występował w Katowickim Parku cały Zespół Regionalny „Górole", więc dodatkowe granie dla „Góroli" i szybki przejazd prosto do filharmonii, gdzie rozpoczynał się I koncert WIERCHOWE NUTY. Koncert stał na bardzo wysokim poziomie — no bo jakże inaczej. Józef Broda jest muzykiem i śpiewakiem najwyższej klasy, a ponieważ rozpoczynał koncert, więc wprowadził na sali odpowiedni nastrój. Muzyków z Zakopanego (Jan Karpiel — Bułecka, Staszek Michałczak, Andrzej Krzeptowski i inni) nie trzeba przedstawiać, ponieważ można ich oglądać i słuchać corocznie na Balu Górolskim w Mostach. W końcu muzykanci z Terchowej. Tutaj należy się trochę więcej informacji.

Terchowa leży w dolinie rzeczki Warinki, która górnym swoim ciekiem rozgranicza Góry Kysuckie od Małej Fatry. Sąsiedztwa kulturowe to na północy Orawa, na zachodzie Kysuca a na południu Poważe — jednak w muzyce terchowskiej trudno wyśledzić wpływy wymienionych regionów — najbliższe pokrewieństwa znajdziemy na Podhalu, Liptowie lub Horehroniu. Żywe są tradycje pasterskie (owce terchowskie wypasane są w górach do dziś) i zbójnickie — tu przyszedł na świat w roku 1688 legendarny Juraj Janosik, sądzony w 1713 za zbójowanie i powieszony na haku na rynku Liptowskiego Mikulasza. W Terchowej odbywają się co roku (trzecia sobota i niedziela sierpnia) Janošikové slavnosti — barwny festiwal folklorystyczny, a za rok, w trzechsetną rocznicę urodzin Janosika uroczystości te będą szczególnie barwne i okazałe. Nasza kapela wyjeżdża na ten festiwal już w tym roku (tydzień po Gorolskim Święcie), natomiast w roku następnym cały zespół, również z tancerzami.

Muzykanci z Terchowej (w tym wypadku bracia Muchowie plus kierownik zespołu Rudo Patručiak z ojcem — oryginalnym starym bacą z Terchowej), to wirtuozi i, można powiedzieć, profesjonaliści w grze na swoich instrumentach. W zeszłym roku zespół ten zdobył główną nagrodę na Festiwalu Ziem Górskich „Tatrzańska Jesień" w Zakopanem — złotą ciupagę, a płyty z ich nagraniami można kupić w każdym sklepie firmy Opus. Tak więc po koncercie w tak doborowym towarzystwie w dobrym humorze zabawialiśmy się podczas kolacji w Centrum Variete. Dzień następny — niedziela. Przed południem samodzielny koncert, po południu II koncert WIERCHOWE NUTY, a wieczorem granie do zabawy, podczas kolacji pożegnalnej w restauracji „Łania".

Poniedziałek. Wyjazd do Pieskowej Skały, gdzie z nami i z Terchowcami filmowano teledyski dla Telewizji Polskiej. Następnie przyjazd do Krakowa i odjazd do Zakopanego. Tak więc, jeżeli dobrze policzyć, to w przeciągu trzech dni daliśmy dziewięć (!) koncertów plus całonocne grania, a w poniedziałek nagrania dla telewizji. W Zakopanem odbyły się jeszcze dwa główne koncerty z tym jednak, że dołączył do nas zespół im. Bartusia Obrochty z Zakopanego i zespół dziecięcy „Polaniorze". Oprócz tego graliśmy przy szałasie pasterskim.

W czwartek, w gęsto padającym śniegu, odjeżdżaliśmy do domu, zahaczając po drodze o Terchową i ... no cóż, znowu grając dla przyjemności w terchowskiej gospodzie. Co nam pozostało z tej imprezy? Przede wszystkim przyjaźń i nowe kontakty.

Wszystkie zespoły obiecały przyjechać na Bal Górolski '88 do Mostów. Tak więc na 10. Balu będzie 10 kapel góralskich. To będzie jakby zimowe spotkanie kapel góralskich, ponieważ WIERCHOWE NUTY pod patronatem Ministerstwa Kultury SSR, odbędą się w roku 1988 na Słowacji. I tak na zmianę.

ANDRZEJ NIEDOBA



ZESPOŁY PZKO W STRAŻNICY

Po raz pierwszy w historii aż trzy zespoły, reprezentujące PZKO, wzięły udział w festiwalu folklorystycznym w Strażnicy — „Błędowice", „Sibica" i „Górole". Szerzej o ich występie pisać będziemy w następnym numerze „Zwrotu".











fot. RADOMIR KRYGIEL





fot. BOGUSŁAW LIPOWCZAN

FORUM MŁODZIEŻY PZKO

Czas: 20 czerwca od godziny 13.30 do 22.00
Miejsce: Dom PZKO w Mostach koło Czeskiego Cieszyna
Osoby: Młodzież PZKO od Jabłonkowa po Bogumin, przedstawiciele Klubów Młodych, ROKM-ów, ośrodków SAJ-owskich. Przybyli też goście: dr St. Kondziołka — prezes ZG PZKO, Wł. Orszulik — I sekretarz, ing. R. Suchanek — wiceprezes, członkowie prezydium i pracownicy ZG PZKO. Zostali zaproszeni, a nie pojawili się, niektórzy przewodniczący Komitetów Miejskich PZKO, poszczególnych sekcji związkowych oraz dyrektorzy szkół średnich.

Forum młodzieży PZKO rozpoczęło się mniej więcej punktualnie i raczej nietradycyjnie, bo od piosenek w wykonaniu kwartetu dziewczęcego i w przypadku „Remedium", czyli „Wsiąść do pociągu . . ." z repertuaru M. Rodowicz całej sali. Wszystkich zebranych w liczbie 80 osób powitali prowadzący Michaela Czap i Władysław Smugała. Plansze z rozkładem jazdy Forum — punktami programu umieszczono na . . . drabinie, do której podbiegał od czasu do czasu Bogdan Kokotek, tym razem w roli „skreślacza".

Przy czwartym punkcie programu — Raport o „stanie Klubów Młodych" — niespodzianka: Raportu po prostu nie będzie. Boguś Raszka, przewodniczący Sekcji Młodzieży Związkowej, tłumaczy jego brak bardzo małą liczbą danych nadesłanych z poszczególnych Klubów Młodych. „Raport" przedstawić miał najciekawsze informacje dotyczące działalności młodzieży związkowej. Jednak zdaniem osób powołanych „Raport" zostanie w najbliższym czasie opracowany. Zamiast tego wyrwało się z piersi Bogusia westchnienie: „Nareszcie mamy Forum!" i tu dowiadujemy się, że już kilka razy wystrychnięto nas na dudka, raz po raz przesuwając termin Forum. O 14.45 Boguś oddaje głos Jankowi Przywarze, który zagaja najważniejszą część programu — Dyskusję. Według informacji zawartych w „Suplemencie młodych", w numerze specjalnym (drugim), dyskusja na Forum ma być pożyteczna, a pożyteczna to znaczy bogata, rzeczowa i ciekawa. Suplement, który czytała czy też miała przynajmniej w ręku większość uczestników Forum, został on bowiem rozesłany do wszystkich Klubów Młodych i Kół PZKO, zawierał również 10 problemów głównych, które stały się tematami wywoławczymi dyskusji. Wynika z tego, że można się było przygotować do dyskusji, a czy tak było? I tak, i nie.

Na początku dyskutowano sprawę pozyskania nowych członków PZKO, a więc co robić, żeby jak najwięcej ludzi młodych otrzymało legitymację PZKO i aktywnie uczestniczyło w życiu związkowym. Dyskutanci podkreślali istotną rolę współpracy Klubów Młodych z przedszkolami i szkołami podstawowymi. Ciekawe były propozycje imprez, które w nieformalny sposób spełniają ten cel. Omawiano również problem aklimatyzacji nowych klubowiczów. Okazało się, że najważniejsze jest to, by nowy klubowicz, członek PZKO, czuł się potrzebny, a w tym celu trzeba będzie sprawdzić zainteresowania nowych i wskazać im możliwość wyżycia w tym czy innym kierunku.

W dalszym ciągu dyskusji rozważano sposoby samoobrony przeciw nudzie i alkoholowi. Dyskutanci zgodnie doszli do wniosku, że jeżeli każde spotkanie klubowe ma być ciekawe i pożyteczne, trzeba je przygotować. Należy również w większym stopniu niż dotychczas propagować te formy działalności, które nie są zbyt popularne. Chodzi przede wszystkim o różnego rodzaju prelekcje, odczyty, ale również sport. A sprawa alkoholu? Co robić, żeby na imprezach młodzieżowych był on rzadkim gościem? Kwestia alkoholu jest uwarunkowana stosunkiem całego społeczeństwa do tego problemu, a rozwiązanie leży w gestii szkoły, rodziny. Przede wszystkim podkreślono, że należy uczyć kultury picia w domu, ale także na imprezach PZKO. Zamiast zakazów spożywania alkoholu na spotkaniach młodzieżowych trzeba je tak organizować, by zwyczaj picia alkoholu schodził na dalszy plan i w efekcie umarł śmiercią naturalną. Sprawa ta ściśle wiąże się z problemami lokalowymi SAJ-u w Ostrawie i Brnie, gdzie studenci muszą spotykać się w restauracjach. W tym miejscu zabrał głos tow. Orszulik i zadeklarował pomoc w rozwiązaniu tego problemu.

Po krótkiej przerwie dyskusja potoczyła się dalej. Dotyczyła stosunków generacyjnych, współpracy starszych członków Związku z młodszymi. Przedstawiono przykłady wzorowego współżycia, ale najczęściej użalano się na to, iż w zarządach Kół PZKO jest mało młodych ludzi albo w ogóle nie ma przedstawicieli Klubów Młodych. Podkreślono, że na walnych zebraniach powinno się wysuwać postulaty, żądania oraz przedstawiać plan działalności Klubów. Następnie doszło do wymiany doświadczeń w związku z integracją Klubów. Złączenie Klubów — doraźne czy też totalne — jest pewnym rozwiązaniem w sytuacji, gdy występują problemy lokalowe i inne. Omawiano również problem reaktywizacji kontaktów z Klubami tzw. „starej gwardii", czyli byłych klubowiczów, którzy mogliby pomóc obecnym klubowiczom swoim doświadczeniem. Na zakończenie dyskusji zabrał głos tow. St. Kondziołka, który powiedział m. in., że „bez młodzieży nie ma ciągłości i przyszłości Związku".

Jaka więc była dyskusja na Forum? Na pewno była żywa, szczera i otwarta, nie było zbytniego ględzenia i popisów retorycznych. Niestety nie wszyscy goście zrorumieli ważkość wielu poruszonych spraw, niektórzy poczuli się niejako dotknięci tym, że poruszono problem generacyjny w PZKO. Jeden z oceniających dyskusję porównał dyskusję na Forum do kolejnej edycji Melpomenek. No cóż? Okazało się, że spotkania tego rodzaju są bardzo potrzebne i na pewno warto je kontynuować. Wnioski z dyskusji, które opracowała komisja wnioskodawcza, zostaną przedstawione na XV Zjeździe PZKO. Nie wszystkie problemy uda się od razu rozwiązać, ale ważne jest to, że coś drgnęło.

Dla tych, którzy nie bardzo wierzą w sens tego rodzaju spotkań, mam pocieszającą wiadomość. Jedna z uczestniczek Forum zdecydowała się wstąpić do PZKO. Nie zraził jej nawet fakt, że przysłowiowe „skrzydła, na których młodość powinna wylatywać nad poziomy" są przycinane przez niezbyt niekiedy trafne decyzje naszych działaczy.

iza

PEZETKAOWCY INACZEJ

spotkanie 8.

POD SEMAFOREM

O tym zawodzie mówiono kiedyś „elita", a jeszcze dawniej praca tam była szczęściem dla nielicznych. Dziś kolej należy do pracodawców, którzy chętniej poszukują ludzi do niektórych zawodów niż się ich pozbywają. Znałam kilku takich, co to patrząc na zimowe mundury naszej niebieskiej armii opowiadali złośliwy dowcip na temat tego, kto może, a kto nie może zostać kolejarzem. — Czy wiesz — pytał taki dowcipniś — jak wyglądają egzaminy wstępne na kolejarza? — A jak? — powinien zapytać ten drugi. — To, wiesz, kandydat taki ubiera się w kożuch, siada blisko pieca i musi wytrzymać tak . . . dwanaście godzin. Nie zapytałam o to dzisiejszego gościa z cyklu PZKO-wcy inaczej Józefa Kubatkę z Wierzniowic z dwu powodów. Po pierwsze: jest maszynistą, czyli kolejarzem budzącym w niektórych krajach Europy ciągle jeszcze najwyższe poważanie wśród kolejarskiej braci, po wtóre, kożucha u niego nie widziałam, nie tylko dlatego, że to środek lata.

— W czym więc jeździcie w lokomotywach?

— Różnie bywało z tym ubiorem. Kiedyś nie wolno nam było brudzić mundurów w kabinie maszyny, więc jeździliśmy w roboczych kombinezonach. A teraz na odwrót. Musimy prowadzić pociąg w wyjściowych koszulach, bo przecież wobec pasażerów reprezentujemy nasze przedsiębiorstwo.

— Lubisz swoją maszynę?

— Ja nie mam swojej jedynej maszyny, jak na przykład ma kierowca swój autobus. Mogę prowadzić każdą maszynę elektryczną, nie posiadam natomiast egzaminów uprawniających mnie do prowadzenia lokomotywy motorowej. Większość maszynistów w naszej

ostrawskiej parowozowni nie ma stałych turnusowych kursów, jeździ, jak my to mówimy, ,,lotmo", czyli że robotę planuje nam się z niewielkim wyprzedzeniem, według zapotrzebowania.

— *Zaczynałeś jednak jeszcze na maszynach parowych?*

— Tak, trzy lata byłem pomocnikiem maszynisty, czyli palaczem. I tak całą zmianę rzucałem węgiel brunatny do pieca. Łopata była wąska, z krótkim sztylem, żeby można się było wygodnie obracać i mieć porządny rozmach. Piec miał ponad trzy metry długości, a ogień należało utrzymywać nawet w najdalszych kątach . . .

— *To ile tego węgla spalono za zmianę?*

— Dwie, trzy tony. Czasami, jak skład był ciężki, trzeba było dorzucić czarnego, by lokomotywa mogła wagony uciągnąć.

— *Ale wtedy byliście we dwójkę. Teraz awansowałeś z pomocnika na maszynistę i jeździsz sam . . .*

— Ostrawa jest pierwszą parowozownią w kraju, skąd lokomotywy wyjeżdżają z jednoosobową obsługą w trakcji elektrycznej. Są już takie warunki na trasie, że wystarczy jeden człowiek w kabinie. Zresztą za to zaoszczędzenie siły roboczej otrzymaliśmy swego czasu wysokie odznaczenie państwowe.

— *A nie smutno tak samemu . . .*

— Czasami i tak, nie ma do kogo gęby otworzyć. Nie wolno nawet mieć radia, bo na kolei obowiązuje wiele sygnałów dźwiękowych, można byłoby się przesłyszeć. Mamy natomiast w kabinie kuchenkę, jest lodówka *. . . która również grzeje . . . Na nocnych kursach* ,,osobowym" można zjeść ciepłą strawę w stacjach w Przerowie, Żylinie, gorzej już, kiedy jedzie się towarowym. Składy stają na bocznicach dalej od stacji, a tam tylko dzikie zające i konserwy.

— *Czy to trudno orientować się, jadąc z większą szybkością, wśród tych wszelkich semaforów, sygnałów, znaków i dźwięków?*

— Nie można prowadzić lokomotywy bez uprzedniego zapoznania się z trasą. Jedzie się wówczas z kolegą i dokładnie uważa na różne ,,ciekawostki" po drodze. Dwukrotnie w dzień i dwukrotnie w nocy. To nie jest tak jak na szosach, gdzie znak drogowy musi być jednoznacznie interpretowany. Tu na kolei jest inaczej, to znaczy bardziej skomplikowanie. Jest na przykład dziesięć jednakowych znaków i na dziesięć różnych sposobów można obok nich przejeżdżać. Poza tym w każdej stacji obowiązuje jej własny specyficzny regulamin, czyli uzupełnienie przepisów, bo każda stacja ma inne warunki, inne położenie, chociaż ostatnio zmierza się już do daleko idącego ujednolicenia. Trzeba na przykład wiedzieć, gdzie są ,,zadrutowane tory", czyli trakcja u góry, a gdzie nie, żeby nie wjechać szczególnie nocą tam, skąd nie da się już potem wydostać.

— *Jak często trzeba odnawiać to rozpoznanie?*

— Jest ważne pół roku. A jeśli w tym czasie ani razu się już tamtą trasą nie jechało, trzeba go odnawiać. Poza tym o różnych zmianach na wszelkich odcinkach jesteśmy na bieżąco zawiadamiani w rozkazach dziennych, niezależnie od tego, czy akurat jedziemy w tamtą stronę, czy nie . . .

— *A jaką będziesz miał dziś zmianę.*

— Dziś mam osobowy, zabieram go z Ostrawy, jest to lokomotywa z numerem 4990, raczej zmiana dobra. Pojadę z Bobiną . . .

— *Z kim?*

— Tak nazywamy tę lokomotywę.

— *To lokomotywy mają imiona?*

— Nie poszczególne maszyny, tylko serie, *typy. Bobina dlatego, że ma typizowane podwozie określane jakoś z francuska znakami* podwójnymi BO BO. Więc nazywamy ją Bobiną, albo bardziej prozaicznie Zerówką.

— *Kto wymyśla te imiona?*

— Dokładnie nie wiadomo. Ktoś wymyśli i powie, a jak się innym spodoba, powtórzą i tak się przyjmują.

— *Powiesz jeszcze jakieś nazwy?*

— Są więc Kremaki, Sztokry, Uszatki, Pa-

pużki, jest taki pośpieszny Torpedo . . . motorowe lokomotywy mają takie imiona: Kapturek, Honda, znany Sergiej. Były również Mała i Wielka Zemsta, bo z hydrauliką u tych maszyn nigdy nie było wiadomo . . .

— *Jak długo można jechać w jednym kawałku na przykład Torpedem?*

— Najdłuższy odcinek w jednym kierunku dla maszynisty mierzy trzysta kilometrów. Chcąc więc jechać kurs do Pragi nie mogę go absolwować już z Ostrawy, skąd przypuśćmy pociąg wyjeżdża, tylko np. dopiero z Ołomuńca. Przeciętna szybkość na tym odcinku jest dość znaczna, to jest dobry odcinek, można tu rozwinąć miejscami nasze krajowe maksimum 120 km/godzinę. Czytałem gdzieś niedawno, że takie tory, niestety, stanowią zaledwie 5 procent naszych torowisk. W rezultacie przeciętna szybkość wynosi więc około 80 km.

— *To znaczy, że po dobrych torach lepiej się jeździ?*

— W każdym razie szybciej. Przez tradycyjną stację prowadzi zazwyczaj dwoje torów, nie licząc bocznic i torów do przetaczania. Te główne tory nawet w poszczególnych stacjach na niedużej odległości znacznie się różnią. Dam przykład. Stację „Bystrzyca nad Olzą" można przejechać setką, ale już niedaleki Trzyniec zaledwie sześćdziesiątką, a większość stacji na tej trasie czterdziestką. Torowiska się oczywiście zużywają. To, co było dla nas aktualne na przykład jeszcze w piątek, dróżnicy w czasie weekendu nie pracują, w czasie dyżurów wymieniają tylko zauważone pęknięcia szyn kolejowych. Pociągi jeżdżą całą dobę na okrągło, z węglem, z rudą, przepustowość jest krytyczna. A tor w nienajlepszym stanie . . .

— *A dlaczego? Jak uważają maszyniści?*

— Przyczyn jest wiele. Ale z mojego punktu widzenia przydałby się bardziej radykalny porządek i współpraca, a często zwykła wyobraźnia. Z dziurawych wagonów (więc najpierw je należałoby naprawić) sypie się w torowiska materiał, czy to piasek, czy węgiel, czy zboże, zasypuje tory, woda nie odcieka, robi się błoto i dziury. Trzeba to wyczyścić, tory ułożyć z powrotem, niepotrzebne śmiecie zsuwa się najczęściej pod tory, do rowów. I znowu woda stoi w torowiskach. Jeśli sieć nie będzie w porządku, nie możemy rozwinąć konkurencyjnej szybkości i stracimy cenne dewizy za tranzyt.

— *Słyszałam, że maszynista też może zniszczyć podkłady, jak mu na przykład wagon wyskoczy z szyny, a on tego nie zauważy.*

— Czytałem raz taki artykuł, to prawda, jakiś oburzony dziennikarz widział, jak wagon, któryś tam z kolei za lokomotywą, pruł sobie przez progi, niszcząc wszystko po drodze. A maszynista nic nie wiedział. A ja mówię, że to ten dziennikarz nic nie wiedział o naszej robocie. W lokomotywie nikt nie mógł tego zauważyć. Maszyna ma 120 ton, ciągnie dwu i pół tysiąca tonowy skład, dopiero kiedy wagon najedzie na przeszkodę, na przykład zwrotnicę lub przejazd, zaczyna się zestawrwać . . .

— *A dlaczego tak strasznie piszczą hamulce, aż uszy puchną . . .*

— Może to te źle naoliwione piszczą. Ale ostatnio przyszły już wagony ze Studenki z tarczowymi hamulcami i te hamują bezgłośnie. Można wytrzymać.

— *Ale nie da się wytrzymywać tych spóźnień . . .*

— Masz rację. Ja też wówczas nie wkładam kolejarskiego munduru i nie chodzę wśród ludzi, żeby nie wysłuchiwać: „Ajzyńbanioki, zaś jeździcie nieskoro".

— *Podaj mi chociaż jeden powód, dlaczego spóźniacie się latem?*

— . . . no, powodem może być na przykład papierek po wafelku wyrzucony z okna.

— *Poważnie mówisz?*

— W wypadku, że ten mały papierek dostanie się w miejsce kontaktowe automatycznej zwrotnicy. Dyżurny ruchu próbuje ze swojego stanowiska przestawić rozjazd i nie chwyta. Nie ma optycznego kontaktu, bo siedzi za da-

leko. Wraca przekładnię z powrotem i nie wie, że tam może brakować pół milimetra, po prostu nie ma połączenia. Musi kogoś wysłać, by sprawdził na miejscu i już masz spóźnienie.

— *Ale musisz przyznać, że to jest zbieg okoliczności.*

— A jednak dosyć częsty, może być papierek albo inny przedmiot, a zimą śnieg i nawet elektrycznie ogrzewane zwrotnice zamarzają.

— *A zdarzył ci się kiedyś na kursie jakiś nieprzyjemny wypadek?*

— Było kilka. Opowiem może o takim, który zakończył się szczęśliwie. To było wtedy, kiedy byłem jeszcze palaczem. Jechaliśmy z pustymi węglarkami na Kopalnię „Antoni Zapotocki", koło szybów należących do Fuczika. Tam jest trzydziestka. Prędzej nie można jechać. Nagle patrzę — po drodze jedzie samochód, taki czerwony stary Wartburg. Z początku nie było w tym nic osobliwego, ale im bardziej się zbliżał do przejazdu, tym bardziej czułem, że coś jest nie w porządku. Nie wytracał szybkości. Jechał wprost na nas. „Hamuj", krzyknąłem do maszynisty, on natychmiast porwał za hamulce, dopiero potem pytał, co się dzieje. Zauważył później, bo samochód był z mojej strony. Hamujemy, ale oczywiście skład sunie, bo zanim wszystko powietrze opuściło zbiorniki i zaczęło naciskać na tłoki przejechaliśmy kolejne metry. Patrzę w swoją stronę. Nic! Biegnę do przeciwległego okna. Też nic. Więc przejechał czy nie? Wychylam się bardziej z okna i co widzę: Nabraliśmy warburga tak: zderzakiem w tylne okno, hakiem bo jechaliśmy kominem do przodu, więc hakiem, do przyczepiania wagonów w przednią szybę, a podnóżek dla przetokowego wrył się nad przednie koło w błotnik. I tak samochód wisiał i pchaliśmy go jak remarker. Kiedy wreszcie stanęliśmy, nie mogłem z początku otworzyć drzwi samochodu, wtedy nie wiedziałem jeszcze, jak to się robi. W środku było czterech pijanych chłopaków, może dwudziestoletnich. Najpierw wyrwał się kierowca, miał jakieś draśnięcia na twarzy po uderzeniu głową w kierownicę, potem zaczęli uciekać kolejni dwaj pasażerowie, bez zranień, tylko ten ostatni już nawet nie mógł uciekać, trochę szkła wtłoczyło mu w policzek. Na szczęście nic gorszego im się nie stało. Tylko starego Wartburga musieliśmy zepchnąć z torów, żeby móc jechać po ten węgiel . . .

OTYLIA TOBOŁA

LAT PRZYBYŁO PASJA POZOSTAŁA

Nazwisko Jana Zolicha związane jest z „Głosem Ludu". Skrót (zol) zdominował rubrykę krótkich notatek z terenu, zaświadczając o niezwykłej pracowitości autora. W sierpniu red. Jan Zolich obchodzi szacowny Jubileusz — 80-lecia urodzin. Okazja to do poproszenia Jubilata o rozmowę.

— Od lat jesteście, towarzyszu Zolich, na emeryturze, a pomimo to wasze doniesienia z całego naszego terenu nadal ukazują się w „Głosie Ludu". Zresztą nie tylko tam. Z efektów waszej dziennikarskiej penetracji Ziemi Cieszyńskiej korzystają również obydwie nasze powiatówki „Wiadomości Karwińskie" i frydecko-misteckie „Ozvěny-Echo", a także redakcja polska ostrawskiej rozgłośni radiowej. Skąd bierze się u was ta godna podziwu pasja?

— W okresie międzywojennym zacząłem pisać do gazety Karola Śliwki „Głosu Robotniczego i Włościańskiego". Po czesku pisałem do „Dělnického denníka". Były to głównie informacje z przebiegu różnych strajków, choć drukowano także inne moje wieści z terenu. Kiedy byłem w ZSRR, to również pisałem do naszej gazety kopalnianej, która nosiła nazwę „Zaboj". Drukowałem w niej teksty o pracy i życiu „innostrańców", jak nas tam nazywali. Po wojnie związałem się z „Głosem Ludu". Najpierw byłem sekretarzem partyjnym w Karwinie, ale w roku 1947 Henryk Jasiczek ściągnął mnie do „Głosu Ludu". Redakcja w początkowym okresie była w Czeskim Cieszynie, później przeniosła się do Ostrawy. Na emeryturę przeszedłem w roku 1970. Ale pióra nie złamałem. Pozostałem wierny swej macierzystej redakcji, zaopatrując ją w zwięzłe wiadomości z terenu. Współpracuję też chętnie z innymi redakcjami polskimi na naszym terenie.

— Agencja prasowa „Zolich" . . .

— Tak mnie jeszcze nikt nie nazwał. Koledzy z sekcji turystycznej mają dla mnie inny przydomek: „plotkorz". Nie gniewam się na nich za to.

— Poznałem wasze poczucie humoru. Przepracowaliśmy przecież wspólnie kilka lat w „Głosie". Na pewno satysfakcja z tego, kiedy pojawiają się w gazetach wasze notatki, zagłusza wszystkie tego rodzaju docinki pod waszym adresem.

— Tak, sprawia mi dużą przyjemność pisanie do gazet. Tym większą, że emerytura dziennikarza jest mizerna.

— Zdarzają się wam jakieś wpadki,

przekłamania czy nieścisłości w publikowanych tekstach?

— W życiu zdarzają się różne rzeczy. Kto nic nie robi, nie myli się. Niedawno „Wiadomości Karwińskie" nazwały chór „Hasło" „Masłem", i to bynajmniej nie z mojego powodu. Kto ma poczucie humoru, przeszedł nad tym do porządku dziennego, a chór nadal śpiewa. Zdarza się też, że redakcja dorabia sobie do moich wiadomości inne fakty. Wtedy żądam opublikowania sprostowania.

— Wspomnieliście o stażu działacza partyjnego zanim podjęliście prace w redakcji...

— Do KPCz wstąpiłem w 1931 roku. Do partii więc należę 56 lat, jeśli nie liczyć przerwy okupacyjnej, kiedy to byłem na terenie Austrii. Wkrótce po otrzymaniu legitymacji partyjnej polecono mi zająć się młodzieżą. Do moich obowiązków należało skupianie i organizowanie bezrobotnych młodych ludzi wokół partii. Mój teren działania ograniczał się do rejonu orłowskiego. Jeździłem na spotkanie z młodzieżą do Orłowej, Łazów, Pietwałdu, Lutyni. Byłem jednym z organizatorów tego słynnego, krwawego marszu bezrobotnych na frysztacki ratusz.

— Rozumiem, że w świetle tych faktów w czasie okupacji nie było wam lekko.

— Okupacja była ciężka. W Porębie mieszkali Niemcy, którzy jeszcze przed wybuchem wojny sporządzili listę Polaków i komunistów, których należy w pierwszej kolejności wydać gestapo. Byłem tam spalony, zdecydowałem się więc na ucieczkę. Ostatecznie znalazłem się w Wiedniu, gdzie z literą „P" na klapie harowałem w fabryce... W roku 1944, kiedy Armia Radziecka była już pod Budapesztem, fabrykę wysadzono, a nas wywieziono na granicę słowacką kopać okopy. Tam nas trzymano o głodzie i chłodzie.

— Wyzwolili was Rosjanie?

— Mnie nie... Bo wcześniej uciekłem z tego piekła. Pewnego dnia, a było to w grudniu, kiedy nas odwszono, powiedziałem kolegom: uciekam! Przebrnąwszy przez las, zanalazłem się na przystanku autobusowym. Uzbrojonego niemieckiego strażnika oszukałem w ten sposób, że odegrałem rolę partnera zmierzającej w stronę autobusu eleganckiej paniusi. Autobusem dojechałem do bratysławskiej Petrżalki, skąd pociągiem dotarłem do Wiednia a stamtąd przez Przerów do Bogumina. W Wiedniu skorzystałem z pomocy kolegi Milerskiego z Nydku, męża poetki Ewy Milerskiej. Dramatyczną przygodę miałem za Przerowem. Niemcy zatrzymali nasz pociąg i zaczęli sprawdzać dokumenty. Nie miałem nic, co mogło ich zadowolić, prócz gorzałki i papierosów. Zainteresowałem tym towarem SA-mana i niepostrzeżenie oddaliłem się w głąb wagonu. Tutaj wśród pasażerów, którzy mieli papiery w porządku, bez przeszkód dojechałem do Bogumina a następnie do Poręby... Otrzymałem pracę na kopalni „Eugeniusz" w Pietwałdzie. Tutaj też zająłem się kolportażem wśród górników komunistycznych ulotek „Tempo".

— Słynny jest wasz kilkuletni epizod w radzieckim Prokopiewsku. Interesujące wspomnienia z tego okresu zamieszczaliście przed laty w „Zwrocie". Co was skłoniło do wyjazdu na Syberię?

— W owym czasie wśród mieszkańców Syberii panował analfabetyzm. Brak było wykwalifikowanych górników. Komitet Centralny KPCz, chyba na prośbę kierownictwa KPZR, wydał apel o zorganizowanie „Interbrygady", czyli pomocy dla Kraju Rad. Z Karwińskiego wyjechał cały pociąg ludzi, którzy chętnie podali pomocną rękę wynędzniałej radzieckiej Rosji. Wyjechaliśmy przez Warszawę, Moskwę, Ural, Nowosybirsk do Prokopiewska.

— Władze czeskie nie sprzeciwiły się tej emigracji?

— Ależ skąd! Władze zacierały ręce, że się pozbyły pół tysiąca bezrobotnych i komunistów... Wyjazd naszej grupy nastąpił z dworca w Orłowej w czerwcu 1932 roku. W Ostrawie do naszego składu dołączono wagony z pozostałych górniczych regionów Czech i Moraw. W rejonie prokopiewskim budowaliśmy nowe kopalnie Koksowa, Woroszyłowa. Zamieszkaliśmy, niektórzy z nas z rodzinami, w kolonii baraków, w których były

piękne, przestronne mieszkania. Specjalnie dla nas je wybudowano. Rdzenna ludność mieszkała w mizernych warunkach, przeważnie w ziemiankach. Z Syberii wróciliśmy na początku 1938 roku.

— Język rosyjski opanowaliście więc do perfekcji?

— O tak! Ja tam szkołę skończyłem. Technikum górnicze z maturą. Po szychcie się chodziło do szkoły, gdzie uczyliśmy się po cztery, pięć godzin.

— Ile tam zarabialiście?

— Dobrze nam płacono. Jeśli mnie pamięć nie myli, moja wypłata wynosiła 200 rubli miesięcznie, za które można było dobrze żyć. Wszystkie towary były jednak na specjalne kartki dla „innostrańców". Zakupy robiliśmy w „magazynie dla zagranicznych". Wszystko w nim można było kupić — żywność oraz najlepsze radzieckie wyroby przemysłowe.

— Co pan sobie przywiózł?

— Nic szczególnego... Poza oczywiście baranim kożuchem.

— Po wojnie rzuciliście się w wir pracy partyjnej.

— Jako pracownik sekretariatu rejonu karwińskiego byłem tłumaczem komisarzy radzieckich a także broniłem praw i interesów Polaków. Zakazano „Polonię" — wystąpiłem o ponowne przywrócenie jej praw jako klubu sportowego. Działa się krzywda gdzie indziej, to mówiono do mnie: „Zolichu, idź tam, załatw to!" Zabrakło w zagłębiu soli — zorganizowałem jej transport z Wieliczki. Kopalniom brakowało ludzi do pracy, to my, komuniści, szliśmy fedrować w niedziele. Sucha, Stonawa, Olbrachcice, Piotrowice — to był mój rejon. Tam chodziłem na zebrania, tam organizowałem życie polityczne, społeczne i gospodarcze. Partia też położyła fundamenty pod PZKO.

— Właśnie! Jaki w tym był wasz udział?

— Wszedłem w skład pierwszego karwińskiego zarządu powiatowego... Wiesz, do dziś nie mogę przeboleć jednej przykrej sprawy. W roku 1950, a więc w czasie, kiedy wspólnie z towarzyszami walki o sprawiedliwość społeczną i narodowościową równość mogłem się już cieszyć z pięknych rezultatów naszych wysiłków, jak kamień z nieba spadło na mnie powołanie do wojska. Ale do jakiego wojska?! Miałem się zgłosić w Preszowie w jednostce tzw. wojsk technicznych, do których, jak wiadomo, powoływane były „elementy niespolegliwe". Zatem zamiast z bronią w ręku, łopatą miałem bronić socjalizmu. A trzeba ci też wiedzieć, że miałem wtedy 43 lata i byłem już redaktorem „Głosu Ludu" oraz radnym MRN w Karwinie. Trudno mi się było z tym pogodzić. Dlatego też za pośrednictwem jednego z cywilnych robotników, którzy ze mną kopali kanały na preszowskim lotnisku, wysłałem gryps do Gottwalda. Po roku Gottwald zarządził zwolnienie z tego „wojska" wszytkich komunistów. Sądzę, że wiem, kto próbował w taki brutalny sposób przekreślić moją komunistyczną przeszłość. Był to odwet pewnego mojego znajomego, którego Polacy w 1938 roku wydalili ze Śląska Cieszyńskiego do Ostrawy za jego wcześniejsze szowinistyczne wybryki. Mścił



się. Ale dlaczego na mnie? Myślę, że rozsierdziło go dodatkowo moje komunistyczne przekonanie i pryncypialne występowanie w obronie Polaków. Kiedy wróciłem z „wojska", to mówiono mi „nevíme, jak se to mohlo stát, musíš to prominout". Takie to były czasy. Wiadomo, lata pięćdziesiąte — kult jednostki.

— Obecnie jesteście członkiem zarządu Koła PZKO we Frysztacie, rejonowym, organizatorem widowni Sceny Polskiej Teatru Cieszyńskiego w tym mieście...

— Chodzę po chałupach, po klatkach schodowych i wpraszam się z abonamentem Sceny Polskiej. W tym roku sprzedałem piętnaście abonamentów, cała zaś dwudziestka naszych rejonowych łącznie pięćdziesiąt. Ale mówię ci, nie jest sprawą łatwą przekonać naszych ludzi do tego, aby chodzili do teatru albo aby przynajmniej wsparli Scenę wykupieniem abonamentu...

— To chodzenie po klatkach schodowych to niejako sucha zaprawa do uprawiania waszego hobby, którym, jak wiem, jest turystyka górska. Jesteście wytrawnym członkiem sekcji turystyki górskiej przy Kole PZKO w Cz. Cieszynie-Sibicy, niezrównanym propagatorem tej formy wypoczynku.

— Gdyby nogi lepiej służyły, to z pewnością dłuższe trasy bym sobie aplikował. A tak ograniczam się tylko do 10—12 kilometrowych szlaków. Do naszej sekcji należy około 30 ludzi z całego terenu. Kto lubi góry i spacery po górach, kto lubi obcować z kolektywem sympatycznych ludzi na łonie przyrody, ma do nas drzwi otwarte. Wędrujemy po górach według z góry ustalonego planu kwartalnego. Przedstawię jego fragment: 15. 8 — Maków—Bumbalka, 22. 8 — Mosty—Girowa, 29. 8 — Bystrzyca—Czantoria, 5. 9 — Czeladna—Ostrawica; Czeladna—Śmrk—Ostrawica, 19. 9 — Mosty—Połom, 26. 9 — Koszarzyska—Ostry.

— Kto przyjmuje zgłoszenia na członka tej sekcji?

— Nie ma zgłoszeń. Po prostu w każdą sobotę pod kierownictwem Józefa Miki wyjeżdżamy pociągiem z Cz. Cieszyna o godz. 7.17. Bez zbędnego wypełniania deklaracji przyjmujemy do naszej grupy każdego chętnego. Jeśli mu się spodoba nasze towarzystwo — następnym razem znów jedzie z nami, jeśli nie — trudno. My się nie obrazimy.

— W PZKO trwa dyskusja nad przyszłością Związku. Jak tę przyszłość widzicie wy, jako doświadczony działacz społeczny?

— Twierdzę, że należy urządzać więcej atrakcyjnych, chwytliwych imprez dla młodzieży. Trzeba młodym ludziom stwarzać okazje do spotykania się, do nawiązywania znajomości, przyjaźni, do kojarzenia par wreszcie. Kiedy ja zacząłem myśleć o ożenku, to starałem się wziąć żonę ze swojego środowiska. Teraz też wielu w ten sposób myśli, ale jeśli nie mają okazji do tego, to w końcu rezygnują z takiego myślenia, a my kolejnych ludzi odpisujemy na straty. I potem nie dziwię się wcale, kiedy usłyszę, stojąc pod drzwiami naszej młodej członkini: „panie Zolich, wypiszcie mnie, mój mąż sobie nie życzy, abym należała do PZKO". Podkreślam jeszcze raz: należy uczynić wszystko, aby przyciągnąć młodzież do naszego środowiska. Ale jak to zrobić — to już pozostawiam fachowcom w Zarządzie Głównym. Chętnie skorzystam z ich rady i postaram się, aby karwińsko-frysztacka baza członkowska PZKO rozrastała się i coraz prężniej działała.

— Jan Zolich — synonim aktywności.

— Po co te wielkie słowa? Robię to, co do mnie należy. Wyniosłem to z domu rodzinnego — muszę pracować społecznie. Działałem w Macierzy, działałem w Sile, to nie mogę teraz siedzieć bezczynnie.

— Mówią, że aktywność opóźnia starzenie się człowieka.

— Skoro tak, to wybaczysz mi, jeśli cię przeproszę. Czekają na mnie w zarządzie dzielnicowym partii.

— Ma się rozumieć, towarzyszu Zolich. Z okazji urodzin życzę wam długich lat w zdrowiu i nieskończonego szeregu powodów do dziennikarskiej satysfakcji.

KAZIMIERZ SANTARIUS

NADREŃSKA MOZAIKA

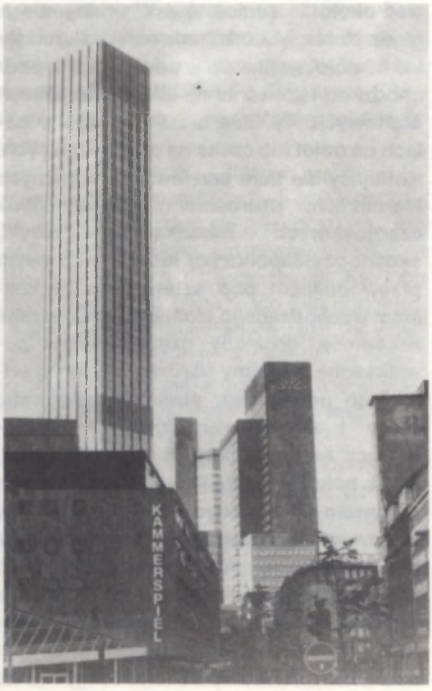
MAINHATTAN

Cztery gęstym drukiem pokryte stronice Informatora z załączonymi schematami dojazdu, urozmaicone planami sytuacyjnymi, wtajemniczają każdego trafiającego na jedno z najruchliwszych lotnisk na świecie w Frankfurcie nad Menem w jego nawet najskrytsze zakamarki. Z łatwością można się według niego zorientować, gdzie należy zboczyć z kilkupasmowej autostrady, by łatwo i bezkolizyjnie dotrzeć do parkingu na krótkotrwały postój, gdzie można samochód zostawić nawet miesiąc, gdzie stacja kolei podziemnej, gdzie hotel, gdzie przechowalnia dzieci, gdzie sklep wolnocłowy, gdzie klinika, gdzie poczta, gdzie restauracja, gdzie można przechowywać bagaże, gdzie apteka, gdzie fryzjer, gdzie bank, gdzie kaplica ... Uff! To na pewno nie wszystko, co mieści się na hektarach podziemnych i nadziemnych kondygnacji tego kolosa międzynarodowego transportu lotniczego. Oczywiście, że dla pokonania olbrzymich odległości pomiędzy wejściami do hal dworca i ruchomymi tunelami kierującymi rzeki śpieszących się wciąż podróżnych wprost w opasłe brzuchy najróżniejszych Boeingów czy też innych Jumbo-jetów służą najróżniejsze osiągnięcia techniczne, jak ruchome schody, autobusy, wózki, ruchome chodniki. Dworzec lotniczy może równocześnie obsługiwać około 35 samolotów. W praktyce wygląda to tak, iż co kilkadziesiąt sekund jakiś samolot wzbija się w powietrze lub podchodzi do lądowania na kilkunastu pasach startowych. Tysiące ludzi oczekuje w halach na odlot lub czeka na przybywających. Kotłujący się tłum przelewa się w różnych kierunkach. Uturbanieni Hindusi obok czarnoskórych mieszkańców Afryki, skośnoocy Japończycy kroczący za swym przewodnikiem pod sztandarem ze znakiem wschodzącego słońca, czarno ubrane zakonnice, gromady gastarbeiterów powiększone o tabuny bardziej lub mniej odrosłego potomstwa, stare dystyngowane damy i udżinsowieni długowłosi młodzieńcy tworzą kolorową mozaikę typów, ras i pokoleń, mogącą być atrakcyjnym motywem dla obiektywu niejednego łowcy ciekawych tematów. Przed halami dworca lotniczego panuje tumult i zgiełk. Lecz tym razem głównym aktorem i władcą przestrzeni jest Pan Samochód czy też inny pojazd dwuśladowy, który opanował w sposób bezpardonowy i bezmarginesowy

plątaninę dróg dojazdowych, bezkolizyjnych skrzyżowań, estakad, podjazdów. Cała ta masa blachy, szkła, tworzyw sztucznych i gumy mknie w stronę pobliskiej kilkupasmowej autostrady, by tam przemieszać się dokładnie z inną podobną lawiną pędzącą w stronę kłujących niebo widnokręgu wieżowców.

W obrębie starego zabytkowego centrum Frankfurtu nad Menem oraz w jego sąsiedztwie wyrosły w ostatnich latach całe plejady biurowców, prześcigających się nawzajem w osiąganiu wysokości, oryginalności form i różnorodności użytych materiałów. Niebotyczne bryły ze stali, betonu i szkła symbolizują moc i potęgę najróżniejszych banków i instytucji. Zdominowały one bez reszty sylwetkę tego historycznego miasta nad Menem. Sceneria ta do złudzenia przypomina tak dobrze znane widoki nowojorskiego Manhattanu. Ze względu na owe wizualne podobieństwo, funkcje, które pełni, a z racji swego położenia nad rzeką Men (po niemiecku Main) przylgnęła do frankfurckiego City nazwa „Mainhattan".

Frankfurcki Mainhattan



Frankfurt już od średniowiecza pełnił rolę poważnego ośrodka handlowego. Stare kupieckie rody „robiły" tutaj duże pieniądze, pomnażając swoje finansowe potęgi. Ponoć i sami Rotschildowie, zanim zagnieździli się na nowojorskim Manhattanie, pierwsze swe udane bankowe operacje przeprowadzali tutaj nad Menem. Miasto do dzisiaj pełni funkcję największego ośrodka finansowego RFN. Tutaj przeprowadza się najpoważniejsze transakcje finansowe z całym światem. Nie na darmo więc określa się Frankfurt nad Menem jako finansową stolicę RFN.

Dominacja wieżowców w panoramie miasta nie jest równoznaczna z jej zeszpeceniem. Oczywiście, można się sprzeczać o to, czy gotycka wieża katedry jest piękniejsza od tych szklanych sześcianów. W każdym razie nowe akcenty wysokościowe nie tylko narzuciły nową skalę, lecz również i nowe wartości estetyczne sylwetce miasta. Nie tylko forma brył, lecz w równej mierze i kolorystyka materiałów, głównie użytego szkła, jest godna bardziej specjalistycznego opisu, W zależności od kąta padających promieni słonecznych i koloru nieba fasady zmieniają swe odcienie, zachowując przy tym oczywiście swą zasadniczą i podstawową kolorystykę.

Niezapomniany jest widok panoramy wieżowców wieczorną porą, kiedy to ognista kula zachodzącego słońca skryje się za horyzont, kiedy mrok otula wąwozy ulic, kiedy sznury samochodów migają już światłami, kiedy na fasadach domów rozjarzają się nerwowe kolorowe neony. Wtedy to wyższe piętra wieżowców wciąż



Na frankfurckiej ulicy

jeszcze opalizują różnymi kolorami tęczy na tle ciemnogranatowego nieba, jakby przedłużając władanie dnia nad miastem.

Na frankfurckim korsie — ulicy Zeil — kulminuje ludowy jarmark. Ulicę wzięli w swe władanie piesi. Zlikwidowano jezdnie i tory tramwajowe. Posadzono drzewka, ustawiono ławki. Znalazło się i miejsce dla kilku fontann i wodotrysków. Całość wyłożono różnorodnym brukiem, ułożonym nieraz w fantazyjne wzory. Wygospodarowano przestrzeń na kawiarnie i restauracyjki „pod chmurką". Przewalający się w różnych kierunkach tłum wchłaniają szeroko otwarte podwoje domów towarowych i sklepów. Przewidujący zyskanie odrobiny grosiwa aktorzy, żonglerzy czy tancerze improwizują dla otaczającego ich tłumku ciekawskich występy. Kawałek dalej umundurowana dęta orkiestra górnicza wypełnia ulicę piskliwymi dźwiękami raczej wojskowych marszów, tak dobrze znanych z filmów o tematyce okupacyjnej. Młodzieniec w cylindrze zachwala i demonstruje paniom długowłose stworzonko typu Muppet, wyróżniające się niebywałą ruchliwością i zwinnością. Eskapady uwłosionego dziwoląga wywołują piski i odruchowe uskoki zgromadzonych wokół panienek. Sprzedawca demonstruje wszystkie jego możliwości, zachwalając równocześnie tę najnowszą atrakcję, oczywiście amerykańskiej produkcji, za niewiarygodnie niską (według jego oceny) cenę. Okazja, której nie wolno zmarnować! Osobiście tę okazję zmarnowałem. Krąg ludzi otacza dwóch rudobrodych młodzieńców. Jeden trzyma skrzypce w rękach, drugi opiera o bruk masywną harfę. Dwaj Irlandczycy poprzez stare ballady przybliżają przechodniom palącą problematykę tego walczącego kraju, wyszczególnioną dokładnie w oferowanej broszurce. Z ogromnego afisza szermujące się postacie dźgają jakby w tłum swymi szpadami. Olbrzymich rozmiarów napis głosi, iż właśnie miasto podbijają „Piraci" Romana Polańskiego. Oczywiście, że tylko na ekranie pobliskiego kina. Na rogu stoi mężczyzna w średnim wieku, dźwigający z trudem dużą tacę. Na tacy kilka donic z karłowatymi iglastymi drzewkami. Po wyrazie jego twarzy widać, że ciężar musi być znaczny, a interes raczej ... lichy. Kiedy po kilku godzinach wracam w to samo miejsce, człowiek ten stoi wciąż w tej samej, niezmienionej pozycji. Niby wszystko tak samo. Tylko w oczach mężczyzny dostrzegam chyba większy smutek i beznadzieję. Na placu wprost przed głównym wejściem na tereny wystawowe, gdzie właśnie kulminują Międzynarodowe Targi Książki, przebiega konkurencyjna impreza bukinistów. Na improwizowanych ławach i stołach rozłożyli oni tysiące starych używanych

książek z różnych dziedzin — od brukowych powieścideł po dzieła filozoficzne. Książki z dziedzin nauk ścisłych i techniki leżą obok komiksów. Wśród mozaiki barwnych i różnorodnych okładek rzuca się w oczy brodata twarz Karola Marksa. Niektóre stoły okupują młodzi ludzie o egzotycznej urodzie. To przedstawiciele narodu kurdyjskiego oferują materiały uzasadniające ich dążenia do własnego państwa. Rozlegają się zawodzące dźwięki orientalnej muzyki. Grupa przebierańców w maskach improwizuje uliczne przedstawienie dla przewijających się przechodniów. W takt melodii postać przedstawiająca brodatego Ajatollaha Chomeiniego tańczy jakiś orientalny taniec. Obok kiwają się rytmicznie dalsi tancerze, wśród których z łatwością można rozpoznać obecnego gospodarza Białego Domu — Ronalda Reagana. Poklepuje on przyjacielsko po ramieniu brodatego starca Chomeiniego popijając od czasu do czasu z wielkiej puszki. Napis na puszce jednoznacznie wyjaśnia, iż chodzi o ropę naftową. Polityczna wymowa tej scenki jest niedwuznaczna. Uzbrojony w karabin żołnierz przyprowadza zakutego w kajdany więźnia z opaską na oczach. Żołnierz nie szczędzi razów więźniowi, wypychając go przed tańczące postacie. Melodia się nasila. Żołnierz strzela do więźnia. Ajatollach i Prezydent w zgodnej komitywie tańczą obłędny taniec ucisku i wyzysku ... Na Kaiser Strasse, głównej siedzibie sex-shopów, porno-kin i najróżniejszych eros-centrów rozbrzmiewa chóralny śpiew. W światłach kolorowych neonów kilkunastoosobowy chór daje improwizowany występ dla tłumu przechodniów ... i stałych mieszkanek tej ulicy. Po krótkim koncercie przed chór wychodzi przystojny młody człowiek i donośnym głosem, ze swadą, zaczyna wygłaszać płomienną mowę o moralności, rozpuście, o grzesznym i niegodziwym życiu. W ulicy prowadzącej do dworca rzuca się w oczy duży sklep z walizkami, worami podróżnymi i innymi torbami. Stosy miniaturowych walizeczek piętrzą się obok potężnych cielsk marynarskich chyba kufrów. Obok czarnych, eleganckich teczek leżą solidne, metalem obijane skrzynie podróżne. Czyżby w tym usytuowaniu sklepu była jakaś przemyślana lub przypadkowa symbolika? Gastarbeiter — walizka — dworzec ... i RAUS! Jak można zresztą przeczytać na niejednym murze w RFN. –

TADEUSZ WRATNY

KAZIMIERZ WOJNAR

ŚWIATŁOCIENIE

Nie lubię tych jesiennych kwiatów. Róże, lilie, tulipany ... nic z tych piękności nie interesowało mamy. Zawsze tylko te jesienne, wyczekiwała z utęsknieniem ich rozkwitania, pielęgnowała je i znosiła pełne naręcza do domu. Więdły potem napełniając pokoje zgniłą wonią.

— Cześć, mamo.

Cisza.

— Dzień dobry — powtórzyłam.

Nie odpowiedziała. Nie odwróciła się nawet, stała nieruchomo, skrobiąc palcem szybę. Dopiero teraz zauważyłam czerń sukienki.

— Cóż ty, wybierasz się na pogrzeb?

Odwróciła się niemrawo.

— Podwieziesz mnie, prawda? — Głos jej drżał, skóra u nasady włosów poczerwieniała.

— Co się stało? ... Kto umarł?

Rzuciłam to pytanie zupełnie mimowolnie, kierując się w stronę łazienki. Mało mnie to obchodziło, pragnęłam wreszcie dotrzeć pod zbawczy prysznic. Usłyszałam naglący, ostry ton.

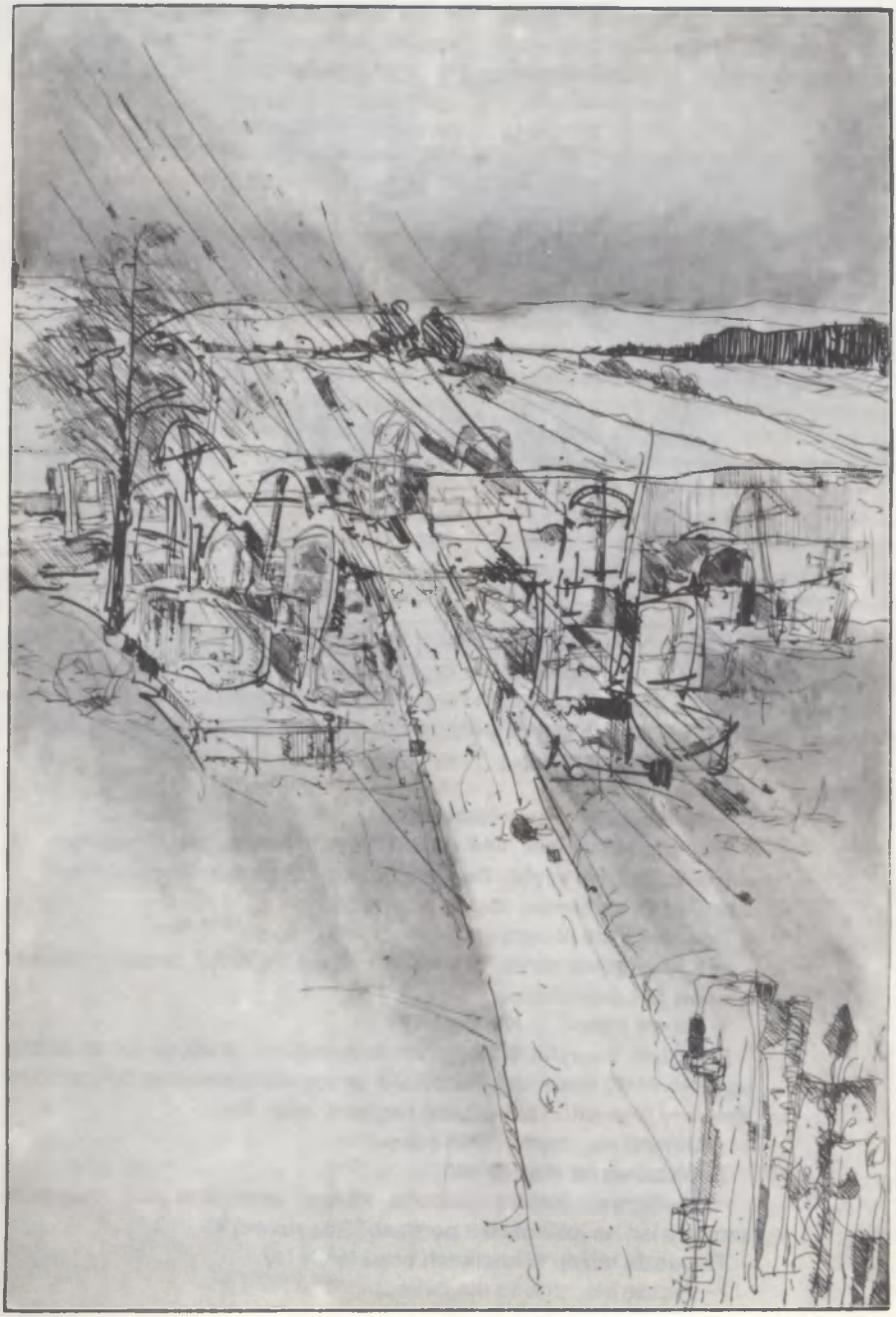
— Ubieraj się, mamy mało czasu!

Spojrzałam na nią zdziwiona.

— Nie krzycz, jestem spocona, muszę wziąć prysznic! I nie mam zamiaru iść na jakikolwiek pogrzeb! Rozumiesz?

Podeszła bliżej. W kącikach oczu lśniły łzy.

— Proszę cię, zrób to dla mnie ...



rys. TADEUSZ RAMIK

Dotknęła ręką mojego policzka. Poczułam się głupio, musnęłam ustami jej palce.

— Ktoś znajomy?

— On był tylko jeden!

Wypowiedziała te słowa w tonacji dotąd nie spotykanej, jej wzruszenie spotęgowało moją ciekawość.

— To ktoś bliski?

Nie odpowiedziała, usiadła na skraju kanapy pochylając głowę. Pognałam do łazienki zrzucając po drodze łachy. Przekrzykując szum prysznicu zawołałam:

— Dlaczego nie prosiłaś Staszka, jest chyba w domu?

— Wolę, żebyś ty pojechała. Poleciał gdzieś!

Niecierpliwa — stała pod drzwiami łazienki, słyszałam ją wyraźnie.

— Auto w porządku? — zapytałam łudząc się, że grat stoi bez benzyny.

— Tak, ale śpiesz się, proszę!

Jadąc później przez miasto w stronę cmentarza cały czas odnosiłam wrażenie, że chce powiedzieć mi coś bardzo ważnego. Śledziłam w lusterku niezdecydowane ruchy jej warg, czekałam więc ... w końcu zrozumiałam, że po prostu modli się po cichu.

Cholerny świat — pomyślałam zatrzaskując drzwiczki na cmentarnym parkingu. Miałam zamiar pójść po południu do koleżanki, otrzymała z Austrii magazyn mody. Chciałam sobie wybrać krój ślubnej sukienki, teraz już było jasne, że z wizyty będą nici.

Spóźnione wrześniowe słonko kładło cienie na cmentarny gaj, brązowe liście szeleściły irytująco. Przybyliśmy za późno.

Pracownicy pogrzebowi szykowali się właśnie do wyniesienia trumny z kaplicy. Rozglądałam się z ciekawością. Poznałam kilka osób, uczestniczących w akcie ostatniej posługi. Nieciekawe, obojętne, pochlipujące i zmęczone twarze.

Matka wpatrywała się w trumnę. Kiedy podniosła głowę, napotkała wzrok wychodzącej właśnie, podpieranej przez parę młodych ludzi wdowy — zachwiała się pod tym spojrzeniem i wykrzyknęła zdławionym głosem. Jej palce wczepiły się w moje ramię z taką siłą, że syknęłam z bólu. Drobne dreszcze przebiegały przez całe jej ciało, usłyszałam brzęczenie zębów, nagle uścisk zelżał — zaczęła osuwać się na ziemię.

Nie pozwoliłam jej upaść, z dużym wysiłkiem podprowadziłam ją do pobliskiej ławki, przytuliłam do siebie to drobne, drżące ciało.

To dziwne, ale wydało mi się nagle, że tylko ona, ona jedna,

jest jedynym autentycznym uczestnikiem aktu, łzy małżonki zmarłego świeciły konieczną manierą.

Nie poszliśmy za konduktem. Matka, niezdolna do powstania, wlepiła szeroko rozwarte, nic niewidzące oczy w posąg Anioła Śmierci na pobliskim grobie. Pozwalała rojom muszek spokojnie tańczyć nad głową, osierocona nagle z myśli, zestarzała, zatracała się w sobie. Pogrzebowa melodia roztapiała się w nagrzanym powietrzu. Zniecierpliwiona podniosłam ją z ławki i zaprowadziłam do samochodu. W drodze powrotnej milczała. Milcząc zabrała z siedzenia niepotrzebny bukiet georgin, milcząc — sama już teraz poczłapała na górę, kredowa twarz na tle tej ponurej sukienki.

Co za dziwny pogrzeb — pomyślałam, podtrzymując ją do schodów. Nie miałam nawet czasu przeczytać klepsydry. Weszłam za nią do pokoju, pomogłam jej zdjąć sukienkę. Widząc, że kieruje się w stronę łóżka, zrzuciłam brokatową narzutę i nakryłam ją kołdrą. Niezdecydowana kręciłam się wokół, śledziła mnie spod przymrużonych powiek. Nagle nakryła twarz dłonią, poprzez łzy wyszeptała:

— Wybacz, Moniko, nie chciałam cię przestraszyć. Ale ...

Zacięła się, nie dokończyła zdania, przygryzając palce do bólu.

Wystraszona nie na żarty doskoczyłam do leżącej.

— Mamo! Co ci jest? Może potrzebujesz lekarza?

Nie odpowiedziała, oddychała tylko szybciej, żyła na szyi pulsowała gorączkowo.

— Czy możesz mi w końcu wyjaśnić? — wyrzuciłam z siebie niecierpliwie.

— Nie ... nie teraz, później, Moniko ... zostaw mnie w spokoju, proszę.

— Naprawdę niczego ci nie trzeba? — Byłam zdecydowana pozostać i do końca wyjaśnić intrygującą mnie sprawę.

— Zanim odejdziesz ... tam na stoliku, podaj mi, proszę.

Podeszłam do stolika. Na śnieżnobiałym obrusie leżały poukładane w wachlarz wątłe tomiki poezji. Na okładkach znajome nazwisko, nieraz przyszło mi deklamować wiersze tego autora na konkursach i akademiach szkolnych. Te tomiki różniły się jednak od szkolnych egzemplarzy. Każdy opatrzony był zamaszystym podpisem pod fotografią poety dedykującego swoje utwory matce. Najczęściej powtarzały się trzy słowa ... „Jerzy dla Basi". Ze zdjęcia patrzyły żywe oczy, kąciki warg zdobił figlarny uśmiech. Miał wspaniałego wąsa, gęstą czuprynę przyprószoną siwizną. Przystojniak.

Przerzuciłam parę stronic. Nie interesowałam się zbytnio poezją, prawdę mówiąc nie lubiłam jej, moje uczestnictwo w konkursach było normalną daniną spłacaną szkole. Zbyt realne miałam życie, by szukać prawdy w sztucznym słowie. Teraz jednak zamyśliłam się ... te wiersze w jakiś sposób umacniały tkwiącą w tym pokoju atmosferę, stawały się jak gdyby tłem drzemiącego gdzieś w pobliżu dramatu, były po prostu tym, czego właśnie w tej chwili nie mogło zabraknąć, były ostatnim posunięciem wywalającym zamknięte drzwi.

Przesunęłam się w kierunku okna, odsunęłam zasłonę, gasnące słonko wpełzło do pokoju rozświetlając blade oblicze mamy. Czytałam pomrukując:

Musi być noc — nawet wietrzna
Musi być spokojny mrok
Musi być tykanie czasu
Który opada na kryształową
Kulę świadomości
I musi być powód.

Nie — powodów nie trzeba szukać
Zawsze są punktualne
I splatają teraźniejszość
Z wymiarem
Potrzeby z chwilą
Poznanie z niebytem ...

Moje mruczenie nabierało niepostrzeżenie na sile. Napisane zwrotki wciągały, rozpoczynałam następną, kiedy matka dołączyła się cytując z pamięci ostatnie słowa ...

Musi być ktoś uparty
Jak ja
W mroku szukam powodu
Dla którego miałbym cię kochać.

— Mamo ... zwróciłam się do leżącej. Jakże? Znasz te wiersze na pamięć?

Podeszłam do łóżka, podając jej tomiki.

— Moniko — zalała się nagle łzami, opadła twarzą do poduszki, jej płacz przechodził w przejmujący jęk. Przerażona, na siłę odwróciłam ją do siebie.

— To on ... wyszeptała zdławionym głosem ... umarł ... twój ojciec!

(fragment powieści)

III nagroda ex aequo w konkursie literackim z okazji 40-lecia PZKO.

FRANCISZEK NASTULCZYK

OTWIERANIE DOMU

strychy wspomnień
z dziurami pamięci
piwnice strachu korzeniami w ziemi
mój dom tajemnic zamkniętych pokoi
pytania do drzwi
nieproszeni goście
okna zarosłe lustrami
wiszące w powietrzu
milczenia żyrandole
urwane zdania na tapetach
popiół w kominku
zimne światło lęku

zgubiłem klucz
do otwartego domu

KSIĘGA

chciałbym rozerwać się na słowa
i na skoszonych łąkach spocząć
zapachem siana się nasączyć
potem pozbierać się
ułożyć w księgę
gdzie każda strona
to jeden dzień czerwca

księga to burza i kwiat akacji
podniebne przejście
z tu
do wszędzie
wszystko co nazwę do niej trafia
na końcu ja
spis treści

POCZĄTEK LATA

niebo obwisłym brzuchem dotyka
wierzchołków drzew w ogrodzie
od nawoływań synogarlic
pękają serca
dojrzewających czereśni

po szarych przedmieściach lata
przechodzą deszcze
wiatry i niedziele
zarasta łąka mchem i wspomnieniami
w dzieciństwo spływa woda
z przydrożnych rowów

za lustrami wystygłych miesięcy
dziecięcy śmiech
jak krople słońca na firance

OGRÓD

chwile szczęśliwe
te które nie zwodzą
są jak wśród lasu kwitnące czereśnie
dzikie i cierpkie są ich owoce
lecz innych nie ma na świecie
owoców dla tych
co ciasno czują się w ogrodzie

RAJ

za rzeką pod wierzbami
pod niebem czystym jak cierpienie
zaczyna się raj

za dniem jutrzejszym
za czasem wypchanym nadzieją
jak martwy ptak
zaczyna się raj

KTO

kto mi powiedział że nie wrócę
bo miejsc tych nie ma
i ja jestem inny

kto mówi
kłamstwo kiedy chcę wspominać
zdarzenia przeszłe lub całkiem niebyłe

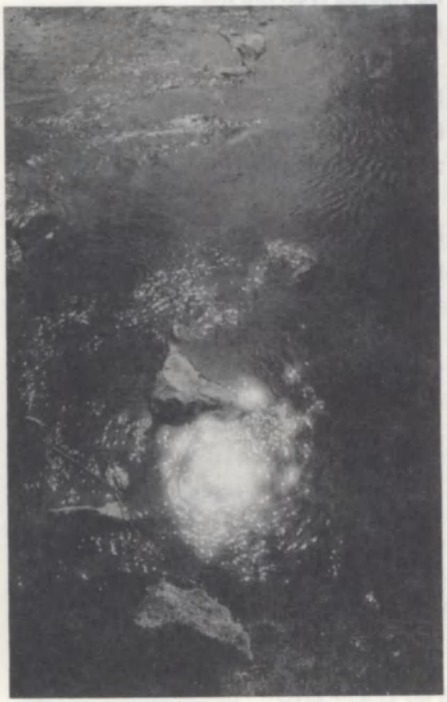
kto szydzi
popatrz kiedy spuszczam wzrok
stojąc przed lustrem żoną dzieckiem

kto szepcze
wróć a wszystko wróci

Wyróżnienie w Konkursie Literackim z okazji 40-lecia PZKO

FRANCISZEK BAŁON

Nad żywą wodą











TŁUMACZE LITERATURY POLSKIEJ

ANETTA BALAJKOWA



Urodziła się 25 czerwca 1923 roku w Pradze. Ojciec pochodził z Bystrzycy nad Olzą, matka urodziła się w Żurawnie koło Lwowa. Anetta Heczko-Balajkowa ukończyła polonistykę na wydziale filozoficznym Uniwersytetu Karola w Pradze.

Zapytana w jednym z wywiadów o swoje pochodzenie stwierdziła: W Pradze znalazłam się jak najbardziej naturalnie, urodziłam się tutaj, jestem prażanką. Do Bystrzycy nad Olzą, z której pochodził mój ojciec, przyjechałam po raz pierwszy jako dziesięcioletnia dziewczyna, pamiętam, że zatrzymaliśmy się tam w drodze z Żurawna koło Lwowa, gdzie mieszkali rodzice mojej matki. Dobrze pamiętam to pierwsze zetknięcie się ze Śląskiem Cieszyńskim, urzekający krajobraz, czystą, lodowatą, wartką Głuchową, w której się kąpałam. W pamięci utkwił mi również festyn (po raz pierwszy zetknęłam się wtedy z tym słowem), uroczyste powitanie mojego ojca jako dobrego i zasłużonego bystrzyczanina.

Wspomniane odwiedziny dały początek częstym wyjazdom do Bystrzycy — najpierw

z rodzicami — a potem z mężem lub dzieckiem. W Bystrzycy nauczyłam się pieśni „Płyniesz Olzo po dolinie" i „Góralu, czy ci nie żal" (ostatnia nie jest zresztą pieśnią śląską ani ludową, pochodzi z pióra znanego komediopisarza Michała Bałuckiego). W Bystrzycy i w Trzyńcu bywałam na weselach, jakich nie urządza się chyba nigdzie na świecie poza Śląskiem, stroiłam się w śląski strój z bogatym, brzęczącym pasem, chodziłam na Kozubową, Ostry, Jaworowy, Czantorię i Stożek — gdzie te czasy, kiedy przechodziło się tamtędy do Wisły na gapę, jakby nigdy nic.

Ze Śląskiem łączą się też smutne wspomnienia. W szpitalu w Trzyńcu zmarł mój ojciec, pochowany był zgodnie ze swoim życzeniem w grobie swej matki w Bystrzycy. Chór studentów ze wszystkich stron Śląska śpiewał mu nad grobem polskie pieśni, które tak bardzo kochał. Dużo nazwisk krewnych i przyjaciół czytam dziś na pomnikach, kiedy odwiedzam jego grób.

Powroty do Pragi nie oznaczały bynajmniej przerwania kontaktów ze Śląskiem i Ślązakami. Moja matka była bardzo gościnna, ojciec również, fakt, że ktoś był z Polski lub ze Śląska Cieszyńskiego upoważniał do wstępu do naszego domu na Leglerowej. W naszym domu roiło się od Ślązaków, przeważnie studenterii, niektórzy z nich zajmowali po wojnie wysokie stanowiska, jak na przykład dr Kożusznik, były wiceminister zdrowia PRL. Dobrze pamiętam pastora dr. Bergera. Często nas odwiedzał poeta Adolf Fierla. Na polonistykę wybrałam się przede wszystkim pod wpływem prof. Mariana Szyjkowskiego, docenta Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, który objął katedrę polonistyki w Pradze w roku 1923.

Anetta Balajkowa doktoryzowała się na Uniwersytecie Karola w Pradze. Jej mąż dr Bohouš Balajka jest autorem szeregu podręczników literatury czeskiej. Dr A. Balajkowa ma w swoim dorobku tłumaczki 60 pozycji przełożonych z literatry polskiej.

W. P.: W jaki sposób rozpoczęła się pani praca tłumaczki literatury polskiej?

ANETTA BALAJKOWA: Jako dwudziestoletnia dziewczyna zaczęłam tłumaczyć prozę poetycką Juliana Tuwima. Były to czasy wojny i nawet nie śmiałam marzyć o publikowaniu tych przekładów. Ale umiłowanie do poezji mi zostało.

Jesienią 1946 roku poznałam w Krakowie Juliana Przybosia i to on właśnie zachęcił mnie do przekładów swojej prozy poetyckiej, które to próby zamieściły „Literární noviny" — miesięcznik bardzo wtedy popularnego ELK-u (Evropský literární klub). Pierwsze kroki zostały zrobione i w parę miesięcy później podpisało ze mną umowę wydawnictwo. Chodziło o przekład „Jeziora Bodeńskiego" Stanisława Dygata. Tłumaczenie pokazało się w roku 1948. Następną pozycją dla tego samego wydawnictwa (Československý spisovatel) były „Pawie pióra" Leona Kruczkowskiego w roku 1949.

— Gdzie się pani uczyła języka polskiego?

— Oboje rodzice byli Polakami. Ojciec pochodził z Bystrzycy, matka z okolic Lwowa. Dużo mi dały wizyty prof. Mariana Szyjkowskiego, profesora UK, który często odwiedzał rodziców w czasie wojny. Po wojnie zapisałam się na polonistykę i bohemistykę. Znajomość języka doskonaliłam jako tłumacz Ambasady PRL w Pradze. Mam tam sporo przyjaciół. Ale do doskonałości wciąż mi wiele brakuje, czego dowodem może być moja niezręczna stylistyka, o czym pan się może teraz naocznie przekonać ...

— Czy w trakcie wyboru autora do pracy translacyjnej decyduje temat, sympatia osobista czy też przypadek?

— Prawdę mówiąc i jedno, i drugie, i trzecie. W miarę zacieśniania współpracy czechosłowackich wydawców rola tłumacza jako suflera ogranicza się w niemałej mierze. Różna też bywa sytuacja polityczna, która w istotny sposób rzutuje na życie

literackie i z tego wynikający dobór autorów. Tematowi temu można by poświęcić specjalny artykuł publicystyczny.

— Utrzymuje pani osobisty kontakt z autorem, którego pani tłumaczy?

— Oczywiście tak. Zawsze, jeśli to tylko jest możliwe. Dowodem tego jest fakt, że równocześnie z listem do pana — wysyłam listy do J. S. Stawińskiego, którego „Zapiski młodego warszawiaka z urodzin" właśnie wyszły u nas w moim przekładzie, i do Andrzeja Kuśniewicza, którego „Trzecie królestwo" właśnie oddałam do wydawnictwa.

— Z którymi wydawnictwami czechosłowackimi najchętniej pani współpracuje?

— W zasadzie współpracuje mi się dobrze ze wszystkimi wydawnictwami. Jest przecież w interesie tłumacza, żeby stosunki te były jak najlepsze. Wydawca to przecież nasz pan!

— Nad czym pracuje pani w tej chwili?

— Parę dni temu zabrałam się do tłumaczenia powieści Henryka Sienkiewicza „Na polu chwały", którą zamierza wydać Melantrich.

— Czy może pani wymienić te przekłady, które pani sama uważa za najlepsze?

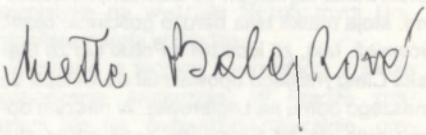
— Mam na koncie przeszło sześćdziesiąt tytułów. O tych pierwszych wspominałam na początku. Do ważniejszych zaliczam „Przedwiośnie" Stefana Żeromskiego, „Przymierze" Zofii Kossak, „Granicę" Zofii Nałkowskiej i „Króla obojga Sycylii" Andrzeja Kuśniewicza. Przetłumaczyłam też sporo kryminałów oraz wiele książek dla dzieci i młodzieży. Powieści Edmunda Niziurskiego, m. in. „Niewiarygodne przygody Marka Piegusa", cieszyły się wielkim powodzeniem. Dużo satysfakcji dał mi przekład „Profesora Tutki" Jerzego Szaniawskiego oraz wybór współczesnych nowel polskich, które pokazały się w moim tłumaczeniu pt. „Nowy taniec la-ba-da" w wydawnictwie Melantrich.

— Pani osobiste wyznanie?

— Bardzo lubię pracę tłumacza. W przeciwnym wypadku nie mogłabym się zajmować tą działalnością. Na pewno nie może być mowy o wyrachowaniu, jeśli wziąć pod uwagę obecne stawki za tłumaczenia.

— Serdecznie pani dziękuję za ciekawy wywiad. Czy można prosić o autograf ...?

— Ależ proszę bardzo ...



WILHELM PRZECZEK

OKIEM RECENZENTA

PEJZAŻ INTYMNY JANINY SZOTKOWSKIEJ I CEZAREGO CHMIELA

Janina Szotkowska: Tkanina artystyczna, Cezary Chmiel: Grafika, Mini-galeria SLA, ZG PZKO w Czeskim Cieszynie, 10—24. 4. 1987.

Wspólna wystawa dwojga artystów zwykle prowokuje do poszukiwania jakichś podobieństw, punktów stycznych, wspólnego programu artystycznego. Na wystawie Janiny Szotkowskiej i Cezarego Chmiela trudno byłoby tych podobieństw się dopatrzeć, tym bardziej, że posługują się oni odmiennymi technikami. Janina Szotkowska uprawia tkaninę artystyczną — tka, a przede wszystkim maluje na tkaninie, posługując się dość rzadką i egzotyczną techniką batiku. Na wystawie zaprezentowała przede wszystkim dwa cykle owych batików, „Moje pejzaże" i „Impresje". Te pierwsze to krajobrazy utrzymane w tonacji niebiesko-zielonej, na które składają się dziesiątki drobnych plamek, kładzionych w różnych kierunkach. Cała powierzchnia tkaniny pokryta jest tymi plamkami, taki obraz migoce i drga, po dłuższym patrzeniu dopiero widz odkrywa kształty drzew, krzewów, obecność wody. Prawie zawsze są to pejzaże widziane z bardzo bliskiej odległości. Artystka znajduje się w samym środku tego pejzażu i maluje swoje najbliższe otoczenie — zieleń trawy, drzew, lśnienie wody. Rzadko widać jaśniejsze plamki mogące oznaczać niebo. Niebo, słońce, horyzont są daleko. Pejzaż Szotkowskiej jest intymny i cichy. Malarka bada naturę krajobrazu. Wybiera z otaczającej ją rzeczywistości jej maleńkie wycinki i te, widziane z bardzo bliska pejzaże analizuje, rozkłada na podstawowe elementy — barwy i światła. Cykl „Impresje" jest nieco inny — bardziej abstrakcyjny, bardziej urozmaicony kolorystycznie, skłaniający się raczej do pewnych syntez niż analizujący. Brak w nim już zupełnie odniesień do obiektywnej rzeczywistości; obrazy budowane są z plam nie przypominających żadnych form wziętych z natury. Ich kształty i kolory są wytworem fantazji autorki, obrazy te są odbiciem jej przeżyć i nastrojów.

Cezary Chmiel zajmuje się litografią. Na pierwszy rzut oka trudno uwierzyć, że jego prace wykonane są tą techniką. Przywykliśmy kojarzyć litografię z efektem raczej malarskim (w czasach przed rozpowszechnieniem fotografii wykonywano w litografii m. in. ilustracje w książkach, reprodukcje dzieł malarstwa itp.) Grafiki Chmiela natomiast są nie malarskie, a rysunkowe. Są to kompozycje spiętrzonych przenikających się przedmiotów, mających widocznie dla autora znaczenie emocjonalne. Niektóre motywy powtarzają się obsesyjnie w wielu pracach, np. tory



JANINA SZOTKOWSKA: z cyklu Moje pejzaże, batik 1986



CEZARY CHMIEL: L'Hommage, litografia 1985 *repr. PIOTR WOJOCZEK*

kolejowe, semafory, fragmenty architektoniczne. Przeważają linie proste, formy geometryczne, bądź zgeometryzowane, czasem kompozycję uzupełniają jakieś napisy. Przy pomocy tej geometrii, tych powracających natrętnie motywów autor próbuje uporządkować świat wewnętrzny, sugeruje wspomnienia, może marzenia, konfrontuje je ze światem zewnętrznym. Jedna z grafik, zatytułowana „L'Hommage" odkrywa jedno ze źródeł inspiracji artysty. Jest to hołd dla zmarłego kilka lat temu krakowskiego rzeźbiarza — metalowca, Mariana Kruczka. Kruczek konstruował z żelaznej blachy, prętów, drutu, łańcuchów przedziwne fantastyczne stworzenia — żuki i chrabąszcze, często dość pokaźnych rozmiarów. Litografia Chmiela poświęcona Kruczkowi przedstawia właśnie kilka takich nostalgicznych konstrukcji. Wydaje się, że młodemu grafikowi odpowiada poetyka rzeźby Kruczka — jej subtelny, nieco ironiczny humor i poezja, zakuta i przyspawana do tych niezgrabnych metalowych stworów. Podobne cechy stara się nadać własnej twórczości, choć w innej technice i przy użyciu innych środków. Wygląda na to, że znalazł się jednak punkt styczny z obrazami Janiny Szotkowskiej. Geometryczne litografie Chmiela są również bardzo osobiste, intymne, nostalgiczne.

A.M.R.

Tadeusz Różewicz: Dceruška (Moja córeczka). Przekład: Josef Simonides. Adaptacja: Jerzy Jarocki. Reżyseria: František Kordula, scenografia: Marta Roszkopfowa, muzyka: Bronisław Liberda. Premiera: 8. 5. 1987. *Spektakl Scena Czeska Teatru Cieszyńskiego zrealizowała jako czechosłowacką prapremierę tej sztuki. Na zdjęciu: Iwana Wojtylowa (Mirečka), Zdeněk Julina (Harry), Libor Olma (Žorž) i Ivo Knotek (Henryk)*



fot. WŁADYSŁAW WOJNAR

WĘDRÓWKI NAZEWNICZE

LIGOTA I PODOBORA (2)

TŁO HISTORYCZNE

W dniu 27 stycznia 1416 roku książę cieszyński *„Bolko z łaski bożej książę śląski, pan na Cieszynie i Wielkim Głogowie etc."* (Bolesław I) wysłuchawszy pokornej prośby *„naszych miłych i wiernych burmistrza i radnych naszego miasta Cieszyna"*, mając na względzie ich zasługi, potwierdził miastu jego dawne przywileje, nadał mu nowe uprawnienia oraz potwierdził, że miasto Cieszyn jest właścicielem *„posiadłości ziemskiej i wioski o nazwie Elgoth, którą inaczej nazywa się Burgerdorf"*. Dokument ten, napisany w języku niemieckim, (wymieniony już w poprzednim odcinku wędrówek nazewniczych) poświadcza więc, że wioska Ligota należała w roku 1416 do miasta Cieszyna.

Późniejsze wiadomości o jej właścicielach są skąpe. Około roku 1521 była jeszcze własnością Cieszyna, ale w roku 1657 została przyłączona do Kocobędza, którego właścicielem był wówczas Mikołaj st. Rucki z Rudz. Przypuszczać można, że na skutek spustoszeń spowodowanych wojną trzydziestoletnią (1618—1648), przemarszami różnych wojsk i związanymi z tym rekwizycjami żywności i koni, a także na skutek zaraźliwych chorób nastał dotkliwy brak rąk do pracy i całkowite rozprzężenie gospodarki wiejskiej. W tych warunkach miasto Cieszyn, też bardzo zniszczone, musiało pozbyć się Ligoty, bo pola leżące odłogiem nie przynosiły mu żadnego zysku, a na zagospodarowanie ich miasto nie miało potrzebnych środków pieniężnych. Od roku 1657 właściciele Kocobędza byli równocześnie właścicielami Ligoty (patrz „Zwrot" 2/87, str. 60).

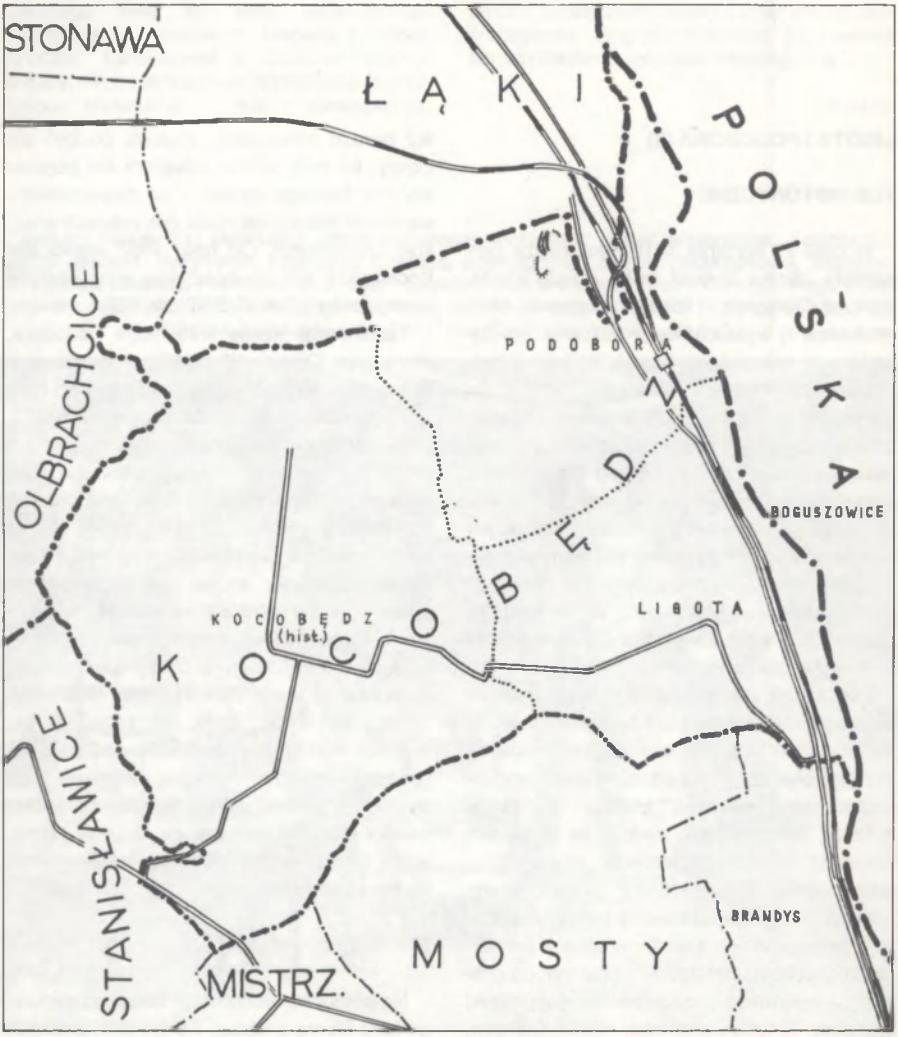
Takie same koleje losu miała Podobora, pierwotnie Obora. W księdze cieszyńskich skarg sądowych znajduje się zapis z roku 1592: *„u Obory nassy na gruntie Lhotskim"*. Zaświadcza on, że Obora znajdowała się już wtedy n a t e r e n i e Ligoty. (*Kniha puhony ab anno 1565—1595*, Wojewódzkie Archiwum Państwowe w Katowicach — Oddział w Cieszynie, zespół Komora Cieszyńska, sygn. 257; jęz. czeski; archaiczny czeski termin prawny *půhon* ‚powództwo, pozew, wezwanie'.) Podobną wymowę posiada zdanie: *„dawame wes Lhotku u Obory Tiessynske"*, zapisane w akcie kupna z roku 1603 (AP Ciesz., KC, sygn. 2000; jęz. czes.). Z określenia tego można wywnioskować, że Obora była wówczas bardziej znana i pod względem gospodarczym ważniejsza, aniżeli wioska Ligota. Poza tym pewną rolę odgrywały chyba ciągle jeszcze echa dawnej ważności tego miejsca.

GRODZISKO

Na północno-wschodnim skraju dzisiejszego lasu Obora znajduje się grodzisko, zwane

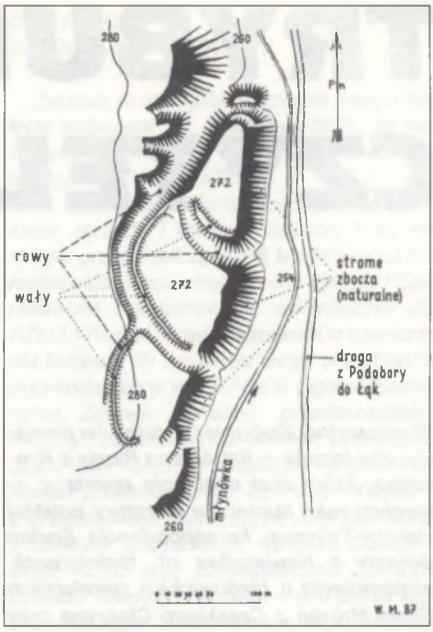
przez lud ***Cieszyniskiem*** albo ***Starym Cieszynem***. (*Grodzisko* ,zespół wałów i rowów, stanowiących pozostałości po obronnym grodzie, głównie z wczesnego średniowiecza') Napomknęliśmy już o tym starym grodzie okresu przedpiastowskiego w naszych wędrówkach nazewniczych („Zwrot" 9/85, str. 54), ale nie sposób go pominąć przy przedstawianiu dzisiejszej Podobory na tle dziejów.

Plan sytuacyjny Kocobędza wraz z Ligotą i Podoborą



Położenie grodu w Podoborze wskazuje na to, że był obliczony na pełnienie funkcji polegającej między innymi na nadzorowaniu, czy zabezpieczaniu szlaku wiodącego przez Przełęcz Jabłonkowską i przejście przez Olzę w Podoborze. Szlak ten prowadził stąd w IX wieku w kierunku wschodnim na gród w Międzyświeciu (pod Skoczowem) i dalej do centrum organizacji terytorialnej Wiślan. Na Morawach i w krajach ościennych zorganizowane zostało około roku 830 mocne i prężne Państwo Wielkomorawskie, które po podziale imperium Franków (843) zaczęło się stopniowo wyzwalać spod wpływów monarchii wschodniofrankijskiej. Państwo Wielkomorawskie utrzymywało ożywione stosunki handlowe z Rusią Kijowską. Towary musiały być przewożone przez kraje Wiślan, ponieważ Karpaty Wschodnie były bardzo zalesione i trudno dostępne. Chcąc więc, by handel rozwijał się prawidłowo, Wielkomorawianie zainteresowani byli zabezpieczeniem tranzytu przez terytoria Wiślan. Do tego dołączyła się chęć kontroli nad podkrakowskimi złożami soli, skoro dostawy soli z terenów Austrii zostały odcięte. Oczywiście, początkowo penetracja ta była zamaskowana pozorem misji chrześcijańskich, zorganizowanej działalności przedstawicieli kościoła chrześcijańskiego w celu rozpowszechniania religii chrześcijańskiej i pozyskania nowych wyznawców na ziemiach polskich. Niestety, następnym etapem misyjnej penetracji był po prostu zwykły najazd zbrojny wojsk księcia wielkomorawskiego Świętopełka II, spalenie i zniszczenie grodów Golęszyców i Wiślan, opanowanie ich krajów (wraz z domniemaną stolicą Wiślan Krakowem) i przymusowe ochrzczenie księcia Wiślan. Działo się to prawdopodobnie około roku 875 lub 880. W tym czasie więc został zburzony i gród w Podoborze.

Grodzisko zajmuje powierzchnię około 400 × 120 m. Składa się z trzech części tworzących całość, a oddzielonych od otaczającego je terenu potężnym rowem i wałem glinianym. W okresie wczesnośred-



Plan grodziska w Podoborze

niowiecznym gliniane wały grodu plemiennego posiadały drewnianą konstrukcję zbudowaną z grubych pni dębowych, dzięki której zewnętrzne ściany wału mogły być pionowe. Jeszcze dzisiaj, pomimo jedenaście wieków trwającego procesu niszczenia wyniosłości przez deszcze i zasypywania rowów, różnica pomiędzy wierzchołkiem wału a dnem rowu wynosi w wielu miejscach ponad siedem metrów. Jak wysokie mogły być te wały przed rokiem 880? Widok grodziska budzi jeszcze obecnie szacunek do budowniczych tego najstarszego w regionie cieszyńskim obiektu obronnego.

Grodu plemienia Golęszyców w Podoborze nie można wiązać (wbrew tradycji ustnej) z późniejszym, bo prawdopodobnie w X wieku powstałym, nowym grodem na Górze Zamkowej w Cieszynie. Gród cieszyński powstał bowiem w zupełnie innych warunkach społeczno-politycznych.

Cdn.

WŁADYSŁAW MILERSKI

TRYBUNA CZYTELNIKÓW

W wakacyjnej Trybunie Czytelników niewakacyjne tematy — list Adama Rząsy z Rzeszowa, który znał osobiście zmarłą w ubiegłym roku tłumaczkę literatury polskiej Helenę Teigową, korespondencja Erwina Jonszty z Hawierzowa nt. nietolerancji, wspomnienie o błędowickich rewelersach Emila Mrózka z Czeskiego Cieszyna oraz doniesienia o imprezach PZKO-wskich z całego terenu. Będzie więc meldunek o ukończeniu budowy Domu PZKO w Ligotce Kameralnej, o uroczystej akademii orłowskiego Gimnazjum i nowej premierze zespołu teatralnego w Kocobędzu.

SZANOWNY PANIE REDAKTORZE!

Z ogromnym zainteresowaniem przeczytałem artykuł Wilhelma Przeczka traktujący o dorobku wybitnej tłumaczki literatury Heleny Teigowej — zamieszczony w nr. 2/87 „Zwrotu".

Tak się złożyło, że będąc przed laty Dyrektorem Liceum Ogólnokształcącego w Jeleniej Górze nawiązałem kontakt z córką tłumaczki, studentką filologii polskiej na Uniwersytecie Karola w Pradze. Pierwszy list od niej otrzymałem w lipcu 1954 r. Od obydwu Pań otrzymałem kilkanaście listów, które przechowuję pieczołowicie w rodzinnym archiwum. Dzięki Pani Teigowej otrzymałem wraz z żoną zaproszenie z Ambasady Polskiej w Pradze.

W dniach 9—16 maja 1985 r. przebywaliśmy w stolicy Czechosłowacji. Pani Helena przyjęła nas bardzo serdecznie i byliśmy przez kilka dni w jej gościnnym domu. Wówczas poznaliśmy jej córkę. Zostaliśmy przyjęci przez naszego Ambasadora Andrzeja Jedynaka oraz Sekretarza dr. Stanisława Czerpaka. Zwiedziliśmy piękne zabytki architektury i sztuki złotej Pragi.

Będąc u Pani Teigowej z zapartym tchem słuchaliśmy jej przeciekawych wspomnień o ludziach wielkich, wybitnych, zdolnych i miernych, o ich pełnych, głębokich i różnorakich przeżyciach, problemach, o czasach spokojnych i burzliwych. W jej ustach te wspomnienia brzmiały tak naturalnie, tak autentycznie, że pragnęłoby się ich słuchać bezustannie. Martwiliśmy się tylko, że Pani zwolna traciła wzrok. Tego wspaniałego Człowieka nigdy nie zapomnimy. Z wielkim bólem przyjęliśmy kilka miesięcy temu od jej córki wiadomość o śmierci Umiłowanej przez nas Wielkiej Damy Serca oraz Ambasadora Kultury Polskiej w Pradze. Po jej odejściu nadal jesteśmy w kontakcie z jej córką Heleną Stachową, która przejęła po Matce pałeczkę sztafetową i jest tłumaczką naszej literatury.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku.

ADAM RZĄSA
emerytowany nauczyciel
akademicki w Rzeszowie

BRAK TOLERANCJI

Korespondecja Józefa Raszyka z Darkowa, zamieszczona w numerze 5/87 naszego „Zwrotu" pod tytułem „Dlaczego się wstydzić, czego się bać?" jest słuszna. Jednakże jak wszystko na świecie, tak samo problem używania polskiego języka w miejscach publicznych naszego terenu nie jest tak prosty.

Przed wojną rozbrzmiewały tutaj nawet trzy języki: polski, czeski i niemiecki. W sklepach obowiązywała z przyczyn handlowych zasada, iż jakim językiem mówił klient, w takim samym języku rozmawiał z nim sprzedawca. Na szyldach były nawet trójjęzyczne napisy np.: Restaura -ce, -cja, -tion. Nie chcę gloryfikować tych czasów — jakże wiele było wtedy wrogości wobec polskości.

Spróbujmy jednak dzisiaj, np. w Hawierzowie, (również gdzie indziej) mówić do sprzedawcy po polsku. Usłyszymy często stereotypowe: Prosím? Nie rozumieją, chociaż mówi się do nich głośno. Nie tak dawno w głównym urzędzie pocztowym w tymże mieście powiedziałem do panienki przy okienku, że chcę kupić pięć znaczków po 1,— Kčs. I znowu owo „Prosím?". Kiedy po polsku powtórzyłem moje żądanie, podała mi jeden znaczek za 5,— Kčs. Dopiero kiedy odezwałem się w języku czeskim, otrzymałem owych pięć znaczków. Przykłady można by snuć bez końca. Nie dziwmy się zatem naszym ludziom, że raczej z miejsca mówią po czesku, kiedy czegoś potrzebują od osób oficjalnych. Podobnie przedstawia się sprawa z przyczynkami dyskusyjnymi na zebraniach — mało jest takich, którzy zachowują się tolerancyjnie wobec mówiących po polsku.

Bardziej tragiczna jest sytuacja, kiedy dziadkowie do własnych wnuków mówią po czesku... Tutaj już brak słów. A Mikołaj Rej już przed pięciuset laty pisał: Polacy nie gęsi, lecz swój język mają!

ERWIN JONSZTA
Hawierzów-Szumbark

DOM PZKO W LIGOTCE KAMERALNEJ

Związek w roku jubileuszowym swego 40-lecia wzbogacił się o kolejny obiekt. To pezetkaowcy z Ligotki Kameralnej oddali do użytku swój Dom PZKO.

16 maja odbyło się w nim uroczyste spotkanie zarządu i komitetu budowy Koła, na którym przewodnicząca MK Marta Wurszt zameldowała przewodniczącemu Związku Stanisławowi Kondziołce i I sekretarzowi ZG PZKO Władysławowi Orszulikowi o ukończeniu budowy. W spotkaniu wzięli udział także przewodniczący WO KPCz w Ligotce Kameralnej Zdeněk Konečný, przedstawicielka MRN w Gnojniku Maria Sztefek, przewodniczący KM Frontu Narodowego František Vojkuvka, przewodniczący ligockiego Komitetu Obywatelskiego Jan Krzyżek, Andrzej Kubisz z ramienia gnojnickiego Komitetu Obwodowego PZKO oraz przedstawiciele Kół tego obwodu. Niestety, zabrakło w tym gronie najofiarniejszego budowniczego tego obiektu, Jerzego Nikodema, którego choroba przykuła do łóżka szpitalnego.

Historię trwającej od 1980 roku adaptacji budynku ofiarowanego Kolu przez Marię Kisza z Cieszyna, przedstawił Paweł Przeczek. Z dawnego, niszczejącego budynku, pozostały tylko gołe ściany, wszystko inne wytworzyło w czynie społecznym 45 członków i 25 sympatyków Koła, którzy przepracowali wiele tysięcy godzin, inni przekazali dary pieniężne. Spora też była pomoc ZG PZKO, PGR-u Gnojnik i Huty Trzyniec. Trzeba jeszcze umeblować trzy salki na piętrze, z których korzystać będą Zespół Kobiet i Klub Młodych, które obecnie, w lepszych warunkach, powinny wznowić działalność. Wókół domu jest też duży ogród, w którym zostaną zamontowane zrobione już z godulskiego drewna ławy i stoły, a poza tym ligotczanie myślą o usytuowaniu tam kortów tenisowych i boiska do siatkówki.

Pezetkaowcom podziękował za adaptację ich siedziby tow. Konečný, który podkreślił, iż nowiutki obiekt będzie doskonałą wizytówką nie tylko Koła PZKO, ale i całej gminy. Serdecznie pogratulował im też tego pięknego,

wprawdzie niedużego, lecz w pełni wystarczającego dla tego 130-osobowego Koła, budynku, S. Kondziołka, który wraz z W. Orszulikiem wręczył im Akt Uznania ZG PZKO.

Uroczyste, oficjalne otwarcie Domu PZKO nastąpi podczas wakacyjnego festynu.

hk

KWIATY GIMNAZJUM ORLOWSKIEGO DLA PEZETKAOWCÓW

Pod nazwą „Tobie ziemio" 24. 4. 1987 Gimnazjum w Orłowej-Łazach urządziło uroczystą akademię z okazji 40. rocznicy podpisania Czechosłowacko-Polskiego Układu o Przyjaźni i Wzajemnej Pomocy oraz 40. rocznicy założenia PZKO. Ponieważ w prasie nie pokazała się żadna notatka na temat naszej pracy społecznej, chociaż byli obecni absolwenci kompetentni do napisania paru zdań na ten temat, postanowiłem więc ja napisać kilka słów.

W wypełnionej przez gości i rodziców sali Domu Kultury Kopalni „Antonin Zapotocki" o godzinie 16 przemówił zastępca dyrektora prof. Jan Szarowski. Program kulturalny przygotowali uczniowie, którym służyli radą i wskazówkami rodzice Adam Palowski i Janina Rzyman. Całość przygotowała i reżyserowała prof. Danuta Ondruch.

Rozpoczęło się od montażu wierszy Janusza Gaudyna do muzyki Eugeniusza Fierli, recytowały uczennice klasy II. Były również inne wiersze, wesołe scenki, tańce ludowe, narodowe, nowoczesne oraz występ chóru szkolnego pod kierownictwem prof. Tadeusza Błanika. Piękne wiersze na temat Ziemi Śląskiej, naszego przywiązania do niej, pracy i zaangażowania wytworzyły zaraz na początku miłą, swojską atmosferę. Rodzice i goście wielkimi brawami nagradzali poszczególne punkty programu. Najbardziej podobał się krakowiak w wykonaniu klasy II i III oraz wiersz A. Oppmana „Fortepian Chopina" w wykonaniu Darii Woźnicy, Haliny Fierli i Joanny Polok, która akompaniowała recytatorkom. W akademii wzięło udział 75 uczniów. W ramach współpracy szkoły z ZG PZKO udział w uroczystości wziął również zespół taneczny „Górnik", by w ten sposób udokumentować ścisłą więź szkoły z zespołem.

Akademia była gorącym podziękowaniem, wielkim ukłonem w stronę naszych rodziców, związkowców, zapalonych społeczników, od których uczymy się pracy związkowej i społecznikostwa.

Układany z poszczególnych punktów programu symboliczny bukiet czerwonych róż wręczony działaczom pod koniec uroczystości na tle wspólnego śpiewu widowni i uczniów był najlepszym dowodem tego, że akademia się podobała i że gimnazjum nasze wywiązało się godnie ze swego zadania.

RADEK KUPCZAK
klasa II D
Gimnazjum w Orłowej

TEATR AMATORSKI W KOCOBĘDZU

Zespół teatralny MK PZKO w Kocobędzu, podobnie jak samo Koło, obchodzi jubileusz 30-lecia istnienia. Ale początki pracy amatorskiego teatru w Kocobędzu datują się już od roku 1925. Wówczas to założono kółko teatralne przy Macierzy Szkolnej. Kiedy zaś w roku 1957 powstało samodzielne MK PZKO w Kocobędzu, jednym z pierwszych zespołów, który zaczął systematycznie pracować, był zespół teatralny. Pierwszą sztuką, wystawioną z braku odpowiedniego lokalu w miejscowej gospodzie u Justyny na prowizorycznej scenie z beczek, były „Iste roki" Ernesta Farnika w reżyserii Izydora Palarczyka. Zespół, pomimo trudnych warunków, corocznie wystawiał nowe premiery. Wreszcie w roku 1962 udało się wynająć salę miejscowego kina, gdzie odtąd odbywały się przedstawienia. Zaś od roku 1983 sztuki wystawiane są na scenie nowego Domu Kultury. Reżyserami w tym okresie byli Izydor Palarczyk, Paweł Morcinek, Gustaw Walek, a od roku 1977 do dnia dzisiejszego inż. Tadeusz



Wacławik. W sumie wystawiono 27 sztuk pełnospektaklowych oraz 20 jednoaktówek. Najczęściej były to komedie, które cieszyły się wielkim powodzeniem, ale swoje miejsce w repertuarze znalazły również sztuki poważne i współczesne. Największe powodzenie miały sztuki: ,,Iste roki" Farnika, ,,Umowa stoi" Siekierskiego, ,,Twarde głowy" Tajowskiego, wszystkie sztuki Adama Wawrosza, a w ostatnich latach ,,U nas dóma" Władysława Młynka oraz ,,Lufciorze" Wilhelma Przeczka. Zespół zyskał wiele pozytywnych ocen od przedstawicieli komisji ZG. Świadczą o tym zaproszenia na przeglądy teatralne w Wędryni, gdzie wystawiono ,,Twarde głowy" i ,,Lufciorzy".

W ciągu 30 lat wymieniło się wielu członków zespołu, stale pozyskuje się nowych członków, którzy kontynuują jego działalność. Bardzo pomyślnie rozwija się współpraca z sąsiednim MK PZKO Ligota, kilku członków tego Koła działa w kocobędzkim zespole. Sztuki wystawiane przez zespół mogli oglądać widzowie w wielu miejscowościach naszego terenu.

W niedzielę 26. 4. 1987 zespół wystawił dwie komedie Wł. Niedoby: ,,Babski raj" oraz ,,Wajca Feniksa" w reżyserii inż. Tadeusza Wacławika (na zdjęciu).

G. W.

OD KWARTETU DO REWELERSÓW

W związku z obchodzonym niedawno 60-leciem Związku Polskich Chórów w Czechosłowacji ukazały się w naszej prasie liczne artykuły na ten temat. Chciałbym i ja dołączyć swoje wspomnienia o małych zespołach wokalnych w Błędowicach Dolnych.

W okresie międzywojennym powodzeniem cieszyły się zespoły rewelersów, czyli męskie kwartety wokalne z repertuarem rozrywkowym. Przyczyniły się do tego popularne w tym okresie polskie zespoły rewelersów, takie jak chór Dana, Juranda czy Eriana. Piosenek w ich wykonaniu często można było słuchać na antenie warszawskiej rozgłośni radiowej, a w księgarniach pojawiły się nuty z utworami chóru Dana.

To wszystko spowodowało, że w Błędowicach w latach 1934—35 zaczęto rozważać

możliwośc założenia kwartetu męskiego. Zespół taki rzeczywiście powstał. O dobór odpowiedniego repertuaru troszczył się cały zespół, a na wspomnienie zasługuje członek zespołu Adolf Jaworek (obecnie zamieszkały w Polsce), który nieraz bezinteresownie sprowadzał różne utwory z zagranicy.

W pierwotny skład kwartetu wchodzili: Wacław Jaworek, Jan Pawlas, Emil Mrózek oraz Adolf Jaworek. Z czasem przychodzili nowi członkowie, np. Bogumił Krzystek, Rudolf Gałgonek, Józef Przeczek, Józef Manderla i inni.

Kwartet śpiewał m. in. śląskie pieśni ludowe, w harmonizowaniu których pomagali nauczyciele Franciszek Chowaniec, Józef Manderla, Karol Prymus. Kiedy kwartet przestawił się na repertuar rozrywkowy i na nowoczesne przeboje, przekształcił się w pięcioosobowy zespół rewelersów, który przetrwał do wybuchu drugiej wojny światowej.

Próby odbywały się początkowo w mieszkaniach prywatnych, później w sali restauracji Wacława Pawlasa (popularnie zwanej „U Węcla"). Zespół występował na prawie wszystkich imprezach urządzanych przez dwa miejscowe koła Macierzy Szkolnej, znany był również w okolicy — w Szumbarku, Suchej Dolnej, Żywocicach, Cierlicku, Datyniach Dolnych.

Najbardziej aktywne z całego okresu trwania zespołu były bezsprzecznie lata 1936—37, czyli dokładnie przed pół wiekiem.

Zespół dzięki swoim występom, wieczorom pieśni i humoru stał się wkrótce bardzo popularny. W roku 1936 został zaproszony na nagrania do ostrawskiego studia radiowego, ale w związku z rozruchami (był to okres na krótko przed zajęciem tych terenów) nagranie nie doszło do skutku.

Druga wojna światowa położyła kres działalności zespołu, rozproszyła i przerzedziła szeregi jego członków, zaś ci, którzy przeżyli i żyją do dziś, mile wspominają nie tylko występy, ale także niezliczoną liczbę godzin spędzonych na próbach i różnych spotkaniach.

EMIL MRÓZEK

Czeski Cieszyn

Rewelersi 1937 — Błędowice Dolne. Od lewej stoją: Rudolf Galgonek, Jan Pawlas, Adolf Jaworek, Bogumił Krzystek, siedzi: Emil Mrózek — kierownik zespołu i dyrygent



TO I OWO

Miesięcznik społeczno-kulturalny „Opolne" nr 6/87 dużo miejsca poświęca sprawom PZKO z okazji jego czterdziestolecia. Pisze o nas Jan Goczoł w artykule wstępnym m. in.:... wielorakich źródeł spontanicznej aktywności duchowej tyle tu od dawna i wciąż jeszcze, że mogłyby ożywić i nasycić niejedno z naszych województw. *„Opole" publikuje w tymże numerze prace naszych literatów — wiersze Władysława i Jacka Sikorów, Lucyny Przeczek i Renaty Putzlacher, opowiadania Wiesława Adama Bergera i Wilhelma Przeczka, jest też kolejny odcinek „Małego leksykonu nadolziańskiego".*

Pełne cztery strony formatu zgodnego z naszym pismem poświęca jubileuszowi PZKO serbołużycki „Rozhlad" nr 6/87. Jego czytelnicy zapoznają się z historią i działalnością Związku w artykule P. Przeczka oraz z tym, jak PZKO widział korespondent „Polityki" L. Mazan. Wątpliwej wartości tekst tego skądinąd znanego publicysty staje się więc jak widać niestety... źródłem informacji o nas!

Kilkakrotnie w czerwcu pisała o nas Trybuna Opolska — i tak w numerze 137 z 13—14. 6. pojawiają się wiersze naszych twórców i grafiki J. Dronga i L. Ramik, jest również artykuł Leszka Kary, przedstawiający opolskim czytelnikom pianistę Franciszka Polednika z Karwiny. W nr. 139 z 16 czerwca znajdujemy artykuł pn. „Literaci z Zaolzia w Opolu", w którym na temat wystawy naszego plakatu poetyckiego, zainstalowanej w Opolu, autor (JAK) pisze: Zainspirowane poezją kompozycje graficzne (udowadniające oczywistą prawdę, iż sztuka jest jedna, a słowo współbrzmi z barwą) przyjęte zostały z dużym zainteresowaniem. *W nr. 144 z 23 czerwca Marek Karp zapowiada Dzień PZKO w Opolu, załączając zdjęcie „Olzy".*

Również katowicki „Dziennik Zachodni" poświęcił wiele miejsca rocznicy powstania PZKO. W przeddzień Festiwalu PZKO publikuje rozpoczynającą się na pierwszej stronie rozmowę z przewodniczącym ZG PZKO dr. Stanisławem Kondziołką. Na temat współpracy z towarzystwami regionalnymi w Polsce prezes powiedział m. in.: Wyjazdy do Polski traktujemy jako wyróżnienie i nagrodę dla naszych zespołów i społeczników. Staramy się więc, by wyjeżdżali nie tylko najlepsi, ale wszyscy, którzy swą pracą chcą jeszcze lepiej krzewić nasze narodowe tradycje kulturowe. *Już 1. 6. pojawiła się w DZ informacja o przebiegu Festiwalu, przekazana bezpośrednio z Karwiny przez specjalną wysłanniczkę redakcji Teresę Semik, która pisze o pochodzie festiwalowym:* Nikt nie wyobraża sobie, by festiwal PZKO rozpoczął się w jakiś inny sposób — bez tej właśnie manifestacji przywiązania do rodzinnej ziemi nad Olzą, do strojów, pieśni i muzyki.

W „Dodatku Tygodniowym DZ — Zbliżenia" nr 223 centralne miejsce zajmuje inny tekst Teresy Semik — „Pan na białym koniu", czyli portret Władysława Niedoby. Pisze: Człowiek — legenda, uosobienie cnót wszelakich — mówią jedni, człowiek wielkiego formatu w realizacji swoich pasji, a zwłaszcza pasji społecznego dzieła, autorytet, jakiego nie ma — dodają inni.

Ostrawski „Kulturní měsíčník" 6/87 prezentuje na drugiej stronie okładki wiersze Gustawa Sajdoka z książki „Zaczarowany młynek". Wewnątrz numeru dokończenie artykułu „40 lat SLA" (I część w nr. 5/87) oraz recenzja Kalendarza Śląskiego '87. Autor — J. Damborský, stwierdza na wstępie, iż w zeszłych latach zwróciłem uwagę na to, by (...) nie zapominać o tym, czym ma być. Widocznie autorzy tegorocznego KŚ P. Przeczek i O. Toboła wzięli to sobie do serca i poszerzyli propozycje kalendarzowe tematycznie i personalnie. (...) Z zadowoleniem stwierdzam, że kalendarz zaczyna być tym, czym być powinien". *Nie ma to jak być pewnym siebie i swej roli w kształtowaniu świata!*

KRONIKA

ZG PZKO

■ 23. 5. na boisku KS Ropica odbył się otwarty turniej siatkówki męskiej PZKO z okazji 40-lecia PZKO. Wygrała drużyna PZKO Ropica przed Hutą „Łabędy" z Gliwic oraz Gimnazjum z polskim językiem nauczania z Cz. Cieszyna.

■ Klub Medyków przy Zarządzie Głównym PZKO odbył swoje kolejne spotkanie 29. 5. w Klubie PZKO w Cz. Cieszynie z profesorem dr. Bogusławem Kożusznikiem, byłym wiceministrem Zdrowia PRL.

■ Gimnazjum z polskim językiem nauczania w Cz. Cieszynie, jego dyrekcja, SRPS i SZM zorganizowały 29. 5. w sali hotelu „Piast" uroczyste wręczenie świadectw maturalnych. Przemówienia okolicznościowe wygłosili dyrektor B. Kisza oraz przewodniczący SRPS T. Milerski. I sekretarz ZG PZKO Wł. Orszulik serdecznie podziękował dyrekcji, gronu pedagogicznemu i studentom za zaangażowanie w działalność pezetkaowską. Program kulturalny wykonali studenci Gimnazjum.

■ Symboliczną „cegiełkę", mającą na celu zbieranie darów pieniężnych na budowę Izby Pamięci Żwirki i Wigury przygotowaną przez Koło PZKO Cierlicko-Kościelec, zaprojektował grafik, członek SLA, Zbigniew Kubeczka.

■ Wydawnictwo „Profil" w Ostrawie wydało na zlecenie ZG PZKO w nakładzie 10 000 egzemplarzy publikację — album PZKO z okazji 40-lecia istnienia PZKO. Książkę opracował kolektyw, a zredagował Piotr Przeczek z zespołem redakcyjnym. Oprócz tekstów polskich i czeskich, przedstawiających w ogólnym zarysie historię i współczesność PZKO, książka obejmuje 30 zdjęć kolorowych oraz 100 zdjęć czarnobiałych dokumentujących bogaty dorobek PZKO. Cena jednego egzemplarza wynosi 25,— Kčs.

■ 31. 5. w Hali Sportowej w Karwinie otwarto kolejną wystawę eksponatów Klubu Plastyków Ludowych, działających przy Sekcji Folklorystycznej ZG, połączoną ze sprzedażą wydawnictw SF.

■ W maju br. w Klubie Związków Twórczych w Opolu czynna była wystawa prac Bronisława Firli, członka SLA i przewodniczącego pionu plastycznego. Inicjatorem wystawy były Biuro Wystaw Artystycznych w Opolu oraz Zarząd Główny PZKO. Bronisław Firla wystawił tam obrazy olejne i akwarele oraz 30 rysunków — szkiców z podróży po Europie. Z okazji tej ekspozycji Biuro Wystaw Artystycznych wydało okolicznościowy folder pokazujący dorobek twórczy i społeczny B. Firli.

■ Scena Polska TC wspólnie z redakcją „Gazetki Pioniera" zorganizowały 7. 6. w Teatrze Czeskocieszyńskim „spektakl rodzinny", w ramach którego Scena Polska TC odegrała przedstawienie pt. „Nowe szaty króla". Dochód z biletów wstępu w wysokości 2 210,— Kčs przeznaczono na budowę Izby Pamięci Żwirki i Wigury w Cierlicku-Kościelcu.

■ 23. 6. w Domu Kultury HT WSRP w Trzyńcu odbył się koncert dedykowany 70. rocznicy WSRP i 40-leciu PZKO. Program artystyczny wykonały chór dziecięcy „Razem" z dyrygentką Krystyną Pieknik, solistka Opery Ostrawskiej Alina Farna-Podskalska z akompaniatorką Danutą Bilan oraz Polski Zespół Śpiewaczy „Hutnik" — chór męski z Erichem Śmiłowskim, oraz żeński i mieszany z Cezarym Drzewieckim.

■ ZG PZKO z okazji jubileuszów 40-lecia PZKO, 60-lecia ruchu śpiewaczego na naszym terenie, 50-lecia powstania ŚZLA oraz 40-lecia SLA ogłosił konkurs kompozytorski na polską pieśń dla członków PZKO — na chór mieszany, męski lub żeński a cappella, względnie z towarzyszeniem fortepianu lub najwyżej trzech dowolnych instrumentów; szkolną dwu lub trzygłosową albo jednogłosową a cappella lub z towarzyszeniem fortepianu; o charakterze młodzieżowym na głos z fortepianem. Prace

opatrzone godłem należy przesłać do 30. 10. 1987 na adres ZG PZKO. Odłoszenie wyników nastąpi w grudniu br.

■ 6. 6. w Karwinie i Łomnej Górnej przebiegły eliminacje powiatowe o wejście do finałowego turnieju mistrzostw PZKO '87 w piłce nożnej. Z powiatu karwińskiego zgłosiły się drużyny: Sucha Górna i Olbrachcice. Zwyciężyła drużyna PZKO Sucha Górna; z czterech drużyn powiatu frydecko-misteckiego 1. miejsce wywalczyła drużyna z Piosku. Finał rozegrano 13. 6. w Boguminie. Uczestniczyła w nim także drużyna mistrzowska z ubiegłego roku — PZKO Skrzeczoń. Mistrzem PZKO w piłce nożnej na rok 1987 została drużyna PZKO Sucha Górna, która wyprzedziła drużyny PZKO Skrzeczoń i PZKO Piosek. Współorganizatorem finału mistrzostw był Klub Młodych PZKO Skrzeczoń.

■ Z okazji MDD '87 Kapituła „Orderu Uśmiechu" w Warszawie uhonorowała tym odznaczeniem 14 osób, w tym trzy osoby z zagranicy. Wśród nich znalazła się również Janina Kowalska, zastępca redaktora naczelnego „Gazetki Pioniera", długoletnia współpracowniczka „Ogniwa" i „Jutrzenki". Przyznanie „Orderu" zawnioskowały dzieci ze szkół z polskim językiem nauczania na naszym terenie.

■ Chór męski „Hasło" Orłowa przy Zarządzie Głównym PZKO w maju br. w studiu Czechosłowackiego Radia w Ostrawie nagrał kilka pieśni do wykorzystania na antenie w audycjach polskich. Dyrygował inż. Władysław Rusek.

■ 4. 6. w salce zebrań ZG PZKO w Cz. Cieszynie odbyło się zebranie Sekcji Śpiewaczo-Muzycznej ZG PZKO. Uczestniczyło w nim także 20 zgłoszonych kandydatów na kurs dla początkujących dyrygentów, który odbędzie się w czasie od 15—28. 7. w Bydgoszczy. Oceniono realizację zadań śpiewactwa za I półrocze 1987, zwłaszcza XIX Festiwal Piosenki Polskiej oraz występ chórów PZKO-wskich i szkolnych na Jubileuszowym Festiwalu PZKO '87 w Karwinie. Omówiono także i zaakceptowano plan pracy SŚM ZG na II półrocze 1987.

■ 21. 6. w Polskiej Szkole Podstawowej w Lutyni Dolnej odbyło się spotkanie z obecnymi i dawnymi członkami oraz sympatykami chóru męskiego „Hasło" Orłowa przy ZG PZKO wspólnie z chórem „Lutnia" MK PZKO Lutynia Dolna. Omówiono dotychczasową pracę chóru, jego przyszłość oraz przygotowywany w roku bieżącym Koncert Jubileuszowy „Hasła" z okazji 60. rocznicy jego istnienia.

■ I etap mistrzostw PZKO w kolarstwie rozegrany został 26. 5. w Trzyńcu. Na trasie Trzyniec — Bystrzyca Pasieki o długości 65 km współzawodniczyło 11 zawodników z 5 Kół PZKO. Wygrali kolarze z Trzyńca: 1. Karol Rucki, 2. Rudolf Rucki i 3. Józef Ondrusz.

■ Z inicjatywy Opolskiego Towarzystwa Kulturalno-Oświatowego w Opolu przebiegały w Opolu z okazji 40-lecia Związku „Dni PZKO". Zainaugurowały je 11. 6. dwie imprezy. Pierwszą było otwarcie wystawy zbiorowej członków pionu plastycznego SLA w Salonie Malarstwa Biura Wystaw Artystycznych w Opolu, gdzie swoje prace wystawiali: W. Pasz, B. Firla, O. Pawlas, T. Wratny, S. Kraus, R. Kobiela, Z. Kubeczka, W. Taszek, J. Drong, J. Kneis, H. Szkopek, J. Rusnok i R. Chmiel. Przemówienie okolicznościowe wygłosił przewodniczący pionu plastycznego SLA B. Firla. W wernisażu udział wzięli przedstawiciele opolskich władz wojewódzkich i związków twórczych oraz delegacja SLA. W programie artystycznym aktorzy Teatru im. J. Kochanowskiego w Opolu interpretowali wiersze A. Filipek i Wł. Młynka. Z okazji wystawy został wydany okolicznościowy folder. Drugą imprezą był tzw. „Czwartek Literacki" w Klubie Związków Twórczych w Opolu, na którym z naszymi twórcami spotkali się przedstawiciele opolskiego środowiska twórczego. W programie m. in. zaprezentowano SLA-owski plakat poetycki. Odbyła się także prezentacja SLA-owskiej twórczości poetyckiej. W ramach „Dni PZKO" delegacja SLA podejmowana była przez sekretarza KW PZPR w Opolu tow. E. Brudkiewicza, przez dyrektora Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Opolu M. Jaworskiego oraz w Klubie „Musiołówka" przez przewodniczącego OTKO F. Adamca. Nasi literaci odbyli spotkania autorskie z uczniami Liceum im. M. Konopnickiej i szkół podstawowych w Opolu oraz z członkami Robotniczego Stowarzyszenia Twórców Kultury w Kędzierzynie — Koźlu, a także uczestniczyli w „Literackim Rajdzie Szlakiem Rafała Urbana" na trasie Rogów — Głogówek — Moszna.

■ Toruńskie Towarzystwo Kultury w Toruniu wydało publikację — zbiór wierszy 26 poetów zza Olzy pn. „Zaproszenie do źródła". Redaktorem publikacji jest Czesław Niedzielski, prezes TTK. Nakład wynosi 1 000 egzemplarzy.

■ Dom Kultury RZZ HT WSRP w Trzyńcu, Grupa Literacka '63 wspólnie z pionem literackim SLA przy ZG PZKO zorganizowały od 19 do 21. 6. w DK HT w Trzyńcu VIII Hutnicze Dni Literatury, poświęcone 70. rocznicy WSRP oraz 40. rocznicy podpisania umowy o przyjaźni między CSRS i PRL. Gościem był poeta Marek Jodłowski, zastępca redaktora naczelnego miesięcznika „Opole". Odbyły się Poranki Literackie w polskich szkołach miasta Trzyńca,

warsztaty twórcze młodych, spotkanie literatów z M. Jodłowskim, który wygłosił referat o współczesnej literaturze polskiej. Drugi wykład Marek Jodłowski wygłosił nt. nowych nurtów w literaturze światowej. Na temat gwary w naszej twórczości mówił Władysław Sikora. W ramach HDL odbyły się również plenarne spotkanie twórców, „Biesiada Literacka" oraz ogłoszenie wyników konkursów twórczych.

■ Zasłużony pedagog, społecznik i działacz partyjny Franciszek Buzek z Orłowej 11. 6. obchodził swoje 70. urodziny. Z tej okazji został przyjęty w siedzibie KO KPCz w Ostrawie, gdzie wręczono mu odznaczenie państwowe — medal „Za ofiarną pracę na rzecz socjalizmu". Franciszka Buzka znamy również jako wielce zasłużonego działacza PZKO.

■ Ostrawskie wydawnictwo „Profil" zorganizowało 25. 6. w księgarni przy ulicy Rewolucyjnej w Cz. Cieszynie dwa spotkania autorskie z przedstawicielami literackiego środowiska okręgu północnomorawskiego — poetami Gustawem Sajdokiem, członkiem SLA, i Karolem Vůjtkiem. Obaj twórcy w czasie spotkań z dziećmi i dorosłymi podpisywali nową publikację dla dzieci — „Zaczarowany młynek" pióra Gustawa Sajdoka, która ukazała się w polskiej edycji wydawnictwa „Profil", a równocześnie także w czeskim przekładzie Karola Vůjtka.

■ Od 25 do 28. 6. przebywali na kolejnym Krajowym Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu na zaproszenie OTKO laureaci tegorocznego XIX Festiwalu Piosenki Polskiej w Karwinie Halina Przybyła i Libor Baselides. Laureatom towarzyszyła Maria Hupka, instruktor śpiewaczo-muzyczny ZG PZKO.

■ Sekcja Programowa Festiwalu PZKO '87 odbyła 17. 6. w salce ZG swoje ostatnie zebranie, na którym przeprowadzono szczegółową ocenę programu festiwalowego. Podkreślono, że pomimo trudnych warunków akustycznych w hali Stadionu Zimowego, które w przyszłości należy ulepszać, główny blok programowy PZKO wypadł pozytywnie. Pozytywnie oceniono występy zespołów tanecznych szkolnych i pezetkaowskich oraz gościnnych ZPiT „Jasenkę", ZPiT „Budyšin" i Dziecięcy Zespół Pieśni i Tańca „Varsovię" oraz program artystyczny na estradzie amfiteatru.

■ Od 31. 5. do 5. 6. przebiegł w naszym okręgu Tydzień Kultury Polskiej Województwa Katowickiego. W jego ramach w dniu 3. 6. w Domu Kultury „Witkowic" w Ostrawie odbył się koncert Wielkiej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia i Telewizji, któremu patronował Zarząd Główny PZKO.

■ Szóste w br. zebranie Prezydium ZG PZKO odbyło się 23. 6. w salce ZG w Cz. Cieszynie. Obradom przewodniczył prezes Związku St. Kondziołka. Dokonano wstępnej oceny Festiwalu PZKO '87 w Karwinie. Prezydium ZG PZKO wyraziło uznanie i serdeczne podziękowanie Komitetom, Kołom i zespołom PZKO, szkołom i wszystkim tym, którzy przyczynili się do udanego Festiwalu z okazji 40. rocznicy PZKO. Omówiono także i zaakceptowano tezy referatu sprawozdawczo-programowego na XV Zjazd PZKO oraz jego przygotowanie. Przedyskutowano i przyjęto do realizacji plan pracy Zarządu Głównego i jego sekcji na II półrocze 1987.

■ 4. 6. w salce ZG PZKO odbyło się zebranie Sekcji Folklorystycznej ZG PZKO. Oceniono zorganizowaną wystawę Klubu Twórców Ludowych przy SF na Festiwalu PZKO '87 w Karwinie i omówiono przygotowania do obozu folklorystycznego, który odbędzie się w lipcu w Karwinie. Przeprowadzono kontrolę przygotowań do „Dni Folkloru '87" zaplanowanych na wrzesień w Domu PZKO w Cz. Cieszynie — Mostach oraz do koncertu w ramach tych dni pn. „Tu żyje się bez starości", który odbędzie się w Teatrze Czeskocieszyńskim. W koncercie wystąpią: ZPiT „Górnik", „Sibica", „Górole" i „Błędowice". Omówiono także plan wydawnictw SF do roku 1990.

■ Na zaproszenie Wojewódzkiego Domu Kultury w Olsztynie i Warmińsko-Mazurskiego Oddziału Stowarzyszenia Twórców Ludowych w Olsztynie w dniach 18—21. 6. bawiła w Mrągowie 2-osobowa delegacja Sekcji Folklorystycznej ZG w składzie Wł. Milerski i A. Szpyrc. Uczestniczyli oni w jarmarku sztuki ludowej w Mrągowie, odbywającego się w ramach Święta Kultury Ludowej. Omówili także możliwości współpracy między naszymi i warmińsko-mazurskimi twórcami ludowymi.

■ 18. 6. Zarząd Klubu Nauczycieli Emerytów przy ZG PZKO urządził ekskursję do zakładu Państwowego Gospodarstwa Rolnego w Łutyni Dolnej — Nieradzie oraz do Domu PZKO w Wierzniowicach.

■ Na boisku Banika 1 Maja w Karwinie 23. 6. rozegrano piłkarski sparing kadry PZKO z dywizyjną drużyną gospodarza. Była to pierwsza próba kadry PZKO przed Polonijnymi Igrzyskami Sportowymi '87 w Krakowie. Wynik meczu pomyślny, bo remisowy (2 : 2).

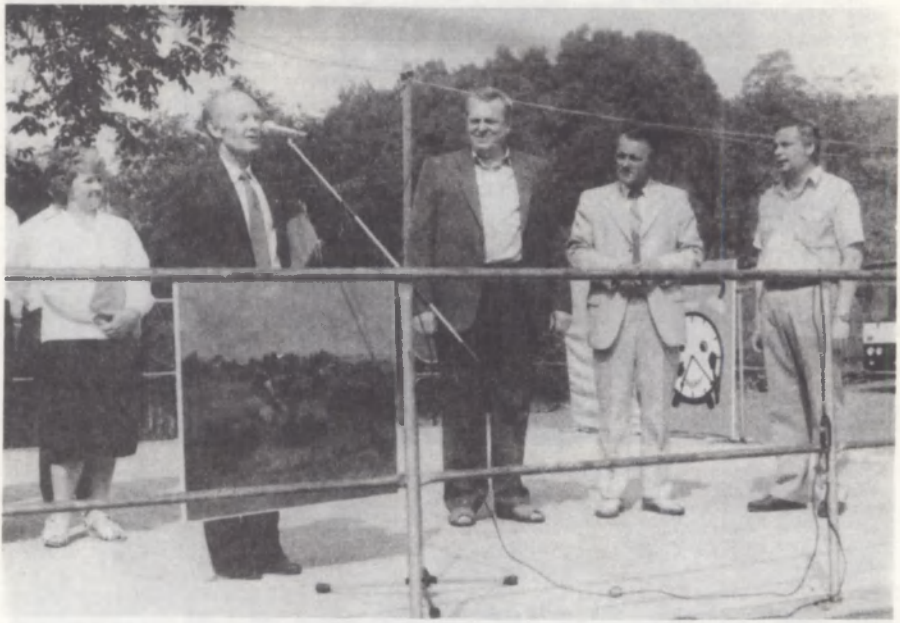
■ Na wniosek ukazującego się w Katowicach „Dziennika Zachodniego", Urzędu Wojewódzkiego i Miejskiego w Katowicach oraz Katowickiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego zasłużony działacz związkowy i społeczny Władysław Niedoba został odznaczony nagrodą Trzech Powstańczych Skrzydeł.





Tak się złożyło, że dokładnie w rocznicę powstania PZKO — 27 czerwca 1987 jedyną jubileuszową imprezę zorganizowano ... w Opolu. W tym właśnie dniu dzięki inicjatywie Opolskiego Towarzystwa Kulturalno-Oświatowego otwarto wystawę fotografików-członków SLA (na zdjęciu), w Wojewódzkiej Bibliotece wystawę pn. „Słowo polskie na Zaolziu", zaś w sali KMPiK zaprezentowali swoje umiejętności plastycy ludowi. Przy okazji warto przypomnieć, że już kilka dni wcześniej otwarta została wystawa plastyków SLA w sali opolskiego Biura Wystaw Artystycznych. Z gościnnego zaproszenia OTKO oraz współdziałających z nim organizacji korzystali w tym czasie przedstawiciele twórców, zrzeszonych w SLA, dziennikarze, twórcy ludowi, była delegacja ZG PZKO z prezesem St. Kondziołką. Najważniejszym wydarzeniem stał się występ „Olzy" na scenie otwartej pod ratuszem miejskim (na zdjęciu). Kilkaset widzów gromkimi oklaskami podziękowało zespołowi, wspólnie z nim śpiewając „Sto lat" dla naszego Związku na zakończenie Dnia PZKO w Opolu.

fot. PIOTR PRZECZEK



Zarząd MK PZKO w Gutach zorganizował 13. 6. przy Domu PZKO Festyn Jubileuszowy z okazji 40-lecia PZKO oraz 10-lecia Domu PZKO w Gutach. Przewodniczący Koła E. Hyrnik przywitał zacnych gości, m. in. konsula Konsulatu Generalnego PRL w Ostrawie H. Zielińskiego oraz naczelne władze Związku z przewodniczącym ZG PZKO St. Kondziołką. Wystąpiły zaproszone zespoły z PRL — „Jaworze" z Bielska-Białej i harcerski ZPiT „Gwar" z Gliwic oraz połączony zespół taneczny Klubów Młodych PZKO z Nieborów, Ropicy i Gutów, dzieci miejscowego przedszkola i mieszany chór obwodowy „Godulan". Przygrywał zespół instrumentalny „Sami Swoi" z Korfantowa z województwa opolskiego.

■ Na zaproszenie Domu Kultury Kopalni „Knurów" od 11 do 14. 6. bawił w Knurowie TL „Bajka" przy ZG PZKO. Zespół uczestniczył jako obserwator w Wojewódzkim Przeglądzie Amatorskich Zespołów Lalkowych. Wystawił gościnnie w ramach przeglądu sztukę Wilhelma Przeczka pt. „Pluskacz i Mąciwoda" w reżyserii Pawła Żywczoka.

BOGUMIN

■ Zarząd MK PZKO w Skrzeczoniu zorganizował 6. 6. w ogrodzie koło Domu PZKO festyn ogrodowy. Wystąpił uczestnik ubiegłorocznego Światowego Festiwalu Polonijnych Zespołów Folklorystycznych w Rzeszowie dziecięcy zespół regionalny „Łączka" z Bystrzycy pod kierownictwem Marii Podzemnej. Towarzyszyła mu kapela ludowa Jana Kubeczki. W tradycyjnym Karnawale Nocnym przygrywał zespół instrumentalny Koła „Krater". Imprezę dedykowano 40. rocznicy założenia PZKO. Imprezą towarzyszącą tym uroczystościom była czynna 6 i 7. 6. wystawa pn. „Zrób to sam", prezentująca w Domu PZKO prace kilkunastu członków Koła, oraz wystawa starych polskich banknotów oraz innych numizmatów.

■ Miejscowe Koło PZKO wraz z dyrekcją i SRPS Polskiej Szkoły Podstawowej w Lutyni Dolnej urządziło 20. 6. w ogrodzie „Jiřinki" w Lutyni Dolnej Festyn Ogrodowy. Program wykonały szkolny zespół śpiewaczy, szkolne grupy taneczne oraz przedszkolacy. Wystąpił także dolnolutyński chór mieszany MK PZKO „Lutnia".

■ Polski Związek Kulturalno-Oświatowy oraz SRPS PSP i przedszkola w Nowym Boguminie zorganizowały 21. 6. obok Domu PZKO w N. Boguminie „Festyn 40-lecia PZKO" poświęcony również MDD. W programie zaprezentowały

fot. PIOTR PRZECZEK

się dzieci szkoły i przedszkola oraz zespół śpiewaczy MK PZKO „Preludium". Przygrywała orkiestra MK PZKO w Skrzeczoniu „Krater". Dzieci otrzymały od działaczy Koła w upominku książki.

BYSTRZYCA

■ Zarząd bystrzyckiego Koła PZKO wraz z dyrekcją miejscowej PSP zorganizował 19. 5. w Domu PZKO spotkanie tegorocznych absolwentów szkoły. Gawędę z młodzieżą na temat działalności PZKO przeprowadziła Halina Kowalczyk, członek Plenum ZG PZKO i redaktor „Gazetki Pioniera".

■ 24. 6. w Domu PZKO w Bystrzycy odbyło się spotkanie pożegnalne absolwentów 8. klas miejscowej PSP w obecności zarządu MK PZKO i grona nauczycielskiego z programem kulturalnym. Na zakończenie wręczono legitymacje członkowskie PZKO.

CZESKI CIESZYN

■ Zarząd MK PZKO w Olbrachcicach zorganizował 14. 5. w Klubie PZKO zebranie członkowskie Koła. Z pogadanką na temat działalności Sceny Polskiej TC wystąpił jej kierownik artystyczny Karol Suszka.

■ Majową dyskotekę dla okolicznych Klubów Młodych PZKO urządziła młodzież olbrachcickiego Koła PZKO 16. 5. w Klubie Koła w Domu Robotniczym. Udział wzięło ponad 70 młodych osób.

■ Klub Propozycji przy Kole PZKO w Cz. Cieszynie-Osiedlu zorganizował 1. 6. w salce na Mojskiem wieczór filmowy pt. „Nasze zespoły na festiwalach folklorystycznych w Polsce". 15. 6. klubowicze odbyli spacer po mieście Cz. Cieszynie w ramach akcji „Poznajmy nasze miasto".

■ Sekcja Turystyczno-Krajoznawcza przy sibickim Kole PZKO zrealizowała w czerwcu br. cztery wycieczki krajoznawcze: do Czernej, Hrczawy i na Girową, do Jabłonkowa i na Kozubową, do Oszczadnicy i na Wielką Raczę oraz do Dobracic i na Praszywą.

Z okazji MDD '87 Klub Karwińskich Plastyków przy współpracy z Gabinetem Przedszkoli Powiatowego Ośrodka Pedagogicznego w Karwinie urządził 3. 6. w parku im. B. Němcowej i atelier MDK w Karwinie — Frysztacie imprezę dla przedszkolaków, umożliwiającą im bliższe zaznajomienie się ze sztuką plastyczną. Na imprezę przybyło 1 200 dzieci z przedszkoli w Karwinie, Piotrowicach i Stonawie. Swoje prace prezentowali również Halina Szkopek (na zdjęciu) i Walter Taszek, członkowie SLA.



fot. EDMUND KIJONKA

■ Zarząd Koła w Sibicy urządził 8. 6. w ogrodzie przy przedszkolu ognisko i tradycyjne smażenie jajecznicy.

■ 24. 6. w parku im. A. Sikory w Cz. Cieszynie odbyło się spotkanie członków zespołów śpiewaczych „Harfa" MK PZKO Cz. Cieszyn-Centrum. Na zakończenie sezonu przy rozpalonym ognisku podsumowano I półrocze 1987.

GNOJNIK

■ Komitet Obwodowy PZKO w Gnojniku zorganizował 30. 5. w Domu PZKO w Gutach „Wieczór Przyjaźni" w ramach obchodów 40-lecia PZKO. Przemówienia wygłosili przewodniczący KO PZKO w Gnojniku K. Filipiec oraz prezes guckiego Koła PZKO E. Hyrnik. Wystąpiły: chór „Jesienne Słowiki" Ogniska Emerytów i Rencistów Związku Nauczycieli Polskich z Bochni (PRL) oraz zespół teatralny PZKO z Śmiłowic z jednoaktówką pt. „Rodzinny supełek" A. Lachowicza w reżyserii Z. Wanok. W koncercie uczestniczyły także zaproszone delegacje — przedstawiciele władz miasta Korfantowa i Zarządu Okręgu ZNP w Tarnowie. Goście z PRL zwiedzili gnojnicką polską szkołę podstawową, położyli kwiaty na grobie Jana Kubisza, zwiedzili miasto Hawierzów, złożyli kwiaty pod pomnikami Tragedii Żywocickiej i lotników polskich Żwirki i Wigury, zwiedzili Frydek-Mistek, Frensztat i Rożnów. Uczestniczyli także w pochodzie festiwalowym i Festiwalu PZKO w Karwinie.

HAWIERZÓW

■ W Domu PZKO w Błędowicach w przeddzień Festiwalu PZKO '87 30. 5. z koncertem wystąpił ZPiT „Budyšin" — reprezentujący Związek Serbów Łużyckich „Domowina" w NRD.

■ Kolejne spotkanie Klubu Seniora przy błędowickim Kole PZKO odbyło się 20. 6. w ogrodzie Domu PZKO. Spotkanie połączono ze smażeniem jajecznicy.

■ Zarząd MK PZKO w Błędowicach zorganizował 20. 6. w Domu PZKO turniej tenisa stołowego o mistrzostwo i nagrodę 40-lecia PZKO.

■ Klub Emerytów przy MK PZKO w Hawierzowie-Centrum odbył 28. 5. i 11. 6. w świetlicy Koła „Pod Arkadami" spotkanie oświatowe. Zespół Kobiet przy tymże Kole odbył swoje tematyczne spotkanie 1. 6. w świetlicy. Zarząd Koła urządził również 12. 6. autokarową wycieczkę do Ligotki Kameralnej.

■ 18. 6. w świetlicy „Pod Arkadami" odbyło się zebranie członkowskie Koła w Hawierzowie-Centrum. Wyświetlono m. in. filmy z Polonijnych Igrzysk Sportowych oraz Światowego Festiwalu Polonijnych Zespołów Folklorystycznych w Rzeszowie.

■ Koło PZKO w Suchej Górnej zorganizowało 8. 6. autobusową wycieczkę krajoznawczą do Rużomberoka. Zespół Kobiet tego Koła odbył 10. 6. w świetlicy swoje tematyczne zebranie.

■ Klub Młodych „Na Poddaszu" w górnosuskim Kole PZKO pod kierownictwem Andrzeja Mikuły odbywa regularne cotygodniowe spotkania. Zrealizowano już kilka akcji — wideotekę, śmigustówkę, smażenie jajecznicy, spotkanie przy ognisku. Pierwszą większą imprezą była zorganizowana 13. 6. w Domu Robotniczym „Dyskoteka rodem z Bielska-Białej".

■ Zarząd Koła PZKO w Cierlicku-Kościelcu zorganizował 14. 6. w restauracji na Kościelcu dla dzieci z okazji MDD '87 imprezę pn. „Jarmark cudów".

■ „Festyn Ogrodowy" koło Remizy Strażackiej urządziło 21. 6. Koło PZKO w Żywocicach.

JABŁONKÓW

■ 14. 6. w Domu Kultury PZKO w Mostach k. Jabł. Koło PZKO i SRPS przy miejscowej PSP zorganizowały Festyn. Program wykonali przedszkolacy, uczniowie PSP oraz zespół regionalny PZKO „Górole". Przygrywała orkiestra „Steel Quintet" Zbyszka Farnika.

■ 21. 6. w Jabłonkowie przebiegły uroczystości z okazji 60. rocznicy powstania miejscowej polskiej szkoły wydziałowej. W Domu PZKO odbyło się spotkanie byłych i obecnych nauczycieli jubilatki oraz powojennych prezesów SRPS, a w ogrodzie przy starej szkole odbył się festyn szkolny dedykowany jubileuszowi szkoły. Program wykonali przedszkolacy oraz uczniowie PSP w Jabłonkowie, były pokazy gimnastyczne, występy szkolnego zespołu „Rytmika", dwóch zespołów folklorystycznych oraz świetlicy szkolnej. Przygrywała orkiestra „Format" działająca przy DK ZZ zakładów „Bumar" w Gliwicach-Łabędach.

KARWINA

■ Na zaproszenie chóru męskiego „Piast" z Żyglina koło Tarnowskich Gór chór męski „Hejnał-Echo" MK PZKO Frysztat z dyrygentem Z. Niemczykiem przebywał od 5 do 7. 6. w Tarnowskich Górach. 6. 6. nasz chór uczestniczył w przebiegającym w Tarnowskich Górach konkursie o V Kaganek Gwarków, zorganizowanym pod egidą Polskiego Związku Chórów i Orkiestr. Udział wzięło 11 chórów, w tym 7 mieszanych i 4 męskie. „Hejnał-Echo" zajął 2. miejsce w V Kaganku Gwarków, co upoważnia go do ponownego występu w Tarnowskich Górach, tym razem w koncercie laureatów,

który odbędzie się na początku września w Tarnowskich Górach z okazji tradycyjnych Dni Gwarków. Wieczorem 6. 6. chór „Hejnał-Echo" był podejmowany przez bratni chór „Piast". W dniu następnym nasz chór zwiedził kopalnię zabytkową w Tarnowskich Górach, Piekary Śląskie, a pod wieczór chórzyści wysłuchali koncertu pianisty Janusza Olejniczaka w zameczku w Rybnej.

■ MK PZKO we Frysztacie zrealizowało 13. 6. w ogrodzie koło Domu PZKO ognisko połączone z programem i smażeniem jajecznicy.

■ MK PZKO Karwina-Kopalnie-Centrum zorganizowało 19. 6. w świetlicy przy ulicy „ACS" spotkanie z posłem do Zgromadzenia Federalnego CSRS Karolem Michalskim. Prelegent podzielił się wrażeniami z pobytu w ZSRR oraz aktualnościami z naszego regionu.

■ MK PZKO w Stonawie odbyło 21. 6. w Domu PZKO zebranie członkowskie połączone z prelekcją z przezroczami inż. G. Folwarcznego pn. „Cuda świata".

ORŁOWA

■ Koło PZKO w Dąbrowej zorganizowało 8. 6. w ogrodzie PZKO spotkanie przy ognisku z tradycyjnym smażeniem jajecznicy. 14. 6. zarząd tego Koła zrealizował również w ogrodzie PZKO festyn z programem kulturalnym.

■ Zarząd MK PZKO w Łazach urządził 7. 6. w ogrodzie obok salki PZKO ognisko z programem i smażeniem jajecznicy. Zespół Kobiet przy tym Kole odbył 8. 6. w salce PZKO tematyczne spotkanie.

■ Spotkanie Zespołu Kobiet przy MK PZKO w Orłowej-Mieście odbyło się 9. 6. w świetlicy Koła.

■ Koło PZKO Orłowa-Poręba urządziło 13. 6. w ogrodzie PZKO Festyn Ogrodowy połaczony z obchodami MDD '87 i smażeniem jajecznicy przy ognisku.

TRZYNIEC

■ Zarząd Koła PZKO w Trzyńcu-Osówkach urządził 20. 6. w lasku na Osówce festyn. Wystąpił zespół taneczny PZKO z Bystrzycy. Przygrywała orkiestra „Vocal".

■ 25-osobowy Zespół Kobiet przy MK PZKO w Wędryni pod kierownictwem Anny Bujok zorganizował majowy wieczór z poetką ludową Anielą Kubiec. Zespół ten urządził z okazji MDD oraz 40-lecia PZKO 13 i 14. 6. w „Czytelni" wystawę robót ręcznych pod hasłem „Dzieci — nasza radość".

■ Komitet Miejski PZKO w Trzyńcu zorganizował 24. 6. w Domu Kultury HT WSRP „Uroczystą Akademię" z okazji 40-lecia PZKO. Przemówienie okolicznościowe wygłosił wiceprzewodniczący Związku i prezes Komitetu Miejskiego PZKO inż. Roman Suchanek. Zaprezentowali się przedszkolacy z Trzyńca VI, chór dziecięcy DK „Razem" oraz zespoły PZKO trzynieckiego obwodu: zespoły taneczny i gimnastyczny z Wędryni, zespół taneczny z Oldrzychowic, zespół taneczny z Nieborów i nowy obwodowy chór mieszany PZKO, którego członkami są pezetkaowcy z Kół w Kanadzie, na Podlesiu i w Nieborach.



fot. DRAHOSLAV RAMÍK

MOZAIKA

TEMAT DLA EWY

PRZYSMAKI Z ŁĄK I PÓL

W pełni lata z naszych ogródków i działek możemy zbierać nie tylko wspaniałe jarzyny i owoce, ale również z łąk, lasów niektóre cenne przyprawy i poszukiwane ziółka.

Szczaw — łąkowy jest ostrzejszy i smaczniejszy od ogrodowego. Najlepiej zbierać go przed kwitnięciem, więc jeszcze w maju i czerwcu. Szczaw, pomimo swojej nazwy, z wszystkich roślin jadalnych zawierających kwas szczawiowy, takich jak np. rabarbar, szpinak, posiada tego kwasu najmniej. Najwięcej kwasu szczawiowego ma szpinak, dlatego należy go przyrządzać z dodatkiem mleka lub śmietany, które neutralizują działanie kwasu.

Pokrzywy — są jednym z niejadanych u nas smakołyków, które doskonale potrafi wykorzystać np. kuchnia francuska. Francuzi jadają np. jako sałatkę świeżo zerwane liście dmuchawca. A pokrzywy, przyrządzone tak jak szpinak, niewiele różnią się w smaku od niego. Są za to prawie pozbawione kwasu szczawiowego. Sok uzyskany przez odwirowanie młodych listków pokrzyw ma ogromne zalety lecznicze. Stosowany jest na anemię, niedokrwistość, uszkodzenia wątroby i inne choroby, np. reumatyczne.

Kwiatostany bzu czarnego — zerwane przegląda się i czyści (bez mycia). Potem przyrządza się ciasto — na 16 baldachów bierzemy: 4 jajka, 12,5 dkg cukru pudru, 17,5 dkg mąki półgrubej, paczkę cukru waniliowego, 1/8 l mleka i szczyptę soli. Trzymając baldachy za ogonek maczamy je w cieście, kładziemy na gorący tłuszcz (powinno go być dosyć dużo) i smażymy na złoty kolor. Podajemy takie „pączki" z cukrem i cynamonem.

Tymianek i macierzanka

Susz tymianku można kupić w sklepach zielarskich i spożywczych. Tymianek nie rośnie u nas dziko, za to dość powszechnie można spotkać na naszych łąkach i polach inny gatunek tej rośliny — macierzankę. Ma takie same właściwości jak tymianek, ale on jest od niej pod każdym względem silniejszy. Doskonały jest do pieczeni wołowej, do farszów mięcznych, pasztetów itp.

Oregano — bez tej przyprawy nie może się obyć żadna włoska pizza. Po polsku zwie się dość brzydko: lebiodka i jest pospolitym chwastem rosnącym na skrajach lasów, na skarpach i miedzach. Prawdę mówiąc, lebiodka to właściwie dziki majeranek. Poprawia nie tylko smak pizzy, ale także wszelkich potraw z pomidorów, wieprzowiny, dodając smaku również zupom z roślin strączkowych.

Lubczyk — jego polska nazwa, wskazująca na romantyczne pochodzenie i działanie — powstała ze zniekształcenia nazwy łacińskiej — Levisticum officinale. Charakterystyczne cechy tej rośliny — to aromat i smak Maggi. Pobudza on apetyt,

przyśpiesza przemianę materii, pomaga w leczeniu chorób wątroby, nerek, woreczka żółciowego. Działa także wybitnie uspokajająco i doskonale poprawia samopoczucie. W Anglii jada się lubczyk na surowo lub jego gotowane łodygi jak szparagi, a nasionami lubczyka posypuje się pieczywo, jak np. u nas kminkiem lub makiem.

Warto pamiętać o tych roślinach, które niekiedy zapomniane i nie uprawiane, wciąż wysiewają się na nowo i wdzięcznie rosną, uzupełniając i wzbogacając klasyczną gamę naszych przypraw.

KRZYŻÓWKA

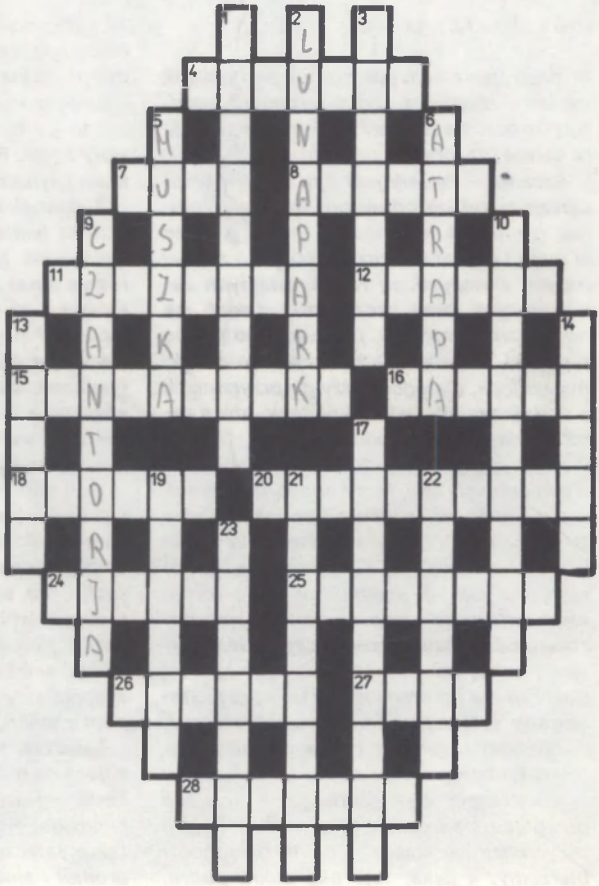
Znaczenie wyrazów:

POZIOMO:

- **4** dodatek do pensji w naturze
- **7** obecna rezydencja Mony Lizy
- **8** wstrzemięźliwy do granic
- **11** miara przypraw sypkich
- **12** przebrała się
- **15** sci-fi za czasów Verne'
- **16** 126 p
- **18** konanie
- **20** lornetka nocna
- **24** łódź Indian południowoamerykańskich
- **25** obuwie Indian północnoamerykańskich
- **26** kromka inauguracyjna
- **27** broń w znaczeniu podniosłym
- **28** towarzyszka w dalekiej podróży

PIONOWO:

- **1** cierpi na chorobę nerwową
- **2** wesołe miasteczko
- **3** tam siedzą, piją i lulki palą
- **5** dystyngowana kuzynka krawata
- **6** straszy jako imitacja w witrynie sklepu
- **9** sypialnia rycerzy w Beskidach

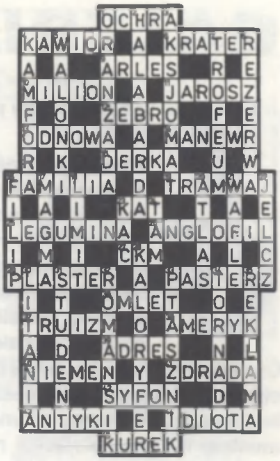


10 drobina chleba dla wróbelka
13 obóz jeniecki dla oficerów
14 psi symbol chudości
17 rośnie nad strumykiem płynącym z wolna
19 szyderstwo losu
21 mieszkaniec Armenii
22 publiczna prezentacja umiejętności artystycznych
23 eunuch

oprac. (m)

Wśród autorów prawidłowych rozwiązań nadesłanych pod adresem redakcji najpóźniej do 31 sierpnia br. rozlosowane zostaną trzy nagrody książkowe.

Obok prawidłowe rozwiązanie krzyżówki z numeru czerwcowego. Nagrody książkowe wylosowali: Anna Wrubel — Sucha Górna, Barbara Klimsza — Trzyniec VI, Małgorzata Hudec — Praga-Wysoczany



JAK JEST POPRAWNIE

CZYLI O REGULARNOŚCI

W takim oto zdaniu, informującym o tym, że *zebrania zarządu odbywają się prawidłowo co miesiąc*, wyraz *prawidłowo* pod wpływem czeskiego *pravidelně* użyty został . . . nieprawidłowo. Podobne sformułowania znajdujemy w wielu sprawozdaniach z naszej działalności. *Prawidłowo* oznacza ,,zgodnie z prawidłami", gdy tymczasem my chcemy tu podkreślić, że coś odbywa się zawsze co tydzień, co miesiąc, co dzień, co godzinę, czyli regularnie. Nasze zebrania więc *odbywają się regularnie co miesiąc.*



fot. TADEUSZ WRATNY

GALERIA SLA



WŁADYSŁAW PASZ: Jesień w Łomnej Dolnej, olej 1980 (4. str. okładki)

Władysław Pasz jest jednym z najstarszych członków SLA. Jego „Jesień w Łomnej Dolnej" to przykład dość tradycyjnego podejmowania pejzażu. Autor ustawia się wobec niego w roli pokornego odtwórcy, wiernie przenoszącego na płótno obraz widzianego kawałka świata. Władysław Pasz w swoim pejzażu przede wszystkim poszukuje koloru. Kompozycja ani rysunek nie stanowią tu ważnego problemu. Jak się zdaje, ulubioną tonacją malarza są wszelkie błękity, tutaj w niewielkim stopniu złamane żółcią, przechodzące gdzieniegdzie w zielenie, uzupełnione różnymi odcieniami brązu. Ów koloryt, sposób oświetlenia obrazu promieniami słonecznymi wychodzącymi zza chmur nad centralnie umieszczonym niebieskim szczytem, określają stosunek autora do krajobrazu. Jest to na pewno stosunek bardzo uczuciowy, zabarwiony nostalgią, sentymentem nie pozwalającym na żadne stylizacje czy deformacje. Poetyka tego malarstwa jest trochę naiwna, ale prosta i szczera — sprowadza się właśnie do uchwycenia koloru pejzażu w jakimś momencie dnia i pory roku i utrwalenia za jego pośrednictwem nastroju krainy. Owa uczuciowość i szacunek dla przedstawianej rzeczywistości stanowią o wartości obrazu. Jest to jeden z tych obrazów, które nie zrobią, co prawda, wyłomu w dziejach sztuki, ale muszą powstawać jako świadectwo któregoś z etapów jej rozwoju. Muszą powstawać także po to, aby na ich tle tym wyraźniej odbijały się wszelkie artystyczne rewolucje.

A.M.R.

ZIELNIK

KRWAWNIK POSPOLITY

Nazwa łacińska — Achillea millefolium (*Achillea* pochodzi od imienia ucznia lekarza Chirona, Achillesa, który podobno pierwszy zwrócił uwagę na właściwości lecznicze krwawnika. *Millefolium* zaś jest złożone ze słów łacińskich *mille* — tysiąc i *foloum* — liść).

Nazwy ludowe: *krwawnik, stolist, tysiąclist, renisz.*

Nie wiadomo, czy *stratiotes* — roślina Dioskuridesa i *myriophylon*, jak nazywa ją Pliniusz, jest krwawnikiem pospolitym.

Według wierzeń ludu krwawnik kwitnący biało jest dobry do leczenia kobiet, jasnoróżowy dla mężczyzn. Przetrwało też podanie o powstaniu białych kwiatów i pierzastych liści krwawnika: *Będąc jeszcze dzieckiem, siedział Jezus na progu domu rodzinnego i pił mleko. Nagle przybiegł jakiś chłopiec i uderzył prętem w naczynie z mlekiem. Naczynie spadło, mleko się wylało, a chłopiec ze śmiechem uciekł. Zdumiał się, kiedy zobaczył, że na pręcie wyrosły zielone listeczki i białe kwiatki. Pełen strachu i rozterki oberwał liście i po przyjściu do domu pokazał matce pręt, na którym wyrosły znowu liście. Na polecenie matki przeprosił Matkę Boską i dostał rozgrzeszenie. Żeby pamiętał na przyszłość, że nigdy nie wolno ubliżać dzieciom, musiał zasadzić pręt do ziemi. I z tego oto pręta wyrósł krwawnik.*

Według legendy francuskiej poranił się przy pracy opiekun Pana, św. Józef, i przyłożył sobie do rany krwawnik, który przyniósł mu mały Jezus. Przedtem roślina ta nie była znana.

Pierwsze drukowane wzmianki o krwawniku znajdujemy u botanika flamandzkiego Ausiusa w r. 1554. Wcześniej opisywał jego działanie lecznicze przy chorobie wrzodowej Dioskurides, a Hipokrates zalecał go przy żylakach odbytu.

Krwawnik jest rośliną pospolicie spotykaną na pastwiskach, przydrożach, suchych łąkach; niekiedy zarasta duże przestrzenie. Kwiaty mają barwę białą, z odcieniem różowym, są drobne, zebrane w kwiatostany na szczytach pędów; liście są długie, mocno wycinane. Roślina wydziela silny, charakterystyczny zapach.

Ziele krwawnika (kwitnące górne części pędów wraz z kwiatami) zbiera się w okresie rozkwitu (kwitnie od lipca do października), z roślin biało kwitnących, ścinając nożem w połowie wysokości. Surowiec suszy się w cieniu lub w miejscach ogrzewanych do temperatury 35 °C. Przechowuje się w workach, w suchym i przewiewnym miejscu.

Napary podawane doustnie tamują niewielkie krwawienia z przewodu pokarmowego. Pobudzają apetyt, gdy jego brak spowodowany jest osłabionym wydzielaniem soku żołądkowego. Przynoszą ulgę przy tego typu dolegliwościach, jak wzdęcia, odbijanie. Polecany jako lek „czyszczący krew", ułatwia usuwanie szkodliwych produktów przemiany materii, przeciwdziała powstawaniu kamieni nerkowych. Jego przeciwskurczowe działanie wykorzystane jest szczególnie przy stanach skurczowych dróg moczowych, przy przewlekłych, często powtarzających się zaparciach stolca, bólach jelita grubego. Zewnętrznie zimny wyciąg bardzo polecany jest przy stanach zapalnych skóry, na trudno gojące się rany (obkłady, kompresy, dodatek do kąpieli).

UWAGA! Krwawnik może działać toksycznie, jeśli jest używany w nadmiernych ilościach. Objawami zatrucia są bóle głowy i oszołomienie.



Napar. Łyżeczkę ziela zalać szklanką wrzącej wody, trzymać pod przykryciem 15 minut, a następnie odcedzić. Pić 2—3 razy dziennie po szklance naparu.

Napar z kwiatów z dodatkiem mięty. Łyżeczkę kwiatów krwawnika i łyżeczkę liści mięty zalać szklanką wrzątku, trzymać pod przykryciem 15 minut (nie dopuszczając do wrzenia), odcedzić. Pić 2—3 razy dziennie po szklance naparu.

Sok wyciśnięty z ziela pić kilka razy dziennie po 2 łyżeczki z wodą.

M.C.

PRZEPRASZAMY Czytelników Zwrotu za pomyłkę polegającą na zamianie zdjęć z 2. strony okładek numerów majowego i sierpniowego w związku z tym, że równocześnie drukowane są okładki czterech kolejnych numerów.

ZWROT
MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO - KULTURALNY
ROK XXXVIII ● NR 453 ● CENA 2,50 Kčs

8/87

[1] Uchwała XII Zjazdu PZKO
[2] Krok naprzód *PIOTR PRZECZEK*
[7] Nad społecznym kontekstem Świąt Gorolskich *WS*
[12] Dawni górale *ANTONI SZPYRC*
[14] Garść gorolskich wspomnień *KAROL SZLAUR*
[17] Nigdy nie zaginie ... *WŁADYSŁAW MŁYNEK*
[20] Wierchowe nuty '87 *ANDRZEJ NIEDOBA*
[24] PZKO w Strażnicy
[27] Forum Młodzieży PZKO *iza*
[29] Pod semaforem (Pezetkaowcy inaczej) *OTYLIA TOBOŁA*
[33] Lat przybyło, pasja pozostała *KAZIMIERZ SANTARIUS*
[37] Mainhattan (Nadreńska mozaika) *TADEUSZ WRATNY*
[41] Kazimierz Wojnar: Światłocienie
[46] Franciszek Nastulczyk: Otwieranie domu, Księga, Początek lata, Ogród, Raj, Kto
[50] Anetta Balajkowa (Tłumacze literatury polskiej) *WILHELM PRZECZEK*
[53] Pejzaż intymny Janiny Szotkowskiej i Cezarego Chmiela (Okiem recenzenta) *A.M.R.*
[57] Ligota i Podobora (Wędrówki nazewnicze) *WŁADYSŁAW MILERSKI*
[60] Trybuna czytelników
[65] To i owo
[66] Kronika
Mozaika:
[75] Temat dla Ewy
[76] Krzyżówka *(m)*
[77] Jak jest poprawnie
[78] Galeria SLA *A.M.R.*
Zielnik *M.C.*
[80] Spis treści

1. STRONA OKŁADKI — fot. OTTO SZLAUER

WYDAWCA:
POLSKI ZWIĄZEK KULTURALNO-OŚWIATOWY ZARZĄD GŁÓWNY W CZESKIM CIESZYNIE

ADRES REDAKCJI:
UL. J. BOŻKA 16
737 21 CZESKI CIESZYN
TEL. 569 83

ZESPÓŁ REDAKCYJNY:
KAZIMIERZ GAJDZICA
MARIA GRZEGORZ
URSZULA HUDECZEK
PIOTR PRZECZEK
(redaktor naczelny)

RADA REDAKCYJNA:
FRANCISZEK BAŁON
MARIA BIŁKO
WIESŁAWA BRANNA
BRONISŁAW FIRLA
TADEUSZ CHRZĄSZCZ
KAZIMIERZ JAWORSKI
STANISŁAW JEDZOK
WŁADYSŁAW ORSZULIK
RUDOLF POPIOŁEK

Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca. Drukarnia: Tisk, knižní výroba, n. p., Brno, zakład 3 — Cz. Cieszyn, ul. Rewolucyjna 1. Cena prenumeraty rocznej Kčs 30,—, półrocznej Kčs 15,—. Zgłoszenia prenumeraty w CSRS przyjmuje redakcja i administracja „Zwrotu", w PRL Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch", Warszawa, ul. Wronia 23. Zezwolenie na ulgową opłatę pocztową wydał Powiatowy Urząd Pocztowy w Karwinie 20. 8. 1963, 1268/63. Numer indeksu R 389, nakład 4250 egz.

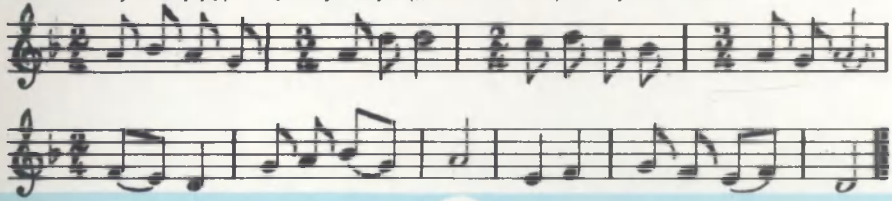
ilustracja JANINA SZOTKOWSKA

PIEŚNI GÓRALSKIE

A SPOD TEGO JAWORA

Mosty koło Jabłonkowa

Brzmienie z Mostów jest melodycznie zgodne z wersjami zapisanymi w Suchowie (Lísa, 73) i z Kopanic (Černík ZMK 229) jak również z brzmieniem z Szarisza (!) w Slovenských spevech (SlSp D 1589). Nasze brzmienie odpowiada ich 3. i następnym zwrotkom. Nasze „spod jawora" odpowiada w cytowanych wersjach „zpod teho kameňa": jako 1. i 2. zwrotka występują motywy „keď sem išel / prez ten les" i „stúpil sem tam na kameň mramorový". Melodycznie zbliżone jest również brzmienie z Banátu (!) i cały szereg innych pieśni z tego okresu (Gemermalohont, Liptov, Zvolenská župa). Pieśń ma więc szersze słowackie zaplecze, melodię znajdujemy w całej północnej i środkowej Słowacji oraz w wąskim pasie wschodnich Moraw. Słowackie teksty rozwijają początkowy motyw („keď som išol") w innym kierunku.



1.
/ :A spod tego jawora: /
/ :wodziczka wypływo: /
2.
/ :Napij sie jij, ma młła: /
/ :Jeśliś sprawiedliwo: /
3.
/ :A jo jech sie jij napił: /
/ :Krasym jech nie stracił: /
4.
/ :A tyś sie jij napiła: /
/ :Krasym żeś straciła: /



Trzaskalik Franciszka
735 35 HORNÍ SUCHÁ 462

WŁADYSŁAW PASZ: Jesień w Łomnej Dolnej, olej 1980
(repr. ADAM SZOP)



ZWROT

9/87





Założona przed 22 laty Sekcja Folklorystyczna ZG PZKO jest jedną z najprężniejszych i najaktywniejszych. Na zdjęciu górnym członkowie Sekcji z prezesem dr. Danielem Kadłubcem na jednej z pierwszych wypraw folklorystycznych, w czasie których spenetrowali prawie że cały region od Mostów po Bogumin. Na zdjęciu poniżej jabłonkowski ,,Gorol" na tradycyjnych ,,Dniach Folkloru" w październiku 1984 w Jabłonkowie.



fot. ARCHIWUM ZG PZKO, CZESŁAW GÓRAL

ZJAZD SUKCESÓW I NADZIEI



Artykuł pod takim tytułem wprowadzał przed ośmiu laty w „Zwrocie" Uchwałę XIII Zjazdu PZKO, zjazdu, który odbył się 19 maja 1979 roku w Czeskim Cieszynie. Wysoką rangę tego wydarzenia podkreślił udział delegacji Komitetu Centralnego i Komitetu Okręgowego KPCz na czele z Miroslavem Mamulą, który bardzo wysoko ocenił wszechstronny dorobek Związku, wskazując równocześnie na istotne momenty w jego przyszłej działalności.

W okresie od XII Zjazdu PZKO — **czytamy w Uchwale zjazdowej** — nasz Związek odnotował szereg sukcesów, co stworzyło dla następnej kadencji dogodne warunki rozwoju pracy masowo-politycznej, oświatowej i kulturalno-wychowawczej. Pod kierunkiem Komunistycznej Partii Czechosłowacji osiągnięto dobre wyniki w wychowaniu socjalistycznym członków PZKO. Marksizm-leninizm, patriotyzm socjalistyczny oraz internacjonalizm proletariacki stały się przeważającymi momentami ich światopoglądu, podstawą myślenia i działania.

W życiu naszego społeczeństwa powstały nowe, wyższe wartości, nowe potrzeby i zainteresowania, odpowiadające współczesnemu etapowi socjalistycznego stylu życia. Tym właśnie nowym potrzebom PZKO podporządkuje w okresie po swym XIII Zjeździe wszelką działalność związkową. Jej głównym celem będzie podnoszenie na jakościowo wyższy poziom oddziaływania wychowawczego i to we wszystkich formach działalności twórczej, odtwórczej i organizatorskiej.

Po XIII Zjeździe PZKO Związek będzie nadal kierować się zadaniami wypływającymi dla niego z dokumentów partyjnych, przede wszystkim z uchwał XV i XVI Zjazdu KPC, wytycznymi Frontu Narodowego jak również wskazaniami organów nadrzędnych, dotyczącymi głównych kierunków pracy kulturalno-wychowawczej na najbliższą przyszłość.

To spotkanie robocze najwyższego gremium PZKO było znaczącym wydarzeniem nie tylko dla rzeszy członków Związku, lecz całego polskiego społeczeństwa. Okres, który zamknął XIII Zjazd PZKO, był czasem sukcesów i nadziei, nadziei na pomnożenie dorobku Związku. Należy sobie życzyć, by pełna twórczego entuzjazmu atmosfera, która otaczała tamten Zjazd, udzieliła się również organizatorom i delegatom październikowego związkowego szczytu, XV Zjazdu PZKO.

OŚWIATA NA MIARĘ CZASU

Zapraszanie ponownie tego samego grona osób, które przed czterema laty, po XIV Zjeździe PZKO, wytyczały plany i perspektywy działania w najważniejszych dziedzinach działalności związkowej, stało się regułą cyklu dyskusji na najbliższe miesiące, dzielące nas od kolejnego, XV Zjazdu PZKO. Dziś rozliczamy z realizacji uchwał tamtego Zjazdu Tadeusza Chrząszcza, przewodniczącego Sekcji Wydawniczo-Propagandowej ZG PZKO, i Eugeniusza Hyrnika, członka Prezydium ZG PZKO, przewodniczącego Komisji ds. Oświaty i Propagandy.

ZWROT: Pod koniec roku 1983 wasze głosy, osób najbardziej kompetentnych w sprawie oświaty związkowej, włączyły się w ogólny chór narzekań nad jej stanem. Przypomnę jeszcze, że na zakończenie dyskusji Eugeniusz Hyrnik powiedział: „musimy robić wszystko, by za kilka lat nie powielać starych uchwał, by były widoczne efekty". Czy efekty tych działań są dzisiaj, po czterech prawie latach, widoczne?

TADEUSZ CHRZĄSZCZ: Pocieszające jest to, że nie ma jakiegoś radykalnego spadku w liczbach prelekcji, czy to organizowanych przez Zarząd Główny, czy też samorzutnie przez poszczególne Koła PZKO. Pewne zachwiania w porównaniu z poprzednimi latami zawsze będą, na to mają wpływ różne sprawy, wydarzenia związkowe, ogólnokrajowe, międzynarodowe, kiedy zainteresowanie terenu tym czy innym tematem rośnie albo na odwrót jesteśmy świadkami jakiegoś zastoju.

EUGENIUSZ HYRNIK: Powracając do kwestii narzekań to wydaje mi się, że człowiek narzeka zawsze wtedy, kiedy może być lepiej, czyli widzimy, że mamy duże rezerwy i że rzeczywiście mogłoby być lepiej. Stale musimy robić coś, żeby się posuwać do przodu. Do działaczy z Kół często nie docierają niektóre postulaty, uchwały. Nie wiadomo, czy to ich wina, czy też wprost pracowników ZG, którzy może nie w pełni i nie całkiem konsekwentnie starają się realizować uchwały zjazdowe. Tu są nasze największe braki. W każdym razie nie jest tak źle, ale może być lepiej. To znowu ta sama przyczyna, że będzie trzeba ponownie w uchwale zjazdowej podkreślić potrzebę mobilizacji w pracy oświatowej.

CHRZĄSZCZ: Nie wiem, czy samo pod-

kreślanie tego w uchwale, akcentowanie, będzie skuteczne. Tu chodzi o taką sprawę, jak propaganda osobista. Według mego zdania te liczby, przeciętne, świadczą o tym, że niewiele, a może nic, nie zmieniło się w kwestii białych plam na mapie naszego terenu, czyli Kół, które tego rodzaju działalności wcale nie uprawiają. Świadczy to o tym, że do działaczy niektórych zarządów w ogóle nie dotarły nasze wypowiedzi na łamach „Zwrotu" sprzed czterech lat, że się tym nie zainteresowali, nie zastanowili, nie ustosunkowali się do tego krytycznie. To uparte trwanie w stereotypie jest charakterystyczne nie tylko dla działalności oświatowej, ale i w sferze organizowania imprez PZKO-wskich. A powtarzamy od kilkunastu lat, że stereotyp nam ubliża, szkodzi . . .

HYRNIK: Nie mamy właściwie rozeznania statystycznego o ile chodzi o działalność oświatową w poszczególnych grupach, jak Kluby Młodych, Zespoły Kobiet, więc trudno tu coś na ten temat powiedzieć. Wiem np. z doświadczenia, że ta działalność, gdyby statystyka była dogłębna, tam istnieje, tylko że myśmy nie zdążyli jej jeszcze podchwycić.

CHRZĄSZCZ: Nas jednak zarówno dziś, jak i przed czterema laty, interesuje ta klasyczna działalność oświatowa, a więc przede wszystkim prelekcje. Oświaty właściwie można doszukiwać się wszędzie, a gdyby to ująć statystycznie, to by to wybrzmiało zanadto optymistycznie, byłaby to pseudoprawda. Działalność oświatową można zauważyć przy wernisażach wystaw, bo się wprowadza autora, mówi o charakterze jego twórczości, to jest oświata uczenia ludzi patrzenia na piękno, na obraz lub jakiś twór plastyczny. Każde przedstawienie teatralne zawiera w sobie jakiś ładunek oświatowy. Chodzi o to, że nie zauważamy poprawy w tej klasycznej formie działalności oświatowej, czyli powtarzam, są Koła, które kontynuują ją z większym czy mniejszym powodzeniem, a z drugiej strony trwają uparcie Koła, których zadowala to, że oświatą nie trzeba się interesować. Mają na to tysiące argumentów: a to telewizja, to prasa, radio, książka itp. To wszystko są do pewnego stopnia argumenty uzasadnione, ale czy to aby wystarczy? Spotykamy się potem na różnych zebraniach i stwierdzamy, że ludzie są niezorientowani w kwestiach prawnych, światopoglądowych, narodowościowych, nie mówiąc już o politycznych i międzynarodowych. To pole jest jeszcze ciągle mało uprawiane, nie chcę tu twierdzić, że leży odłogiem. Moim zdaniem niekorzystny jest mały krytycyzm ze strony czołowych działaczy ZG przy różnego rodzaju okazjach, czy to ogólnozwiązkowych, czy terenowych. Częściej słychać pochwały, superlatywy, uznanie, a powinna tam zabrzmieć zawsze i nutka obiektywnych ocen, krytycznej oceny. To nie powód, żeby się gniewać. Cześć wam, żeście wybudowali Dom PZKO, ale przed wami zadanie najważniejsze, żeby ten dom wypełnić działalnością na co dzień, m. in. oświatową. Druga sprawa to niewykorzystywanie niektórych okazji pobytu wartościowych ludzi na naszym terenie. Przyjeżdżają literaci, czy to z Polski, czy czechosłowaccy, różne inne osobistości, które spotykają się tylko z wąskim gronem zainteresowanych. To należałoby organizować z odpowiednim wyprzedzeniem, odpowiednio spropagować, może nawet na forum Komitetów Miejskich, włączając w to również Koła. A mogłyby to być bardzo ciekawe rozmowy. Obecnie na świecie dzieje się tyle interesujących rzeczy, w Polsce, Związku Radzieckim. U nas tak samo zaczną się dziać bardzo istotne sprawy w sferze gospodarczej i politycznej, prasa jest pełna komentarzy i dociekań nt. przebudowy, przyspieszenia, nowego sposobu myślenia — to wszystko są tematy, których nie można pominąć milczeniem.

ZWROT: Ale czy mamy do tego przygotowanych fachowców — prelegentów, którzy by potrafili te wszystkie skomplikowane sprawy przedstawić członkom Związku?

CHRZĄSZCZ: Jest tu jeszcze inna kwestia, czy na to wystarcza pracownik aparatu ZG PZKO, czy nie należałoby uruchomić na

pomoc społecznego aktywu? My opieramy się stale o naszych tradycyjnych, zacnych prelegentów. A tu trzeba wykorzystać okazję do spotkania z prelegentem, który może przedstawić 1—2 prelekcje, ale interesujące i fachowo podane.

HYRNIK: Często z niektórymi sprawami przychodzimy po fakcie. Brakuje nam wyprzedzenia. Nie wiem, czy w tej chwili znalazłby się jakiś człowiek na terenie Związku, który potrafiłby mówić o sprawach przebudowy gospodarczej, tych najbardziej aktualnych. Kiedy to wszystko nabiera rozpędu, to my się dopiero orientujemy, że trzeba z tym iść do Kół. I to już jest za późno.

ZWROT: Wracając do liczb ze statystyki działalności oświatowej, o której przed czterema laty Tadeusz Chrząszcz twierdził, że jest zanadto różowa, to jednak nie są one tak ubogie, by nastrajać nas pesymistycznie. Czy w związku z tym, że nas stale ubywa, w związku z komercjalizacją życia, spadkiem zainteresowania ludzi działalnością społeczną, oświatową, wygodnictwem — fakt, że liczby te nie maleją, utrzymując się stale na mniej więcej jednakowym poziomie, nie oznacza, żeśmy już sięgnęli do rezerw, żeśmy jednak poszli do przodu?

HYRNIK: Jeśli statystyka mówi, że średnio w każdym Kole odbywają się co roku cztery prelekcje, że średnio spotyka się na każdej z nich ponad 40 słuchaczy, to są to liczby pozytywne. Załóżmy, że Koło oprócz prelekcji organizuje szereg innych akcji, a poza tym ludzie mają różne sprawy osobiste i zawodowe, i że prelekcje te odbywają się od października do kwietnia, bo lato to raczej posucha w tego rodzaju działalności, oznacza to, że w ciągu pół roku czystego czasu prelekcje odbywają się co sześć tygodni i to jest dobra przeciętna. Musimy szukać pewnych nowych form. Młodzież nam dzisiaj otwarcie przyzna, że na prelekcje nie lubi chodzić.

CHRZĄSZCZ: Spotkałem się kiedyś w prasie z krytycznymi uwagami na temat dyskotek, z których po czasie zniknęła działalność oświatowa. Wymaga to oczywiście przygotowania dyskdżokeja, doskonałej znajomości teorii nowoczesnej muzyki.

HYRNIK: My mamy przecież doskonałych dyskdżokejów, np. Janka Młynka. Na taką dyskotekę przychodzi nie tylko młodzież, ale nawet ludzie poważni, starsi, bo lubią tego słuchać i można się czegoś ciekawego dowiedzieć.

ZWROT: Czy nie można by do młodzieży dotrzeć np. za pomocą komputera albo techniki wideo, wprzągając je w naszą działalność oświatową?

HYRNIK: To są za kosztowne sprawy. Na to, niestety, nie ma na razie środków. My, jak już mówiłem, jesteśmy zawsze trochę spóźnieni.

CHRZĄSZCZ:Zasadniczo powinniśmy się tutaj trzymać tej klasycznej oświaty — prelekcji, ale jeśli chodzi o oświatę szeroko pojmowaną, to dotąd nie wykorzystujemy również innych rzeczy. Kiedy np. Chór Nauczycieli Polskich występuje z koncertami wychowawczymi, to są one poprzedzone słowem wstępu. Ale organizując normalne koncerty, np. z okazji jubileuszów itp., przeplatamy muzykę poezją, ale czasem brakuje choćby maleńkiej wzmianki o autorze. Tak samo nie wykorzystujemy w naszej prasie rocznic ludzi związanych z kulturą — ta forma oświaty jest również bardzo ważna. W terenie warto by mobilizować również do tych spraw.

ZWROT: Wiem, że Zarząd Główny przygotowuje i wysyła do Kół opracowania nt. wybitnych osobistości, których rocznice obchodzone są w danym roku. Ale czy Koła te materiały wykorzystują?

HYRNIK: Należałoby sprawdzić, czy to się w ogóle kalkuluje, czy warta skórka za wyprawę, bo to również kosztuje.

CHRZĄSZCZ: Należałoby się zastanowić, czy zamiast 94 razy nie powielać tego tylko 30 razy i wysyłać informację do Kół, że można te materiały zamówić. Wtedy mielibyśmy gwarancję potrzebności tego interesu. Ta propozycja była już zresztą wysunięta

w Sekcji Propagandy, nie wiem, czy się przyjęła.

HYRNIK: Wracając jeszcze do spraw finansowych związanych z oświatą, np. zakupienia nowoczesnej techniki, powiedzmy wideo, to wszystko kształtuje się w setkach tysięcy koron i na to nas nie stać. A jak znajdą się środki na kupienie takiego sprzętu, to znów będzie już stary i nieaktualny, będą na pewno rzeczy nowe. Tu, niestety, nie mamy szans.

CHRZĄSZCZ: Mówiąc krótko, trzeba robić, co naszych siłach, żeby wszystko „siedziało". Chodziło by tu przede wszystkim o nowe inicjatywy i propozycje. Odbywają się przecież zebrania prezesów, członków Plenum ZG, i martwi, że np. ostatnie sprawozdanie z działalności związkowej przyjęte zostało bez słowa dyskusji. Członków plenum nie interesują efekty ich działalności! Na takich spotkaniach można by na wstępie podać jakiś temat do rozważań, np. czy niektórych spraw nie organizować centralnie, poprzez Komitety Miejskie czy Obwodowe. Okazuje się, że można zrobić taką imprezę z ciekawymi ludźmi właśnie w szerszym gronie. Ale u nas wszystko zaczyna się i kończy na niedostatecznym wykorzystaniu propagandy. Dalszym problemem, na który warto zwrócić uwagę, jest to, że my z reguły organizujemy prelekcje zgodnie z postulatami członków. Obowiązkiem Zarządu Głównego jest organizować prelekcje na tematy, które może nie spotkają się akurat ze spontanicznym zainteresowaniem terenu. Powiem otwarcie, że są to sprawy światopoglądowe, np. religioznawstwo, oczywiście nie w sensie indoktrynacji. Tego typu sprawy można by organizować centralnie. To samo dotyczy problemów narodowościowych, które najczęściej ograniczamy do sprawy dwujęzyczności. Mamy prawo korzystać z naszego języka, więc za wszelką cenę będziemy mówić ze sprzedawczynią, która nie rozumie w ząb po polsku, bo przyprowadziła się z Pilzna, po polsku. Uparcie stosujemy nasze uprawnienia — a przy tym mówimy o dwujęzyczności. Z drugiej strony sami stosujemy źle tę dwujęzyczność, bo w „Wiadomościach Karwińskich" piszemy o sprawach PZKO-wskich w kolumnie przeznaczonej dla czytelników polskich. Według mnie to powinno być pisane po czesku, niech społeczeństwo karwińskie dowie się o nas, podziwiali nas zresztą teraz na Festiwalu. My nie doceniamy należycie propagandy. Jeszcze ciągle plakatujemy, rozsyłamy ulotki, i na tym się to kończy. Cała oświata jest propagandą, w założeniach statutowych Związku jest zadanie kształtowania osobowości człowieka.

HYRNIK: Postulowałbym tu, i uważam, że jest to jak najbardziej potrzebne, odejście od pewnych stereotypów. Proszę zauważyć jedną rzecz, że my bez integracji tego naszego społeczeństwa PZKO-wskiego i w ogóle społeczeństwa na naszym terenie nie zrobimy kroku do przodu. Nasz sąsiad nie jest członkiem PZKO, jest narodowości czeskiej, ale mówi tym samym językiem, co my. I dlaczego jemu nie wolno przychodzić na nasze prelekcje, dlatego, że nie jest członkiem Koła i rejonowy do niego nie dociera? Niech on przyjdzie, przecież przez tę integrację zlikwidujemy problem szowinizmu czy nacjonalizmu. Nasze Koła są najczęściej w gminach wiodącymi organizacjami, tak jest prawie wszędzie, niechże one są naprawdę wiodące w sprawach kultury i oświaty. Na wszystkie imprezy Koła, na festyny, bale, dożynki przychodzą wszyscy mieszkańcy gminy, niechże przychodzą i na imprezy oświatowe. W naszym Kole się to jak najbardziej udaje i przynosi swoje efekty. To mobilizuje, pomagają nam nawet niezłonkowie Koła. To jest jeden z możliwych momentów ruszenia trochę do przodu.

ZWROT: Pan widzi więc przyszłość w integracji społeczeństwa, w tym, żeby docierać do wszystkich obywateli. Czy w tej otwartości kryje się jakieś wyjście również zdaniem mojego drugiego rozmówcy?

CHRZĄSZCZ: Jak będzie to interesujące ... Może trochę idealizuję, ale podstawowym warunkiem powodzenia jest tu interesujący

prelegent, człowiek, może rzeczywiście przyciągnie to również inne grupy społeczeństwa. W wielu wypadkach będziemy musieli sięgnąć po ekonomistę, dyrektora, fachowca, który będzie referować nawet po czesku. Nasi członkowie używają na co dzień czeskiej terminologii, nasz prelegent będzie się więc męczył, referując po polsku, a i tak nie będzie to poprawne. To nie znaczy, że chcemy zlikwidować naszych prelegentów, ale jeżeli będzie to ciekawa persona, to dlaczego nie mielibyśmy jej zaprosić.

ZWROT: Postulujecie tu szerokie wyjście poza nasze, zasklepiające się w sobie, środowisko jako antidotum na skostnienie?

HYRNIK: Mam wrażenie, żeśmy rzeczywiście w ostatnim okresie starali się zasklepić — bo ktoś jest członkiem PZKO, więc ma do tego prawo, a nieczłonek nie, to już nie nasz człowiek. Uważam, że to jest złe i nieprawidłowe. Bardzo mi się podobają stosunki np. w naszym Klubie Młodych. Tam tańczą dzieci, których rodzice są narodowości czeskiej, oni sami są Czechami, a przy tym chcą zostać członkami PZKO i według nowego statutu mogą nimi zostać.

CHRZĄSZCZ: Jeżeli w ten sposób do tego podchodzić, to koniecznie należy podkreślać aspekty narodowe. W oświecie, a to jest problem bardzo pilny, brakuje tego podkreślania naszej odrębności narodowej. A to mógłby być w jeszcze większym stopniu jeden z czynników hamujących asymilację.

HYRNIK: Mówiąc o oświacie widzimy tylko jedną sprawę — prelekcje. Ale ta oświata to olbrzymia i złożona skala możliwości. W wielu dziedzinach wiele się już zrobiło, o ile chodzi o pchanie do przodu pewnych spraw. Gdzie indziej też trzeba nam szukać nowych, ciekawych i pociągających form. Zbliża się koniec XX stulecia, mówimy o przebudowie, przyśpieszeniu, a to chyba też się z nami wiąże, żeby nie chodzić starymi, wydeptanymi ścieżkami.

CHRZĄSZCZ: My umieramy na brak propagandy. Padło tu już szereg propozycji, należy je podchwycić i wykorzystać. Ciągle jeszcze żyjemy mitami. Często wystarcza nam to, co mamy. To już dzisiaj truizm, ale jakże często słyszymy takie zdanie: „Znajdźcie w Europie taki powiat, gdzie jest tyle zespołów, taka aktywność" itd. I to jest usprawiedliwienie na to, że jesteśmy najlepsi. A że to błyskotliwe, co dotyczy naszego Związku, organizują tylko niektóre Koła, niektórzy ludzie, o tym nie mówimy. Brakuje nam analitycznego podejścia do działalności. Chcemy to robić na łamach „Zwrotu" w roku przyszłym. Może nie wszystkim będzie się to podobało, ale trzeba przedstawić sytuację taką, jaką ona jest, obiektywną, że niektóre Koła słabną liczebnie, że wkrótce niektóre z nich znikną z mapy, bo zniknie miejscowość. Ale poza tym jest szereg Kół mocnych liczebnie, a nie potrafią konkurować z Kołem średnim. Nowe myślenie, a to tylko taki frazes, bo powinno tu obowiązywać dobre, racjonalne myślenie, adekwatne do potrzeb czasu, oznacza nowe podejście również do kwestii kadrowych. Często widzimy, że ktoś bardzo zasłużony i zacny na obecnym etapie nie wystarcza, nie nadąża.

HYRNIK: W sumie, posługując się tytułem poprzedniej dyskusji, można by powiedzieć: zielone światło nie tylko dla oświaty, ale zielone światło dla nowych myśli.

CHRZĄSZCZ: To się nawzajem ze sobą wiąże. Tu trzeba eksperymentować, ryzykować, nie można przejmować się niepowodzeniami.

ZWROT: Czyli zielone światło dla odwagi, dla nowych pomysłów i inicjatyw, zarówno na skalę Kół i komitetów, jak ogólnozwiązkową. Byle tylko nie zabrakło pomysłodawców i realizatorów.

MARIA GRZEGORZ

POLONIJNE SPOTKANIA

Proscenium długości 80 metrów, scena z tronem króla, patrzącego na otaczający go tłum z wysokości trzeciego piętra, ponad czterysta osób, biorących udział w widowisku plenerowym „Król Kazimierz Wielki" — tak w skrócie przedstawiało się uroczyste otwarcie VI Polonijnych Igrzysk Sportowych na Krakowskim Rynku. Była sobota 25 lipca, dzień, w których już przed oficjalnym zagajeniem ruszył turniej piłkarski, a tym samym i zwycięski marsz naszej reprezentacji po kolejny złoty medal igrzysk. O sukcesach naszych zawodników napisano już jednak dużo w „Głosie Ludu" czy innych pismach. Korzystając z tego, że byłem tym razem nie uczestnikiem, lecz gościem honorowym PIS, postanowiłem dowiedzieć się czegoś więcej o Polonii w ogóle, o tym, jak żyją nasi rodacy w świecie. Spotkać się z nimi i porozmawiać.

Pierwszą ciekawą okazję miałem od razu dzięki pomysłowemu zakwaterowaniu, zazwyczaj bowiem mieszkali razem w pokojach hotelu Cracovia goście z różnych krajów. Ja spotkałem się w ten sposób z przedstawicielem organizacji polonijnej z ... Bułgarii. Tak, już i tu powstał związek, noszący zresztą nazwę prawie identyczną z naszym — Polskie Stowarzyszenie Kulturalno-Oświatowe im. Władysława Warneńczyka. Powstał — jak poinformował mnie jego były prezes, obecnie wiceprzewodniczący, Ryszard Michalik — przed trzema laty. Okazało się, że mieszka w Bułgarii około 600 Polaków, a raczej Polek, bo to one najczęściej wchodzą w związki małżeńskie z ciemnowłosymi południowcami. Przy takiej liczbie potencjalnych członków związku nie ma mowy oczywiście o podobnym do naszego działaniu, niemniej jednak starają się organizować spotkania, utrzymywać kontakt z Polską, a zdaniem pana Michalika atrakcyjna byłaby dla nich również współpraca z nami, na przykład w formie wymiany wczasów. Dla nas to oferta tym bardziej ciekawa, warto więc o niej pomyśleć.

Chyba po raz pierwszy tak licznie reprezentowane były na imprezie polonijnej właśnie środowiska rodaków z krajów socjalistycznych. Nasi zawodnicy czy przedstawiciele są już bywalcami, o Bułgarach (dla uproszczenia tak już się na igrzyskach przyjęło, że mówi się o Bułgarach, Niemcach czy Szwedach, a nie Polakach z Bułgarii itp.), a więc o Bułgarach już wspomniałem. Był jednak również po raz pierwszy przedstawiciel Polonii z Jugosławii, choć nie ma tam jak na razie żadnej organizacji, byli też Węgrzy z Polskiego Stowarzyszenia Kulturalnego im. Józefa Bema. Ich reprezentant Jerzy Kochanowski zdobył nawet na igrzyskach medal brązowy w rzucie młotem — chyba pierwszy dla tego kraju. Polacy działają na Węgrzech dłużej, mają już wyraźne osiągnięcia. Uwidoczniło się to w trakcie spotkania dziennikarzy polonijnych, podczas którego przedstawiciel pojawiającego się w Budapeszcie pi-

semka dla Polaków należał do najbardziej aktywnych propagatorów idei wymiany doświadczeń, współpracy gazet polonijnych, organizowania cyklicznych spotkań, proponując nawet, by jedno z pierwszych odbyło się właśnie na Węgrzech. Podczas dyskusji dziennikarzy potwierdziło się przy okazji moje przekonanie, iż w ostatnich latach narastało w całym tym złożonym systemie, jaki tworzy z jednej strony społeczność polska mieszkająca za granicą, z drugiej zaś Towarzystwo Łączności z Polonią Zagraniczną jakby nieporozumienie. Z przejawami tego zjawiska spotkać się mogliśmy przy wielu okazjach. Chodzi o to, że — w moim odczuciu, potwierdzonym przez wielu innych gości igrzysk — Polonia zagraniczna nabiera w oczach wielu działaczy w kraju jakiejś wyidealizowanej postaci ludzi rozkochanych w Polsce, gotowych wszystko ,,dla sprawy" poświęcić. Oczywiście, gdyby nie bardzo mocne powiązania emocjonalne z krajem przodków, zapewne ani igrzysk, ani innych imprez polonijnych by nie było. Dla ludzi, przyjeżdżających nieraz po wielu latach, a nawet po raz pierwszy, stosunek do ,,starej ojczyzny", jak nieraz Polskę nazywają, jest swego rodzaju luksusem intelektualnym, czymś, co pozwala im wyrwać się z przeciętności konkretnego życia w środowisku, które jest im w niejednym wypadku bliższe. Są na co dzień Belgami, Włochami czy Amerykanami, polskość jest dla wielu wyłącznie sentymentalnym wspomnieniem, do niczego nie zobowiązującym. Jest to widoczne przede wszystkim w najmłodszej, trzeciej czy nawet czwartej generacji dawnego wychodźstwa. Połączenie jednego z drugim jest nieraz bardzo trudne i właśnie w tym potrzebna jest Polonii pomoc. Bardzo mocno akcentował te problemy podczas licznych rozmów z przedstawicielami ,,Polonii" czy też z każdym z nas Jean Krawczyk, członek zarządu Polsko-Francuskiego Stowarzyszenia Współpracy Sportowej z Polską, czy też Irena Borg ze szwedzkiego Helsingborgu. Ich zdanie można skrótowo przedstawić w następujący sposób: nie potrzeba nam tu w Polsce luksusów, nie róbcie gigantycznych, kosztownych imprez, nie o komfort nam chodzi, potrzeba nam natomiast częstszych spotkań, by w ten sposób znajdować konkretną motywację dla naszej młodzieży.

Temat ten wypłynął najwyraźniej podczas spotkania konsultacyjnego przedstawicieli środowisk polonijnych z kierownictwem Towarzystwa ,,Polonia", gdzie omawiano wniosek urządzania w przyszłości wszystkich wielkich imprez w cyklu czteroletnim, a więc również igrzysk sportowych. Wniosek ten spotkał się z prawie jednoznaczną krytyką — w dyskusji wystąpili przedstawiciele Francji, Stanów Zjednoczonych, mówił prezes ZG PZKO St. Kondziołka, delegaci z RFN, Brazylii, Szwecji czy Peru. Wszyscy wskazywali na to, iż igrzyska są przede wszystkim motywacją do wzbogacania ruchu sportowego w ich środowisku, idea startu w Polsce przyciąga do klubów czy organizacji sportowych młodzież. Przedłużenie i tak już rozległego cyklu oznaczałoby wyraźne osłabienie tego rodzaju motywacji, a tym samym utratę jednej z najlepszych metod oddziaływania na młodą generację.

Zrozumieć współczesną sytuację Polonii zagranicznej można chyba najlepiej na przykładzie Brazylii. Miałem przyjemność rozmawiać z prezesem Rady Nadzorczej Towarzystwa Uniao Juventus z Kurytyby Edwardem Henrykiem Szewczakiem. On sam, jak zresztą prawie wszyscy Polacy w Brazylii, należy do trzeciego pokolenia emigracyjnego, do Ameryki Południowej wyjechał jego dziadek. Liczna grupa Polaków bardzo wcześnie zaczęła tworzyć wspólnotę, już pod koniec dziewiętnastego wieku tworząc ,,Unię". Obecny związek powstał poprzez połączenie jej z młodzieżową organizacją Juventus. Powstało w ten sposób towarzystwo, które, mimo prawie stuletniej historii, bliżej dało się poznać w Polsce dopiero w zeszłym roku, kiedy to jego prawie stuosobowy zespół występował na Światowym Festiwalu Zespołów Folklorystycznych w Rzeszowie. Wspólnie z panem Szewczakiem przyjechał do Krakowa również prezes towarzystwa Anisio Oleksy, korzystać jednak musiał z pomocy swego towarzysza podróży, nie zna bowiem języka polskiego. Tak jest w większości wypadków — powiedział mi pan Edward Szewczak — w Ameryce Południowej zwłaszcza w początkach osiedlania się tu

Polaków nie było prawie żadnego kontaktu z Europą, nie było możliwości nauczania w szkołach, rozpowszechniania książek. Dziś nasza młodzież prawie bez wyjątku nie zna już języka swoich przodków, nasze działanie ma więc inny cel — dążymy do tego, by stwarzać pozytywny obraz kraju, skąd wywodzi się ich ród, stworzyć jakieś więzy uczuciowe. By to osiągnąć, organizujemy działalność kulturalną — mamy zespoły ludowe dorosłych i dzieci, mamy drużynę piłki nożnej, urządzamy wyścigi kolarskie i inne zawody sportowe. Mamy też swoje specjalne uroczystości, np. Święto Wódki (no cóż, z tym właśnie napojem kojarzy się stary kraj do dziś ...) Wszystko po to, by pozyskać młodych do naszej organizacji. Nie możemy argumentować miłością do Ojczyzny, bo to do nich już nie dociera, oni przecież nieraz „z dziada pradziada" pochodzą z Brazylii. Ale za pośrednictwem dobrze zorganizowanej zabawy i kolektywu, w jakim się znajdą, wytwarzają sobie obraz o tej odległej Polsce. I jeszcze coś — organizowanie życia, wykorzystanie wolnego czasu jest dla nas podstawowym zadaniem. Szukamy nie tylko różnych form, ale i ludzi. Dlatego są w naszych klubach czy zespołach również Brazylijczycy, wywodzący się z innych narodów. Ich przyciąga nasza atrakcyjna działalność, dla nas korzyść w tym, że poszerzamy bazę członkowską Stowarzyszenia, a Polska zyskuje w ten sposób sympatyków wśród innych narodów.

Dla mnie słowa Brazylijczyka, doświadczonego organizatora życia polonijnego, były najlepszą wskazówką w rozważaniach nad obecnymi formami życia całej tej ogromnej

W ringo zwyciężyła w grze podwójnej mężczyzn para Leo Widenka — Andrzej Szymanik



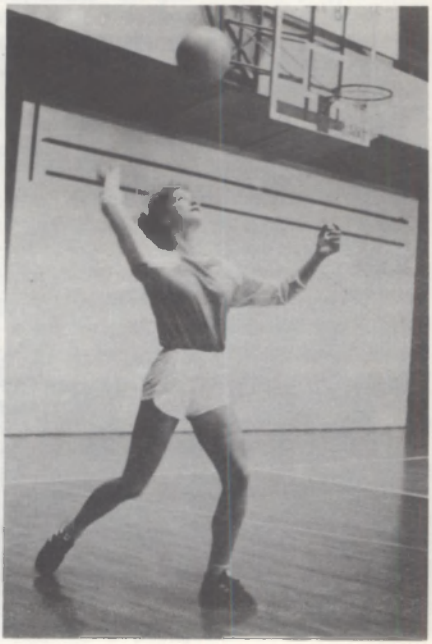
fot. PIOTR PRZECZEK

społeczności, obejmującej prawie cały świat, nad możliwościami jej współpracy, wymiany doświadczeń. Wydaje mi się, że pierwszoplanowym zadaniem wszystkich — organizacji w kraju i za granicą, powinno być dążenie do rozwijania działalności przeróżnych organizacji i stowarzyszeń, wtórnym zaś dopiero, choć w domyśle najważniejszym celem szerzenie dobrego imienia Polski w świecie, pomoc w jej rozwoju. Wskazywały na to również słowa Jerzego Zakrzewskiego z Peru. W prywatnej rozmowie dowiedziałem się, iż praktycznie małe są nadzieje na poszerzenie udziału Polaków z tego kraju w imprezach, organizowanych nad Wisłą, należą bowiem do biednych warstw ludności i nie stać ich na tego rodzaju wydatki. Tym bardziej jednak potrzebna jest im pomoc, która — jak wszędzie — w przyszłości może procentować, przede wszystkim pomoc metodyczna, m. in. wymiana doświadczeń. Przy okazji ciekawostka: Polonia peruwiańska, należąca również do najstarszych, bo tworzących się nawet pierwszą wojną światową, już od samych początków ściśle współdziałała z Czechami i Słowakami, zamieszkałymi w tym kraju, spotykają się razem w Domu Polskim, którego fundatorem jest zresztą właśnie Jerzy Zakrzewski.

Ciekawym przykładem skuteczności działania na rzecz szerzenia dobrego imienia Polski wśród obcokrajowców właśnie za pośrednictwem Polonii jest Willy Pływaczewski z Norwegii. W igrzyskach bierze udział już po raz piąty, za każdym razem wracając do ... ojczyzny z medalem (tym razem nawet z dwoma: srebrnym za rzut młotem i brązowym za pchnięcie kulą). Choć dziwnie to brzmi, jest Norwegia jego prawdziwą ojczyzną, a wprowadzające nas wszystkich w błąd polskie nazwisko przybrał po ojczymie. W dużej mierze dzięki igrzyskom stał się nie tylko organizatorem kilku imprez sportowych w Norwegii, ale też wiernym propagatorem Polski.

Ciekawe rozważania na powyższe tematy przedstawiła podczas konferencji naukowej — imprezy towarzyszącej igrzyskom — Anna Pawlak z Akademii Wychowania Fizycznego w Krakowie. W swoim referacie pt. „Rola Polonijnych Igrzysk Sportowych w kształtowaniu świadomości narodowej młodzieży polonijnej" — stwierdza, że młodzież polonijna „nie przeżywa już rozdwojenia emocjonalnego swoich przodków na skutek wpisanych do biografii dwóch pojęć — ojczyzny i ziemi rodzinnej". Podchodzi do kontaktów z krajem

Siatkarki nie zdobyły co prawda złotego medalu, nie miały natomiast konkurencji pod względem urody (na zdjęciu Barbara Szkandera)



bardziej realistycznie na zasadzie „coś za coś — nie tylko w sferze materialnej, co przede wszystkim kulturowej". Pod koniec pracy autorka zadaje sobie pytania: „Co więc dali nam uczestnicy igrzysk? Dowód zainteresowania Polską i poczucie z nią więzi. Co myśmy im dali? Możliwość wystąpienia na międzynarodowej arenie sportowej, utrzymanej w konwencji najlepszych tradycji sportu amatorskiego, możliwość sprawdzenia się i osiągnięcia sukcesu. Uzyskali potwierdzenie swojej wartości przez sport i identyfikacji samego siebie przez znalezienie swego miejsca w historii ludzkości jako potomków Polaków". O te niewątpliwie ważne konkluzje warto się oprzeć rozważając przyszłość igrzysk i imprez polonijnych w ogóle.

Podczas tej samej konferencji próby określenia funkcji sportu polonijnego dokonał zastępca Sekretarza Generalnego Towarzystwa POLONIA Jerzy Żołnierkiewicz. Podkreślił w swoim referacie następujące cechy: „po pierwsze — polonijne organizacje sportowe sprzyjają zespalaniu rodaków, którzy z przyczyn zawodowych, społecznych, kulturowych — działają w różnych środowiskach krajów swego osiedlenia. Wysoko należy ocenić integracyjną rolę sportu, niejednokrotnie bowiem na tej bazie uruchamiane są inne płaszczyzny aktywności, m. in. służące upowszechnianiu języka polskiego i kultury polskiej. Sport jest bezpośrednio związany z symbolami narodowymi. Jest przede wszystkim adresowany do młodzieży. Często poprzez tę formę aktywności rozpoczyna ona działalność w ramach organizacji polonijnych. W sytuacji, kiedy rosną pokolenia, które już nie mówią po polsku, sport może być dla nich płaszczyzną współpracy, na której będą się czuli swobodnie mimo nieznajomości języka polskiego."

Wnioski niewątpliwie słuszne, wskazują jednak na „krajowy" punkt widzenia. Z rozmów z działaczami wywnioskowałem bowiem, iż nie obawiają się raczej tego, że nie uda im się uskutecznić powyższych funkcji. Z doświadczenia wiedzą, że praca w środowisku polskim czy polonijnym kontakty z krajem przodków takie właśnie efekty przynoszą. Ważniejsze dla nich, a pomijane we wspomnianych rozważaniach, są doświadczenia z samej pracy organizatorskiej. Fakt, iż to czy inne towarzystwo działa w kraju będącym na wysokim szczeblu rozwoju, nie znaczy, by funkcjonowały tu struktury podobne do organizacji polonijnych, by w dodatku pracowały lepiej, by można było od nich



Willy Pływaczewski, Norweg, którego z Polską łączy sentyment oraz . . . przybrane nazwisko

fot. PIOTR PRZECZEK

czegoś się nauczyć. Chcą wiedzieć, jak to czy tamto zapewnić, jak pozyskać nowych ludzi, jak wiązać sport z oświatą itp. Dlatego wyjazd do Polski traktują często jako szansę poznania nie tylko kraju przodków, ale i bratnich organizacji polonijnych, metod ich pracy. Tymczasem organizatorzy w dobrej wierze, chcąc możliwie najlepiej wypełnić czas pobytu Polonusów, nie stwarzają zbyt wielu okazji do zżycia się i porozumienia, zapoznania z własnymi problemami. Może więc sedno nieporozumienia, uwidoczniającego się dopiero podczas rozmów prywatnych, polega na tym, iż w pojęciu organizatorów tych wspaniałych imprez przyjeżdżają ludzie po to, by spotkać się z Polską, gdy tymczasem dla wielu największą atrakcją jest spotkanie z rodakami z innych krajów. Nie trzeba być w tym względzie zazdrosnym, a raczej znajdywać w tej tendencji pozytywne zjawisko tworzenia się wielostronnego poczucia jedności polonijnej.

Niech nie będzie to potraktowane jako samochwalstwo, uważam jednak, że ruch sportowy, organizowany w PZKO, może być dla całego sportu polonijnego przykładem. Wprawdzie mamy lepsze w niejednym względzie warunki, przede wszystkim bliskość poszczególnych ośrodków, umożliwiającą systematyczność rozgrywek, prawie bezpośredni kontakt z Polską, możliwość wysyłania do Krakowa licznych ekip itp., z drugiej jednak strony (choć nadal można usłyszeć tego rodzaju zarzuty) nie mamy żadnych „polonijnych klubów sportowych" na podobieństwo niemieckich czy amery-

Najmilszą niespodziankę sprawiła zaledwie czternastoletnia Gabriela Böhm z Hawierzowa, zwyciężając w biegach na 400 i 800 metrów





Późniejszy zwycięzca turnieju szachowego, reprezentant PZKO Ernest Gibiec w walce z jednym z najgroźniejszych rywali, Edwinem Lessmanem z RFN

kańskich, nie korzystamy też z dozwolonego przez regulamin połowicznego uzupełniania drużyn przez nie-Polaków. Dzięki dobrej organizacji ruchu sportowo-turystycznego ponownie zdobyli nasi reprezentanci większość medali, w niejednej dyscyplinie zyskując wszystko, co było możliwe (kolarstwo, ringo, badminton). A jednak i my możemy się czegoś nauczyć, i nam jest współpraca potrzebna. Brak nam na przykład ścisłego powiązania sportu z działalnością kulturalno-oświatową, a więc tą, która na pewno w większym stopniu działa na świadomość człowieka. Podobnie jak Polacy w Brazylii powinniśmy dążyć do wykorzystania wszystkich form pracy do nadrzędnego celu, jakim jest wychowanie wzorowych obywateli swojego kraju, dumnych ze swego pochodzenia polskiego. Dlatego i nam potrzebne są igrzyska nie tylko jako zawody sportowe, lecz również okazja do spotkań, rozmów, wymiany doświadczeń. Może bez kosztownych hoteli, uroczystości towarzyszących, bez rozłożenia zawodów na wiele stadionów, co przynosi wzrost kosztów i dodatkowo obciąża organizatorów — za to z większą dążnością do tego, by całe grono Polonusów, zawodnicy, kibice czy goście honorowi spędzali czas razem, a co równie ważne — by zwłaszcza młodzi spotykali się ze swymi rówieśnikami z kraju. W ten sposób można pogłębić nie tylko poczucie więzi z Polską, ale też jedności z narodem, rozproszonym niemal po całym świecie.

PIOTR PRZECZEK

fot. PIOTR PRZECZEK

NOC POETÓW W KRAKOWIE

Najpierw był list Związku Literatów Polskich z Krakowa podpisany przez wiceprezesa Tadeusza Śliwiaka: „Szanowny Panie, z upoważnienia władz Krakowskiego Oddziału ZLP proszę o przyjęcie zaproszenia do udziału w NOCY POETÓW, która odbędzie się w sobotę, 27 czerwca 1987 r., o godz. 22.00 w Rynku Głównym, obok pomnika Adama Mickiewicza ...".

Uczestniczyłem w Nocy Poetów już w roku ubiegłym razem z Kazikiem Kaszperem. Wiedziałem więc, że jest to impreza ciekawa i że odbywa się ona w ramach DNI KRAKOWA. Wysłałem więc bez wahania depeszę, że przyjadę do Krakowa.

Atmosfera NOCY POETÓW jest niepowtarzalna. Ponad trzydziestka poetów z Kraju i zagranicy zebrała się w Krakowskiej „Kuźnicy", żeby organizatorzy mogli zorientować się dokładnie: kto z zaproszonych gości przyjechał, a kogo brak. Prowadzeniem nocnej imprezy zajął się redaktor Andrzej Urbańczyk.

Krakowski Rynek Główny, który o tej porze żyje zazwyczaj swoim własnym życiem i niełatwo go z niego wytrącić — stał się tej nocy jakiś inny, jakiś bardziej liryczny. Pomnik Adama Mickiewicza oświetlały przeraźliwe halogeny. U stóp pomnika zbudowano niepozorną trybunę, a obok na podium rozgościł się Marek Grechuta ze swoją Anawą. Technicy przenosili punktowce na przemian ze stopni dla recytujących poetów na mini-scenkę ze śpiewającym Grechutą. Nawet gołębie — ten nieodzowny element krakowskiego Rynku — które po godzinie 22.00 zazwyczaj siedzą pochowane we własnych kryjówkach i wnękach im tylko znanych, zrobiły tym razem wyjątek. Uczestniczyły w święcie poezji i piosenki poetyckiej masowo. Złośliwi twierdzili nawet, że jest ich więcej niż słuchaczy, ale czego to zazdrość nie wymyśli! W końcu jakiś zapalony miłośnik mowy wiązanej zdenerwował się i krzyknął w stronę kłębowika gołębi fraszkę Sztaudyngera: „Gołębiami brukowany Kraków — gówno ma z tych ptaków ...". Skrzydlaci sprzymierzeńcy poezji poobrażali się najwidoczniej ... I zaczęło się świętowanie poezji.

Z Czechosłowacji przyjechałem w tym roku tylko ja ... W zeszłym roku był z nami również brnieński poeta, tłumacz i prozaik — Ludvík Štěpán.

ECHO KRAKOWA (nr 120) anonsując NOC POETÓW pisało: „W krakowskim „Święcie Poezji" swój udział zapowiedzieli już twórcy z całej Polski i zagranicy. Z Warszawy Rena Marciniak, Krzysztof Bocz-

kowski, Tadeusz Chudy, Krzysztof Gąsiorowski i Aleksander Nawrocki. Poznań reprezentować będą Łucja Danielewska i Marek Obarski. Z Bydgoszczy przyjedzie Dariusz Lebioda. Natomiast z Czeskiego Cieszyna dotrze Wilhelm Przeczek. Swój udział w „Nocy Poetów" zapowiedział też Jan Rybowicz z Lisiej Góry. Z krakowskich poetów wystąpią m. in. Jan Bolesław Ożóg, Anna Kajtochowa, Tadeusz Śliwiak, Stanisław Franczak, Wit Jaworski, Andrzej Kaliszewski, Wojciech Kawiński, Bogusław Sławomir Kunda, Andrzej Warzecha, Józef Baran, Marek Sołtysik, Adam Ziemianin, Teresa Truszkowska i Jerzy Piątkowski ...".

Jak się później okazało, przyjechał jeszcze poeta z Berlina i kilku uczestników, którzy nie zgłaszali udziału.

Recytowano wiersze prawie dwie godziny. Na przemian z piosenkami Marka Grechuty, który jeszcze tej nocy musiał pojechać do Opola, żeby na Festiwalu Piosenki odebrać jakąś nagrodę. Dopiero hejnał z Wieży Mariackiej, ten ważny hejnał północy, który podobno budzi duchy, zrobił kropkę za tą piękną imprezą. Zostaliśmy jeszcze zaproszeni do pogadanki, która odbywała się na ulicy Kanoniczej, gdzie mieści się siedziba krakowskiego oddziału ZLP.

Na szczęście „poetów nocne rozmowy" nie trwały zbyt długo i mogłem sobie jeszcze pozwolić na nocną przechadzkę po Krakowie. Moim łaskawym przewodnikiem był znakomity poeta i wykładowca UJ — dr Bogusław Żurakowski.

I oto nagle, w świetle niedyskretnej latarni, wyłoniło się przed nami usychające drzewo. Widok był niesamowity. Ktoś obandażował ginące drzewo zwojami białymi jak sama śmierć. Od korzeni po rozczapierzone kikuty. Jak się dowiedziałem — to krakowscy członkowie stowarzyszenia ochrony przyrody próbują uczulić ojców miasta na ekologiczne zagrożenia. Na samym końcu poetyckich dywagacji był więc mocny akcent.

Boguś podprowadził mnie pod Hotel CRACOVIA, gdzie związek zamówił dla mnie nocleg. Była godzina trzecia nad ranem. Hotelowy „cerber" wpuścił mnie z miłym uśmiechem. No tak, musiał się chyba uśmiechać. Na KARCIE POBYTU w rubryce Cena, Price, Preis: widnieje liczba 9 500 + 200 Złotych Polskich. W dodatku śniadanie kosztuje tam 800,— złotych (bułka, masełko, herbata, szynka z puszki, sok cytrusowy i drożdżówka). Nie chciałbym, żeby te reminiscencje ze święta poezji zakończyły się takim przyziemnym akcentem, więc dodam, że poszedłem na drugi dzień do kina „Kijów", gdzie masowo oglądano film Polańskiego „Piraci", w którym nieźle sobie pograł niegdysiejszy mistrz olimpijski w miotaniu kulą, czyli Władysław Komar.

Wracałem na nasz skrawek pełny nowych wrażeń, ale jednak z mieszanymi uczuciami. W autobusie czytałem wkładkę literacką ECHA KRAKOWA, która została wydana specjalnie na NOC POETÓW i w której znalazłem też swój wiersz ODZWIERCIEDLENIA. Przytoczę go w całości, bo jak mi się wydaje, wyraża on to, co w Krakowie przeżyłem: Zwierciadło jest mi potrzebne / zwłaszcza w łazience / nie chcę zamydlić świtu / podczas golenia / Niekiedy lustro potrafi zburzyć cały pokój / płynącego czasu / Najgorzej kiedy się zacznie / wykrzywiać / Widzę odbicie gęby nieznanego / człowieka / Odruchowo spoglądam za siebie / zawiedziony, że nikt nie stoi / za mną / Zwierciadło jest mi potrzebne / Zwierciadło / najwidoczniej czarodziejskie / potrafi odbijać / moje stąpanie / uczucia / spojrzenia / uczynki / a nawet najtajniejsze przeczucia / W tym lustrze żaden żywy człowiek / nie poznaje siebie / na progu / przyspieszonego dnia.

WILHELM PRZECZEK

TRZY DNI W STRAŻNICY

Strażnica — nazwa tej miejscowości z pewnością wszystkim, którzy choć trochę interesują się folklorem i kulturą ludową, od razu kojarzy się z dorocznym festiwalem folklorystycznym, który już od ponad czterech dziesiątków lat odbywa się w tym niewielkim morawskim miasteczku. Tegoroczna 42. edycja strażnickiego festiwalu przebiegająca w dniach 26—28 czerwca okazała się znamienną dla naszych, pezetkaowskich zespołów — trzy z nich: „Błędowice", „Sibica" oraz „Górole" zaproszone zostały do wzięcia udziału w widowisku opartym na folklorze Śląska Cieszyńskiego pn. „Ej, koło Cieszyna". Oprócz nich w programie wystąpiły jeszcze inne zespoły działające w tym regionie — ZPiT „Hlubina" z Ostrawy, „Jaworowy" z Trzyńca wraz z dziecięcy zespołem „Mały Jaworowy", ZPiT „Mionši" z Łomnej Dolnej, „Slezan" z Czeskiego Cieszyna oraz orkiestra dęta Kopalni „A. Zápotocký" z Orłowej.

Do Strażnicy zabrałam się z błędowianami. Zespół wyruszył w liczbie 30 osób — z towarzyszeniem choreografa (Adam Palowski), kierownika zespołu (Tadeusz Farny, zarazem członek kapeli zespołu) oraz kierownika organizacyjnego (Lidia Pawlas) i kilku rezerwowych tancerzy.

Zbiórka do wyjazdu — w piątek (26. 6.) o 8.00 rano przed Domem PZKO w Błędowicach. Zapowiada się upalny dzień — jeden z pierwszych tego lata. Członkowie zespołu powoli się schodzą, chłopcy przymierzają górnicze czapki, dziewczęta dyskutują o nowych sukniach — stroje są pożyczone z szatni ZPiT „Górnik", trochę inne niż te, w których tańczyły dotychczas, przede wszystkim więcej ważą, a i buty są inne ... Przed ósmą wszyscy są już w komplecie. Kierownictwo dziwi się i zauważa dowcipnie — gdyby to była próba, zbieralibyśmy się jeszcze ponad godzinę. Może to lekka przesada, ale fakt, że u nas, zwłaszcza na imprezach PZKOwskich, z punktualnością raczej krucho ... W autobusie od razu robi się wspaniała atmosfera — grają skrzypki, harmonia, jest flet, basista zajął „pozycję strategiczną" na schodkach przy drzwiach. Wszyscy śpiewają — piosenki w większości ludowe, ale nie tylko. Ktoś stara się nawet odtworzyć melodie ze „Skrzypka na dachu", które będą nam potem towarzyszyć do końca festiwalu. Po drodze zwiedzamy jeszcze zameczek Buchlowice i arboretum — nie ma się gdzie śpieszyć, w tym dniu nie ma jeszcze występu, jedynie zakwaterowanie. I wreszcie — Straż-

nica. Zatrzymujemy się na ryneczku, by sprawdzić, co i jak dalej. Przed nami dotarli tu już sibiczanie, po jakimś czasie dołączają „Górole". Wszyscy otrzymujemy skierowanie do jakiejś szkoły na peryferiach miasteczka. Autobus błądzi jakiś czas wąskimi osiedlowymi uliczkami, zanim dotrze na miejsce. Wreszcie — nasza kwatera. Pierwsza niespodzianka — śpimy w sali gimnastycznej, my — tzn. Błędowice i Sibica. Pewnie, nikt nie oczekiwał komfortu, ale około siedemdziesięciu ludzi w jednej sali ... I zaraz niespodzianka druga — do spania otrzymujemy każdy jedynie jakieś wojskowe polowe łóżko — bez koca czy czegokolwiek, czym można by się nakryć. Robi się wesoło — dowcipkujemy na ten temat, śmiejemy się — bo cóż innego mamy robić. I wreszcie niespodzianka trzecia — prysznice są tylko w jednym pomieszczeniu, wspólne dla wszystkich. Po tych emocjach pakujemy się ponownie do autobusu, by zjeść „bloczkową" kolację w strażnickim parku, gdzie przebiega cały festiwal, i obejrzeć sceny, na których zespół będzie występował. Wieczorem zaskakuje nas burza — deszcz leje strumieniami, ogłuszający huk — piorun uderzył gdzieś niedaleko (potem dowiadujemy się, że było to kilka metrów od kwatery głównej kierownictwa festiwalu, gdzie i nasze „szefostwo" udało się na naradę ...). Wreszcie powrót na nocleg — rano trzeba wcześnie wstawać, najpóźniej o szóstej, by zdążyć na próbę. A na miejscu od razu cieplejsza atmosfera — przywieziono koce! Choć i tak nikomu nie chce się spać. Są przecież dwie kapele — błędowicka i sibicka, zresztą oba zespoły znają się bardzo dobrze z zeszłego roku, kiedy to w Rzeszowie występowały pod wspólną nazwą „Cieszyniok". Bawimy się wszyscy razem — głównie na ludowo, ale jest też repertuar współczesny — do późnych godzin.

Sobotni poranek. Krzątanina — trzeba już teraz wszystko zabrać ze sobą, powrót dopiero późnym wieczorem. Dziewczęta doprowadzają do ładu stroje — tu trzeba przeprasować wstążkę, tam fartuch. „Słuchajcie, tylko musimy przeforsować próbę w strojach. Choćby tylko w sukniach i butach. One są naprawdę o wiele cięższe niż nasze. Potem na występie mogłyby być problemy ...". Na miejscu już gwarno. Dziś próba i występ „naszych" na mniejszej scenie (oczywiście — między innymi). Tam czeka już autor całego bloku „Ej, koło Cieszyna" — PhDr Andrej Sulitka, CSc. z Instytutu Etnografii i Folklorystyki CSAN w Brnie oraz reżyser — Zdena Kysela z Ostrawy, zasłużony pracownik kultury. Zaczyna się próba — wejście na scenę, zejście, ustawianie się do mikrofonu tak, by było słychać, wreszcie wspólny finał, ostatnie rady i wskazówki ... Koniec! Teraz szybko na obiad, potem do autobusu, przebrać się, bo już o 14.00 zaczyna się pochód z udziałem wszystkich uczestników festiwalu. Drogi już zamknięte dla ruchu kołowego, więc idziemy piechotą przez całą Strażnicę. Spacer byłby sympatyczny, gdyby nie okropny upał. Choć stroje górnicze, w jakich występują błędowianie, nie są jeszcze pod tym względem najgorsze. Zresztą, patrząc z innego punktu widzenia tak samo — skromne, bo skromne, nie tak efektowne, jak wiele z tych, które można tutaj obejrzeć — pełnych świecidełek, ozdóbek, koronek, ze spódnicami nieproporcjonalnie szerokimi, usztywnionymi mnóstwem halek. Może przemawia przez nas „lokalny patriotyzm", ale zgodnie uznajemy, że nasze stroje — górnicze, cieszyńskie („Sibica"), czy góralskie („Górole"), choć nie tak bogate, są jednak ładniejsze — i praktyczniejsze. Wreszcie pochód rusza. Niemal setka zespołów przesuwa się ulicami miasteczka, oblepionymi tłumami jego mieszkańców i gości, którzy przybyli tu na festiwal. Zapełnione są wszystkie trotuary, tarasy, nawet balkony i okna. A pochód przesuwa się powoli, zespoły zatrzymują się co chwila, by dać próbkę swoich umiejętności, coraz to z któregoś miejsca słychać brawa. Tworzy się wspaniała atmosfera, której ulegają wszyscy. Przed „Błędowicami" idzie blok zespołów zagranicznych — z Hiszpanii, Grecji, ZSRR, Bułgarii. Na rynku trybu-

na honorowa. Tutaj każdy zespół przedstawia fragment swego programu. „Błędowice" mają o tyle trudniejszą sytuację, że przed nimi prezentują się wspomniane już zespoły zagraniczne — efektowne, trochę nawet egzotyczne. A jednak króciutki występik udaje się. Brawa. Oby i popołudniowy występ wyszedł dobrze!

A występ przewidziany jest na godzinę 18.30. Blok cieszyński składa się z trzech części — „Za Jabłónkowym siedym mil", „Przi Cieszynie cesta" i „Górnicy, górnicy". Godzinowy zaledwie czas jego trwania zmuszał zespoły, których w tej godzinie musiało się zmieścić aż dziewięć, do maksymalnego skracania swych występów. W trudnej sytuacji znalazły się w związku z tym „Błędowice" a zwłaszcza „Sibica", oba zespoły nastawione raczej na obrazki sceniczne, przy czym „Sibica" miała w dodatku dwa wejścia, co rozbijało już i tak krótki czas pobytu na scenie — niespełna 10 minut — na dwie części. Sibiczanie wystąpili z nowym króciutkim obrazkiem, właściwie scenką pt. „Mikołajki" (szkoda, że nie było więcej czasu, bo w tej sytuacji zespół praktycznie tylko wszedł na scenę i zszedł z niej) oraz z „Pożegnaniem rekturów". Tradycyjnie wysoki poziom wykonawstwa zaprezentowali „Górole".

Błędowianie występują pod koniec ostatniej, trzeciej części bloku. Z napięciem oczekuję na ich wejście — zżyłam się już z zespołem, zależy mi, by wypadł jak najlepiej. Zespół występuje ze zgrabnie skróconą wersją „Skoku przez skórę". Pierwsze brawa, potem coraz bardzie rzęsite i głośny aplauz na końcu. Udało się! Występ dynamiczny, żywy, wciągnął publiczność ... Po programie biegniemy za zespołem. „I co? Jak było?" — pytają. „Fajnie, wspaniale", „Mieliście chyba największe brawa!" „Tańczyliście, jakby wam szło o życie!" „A gdzie jest Adam?" — i już w chwilę później choreograf zespołu odbywa na rękach chłopców podróż powietrzną. Jest wzruszony. Wreszcie triumfalny powrót do autobusu — wygłupiamy się, śmiejemy, śpiewamy, aż ludzie się za nami oglądają. Wieczorem oglądamy jeszcze program na dużej scenie, potem powrót do bazy i znowu wspólna zabawa do późnej nocy, jednak ze świadomością, że rano znów trzeba wcześnie wstać, „zaliczyć" najpierw próbę na dużej scenie, a potem występ. Pomimo upalnego dnia noc jest chłodna. Rano okazuje się, że solistka zespołu całkowicie straciła głos. Wszyscy starają się ją leczyć — każdy na swój sposób: grzanym winem, surowym jajkiem i innymi specjałami. Niestety nie pomaga. Sytuację ratuje mała zmiana w scenariuszu występu — solistka tylko tańczy i „gra" swoją rolę, a koleżanka śpiewa jej partię. Przed występem może jeszcze większa trema niż wczoraj, w każdym razie u nas, widzów-sympatyków (kilkoro nietańczących członków zespołu, choreograf, jest i dr Daniel Kadłubiec), obawy, czy uda się tak, jak wczoraj. W dodatku widzów na razie niewielu — godziny przedpołudniowe nie są najlepszą porą. Ale w trakcie trwania programu widownia zapełnia się. Brawa niemniej gorące jak wczoraj, ponadto cały program notowany jest na taśmie filmowej — może kiedyś obejrzymy go w telewizji ...

Pora wracać — do domu przecież daleko. Szkoda, było bardzo miło. Festiwal — moim skromnym zdaniem laika — wypadł bardzo dobrze, było to prawdziwe święto folkloru, któremu towarzyszyła wspaniała atmosfera ludowej zabawy. Bardzo sympatyczny okazał się też zespół, któremu przez całe trzy festiwalowe dni towarzyszyłam, a który do tej pory znałam jedynie z występów na różnych imprezach. Tak więc ze Strażnicy pozostaną mi jak najlepsze wspomnienia, chętnie zresztą wybrałabym się tam ponownie, co polecam również wszystkim sympatykom folkloru.

RENATA OSTRUSZKA

TOMEK NA ŁAMACH ZWROTU

Chyba każdy z nas w okresie swej młodości sięgnął choć raz po książkę z cyklu przygód Tomka Wilmowskiego. Do dziś ukazało się już siedem powieści: „Tomek w krainie kangurów", „Przygody Tomka na Czarnym Lądzie", „Tomek na wojennej ścieżce", „Tomek na tropach Yeti", „Tajemnicza wyprawa Tomka", „Tomek wśród łowców głów", „Tomek u źródeł Amazonki" — wszystkie powstały w katowickim mieszkaniu pisarza.

Pan Alfred Szklarski zgodził się przyjąć mnie w swej pracowni — pokoju, w którym prócz biurka, biblioteki i niezbędnych mebli jest dużo różnych pamiątek, które przywozi pisarzowi ze swych licznych podróży jego żona Krystyna. Pan Alfred rzadko wyjeżdża, chociaż widział już kawał świata, urodził się bowiem na wielkiej prerii.

Pisarz zapala swą ulubioną fajkę i zaczynamy rozmowę.

— Tak się złożyło, że urodziłem się i przez dłuższy czas wychowywałem w Chicago w stanie Illinois w Stanach Zjednoczonych. Potem przyjechałem z matką dwukrotnie do Polski. Za drugim razem już zostałem na studiach i na rok przed wybuchem drugiej wojny światowej ukończyłem Wydział Konsularno-Dyplomatyczny byłej Akademii Nauk Politycznych w Warszawie. Stąd też te moje koneksje z geografią, bo podstawowymi przedmiotami na tym kierunku studiów była właśnie geografia, etnografia i historia. Kiedy zaczęto więc mnie namawiać, żebym spróbował pisać dla polskiej młodzieży, bo tak na marginesie przedtem pisywałem pod różnymi pseudonimami powieści sensacyjno-psychologiczne dla dorosłych („Gorący ślad", 1946), wtedy zacząłem się zastanawiać, jakiego rodzaju książki mógłbym dla tej młodzieży pisać. Doszedłem do wniosku, że chyba z największym pożytkiem mógłbym pisać książki przygodowo-podróżnicze. Wydawało mi się przy tym, że gdybym stworzył takiego polskiego bohatera przygodowo-podróżniczego, to on mógłby przeżywać nie tylko te przygody, które ja dla niego wymyślę, ale jednocześnie po raz drugi mógłby prze-

żyć te ciekawsze, niebezpieczniejsze przygody, które przydarzyły się naszym prawdziwym polskim podróżnikom i badaczom Ziemi. Oni to przecież w różnym okresie czasu badali dalekie kraje i tymi badaniami niejednokrotnie przyczyniali się nie tylko do poznania tych krajów, ale i do zamieszkania ich przez Europejczyków. I taki chyba był cel pisania Tomków. Uważałem też, że warto by było, żeby autor polski spróbował po raz pierwszy napisać powieść cykliczną, przeznaczoną przede wszystkim dla młodego polskiego czytelnika. Ja w wieku młodzieńczym, a nawet i dzisiaj, bardzo lubiłem i lubię czytać takie tasiemcowe opowiadania. Skoro polubię już jakichś bohaterów, to chciałbym czytać o nich jak najwięcej.

— Wysyła pan swych bohaterów na różne kontynenty, pokazując coraz to nowe kraje i ich mieszkańców. W jaki sposób udaje się panu tak dokładnie opisać kraj, w którym nigdy pan nie był?

— Gdy zabieram się do kolejnego tomu przygód Tomka, najpierw sam rozpoczynam podróż po tym kraju, oczywiście poprzez książki naukowe, geograficzne, etnograficzne, przyrodnicze, zoologiczne. Jest to bardzo dokładna i nieraz powiedziałbym uciążliwa podróż, bo nie mam przyjemności oglądania tych krajów, ale mimo to muszę je bardzo dokładnie poznać. Gdybym sam chciał to wszystko zwiedzać, to byłoby to po prostu niewykonalne. Tomek był już niemal na wszystkich kontynentach, a mnie by życia nie wystarczyło, żeby samemu to wszystko zobaczyć.

— Spotyka się pan często z młodzieżą, czy z tych spotkań zrodził się może jakiś pomysł do pana powieści?

— Pomysł może raczej nie, ale tu muszę szczerze się przyznać, że właściwie losy Tomka rozwijają się w ten sposób, jak życzą sobie tego moi czytelnicy. Na przykład, mnie wydawało się, że to jest wręcz nienaturalne, jeżeli czterej mężczyźni codziennie przeżywają niesamowite wręcz przygody, i nikomu z nich nic poważnego się nie przydarzyło. Uważałem, że bohaterowie moich powieści powinni kolejno ginąć na tych wyprawach. Nawet uczyniłem taką próbę. W piątym tomie, który miał być już wtedy ostatnim, postanowiłem zgładzić jednego z bohaterów. Pozbyłem się ojca Tomka — Wilmowskiego. Akcja działa się na Syberii, gdzie Tomek z towarzyszami mieli uwolnić polskiego zesłańca. Kiedy agent rosyjski Pawłow zastrzelił w Jakucji ojca Tomka, scena była bardzo dramatyczna. Wyobrażałem sobie, jak panie, dziewczęta będą płakały, odczytując to pełne napięcia dramatycznego wydarzenie. Ale niestety, potem musiałem to zmienić.

— Dlaczego?

— Kiedy jeden z moich recenzentów dowiedział się, że pozbyłem się jednego z głównych bohaterów i to szlachetnego ojca Tomka Wilmowskiego, to powiedział mi, że jeżeli on dostanie tę powieść do recenzji, to wytknie mi to jako podstawowy błąd w tego rodzaju utworze dla młodzieży i zapewniał mnie, że moi czytelnicy będą mieli o to do mnie poważne pretensje. Nie bardzo wtedy uwierzyłem recenzentowi, ale od tej pory zacząłem rozmawiać z czytelnikami o tym, co oni by zrobili, będąc na moim miejscu z tymi bohaterami powieściowymi, kończąc powieść. Wtedy dowiedziałem się, że znakomita większość nie tylko nie chce słuchać o żadnej śmierci, ale nawet o tym, żeby komuś się coś złego przytrafiło. Cóż miałem zrobić, wyrzuciłem roz-

dział do kosza, napisałem drugi. Sprawę załatwiłem w ten sposób, że rosyjska rewolucjonistka Natasza zastrzeliła carskiego agenta Pawłowa i obydwaj Wilmowscy szczęśliwie wydostali się z Syberii.

— Wspomniał pan, że otrzymuje wiele listów. Dzieci na pewno proszą o dalsze przygody Tomka, czy one będą zrealizowane?

— W tej chwili jest w druku ósmy tom zatytułowany „Tomek w Gran Chaco". Prawdopodobnie ukaże się na półkach księgarskich pod koniec tego roku, w najgorszym wypadku w pierwszym kwartale roku 1988. Wyruszam teraz z Tomkiem na dziewiątą z kolei wyprawę. Jeszcze raz udajemy się do Afryki, tym razem do Egiptu. Powieść nosi tytuł „Tomek w grobowcach faraonów". Książka będzie może pisana trochę odmiennym sposobem, bo pozwolę moim bohaterom przeżywać niektóre przygody, które mnie przydarzyły się podczas pobytu w Egipcie.

— A więc jednak podróże?

— Tak, tam akurat byłem.

— Tomek tłumaczony był również na języki obce. Czy ma pan u siebie te tłumaczenia?

— Tak, oczywiście. Mam przede wszystkim cały cykl przygód Tomka tłumaczony na język rosyjski, w obecnej chwili kończy się druk trzeciego wydania całego cyklu. Następnie dwa tomy z tej serii wydane były w Bułgarii po bułgarsku, a na Słowacji pokazał się przekład „Sobowtóra profesora Rawy".

— Wiem, że ma pan wnuka Tomka, czy on jest podobny do bohatera pana książek?

— Zewnętrznie tak, z tym, że mój Tomek powieściowy bardzo ceni i lubi naukę, natomiast mój wnuk raczej jest wielkim sportowcem. Interesują go również silniki, motocykle, samochody i w tym rzeczywiście jest bardzo dobry. Jeżeli mi się coś w samochodzie psuje, to przede wszystkim Tomek ogląda, czy da się to naprawić, czy nie. Potem już wspólnie się nad tym zastanawiamy.

— Z listów na pewno pan wie, że Tomek i inne pana książki są bardzo popularne wśród polskich czytelników w Czechosłowacji. Czy zechciałby pan przekazać im jakieś życzenia?

— Jestem wielkim entuzjastą młodzieży i bardzo często dochodzę do kolizji z tymi, którzy na młodzież narzekają. Skąd się to wszystko wzięło? Po prostu, bardzo lubię dzieci, a od czasu, gdy w czasie powstania warszawskiego razem z tymi chłopcami, 12—13-letnimi chodziło się na czołgi niemieckie z butelkami benzyny, trudno, żebym mógł o polskiej młodzieży coś złego powiedzieć. Poza tym, wbrew niektórym twierdzeniom, że młodzież jest nie taka, jaka być powinna, ja bym się z tym nie zgodził. Młodość ma swoje prawa, młodzież musi się wyszumieć. Czego można życzyć młodzieży? Przede wszystkim pokoju, spokoju, dobrych warunków bycia i jak najwięcej rodzinnego ciepła, którego bardzo często dzisiaj dzieciom brakuje, biorąc pod uwagę pracę obydwojga rodziców. A ponieważ zbliża się nowy rok szkolny, życzę samych dobrych stopni.

Choć wyłączyłam magnetofon, rozmowa toczy się dalej. Pan Alfred opowiada o ciekawych spotkaniach z czytelnikami, pokazuje swoje ulubione książki, oglądam przepięknie wydaną trylogię indiańską, którą specjalnie dla autora oprawiło wydawnictwo „Śląsk" na czterdziestolecie jego pracy autorskiej.

ELŻBIETA WANIA



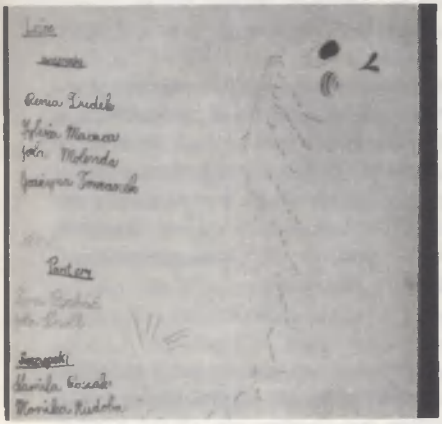




OBÓZ PIONIERSKI W GUTACH

Na zasadzie porozumienia zawartego między ZG PZKO, Komisją Metodyczną ds. Polskich Drużyn i Szczepów OR SZM w Ostrawie, MK PZKO w Gutach i Szczepami OP w Olbrachcicach, Czeskim Cieszynie, Karwinie-Frysztacie, Suchej Górnej i Błędowicach przebiegły w bazie PZKO w Gutach obozy pionierskie. W I turnusie (zdjęcia) od 1 do 14. 7. wypoczywało 84 pionierów III Szczepu OP im. F. Chopina przy PSP w Czeskim Cieszynie oraz 17-osobowa grupa — zespół muzyczny z Chełmna (województwo toruńskie). Komendantem obozu była Barbara Gałuszka. W II turnusie od 14 do 27. 7. zagospodarował bazę VII Szczep OP im. G. Morcinka przy PSP w Karwinie-Frysztacie. Udział w nim wzięło 65 pionierów i 20 osób personelu obozowego. Komendantem obozu była Danuta Farna. W III turnusie od 27. 7. do 9. 8. udział wzięli pionierzy IV Szczepu OP im. Żwirki i Wigury przy PSP w Błędowicach i Suchej Górnej (76 pionierów i 20 dorosłych). Bazę pionierską w Gutach w namioty z wyposażeniem zaopatrzył I Szczep OP im. T. Niemczyka przy PSP w Olbrachcicach.









fot. ADAM SZOP

PEZETKAOWCY INACZEJ

spotkanie 9.

RATOWNIK

W tym zawodzie liczą się dobre nerwy, dobre zdrowie i łut szczęścia. Niektórzy uważają jeszcze, że także w miarę dobre pieniądze, ale tam, gdzie trzeba ryzykować życie, pieniądze mają znaczenie drugorzędne. Słowo ratownik budzi emocje. Człowiek jak nurek z butlą tlenową na grzbiecie schodzi w stumetrowe otchłanie, gdzie buchający ogień oświetla czarną caliznę, z dołu i z góry, z boku, z tyłu, z przodu nic tylko łatwopalny pył, ziemia może drgnąć, zawalą się złoża, gniotące stalowe obudowy jak dziecięcą zabawkę. Tu niebezpieczeństwo jest podwójnie czarne ... Inżynier Piotr Krzywoń w wieku lat 31 został 1 stycznia 1987 roku kierownikiem zakładowej stacji ratownictwa górniczego Kopalni „9 Maja" w Stonawie.

— Mówi się, że 9 Maja — to kopalnia raczej spokojna.

— Względnie spokojna, jeśli porównamy ją z okolicznymi kopalniami karwińskiej części zagłębia. Nie oznacza to jednak, że omijają nas prace związane z likwidacją powstałych awarii kopalnianych. Znajdujemy się w bezpośrednim sąsiedztwie kopalni, które żartem zdobyły sobie wśród nas przydomek Trójkąta Bermudzkiego. Są to kopalnie „1 Maja", „Armii Czechosłowackiej" i „Dąbrowa". Tam obecne warunki wydobywcze są o wiele trudniejsze. Prac likwidujących awarie nie zdołają kopalnie wykonywać siłami wyłącznie własnych stacji ratowniczych.

— Powiedział pan, że jesteście najbliżej tych „łatwo zapalnych" kopalni, więc warunki wydobycia nie powinny się aż tak bardzo różnić.

— Ja powiedziałem, że jesteśmy względnie spokojną kopalnią. W naszej branży nikt nigdy nie może stuprocentowo przewidzieć tego, co może się wydarzyć. Chociaż z drugiej strony, po linii kierownictwa, doszło tu w ostatnich latach do znacznej poprawy warunków bezpieczeństwa i higieny pracy w rejonie naszego pola wydobywczego.

— Jak więc wygląda pana normalny dzień pracy?

— W „pokojowych" warunkach jest to

zwyczajna ośmiogodzinowa zmiana. Na kopalni jestem przed godziną piątą a kończę około piętnastej ...

— *...jakoś nie mogę się doliczyć tych ośmiu godzin, ale w waszej profesji naprawdę wszystko jest względne. A dalej?*

— Mój odcinek prócz właściwego ratownictwa zapewnia również prace asanacyjne. Tak jest na wszystkich kopalniach. Naszym zadaniem jest zamykanie starych wyrobisk, czyli budowanie tam pyłowych lub tam gipsowych, by oddzielić wyeksploatowane ściany czy chodniki, które nie są już potrzebne. Dzięki temu zwiększa się bezpieczeństwo pracy w dole. Spełniamy więc swego rodzaju funkcję profilaktyki przeciwpożarowej.

— *Ale czasami zamykacie ścianę nawet z obudową ...*

— To są już warunki awaryjne. W pokładach węglowych karwińskiej części zagłębia częściej dochodzi do samozapalenia się węgla, do wybuchów gazu i pyłu węglowego oraz tąpnięć niż w ostrawskiej części naszego zagłębia. Jeśli awaria zdarzy się w miejscu, gdzie znajduje się jeszcze urobek, trzeba taką ścianę po prostu zatamować, czyli zamknąć.

— *Na zawsze?*

— No, nie w każdym wypadku. Do takich sytuacji nie powinno dochodzić. Po pewnym czasie, gdy istnieje duże prawdopodobieństwo, że w zamkniętym odcinku wydobywczym mogło dojść do samoczynnej likwidacji awarii, z powrotem otwieramy zamknięte wyrobisko, żeby dokończyć wydobycie, rozebrać obudowę, odwieźć materiał potrzebny gdzie indziej.

— *A w jakim stopniu człowiek jest odpowiedzialny za powstałe stany awaryjne?*

— Warunki wydobycia pogarszają się, schodzimy do wciąż niższych zapasów węgla, plany wydobycia są napięte, więc człowiek ma tu swój udział, chce z przyrody wydostać jej skarby za wszelką cenę. Czynnik ludzki decyduje o tym, jak do tego czarnego złota się dobrać, jaką wybrać technologię wydobycia, jak przeprowadzać wentylację, by nie dochodziło do kumulowania się dwutlenku węgla, żeby nie stwarzać sytuacji grożących pożarem lub, co jest najgorsze, nie dopuścić do tego, by metan i gazy kopalniane doprowadziły do wybuchu.

— *Tyle niebezpieczeństw, a podobno ludzie chcą pracować w charakterze ratowników.*

— Trzeba rozróżniać ratowników zawodowych i ochotniczych. Razem jest nas tu na Kopalni „9 Maja" w Stonawie dziewięćdziesięciu. Są to w połowie technicy, w połowie robotnicy, pracujący na różnych odcinkach wydobycia, przygotowania produkcji, transportu dołowego itp. Każdy z ratowników musi przynajmniej raz w roku przejść tygodniową zaprawę w siedzibie Głównej Stacji Ratownictwa Górniczego w Ostrawie-Radwanicach, gdzie na bieżąco jest 6 zastępów w każdej chwili gotowych wyjechać na akcję. Jak tylko dyżurny pełniący inspekcję na którejkolwiek kopalni ZOK podniesie „gorący" telefon i wezwie pogotowie górnicze, od razu na miejsce zagrożenia ruszają dwa autobusy, wiozące po dwa zastępy ratowników oraz karetka pogotowia z lekarzem-ratownikiem.

— *Jak szybko mogą dotrzeć na przykład do was, do Stonawy?*

— Nawet za dziesięć minut ...

— *Kiedy ostatnio pełnił pan dyżur w Radwanicach, przypomina pan sobie, jak było?*

— Dość spokojnie. Tylko raz wezwano nas na akcję, ale jeszcze po drodze alarm został odwołany.

— *Najbardziej pomocnym urządzeniem w czasie pożarów są pono agregaty, które* jeszcze do niedawna musieliście dla prac w zagłębiu pożyczać ...

— Tak, to są te popularne GAGi lub GiGi, nazwa zależy od tego, czy wyprodukowano je w Polsce, czy w Związku Radzieckim. Od dwu lat nie musimy już pożyczać ich od naszych partnerów, mamy swój gazowy agregat gaśniczy. Jest to swego rodzaju silnik lotni-

czy spalający naftę, by zmniejszyć objętość tlenu w polu pożarowym. Decyzję o jego wprowadzeniu do akcji wydaje zawsze kierownik likwidacji awarii.

— A jak wygląda wyposażenie każdego z ratowników?

— Podstawą wyposażenia jest zawsze izolacyjny aparat tlenowy, w naszym czechosłowackim przemyśle wydobywczym stosujemy zachodnioniemieckie aparaty firmy DRÄGER, ważące około dwunastu i pół kilograma, gdzie zapas tlenu i pochłaniacze regeneracyjne tlenku węgla starczą na cztery godziny ...

— I z tym ciężarem cały czas się pracuje?

— To są obecnie na świecie chyba najlepsze, bo najlżejsze aparaty. Jeszcze kilka lat wcześniej nasi ratownicy musieli dźwigać ponad 16-kilogramowe butle. Poza tym ratownicy ubrani są w specjalne kombinezony impregnowane, chroniące ich od płomieni.

— Ale nie chronią ich chyba przed gorącem?

— Warunki pracy są oczywiście uzależnione od sposobu i jakości wentylacji w poszczególnych wyrobiskach lub chodnikach. Znaczenie ma również konkretne stanowisko pracy, trudniejsze warunki panują na wylotach chodników, gdzie ratownik narażony jest na bezpośrednie niebezpieczeństwo płomieni.

— Jakie są zasady przyjmowania ratowników?

— Ratownikiem może zostać każdy pracownik podziemia kopalni od lat 20—35, który ma dobre warunki zdrowotne, fizyczne, posiada odpowiednie kwalifikacje ...

— ... ale odwagi zmierzyć się nie da?

— Strach jest właściwością ludzką, sprawą indywidualną każdego człowieka. Każdy z ratowników ma prawo odmówić uczestnictwa w akcji, może się wycofać, jeśli jest w tym dniu w gorszej kondycji psychicznej lub fizycznej ...

— ... oj, do tego trzeba nieraz jeszcze więcej odwagi. Wycofać się przed kamratami-górnikami?

— Zawsze lepiej odmówić w porę niż stwarzać dodatkowe kłopoty później w czasie akcji całemu zastępowi. Chociaż ma pani rację, że wypadki te zdarzają się raczej sporadycznie.

— Tu „na ziemi" mówi się o górnikach, że oni zjeżdżając pod powierzchnię stają się jakby ... innymi ludźmi.

— Tak może mówić tylko ten, który nigdy nie zjechał w dół, nie widział ich przy pracy ...

— Miałam na uwadze to, że bardziej może nawet nieraz ryzykują ...

— Problem ryzyka jest wszędzie. Bezpieczeństwo pracy dane jest stanem przygotowania technicznego, awaryjnego poszczególnych kopalni. Wszystko znajduje się w rękach człowieka, od tego, jak dostosuje się do warunków geologicznych, przyrodniczych. Ważne są na przykład decyzje i rozporządzenia ludzi na stanowiskach kierowników odcinków produkcji, jak potrafią zapewnić bezpieczną pracę.

— U was na razie zapewniają nieźle. Trzeba odpukać ...

— Tak, bo nigdy nie wiadomo ...

— A jaki miał pan dzisiaj dzień?

— U nas spokój, wezwano nas jednak na Kopalnię „1 Maja", gdzie zamykaliśmy dwie ściany wydobywcze. *(Później okazało się, że jedną ze ścian udało się jednak uratować dla eksploatacji w najbliższym okresie — przyp. OT).*

— Zauważył pan, że specjalnie nie rozmawialiśmy o tym, co mogłoby wzbudzać sensację, a więc o bezpośrednim narażaniu własnego życia dla ratowania życia innych?

— Zawsze najpierw ratuje się życie górnika, a potem dopiero mienie. Na szczęście praca ratownika na co dzień to jest właśnie ratowanie tego mienia ...

— A pan boi się, wchodząc do akcji?

— Już na studiach wiedziałem, co mnie czeka. Rzecz ludzka ...

OTYLIA TOBOŁA

ODGŁOSY WIELKIEGO PAŹDZIERNIKA NAD OLZĄ

[1]

ŚLĄSK CIESZYŃSKI W LATACH I WOJNY ŚWIATOWEJ

Najbardziej charakterystyczną cechą stosunków międzynarodowych przełomu XIX i XX w. jest pełne ujawnienie sprzeczności zachodzących między głównymi mocarstwami imperialistycznymi. Największą zaborczość wykazywały Niemcy. Małe i ubogie kolonie, stosunkowo szczupłe zasoby surowcowe tego kraju nie wystarczały niemieckim monopolom. Monarchia Hohenzollernów dążyła do nowego podziału świata.

Wojna, którą rozpoczęły podżegane przez Niemcy Austro-Węgry w dniu 18 VII 1914 r. konfliktem z małą Serbią, rozwinęła się w ciągu kilku dni w wojnę światową. Plan niemiecki przewidywał błyskawiczne zwycięstwo nad Francją, po którym skoncentrowano by siły na froncie rosyjskim. Parodniowa bitwa nad Marną (wrzesień 1914 r.) zakończyła się niespodziewanym zwycięstwem strony francuskiej. Stało się rzeczą oczywistą, iż wojna wbrew przewidywaniom sztabowców niemieckich przyniesie w efekcie długotrwałe walki pozycyjne.

Wojna pochłaniała olbrzymie ofiary w ludziach. Nieustanne uzupełnianie zdziesiątkowanych armii walczących stron przez powoływanie pod broń setek tysięcy mężczyzn spowodowało z kolei brak rąk do pracy i konieczność zatrudnienia na wielką skalę kobiet, młodocianych robotników i jeńców. Powstawały nowe fabryki, uruchamiano i zdobywano potrzebne teraz w większej mierze surowce. Przemysł, przede wszystkim ciężki, przestawiano na potrzeby frontu. Równolegle ze zmaganiami militarnymi usiłowano o uzyskanie przewagi gospodarczej.

Państwa centralne (sojusznicy Niemiec i Austro-Węgier), dysponujące znacznie mniejszymi koloniami dostarczającymi potrzebne zasoby, coraz dotkliwiej odczuwały brak żywności dla wojska i ludności cywilnej oraz niedostatek surowców dla przemysłu. Głód, choroby, ogromne straty na frontach stały się w miarę przedłużania się wojny powodem nasilającego się fermentu.

Skutki wojny światowej szczególnie dotkliwie odczuł Śląsk Cieszyński. Miał on wraz z pograniczem morawskim z uwagi na koncentrujący się tu przemysł ciężki istotne znaczenie dla Austro-Węgier. Został całkowicie podporządkowany machinie wojennej. Nastąpił tu rozwój tych gałęzi przemysłu, które produkowały na potrzeby frontu. Wydobycie węgla wzrosło z niespełna 9,5 mln ton w 1914 r. do ponad 11 mln ton w 1916 r.

Podobną tendencję w tym samym czasie notujemy w hucie trzynieckiej: podniesienie się produkcji surówki z 124 tys. ton do 199 tys. ton, stali 135,5 tys. ton do 197,5 tys. ton. Zarazem wiele miejscowych zakładów rozpoczęło wyrób towarów, wymaganych przez charakter nowoczesnego pola bitwy. Jaskrawym tego przykładem była huta trzyniecka, przerzucając się na produkcję granatów ręcznych, kolejek wąskotorowych czy różnego rodzaju drutów kolczastych.

Utrzymywanie stanu produkcji na odpowiednio wysokim poziomie było możliwe tylko dzięki wzmożonej intensyfikacji siły roboczej. Obowiązywały zazwyczaj dniówki dziesięciogodzinne, a nierzadko zdarzały się i dłuższe, przy czym zarobki nie nadążały za gwałtownie rosnącymi cenami. W następstwie poważnych zaniedbań w dziedzinie bezpieczeństwa i higieny pracy, wzrostu liczby robotników niekwalifikowanych (kobiety, starcy itp.), przedłużającego się stale dnia roboczego, ogólnego wyczerpania proletariatu wzrosła liczba wypadków przy pracy, przede wszystkim w przemyśle ciężkim.

Od jesieni 1914 r. (w Trzyńcu wiosną 1915 r.) kopalnie i huty zostały zmilitaryzowane. *W celu utrzymania porządku i rygoru wojennego* — retrospektywnie scharakteryzował stan bezwzględnej kontroli wojskowej sekretarz Unii Górników, Alojzy Bonczek — *przydzielono do każdej kopalni i fabryki oddział żołnierzy pod komendą oficera. (...) Nierzadki był wypadek, że górnik po skończonej pracy ujęty został przez czekającego nań żołnierza i pod bagnetem zawleczony do oddziału karnego, gdzie był więziony o głodzie kilka godzin, a nawet do czasu następnej zmiany. Były wypadki wieszania górników na słupkach, bicia, maltretowania.*

Kolejnym tragicznym atrybutem, narastającym do coraz to groźniejszych rozmiarów, był brak żywności, a w konsekwencji drożyzna, kolejki przed sklepami, spekulacja i epidemie. *Drożyzna przybrała na jesień 1917 r. tempo szalonej galopady* — odważnie konstatował organ miejscowej polskiej socjaldemokracji, „Robotnik Śląski" — *a dziś ceny są jak wiecznie szybująca ku górze piłka tenisowa. Przemysłowiec podaje ją rolnikowi, rolnik odsyła ją z furią do miasta. (...) I nie wiadomo, co bardziej pędzi ceny w górę, czy malejąca ilość towarów, czy rosnąca cyfra druków banknotowych, których obecnie napłodzono już 25 miliardów, a więc dwanaście razy więcej niż przed wojną.*

Powołanie pod broń wielu polskich i czeskich działaczy narodowych, zaostrzony nadzór policyjny nad wszelką działalnością społeczno-polityczną i bezwzględna cenzura pociągnęły za sobą zahamowanie, nierzadko nawet całkowite przerwanie pracy miejscowych stowarzyszeń, zamrożenie rochu narodowego. Wybuch wojny zdekompletował kolegium pedagogiczne wielu szkół. Przykładowo w Gimnazjum Realnym im. J. Słowackiego w Orłowej pod broń powołano dyrektora zakładu i prawie wszystkich profesorów. Na okres kilku miesięcy została wstrzymana działalność szkoły. Na początku 1915 r. udało się Piotrowi Feliksowi, zastępującemu przez cały okres wojny dyrektora szkoły, uzupełnić grono profesorskie, jednakże częste zmiany w jego składzie wskutek powoływania uczących do służby wojskowej utrudniały normalny bieg nauki.

Dla ilustracji stosunków społeczno-politycznych w kraju nad Olzą w omawianym okresie skorzystajmy z kroniki jednej z największych jego wsi, Wędryni: ... *Pozostały więc domy bez ojców, gospodarstwa bez zarządców. Nie miał kto pracować. Nie było zwierząt pociągowych, bo nawet te zabierano na wojnę. Zbiory na polach były coraz słabsze. Domy obchodziły komisje, które zabierały zboże, pozostawiając rodzinom tylko małą ilość do wyżywienia. Przeprowadzono pobory mężczyzn nawet do 50 roku. Wielu kaleków pełniło służbę wojskową. Odczuwano coraz większy brak pożywienia i odzieży. Zbierano dla wojska zużytą odzież wełnianą i bawełnianą, zbierano rzeczy gumowe, kauczukowe, mosiężne i inne. Zbierano dzwony z kościołów i kaplic. (...) Wojna przynosiła coraz to więcej nędzy i niezadowolenia. Często nakazywały władze rewizje zapasów żywności. Artykuły żywnościowe otrzymano w przedpisanych ilościach i tylko za oddaniem legitymacji, które wydawały komisje żywnościowe. Nieraz całymi dniami ustawiała się ludność przed sklepami, nim otrzymała odrobinkę żywności. Następstwem tego było rabowanie z pól plonów w czasie żniw. Utworzono milicję, która strzegła plonów nocą. (...) Był taki brak żywności, że ludzie z miast i zagłębia przychodzili na wieś, przynosili wartościowe rzeczy, aby otrzymać mleko, pszenicę lub kilka ziemniaków. Nie brakło też chorób, które były następstwem złego odżywiania (czerwonka, tyfus, odra, hiszpanka).*

WŁADYSŁAW JOSIEK

OGRODNIK I JEGO DYREKTORZY

Adolf Plinta urodził się dwuktornie. Po raz pierwszy w dniu 21 lutego 1904 roku w Oldrzychowicach, a po po raz drugi w nocy z 17 na 18 sierpnia 1943 w Peenemünde, a właściwie w pobliskiej miejscowości Karlshagen ...

Pracę podjął w piętnastym roku życia, najpierw w trzynieckiej firmie „Mocko", a następnie w lipcu 1919 roku przyjął go do ogrodu hutniczego majster Jan Turoń. W domu Plintów nie było łatwo, była to rodzina liczna, czternaścioro dzieci, a ojciec zmarł w roku 1918.

Ojciec Adolfa, Paweł Plinta, urodził się w roku 1860 w Nierodzimiu na Śląsku, później pracował jako kowal w hucie ustrońskiej i w roku 1894 wraz z hutą z Ustronia przeniósł się do Trzyńca, gdzie pracował jako kowal w zakładach mechanicznych.

Oglądam polsko-czeską wersję „Książki dla członka Bractwa górniczych i hutniczych zakładów Arcyksięcia Alberta" z numerem porządkowym 1280, wystawionej w Cieszynie w roku 1895. Reszta książeczki to statut członkowski bractwa.

Matka Adolfa, Maria z domu Broda, pochodziła z Kozokowic i urodziła się w roku 1864. Za Pawła Plintę wyszła w roku 1882.

Po dwu latach pracy w ogrodzie zakładowym za 7 koron dziennie Adolf Plinta wylądował w roku 1921 w ogrodzie willi dyrektora huty, którym w latach 1919—1927 był inż. Karol Kundl (od Kundlowski, a więc z pochodzenia był Polakiem). Jego zadaniem było utrzymywanie ogrodu, porządkowanie terenów wokół willi oraz jej ogrzewanie. Willa ta znajdowała się wówczas tam, gdzie dziś mieszczą się warsztaty budowlane. Nieco później ten sam dyrektor przeniósł się do willi, która stała w miejscu, gdzie dziś znajduje się stalownia IV.

O dyrektorze Kundlu oficjalnie się twierdzi, iż nie był on lubiany wśród załogi, zwłaszcza kiedy w roku 1925 po strajku zwolnił z pracy 92 robotników. Pan Adolf pamięta go jako człowieka nieco wyniosłego, który jednak potrafił ocenić inicjatywę pracy i dać 20 koron. Natomiast żona dyrektora była dobra dla służby i pra-

cowników, zaś dwie ich córki — Dorota i Brygida były zadufane w sobie. W domu urządzano często przyjęcia. Za pracę nie płacili wiele, ale dla pracowników przygotowywano drugie śniadanie oraz obiad, czego nie było już u pozostałych dyrektorów.

W roku 1928 Adolf Plinta ożenił się z Marią z domu Rzyman z Lesznej. Wówczas, pragnąc więcej zarobić, prosił dyrektora, żeby go zwolnił i dał pracę w przemyśle. Pracował jakiś czas w tak zwanym ruchu materiału. Praca była tam ciężka, a dyrektorowi też brakowało Plinty, więc powołał go z powrotem do siebie.

Następnym dyrektorem był Francuz inż. Georges Thédrel (1927—1935). To właśnie on sprowadził Plintę do nowej już willi — budynku, gdzie do niedawna jeszcze znajdował się dział dentystyczny, a obecnie znajduje się siedziba wicedyrektora ds. personalnych. Willa ta i ogród od strony huty i ulicy, prowadzącej z Końskiej do Trzyńca, odgrodzona była wysokim murem, a ogród ciągnął się w gół, aż do młyna nad Olzą.

Z Thédrelami rozmawiano trochę po niemiecku, trochę na migi. Dla służby byli dobrzy, mieli dwie córki — Christine i Denise oraz syna — Jacques. Co niedzielę woźnica Kotajny, a później kierowca samochodu Gałuszka odwoził całą rodzinę do pobliskiego kościoła katolickego. Tutaj panował też zwyczaj zapraszania służby w Wigilię i obdarowywanie jej. Po ich wyjeździe do Francji pan Plinta otrzymał od nich kilka razy widokówki.

Trzecim z kolei dyrektorem, u którego pracował A. Plinta, był inż. Jaroslav Jičinský (koniec 1935—1938). Tu również żyło się towarzysko. Przyjeżdżało dużo gości z Czech. Dyrektor ten był, zdaniem Plinty, małomówny, ale wymagający i konsekwentny, wszystkiego doglądał, nawet w domu. To za jego dyrektorowania w szklarni hodowano małego krokodyla i dwa małe niedźwiadki — o czym później pisano z przesadą. Inż. J. Jičinský pracował w hucie trzynieckiej także po wojnie, rozmawiał kilkakrotnie z Plintą, później przeszedł wyżej do resortu hutniczego.

W czasie polskich rządów na tzw. Zaolziu dyrektorem huty został inż. Wiktor Martin (1938—1939). Jego żona Halina była nieco ekstrawagancka jak na owe czasy. Jeździła samochodem sportowym w stroju śląskim, paliła papierosy. Grała też w filmie. A. Plinta oglądał ją w filmie o budowie Kanału Sueskiego. Mieli dwoje dzieci — Barbarę i Kaja.

Podczas okupacji dyrektorzy zmieniali się stosunkowo często. Trzeci z kolei dyrektor „wojenny" już nie mógł zatrzymać A. Plinty u siebie i w roku 1943 został on wywieziony na prace przymusowe do rzeszy, na wyspę Uznam, do miejscowości Karlshagen koło Peenemünde, gdzie pracował w magazynie przygotowując materiał. Przybył tam na kilka dni przed słynnym nocnym nalotem bombowym z 17 na 18 sierpnia 1943 pod kryptonimem Hydra. (Wówczas zniszczono wiele obiektów doświadczalnych, zginęło około 120 specjalistów niemieckich, co w znacznym stopniu opóźniło produkcję broni rakietowej V1 i V2).

Pan Adolf Plinta opowiada o tamtym piekle krótko. Pamięć już zatarła szczegóły. Z pomocą przychodzi jego syn Oskar (urodzony w roku 1933), który obecnie pracuje w warsztatach mechaniki precyzyjnej w hucie trzynieckiej, stale przypominając: Tato, a opowiedz o tamtym, tato, zapomniałeś o tamtym. Przypomina ojcu to, co zapamiętał z licznych jego opowiadań w okresie tuż powojennym.

We wspomnieniach Plinty nalot rozpoczął się w środku nocy. Wszyscy już spali (w piętrowych barakach drewnianych), kiedy to się zaczęło. Zbudziły ich wybuchy, detonacje i światło (świecące w powietrzu choinki). Wszyscy uciekali w popłochu, kryli się w lejach po bombach, a że ziemia jest tu piaszczysta, wszędzie było pełno

piachu w powietrzu. W kilka chwil po opuszczeniu przez Plintę baraku trafiła w barak bomba, nie pozostawiając po nim śladu. Zrzucano bomby zapalające. Wszystko płonęło, drzewa, nadmorskie sosnowe lasy były skoszone od odłamków. Dokoła trupy, jęki ... Trudno to wszystko było wyrazić opowiadającemu, a jeszcze trudniej opisać człowiekowi, który te sprawy zna tylko z opowiadań, literatury i filmów.

A. Plinta znalazł się w gronie tych, którzy przeżyli ten nalot. Później pracował przy odbudowie ruin obiektów fabryki zbrojeniowej. Przeżył też jeszcze jeden nalot w rok później (angielska operacja Most II) w nocy z 25 na 26 lipca 1944.

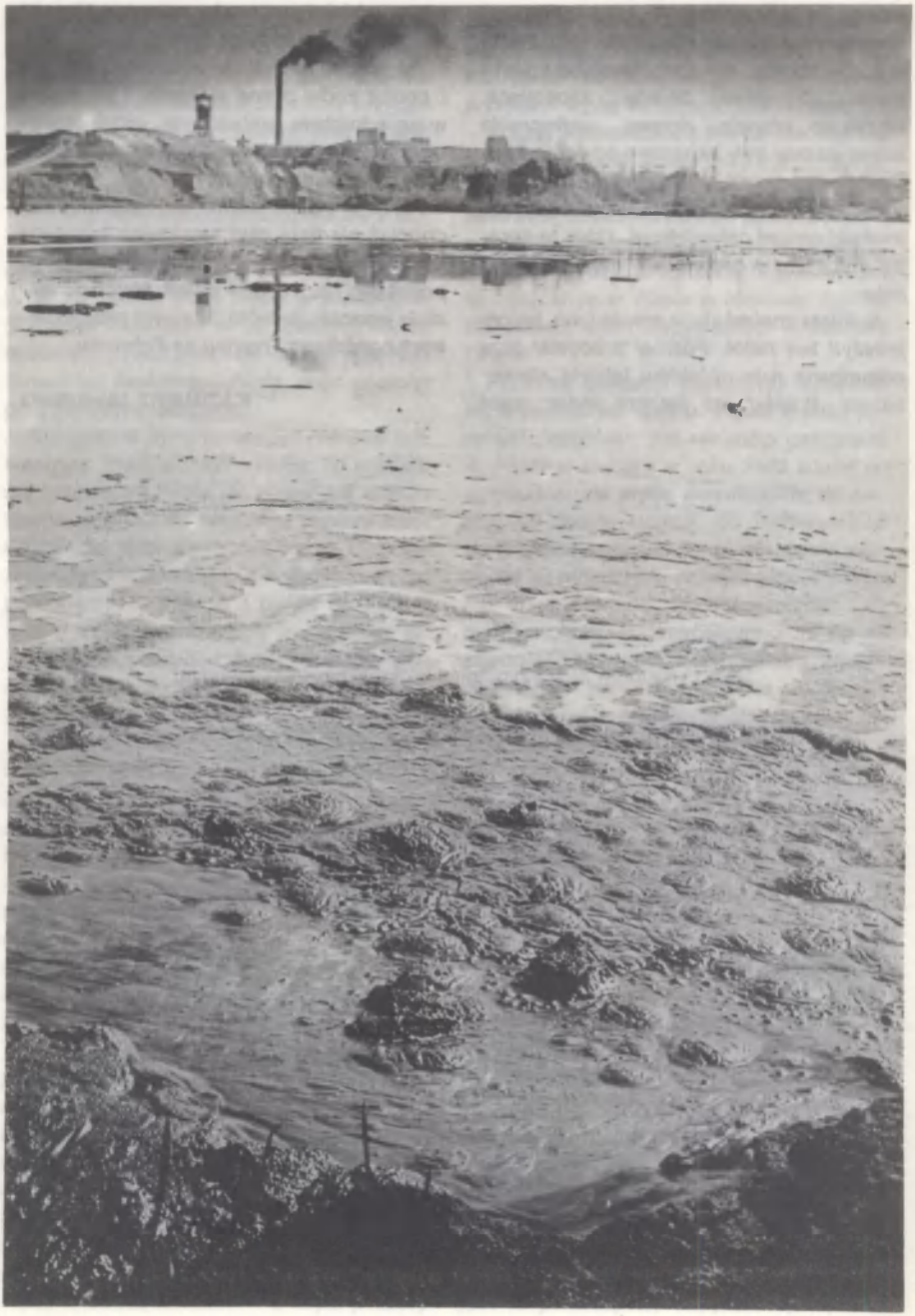
Po wojnie wrócił do rodziny i Trzyńca i podjął znów pracę w hucie, tym razem w ogrodnictwie zakładowym, gdzie pracował do roku 1961, przechodząc o dwa lata wcześniej na emeryturę.

Praca w ogrodnictwie mu się podobała, chociaż nie była zbyt atrakcyjna z punktu widzenia zarobków. To umiłowanie ziemi pozostało mu po dziś dzień. Mając 83 lata stale jeszcze „grzebie" w swym przydomowym ogródku w Trzyńcu na Folwarku.

KAZIMIERZ JAWORSKI

Willa dyrektorów huty trzynieckiej w okresie międzywojennym





[32]

fot. DRAHOSLAV RAMÍK

INFORMACJA O OCHRONIE ŚRODOWISKA NATURALNEGO

— takie było w tym roku hasło wywoławcze festiwalu filmów i programów telewizyjnych EKOFILM, który w maju przebiegał w Ostrawie-Porębie już po raz czternasty. Impreza ekologiczna na taką skalę jest ewenementem w Europie, gromadzi więc coraz więcej filmów z coraz większej liczby krajów. W tym roku komisja selekcyjna wybierała spośród 181 dzieł nadesłanych z 30 krajów świata, ONZ oraz UNESCO.

CO WYBRAĆ?

Z pewnością było niełatwo. Kolekcja pokazowa 72 tytułów wzbudziła tak wiele kontrowersji, że na ogólne życzenie odbyła się w czasie trwania festiwalu dodatkowa konferencja prasowa z członkami jury pod kierownictwem prof. ing. Jana Smolika, CSc. Również uczestnicy pięciodniowej imprezy stawali codziennie przed nie lada dylematami, na co się zdecydować, jako że filmy wyświetlano równocześnie w dwu salach.

TRZY FILMY POLSKIE

wybrane do projekcji spośród zgłoszonych sześciu wzbudzały — tradycyjnie już — spore zainteresowanie, polska publicystyka ma tu opinię ciekawej i odważnej. Dokument Wincentego Ronisza „Wszystko, co żywe" znalazł się wśród dzieł nagrodzonych. Nie było jednak, niestety, ani autora filmu, ani przedstawiciela producenta — Wytwórni Filmów Dokumentalnych. Przyjechał natomiast do Ostrawy scenarzysta, reżyser i operator w jednej osobie, autor obrazu

SIARKA I ...

— Roman Dębski. Eksploatacja złóż podziemnych, jej konsekwencje, to temat bliski dla każdego obywatela również naszego zagłębia.

Kopalnie i Zakłady Przetwórstwa Siarki w Tarnobrzegu to ogromny moloch, który zdominował krajobraz tego regionu. Obrazom ziem jakby z innej planety towarzyszą proste słowa — wypowiedzi miejscowych obywateli. Babcia, siedząca przed domkiem na żółtordzawej pustyni, mówi o powietrzu, śmierdzącym „zgniłymi jajkami" i ewakuowanych sąsiadach. Lekarka opowiada o najwyższym w Polsce wskaźniku poronień i o cherlawych dzieciach, które nie mają się gdzie bawić, i tak dalej ...Tubylczy robotnicy są zbyt wycieńczeni, by myśleć o zmianie miejsca i sposobu życia. Obrazy zwałów ziemi w wyrobiskach odkrywkowych i rury, ziejące mętne gazy z ośrodków wydobycia metotodą wytopu pod ziemią — przemawiają same.

Do głosu dochodzą pracownicy zakładowego oddziału rekultywacji: mówią o badaniach laboratoryjnych skutków skażenia na zwierzętach, eksperymentach z zalesianiem czy chociażby zazielenianiem hałd martwej ziemi. Gleba przeżarta jest kwasami siarkowymi na głębokość 1,5 metra i zwykłe nawożenie nie daje rezultatu. W tym roku pewne obszary zalane mają być wapnem poflotacyjnym — na próbę ...

Ten 17-minutowy film tak działa na emocje, że nie sposób wyłapać wszystkich faktów. Po projekcji proszę reżysera o kilka zdań.

— Ile czasu zajęła praca nad filmem?

ROMAN DĘBSKI — Po zakładzie kręciłem się w sumie z pół roku, równocześnie studiowałem literaturę fachową. Same zdjęcia zrobiłem w dwa tygodnie.

— Nasuwające się pytanie zasadnicze: czy film, a może już Pana obecność w Tarnobrzeskich Zakładach, wpłynęły jakoś na sprawców zniszczeń?

— Nie, nie sądzę. Zakładowi film nie zagrozi, jest uodporniony na ingerencje z zewnątrz. Film został wprawdzie zrealizowany przez naszą Wytwórnię Filmów Oświatowych na zlecenie Ministerstwa Ochrony Środowiska i Zasobów Naturalnych, jednak chodzi o przemysł bardzo duży i ważny, na razie akurat w fazie rozwoju. 80 % siarki idzie stąd na eksport i czynniki odgórne zainteresowane są zwiększeniem produkcji.

— Gdzie, w takim razie, można widzieć nadzieję na poprawę sytuacji?

— Ramowe plany zakładają zrekultywowanie dotychczas powstałych nieużytków do r. 1994. Rzeczywiście, trzeba przyznać, że oddział rekultywacji należy w zakładzie do najprężniej działających, tamtejsi ludzie — do najenergiczniejszych. A propos — typowa historia z pierwszą wizytą w zakładzie. Zastępca dyrektora pokazuje mi zielone pola wokół rurociągów odprowadzających wytłaczane gazy: „Gdzie te zniszczenia? Sam pan widzi, że my tu nic a nic rolnictwu nie zagrażamy." Dopiero później, już w komitywie z pracownikiem rekultywacji, dowiaduję się, że powstające przy wytoku siarki gazy mają odczyn zasadowy i dopóki produkcja trwa, emisja kwasów częściowo się neutralizuje. W momencie, gdy wydobycie przenosi się gdzie indziej — pola obracają się w ziejące chemikaliami nieużytki.

— Jak więc rekultywacja nadąża za wydobyciem?

— Wydaje się, że zniszczenia są zbyt ogromne, by choć do roku 1990 cokolwiek zaradzić. Eksperymenty np. Uniwersytetu Lubelskiego wprowadzane na szerszą skalę nie dają spodziewanych wyników, zaś modyfikować działania o tyle jest trudniej, że zmian nie wolno wprowadzać bez zgody nadrzędnych organów warszawskich. Tam wnioski przeleżeć mogą np. rok. Mój znajomy z oddziału rekultywacji ze sto razy rzucał pracę ...

— Pan sam stał się najwyraźniej dzięki swemu filmowi fachowcem od chemii i rekultywacji. Czy ma pan wrażenie, że ta praca przyniosła korzyści?

— Film przeznaczony jest dla najszerszej publiczności. Ma wejść do rozpowszechniania, chociaż — wszyscy wiemy, jak się krótkiemu metrażowi w kinach wiedzie. W telewizji emitowany był po 23.00 — kolejny absurd, na który niestety nie mam wpływu. Moim pierwszoplanowym życzeniem jest, by obejrzała go młodzież — i rozpowszechnienie do szkół może się udać. Głównie młodzież musi być świadoma, przed czym się bronić.

Tyle Roman Dębski.

Sam EKOFILM rozrasta się i staje coraz popularniejszy w imponującym tempie. Projekcje 7 godzin dziennie, dwie sale pełne uczestników festiwalu — ku rozżaleniu sympatyków z zewnątrz nie wpuszczano w tym roku do Domu Kultury w Porębie nikogo bez legitymacji festiwalowej. Wypada tylko życzyć sobie, by samo życie wokół nas spotykało się z niemniejszym zainteresowaniem!

RENATA KORPAK



MEZINÁRODNÍ FESTIVAL
FILMŮ A TELEVIZNÍCH POŘADŮ
O ŽIVOTNÍM PROSTŘEDÍ

NADREŃSKA MOZAIKA

W CIENIU GOTYCKICH WIEŻY

Potężna, kamienna, zwieńczona strzelistymi wieżami bryła katedry góruje nad miastem i przegląda się w wodach sąsiedniego Renu. Budowę tej jednej z największych a zarazem i najwspanialszych świątyń gotyckich na świecie rozpoczęto w Kolonii nad Renem w połowie XIII wieku, by ją wreszcie po wielu przerwach ukończyć dopiero pod koniec XIX stulecia. Pod tym względem jej dzieje podobne są do losów katedry św. Wita na Hradczańskim wzgórzu. Ogrom tej pięcionawowej nadreńskiej katedry uzmysławia sobie każdy turysta dopiero wtedy, kiedy staje u jej podnóża. Szara masa kamienia przytłacza swym ogromem, wzbudza podziw i respekt. A o to może między innymi chodziło jej twórcom. W najbliższej okolicy katedry rozgościły się dziesiątki najróżniejszego rodzaju kiosków. Są pełne widokówek, znaczków i innych pamiątek związanych z tym architektonicznym zabytkiem. W licznych okolicznych kafejkach, bistrach tłoczno i gwarno. Wszędzie pełno turystów. Obszerną przestrzeń przed głównym wejściem do katedry okupują brodaci malarze, a może dopiero adepci tego zawodu. Pokrywają oni zapamiętale kolorowymi kredami dziesiątki metrów kwadratowych powierzchni kamiennych płyt placu. Wyczarowują na nich nietrwałe repliki dzieł dawnych mistrzów. Dla potwierdzenia wiarygodności swych malarskich poczynań i umiejętności rozłożyli obok gotowych swych dzieł reprodukcje pierwowzorów, według których tworzyli. Dla uświadomienia rzeszom przyglądających się turystów stanu ich konta bankowego, rozstawili gęsto liczne talerze, blaszanki, do których od czasu do czasu spadnie z brzękiem jakaś drobna moneta. Te niewątpliwie niezbyt hojne datki pozwolą im ufniej i z większą nadzieją spojrzeć na perspektywę kilku, a może nawet i kilkunastu następnych dni.

Alianckie bomby w znacznym stopniu

zmiotły z powierzchni ziemi miasto podczas pożogi drugiej wojny światowej. Wśród morza ruin, jakimś szczególnym przypadkiem losu, pozostały stosunkowo dobrze zachowane mury katedry. Czego nie dokonały bomby zapalające i burzące, to obecnie z powodzeniem uskutecznia nowoczesna cywilizacja z jej „osiągnięciami" w postaci tzw. kwaśnych deszczów. Zaczęły one skutecznie nadgryzać wiekowe kamienie katedry. Musiano przystąpić do ratowania zabytku, wymieniając całe fragmenty za nowe, korzystając między innymi z pomocy polskich fachowców.

Ze strzelistą wzniosłością katedry sąsiaduje dworzec oraz most kolejowy, którego charakterystyczne łuki łączą oba brzegi nurtu Renu. Jakby nawiązując do tych form, zwieńczyli projektanci nowoczesne bryły sąsiadujących ze świątynią galerii i muzeów łukowato ukształtowanymi świetlikami. W przeszklonych wnętrzach galerii im. Wallraf — Richartza, Ludwiga można snuć rozważania o stanie i perspektywach nowoczesnego malarstwa, można oglądać dzieła Andy Warhola, Oskara Kokoschki i innych artystów, wytyczających nowe kierunki współczesnego malarstwa. Przed Muzeum Rzymsko-Germańskim leżą liczne kamienne fragmenty kolumn, gzymsów, murów. Są to oryginalne pozostałości po legionach rzymskich, które w swych zwycięskich marszach dotarły tutaj aż nad Ren. W celu umocnienia władzy nad zdobytym terenem i zabezpieczenia granicy atakowanej coraz śmielej przez wojownicze plemiona germańskie wznieśli Rzymianie wzdłuż Renu cały szereg swych obozów wojskowych. Dały one początek rozwojowi późniejszych licznych miast niemieckich z Kolonią nad Renem łącznie. Nazwę swoją zawdzięcza miasto żonie cesarza rzymskiego Klaudiusza. Na jej cześć nazwano warowny obóz i osadę nad Renem — Colonia Agrippinensis. Postacie te barwnie i żywo przybliża nam na łamach „Przekroju" obecny minister kultury PRL prof. Krawczuk. Później zredukowano pierwotną nazwę do słowa Colonia — Kolonia. W średniowieczu miasto rozkwitało dzięki atrakcyjnemu położeniu na skrzyżowaniu szlaków handlowych. Pod koniec XIV wieku założono tu uniwersytet. Tradycje nauki, sztuki, kultury, myśli politycznej i społecznej były tutaj zawsze żywe i znajdowały podatny grunt do rozwoju. Klasycy socjalizmu naukowego Karol Marks i Fryderyk Engels również działali w tym mieście nad Renem.

Kolonia — nowoczesny budynek galerii Wallraf — Richartza



Migotliwe światło tysięcy płonących świec rozjaśnia mroczną przestrzeń bocznej nawy katedry. To współcześni kierują swą pamięć i myśli ku tym, którzy zginęli w zawierusze ostatniej wojny, polegli w gruzach bombardowanych miast. Lecz na pewno niejedna świeca jest poświęcona także tym, którzy wsłuchani w obłąkańcze idee Wodza z czarnym wąsikiem realizowali jego zbrodnicze zamiary i uczestniczyli w sławnym Drang nach Osten (parcie na wschód).

Historia jest na swój sposób sprawiedliwa — kto sieje wiatr, zbiera burzę.

TADEUSZ WRATNY

fot. TADEUSZ WRATNY

GABRIEL PALOWSKI

DOJRZEWANIE GŁOGU

I nagle obudził się poranek dnia 2 października 1938 roku. Polocy idą! Polocy idą! Wieść jak plotka lotem błyskawicy obiegała kolonijne domy. Nie do wiary!? A jednak ... Ciekawość zwyciężała. Kto mógł, ten żywcem biegł najkrótszą trasą ku głównej ulicy Karwiny, przekonać się naocznie, ile w tym wszystkim prawdy.

Główną arterią szło wojsko generała Bortnowskiego. Jechali ułani, chłopcy jak malowani, z błyszczącymi szabelkami na paradnych koniach, wśród stukotu kopyt i wiwatów gęstych szpalerów ludzi. Szli piechurzy, już nie tak malowani, człapały koniki ciągnące amunicję i różnego rodzaju armatki, cekaemy lub kuchnie polowe, jechali w samochodach wyżsi dostojnicy wojskowi, tankietki ... Szli jak zwycięzcy, bohaterscy wyzwoliciele, a wśród nich prości, zmęczeni żołnierze, nie uświadamiający sobie ubocznych efektów całej kampanii ... Wśród wiwatujących na chodnikach ludzi, głośno manifestujących, byli ludzie z zatroskanymi minami lub obojętni i tacy, co im cały ten harmider stawał ością w gardle.

Józek, stojący w okalającym go tłumie, miał mieszane uczucia. Raz porywał go entuzjazm wiwatującego tłumu, raz widział się bohaterem na ślicznym koniu, to znów spadał między zmęczonych, bezimiennych piechurów, ale też zwycięskiej armii, aby znów uświadomić sobie jakiś dziwny niepokój, który zasiali w jego głowie szwagrowie i starszy brat ... I pomimo ogólnego, radosnego oszołomienia, jakichś niesprecyzowanych nadziei, bał

się, że mogą się nie spełnić oczekiwania ani jego, ani tych wiwatujących ludzi ...

Ciekawe, że właśnie on, niedoświadczony politycznie, syn polskiego patrioty, absolwent polskiej szkoły przesiąkniętej patriotyzmem, nawet w chwilach największego entuzjazmu nosił w sobie jakieś ukryte ziarenko niepewności, które mogło w każdej chwili wykiełkować w zupełnie co innego, niż się tego naiwnie spodziewał ...

— Jozef, co tak stoisz i dziwosz sie kansi — wyrwał go z zadumy szturchaniec i głos szwagra Antoniego ... — Nó, nie stój, nie stój jak ciele, bo pochód już przeszeł ... Idymy do domu — dodał.

— Dobre, dobre, idymy — przytaknął Józek i chciał o coś zapytać szwagra, kiedy ten wskazał przed siebie ręką i powiedział:

— Podziwej sie, podziwej, teraz idą farorze i rozdowają jakisi ulotki, a głupi ludzie im ręce całują, klękają przed nimi jak przed Chrystusem ... To są ... — nie domówił i pełen jakiegoś obrzydzenia tym widokiem znów szturchnął do Józka: — Idymy ku chałupie, bo mi to idzie na nerwy.

— To isto rozdowajóm święte obrozki — wtrącił Józek.

— To je fuk, ale stejnie to je na gówno — uciął rozmowę heretyk Antoni i poczłapali razem w stronę domu, wertując w myślach nastałą sytuację.

Kiedy już szli ulicą swojej kolonii, zaskoczył ich widok białoczerwonych proporczyków i orzełka w oknach tych, o których wiadomo było, że byli wrogo nastawieni do wszelkich przejawów polskości ...

— Podziwej — szturchnął do Józka Antoni — tyn skurczybyk se doł orzełka do okna ... Niech to szlak trefi ... Nó, cosi takigo?

Od wczesnego jesiennego popołudnia panował w domu Józka niesamowity harmider. Oprócz Józka, jego ojca, matki, siostry Justyny, najmłodszego szwagra Antoniego i ich małej Janeczki przybył najpierw ze Stonawy szwagier Bedrzich z Franciszką i dziesięcioletnią Wlastą a później jeszcze trzeci szwagier Henryk z żoną Joanną i dziećmi: Leusiem, młodszym o rok od Józka, oraz smarkatymi podlotkami Maryczką i Elzą.

Czternaście osób w jednej niedużej kuchni i pokoju zastawionym łóżkami i szafami to było stanowczo za dużo. Szczęściem, że pogoda była niezła i dzieci harcowały w ogródku oraz przed domem na kolonijnej ulicy. Ale i tak ścisk był duży. Nie przeszkadzało to jednak w burzliwej debacie, jaka wnet rozgorzała między mężczyznami po wypiciu pierwszych kieliszków polskiej wódki. Każdy ze szwagrów zafundował przynajmniej jednego „kohótka" lub „smarkocza", jak nazywano małe buteleczki wódki, pięćdziesięciogroszowe, które

zjawiły się wnet w sklepach i gospodach po przybyciu polskich wyzwolicieli albo okupantów, jak mówili inni. Ojciec, długoletni już i przymusowy emeryt, święcił swoje sześćdziesiąte drugie urodziny i też trochę tej okowity skądś wytrzasnął na poczęstunek przybyłych.

Już przed przybyciem Henryka z żoną i dziećmi Bedrzich cały zatroskany pytał ojca:

— Tatínku, co to teď bude ... Co bude se mnou? S mojí rodinou?

— A co by było — żachnął się ojciec — nic nie bydzie. Żodnymu żeś krziwdy nie robił, bóty żeś dobrze ludziom sprawowół, szył nowe na maszynie, kieróm żech ci kiejsik podarowoł ... tóż bydziesz dali ludziom bóty naprawiół ... Nic sie nie bój ... dzierż se szewcze kopyta tak, jak żech ci dycki prawił ...

— No jo, ale ...

— Żodne ale — przekonywał go ojciec — jo cie nie dóm skrzywdzić. To nic, żeś je Czechym ... Głównie żeś je człowiekym ...

— Nó, wypijmy se na zdrowi — dodał.

— Tatínku, já vás mám všechny velmi rád — zaczął znów Bedrzich, ale ojciec mu raźno przerwał: — Dyć wiysz, że ciebie my nigdy w niczym nie skrzywdzili a wszyscy cie mómy radzi ... Tak co?

Tyle sobie Józek zapamiętał z rozmowy ojca z Bedrzichem. Później, kiedy przyszedł Henryk z rodziną i wszyscy zaczęli ojcu gratulować, przekomarzać się, mówić jeden przez drugiego, bo to i kobiety swoje, a mężczyźni swoje, trudno się było połapać w tej nieparlamentarnej dyskusji. Tu polityka, tam zaś kobiety o dzieciach, nowych cenach w sklepach itp.

Po zakąsce i którymś tam z rzędu kieliszku, kiedy to kobiety dalej toczyły swoje rozmowy w kuchni, a mężczyźni obsiedli stół w pokoju, Józkowi udało się zanotować w pamięci strzępki ich rozmów:

— Foter — grzmiał rozochocony zawartością kieliszka Henryk, znany ze swoich radykalnych bolszewickich zapartywań — Foter, mówiym wóm, że polsko i czesko burżuazyja to jedyn a tyn sóm miech ... Robotnik, hawiyrz bydzie musioł dycki na te pakaż pańską robić ...

— Ja, ja — wrzasknął do tego Antoni — Hańdrych mo prowde!

— Widzicie, aji Tónik wóm to potupluje — zaradował się Henryk — ale borok Bedrzich ...

— Czymu borok? — oburzył się ojciec ...

— E, raczy nic wóm nie powiym — zastanawiał się Henryk — ale ...

— Wol, wol całóm prowde — podjudzał go Antoni.

— Tóż tak — zaczął Henryk — prowda je tako. Oto nikierzi narwańcy tam jednymu już okna wytrzaskali ... a mówi sie, że nikierych wywiezóm do Protektoratu ...

— Co? Kogo? Za co? — pytał zdziwiony ojciec ...

— Poczkejcie, wszak wóm to Hańdrych wyćmawi — znów doskakiwał do rozmowy Antoni.

— To je tak — wyjaśniał Henryk — tak sie mówi, a cosi na tym je dycki prowdy ...ale to, że Franta już uciyk do Protektoratu, to wy, foter, nie wiycie ...

— Mój syn? Francek? A to czymu? Dyć był Polok? — zaczął głośno rozmyślać ojciec ...

— Ja, był Polok, taki jak my, ale — trochę ociągając się mówił Henryk — ale niech wóm to powiy Tónik!

— To je tak, jo sie dziepro wczora dowiedzioł ... ale je to prowda — już spokojniej wyjaśniał Antoni — nó, dyć wiycie, że ón ciągnył fest z kómónistami ... ze Śliwką jedna ręka a snoci taki dostali rozkaz ... bo to Polocy, nó myślym ni ludzi ale reżim, tak jednym słowym ... w Polsce je fura kómónistów pozawiyranych ... tóż tak to je.

Twarz ojca posmutniała. Widać było, jak ciężko się z tym oswajał. Niewesołą minę miał też Bedrzich, siedzący jak na tureckim kazaniu. Rozmowa przygasła tak, że było wyraźnie słychać dochodzące zza drzwi debaty kobiet ...

— Jo, jo tatínku — odezwał się nieśmiało Bedrzich, dotychczas biernie przysłuchujący się rozmowie — tak to je na světě, jedni se radují a druhým je do pláče ...

— Nie kwiancz, Bedrzich — ofuknął go Henryk — dyć ci sie tako krziwda nie dzieje ... Ty za każdego reżimu możesz klepać na kopycie te swoją biyde ... A ciebie żodyn nie wyganio ...

— Ani żeś nima w żodnej organizacyji — dodał Antoni — tak co sie smolisz ... Tyś nima Franta i nie musisz nikaj uciekać ... Do ciebie dycki jakosi ta robota bydzie ... Gorszy z nami, z Hańdrychym, bo jak zastawióm szachty i węgli bydom fiedrować jynym na Górnym Śląsku ... nó a co potym zy mnóm, takim bezrobotnym Frónckym, z Jozefym, kiery ni mo jeszcze ani tela wyrobióne, aby dostoł jakóm podpore ...

— No to nalyjcie, foter — przerwał te dumania Henryk — niech sie robi już co chce ... Napijmy se na kuraż ... Niech to diabli!

Józek, też trochę zatroskany, wyszedł na dwór między dzieciaki, którym problemy rodziców nic nie ubierały na wigorze i zabawie.

(...)

Pierwszy wrześniowy ranek był słoneczny i pogodny. Tylko ulicami już od nocy parły wojska jakby w ucieczce. Szli żołnierze, konie, jechały samochody, czołgi, armaty i pierwsi uciekinierzy cywile. Żydzi zamykali sklepy jeden po drugim. Ludzie otwierali okna, patrzyli na rosnący zgiełk i podlegali panice.

Ojciec Józka, który wczesnym rankiem wyszedł na ulicę, wrócił roztrzęsiony i płaczliwym głosem oznajmił matce: „Wojna!" Potem zwalił się na krzesło i nawet nie był w stanie zapalić papierosa, tak mu się ręce trzęsły. Matka złożyła ręce jak do modlitwy i powtarzała



rys. TADEUSZ RAMIK

tylko w kółko: — Jezusie święty! Co teraz bydzie? Boże mój! — Też nie wiedziała, co począć. Tylko Józek nie potrafił sobie w pełni uświadomić słowa „wojna". Wybiegł popatrzeć na ulicę. Stał i patrzał, słuchał ludzi, narzekania ... Wrócił wreszcie do domu, jak by już nie do swojego ...

Dyrektor szkoły krzyczał na ojca, że trzeba zabezpieczyć magazyn z maskami i przyrządami obrony cywilnej, że trzeba to i tamto ... nie wpuszczać dzieci ani nauczycieli do szkoły, zamknąć szkołę itd., sam też nie wiedząc, co robić i kto to ma robić ...

Pod bocznymi drzwiami lewego skrzydła stała furmanka, do której ładowano karabiny i amunicję, znajdującą się w piwnicznym magazynie szkoły. Jacyś policjanci, cywile i paru chłopców z przysposobienia wojskowego, nie pytając nikogo, rozbili drzwi do magazynu z bronią i opróżnili go pośpiesznie. Potem odjechali razem z furmanką.

Przez otwarte okno mieszkania dyrektora słychać było radio. Powtarzała się informacja o napaści hitlerowskich Niemiec na Polskę, o niewypowiedzianej wojnie, bombardowaniu i odpieraniu ataków wroga. I znów głos z radia powtarzał: Karol, czekolada, nadchodzi — i tym podobne szyfry.

Józek słuchał pod oknem. Słyszał też kilkakrotnie zawodzenie pani dyrektorowej oraz samego dyrektora. Józka zaskoczyło jednak to, jak dyrektor rozmawiał po niemiecku z ojcem Ingi: Herr Lehrer, wie spät es ist? Und was sagen Sie dazu ...? Józek wiedział, że Inga wyjechała już przed tygodniem ... nie zobaczył jej już od tamtego zdarzenia ...

— Józek — wołała matka — pódź do dómu ... Zaroz — dodała.

— Nó powiydz, tata, jak jest — zwróciła się z płaczem do ojca.

— Podziwej sie, Józek — zaczął ojciec jakimś zmienionym głosem. — Niymcy idóm od Ostrawy ... wszyscy ludzie uciekają, dyć to widzisz na ceście ... mówią, że młodych zawiyrają albo bieróm do wojska i do jakigosi Arbeitsdienstu ... Tóż my se z mamą tak domówili, że było by dobre, abyś na jakisi czas sie kaj zdekowoł ... Mówią ludzie, że Niymcy zabieróm jynym Zaolzie ... bo to niby je jejich ... Nó, szeł byś do ujca w Libiążu — wtrąciła płaczliwie matka ...

— Nó, popytoł byś ujca Teofila, aby cie niechoł u siebie kierysi czas — wyjaśniał dalej ojciec — a pozdrowisz go tam pieknie od nas ... A potym, dyć tego ujca znosz, ón cie mo strasznie rod ... W Libiążu sie tam już dopytosz na Teofila ... bo Niymcy tu mogą być każdą chwile ... Trzeba uciekać ... a o nas sie nie starej ... my są już starzi i nie bydymy nigdzi uciekać ...

Józek szybko przebrał się w jedyne porządniejsze ubranie, jakie posiadał, granatowe w paski, wziął dwie kromki chleba na drogę, które mu matka przygotowała, bo nie była w stanie ugotować w tym dniu obiadu, wsunęła mu w rękę dwudziestozłotowy banknot i żeg-

nała tak, jakby się już nigdy nie mieli zobaczyć. Ojciec też był wzruszony i wsunął mu do kieszeni jeszcze trzy złote i parę groszy, jakie zdążył znaleźć.

Józek poszedł nie oglądając się za siebie. Paliły go łzy i nie chciał jeszcze bardziej utrudniać rozstania. Wessał go momentalnie tłum ulicy, szedł z prądem apatyczny ... W głowie miał chaos. Opamiętał się trochę przed zerwanym mostem we Frysztacie. Teraz sobie nawet przypomniał tę detonację, którą słyszał przed południem. To demolowano mosty na Olzie. Popołudniowe słońce przygrzewało jeszcze mocno, kiedy z trudem przedostawał się po zerwanym moście na drugi brzeg.

Prąd ludzi niósł go jak rzeka zerwany listek z drzewa, nieświadomy dokąd płynie i po co. Nie zauważał ludzi koło siebie, ich rozmów, byli dla niego obcy, tak jak obcy był od kilku godzin sam sobie ... Nie odczuwał nic. Kroczył jak po spożyciu sporej dawki narkotyków. Przez myśli przechodziły mu zapomniane obrazy dziecięcych lat, troskliwa twarz matki i ojca, których — uświadomił to sobie teraz ostrzej — naprawdę kochał tak bardzo ...

Fragmenty powieści „Dojrzewanie głogu", 3. nagroda ex aequo w Konkursie Literackim SLA z okazji 40-lecia PZKO

WILHELM PRZECZEK
JAN PYSZKO

MALOWANKI

(wiersze dla dzieci)

IDZIE JESIEŃ

Idzie jesień
złota od słońca,
do wszystkich dzieci
wysyła gońca:

„Już wrzesień!"

A las szumi:

Koniec wakacji ...

Szkoła,
szkoła

Do nauki już czas!

KAP, KAPU, KAP

Smutno gdy plucha,
wiatr w polu dmucha.
W liściach deszcz gwarzy:
kap, kapu, kap ...
Nadciąga chmura,
szara i bura.
W liściach deszcz gwarzy:
kap, kapu, kap ...
Kapuśniak, słota
i pełno błota.
W liściach deszcz gwarzy:
kap, kapu, kap ...
Niebo dziurawe,
a gdzieś nad stawem
śpiewa piosenkę
chór smutnych żab.

CZTERY PORY ROKU

WIOSNA
odurza,
pachnie kwiatem czeremchy.
Sypie się róż
jabłoni,
śliw
i grusz.

LATO
kąpie się w słońcu
jak niebo w potoku
Na polanach
rozbrykane
trzmielów,
pszczół i ptaków,
wielkie granie.

JESIEŃ
to wrzosy i wrzesień.
Październik
mrozem zwarzył buki.
Zagorzały czerwienią.
Bombkami wiszących jagód,
krzaki przy drogach się mienią.

ZIMA
wiatr.
Przygnał chmury bure.
Księżyc nachmurzył groźnie czoło,
wspiął się na drzew korony
i krzyknął,
huknął:
„NA KOŃ WIATRY!
PO BIAŁE RUNO!"

Poleciały ...!

Biała NOC ...!

Kozubowa głowę chowa,
pod puszysty,
biały koc.

ZIEMIA RODZINNA

Ziemia rodzinna jak księga.
Otwórz ją i patrz ...!

Każda jej kartą
jest inna.
Oczom nie wierzysz —
ile tu piękna.

Karta za kartą —
Wieki,
malowane sercem i pracą.

Patrz! O, tu:
Złote literki pszenicy wiatr kołysze.
Będzie chleb na stół.

Srebrzy się ziemia nitkami potóczków,
modrzy się płynąca wstęga:
do Odry,
Bałtyku.

Ziemia jak księga,
jak człowiek,
jak serce
otwarta.
Kochaj ją,
szanuj jak brat brata —

To duma!
bogata.

SNY

Idzie wieczór już,
nocka tuż, tuż, tuż.
Sny przychodzą i kołyszą,
dzieciom nocne bajki piszą.

Sypie sypie mak,
Bajbajbaju skrzat.
Zasypiają wszystkie dzieci,
złoty księżyc w oknie świeci.

Wyróżnienie w Konkursie Literackim z okazji 40-lecia PZKO

ADAM SZOP

Z cyklu „Kanikuła"



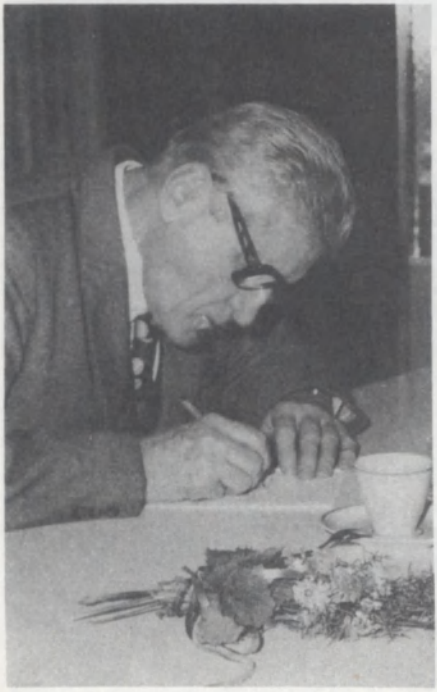






TŁUMACZE LITERATURY POLSKIEJ

MILAN RUSINSKÝ



Urodził się 10 lutego 1909 w Litowlu. Po studiach na wydziale filozoficznym Uniwersytetu Karola w Pradze kontynuuje naukę w Münsterze. Następnie przebywał w Niemczech i we Francji.

Do literatury czeskiej wpisał się po raz pierwszy tomem opowiadań „Powrót" (Návrat, Praha, 1933). Kolejno pojawiają się jego powieści: „Błędny ognik sławy", „Głodowe dni", „Droga do gór", a także zbiór felietonów „Ziemia wita człowieka". Po wyzwoleniu pisze scenariusz do filmu „Ostatni wystrzał", uprawia drobne formy pracy literackiej. Potrafił zrezygnować z wielkich aspiracji literackich i poświęcić swój talent i energię twórczą żmudnej, często niewdzięcznej i niedocenianej pracy publicysty, recenzenta i kronikarza życia kulturalnego w Ostrawskiem. Bardzo żywo reaguje na wszystkie przemiany w literaturze, sztuce i życiu teatralnym.

Milan Rusinský jest również utalentowanym tłumaczem. Przekłada z literatury polskiej i niemieckiej. Z ważniejszych polskich tłumaczeń należy wymienić „Damy i huzary"

Aleksandra Fredry, powieść Ścibora-Rylskiego „Węgiel", cały szereg opowiadań Gustawa Morcinka i powieść T. Dołęgi-Mostowicza „Znachor".

Przez długie lata pracuje w Radiu Ostrawskim, gdzie zajmuje się literaturą. Niejedną audycję poświęcił twórczości literackiej na Śląsku Cieszyńskim. Na uwagę zasługuje także jego długoletni kontakt z Sekcją Literacko Artystyczną PZKO. Bardzo blisko współpracował nie tylko z Henrykiem Jasiczkiem, ale przyczynił się również na swój sposób do odkrycia talentów Wilhelma Przeczka, Wiesława Adama Bergera czy też Władysława Sikory.

M. Rusinský zasłynął też jako krytyk literacki oraz historyk literatury. Przez szereg lat był sekretarzem oddziału Związku Literatów Czeskich w Ostrawie. Zawsze dążył do współpracy ze środowiskiem katowickim, pośredniczył i inicjował wymianę przekładów współczesnej literatury polskiej. Za swoją działalność w dziedzinie literatury otrzymał wiele odznaczeń i nagród.

W. P.: Jak rozpoczęła się pana praca tłumacza?

MILAN RUSINSKÝ: Mimo że urodziłem się w hanackiej miejscowości Litovel, moi rodzice pochodzili z obszaru opawskiego Śląska, gdzie spędziłem swoje najwcześniejsze dzieciństwo u babki, otoczony łagodnym śląskim dialektem, który ma tyle podobieństwa do polskiego narzecza. Tak więc już we wczesnym dzieciństwie spotkałem się z językiem polskim i nie stanowiło dla mnie żadnej trudności porozumiewanie się w tym języku. Do tych spotkań doszło jeszcze w czasie pierwszej wojny światowej. Na terytorium opawskie przybyło wielu uciekinierów z Polski, kiedy wydarzenia wojenne zbliżały się do Krakowa. Właśnie wśród dzieci polskich mieliśmy wielu kumpli zabaw. Porozumiewaliśmy się pomiędzy sobą dziwacznym konglomeratem językowym. Właśnie wtedy, na pewien czas, znalazłem się razem z matką w typowo polskim środowisku. Przebywaliśmy w Bielsku, gdzie ojciec leczył się w szpitalu dla oficerów. Pytał pan jednak o początki pracy tłumacza literatury polskiej. Otóż po studiach na wydziale filozoficznym w Pradze wyjechałem do Niemiec. W Münsterze założył prof. Karl H. Mayer seminarium słowiańskie, w którym zajmowaliśmy się przede wszystkim literaturą polską i analizowaliśmy polskich romantyków, studiując w tym prywatnym seminarium języki słowiańskie. Przeważali tam studenci polscy. Już wtedy rozpocząłem tłumaczyć dobrą polską prozę, felietony i opowiadania. Nawet nie wiem, co i ile z tego zostało opublikowane na łamach najróżniejszych czasopism. Szczególną opieką otaczał mnie wtedy dr Vojtěch Martínek, pracujący w „Dzienniku Morawsko-Śląskim", który sporo z tych przekładów opublikował.

— W jaki sposób pogłębił pan znajomość języka polskiego?

— Po pierwszej wojnie światowej znalazłem się w Ostrawie. Tu znowu miałem kontakt z językiem polskim. Teść właściciela domu, w którym mieszkaliśmy, był Polakiem. Siadaliśmy często w ogródku i on bardzo ciekawie opowiadał. Oczywiście — nie mówił językiem literackim, ale w narzeczu, które było tak bliskie wspomnieniom mojego wczesnego dzieciństwa. Kiedy rozpoczynałem studia wyższe w Pradze, na wydziale bohemistyki, obowiązywało nas dwuletnie studium co najmniej dwu języków słowiańskich. Wybrałem język polski i rosyjski. Polskiego nauczał lektor dr Zelenka, którego wkrótce zastąpiła energiczna pani doktor Iza Šaunowa. Właśnie ona kładła wyraźny nacisk na praktyczną naukę języka, akcentowała przede wszystkim konwersację. Asystentem w seminarium słowiańskim był wtedy młody doktorant Karel Krejčí, późniejszy znakomity polonista. Zainteresowały mnie również bardzo ciekawe wykłady profesora

Mariana Szyjkowskiego, na których bywałem często, chociaż nie były one odnotowywane w indeksie.

— Czy w trakcie wyboru autora do tłumaczenia decyduje temat, osobista sympatia czy też przypadek?

— Po powrocie ze studiów i podróży po Niemczech i Francji, w połowie roku 1933, otrzymałem posadę w ostrawskiej rozgłośni radiowej. I tu otworzyły się dla mnie szerokie możliwości nawiązania osobistych kontaktów z polskimi autorami, którzy żyli i tworzyli w okręgu ostrawskim. A było ich wtedy wcale niemało. Z przyjacielem Jaroslavem Závadą, bratem poety Viléma Závady, planowaliśmy wydanie almanachu tych autorów. Szkoda, że skończyło się na tym zamiarze. Nawiązałem ponownie kontakt z poetą Adolfem Fierlą, którego poznałem jeszcze w czasie praskich studiów i z którym jeszcze przed wojną wspólnie odwiedzaliśmy Katowice, Kraków i Opole. Zwrócił mi wtedy uwagę na cały szereg pozycji, które później przetłumaczyłem. Urządziliśmy w Ostrawie w Domu Sztuki wieczór poezji polskiej. Potem pokazało się kilka moich znaczących przekładów z języka niemieckiego (Scholtis, Glaser, Strauss i in.), ale nie udało mi się wtedy wydać żadnej pozycji książkowej tłumaczonej z języka polskiego. Dopiero w roku 1938 dr Josef Träger przeforsował w praskim wydawnictwie „Melantrich" moje tłumaczenie „Znachora" Dołęgi-Mostowicza, ale potem przyszła okupacja i wszystkie tłumaczenia z języka polskiego zostały zakazane.

Po wyzwoleniu starałem się jak najprędzej nawiązać na nowo przerwane kontakty osobiste z polskimi twórcami. Już w roku 1945 wyjechałem do Katowic i zobaczyłem zniszczone przez wojnę terytorium Polski. W roku 1947 zostałem wysłany przez ostrawską rozgłośnię na pobyt studyjny do Polski. Poza Lubelskim przejechałem wszystkiem regiony kraju. Wykorzystałem swój pobyt w Katowicach do nawiązania przyjaźni literackich. Wtedy właśnie został w Katowicach utworzony oddział Związku Literatów Polskich. Poznałem prezesa, późniejszego świetnego tłumacza literatury czeskiej, dr. Zdzisława Hierowskiego i bardzo aktywnego redaktora i pisarza Wilhelma Szewczyka. Wynikiem tych kontaktów był pierwszy wyjazd pisarzy ostrawskich do Katowic. Przetłumaczyłem wtedy z języka czeskiego na polski wiele utworów pisarzy ostrawskich, które pokazały się w specjalnym numerze „Zarania Śląskiego". Po rewizycie pisarzy polskich w Ostrawie znowu tłumaczyłem kolejne utwory polskich pisarzy na język czeski, wykorzystano je na spotkaniach autorskich. Wtedy też zaczęły się pojawiać moje przekłady. Wydawnictwo „Odeon" w Pradze opublikowało moje tłumaczenia powieści A. Ścibora Rylskiego „Węgiel" (Havíři z Anny Veroniky), praski Teatr Realistyczny wystawił moje tłumaczenie sztuki A.Fredry „Dámy a husaři" itd.

— Utrzymuje pan kontakt osobisty z autorem, którego pan tłumaczy?

— Tak. Zawsze, kiedy to tylko było możliwe. Trudno mi wyliczyć tłumaczenia wszystkich drobnych utworów, które są rozsiane w czeskiej prasie literackiej. Zaprezentowałem tam wszystkie nazwiska związane ze Śląskiem polskim i czechosłowackim. Nie zostało spełnione moje marzenie, żeby przetłumaczyć jakiś utwór polskiego pisarza, robotnika-samouka Jana Brzozy, nie wydano mojego tłumaczenia powieści górniczych Leona Wantuły. Pokazał się natomiast przekład powieści L. Bielasa „Slavná jak Sarajevo".

— Pana osobiste wyznanie . . .

— Przetłumaczyłem wiele opowiadań Gustawa Morcinka, naszego rodaka z Karwiny. Nie zdołałem zrealizować przekładu jego „Czarnej Julki", powieści kontrowersyjnej, znakomicie oddającej atmosferę z przełomu stulecia w naszym okręgu . . . Tłumaczenie z języka polskiego, z języka tak bliskiego, jakim jest polski, jest sprawą niezwykle odpowiedzialną. Dobre tłumaczenie powinno prowadzić czytelnika, a nie zaciemniać sensu. Moje tłumaczenia z polskiego, czeskiego, francuskiego, słowackiego przyniosły mi wiele satysfakcji, ale również sporo kłopotów. Wzbogaciły mój język macierzysty, a także mnie osobiście wiele nauczyły.

— Dziękuję za wywiad.

WILHELM PRZECZEK

OKIEM RECENZENTA

PLASTYCY SLA W ROKU JUBILEUSZOWYM

Plastycy SLA, Galeria im. Manesa Miejskiego Domu Kultury w Karwinie-Nowym Mieście, 14 — 31. 5. 1987

Wystawa prac plastyków SLA urządzona w maju w karwińskiej Galerii im. J. Manesa z okazji 40-lecia PZKO nie była typowym przykładem wystawy jubileuszowym. SLA również obchodzi swoje czterdziestolecie i mogłaby pokazać przekrój swojej długoletniej działalności, jak to się czyni zwykle w podobnych wypadkach. Zamiast tego plastycy zaprezentowali wybór swoich nowych i najnowszych prac. Nie wystawiali zresztą wszyscy członkowie sekcji, ale ich część. Zapewne SLA postanowiła pokazać, co ma najlepszego. A co ma najlepszego SLA w roku jubileuszowym? Ma więc swoje stałe atuty: poetycko-wizyjne malarstwo Bronisława Liberdy, precyzyjne, wysmakowane, choć nie pozbawione fantazji ekslibrysy Zbigniewa Kubeczki, obrazy Bronisława Firli, dość różne, z najlepszym wśród nich „Oczekiwaniem na wiatr" o nastroju sennego marzenia, nowe obrazy Stanisława Krausa, który tym razem postanowił mnożyć treści i znaczenia za pomocą jednego tematu — gmachu Gimnazjum w Orłowej. Ten sam motyw, malowany w różnych ujęciach, w odmiennej kolorystyce, inaczej modelowany stwarza okazję do całej gamy różnorodnych wzruszeń. Oskar Pawlas wystawił kilka swoich obrazów, jak zwykle świadczących o wielkiej zachłanności autora na malowanie. Pośpiech, z jakim Pawlas stara się utrwalić krajobraz jednej ulotnej chwili, widoczny jest w jego kresce, w poruszeniu, jakie zwykle panuje na jego obrazach. Józef Drong poszukuje własnej formuły pejzażu. W swoich obrazach rozwiązuje głównie problemy malarskie — szuka właściwego koloru mieszając barwy ze sobą, odpowiedniego światła. Jan Rusnok nadal, w zwyczajnym realnym pejzażu, tropi sensy kosmiczne. W jego bardzo malarskich krajobrazach nie ma miejsca na drobiazgowość. Jego wizja świata dąży do uogólnień. Przed zbytnim patosem chroni ją jednak realizm kształtu, a czasem nierealność koloru.

Malarstwo pejzażowe każdy w swoim rodzaju prezentują Władysław Pasz i Tadeusz Wratny. Ten pierwszy maluje tradycyjnie, z dbałością o dokładne odwzorowanie natury, drugi pejzaż stylizuje, tworząc jakby dekoracje z kolorowych klocków. Rudolf Kobiela i Józef Kneis przedstawiają studia portretowe, w obu wypadkach szkicowe, będące jakby wstępem do jakichś większych prac. Jedyny w tym gronie rzeźbiarz, Walter Taszek, prócz

nowych obrazów pokazał znane już pewnie z innych wystaw rzeźby. Drewniane, często polichromowane kompozycje Taszka stanowią przykład miękkiego, organicznego formowania przestrzeni. Z młodszych autorów SLA wystawiła jeden obraz Halina Szkopek. Jest to znowu abstrakcja, lecz tym razem aluzyjna, zmierzająca ku jakiejś metaforze, stanowi chyba krok naprzód w rozwoju tej autorki.

Najmłodszy wiekiem i stażem członkowskim w SLA jest na tej wystawie Roman Chmiel. Uprawia grafikę, zaprezentował kilka swoich prac wykonanych techniką mieszaną i techniką akwaforty z akwatintą. Są to prace o dość wyraźnie określonym charakterze, o nieco przytłumionej ekspresji.

Jaki obraz SLA współczesnej daje zatem ta wystawa? U swoich najstarszych członków ukazuje rezultaty ich długoletniej działalności, do jakich konsekwencji doprowadziły ich twórczość wytyczone przez nich linie rozwoju. U młodszych wskazuje kierunki, w jakich może pójdzie dalszy rozwój twórczości. Ukazuje różnorodność stylów, tendencji i wielość możliwości, jakie daje jeden temat malowany tą samą techniką. A. M. R.

ZBIGNIEW KUBECZKA: Ekslibrisy





WĘDRÓWKI NAZEWNICZE

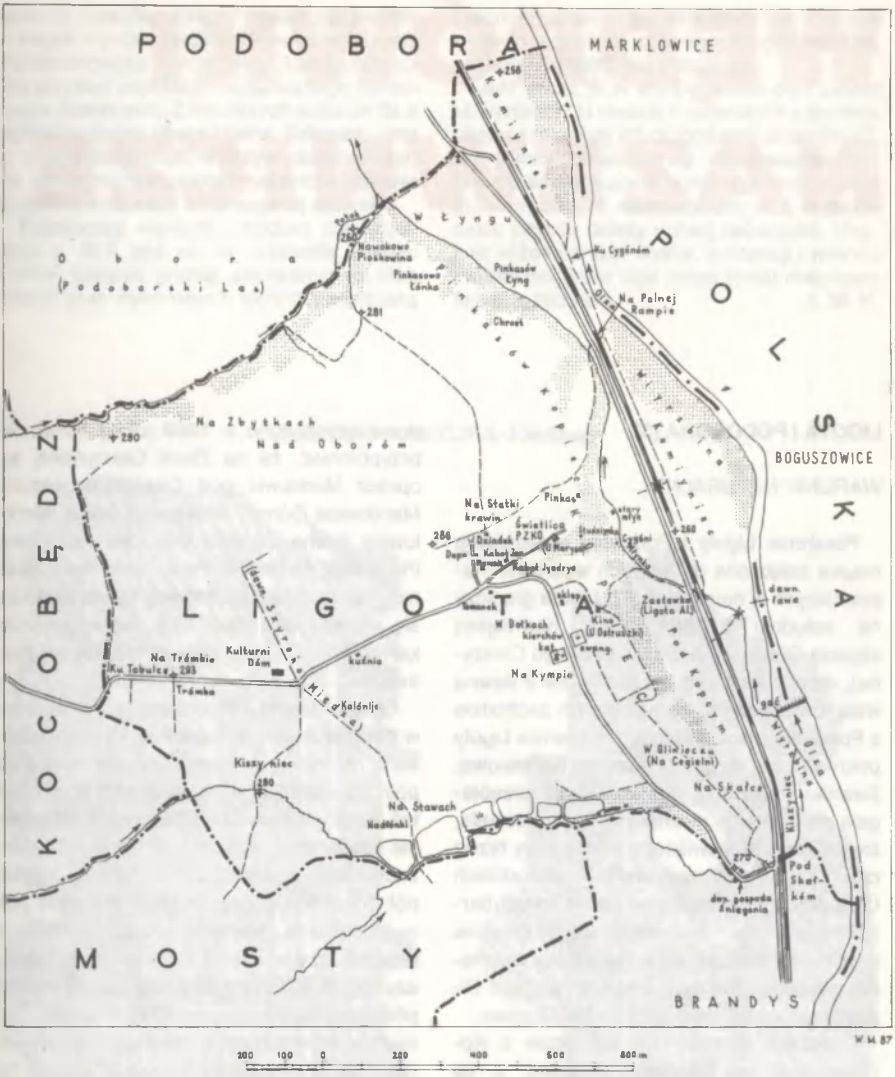
LIGOTA I PODOBORA (3)

WARUNKI NATURALNE

Położenie Ligoty i Podobory przedstawia mapka załączona do naszych wędrówek nazewniczych w numerze 8/87. Ligota graniczy na południu z Brandysem, dawniejszą częścią Cieszyna (później Czeskiego Cieszyna), dalej z Mostami, na zachodzie z dawną wsią Kocobędzem, na północnym zachodzie z Podoborą, na wschodzie zaś granica Ligoty pokrywa się teraz z granicą państwową. Dawniej wschodnia granica Ligoty przebiegała po krawędzi nieznacznego wzniesienia, tzw. ***Kopca,*** stanowiącego kiedyś lewy brzeg rzeki Olzy. Po licznych wielkich powodziach Olza przesunęła zapewne swoje koryto bardziej na wschód, wdzierając się do gruntów dawnej wsi Boguszowice. Na skutek tego teren pomiędzy ***Kopcym*** a nowym biegiem Olzy należał aż do roku 1920 do Boguszowic.

Podobora graniczy na zachodzie z Kocobędzem, na północy z Łąkami, a na wschodzie granicę stanowi rzeka Olza, której środkiem również tutaj przebiega granica państwowa. Za Olzą, w Polsce, leżą Marklowice, które w roku 1977 zostały włączone w granice administracyjne Cieszyna. (Markłowice są znane z dużego i nowoczesnego zakładu chemicznego, jakim jest Cieszyńska Fabryka Farb i Lakierów „Polifarb". Jej budowę zakończono w 1969 roku.) Trzeba tu przypomnieć, że na Ziemi Cieszyńskiej są oprócz Marklowic pod Cieszynem jeszcze Marklowice Górne i Marklowice Dolne. Marklowice Górne są wsią położoną nad rzeką Piotrówką, na terenie Polski, przy samej granicy państwowej. Marklowice Dolne znajdują się również nad Piotrówką, ale w powiecie karwińskim. Od roku 1952 są częścią wsi Piotrowice.

Obszar Ligoty i Podobory jest rozłożony w obrębie Pogórza Śląskiego, którego zrównana na ogół powierzchnia opada zwolna ku północy. Teren obu miejscowości obniża się też nieco w stronę Olzy. Najwyższe wzniesienie Ligoty (293 m) znajduje się w tej części zachodniej, a najniższe (256 m) w części północnej nad brzegiem Olzy. Podobnie jest w Podoborze. Najwyżej położone miejsce (298 m) leży w części zachodniej, a najniższy punkt (250 m) znajduje się w części północnej nad brzegiem Olzy. Różnica pomiędzy najwyższym i najniższym wzniesieniem na terenie Ligoty wynosi 37 m, zaś na terenie Podobory deniwelacja wynosi 48 m. Nie powinno ujść naszej uwadze jednak to, że teren wznosi się w tych miejscowościach bardzo stromo z szerokiej pradoliny Olzy do przyległego na zachodzie obszaru lądowego. Na odległości 50 — 100 m teren podnosi się tutaj o około 25 m, podczas gdy dalej na zachód są wzniesienia bardzo łagodne. To jest



Mapka topograficzna Ligoty

cechą charakterystyczną ukształtowania pionowego obu miejscowości.

Wszystkie wody z terenu Ligoty i Podobory spływają do rzeki Olzy. W południowej części Ligoty płynie potok ***Kiszyniec***, drobniejsze strumyki wypływające spod Kopca zbiera ***Młynka,*** do której wpada też ***Potok***, stanowiący granicę między Ligotą i Podoborą. Na terenie Podobory wpływa do Młynki ***Targacz*** i dalszy bezimienny potoczek. Z po-

wodu obniżania się terenu w Łąkach, spowodowanego robotami górniczymi, został wstrzymany dopływ wody z Olzy do Młynki. Młynka jest teraz przez większą część roku na terenie Ligoty wyschnięta i co gorsza bardzo zaniedbana, bo nikt się już teraz o nią nie troszczy. W jej korycie leżą suche badyle, gałęzie i nawet wywrócone drzewa. W czasie długotrwałych deszczy materiały te tamują przepływ wody, spiętrzają ją, powodują wystąpienie wezbranych wód z brzegów Młynki i zalanie obszarów położonych wzdłuż jej brzegów. Klęską takich powodzi nawiedzane są najbardziej tereny znajdujące się na pograniczu Ligoty i Podobory. Są to sprawy bardzo uciążliwe dla pobliskich mieszkańców, zwłaszcza dla ludzi starych, którzy czują się w tej sytuacji bezsilni i nieraz zrozpaczeni.

Z wód stojących mamy na terenie Ligoty obecnie sześć stawów utworzonych sztucznie nad potokiem Kiszyńcem. Liczba stawów wzrosła dzięki staraniom Związku Rybackiego. Wielki wkład pracy w dzieło założenia tych stawów po ostatniej wojnie wnieśli m. in. Józef Kula, b. prezes ZG PZKO, i Zwierzyna. Stan zagospodarowania poszczególnych stawów jest jednak różny. W Podoborze znajduje się mały stawek w pobliżu fermy drobiarskiej.

DALSZY CIĄG WĘDRÓWKI

Od przystanku autobusowego ***Przi Budce*** przechodzimy na teren Ligoty ***Kocobynckóm Cestóm,*** *kiero była kiejsi gminnóm cestóm.* Dawniej autobusy do Kocobędza nie jeździły, więc nie było też budki na przystanku autobusowym. W jej miejscu stał kiedyś słup z tabliczką informującą, że do Kocobędza jedzie się w lewo. Gdyby tej tabliczki nie było, mogliby obcy furmani zajechać zamiast do Kocobędza do Łęckiego Lasu. Od tej tabliczki pochodzi dawniejsza nazwa tego miejsca ***Przi Tabulce, Ku Tabulce.*** (Staropol. *tabulka* 'tabliczka', z łac. tabula.)

Znajdujemy się na największym wzniesieniu Ligoty: kota 293. Nazwa tego wzniesienia nie jest wprawdzie znana, ale z jednej przesłanki (ujawnionej przez Ewę Szromek-Holubową) można dedukować, że jego dawna nazwa brzmiała ***Trómba.*** Rolnik Paweł Mrózek miał w tych miejscach pole nazywane ***Na Trómbie;*** jechał orać ***Na Trómbe.*** Cóż ma trąba do kępy — pomyśli ktoś. Otóż łączność istnieje. „Iść na trąbę" oznaczało iść na stróżowanie nocne z trąbą. Podczas żniw przede wszystkim wysyłano chłopa „na trómbe", czyli na „nocnóm wache", aby z najwyższego wzniesienia (może z wieży strażniczej na tym wzniesieniu postawionej) mógł łatwo dostrzec pożar, określić jego miejsce i trąbić na alarm.

Z *Trómby* widzimy płaską lub miejscami lekko falistą równinę, a na niej piękne łany zbóż i innych roślin uprawnych. Dopiero na samej północy, ***Przi Oborze,*** *kaj mieszko Zosia Szuścikowo,* jest kilka domów zbudowanych ***Na Zbytkach*** (staropolskie *zbytek* 'ostatek, pozostałość, resztka, resztówka'). Dojść lub dojechać tam można dróżką nazwaną ostatnio ***Brzozowa.***

Idąc dalej w stronę centrum Ligoty mijamy po lewej okazały ***Kulturni Dóm*** (Dom Kultury), zbudowany pod koniec lat siedemdziesiątych, na którego scenie zespół teatralny PZKO z Kocobędza wystawia corocznie sztuki wyćwiczone przez jego długoletniego reżysera inż. Tadeusza Wacławika. Za Domem Kultury wkraczamy na pierwsze skrzyżowanie dróg. Jedna dróżka prowadzi na południe w stronę ***Kiszyńca.*** Osada ***Kiszyniec*** była zanotowana w roku 1804 przez Kneifla jako ***Kischenetz.*** Kiszyniec to nazwa dzierżawcza pochodząca od cieszyńskiej nazwy osobowej Kisza. W pobliżu Kiszyńca znajduje się dom zwany ***Mołdrzikówka.*** *Mieszkoł tam Kabot z Mołdrzikówki.* Jest to nazwa dzierżawcza pochodząca od nazwy osobowej Mołdrzyk, a ta znów od stpol. rzeczownika pospolitego *małdrzyk* 'serek z mleka słodkiego'. (W „Biblii Leopolity", wydanej w r. 1561 w Krakowie, czytamy: *„Weźmi miarę mąki i dziesięć*

małdrzyków". Piotr Krescentyn zaś 'w Księgach o gospodarstwie,' wydanych w Krakowie w r. 1549, pisze: „*Małdrzyki abo krajanki wycisłe po lesicy rozłożyć*"; *lesica* ‚plecionka z wikliny'.)

Ludzie opowiadajóm, że na Kiszyńcu pod nómerym piyrszym była kiejsi za Austryje ksiónżynco gospoda. Po piyrszej wojnie światowej to należało do folwarku. Zarzóndcóm tam był Bajer, kiery był piyrszym Czechym w Ligocie. Teraz to mo statni statek. (Czes. *státní statek* 'państwowe gospodarstwo rolne').

Druga dróżka prowadzi na południowy wschód w stronę ***Stawów, Stawy, Na Stawach.*** Była w tej okolicy też nazwa topograficzna ***Nadłónki*** (prawdopodobnie łąki nad stawami lub nad Kiszyńcem). Jest to nazwa topograficzna przedrostkowa typu Podobora (p. nr 7/87, s. 59). Występuje tu też nazwa kulturowa ***Grobla.*** *Przed Groblóm było źródło.* Dawniej drogi ku stawom nie było; był tylko trawiasty pas między uprawnymi polami, zwany ***Szyroko Miedza.*** *Szyrokóm Miedzóm chodzili kocobyndzanie aj nikierzi olbrachczanie do Cieszyna. Szyroko Miedza szła kiejsi od Stawów kole dzisiejszygo Kulturnigo Dómu prosto aż ku lasu* (las Obora, kota 280). *Rosły na nij stare dymby. Jak sie przichodziło ku lasu w nocy, to tam smykały ludzi nocznice. To były taki światełka.* Szeroka Miedza stanowiła dawniej jeden z ważniejszych miejscowych szlaków komunikacyjnych. W ramach scalania gruntów północną część *Szyrokij Miedze* rozorano pozostawiając część środkową jako drogę dojazdową do samotnego domu w polach (*teraz w nim mieszko Sojkowa*). Nawierzchnia resztek Szerokiej Miedzy została później utwardzona, wobec czego nazwa *Szyroko Miedza* straciła na aktualności, tym bardziej, że po jej wschodniej stronie zbudowano wiele domków rodzinnych (tzw. ***Kolónija***) i nikt z właścicieli tych domków nie lubił wyjaśniać, że mieszka przy jakiejś tam miedzy.

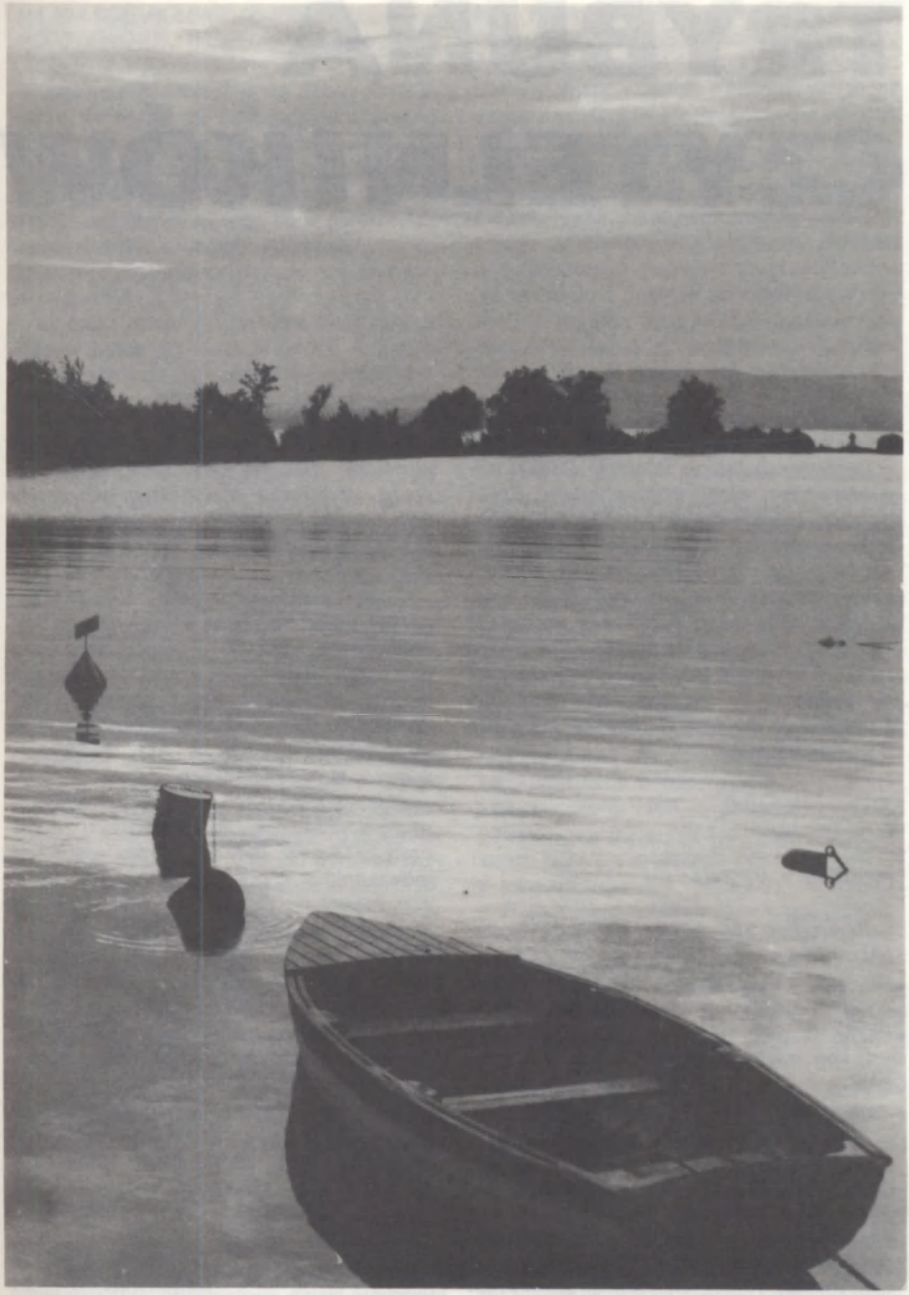
Po południowej stronie Kocobędzkiej Drogi znajdowała się jeszcze po ostatniej wojnie ***kuźnia.*** Jej właścicielem był Paweł Mrózek, *kiery był już za Austryje fojtym na Kocobyndzu, Ligocie i Podoborze. Przed Mrózkym był fojtym Czakoj. Mrózek był fojtym aż do 1938 roku. Potym go ściepali, bo moc cióngnył za Niymcami. To był teść Karola Putniorza.*

Po przebyciu około kilometra drogi dochodzimy do drugiego skrzyżowania dróg i do centrum Ligoty. Po prawej (południowej) stronie, pod numerem 25, znajdowało się gospodarstwo rolne Tomanków. Jego właścicielami byli kolejno: Andrzej Tomanek, po nim Branny Józef, a po nim Józef Tomanek, wykształcony i postępowy rolnik, członek PZKO, pierwszy przewodniczący Jednolitej Spółdzielni Rolnej, późniejszy zastępca przewodniczącego Miejskiej Rady Narodowej w Czeskim Cieszynie. Ze względu na swój łagodny charakter, rozwagę i zalety dobrego gospodarza Józef Tomanek cieszył się pełnym zaufaniem miejscowych rolników. Gdy odwiedzałem w roku 1955 ligockich rolników w celu zjednania ich dla sprawy spółdzielczości rolnej, słyszałem od wszystkich to samo: „*jesi Tómanek wstómpi, to jo też wstómpiym, ale przedsedóm by mioł być Tómanek*" (*przedseda* — z czes. *předseda* 'przewodniczący'). Józef Tomanek istotnie położył później jako przewodniczący JSR duże zasługi w dziele socjalizacji i unowocześnienia gospodarki rolnej swej rodzinnej miejscowości.

Cdn.

WŁADYSŁAW MILERSKI

[1]R. Kneifel: Topographie des kaiserl. königl. Antheils von Schlesien. T. I, Cz. 2., Brünn 1804, s. 181, 229.



fot. OTTO SZLAUER

TRYBUNA CZYTELNIKÓW

Rok jubileuszowy trwa, do początków działalności Sekcji Prawnej, która powstała w pierwszych latach istnienia PZKO, powraca nasz stały korespondent Erwin Jonszta z Hawierzowa-Szumbarku. Publikujemy również wspomnienia Józefa Raszyka, wychowanka frysztackiej polskiej szkoły podstawowej z okazji jej 70-lecia, a także kilka uwag o pracy z młodzieżą w PZKO, rzuconych na papier na początku lat 70. — ich autor, inż. Karol Szlaur doszedł do wniosku, że są one nadal aktualne, i przesłał je do naszej redakcji z prośbą o wydrukowanie.

PRAWNICY W PZKO

W kronice KM PZKO Hawierzów-Szumbark, prowadzonej przez dr. Józefa Przeczka, wyczytać możemy, jaką rolę odegrali prawnicy-Polacy w początkach istnienia PZKO:

Z zawieruchy wojennej ocalało 13 prawników, a byli to: Franciszek Adamik, Franciszek Hanak, Jan Cieślar, Wilhelm Godula, Otton Gottsman, Władysław Kajzar, Józef Pasz, Ferdynand Spiczak, Józef Tkacz, Bronisław Osuchowski, Józef Przeczek, Józef Tkacz, Karol Woźnica. Prawnicy ci spotkali się 22 listopada 1947 w celu ukonstytuowania Sekcji Prawnej przy PZKO. Przewodniczącym sekcji został wybrany dr Józef Przeczek. Na jednym z zebrań postanowiono uruchomić poradnię prawną, której celem było udzielanie członkom PZKO i SMP bezpłatnie porad prawnych w tym trudnym okresie dla tych Polaków, którzy w czasie okupacji przyjęli tzw. Volkslistę, a teraz przyznali się otwarcie do swej polskiej narodowości.

Ci, którzy zadeklarowali narodowość czeską, byli przez ówczesne władze czeskie zrehabilitowani niezwykle ochotnie, tanio i bez przeszkód. Właściwa działalność poradni prawnej rozpoczęła się 1 stycznia 1948. W styczniu udzielono porad prawnych w 96 wypadkach, w lutym w 211 wypadkach, w marcu w 160 wypadkach.

W jakich kierunkach udzielano porad prawnych, dowiadujemy się ze statystyki za styczeń 1948 roku. Były to: sprawy spadkowe, mieszkaniowe, odszkodowań wojennych, obywatelstwa, przemysłowo-rzemieślnicze, konfiskacyjne, emerytalne, małżeńskie, rozwodowe, karne, wyborcze, testamentowe, paszportowe i podatkowe. Widzimy, że wachlarz problemów nurtujących ludność polską po wojnie był bardzo szeroki. Sekcja prawna pisała także petentom różne podania, odwołania od decyzji władz, sporządzano odpisy dokumentów w celu legalizowania ich przed sądem. Za wykonaną pracę w 30 wypadkach odbiorcy złożyli na cele PZKO dar w wysokości 1 425 koron.

ERWIN JONSZTA
Hawierzów-Szumbark

NA 70-LECIE POLSKIEJ SZKOŁY PODSTAWOWEJ WE FRYSZTACIE

Jubileusz 70-lecia Polskiej Szkoły Podstawowej we Frysztacie zasługuje na wzmiankę i zapoznanie się z jej historią. Wprawdzie Jan Szymik wyczerpująco opisał dzieje frysztackiego szkolnictwa w Kalendarzu Śląskim 1987, niezależnie od tego chcę dodać moje spostrzeżenia i uwagi, dotyczące szkoły, w której mury wkroczyłem po raz pierwszy w roku 1923.

Chociaż dzieje szkolnictwa frysztackiego sięgają przełomu wieku XIV i XV, to jednak polska szkoła w tym powiatowym mieście otworzyła swe podwoje dla dziatwy polskiej dopiero we wrześniu 1917 roku. Stało się to na podstawie długoletnich zabiegów i starań Polskiego Komitetu Szkolnego we Frysztacie, które były torpedowane przez zgermanizowaną większość przedstawicielstwa miejskiego. Jako miasto powiatowe, będące siedzibą władz i urzędów, w których dominowali urzędnicy Niemcy, zważywszy poważną liczbę kupców i rzemieślników, rekrutujących się w większości z ludności niemieckiej i doliczywszy do tego majstrów i urzędników ówczesnych zakładów pracy, mamy przed oczyma obraz zgermanizowanego miasta w byłej monarchii austro-węgierskiej. Polakami byli górnicy i robotnicy oraz małorolni chłopi, a więc ówczesny proletariat, będący pod wpływem warstw posiadających, czyli kapitalistów i wyzyskiwaczy. Długo i wytrwale walczyć musieli nasi ojcowie i dziadkowie, zrzeszeni w Polskim Komitecie Szkolnym, by uzyskać zgodę na otwarcie polskiej szkoły.

Kiedy wreszcie w roku 1917 otwarto dwie klasy pięcioodziałowej polskiej szkoły prywatnej, przeszło do niej z Podwójnej Publicznej Szkoły Ludowej (niemiecko-polskiej) 39 dziewcząt oraz 42 chłopców. Od tego czasu datuje się etap polskiego szkolnictwa w powiatowym mieście Frysztacie. Dzisiejszą spadkobierczynią długoletnich tradycji polskiego szkolnictwa w tym mieście jest Polska Szkoła Podstawowa w Karwinie-Mieście, mieszcząca się w budynku szkolnym na Babiszowcu w sąsiedztwie sądu powiatowego.

W rok później otwarta została Publiczna Polska Szkoła Wydziałowa dzięki staraniom Koła Macierzy Szkolnej Księstwa Cieszyńskiego, które we Frysztacie powołano do życia w roku 1908. Odtąd Polski Komitet Szkolny swoje starania i zabiegi kieruje na szkołę ludową, zaś Macierz Szkolna troszczy się o szkołę wydziałową.

Wiele zmieniło się od tamtych moich lat szkolnych. Wtedy używaliśmy do pisania tabliczki i rysika, do liczenia służyło w klasie liczydło z drewnianymi krążkami. Również w przerabianym materiale nauczania poczyniono znaczne postępy. Zmodernizowały się budynki szkolne, dysponujące gabinetami do nauczania niektórych przedmiotów. Jednym słowem, nauka i wiedza idą milowymi krokami naprzód.

Spacerując korytarzami budynku szkolnego, w którym kiedyś pobierałem naukę, wierzyć się nie chce, że to te same korytarze, ta sama szkoła. Na ścianach korytarzy i wzdłuż klatek schodowych widzimy mnóstwo różnorakich dekoracji. Wielka plansza koło bramy wejściowej głosi hasło: „Światu pokój, dzieciom szczęście". Idąc korytarzem w stronę drugiej bramy, wita nas dalsze aktualne hasło: „Szkoła socjalistyczna — gwarancją wychowania młodzieży". Na ścianach w formie gazetek ściennych uwidoczniona jest historia Śląska z szczególnym uwypukleniem regionu karwińskiego. Młodzież dowiaduje się o potężnych manifestacjach pierwszomajowych w roku 1905, o generalnym strajku górników w grudniu 1920, o powstaniu na naszym terenie pierwszych organizacji KPCz w roku 1921.

Z gazetek ściennych dowiaduje się młodzież o okrucieństwach okupantów hitlerowskich, poznając, czym był faszyzm. W specjalnych gablotkach podane są ofiary terroru hitlerowskiego z grona nauczycielskiego oraz wychowanków tej szkoły. Gazetki ścienne mówią o naszym powiecie, o jego zaludnieniu, zakładach pracy, bogactwie naturalnym itp. Nie zapomniano o władzach miejskich i powiatowych KPCz, o składzie władz administracyjnych.

Jedna z większych gazetek ściennych mówi o PZKO, jego władzy naczelnej, o zespołach w ogóle, karwińskich zaś szczegółowo. Wspomnieć należy również o praktycznie wykonanych mapach wszystkich o-

kręgów naszego państwa z najważniejszymi danymi, jest wielka mapa CSRS z tworzywa sztucznego, na niej napis głosi: „CSRS — Ojczyzną bratnich narodów i narodowości". Inną ścianę zdobi mapa PRL z napisem: „PRL — Kraj chlubnych tradycji". Nie można przeoczyć obrazów pisarzy czeskich, słowackich i polskich, jak również obrazów historycznych mistrza Jana Matejki. Rzucają się w oczy malowidła dziatwy szkolnej z odpowiednimi rysunkami i napisami, jak: Nigdy więcej! lub z wiele mówiącym napisem: Chcemy pokoju!!

Korytarz, prowadzący do sali gimnastycznej, zdobią plansze zakładów pracy, z którymi szkoła współpracuje i które uczestniczą w werbunku młodzieży do pracy. Na ścianach tego korytarza umieszczone są liczne dyplomy oraz akty uznania za dobre wyniki młodzieży w różnego rodzaju imprezach sportowych oraz w olimpiadach czy konkursach czytelniczych i recytacyjnych. Te wyróżnienia mówią nam o tym, że frysztacka szkoła, nazwana przy okazji 50-lecia istnienia „Szkołą dobrej sławy" idzie właściwą drogą, wychowując powierzoną jej młodzież na światłych obywateli socjalistycznego państwa, że jej grono nauczycielskie kroczy śladami swych świetnych poprzedników, których my starsi wiekiem zawsze miłe wspominamy. Obecni wychowawcy powinni nadal kroczyć śladami tych, którzy już przed siedemdziesięciu laty zaznajamiali młodzież z jakże potrzebnymi tajnikami wiedzy. Tej wiedzy, która otwiera przed młodymi drzwi na oścież i pozwala z życiem wziąć się za bary.

Pisząc wspomnienia o 70-leciu polskiej szkoły we Frysztacie nie od rzeczy będzie skromna notatka o tym, że ani dyrekcja szkoły, ani SRPS nie zadbały o to, żeby o tym pięknym jubileuszu „Szkoły dobrej sławy" wspomnieć na szerszym forum. A okazja taka nadarzała się na uroczystej akademii, urządzonej przez szkołę-jubilatkę w dniu 12 kwietnia br. z okazji 40-lecia PZKO oraz Uroczystości Majowych '87. Nikomu by nie szkodziło, gdyby akademia ta (bardzo serdecznie przyjęta przez komplet widzów i słuchaczy) była również dedykowana tegorocznemu jubileuszowi szkoły. Nie trzeba by wtedy urządzać osobnej akademii, bo ta kwietniowa w zupełności by wystarczyła. A był to przecież okrągły jubileusz.

JÓZEF RASZYK
Karwina-Darków

KILKA UWAG O PRACY MŁODZIEŻY W PZKO

Gwarancją kontynuacji pracy i społecznego oddziaływania PZKO jest pozyskiwanie do pracy społecznej młodzieży. W tym kierunku musi PZKO przedsięwziąć celowe działania, tym bardziej, że pewne zjawiska społeczne wpływają negatywnie, hamująco, na wszystkie formy działania społeczno-kulturalnego, szczególnie wśród młodzieży. Są to:

1) Materialny dobrobyt. Powoduje wygodnictwo, zaskorupianie się jednostek w osobistym kręgu, zawężanie form życia społecznego, obojętność na sprawy innych, na sprawy i wartości społeczne.

2) Olbrzymie przesycenie wszelkimi formami audio-wizualnymi kultury, łatwość jej osiągania.

3) Technizacja życia, olbrzymie przyśpieszenie poruszania się w przestrzeni.

Mówiąc o pracy społecznej młodzieży, współdziałając w niej i realizując ją trzeba mieć na względzie jej specyficzne właściwości. Oto niektóre z nich:

1) Młodość to okres przejściowy w życiu człowieka. Struktura społecznie pracujących grup młodzieżowych zmienia się ciągle a osiągane wyniki wahają się od wzlotów do zastoju, upadków, w zależności od różnych czynników. Z tym trzeba się liczyć i nie rozpaczać.

2) Młodość lubi ruch, działanie, zabawę, śmiech, opozycję do starych form działania (rewolucyjność). Nie lubi szablonu, dyktatu, frazeologii, pustych słów propagandowych, apoteozowania męczennictwa i zasług.

3) Młodość skłonna jest do podziwiania i naśladowania idołów, bohaterów dodatnich i ujemnych. W działaniu potrzebuje przywódców.

4) Młodość, młodzież, jest szczególnie podatna na działanie negatywnych przeja-

wów współczesnego stechnizowanego życia. Szczególnie skłonna jest do utylitarnego podejścia do wszelkich przejawów i form kultury i pracy społecznej. Zdolna jest raczej do jednorazowych zrywów niż do systematycznego, uporządkowanego działania.

Pracę w grupach młodzieżowych należy opierać na tej części młodzieży, która akceptuje pracę społeczną, jest podatna na kierowanie i ma uzdolnienia w kierunku obranych form kulturalnego działania, sportów, gier, majsterkowania. Negatywne elementy, które nie podporządkują się całości i nie dają się do niej pozyskać, wykluczać z grup.

Zasadnicze i decydujące znaczenie ma szkoła i wychowawcy. W wieku szkolnym najłatwiej kształtować charaktery dzieci, również w kierunku pracy społecznej i w działaniu pożytecznym dla całego społeczeństwa. Jest to jedno z podstawowych zadań szkoły. Wychowawcy w szkole znają uzdolnienia, utalentowania, charaktery dzieci. Mogą wpływać na rozwój dodatnich cech charakteru, uzdolnień.

Bardzo niekorzystnie wpływa również nadmierna feminizacja w szkolnictwie. Nauczycielki poza wymagającą i wyczerpującą pracą w szkole muszą wykonywać całą albo przeważną część robót w domu, w rodzinie. Wyczerpuje je to fizycznie, nerwowo i nie wpływa to dodatnio na ich pracę zawodową, na poziom nauczania i wychowywania dzieci.

Nadmierna feminizacja w szkolnictwie nie wpływa dodatnio na wychowanie młodzieży, wprost odwrotnie, jest jedną z przyczyn negatywnych przejawów w życiu i działaniu młodzieży. Stopień feminizacji szkolnictwa powinien ulec radykalnemu zmniejszeniu, a PZKO jako organizacja Frontu Narodowego powinno w tym kierunku współdziałać. Trzeba w znacznie większym stopniu kierować chłopców, maturzystów, na studia pedagogiczne i stymulować ten kierunek kształcenia i zawodu.

Schematycznie formy działania w kierunku ulepszenia, uaktywnienia społeczno-kulturalnej pracy wśród młodzieży PZKO-wskiej można charakteryzować następująco:

Pierwsze działania, które mają zasadniczy wpływ na późniejsze wyniki, trzeba podejmować w szkołach. Nauczyciele powinni tworzyć kółka zainteresowań, chóry szkolne, zespoliki estradowe, wokalne, taneczne, teatralne, drużyny sportowe, grupy turystyczne i in. i kierować ich pracą.

Młodzież kończy szkołę i podejmuje dalsze kształcenie zawodowe, wyższe. Nastaje bardzo ważny moment w pracy z młodzieżą. Część absolwentów zostaje członkami PZKO, ale tylko formalnie, ponieważ prawie że w całości pozostaje poza nawiasem działania PZKO. Jeśli w szkole były jakieś formy działania społeczno-kulturalnego, sportowego, to nikt się nie stara i nie wytwarza warunków, by przynajmniej częściowo te grupy i formy działania przenosić na teren miejscowego Koła PZKO. Wychowawcy, nauczyciele, którzy na terenie szkoły wytworzyli i prowadzili te grupy i formy działania, mają największe możliwości powodzenia przy przenoszeniu form działania społeczno-kulturalnego, sportowego, ze szkół razem chociażby z częścią absolwentów na teren Koła PZKO, w kierowaniu pierwszymi krokami i pomaganiu w kontynuowaniu tej pracy, w tworzeniu, kompletowaniu i kierowaniu zespołów, kółek zainteresowań, drużyn sportowych w nowych warunkach.

Organizacja PZKO powinna wytwarzać dogodne warunki do kontynuacji i prowadzenia tej pracy, lokale, wyposażenie, rekwizyty, sprzęt sportowy i współpracę organizatorską, powinna współdziałać w wychowywaniu i szkoleniu kierowników poszczególnych form pracy kulturalno-społecznej. Powinna z szeregu starszych byłych młodzieżowców tworzyć grupki opiekuńczo-organizatorskie dla poszczególnych zespołów, szczególnie drużyn sportowych. Utalentowani sportowcy mogą działać w miejscowych klubach sportowych.

Jedynie poprzez taką lub podobną współpracę pomiędzy szkołami a organizacjami PZKO można ożywiać i prowadzić aktywną pracę społeczno-kulturalną wśród młodzieży PZKO-wskiej.

KAROL SZLAUR
Bystrzyca

FOLKLOR ZAGROŻENIEM?

Należałoby się spodziewać, że w dzisiejszych czasach ludzie będą zabierać głos tylko w tych sprawach, o których mają przynajmniej pojęcie, jeżeli już nie gruntownej wiedzy. Rzecz bowiem w tym, że ignorancja jeszcze nikomu i niczemu nie pomogła, zwłaszcza jeżeli chodzi o działanie nie doraźne, lecz, jak się to mówi, długofalowe. Trzeba się zatem dziwić, że Głos Ziemi Cieszyńskiej, sam niegdyś wielce zasłużony dla upowszechniania cieszyńskiej kultury ludowej i sposobu o niej myślenia, publikuje w związku z rocznicą SLA (patrz Zwrot 5, 1987, s. 65) niedorzeczności na ten temat. Ze względu na to, że identyczne „myśli" zostały przekazane spod Piastowskiej Wieży do Opola, gdzie je, o dziwo, opublikował październikowy numer miesięcznika o identycznej nazwie, nie sposób potraktować tego milczeniem. Nie chodzi bowiem o przypadek.

Przypomnijmy, o co autorowi w GZC chodzi. Otóż twierdzi, że folkloryzacja kultury grozi skostnieniem życia umysłowego, prowadzi do izolacji kulturowej grupy. SLA ratuje nasze społeczeństwo przed polonijną skansenowością.

Mamy zatem do czynienia ze sposobem patrzenia na kulturę ludową jako na coś muzealnego, przebrzmiałego, archaicznego, od czego trzeba się odciąć, bo to zagraża naszej współczesności, nowoczesności i przyszłości. W ten sposób rozumowano w wieku XIX i potem jeszcze na początku lat 50. Ale od tego czasu sporo się zmieniło włącznie z naszą wiedzą o tradycjach kulturowych i ich funkcjonowaniu w dzisiejszym świecie. Nie sposób tego tutaj omówić. Byłoby jednak wskazane, gdyby zabierający głos w tych kwestiach zaznajomili się choć pobieżnie z elementarną literaturą na ten temat. Po jej przeczytaniu, być może, zmieniliby punkt widzenia. Nieporozumienia biorą się stąd, że wielu piszących wykazuje zasadnicze braki nie tylko w teorii kultury ludowej, ale także w znajomości faktów, dotyczących jej znaczenia w cieszyńskich dziejach i kulturach narodowych Europy. Prof. Józef Burszta napisał kiedyś pracę, którą nazwał znamiennie: Kultura ludowa — kultura narodowa. Wykazał w niej, że kultura ludowa nie zagraża kulturze narodowej, wręcz przeciwnie, jest jej najpotężniejszym źródłem, partnerem i sojusznikiem. Trzeba sobie bowiem uświadomić, że jest jedna kultura, a wszystkie jej składniki są w niej jednakowo ważne. Nie trzeba być wielkim znawcą literatury polskiej czy czeskiej, by sobie uprzytomnić, że sięgały one do źródła ludowego wówczas, gdy działo im się najgorzej, gdy były zagrożone

w swojej egzystencji. I przed tym właśnie skostnieniem formalnym i treściowym ratowała je właśnie twórczość ludowa, która stanowiła dla nich ożywcze źródło, inspirację zupełnie świeżą. Wielkość np. romantyzmu polskiego w literaturze i muzyce jest świadectwem wielkości sztuki ludowej. Tylko żeby to oryginalne źródło przetworzyć, przenieść w obszar innej poetyki, do tego po prostu trzeba mieć talent. Dlatego też folklor nie zagrażał Chopinowi, Rejmontowi czy Wyspiańskiemu, nie odizolował ich od świata, ale uczynił jego znaczącą częścią. Skostnienie i izolacja w sztuce profesjonalnej bierze się nie ze źródeł, ale z niezdolności. Tradycja kulturowa w kulturze narodowej, a zatem i profesjonalnej, jest jednym z najważniejszych elementów jej oryginalności, przeciwstawiającym się kosmopolityzmowi, tendencjom unifikacyjnym. A te, niestety, zagrażają także literaturze, której często jedynym wyróżnikiem bywa tworzywo, czyli język. Tylko on jeden nam nieraz wskazuje ojczyznę autora.

Ponadto kutlura ludowa ma, szczególnie dzisiaj, wiele innych funkcji, o czym się dużo pisze. Śląsk Cieszyński wiedział o tym od dawna, a inne skupiska polonijne dopiero po dziesiątkach lat kryzysów i upadków doszły do tej wiedzy. Ich nawrót do tradycji kulturowych jest chęcią odnalezienia tożsamości w najróżniejszych odniesieniach. Jest to dążenie do samookreślenia, do szukania mocnego oparcia w ziemi, bo wolna przestrzeń takiego nie daje. Ale żeby do tego dojść, trzeba osiągnąć wyższy stopień bytu i świadomości. Stąd wychodźstwo polskie najpierw starało się jak najprędzej zasymilować z nowym środowiskiem. Wyrzekało się gwary, języka narodowego i narodowych tradycji, bo to wszystko — na ówczesnym etapie jego świadomości — obciążało go, degradowało. Gdy jednak społeczność ta dorobiła się swego, gdy przestała walczyć tylko o przetrwanie, zmieniła się jego osobowość również intelektualna. I nagle potomkowie tych bezdomnych ludzi jeżdżą do kraju przodków, by wydobywać z zapomnienia to całe dziedzictwo, które jest bogactwem człowieka i narodu. My, na szczęście, nie musimy tego robić. Dzięki za to wielowiekowemu cieszyńskiemu oświeceniu, które kulturze cieszyńskiej i tutejszej myśli nie pozwoliło skostnieć. Jeżeli zaś w jakimś środowisku dominuje kultura ludowa nad inną, to nie jest to przejawem słabości tej pierwszej. I chwała tej kulturze, która fascynuje tysiące ludzi w jabłonkowskim Lasku Miejskim, chwała tym słowom poetyckim Młynka, Filipkowej, Kupcowej, Milerskiej, które tak szybko znajdują drogę pod strzechy. Ich powszechna recepcja jest wyrazem ich siły. Zamiast zastanawiać się nad tym, jak tę kulturę utrącić czy zdyskredytować, mądrzej byłoby znaleźć sposób, jak tej drugiej pomóc i obydwie zintegrować. A na razie nie ma żadnej konstruktywnej propozycji.

Może kogoś denerwować, że folkloryści z kultury ludowej zrobili ruch społeczny. Dowodzi to tylko tego, że jest atrakcyjna i potrzebna. Bo jakże to inaczej wytłumaczyć? Zresztą historia i współczesność uczy, że jest w niej ogromna siła nie tylko kutlurotwórcza. Nikt też nie twierdzi, że należy działalność i twórczość ograniczyć tylko do niej. Inne obszary są równie ważne, bo składają się na bogactwo naszego bytu. A zatem rozwijajmy je według najlepszych chęci, zdolności, możliwości i dobrej woli, a nie twierdźmy absurdalnie, że jedna kutlura drugiej przeszkadza, ba, że jedna jest lepsza od drugiej. A już szczytem złośliwości i ignorancji jest stwierdzenie, że tradycja kutlurowa jest czymś, co zostało zepchnięte na obrzeża postępu cywilizacyjnego i w dodatku stanowi nadęty składnik kultury narodowej Zaolzia (październikowy numer Opola 1986, rubryka „List z Cieszyna", cyt. za Zwrotem 1, 1987, s. 63). W latach 20. naszego wieku z podobnymi teoriami wystąpił H. Naumann, ale go wyśmiano. Nauka wykazała zupełnie coś innego, a praktyka również.

DANIEL KADLUBIEC

TO I OWO

Ostrawski „Miesięcznik Kulturalny" (nr 7—8/87) drukuje dwa wiersze Wilhelma Przeczka („Svítání", „Don Juan") w przekładzie Ewy Sobkowej.

Pod nagłówkiem „Łączy nas przyjaźń. Słowo, muzyka, pieśń z Zaolzia" przynosi „Trybuna Opolska" (nr 149/87) artykuł na temat imprezy towarzyszącej tegorocznym Dniom Opola, którą były obchody 40. rocznicy utworzenia PZKO. Czytamy tam m. in.: Punktem kulminacyjnym obecności Zaolziaków w Opolu był imponujący blok programowy na estradzie w Rynku pn. „Łączy nas przyjaźń". Suity taneczno-wokalne z niemal wszystkich regionów Polski przeplatały się z sobą, a widzowie owacyjnie oklaskiwali występy Zespołu Pieśni i Tańca „Olza", reprezentacyjnego zespołu ZG PZKO (kier. artystyczne Otto Jaworski) (!) . . . *Sobotnia prezentacja osiągnięć artystycznych PZKO, którą uzupełniały jeszcze publikacje w magazynie „TO" i w miesięczniku „Opole", była najbogatszą w dotychczasowej historii naszych kontaktów kulturalnych.*

W tym samym numerze natrafiliśmy na pół stronicy poświęconej sprawom PZKO-wskim. „40 lat PZKO. Jadą goście przez Olzę" to artykuł Marka Karpa, poświęcony karwińskiemu Festiwalowi PZKO, Festiwalowi Piosenki Polskiej, historii Związku oraz więzom, jakie łączą PZKO z Opolskim Towarzystwem Kulturalno-Oświatowym. Jest i zdjęcie z pochodu festiwalowego.

Katowicki „Dziennik Zachodni" (nr 164 z 17. 7. 1987) w zapowiedzi Festiwalu Piosenki Czeskiej i Słowackiej w Ustroniu, który odbył się w dniach od 23 do 25 lipca, pisze: Otwarcia tegorocznej imprezy dokonają artyści zaprzyjaźnionego z województwem katowickim okręgu północnomorawskiego: Dana Wrhowska z zespołem „Proto", „Przerowanka" oraz Leszek Wroński z zespołem. *Informacja dla niewtajemniczonych: chodzi o aktora SP, dawniej znanego pod nazwiskiem Leszek Wronka.*

W „Trybunie Opolskiej" (nr 166/87) pojawiła się krótka proza Kazimierza Jaworskiego pt. „Maryla", uzupełniona notatką biograficzną dotyczącą autora opowiadania.

*„Echo Chełmka" (nr 10/87) w stałej rubryce „Okolica poetów" pn. „Zapis bezdeszczowych burzy . . . " przedstawia twórców zrzeszonych w trzynieckiej Grupie Literackiej '63: Piotra Horzyka, Renatę Putzlacher i Franciszka Hennera, drukując równocześnie ich wiersze („Czas brzozy", „Mej pamięci" i „Codziennie" P. Horzyka, * * * (To ty . . .) i „Retrospekcja" R. Putzlacher oraz „Wracamy" F. Hennera).*

Ten sam dwutygodnik w następnym numerze prezentuje laureatów konkursu literackiego dla dzieci szkół podstawowych, ogłoszonego z okazji 55-lecia Południowych Zakładów Przemysłu Skórzanego „Chełmek". W grupie młodzieży starszej nagrodę redaktora naczelnego „Echa . . . " zdobył Adrian Horzyk, uczeń klasy VIII b PSP w Czeskim Cieszynie.

160. nr „Trybuny Opolskiej" przynosi 1. odcinek reportażu Marka Jodłowskiego, literata i publicysty, pt. „Wypad na Zaolzie". W nr. 166. natrafiliśmy na 2. odcinek „Wypadu" pod prawie mickiewiczowskim tytułem „Pociąg zanurza się w zieloność". To o podróży polskiego publicysty do stolicy naszego okręgu Ostrawy, gdzie odwiedził m. in. redakcję wydawnictwa „Profil" i „Głosu Ludu". Cytujemy: A oto i Novinarska. Tu, pod numerem trzecim, znajduje się kilkupiętrowy budynek, stanowiący siedzibę kilku redakcji. Ma tu swój oddział praskie „Rudé právo", tu również — oprócz gazet kraju północnomorawskiego, wydawanych w języku czeskim — redagowany jest

polskojęzyczny „Głos Ludu". Wchodzimy do środka. (. . .) „Głos Ludu" wychodzi w poniedziałki (!), czwartki i soboty. Chociaż dociera niemal do każdej polskiej rodziny, niestety, nie zarabia na siebie — musi być dotowany. Część „winy" w cenie — pismo kosztuje tylko 40 halerzy; część w stosunkowo małej liczebności polskiego środowiska. Taniość gazet zakładają wszakże pryncypia. Owszem, pismo ucieka się i do ogłoszeń — nie mają one jednak charakteru handlowego lub matrymonialnego; są raczej swoistym „koncertem życzeń". Miniaturowe zdjęcie i kilka ciepłych słów — z okazji urodzin, jubileuszu, zamążpójścia. Tak wygląda tutaj typowe „ogłoszenie". Przeglądam odbitki wydania, które ukaże się jutro. Na jednej ze stron — moje wiersze, na sąsiedniej — poradnik dla wielbicieli róż, przepis na zupę cebulową, żarty i anegdoty. I oczywiście program dwu telewizji — ostrawskiej i katowickiej.

Artykuł zatytułowany „Najszykowniejsze" ukazał się w 27. nr. „Głosu Ziemi Cieszyńskiej". Nasi ziomkowie zza Olzy pozazdrościli wyborów Miss Polonia i zorganizowali po raz pierwszy w historii PZKO — dla uczczenia 40-lecia Związku — konkurs — zabawę o tytuł „najszykowniejszej" członkini PZKO — *czytamy w gazecie. Zamieszczono również zdjęcie Miss Obiektywu Renaty Mołdrzyk z Czeskiego Cieszyna.*



fot. PIOTR WOJOCZEK

KRONIKA

ZG PZKO

■ Sekcja Młodzieży Związkowej i Turystyczna przy ZG PZKO przy współpracy z MK PZKO Nydek-Głuchowa zorganizowały od 26 do 28. 6. tradycyjny rajd namiotowy „Filipka '87". Udział wzięło ponad 40 młodych pezetkaowców, w większości z Karwińskiego. W programie rajdu odbyły się: turystyczny turniej sprawnościowy, wieczór gitarowy piosenki turystycznej, szukanie kwiatu paproci, mistrzostwa w dyscyplinach niby — sportowych.

■ Teatrzyk Lalek „Bajka" przy ZG PZKO w ubiegłym sezonie zrealizował cztery premiery, odegrał ponad 250 przedstawień, które oglądało około 7 500 dzieci oraz 2 653 dorosłych. W Polsce „Bajka" w tym sezonie zaprezentowała się czterokrotnie: w Będzinie, Knurowie i Bielsku-Białej.

■ Mistrzostwa PZKO '87 w pływaniu przebiegły 29. 6. na krytym basenie w Trzyńcu. Na dystansie 50 m stylem dowolnym wygrał R. Kasztura (PZKO Trzyniec VI) przed M. Jędryskiem (PZKO Karwina-Nowe Miasto) i D. Palowskim (PZKO Karwina-Raj), w kategorii 50 m stylem klasycznym zwyciężyli wyżej wymienieni w takiej samej kolejności.

■ Sekretarz generalny KC KPCz, prezydent CSRS Gustáv Husák wręczył 6. 7. w Pradze sekretarzowi KC KPCz tow. Henrykowi Południkowi z okazji Jego 50. urodzin Order Republiki. W godzinach dopołudniowych delegacja ZG PZKO w osobach Wł. Orszulika, I sekretarza Związku, i K. Michalskiego, członka Plenum ZG i posła do Zgromadzenia Federalnego, złożyła Jubilatowi gratulacje od naczelnych władz Związku i bazy członkowskiej oraz wręczyła Mu przyznane przez ZG PZKO najwyższe odznaczenie PZKO — „Zasłużony dla Związku" I stopnia, złote.

■ Od 2 do 13. 7. odbył się w Międzyzdrojach XXII Międzynarodowy Festiwal Pieśni Chóralnej „Międzyzdroje '87". W Festiwalu udział wzięło 23 chórów, w tym 8 z zagranicy, mianowicie z: Węgier, NRD, RFN, Włoch, ZSRR i CSRS. Wśród dwóch chórów reprezentujących Czechosłowację był chór mieszany „Dźwięk" MK PZKO Karwina-Raj z dyrygentką Haliną Goniewicz-Urbaś oraz Brneński Chór Młodzieży Muzycznej pod dyrekcją Jana Rozehnala. Nasz pezetkaowski chór zaprezentował się w sali Ośrodka Kultury w Międzyzdrojach oraz w plenerze na molo. 2. 7. po uroczystej inauguracji Festiwalu wręczono nagrody laureatom zeszłorocznego XXI Festiwalu. Wśród wyróżnionych znalazły się również PZKO-wski chór mieszany „Lira" z Darkowa, któremu Komitet Festiwalowy przyznał nagrodę specjalną na wniosek dziennikarzy i krytyków muzycznych, oraz Chór Mieszany Nauczycieli Okręgu Senica — nagroda za najciekawszy zestaw utworów.

■ Od 4 do 29. 7. wypoczywało na koloniach polonijnych w PRL 100 uczniów z naszych polskich szkół. Organizatorami kolonii były Towarzystwo Łączności z Polonią Zagraniczną „Polonia" w Warszawie oraz Konsulat Generalny PRL w Ostrawie przy współpracy z ZG PZKO — Sekcją Szkolną. Pierwsza grupa w liczbie 60 dzieci rekrutujących się z wszystkich pełnych PSP wypoczywała w Sopocie. W programie kolonii były m. in. zawody sportowe, spotkanie z harcerzami oraz wycieczki — do Malborka i Fromborka, do Warszawy (3 dni) i Krakowa (3 dni). W Krakowie odbyło się spotkanie wszystkich uczestników kolonii polonijnych z terenu całego kraju. W tym samym czasie 33-osobowy zespół tancerzy PSP Jabłonków przebywał na koloniach polonijnych w Olsztynie i na Mazurach, a 5-osobowa grupa korespondentów polonijnego „Świata Młodych" wypoczywała we Wrocławiu. Wyjeżdżających autokarami do PRL uczestników kolonii polonijnych 4. 7. w Klubie PZKO przy ulicy Bożka w Czeskim Cieszynie pożegnali I sekretarz ZG PZKO Wł. Orszulik oraz konsul Konsulatu Generalnego PRL w Ostrawie H. Zieliński.

■ Towarzystwo Łączności z Polonią Zagraniczną „Polonia" w Warszawie zorganizowało w Bydgoszczy od 16 do 29. 7. kurs dla początkujących dyrygentów chórów. Wzięło w nim udział również 15 aktywistów naszego śpiewactwa, z tego 8 osób kontynuowało II rocznik kursu, a 7 osób było słuchaczami I rocznika. Wyboru kandydatów tego kursu dokonała Sekcja Śpiewaczo-Muzyczna ZG PZKO.

■ Od 6 do 10. 7. w Piotrowicach-Marklowicach odbył się obóz folklorystyczny zorganizowany przez Sekcję Folklorystyczną ZG PZKO. Uczestnicy obozu — członkowie SF przeprowadzili penetrację terenu, z której zyskali materiał do mającej ukazać się w wydawnictwie „Profil" monografii o zagłębiu. Obóz prowadził zastępca przewodniczącego Sekcji Folklorystycznej ZG Jan Szymik.

■ Od 1 do 31. 7. w Lublinie przebiegł kolejny kurs dla instruktorów polonijnych zespołów folklorystycznych, którego organizatorem było Towarzystwo Łączności z Polonią Zagraniczną „Polonia" w Warszawie. ZG PZKO — Sekcja Ruchu Tanecznego wytypowała na ten kurs 16 osób z aktywu tanecznego, z czego 1 osoba udział wzięła w kursie podyplomowym, 1 osoba uczestniczyła w III roczniku, 7 osób w II roczniku a 7 osób w I roczniku. Dodatkowo w kursie uczestniczyła na własne życzenie zwyciężczyni konkursu PZKO „O Najszykowniejszą" Ewa Branna z tytułu nagrody przyznanej jej przez Konsulat Generalny PRL w Ostrawie.

■ Od 10. 7. do 10. 8. absolwowały kurs etnograficzny w Poznaniu i Warszawie członkinie Sekcji Folklorystycznej ZG PZKO Aleksandra Niemiec i Karin Kašubiak. Organizatorem kursu było Towarzystwo Łączności z Polonią Zagraniczną „Polonia" w Warszawie.

■ Od 29. 6. do 1. 7. Klub Nauczycieli Emerytów przy ZG PZKO zorganizował ekskursję autokarową do Wysokich Tatr. Uczestniczyło 55 członków KNE. Ekskursję prowadził dr J. Macura, przewodniczący KNE.

■ Z okazji 43. rocznicy Święta Lipcowego na zaproszenie Toruńskiego Towarzystwa Kulturalnego w Toruniu 17 — 23. 7. odbył tournée koncertowe po Ziemi Toruńskiej Zespół Pieśni i Tańca „Górnik" przy ZG PZKO. Nasz reprezentacyjny zespół w kompletnej obsadzie (chór, zespół taneczny i orkiestra) koncertował w Kruszwicy, Grudziądzu, Chełmnie i w Toruniu.

■ W ramach współpracy ZG PZKO z Toruńskim Towarzystwem Kulturalnym w Toruniu od 16 do 31. 7. bawiła w Toruńskiem na międzynarodowym obozie muzycznym w Zbicznie na Pojezierzu Brodnickim 17-osobowa grupa pionierów I Szczepu OP im. T. Niemczyka przy PSP w Olbrachcicach.

■ Od 3 do 5. 7. przebiegły na Stadionie KKS „Polonia" w Warszawie XV Międzynarodowe Mistrzostwa Polski w Ringo. Mistrzostwom patronował ZG ZSMP, a organizatorami były Warszawski Okręg Wojskowy, Rada Sportu i Rekreacji Polskiej Agencji „Interpress" oraz Kolejowy Klub Sportowy „Polonia" Warszawa. Przewodniczącym Komitetu Organizacyjnego mistrzostw był odkrywca i entuzjasta ringo redaktor Włodzimierz Strzyżewski. W mistrzostwach udział wzięło w 16 kategoriach łącznie 539 uczestników, w tym 196 kobiet. W silnej konkurencji bardzo dobrze spisała się drużyna PZKO Czeski Cieszyn — Centrum. W klasie otwartej kobiet zwyciężyła Jolanta Urbaś, a Ewa Navratilowa z SZM Ostrawa zajęła czwarte miejsce. W klasie otwartej mężczyzn Leszek Franek uplasował się na trzecim miejscu. W dwójkach kobiet Jolanta Urbaś i Joanna Štirba zajęły drugie miejsce, a w dwójkach mężczyzn Milan Wałach i Leo Widenka uplasowali się na miejscu czwartym, zaś Leszek Franek i Andrzej Szymanik zajęli szóste miejsce.

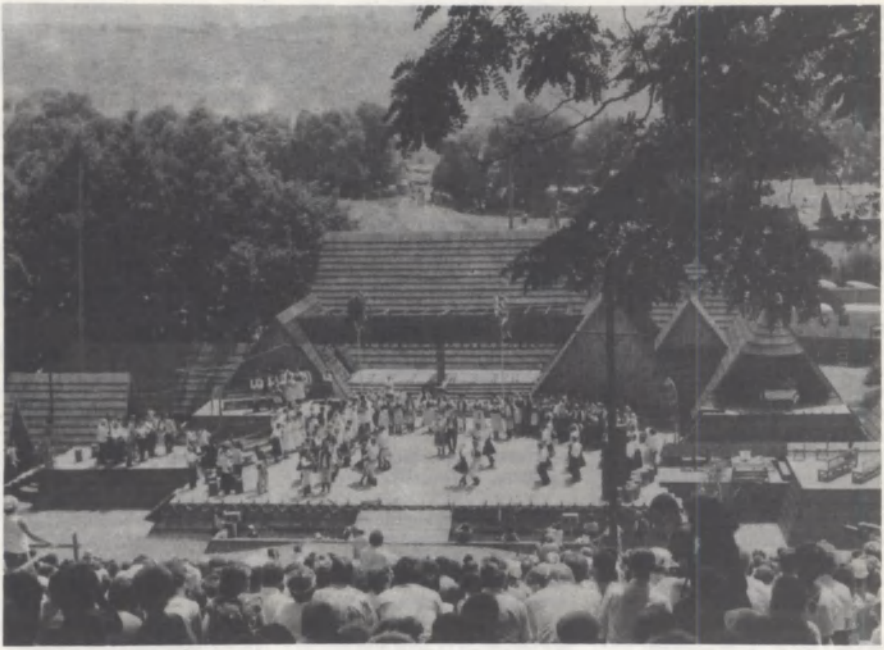
■ Od 17 do 24. 7. odbył się w Domu PZKO w Milikowie-Centrum internatowy kurs reżysera i aktora zorganizowany przez ZG PZKO — Sekcję Kultury Teatralnej. Udział w kursie wzięło 14 słuchaczy. Zajęcia prowadzili: E. Strzelecka, A. Strzelecki, K. Suszka, J. Kaleta, J. Klimsza, Z. Wantuła i F. Humel. Tematyka kursu obejmowała: analizę utworów poetyckich, recytację, pantomimę, dykcję, scenografię, historię teatru oraz zajęcia praktyczne z reżyserii, śpiewu, tańca i ruchu i elektrotechniki teatralnej.

■ ZG PZKO — Sekcja Folklorystyczna wydała kolejny Zeszyt Ludoznawczy pt. „Uwarunkowania cieszyńskiej kultury ludowej" autorstwa dr. Daniela Kadłubca. Nakład publikacji wynosi 1 000 egzemplarzy, cena jednego egzemplarza 10,— Kčs.

■ 7. 7. w Komitecie Centralnym Frontu Narodowego CRS w Pradze odbyła się narada przedstawicieli organizacji FN w sprawie głównych kierunków działalności kulturalno-wychowawczej w organizacjach Frontu Narodowego na lata 1988—1989. Z ramienia ZG PZKO w naradzie uczestniczył I sekretarz Związku Wł. Orszulik.

■ 16. 7. reprezentacyjna drużyna piłkarska PZKO, przygotowująca się do tegorocznych Polonijnych Igrzysk Sportowych, rozegrała mecz sparingowy z KS Spartak Jabłonków. Wygrała drużyna PZKO w stosunku 4 : 2.

■ 24. 7. w Domu PZKO w Mili-



12. 7. odbyła się ekskursja autokarowa członków Sekcji Folklorystycznej ZG i Klubu Twórców Ludowych przy SF na Festiwal Folklorystyczny w Detwie (zdjęcie). Celem ekskursji było zapoznanie się naszych folklorystów z działalnością folklorystyczną w tamtejszym środowisku. Ekskursję prowadził przewodniczący SF dr D. Kadłubiec.

kowie-Centrum odbyło się wyjazdowe zebranie Sekcji Młodzieży Związkowej ZG PZKO. Omówiono ostateczne przygotowania do tegorocznego kursu internatowego dla wodzirejów oraz Letniego Rajdu Turystycznego '87.

■ Rada Zakładowa Rewolucyjnych Związków Zawodowych przy ZG PZKO zorganizowała w dniu 29. 6. jednodniową ekskursję autobusową dla pracowników ZG do PRL. Zwiedzono Muzea w Skoczowie i Wiśle oraz Muzeum Zofii Kossak Szczuckiej w Górkach Wielkich. Uczestnicy ekskursji mieli okazję podziwiać również zbiory i obrazy Ludwika Konarzewskiego w jego domu w Istebnej. Przewodnikiem ekskursji był dyrektor muzeum wiślańskiego Jan Krop. Ekskursję zorganizowała Halina Szkopek.

■ Przewodniczący Sekcji Historii Regionu przy ZG PZKO Otokar Matuszek wraz z członkiem sekcji Józefem Kazikiem odwiedzili w czerwcu br. szkoły, których uczniowie brali udział w konkursie ogłoszonym z okazji 40-lecia Związku na temat działalności Koła PZKO swej miejscowości zamieszkania. Wręczyli zwycięzcom nagrody książkowe, wyróżnienia i dyplomy.

■ Siódme w br. zebranie Prezydium ZG PZKO odbyło się 23. 7. w salce zebrań ZG w Cz. Cieszynie. Przewodniczył mu St. Kondziołka, prezes Związku. Omówiono i zaakceptowano zamknięcia rachunkowe ZG PZKO za I półrocze 1987. Przedyskutowano i przyjęto do realizacji plan Miesiąca Oświaty, Książki i Prasy '87 w PZKO. Omówiono i zatwierdzono Plan Organizacyjnego Zabezpieczenia Uroczystego Koncertu z okazji 70. rocznicy WSRP oraz zakończenia Roku Jubileuszowego PZKO.

■ 21. 7. w Konsulacie Generalnym PRL w Ostrawie odbyło się spotkanie z okazji 43. rocznicy Manifestu Lipcowego PKWN. W spotkaniu uczestniczyli na zaproszenie m. in. czołowi przedstawiciele okręgowych i powiatowych władz politycznych, państwowych, społecznych i gospodarczych,

fot. JAN MILERSKI

■wśród nich delegacja Zarządu Głównego PZKO z St. Kondziołką, prezesem Związku, i Wł. Orszulikiem, I sekretarzem ZG. Przemówienie powitalne i okolicznościowe wygłosił Konsul Generalny PRL w Ostrawie Edmund Warda.

BOGUMIN

■ MK PZKO w Wierzniowicach zorganizowało 5. 7. koło własnego Domu PZKO Uroczysty Festyn z okazji 40-lecia PZKO. W programie wystąpili gimnastycy MK PZKO Wędrynia, chór mieszany „Lutnia" z sąsiedniego Koła w Lutyni Dolnej oraz pezetkaowskie dzieci.

■ Od 6. 7. pod Dębiną za wsią w Wierzniowicach dzieci członków wierzniowickiego Koła PZKO biwakowały na tygodniowym obozie pod namiotami pod komendą naczelnika obozu Tadeusza Chorzempy, działacza Koła.

■ Bogumiński działacz PZKO-wski Józef Wolf zdobył w konkursie na pamiętniki i wspomnienia działaczy społecznego ruchu muzycznego nagrodę w wysokości 5 000 zł. 9 maja na Święcie Pieśni i Muzyki, zorganizowanym przez Oddział Śląski PZChiO w Katowicach, w Katowickim Centrum Kultury nasz działacz przekazał tę nagrodę na budowę szpitala „Matki Polki" w Łodzi.

MAŁE, GODNE WIELKIEGO PODZIWU

Nydek-Głuchowa to mała osada w najodleglejszym zakątku zintegrowanej Bystrzycy, leżąca między granicznymi górami Soszowem i Cieślarem od wschodu, Stożkiem od południa i Filipką od zachodu. Tam właśnie pracuje najmniejsze Koło PZKO, liczące obecnie 27 członków. Od roku 1962 na czele Koła stoi Władysław Widenka. Corocznie Koło to organizuje na Filipce, gdzie mieści się jego świetlica, festyny, na które przychodzą ludzie z bliższej i dalszej okolicy. W niedzielę 19. 7. spotkało się na Filipce około 400 uczestników, wśród których nie zabrakło, a jakże! Jury spod Grónia. Festyny na Filipce są wprawdzie bez atrakcji festynowych (poza typową dla tego rodzaju imprez orkiestrą dętą), ale za to w niepowtarzalnej scenerii górskiej, z czystym powietrzem i wspaniałą atmosferą. Jak to jest możliwe, że to malutkie Koło potrafi zorganizować dużą imprezę, zapewnić bufet (o godzinie 19 jeszcze niczego nie brakowało) i nie bać się, że w razie niepogody będzie klapa. Były lata, kiedy pogoda uniemożliwiła dotarcie na Filipkę, a pomimo to gospodarze nigdy nie uskarżali się na finansowe fiasko. Słowa uznania należą się prezesowi Koła oraz prezesom Kół PZKO z Trzyńca 1, Trzyńca-Podlesia i Kanady, którzy przyprowadzili z sobą spore grupki członków swoich Kół.



fot. JAN MILERSKI

■ Zarząd Koła PZKO w Lutyni Dolnej urządził 22. 7. w miejscowym kinie „Panorama" z okazji Święta Lipcowego '87 w PRL seans filmowy, w ramach którego wyświetlono film polski pt. „Wilczyca".

BYSTRZYCA

■ Klub Młodych przy MK PZKO w Bystrzycy zorganizował w lipcu br. dla pionierów z szkoły podstawowej w Karwinie-Raju, wypoczywających w PSP w Bystrzycy, dyskotekę na wolnym powietrzu w ramach programu przy ognisku.

■ Szczep pionierski przy PSP w Bystrzycy zorganizował od 20. 7. do 2. 8. obóz pionierski w bazie PZKO koło Domu PZKO w Łomnej Dolnej. Udział w nim wzięło 30 pionierów oraz grupa dzieci z województwa suwalskiego, wydelegowanych w ramach zawartego porozumienia z naszym Szczepem przez tamtejsze Towarzystwo Przyjaciół Dzieci. W tym samym czasie w bazie w Giżycku w województwie suwalskim przebywało na obozie 8 pionierów z Szczepu przy PSP w Bystrzycy.

CZESKI CIESZYN

■ Komitet Miejski PZKO w Czeskim Cieszynie urządził 27. 6. w Parku Adama Sikory tradycyjne „Wianki". Pochód wiankowy z orkiestrą dętą wyruszył od Klubu PZKO przy ulicy Bożka. W programie koncertowała orkiestra dęta OSP z Suchej Górnej, gościnnie wystąpił Zespół Pieśni i Tańca „Bestwina" z PRL, który wykonał również obrządek wiankowy. Odbyła się zabawa taneczna w rytmie disco Henryka Cieślara, zorganizowano także loterię fantową.

■ Koło PZKO w Olbrachcicach zorganizowało 4. 7. w parku koło Domu Robotniczego dla swoich członków i sympatyków Festyn Ludowy. Przygrywała orkiestra ob. Woźnicy.

Zespół Kobiet przy olbrachcickim Kole PZKO zrealizował w I półroczu 87 dla swoich członkiń kurs szycia. Prowadziła go krawcowa hawierzowskiego DK Helena Chrobokowa, a o sprawy organizacyjne troszczyły się przewodnicząca ZK Wanda Hebdowa oraz członkini ZK Jana Miczkowa. Kurs obejmował 14 cotygodniowych lekcji trwających po trzy godziny. Zgłosiło się 14 pań, a ukończyło go 10 członkiń ZK. Z okazji zakończenia kursu 1. 7. urządzono mini-wystawę prac wykonanych przez jego absolwentki.



fot. ANNA SANTARIUS

GNOJNIK

■ Oficjalne otwarcie kolejnego Domu PZKO w Ligotce Kameralnej odbyło się w sobotę 4. 7. podczas festynu. Program kulturalny wykonały dzieci miejscowego przedszkola. W uroczystości otwarcia wziął udział I sekretarz Związku tow. Wł. Orszulik.

HAWIERZÓW

■ Kolejne zebranie Klubu Seniora przy Kole PZKO w Błędowicach odbyło się 1. 7. w Domu PZKO. Tematem spotkania była dalsza rozbudowa miasta Hawierzowa. 22. 7. Klub Seniora przy błędowickim Kole PZKO zorganizował wycieczkę w okolice Hawierzowa.

■ Klub Emerytów przy Kole PZKO w Hawierzowie-Centrum odbył swoje spotkanie 25. 6. w świetlicy PZKO „Pod Arkadami". W dniu 9. 7. Klub zorganizował wycieczkę nad Zaporę Żermanicką.

■ Zarząd MK PZKO w Hawierzowie-Suchej urządził 27. 6. w ogrodzie koło świetlicy Festyn Ogrodowy z programem kulturalnym a 22. 7. w swojej siedzibie świetlicę z okazji Święta Lipcowego. W ramach tej imprezy prelekcję na temat 43. rocznicy Manifestu PKWN wygłosił St. Kondziołka, przewodniczący Związku.

■ Zespół Kobiet przy Kole PZKO w Suchej Górnej zrealizował 8. 7. ekskursję do Muzeum Tragedii Żywocickiej w Żywocicach.

■ Komitet budowy Izby Pamięci Żwirki i Wigury przy MK PZKO Cierlicko-Kościelec odbył 10. 7. w restauracji „Na Kościelcu" kolejne zebranie, na którym omówiono dalsze przygotowania do rozpoczęcia budowy Izby Pamięci. Zaaprobowano wstępny projekt obiektu autorów inż. arch. Piotra Kaliny i inż. arch. Romana Mrózka. W zebraniu uczestniczyli także B. Branny, sekretarz WPO ZG PZKO oraz przedstawiciele okolicznych Kół PZKO z Cierlicka-Centrum, Stanisławic i Żywocic. Rośnie krajowe konto w Czeskiej PKO w Czeskim Cieszynie z darów Kół PZKO, organizatorów imprez, np. Sceny Polskiej TC i osób prywatnych. Omówiono także tegoroczne uroczystości związane z 55. rocznicą tragicznej śmierci Żwirki i Wigury.

JABŁONKÓW

■ 11. 7. w ogrodzie koło Domu PZKO w Boconowicach tamtejsze Koło PZKO urządziło festyn z programem kulturalnym.

■ Festyn ogrodowy zorganizowało 19. 7. „Na Harcowie" Koło PZKO w Nawsiu.

KARWINA

■ MK PZKO Karwina-Nowy Jork urządziło 28. 6. w parku Umundurowanych Górników (Ruczka) dla członków i sympatyków Festyn Ogrodowy z programem kulturalnym.

■ Festyn 40-lecia PZKO zorganizowało 4. 7. w parku „Na Kamieńcu" Koło PZKO w Łąkach. Wystąpił zespół śpiewaczy PZKO „Żukowianki" z Żukowa Dolnego, przygrywała kapela ludowa zespołu regionalnego PZKO „Sibica". Wieczorem odbyła się zabawa karnawałowa w rytmie disco.

■ Zarząd MK PZKO w Darkowie urządził 5. 7. w ogrodzie Domu Robotniczego oraz nad Olzą tradycyjne „Wianki". Program kulturalny wykonali przedszkolacy z Frysztatu oraz zespół muzyczny z Chełmna w województwie toruńskim, bawiący na obozie OP SZM w bazie PZKO w Gutach. Przygrywała orkiestra MK PZKO Skrzeczoń „Krater". Wieczorem odbył się pochód lampionowy nad Olzą, był też obrządek wiankowy.

■ Zarząd MK PZKO w Karwinie-Starym Mieście urządził 18. 7. w ogrodzie koło Domu PZKO ognisko z okazji Święta Lipcowego w PRL z zabawą i programem kulturalnym.

■ Klub Młodych „Syzyf" przy MK PZKO w Stonawie zorganizował 11. 7. w ogrodzie koło Domu PZKO po raz trzeci imprezę pn. „Totalna anarchia", w której stworzono atmosferę „Dzikiego Zachodu". W ramach imprezy zorganizowano także turniej w siatkówce o „Lampkę prezesa", który wygrała drużyna stonawska.

ORŁOWA

■ Festyn Ogrodowy zorganizowało 27. 6. w ogrodzie obok świetlicy Koło PZKO w Orłowej-Mieście. Wystąpiła młodzież szkolna, a do tańca i zabawy przygrywała orkiestra „Orłowianka".

■ 18. 7. Zespół Kobiet orłowskiego Koła PZKO urządził wycieczkę autokarową do Wisalajów i na Biały Krzyż.

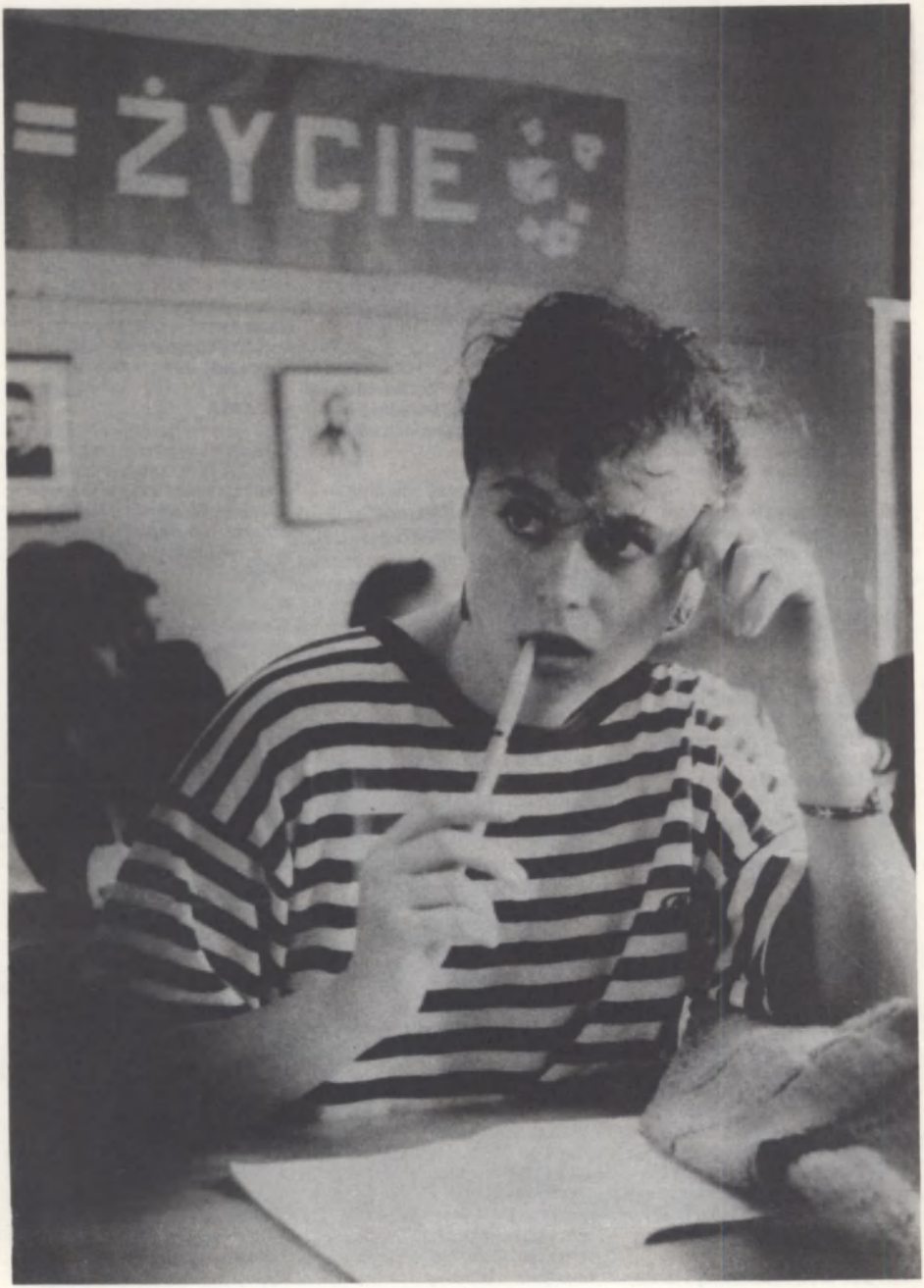
■ Zarząd MK PZKO w Orłowej-Łutyni zorganizował 27. 6. w lasku ob. Jędrzejczyka „Wianki". Program artystyczny i obrządek wiankowy wykonały zespoły Koła gospodarza.

■ 25. 7. zarząd górnolutyńskiego Koła zorganizował w swoim Domu PZKO zebranie członkowskie poświęcone Świętu Lipcowemu w PRL z programem okolicznościowym.

TRZYNIEC

■ Festyn Ogrodowy z programem kulturalnym zorganizowało 27. 6. w ogrodzie „Braterstwa" Koło PZKO w Lesznej Dolnej.

■ Zarząd MK PZKO Trzyniec-Osiedle zorganizował 21. 7. w Domu PZKO im. Adama Wawrosza świetlicę z okazji Święta Lipcowego w PRL z programem okolicznościowym.



fot. FRANCISZEK BAŁON

MOZAIKA

TEMAT DLA EWY

EWKA I INNI

Wszystko wokół nas się zmienia, obyczaje również! Toteż nieraz trudno jest niektórym starszym ludziom przyzwyczaić się do zupełnie odmiennego zachowania młodzieży. Dawniej syn czy córka musieli słuchać i raczej milczeć, gdy „mówią starsi", a szczególnie rodzice. Ich autorytet był wymuszany. Dziś mówimy o partnerstwie. O tym, żeby każdego człowieka od niemowlęctwa traktować poważnie i z szacunkiem. Że zakazy, nakazy, a cóż dopiero mówić o karach, mogą wywołać w dziecku kompleksy, trudne do usunięcia — nieraz do późnych lat. Co to jest wychowanie? Jest to miłość i przykład — mówią niektórzy i mają chyba rację. W rodzinach, gdzie udaje się taką dewizę realizować, prawdę mówiąc — więcej nie trzeba. Kultura i miłość jakoś sama rodzi się między rodzicami i dziećmi.

Każde dziecko jest indywidualnością, charakteryzuje się cechami wrodzonymi, ale też od najmłodszych lat naśladuje rodziców, najbliższe otoczenie. Będzie kłęło, kłamało, dłubało w nosie — jeżeli robią to jego rodzice lub otoczenie, i będzie mówiło ich językiem.

Dziecko jest doskonałym obserwatorem. Wydaje się, że nie słucha, nie widzi, co dzieje się koło niego, a potem okazuje się, że widziało i słyszało nie tylko wszystko, ale świetnie zapamiętało szczegóły. Szybko też orientuje się w złych i dobrych cechach dorosłych. Ma również niezwykle rozwinięte poczucie sprawiedliwości. Na ogół bywa subtelne i bardzo mu trudno zrozumieć, gdy ktoś postępuje niekonsekwentnie. Np. dlaczego wolno tatusiowi krzyczeć na mamusię, a synek jest za to karany? Jeżeli mamusia każe przez telefon powiedzieć, że jej nie ma w domu, dziecko rzetelnie protestuje, pełne zdziwienia: „Mamo, przecież jesteś!?"

Młodzi wszech czasów wyzwalali u pewnych osób, nieodmiennie, uczucie zgorszenia. Każde pokolenie młodych było: „zbyt hałaśliwe, niegrzeczne, rozwydrzone, zbyt nowoczesne i nie umywało się do . . . pokolenia rodziców". Obiektywnie taka postawa negacji wszystkiego co nowe oczywiście jest niesłuszna. Najlepiej obrazuje to znane przysłowie: „Zapomniał wół . . .". Niemniej młodzi często świadomie prowokują swoją innością otoczenie, nieraz trochę na pokaz prowokując dorosłych. Trzeba więc przestrzegać pewnych konwenansów, zwyczajów, choćby dlatego, że należąc do danej społeczności obowiązuje respektowanie takich zwyczajów, jakie w niej obowiązują. Mając szacunek do samego siebie, nie należy narażać swojej godności na szwank, a swego sumienia na późniejsze wyrzuty. Ponadto przecież to są drobiazgi, na które stać każdą młodą osobę, a uzyskanie opinii człowieka dobrze wychowanego, przyjaznego, „zawsze na miejscu" itd. jest przecież w życiu ogromnie ważne.

Trzeba więc przepuszczać starsze osoby pierwsze przez drzwi, trzeba się pierwszemu i z szacunkiem kłaniać nauczycielom, profesorom oraz znajomym i przyjaciołom rodziców. Trzeba im podnosić szybko i sprawnie coś, co im upadło, podawać — jeśli trzeba — płaszcz, przyjść — jeśli trzeba — z pomocą. A ponadto we własnym interesie słuchać uważnie nie tylko lekcji, ale i innych wypowiedzi, choćby na forum towarzyskim. Jeśli się uważnie słucha, doprawdy można się niejednego nauczyć.

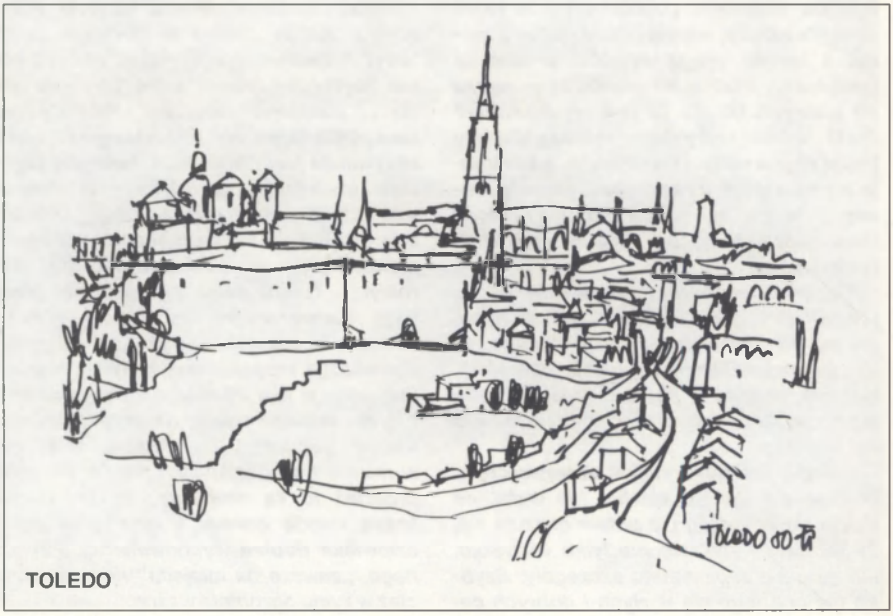
W środkach lokomocji — naturalnie — swoim nauczycielom i osobom starszym — ustępuje się miejsca i okazuje szacunek, ale . . . dyskretnie. Nie narzuca się swojego towarzystwa czy rozmowy, jeśli osoba starsza nie zacznie jej pierwsza.

Wprawdzie obecnie przyjął się powszechnie zwyczaj, że młodzi między sobą przedstawiają się tylko imieniem, to jednak dorosłym trzeba się przedstawiać imieniem i nazwiskiem. Nigdy młodszy pierwszy nie wyciąga ręki do starszego, ale czeka, aż starsza osoba wyciągnie dłoń i wtedy oddaje uścisk. Nigdy chłopiec pierwszy nie wyciąga ręki do dziewczyny, ale czeka na jej gest.

Dziewczyna, siedząc, nie wstaje na powitanie chłopca, ale chłopiec natychmiast powinien powstać, gdy wita go dziewczyna. Chłopiec nie siada, dopóki nie siądzie kobieta.

Płeć męska okazuje opiekuńczość dziewczynie. Chroni ją przed niebezpieczeństwem, np. idąc z nią od strony jezdni, nosi za nią cięższe rzeczy (ale nie torebkę i damską parasolkę, bo to jest tzw. „prowincjonalizm"), odprowadza ją do domu (nie zawsze, ale np. późnym wieczorem) i od czasu do czasu mówi jej miłe słowa.

We własnym interesie warto być grzecznym, kulturalnym, dobrze wychowanym, bo to jak uśmiech: nic nie kosztuje, a najlepiej procentuje.



TOLEDO

fot. BRONISŁAW FIRLA



rys. JÓZEF DRONG

KRZYŻÓWKA

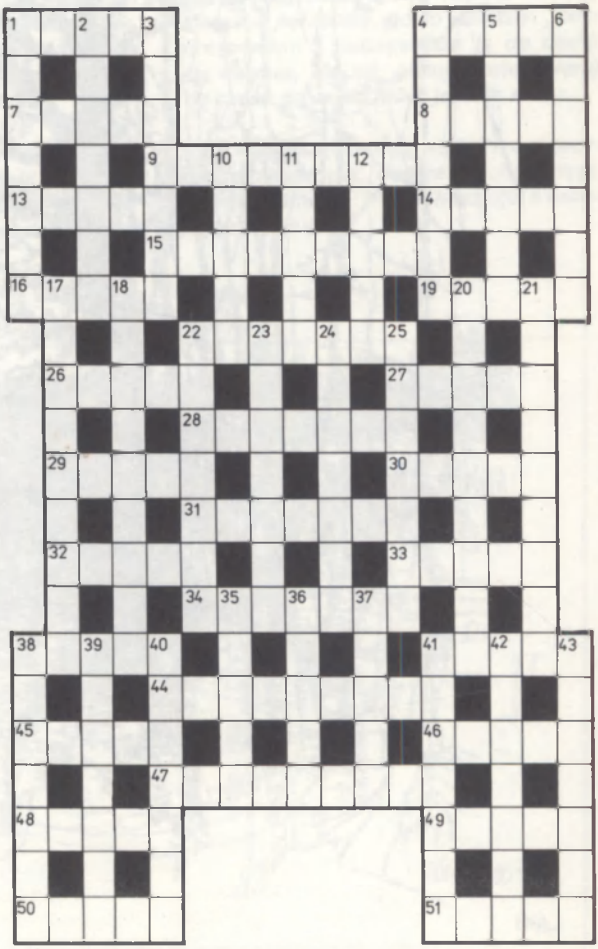
Znaczenie wyrazów:

POZIOMO:

1 ,,Otwórz się!" mówiono do niego
4 do kruszenia
7 ,,Myśliciela" stworzył
8 podrywała Janka Kosa
9 śląski Robin Hood
13 Jan Kiepura
14 z czasem przemija
15 normuje stosunki między Polską i Watykanem
16 wyskoczyła z głowy Zeusa
19 żuwipalma malajska
22 doktor Ewa
26 ,,Mnie tam nie było!
27 małpiatka z Madagaskaru
28 wygnanie
29 pojazd do kuligu
30 z Wandą do pary
31 ,,nr 5" Vonneguta
32 żyrafę przypomina
33 budowane dla pana starosty
34 przeciwieństwo kursywy
38 brat ojca
41 zasztyletowany przez Charlottę Corday
44 jaszczurka odrzuca ogon, a ten odrasta
45 tam kupisz dobrze, ale drogo
46 szczególne zdenerwowanie
47 Nowa
48 struś z pampasów
49 bywa dla nich dzień otwarty
50 Olza
51 pokaz mody

PIONOWO:

1 pocztowa



2 do wykonania
3 obok Majorki
4 znajdziesz w Indiach
5 zamkowe do otwierania
6 pustynia w płn. Chile
10 ten od koszmarnych scen
11 greckie forum
12 „pośladki" wg. Macieja
17 były z nim spore problemy tegorocznej zimy
18 prostodusznie we wszystko uwierzą
20 filologią romańską się interesuje
21 kobieta jako kolumna
22 strój roboczy kamerdynera
23 znany Jankiela
24 annał
25 jeden z filmów Ryszarda Rydzewskiego
35 znana prowincja w RPA
36 ze Świnoujściem ma połączenie promowe
37 „panie" w języku Byrona
38 z rodziny żaglowców
39 z balladami się kojarzą
40 w tegorocznej kadrze na WP
41 śmiertelny cios bykowi zadaje
42 festiwalowe miasto
43 sklep dla palacza

oprac. (JO)

Wśród autorów prawidłowych rozwiązań nadesłanych pod adresem redakcji najpóźniej do 30 września br. rozlosowane zostaną trzy nagrody książkowe.

Obok prawidłowe rozwiązanie krzyżówki z numeru lipcowego. Nagrody otrzymują: Tadeusz Kornuta — Trzyniec-Sosna, Witold Stonawski — Czeski Cieszyn, Józef Wałach — Bystrzyca



JAK JEST POPRAWNIE

CZYLI GDZIE POSTAWIĆ KROPKĘ?

Kropkę stawiamy nawet w środku zdania po skrótowcach, składających się z zespolenia spółgłosek lub grup spółgłoskowych występujących na początku wyrazów wchodzących w skład nazwy wielowyrazowej, np. *cdn. (ciąg dalszy nastąpi), itd. (i tak dalej), itp. (i tym podobnie), br. (bieżącego roku), jw. (jak wyżej), np. (na przykład), pn. (pod nazwą), tzw. (tak zwany), ww. (wyżej wymieniony)* itd. Tutaj należy również taki skrótowiec, jak *Ps. (postscriptum)*, który do dziś w większości wypadków odczuwany jest zgodnie z etymologią jako dwa wyrazy: *Post scriptum.*

Gdy drugi — lub jeden z następnych — wyraz pełnej nazwy rozpoczyna się od samogłoski, to skrótowce powstałe z tego rodzaju grup wyrazowych mają kropkę po skrócie każdego wyrazu, np. *m. in. (między innymi), p. n. e. (przed naszą erą), n. e. (naszej ery).*

Kropkę stawiamy również po skrótach, w których pozostawiono początkową część wyrazu zakończoną na spółgłoskę, np. *prof. (profesor), doc. (docent), tow. (towarzysz), dyr. (dyrektor), red. (redaktor), w. (wiek), pow. (powiat), ul. (ulica), p. (punkt), por. (porównaj), ew. (ewentualnie).*

Natomiast po skrótach, gdzie pozostawiamy pierwszą i ostatnią literę lub jeszcze jedną z liter środkowych, nie używamy kropki, np. *dr (doktor), nr (numer), wg (według), mgr (magister) mjr (major).* Przypadki zależne zaznaczamy albo przez dopisanie końcówek fleksyjnych (np. *dra, drowi, drem, drze, drowie* itp.), lub stawiając kropkę po skrócie, np. *do mgr. Kowalskiego, w 5. nr. czasopisma* itd.

GALERIA SLA



GUSTAW NOWAK: Martwa natura, olej 1978 (4. str. okładki)

Martwa natura to temat podejmowany w pracowniach równie często przez uczniów, co i dojrzałych mistrzów. Jedni uczą się na nim malarskiego rzemiosła, drudzy wyrażają za jego pomocą swój już ukształtowany sposób widzenia świata. Gustaw Nowak należy zapewne do tych drugich.
Artysta przedstawia martwą naturę realistycznie, to znaczy bez stylizacji czy deformacji, umożliwiając widzowi identyfikację wszystkich przedmiotów. Ów realizm nie polega tu jednak na niewolniczym odwzorowaniu malowanych modeli. Autor unika zbytniej, naturalistycznej dosłowności. W sposobie malowania Gustawa Nowaka wyraźne są ślady nauk pobieranych przez niego u impresjonistów, Cezanne'a, czy kolorystów. Kolor w tym obrazie jest uzależniony od światła, od wzajemnego położenia przedmiotów, rzucających na siebie barwne refleksy. I tak na przykład biały obrus, na którym ułożona jest martwa natura, w niewielu miejscach jest naprawdę biały — jego powierzchnię pokrywają to niebieskie cienie, to tony cieplejsze — kremowo-beżowe. Z drugiej strony jednak nie mamy wątpliwości, że to w rzeczywistości biały obrus. Podobnie niejednolite, wielobarwne są pozostałe elementy obrazu. Tak budowany kolor służy z kolei celom kompozycyjnym. Przy całym bogactwie kolorystycznym i dużej roli, jaką malarz obarcza tutaj barwę, nie rezygnuje on jednak z tradycyjnego światłocienia, dbając o zachowanie wrażenia głębi w obrazie. Głównym zadaniem, jakie artysta rozwiązuje w tym obrazie, jest ukształtowanie bryły i jemu podporządkowane są pozostałe elementy — kolor i światło.

A.M.R.

ZIELNIK

ARCYDZIĘGIEL LEKARSKI

Nazwa łacińska — Archangelica officinalis Hoffmann. (Słowo *archangelica* pochodzi z łacińskiego *archangelicus* — archanielski, a łacińskie słowo *officinalis* znaczy lekarski). Nazwy ludowe: *dzięgiel, arcydzięgiel, anżelika, archangelika, dzięgiel wielki.*

Arcydzięgiel jest rośliną rosnącą w krajach północnych. Bardzo wysoko była ceniona na przykład w Norwegii i Islandii, gdzie zaczęto ją uprawiać według starych zapisów. W Islandii nie wolno było wykopywać korzenia arcydzięgiela z cudzego pola. Dziko rosnące rośliny wchodzą w skład pożywienia Lapończyków, a według Rikliego jest jedynym roślinnym pożywieniem Eskimosów. W wieku XIV zaczęto ją uprawiać w Niemczech, a herbaria z wieku XVI i XVII wychwalają arcydzięgiel ponad inne rośliny.

Wierzono, że arcydzięgiel był mocną ochroną przed czarami, a we Francji dawano korzeń pokrajany na kawałki i nawleczony na sznurku dzieciom na szyję, żeby je chronił

przed złymi mocami. Wierzono też, że człowieka noszącego przy sobie korzeń arcydzięgiela wszyscy kochają.

Jest to roślina dwuletnia lub trwała, o krótkim, grubym rozgałęzionym korzeniu, o wysokości do 1 metra, dużych liściach i drobnych zielonkawożółtych kwiatach, zebranych w kuliste baldachy.

Jest uprawiany w wielu krajach, występuje bardzo rzadko w stanie dzikim. Mylony jest często z podobnym do niego dzięgielem leśnym (Angelica silvestris L.), który występuje pospolicie w całym kraju, w lasach i zaroślach.

Dzięgiel należy siać natychmiast po zbiorze nasion, tj. w końcu lipca lub na początku sierpnia, w rozsadniku lub w inspekcie, a następnie po wzejściu — przesadzać do gruntu. Może być również rozmnażany z odrostów; należy przyciąć łodygę, która da odrosty korzeniowe. Dzięgiel lubi miejsca wilgotne, glebę żyzną, głęboką. Udaje się zarówno na stanowiskach słonecznych, jak i w półcieniu.

Korzenie kopie się w jesieni (z rośliny posadzonej ubiegłego roku) lub na wiosnę przed kwitnięciem rośliny. Gdy zbiór przeprowadzamy na jesieni, ścinamy roślinę około 10 cm nad ziemią (może służyć jako pasza dla bydła). Korzenie po oczyszczeniu umyć i po wyschnięciu pokroić wzdłuż.

Suszymy je w miejscach ogrzewanych lub na słońcu, ale i wówczas należy dosuszać je w wyższej temperaturze (do 35°). Surowiec przechowuje się w szczelnie zamkniętych puszkach, gdyż łatwo atakują go szkodniki.

Uwaga! Sok z korzenia dzięgla może wywołać pęcherze na skórze.

Zastosowanie. Polecany jest przy stanach wyczerpania nerwowego, nadmiernej pobudliwości, bezsenności, bólach głowy, osłabieniu i zaburzeniach wieku podeszłego oraz przy zaburzeniach przewodu pokarmowego, jak złe trawienie (pobudza wydzielanie soku żołądkowego), powtarzające się często biegunki i zaparcia, a także schorzenia wątroby i pęcherzyka żółciowego. U dzieci i młodzieży przy niestrawności, bezkwaśności i braku apetytu o podłożu nerwowym.



Dobre efekty lecznicze obserwuje się stosując dzięgiel u nałogowych palaczy tytoniu, cierpiących na opisane wyżej dolegliwości.

Odwar. Łyżkę stołową rozdrobnionych korzeni dzięgielu zalać szklanką zimnej wody. Gotować około 20 min, uzupełniając wygotowaną wodę. Ocedzić. Pić przed posiłkami pół szklanki odwaru (żołądkowy), po posiłkach (wiatropędny) lub przed snem. Dobrze jest stosować dzięgiel w połączeniu z owocami kopru i kminku.

M.C.

ZWROT
MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO - KULTURALNY
ROK XXXVIII ● NR 454 ● CENA 2,50 Kčs

9/87

[1] Zjazd sukcesów i nadziei
[2] Oświata na miarę czasu — *MARIA GRZEGORZ*
[7] Polonijne spotkania — *PIOTR PRZECZEK*
[14] Noc Poetów w Krakowie — *WILHELM PRZECZEK*
[16] Trzy dni w Strażnicy — *RENATA OSTRUSZKA*
[19] Tomek na łamach Zwrotu — *ELŻBIETA WANIA*
[22] Obóz pionierski w Gutach
[24] Ratownik (Pezetkaowcy inaczej) — *OTYLIA TOBOŁA*
[27] Odgłosy Wielkiego Października nad Olzą [1] — *WŁADYSŁAW JOSIEK*
[29] Ogrodnik i jego dyrektorzy — *KAZIMIERZ JAWORSKI*
[33] Informacja o ochronie środowiska naturalnego — *RENATA KORPAK*
[35] W cieniu gotyckich wieży (Nadreńska mozaika) — *TADEUSZ WRATNY*
[37] Gabriel Palowski: Dojrzewanie głogu
[44] Wilhelm Przeczek, Jan Pyszko: Malowanki
[48] Milan Rusinský (Tłumacze literatury polskiej) — *WILHELM PRZECZEK*
[51] Plastycy SLA w roku jubileuszowym (Okiem recenzenta) — *A.M.R.*
[53] Ligota i Podobora (Wędrówki nazewnicze) — *WŁADYSŁAW MILERSKI*
[58] Trybuna czytelników
[62] Folklor zagrożeniem? — *DANIEL KADŁUBIEC*
[64] To i owo
[66] Kronika
Mozaika:
[73] Temat dla Ewy
[76] Krzyżówka — *(JO)*
[77] Jak jest poprawnie
[78] Galeria SLA — *A.M.R.*
Zielnik — *M.C.*
[80] Spis treści

1. STRONA OKŁADKI — fot. FRANCISZEK BAŁON

WYDAWCA:
POLSKI ZWIĄZEK KULTURALNO-OŚWIATOWY ZARZĄD GŁÓWNY W CZESKIM CIESZYNIE

ADRES REDAKCJI:
UL. J. BOŻKA 16
737 21 CZESKI CIESZYN
TEL. 569 83

ZESPÓŁ REDAKCYJNY:
KAZIMIERZ GAJDZICA
MARIA GRZEGORZ
URSZULA HUDECZEK
PIOTR PRZECZEK
(redaktor naczelny)

RADA REDAKCYJNA:
FRANCISZEK BAŁON
MARIA BIŁKO
WIESŁAWA BRANNA
BRONISŁAW FIRLA
TADEUSZ CHRZĄSZCZ
KAZIMIERZ JAWORSKI
STANISŁAW JEDZOK
WŁADYSŁAW ORSZULIK
RUDOLF POPIOŁEK

Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca. Drukarnia: Tisk, knižní výroba, n. p., Brno, zakład 3 — Cz. Cieszyn, ul. Rewolucyjna 1. Cena prenumeraty rocznej Kčs 30,—, półrocznej Kčs 15,—. Zgłoszenia prenumeraty w CSRS przyjmuje redakcja i administracja „Zwrotu", w PRL Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch", Warszawa, ul. Wronia 23. Zezwolenie na ulgową opłatę pocztową wydał Powiatowy Urząd Pocztowy w Karwinie 20. 8. 1963, 1268/63. Numer indeksu R 389, nakład 4250 egz.

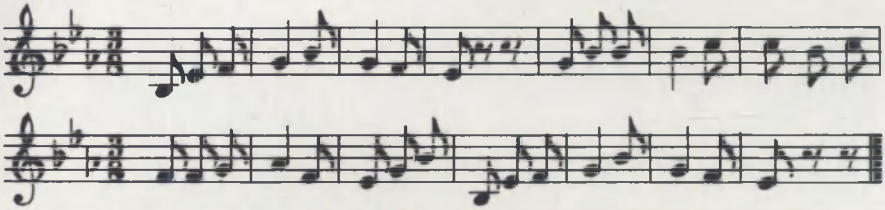
ilustracja JANINA SZOTKOWSKA

PIEŚNI GÓRALSKIE

SŁÓŻIŁO DZIYWCZYN WE DWORZE

Mosty koło Jabłonkowa

Ten zapis pieśni jest stosunkowo rzadki, a w pełnym tekstowym brzmieniu i w typie tego brzmienia można znaleźć odmiany tylko w wałaskiej wersji z Kateřinic i słowackiej koło Bratysławy. Bardzo często można się spotkać z tekstowym motywem „nie wieszejcie mie na dymbie" i z motywem miłej, która tam pójdzie po wodę i przepędzi ptaki z ciała ukochanego (niezliczona liczba wariantów na wschodnich Morawach i Słowacji). Z balladą z Mostów wiążą się również (poprzez motyw wieszania i miłej) dwie ballady z inną fabułą: Sušil 196 (Václavek vrah) i Černík ZMK 152 (Idze Janoško prez hory). Do mosteckiej wersji są podobne również dwa zapisy z okolic Nitry.



1.
/ :Słóżiło dziywczyn we dworze: /
/ :Ni miało łojca, macierze: /
2.
/ :Jyny kluczićki łod dwiyrzi: /
/ :Dwanost zbójników tam leżi: /
3.
/ :Jedynoście jich puściło: /
/ :A dwanostego zawrziło: /
4.
/ :Leż tu syneczku, leż tu sóm: /
/ :Jutro cie przidzie wieszać pón: /
5.
/ :Nie wieszejcie mie na dymbie: /
/ :Bo by mie zjadły gołymbie: /
6.
/ :Zawieście wy mie na jedlym: /
/ :Kaj miła chodzi po wodym: /
7.
/ :Jak miła wody nabrała: /
/ :Sy mie gołómbki zegnała: /



Franciszka
Trzaskalik [redacted]
735 35 HORNÍ SUCHÁ 462

GUSTAW NOWAK: Martwa natura, olej 1978 (repr. OTTO SZLAUER)



ZWROT

10/87


RZETELNĄ PRACĄ NA RZECZ REALIZACJI
POLITYKI KPC PRZYCZYNIMY SIĘ
DO BUDOWANIA ROZWINIĘTEGO
SPOŁECZEŃSTWA SOCJALISTYCZNEGO
XIV
ZJAZD
PZKO
1983



Październik od początku istnienia Związku to tradycyjnie Miesiąc Oświaty, Książki i Prasy. Rozpoczyna go Kiermasz Książki Polskiej, organizowany przez przedsiębiorstwa Ars Polona Warszawa i Kniha z Ołomuńca pod patronatem ZG PZKO. W ramach MOKiP-u odbywa się szereg imprez kulturalno-oświatowych, konkursów, pogadanek, w Kołach odbywają się również wystawy książek połączone ze sprzedażą. Na zdjęciu u góry jeden z pierwszych centralnych kiermaszy książki polskiej. Poniżej laureat konkursu muzycznego z roku 1973, jednej z wielu imprez tego miesiąca.



fot. ARCHIWUM ZG PZKO

PRZEDOSTATNI ETAP DZIAŁALNOŚCI ZWIĄZKOWEJ

W podniosłym klimacie, w okresie przygotowań do Światowego Zgromadzenia na rzecz pokoju i życia — przeciw wojnie jądrowej, obradował 21 maja 1983 roku w czeskocieszyńskim hotelu „Piast" XIV Zjazd PZKO. Referat główny, który przedstawił ówczesny sekretarz ZG PZKO Henryk Szmeja, oceniając wysoko dotychczasowe osiągnięcia Związku w działalności podstawowej, kulturalno-oświatowej, wskazywał równocześnie na konieczność wprowadzenia nowych form pracy, lepsze wykorzystanie wymiany zespołów, na potrzebę usprawnienia organizacji zebrań członkowskich, konieczność uatrakcyjnienia i wzbogacenia o treści ideologiczne działalności oświatowej.

Uchwała zjazdowa w zakresie pracy masowo-politycznej podejmuje m. in. następujące zadania:

— pracę wychowawczą skierować przede wszystkim na podnoszenie świadomości socjalistycznej członków, żeby każdy członek Związku rozumiał zasady polityki KPC i aktywnie ją popierał;

— prowadzić członków Związku do czujności klasowej i zdecydowanej negatywnej postawy wobec ideologii burżuazyjnej, prowadzić zdecydowaną walkę z różnymi poglądami drobnomieszczańskimi i przeżytkami społecznymi w świadomości ludzi;

— pogłębiać patriotyczne i internacjonalistyczne przekonania członków;

— zgodnie z zasadami internacjonalizmu socjalistycznego rozwijać i pogłębiać przyjaźń, popularyzować zacieśnianie wszechstronnej współpracy ze Związkiem Radzieckim, PRL i całym obozem socjalistycznym, mobilizować członków i obywateli narodowości polskiej do aktywnego udziału w akcjach organizowanych dla poparcia wszelkich wniosków i inicjatyw zwłaszcza Związku Radzieckiego podejmowanych na rzecz pokoju, umacniać socjalistyczny stosunek do pracy i własności społecznej, w dalszym ciągu kierować się hasłem „Każdy członek PZKO wzorowym pracownikiem", wykorzystać wszystkie formy pracy związkowej dla popularyzacji wzorowych pracowników.

W zakresie pracy organizacyjnej uchwała postuluje m. in.:

— nadal organizować akcje werbunkowe w celu poszerzania bazy członkowskiej PZKO, pozyskiwać nowych aktywistów i członków komisji, organizować dla nich systematyczne szkolenia;

— zapewnić realizację założeń niesienia pomocy organizacyjnej Komitetom Miejskim i Obwodowym PZKO;

— wspólnie z Komitetami Miejskimi kontynuować reorganizację dużych Miejscowych Kół.

Już wkrótce na forum XV Zjazdu PZKO, 24 października br., ocena realizacji tej uchwały zostanie przedstawiona delegatom wszystkich Kół PZKO. Referaty i dyskusje zjazdowe podsumują więc ostatni etap działalności PZKO-wskiej, a uchwała XV Zjazdu wytyczy nasze wspólne zadania na przyszłość.

UCHWAŁA ZREALIZOWANA

Od ponad czterech lat zapraszamy do naszej redakcji działaczy związkowych, rozmawiamy o metodach pracy kulturalno-oświatowej, o zadaniach i osiągniętych wynikach, po prostu o realizacji uchwał XIV Zjazdu PZKO. Dziś kończymy ten cykl rozmową z I sekretarzem ZG PZKO Władysławem Orszulikiem, z nim bowiem mówiliśmy o podstawowych kierunkach pracy w wywiadzie rozpoczynającym dyskusje „Nad uchwałą XIV Zjazdu".

ZWROT: Za kilkanaście dni spotkają się delegaci XV Zjazdu PZKO, by między innymi ocenić wyniki, osiągnięte w okresie ostatnich czterech lat. Pozostaje więc i nam rozliczyć się z tego, co stwierdziliśmy wówczas, w rozmowie opublikowanej we wrześniowym numerze 1983. Mówiliśmy między innymi o tym, że trzeba będzie więcej uwagi poświęcić podnoszeniu kwalifikacji działaczy, członków poszczególnych organów związkowych ...

WŁADYSŁAW ORSZULIK: To jest zagadnienie, z którym cała nasza działalność w okresie międzyzjazdowym była bardzo ściśle związana. Chodzi tu o szkolenie kadry działaczy na wszystkich szczeblach Związku. Mam wrażenie, że w tym kierunku zrobiono dużo, ale nie możemy być w stu procentach zadowoleni. Trzeba wysoko ocenić szkolenia dla działaczy Kół — prezesów, sekretarzy, skarbników, członków komisji rewizyjnych. Z drugiej strony — mamy szereg kursów dla dyrygentów, reżyserów itp., i to nie tylko organizowanych przez nasz Związek, ale też przez ośrodki kultury lub towarzystwa kulturalne w Polsce.

— Chyba jednak lepsze efekty osiągnięto w szkoleniu na niższym szczeblu, natomiast mniej skuteczne były szkolenia członków wyższych organów.

— To inna sprawa — chodzi tu o tygodniowe szkolenia, które zorganizowaliśmy w obydwu powiatach. Trzeba otwarcie powiedzieć, że nie było do nich specjalnego zaufania, ale powtórzone — w bieżącym roku — spotkały się już z większym zainteresowaniem. Ten rodzaj szkolenia trzeba będzie chyba stosować również w przyszłości, nato-

miast za mało zrobiliśmy dla tych, którzy prowadzą działalność kulturalno-wychowawczą. W tej dziedzinie są kursy i szkolenia wykorzystywane raczej przez młodzież, natomiast do tych, którzy już od dłuższego czasu pracują, ale przecież też potrzebują udoskonalać formy działania, poprzez szkolenia nie docieramy. Dobrze, że młodzi się tym interesują, ale dla tych filarów też coś musimy zrobić.

— Następny temat to zapowiadana po XIV Zjeździe zmiana struktury, utworzenie komisji jako organów doradczych ZG PZKO. Czy ten system sprawdził się w praktyce?

— Dotychczas działały specjalistyczne sekcje bez patronatu tego rodzaju komisji. Dlatego XIV Zjazd powołał komisje, które miały w jakiś sposób jednoczyć działanie w szerszym zakresie — stąd komisja kultury, oświaty itd. Osobiście uważam, że ta struktura jest właściwa, ale zlekceważono składy osobowe. Moim zdaniem taka komisja powinna się składać z członków Plenum, którzy mają odpowiedni stosunek do poszczególnych dziedzin, natomiast fachowcy powinni działać bezpośrednio w sekcjach. Dobrym przykładem była Komisja Kadrowa ZG — nie byli jej członkami przedstawiciele sekcji, lecz ludzie wybrani specjalnie do tej pracy z terenu.

— Następny temat, poruszany przed czterema laty, dotyczył kontaktu członków ZG PZKO z pracą związkową na wszystkich szczeblach, korzystania z uzyskanych doświadczeń podczas tematycznych obrad Plenum ZG PZKO.

— Doszło w tym kierunku do pewnej poprawy, ale już sam fakt, że z niektórych obwodów, np. z bogumińskiego, jest w Plenum minimum przedstawicieli, spowodował, że kontakt z terenem nie był najlepszy. Trzeba osiągnąć to, by organ naczelny reprezentował cały teren od Mostów po Ostrawę. W ten sposób podchodzimy do przygotowania materiałów kadrowych na XV Zjazd i mam nadzieję, że uda nam się to osiągnąć. Druga sprawa: materiały były przygotowywane tematycznie, ale nie tak, jak to sobie wyobrażaliśmy. Taki materiał, który idzie do organu naczelnego, powinien powstać w danej dziedzinie — np. w wypadku śpiewactwa powinna go przygotować przede wszystkim Sekcja Śpiewaczo-Muzyczna, bo ona ma dokładne rozeznanie. Potem materiały powinna omówić Komisja Kultury, żeby widzieć to w szerszym zakresie, a dopiero potem oddać do Plenum. W rzeczywistości jednak sytuacja nieraz była taka, że materiał pod obrady opracowywali pracownicy aparatu po jakiejś dyskusji w sekcji. Uchwała potem została podjęta, ale trudno oczekiwać, by dotarła do terenu. Nieraz jej żywot zakończył się w komitecie miejskim czy obwodowym.

— Wywiad sprzed czerech lat zapowiadał również poprawę pracy aparatu ZG PZKO, jego zbliżenie z terenem ...

— Odpowiedź jest jasna: pracownicy aparatu ZG PZKO pracują dla terenu, mają mu służyć. Doszło do pewnych zmian w strukturze organizacyjnej, ale nie wszystkie przedsięwzięcia, które wytyczyliśmy, zostały zrealizowane. Prawdą jest, że doszło do poszerzenia ilości etatów w Wydziale Polityczno-Organizacyjnym ZG, gdzie widzimy potrzebę pomocy w działalności komitetom miejskim i obwodowym. Ale te rzeczy nie zostały w stu procentach zrealizowane, czyli pozostaje tu zadanie na przyszłość. Ponadto jest to również sprawa podejścia samych pracowników do wykonywania swoich obowiązków.

— Niektóre z tych problemów wiążą się chyba z brakiem stabilizacji kadr w aparacie ZG PZKO, w ocenianym okresie doszło bowiem do sporych zmian na etatach instruktorów.

— Tak, to racja. W wielu wypadkach komplikowały nam pracę urlopy macierzyńskie czy inne sprawy osobiste pracowników.

W tej sytuacji trudno liczyć na systematyczną pracę, na perspektywiczne działanie. Mamy rzeczywiście poważne zadanie w tym kierunku, by ustabilizować zespół instruktorów. Oni sami powinni widzieć perspektywę tej pracy, znaczenie własnego systematycznego rozwoju.

— Dużo miejsca poświęciliśmy zadaniom „Zwrotu", który w większym niż dotychczas stopniu miał się stać „pomocnikiem naczelnych organów w realizacji uchwał, a z drugiej strony pomocnikiem szerokiej rzeszy czytelników". Jak nasza redakcja wywiązała się z zadania, określonego na podstawie uchwał XIV Zjazdu PZKO?

— Osobiście jestem przekonany, że Zwrot w tym kierunku spełnił swoje zadania, choćby dzięki właśnie tym rozmowom i dyskusjom nad uchwałą XIV Zjazdu czy kontrolą jej realizacji, krytycznymi ocenami pracy, poza tym licznymi rozmowami w terenie, ciekawymi reportażami na temat pracy naszych działaczy. To wszystko było bardzo potrzebne. Z jednej strony było to dla wielu oceną ich pracy, z drugiej nauką i wymianą doświadczeń. Pokazywaliście to, co gdzieś robi się nowego i ciekawego. Taka pomoc metodyczna — i to było jak najbardziej zgodne z zamierzeniami, z oczekiwaniami wydawcy.

— Miło słyszeć pozytywną ocenę naszej pracy, nie wątpimy jednak, że wydawca oczekuje od nas czegoś więcej?

— Oczywiście, będzie trzeba zastanowić się nad całością działania naszego miesięcznika na następny okres. Jestem przekonany, że należałoby więcej uwagi poświęcić polskiej kulturze. Dalej — kronika — jest potrzebna, ale nie w tej formie, nie odnotowywanie wszystkich drobnych wydarzeń. Tu powinny być rzeczy najciekawsze, które mogą również pomagać metodycznie, być dobrym przykładem dla reszty. Pokazać coś więcej. Dalej — trzeba będzie więcej uwagi poświęcić propagacji naszej pracy, jednostek czy zespołów, twórczości. Jest więc masa zadań, a najważniejsze określi XV Zjazd. Z zadaniami, wynikającymi z jego uchwał, trzeba będzie pracować przede wszystkim, pośredniczyć w ich upowszechnianiu, pokazywać, jak są wprowadzane w życie.

— Nasza rozmowa, otwierająca przed czterema laty cykl dyskusji „Nad uchwałą XIV Zjazdu PZKO", zatytułowana została znamiennie: „Aby wykonane zostało co postanowiono". W ostatnim pytaniu ostatniej rozmowy trzeba więc wrócić do tych słów: czy zatem zostało wykonane to, co postanowił XIV Zjazd PZKO?

— Według mnie uchwała XIV Zjazdu została zrealizowana. Wiele pracy wykazały zespoły, Koła, przecież to był okres dalszego rozbudowywania zaplecza materialnego PZKO, dalszego wzrostu poziomu zespołów. To wszystko trzeba wysoko ocenić — i w gruncie rzeczy na tym opiera się realizacja uchwał. Są pewne rzeczy, których nie udało się rozwiązać, choćby sprawa usprawnienia działalności dużych Kół. Dużo zrobiono w strukturze organizacyjnej, wzrósł poziom pracy komitetów miejskich i obwodowych. Może trochę za mały był postęp w propagacji naszej pracy, choć i tu poczyniono pewne kroki. Była masa imprez, które są oceniane bardzo wysoko — przede wszystkim nasze festiwale, świadczące o wysokim poziomie świadomości członków PZKO. Jestem przekonany, że jeżeli będziemy nadal pracować z taką odpowiedzialnością nie tylko wobec własnej organizacji, ale i całego społeczeństwa, jeżeli tak samo będziemy realizowali uchwały XV Zjazdu PZKO, to w przyszłości znowu śmiało będziemy mogli powiedzieć, że nasz Związek wzorowo pełni swoje zadania.

rozmawiał
PIOTR PRZECZEK



24. 10. 1987
CZESKI CIESZYN

XV ZJAZD PZKO

I ZJAZD PZKO, 26. 2. 1950, CZESKI CIESZYN

Zarząd Główny PZKO

J. PRIBULA (przewodniczący), P. TROMBIK (I zast. przew.), H. JASICZEK (II zast. przew.), K. RZYMAN (sekretarz), J. ADAMUS, dr. J. BERGER, dr F. HANAK, K. HECZKO, F. HENACZ, E. HOŁEK, E. JĘDRZEJCZYK, J. KALETA, E. KLIMSZA, A. KLUZ, A. KOCUR, L. KOŻUSZNIK, J. KRZEMIEŃ, J. KUBIENA, A. KUBISZ, R. MOLENDA, E. POPIOŁEK, W. SŁAWIŃSKA, R. STALA, K. SZTEFEK, J. ŻWAK, F. ŻYŁA

II ZJAZD PZKO, 20. 5. 1951, CZESKI CIESZYN

Zarząd Główny PZKO

J. KULA (przewodniczący), J. PRIBULA (I zast. przew.), H. JASICZEK (II zast. przew.), K. RZYMAN (sekretarz), K. BIGAJ, M. DOMESOWA, E. DZIERŻAWA, A. FAJOWA, A. FARNIK, J. GAŁUSZKA, K. GĄSIOR, A. GOJOWA, J. HECZKO, E. KLIMSZA, A. KOCUR, P. KOHUT, S. MAMOŃ, R. MOLENDA, J. MRÓZEK, E. PIETRUS, J. PINDUR, E. POPIOŁEK, E. RASZKA, W. SEMBOL, A. SIKORA, W. SZKUTA, P. TROMBIK

III ZJAZD PZKO, 2. 5. 1953, CZESKI CIESZYN

Prezydium ZG PZKO

J. MRÓZEK (przewodniczący), B. GOJ (sekretarz), H. JASICZEK, Z. KOWALCZYKOWA, A. KOCUR, P. KUBISZ, S. MAMOŃ, J. PRIBULA, L. SZTUŁA, J. SZURMAN

IV ZJAZD PZKO, 24. 4. 1955, CZESKI CIESZYN

Prezydium ZG PZKO

J. MRÓZEK (przewodniczący), J. SZURMAN (I zast. przew.), P. KUBISZ (II zast. przew.), B. GOJ (sekretarz), Z. KOWALCZYKOWA, A. KUBECZKA, S. MAMOŃ, W. PALOWSKI, J. PRIBULA, W. PRIBULOWA, E. SUCHANEK (pracownik ZG), H. SZMEJA (sekretarz ZP PZKO w Karwinie), J. WANTUŁA (sekretarz ZP PZKO w Czeskim Cieszynie)

V ZJAZD PZKO, 21. 7. 1957, CZESKI CIESZYN

Prezydium ZG PZKO

A. KUBECZKA (przewodniczący), J. MRÓZEK (zast. przew.), dr J. MACURA (zast. przew.), B. GOJ (I sekretarz), E. SUCHANEK (II sekretarz), J. BUGDOL, P. CHODURA, P. KUBISZ, W. PRIBULOWA, H. SZMEJA (pracownik ZG), J. SZURMAN, inż. L. WAŁOSZEK, J. WANTUŁA (sekretarz ZP PZKO w Czeskim Cieszynie)

VI ZJAZD PZKO, 24. 5. 1959, CZESKI CIESZYN

Prezydium ZG PZKO

B. GOJ (przewodniczący), E. SUCHANEK (sekretarz), J. BUGDOL, Elżbieta DROZD, A. KUBECZKA, J. MRÓZEK, W. PRIBULOWA, Wł. SIKORA mł., dr. T. SIWEK, H. SZMEJA (sekretarz ZP PZKO w Karwinie), J. SZURMAN, J. WANTUŁA (sekretarz ZP PZKO w Czeskim Cieszynie), K. WRONKA

VII ZJAZD PZKO, 10. 4. 1960, CZESKI CIESZYN

Prezydium ZG PZKO

B. GOJ (przewodniczący), A. KUBECZKA (zast. przew.), J. MRÓZEK (zast. przew.), E. SUCHANEK (sekretarz), J. BUGDOL, Elżbieta DROZD, J. HECZKO, inż. L. KUBIŃSKI, A. KUDZIEŁKA, W. PRIBULOWA, J. RUSNOK, Wł. SIKORA mł., dr T. SIWEK, F. SZAROWSKI, H. SZMEJA, L. SZTUŁA, J. SZURMAN, B. WACŁAWCZYK

VIII ZJAZD PZKO, 16. 2. 1962, CZESKI CIESZYN

Prezydium ZG PZKO

E. SUCHANEK (przewodniczący), A. KUBECZKA (zast. przew.), J. RUSNOK (zast. przew.), K. KRZYSTEK (sekretarz), J. BUGDOL, T. CHRZĄSZCZ, H. JASICZEK, dr J. MACURA, W. PALOWSKI, Wł. SIKORA, dr T. SIWEK, W. STALMACH, H. SZMEJA, J. SZURMAN, B. WACŁAWCZYK, J. WIERZGOŃ

IX ZJAZD PZKO, 4. 4. 1965, CZESKI CIESZYN

Prezydium ZG PZKO

E. SUCHANEK (przewodniczący), A. KUBECZKA (zast. przew.), H. SZMEJA (zast. przew.), K. KRZYSTEK (sekretarz), T. CHRZĄSZCZ, H. JASICZEK, dr J. MACURA, J. PRIBULA, J. RUSNOK, Wł. SIKORA, dr T. SIWEK, W. STALMACH, E. ŚLIWKA, T. TESARCZYK, B. WACŁAWCZYK, J. WANTUŁA

X ZJAZD PZKO, 27. 4. 1968, CZESKI CIESZYN

Prezydium ZG PZKO

E. SEMBOL (przewodniczący), dr J. MACURA (zast. przew.), E. SUCHANEK (zast. przew.), T. CHRZĄSZCZ (sekretarz), inż. B. FIRLA, dr J. GAUDYN, Wanda HEDBA, dr D. KADŁUBIEC, Z. KOWALCZYKOWA, K. POLAK, J. PRIBULA, J. RUSNOK, inż. Z. RAKOWSKI, E. ŚLIWKA, inż. J. ŠTIRBA, J. WIERZGOŃ, W. WRÓBEL

XI ZJAZD PZKO, 23. 10. 1971, CZESKI CIESZYN

Prezydium ZG PZKO

E. SUCHANEK (przewodniczący), inż. J. FOLTYN (zast. przew.), S. KONDZIOŁKA (zast. przew.), dr J. MACURA (zast. przew.), H. SZMEJA (sekretarz), T. CHRZĄSZCZ, L. CIENCIAŁA, Z. KLADOSCH, J. KOWALA, Janina MATLOCH, E. OCISK, R. POPIOŁEK, G. SAJDOK, F. SZOPA

XII ZJAZD PZKO, 6. 4. 1975, KARWINA

Prezydium ZG PZKO

S. KONDZIOŁKA (przewodniczący), inż. J. FOLTYN (zast. przew.), B. KISZA (zast. przew.), dr J. MACURA (zast. przew.), H. SZMEJA (sekretarz), L. CIENCIAŁA, Helena FRANEK, K. KRZYSTEK, inż. J. ORSZULIK, A. PALOWSKI, R. POPIOŁEK, G. SAJDOK, R. SZAROWSKI, F. SZOPA, Anna WOJNAR

XIII ZJAZD PZKO, 19. 5. 1979, CZESKI CIESZYN

Prezydium ZG PZKO

S. KONDZIOŁKA (przewodniczący), inż. J. FOLTYN (wiceprzew.), inż. A. KALETA (wiceprzew.), R. SZAROWSKI (wiceprzew.), H. SZMEJA (sekretarz), J. CIEŚLAR, E. HYRNIK, J. KOWALA, A. PALOWSKI, K. PIEKNIK, R. POPIOŁEK, P. STEC, H. SZKUTA, F. SZOPA, mgr T. WANTUŁA

XIV ZJAZD PZKO, 21. 5. 1983, CZESKI CIESZYN

Prezydium ZG PZKO

RSDr S. KONDZIOŁKA (przewodniczący), dr J. KOWALA (wiceprzew.), inż. R. SUCHANEK (wiceprzew.), R. SZAROWSKI (wiceprzew.), W. ORSZULIK (sekretarz), J. CIEŚLAR, E. HYRNIK, W. NIEDOBA, A. PALOWSKI, K. PIEKNIK, R. POPIOŁEK, J. PRZYWARA, A. SIKORA, F. SZOPA, H. ZAWADZKA

MÓWIĄ DELEGACI NA XV ZJAZD PZKO

Na dwa miesiące przed obradami związkowego szczytu poprosiliśmy o wypowiedź kilku spośród ponad 200 reprezentantów Kół PZKO na XV Zjeździe PZKO, zadając im jedno wspólne pytanie: Jaki, ich zdaniem, jest najważniejszy problem PZKO-wskiego działania i w jaki sposób Zjazd powinien pomóc w jego rozwiązaniu?

MIECZYSŁAW BITTMAR, Nowy Bogumin

Jeden z najważniejszych problemów upatruję w przeżywaniu się wielu tradycyjnych form pracy związkowej i, co za tym idzie, z kryzysem zespołów śpiewaczych, teatralnych i tanecznych w niejednym Kole. Czy można temu zaradzić? I czy trzeba? To, co dawniej pociągało setki ludzi, dziś interesuje parę osób. Wielu młodych nie chce się angażować w wielkich grupach, preferując bardziej kameralne formy społecznego życia. Można to zrozumieć, w małej grupie człowiek ma większe poczucie wolności, bliższy kontakt z drugim człowiekiem. Może w tym kierunku należy pójść. Przed dwudziestu laty rodziły się Kluby Młodych i Zespoły Kobiet. To było wtedy bardzo ważne, bo znacznie ożywiło pracę związkową. Dziś zapewne trzeba nowego impulsu. Wierzę, że problem ten zostanie poruszony na XV Zjeździe PZKO. Drugi problem pośrednio związany z pracą PZKO to moim zdaniem skandaliczna już sprawa cen polskich książek. Nie stać mnie na to, by dzieciom kupować książki za kilkaset koron. Jeżeli ludzie stracą kontakt z polską książką, to będzie to początek końca polskiego życia kulturalnego. Nie wyobrażam sobie wychowania dzieci bez książki. Uważam, że trzeba się tą sprawą z całą odpowiedzialnością zająć. Polską wódkę w cenie 1 000 zł można kupić u nas za 85,— Kčs. Polska książka w cenie 1 000 zł kosztuje około 250,— Kčs. Wnioski nasuwają się same.

Inż. PIOTR HORZYK, Czeski Cieszyn-Centrum

Problemów jest wiele i wszystkie są ważne. W skrócie można stwierdzić, że konieczna jest natychmiastowa aktywizacja młodzieży. Jest wielu zdolnych i aktywnych, ale w sto-

sunku do potrzeb społeczeństwa o wiele za mało. Recepta? Nie tylko oczekiwać, że młodzi coś zrobią, ale nałożyć na nich konkretne zadania, atrakcyjne na dziś i jutro. I wymagać realizacji. A kto może wymagać? Szkoła, rodzice (też byli przed iluś tam laty młodzi i tworzyli PZKO), zarządy Kół. Potrzebą chwili jest budowa świetlic tam, gdzie ich jeszcze nie ma. Ten problem jest najbardziej palący w dużych osiedlowych Kołach. O ile Koło liczące kilkaset członków nie ma swojego lokalu, to jego praca zaczyna być formalna. Spotyka się zarząd, kilku ludzi z zespołów, kilku aktywistów. A reszta, a młodzież?

Dalej konieczne jest rozwiązanie problemu, jakim są trwające nadal trudności z odwiedzaniem krewnych i znajomych w PRL i w ogóle możliwość przekroczenia granicy. To boli przeważającą część naszego społeczeństwa. Brakuje kontaktu z językiem, kulturą. Potrzebne jest również rozszerzenie możliwości studiów w PRL. Chodzi tu o liczbę miejsc i szerszy wybór kierunku studiów. Oczywiście trzeba pamiętać przede wszystkim o potrzebach naszego państwa.

Jak widać istnieje wiele problemów. Nie wszystkie może rozwiązać Zjazd, gdyż również on ma określone kompetencje. Ale można o tych problemach mówić, postulować u odpowiednich organizacji, organów nadrzędnych. I załatwić to, czego oczekuje szeregowy członek Związku.

Inż. BENEDYKT TROMBIK, Leszna Dolna

Działamy w okresie, kiedy początkowy entuzjazm, cechujący pracę związkową przed 30—40 laty, opada. Ważnym zadaniem członków zarządu oraz rejonowych jest poprzez osobisty przykład zaktywizować resztę członków naszego Związku. W przeciwnym razie pozostaje nam drastyczna metoda wykreślenia niektórych pasywnych członków, pozostając przy tych, którzy chcą pracować. Do tego jednak nie możemy i nie chcemy dopuścić. Opadanie tego entuzjazmu z początkowych lat istnienia PZKO najlepiej jest widoczne przy budowie naszego Domu PZKO w Lesznej. Ludzi chętnych do budowania własnego dachu nad głową ubywa, trzeba wiele wysiłku włożyć w to, a to jest zadaniem rejonowych, by przekonać ludzi i namówić ich do pomocy. Wielu naszych PZKO-wców zadeklarowało początkowo pomoc, wpisując się na listę brygadniczą, a niektórzy z nich jeszcze się na budowie nie pokazali. To sprawa ich sumienia — tego czy w tej sytuacji potrafią spać spokojnie, bo ja bym nie potrafił. Nie wiem, czy w tej sprawie pomoże nam najwyższe forum związkowe, jakim jest XV Zjazd PZKO. Uważam, że najważniejszy jest osobisty przykład oraz osobista agitacja.

ILONA BEDNARZ, Orłowa — Lutynia

Największy nasz problem, naszego obwodu, związany jest z brakiem młodych ludzi w zarządach i zespołach. Tutaj należy przygotować do pracy społecznej młodą kadrę, zwłaszcza na funkcje kierownicze, prezesów, sekretarzy Kół. Problem jest bardzo trudny, ale jego rozwiązanie w najbliższym czasie konieczne. Trzeba wszelkimi sposobami szukać sposobów podejścia do młodych ludzi. Nie znaczy to, że nie doceniamy pracy długoletnich działaczy, ale trzeba pamiętać o przyszłości. Dotyczy to zwłaszcza zespołów,

w szczególności chórów. Nasz orłowski chór „Hasło" stale boryka się z brakiem młodego narybku. Widoczne jest to bardzo wyraźnie w dzielnicach, z których w wyniku szkód górniczych nasi członkowie się masowo wyprowadzają — Orłowa I, Orłowa-Łazy. Część z nich, i to znaczna, przenosi się do mojego Koła — do Orłowej-Lutyni. Ale tylko nieliczni znajdują drogę do Koła PZKO. Wiem, że z tymi sprawami musimy uporać się przede wszystkim sami, ale uważam również, że należałoby mówić o tym na Zjeździe. Może to pomogłoby zmobilizować niektóre Koła, by nie przechodzić koło tego obojętnie. Może należałoby podjąć w tej kwestii jakąś konkretną uchwałę, by pomóc Kołom, a tym i całemu Związkowi. Same szkolenia, które ZG PZKO organizuje dla młodych ludzi, tutaj nie wystarczą. Tu ważna byłaby konkretna pomoc ZG w terenie.

dr JÓZEF WIERZGOŃ, Karwina-Frysztat

Za najistotniejszy problem uważam wciągnięcie o wiele szerszego kręgu naszej młodzieży w wir życia PZKO-wskiego. Zjazd na pewno ten problem poruszy. Trudniej będzie znaleźć jednoznaczną odpowiedź na to palące zadanie, a jeszcze gorzej będzie ze znalezieniem skutecznego lekarstwa na tę chorobę, która mocno nadweręża naszą pracę społeczną. Może to ktoś uważać za przesadę, jednak rzeczywistość jest moim zdaniem naprawdę alarmująca. O ile jako tako udaje nam się wciągać młodzież do amatorskich zespołów artystycznych — to bardzo blado wygląda sprawa wciągnięcia młodych w tok pracy organizacyjno-społecznej, do pracy w zarządzie Koła, do podejmowania odpowiedzialnych funkcji, które wymagają systematycznego wysiłku i wielkiej cierpliwości w bezpośredniej pracy z ludźmi. Nie wolno nam przeoczyć istotnego faktu, iż wkraczamy w bardzo przełomowy okres, w którym bardzo szybko wykruszają się szeregi zapalonych aktywistów — społeczników, którzy jako młodzi ludzie rozpoczęli pracę społeczną w PZKO w okresie tuż po wojnie a którym z powodu sędziwego wieku nie starcza już sił, by nieść na swoich barkach ogrom pracy społecznej w tak bardzo złożonych warunkach współczesnej cywilizacji. Sprawa o tyle jeszcze się komplikuje, że średnie pokolenie dało się wchłonąć w znacznym stopniu przez konsumpcyjny styl życia i dla współczesnego pokolenia nie stanowi pożądanego przykładu. Tego problemu na pewno Zjazd nie rozwiąże, nie powinien jednak bezwarunkowo tego żywotnego dla pomyślnej pracy Związku problemu pominąć. Będzie tu potrzebna skuteczna apelacja do naszego społeczeństwa jako całości, do rodziny, szkoły, szerokiej bazy związkowej, do każdego z nas z osobna ...

Jako dyrektorowi teatru, pod którego wspólną strzechą działa również Scena Polska, nie jest mi obojętne, ilu widzów uczęszcza na jej przedstawienia. Wiele się ostatnio mówiło i podejmowało zobowiązań w Kołach PZKO w związku z podniesieniem liczby stałych abonentów SP. Dzięki zrozumieniu ZG PZKO, powołaniu Sekcji ds. Współpracy ze Sceną Polską oraz aktywnej pomocy terenu doszło do widocznej poprawy. Nie oznacza to jednak wcale, że jest już dobrze. Mamy jeszcze wielu takich w naszym społeczeństwie, którym losy Sceny Polskiej są jak najbardziej obojętne. Jestem przekonany, że na Zjeździe mówić się będzie o naszym jedynym poza granicami PRL polskim teatrze i że podjęta zostanie konkretna uchwała zobowiązująca nasze społeczeństwo związkowe, Komitety Miejskie i Obwodowe, zarządy Kół do stałej współpracy ze Sceną Polską i do niesienia jej pomocy.

MaG, hb



fot. PIOTR WOJOCZEK

PEZETKAOWCY INACZEJ

spotkanie 10.

NIE TYLKO URZĘDNICZKA

Różne są marzenia nastolatków o przyszłym zawodzie i karierze. Niektórzy chcą być sławni, zdobyć uznanie, inni zapytani o przyszły zawód wymieniają określenia ,,ciekawy, interesujący". Jeszcze inni chcą dobrze zarabiać. Ale są i tacy, co chcą dobrze pracować, a nawet tacy, którzy potrafią polubić pracę, która na pozór może nie wydawać się aż tak atrakcyjna.

Dziś będzie rozmowa o zawodzie typowo kobiecym. Dziewczęta wybierając naukę w średniej szkole ekonomicznej, nie zawsze wiedzą do końca, na czym ich przyszła praca będzie polegać. Wiedzą jednak to, że zostaną ,,urzędniczkami". W ciągu czterech lat mają polubić księgi rachunkowe, planowanie, ekonomikę, liczby, konta i dokumenty księgowe. Rzadziej już pracują z nowoczesnymi komputerami, bo, jak powiedział mi jeszcze przed wakacjami dyrektor Średniej Szkoły Ekonomicznej w Czeskim Cieszynie Bruno Heczko, ich placówka ciągle jeszcze czeka na modernizację z prawdziwego zdarzenia. Często uczniowie, których rodzice mają takie możliwości, przynoszą do szkoły komputery kupione za granicą, budząc zazdrość wśród rówieśników, a nierzadko zdumiewając samych nauczycieli. Tegoroczni maturzyści przygotowywać się będą do zgoła innych sposobów składania egzaminów dojrzałości, bo przecież, ciągle mam na myśli absolwentów szkół ekonomicznych, w ich przyszłym zawodzie liczyć się będzie nie tylko to, co dotychczas, a więc sumienność, dokładność, porządek i ekonomiczne myślenie, ale coraz częściej zdolność ,,rozmowy z komputerem". Przekonała mnie o tym dzisiejsza rozmowa.

— Nie wchodząc w szczegóły, możesz chyba powiedzieć o sobie: „Jestem urzędniczką"?

HALINA CIEŚLAR, materiałowa księgowa w hucie trzynieckiej, koryguje mnie nawet: — Tak, możesz o mnie spokojnie powiedzieć „gryzipiórek". Wiele godzin w ciągu zmiany pracuję z liczbami, są to najczęściej liczby dwunastocyfrowe, a nie można się pomylić, bo od razu wychodzi zupełnie coś innego.

— Dlaczego akurat dwunastocyfrowe?

— Ponieważ pracuję w centralnych magazynach huty trzynieckiej, do których należy pięć składnic materiału, gdzie zgromadzone są wszelkie części zamienne, potrzebne do remontu maszyn, urządzeń różnego rodzaju agregatów. Każda część to dla komputera dwanaście cyfr. Pomylisz jedną cyferkę, a wychodzi zupełnie inna część zamienna.

— W oczach mi się ćmi, jak o tym pomyślę. To ile huta ma tych części?

— W sumie trzydzieści tysięcy pozycji w kartach materiałowych, a przeliczając na pieniądze za około 345 milionów koron.

— No, mając tyle części zamiennych, możecie być chyba wspaniałym zaprzeczeniem wiecznych utyskiwań na temat ich ciągłych niedoborów?

— Oj, niezupełnie tak. Ale obecnie wszystkie remonty, a więc tym samym zapotrzebowanie na części, odbywają się planowo, no bo nie można przecież przerwać remontu wielkiego pieca, gdzie liczą się minuty, tylko dlatego, że akurat nie ma jakiejś części.

— A co najczęściej wydajecie z magazynów?

— Muszę się zastanowić. To jest różnie ... Ale najczęściej to osie, wały, koła zębate, łożyska, klapy, to jeśli chodzi o maszyny, a potem wiele części „elektro", ale te są znowu w sąsiednim magazynie.

— Wyobrażam sobie, że petent, który nie znajdzie u was tego, czego akurat potrzebuje, może być trochę niegrzeczny, i złość wylewa na was?

— Często bywają nieprzyjemni, to prawda, ale my im się wcale nie dziwimy. Oni chcą naprawiać, a magazynier bierze kartę zapasów i mówi: „Tego nie ma, to się skończyło, to będzie za dwa tygodnie, a tego nie zamówiono".

— I „klient" odchodzi z kwitkiem?

— Nie, wówczas trzeba sobie radzić inaczej. Proponujemy części zastępcze do podobnych agregatów czy maszyn ...

— A druga sprawa: magazynier patrzy w kartę? Myślałam, że przekręca gałkę i na ekranie ...

— Na to musimy jeszcze trochę zaczekać. Czekamy już wprawdzie pięć lat, ale teraz obiecano, że od stycznia przyszłego roku się doczekamy własnego osobnego wejścia na komputer. Dotychczas z wszystkimi dokumentami podkładowymi, czyli listami dostaw, wydań itp. jeżdżę do dyrekcji ...

— Jeździsz?

— ... na rowerze. To w ramach ruchu po zdrowie, a tak poważnie dlatego, by skrócić czas, bo to z magazynów półtora kilometra w jedną stronę, a czasami trzeba pojechać dwa i trzy razy.

— To znaczy, że wszyscy zainteresowani częściami zamiennymi muszą jeździć tu pod samą Końską, by je otrzymać.

— W 1979 roku wszystkie części przeniesiono z poszczególnych zakładów tu do centralnych magazynów. Oczywiście, jak każda nowość, i to w oczach niektórych kierowników nie znalazło zbytniego zrozumienia, bo wiadomo, dotychczas mieli wszystko pod ręką, a teraz trzeba było dojeżdżać do centralnych magazynów. Ale z drugiej strony, mając wszystko zgromadzone na jednym miejscu, możemy im właśnie proponować coś w zamian.

— A czy nie scentralizowano wszystkiego dlatego, by kierownicy nie chomikowali, na lata chude?

— Oj nie, oni musieli przestrzegać obowiązujących limitów. W większości bywały one przekraczane, więc postanowiono wybudować składy na te 12 tysięcy palet.

— Widać, że przydałby wam się komputer. Ale czy ty osobiście mogłabyś od razu zacząć z nim pracować, tak po prostu, na podstawie wiedzy wyniesionej z szkoły?

— Na pewno potrzebne będzie przeszkolenie, to prawda. Ale wszyscy czekamy już na niego z niecierpliwością. Mniej będzie tego niepopularnego „papierkowania", komputer będzie wyłącznie do naszej dyspozycji, w biurach displeje, od razu można odczytać stany końcowe. Staniemy się bardziej samodzielni...

— ... i przystosowani do dwudziestego wieku. I wówczas już nie będę mogła powiedzieć do ciebie „pani urzędniczko". A tak w ogóle, można tę pracę urzędnika polubić?

— Da się lubić, bo ja ją polubiłam.

— I nie zamieniłabyś. Bo wbrew pozorom takie ślęczenie i uważne obcowanie z cyframi jest czasem bardziej męczące od pracy fizycznej.

— Do tego można się przyzwyczaić, chociaż bywa i tak, że mam gorszy dzień. Ale ta robota nie jest najgorzej płatna, a do tego nadzieja otrzymania komputera ... Zresztą praca tu, w magazynie, to nie tylko wypisywanie liczb, cyfr, musimy załatwić, zamawiać materiał, bo części sprowadzamy z całej republiki. Niektóre części produkowane lub odnawiane są w warsztatach mechanicznych.

— W jaki sposób się po powrocie do domu relaksujesz?

— Lubię pracę w ogródku. O, te piękne pomidory dojrzały mi bez tunelu, bez szklarni przydomowej. Lubię wodę i lubię śpiewać. Z tej racji od marca śpiewam w nowym chórze, na razie jeszcze bez nazwy, składającym się z członków PZKO Kanada—Podlesie—Niebory. Prowadzi nas Irena Małysz z Trzyńca. Zastanawiamy się, czy nie zdecydować się na nazwę „Relaks".

— To inne chóry nie będą traktować was poważnie.

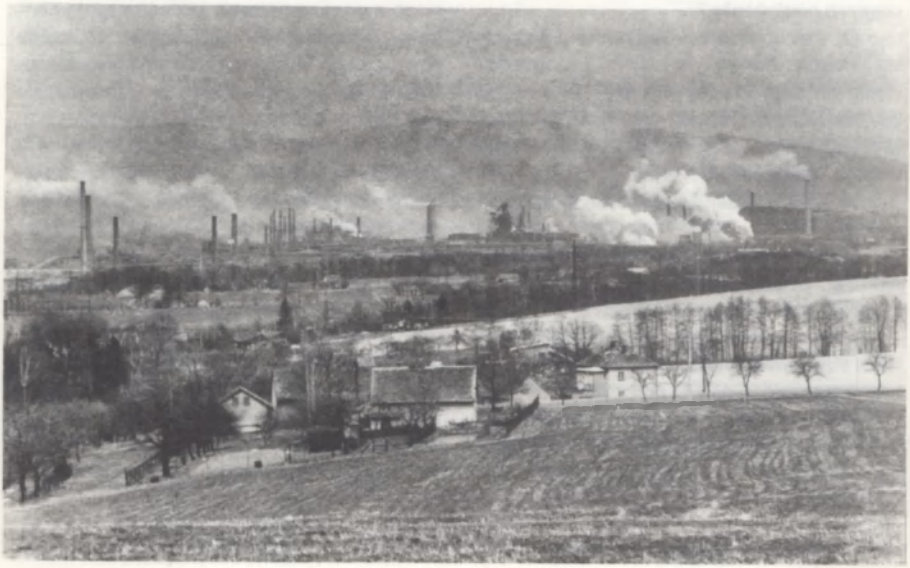
— Nie szkodzi, bo dla nas śpiewanie to naprawdę przede wszystkim relaks.

— Do niedawna pracowałaś jeszcze w organizacji młodzieżowej, byłaś na światowym festiwalu młodzieży w Moskwie ...

— Teraz nie jestem już członkiem zarządu ogólnozakładowego, zostawiłam to moim następcom, ale w organizacji jeszcze trochę działam.

— Dziękuję za uwagę i życzę spełnienia marzeń. I obyście się doczekali w styczniu tego komputera ...

OTYLIA TOBOŁA



fot. JAN BYRTUS

GÓRALSZCZYZNA PO RAZ CZTERDZIESTY

Chyba największe emocje przed 40. jubileuszowym Świętem Gorolskim wzbudzała pogoda, akurat w tych dniach niepewna, zmieniająca się z godziny na godzinę. Będzie lało czy nie — zastanawiali się wszyscy, którym choć trochę leżał na sercu los tej imprezy. Pomimo deszczu impreza była ze wszech miar udana, udział był liczny — zarówno w młodzieżową sobotę, jak i w niedzielę, a program — na wysokim poziomie. Ale — zacznijmy od początku.

W sobotę bawiła się młodzież. I to bawiła naprawdę kulturalnie, co w pełni potwierdziło fakt, iż pomysł organizowania młodzieżowych sobót był jak najbardziej właściwy, po kilku latach stały się one integralną częścią Święta Gorolskiego. Ławeczki widowni w Lasku Miejskim, niezależnie od tego, że mokre po niedawnej ulewie, były okupowane już od godziny piątej po południu, czyli od początku programu. Oczywiście najwięcej widzów miała „Lúčnica" — Zespół Pieśni i Tańca z Bratysławy. Przyzwyczajonym do naszych niewielkich zespołów sympatykom folkloru mógł się wydawać zbyt widowiskowy, zbyt stylizowany. Nie sposób jednak czynić takich porównań. W swojej „kategorii" „Lúčnica" była wspaniała, wręcz bezkonkurencyjna. Zachwyt budziły zwłaszcza pełne ognia i temperamentu tańce zbójnickie, wykonywane z brawurą, niekiedy wręcz z akrobatycznymi elementami (taniec z ciupagami czy cepami). Niemniej urocze były tańce w wykonaniu dziewczęcej części zespołu. „Lúčnica" już podczas swojego pierwszego występu, w sobotę, zebrała zasłużone brawa.

Pozostając wciąż jeszcze przy sobotnim programie, warto przypomnieć również jeden niezbyt pocieszający fakt — nad wyraz skromny udział w nim dziecięcych zespołów. A przecież to między innymi z myślą o nich, o tym, by dać im szansę wystąpienia przed szerszą publicznością, powołane zostały do życia młodzieżowe soboty. Tym razem wystąpiły zaledwie dwa zespoły — z Jabłonkowa i z Bukowca.

Ponadto w sobotę wystąpił jeszcze gościnnie ZPiT im. J. Malinowskiego z Krościenka-Szczawnicy oraz „Eskadra" — Zespół Estradowy Wojsk Lotniczych z Poznania, w wykonaniu której szczególnie spodobała się część humorys-

tyczna. A potem już tylko dyskoteka, tradycyjnie zakończona koło północy ulewą.

Nie lepiej — pod względem pogody — zapowiadała się niedziela. Od rana siąpił deszcz, było chłodno. Na szczęście i tym razem obawy, że Lasek Miejski świecić będzie pustkami, okazały się płonne. Koło południa tysiące ludzi oczekiwały na przybycie pochodu, który jak zawsze wyruszał od dworca kolejowego. I wyruszył w południe, niezależnie od tego, że właśnie w tej chwili zaczęła się ulewa. Kto mógł, wyciągnął parasol, orkiestra dęta przystroiła się w peleryny, reszta wytrwale mokła. Niemniej pochód był udany — maszerowały wszystkie zespoły — pezetkaowskie i zaproszone, imponujący był również sznur wozów alegorycznych, choć z tego, co organizatorzy mówili przed imprezą — że coraz trudniej o wozy, o konie, że przyszłość pochodów stoi pod znakiem zapytania — można było wnioskować, że będzie o wiele skromniej. Wszystkie wozy były bardzo pomysłowe — na jednych naprawiano buty, na innych robiono masło, sery, na „mostorskim" drabinioku śpiewali „Górole" ... Nowością było powołanie komisji oceniającej wozy alegoryczne, które przejeżdżając przez Lasek Miejski zatrzymywały się pod sceną i przekazywały symboliczny wieniec dożynkowy z motywami 40. Gorolskiego Święta. Za najlepszy uznany został wóz alegoryczny z Karpętnej — ze względu na bogactwo prezentowanej na nim kultury materialnej. Potem ruszył główny blok programowy jubileuszowego 40. Gorolskiego Święta, zagajony przez połączone chóry — „Gorol", „Przełęcz" i „Nawsie". Ponownie wystąpiły zespoły „Lúčnica" i „Eskadra", nie zabrakło też zespołów pezetkaowskich

Nie ma już koni, nie ma już wozów na wsiach? Może i tak jest, ale na Święto Gorolskie zawsze się znajdą!





„Lúčnica" — piękne dziewczyny, zwinni chłopcy, pełne temperamentu tańce — w sumie widowisko na sto dwa!

— byli „Górole", „Sibica", „Błędowice", „Olza", ponadto gościnnie wystąpiły zespoły „Wisła" z Wisły i „Skalite", a przed południem w Lasku Miejskim oklaskiwano bystrzycką „Łączkę", na rynku dała występ „Wisła", a przed dworcem kolejowym przygrywała zbierającym się do pochodu orkiestra dęta Miejskiego Ośrodka Kultury w Jabłonkowie.

Było też na tegorocznym Święcie kilka nowości — wspomniana już „parada" wozów alegorycznych przed sceną, a także — scenki humorystyczne z udziałem pierwszego w historii Gorolskich Świąt gawędziarza — Michoła, Gazdy, Gaździny i Policajta.

Nowością było też stoisko z publikacjami PZKO-wskimi, gdzie oferowano m. in. „Haft śląski", „Almanach PZKO" „Uwarunkowania cieszyńskiej kultury ludowej" dr. Daniela Kadłubca i in. Była także ankieta brneńskiego Instytutu Etnografii i Folklorystyki CSAN pod nazwą „Badania uczestników imprez folklorystycznych na Śląsku Cieszyńskim".

Z imprez towarzyszących Święta Gorolskiego warto zwrócić uwagę przede wszystkim na trzecią już z kolei wystawę rzeźby i malarstwa ludowego, która zainstalowana została w niedaleko od Lasku Miejskiego położonym Domu Działkowca i również wzbudzała znaczne zainteresowanie uczestników tej imprezy.

Tyle w skrócie — jako że trudno nawet na kilku stronicach zmieścić wrażenia z tej dwudniowej, jubileuszowej imprezy — własnych spostrzeżeń na temat Święta Gorolskiego. W imprezie brali także udział goście, ludzie często nie tylko spoza granic regionu, ale nawet — spoza granic kraju. Jak prezentowało się 40. Święto Gorolskie widziane ich oczyma, jakie wrażenia odnieśli z pobytu u nas?

fot. JAN NOGA



Powrót starego gawędziarza Michoła (Alojzy Ligocki) na scenę Święta Gorolskiego zakończył się pełnym sukcesem, o czym świadczyć mogły chociażby salwy śmiechu na widowni.

WOJCIECH SIEMION, aktor, przedstawiciel Towarzystwa „Polonia":

Zawsze bardzo chciałem was odwiedzić, myśl ta nęciła mnie już od dawna, chciałem poznać tutejszych ludzi, waszą kulturę. Interesowało mnie przede wszystkim to, co można by nazwać — zabytki folklorystyczne, język polski, forma tego języka, i to przede wszystkim forma dźwiękowa. W najrozmaitszych opracowaniach można znaleźć oceny języka polskiego, który jeszcze króluje tutaj na Zaolziu. Wszyscy podkreślają, że forma dźwiękowa tego języka jest prawdopodobnie formą staropolską, że tutaj za górami język ten nie uległ modyfikacji nowopolskiego języka, która spowodowała nawet nieporozumienia językowe, w szczególności na początku XIX wieku. Z drugiej strony współczesny język polski, ten który ja sobie określam trochę złośliwie, że jest to język polski telewizyjno-nadwiślański, ma także swoje bardzo wielkie grzechy, w szczególności właśnie w formie dźwiękowej.

Była także jeszcze jedna przyczyna mojego przyjazdu — już od paru ładnych lat współpracuję z Towarzystwem Łączności z Polonią Zagraniczną „Polonia". Aktualnie jestem wiceprzewodniczącym Komisji Kultury — przewodniczącym jest Wojciech Żukrowski, ale on jako prezes Związku Literatów Polskich ma wiele innych obowiązków i stąd ich część spadła i na moje barki. Dla mnie są to tak przyjemne obowiązki, że porzuciłem bardzo ważne zajęcia, ażeby na Góralskie Święto tutaj do was przyjechać. Jestem niezmiernie rad, że obejrzałem nie tylko to, co się dzieje na estradzie, ale i to wszystko, co się dzieje wokół. Ludzi, którzy siedzą na widowni, których nie obchodzi, czy tam trochę pokapuje, czy nawet większy deszczyk. Patrząc na to

zdałem sobie doskonale sprawę, że to, co się dzieje na estradzie i na widowni jest jednością. Porozumiewanie się starym językiem, muzykowaniem, starą pieśnią, starym tańcem. A trudno mi powiedzieć, że starym, bo tańczą te stare tańce dzieci z Jabłonkowa, ze szkoły zbiorczej, to widać, że to są tańce dzisiejsze, bo dzisiaj i przez bardzo młodych ludzi wykonywane. To było dla mnie niezmiernie interesujące. Miałem szczęście, że mogłem obejrzeć także twórczość ludową — a więc i ludową rzeźbę, i malarstwo. Mam nadzieję, że w niedługim czasie w warszawskiej telewizji uda mi się wyreżyserować program poetycki, poświęcony poetom tej ziemi. Mam nadzieję, że wtedy będę mógł także wykorzystać i malarstwo tutejsze, i rzeźbę. Coś z sobą wiozę za Olzę — ale właściwie uwożąc to za Olzę chciałbym powiedzieć, że będę jeszcze bardziej wierny temu, co się dzieje tu, na tej ziemi. Czy impreza ta jest porównywalna z innymi tego typu w Polsce czy Polonii? Myślę, że nie, że jest to specyficzne środowisko. A w Polsce ... na pewno trudno byłoby znaleźć tak ofiarną gminę, gdzie można by zrobić taką imprezę, jak Gorolskie Święto. Tutaj ludzie są chętni do pracy — ofiarnej, bezinteresownej. To powinno się wysoko cenić.

JAROMÍR GELNAR, folklorysta, Rozgłośna Radia Czechosłowackiego w Ostrawie:

Od wielu już lat spotykają się obywatele narodowości polskiej z rejonu południowego Śląska Cieszyńskiego zawsze w połowie sierpnia na jednodniowej, a obecnie już od kilku lat na dwudniowej uroczystości w Lasku Miejskim w Jabłonkowie na „Gorolu", jak w skrócie nazywa się

Jura spod Grónia na swoim siwku — to już nie tylko tradycja, to już symbol Świąt Gorolskich. Szkoda tylko, że tym razem siwek był na Święcie po raz ostatni — zestarzał się, po prostu.



fot. JAN NOGA

„Święto Gorolskie". W tym roku spotkanie to odbyło się już po raz czterdziesty. Czy te czterdzieści lat obejmuje jedną czy dwie generacje? Odpowiedź na to pytanie byłaby całkowicie zbędna, gdyby nie fakt, że już teraz zauważyć można pewien wpływ zmian generacyjnych na Święto — wpływ wywierany z zewnątrz i z wewnątrz, co może spowodować sytuację, kiedy konieczność zmiany koncepcji całej uroczystości będzie nieunikniona. Życiowe i artystyczne poglądy dzisiejszych młodych ludzi są zdecydowanie odmienne od poglądów generacji przedwojennej. Nie chodzi tu jednak wyłącznie o sprawy smaku czy poglądów na sztukę.

Przede wszystkim — Święto Gorolskie jest niezwykle mocnym środkiem integrującym, jednoczącym „swoją" publiczność, ową parotysięczną społeczność, która corocznie spotyka się w Lasku Miejskim. Każdy, kto przyjmie tam rolę widza, aktywnego widza, zostanie wchłonięty przez specyficzną atmosferę stworzoną przez silnie oddziaływujące, sugestywne słowa wodzireja. Władysław Niedoba — Jura spod Grónia, jego dawniejszy partner Maciej i wreszcie dzisiaj jego następca — Władysław Młynek — to wodzireje tak przekonywujący i sugestywni, że widza mimo woli porywa już samo ich słowo, tak że staje się jednym z tłumu przyjmującego jednolicie bieg myśli i gesty komentowanego programu.

Dalej. Programy prezentowane na podium opierają się w przeważającej części o folklor. Już sama nazwa uroczystości sugeruje, że chodzi rzeczywiście o folklor miejscowy, prawdziwie góralski — i że odezwa publiczności oznacza, iż chodzi tutaj o pewną, ewentualnie nawet całkowitą autorealizację uczestnika. Jeżeli jednak przyjrzymy się bliżej owym formom reakcji widzów, okaże się, iż odezwa ta jest zgodna z innymi formami integracji publiczności. Widz nie jest tutaj równorzędnym partnerem wykonawców, nie śledzi ich linii, ruchów, ale w większości przyjmuje pieśni, tańce, muzykę jako niezróżnicowany zespół zewnętrznych gestów i z takim samym zaangażowaniem oklaskuje zespół estradowy, jak miejscowych nosicieli folkloru, odkryte nogi tancerek z „Lúčnicy", jak i statyczny chór. I tutaj właśnie pojawia się pierwszy sporny punkt. Wiemy o odradzającej sile miejscowego folkloru, o jego najmocniejszej funkcji — funkcji integracyjnej, przy pomocy której umacnia powiązania lokalne i regionalne. A jeżeli już proklamujemy folklorystyczny charakter uroczystości: dlaczego nie umacniać tych najbardziej postępowych i użytecznych powiązań w sferze folkloru, dlaczego nie aktualizować w sposób najefektywniejszy owe miejscowe źródła folkloru, dlaczego nie powiedzieć widzowi, który przyszedł z otwartym sercem: hic Rhodus — hic salta, tu jesteś w domu, tutaj rozwijaj swoją spuściznę, swe predyspozycje, swoje wewnętrzne bogactwo, z którego wyrastasz i jesteś użyteczny dla społeczeństwa przede wszystkim dlatego, że masz gdzieś swoje korzenie, masz się na czym oprzeć — i tam możesz ukierunkować swój wysiłek.

Święto Gorolskie! — cóż innego może stwarzać większą szansę niż folklor góralski, ten zestaw aktywnych, ustalonych poczynań i gestów, nie jako form niezmiennych, przeznaczonych jedynie do pasywnego powtarzania. Każda śpiewka góralska, która przekształci się w aktualnym połączeniu ze swoją „nutą" w pieśń danej chwili (przy czym tego konkretnego połączenia nie usłyszycie już nigdy w takie samej formie) świadczy o niespożytej sile twórczej, skrytej właśnie w folklorze góralskim. Dlaczegóż więc nie wykorzystać tej niepowtarzalnej aktywności gestu twórczego właśnie podczas święta pieśni w regionie, skąd takie właśnie gesty się wywodzą, gdzie predyspozycje takie posiada wiele utalentowanych, twórczych osobowości — dlaczego nieustannie zmuszamy ich do pasywnego „wczuwania się" w formy folklorystyczne, które są im obce? itd., itd.

Święto Gorolskie posiada w swym określeniu „gorolskie" wielką, wyjątkową i niezastąpioną szansę. Naszym zadaniem jest wpisanie tego święta w kontekst pozostałych uroczystości folklorystycznych i festiwali — w Czechosłowacji, w Polsce, wyodrębnienie jego naturalnej specyfiki i wykorzystanie jej w celu maksymalnego wzbogacenia spuścizny kulturalnej naszych narodów.

Wydaje się, iż odejście wyraźnej osobowości — Jury spod Grónia — ze sceny (któż

z uczestników 40. Święta Gorolskiego mógłby zapomnieć jego rozstanie z białym, niemal legendarnym koniem!) stwarza szansę naturalnego nawiązania do nowych prądów myślowych, głębszego pojęcia folkloru — by nie figurował on tutaj jako sztafaż, dekoracja, klisza — ale aby oddziaływał poprzez swoją aktywną istotę.

O ile Święto Gorolskie odnajdzie nową, właściwą drogę do widza, o ile nie będzie go jedynie sycić domowymi specjałami ze stoisk gastronomicznych, lecz zaoferuje mu wartości ze swej niezastąpionej góralskiej sfery twórczej, nie musi obawiać się o swoją przyszłość. Trzymamy więc programowej komisji festiwalu kciuki.

MAREK GAJEWSKI, red. „Sztandaru Młodych":

Śląskiem Cieszyńskim zainteresował mnie Władysław Młynek. Byłem w Koszalinie na festiwalu chórów polonijnych — p. Władysław był tam z „Gorolem" — i tam się spotkaliśmy. Dowiedziałem się o balach gorolskich, Świętach i innych imprezach. Pan Młynek tak ciekawie opowiadał, że postanowiłem się tutaj do was wybrać — no i udało mi się. Co zrobiło na mnie największe wrażenie? Przede wszystkim — poświęcenie ludzi, ich bezinteresowność. Na przykład kobiety — przygotowują specjalne dania, są w stoisku przez cały dzień — a zysk na pewno nie jest adekwatny do włożonego wysiłku, więc nie on jest najważniejszą motywacją. Tak samo podziwiałem Domy PZKO — do tego, żeby powstały tak wspaniałe obiekty, też było potrzebne poświęcenie, zapał i ogromny wkład pracy. Cenię sobie oddanie ludzi tej sprawie — dlatego, że jest autentyczne.

WŁADYSŁAW MŁYNEK, organizator GŚ:

Przede wszystkim — nie wiem, komu dziękować za popołudniową pogodę. Przecież pochód taki jeszcze zmoknięty, a teraz takie uśmiechnięte słoneczko. To jest jedna sprawa. Druga sprawa — chciałbym podziękować wszystkim zespołom — dały z siebie maksimum, nie przeciągały występów, aby się cały program zmieścił w czasie i nie stał się nudny. Trzecia sprawa — chodziło mi o to, żeby to święto — czterdzieste — było świętem Jury spod Grónia, żeby on był centralną postacią i dlatego bez zgody rady artystycznej pozwoliłem zmienić trochę scenariusz. Uważam, że Jurowi za tych jego 40 lat pracy należy się przynajmniej taka satysfakcja. Życzę mu tego i uważam, że nie ma tutaj nikogo, kto by mu tej satysfakcji zazdrościł. Bo zrobił on ogromnie dużo dla GŚ i dla Związku. Jak długo będę mógł, będę kontynuował to, co rozpoczął Jura spod Grónia. Wierzę, że nie odejdzie on z tej sceny. Byłbym niezmiernie szczęśliwy, gdybym mógł jakoś swoją pracą i swoimi występami tu na tej scenie zdobyć taką przychylność publiczności, jaką zyskał Jura spod Grónia. Ale Jura jest legendą, a my jesteśmy normalnymi ludźmi.

Tegoroczne Gorolski Święto różniło się od poprzednich również czymś innym: prowadziliśmy program non stop, zespoły same się przedstawiały na scenie. Nie dziękowaliśmy każdemu z osobna, nie szarpaliśmy programu, jak to było kiedyś. Uważam, że powinniśmy tematycznie podchodzić do poszczególnych programów. Takie byłoby moje życzenie i mój zamiar na przyszłość. Nie tylko mój, ale i rady artystycznej i komitetu organizacyjnego Gorola. Chciałbym przy okazji serdecznie podziękować wszystkim okolicznym Kołom. Za to, że rozumieją tę potrzebę, i że na każde GŚ zapewniają dla tych tysięcy ludzi, którzy tutaj przychodzą, wyżywienie. Gdyby to miało robić samo koło jabłonkowskie, absolutnie by nie dało rady.

opr. RENATA OSTRUSZKA









fot. OTTO SZLAUER

WAKACJE LITERACKIE NAUCZYCIELI W KRAKOWIE

Corocznie, już od 20 lat, odbywają się w czasie wakacji SEMINARIA LITERACKIE nauczycieli. Spotykają się na nich ci nauczyciele, którzy mają zdolności literackie i którzy piszą wiersze, prozę albo próbują swoich sił w krytyce literackiej.

W roku bieżącym spotkanie takie odbywało się w Krakowie w dniach od 30 czerwca do 14 lipca. Zostaliśmy zaproszeni do Krakowa przez Resort Oświaty i Wychowania w Warszawie. Kurs zmienił w tej chwili nieco swój charakter i przekształcił się w tzw. kurso-wczasy. Z Czechosłowacji w kursie wzięli udział Gustaw Sajdok i ja. Uczestniczyłem w tym przedsięwzięciu nie po raz pierwszy, ba, można powiedzieć, że należę do tych nauczycieli-literatów, którzy są założycielami tego ruchu. W roku 1968 uczestniczyłem w II kursie, który odbywał się w Gdyni. Z tamtych czasów w Krakowie znowu pojawili się Leszek Bakuła, Tadeusz Kubas i Apolinary Nosalski, wszyscy są w tej chwili członkami Związku Literatów Polskich.

W czasie krakowskiego spotkania merytoryczną opiekę literacką powierzył red. Jan Mołda z Warszawy — docentowi dr. Jackowi Kajtochowi z Uniwersytetu Jagiellońskiego. Zwróciłem się do docenta Jacka Kajtocha z prośbą o podsumowanie całości tej ciekawej imprezy. Oto co napisał:

Pisarze-nauczyciele z całej Polski zjechali do Krakowa, gdzie zorganizowano specjalistyczne wczasy literackie. Nie była to pierwsza tego typu impreza. Nauczyciele-pisarze spotykają się systematycznie podczas wakacji od 1967 roku, a „Głos Nauczycielski" — tygodnik Związku Nauczycielstwa Polskiego — prezentuje ich twórczość w specjalnych „wkładkach literackich" (jeżeli wszystko pójdzie dobrze, w grudniu br. ukaże się jubileuszowa, setna). Warto przy okazji zaznaczyć, że nauczyciele nie są jedyną grupą zawodową, podejmującą po amatorsku twórczość artystyczną. W Polsce intensywnie pracują Robotnicze Stowarzyszenia Twórców Kultury, wydające dwutygodnik „Twórczość Robotników", Korespondencyjny Klub Młodych Pisarzy przy ZG Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej, wydające miesięcznik „Okolice" i Wojskowe Koła Literackie, których członkowie ogłaszają swoje utwory głównie na łamach „Nike", li-

terackiego dodatku do „Żołnierza Polskiego". Nie sposób jednak nie stwierdzić, że zawód nauczycielski tradycyjnie dostarcza literaturze polskiej pisarzy, jest literaturowotwórczy. Nie będę sięgał do czasów przedwojennych. Ograniczę się do przypomnienia kilku nazwisk autorów, debiutujących właśnie w klubach literackich Związku Nauczycielstwa Polskiego w Polsce Ludowej, są to m. in. Leszek Bakuła, Nikos Chadzinikolau, Henryk Jachimowski, Wilhelm Przeczek, Stanisław Srokowski, Bogusław Żurakowski.

Nauczyciele-członkowie ZLP byli obecni również na ostatnim krakowskim kursie wakacyjnym. Przyjechali Leszek Bakuła, Tadeusz Kubas, Apolinary Nosalski, Rafał Orlewski i kandydatka ZLP, Irena Kiełczewska.

Kurs, tak jak i poprzednie, stawiał przed sobą zadania: po pierwsze zapoznanie uczestników z aktualnym życiem literackim, po drugie dokonanie przeglądu twórczości nauczycieli-pisarzy w różnych regionalnych ośrodkach. Wydaje się, że cele zostały osiągnięte. Na spotkaniach swoje poglądy arystyczne i bieżącą twórczość przedstawili głównie poeci średniego pokolenia: członkowie głośnej przed dwudziestu laty grupy „Tylicz": Adam Ziemianin i Józef Baran, poeta, krytyk literacki i redaktor Wydawnictwa Literackiego — Andrzej Kaliszewski, poeta, teoretyk poezji, historyk literatury — Bogusław Żurakowski, polski poeta mieszkający w CSRS — Wilhelm Przeczek. Przedstawiono różne środowiska, każde z nich ma swoje racje i przynosi korzyści, pomnaża osiągnięcia literatury polskiej. Prozaicy Tadeusz Kwiatkowski i Marek Sołtysik mówili o perspektywach polskiego powieściopisarstwa i nowelistyki. Tadeusz Kwiatkowski, autor bardzo cenionych książek wspomnieniowych „Niedyskretny urok pamięci" i „Płaci się każdego dnia", zapoznał ponadto uczestników z tradycjami życia literackiego w Krakowie. Marian Stępień, profesor UJ i redaktor naczelny „Zdania", Wit Jaworski, redaktor naczelny „Pisma Literacko-Artystycznego" oraz piszący te słowa (doc. Jacek Kajtoch — przyp. WP) — w tym wypadku także kierownik merytoryczny kursu — poruszali najistotniejsze problemy polityczno-ideowe, referowali i na bieżąco prowadzili dyskusje, zastanawiali się nad stanem współczesnego życia literackiego, omawiali problemy krytyki literackiej. Trzeba podkreślić, że szczególnie dobrze przyjęto spotkanie autorskie poetów Wilhelma Przeczka i Gustawa Sajdoka. Ich wystąpienie stało się okazją do dyskusji nie tylko o twórczości ich własnej, ale równocześnie o życiu kulturalnym polskiej mniejszości w Czechosłowacji, o pracy Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w CSRS, o edycjach wydawnictwa „Profil" w Ostrawie, o twórczości SLA itp.

Przegląd twórczości nauczycieli-pisarzy wypadł równie pomyślnie. Niektóre ośrodki przyjechały do Krakowa z nowymi publikacjami. Np. Dolnośląski Klub Literacki Nauczycieli we Wrocławiu przywiózł dwa pierwsze „Zeszyty Literackie": Sen nadziei — Jadwigi Echaust i Podróże wyobraźni — almanach w opracowaniu Tadeusza Sznercha. Poziomu literackiego tych publikacji nie trzeba się wstydzić. Literacki Klub Nauczycieli w Warszawie pokazał kolejny almanach zredagowany przez Jana Mołdę „Pejzaż z dysonansem", także nie ustępujący innym wydawnictwom pod względem merytorycznym. A podczas tzw. „warsztatów literackich" z dobrej strony pokazał się Klub Poznański.

Uczestnicy krakowskiego kursu mieli ponadto możność poznania starego Krakowa i okolic, bycia w teatrach, sami organizowali konkursy poetyckie i prozatorskie, „nocny turniej poetów" itp. Najistotniejsze jednak, że wyjechali z przeświadczeniem

KRZYSZTOF KONARSKI
(Kędzierzyn-Koźle)

Wymiar stołu

połóż swoją dłoń
na tym zakurzonym stole
jest rękawiczka cienia
płomienia już lodowatego
daj
niech zaświecą ogarki twoich palców
patrz
na zakurzonym stole
jakby czwarty wymiar

JADWIGA ECHAUST
(Wałbrzych)

Wrosnę deszczem

W wysuszone krople snu
owinę ciebie
na bezdrożach
zawieszę żywicę nadziei
przetnę smugę krzyku
przejdę dopłynę
albo
w ziarenkach piasku
wrosnę deszczem

LUDWIK GADZICKI
(Lublin)

Oni

Tyle miesięcy byłem niepotrzebny
rozpętała się we mnie
snów okrutna jesień
Liście dawno opadły a cienie katedry
już pustką dzwoniły
Późną nocą
po wodzie
przez zasieki deszczu
uciekałem przed wrogiem
własnego milczenia
Odpuść mi
przerażenie sobą

IRENA KULIŃSKA
(Warszawa)

Wspomnienie

Rozłączeni różnymi drogowskazami
spotykamy się w innym wymiarze
całuję nas tamtych
Uśmiechem
witam w tobie
prześwity zagubionych dni

o wartości swojej pracy i pomyślnych perspektywach literackich klubów nauczycielskich. Podczas „warsztatów" zadebiutowało kilku młodych adeptów zawodu nauczycielskiego i zarazem poezji, przed którymi, o czym zgodnie mówiono, jest przyszłość . . .

Przytoczyłem wypowiedź docenta Jacka Kajtocha i poprosiłem zarazem, żeby ocenił kurs krytyk literacki i poeta, Tadeusz Sznerch z Wrocławia. Powiedział między innymi:

Jest coś w tych spotkaniach, co powoduje, iż liczy się dni pod koniec każdego roku szkolnego dzielące od lipcowych wczasów. Wprawdzie „gros" uczestników — w sumie było nas około pięćdziesięciu — stanowią osoby znające się od lat, to jednak przyjeżdżają zawsze z nowymi pomysłami, nowymi tekstami do skonfrontowania i skonsultowania, z nową radością i nadzieją. Zdarza się, tak się stało również w Krakowie, że spośród tzw. nowych twarzy wypływa ktoś niespodziewanie i stanowi, jak to nazywamy, kursowe odkrycie. To bardzo radosny moment. Oto bowiem ktoś mniej znany lub z ruchem nauczycielskim związany od niedawna, zaskoczył dojrzałością spojrzenia, oryginalnością twórczej wypowiedzi. Umożliwiają takie objawienia liczne spotkania warsztatowe, wieczory autorskie, a przede wszystkim konkursy.

Kierownik literacki — doc. J. Kajtoch — już pierwszego dnia mocno zdyscyplinował zajęcia. A więc punktualnie o 9.00 rozpoczynamy warsztaty, o 11.00 — spotkanie z literatami profesjonalnymi, często jeszcze po kolacji o 19.00 kolejne warsztaty, wieczór literacki czy też prezentacja dorobku poszczególnych Klubów. Nie znaczy to, że jest sztywno i nobliwie, belfersko. Mamy czas na wycieczki i opalanie, kawę w urokliwych krakowskich lokalikach, na wesołe pogwarki nocne, nawet na psikusy i życzli-

we złośliwostki . . . Zajęcia profilowane były też pod kątem rodzaju twórczości: poezja, proza, dramat, liryka miłosna, widowiska literackie . . . Dyskusje nie miały charakteru „kapliczkowego". Szef literacki, sam wytrawny w bojach krytyk, mocno dbał, aby się wzajemnie nie zagłaskać, aby mówić rzeczowo, sądy wartościujące argumentować, nie przymykać oczu na myślowe ułatwienia, ogólniki, ewidentne mielizny i twory nieudane . . . Tak też stosunkowo niewiele było głosów wyrażających „głęboką wdzięczność" autorom, egzaltowanych zachwytów i dziękczynień za „niezapomniane wrażenia" itp.

Przedmiotem rozmów były zarówno problemy literackie, jak i pozaliterackie. I jedne, i drugie spotkały się z żywą reakcją uczestników. Spróbuję wymienić chociaż te najważniejsze nurty tematyczne. Rozważano więc problemy: — czy pisać z pozycji „tu i teraz", czy w sposób uniwersalny, czy nurt „prywatności" nie jest unikiem w aktualnej sytuacji społecznej, czy hołdować estetyce klasycznej, czy iść w kierunku wyznaczonym przez awangardę, jak pogodzić poetycki egotyzm z obowiązkiem pisarza, aby dawać niekłamane świadectwo swoim czasom, jaka jest kondycja psychiczno-moralna współczesnego pisarza, dlaczego jest tak źle z krytyką literacką, dlaczego tak niewiele robi się w środkach masowego przekazu w zakresie kształtowania kultury odbioru współczesnej literatury, a w szczególności poezji.

Widać więc, że rozważano problemy istotne — jakby powiedział Witkacy — w sposób odpowiedzialny, mając na względzie stan narodowej kultury i świadomość moralno-społeczną ludzi pióra. Trzeba też wspomnieć o naszych polskich przyjaciołach z czeskiego Śląska Cieszyńskiego: Wilhelmie Przeczku i Gustawie Sajdoku. Ich spotkanie autorskie zgromadziło nie tylko nauczycieli-literatów, ale i plastyków oraz nauczycieli-nowatorów. Autorzy zadziwili sprawnością i kulturą słowa, wprawili w zamyślenie swoim specyficznym tonem lirycznym, a Wilhelm Przeczek zaskoczył ponadto bogactwem instrumentalizacji wiersza . . . .

Tyle Tadeusz Sznerch, krytyk z Wrocławia. Należy jeszcze skrótowo omówić dwa konkursy — prozatorski i poetycki.

W prozie jury w składzie Leszek Bakuła (przewodniczący), Apolinary Nosalski i Rafał Orlewski nie przyznało I nagrody. Dwie II nagrody zdobyły panie — Teresa Januchta i Halina Dobrucka. Przyznano trzy III nagrody — Marii Czarnockiej, Edwardowi Kaczmarkowi i Annie Zabadziej. Wyróżnienia przypadły Krzysztofowi Konarskiemu i Agnieszce Popiackiej.

W poezji jury w składzie Tadeusz Kubas (przewodniczący), Wilhelm Przeczek i Tadeusz Sznerch postanowiło przyznać I nagrodę Krystynie Wrońskiej z Krakowa. Przyznano trzy II nagrody: Jadwidze Echaust, Krystynie Wrońskiej i Annie Figlarz. Przyznano również trzy III nagrody: Irenie Kiełczewskiej, Gustawowi Sajdokowi i Annie Figlarz. Wyróżniono teksty Krzysztofa Kasprzaka, Teresy Januchty i Tomasza Fellmanna.

W zaimprowizowanej „Nocy Poezji" jury poetyckie przyznało główną nagrodę i tytuł Nocnego Króla Poetów Gustawowi Sajdokowi z Bystrzycy nad Olzą, wicekrólem został Rafał Orlewski z Łodzi, a drugim wicekrólem nazwano Marka Kośmidra z Poznania.

Krakowski kurs literacki stacjonował na Błoniach, niedaleko Kopca Kościuszki. Na pewno zostanie on na długo w pamięci wszystkich uczestników. Obok drukujemy kilka tekstów uczestników Wakacji Literackich Nauczycieli w Krakowie.

WILHELM PRZECZEK

MIĘDZYZDROJE '87

Po dwutygodniowych zmaganiach śpiewaczych na XXII Międzynarodowym Festiwalu Pieśni Chóralnej w Międzyzdrojach duża widownia w amfiteatrze zgromadziła w dniu 13 lipca br. liczną publiczność, która miała jeszcze jedną okazję do wysłuchania znakomitych chórów.

Pierwszą część koncertu finałowego wypełnił chór Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Pancernych im. Stefana Czarnieckiego w Poznaniu pod dyrekcją Stanisława Piątka, przedstawiając program o charakterze poetycko-muzycznym. Następnie z mikrokoncertami zaprezentowały się raz jeszcze uczestniczące w festiwalu chóry z Moskwy, Nowego Targu, Włoch i Brna.

Jak każdego wieczoru po koncercie, tak i na oficjalnym zamknięciu XXII MFPCh rozległa się polska arcypieśń „Gaude Mater Polonia", zaintonowana przez wszystkie uczestniczące w finale chóry i słuchaczy.

W przerwie koncertu przewodniczący jury festiwalu doc. Janusz Dzięcioł ogłosił werdykt. Po przesłuchaniu 19 chórów, w tym 11 biorących udział w konkursie dla chórów mieszanych a cappella, jury postanowiło nie przyznać 1. miejsca, natomiast srebrny medal za 2. miejsce otrzymał brnieński Chór Młodzieży Muzycznej (dyr. Jan Rozehnal) z Czechosłowacji. Brązowy medal za 3. miejsce ex aequo przyznano Chórowi Uniwersyteckiemu w Rostocku (NRD) pod dyrekcją Hansa Jurgena Ploga oraz Chórowi Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Zielonej Górze „Cantores" (dyr. Jerzy Markiewicz).

W części festiwalowej Grand Prix w postaci statuetki Trygława otrzymał brnieński Chór Młodzieży Muzycznej pod dyrekcją Jana Rozehnala, który wyróżniony został także nagrodą szczecińskiej rozgłośni Polskiego Radia dla wyróżniającego się dyrygenta festiwalu. „Złotą Lirę" ufundowaną przez ZG PZChiO otrzymał chór FDJ „Lessing" z NRD pod dyrekcją Dory Gebauer. „Amforę bursztynową" ufundowaną przez Polskie Radio w Warszawie przyznano debreczyńskiemu Chórowi Żeńskiemu im. Lajosa Bardosa (Węgry) pod dyrekcją Szesztay Zsolta.

Ponadto jury przyznało nagrody specjalne:

— puchar Ministra Kultury i Sztuki chórowi Pomorskiej Akademii Medycznej w Szczecinie (dyr. Ryszard Handtke). Dyrygenta wyróżniono nagrodą w postaci studyjnego wyjazdu zagranicznego;

— puchar Polskiego Związku Chórów i Orkiestr otrzymał chór mieszany im. Stanisława Moniuszki spółdzielności pracy w Poznaniu (dyr. Antoni Grochowalski);

— nagrodę Szczecińskiego Towarzystwa Kultury za propagowanie muzyki regionalnej przyznano chórowi mieszanemu Moskiewskiego Państwowego Instytutu Peda-

gogicznego im. W. I. Lenina (dyr. Władimir Żiwow);

— nagrodę Towarzystwa Miłośników Międzyzdrojów przyznano Warszawskiemu Chórowi Międzyuczelnianemu (dyr. Janusz Dąbrowski);

— nagrodę im. prof. Edwarda Maćkowiaka za najlepsze wykonanie utworu inspirowanego folklorem otrzymał chór Państwowego Liceum Muzycznego im. Karola Szymanowskiego w Warszawie (dyr. Ewa Marchwicka);

— nagrodę Morskiego Ośrodka Kultury i Informacji w Szczecinie za najlepsze wykonanie pieśni o morzu przyznano chórowi męskiemu „Moniuszko" w Gdańsku (dyr. Henryk Gostomski).

W porozumieniu z komitetem festiwalowym i naczelnikiem miasta i gminy Międzyzdroje jury przyznało nagrody dodatkowe *Chórowi „Dźwięk" Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w Karwinie-Raju pod dyrekcją Haliny Goniewicz-Urbaś (Czechosłowacja) za pielęgnowanie tradycji polskiej pieśni za granicą* oraz chórowi kameralnemu Akademii Muzycznej w Bydgoszczy (dyr. Janusz Stanecki) za propagowanie polskiej muzyki współczesnej.

Oprócz nagród specjalnych, dziennikarze i krytycy muzyczni, na wniosek obecnych na festiwalu przedstawicieli prasy, za godne i piękne reprezentowanie muzyki swego kraju przyznali nagrodę chórowi Państwowego Instytutu Pedagogicznego im. W. I. Lenina w Moskwie pod dyrekcją Władimira L. Żiwowa oraz Januszowi Dąbrowskiemu, dyrygentowi Warszawskiego Chóru Międzyuczelnianego za wzbogacenie koncertów festiwalowych oryginalnym repertuarem, zaś słowa uznania wyrazili chórowi Uniwersytetu im. Wilhelma Piecka w Rostocku (NRD) pod dyrekcją Hansa Jurgena Ploga za przygotowanie i umieszczenie w programie koncertu festiwalowego trzech „Pieśni kurpiowskich" z okazji 50. rocznicy śmierci wielkiego polskiego twórcy Karola Szymanowskiego, obchodzonej w bieżącym roku.

Uczestnikom i słuchaczom XXII MFPCh, jego organizatorom i mecenasom chciałoby się zadedykować życzenie, aby wraz z chórami w Międzyzdrojach śpiewali wszyscy ludzie świata, aby śpiew chóralny niezmiennie pozostawał najbardziej dostępną i najszerzej oddziaływującą formą wychowania muzycznego całego społeczeństwa.

BRUNON RYGIEL



fot. OTTO SZLAUER









fot. WIESŁAW PRZECZEK

MEKKA ROCKA

Środa, 5 sierpnia, godzina 5.50. Na dworcu w Katowicach jak zwykle o tej porze roku panuje ożywiony ruch. Wśród tłumu zwykłych turystów, przeważnie młodych ludzi z plecakami, wyławiam niektóre osoby na pierwszy rzut oka nie różniące się od reszty. Jednak pewne elementy ich ubioru (skórzane, dżinsowe kurtki z wymalowanymi czy wyhaftowanymi znakami graficznymi i napisami) sugerują, iż podążają do wspólnego celu. Przypuszczenie to umacnia się w trakcie wsiadania do pociągu zdążającego do Poznania, a staje się pewne na stacji kolejowej, sześćdziesiąt kilometrów przed Poznaniem. Rzut oka na szyld na budynku dworca wyjaśnia wszystko: JAROCIN.

Tak, oto Jarocin. Już po raz siedemnasty do dwudziestokilkutysięcznego miasta w województwie kaliskim zjeżdżają się miłośnicy młodej dobrej muzyki rockowej. Przez dziewięć lat w Jarocinie odbywały się Wielkopolskie Rytmy Młodych, a w roku 1980 z racji coraz większego rozgłosu stały się imprezą o charakterze ogólnopolskim nosząc najpierw nazwę Przeglądu Muzyki Młodej Generacji, a później Festiwalu Muzyków Rockowych. Duszą artystyczną ostatnich siedmiu edycji był Walter Chełstowski, który w ubiegłym roku definitywnie zrezygnował z powyższej funkcji. Jego miejsce zajęli dwaj ludzie ze Śląska: menedżer Marcin Jakobson i muzyk Leszek Winder. W związku z tym nasuwa się automatycznie pytanie: jaki będzie tegoroczny Jarocin? Wiadomo tylko jedno — nazwa imprezy brzmi Festiwal Rockowy — Jarocin 87.

Tymczasem w mieście nie widać żadnych różnic w porównaniu z latami ubiegłymi — od dworca sunie tłum młodych ludzi, których część zdążyłem już zauważyć w Katowicach. Wszyscy wyglądają jednakowo, a zarazem każdy jest inny. Wyglądają jednakowo z racji odmienności od zwykłych, stałych mieszkańców miasta, jednak każdy z nich jest na swój sposób oryginalny. Większość z nich zdąża w kierunku miasteczka namiotowego położonego poza miastem, reszta do znajomych gospodarzy, by w ich ogródkach rozbić miniaturowe osiedla namiotowe.

Ja kieruję swoje kroki do JOK-u czyli Jarocińskiego Ośrodka Kultury, by odebrać zgłoszoną już wcześniej dziennikarską akredytację. Fronton budynku, okna, są oblepione różnymi ogłoszeniami często o bardzo dowcipnej treści, gdzie, kto i kogo może znaleźć. Kilka z nich jest napisanych po czesku. Otrzymuję karnet, na który naklejam swoje zdjęcie, i muszę go nosić w widocznym miejscu, najlepiej zawieszony na szyi. Podobne karnety mają wszyscy widzowie, cena 2 000 zł. Równocześnie dostaję skierowanie na kwaterę prywatną. Nazwisko: Florczak Stanisława, adres: Wojska Polskiego 85. Jestem ciekawy, gdzie, u kogo wypadnie mi spędzić cztery najbliższe noce, a raczej fragmenty nocy, bo koncerty z pewnością będą się kończyć bardzo późno.

Po dwudziestu minutach szybkiego mar-

szu docieram pod wskazany adres, okazuje się, iż gospodarze-czterdziestokilkuletnie małżeństwo z babcią — odstąpili cały pięciopokojowy domek dla gości, sami zamieszkując w budynku gospodarczym.

Po zakwaterowaniu szybko do centrum. Z amfiteatru dobiegają odgłosy muzyki. To grają zespoły konkursowe wyłonione przez specjalną komisję po przesłuchaniu 273 nadesłanych przez chętne do wystąpienia w Jarocinie zespoły amatorskie. Nadeszły również zgłoszenia z zagranicy, najwięcej z Czechosłowacji, Związku Radzieckiego i NRD. Ten zaszczyt przypadł w udziale 54 zespołom (wszystkie polskie), z tego na miejsce dotarły tylko 52. Dwie formacje zdążyły się już rozwiązać. Władze nie zgodziły się na udział gości z zagranicy. Jest czternasta. Zmagania konkursowe trwające od dziewiątej zakończą się dopiero około osiemnastej. Codziennie po 17—18 kapel. Amfiteatr jest szczelnie wypełniony, wraz z miejscami stojącymi mieści chyba z 8 tysięcy ludzi. Zdecydowanie nie pomieszczą się wszyscy chętni. Każda kapela gra po około 20—25 minut, potem przerwa na zapowiedź i następna. Publiczność, poza słuchaniem, po zakończeniu koncertu ma za zadanie oddać głos na najlepszy w danym dniu zespół poprzez wypisanie na specjalnym odcinku swojego karnetu nazwy zespołu i wrzucenie do skrzynki. Słucham kilka godzin, jednak czegoś mi brakuje. Brakuje mi świeżości w muzyce tych kapel. W tym roku niestety niższy poziom. Może jutro będzie lepiej.

O godzinie dziewiętnastej otwierają się bramy areału sportowego i tłum ludzi wlewa się na teren boiska treningowego miejscowego klubu piłkarskiego Viktoria. Tutaj za godzinę będą występowały zespoły gościnne zaproszone przez organizatorów.

O godzinie 20.00 rozpoczynają się koncerty, na estradzie zespoły, które jeszcze przed rokiem czy dwoma znajdowały się w takiej samej sytuacji, co ich młodsi koledzy w amfiteatrze. Prezentują prawdziwą sztukę. Do dobrego odbioru przyczynia się naprawdę świetne nagłośnienie. Po bokach sceny w sumie widocznych jest niewiele ,,paczek", jak w gwarze rockowej są nazywane głośniki, ale co za dźwięk! Słychać wyraźnie każdy instrument, każdy ton. Chyba jest to najlepsze nagłośnienie, jakie dotychczas było w Jarocinie. ACAPULCO, 1984, KULT, KAT, DAAB, TURBO, T. LOVE, FOTONES, RECYDYWA BLUES BAND, DEZERTER — młode zespoły, a obok nich również weterani: Tadeusz Nalepa — nestor polskiego bluesa i Czesław Niemen — prawdziwy weteran. Dwaj ostatni występują przed publicznością o ponad dwukrotnie młodszą od nich samych. Wszyscy bez względu na wiek są bardzo dobrze przyjmowani, widać, iż liczy się tutaj tylko dobra muzyka. Większość publiczności do późnych godzin (druga — trzecia nad ranem), pomimo dotkliwego zimna, słucha muzyki. Kto jest głodny, może w okolicznych stoiskach kupić ciepłą kiełbaskę, bigos, napić się gorącej herbaty albo zimnej lemoniady. Może też kupić wprost z samochodu — chłodni mleko, kefir, maślankę, jogurt. Zresztą mleko jest chyba najpopularniejszym napojem w Jarocinie. Jarocin to miasto abstynentów, w każdym razie w czasie festiwalu. W samym mieście i w promieniu 30 kilometrów wokół niego obowiązuje całkowita prohibicja. Nikomu z uczestników nie potrzeba tego rodzaju napojów, czego nie można powiedzieć o porządkowych w pomarańczowych kamizelkach, wywodzących się z mieszkańców miasta. Niestety, często ich można było zobaczyć w stanie wskazującym na spożycie.

Cały Jarocin żyje Festiwalem. Festiwal jest obecny wszędzie. Dokądkolwiek by nie wejść, do sklepu, restauracji czy prywatnego mieszkania, wszędzie jest obecna jarocińska muzyka. To wszystko jest zasługą harcerzy, ściślej mówiąc Rozgłośni Harcerskiej z Warszawy, która już po raz trzeci z rzędu zawitała do Jarocina, instalując swój nadajnik niedaleko stadionu i nadając na UKF-ie non-stop 24 godziny na dobę program. Program Radia Nieprzemakalnych odbierany w promieniu 70 kilometrów wokół Jarocina (słucha go około 2 milionów ludzi) interesuje się nie tylko festiwalem, chociaż festiwal zajmuje większość czasu antenowego, ale również sprawami mieszkańców miasta i okolicy. Jest do dyspozycji numer telefonu i każdy może zadzwonić i przekazać na antenę to, co go gnębi lub cieszy. Wszystko oprócz muzyki z taśm czy płyt jest nadawane na żywo.

Sami mieszkańcy Jarocina tak się przyzwyczaili do imprezy, iż nie wyobrażają sobie już inaczej tych kilku dni na początku sierpnia. Na każdym kroku można zobaczyć obrazki nie do wyobrażenia w innym mieście. Obok siebie siadają na ławeczce w parku podgolony punk w zdartej skórzanej kurtce oraz siedemdziesięcioletnia babcia w chuście na głowie i uważają to za rzecz całkowicie naturalną. Zresztą mieszkańcy chętnie pomagają przybyłej tutaj młodzieży. Przed dwoma laty zaopatrzenie, które stanęło poza tym na wysokości zadania (w czasie festiwalu miasto liczy dwa razy więcej mieszkańców), dostarczało zbyt mało napojów chłodzących i mieszkańcy samowolnie wystawiali przed swoje domy wiadra z wodą, by napoić spragnionych. Niektórzy gospodarze mają już stałych przyjeżdżających corocznie gości, którzy nie mają ochoty rozbijać swoich namiotów w oddalonym o półtora kilometra od centrum miasta specjalnie wybudowanym miasteczku namiotowym.

Piątek, godzina 14.00. Przed bramą Jarocińskiej Fabryki Mebli spory tłum pracowników udających się na popołudniową zmianę lub wracających z porannej. Słuchają koncertu zespołu Sztywny Pal Azji. Wszyscy członkowie zespołu przedstawiają się, podkreślając, iż są amatorami, i podają swoje zawody. Sądząc według reakcji publiczności, koncert się podoba. Bardzo atrakcyjne są konferencje prasowe, na których dochodzi często do szczerej i otwartej wymiany zdań pomiędzy ich uczestnikami. W porównaniu z poprzednimi festiwalami dziennikarze coraz mniej interesują się marginalnymi w gruncie rzeczy zdarzeniami, a więcej muzyką. Ze strony dziennikarzy piszących sypią się gromy na głowę redaktora z telewizji za tendencyjne pokazywanie festiwalu i szukanie za każdą cenę sensacji. Festiwal jest bardzo spokojny. Ktoś z miejscowych władz użył określenia, iż jest spokojniej niż w dniu wypłat. Swoją drogą najgorętszy orędownik festiwalu to naczelnik miasta mgr Czesław Robakowski. Organizatorzy: Jarociński Ośrodek Kultury, ZSMP i miasto na festiwalu bezpośrednio nie zarabiają, bilans wychodzi na zero, ale miasto zyskuje coraz większą popularność nie tylko w Polsce, ale i poza jej granicami. Np. z roku na rok procent Czechów i Słowaków wśród publiczności stale się powiększa.

Organizatorzy podają wyniki konkursu: jedyne jury, publiczność, wybrała laureatem zespół DETONATOR BN z Sochaczewa, oddając na niego 1 078 głosów z całkowitej sumy 7 713 zebranych. Kolejne miejsca zajęli: rzeszowska WAŃKA WSTAŃKA (notabene mój faworyt) poznański heavy metalowy WILCZY PAJĄK i warszawski STAN ZVEZDA. Zwycięzca otrzymał nagrodę ufundowaną przez naczelnika miasta w wysokości 200 tysięcy złotych oraz kontrakt płytowy z Polskimi Nagraniami. Pozostali otrzymali drobne nagrody od różnych fundatorów (firmy polonijne oraz kontrakt płytowy firm Poljazz, Tonpress i Wifon). Do Jarocina przybyło w tym roku 15 tys. fanów rocka, o 5 tys. mniej w porównaniu z rekordowym rokiem 1985.

Czas na koncert finałowy. Pod konsoletą gromadzą się (tam najlepiej słychać) fonoamatorzy, dokonujący we własnym zakresie (brak profesjonalnych) nagrań. Imponująco wygląda ten las magnetofonów i mikrofonów ponad głowami publiczności. Najpierw grają zespoły wyróżnione oraz nienagrodzone, zaproszone przez organizatorów jako najbardziej godne uwagi. Następnie goście, ubiegłoroczni laureaci SZTYWNY PAL AZJI, KOBRANOCKA oraz gwiazdy VOO VOO i DŻEM — ten ostatni zespół tradycyjnie dający w Jarocinie najlepsze koncerty. Również ten koncert nie obywa się bez bisów (około 5 nad ranem). Publiczność do końca szczelnie wypełniała stadion. Koniec!

Festiwal Rockowy — Jarocin 87 został zakończony. Nie przyniósł może żadnych rewelacji muzycznych (wśród amatorów), ale dał okazję do posłuchania dobrej muzyki w gronie ludzi złaknionych wspólnych przeżyć. Do zobaczenia za rok w Mekce polskiego rocka.

WIESŁAW PRZECZEK

ODGŁOSY WIELKIEGO PAŹDZIERNIKA NAD OLZĄ

[2]

WPŁYW ABDYKACJI CARA
I ZNIESIENIA MONARCHII

Pierwsza wojna światowa ujawniła polityczne i gospodarcze zacofanie Rosji. Początkowe sukcesy były okupione śmiercią setek tysięcy zmilitaryzowanych robotników i chłopów. Represje caratu przyśpieszyły wybuch walk zbrojnych. Car Mikołaj II, znalazłszy się w całkowitej izolacji, 15 marca 1917 r. (według starego kalendarza o 13 dni wcześniej) został zmuszony do zrzeczenia się korony.

Abdykacja wszechładnego despoty i zniesienie monarchii wywarły piorunujące wrażenie w całym świecie. Zelektryzowały masy do dalszych wystąpień antywojennych i klasowych, wlały w nich wiarę we własne siły.

O wzroście nastrojów rewolucyjnych na terenie regionu świadczą m. in. raporty ostrawskiego komisariatu policji czy korespondencja władz administracyjnych. Niezwykle żywo na wydarzenia rosyjskie reagowała również miejscowa prasa, szczególnie pod kątem realnej perspektywy zakończenia kataklizmu wojennego. *Nikt nie wie* — pisał w połowie maja 1917 r. organ Polskiej Partii Socjalno-Demokratycznej „Robotnik Śląski" — *co przyniosą następne dni. Lud rosyjski zwraca się wyraźnie w stronę Lenina.*

Probierzem siły proletariatu stał się przebieg manifestacji pierwszomajowych w roku 1917. W dziewięciu miejscowościach w kraju nad Olzą zorganizowano obchody Święta Pracy. Liczbę uczestników manifestacji w Stonawie szacowano na około 2 000 osób, zaś w centralnej manifestacji karwińskiej części rewiru w Orłowej wzięło udział około 12 tys. osób. Dyrekcja huty trzynieckiej była zmuszona zwolnić robotników dziennej zmiany od obowiązku pracy.

Po raz pierwszy od wybuchu wojny w dniu święta proletariatu ucichła praca w Trzyńcu, w kopalniach i w pozostałych zakładach regionu. W rezolucji pierwszomajowej poza hasłami o pokoju zostały mocno zaakcentowane wydarzenia rosyjskie: *Z namiętną sympatią wita zgromadzenie proletariat Rosji, który w swej bohaterskiej walce uwolnił nie tylko siebie, ale także całą Europę od jarzma i plagi caratu, a w ten sposób stworzył wolną drogę do nowego politycznego i społecznego rozwoju.*

Rezolucja jest dobitnym przykładem

wpływu rosyjskiej rewolucji lutowej na przyśpieszenie procesu politycznego dojrzewania mas pracujących. Właśnie pod jej wpływem przejawy fermentu prawie że wyłącznie o charakterze gospodarczym od końca pierwszego kwartału 1917 r. stopniowo zaczęły przybierać oblicze walk politycznych. Zresztą w rozruchach głodowych, które kulminowały w lipcu 1917 r., pojawiły się postulaty o charakterze politycznym, chociaż — rzecz jasna — głód i nędza zmusiły proletariat do podjęcia tak desperackich kroków. Z całą pewnością częste porównywanie miejscowych stosunków z rosyjskimi stało się inspiracją burżuazyjno-demokratycznej rewolucji lutowo-marcowej.

O ile antyrobotnicze i antystrajkowe pociągnięcia rządu wiedeńskiego w pierwszych latach wojny z powodzeniem eliminowały rozprzestrzenianie się fali strajkowej, to w roku 1917 ich skuteczność znacznie zmalała. Stopniowy rozkład aparatu państwowego, zauważalna na wszystkich frontach coraz wyraźniej przewaga Ententy oraz bezsilność rządu wiedeńskiego wobec trudności gospodarczych i aprowizacyjnych pozwalały wierzyć w powodzenie wystąpień proletariackich. 20 lutego 1917 r. strajkowało około 500 górników w Łazach na Nowym Szybie, skąd ferment strajkowy rozszerzył się do Poręby (szyby Zofia i Alpinka), Orłowej (Szyb Główny) i Karwiny (Austria). Strajk trwał kilka dni.

Po stosunkowo spokojnym marcu nowa, jeszcze potężniejsza fala strajków przelała się przez teren Zagłębia w kwietniu i maju. Czerwcowy strajk około 3 tys. robotników w walcowni Hahna w Boguminie miał zmusić pracodawcę do wywiązania się z obowiązku płacenia dodatku drożyźnianego.

Największe nasilenie fali demonstracji i strajków przyniósł lipiec 1917 r. W dniu 2 lipca o godz. 19 zgromadziło się przed ratuszem w Witkowicach ponad 2 tys. osób. Poza hasłami antywojennymi demonstranci domagali się zaopatrzenia sklepów w podstawowe artykuły żywnościowe. Zrozpaczeni i bezsilni rozbili szyby okien ratusza oraz hotelu werkowego, następnie rzucili się na targ, magazyny towarów oraz najbliższe sklepy z żywnością. Zyskane w ten sposób artykuły żywnościowe w wysokości 600 tys. koron demonstranci rozdzielili między siebie. Wezwane na szybko wojsko w krwawej pacyfikacji zabiło 6 osób, w tym 1 kobietę.

Wiadomość o tragicznych zajściach rozeszła się w błyskawicznym tempie po terenie całego Zagłębia, a nawet poza jego granice. Kilkutysięczne pochody maszerowały przez wiele miejscowości, napadając sklepy, a nawet prywatne mieszkania właścicieli sklepów. Jedna z takich lawin zrozpaczonych demonstrantów przewaliła się 6 lipca z Pietwałdu przez Dąbrowę, Karwinę-Doły, Solcę, Stare Miasto, Darków do Frysztatu. W Karwinie jedną z uczestniczek pochodu policja na miejscu zastrzeliła.

Do podobnych incydentów doszło m. in. w Orłowej, Rychwałdzie, Polskiej Ostrawie, Radwanicach, Michałkowicach, Suchej Górnej i Dolnej, Lutyni Dolnej itd. W Porębie demonstranci zmusili żandarmerię do oddania ośmiu więzionych współtowarzyszy. Napięcie przeniosło się do pozostałych części regionu. Na skutek obniżenia przydziału chleba przerwało pracę w dniach 9—10 lipca około 1 500 robotników w 22 fabrykach Bielska-Białej.

Kroki poczynione przez miejscowe władze w wyniku rozruchów głodowych w lecie 1917 r. dowodzą obawy burżuazji o swoją przyszłość. Terytorium Zagłębia zostało podzielone na 11 okręgów wojskowych i politycznych. Ich dowództwo wojskowe informowało odpowiednie urzędy polityczne o aktualnej sytuacji. Tego typu dowództwa umieszczono w Karwinie, Frysztacie, Orłowej, Gruszowie, Polskiej Ostrawie, Świnowie, Przywozie, Mariańskich Górach, Morawskiej Ostrawie i Witkowicach. Dowódcy okręgów wojskowych dysponowali własnymi oddziałami wojskowymi. Nadto w razie potrzeby posłuszny ich rozkazom był wzmocniony garnizon w Cieszynie, składający się z czterech rot. Tak więc obszar potencjalnego niebez-

pieczeństwa strajkowego otaczał szczelny kordon wojskowy.

Od nocy z 6 na 7 lipca obowiązywał stan wyjątkowy. Przewidywał on karę śmierci za naruszenie porządku publicznego. Ponadto wprowadzono sądy doraźne oraz zakazano opuszczania mieszkań po godzinie dwudziestej. Według danych szacunkowych ponad 4 tys. uczestników rozruchów lipcowych zostało objętych postępowaniem sądowym. Nie znamy efektu interpelacji posłów Tadeusza Regera (18 VIII) czy później Jana Prokeša i Piotra Cingra (17 X) w ministerstwie spraw wewnętrznych z żądaniem częściowej lub całkowitej amnestii dla uwięzionych.

Represje nie przyniosły pożądanego efektu. Szczególnie w październiku sytuacja ponownie się zaostrzyła. Załoga kopalni Eugeniusz w Pietwałdzie strajkowała przeciw zmniejszeniu racji cukru. Najbardziej aktywnych uczestników zajścia skazano na kilkumiesięczne obostrzone więzienie. W tym samym miesiącu demonstrowało około 10 tys. robotników w Bielsku-Białej na protest przeciw tragicznej sytuacji aprowizacyjnej.

Niepewność rządu o wynik możliwego kolejnego starcia spowodowała wysłanie na teren zagłębia dodatkowych 2 tys. żołnierzy. Tak więc brutalna pacyfikacja miała przede wszystkim zagwarantować burżuazji bezpieczeństwo.

W celu zapobiegania rozruchom w zakładach pracy powołano do życia specjalne komisje skargowe (Zbiór praw nr 122/1917, rozporządzenie cesarskie z 18 III 1917 r.). Rzekomo rozpatrywały one postulaty robotników. W zakładach produkujących dla potrzeb armii część członków tych komisji na czele z ich przewodniczącym rekrutowała się z szeregów wojskowych organów kontrolnych. Do rejestru taktycznych pociągnięć komisji należało m. in. przedłużanie załatwiania żądań robotników. Ci szybko spostrzegli antyrobotnicze i antystrajkowe oblicze komisji skargowych. Rzecz jasna, iż nie były one w stanie zapobiec rozruchom robotniczym.

Strajki, demonstracje czy rozruchy głodowe w pierwszych trzech kwartałach 1917 r. zaskoczyły swoją masowością. Na interesującym nas terenie uczestniczył w nich prawie że cały proletariat wszystkich większych zakładów pracy. Próba oceny fali wystąpień robotniczych i wyciągnięcia właściwych wniosków zmusza do podkreślenia również widocznych ich niedociągnięć. Nie sposób nie widzieć żywiołowości, braku koordynacji w czasie, słabo klasowo uświadomionych i mało zdecydowanych przywódców omawianych akcji. W rozruchach głodowych pojawiały się incydenty wymierzone przeciw Żydom — właścicielom kapitału handlowego. Negatywy te spowodowały krótkotrwałość poszczególnych wystąpień proletariackich i zazwyczaj ich niepowodzenie.

WŁADYSŁAW JOSIEK

POLONISTYKA W OŁOMUŃCU

Ołomuniec posiada drugi najstarszy uniwersytet na ziemiach czeskich. Uczelnia ta powstała w roku 1566 i od zarania stanowiła pulsujący ośrodek umysłowy. Przybywali studiować do Ołomuńca słuchacze nie tylko z Czech i Moraw, ale i z innych państw, także z Polski.

W swej kilkuwiekowej historii uniwersytet przechodził różne koleje losu, aż w roku 1855 decyzją władz austriackich został całkowicie zlikwidowany. Na odnowienie musiał czekać całe 100 lat. Stało się to bowiem dopiero po drugiej wojnie światowej, kiedy 21 lutego 1946 r. Tymczasowe Zgromadzenie Narodowe Czechosłowacji wydało specjalną ustawę, na podstawie której było możliwe wskrzeszenie uniwersyteckich tradycji Ołomuńca.

W 1947 r. ówczesny Prezydent Republiki Czechosłowacji E. Beneš dokonał uroczystego otwarcia uczelni. Uniwersytet otrzymał imię sławnego czeskiego historyka — Franciszka Palackiego i nosi odtąd oficjalną nazwę Universitas Palackiana Olomucensis.

W tym samym mniej więcej czasie zaczyna się historia ołomunieckiej polonistyki. Pierwsze dyplomy, na których język polski figuruje jako specjalność podstawowa, wydano na Uniwersytecie Palackiego na początku lat pięćdziesiątych. Od tamtych czasów do chwili obecnej mury uczelni opuściło 78 polonistów. Niektórzy spośród absolwentów pracują na uczelni (Maria Sobotkowa, Edward Lotko) i kształcą w dziedzinie polonistyki następne pokolenia. Inni znaleźli zatrudnienie w redakcjach czasopism i wydawnictw, w instytucjach handlu zagranicznego, w biurach przedsiębiorstw turystycznych, a także w szkolnictwie, głównie na terenie Śląska Cieszyńskiego.

Kształcenie nauczycieli dla szkół polskich pociągnęło za sobą konieczność intensywnego związania uczelni z terenem, z działalnością praktyczną. Toteż ołomuniecka kadra polonistyczna uczestniczy w opracowywaniu podręczników i pomocy naukowo-metodycznych, tak bardzo potrzebnych nauczycielom uczącym w szkołach średnich i podstawowych z polskim językiem wykładowym.

Od początku istnienia udało się ołomunieckiemu środowisku polonistycznemu nawiązać żywe kontakty z polskimi ośrodkami naukowymi. Stypendia, staże i lektoraty w Polsce, wymiana myśli i materiałów między uczelniami i naukowcami obu krajów, wykłady językoznawców i historyków literatury z Polski, współpraca z czołowymi pismami polonis-

tycznymi, to wszystko miało pozytywny wpływ na rozwój polonistyki w Ołomuńcu.

Bardzo duże znaczenie dla ośrodka polonistycznego ma również fakt, że od 1957 r. pracuje w Ołomuńcu (na podstawie Umowy Kulturalnej między Polską i Czechosłowacją) lektor zagraniczny. Obecnie już siódmy lektor z Polski objął to stanowisko w ołomunieckim uniwersytecie.

Jako pierwszy pracował tu Cezary Piernikarski (UW), następnie Barbara Bartnicka (UW), Zbigniew Książczak (UW), Andrzej Spyt (UJ), Anna Kiermut (UW), Maria Gutkowska-Witkowska (UŁ), a od 1985 r. — pisząca te słowa — Anna Trębska (UMCS).

Na początku lat siedemdziesiątych między Uniwersytetami: Palackiego w Ołomuńcu i Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie zostały nawiązane przyjacielskie kontakty. Owocem ich (rownież w zakresie polonistyki) były wspólnie organizowane sympozja naukowe i wspólnie redagowane księgi zbiorowe referatów.

W latach 1975—1977 pod patronatem gramatycznej komisji MKS (Międzynarodowej Komisji Slawistycznej) odbywały się na UP kolokwia czeskich i polskich lingwistów poświęcone współczesnej czeskiej i polskiej gramatyce, przynoszące obu stronom wiele cennych naukowych rozwiązań.

Rok 1976 rozpoczyna tradycje Dni Przyjaźni Czechosłowacko-Polskiej w Ołomuńcu. Od tej pory corocznie pod koniec marca odbywają się imprezy kulturalne z udziałem polskich artystów, konferencje naukowe dotyczące literatury i językoznawstwa polskiego, organizowane są wystawy popularyzujące sztukę polską, koncerty muzyki, wieczory poezji, wyświetlane są polskie filmy. Przedstawiciele ośrodka polonistycznego UP zawsze biorą aktywny udział w tych dniach.

Na Uniwersytecie Palackiego pod koniec lat siedemdziesiątych zostało zainicjowane jeszcze jedno przedsięwzięcie polonistyczne o dużym znaczeniu, a mianowicie Ogólnokrajowe Konferencje Polonistów Czechosłowackich. Pierwsza tego typu konferencja odbyła się tu 17 marca 1978 r. Zainaugurował ją ówczesny ambasador PRL w Czechosłowacji, zaś zaproszeni z Polski naukowcy (W. Lubaś /UŚ/ oraz St. Jaworski /UJ/) wygłosili ciekawe referaty. Głównym celem tego spotkania była ocena współczesnego stanu, potrzeb i perspektyw polonistyki uniwersyteckiej w Czechosłowacji. W referatach przedstawicieli poszczególnych ośrodków polonistycznych i w dyskusji pokazano, że pod koniec lat siedemdziesiątych panowała pewna stagnacja w rozwoju filologii polskiej w CSRS. Stanowiło to wyraźny kontrast w stosunku do dynamicznego rozwoju bohemistyki czy słowacystyki na niektórych uniwersytetach w Polsce, np. w Warszawie, Krakowie lub Katowicach. Najważniejsze dezyderaty konferencji zostały sformułowane w liście adresowanym za pośrednictwem rektora UP do Czeskiego Ministerstwa Szkolnictwa w Pradze i Słowackiego Ministerstwa Szkolnictwa w Bratysławie (por. „Materiály z prvního zasedání polonistů", Praha — Olomouc 1978).

Druga konferencja Polonistów Czechosłowackich odbyła się w Bratysławie (1981), trzecia w Ostrawie (1984), a czwarta w maju 1987 r. w Pradze.

Ogniwem łączącym poszczególne konferencje są co roku organizowane ogólnokrajowe robocze spotkania polonistów odbywające się w ramach Dni Przyjaźni Czechosłowacko-Polskiej w Ołomuńcu (por. „Slavistický den", Praha — Olomouc 1983).

W ubiegłym roku do takiego spotkania doszło w marcu. Obok przedstawicieli poszczególnych ośrodków polonistycznych z Czechosłowacji byli na nim obecni również zaproszeni goście z Polski. St. Grabias (UMCS) zaznajomił zebranych z socjolingwistycznymi perspektywami badań w zakresie ekspresywności języka, a J. Święch (także UMCS) referował o zdobyczach współczesnej literatury polskiej. Obecni na konferencji przedstawiciele polonistyki z Bratysławy, Brna, Ostrawy, Pragi i Ołomuńca informowali o swych naukowych planach na najbliższą pięciolatkę.

Poloniści Katedry Bohemistyki i Slawistyki Wydziału Filozoficznego UP w Ołomuńcu w minionych latach zajmowali się typologiczną konfrontacją języków słowiańskich. Efektem tych badań były (oprócz artykułów i studiów w czasopismach) dwie syntetyczne prace: skrypt E. Lotki „Polština a čeština z hlediska typologického" (1981) i książka tegoż samego autora „Polština a čeština v překladatelské a tlumočnické praxi" (1986). W bieżącym roku będzie wydany skrypt E. Lotki „Zrádná slova v polštině a češtině".

W najbliższym czasie uwaga pracowników ołomunieckiej polonistyki będzie się koncentrować na konfrontacji języka polskiego z czeskim (na płaszczyźnie tekstu): w obrębie leksykologii i składni (E. Lotko) oraz czesko-polskiej frazeologii (J. Jodas). Dla potrzeb zajęć na seminariach literackich przygotowywane są następujące pozycje: „Antologie textů ze staropolské literatury" (E. Petrů, M. Sobotkowa), „Vybrané kapitoly z dějin polské literatury od nejstarší doby do pozitivismu" (M. Sobotkowa) oraz „Antologie polské prózy a poezie 19. a 20. století" (J. Jodas, H. Jodasowa).

Program pięcioletnich studiów polonistycznych na Uniwersytecie Palackiego w Ołomuńcu w zakresie specjalności podstawowej obejmuje wykłady, seminaria i ćwiczenia z historii literatury polskiej, fonetyki i fonologii, z gramatyki opisowej, z historii Polski oraz historii kultury polskiej, dydaktyki nauczania języka polskiego i przekładoznawstwa, stylistyki, dialektologii, z historii i kultury języka polskiego.

W ramach studiów polonistycznych sporo czasu poświęca się również na zajęcia służące kształceniu praktycznej znajomości języka. Ich głównym celem jest wyrabianie u uczącego się kompetencji językowej zbliżonej do tej, jaką posiada rodzimy użytkownik języka. Osiąga się to poprzez ćwiczenia słuchu fonematycznego, rytmu wypowiedzi, intonacji, strategii słuchania, rozumienia i interpretacji komunikatów oraz ćwiczenia w redagowaniu różnego rodzaju prac pisemnych, z przekładowymi włącznie.

Dużą pomoc w praktycznym nauczaniu języka stanowią podręczniki przygotowywane staraniem warszawskiego „Polonikum" oraz Instytutu Badań Polonijnych UJ. Dzięki tym instytucjom oraz Polskiemu Ośrodkowi Kultury i Informacji w Pradze udało się skompletować na Uniwersytecie Palackiego pokaźną bibliotekę polonistyczną oraz szereg pomocy dydaktycznych: przezrocza, taśmy magnetofonowe z nagraniami artystycznych tekstów poezji i prozy, płyty z klasyczną muzyką polską, zbiór plansz przedstawiających polski folklor.

Ośrodek polonistyczny w Ołomuńcu to grupa ludzi z inicjatywą i z chęcią krzewienia języka i kultury polskiej w Czechosłowacji. To właśnie głównie dzięki nim organizuje się w Ołomuńcu różne imprezy polonistyczne. Można tu wspomnieć chociażby o wystawach poświęconych polskiemu plakatowi artystycznemu czy książce polskiej, wieczory autorskie z poetami tłumaczącymi polską literaturę i poezję (J. Pilař, J. Waczków), wieczory filmów polskich (dwa filmy miesięcznie).

Oprócz tego ołomunieccy poloniści uczestniczą jako tłumacze na posiedzeniach różnych komisji gospodarczych, przy wizytach polskich państwowych i partyjnych delegacji, przy ołomunieckim festiwalu filmów krótkometrażowych — Academia film Olomouc itp.

Za swoją działalność Ośrodek Polonistyczny w Ołomuńcu otrzymał w 1985 r. od Rządu CSRS i Centralnej Rady Związków Zawodowych honorowe wyróżnienie, a kierownik Ośrodka — Edward Lotko — w 1986 r. Odznaczenie Ministerstwa Kultury i Sztuki PRL „Zasłużony dla kultury polskiej".

mgr ANNA TRĘBSKA

NADRENSKA MOZAIKA

BAROK I WINO

Würzburg rozłożył się na obu brzegach płynącego zakolami i obramowanego wzgórzami Menu. Nad miastem panuje położona na z dala widocznym wzgórzu potężna historyczna twierdza — Marienberg. Gdzieś tutaj chyba znajdowała się pierwotna celtycka osada, którą z czasem opanowali Germanie, by oddać ją później legionom rzymskim. Ci ostatni założyli tutaj swój nadgraniczny obóz warowny. W ciągu wieków wyrastała w tym miejscu twierdza, taka jaką można oglądać w jej obecnej postaci. Dzisiaj komnaty, wieże i dziedzińce twierdzy zapełniają bogate zbiory Mainfränkisches Museum z galerią słynnego rzeźbiarza — rówieśnika Wita Stwosza — Tila Riemeschneidera. Jego dzieła są rozsiane w szerokiej okolicy po kościołach i klasztorach. Na drugim, niższym brzegu, leży zasadnicza, zabytkowa część miasta. Strzeliste wieże i baniaste kopuły katedry, ratusza oraz innych licznych kościołów dominują nad czerwonymi dachami mieszczańskich domów. Na rozległym Residenzplatz, przed barokowym pałacem biskupów, ustawiły się długie szeregi potężnych klimatyzowanych autobusów. To wycieczki z najróżniejszych zakątków Niemiec zjechały się, by zwiedzić to pełne zabytków, urokliwe miasto. Zwłaszcza dużo godnych zwiedzania zabytków pochodzi z epoki baroku. Klatka schodowa pałacu arcybiskupów swym wystrojem, bogactwem i różnorodnością form, malowidłami autorstwa G. B. Tiepola może przyprawić niejednego o zawrót głowy.

Oba brzegi Menu łączą liczne mosty. Uwagę turystów przyciąga zwłaszcza jeden — Alte Mainbrücke. Do złudzenia przypomina on swym położeniem, architekturą, rzędami zdobiących go kamiennych figur słynny praski most Karola. Jest jednak jakby trochę węższy, no i przede wszystkim ze względu na wielkość rzeki znacznie od swego nadwełtawskiego kuzyna krótszy. Urok i niewątpliwą romantykę miejsca zakłóca do pewnego stopnia fakt, iż po tym zabytkowym obiekcie mogą poruszać się wszędobylskie samochody.

W mieście, którego okolice słyną z uprawy winorośli, znajdują się liczne wiekowe, stylowe winiarnie, jak na przykład Melchior Keller czy też Fränkischer Winkeller im Lämmle. Dyskretny półmrok panuje w sklepionych salach Bürgerspitalkeller przy Theaterstrasse. Między solidnymi ławami i stołami poruszają się oryginalnie ubrani kelnerzy. Pierwszym rzucającym się w oczy elementem ich stroju jest ciemnoniebieska bluza, w jakie ubrani są u nas robotnicy w warsztatach. Drugim oryginał-

nym akcentem stroju kelnerów jest skórzany, ściągnięty pasem fartuch. Na piersiach widnieje potężna kieszeń, w której głębokich czeluściach znikają z charakterystycznym brzękiem inkasowane marki i fenigi. W tym niewątpliwie oryginalnym ubiorze jest chyba jakaś reminiscencja służby szpitalnej, która kiedyś, jak sama nazwa lokalu wskazuje, krzątała się w tych pomieszczeniach.

Strome brzegi rzeki w okolicy miasta pokrywają równe szeregi krzewów winorośli. Niektóre połacie plantacji są pokryte olbrzymimi sieciami, które chronią wyniki całorocznej ludzkiej pracy przed żarłocznymi dziobami zlatujących się tutaj ptaków. Wśród zielonych jeszcze liści przebłyskują dojrzałe kiście winogron — surowca, z którego słońce, bakterie oraz pilne i pracowite ludzkie ręce potrafią wyczarować owo natchnienie poetów i malarzy, wyzwalające beztroskę i radość życia — złote, przejrzyste wino. Kulminuje gorączkowa praca przy terminowym zbiorze winogron. Wymaga ona wielkiej koncentracji siły roboczej. W krótkim bowiem stosunkowo okresie trzeba zebrać plony całorocznej, mrówczej pracy. Zbiorów nie można dokonywać kombajnem lub innym środkiem zmechanizowanym. Jedynie niezawodne ludzkie ręce potrafią się bezbłędnie i terminowo wywiązać z tego trudnego zadania. Stąd też w winnicach wre ruch i krzątanina. Role są ściśle podzielone. Przy obcinaniu kiści z krzewów uwijają się wszyscy, dziewczyny i chłopaki, starzy i młodzi. Po brzegi wypełnione zebranymi winogronami pojemniki przenoszą na plecach barczyści mężczyźni. Sprawnym, profesjonalnym ruchem barku wyrzucają zawartość pojemników do podstawionych przyczep. Sceneria miejsca i atmosfera gorączkowej pracy jest godna uwiecznienia przez mistrzów pędzla. Do całej tej pogodnej atmosfery wkrada się jednak pewien nieoczekiwany zgrzyt. Na napełnianej kiśćmi winogron przyczepie można odczytać napis, że właścicielem winnicy i przyczepy jest ktoś noszący złowrogo brzmiące nazwisko — Mengele — nazwisko kojarzące się z osobą „lekarza", przeprowadzającego swe obłędne i bestialskie eksperymenty na więźniach w obozie zagłady Auschwitz.

TADEUSZ WRATNY

Würzburg — Marienberg



fot. TADEUSZ WRATNY

WŁADYSŁAW SIKORA

SZKICE

KOBIETA Z PSEM

Przodem idzie kobieta, a pies o kilkanaście kroków w tyle. Po trotuarze tuż za drucianym płotem, który kończy wąski trawnik przed mieszczańską willą. Wysoka kobieta, o kształtach tęgiego chłopa, z grubą, sflaczałą twarzą, kroczy jednostajnie ze zwisającym w dół pręcikiem w palcach, nie odwraca głowy, a zdaje się dostrzegać wszystko naokół. — Puncia, Puncia ... — woła co kilka kroków i patrząc przed siebie uśmiecha się przed bramką: — Dzień dobry, szanowna pani Wejwanczycka, zdróweczko ...?

Tubalny głos przedostaje się przez zamknięte okno, lecz nie słyszę już zazwyczaj cichej odpowiedzi gospodyni, która spędza popołudnia na ławeczce w rogu trawnika. Gdy tęga postać już znika za framugą, wtedy z drugiej strony zjawia się wydłużona baryłeczka stworzenia, rozpasła piłka na króciuteńkich, rozlazłych na boki nóżkach, pełźnie zwiesiwszy piąstkę mordki pod wałkiem szyi, nie odbyła do końca nauki chodzenia, ledwie człapie, ledwie, sapie z wysiłku, niekiedy szczeknie swarliwie falsetem. Kiedy wracają, psina jakby turlała się raźniej, a jednak cierpi, tak bardzo podobna jest do człowieka.

Doznaję uczucia ulgi, kiedy ich już nie ma i gdy sobie uświadamiam, że urodziłem się nieco później, chociaż względność obydwu sytuacji jest oczywista. Mieszkam tu od dwóch lat i niemal fizycznie odczuwam szereg codziennych spacerów z ich nieodwracalną metą,

choć rozpoczynały się one w sposób naturalny przed wieloma wiosnami. Na miejsce zmarłego tytularnego tłuścioszka przyszedł psiak wyhodowany na obraz ludzki, aby przedłużać mijanie jednostajne, ustalone, żałosne ...

Idą z powrotem, ściemnia się, kobieta woła: — Puncia, Puncia ... następnie nie odwracając głowy rzuca przed bramką: — Dobranoc, pani Wejwanczycka! — ale tubalny głos trafia w próżnię, ponieważ gospodyni akurat przed chwilą zamykała już drzwi na korytarz, czas widać staje się luźny i rozpręża się, albo też życie najpierw przyspiesza, potem zaś się opóźnia ... Dlatego sprawdzam według sygnału radiowego położenie wielkiej wskazówki na moim zegarku.

KOBIETY NAPRZECIW KIOSKU

Mogłem jeszcze obejrzeć tytuły w kiosku, za wcześnie przyszedłem na przystanek. Gdyby Hawelka nadal siadywał za oknem, przychodziłbym choćby i o dwadzieścia minut wcześniej, ale Hawelka zrezygnował, oddał krzesełko nowicjuszowi, który gazet nie wypożycza, a sprzedaje. Nie pozwala nawet przejrzeć tytułów, bo halerzowa oszczędność to halerzowe draństwo ...

Jeszcze przez dziesięć minut będę patrzeć przed siebie i myśleć o kiosku, który, zanim siadywał w nim Hawelka, rzekomo mniej zarabiał, ale się uśmiechał. Obecnie wcale się nie zmienia i nawet nie zauważa pogody.

Akurat wyjrzało słońce. Dziecko przede mną bełta paluszkiem kałużę po deszczu, dopóki matka nie zgadza się i nigdy się nie zgodzi z babcią. Po klapsie krótki skowyt, mała musi się trzymać maminej torby. Już nie płacze, a patrzy tylko na tęczowy plasterek oliwy. Kobiety są bardzo podobne do siebie, ale starsza zrezygnowała już z prawa do decyzji, a najwyżej jeszcze przypuszcza. Córka nie lubi wchodzić uciążliwie w konieczności, woli oceniać. Stale od nowa podnosi głos, od trzech minut nie pamiętam, aby jej matka powiedziała coś sensownego. Mnie to tam obojętne, co mówi starsza kobieta, ale po co jej tryb warunkowy, skoro z góry wiadomo, że to wszystko nie ma najmniejszego znaczenia, skoro córka się orientuje ...

Dziecko usiłuje dotknąć babci, puszcza torbę i po krótkim skowycie znowu jej się trzyma, klaps poślizgnął się z policzka na nosek. Babcia już zaledwie myśli sobie, ale to wcale córki nie zadowala. Znalazłem w kieszeni cukierek i oddaję dziecku. Przestraszyło się, a matka spojrzała obojętnie i szarpie torbą: — Widzisz, że autobus podjeżdża, to nie marudź ... A ty przypadkiem nie zapomnij czego, bo to nigdy nie wiadomo ...

To do babci. Podniosła ciężkie walizy, a dziecko dotknęło koniuszkiem bucika kałuży i wkłada cukierek do ust.

MĘŻCZYZNA Z WIEŻOWCA

Przed kilkoma minutami wracał z nocnej zmiany. Jest tęgim i przysadzistym brunetem. Poczerniony wąsik upodobnił go do tuzinkowego Włocha. Ludzi w osiedlu zapamiętuje się od przypadku do przypadku, dlatego mężczyzny z wieżowca nie pomylę już z Węgrem z sąsiedniego bloku.

Żona mu wyszła naprzeciw w pomiętym płaszczu. Moje mleko było jeszcze ciągle gorące, dlatego piłem je ostrożnie, z przerwami. Myślałem o mleku, ale patrzyłem w dół na ich rozdrażnienie. Mężczyzna ociąga się z zadatkiem, sięga wreszcie do kieszeni i nagłymi ruchami odlicza setki.

— Weź ze trzy piwa! — żachnął się.

— Piwa ... O piwie tylko ... a myśmy nie żarli. To mam wyżyć z tych czterech tysiączków? ... Janę wyślij, niech odda starej za jajka!

Kobieta pobiegła do samu, a mężczyzna zajął zagraniczny wóz zaparkowany pod wieżowcem. Odszedł. Wcale mi nie pasuje do jakichś tam moich wyobrażeń; nie umiem zauważyć, kiedy człowiek odrzuca młodzieńczy refleks na rzecz zrównoważenia i zdecydowania. Wydaje mi się, że taki długo nadrabia miną, zanim wąs trafniej go określi.

— Jana! — mężczyzna wychylił się z drugiego piętra i woła w moim kierunku. Patrzy z góry na zagraniczny samochód, potem zaczyna się denerwować: — Jana! Słyszysz?

Jana nie odpowiada. Schodzę w dół. Przed wejściem bawi się gromadka dzieciaków z dziesięcioletnią dziewczyną: ona jest nauczycielką i podnosi głos, a malcy na poważnie przejęli się swoimi rolami ...

— Jana, więc co?

W bramie pojawił się mężczyzna z wieżowca.

— Tatuś ...! — dziewczyna chciałaby uciec, mężczyzna zrobił fachowy odwrót i kopnął ją w łydkę. — Tatuśku ...! — dziewczyna biegnie utykając, a dzieciaki zbiły się w kłębek.

— Dzień dobry — powiedziały chórem, kiedy już zszedłem po schodach.

ZAJĄC NA SZCZUDŁACH

Widuję go rano i w południe, wtedy idzie do szkoły albo ze szkoły; ale niekiedy i pod wieczór, kiedy się wybieram na spacer w stronę lasu. Tuż za rogatkami chłopcy grywają w piłkę, a on, wczepiony w kule, stoi w bramce jak wahadło na drążku i wybija piłkę zdegenerowanymi po paraliżu nogami bądź też wymiata ją z narożnika końcem kija. Zwija się, rzuca, podryguje jak jakiś niespożyty owad, wyraźnie zadowolony, że koledzy go nie chwalą niepotrzebnie, a w pełni doceniają.

Owad czy zając? Raczej zając na szczudłach. Chłopcy pędzą na przełaj do sąsiedniej watahy, a on sadzi za nimi, rzemieniem przy-

troczył teczkę do pleców ... Pozwala się wyprzedzać najwyżej o kilkanaście skoków — z rozlatanymi nogami, ale kule jakby posiadły jego czucie albo i zrosnęły się z chorymi nerwami, trafiają zawsze gdzie należy, odbijają ciało naprzód i wyprzedzają je niepostrzeżenie. Jeszcze jeden sus poza róg następnego bloku ...

Nie zauważyłem wcale, by zając przejmował się swoim losem fizycznego niedojdy albo szukał krzty litości w ludzkim spojrzeniu. Upośledzeni podkreślali zwykle na odpustach swoje kalectwo, ale zawsze przy tym zdobywali się na specyficzny honor nieulegania rezygnacji, drążenia przyziemnego losu, potrafili nawet imponować swą brzydotą.

Ostatnio zając pojawia się już bez kul, a na trzykołowym wózku rowerowym, i od razu zdaje się doroślejszy i poważniejszy. Na poziomej przed blokiem rozkręca pedał tylko jedną ręką, a chłopcy pędzą za nim i nie nadążają. A na skrzyżowaniu bierze zakręt śmiałym łukiem, niekiedy zawraca, aby go powtórzyć.

ŻELAZNY TROP

Tak naprawdę to owego tropu wcale się nie spostrzega. Kamień przecież w stosunku do gliny wydaje się bardziej martwy i obojętny, nie odbija tak wyraziście spraw dokonujących się na jego powierzchni. Ale kamień ma również to do siebie, że pochłania wyobraźnię i utrwala w pamięci niezauważalne pokłady przemijających chwil. Dlatego to właśnie co dnia szukam na trotuarze śladów żelaznej stopy starego człowieka, który wymyka się naturalnym schematom osiedla, omija skupiska młodzieży, aby dreptać gładki kamień.

Niekiedy pojawia się przed blokiem wcześnie rano, skoro tylko ukaże się słońce, a powietrze zachowuje jeszcze w załomach nocny chłód. Zdarza się też, że widuję starego człowieka w porze poobiedniej, ale wieczorem pojawia się z rzadka. Wieczór zresztą, wydaje mi się, bywa dla ludzi niepotrzebnych nieznośny, wtedy bowiem osiedle dopiero żyje powszednim rytmem, dzieli się spostrzeżeniami i obserwuje ... Ale stary człowiek z żelazną stopą o tej porze równie dobrze może patrzeć w telewizor, a to pozwala mu uciec od prywatnych myśli i zostać cząstką otoczenia.

Właściwie to nie odczuwam potrzeby dowiadywania się, w jakich okolicznościach stracił nogę i zaczął się posługiwać metalową stopą. Osiedle zgromadziło ludzi bez historii. Raczej skupiam swoją uwagę na mocnych uchwytach obu lasek starego, stanowiących oś każdego kroku, każdego żelaznego stukotu.

Człowiek z laskami przystaje na końcu trotuaru. Zanim będzie wracać, zatrzymuje się na długie chwile wytchnienia. Zdarza się jednak, że chodzi w kółko między ścianami pod ramą do trzepania dywanów, jakby uważał, że tam nikt go nie dostrzega i że to okazja, aby iść bez odpoczynku i z uporem, na jaki się zdobywa tylko uchodzące życie.

RUDOLF HOMA

Zdun











GABRIEL PALOWSKI

CHCIAŁEM

Na cierniach jeżyny
przędłem
z moich przemyśleń
srebrną nić
Chciałem utkać
pajęczynę poezji
orosić ją
tysiącem światełek
i łez
dla tych
którzy nie znajdą
jagód
a ręce
pokrwawią kolcami

Nie wiedziałem wtenczas
ile zadrapań
potrafię unieść

* * *

pamiętam
twoje ręce
wysokiego tonu
głaszczące ciemności
zakreślające linie
ostatniej nocy
dwu bitew
i dwu zwycięstw

a potem

wyprostowaliśmy ciała
jak fałdy ubrania
i jeszcze
pocałunek na wietrze
dwu zakładników nocy
pomylonych
w czasie ...

BABIE LATO

Dziewczyny
jak pajęczyny
czepiają się oczu

Twarze
jak noworoczne
kalendarze
jeszcze
nie przeczytane

Zrywam
ostatnie kartki dni
i przegrywam
bo jesień
to taka
szalbierska gra ...

* * *

płynę
rzeką płomienną
w czerwoną noc
pełną gorejącego śniegu
płynę
jak ślepy żeglarz
łodzią bez steru
i nie wiem dokąd

może zniesie mnie prąd
do wiru rzeki płomiennej
a może przybiję
do ogniem biczowanego brzegu ...

* * *

wypuściłem latawca
mojej beztroski
pod bramę nieba
by tam wysoko
szukać miłości
a tam
zastałem
zamknięte drzwi

nie wiem
z kim teraz podzielę
radości
smutki
i sny ...

* * *

kiedy odlecą ptaki
z mego ciała
umilkną skrzypce
i zgaśnie niebo
które we mnie płonie
zawiążcie
trwożnie dzwony
bo chciałbym
pozostawić pamięć
pogodnego dnia
która jak woda
kręglić będzie
kamienie
zapomnienia ...

Wyróżnienie w Konkursie Literackim SLA z okazji 40-lecia

TŁUMACZE LITERATURY POLSKIEJ

OLGA HOSTOVSKÁ

Urodziła się 20 marca 1936 roku w Pradze. Po studiach średnich absolwowała Uniwersytet Karola w Pradze. Studiowała bohemistykę i polonistykę. Po studiach rozpoczęła pracę jako nauczycielka szkoły podstawowej.

W roku 1960 została redaktorem w Państwowym Instytucie Wydawniczym książek dla dzieci (obecnie wydawnictwo ALBATROS). W wydawnictwie tym pracuje do dnia dzisiejszego z przerwą w latach 1973—1980, kiedy to mieszkała razem z mężem we Włoszech.

W wydawnictwie Albatros pracowała kolejno w redakcji językowej, następnie w wydziale historii sztuki i wreszcie została redaktorem działu literackiego. Obecnie Olga Hostovská-Castiellowa pracuje w sekcji zagranicznej wydawnictwa Albatros. Tłumaczy z języka polskiego i włoskiego, a czasem także z innych języków.

Ważniejsze przekłady z języka polskiego: Jerzy Putrament „Wypadek w Krasnymstawie" (Nehoda) — dziesięć polskich nowel, Československý spisovatel, Praha, 1967. Krzysztof Baranowski „Hobo" (Autostopem po Americe), Odeon, 1968. Natalia Gall „A ty płakałaś, Adrianno" (Setkání s Andělem),



Albatros, Praha, 1974. Jan Kochanowski „Szachy" (Šachy), Odeon, Praha, 1980. Ewa Nowacka „Kilka miesięcy, całe życie" (Dům zarostlý vínem), Albatros, Praha, 1982. Jarosław Iwaszkiewicz „Wzlot" (Vzlet), pięć polskich nowel, Odeon, Praha, 1984.

W. P.: W jaki sposób rozpoczęła się pani praca tłumaczki, a raczej od kogo pani rozpoczynała?

OLGA HOSTOVSKÁ-CASTIELLOWA: Moim pierwszym przekładem była sztuka lalkowa Zofii Nawrockiej „Kuglarz w koronie". Tłumaczenie to robiłam na zamówienie. Premiera odbyła się w „Centralnym Teatrze Lalkowym" (Ústřední loutkové divadlo) w Pradze w roku 1961. W języku czeskim sztuka nosiła tytuł „Král a kejklíř". Do dziś z wdzięcznością wspominam ówczesnego kierownika literackiego tego teatru lalek — dr. Erika Kolára, który nie bał się współpracy z młodymi, rozpoczynającymi autorami. Nie bał się współpracować z niedoświadczonymi tłumaczami i miał odwagę powierzyć mi tłumaczenie tej sztuki.

— Gdzie się pani uczyła języka polskiego?

— Studiowałam język polski na fakultecie Uniwersytetu Karola w Pradze w latach 1954—1959. Miałam szczęście do znakomitych pedagogów. Wspominam profesora Karla Krejčíego, którego wykłady z literatury polskiej należały do wspaniałych przeżyć. Tak samo nasza lektorka języka polskiego dr Iza Šaunowa uczyła studentów języka wspaniałym sposobem. Potrafiła nie tylko uczyć, ale wychowywała nas również swoją specyficzną metodą. Dosłownie zmuszała nas do mówienia po polsku i potrafiła uaktywnić nawet największe antytalenty językowe. Doświadczonym doradcą i krytykiem moich pierwszych prób tłumaczki był docent Otakar Bartoš, znakomity znawca oraz interpretator współczesnej literatury polskiej. Tyle co do samej nauki języka polskiego. W dziedzinie języka mówionego doskonaliłam się podczas przekładów a także wymiennych wycieczek w czasach studenckich.

— Czy w trakcie wyboru autora do tłumaczenia decyduje temat, osobista sympatia czy też przypadek?

— Dla każdego tłumacza byłoby idealne to, gdyby mógł tłumaczyć tylko te dzieła, z którymi ma on jakieś głębsze powiązanie. Takim wyborem kierują się zazwyczaj początkujący tłumacze, ale rzadko kiedy mają okazję publikować takie przekłady. W moim wypadku udało mi się z tych prywatnych „miłości" zrealizować właściwie tylko Kochanowskiego „Szachy". Rozpoczęłam tłumaczyć Kochanowskiego na język czeski jeszcze w czasach studiów. I muszę dodać, że było to zrobione z pewną dozą bezczelności. Czeski przekład tej książki pokazał się z ponad dwudziestoletnim opóźnieniem, w roku 1980 w wydawnictwie Odeon. Posłowie do tego wydania napisał prof. Karel Krejčí i była to jego ostatnia praca. Reszta moich tłumaczeń była raczej swego rodzaju kompromisem między wymogami wydawców a własnymi zainteresowaniami. W pewnym tylko sensie wydawcy respektowali moje wybory. Nie odrzucałam jednak nigdy żadnej pracy tłumaczki. Szczególnie podczas mojego pobytu we Włoszech nie rezygnowałam nawet z tłumaczeń o charakterze technicznym (z włoskiego na polski i odwrotnie). Takie tłumaczenie traktowałam raczej jako okazję do pogłębiania i rozszerzania moich fachowych umiejętności.

— Czy utrzymuje pani osobisty kontakt z autorem, którego Pani tłumaczy?

— Gdybym tłumaczyła współczesną poezję, uważałabym kontakt osobisty z autorem za coś nieodzownego. Na pewno pomagałby mi przy wnikaniu w poetykę autora. W innych wypadkach kontakt z autorem może tłumaczowi ułatwić proces żmudnego sprawdzania znaczeń wyrazów sloganowych albo wyrażeń dialektowych

czy też mało znanych przenośni. Ja osobiście poznałam niektórych autorów tłumaczonych przeze mnie utworów dopiero w czasie, kiedy przekład się już pokazał. Z drugiej jednak strony sądzę, że kontakt osobisty nie zawsze musi być przydatny. Szczególnie kiedy autor domaga się, żeby tłumaczenie zostało zlecone takiemu tłumaczowi, którego autor już poznał osobiście. O ile sam nie zna języka, na który jego utwór ma być przetłumaczony, nie może wyłącznie na podstawie osobistej sympatii odgadnąć, czy dany tłumacz jest zdolny przeprowadzić przekład adekwatny do oryginału.

— Z którymi wydawnictwami czechosłowackimi najchętniej pani współpracuje?

— Nie należę do przebojowych tłumaczy i zupełnie jestem pozbawiona tego, co można by określić jako „talent handlowy". Współpracuję z tymi wydawnictwami, w których mnie znają. W ostatnich latach są to wyłącznie „Albatros" i „Odeon". W wydawnictwie „Albatros" jestem lektorem polskiej produkcji i tylko od czasu do czasu udaje mi się przetłumaczyć jakąś książkę. W wydawnictwie „Odeon" mam w ostatnich czasach więcej szczęścia do tłumaczeń z literatury włoskiej niż z literatury polskiej. To taki zbieg okoliczności.

— Nad czym pracuje pani w tej chwili?

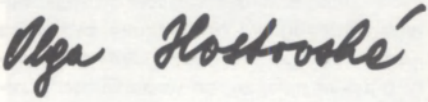
— Moja obecna praca nie ma zbyt wiele wspólnego z literaturą polską, chociaż byłam ostatnio również zajęta studium polskich materiałów, szczególnie zaś pracami Juliana Krzyżanowskiego. W tej chwili kończę pracę doktorską na temat „Giowanni Boccacio w kontekście literatury czeskiej w XV a XVI wieku".

— Pani osobiste wyznanie ...

— Obawiam się, że nie należę do reprezentatywnych tłumaczy literatury polskiej. Nie jestem zawodową tłumaczką i polskie książki, które tłumaczyłam, są raczej konglomeratem różnych nazwisk i żanrów. Zrobiłam dla polskiej literatury znacznie więcej w charakterze redaktora i lektora, ponieważ za najważniejsze uważam to, żeby w czeskim tłumaczeniu wychodziło zawsze tylko to najlepsze, co w literaturze polskiej istnieje. To znaczy, żeby nasi czytelnicy mogli poznać nie tylko współczesną twórczość (która za pośrednictwem osobistych kontaktów znajduje najłatwiejszą drogę do wydawnictw), ale żeby mogli otrzymywać takie lektury w pięknych tłumaczeniach. Chodzi mi przede wszystkim o klejnoty literatury klasycznej. I przy takiej pracy nie można posłannictwa tłumacza zawsze stawiać na pierwszym miejscu ...

— Dziękuję pani serdecznie za wywiad. Czy można prosić o autograf?

— Proszę bardzo ...



WILHELM PRZECZEK

OKIEM RECENZENTA

PIEŚNI LUDOWE MIASTA KATOWIC

Adolf Dygacz: Pieśni ludowe miasta Katowic. Źródła i dokumentacja. Katowickie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne. Katowice 1987, ss. 512 + 24 nlb. Redaktor książki: Andrzej Kornecki. Szatę graficzną zaprojektował: Zenon Moskwa. Redaktor techniczny: Jolanta Ewa Zemczak. Zdjęcia: Stefania Ciesielska. Matryce nutowe wykonali: Włodzimierz Morgan i Zbigniew Rybakiezy. Cena 1 000 zł.

Śląska folklorystyka wzbogaciła się ostatnio o bardzo cenną pozycję wydawniczą. Jest nią zbiór pieśni znanego śląskiego folklorysty Adolfa Dygacza zatytułowany „Pieśni ludowe miasta Katowic. Źródła i dokumentacja".

Autor pracy jest postacią niezwykłą w folklorystyce polskiej. Zaliczany jest do grona najwybitniejszych folklorystów — muzykologów. Urodził się w roku 1914 na Górnym Śląsku. Jako oficer uczestniczył w kampanii wrześniowej 1939 roku. Za działalność antyhitlerowską od roku 1941 do końca wojny przebywał w więzieniach niemieckich. Studiował na Uniwersytecie Warszawskim i Jagiellońskim oraz w Wyższej Szkole Muzycznej i Wyższej Szkole Ekonomicznej w Katowicach. W roku 1952 na Uniwersytecie Jagiellońskim uzyskał magisterium z zakresu polskiej folklorystyki muzycznej, natomiast 10 lat później na Uniwersytecie Wrocławskim obronił dysertację doktorską. Habilitował się na Uniwersytecie Poznańskim w 1975 roku. Obecnie jest docentem. Prowadzi ożywioną działalność pedagogiczną. Pracował w Akademii Muzycznej w Katowicach oraz na Uniwersytecie Wrocławskim, aktualnie pełni funkcję kierownika Zakładu Teorii Muzyki i Folklorystyki Muzycznej w Instytucie Wychowania Muzycznego Uniwersytetu Śląskiego, Filii w Cieszynie. Jest autorem wielu prac naukowych, ogłosił drukiem 8 książek, ponadto przez 25 lat współpracował z redakcją „Trybuny Robotniczej" jako krytyk i publicysta muzyczny. W działalności naukowej zajmuje się głównie kulturą ludową polskich grup zawodowych, szczególnie folklorem górników węgla, rudy, soli, nafty, a także hutników żelaza, metali kolorowych i szkła. W tej dziedzinie badawczej prowadzi prace o charakterze pionierskim, uzyskując rozgłos w skali światowej.

Praca „Pieśni ludowe miasta Katowic" poświęcona jest folklorowi muzycznemu jednego miasta. Jest pierwszą tego rodzaju

publikacją w Polsce. Powstawała, jak pisze autor w przedmowie, z górą pół wieku. Adolf Dygacz pierwszych zapisów pieśni ludowych na terenie Katowic i pobliskich okolic dokonał w 1933 roku. Od tego czasu autor badania swoje znacznie rozszerzył. Zdołał zebrać ponad 12 tysięcy pieśni ludowych, zgromadził bogate zasoby anegdot, bajek, opowieści, przysłów i zagadek. Pomysł oddzielnej publikacji pieśni Katowic powstał początkiem lat sześćdziesiątych. Ogłoszona drukiem praca jest antologią i zawiera 564 pieśni, które zostały podane przez 158 informatorów. Pieśni w pracy przedstawione są w układzie systematycznym i podzielone zostały na obrzędowe, powszechne i zawodowe.

Spośród bogatych źródeł autor wybrał tylko te pieśni, które szczególnie reprezentatywne są dla śląskiego regionu i określone są specyfiką katowickiego środowiska. Znajdujemy tutaj pieśni o tematyce historycznej, patriotycznej, społecznej i szczególnie charakterystycznej dla tego regionu — zawodowej. W zbiorze spotkać można sporą ilość pieśni unikalnych, będących wytworem lokalnym. Do takich zaliczyć należałoby pieśń na powitanie nowo narodzonego syna hutnika, pieśń na dzień św. Floriana, doroczne pieśni na święto hutników, górników, pieśni o wybuchu powstania śląskiego w dniu 2 maja 1921 roku, pieśni o Katowicach, pieśń o tragedii w dniu 1 września 1939 roku w Parku im. Tadeusza Kościuszki w Katowicach, gdzie wojska hitlerowskie zamordowały grupę polskich harcerzy, pieśni elegijne o gilotynie w więzieniu w Katowicach i obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu. Oprócz tych pieśni większość materiału posiada wątki ogólnie znane, mające jednakże swoje lokalne zabarwienie.

Obok pieśni w pracy Adolfa Dygacza zamieszczony jest bardzo sumiennie sporządzony słowniczek wyrazów i wyrażeń gwarowych, technicznych i obcego pochodzenia oraz dokumentacja źródłowa. Walor naukowy pracy powiększa, ogromnie pracochłonny, systematyczny wykaz pieśni z notami porównawczymi opartymi na bardzo bogatej bibliografii. Autor bowiem zadał sobie trud przeprowadzenia badań porównawczych zamieszczonych w pracy pieśni z źródłami wcześniej publikowanymi. Badaniami tymi objął Śląsk Górny, Dolny, Cieszyński, Zagłębie Śląsko-Dąbrowskie. Łużyce, Morawy, Czechy. Z badań tych wynika, że obok pieśni lokalnych poświadczone są wątki egzystujące w wariantach na terenie innych regionów Polski, a nawet w folklorze białoruskim, czeskim, łużyckim, morawskim, słowackim, ukraińskim i węgierskim. Praca ponadto zawiera alfabetyczny spis pieśni oraz streszczenie w wersji czterojęzycznej. Na zakończenie autor omawia zasady wyboru i opracowania źródeł.

Praca Adolfa Dygacza jest cennym dokumentem przedstawiającym muzyczną kulturę ludową Śląska. Jest pracą społecznie oczekiwaną i niezmiernie potrzebną. Przeznaczona jest dla szerokiego odbiorcy. Zbiór pieśni opracowany jest wedle współczesnych wymogów naukowych. Może służyć zarówno etnologom, jak i etnomuzykologom, twórcom, pedagogom, zespołom amatorskim oraz wszystkim miłośnikom folkloru muzycznego. Adolf Dygacz w pracy tej zawarł znaczną cząstkę swojego dorobku naukowego, który poświęcił, jak pięknie pisze w dedykacji na wstępie książki ,,Katowicom — miastu mojego życia — w 65. rocznicę powrotu do Macierzy".

Na podkreślenie zasługuje także bardzo starannie wykonana szata graficzna, o którą zadbał artysta plastyk Zenon Moskwa. Publikację znacznie ożywiają, w większości kolorowe, fotografie informatorów i miasta Katowic. Matryce nutowe bardzo przejrzyście wykonali Włodzimierz Morgan i Zbigniew Rybakiezy. Pracę wydało w nakładzie 3 000 egzemplarzy Katowickie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne przy pomocy finansowej Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Katowicach oraz Miejskiego Funduszu Rozwoju Kultury w Katowicach.

ALOJZY KOPOCZEK

O DZIECIĘCEJ WIECZNOŚCI

W. A. Berger: Most nad Łucyną. Wydawnictwo „Profil", Ostrawa 1987, nakład 1 000 egz., ss. 130, cena 15,— Kčs.

Tuż po Święcie Gorolskim i po słowackiej ,,Lúčnicy" spotkała mnie kolejna radość: w Księgarni czeskocieszyńskiej nabyłem książkę Wiesława Adama Bergera: MOST NAD ŁUCYNĄ. Czwartą po ,,Swierszczach

w głowie" (wyd. Literackie, Kraków 1979), „Zmysłach" (Wyd. „Śląsk", Katowice 1981) i „Idę, Concorde" (Czytelnik, Warszawa 1984). Niechże tak idzie nadal! Tak trzymać! Czyli jeszcze zdążono uczynić ze zbioru opowiadań „ostrawskiego pisarza", jak przyjęło się go nazywać, lekturę wakacyjną; można na dobrą sprawę zapomnieć o chłodach i niepogodzie, albo w przerwach między deszczami zabrać książkę do lasu, skoro akurat obrodziły grzybki. A z treści jej by wynikało, że autorowi, idącemu bez przerwy drogami i ścieżkami Błędowic, Orłowej i Europy, ale także czasu i niepokornej wyobraźni, wcale by to odpowiadało.

Kompozycja „Mostu nad Łucyną", tomu złożonego z dziewięciu wciągających czytelnika opowiadań, dyskretnie oprowadza nas po rozległym obszarze rodowym i życiowym autora. Z sagi rodowej robi się saga międzynarodowa, pełna znaczeń i mądrości tkwiących w rodowych losach, dokonujących się i w przestrzeni, i w czasie. Sięga ona początków wieku i intrygującego międzywojnia, schodzi do kopalni, przeżywa drugą wojnę ze Wsią Na Wzgórzu — Żywocicami, wraca nad wiecznie oczyszczającą swoje wody Łucynę, aby w żmudnym pokoju rozważać po swojemu i niekiedy z lekką drwiną lub rozbawieniem przesłanie wieków, a to na przykładzie układów przestrzennych Karlsztejnu: parter zamku — Hades, wieże środkowe — współczesność z czyśćcem jednocześnie, punkt najwyższy — Niebieskie Jeruzalem z przyszłością, mistyką raju, zo złotym wyobrażeniem.

Czyli wariacje Bergerowskiego tematu, powracające motywy, ów nieustanny bieg myśli i uczuć jednoczących ze światem ciągłej młodości-miłości-życia. Potok wirującej świadomości. Przeczuwana prawda tej ziemi, której nie sposób wypowiedzieć w pełni zdaniami beznamiętnymi. W owej wciągającej przygodzie jesteśmy wbrew regionalistycznym ostrożnościom świadkami przedostawania się naszych „szarości" na karty przerzucające mosty i znoszące nieuzasadnione granice. *Chciałbym raz jeszcze wszystko zobaczyć zaistnieć w dziecięcej wieczności. . .* I biegną koła na wodzie jak fortepianowe fantazje „na temat", zjawiają się bohaterowie poprzednich książek, te same miejsca akcji . . .; Berger pisze właściwie jedną jedyną książkę, pisze siebie, żyje literaturę, literaturą i dla literatury. Otylia z „Karlsztejnu" zwraca się do narratora *osiwiałego ze zmartwień nad nowoczesnym życiem nad samym sobą jesteśmy dobraną parą ja znam się na odrzutowcach a ty na Żwirkach i Wigurach . . .* Powód w przeżyciach i doznaniach, których nie sposób zarejestrować i — rzucić.

Siła tej prozy tkwi w dotykaniu rzeczywistości. Niby to chodzi w niej o szał wyobraźni, której nawet, bo płynie rzeką, niepotrzebne znaki przestankowe, a jednak dopatrzysz się tutaj przede wszystkim tęsknoty obcowania z całym niezmierzonym światem prostego wtajemniczenia ludzkiego, które nienawidzi wszelkiej pańskiej przemocy czy po prostu pustego frajerstwa. Dotykanie rzeczywistości . . . — boć zauważmy np., że odległa Australia Romana i narratora (str. 89) od razu szeleści papierem. Ano, wyobraźnia żywi się konkretem! Siła tej prozy polega także na tym, że autor waży w dłoni temat jak znaleziony kamień, ociosuje go lub na odwrót dotwarza doń potrzebne mu niezbędne kształty. Dowodem na to aż potrójne daty „metryczne" „Mostu nad Łucyną" (1980—1981—1984) lub „Kamieniołomu" (1981—1982—1984), lub po prostu przeróbka „Karlsztejnu" (vide „Rozdając siebie" w „Idę. Concorde"). I konieczny powrót rodowych skomplikowanych i wieloznacznych dziejów ze „Zmysłów". Dzięki tym zabiegom autorskim uzyskujemy w „Moście nad Łucyną" szeroki, potoczysty obraz nadłucyńskiej i nadolziańskiej ziemi: jeśli nie wyczerpujący, to znacząco napomykający jej złożoną problematykę, do której poprzednim prozatorom (oczywiście poza Gustawem Morcinkiem) tak trudno się docierało. Otóż chodzi tutaj bezsprzecznie o szczególny talent narratorski Wiesława Adama Bergera, który, jak się utarło wśród kolegów SLA, ze wszystkiego „robi opowiadanie", z recenzji, z pocztówki i ze szkolenia przeciwpożarowego, jak mamy tego najtrafniejszy przykład w „Strażaku optymiście".

Można w tomie podpatrzeć wiele tajemnic Wiesławowego pióra bezustannie prącego jego prozę ku poezji, roztrząsającego *romantyczne starocie* — a właściwie *długowieczne historie wyciosane w czasie.* W sposobie owego pisania grają ważną rolę skojarzenia kulturowe, których pełno w tekstach, np. *oni nie są przyzwyczajeni do ciszy bo* ***nie ma spokoju pod*** *ich* ***oliwkami*** (tytuł włosko-francuskiego filmu z lat 50.); w odpustowym cyrku nad Łucyną musi wystąpić gruba Elza

z ***Elsynoru***, albo po prostu folklorystyczna *„garbata koza co* ***spadła z woza***". Dojrzeć tu można także poetyckie doświadczenia lingwistyczne, jak: *„stąpają cicho ogarnięte* ***nostalgią*** *albo* ***non-stalgią***". Nie bez znaczenia w jego praktyce pisarskiej są słowa — symbole, np. czarodziejskie *maczafu* w „Moście nad Łucyną" przewijające się przez całe opowiadanie, albo takiż kompozycyjny sygnał — *wędrownych ptaków klucz* w „Pięknej Helenie i Mikołaju".

. . . począł rozróżniać wyobraźnię od rzeczywistości. Zrobiło mu się jaśniej . . . Pomiędzy portretowym arlekinem z okładki a tym z frontyspisu w zadumie i czujnym rozpamiętywaniu (rys. Helga Berger) kładzie się warstwami czas, a czas zatrzymuje w sobie w mniejszym lub większym naszym indywidualnym nasileniu wszystko przeżyte lub tylko strzępy wydarzeń i emocji. W. A. Berger nie zna granic pomiędzy czasami.

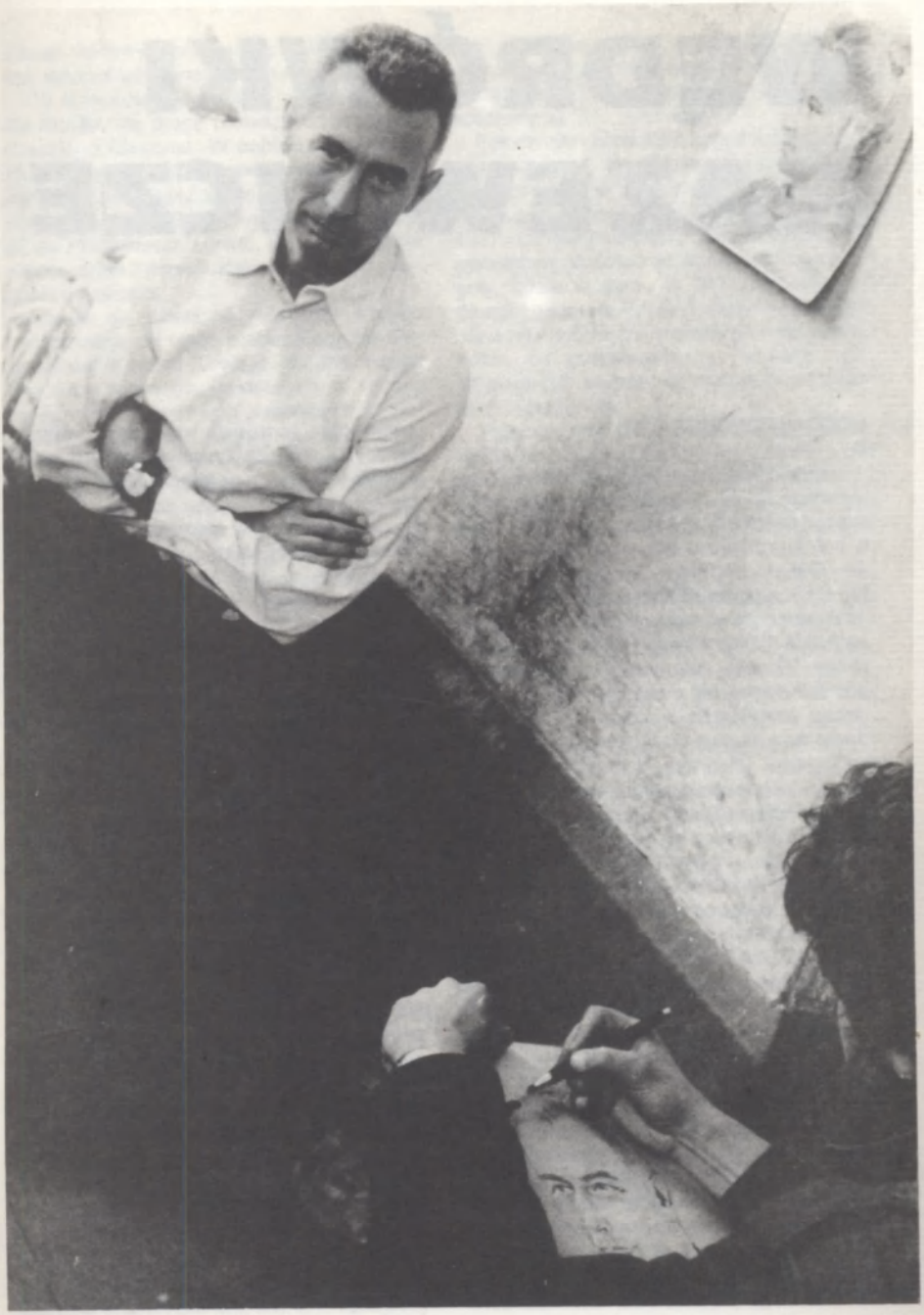
. . . lato trwa festyn plonów wesele ludowej wzajemności w przyrodzie dożynki będzie morawskie wino czeski pilzner i śląska warzonka z miodem chleb-razowiec i owoce — szukam przyjaciół sprzed wojny bez nich też trudno być sobą z każdym trzeba wypić kielicha na przywitanie i na to że żyjemy i idziemy dalej swoimi drogami — chłopcy opowiadają mi jak udało im się przeżyć i jak innym się nie udało — są tego całe księgi białe i czarne — czytając w nich widzę siebie włóczykija z Błędowic i piję śliwowicę i miodulę i przychodzą nasze dziewczyny i podają nam na dłoniach swoje jabłka zapomnienia dla pozbycia się tamtych upokorzeń są uśmiechnięte bo młode — później rodzą nam zdrowie dzieci i tak już jest że rodzimy się tym kim jesteśmy i tym żyjemy — na końcu dożynkowego dnia wieczorna mgła bije wieczorny dzwon rzeski chłód po gorącym dniu i gwar przed nami płonie ognisko ludzie stoją półkolem ich twarze kołyszą się w blasku ognia i nagrzanego powietrza — śpiewają tak jak ich przodkowie przed dawnymi laty . . .

W. A. Berger ma szczególny dar powracania w czasie i odnajdywania na ścieżkach owego czasu dawnych znajomych. Odnajdywanie takie pogłębia i potęguje ich niezatarte rysy i słowa przesączone przez bliską odległość, dlatego stają przed nami jak nasi właśni znajomi i przynoszą z sobą prześwity, zapachy i przesiane kolory. Znamy je na pewno i konkretnie z własnych doznań, wzbogacają i uzupełniają nasz świat lektur, nasze doznania, łączą nasz kraj z krajami świata . . .

. . . zimna wojna letnia wojna wojna z atomem za i przeciw — wojna nerwów głupia wojna wojna to osioł ludzie ludziom antyludzie dzieci na trotuarach rysują gołębia a później są z nich żołnierze — . . . — dzieci i ich gołębie Picasso i jego gołębica a ludzie w alianckich obozach biorą się za łby . . .

Dlatego ciąg dalszy — na pewno pod nowym tytułem — miałby nastąpić!

WŁADYSŁAW SIKORA



fot. PIOTR WOJOCZEK

WĘDRÓWKI NAZEWNICZE

LIGOTA I PODOBORA (4)

Naprzeciwko Tomanków, po drugiej stronie drogi, był grunt Jana Nowaka, 17-hektarowego rolnika (największego w Ligocie), a w pobliżu rozłożone były gospodarstwa *Jónka* (Jana) Kabota, *Jyndrysa* (Andrzeja) Kabota i *Jyndrysa* Dziadka. Dalej ku północnemu wschodowi miał swe gospodarstwo rolnik Adam Pinkas. Mniejsi rolnicy posiadali gospody. Dawną gospodę Pawła Ostruszki przekształcono po ostatniej wojnie w dom kultury (stary); dziś znajduje się w tym budynku sala kinowa oraz gospoda spółdzielni spożywców ,,Jednota-Jedność". Właścicielem drugiej gospody był Jan Morys. *W gospodzie U Morysa, kierom mo cera od Morysa, Haniczka Sikorowa, je teraz świetlica PZKO. W gospodzie U Morysa odgrywało po piyrwszej wojnie światowej kółko amatorski przedstawiynia. Sala tam była dość mało, a jeszcze scyne było trzeba w nij na kozłach postawić. Dziepro jak Ostruszka przistawił ku swoji gospodzie zol, to tam sie postawiło stałóm scyne. Nejwiyncyj sie o to zasłóżył Fajkosz. Frydziu Fajkosz był piyrszym przewodniczóncym kółka amatorskigo w Ligocie. On robił przi koleji. Gdo był piyrszym reżyserym, to nie wiym, może Jozef Pieter, co pięknie groł na skrzipcach, albo żóna Fajkosza, ale nieskorzi był reżyserym szewiec Jan Czader, co mieszkoł Przi Tabulce wedle Mołdrzikówki. To był feszak chłop, taki wysoki. Ón był szewcym, ale potym dostoł sie za tercyjana do polskij szkoły w Czeskim Cieszynie. Amatorzi growali trudne sztuki — Gwiazda Syberii, Karpaccy Górale . . . , ale jo to nie pamiyntóm, boch była wtedy jeszcze dzieckym. Na prubach musiała być dyscyplina. Jak sie Czader z amatorami wadził, to w końcie se amatorzi po cichu mówili ,,już zaś sie mu kopyta rojóm". Odgrywali: Tomiczkowa Zofia, Alojzy Chlebus, Jan Czader, Kuźnikowa, kierom se wziył Machander, Szeligowa, Morcinek Paweł, Frydziu Fajkosz, Waleria Fajkoszowa, Anna Szonowska, obo Zwierzinowie, ale to już je wszystko pomrzite.*

Na przedstawiyniach też potym wystympowoł miyszany chór. Jak przisziła uczyć do szkółki Gabriela Kożdoniowa — to było może w trzicatym szustym roku — to óna była dyrygyntkóm chóru. Dyrygyntami tego chóru miyszanego byli też potym Janota a Bubik Frydolin.

Z centrum Ligoty prowadzi droga ***kole depa*** (składu narzędzi ochotniczej straży pożarnej) i dalej koło Dziadków w kierunku północnym. Została tu zbudowana obora dla krów, znana pod nowszą nazwą ***krawin*** (czes. *kravín* 'obora'). Mówią też ***Na Statku*** (czes. *státní statky* 'państwowe gospodarstwo rolne'). Na rozległych polach znajdują się tu liczne ***bunkry,*** zbudowane pod koniec lat trzydziestych (przed rokiem 1938). Koło pastwisk można przejść dróżką poprzez kotę 281 do jaru, którym płynie ***Potok.*** Znajduje się tu w brzegu ***Nowokowo Pioskowina.*** *W Nowokowej Pioskowinie zasypało piyrszygo września tysiónc dziewiyńcet sztyrycatego siódmego roku brata Józka Tomanka, Janka Brannego, co mioł dewatnoście roków. Kopali a wozili piosek. Józek odjechoł z furóm piosku, a Janek w pioskowinie zostoł. Jak Józek zaś przijechoł, Janek już był zasuty pioskym.*

Zesuło sie to z wyrchu na niego. Józek go zaroz wykopoł, ale Janek już był mortwy.

Od *Nowokowej Pioskowiny* można przejść ***Ku Krziżu*** i na drogę prowadzącą z Łąk do Czeskiego Cieszyna. W pobliżu *Nowokowej Pioskowiny* jest ***Pinkasowo Łónka.*** *Na Pinkasowej Łónce były wycieczki szkolne. Pochody szły od polskij szkoły w Kocobyndzu aż na Pinkasowóm Łónke. Ty festyny robiła szkoła razym z przedszkołym, kiere było w Ligocie u Fajkosza.*

Kopiec się dzielił na ***Pinkasów Kopiec*** i na południe od niego rozciągający się ***Ostruszków Kopiec.*** Urwiste zbocza *Kopca* i krótkich wąwozów, powstałych w wyniku erozyjnego działania wód okresowych, są porośnięte drzewami i zaroślami. Stąd nazwy ***Pinkasów Chrost, Do Pinkasowego Chrostu, Ostruszków Chrost, W Ostruszkowym Chroście.*** Lasu — w ścisłym znaczeniu tego słowa — w Ligocie nie ma. Z *Pinkasowego Kopca* można zejść dróżką ***Ku Młynce.***

Już przed pierwszą wojną światową, *za austryjackich czasów,* był w Ligocie w domu pod numerem 38 warsztat stolarski Józefa Macury. (Naprzeciwko tego domu rosną dziś dwie **lipy wolności**, a obok nich mały pomnik z roku 1945). Syn Józefa Macury, Emanuel Macura, zginął w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu, a drugi syn, JUDr Józef Macura, mieszkający obecnie w Czeskim Cieszynie na Rozwoju, jest zasłużonym pedagogiem i działaczem społecznym. Przed drugą wojną światową zbudował w Ligocie warsztat stolarski Karol Putniorz, działacz Polskiej Ochotniczej Straży Pożarnej oraz PZKO. Oprócz wspomnianego już szewca Czadera był jeszcze drugi szewc *Biedrawa Jónek, co miyszkoł w drzewiónce u Kabota Jyndrysa. Ta drzewiónka zgorzała po drugij wojnie.*

Z centrum Ligoty można też przejść ku *Młynce* koło sklepu samoobsługowego „Jednoty-Jedność", koło kina i przez *Ostruszków Kopiec.* Na południowy zachód od sklepu „Jedności" teren obniża się trochę i dlatego okolica ta otrzymała nazwę ***Dołki, W Dołkach.*** Nazwą ***Kympa, Na Kympie***, określa się natomiast niewielkie wzniesienie, na którym znajdują się ***Katolicki Kierchów*** i ***Ewangelicki Kierchów.*** Cmentarz nazywano już w polszczyźnie XVI wieku *kierchowem: Pomieszkanie niech będzie dalekie od kierchowów* (Marcin Siennik, zm. w r. 1588). Wyraz *kierchow* jest polską adaptacją niemieckiego *Kirchhof* (pierwotne cmentarze chrześcijańskie były zawsze na dziedzińcu kościelnym).

Południowo-zachodnią część Kopca nazywano dawniej ***W Glinioczu*** (gw. *gliniocz* 'miejsce skąd wybiera się glinę'), a później ***Na Cegielni.*** Cegielnia spaliła się około roku 1927. Omijamy *Gliniocz* i przychodzimy do najbardziej na południe wysuniętej części Ligoty, gdzie w domu nr 31 znajdowała się dawniej gospoda Pawła Śniegonia. *Schodzili sie w nij panowie z Cieszyna, głównie germanofile, na gulaszpartyje, a w karty grali. W placu sie w lecie aj tańcowało na takim małym podiumku.*

Przychodzimy pod **Skałkę.** Niektórzy informatorzy twierdzą, że nazwy ***Skałka, Na Skałce, Pod Skałkóm*** są nazwami nowszymi i dawniej ich nie używano. W użyciu były pono tylko nazwy ***Kopiec, Na Kopcu*** i ***Pod Kopcym.***

W miejscu, gdzie potok *Kiszyniec* wpada do *Olzy*, znajduje się ***Wiyrzbina.*** Ta sama nazwa topograficzna pojawia się jeszcze drugi raz na terenie Ligoty, również nad brzegiem Olzy. Za Wierzbiną („pierwszą") znajduje się na Olzie ***gać,*** z której brano dawniej wodę do *Młynki.* (Staropolski wyraz *gać* 'faszyna, grobla z faszyny, tama, jaz, zastawa'.) *Gać była kiejsi drzewianno. Za Austryje było pod tymi drzewami ogrómnie moc ryb. Czesi potym postawili kole piyńćadwacatego roku gać betónowóm, ale aj ta sie zestarziła, tóż w roku 1952 zaś postawili nowóm betónowóm.* Poniżej gaci znajdowała się od roku 1938 ława, przez którą ligoczanie chodzili do Boguszowic i na odwrót *hawiyrze a werkowi robotnicy* z Boguszowic chodzili przez nią na ***Zastawke.*** (Gw. *zastawka,* czes. *zastávka* 'przystanek kolejowy'; chodzi o dawny przystanek kolejowy Zpupná Lhota, Ligota Alodialna.) *Przez okupacyje ta ława tam jeszcze była, ale po wojnie jóm rozrómbali.*

Długi pas nadbrzeżnego gruntu pomiędzy Olzą i torami kolejowymi nazywa się ***Kamiyniec*** (staropol. *kamieniec* 'grunt kamienisty, pole kamieniste'). Jak już wyżej wspomniano, zarówno *Kamiyniec,* jak i pola *Pod Kopcym* należały dawniej do Boguszowic; ich właścicielami byli również boguszowiczanie. *Za piyrszej republiki sie w Czeskim Cieszynie moc stawiało, tóż potrzebny był szuter. Na*

Kamiyńcu za sztrekóm był szuter, ale cóż, to były boguszowski pola. Tóż ligoczanie zaczyli kupować po kónsku tego pola. Klimsza spod Skałki, gospodzki Morys, Kabot Jyndrys z Mołdrzikówki, Kabot Jyndrys starszy, Ostruszka, Tomanek, Franek z Podobory, ale aj Siuda z Łónk, Pszczółka ze Suchej brali szuter, osiywali piosek a wozili na budowy, na szpitol, na kasarnie do Cieszyna (ma się rozumieć do Czeskiego Cieszyna). *Z tego były dobre dochody.*

W odległości około 200 m poniżej *Zastawki* mieszkali w małym domku za Młynką *Cygóni.* Była to jedna grupa czy rodzina Cyganów; druga mieszkała o 800 m dalej w stronę Podobory. Trzeba przyznać, że domek ten jest usytuowany w dogodnym miejscu. Wysoki brzeg chroni go przed wiatrami, *Chrosty* zapewniają dostatek opału, a ponadto w pobliżu znajduje się ***Studziynka,*** znana z dobrej wody źródlanej. *Tóż ta Studziynka, albo Krynica, je w brzegu za Macuróm. Ludzie mówili też* ***Do Studziynki.*** *Dobro woda je też w źródełku pod Pinkasym, niedaleko* ***Starego Młyna.*** *Kidóń tam downij był, a teraz tam mieszko Kołatek.* Kiedy o studniach mowa, należy też odnotować, że *u Klimsze pod Skałkóm była studnia z żórawiym.* Żóraw tam był aż do lat czterdziestych.

Pod Pinkasowym Kopcym był postawióny nad Młynkóm kole tysiónc dziewiyńcetnego roku młyn. Właścicielym tego młyna był Ostruszka Jerzy, a stawioł go stolorz Bardoń z Łónk. Potym Ostruszka sprzedoł tyn młyn Santariusowi, kiery mioł już jedyn młyn w Podoborze. Po ostatniej wojnie młyn nie był już używany, uległ zniszczeniu i przed kilkoma laty został rozebrany.

W przedłużeniu dróżki prowadzącej z *Pinkasowego Kopca* ku *Młynce* był dawniej przejazd przez tory kolejowe. Przejazd ten nazywano ***Polno Rampa, Na Polnej Rampie.*** (*rampa* 'ruchoma bariera do zamykania i otwierania drogi na przejeździe kolejowym, szlaban kolejowy'). *Po ceście od Polnej Rampy nie było dobrze iść wieczór albo w nocy, bo tam straszyło. Tam żech nigdy po ćmi nie szła rada.*

Za Polnóm Rampóm, jak sie idzie ku Karwinie, je na lewej strónie pole ***W Łyngu,*** *co sie ciónghie aż ku krziżu pod Oboróm. Widzicie, jak tam je ta kukurzica, to był kiejsi* ***Pinkasów Łyng.*** *Zaś na drugij strónie, za sztrekóm, tam sie mówiło* ***Ku Cygónóm,*** *a pole nazywali pole* ***Przi Cygónach,*** *bo tam mieli Cygóni Buriańscy bude. To też jeszcze było na Kamiyńcu. Stary Buriański handlowoł kóniami, a Buriańsko chodziła po chałupach, wróżyła, cosi od ludzi wypytała. Jak kaj była zabijaczka, to dycki pytała ,,dejcie mi też kónsek rzici". I dostowała. Óna o wszystkim wiedziała, co sie w dziedzinie stało. Cygóni dycki polili ogiyń na polu. Drzewo na ogiyń zbiyrali w lesie. Młodzi Buriańscy chodzili do polskij szkoły w Kocobyndzu. Óni sie dobrze uczyli. Nejszykowniejsi z nich, Robert a Władek, growali z nami fusbal.* Z opowiadań informatorów wynika, że rodzina Buriańskich cieszyła się we wsi dobrą opinią. *Jak sie kómu straciły kury, to ludzie mówili: to ukradli insi Cygóni, Buriańscy ni. Jak Robert Buriański wyrosnył, to sie bardzo pieknie oblykoł. Do kina chodził w biołych galatach. Taki z niego był frajer. Za Niymców wszystkich Buriańskich wywiyźli do obozu w Oświyńcimie. Po wojnie wrócił z kóncyntraka jyny Robert Buriański s żónóm. Inszych tam zakatrupili.*

Niedaleko Polnej Rampy była w Olzie głymboczyna. Nazywali my jóm ***Pod Rampóm.*** *Tam my się przed wojnóm kómpali. Ale jyny chłopi. Baby sie tam boły kómpać, bo tam było głymboko. Óny sie kómpowały w Młynce pod starym młynym. Tam było wybetónowane, a woda była cieplutko. Aj dziecka sie tam kómpały. Chłopi sie też chodzowali kómpać do Olzy pod gać. Wtedy tam była czysto woda. Do Młynki sie też chodziło płókać prodło. Prali tam ni jyny ci, co tam blisko nad nióm mieszkali, ale aj ludzie z dziedziny. Zmełtowa tam woziła prodło od Klajbla na tragaczu we wasztroku.*

Kamieniołomu w Ligocie nie ma ani nie było. Był wprawdzie malutki kamieniołom w *Ostruszkowym Kopcu,* ale występował tam tylko łupek. Na skutek braku kamienia wszystkie głazy narzutowe zostały już w przeszłości wyzbierane i użyte do budowy domów.

Cdn.

WŁADYSŁAW MILERSKI

TRYBUNA CZYTELNIKÓW

Pierwszy z przyczynków tej rubryki nawiązuje do najbardziej gorącego wakacyjnego tematu — Polonijnych Igrzysk Sportowych w Krakowie. Nasz stały korespondent Adolf Szurman wraca w nim do pierwszych PIS . . . sprzed 50 lat. Drukujemy również rozważania Jana Zolicha na temat najmłodszych członków PZKO oraz korespondencję Erwina Jonszty o jubileuszu zespołu działającego wśród Polaków w Londynie.

PIERWSZE PIS

Uważnie śledziłem relacje z przebiegu tegorocznych Polonijnych Igrzysk Sportowych w Krakowie i cieszyłem się z sukcesów zawodników, reprezentujących zakątek naszego skupiska polonijnego.

Podniecenie zniewoliło mnie do wspomnień, które zawiodły mnie do czasów sprzed przeszło 50 lat. Wtedy to odbywały się w Warszawie pierwsze „Igrzyska Olimpijskie Polaków z Zagranicy". W tej niezapomnianej imprezie wzięła również udział sportowa młodzież nadolziańskich powiatów, która godnie reprezentowała naszą rodzinę sportową, zyskując zaszczytne miejsca niemal w każdej dyscyplinie.

Ograniczę się do futbolu. Piłkę nożną reprezentował zespół złożony przeważnie z graczy PKS „Polonia" w Karwinie. Toteż działacze tego zasłużonego klubu byli podekscytowani w czasie przygotowań do zaprojektowanego wyjazdu. Problemów było niemało — skład drużyny, załatwianie urlopów, treningi i inne stereotypowe zabiegi, łączące się z wyprawą drużyny na ważniejsze spotkania.

Wreszcie — Warszawa! Stolica prawie przez wszystkich piłkarzy była oglądana po raz pierwszy. Naszych zakwaterowano na Bielanach w arealu CIWF-u (Centralny Instytut Wychowania Fizycznego), co okazało się bardzo pomyślne. Mieszkanie w „akademiku", do własnej dyspozycji boisko, gdzie można było przeprowadzać treningi i ustalać definitywny układ graczy na czekające ich w danym dniu spotkania. W ciągu trzech tygodni niewiele było wolnego czasu. Najwięcej zasługi w powodzeniu naszej jedenastki miał kapitan zespołu Edward Bubik. Jemu należą się podziękowania za sukcesy ekipy piłkarskiej: wszystkie wygrane mecze „olimpijskie", a także mecze przyjacielskie — z warszawską Polonią 2 : 1, z warszawskim klubem żydowskim (Ha-Ka) 3 : 2, a w drodze powrotnej zwycięstwo z reprezentacją Kielc (8 : 1). Był to propagandowy mecz, który spełnił swoje zadania. Obywatele miasta zgotowali naszym przedstawicielom brawurowe przyjęcie. Pochód przy dźwiękach doborowej wojskowej orkiestry główną ulicą, bankiet, zabawa ludowa.

A oto skład, w jakim najczęściej występowali w oficjalnych spotkaniach. W bramce Józef Matejko (i rezerwowy Eugeniusz Koch);



„Polonia" w Warszawie — stoją (od lewej): Witala, Herzog, Kinowski, Kubiczka (sekretarz), Müller (skarbnik), Stonawski, Nowakowski, Staszko; klęczą: Florek, Bubik, Matejko, Marmorstein, Matusik, Koch

w obronie Berti Herzog i Stanisław Kinowski; w pomocy: Jan Matusik, Sylwester Cipa-Nowakowski, Franciszek Florek; w ataku: Henryk Witala, Józef Staszko (z „Siły" Trzyniec), Edward Bubik, Bogusław Stonawski i Leopold Marmorstein. Przeciwnikami powyższego teamu były drużyny z Austrii, Rumunii, Danii, Łotwy, Litwy i Niemiec. W meczu finałowym nasi pokonali rodaków zza Odry 2 : 0.

Nastrój w drużynie był wprost wspaniały, chociaż niektórym zrobiło się żal, że „dresy" o barwach narodowych przydzielono kolegom sportowcom z Niemiec, gdy tymczasem naszym wypadło grać w koszulkach w biało-brunatne pionowe pasy, a barwy te mogły nastrajać ponuro.

Wszystkie animozje poszły w kąt, gdy biało-brunatni wbiegli na zieloną murawkę stadionu Legii, gdzie odbywała się większość meczy i finał. Warszawscy miłośnicy piłki nożnej od razu darzyli naszą drużynę sympatią. Polonia w tych latach była w szczytowej formie. Grała spokojnie, rozważnie, dostojnie, i udało się jej nie tylko uzyskać tytuł mistrzowski, ale też przedstawiła się warszawskiemu światu piłkarskiemu jako zespół, który swą taktyczną grą, fair play, przykładem zachowaniem sportowym uczynił widowisko, że aż miło było patrzeć.

Wiadomości o sukcesach dochodziły do Karwiny regularnie i wywoływały powszechny szał radości wśród rzeszy kibiców. Zaś w dzień powrotu karwiński dworzec był świadkiem manifestacyjnego powitania. Teren dworca i spory plac przed dworcem pełen był ścisku i gwaru, które przygłuszały koncertowanie dętej orkiestry. Do kibiców, którzy dysponowali wolnym czasem (byli to przeważnie bezrobotni) dołączali się przygodni pasażerowie zwabieni muzyką, co było czymś niezwykłym w godzinach dopołudniowych. Skoro tylko nadjechał pociąg, przy dźwiękach stosownej melodii delegacja sympatyków klubowych witała graczy wychodzących z wagonów. Kapitana udekorowano

olbrzymim wieńcem laurowym z białoczerwonymi szarfami i napisem „Zwycięskiej drużynie — wierni sympatycy". Orkiestra rżnęła od ucha, okna pociągu i sąsiednich domów pełne były ciekawskich. Akcja zakończyła się na skromnym stadionie.

Należy przypomnieć, że inicjatorem i aranżerem powitania był najwierniejszy chyba sympatyk Polonii ob. Piotr Bura, który nie tylko inspirował i zaprogramował te uroczystości, ale z własnej kieszeni pokrył wydatki na orkiestrę i żywy wieniec z wawrzynów.

Jeszcze długo rozprawiało się w Karwinie o warszawskich meczach i wspaniałym powitaniu pupilów. Takie były przejawy życia współczesnej braci sportowej w konglomeracie zagłębia karwińskiego.

Sportowi cześć!

ADOLF SZURMAN
były wiceprezes PKS „Polonia"
w Karwinie
CZESKI CIESZYN

JAKA JEST MŁODZIEŻ?

Tegorocznych absolwentów klas ósmych wstępujących w szeregi członków PZKO było sporo. Po wakacjach rozjadą się do szkół różnych typów i jedynym kontaktem z macierzystymi organizacjami pozostaje im legitymacja PZKO. A to za mało. Tacy 15-, 16-letni członkowie nie pojmują jeszcze sensu życia i do wszystkiego muszą się przyzwyczajać. Tylko nieliczni spośród nich uczestniczą w życiu społecznym i uczęszczają do chórów lub do Klubu Młodych. Stałym kontaktem takiego nowo wstępującego członka może być jedynie miesięcznik „Zwrot", który właśnie informuje o wszystkim, co się dzieje w terenie, i na swych łamach dyskutuje ustawicznie z poglądami młodych. Tylko nieliczni z wstępujących w szeregi PZKO są czytelnikami „Zwrotu". Dlatego cenię sobie życzliwość tych wszystkich organizacji PZKO, od Bogumina po Mosty i Gnojnik, które na początek każdemu z absolwentów podstawówki zaabonują ze środków PZKO miesięcznik „Zwrot". Jestem rejonowym dużego Koła PZKO w Karwinie-Frysztacie i obserwuję naszą młodzież, która, a to zarówno chłopcy, jak i dziewczyny, nie ma jeszcze ugruntowanych poglądów i przeżywa duże trudności w życiu, pozostając bardzo często w izolacji z PZKO. Podoba mi się cytat Tadeusza Wantuły w sierpniowym „Zwrocie", który w wywiadzie „Krok naprzód" powiedział, że świat poszedł naprzód — natomiast my zostaliśmy stać w miejscu. To dotyczy techniki „wideo" i innych najnowocześniejszych rozrywek dla naszej młodzieży, a sekcja młodzieżowa przy ZG PZKO stoi dalej w miejscu.

JAN ZOLICH
Karwina-Frysztat

JUBILEUSZ ZESPOŁU „TATRY" W LONDYNIE

W Kalendarzu Śląskim na rok 1987 w artykule Oswalda Guziura pt. „Stragan w Wiedniu" jest m. in. opisana praca konspiracyjna Ewy Mrózek z Wędryni. Jest ona absolwentką Państwowej Szkoły Handlowej w Cieszynie. W roku 1948 wyszła za mąż za Adolfa Pilcha, bohatera armii polskiej na Zachodzie. Obecnie mieszka w Londynie. Kiedy z okazji 70-lecia wyżej wymienionej szkoły opracowywałem życiorysy niektórych jej wychowanków, otrzymałem od pani Ewy Pilch programową broszurkę wydaną z okazji uroczystości 25-lecia istnienia w Londynie przy Polskim Ośrodku Społeczno-Kulturalnym Zespołu Pieśni i Tańca pod znamienną nazwą „Tatry". Uroczystości jubileuszowe odbyły się 21 czerwca 1987 w Londynie.

Z broszurki dowiadujemy się, że Zespół Pieśni i Tańca „Tatry" powstał w 1962 roku, założony przez Barbarę Sławińską-Bojanowską, byłą uczennicę a potem współpracowniczkę sławnego polskiego baletmistrza Jana Cieplińskiego. Pod jej kierownictwem zespół rozwinął się, licząc około trzydzieści tancerek i tancerzy. Celem zespołu jest krzewienie kultury polskiej przez dbanie o czystość i autentyczność tańców, pieśni i strojów ludowych.

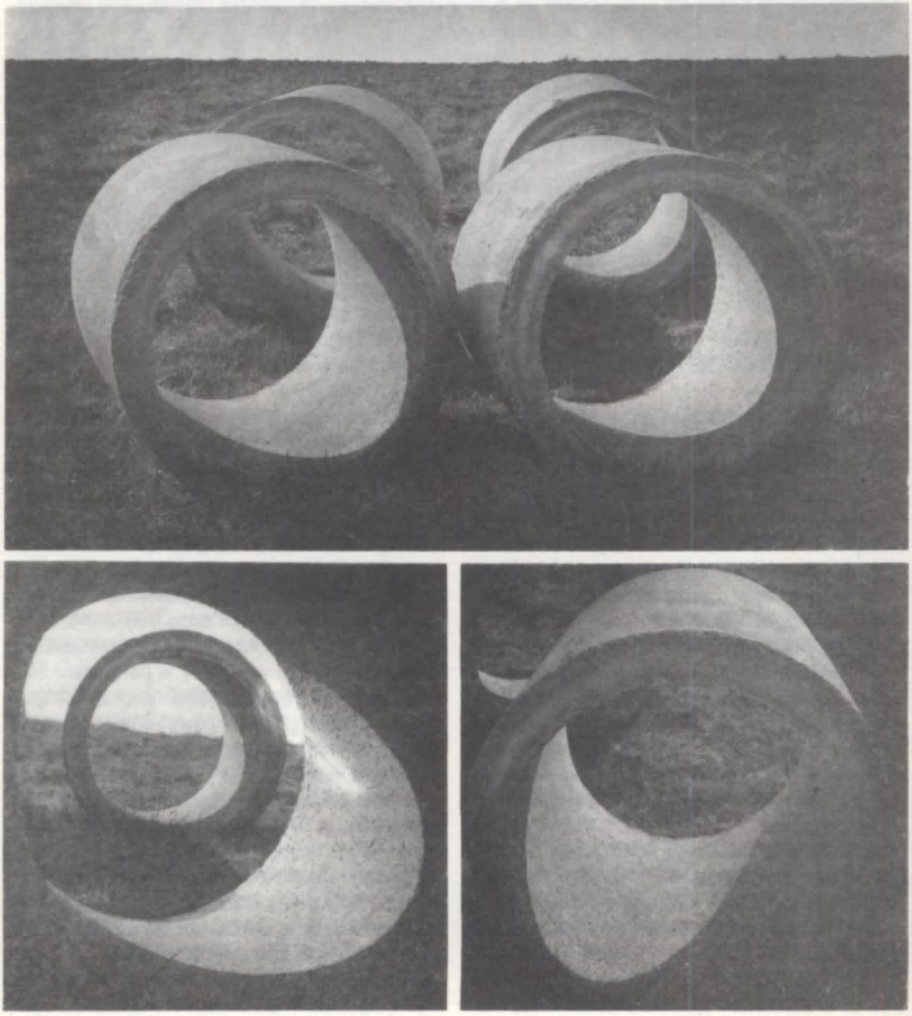
Bogaty repertuar zespołu składa się z ponad trzydziestu tańców ludowych i regionalnych, łącznie z polonezem z opery „Euge-

niusz Oniegin", mazurem z opery „Straszny dwór" i mazurem i czardaszem z baletu „Coppelia".

Zespół bierze udział w licznych występach wśród Anglików i Polaków w Londynie i na prowincji, rozpowszechniając kulturę polską przez taniec i śpiew ludowy, często też występuje na koncertach dobroczynnych. Kończąc dwudziestopięciolecie zespołu pani Barbara przekazała kierownictwo młodszej koleżance Renacie Urbaniak.

Tyle mówi broszura na temat zespołu „Tatry". Pocieszającym jest to, że w zespole od kilku lat tańczy córka naszej bohaterki, Ewy Mrózek — Hania Pilch, która urodziła się już w Anglii. Zespołowi Pieśni i Tańca „Tatry" w dalszych latach życzymy wielu sukcesów.

ERWIN JONSZTA
Hawierzów-Szumbark



fot. IVANA SZOP

TO I OWO

„Notatnik kulturalny" 191. nr. „Trybuny Opolskiej" pn. „Rozmowy w Czechosłowacji" przynosi informację o spotkaniu opolskich artystów plastyków oraz przedstawicieli Opolskiego Towarzystwa Kulturalno-Oświatowego z twórcami SLA i władzami naszego Związku w Czeskim Cieszynie. Delegacje z Opola gościła również na Gorolskim Święcie.

Katowicki „Dziennik Zachodni" (nr 183/87) publikuje artykuł swojego specjalnego wysłannika Marka Skoczy pn. „Do zobaczenia na XXV TKB". gdzie czytamy m. in.: W wielobarwnym i rozśpiewanym dożynkowym pochodzie uczestniczyli również wiślańscy goście — jeden z najpopularniejszych zaolziańskich zespołów — „Gorol" na czele ze słynnym Jurą — Władysławem Niedobą, tegorocznym laureatem naszej „dziennikowej" nagrody Trzech Powstańczych Skrzydeł.

„Głos Ziemi Cieszyńskiej" (nr 31/87) pn. „Profesjonaliści i amatorzy" zamieszcza artykuł na temat XII Festiwalu Piosenki Czeskiej i Słowackiej w Ustroniu. O udziale piosenkarzy czeskiej i polskiej estrady autor pisze m. in.: Z kolei z bloku artystów okręgu północnomorawskiego można było stosownie wyeksponować postać Leszka Wronki (nie Wronskiego), który nie jest profesjonalnym muzykiem, lecz ... wziętym aktorem czeskocieszyńskiej Sceny Polskiej, chwilowo zdecydowanym na podbicie ze swoim zespołem świata muzycznego. (...) *Pod jednym ze zdjęć sympatyczny podpis:* Ustrońskiej publiczności wyjątkowo przypadli do gustu także laureaci I nagrody na tegorocznym Festiwalu Piosenki Polskiej w Karwinie na Zaolziu: Halina Przybyła i Libor Baselides.

„Polonijne łgrzyska dobiegają końca" donosi 174. nr „Dziennika Zachodniego" z 30. 7. : Zakończyły się konkurencje lekkoatletyczne — *czytamy w notatce* — w których prym wiedli zawodnicy z Czeskiego Cieszyna. Zapytany przez dziennikarza agencyjnego zwycięzca sprintu i skoku w dal 20-letni Marek Kufa, czy jest zadowolony, powiedział: „Oczywiście, lecz uważam, że mogłem pobiec szybciej. Uzyskałem na 100 m — 11.83, a mój rekord wynosi 11.3. Podobnie jest ze skokiem w dal — legitymuję się wynikiem 7,09, a skoczyłem na odległość zaledwie 6,70. Nie są to moje pierwsze igrzyska, byłem już na dwóch poprzednich. Przyjechałem do Krakowa z ojcem i bratem, którzy też startują. Zaraz po krakowskiej imprezie, w ramach wymiany między organizacjami studenckimi Polski i CSRS, jadę nad morze. Oby tylko było ciepło i słonecznie." *Zaraz robi się cieplej, kiedy czytamy te słowa, a Markowi życzymy słońca nie tylko tego lata!*

W „Dzienniku Bałtyckim" (nr 192. z 20. 8. 1987) wywiad z naczelnym „Zwrotu" Piotrem Przeczkiem pn. „U nas na Zaolziu", skąd cytujemy: (...) Szczycimy się tym, że właśnie wśród naszych przodków powstawały pierwsze na tych terenach zespoły teatralne, chóry. Polacy pierwsi zaczęli tu również wydawać własne gazety. Dotyczy to oczywiście okresu sprzed ponad stu lat (...)

Ciąg dalszy „Wypadu na Zaolzie" Marka Jodłowskiego w „Trybunie Opolskiej". Chociaż warto przeczytać całość, my drukujemy choć najciekawsze fragmenty. I tak w odcinku trzecim („TO" nr 171/87) pn. „Kawa stawia nas na nogi" m. in. wspomnienie o Januszu Gaudynie: Ba, kto nie znał Gaudyna! Przypominam sobie jego uśmiechniętą twarz, wysoką sylwetkę tryskającą energię. Wiem, to określenie jest banalne, ale gdy się je przykłada do postaci trzynieckiego doktora,

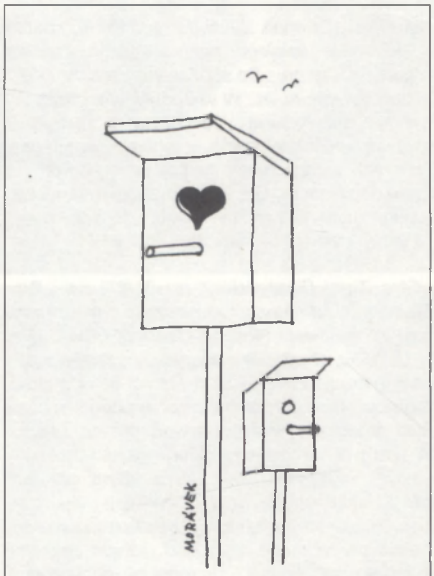
ulatnia się z niego banał. Wydawało się bowiem, że Gaudyn to sprężona energia. Czym się nie zajmował. Był rejonowym lekarzem w Trzycieżu i Trzyńcu (...) kilka lat przewodził literatom zrzeszonym w Sekcji Literacko-Artystycznej PZKO. Sam pisał — i to jakby od niechcenia. Tak zwłaszcza powstawały jego fraszki. (...)

Odcinek czwarty („TO" nr 177/87) zatytułowany „Dalej jechać nie można" zawiera m. in. rozważania autora na temat literatury za Olzą: Literatura zaolziańska spełniła już swoje oświatowe i budzicielskie zadanie. Teraz — w najwyższych swoich przejawach — winna stać się sztuką. Dlatego — dość miar środowiskowych. Czy może zadowalać to, że powstają utwory „drukowalne"? Czyż ziemia między Ostrawą a Jabłonkowem nie jest równie obfita w tragedie, w cudowne historie, w światło i ciemność życia, jak Kolumbia Marqueza, jak południe Stanów Zjednoczonych, którego dzieje zamknął w niepowtarzalnych zdaniach William Faulkner? Owszem — są udane książki, jest — wydany w 1985 roku — almanach młodych zatytułowany „Spotkanie". Teraz Toruńskie Towarzystwo Kultury — bo Zaolziacy dają się lubić — wydało „Zaproszenie do źródła. Wiersze 26 poetów zza Olzy". Ale niech to będzie punkt wyjścia. Chwila zero w drodze (...)

W odcinku piątym („TO" nr 183/87) pt. „W Gutach kościół zjedli" czytamy m. in.: Gwara. Jakież namiętności budzi tutaj jeszcze troska o jej czystość! (...) Gwara zadecydowała bowiem o narodowym przetrwaniu Cieszyniaków, a dziś jej znajomość stanowi powód do dumy. Nawet inteligencja humanistyczna — pisarze, nauczyciele — mówią tutaj trzema językami: literacką polszczyzną, czeskim i „domowym". Z tym, że barwę życia codziennego najlepiej oddaje ten ostatni. Najwięcej w nim kolorów i ciepła. Toteż w niezobowiązujących rozmowach daje się słyszeć głównie gwarę. Jeżeli pisarze cieszyńscy mają wnieść do literackiej polszczyzny koloryt swoich stron (a powinni!) to nie obejdzie się to przecież bez regionalizmów. Czyż inaczej postępował Mickiewicz! (...)

Piszą o nas również w popularnej „Panoramie" (nr 35 z 30. 8. 87), gdzie przeczytaliśmy w artykule M. Kolobrzeskiego pt. „Święto Gór" (o XXIV Tygodniu Kultury Beskidzkiej): W beskidzkim muzeum udostępnili swoje prace zwiedzającym członkowie Sekcji Folklorystycznej Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego z Czechosłowacji. Grupa ta działa od 1965 roku dokumentując swoimi pracami sztukę ludową ziemi cieszyńskiej.

Donośnie o nas również w „Przekroju" (nr 2203/87). Dla czytelników tego znakomitego pisma „Pocztówkę z Zaolzia" pt. Festyn na cztery fajerki (góralskie)! przesyła Jan Kalkowski, pisząc rzetelnie i z prawdziwym podziwem dla działalności PZKO-wskiej na Gorolskim Święcie i nie tylko zaraz na 3. stronicy tego pisma: Od 40 lat (jubileusz w tym roku) działa na Zaolziu w Czechosłowacji Polski Związek Kulturalno-Oświatowy (PZKO), który ma swoje koła od Bogumina na północnym zachodzie po Jabłonków i Mosty na południowym wschodzie. (...) Zespoły się zmieniają, inne stroje, tańce i pieśni, ale na estradzie przez cały czas (kilka godzin!) Władysław Niedoba, czyli Jura spod Grónia, bo taki ma pseudonim gawędziarz. Aranżuje cały czas zabawę, sypie dowcipami, śpiewa (głos jak dzwon), zapowiada. Ależ ma ten człowiek kondycję! Wprawdzie powiedział, że to już ostatni raz, i występował z Władysławem Młynkiem, który będzie następcą, ale kto go wie ... *Jest i zdjęcie pana Władysława na legendarnym siwku!*



rys. ALEŠ MORÁVEK

KRONIKA

ZG PZKO

■ W XII Festiwalu Piosenki Czeskiej i Słowackiej w amfiteatrze w Ustroniu 23—25. 7. zaprezentowała się trzynastka finalistów — amatorów z całej Polski. W rywalizacji o Laur Festiwalowy — Kryształową Lirę zwyciężył Roman Morkis ze Świętochłowic. Finalistom towarzyszyła orkiestra pod baturą Zbigniewa Górnego. W koncertach festiwalowych wzięli udział także laureaci XIX Festiwalu Piosenki Polskiej w Karwinie: Basia Mrózek, Dana Bichlerowa oraz Halina Przybyła w duecie z Liborem Baselidesem.

■ 1. 8. z okazji 43. rocznicy Tragedii Żywockiej odbył się Marsz Pokoju spod pomnika W. I. Lenina w Hawierzowie do Żywocic oraz Manifestacja Pokojowa pod pomnikiem ofiar tragedii. U stóp „Żywocickiej Matki" złożono kwiaty. Uczestnicy zwiedzili także żywocickie Muzeum Walki z Faszyzmem. Obejrzeli premierę programu audiowizualnego pt. „Żywocice '87", którego autorem i reżyserem jest Paweł Hobl, a autorem zdjęć — zasłużony artysta prof. Jan Kališ.

■ ZPiT „Olza" ZG PZKO w I półroczu 1987 występił 22 razy: dał 4 pełne koncerty nowego programu pt. „Kwiaty Polskie", 14 występów balowych i 4 występy z częściowym programem. Kapela „Olzy" pod kierownictwem H. Chmiela samodzielnie występowała na ośmiu balach.

■ 29. 7. trzeci turnus obozu pionierskiego w bazie PZKO w Gutach odwiedzili goście: delegacja frydecko-misteckich organów partyjnych i młodzieżowych w osobach I sekretarza KP KPCz tow. L. Ručki oraz przewodniczącego KP SZM P. Balwina. W tym samym dniu obóz w Gutach zwizytowali konsul Konsulatu Generalnego PRL w Ostrawie St. Brzeziński wraz z I sekretarzem ZG PZKO Wł. Orszulikiem. Na III turnusie obozów OP SZM w Gutach wypoczywało ponad 50 pionierów z IV Szczepu OP SZM im. Żwirki i Wigury przy PSP w Błędowicach i Suchej Górnej oraz dwudziestka dzieci pracowników Fabryk Samochodów Małolitrażowych z Bielska-Białej.

■ Od 25. 7. do 2. 8. w Domu PZKO w Milikowie-Centrum odbył się Internatowy Kurs Wodzireja zorganizowany przez ZG PZKO — Sekcję Młodzieży Związkowej. W kursie udział wzięło 23 młodych osób z 12 Kół PZKO. Wykładowcami byli studenci Filii Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie: Grzegorz Stańczyk, Ireneusz Chemicz i Bogusław Wojnar oraz inż. Jerzy Möhwald, Włodzimierz Smugała, kierownik kursu, oraz Antoni Lacek, kierownik organizacyjny kursu. Tematyka zajęć kursowych: sprawy organizacyjne PZKO, Statut Związkowy, propagacja akcji, prowadzenie kroniki, organizacja gier i zabaw świetlicowych i klubowych, gier sportowych oraz podstawowe zasady aktorstwa i reżyserii.

■ 8 i 9. 8. odbył się Letni Rajd Turystyczny „Kozubowa '87. Jego organizatorem była Sekcja Młodzieży Związkowej ZG PZKO, a pomagali jej absolwenci Internatowego Kursu Wodzireja '87. W rajdzie udział wzięło ponad 40 młodych pezetkaowców z 10 Kół. W programie były gry i zabawy, konkursy, szukanie skarbu Ondraszka, bieg sztafetowy klubów. Startowało osiem 3-osobowych drużyn w konkurencjach: gry festynowe, sztafeta klubowa, program przy ognisku. Zwyciężyła drużyna Sekcji Młodzieży Związkowej ZG w składzie: Włodzimierz Smugała, Wanda Jursa i Władysław Łysek.

■ 17. 8. w sali Teatru Cieszyńskiego odbył się koncert Zespołu Estradowego Wojsk Lotniczych „Eskadra" z Poznania, który koncertował także na tegorocznym Gorolskim Święcie. Organizatorem był Konsulat Generalny PRL w Ostrawie przy współpracy MK PZKO Jabłonków. Widzami byli pracownicy polskich załóg pracujący na naszym terenie.

■ Od 2 do 7. 8. w schronisku na Jaworowym przebiegł Internatowy Kurs Taneczny zorganizowany przez ZG PZKO — Sekcję Ruchu Tanecznego.

Uczestniczyło w nim 34 młodych pezetkaowców z 11 Kół. Zajęcia prowadzili: H. Cienciałowa, O. Jaworek, T. Bar, J. Tomicowa, P. Śniegoń oraz A. Grzegorz. Tematyką zajęć i wykładów były: zaprawa taneczna, podstawy tańca klasycznego, tańce latyno-amerykańskie, tańce polskie i rosyjskie oraz podstawy stepowania. Kierowniczką kursu była Agata Grzegorz, pracownik WKO w ZG PZKO, a akompaniatorem przez cały kurs była Wanda Bar — Stonawska.

■ Klub Twórców Ludowych działający przy Sekcji Folklorystycznej ZG PZKO zorganizował 15 i 16. 8. w Domu Działkowca w Jabłonkowie wystawę swoich prac. Wystawa była imprezą towarzyszącą Gorolskiego Święta.

■ W czasie 24. Tygodnia Kultury Beskidzkiej w Wiśle od 2 do 9. 8. imprezą towarzyszącą była wystawa plastyków SLA przy ZG PZKO pt. ,,Beskidy". Wystawiali na niej plastycy SLA: J. Grong, B. Firla, E. Kaim, R. Kobiela, St. Kraus, O. Pawlas, K. Piegza, J. Rusnok, H. Szkopek, J. Szotkowska, W. Taszek i T. Wratny.
W tym samym czasie czynna była wystawa rzeźb, płaskorzeźb i rysunków na szkle Klubu Twórców Ludowych przy Sekcji Folklorystycznej ZG PZKO.

■ W plenerze w Paczkowie dla plastyków nieprofesjonalnych od 1 do 15. 7. z ramienia SLA przy ZG uczestniczyli Stanisław Waszek, kandydat SLA, Wiesław Adam Berger i Helga Bergerowa, natomiast w plenerze fotografików, który się odbył w Paczkowie od 16 do 31. 7. Tadeusz Kotas, kandydat SLA, i Radek Krygiel, członek SLA.

■ Od 1 do 21. 7. w Nysie odbył się międzynarodowy plener plastyczny, w którym udział wzięła Halina Szkopek, członek SLA.

■ W plenerze malarskim zorganizowanym od 1 do 21. 7. w Kędzierzynie udział wzięli także członkowie SLA B. Firla i J. Drong.

■ I PZKO-wski ,,Bieg pod Górę" o ,,Gliniarny Dzbanek PZKO", którego organizatorami była Sekcja Sportowa i Turystyczna ZG PZKO, odbył się 15. 8. w Koszarzyskach. Dyrektorem zawodów był dr D. Kadłubiec. Obecnych na imprezie było ponad 50 osób, a startowało 20 zawodników w pięciu kategoriach kobiet i mężczyzn. Zwyciężył Petr Tvrznik z Trzyńca przed S. Marszałkiem i J. Kawulokiem. Imprezie patronował Honorowy Komitet złożony z przedstawicieli ZG PZKO i czeskocieszyńskich i trzynieckich przedsiębiorstw i instytutcji. Uczestnicy I ,,Biegu pod Górę" wysłali do Czeskiej Rady Pokoju w Pradze rezolucję pokojową.

■ W lipcu odbył się w Trzyńcu XII Turniej o Puchar Lata i VII mistrzostwa PZKO w mini-futbolu. Startowało 8 drużyn PZKO. Zwyciężyła drużyna PZKO Gródek, wyprzedzając drużyny PZKO Wędrynia i Olbrachcice.

■ Wśród ponad 60 zespołów regionalnych z PRL i kilku z zagranicy w 24. Tygodniu Kultury Beskidzkiej koncertował Zespół Pieśni i Tańca MK PZKO Sucha Górna ,,Suczanie". Zespół wystąpił 7. 8. na estradzie w Szczyrku z 40-minutowym programem. 8. 8. kierownictwo zespołu spotkało się z gospodarzami województwa bielsko-bialskiego a wieczorem tego dnia zespół koncertował na estradzie ambiteatru w Wiśle. 9. 8. ,,Suczanie" zwiedzili Kraków oraz wystąpili na Krakowskim Rynku.

■ 17. 8. w Domu Kultury w Żukowie Dolnym odbyło się uroczyste zagajenie 42. sezonu teatralnego 1987/1988 Teatru Cieszyńskiego. Udział w nim wzięły m. in. delegacje KP KPCz w Karwinie, ORN w Ostrawie, ZG PZKO i okręgowego oddziału Związku Czeskich Artystów Dramatycznych w Ostrawie. Dyrektor TC dr J. Wierzgoń podsumował ubiegły sezon, w którym obu scenom udało się pozyskać większą liczbę widzów.

■ Na zaproszenie Oddziału

PROFESOR JAN KOTAS NIE ŻYJE

Smutna wiadomość obiegła w ostatnich dniach lipca bieżącego roku Czeski Cieszyn i jego okolicę: zmarł śp. prof. Jan Kotas, zacny obywatel miasta, zasłużony działacz PZKO, ulubiony wychowawca młodzieży i dorosłych.
Pochodził z Oldrzychowic, gdzie urodził się w roku 1909 jako syn miejscowego rolnika. Studiował w gimnazjum orłowskim, zaś po wojnie ukończył studia uniwersyteckie w Ołomuńcu. Pracował jako nauczyciel do wojny w Gnojniku, po 1945 r. w Cz. Cieszynie. Pełnił również funkcję kierownika polskich paralelek gimnazjum pedagogicznego w Orłowej, następnie nauczyciela szkoły specjalnej w Cz. Cieszynie, wreszcie pracownika metodycznego w Okręgowym Instytucie Pedagogicznym w Ostrawie. Wszędzie wyróżniał się sumienną pracą, zaskarbiając sobie miłość wychowanków, szacunek ich rodziców oraz pełne uznanie

władz szkolnych. Był świetnym pedagogiem, naszemu szkolnictwu poświęcił wszystką swą wiedzę i zdolności. Stał się wychowawcą przynajmniej połowy współczesnej kadry nauczycielskiej w naszych szkołach podstawowych. Wojna pokrzyżowała wszystkie jego młodzieńcze plany i zamierzenia. Lecz nie załamał się, wrócił z obozu koncentracyjnego do swoich i od razu rzucił się w wir życia społecznego. Bo społecznikiem był od swej wczesnej młodości. Chyba cały nasz teren znał go jako świetnego prelegenta. Uczył rodziców trudnej sztuki wychowania swych dzieci, uczył przywiązania do języka ojczystego i swojskiej kultury, miłości do książki, do czytelnictwa. Rozmiłowany w muzyce należał do najgorliwszych członków naszej rodziny śpiewaczej, szczególnie udzielając się w Chórze Nauczycieli Polskich.

Nade wszystko ukochał naszą młodzież. To dla jej dobra przyczynił się w walnej mierze do wznowienia po wojnie gazetek młodzieżowych. Stanął na czele garstki szlachetnych zapaleńców i dzięki ich staraniom „Jutrzenka" oraz „Ogniwo" ujrzały światło dzienne. Członkowie rad redakcyjnych zbierali się w prywatnym mieszkaniu państwa Kotasów, tam przez długie lata tworzono, omawiano, przygotowywano poszczególne numery i całe roczniki tych gazetek, stamtąd ekspediowano je do szkół. Pracowano samorzutnie, z potrzeby życia i działania. W podobny sposób rozpoczęła się w latach pięćdziesiątych praca nad pierwszymi podręcznikami szkolnymi. I choć wydawanie gazetek i podręczników przejęło Państwowe Wydawnictwo Pedagogiczne w Pradze, mieszkanie państwa Kotasów jeszcze przez wiele lat służyło jako centrum wszelkich poczynań przygotowawczych a kiedy redakcje znalazły własne pomieszczenie, miały już etatowych redaktorów, profesor Kotas stale interesował się i opiekował gazetkami, pilnie udzielał się w redakcji, służył radą i wskazówkami. I na tym posterunku wytrwał do końca swego życia.

Jako redaktor gazetek młodzieżowych utrzymywał kontakt z pracownikami oświatowymi i radaktorami wydawnictw pedagogicznych w PRL. Przez pierwsze powojenne lata był naszym jedynym pośrednikiem i orędownikiem w tamtejszych instytucjach. Tam był powszechnie znany, ceniony i poważany. Pięknym wyrazem uznania było nadanie mu przez młodzież polską jako pierwszemu czechosłowackiemu działaczowi „Orderu uśmiechu". Zmarły był również laureatem najwyższych odznaczeń pezetkaowskich, posiadał także dyplomy uznania władz szkolnych i administracji państwowej.

Śp. prof. Jan Kotas był człowiekiem mądrym, szlachetnym i sumiennym. Cechowała go wielka pogoda ducha i ogromna skromność. Brakować nam będzie w pracy społecznej, w ChNP, w redakcji. Nie spotkamy go więcej śpieszącego na nieodłącznym rowerze do redakcji, drukarni czy na zebranie. Niechże jego imię, zapisane złotymi zgłoskami w historii naszego społeczeństwa, jak najdłużej przetrwa w naszej pamięci.

JM

Doskonalenia Nauczycieli w Opolu 19 i 20. 8. ZG PZKO — Sekcja Zespołów Kobiet zorganizowała ekskursję autokarową dla Kierowniczek Zespołów Kobiet Kół PZKO do Opola i Wrocławia.
W ekskursji uczestniczyło 45 osób. Kierownikiem ekskursji była dr Henryka Żabińska, przewodnicząca Sekcji ZK przy ZG PZKO.

■ Ósme w br. zebranie Prezydium Zarządu Głównego PZKO odbyło się 25. 8. w siedzibie Związku w Cz. Cieszynie. Prezydium oceniło pracę Komisji i Sekcji ZG na podstawie sprawozdań za I półrocze 1987 oraz rozpatrzyło i zatwierdziło do realizacji plan Miesiąca Przyjaźni Czechosłowacko-Radzieckiej '87 w PZKO.

BOGUMIN

■ Klub Seniorów przy MK PZKO w Skrzeczoniu urządził 16. 7. dziesiątą z rzędu wycieczkę krajoznawczą do Żyliny, Priewidzy i Bojnic.

CZESKI CIESZYN

■ Zarząd MK PZKO w Olbrachcicach zorganizował 20. 8. w lokalu PZKO w Domu Robotniczym zebranie członkowskie, na którym podsumowano działalność Koła za I półrocze 1987.

GNOJNIK

■ W ramach współpracy Komitetów PZKO w Gnojniku i Orłowej 11. 7. pezetkaowcy obwodu gnojnickiego z przewodniczącym Komitetu Karolem Filipcem odwiedzili środowisko PZKO w Orłowej: Domy PZKO w Orłowej-Łazach, Porębie, Pietwałdzie, Rychwałdzie, Dąbrowej, Orłowej-Mieście i Orłowej-Lutyni. W spotkaniu uczestniczył także Wł. Orszulik, I sekretarz ZG PZKO, członek rychwałdzkiego Koła.

■ Od 9 do 30. 8. w bazie PZKO w Gutach odbył się IV turnus

obozu pionierskiego. Organizatorem były Komitet Obwodowy PZKO w Gnojniku oraz MK PZKO Guty. W obozie uczestniczyło 13 dzieci z obwodu gnojnickiego oraz 10 dzieci z zaprzyjaźnionego z obwodem gnojnickim Korfantowa w PRL. Komendantem obozu była prof. Marta Wursztowa.

■ Zarząd Koła PZKO w Rzece zorganizował 15. 8. koło świetlicy PZKO Letni Festyn oraz Karnawał Nocny.

■ W ramach przyjacielskich kontaktów pomiędzy działaczami Komitetu Obwodowego PZKO w Gnojniku a Ogniskiem Klubu Emerytów i Rencistów Związku Nauczycielstwa Polskiego, oddziału w Bochni (PRL), w czerwcu przebywali w Bochni uczniowie gnojnickiej PSP. W lipcu wyjechali do Bochni pezetkaowcy obwodu gnojnickiego. Chór obwodowy „Godulan" pod kierownictwem Ireny Krzyżanek oraz zespół taneczny MK PZKO Trzanowice wystąpiły w miejscowej szkole muzycznej.

HAWIERZÓW

■ Zarząd MK PZKO w Suchej Górnej zorganizował 25. 7. czyn społeczny przy budowie pawilonu handlowego obok czeskiej szkoły podstawowej. Pezetkaowcy przepracowali tu ponad 100 godzin brygadniczych.

■ Klub Młodych błędowickiego Koła PZKO urządził 21. 8. w Domu PZKO dyskotekę.

■ Zarząd Koła PZKO w Hawierzowie-Suchej zorganizował 17. 8. wycieczkę pociągiem do Hrczawy.

JABŁONKÓW

■ 4 i 5. 7. odbył się w Rożnowie Festiwal Folklorystyczny, na którym wystąpił zespół regionalny „Górole" MK PZKO Mosty k. Jabł.

LEON SZTUŁA NIE ŻYJE

Na początku tego roku przedstawiliśmy sylwetkę karwińskiego działacza w związku z jego życiowym jubileuszem (Kazimierz Santarius — Leon Sztuła: Wiem coś o tym, „Zwrot 2/87). Teraz powracamy do wspomnienia o nim jeszcze raz w smutnych okolicznościach. Leon Sztuła zmarł pod koniec sierpnia br.

Urodził się 20. 1. 1899 w Darkowie. Ojciec i jego starszy brat pracowali w jednej z karwińskich kopalń. Z uwagi na dobre postępy Leona w szkole podstawowej, mógł kontynuować naukę w szkole wydziałowej. Znajomość języka niemieckiego w monarchii habsburskiej była jednym z warunków wyuczenia się rzemiosła, w wypadku Sztuły w karwińskim browarze hr. Larisha. W roku 1917 osiemnastoletniego Leona powołano pod broń. Na froncie włoskim uczył się alfabetu rewolucjonisty.

Po powrocie do domu kontynuował pracę w karwińskim browarze. Doświadczenia nabyte na froncie owocowały. Z jego inicjatywy delegacja pracowników zakładu domagała się u dyrektora pozwolenia na założenie związku zawodowego. W komitecie przygotowawczym, a później w nowo wybranym zarządzie był Leon Sztuła. Dyrekcja zaakceptowała pierwsze żądania robotników, np. ośmiogodzinny dzień pracy, spożywanie posiłków w przyzakładowej jadłodalni itd. W r. 1920 zadecydowano o wstąpieniu do komunistycznych Czerwonych Związków Zawodowych. W roku 1921 Sztułę dodatkowo powołano do wojska. W roku 1922 uczestniczył w konstytuującym zjeździe Czerwonych Związków Zawodowych w Pradze. W tych związkach pracował aż do zajęcia regionu przez Polskę (2 X 1938).

Należał do założycieli młodzieżowej przybudówki KPCz — „Proletariackiej Fizycznej Kultury". Uczestniczył w konstytuującym zjeździe 55. Powiatu PFK, który odbył się w dniu 27 VI 1926 r. w Karwinie. Pracował w jego Zarządzie Powiatowym oraz kierował sekcjami piłki nożnej i narciarską. Jako aktywny sportowiec uczestniczył w imprezach młodzieżowego związku komunistycznego.

Jego nazwisko zapisało się na trwało w miejscowym ruchu spółdzielczym, zwłaszcza z uwagi na zasługi w wybudowaniu Domu Robotniczego w Darkowie i w trosce o jego rozwój. Był jednym z założycieli Stowarzyszenia Domu Robotniczego, które w stosunkowo krótkim czasie pozyskało ponad 200 członków. Budynek wybudowano w przeciągu 1928 r.

Legitymację członka KPCz otrzymał w r. 1925. Pracował w zarządzie miejscowej organizacji w Darkowie, od r. 1930 w Komitecie Obwodowym KPCz w Karwinie, w r. 1936 został członkiem Komitetu Powiatowego. Był współorganizatorem wielu demonstracji. Sztuła konsekwentnie realizował internacjonalistyczną politykę swej partii, krytykując nacjonalizm władz państwowych, pracodawców czeskich, jak również antypaństwowy kurs utworzonego w marcu 1938 r. Związku Polaków w Czechosłowacji. W roku 1940 pod zarzutem działalności komunistycznej został aresz-

towany i więziony w Raciborzu, Ostrawie i Opawie. Z braku dowodów został zwolniony. Po obławie na komunistów na terenie Karwiny z dużej karwińskiej komórki pozostało przy życiu zaledwie kilku. Tym razem Sztuła nie dostał się do rąk gestapo. Pod koniec 1943 r. na zlecenie konspiracyjnych władz partyjnych rozpoczął organizowanie życia partyjnego na terenie Gnojnika, Toszonowic i Ligotki Kameralnej.

Po wojnie Sztuła pełnił cały szereg odpowiedzialnych funkcji. Był przewodniczącym miejscowej organizacji KPCz w Darkowie, powiatowym instruktorem z ramienia partii, od 1954 r. przewodniczącym organizacji KPCz przy szkole partyjnej w Radwanicach. W 1959 r. stanął na czele organizacji KPCz w Karwinie 2-Kopalnie. Od 1945 r. był posłem do Powiatowej Rady Narodowej w Karwinie. Po założeniu PZKO w 1947 r. został członkiem frysztackiego Zarządu Powiatowego KPCz. Aktywnie pracował w zarządzie Klubu Sportowego Banik 1 Maja w Karwinie. Zasługi Sztuły zostały bardzo wysoko ocenione przez organy partyjne, państwowe oraz związków zawodowych. Przyznano mu: Order 25 lutego 1948, odznaczenie Za zasługi o rozbudowę, medale Klementa Gottwalda i 50. rocznicy założenia KPCz, pamiątkowe medale Powiatowej Rady Narodowej i Powiatowego Komitetu KPCz za rozwój powiatu Karwina, Honorowy Akt Uznania Centralnej Rady Związków Zawodowych, odznaczenia ZBA, ČSTV, PZKO itd.

W historii ruchu komunistycznego w kraju nad Olzą Leon Sztuła zyskał sobie na trwało miejsce obok Karola Śliwki, Fryderyka Krausa, Pawła Kluza i innych wybitnych działaczy komunistycznych. Dzięki takim cechom swojej osobowości, jak niezwykle serdeczny stosunek do innych ludzi, niezłomność charakteru, ofiarność i wszechstronność działania w ramach ruchu komunistycznego zaskał sobie szacunek i uznanie zarówno władz, jak i zwykłych ludzi. Odszedł od nas komunista, zasłużony działacz związków zawodowych, jeden z animatorów powojennej działalności związkowej naszego polskiego społeczeństwa, patriota, człowiek prawy i pryncypialny. Cześć jego pamięci.

WJ

■ 28. 7. w Domu PZKO w Jabłonkowie odbyła się konferencja prasowa poświęcona tegorocznemu Jubileuszowemu Góralskiemu Świętu dedykowanemu 40-leciu założenia PZKO, 70. rocznicy WSRP i 43. rocznicy SPN. Organizatorzy, Koło PZKO w Jabłonkowie, zapoznali dziennikarzy z programem obydwu dni tegorocznego Święta.

■ Zespół Kobiet jabłonkowskiego Koła PZKO zorganizował 12. 7. wycieczkę na Groniczek pod Stożkiem.

KARWINA

■ 16. 8. frysztackie Koło PZKO zorganizowało dla członków wycieczkę autokarową w Beskidy. Zwiedzono Szańce w Mostach k. Jabł. oraz Hrczawę. W drodze powrotnej wycieczkowicze udział wzięli w Święcie Gorolskim.

ORŁOWA

■ Komitet Miejski PZKO w Orłowej zorganizował 18. 8. w orłowskim Kinie Letnim Koncert Zespołu Estradowego Wojsk Lotniczych „Eskadra" z Poznania. Koncert nosił nazwę „Lecimy z uśmiechem". Obecni byli również goście, m. in. Konsul Generalny PRL w Ostrawie E. Warda, I sekretarz ZG PZKO Wł. Orszulik oraz przewodniczący MRN w orłowej M. Słowik.

■ 11. 8. br. odszedł na zawsze z naszych szeregów śp. Alojzy MAROSZCZYK, emerytowany dyrektor polskiej szkoły w Rychwałdzie. W Zmarłym społeczeństwo nasze oraz Polski Związek Kulturalno-Oświatowy tracą wielce zasłużonego i ofiarnego działacza społecznego, długoletniego prezesa Koła PZKO w Rychwałdzie, byłego członka naczelnych organów ZG PZKO, działacza oświatowego, wypróbowanego patriotę i społecznika. Cześć Jego pamięci!

TRZYNIEC

■ Zespół Kobiet przy MK PZKO Trzyniec-Stare Miasto urządził 1. 8. wycieczkę autokarową pn. „Za świeżym powietrzem" w kierunku Nydku.

■ Zespół Kobiet Koła PZKO w Trzyńcu III — Kanadzie w czynie społecznym uporządkował Klub PZKO po malowaniu. Swoje tematyczne spotkanie ZK odbył 10. 8. w Klubie PZKO.

■ Festyn Letni z bogatym programem kulturalnym zorganizowało 8. 8. koło Domu PZKO Koło PZKO w Oldrzychowicach.

■ MK PZKO Trzyniec VII — Kojkowice urządziło 22. 8. w parku koło miejscowego Domu Kultury Festyn Letni z programem kulturalnym.

KLASYFIKACJA MEDALOWA PIS

Oficjalna klasyfikacja medalowa VI Polonijnych Igrzysk Sportowych zorganizowanych w dniach 24—31 lipca br. w Krakowie prawdopodobnie nie została nigdzie opublikowana (była w GL — przypis red.), lecz na podstawie dostępnych komunikatów z zawodów w poszczególnych dyscyplinach sportowych można sporządzić końcową tabelę medalową.

W 14 dyscyplinach sportowych odbyły się łącznie 72 konkurencje, z tym, że do oficjalnej klasyfikacji PIS nie zalicza się indywidualnych i zespołowych wyników z zawodów strzeleckich Bractw Kurkowych Francji i Polski, w których zresztą poza konkursem najlepszy wynik uzyskał reprezentant PZKO Stanisław Śniegoń. Ponadto w sztafetach pływackich 4 × 50 m stylem dowolnym kobiet i mężczyzn oprócz sztafet Klubu Sportowego Korona Kraków, uczestniczących poza konkursem, udział wzięły tylko po dwie sztafety polonijne. Z powyższego wynika, iż łącznie podczas PIS można było zdobyć 208 medali. A oto jak przedstawia się nieoficjalna końcowa tabela medalowa: miejsce, kraj, złoto—srebro—brąz (razem):

1.	CSRS	39 — 32 — 26,5	(97,5)
2.	USA	9 — 11 — 4	(24)
3.	RFN	5 — 2,5 — 7,5	(15)
4.	Francja	5 — 2 — 7,5	(14,5)
5.	Szwecja	2 — 4 — 7,5	(13,5)
6.	Holandia	3 — 3,5 — 3,5	(10)
7.	Anglia	3 — 2 — 3	(8)
8.	Kanada	0,5 — 5,5 — 1	(7)
9.	Berlin Zach.	0 — 3 — 2	(5)
10.	Belgia	1 — 2,5 — 1	(4,5)
11.	Austria	1,5 — 1 — 0	(2,5)
12.	Norwegia	0 — 1 — 1	(2)
13.	Australia	1 — 0 — 0.	(1)
14—16.	Dania	0 — 0 — 1	(1)
	Węgry	0 — 0 — 1	(1)
	Finlandia	0 — 0 — 1	(1)
17.	Włochy	0 — 0 — 0,5	(0,5)
	Razem	70 — 70 — 68	(208)

Na dalszych miejscach, już bez zdobytego medalu, uplasowali się Polonusi z pozostałych trzech krajów uczestniczących w PIS, a to w kolejności: 18. Jugosławia, 19. Peru i 20. Bułgaria.

Z końcowej klasyfikacji medalowej wynika, iż PIS zakończyły się bezapelacyjnie zwycięstwem PZKO w klasyfikacji poszczególnych reprezentacji polonijnych. Reprezentanci PZKO odwieźli z Krakowa łącznie 46,9 % możliwych do zdobycia medali, z tego 55,7 % złotych, 45,7 % srebrnych i 39 % brązowych. Najbardziej uhonorowaną zawodniczką igrzysk została pływaczka Barbara Rutyna ze Stanów Zjednoczonych — pięciokrotna złota medalistka (50 m stylem dowolnym, grzbietowym i klasycznym, 100 m stylem dowolnym oraz w sztafecie 4 × 50 m stylem dowolnym). O jeden złoty krążek mniej, czyli 4 złote medale zdobył reprezentant PZKO w pływaniu Roman Kasztura (50 m stylem dowolnym i klasycznym, 100 m stylem klasycznym oraz sztafeta 4 × 50 m stylem dowolnym). Po trzy złote medale wywalczyli następujący reprezentaci PZKO: Helena Szarzec (badminton, oprócz tego 2 brązowe medale w pływaniu), Irena Wacławek (lekka atletyka, oprócz tego 1 srebrny także w LA), Tomasz Mendrek (badminton), Ernest Gibiec (szachy), Ilona Gryń (tenis stołowy), Marian Jędrysek (pływanie). Po dwa złote medale zdobyli: Stanisław Marszałek, Marek Kufa, Gabriela Böhm (wszyscy LA), Roman Martynek i Dariusz Palowski (pływanie), Alina Štirba (ringo), Zbigniew Nowak (tenis ziemny) i Regina Zagóra (LA, tenis stołowy). Po jednym złotym medalu uzyskało w rozgrywkach indywidualnych lub w grach podwójnych dalszych 9 reprezentantów PZKO oraz drużyny piłki nożnej i szachistów. Należy jeszcze dodać, iż w rozgrywkach siatkówki najwszechstronniejszą zawodniczką została przez jury PIS wybrana reprezentantka PZKO Karin Lipowska, natomiast wśród mężczyzn najlepszym siatkarzem w obronie okazał się jej kolega z reprezentacji PZKO Radek Kończyna.

Analizując poszczególne dyscypliny sportowe należy stwierdzić, iż jako jedyni z reprezentantów PZKO stuprocentowym medalowym zyskiem mogą się poszczycić kolarze (Rudolf Rucki — złoto, Karol Rucki — srebro, Bogdan Tonowski — brąz). Ponadto do dyscyplin z ponad 50 % medalowym dorobkiem z możliwego zysku należy badminton, lekka atletyka, ringo, szachy i tenis stołowy. W sumie reprezentanci PZKO startowali w 12 dyscyplinach i we wszystkich bez wyjątku zdobywali medale. Bez udziału pezetkaowców odbyły się tylko dwie dyscypliny — bilard i kręgle. A może podczas VII PIS, które odbędą się w 1991 roku ponownie w Krakowie, reprezentanci PZKO usuną ten nieznaczny mankament i wystartują we wszystkich organizowanych podczas igrzysk dyscyplinach sportowych?

TADEUSZ GUZIUR
Skrzeczoń



W sobotę 1. 8. w Parku im. Karola Śliwki w Bystrzycy odbył się kolejny Zlot Młodzieży Związkowej. Na program złożyły się tradycyjne imprezy towarzyszące, występy zespołu tanecznego MK PZKO w Bystrzycy oraz gródeckiej BRYGADY. Po pięciu latach na Zlocie ponownie gościł z koncertem reaktywowany zespół PERFECT (PRL)

fot.PIOTR WOJOCZEK



fot. MILAN BOROVIČKA

MOZAIKA

TEMAT DLA EWY

KOBIETA CZTERDZIESTOLETNIA

Na pewno jest wiele prawdy w tym, iż druga młodość zaczyna się po czterdziestce. Przyzwyczaliśmy się jednak odnosić tę prawdę raczej do mężczyzn. Tymczasem powinno to być aktualne także w odniesieniu do kobiet. Wszak czterdziestka to w życiu kobiety zaledwie półmetek, współczesne prognozy demograficzne przepowiadają dzisiejszym kobietom — czterdziestolatkom co najmniej jeszcze 38 lat życia.

Kobieta czterdziestoletnia dotąd pochłonięta była wychowywaniem swoich dzieci, choć i innych obowiązków jej nie brakowało. Teraz, wraz z usamodzielnieniem się potomstwa, odzyskuje nową równowagę. Zaczyna ją pochłaniać praca zawodowa, znajduje radość w adaptowaniu się do nowych warunków życia, które roztacza przed nią te uroki, na które dotąd ze względu na obowiązki macierzyństwa nie starczało jej czasu.

Dzieje się tak dlatego, że dzisiaj młodość ogromnie się wydłużyła, można być niejednokrotnie traktowanym „jako młodzież" do trzydziestego roku życia. Przyczyna tego zjawiska tkwi między innymi w wydłużeniu życia współczesnego człowieka, a co za tym idzie, w innym rozłożeniu poszczególnych etapów życia. Łączy się to zapewne także z tak długim dziś okresem kształcenia, który przesuwa próg zawodowej dojrzałości.

Przedłużona młodość kobiety ma także związek z postępem cywilizacyjnym i kulturowym społeczeństw, co na ogół łączy się, chociaż niekoniecznie. Prawidłowość jest bowiem taka, że im niższy poziom cywilizacyjny i kulturalny tego społeczeństwa, tym krótsza bywa w nim młodość, zwłaszcza kobiety. Tak więc w niektórych plemionach afrykańskich do dzisiaj dziewczyna osiemnastoletnia uważana jest już za nieco przejrzałą.

Jak zatem mienić kobietę, która — jak to elegancko określają Anglicy — znalazła się po niewłaściwej stronie czterdziestki?

Na przykład we Francji kobieta, osiągnąwszy tytułową liczbę lat, wcale nie uważa, iż życie, zwłaszcza życie intymne, ma już poza sobą. Niektóre Francuzki uważają, iż są to ich najlepsze lata, gdyż dopiero teraz osiągnęły psychiczną równowagę, w pełni opanowały sztukę podobania się i godne są prawdziwego zainteresowania mężczyzn.

Jak więc wynika z powyższego, wzorem Francuzek kobieta po czterdziestce nie musi rezygnować z radości życia, lecz może i powinna żyć pełnią życia, cieszyć się wszystkimi jego urokami, bo zna się lepiej — mając te dziesiątki lat — wagę każdej chwili. Cieszyć się także właśnie miłością, która — jak z tego widać — nie kończy się wraz z metrykalną młodością. Nie ma bariery wieku w sprawach miłości — mówi jeden z wybitnych znawców kobiet. — Jeżeli jakaś kobieta czuje, że może być

pożądana, tak na pewno jest. Natomiast kobieta, która wmówi sobie, iż jest już zbyt późno na cokolwiek i kapituluje, sama czyni się niegodną pożądania.

Należy życzyć sobie, by nasi mężczyźni, wzorem Francuzów, nigdy nie dali nam odczuć, że mamy czego żałować, przekraczając magiczną granicę czterdziestu lat, i by kochali nas za to, a nie pomimo tego.

KRZYŻÓWKA

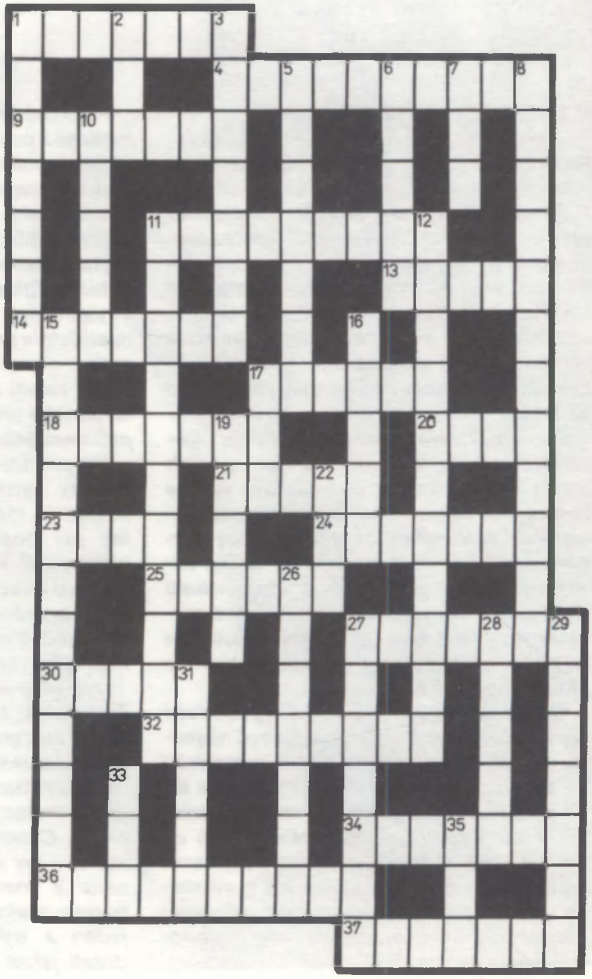
Znaczenie wyrazów:

POZIOMO:

1 Mistrz Igiełka
4 Pers, wprowadził naukę o cięgłej walce między siłami światła i ciemności, dobra i zła
9 konszachty króla z wieżą
11 przeciwieństwo budowania domu
13 „+"
14 odbłędzanie
17 prawdomówność, uczciwość + umiejętność gotowania barszczu
18 klej Mistrza Cegiełki
20 ptasi wyjątek (względem latania)
21 jeden z kidnaperów sienkiewiczowskich
23 z rodziny kotlecików mielonych
24 alkohol-oślepiacz
25 ostre zwieńczenie wieży
27 każda swój ogonek chwali
30 waga zawartości
32 Mistrz Le Corbusier
34 skutecznie cuci omdlałych z wrażenia
36 zajmuje się udzielaniem fachowych i praktycznych wskazówek
37 leczy bez dyplomu

PIONOWO:

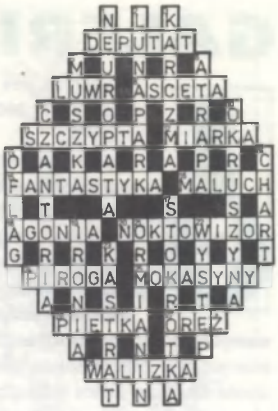
1 ptasia stołówka



2 Jaguar furmana
3 makabryczny rekwizyt Hamleta
5 buddyzm
6 miasto portowe na środkowym wybrzeżu Polski
7 wuj z chatą
8 największy port Morza Białego
10 garnkowy kolega pietruszki
11 osiągnął najlepszy wynik
12 tam kupisz (teoretycznie) pierwsze wydanie „Trylogii"
15 w pończosze na buty z krokodylej skóry
16 Hermann (1877—1962), autor „Wilka stepowego"
17 końskie pośladki
19 luksusowy (?) dom mieszkalny
22 Sumac
26 bezżenność
27 Mistrz Mączka
28 wyrzynają się niemowlęciu
29 autobus turystyczny
31 Podwiązki
33 wąchadło
35 ∅

oprac. (m)

Wśród autorów prawidłowych rozwiązań nadesłanych na adres redakcji najpóźniej do 31 października rozlosowane zostaną trzy nagrody książkowe.



Obok prawidłowe rozwiązanie krzyżówki z numeru sierpniowego. Nagrody wylosowali: Maria Běhan — Karwina-Granice, Albin Reli — Hawierzów-Sucha Górna, René Wojnar — Oldrzychowice.



fot. EDMUND KIJONKA

GALERIA SLA



WŁADYSŁAW CEJNAR: projekt scenografii do sztuki M. Kočana „Gorący ziemniak", technika mieszana 1987 (4. str. okładki)

Projekt scenografii należałoby rozpatrywać w różnych aspektach. Prócz urody plastycznej, projekt powinien odznaczać się przede wszystkim funkcjonalnością. To zaś oznacza, że scenografia powinna współgrać z treścią sztuki, nie powinna jej jednak zdominować. Projekt scenografii Władysława Cejnara do sztuki „Gorący ziemniak" natychmiast i bez cienia wątpliwości lokuje miejsce akcji dramatu. Cała dekoracja jest zbudowana z elementów charakterystycznych dla ludowego budownictwa drewnianego, ale zastosowanych dość swobodnie, bez naturalistycznej dosłowności. Główna, środkowa część scenografii przedstawia wnętrze chaty, ale otwarte właściwie na wszystkie strony. Naokoło chałupy autor wkomponował w przestrzeń sceny inne plany dookreślające dokładniej miejsce akcji — plac przed chatą, po bokach i w tle okoliczne pola, zaznaczone symbolicznie pojedynczymi drzewkami i płotami. Pojedyncze belki, z jakich skonstruowana jest góralska izba, sugestywnie wyznaczają przestrzeń wnętrza, a jednocześnie nie ograniczają go w sposób rygorystyczny. Na przykład wysokość izby wyznacza pojedyncza belka stropowa, nadając wnętrzu odpowiedni wymiar i proporcje, ale równocześnie nie zamyka przestrzeni od góry definitywnie. Scenografia Cejnara precyzuje od razu nie tylko miejsce akcji, ale zapowiada także rodzaj dramatu, jaki tu się odegra. Samo wnętrze chaty wraz z okolicą „wsi spokojnej" wskazywałoby na rodzajowy obrazek, ale pojawiają się tu także niepokojące elementy, jak drewniane dyby umieszczone na wysokich słupach i górująca nad całością, ustawiona na dalszym planie sygnaturka. Te wyraźne wertykalne akcenty dodają kompozycji dynamizmu, nie mówiąc już o tym, że sam ich charakter musi elektryzować widza i niepokoić. Taka koncepcja sceny — otwartej i wielofunkcyjnej, sugestywnej, lecz nie dosłownej — powinna zadowolić zarówno zwolenników teatru tradycyjnego, jak i tych gustujących w formach bardziej awangardowych.

A. M. R.

ZIELNIK

JAŁOWIEC POSPOLITY

Nazwa łacińska — Juniperus communis L. (Znaczenie słowa *juniperus* wywodzi się z łacińskiego *junior* — młody i *pario* — zjawiają się, chyba dlatego, ponieważ młode zielone owoce pojawiają się na krzaku, na którym znajdują się jeszcze stare, czarne płody. Słowo łacińskie *communis* — pospolity.) Nazwy ludowe: *jałowiec, jodłowiec.*

Jałowiec był znany już w starożytności. Rzymianin Katon wychwalał moczopędne działanie jałowcowego wina. Herbaria XVI i XVII wieku dużo miejsca poświęcały właśnie jałowcowi i jego leczniczej mocy. Wtedy był wykorzystywany jako znakomity środek ochrony przeciwko „zakażonemu powietrzu" w czasie epidemii czarnej ospy.

W zwyczajach i podaniach ludowych jałowiec służył zazwyczaj do bicia, chłostania i odymiania. Gospodarze palili raz w miesiącu świeże gałązki jałowca w oborach, żeby bydło szybko przybierało na wadze. Gałązka była podobno bardzo dobrą bronią przeciwko złym duchom i czarodziejom.

Jest to krzak osiągający wysokość 1—3 m (specjalne odmiany nawet 10 m). Ma wąs-

kie, bardzo ostre szpilki, które wyrastają po 3 razem i utrzymują się na gałązkach 4 lata. Kwiaty męskie tworzą jakby małe szyszeczki, żeńskie wyrastają pojedynczo i są właściwie niezauważalne, koloru żółtozielonego. Kwitnie w kwietniu i maju. Ma charakterystyczne granatowoczarne owoce, które najpierw są zielone, a dojrzewają dopiero w roku następnym.

Rośnie na glebach jałowych, w lasach, na pastwiskach, głównie w paśmie górskim niemal całej półkuli północnej. W Czechosłowacji jałowiec znajduje się pod ścisłą ochroną — nie wolno łamać gałązek, wykopywać go i w żaden sposób niszczyć. Można zbierać tylko jego owoce.

Zbiór przeprowadzamy zazwyczaj od października do marca. Zbieramy tylko dojrzałe (czarne) owoce. Suszymy je rozpostarte w cienkiej warstwie w miejscu suchym i przewiewnym, często przesypując. Można dosuszać w lekko podwyższonej temperaturze.

Substancje chemiczne zawarte w owocach jałowca są stosowane jako środek moczopędny, zwiększający filtrację nerek i wydzielanie soku żołądkowego i żółci. Olejek z jałowca łagodzi bóle reumatyczne.

Z owoców można przygotować odwar w następujący sposób: łyżeczkę owoców zalać 2,5 dl ciepłej wody, ogrzewać 30 minut pod pokrywką — nie wolno zagotować! Pić po łyżeczce 2—4 razy dziennie po jedzeniu.



Wino przygotujemy zalewając 60 gramów utłuczonych owoców 1 litrem wina, potem zagotujemy. Pozostawiamy 3 dni i następnie zlewamy do butelki. Pijemy rano szklaneczkę wina na czczo. Wino to ma działanie moczopędne.

M. C.

JAK JEST POPRAWNIE

CZYLI O ŁĄCZNIKU

Przypomnijmy tu przynajmniej niektóre, najczęściej spotykane przypadki zastosowania w pisowni łącznika. Otóż łącznik umieszczamy pomiędzy przymiotnikami, kiedy oba przymiotniki mają znaczenie równorzędne, a łącznik można zastąpić spójnikiem i, np. biało-czerwony (biały i czerwony), robotniczo-chłopski (robotniczy i chłopski), matematyczno-przyrodniczy (matematyczny i przyrodniczy) itp. Wyjątek stanowi tu pisownia głuchoniemy i żelazobetonowy.

Łącznik stosujemy również w połączeniach takich przymiotników, jak północny, południowy, wschodni i zachodni, ponieważ oba człony są równorzędne i wyznaczają wspólnie strony świata pośrednie pomiędzy tymi kierunkami, np. północno-zachodni, południowo-wschodni itp.

Wyrazy złożone, których człon pierwszy jest liczbą, piszemy z łącznikiem, np. 5-lecie, 1000-lecie, 4-godzinny, 1-dniowy, 1-majowy, 20-koronowy, 15-minutowy. Błędem natomiast jest pisanie: 5-cio lecie, 4-ro godzinny, 1-no dniowy, 1-szo majowy, 20-to koronowy, 15-to minutowy! Zapamiętajmy.

ZWROT
MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO - KULTURALNY
ROK XXXVIII ● NR 455 ● CENA 2,50 Kčs

10/87

[1] Przedostatni etap działalności związkowej
[2] Uchwała zrealizowana *PIOTR PRZECZEK*
[6] I — XIV Zjazd PZKO
[8] Mówią delegaci na XV Zjazd PZKO *MaG, hb*
[12] Nie tylko urzędniczka (Pezetkaowcy inaczej) *OTYLIA TOBOŁA*
[15] Góralszczyzna po raz czterdziesty *RENATA OSTRUSZKA*
[24] Wakacje literackie nauczycieli w Krakowie *WILHELM PRZECZEK*
[28] Międzyzdroje '87 *BRUNON RYGIEL*
[31] Mekka rocka *WIESŁAW PRZECZEK*
[34] Odgłosy Wielkiego Października nad Olzą (2) *WŁADYSŁAW JOSIEK*
[37] Polonistyka w Ołomuńcu *ANNA TRĘBSKA*
[40] Barok i wino (Nadreńska mozaika) *TADEUSZ WRATNY*
[42] Władysław Sikora: Szkice
[48] Gabriel Palowski: Chciałem, * * * (pamiętam . . .), Babie lato, * * * (płynę . . .), * * * (wypuściłem latawca . . .), * * * (kiedy odlecą ptaki . . .)
[50] Olga Hostovská (Tłumacze literatury polskiej) *WILHELM PRZECZEK*

Okiem recenzenta:
[53] Pieśni ludowe miasta Katowic *ALOJZY KOPOCZEK*
[54] O dziecięcej wieczności *WŁADYSŁAW SIKORA*
[58] Ligota i Podobora (Wędrówki nazewnicze) *WŁADYSŁAW MILERSKI*
[61] Trybuna czytelników
[65] To i owo
[67] Kronika

Mozaika:
[75] Temat dla Ewy
[76] Krzyżówka *(m)*
[78] Galeria SLA *A. M. R.*
Zielnik *M. C.*
[79] Jak jest poprawnie
[80] *Spis treści*

1. STRONA OKŁADKI — fot. FRANCISZEK BAŁON

WYDAWCA:
POLSKI ZWIĄZEK KULTURALNO-OŚWIATOWY ZARZĄD GŁÓWNY W CZESKIM CIESZYNIE

ADRES REDAKCJI:
UL. J. BOŻKA 16 737 21 CZESKI CIESZYN TEL. 569 83

ZESPÓŁ REDAKCYJNY:
KAZIMIERZ GAJDZICA MARIA GRZEGORZ URSZULA HUDECZEK PIOTR PRZECZEK (redaktor naczelny)

RADA REDAKCYJNA:
FRANCISZEK BAŁON MARIA BIŁKO WIESŁAWA BRANNA BRONISŁAW FIRLA TADEUSZ CHRZĄSZCZ KAZIMIERZ JAWORSKI STANISŁAW JEDZOK WŁADYSŁAW ORSZULIK RUDOLF POPIOŁEK

Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca. Drukarnia: Tisk, knižní výroba, n. p., Brno, zakład 3 — Cz. Cieszyn, ul. Rewolucyjna 1. Cena prenumeraty rocznej Kčs 30,—, półrocznej Kčs 15,—. Zgłoszenia prenumeraty w CSRS przyjmuje redakcja i administracja „Zwrotu", w PRL Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch", Warszawa, ul. Wronia 23. Zezwolenie na ulgową opłatę pocztową wydał Powiatowy Urząd Pocztowy w Karwinie 20. 8. 1963, 1268/63. Numer indeksu R 389, nakład 4250 egz.

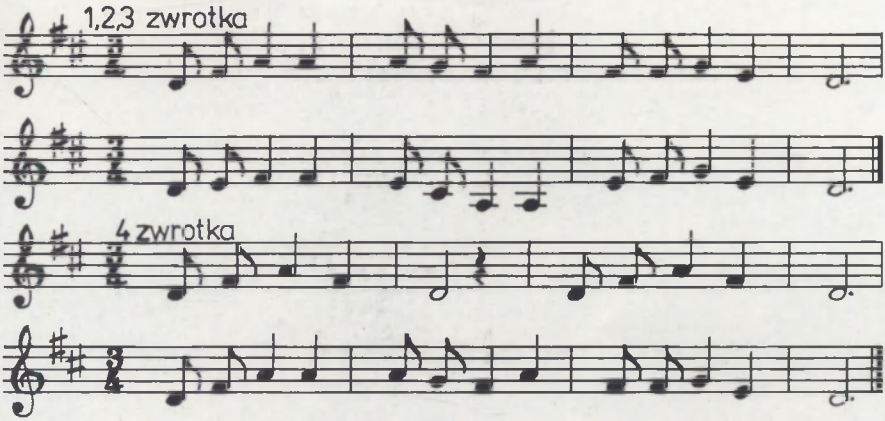
fot. JANINA SZOTKOWSKA

PIEŚNI GÓRALSKIE

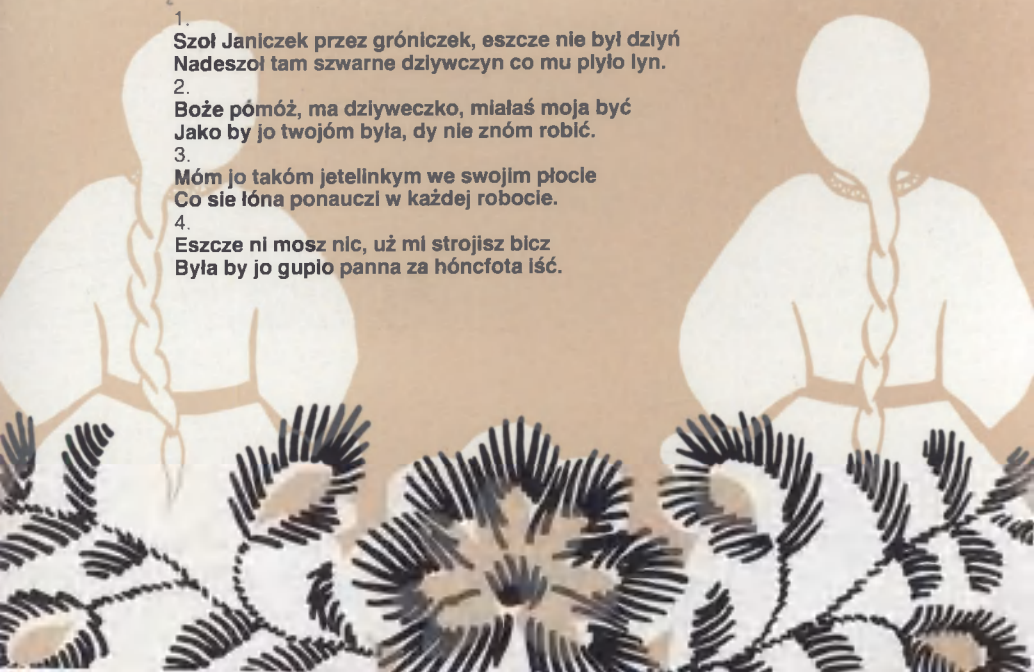
SZOŁ JANICZEK PRZEZ GRÓNICZEK

Mosty koło Jabłonkowa

Pieśń pojawia się na bardzo małym obszarze w górach jabłonkowskich. Zmiana w czwartej zwrotce zapisu z Mostów wykazuje podobieństwo z równoległym motywem w pieśni „Ej, hoja, hoja, swoboda moja". Ta wymuszona zmiana rytmiczna pojawia się w wierszu „Jeszcze żeś mie nie wychował" w brzmieniu z Istebnej. Popularność tej pieśni w naszym regionie i brak wariantów w innych regionach wskazuje na miejscowe pochodzenie.

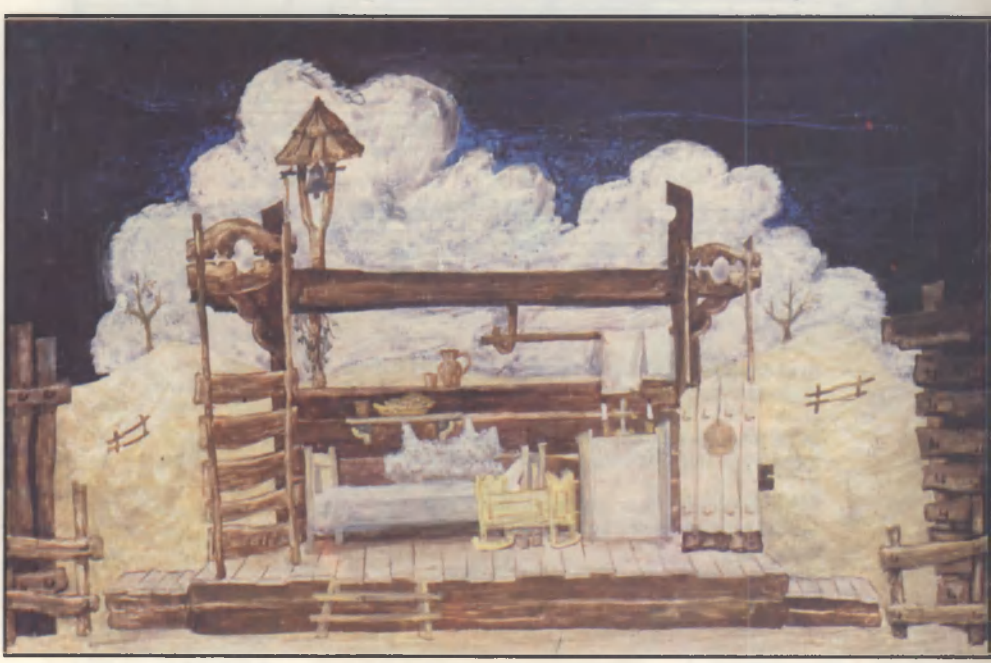


1.
Szoł Janiczek przez gróniczek, eszcze nie był dziyń
Nadeszoł tam szwarne dziywczyn co mu płyło łyn.
2.
Boże pómóż, ma dziyweczko, miałaś moja być
Jako by jo twojóm była, dy nie znóm robić.
3.
Móm jo takóm jetelinkym we swojim płocie
Co sie łóna ponauczi w każdej robocie.
4.
Eszcze ni mosz nic, uż mi strojisz bicz
Była by jo gupio panna za hóncfota iść.



Trzaskalik Franciszka
735 35 HORNÍ SUCHÁ 462

WŁADYSŁAW CEJNAR: projekt scenografii do sztuki M. Kočana „Gorący ziemniak", technika mieszana 1987 (repr. PIOTR WOJOCZEK)



ZWROT

11/87





W obchodach 70. rocznicy Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej oraz kolejnych imprezach Miesiąca Przyjaźni Czechosłowacko-Radzieckiej udział wezmą również PZKO-wscy tancerze i śpiewacy. Tańce i pieśni narodów Związku Radzieckiego znajdują się od lat w repertuarze reprezentacyjnych zespołów ZG PZKO. Na zdjęciu górnym ZPiT „Górnik" w układzie tańców narodów Kraju Rad, poniżej kwartet wokalny ZPiT „Olza" w roku 1982 w strojach rosyjskich.



fot. EUGENIUSZ MLECZKO, CZESŁAW GÓRAL

W 30. ROCZNICĘ WSRP

W listopadzie 1947 roku powstały pierwsze Miejscowe Koła nowo założonego Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego. W tym czasie również postępowe społeczeństwo polskie na naszym terenie obchodziło 30. rocznicę Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej.

„Głos Ludu", pismo dla ludu pracującego na Śląsku, z datą 9 listopada 1947 r. donosi w tytule na 1. stronicy gazety: „6, 7 i 8 listopad 1917 roku w Piotrogrodzie zadecydował o zwycięstwie Wielkiej Rewolucji Socjalistycznej".

Na temat znaczenia 30. rocznicy WSRP wypowiada się również Klement Gottwald, premier rządu Czechosłowacji. „Głos Ludu" cytuje fragment jego przemówienia pn. „I wolność Czechosłowacji okupiona krwią synów ZSRR":

Lud czechosłowacki święci jubileusz Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej oraz trzydziestolecie narodzin sowieckich, jako święto najlepszego sojusznika i jako swoje własne święto. Wpływ Rewolucji Październikowej był przecież w osiemnastym roku jednym z najdonioślejszych czynników, który pomógł ludowi czechosłowackiemu do odzyskania wolności i utworzenia własnego samodzielnego państwa. Związek Radziecki stał wiernie przy boku Czechosłowacji w najcięższych chwilach Monachium. Związek Radziecki krwią swoich synów przyczynił się do wyzwolenia Czechosłowacji spod jarzma germańskiego. Dziś w okresie życia pokojowego Związek Radziecki broni swej pokojowej, demokratycznej polityki zagranicznej oraz interesów bezpieczeństwa Czechosłowacji i pomaga jej szczerze w odbudowie gospodarczej, przy czym w całej pełni respektuje naszą suwerenność państwową.

Już tych kilka faktów wskazuje jedno, jak głęboko połączony jest los Czechosłowacji z losem ZSRR, wskazują, że jedynie w tym związku może Czechosłowacja kroczyć bezpiecznie w przód do rozkwitu i dobrobytu.

Nasz związek braterski z ZSRR jest zarazem i naszą dumą narodową, ponieważ w zupełności odpowiada ideałom najlepszych ludzi naszego narodu, jeżeli kroczymy w tym współzawodnictwie przy boku najbardziej postępowego kraju na świecie — Związku Radzieckiego.

Dlatego z największą szczerością pozdrawiamy w wigilię święta 7 listopada lud radziecki i życzymy mu oraz jego krajowi w przyszłych latach nowych, jeszcze większych sukcesów, nowego i jeszcze większego rozkwitu, nowej i jeszcze większej sławy.

JAKI BĘDZIE ZWROT

Październikowy XV Zjazd PZKO zakończył czteroletni okres działalności związkowej, zamknięty został również jeden okres pracy naszego miesięcznika. O tym, jaki był „Zwrot" poprzedni, oraz jaki powinien być ten przyszły dyskutowano na zebraniu Rady Redakcyjnej pod koniec września. Członkom Rady przedstawiliśmy projekt schematu „Zwrotu" na lata 1988—1991 i zaprosiliśmy ich do dyskusji, w której udział wzięli: Maria Biłko, Wiesława Branna, Tadeusz Chrząszcz, Kazimierz Jaworski, Stanisław Jedzok, Władysław Orszulik i Rudolf Popiołek.

Zwrot: **Jako przedstawiciele czytelników orientujecie się na pewno, co na temat „Zwrotu" mówi teren. Co podoba się czytelnikom, co im się nie podoba, na co zwracają uwagę. Może zajmiemy się najpierw uwagami na temat wyglądu „Zwrotu"?**

MARIA BIŁKO: Należałoby chyba poświęcić większą uwagę wiązaniu i segregowaniu arkuszy pisma, żeby nie zdarzało się, że trafiają się podwójne numery stronic albo czyste kartki. Dotyczy to przede wszystkim ostatnich trzech numerów „Zwrotu".

WŁADYSŁAW ORSZULIK: Od kiedy druk „Zwrotu" dokonywany jest nową techniką, offsetem, widać pewne braki i niedociągnięcia. Drukowany starą metodą wyglądał lepiej, drukarze umieli go zrobić i wiedzieli, jak to robić. Dziś niektóre fotografie, przedruki są nieczytelne, zdarzają się błędy zecerskie i wiele innych rzeczy, które nie powinny mieć miejsca. Mam nadzieję, że do XV Zjazdu zostanie to rozwiązane.

Zwrot: Jaka jest zasłyszana przez was ocena treści „Zwrotu"?

TADEUSZ CHRZĄSZCZ: Nie słychać głosów krytycznych, a to chyba jest niezle. Czytelnicy nie mają zasadniczych zastrzeżeń do treści artykułów.

BIŁKO: Jako przedstawicielka Zespołów Kobiet chciałabym zwrócić uwagę na to, że kobiety uskarżają się, że za mało pisze się o ich pracy. Uważam, że należałoby bardziej to uwypuklić.

ORSZULIK: W terenie „Zwrot" jest oceniany pozytywnie. Każdy znajdzie tam to, co mu odpowiada. Może młodzi uważają, że mało się poświęca uwagi ich problemom, publikowaniu spraw im bliskich. Druga rzecz, która obiła mi się o uszy, to sprawa kroniki, która jest zbyt szeroka. Nie można tam odzwierciedlić całokształtu naszej działalności, bo

można tam umieścić tylko te rzeczy, o których jesteśmy poinformowani, ale przecież na tym nasza działalność się nie kończy.

RUDOLF POPIOŁEK: Dziś „Zwrot" omawiany jest na naszych PZKO-wskich zebraniach i spotkaniach, a chyba nie zawsze w przeszłości tak było. Nie mamy jeszcze pod ręką terenowych korespondentów i może dlatego w terenie jest duży głód spraw własnych. Ale na ogół słyszy się głosy, że „Zwrot" się podoba, że można w nim wyczytać od czasu do czasu wszystko, co się dzieje np. u sąsiadów w Kole. Równocześnie kronika, która dotyczy konkretnego terenu, wydaje im się za skromna. Może mogłoby być lepiej, ale brak autorów powoduje, że niekiedy w „Zwrocie" powtarzają się niektóre nazwiska.

CHRZĄSZCZ: Jeżeli chodzi o sprawę korespondentów, o czym mówił już tow. Popiołek, to uważam, że należy im poświęcić więcej uwagi, pracować z nimi. Szkoda, że przestano organizować spotkanie PZKO-wskich korespondentów w redakcji „Zwrotu" lub „Głosu Ludu", że odeszło się od spotkań w terenie czy Komitetach Miejskich. Myślę, że wysoki nakład „Zwrotu" i fakt, że się rozchodzi, potwierdza chyba to, że „Zwrot" się terenowi podoba i odpowiada mu.

STANISŁAW JEDZOK: Jeżeli chodzi o głosy zasłyszane, pochodzące ze środowiska twórców, ale nie tylko, to przeważnie są one krytyczne. Jeżeli ktoś jest zadowolony, to widocznie się nie odzywa. Głosy krytyczne dotyczą wielu spraw, słyszałem krytyczne głosy pod adresem „Wędrówek nazewniczych", sposobu ich opracowania, choć mnie się osobiście podobają. Głosy te dotyczą również tego, o czym była już mowa, a więc spraw młodzieżowych, że za mało się je porusza.

W dyskusji o przyszłości „Zwrotu" swoje poglądy wyrazili również Rudolf Popiołek, Stanisław Jedzok i Kazimierz Jaworski (na zdjęciu od prawej)



fot. PIOTR PRZECZEK



Maria Biłko reprezentuje w Radzie Redakcyjnej Zespoły Kobiet

KAZIMIERZ JAWORSKI: Poruszam się w kręgu ludzi pióra, SLA-owców literatów, których zdania są na ogół podzielone. Jedni twierdzą, że jest dobrze albo średnio, niektórzy, że powinno być więcej materiałów literackich. Ostatnio „Zwrot" drukuje plon konkursów literackich, więc sytuacja jest lepsza. Dziś na przykład słyszałem głos jednego czytelnika, że dawniej mu się „Zwrot" nie podobał, był za słaby, ale ostatnie kilka numerów pozwala mniemać, że będzie lepiej.

WIESŁAWA BRANNA: Zastanowił mnie brak w ostatnich rocznikach „Zwrotu" materiałów „ogólnokrajoznawczych", historycznych z terenu, ciekawostek krajoznawczych. Teren przybliżają nam trochę folkloryści przez wędrówki nazewnicze, ale brak takich spraw, jak tradycje, legendy. Myślę, że w tym kierunku powinna popracować trochę Sekcja Historii Regionu i Folklorystyczna. Były czasy, kiedy materiałów folklorystycznych było w „Zwrocie" więcej. Uważam, że nigdy nie za wiele.

ZWROT: Przejdźmy teraz do własnych ocen. Ważne dla nas jest to, co było niedobre, czego w przyszłym okresie nie powinno być w „Zwrocie". Jakie rubryki, jakie błędy należałoby wyeliminować — waszym zdaniem?

CHRZĄSZCZ: O tym, że trzeba zmienić kronikę, już mówiliśmy i jest to w planie. Dalej, moim zdaniem, należy unikać tych rzeczy trochę naiwnych. Może folkloryści poczują się dotknięci, ale te gorolki na przedostatniej stronicy z piosenką, może to i dobre, ale trochę pachnie zaściankowością, zwłaszcza w kontekście braku, jak ja to zawsze określam, wielkiej kultury polskiej. A folklorystów stać na doskonałe materiały. Należy większą uwagę poświęcać doborowi spraw graficznych i literackich. Druga sprawa, że jak będzie miał grafik lub redaktor odpowie-

fot. PIOTR PRZECZEK

dzialny za dobór utworów z czego wybierać, to na pewno wybierze dobre rzeczy, ale trzeba je najpierw stworzyć, a potem można zrobić selekcję. Ale jak to się będzie robić, mówiąc po naszemu ,,z łyżki do gymby", to mogą się trafić rzeczy niedomyślane czy niedopracowane, nieadekwatne do poziomu i treści całego numeru. Uważam, że prócz pierwocin czy rzeczy względnie dojrzałych naszych literatów warto by czytelnikowi przybliżać i w miarę możliwości to, co jest ciekawe i nowe w literaturze polskiej.

BRANNA: Moim zdaniem nie powinno być znowu za wiele tej wielkiej narodowej kultury i literatury, żeby ,,Zwrot" był zrozumiały dla wszystkich. Trzeba by tu uważnie zważyć dwie sprawy — naszej ,,zaściankowej", jak to tu określono, kultury, która jest wszystkim potrzebna, chociaż niektórzy się przed tym bronią, ale tym żyją, a z drugiej strony trzeba ,,polizać" trochę i tej wielkiej narodowej kultury i literatury. Chciałabym jeszcze zwrócić uwagę na artykuły wstępne. Powinny być dobrze napisane i rzutować na poziom całego numeru i rocznika.

ORSZULIK: Mam wrażenie, że nie powinny się powtarzać takie sprawy, jakie zdarzały się w cyklu dyskusji ,,Nad uchwałą XIV Zjazdu PZKO". Nie zawsze to, co się pojawiało w tych wypowiedziach, spełniło swoją rolę. Tu jednak redakcja będzie musiała spełniać swoje podstawowe zadanie, korygować pewne rzeczy, żeby to było pomocne w naszym działaniu. Druga sprawa — bardzo podobają mi się wędrówki po świecie, ale dlaczego nie zrobić takich wędrówek po Polsce. O tych rzeczach warto w ,,Zwrocie" pisać, jeżeli chcemy umocnić naszą dumę narodową. W kronice powinno być mniej notatek, ale szerzej potraktowanych, niech z tej kroniki stanie się kuchnia naszej działalności PZKO-wskiej.

JAWORSKI: Moim zdaniem wstępniaki powinny być pisane ciekawiej. Materiały analityczne są może za obszerne, rozgadane, może należałoby je na koniec jakoś podsumować.

ORSZULIK: Uważam, że ,,Zwrot" powinien być bardziej krytyczny, dotąd nie był taki w wystarczającej mierze. Chodzi tu o zdrową krytykę, nikt nie powinien się obrażać. Niech ta krytyka jest budująca i twórcza.

ZWROT: Przeszliśmy więc już do tematu, jak powinien wyglądać „Zwrot" w przyszłych kilku rocznikach. Czego nie powinno zabraknąć w nowym „Zwrocie"?

ORSZULIK: Wiemy, że sprawa gospodarcza, ekonomiczna, nie może być potraktowana marginesowo. O tym trzeba mówić w sposób fachowy, ale dostępny dla każdego czytelnika, umiejętnie to propagować. Warto się również zastanowić, czy w naszym miesięczniku nie udałoby się wygospodarować kącika dla dzieci. Chcemy, by młodzież abonowała ,,Zwrot" , niech młodzi sięgają po to pismo już od najmłodszych lat.

BRANNA: Może warto by zajrzeć również do naszych zakładów pracy, pokazać ludzi, którzy tam coś znaczą, a równocześnie są działaczami PZKO.

ZWROT: A jak powinna wyglądać twórczość na łamach „Zwrotu"?

JAWORSKI: Powinno być trochę więcej materiałów krytycznych, zarówno na tematy związkowe, jak i kulturalne. Przede wszystkim chodzi mi o otwarty dialog na temat naszej twórczości, o rzeczową dyskusję, a nie wzajemne obrażanie się. Dyskutujący powinien bronić swych racji, tolerując równocześnie racje przeciwnika. Taka dyskusja jest potrzebna np. pomiędzy literatami a folklorystami. Przydałoby się także dalej kontynuować reprodukowanie dorobku naszych plastyków. Na łamach „Zwrotu" musimy prezentować taką twórczość, jaką mamy, na jaką nas stać, a sądząc według tego, że drukowana i przychylnie przyjmowana jest w Polsce, nie jest z nią tak źle, jak niektórzy chcieliby przypuszczać. Nie można traktować poważnie głosów, że jest za słaba lub zbyt trudna. Twórca w żadnym wypadku nie może podporządkowywać się upodobaniom czytelnika. Wyraża przecież siebie, swoje widzenie świata, i nie może upraszczać tych spraw ze względu na odbiorcę. To raczej odbiorca

powinien chcieć zrozumieć. Owszem, można czasami spróbować przybliżyć pewne sprawy, publikując materiały o warsztatach twórczych itp.

CHRZĄSZCZ: Może rzeczywiście jesteśmy dłużni terenowi tłumaczenie spraw literackich. Przy prezentacji twórczości warto trochę podbudować ją teoretycznie.

JEDZOK: Chciałbym wrócić do „Zielonych nurtów". Uważam, że jednak należało by tę rubrykę podtrzymać. Powinna oczywiście być na odpowiednim poziomie. Dzieje się tyle nowego, powstają nowe rzeczy, a młodzi nie wiedzą, gdzie z tym iść. Co do kącika dla najmłodszych, to uważam, że najbardziej zaniedbane są nastolatki, po wyjściu ze szkoły, dla nich nie ma żadnego pisma i niczego ani w „Głosie Ludu", ani w „Zwrocie".

ZWROT: Przejdźmy teraz do sprawy dla nas podstawowej — do działalności PZKO-wskiej i jej odzwierciedlenia w „Zwrocie", w głównym bloku na początku pisma. Jakie wybrać tematy i jak je zaprezentować?

CHRZĄSZCZ: Te pierwsze stronice powinien poprzedzać artykuł wstępny i to dobry, który korespondowałby z materiałem ogólnym. PZKO-wskim. Jako temat artykułu wstępnego na styczeń, do pierwszego numeru, widziałbym temat najbardziej aktualny — przebudowa gospodarcza, ale w naszej sytuacji nowe sposoby myślenia. Dalej ogólny materiał dotyczący kultury PZKO-wskiej w formie zebranych informacji i faktów, krytycznie, może odezwie się ktoś z terenu.

ORSZULIK: Kultura jako temat do jednego numeru wydaje mi się zbyt obszernym problemem. Tematy nośne do poszczególnych numerów trzeba będzie uzupełnić o konkretne sprawy wynikające ze Zjazdu, nowelizację statutu, uchwałę PZKO.

Na koniec chciałbym poruszyć jeszcze sprawę, myślę, że bardzo poważną. Możemy podejmować piękne i wartościowe uchwały, ale trzeba mieć ludzi odpowiednio przygotowanych do ich realizacji. To są bardzo trudne sprawy kadrowe. Powiedzmy sobie otwarcie, dlaczego nasza działalność w niektórych dziedzinach leci na łeb, na szyję. Prosta przyczyna — ludzi do śpiewania mamy dosyć w terenie — ale brak nam człowieka, który ich poprowadzi, potrafi zyskać ich zaufanie, by ludzie poszli za nim. Tak samo przedstawia się sytuacja naszego miesięcznika. I tu trzeba znaleźć ludzi, którzy pomagaliby „Zwrotowi" jako korespondenci, współpracownicy.

MARIA GRZEGORZ
PIOTR PRZECZEK

Od redakcji:

Po dyskusji opracowaliśmy ostateczny projekt schematu „Zwrotu" na kolejny okres — od XV do XVI Zjazdu PZKO. W bloku publicystyki związkowej chcemy w poszczególnych numerach poświęcić uwagę konkretnym problemom działalności społecznej w oparciu o analizy dotychczasowej pracy. Wprowadzimy nową rubrykę „Jak działają inni", w której przedstawimy formy pracy bratnich organizacji. Nowością będzie „Kronika", na którą powinny się od początku roku 1988 składać krótkie notatki z najciekawszych imprez związkowych, zwłaszcza z działalności Kół i komitetów obwodowych. Oczywiście nie zabraknie miejsca na twórczość, folklor i historię, zgodnie z sugestiami Rady Redakcyjnej więcej uwagi chcemy poświęcić młodzieży. Do tego, by nasze zamiary stały się rzeczywistością, trzeba jednak spełnić podstawowy warunek — poszerzyć grono współpracowników i korespondentów. Dlatego też zapis ze spotkania członków Rady Redakcyjnej kończymy apelem o aktywniejsze uczestnictwo Czytelnika w tworzeniu naszego pisma, które powinno pomagać w rozwijaniu działalności całego Związku.



fot. PIOTR WOJOCZEK



Folkloryści w czasie przechadzki w okolicy mosteckiego Domu PZKO — w środku prof. Jan Szczepański

Koncert z okazji „Dni Folkloru" — na scenie Teatru Cieszyńskiego przed szałasem na Kozubowej Jura spod Grónia



fot. ANTONI SZPYRC, FRANCISZEK BAŁON

DNI FOLKLORU W MOSTACH

Do tradycyjnych imprez Sekcji Folklorystycznej działającej przy ZG PZKO należą Dni Folkloru. Seminarium odbywające się w ich ramach jest okazją do prezentacji wyników badań prowadzonych przez członków Sekcji oraz do wymiany doświadczeń. O doniosłej randze tego dwudniowego święta świadczy również fakt, że bywają na nim obecni wybitni znawcy przedmiotu z Polski i Czechosłowacji, nieraz naukowcy światowej sławy.

Tegoroczne Dni Folkloru przebiegające w dniach 12—13 września w Domu PZKO w Mostach koło Czeskiego Cieszyna zaszczycił swoją obecnością socjolog prof. Jan Szczepański — były rektor Uniwersytetu Łódzkiego, wiceprezes PAN, poseł na Sejm, doktor honoris causa UJEP w Brnie, Uniwersytetu Łódzkiego, Śląskiego, Warszawskiego, René Descartes'a w Paryżu.

Do stałych gości należy dr Andrej Sulitka z Instytutu Etnografii ČSAV w Brnie. Ponadto obecni byli przedstawiciele Katowickiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego mgr Andrzej Kornecki oraz mgr Janusz Przypkowski, dr Ewa Kossowska reprezentująca Towarzystwo Kultury Teatralnej oraz dr Jaromír Gelnar, autor programów popularyzujących folklor z Rozgłośni Ostrawskiej Radia Czechosłowackiego.

Nasze władze związkowe reprezentowali przewodniczący ZG PZKO dr Stanisław Kondziołka oraz wiceprzewodniczący dr Jan Kowala.

Referaty Seminarium poświęcone były dwom zagadnieniom: aspektom socjologicznym w badaniach folklorystycznych i etnograficznych oraz folklorowi dziecięcemu.

Po uroczystym zagajeniu imprezy dokonanym przez prezesa Sekcji dr. Daniela Kadłubca wystąpił prof. Jan Szczepański z odczytem pt. „Cieszyńska kultura chłopska jako problem socjologiczny". W swoim referacie zwrócił przede wszystkim uwagę na dwa problemy — powstanie kultury chłopskiej oraz utrzymywanie przez nią odrębności. Podkreślił rolę, jaką spełnia rodzina jako jednostka w społeczeństwie wiejskim, jej funkcje gospodarcze i wychowawcze.

Wyżej wymienione argumenty, jak również uważanie elementów przychodzących z zewnątrz do wsi za obce, nie mające prawa bytu w danej społeczności przyczyniały się m. in. do utrzymania odrębności kultury ludowej.

Mówca zwrócił uwagę na zależności między kulturą narodową i chłopską. Podkreślił, że kiedykolwiek w sztuce narodowej kierunki kończyły się, to twórcy zawsze wracali do kultury chłopskiej. Na przykładach dzisiejszego cywilizowanego świata pokazał, że naród dobrowolnie rezygnujący z kultury ludowej traci wielkie wartości.

Duże zainteresowanie wzbudził i następny referat przewodniczącego SF dr. Daniela Kadłubca, poświęcony socjologicznym aspektom cieszyńskiej kultury ludowej i tradycji. I on podkreślił jej znaczenie

dla pełnego rozwoju osobowości człowieka. Przypomniał sytuację, kiedy to synowie chłopscy należeli do ludzi najbardziej oświeconych i wykształconych w naszym regionie, co rzadko zdarzało się gdzie indziej.

Reszta referatów Seminarium poświęcona była folklorowi dziecięcemu. Anna Jeż w referacie pt. „Rola folkloru w procesie dydaktyczno-wychowawczym" zajęła się przede wszystkim bajką magiczną oraz podaniem. Pokazała, w jaki sposób bajki kształtują wyobraźnię dziecka. Zwróciła równocześnie uwagę na wyższość bajki opowiadanej od oglądanej przez dziecko w telewizji. Swój wywód zakończyła ciekawym spostrzeżeniem, o słuszności którego przekonał się zapewne już każdy, kto pracuje z młodzieżą — „Pedagog, który rozumie, iż najważniejszym jego zadaniem jest dążenie do wszechstronnego i harmonijnego rozwoju osobowości dziecka, nie powinien nigdy lekceważyć materiałów folklorystycznych, lecz wykorzystywać je w procesie dydaktyczno-wychowawczym tak, by dziecko czuło się nierozerwalnie związane ze swoją rodzimą kulturą, z folklorem i w ogóle ze swoim ludem."

Podobny problem poruszyła Ilona Fryda w referacie „Funkcje folkloru dziecięcego i jego stan na Śląsku Cieszyńskim". Swoje badania przeprowadzała w środowisku szkolnym i stwierdziła, że folklor, w szczególności słowny, nadal żyje wśród naszych dzieci, choć może nie w tak szerokim zakresie jak dawniej. Podkreśliła, że właśnie od dzieci zależy w dużym stopniu żywotność tego folkloru.

Mgr Aleksandra Niemiec przedstawiła wyniki swoich badań nad cieszyńską zagadką ludową. Jest to problematyka nowa, której na razie nie poświęcano zbyt wiele uwagi.

Cykl referatów zakończyła mgr Wiesława Branna, która zanalizowała funkcjonowanie kultury materialnej i artystycznej w świecie dziecięcym.

Wszystkie referaty wywołały wśród słuchaczy bogatą i ożywioną dyskusję. Na jej poziom niewątpliwie wpłynęła obecność prof. Jana Szczepańskiego, który wyczerpująco odpowiadał na wszystkie pytania dotyczące perspektyw rozwoju kultury ludowej, kierunków rozwoju polskiej socjologii oraz sytuacji społeczno — politycznej Polski.

W sali, gdzie odbywało się seminarium, zainstalowano mini-wystawę ze zbiorów ob. Lisztwana, prezentującą kulturę materialną naszego regionu.

Do miłych momentów Seminarium należało z pewnością wręczenie Złotej Odznaki PZKO „Za Zasługi" prof. Janowi Szczepańskiemu i dr. Jaromírowi Gelnarowi, przyznanych im za popularyzację kultury ludowej Ziemi Cieszyńskiej i pracy PZKO. Przedstawicielka Towarzystwa Kultury Teatralnej dr Ewa Kossowska przekazała na ręce prezesa ZG PZKO dr. Stanisława Kondziołki nowo ustanowiony Medal im. Mikuty, przyznany naszemu Związkowi przez Zarząd Wojewódzki w Katowicach za upowszechnianie amatorskiej kultury teatralnej.

Najbardziej atrakcyjną częścią Dni Folkloru był koncert, w miły nastrój wprowadziły przybywających do Teatru Cieszyńskiego koncertujące w foyer kapele ludowe mosteckich „Góroli" i ZT „Błędowice". Potem uczestnicy tego wspaniałego widowiska, które dostarczyło z pewnością każdemu nie tylko wrażeń estetycznych, ale spełniało również i cele kształcące, przenieśli się na Kozubową do szałasu, nad którym baca umieścił napis „Tu się żyje bez starości" i beztrosko spędzili sobotni wieczór. Autorami scenariusza tego spektaklu, w którym oprócz wyżej wymienionych zespołów uczestniczył także Zespół Regionalny „Sibica" i ZT „Niebory", byli inż T. Farny i inż. A. Niedoba.

Podsumowując dwudniową imprezę SF wypada stwierdzić, że na pewno należała do bardzo udanych. Przyczynili się do tego wykonawcy programu sobotniego koncertu, autorzy referatów, działacze MK PZKO w Mostach koło Cz. Cieszyna, ludzie, którym sprawa naszego rodzimego folkloru nie jest obojętna.

an

ŚWIT MA 40 LAT

Nie ulega wątpliwości, że w czterdziestoleciu PZKO (a także w okresie poprzedzającym założenie Związku) dorobek amatorskiego ruchu teatralnego zajmuje miejsce poczesne. Najstarsze pokolenia pamiętają jeszcze czas, kiedy to zespoły, nie tylko zresztą teatralne, stanowiły w danym środowisku często jedyne i podstawowe ognisko pracy kulturalno-oświatowej. Zespoły bywały niejednokrotnie jedynym miejscem, gdzie człowiek miał okazję bezpośrednio zetknąć się z prawdziwymi wartościami artystycznymi, gdzie piękno języka ojczystego czy bogactwo rodzimego folkloru przemawiało do niego z całą swoją mocą.

Obecnie chętnie powołujemy się na bogate PZKO-wskie tradycje amatorskiego ruchu teatralnego, niemniej trudno nam nie dostrzegać faktu, że liczba zespołów pracujących w miarę systematycznie jest w Związku żenująco niska. Mam w tej chwili na myśli nie przeróżne zespoły małych form czy kółka żywego słowa, ale tradycyjny, solidny teatr, mający odwagę i możliwości sięgać po sztuki pełnospektaklowe, zarówno klasykę, jak i pozycje współczesne. Jeszcze przed dziesięciu laty ówczesny instruktor ZG PZKO ds. żywego słowa Henryk Faja powiedział mi, że w terenie działają 22 PZKO-wskie zespoły teatralne, z tego w powiecie karwińskim było to dziesięć zespołów teatralnych w Kołach i cztery zespoły szkolne, w powiecie frydecko-misteckim dwanaście zespołów PZKO-wskich i dziesięć (!) szkolnych.

Dziś stan posiadania amatorskiego ruchu teatralnego jest niestety o wiele skromniejszy. Z tym większą ciekawością miłośnicy teatru śledzą poczynania tych nielicznych już pasjonatów, którzy nie zrażając się najróżniejszymi obiektywnymi i subiektywnymi trudnościami i barierami nie tylko sami mają chęć stale od nowa podejmować zabawę w teatr, ale także obdzielają swoją pasją innych.

Taką właśnie grupę zapalonych „ludzi teatru" można spotkać w MK PZKO



W czasie naszej wizyty w Skrzeczoniu zespół odbywał próbę czytaną

w Skrzeczoniu, w Kole stosunkowo niewielkim, bo liczącym niespełna 200 członków.

Tamtejszy zespół teatralny „Świt" należy właśnie do tych nielicznych już PZKO-wskich grup, które biorą na warsztat sztuki pełnospektaklowe. Co prawda nie robią tego corocznie, jak dawniej, jak w najlepszych dla teatru amatorskiego czasach, ale jednak ...

Zespół „Świt" obchodzi swoje 40-lecie. Właśnie z tej okazji postanowiono — po pięciu latach przerwy — sięgnąć po rzecz z wielkiego repertuaru i to po nie byle co — mianowicie po „Igraszki z diabłem" Jana Drdy. Ale zanim zajmiemy się bliżej obecnym życiem zespołu, cofnijmy się do okresu, kiedy w Skrzeczoniu, po latach przerwy spowodowanej okupacją, odradzało się życie kulturalno-oświatowe. Albo jeszcze lepiej — cofnijmy się do roku 1913, który kronikarze traktują jako początek polskiego amatorskiego ruchu teatralnego w tej miejscowości. Przypomnijmy zatem, że organizatorem i pierwszym reżyserem zespołu był Józef Krzywoń. Teatr działał od tej pory przy różnych organizacjach społecznych. Do wybuchu II wojny światowej zespoły prowadzili Józef Płonka, Robert Dominik, Engelbert Zajic, Józef Matuszek, Wilhelm Budziński, Rafael Bajger, Antoni Szmeja, Emil Popek, Franciszek Dziergiel, Teofil Wałoszek, Szczepan Skrzyszowski, Wincenty Jeziorski, Karol

Mach, Adolf Retek, Miłosław Klisz, Franciszek Klima, Elżbieta Teichmann-Wójcikowa oraz Leontyna Florek-Pawlitowa. W tym czasie w zespole pracowało około 70 osób. Wyćwiczono ponad 35 sztuk pełnospektaklowych.

I właśnie do tradycji międzywojennego teatru amatorskiego, wyrastającego z kręgu robotniczej kultury Bogumina i okolicy, nawiązał w roku 1947 zespół „Świt". Zespół początkowo pracował przy Stowarzyszeniu Młodzieży Polskiej w Skrzeczoniu, organizacji, której statut zatwierdzono w czerwcu tego samego roku. Dopiero w pięć lat później zespół został organizacyjnie wciągnięty do MK PZKO w Skrzeczoniu.

Organizatorem i reżyserem grupy, która tworzyła zalążek zespołu, był ówczesny kierownik polskiej szkoły ludowej w Piotrowicach, mieszkaniec Skrzeczonia, Rudolf Wójcik. Zespół zadebiutował jednoaktową komedią Labishe'a „Jeden z nas musi się ożenić". Od początku następnego roku szeregi zespołu, nader skromne, zaczęły się rozrastać. Pozyskano w sumie 25 osób i zabrano się do pracy nad krotochwilą w trzech aktach Adolfa Waleskiego „Ach, to Zakopane", której premiera odbyła się 14 marca 1948 roku. Funkcję reżysera i kierownika artystycznego objął Konstanty Krzystek, który pełnił ją nieprzerwanie 35 lat.

Często wspominam tamte lata — **mówi dziś człowiek, który tak wiele dał z siebie nie tylko zespołowi „Świt", ale także, będąc pracownikiem Zarządu Głównego PZKO, całemu PZKO-wskiemu amatorskiemu ruchowi teatralnemu.** — Wspominam niełatwe początki i okres późniejszy, kiedy to zespół był już na tyle dojrzały, że mógł zmierzyć się w konkursach z najlepszymi scenami amatorskimi w okręgu północnomorawskim. Ze sztuką A. D'Usseau i J. Gou'a „Korzenie sięgają głębiej" zespół zakwalifikował się, jako pierwszy polski zespół teatralny, do okręgowego przeglądu scen amatorskich. 35 lat prowadziłem „Świt" i kiedy stwierdziłem, że mogę odejść, bo są ludzie, którzy będą to robić dalej — odszedłem, wycofałem się. Ale to nie znaczy, że zerwałem z teatrem. Stale obserwuję go z oddalenia, dyskretnie, ale z dużym zainteresowaniem. Cieszę się, że zespół wybrał teraz akurat Drdę, uważam, że da sobie radę, że stać go na sfinalizowanie tego ambitnego przedsięwzięcia. Zresztą zobaczymy na premierze, którą zaplanowano na 14 listopada ...

Konstanty Krzystek zawsze należał do ludzi, którzy — jak to się mówi — stawiają na młodych. Właśnie dzięki temu zespół z chwilą, kiedy on sam uznał, że może się wycofać, nie rozpadł się. To, że na 40-lecie

Reżyserii jubileuszowego przedstawienia podjęła się Maria Sładeczek



fot. PIOTR PRZECZEK

podjęto się wyćwiczenia sztuki z klasycznego repertuaru, najlepiej świadczy o skrzeczońskich miłośnikach teatru.

Przez pięć lat zespół jakby przymierzał się do tego wielkiego zadania. Nowy reżyser, Maria Sładeczek, sprawdzała siły własne i swoich ludzi w mniejszych programach — poetyckich, okolicznościowych montażach, akademiach ... Pracowano z dziećmi i młodzieżą — w skrzeczońskim zespole nie ma barier pokoleniowych, dzieci od najmłodszych lat towarzyszą dorosłym w ich pracy kulturalno-oświatowej.

Dzieci i młodzież są stałymi gośćmi w naszej świetlicy — **mówi Konstanty Krzystek**. — Przychodzą z rodzicami na imprezy, na próby, przychodzą ot tak, żeby spotkać się z rówieśnikami. Przychodzą, kiedy trzeba coś w domu PZKO naprawić czy odnowić. Dzieci i młodzież wreszcie są obecne w pracy kulturalnej Koła, są jej pełnoprawnymi animatorami.

O współpracy pokoleń, o wychowaniu najmłodszych działaczy może wiele powiedzieć również Maria Sładeczek:

Wciągamy systematycznie dzieci do pracy naszego kółka żywego słowa, to jest takie „przedszkole" zespołu „Świt". O tym, że młodzież to lubi, świadczą bardzo udane klubowe wieczory z programami poetyckimi. Do młodego człowieka nie można przyjść ot tak, ni stąd, ni zowąd i proponować mu rolę w teatrze amatorskim. Natomiast można zawsze liczyć na współpracę ze strony tych młodych ludzi, którzy wyrastali w naszych dziecięcych i młodzieżowych kółkach. Oni właśnie mają do nas najbliżej. Dzieci zresztą chętnie występują na scenie, wiele z nich ma spore zdolności. Czują się docenione i potrzebne. W zeszłym roku zrobiliśmy na przykład z dziećmi bardzo udany montaż słowno-muzyczny. Sprawił on wszystkim dużą satysfakcję ...

W rozmowach ze skrzeczońskimi amatorami teatru, młodymi i starszymi, słowo „satysfakcja" powtarza się bardzo często. Konstanty Krzystek mówi: Kiedy człowiek widzi, że sztuka coś daje ludziom — a każda sztuka coś przynieść musi, lipy nie można odstawiać — to odczuwa głęboką satysfakcję. I kiedy dostrzega na widowni zasłuchane, zapatrzone twarze ...

Maria Sładeczek: Choć lepiej (i pewniej) na pewno czułabym się jako odtwórczyni którejś z ról, to jednak muszę przyznać, że kiedy tak spotkamy się wieczorem na próbie, kiedy czuję, że ci ludzie chcą mi pomóc, że przychodzą do świetlicy z najszczerszej potrzeby, to czuję satysfakcję i jakąś radość płynącą z przekonania, że mamy w sobie dość jeszcze sił, aby dalej rozwijać to, co ktoś przed nami zrobił z takim rozmachem.

Irena Hanak reprezentuje młode pokolenie w zespole: Satysfakcja bierze się z dobrze wykonanej pracy i ze świadomości, że nie jest się samym ze swoimi pomysłami, ze swoimi radościami. Pamiętam, jak w Zabłociu z grupą młodych graliśmy montaż poetycki o miłości. Ludziom się podobało, niektórzy byli nawet bardzo wzruszeni, i to było takie grzejące uczucie, bo widziałam, że to, co robimy, znajduje odbiorcę i że coś mu daje ważnego. Teraz w „Igraszkach" gram Anioła, to jest w zasadzie męska rola, ale podoba mi się, postaram się zagrać to jak najlepiej potrafię.

A więc satysfakcja, uczucie, że jest się potrzebnym, że ma się ludziom coś do powiedzenia. Dzisiaj praca w zespole amatorskim to już nie zysk wyłącznie w sferze kultury, ale także — ucieczka od codzienności, azyl, gdzie nie mają lub mieć nie powinny dostępu problemy domowe, zawodowe. To możliwość towarzyskiego spotkania z ludźmi o podobnych zainteresowaniach i podobnym sposobie na życie. Na próbach i występach zbierają się ludzie, którzy pragną w monotonię nudnych wieczorów wprowadzić coś nowego, coś, co rozjaśnia szarzyznę codzienności.

Teatr amatorski zmusza do pracy nad sobą, nad tekstem, nad dykcją. Na gruncie zespołu dochodzi do przenikania postaw, do przejmowania cudzych wzorców za-

chowania, do umacniania współodpowiedzialności za wyniki pracy.

Członkowie skrzeczońskiego „Świtu" pewnie długo mogliby mówić o tym, co trzyma ich razem oraz o sukcesach, które stały się na przestrzeni 40 lat ich wspólnym udziałem. Jednakże osiągnięcia nie mogą przesłonić wielu trudności, z którymi także ten zespół boryka się na co dzień.

Ruch teatralny przeżywa swój kryzys i na nic zda się pomijanie tego faktu milczeniem. Przyczyny? Zdaniem Konstantego Krzystka, wielkiego znawcy przedmiotu, jedną z nich (na szczęście skrzeczońskiego zespołu ona nie dotyczy) jest brak kadry kierowniczej, brak ludzi, którzy potrafiliby stanąć na czele zespołów w terenie.

Organizuje się co prawda kursy, ale są to raczej wczasokursy — **mówi** — Takie imprezy na odczepnego, że niby coś się dzieje ... Nie ma ludzi, którzy by ruch amatorski w Kołach popchnęli naprzód, odświeżając to, co przestarzałe, i rozwijając to, co dobre. Czasem wystarczy pięciu zapaleńców, aby mógł powstać teatr. Dużo złego robi brak zainteresowania ze strony zarządów Kół.

Problem dalszy — to brak odpowiedniego repertuaru. To, co jest, często zespołom nie odpowiada. A wybierać nie ma z czego, nowości też jak na lekarstwo. Zaś widownia jest coraz bardziej wymagająca, na byle co nie da się załapać. Jeżeli jej coś nie zainteresuje — to zespół gra dla pustych krzeseł. Wreszcie sprawa możliwości, a raczej braku takowych, dawania występów poza własnym podwórkiem, w innych Kołach, w innym środowisku.

Dawniej jeździliśmy ze sztuką do Pudlowa, Szonychla, Wierzniowic, Stonawy, Łąk, Karwiny, Orłowej ... — **wspomina Konstanty Krzystek**. — Teraz — nie ma ofert, nie ma zainteresowania. W sumie ten cały wysiłek włożony w przygotowanie przedstawienia jest w pewnym sensie nieopłacalny, zespół czuje się niedowartościowany, no bo cóż, występuje się raz, „dla swoich" — i to ma być wszystko? No i na koniec — jeżeli już mówimy o problemach — to szwankuje kontakt z ZG PZKO. Sam, kiedy jeszcze pracowałem w aparacie Związku, często jeździłem w teren, utrzymując z reżyserami i aktywistami bliski kontakt. Teraz wiele zespołów zdanych jest na siebie. Niektóre robią coś — inne nie robią nic. I nikt nie zdaje się tym specjalnie przejmować ...

* * *

W ciągu 40 lat zespół skrzeczoński wystawił 39 sztuk pełnospektaklowych. „Igraszki z diabłem" są czterdziestą pozycją. Przygotował ponadto 16 montaży poetyckich oraz 7 inscenizacji i widowisk, 37 skeczów i 17 jednoaktówek. Ogółem wyćwiczył około 140 pozycji. Dał ponad 180 występów w CSRS i 13 w Polsce. Był wielokrotnie odznaczany — m. in. najwyższymi odznaczeniami PZKO-wskimi oraz dyplomami ORN.

HENRYKA BITTMAR

DRUGI DOM RODZINNY

Ten dom to pomnik naszych dni wieczystych,
Ten dom to drugi nasz dom ojczysty,
Tu będą przychodziły serca stare i młode,
Aby zaczerpnąć mowy, niby ze źródła wody.
Wam budowniczowie kłaniają się gronie,
a z nimi my młodzi w podzięce schylamy skronie.
Wł. Młynek

Upór, ofiarność, poświęcenie i uparta gorolska natura dokonały swego — powiedział na uroczystym otwarciu Domu PZKO w Milikowie Pasiekach prezes Koła a zarazem kierownik budowy, Władysław Drong. W zdaniu tym kryje się wiele treści. Pasieki należały już bowiem historycznie do najuboższej części Milikowa, tu była najuboższa ziemia, tu żył lud najbiedniejszy. I chyba tylko „góra chłopska" Kozubowa, z którą ludzi z naszego terenu wiąże szczególny sentyment, zadecydowała o tym, że wioska leżąca u jej podnóża nie była w terenie zapomniana.

Dziś Pasieki mają już swój „pomnik polskości", ale Dom PZKO nie tylko w tym celu był budowany. Powstał z myślą o młodzieży, o pokoleniach, które w nim będą kultywowały tradycję, pieśni i mowę swych przodków.

Polski Związek Kulturalno-Oświatowy powstał w Milikowie przed czterdziestu laty. Do centrum wioski, gdzie skupiała się cała działalność Koła, był z Pasiek spory kawał drogi, gdyż wioska jest bardzo rozległa. I dlatego w 1956 roku Koło podzieliło się na Centrum i Pasieki. Centrum otworzyło podwoje własnego Domu PZKO we wrześniu 1984 roku, zaledwie za trzy lata, w 40. rocznicę istnienia PZKO, podobną uroczystość obchodzono w Pasiekach.

— *Brak własnego lokalu odczuwaliśmy od początku* — mówi prezes Władysław Drong. *Korzystaliśmy wprawdzie z miejscowego Domu Kultury, ale tu trzeba było zamawiać lokal z wielkim wyprzedzeniem. Wyjeżdżaliśmy także na Święto Gorolskie czy Zlot Młodzieży, a kiedy wracaliśmy nieraz późno w nocy, nie było gdzie zmagazynować pozostałego prowiantu.*

—W jaki sposób udało wam się tak

szybko uporać z budową, bo przypomnijmy tylko kilka dat:
11. 4. 1985 rozpoczęto pierwsze prace,
15. 9. 1985 stał dom pod dachem,
13. 10. 1985 skończono tynkowanie wnętrz,
25—29. 10. 1985 zrobiono wszystkie podkładowe betony pod parkiety. W listopadzie wmontowano okna i drzwi i w ciągu jednego roku został dom na zimę zamknięty.

— Dość długo trwało, zanim zorganizowałem grupę tych ludzi, na których mogłem polegać, zwłaszcza że większość z nas ma własne gospodarstwa. Ale udało się, wiedziałem, że choć reszta zrezygnuje, to ta nasza grupka wytrwa do końca.

Członkowie tej grupy mają na swym koncie przepracowane tysiące godzin. Sam prezes wraz z synami Władysławem i Stanisławem przepracowali na budowie $^1/_3$ z ogólnej liczby 34 tysięcy godzin. Kolejne nazwiska to Adam Bojko, Józef Kurowski, Paweł Konderla, Paweł Bojko, Ludwik Poncza i wielu innych.

— Nie ma jednak na tej liście kobiet, panie prezesie, jaką rolę one odegrały w czasie budowy?

— Właściwie to połowę godzin, które mam tu przepracowane, oddałbym mojej żonie i synowej. One ponosiły duże ofiary. Mając w domu gospodarstwo, musiały za nas dużo pracować, bo my byliśmy na budowie od rana do późnego wieczora. Wielkie podziękowania należą się również klubowi kobiet z panią Martynkową na czele, które zapewniały wyżywienie zwłaszcza naszym pomocnikom z Polski z Piecoeksportu oraz Hutniczego Przedsiębiorstwa Remontowego, którzy razem przepracowali u nas około 3 tysięcy godzin. To była dla nas nieoceniona pomoc. Rezygnowali nawet z wyjazdów do domu i np. podczas robót elewacyjnych przyjechało ich aż 60. Jeżeli rozpocząłem już wymieniać listę tych, którym należą się od nas słowa podziękowania, to muszę wymienić inż. Dudysa, który będąc członkiem sąsiedniego bystrzyckiego Koła, jako fachowiec udzielił nam bezinteresownie wielu cennych rad. Oczywiście wdzięczni jesteśmy za pomoc Zarządowi Głównemu, MRN, HT i członkom sąsiedniego milikowskiego Koła.

— Przez dwa lata stał przed wami jedyny cel — wybudować. Co dalej?

— Chcielibyśmy użytecznie budynek zagospodarować, stworzyć warunki młodym, żeby powstały chociaż dwa zespoły — taneczny i śpiewaczy. Chcemy założyć kółko ogrodnicze. Są do tego podstawy, bo niemal każdy z nas ma ogród, a ZG ma z kolei prelegentów, którzy mogliby nas zapoznawać z najnowszymi osiągnięciami w tej dziedzinie. Jeśli zaistnieją takie potrzeby, możemy również służyć gościnnością szerokiej rzeszy pezetkaowców.

Kiedy rozmawiałam z prezesem, nowy Dom PZKO rozbrzmiewał gwarem licznie przybyłych na uroczystość gości. Podziwiali pięknie stylowo wykończone wnętrze domu, oglądali prace wystawione przez członków klubu twórców SF Gustawa Brudnego, Jana Heczkę, Pawła Martynka, Pawła Mazura. Oglądali zdjęcia z historii Koła i Świąt Gorolskich. Cudowna odświętna atmosfera panowała również przed domem, gdzie w hołdzie dla budowniczych występowały tym razem jeszcze gościnne zespoły „Łączka", „Gorol" i „Wisła".

Oby w tym domu, tak jak na otwarciu, rozbrzmiewała zawsze radość, śpiew i słowo polskie, oby trafili do niego wszyscy członkowie Koła, by był dla nich, jak powiedział pięknie w swym przemówieniu Władysław Młynek, prawdziwym domem kultury i oświaty, drugim domem rodzinnym.

ELŻBIETA WANIA


DOM
PZKO


40 lat PZKO

OTWARCIE DOMU PZKO W MILIKOWIE--PASIEKACH

W sobotę 5 września otwarty został kolejny Dom PZKO w Milikowie-Pasiekach (na zdjęciu aktu przecięcia wstęgi dokonuje przewodniczący ZG PZKO dr Stanisław Kondziołka wraz z przewodniczącym MRN w Bystrzycy Józefem Špilerem). Trwające dwa dni uroczystości otwarcia uświetniły swoimi występami zespoły Podbeskidzia. PZKO-wcy tej części Milikowa włączyli się w ten sposób do niebagatelnej liczby Kół — właścicieli własnego przybytku życia kulturalnego (Koła te stanowią już dziś 60 % ogółu). Przez ponad 30 lat, bo w roku 1956 doszło do podziału Koła na Milików--Centrum i Milików-Pasieki, czekali milikowianie z Pasiek na własny Dom PZKO. Nowy obiekt wzniesiony został w ciągu dwóch i pół roku, a członkowie Koła przepracowali na budowie 34 tysięcy godzin, pociągnięci przykładem prezesa, Władysława Dronga, który wraz z synami ma na swoim koncie ponad dziesięć tysięcy godzin w czynie społecznym. Ofiarność milikowian pozwalają żywić nadzieję, że wszystkie siły skierują teraz na ożywienie życia kulturalno-oświatowego w murach swojego wspólnego domu.







fot. JAN NOGA

POLSKA W BRNIE

W naszej prasie, w audycjach radiowych i telewizyjnych więcej było w tym roku w porównianiu z poprzednimi materiałów, przybliżających jesienne Międzynarodowe Targi Maszynowe w Brnie. Niejeden z kolegów-publicystów przypisywał to zainteresowanie, poparte zwłaszcza niezwykle liczną obecnością zwiedzających, rosnącemu znaczeniu nauki i techniki, górnolotnie doszukiwali się nawet wpływu nowej strategii ekonomicznej. Może jest w tym coś z prawdy, o rekordowej liczbie zwiedzających zdecydowało jednak z całą pewnością premierowe wystawienie nowego modelu samochodu Škoda. Przed stoiskiem Motokowu, jak również wewnątrz wokół czterech wystawionych modeli, widać było niezmiennie tłumy gapiów — ludzi, dla których liczyło się tylko „widzieć". Była to potrzeba tak nieodparta, że dochodziło nawet do bójek, byle tylko dotrzeć w pobliże nowego samochodu i ... pomarzyć. Ci, którym żal było czasu i nie chcieli ryzykować poturbowania, zwiedzali sąsiednie stoiska, w których nowe modele prezentował Peugeot, Renault, japoński Isuzu, Mercedes; w końcu inni też potrafią wyprodukować całkiem ciekawe samochody ...

Wizyta na targach brneńskich była dla mnie okazją do zapoznania się między innymi z tym, co prezentowała Polska. Oceniając całościowo jej obecność zwróciłem uwagę na pewną niby to banalną cechę, w handlu jednak bardzo ważną: prawie wszystkie stoiska i eksponaty polskie robiły wrażenie szarych, zwyczajnych, wyglądem zewnętrznym nie przyciągały widza. Wśród tysięcy podobnych maszyn o podobnej jakości trzeba jednak czegoś więcej, by skutecznie oferować własną produkcję. W trzech stoiskach miałem okazję porozmawiać z przedstawicielami wystawców.

Leon Ogrodowski, przedstawiciel firmy KOPEX, jest na targach w Brnie już po raz 25., od dwudziestu siedmiu lat działa jako handlowiec na rynku czechosłowackim. Przedsiębiorstwo Handlu Zagranicznego KOPEX proponuje m. in. kombajny i obudowy górnicze i wiele innych, można więc było oczekiwać, że zajmie większą przestrzeń. Było jednak inaczej ...

L. OGRODOWSKI: — Uważam, że nie ma sensu wystawiać urządzeń znanych, np. kombajnów KWB 3 RDU itp., to są tony żelaza, a co za tym idzie duże koszty transportu i opłat za ekspozycję. Dlatego wystawiamy eksponaty drobniejsze, zwłaszcza z zakresu małej mechanizacji, a z większych jest jedna sekcja obudowy Glinik, która jest o tonę lżejsza od normalnej, przy zachowaniu tego samego materiału. To obniżenie wagi osiągnięto poprzez zmiany konstrukcyjne. Ta obudowa jest stosowana w CSRS na razie tylko na kopalni „Dolina" Velký Krtiš, jest

dostosowana do potrzeb tej kopalni. Każdy rok kierujemy mniej więcej tysiąc takich sekcji do ZSRR.

— A zainteresowanie ze strony kopalń czechosłowackich?

— Dużo zwiedzających pyta o nią, dla wspomnianej kopalni „Dolina" mamy zapotrzebowanie na rok 1989 na następny kompleks wydobywczy z tą obudową.

— Mała mechanizacja to temat rozmów najczęściej wśród tych, którym powinna ułatwić pracę — wśród górników. Czy spotyka się również z zainteresowaniem handlowców?

— Zainteresowanie jest duże, nawet nie przewidzieliśmy, że będzie aż tak wielkie, zabrakło nam prospektów. Jest to towar chodliwy, należy przecież o górnika dbać, pomóc mu, żeby jego praca była lżejsza. Mamy tu np. urządzenia do przecinania lin, łańcuchów, nakrętek, cały szereg podnośników pneumatycznych.

— Brak prospektów to jeszcze nie tragedia, ważne, by nie zabrakło samych produktów!

— Producent jest w stanie zapewnić każdą ilość mechanizmów według zamówień. Chodzi tylko o to, by te zamówienia były.

Telewizja czechosłowacka poświęciła wiele uwagi stoisku Przedsiębiorstwa Handlu Zagranicznego Labimex, a zwłaszcza ekspozycji firmy Plastomed. O przedstawienie eksponatów poprosiłem przedstawicielkę firmy Krystynę Cippert.

K. CIPPERT: — Wydaje mi się, że przyczyną zainteresowania naszym stoiskiem są potrzeby rynku czeskiego szczególnie w dziedzinie wyposażenia la-

Koło nowej Škody — Favorita zbierały się codziennie tłumy gapiów — oby za rok podobnie nie trzeba było nam stać w kolejce przed Mototechną ...



fot. PIOTR PRZECZEK

boratoryjnego, ponieważ do tej pory sprzęt, jaki prezentujemy w Brnie, był tu sprowadzany za dewizy. Podstawową naszą produkcją są pipety automatyczne, które powodują, że laboranci nie muszą się obawiać chorób zawodowych, wynikających ze stosowania pipet szklanych. Praca ta jest znacznie łatwiejsza, szybsza i dokładniejsza. Produkujemy cały szereg takich pipet, umożliwiających dozowanie automatyczne w granicach od 2 do 5 000 mikrolitrów.

Wyrobem, który zgłosiliśmy do złotego medalu, jest dispensor-dilutor, który pozwala na seryjne dawkowanie — do 48 doz z jednej pobranej dawki, przy czym wszystkie dawki mają ogromną dokładność. Jego rewelacyjność polega na tym, że oprócz dawkowania umożliwia pobieranie dwu różnych cieczy, a więc np. rozcieńczanie badanej surowicy już w pipecie.

— Z jeszcze większym zainteresowaniem spotkało się w waszym stoisku inne, bardziej skomplikowane urządzenie ...

— Tak, jest nim analizator równowagi kwasowo-zasadowej krwi, który może dobrze konkurować z podobnymi urządzeniami zachodnimi. Mierzy trzy podstawowe parametry, pozostałe wynikają z obliczeń, zaś wszystkie wyniki można odczytać na displayu lub równolegle z taśmy drukarki.

— Czy Plastomed podpisał już jakieś kontrakty?

— Rozmowy są dopiero zapowiedziane, niemniej już od pewnego czasu rynek czechosłowacki jest drugim co do wielkości dla naszych wyrobów po ZSRR. Cieszy nas to tym bardziej, że technika zdrowotna stoi w Czechosłowacji na wysokim poziomie, szpitale są nieźle wyposażone i cieszymy się, że przy pomocy naszych wyrobów możemy się do ich uzupełnienia przyczynić.

Najbardziej imponujące wrażenie spośród wszystkich polskich ekspozycji w Brnie robił Agromet-Motoimport, obok niego prezentował jednak swoje wyroby — np. Kombajny E 512 — Forschritt z NRD, który od lat dominuje na rynku czechosłowackim. Dyrektora delegatury Agrometu w Pradze Feliksa Wojakowskiego zapytałem więc, jak czuje się w tym sąsiedztwie?

F. WOJAKOWSKI: — Doskonale, ponieważ nasze kombajny nie są gorsze, wręcz przeciwnie. Mamy tu np. kombajn Bizon Gigant o zwiększonej przepustowości zboża. Nie sprzedajemy tych ilości co Forschritt, ich kombajnów pracuje tu podobno 15 tysięcy, a naszych dopiero 2 tysiące ...

— A będzie więcej?

— Zainteresowanie jest, w tym roku dostarczyliśmy tylko 50 sztuk, ale w przyszłym liczymy z większym kontraktem, w granicach 250—300 sztuk chcemy utrzymać roczne dostawy. To jeden z podstawowych tematów naszych rozmów, ale są i inne maszyny. Od lat dostarczamy np. rozsiewacze nawozów, linie do zbioru kamieni, a w tym roku po raz pierwszy proponujemy kombajny do zbioru ziemniaków. Jest podpisany kontrakt na 150 sztuk na rok. Jest ciekawa linia z wyorywaczem, rządkowaczem i ładowaczem kamieni, czyli urządzenie, które na wielu polach chroni przed uszkodzeniem inne maszyny. Niedawno był u mnie dyrektor Instytutu Sadownictwa i Ogrodnictwa ze Skierniewic, spotkał się tu z kolegami z SEMPRY, wymienili poglądy na temat własnej produkcji maszyn i urządzeń oraz możliwości współpracy. Powstaje np. możliwość produkcji w ramach kooperacji obydwu przedsiębiorstw.

— Nawiązywanie współpracy pomiędzy zakładami, instytutami to chyba specyfika tych targów?

— Tak, tu pokazuje się dużo instytutów, gospodarstwa rolne, zakłady produkcyjne, dowiadujemy się, jak działają nasze maszyny, nawiązywane są nowe kontakty, tak więc targi to nie tylko handel, kontrakty, ale i pogłębienie współpracy.

PIOTR PRZECZEK

PEZETKAOWCY INACZEJ

spotkanie 11.

AUTOBUSY ...

Dziś mowa będzie oczywiście o autobusach, które zbliżają się „zapłakane deszczem" do przystanku, i do tego dokładnie co do minuty, i do tego zimą ogrzane, czyste i w dodatku z miejscami siedzącymi napawającymi nas radością. Już mniej sympatyczne, i wówczas odczuwają to kierowcy, wydają nam się zapchane do granic oddychania, spóźnione albo w ogóle ... nieobecne. I wówczas się zaczyna ... Inżynier Jan Trombik jest kierownikiem wydziału transportu i komunikacji frydeckomisteckiego zakładu przedsiębiorstwa państwowego ČSAD, liczącego w okręgu północnomorawskim 12 tys. pracowników. Jest dobrze zorientowany w sprawach emocji, bo ludzie lubią pisać listy i przesyłać je gdzie trzeba: od kancelarii prezydenta po jego stół w biurze na I piętrze.

— *Skąd biorą się wasze kłopoty?*

— Największym problemem jest stan techniczny autobusów. Już parę lat nie udaje nam się dotrzymywać zasad odnowy parku autobusowego, czyli wymieniać w określonym czasie stary autobus za nowy. Powodów jest kilka, ale do najważniejszych należą dwa: ograniczone zdolności przerobowe KAROSY z Wysokiego Myta i ograniczone możliwości finansowe naszego przedsiebiorstwa.

— *Jaki jest „emerytalny" wiek autobusu?*

— Jego żywotność ustalają przepisy na sześć lat. W tym czasie amortyzacja dorównuje cenie nabycia i należałoby kupić nową maszynę. Niestety, nasze autobusy jeżdżą w dalszym ciągu jeszcze przez dwa, trzy lata.

— *A więc nie ma maszyn, a potem pono jeszcze „nie ma ludzi" ... Dlaczego zawód kierowcy przestał być zawodem atrakcyjnym, ośmielę się powiedzieć, prestiżowym.*

— Rzeczywiście obserwujemy spadek zainteresowania tym zawodem. Powiem pani, jaka była dotychczasowa praktyka przyjmowania nowych kierowców autobusów. Piętnaście lat temu przychodził chętny i otrzymywał na początek lekki samochód do rozwózki

mleka, piwa, lemoniad, po pewnym czasie przesiadał się do ciężarówki-wywrotki, a za trzy lub pięć lat otrzymywał swój upragniony autobus. Ludzie w wioskach go lubili, szanowali, zwierzali mu się nieraz, on zaczekał, jeśli komuś zdarzyło się zaspać. Teraz połączeń przybyło, kierowca stał się bardziej anonimowy, warunki pracy nie są zresztą najlepsze. Największym kłopotem jest na przykład to, że przerwy pomiędzy kursami musi spędzać zazwyczaj poza domem, a nie wliczają mu się do czasu pracy. Wychodzi na kurs o siódmej rano, wraca następnego dnia o tej samej porze, a zarobił za trzynaście godzin.

— *A zarobił chociaż dobrze?*

— No, nie najgorzej. Można powiedzieć, że dobrze.

— *To może my staliśmy się bardziej nerwowi, pozbawieni poczucia humoru?*

— I dlatego dziś kierowcy zostają już przy tych ciężarówkach. Z „sypkim substratem", jak nazywają ładunek, przyjemniej się czasem jedzie, bo mu się aż tak nie spieszy i jest mu obojętne, kiedy będzie na miejscu. A pasażerowi nie.

— *I słusznie ...*

— I słusznie, ale może się zdarzyć, że na drogach korek, wielka frekwencja, kierowca musi dotrzymywać zasad bezpieczeństwa i ... spóźni się. Zdarza się to zazwyczaj na dłuższych trasach na przykład Morawka — Ostrawa, Jabłonków — Ostrawa. Spóźnienie z Trzyńca okaże się nieprzyjemne w skutkach dopiero w Cierlicku, bo aubotus do Olbrachcic właśnie odjechał, nie mogąc czekać, bo rozwiązałoby się następne połączenie. I winny jest oczywiście kierowca, który w dodatku nie ma ani czasu, ani szans, ani potrzebnej elokwencji, żeby to wszystko wytłumaczyć. Zresztą, pasażer nie chce słuchać tłumaczeń. On przyszedł, bo tu jest napisane, że autobus tak pojedzie, to powinien jechać bez względu na warunki atmosferyczne i drogowe.

— *Ale nie zawsze warunki na drogach są tak nieprzychylne.*

— Zdarzają się nawet optymalne i ... znowu kłopot. Kierowca jedzie szybciej, by nie dusić silnika na drugim biegu, przyjeżdża wcześniej i stoi trzy minuty. A tu podchodzi do przodu górnik i swoimi słowami mówi do niego coś, co można by streścić do „Co stoisz, ty ...?" A to są dosłownie minuty. Bo jeśli różnice są większe niż pięć minut, to kierowca, taki jest zwyczaj, musi się tłumaczyć, wykazywać, znowu ma kłopoty.

— *Kierowca powinien więc przejść kurs psychologa.*

— Oni się asekurują i mówią: Powinniście być pięć minut przed odjazdem. A to nieprawda. Z drugiej strony, powstałych z powodu naszego spóźnienia szkód nie wynagradzamy. Takie są przepisy. Swego czasu pewien gość z Grodziszcza chciał polecieć do Nowego Jorku, ale autobus nie jechał. Samolot odleciał bez niego, on pisał skargi, niestety ...

— *Gdyby miał pan te możliwości, to znaczy autobusy i kierowców, to gdzie dodałby pan połączeń?*

— Są takie niemiłe sprawy, jeśli chodzi o trasy Jabłonków — Trzyniec (chodzi przede wszystkim o hutników) i Czeski Cieszyn — Karwina (dotyczy studentów). Autobusy są przeciążone do maksimum, ludzie woleliby pojechać tym środkiem komunikacji, bo jest wygodniejszy, przystanki są bliżej miejsca zamieszkania i pracy czy szkoły niż połączenia kolejowe. A my nie możemy dać im zniżki. Jest to fizyczna niemożliwość.

— *I nie ma na to rady?*

— Mamy kłopoty z dowiezieniem do pracy hutników zamieszkujących miejskie dzielnice Trzyńca. Rano musimy podstawić 27 autobusów, w czasie szczytów komunikacyjnych kierowcy mają robotę, a potem w czasie najniższego nasilenia, my nazywamy je siodłem, muszą czekać, za darmo.

— *To znaczy, że nawet warunki pracy kierowców nie ulegną poprawie?*

— Byłaby pewna nadzieja, która zabłysnęła nam w czasie zwiedzania tegorocznych

targów brnieńskich. KAROSA wystawiała nowy model autobusu przegubowego, zbliżonego do IKARUSA, może nawet bardziej pojemnego. Mówię: może, bo niestety, nie było na targach nikogo, kto udzieliłby dogłębnych informacji, ale za to było pełno kierowców, którzy przejawiali wielkie zainteresowanie. Konstruktorzy wychodzili z produkowanych dziś autobusów C 734 doczepiając do tego jeden przegub i przyczepę. Teraz czekamy, co powie producent, w jakich seriach będzie je produkował. Wiadomo, im więcej będziemy mieli autobusów przegubowych, tym bardziej poprawią się warunki podróżowania a przede wszystkim pracy kierowcy. Obliczyłem, że wówczas zamiast 27 autobusów wystarczyłoby ich 20. Dążymy do tego, że o ile zaprosimy kierowcę do pracy na osiem godzin, to on te osiem godzin przepracuje a nie zmarnuje na postojach bez zarobku ...

— Ale to sprawa dalszej przyszłości. Natomiast bardziej aktualne jest to, że wy co roku wydajecie nowe rozkłady jazdy. Po co?

— To jest rzeczywiście niedorzeczne pytanie ...

— Dlaczego?

— Bo ... my sami nie wiemy. Ale tak jest od dwudziestu lat i takie są przepisy i wasze, pasażerów, rad narodowych i przedsiębiorstw, prawa. Co roku we wrześniu podróżni mogą zgłaszać wnioski i my je w miarę możliwości powinniśmy brać pod uwagę. Ale możliwości, to znaczy w praktyce nowe połączenia, są niewielkie. Zresztą nawet interesy mieszkańców tej samej wioski są czasami sprzeczne. Tak było swego czasu w Kocobędzu. Jedna część wioski chciała, by autobus jechał zgodnie z rozkładem, a druga część, by o godzinę później. Na zebranie przyszła bardziej liczna reprezentacja drugiej części i wniosek przeforsowała. Pierwsi byli niezadowoleni. Poczekali rok i teraz zjawili się oni w komplecie. My musimy respektować wnioski mieszkańców, ale także zasady ekonomiki, aby autobus nie woził dwu ludzi, tylko, ale nie powiem ilu, bo to są takie nasze tajne zasady ...

— A nie można by wprowadzić na takich trasach mniejszych autobusów, kilkunastoosobowych?

— Tak, w niektórych krajach się to praktykuje, ale my, niestety, nie mamy producentów. Takie autobusy wykorzystywane były swego czasu wyłącznie do celów wycieczkowych.

— Bierzecie pod uwagę rozkłady jazdy kolei?

— Bierzemy, chociaż czytelnicy mogą teraz zaprzeczyć. Nie zawsze nam się to bowiem udaje. Podam pani przykład. Kolej przesyła nam wprawdzie swoje tak zwane „projekty robocze" rozkładu jazdy i my według nich robimy swoje rozkłady, dotyczące poszczególnych stacji kolejowych od Mostów do Czeskiego Cieszyna. Ale w ostatecznym wydaniu ktoś „rusza" jednym pociągiem i nasz rozkład jest do niczego, bo jest już w druku i nie można go zmienić.

— No i co wtedy?

— Wtedy my wydajemy, w wyjątkowych wypadkach, „rozporządzenie o zmianie". Przylepiamy na słup, ono sobie powisi pół godziny, pół dnia, ale nie dłużej. I to nawet wystarczy, by zainteresowani dowiedzieli się, że autobus jedzie przypuśćmy o 7 a nie 7.05. Ale tu przyjeżdża gość z innego miasta, kupił sobie za dwadzieścia jeden koron nasz rozkład jazdy ...

— ...?

— ... tak, teraz już tyle kosztuje, bo przybywa kartek, i rozkład jest do niczego, bo rzeczywistość już inna. Czyli, podkreślam, wnioski przyjmujemy tylko do września, maksymalnie października. Choć zdarzył się taki wypadek, kiedy w hucie trzynieckiej zmieniono czas rozpoczęcia pracy urzędników. Nie chcieliśmy komplikować im życia i dokonaliśmy zmian u czterdziestu autobusów.

— Na razie rozmawialiśmy wyłącznie o sprawach komunikacji autobusowej, ale pan ma w swojej kompetencji również transport towarów. W bazach rozmieszczonych

od Frydlantu przez Czeski Cieszyn, Trzyniec po Jabłonków są oprócz autobusów również samochody ciężarowe, a tu we Frydku-Mistku kamiony?

— Mają swoją bazę tam za tymi kominami, ale teraz są na trasie. Załadunek rozpoczynają w poniedziałek rano, w południe wyjeżdżają, by skończyć robotę w piątek późnym popołudniem, bo wiadomo, że wprowadzone od pięciu lat ograniczenia zabraniają poruszania się kamionów po drogach w czasie weekendu.

— *Kto z nich korzysta?*

— Najczęściej wożą celulozę z Celpaku, wyroby ze Slezanu, sporo wyjeżdża po książki do Czeskiego Cieszyna, a stamtąd do Anglii, zabierają chemikalia z zakładów Urxa w Ostrawie i inne. Oprócz Monako i Lichtensteinu można nasze samochody spotkać we wszystkich krajach Europy, a także na Bliskim Wschodzie.

— *Samochody z refestracją FM?*

— Tak, z boku są oznakowane symbolem naszej firmy i numerem 703 Ostrawa.

— *Wyobrażam sobie, że zajęcie tych kierowców jest bardziej atrakcyjne niż wożenie zdenerwowanych pasażerów. Jakie są kryteria przyjmowania kierowców?*

— Kierowca musi być jednocześnie automechanikiem. Nie możemy sobie z wiadomych względów pozwolić na korzystanie z usług naprawczych w krajach zachodnich. Kierowca musi doskonale znać konstrukcję swego samochodu, dalej mieć nienaganną opinię z miejsca pracy i zamieszkania, znać język niemiecki, rosyjski, częściowo angielski ... i mieć dobre nerwy. Opowiem pani przygodę, jaka spotkała kolumnę naszych samochodów wiozących towar do Bagdadu. Na Bliski Wschód wysyłamy dwa — trzy razy w roku po pięć kamionów. Najbardziej dramatyczny odcinek to Turcja, gdzie grasują bandyci. Samochód wyjeżdża zza zakrętu a tu nagle drogę tarasuje mu barykada składająca się z około trzydziestu leżących dzieci. Samochód staje, dzieci wstają pokazując jednocześnie, że coś by chciały, to znaczy wszystko: od cukierków po papierosy. Nad całością transakcji czuwa na drzewie, zaopatrzony w dobitne środki persfazji (najczęściej jest to karabin), tatuś. Kierowca musi udobruchać dzieci i pilnować, by tatuś z kompanami nie dobrał się nożem do brezentu, a w kolejności do towaru. Potem kolumna przyjeżdża czterdzieści kilometrów pod Bagdad i dowiaduje się, że nasze ministerstwo handlu zagranicznego źle obliczyło czas i ramadan jeszcze się nie skończył, nie ma więc kto rozładować towar i trzeba parę dni poczekać. I to jest egzotyka podróży naszych kierowców.

— *Ale widzą przynajmniej kawał świata.*

— Czasami nawet nie, bo ktoś musi pilnować samochodu.

— *A jakie to samochody?*

— Mamy kilka mercedesów, kilka wozów VOLVO a reszta to nasze Škody-LIAZ, które w naszych warunkach wychodzą nas najbardziej ekonomicznie jeśli chodzi o części zamienne, ale przeważnie nie stosujemy ich do przewozu towarów dalej niż do RFN, Holandii i Belgii. Powodem jest brak w innych krajach, takich jak na przykład Hiszpania, serwisu. W ostatnim jednak czasie nasz producent dzięki mierzeniom sił w wyścigach Paryż—Dakar dobrze się ustawił, zdobył uznanie na tamtejszych rynkach i może, jeśli dalej od nas położone kraje zakupią więcej samochodów, będzie łatwiej o serwis.

— *A gdzie na liniach krajowych posyłacie co rano najwięcej ciężarówek?*

— Między innymi do browaru w Noszowicach. W okresie letnim dajemy im do dyspozycji ponad czterdzieści wozów, zimą około trzydziestu. Co ciekawe, ostatnio rosną dostawy piwa zimą. Zatraca się różnica między szczytem i siodłem. Tak więc kierowcy latem pracują w nadliczbówkach, a zimą nie mają czasu odpocząć. Piwo z Noszowic chcieliby zamawiać odbiorcy, którzy dotąd nie byli na liście, na szczęście zdolność produkcyjna browaru jest ograniczona, mówię na

szczęście, bo my musielibyśmy zapewnić transport, a nikt nie pytałby nas, w jaki sposób.

— *Naszą rozmowę rozpoczęliśmy od autobusów i proponuję zakończyć ją pańską refleksją z własnej podróży tym środkiem lokomocji.*

— To prawda, że codziennie przejeżdżam do pracy 30 kilometrów i widzę, co dzieje się na trasie. Po pierwsze wydaje mi się, że w przepełnionych autobusach panowałaby lepsza atmosfera, gdyby młodzież dojeżdżająca do szkół nie egzekwowała prawa do miejsca siedzącego za wszelką cenę. W ciągu trzech pierwszych minut jazdy od razu zasypiają, żeby nie musieć niczego rejestrować. Widziałem pewnego razu uczepionego w tłoku pana inspektora w wieku emerytalnym, jak patrzył na te swoje owieczki i stał z Trzyńca do Frydku-Mistku. Innym razem kierowca musiał walczyć o siedzenie dla pasażera-inwalidy. To tylko kilka przykładów.

Z drugiej strony cieszy nas zawsze, jeśli nam, przedsiębiorstwu ČSAD, uda się zrealizować chociażby jeden z postulatów pasażerów. Ostatnio po wybudowaniu drogi przez Osówki i przez jedną z dzielnic Gutów mogliśmy wprowadzić nowe połączenia. Ludzie mają bliżej do miasta, ubyło im „pieszego chodnika". Chcielibyśmy pomóc tak samo mieszkańcom Łomnej, Jabłonkowa, Wędryni, Tyry, Cieszyna, Kocobędza i innych miejscowości, ale to kwestia najbliższej przyszłości. Jesteśmy przekonani, że przygotowywany projekt ustawy o przedsiębiorstwie państwowym umożliwi nam wykorzystanie w pełni wszystkich nowych zasad dla lepszej realizacji uzasadnionych żądań naszych klientów — obywateli Śląska Cieszyńskiego.

OTYLIA TOBOŁA



fot. TADEUSZ WRATNY

ODGŁOSY WIELKIEGO PAŹDZIERNIKA NAD OLZĄ

[3]

PIERWSZE DEKRETY
WŁADZY RADZIECKIEJ

Wieści o nowej rewolucji i zwycięstwie bolszewików niezmiernie szybko dotarły nad Olzę. „Robotnik Śląski", organ Polskiej Partii Socjalno-Demokratycznej Śląska i Moraw, już 10 listopada 1917 r. donosił: *W Petersburgu zwyciężyła rewolucja. Na czoło wysuwa się znów Lenin, proponuje on natychmiastowe zakończenie wojny (...), oddanie i rozdzielenie obszarów rolnych pomiędzy chłopów i uregulowanie sprawy gospodarczej.*

Informacje z Piotrogrodu nadeszły w atmosferze ogólnego wyczerpania wojną, tragicznej sytuacji aprowizacyjnej oraz rosnącej z każdym dniem radykalizacji nastrojów. W potężnej fali rozruchów i strajków na terenie regionu w przeddzień wystrzału z Aurory poza postulatami ekonomicznymi stopniowo mnożyły się hasła o charakterze politycznym. Stąd też słynne dekrety o władzy radzieckiej, o parcelacji ziemi obszarniczej i oddaniu jej w posiadanie chłopa oraz o pokoju, które zostały uchwalone w chwili ostatnich wystrzałów w walce o pałac Zimowy, stały się potężnym bodźcem w kierunku aktywizacji i uświadomienia klasowego proletariatu na terenie Śląska Cieszyńskiego. Prasa socjalistyczna, jak „Robotnik Śląski", „Górnik", „Dělnický deník", „Duch času" czy opawska „Schlesische Volksstimme" z nie tajonymi oznakami sentymentu pisały o władzy radzieckiej.

Zresztą nawet pozostała miejscowa prasa nie zaryzykowała zniekształcenia wydarzeń rosyjskich, utrzymując swe relacje w tonie sprawozdawczym. „Gwiazdka Cieszyńska", „Ślązak" czy „Dziennik Cieszyński" wyraźnie wyczekiwały rozwoju nowo zaistniałej sytuacji. *Powstaje pytanie* — pisała „Gwiazdka Cieszyńska" 20 listopada 1917 r. — *czy zwycięstwo bolszewików będzie trwałe.*

Inaczej wyglądało spojrzenie na władzę radziecką pod kątem realnych możliwości zaprzestania działań wojennych. Świadczy o tym chociażby retoryczne pytanie na łamach powyżej cytowanego czasopisma: *Czy jeszcze przed Nowym Rokiem zawita tak tęsknie wyglądany i upragniony pokój, choćby częściowy.*

Katastrofalne warunki zaopatrzeniowe jeszcze bardziej skomplikowało nadejście zimy 1917/18 oraz rozporządzenie władz wiedeńskich o wywozie artykułów żywnościowych do krajów rdzennie austriackich. Nakaz rządu wiedeńskiego miał zapobiec rewolu-

cyjnemu fermentowi w Austrii. *Część zbiorów tegorocznych* — buntował się „Robotnik Śląski" (nr 89 z 7 XI 1917 r.) — *została przeznaczona na wywóz do Wiednia. (...) Zaznaczamy przy tym, że pomimo dotkliwego braku mleka na Śląsku arcyksiążęca Komora Cieszyńska przerabia dziennie około 7 000 l mleka na masło, które wywozi do Wiednia i tam sprzedaje po słonych cenach. Czy przemysłowy Śląsk ma oprócz produktów przemysłowych zasabiać jeszcze Wiedeń w żywność.*

Trudności materialne spowodowały nieustannie rosnącą spekulację, godzącą przede wszystkim w proletariat. W jego interesie pismo robotnicze często poruszało kwestię tzw. czarnego rynku. Zajrzyjmy do jednego z październikowych numerów z roku 1917: *Istne orgie dzieją się obecnie we frysztackich sklepach z bielizną. Ceny rosną z szybkością zupełnie nieprawdopodobną. „Znajomym" ze wsi sprzedaje się kalesony po 20 do 30 koron w zamian za masło, mleko, jajka itp. Nie inaczej jak z bielizną przedstawia się sprawa z innymi ubraniami. O podobnych sprawach donoszą nam z całego kraju, a nie ma władzy, która by poskromiła lichwiarzy. Łatwo zrozumieć, jak trudno przychodzi ludności robotniczej lub mniej zamożnej inteligencji zaopatrzyć się w najkonieczniejszą bieliznę i ubrania na zimę.*

W tych warunkach wszyscy z nadzieją oczekiwali pozytywnego zakończenia pertraktacji pokojowych w Brześciu pomiędzy przedstawicielami władzy radzieckiej i państw centralnych. W rokowaniach brzeskich widziano realną zapowiedź zakończenia kataklizmu wojennego. Warunki stawiane przez delegację niemiecką spowodowały przerwanie rokowań, co doprowadziło do strajku powszechnego w całej monarchii habsburskiej. W niektórych kopalniach Zagłębia Ostrawsko-Karwińskiego już 18 I 1918 r. przerwano pracę, a cztery dni później strajkowało całe zagłębie węglowe. Organizowane w czasie strajku manifestacje pod względem liczby uczestników przerosły wszystkie poprzednie (w Orłowej około 25 tys., w Ostrawie około 20 tys. uczestników). Podobne manifestacje i zebrania organizowali robotnicy huty trzynieckiej w czasie dwudniowego strajku w dniach 22—23 stycznia 1918 r. Proletariat naszego regionu zgodnie z postulatami mas pracujących całej monarchii żądał zniesienia nadzoru wojskowego fabryk, praw politycznych i narodowych, poprawy rozpaczliwych warunków materialnych oraz szybkiego zawarcia pokoju. Pod wrażeniem tak potężnej fali strajków i manifestacji „Robotnik Śląski" (23 I 1918 r.) w artykule zatytułowanym „Strajk dla pokoju, chleba i praw" z pełną satysfakcją stwierdzał: *Z proletariatem stolicy wobec zagrożonych rokowań porwał się i nasz lud do czynu. A był to czyn potężny. Takiego strajku imponującego, całkowitego wstrzymania pracy jeszcze Śląsk nigdy nie widział. Opustoszały zakłady hutnicze w Witkowicach i wszystkie fabryki ostrawskie, opustoszały również kopalnie całego Zagłębia, huty w Boguminie i Frysztacie. Lud roboczy z Trzyńca przywdział też szatę odświętną do walki o pokój, chleb i prawa. Podniósł głośny protest przeciw tym, którzy chcą wojnę przeciągnąć dla celów zaborczych, przeciw Prusakom i wszechniemieckim aneksjonistom. Pierwszy to raz nasz lud roboczy podniósł swój głos w sprawach międzynarodowych stosunków państwowych.*

Miejscowy proletariat uwierzył w swą siłę. Strajki, które przebiegały początkowo żywiołowo, w większych zakładach pracy bardzo często tylko w pojedynczych oddziałach, przybierały charakter organizowanych, masowych, ogólnozakładowych czy nawet powszechnych wystąpień proletariatu.

16 maja 1918 r. wybuchł w hucie trzynieckiej strajk, w którym uczestniczyli wszyscy hutnicy. Przerwali oni pracę na skutek odmowy dyrekcji pertraktowania z przedstawicielami Związku Metalowców o swych postulatach. Przyprowadzeni gwałtem do huty robotnicy uciekali z niej i ukrywali się w okolicznych lasach. Dopiero wysłane do Trzyńca dwa oddziały wojska zmusiły strajkujących hutników do podjęcia przerwanej pracy.

Zapoczątkowana w sierpniu 1918 r. w Monarchii Austro—Węgierskiej potężna fala strajków i demonstracji trwała właściwie

do końca jej istnienia. Państwa centralne nie były w stanie skutecznie przeciwstawić się letniej ofensywie aliantów. Widmo klęski i nieuchronnego rozkładu Austro-Węgier, bezsilny aparat państwowy, wojsko w rozsypce lub solidaryzujące pod wpływem Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej z wystąpieniami proletariatu dawały masom pracującym realną szansę zwycięstwa w walce klasowej z burżuazją.

Zwycięstwem hutników zakończył się największy w historii huty trzynieckiej strajk, który rozpoczął się 2 września 1918 r. W wyniku negatywnego ustosunkowania się dyrekcji do żądań robotników cała załoga opuściła zakład. Nawet 180 żołnierzy, wzmocnionych 7 września przez kolejne posiłki, oraz specjalnie wysłany z Wiednia generał nie opanowali sytuacji, mimo iż ministerstwo wojny domagało się zmuszenia wszelkimi środkami robotników do pracy. Mało skuteczne okazało się zajęcie przez wojsko konsumu zakładowego, głównych linii komunikacyjnych do Trzyńca czy sprowadzanie robotników przemocą do pracy. Niepoślednią rolę odegrała młodzież trzyniecka, będąca łącznikiem między komitetem strajkowym a strajkującymi. Bacznie obserwowała ona wszystkie kroki oddziałów wojskowych w okolicznych wsiach, by w porę ostrzec robotników przed grożącym niebezpieczeństwem.

Po niespełna dwu tygodniach dyrekcja zakładu została zmuszona do uznania Związku Metalowców za reprezentanta interesów hutników, jak również do wprowadzenia nowej, korzystniejszej dla robotników tabeli płac.

Pod hasłami wypisanymi na sztandarach bolszewików przebiegły uroczystości pierwszomajowe 1918 r. Demonstracje w dniu Święta Pracy odbyły się we wszystkich większych ośrodkach miejskich i przemysłowych. Dyrekcja huty w Trzyńcu w obawie przed wystąpieniami hutników, inspirowanych zwycięstwem proletariatu rosyjskiego, zwolniła robotników dziennej zmiany w celu umożliwienia im udziału w manifestacji pierwszomajowej. Masowy udział w obchodach pierwszomajowych przypomniał robotnicze wystąpienia z lat przedwojennych w okresie szczytowej radykalizacji. Uroczystości pierwszomajowe 1918 r. właściwie były ostatnią potężną wspólną akcją proletariatu na pograniczu cieszyńskim i morawskim bez względu na różnice narodowościowe.

Obiektywny i wyczekujący ton prasy różnych ugrupowań miejscowej burżuazji w stosunku do Zwycięskiego Października w Rosji w wyniku reform społeczno-ekonomicznych władzy radzieckiej zmienił się w wrogi, a nierzadko nawet w szkalujący. Punktem najbardziej zjadliwych ataków stała się parcelacja ziemi obszarniczej. W atakach na rozporządzenia nowej władzy celował przede wszystkim endecki „Dziennik Cieszyński".

Nieuchronny rozkład monarchii habsburskiej wyłonił kwestię realnej możliwości utworzenia na jej gruzach samodzielnych organizmów państwowych. Radzieckie hasło samostanowienia narodów inspirowało miliony prostych członków ujarzmionych narodów. W kraju nad Olzą, w którym tradycja działalności na niwie narodowej zapuściła tak głębokie korzenie, w warunkach rywalizacji germańsko-słowiańskiej, a od końca XIX w. polsko-czesko-niemieckiej, problem przynależności państwowej stopniowo zdominował życie polityczne i emocjonalne zaangażowanie przeważającej części mieszkańców regionu. Nacjonalistycznej euforii wyraźnie przeciwstawiła się lewica socjalno-demokratycznej partii, dysponująca stosunkowo liczną bazą członkowską szczególnie na terenie zagłębia węglowego. We wzajemnym powiązaniu problematyki klasowej i narodowej w okresie zmagań o przynależność państwową Śląska Cieszyńskiego (październik 1918 — lipiec 1920) kwestia narodowa wyraźnie odsunęła na drugi plan ruch rewolucyjno-społeczny.

Wielu górników, hutników czy studentów zmobilizowanych w czasie wojny w wojsku austriackim dostało się do niewoli rosyjskiej. Kilku z nich, jak Karol Śliwka, Gach, Babilon, Raszyk, Fajkus (autorowi artykułu nie udało się dotrzeć do imion wyżej wymienionych osób — W. J.) walczyło w szeregach Armii

Czerwonej w okresie interwencji lub uczestniczyło w pracy organizacyjnej władz i instytucji radzieckich. Niektórzy, aczkolwiek nie uczestniczyli w wydarzeniach rosyjskich (tzw. heimkehrerzy), mieli możliwość obserwowania rewolucyjnych przemian. Po powrocie z niewoli rosyjskiej szkolono ich w specjalnych obozach w celu odzwyczajenia od „bolszewickich nawyków", a następnie wysyłano na front włoski, żeby zapobiec ich kontaktowi z miejscową ludnością.

Zabiegi władz austriackich nie przyniosły spodziewanego efektu. Informacje o prawdziwym obliczu Rewolucji Październikowej przedostawały się do załóg kopalń, hut i innych zakładów pracy. Kolejnym źródłem informacji byli masowo uciekający z niewoli austriackiej jeńcy rosyjscy, szczególnie w roku 1918. Prosili oni mieszkańców regionu o nocleg i kawałek chleba, a przy okazji opowiadali „niespotykane" rzeczy o nowych stosunkach społecznych w swej ojczyźnie, o których sami dowiadywali się z otrzymywanych z kraju listów.

Olbrzymie manifestacje, które odbyły się w Orłowej w dniu 13 października 1918 r. i w Cieszynie 27 października 1918 r. z udziałem ponad 40 tys. osób, są kolejnym dowodem potężnego rozgłosu postulatów wysuniętych przez władzę radziecką. Aczkolwiek w dniach definitywnego upadku Austro-Węgier jednoznacznie dominował narodowy charakter manifestacji, to w przyjętej rezolucji znalazły się zaskakująco radykalne żądania polityczno-gospodarcze:

Sejm konstytucyjny ma przeprowadzić takie reformy społeczne (...), aby nie było ani ciemiężców ani ciemiężonych, aby znikły przywileje klas, stanów, aby pod każdym względem panowała wolność osobista i społeczna.

– Ziemia ma należeć pod kontrolą narodu do tych, co na niej pracują, przy czym większe obszary leśne mają stać się własnością narodu. Mają być unarodowione kopalnie, środki komunikacyjne oraz takie gałęzie produkcji, kredytu i handlu, które mają doniosłe znaczenie dla narodu.

– Powszechna bezpłatna nauka ma być udziałem młodego pokolenia. Wszechstronna opieka społeczna i zabezpieczenie ośmiogodzinnego dnia pracy w przemyśle i górnictwie będą ochraniały zdrowie i siły rzesz pracujących.

Jednym z punktów rezolucji było wezwanie do zgody i współpracy z bratnim narodem czeskim: *„Zdobywając zjednoczenie narodowe i państwową niepodległość (...) w szczególności z narodem czeskim chcemy żyć w zgodzie sąsiedzkiej i dobrym porozumieniu.*

Wkrótce po odzyskaniu niepodległości przez Polskę i Czechosłowację okazało się, jak gołosłowną deklaratywnością były w kraju nad Olzą bolszewickie postulaty sprawiedliwości społecznej. Polski lokalny organ władzy, Rada Narodowa dla Księstwa Cieszyńskiego, pomimo nominalnej reprezentacji wszystkich ugrupowań społecznych i politycznych, wyraźnie zmienił kurs na prawo. Działania zbrojne wojsk czeskich w styczniu 1919 r. spotkały się ze sprzeciwem miejscowego społeczeństwa polskiego. Miejsce mitycznych haseł o wzajemności słowiańskiej zajęła bezwzględna konfrontacja.

Nacjonalistyczne zacietrzewienie zwolna wygasało, w szczególności na terenie zagłębia węglowego. Późną wiosną 1919 r. notujemy szereg wspólnych wystąpień górników przeciw bratobójczemu konfliktowi polsko-czeskiemu. Wyrazem definitywnego odżegnania się polskich robotników, na razie w ostrawskiej części regionu, od nacjonalistycznego kursu cieszyńskiej Polskiej Partii Socjalistycznej było utworzenie odrębnej Polskiej Partii Socjalno-Demokratycznej w Republice Czechosłowackiej. Jej organ, „Głos Robotniczy", w sposób internacjonalistyczny przedstawił możliwą perspektywę polskiej grupy narodowościowej w warunkach Republiki Czechosłowackiej: *Chcemy wierzyć w byt i przyszłość tej republiki (...) przyszłość jej zależną jest w pierwszym rzędzie od zgody zamieszkałych w niej ludów, od równouprawnienia obywatelskiego tych ludów, od przyznania pełnych uprawnień obywatelskich, zawodowych i kulturalnych całej klasie robotniczej, bez różnicy narodowości.*

WŁADYSŁAW JOSIEK

Z KART HISTORII

W tym roku upływa 70 lat od Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej w Związku Radzieckim. Od tego momentu liczy się nowa epoka historyczna socjalizmu i jej pracowitych pięciolatek, które tak głęboko utkwiły w świadomości wszystkich narodów Związku Radzieckiego. W budowie nowych kopalń węgla kamiennego w czasie drugiej i na początku trzeciej pięciolatki w Syberii Zachodniej obok prawdziwych Sybiraków brało również udział około 500 Czechosłowaków — górników Zagłębia Ostrawsko-Karwińskiego i innych zagłębi węglowych. Naszą drugą ojczyzną na przeszło 5 lat stało się miasto PROKOPIEWSK, oddalone 300 km od Nowosybirska, a leżące w centrum tajgi, które za naszych czasów wyrosło na duże miasto budowniczych kopalń. Nowe kopalnie otrzymywały nazwy — Woroszyłowa, Koksowaja, Stalina, Trzy-Trzy-Bis i inne.

Nasze życie w Prokopiewsku poświęcaliśmy ofiarnej pracy przy biciu przekopów i pogłębianiu szybów wyciągowych. W dni wolne od pracy — głównie w soboty i niedziele — zajmowaliśmy się turystyką i krajoznawstwem. Kilka razy, oczywiście z doświadczonym przewodnikiem, wyruszaliśmy w tajgę do osady geologów — poszukiwaczy złóż węglowych, źródeł ropy i innych minerałów. W brygadzie geologów pracowała pewna młoda dziewczyna — Swietlana, która po ukończeniu instytutu na Ukrainie wybrała Syberię. Na Syberii również pozostała. Zażartym turystą był również mój bliski przyjaciel — Alfred Śliwa z Ostrawy-Radwanic. Był kawalerem, a Swietlana mu się bardzo spodobała. Ich wesele przy 40-stopniowym mrozie, zimą, odbyło się w domu kultury im. EICHE. Zeszło się dużo gości, bo było to pierwsze wesele górnika — „inostrańca", jak nas nazywano w Prokopiewsku.

Jak na Syberii jest zimno, to jest zimno naprawdę, a jak ciepło, to tak, że głowę rozsadza. Za naszych czasów

temperatura się tam wahała od minus 45 °C zimą do plus 40 °C latem. My ostrawscy, orłowscy i karwińscy górnicy już po dwu latach przywykliśmy do tych temperatur, chociaż latem z upału trudno było oddychać, zwłaszcza w czasie naszych wycieczek do tajgi (syberyjska dżungla), gdzie komary i muszki syberyjskie dokuczały nam w straszny sposób. Przy jednej wycieczce zimą do tajgi nasza Swietlana i dalsi geolodzy pokazali nam odkryte szczątki, a była to część nogi i głowy mamuta, które przeleżały w zmarzlinie około dziesięciu tysięcy lat.

W czasie krótkiego syberyjskiego lata wielu „inostrańców" brało urlopy i wyjeżdżało też do pobliskiego kołchozu — oddalonego ponad 30 km od Prokopiewska. Na ochotnika do zbioru zboża kombajnami zgłosili się wtenczas Józef Ryguła i Jan Buchwaldek z Ostrawy, Emil Goj z Rychwałdu, Emanuel Drapa, Dzięglowicz z Suchej Górnej, ja z orłowskiej Poręby i wielu innych górników. Do kołchozu trzeba było przedzierać się przez step zarośnięty wysoką trawą, gdzie grasowały całe rodziny wilków. Dobrze więc, że przysłano po nas furmankę zaprzągniętą w dwójkę koni.

Uprawą dziewiczych ziem w dziesięciotysięcznohektarowym kołchozie zajmowali się w większości kułacy i inni przesiedleńcy z Kaukazu, centralnej Rosji i Ukrainy, którzy byli wysłani w te strony w latach 1930—1935. Podobnie jak my „inostrańcy", musieli i oni doświadczać surowości i kaprysów syberyjskiego klimatu. Syberia była kiedyś, za caratu, krainą więźniów i zesłańców. Na zesłaniu w Prokopiewsku przebywał również Fiodor Dostojewski. Na Syberię, po stłumieniu Powstania Listopadowego, zesłano około dziesięć tysięcy Polaków. Z rozbudową przemysłu górniczego i innego tajga musiała ustępować. Dzisiaj po stutysięcznym Prokopiewsku kursują autobusy i tramwaje. Trasę tramwajową, która biegnie z centrum miasta do dzielnicy Tyrganu, też pomagali budować w latach 1934—1935 „inostrańcy" — górnicy.

Z wielkim szacunkiem do naszej „interbrygady" odnosił się towarzysz EICHE — górnik z zawodu. Był on sekretarzem partii komunistycznej całego Zachodniosyberyjskiego Kraju, który co do wielkości i powierzchni przekracza naszą Republikę Czechosłowacką. Dwa razy towarzysz Eiche odwiedził nas w Prokopiewsku, dokąd przybywał z oddalonego Nowosybirska. Za każdym razem zaznajamiał nas z perspektywą tego kraju. W 1935 roku był wezwany do Moskwy i więcej do nas i do Zachodniosyberyjskiego Kraju nie wrócił. O jego losach dowiedzieliśmy się dopiero niedawno — został niewinnie skazany. Złość Stalina odbiła się również na tym sekretarzu Zachodniosyberyjskiego Kraju.

JAN ZOLICH

PAWEŁ FINN

SPOKOJNE ŻYCIE MIEJSKIE

Był pogodny poranek lata z lekkim wietrzykiem nad Wzgórzami Leninowskimi. Wysokościowce przekłuwały smugi mgieł. Zieleniał ogromny owal niedawno zbudowanego stadionu. Stał w punkcie obserwacyjnym spokojny i stanowczy. Ciemnoniebieski deszczowiec, wąskie spodnie, cyklistówka „londynka". Przyszedł z daleka, bo nadszedł jego czas. Miał już dwadzieścia lat.

Ja miałem siedemnaście lat. Mieszkałem w pierścieniu bulwarów w szarym konstruktywistycznym domu w stylu lat trzydziestych. Dziwny to dom. Wcielona w beton społeczna nadzieja na natychmiastowe komunistyczne dziś. Nie kończące się korytarze ze wspólnymi kuchniami, klitki mieszkaniowe, okna całościenne, schody w najmniej spodziewanych miejscach oraz solarium na płaskiej strzesze.

Mój dom już dawno zajęła jakaś ważna instytucja. Wzmocniony i odmłodzony remontem wygląda całkiem sobie, zacny architektoniczny rarytas. Ale wówczas, w owych już prawie legendarnych czasach, był obszarpany, pełen hałasu, przesiąknięty oparami powszechnie jadanego barszczu i z łobuzerią w podsieniach. Był jednak droższy sercu niż dzisiaj.

Znów to wieczne wówczas i dzisiaj!

Dziś siłą rzeczy, widzę inaczej swych rówieśników. Tych, z którymi wówczas po raz dziesiąty oglądałem w Metropolu film „Mewy umierają w przystani", a później w kwietniowy dzień szliśmy na spotkanie z Gagarinem.

— No i jak? — pytam — Jak układa się życie?

— Ano, owszem, staruszku — odpowiadają z westchnieniem — jakoś tam ciągniemy ...

Co się stało z nami, moi przyjaciele?

Przecież byliśmy pełni energii.

Nasze nerwy wówczas były stale napięte z zachwytu, w każdej sekundzie spodziewaliśmy się czegoś nowego, na wszystko byliśmy przygotowani. I wtedy powinien był zjawić się ktoś, w którego losie odzwierciedliłby się nasz los wraz z nadziejami i rozczarowaniami, wzlotami i upadkami.

I ten ktoś się pojawił!

Wszystko było zwyczajne, bardziej proste. Chociaż całkiem prawdopodobnie mógł wówczas stać na Wzgórzach Leninowskich jakiś eks-suworowiec, skreślony z wojskowej szkoły piechurów w związku z trudnym przełomem w systemie nauczania. W Moskwie nie miał nikogo, tylko kilka niepewnych adresów i telefonów i jakichś tam krewnych krewnych. Przyszłość jednak nie przerażała go. Wybierał się na uniwersytet, uwielbiał Majakowskiego, chociaż nie akceptował jego dobrowolnego finału, sam zresztą pisał wiersze.

Co robił, zanim zjawił się w stolicy? Czy studiował jeszcze, czy też miał urlop dziekański lub dorabiał gdzieś? Nie potrafię dokładnie odpowiedzieć na te pytania. W każdym razie po raz pierwszy zobaczyłem go w naszej słynnej arce konstruktywistycznej.

Wynajmował pokój, o ile pokojem można nazwać klitkę o niebieskich ścianach ozdobionych olejnymi farbami. Z jednej strony mieszkało dwoje dzieci dyplomowanego kuriera, który zginął wykonując rozkaz, z drugiej samotnie, chociaż wcale nie smutnie, egzystował starszy tłumacz, który dopiero co wrócił skądś z daleka i był zaocznie zakochany w świetnej cygańskiej piosenkarce z zespołu „Romo". W górze nad schodami udzielał ktoś lekcji gry na gitarze według nowoczesnego, przyśpieszonego systemu.

Mojego przyjaciela wszyscy lubili. Niezgodliwe dzieci dyplomowanego kuriera, namiętny tłumacz oraz niepojętni uczniowie gitarzysty. Wybaczali mu nieustanne odwiedziny przyjaciół, ich krzyki, odgłosy czytania i śpiewu. Był niezmiernie ujmujący, dla każdego znajdował odpowiednie słowa, które zaskakiwały lub cieszyły, gdy było trzeba.

Nastrój był wspaniały. Nie próżnowaliśmy. Jeden z nas pracował w zakładach typograficznych, ktoś inny po nocach rozładowywał wagony towarowe, jeszcze ktoś inny przygotowywał projekt dyplomowy. Nie próżnowaliśmy, chociaż staleśmy świętowali. Młodość, talent, niedostatek, szczerość, miłość. Wzajemne stosunki były proste, uczciwe, męskie jak u Remarque'a.

A mój przyjaciel, powszechnie szanowany bohater? Czyżby poprzez śmiech, wiersze, szczebiot dziewcząt i pomruk nocnego miasta nie słyszał odległych gromów losu?

Pamiętam, jak w otwartym oknie na drugim piętrze stało dwoje młodych mężczyzn i dziewczyna z grzywką koloru miedzi, w czerwonej sukience i gołymi ramionami. Trzymała w ręce spodeczek z mydlinami i przez rurkę wypuszczała błyszczące mydlane bańki. a mój przyjaciel w białej koszuli stał za nią i uśmiechał się. Tak uśmiechać się mógł tylko on. Tak jakoś prostodusznie, jak gdyby wiedział wszystko o tej dziewczynie, o tym lecie i o życiu. Trzeci młodzian stał na dole i próbował złapać unoszące się w powietrzu maleńkie tęczowe światki. Lecz one pękały nie docierając do niego.

— I wówczas rzuciłem im w twarz Majakowskiego — usłyszałem z góry głos przyjaciela.

Śmiech i zniknęli w głębi pokoju. Śledziłem ich z zachwytem, kiedy pojawili się w bramie, minęli podwórze i wyszli na bulwar. Dziewczyna zdjęła trzewiki na wysokich obcasach, wskoczyła na ławkę i balansowała na niej z bucikami w ręku. Po chwili zeskoczyła z ławki i po czasie zniknęli, rozpłynęli się w Moskwie.

Moskwa! Wszystko wówczas wiedzieliśmy o niej, a ona o nas! Chyba częściej przebywaliśmy na jej ulicach niż w domach.

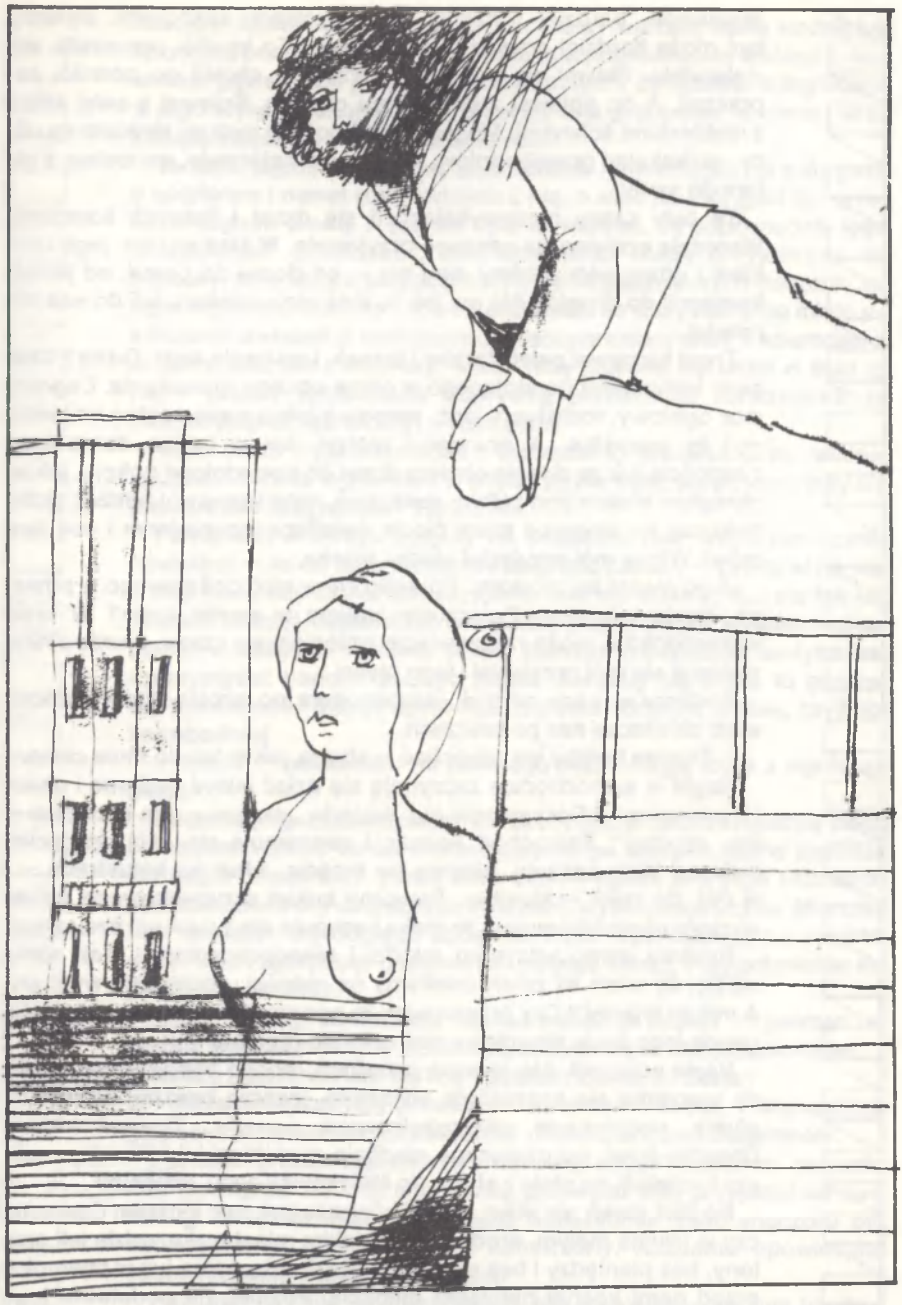
Życie miejskie pełne szelestu liści, dzwonienia tramwajów i plusku rzeki, życie miejskie z jego prostym i lekko kpiącym językiem, przypadkowymi spotkaniami i bezsensowymi cierpieniami, to swobodne życie miejskie po trosze nas tumaniło. Jego tempo i natężenie było tempem i natężeniem nadziei, nieustannym oczekiwaniem wydarzeń i przemian.

Pewnego razu mój przyjaciel zbliżał się do domu, popychając przed sobą niebieski wózek dziecięcy. Znajdowała się w nim ogromna i stara maszyna do pisania „Underwood" bez pokrowca. Skąd wózek? Gdzie zdobył maszynę? Kupił w komisie lub może od jednej z tych leciwych pikowych dam, które czasami odwiedzał w zakurzonych klitkach Moskwy? A może po prostu otrzymał w podarunku? Cieszył się wśród tych dam dużym zaufaniem. Dlaczego? Ponieważ był tajemniczy, trochę ekscentryczny i pełen fantazji.

Wtedyśmy się właśnie zaprzyjaźnili. Przyciągał do siebie niczym magnes, na pozór dla wszystkich był otwarty. Ale tak się tylko wydawało. Jego istota pozostała tajemnicą, nad którą do tej pory się zastanawiam i co w pewnym czasie wszystko zawróciło normalny bieg czasu. Ale to jeszcze było odległe. Od sąsiada z góry nauczył się kilku akordów na gitarze i wtedy też nabył starą maszynę do pisania. Odczuł też w sobie niewiarygodną pewność siebie. Zresztą czuł to już dawniej. Ale wtedy było to coś szczególnego, jakaś siła życiowa, wzlot, poczucie władzy nad własnymi myślami i duszą.

Zaczął tworzyć pieśni.

Była to niespodzianka, czegoś takiego nikt przedtem nie słyszał. Było w nich wszystko, co znaliśmy, zwyczajne i po trosze fantastyczne. Odnajdywaliśmy w nich samych siebie, ale takich poniekąd samym sobie nieznanych. Byliśmy w nich lepsi, bezmyślniejsi,



rys. BRONISŁAW LIBERDA

żałośniejsi, bardziej szczerzy, zmanierowani, zakochani. Byliśmy być może bardziej prawdziwi niż w życiu. To bawiło, poruszało, zaciekawiało. Stawał się popularny. Wszyscy chcieli go poznać, zapraszali. A on śpiewał z łatwością i chętnie. Śpiewał o swej klitce z niebieskimi ścianami. Mógł śpiewać nocą w metrze, rankiem na ulicy, zaskakując przechodniów, na plaży w Tatarowie, wchodząc z gitarą do wody.

To były czasy niezamykających się drzwi i licznych kompanii. Wszędzie czekano na naszego przyjaciela. W ślad za nim, jego urokiem i gitarą włóczyliśmy się i my — od domu do domu, od jednej kompanii do drugiej. Ale on, jak to dziś zrozumiałem, już do nas nie należał.

Trwał karnawał pełen żartów i masek. I on nagle znikł. Gdzie? Czasami widywałem go stojącego w oknie obcego mieszkania. Ceglany mur ogniowy, rozłożysty klon, samotna łobuzerska postać na ławce — i to wszystko. A on stał i patrzył, jak w innym domu ktoś z radością lub ze złością otwiera drzwi do sąsiedniego pokoju, jak za okrągłym stołem pod żółtym abażurem, reperując swój budżet, cicho terkocze na singerce stara ciocia światłego gospodarza i coś tam mówi. Wtedy mój przyjaciel siada i słucha.

Jego pieśni się zmieniły. Pojawiło się w nich coś nowego — powaga, ironia i trwoga. Przeczucie zmiany w swoim losie? W losie wszystkich? A może rzeczywiście zmieniały się czasy, a wraz z nimi zmieniał się mój przyjaciel i jego pieśni ...

Pędzimy w nocy czyimś samochodem po szosie. Ciepły mocny wiatr chluszcze nas po twarzach.

— Dobrze byłoby się zakochać — słyszę, jak mówi do mnie cicho.

Nagle w samochodzie zaczynają się dziać jakieś bzdurne i chaotyczne sprawy. Sprzeczanie się, śmiech, „skoczę — nie skoczysz — nie, skoczę!" Samochód hamuje i zatrzymuje się. Mój przyjaciel, świecąc białą koszulą, biegnie po moście, włazi na balustradę — i w dół, do rzeki — Moskwy. Samotny bukiet przypadkowego salutu wyrasta niespodziewanie za rzeką i osypuje się z suchym szelestem.

Byliśmy mimo wszystko młodzi i nieodpowiedzialni. Tak sobie myślę, że wiele sił zmarnowaliśmy na radości, sprzeczki i wygłupy. A mój przyjaciel? Czy przeczuwał, że poprzez ten karnawał, sielankę i jazdę jego życie stopniowo dojrzewa do dramatu?

Nagle przepadł. Ale, jeszcze przedtem, mocno nas zirytował, a kiedy wszystko się szczęśliwie wyjaśniło, jeszcze bardziej zezłościła, głupia, pośpiesznie zaimprowizowana parodia „Żywego trupa". Otwarte drzwi, porozrzucane niedbale w niebieskiej klitce jego rzeczy i notatnik na stole z aluzją do Majakowskiego i Jesienina ...

Po dziś dzień nie wiem, gdzie wówczas był, nad Morzem Czarnym, czy w jakimś małym, środkoworosyjskim miasteczku, gdzie jak szalony, bez pieniędzy i bez walizki, pobiegł za tą, którą już w tajemnicy przed nami kochał namiętną miłością. Później, na podstawie jego

relacji, próbowałem sobie wyobrazić białą i huczącą masę wodną lub spokojną brukowaną uliczkę i domek na przedmieściu małego miasteczka, gdzie ongiś pono nocował Napoleon. Zwyczajna mistyfikacja w jego stylu? Niekoniecznie, przecież ona pracowała w filmie i wraz z ekipą mogła się znaleźć gdziekolwiek.

Ta jego tajemnicza muza, jego fatalna namiętność, na mój gust, a widziałem i nawet rozmawiałem z nią, a więc na mój gust nie grzeszyła zbytnio urodą. A jednak było w niej coś, co odpowiadało jego charakterowi — młodość, siła, otwartość. Kiedy przyjeżdżała do Moskwy, kryli się po przypadkowych, półopuszczonych daczach, na ogół w pobliżu lotniska — bo on przepadał za wszystkim, co miało jakikolwiek związek z lotnictwem, spadochroniarstwem i kosmosem. A gdy wyjechała z Moskwy, wtedy niby szalony wyruszał w ślad za nią — prostą, zaniedbaną, kapryśną, przewrotną, zdradziecką, za swą jedyną, drogą, bliską i wymarzoną.

Więc co to była za miłość? Dziwaczna, bezsensowna, fatalna, zgubna? A może ogromna? A gdyby jej nie było, jak potoczyłoby się dalsze życie przyjaciela? Tajemnica.

Pamiętacie wietrzyk wiejący na początku nad Wzgórzami Leninowskimi — ile od tego momentu upłynęło czasu? — przybrał na sile i mógł nadymać żagle. Mój przyjaciel stał się sławny. Już nie tak jak dawniej tworzył i śpiewał dla nas pieśni przy stole, ale występował legalnie w różnych klubach przed pełnym entuzjazmu audytorium i otrzymywał honoraria. Jego pieśni nie stały się przez to gorsze. Czasami sława i miłość sprawiają, iż poeta oddycha głębiej, czyściej i swobodniej.

— Wiesz — powiedział mi pewnego razu — żyję teraz z ogromną pasją.

Rozmowę tę zapamiętałem bardzo dobrze. Idziemy późną nocą przez plac wzdłuż torów tramwajowych, po których wolno porusza się wagon ciężarowy. Przed nami płonie ogień, a w jego różowych oparach robotnicy o lśniących twarzach wyładowują szyny. Miarowy huk nasilając się dobiega spoza domów. Wychodzimy na szeroką ulicę. Obok zgrzytając gąsienicami pełzają czołgi. Przygotowania do jutrzejszej defilady.

— Co, według ciebie, jest najważniejsze w życiu? — patrząc na ciężkie zielone maszyny z działami, zapytał mnie niespodziewanie.

Milczę i zastanawiam się: co? Miłość? Sława? Poezja?

— Najważniejsza jest prawda — stwierdził i dodał — Nienawidzę głupców, pochlebców, biurokratów, mieszczuchów i dezerterów.

Po kilku dniach zaprosił nas do swej klitki. Niebawem przyszło nam pożegnać się z tą przystanią, ponieważ mój przyjaciel za swe zasługi otrzymał małe, ale własne mieszkanie. Tego wieczoru był nadzwyczajny. Wesoły, dobry, natchniony. Każdemu opowiedział cudowną bajkę o jego przyszłości.

Raz jeszcze znikł po kilku dniach. Nie przejęliśmy się tym bardzo,

przyzwyczajeni do jego eskapad i wiedząc o jego tajnej miłości. Ja byłem zupełnie spokojny, ale on się nie zjawiał. I już nigdy z nim nie rozmawiałem.

W swych snach nieustannie wracam do tego miejsca. Tutaj przed ponad dwudziestu laty w wilgotny i chłodny listopadowy dzień raz na zawsze skończyła się nasza młodość. Widzę zaniedbany wysiedleńczy barak dostosowany do potrzeb magazynu jednostek budowlano-technicznych.

Zaczekaj! Wieczna gmatwanina czasu w tych snach. Przecież to się nie mogło zdarzyć wtedy, ale teraz. A wówczas tam, gdzie dziś świeci nowa gwiazda, stał trzypiętrowy dom, a w nim mieszkała jakaś miejska persona o przezwisku Marcello wraz z siostrą Maszką, znaną w okolicy właścicielką budki z piwem. Tutaj właśnie w ów listopadowy dzień pod oskubanymi skrzydłami Maszki ukrył się mój przyjaciel, zerwawszy ze wszystkim, co było, i zrezygnowawszy ze wszystkiego, co mogło być.

Niewiarygodne! Znaleźć się na szczycie i nagle z własnej woli upaść na samo dno. Co to było? Zamroczenie, słabość, tchórzostwo? Albo na odwrót — odwaga?

Kiedy stopniowo zaczęły się wyłaniać starannie maskowane ślady przyjaciela, od razu powstały różne przypuszczenia i wersje. Prawdopodobnie zaważył tu fakt, że porzuciła go jego ukochana. Banalna historia. Po prostu wyszła za mąż. Jej wybraniec to bardziej przedsiębiorczy i zamożny mężczyzna w wieku średnim, atletyczny, towarzyski i ryzykancki. Inni z kolei twierdzili, że zbyt mocnym wstrząsem dla niego było niepowodzenie koncertu w podmoskiewskim miasteczku naukowym. Ta wersja była kategoryczna jak wyrok: skończył się!

A ja myślę, że to wszystko bzdury. Po pierwsze wcale się nie skończył. Później było już wiadomo, że właśnie tam, w ciepłej norze pod osłoną Marcellego i Maszki, wolny od kłopotów i splendoru, pisał dużo i tak dobrze, jak może nigdy przedtem — szeroko, wyraźnie i ostro. A jeśli chodzi o klęskę ... Naturalnie nie mogło się obejść bez konsekwencji. Ale to nie jest najważniejsze. Po dziś dzień zastanawiam się nad tą tajemnicą w jednej chwili cofającą wskazówki zegara. Coraz częściej przypominam sobie tamtą nocną rozmowę przy akompaniamencie czołgów.

— Najważniejsza jest prawda — powiedział wówczas i dodał — Nienawidzę głupców, pochlebców, biurokratów, mieszczuchów i dezerterów.

Czasami wydaje mi się, że rozwiązanie tej tajemnicy jest gdzieś tuż, tuż. Wystarczy tylko wyciągnąć rękę, zrozumieć do końca, co to jest prawda i kogo zaliczyć do dezerterów.

Kompania nasza się rozpadła. Rozeszliśmy się w porę, dość obojętnie, pośpiesznie nawet, po prostu wszyscy nagle poszli za swoimi sprawami.

A jednak udało mi się odnaleźć ten drewniany trzypiętrowy dom na skrzyżowaniu Sokolników i Przemienienia. Kiedy jednak zbliżyłem się do tego domu, na progu pojawił się mały, ale krzepki i czarny jak żuk apasz w marynarce boucles, cyklistówce, ze szramą na twarzy i w rękawicach. Był to Marcello. Stał w drzwiach i patrzył na mnie. Zrozumiałem, że lepiej zrobię, kiedy odejdę. Obejrzałem się jeszcze i zauważyłem, że w oknie pierwszego piętra za pelargoniami zamajaczył znajomy mi profil i zaraz zniknął.

Wiele lat później, w drugim życiu, byłem bardzo zakochany. W alejach Parku Centralnego opadały z drzew liście. Przechadzaliśmy się w czarująco mglistej aurze. Nagle jakby pękła struna. O Boże! Za drzewami niebieski deszczowiec i biała koszula ... On, czy nie on? Biec? Dopędzić? Spojrzałem na moją dziewczynę, następnie na drzewa, ale tam już nikogo nie było. A czy w ogóle był?

Nie, on musiał być, jakże by tak bez niego. Inaczej z całego tego pomysłu nie byłoby opowieści ani historii. To raczej ja jestem tu zbędny. Albo tak: będę po prostu pamięcią, miłością, pragnieniem poznania, na czym moje pokolenie traciło szagrynową skórę i dlaczego jednych siły się wyczerpały, a drugich nagromadziły. Tak pragnę przeanalizować przeszłość, żeby zrozumieć, z czego składać będzie się przyszłość. Wydaje mi się, że teraz mogę spróbować to zrobić, kiedy zrozumiałem, że jakąkolwiek szansę daną nam przez los należy wykorzystać i kiedy wiem to najważniejsze — że czas szybko mija ...

Dawno gdzieś zapodział się mój przyjaciel, odszedł nasunąwszy cyklistówkę na oczy, ustawił się w kolejce po chleb i sól, poszedł do pracy, rozpłynął się. Nie ma już tych domów, gdzie żył, śpiewał i kochał. Na miejscu jednego znajduje się ogromny superbasen. Ciężki rock rozbrzmiewa nad syntetyczną wodą, a z wody synchronicznie w górę, w górę — nóżki, nóżki, nóżki i czerwone bułgarskie goździki pływają w telewizyjnym turkusie. Ale za tym wszystkim, gwarem miasta, naszym swobodnym życiem miejskim, ponad naszymi głosami słyszę coraz wyraźniej dźwięczny motyw naszej młodości, głos mojego przyjaciela. I nie tylko ja go słyszę. A on śpiewa, żyjemy, chłopcy!

Z rosyjskiego tłumaczył
KAZIMIERZ JAWORSKI

HENRYK MAŻUL

W listopadzie, miesiącu stojącym w tym roku pod znakiem 70. rocznicy WSRP, prezentujemy wyjątkowo poezję radziecką. Do jej odczytania nie trzeba jednak znajomości języka rosyjskiego, nie trzeba też tłumacza, chodzi bowiem o wiersze jednego spośród dość licznej grupy poetów polskich, mieszkających w Litewskiej SRR. Z przekrojem ich twórczości zapoznaje czytelników polskich nieduża książeczka pt. „Współczesna polska poezja Wileńszczyzny", wydana w zeszłym roku pod redakcją Jacka Kajtocha i Krzysztofa Woźniakowskiego w Wydawnictwie POLONIA. Do najciekawszych należy w tym wyborze poezja Henryka Mażula, dziennikarza polskiego dziennika „Czerwony Sztandar", wydawanego na Litwie.

wygaszanie ogniska

Cyganom

spuśćmy wodę ze smyczy
niech w agonii zakwiczy
to penatów zarzewie

milcząc tabor zwiniemy
tylko dokąd pójdziemy

nikt nie wie

żurawie

leżą
krzyżem na niebie
biczowane jesienią
o przebaczenie klangorem błagają
ich życie
to kłamliwa pielgrzymka
ku obiecanej ziemi
więc płyną
w chmur krwiobiegu zaklęte
a ja pacierz z deszczu układam
by ktoś od nich nie ukradł
zaślepienia Południem

Twoich oczu

w ścianach

zamykam oczy
z ciała czynię baranka
na wszystkie
przyciągania i odpychania
czując wyraźnie
jak się umiejscawiam
jak pępowiną wrastam
w tupot dziecka nad głową
w bulgot jelit ubikacji
w Szopena chłostanego stereofonią

mam swe miejsce
w konstelacji powietrza
między czterema ścianami

którym uszy obcięto
na krzyk od wewnątrz

wróżba

pamięci ofiar Oświęcimia

szli
świeżo spadłym
deszczem ledwie wlokąc
nogi

za bramą
gdzie arbeit
miała frei machen
przystanęli
na halt konwojenta

jutro będzie nareszcie pogoda
ktoś stwierdził
dostrzegłszy
jak dym z krematorium
drogą najkrótszą

zdąża do nieba

samozniszczenie

skręcił powróz z wiersza
sprawdził czy wytrzyma
upewniwszy się
w krzepie pętli
gardło w nią przymierzył
wybił spod nóg
wers ostatni

zawisł

czuł tężejąc
jak na wyprzódki
lecieli ku niemu
pryszcze z tyłka

scałować

kominy

tkwią w dachach
takie
ni przypiął ni przyłatał

tędy dzieciom bociany
rodzeństwo przynoszą
a dusze polan
ulatują dymem

są spowiedzią zamieci
przystanią pomylonych księżyców
na ich widok
nikt nie capie za guzik
wcale

tkwią w dachach
takie
ni przypiął ni przyłatał

cierpiąc czasami
na zapalenie sadzy

FOTOGRAFICY SLA

Z pokłosia pleneru fotograficznego w Gutach



IVANA SZOP



TŁUMACZE LITERATURY POLSKIEJ

OLDŘICH RAFAJ

Urodził się 25 kwietnia 1934 roku w Zubrzi koło Rożnowa pod Radgoszczem. Po ukończeniu gimnazjum studiował na wydziale filozoficznym Uniwersytetu Karola w Pradze, następnie również na wydziale filozoficznym w Brnie bohemistykę, polonistykę oraz teorię literatury. Uzyskał tytuł doktora.

Po skończeniu wyższych studiów rozpoczyna pracę jako nauczyciel szkoły średniej w gimnazjum w Odrach. Następnie zostaje redaktorem wydawnictwa „Profil" w Ostrawie. Przechodzi potem jako redaktor wydawnictwa „Československý spisovatel" do Pragi.

W latach 1971—1974 został radaktorem naczelnym wydziału literacko-dramatycznego w praskiej Rozgłośni Radia Czechosłowackiego. Od roku 1974 pełni funkcję redaktora naczelnego „Miesięcznika Literackiego" (Literární měsíčník) — ogranu Związku Pisarzy Czeskich w Pradze.



fot. J. NIKODÝM

O. Rafaj jest poetą, krytykiem literackim i historykiem literatury a także tłumaczy z języka polskiego, rosyjskiego i słowackiego. Należy również do znanych edytorów zbiorków poetyckich poetów czeskich, jest autorem licznych wstępów do publikacji literackich. Pisze także słuchowiska radiowe.

Wydał następujące książki naukowo-literackie: „Literatura i współczesność" (Praga, 1978) — książka esejów, „Walka o współczesność" (Ostrawa, 1978), „Portrety" — (Ostrawa, 1979), „O literaturę naszych czasów" (Praga, 1981).

Zadebiutował jako poeta zbiorkiem wierszy „To najbliższe" (Praga, 1980). Kolejne jego tomiki: „Trzy poematy i testament" (Ostrawa, 1984), „Wiersz o Ziemi" (Praga, 1985).

Z języka polskiego przetłumaczył: „Piękne jak skrzypce" Henryka Jasiczka (Ostrawa, 1962). „Próba pojednania" (Pokus o smir), wybór poezji Henryka Jasiczka (Praga, 1967), wybory poezji: Mariana Grześczaka „Wypuszczanie skowronka" (Mladá fronta, Praga, 1976), „Pamięć" (wybór współczesnej poezji polskiej — Jarosław Iwaszkiewicz, Leopold Staff, Stanisław Grochowiak, Andrzej Bursa, Tadeusz Kijonka, Józef Ratajczak — Práce, Praga, 1974), „Człowiek podnosi ciężary" (wybór poezji Mariana Grześczaka, Mladá fronta, 1980), prozę Stanisława Lema „Polowanie" (wybór nowel, Odeon, Praga, 1969), i „Przygody pilota Pirxa" (Odeon, Praga, 1978).

Przetłumaczył 15 polskich słuchowisk radiowych. Między innymi: B. Drozdowskiego, I. Newerlego. Jest autorem 59 haseł do SŁOWNIKA PISARZY POLSKICH (red. O. Bartoš, wyd. Odeon, 1974) oraz kilku wstępów do czeskich wydań polskich książek, na przykład Jerzego Andrzejewskiego „Wybór opowiadań" (Naše vojsko, Praga, 1979).

Na łamach różnych pism czeskich opublikował setki tłumaczeń polskich opowiadań i wierszy. Praca ta czeka dopiero na opracowanie i wydanie w druku zwartym.

W liście osobistym z dnia 8. 6. 1987 r. dr Oldřich Rafaj napisał do mnie: „Wilku! Cóż jeszcze dodać, przecież to znasz. W funkcji redaktora naczelnego „Miesięcznika Literackiego" postarzałem się o 14 lat. Mam czwórkę dzieci i 53 lat. Nie mam długów, tylko pożyczki. Wydałem pięć książek krytyczno-literackich i cztery tomy wierszy, niezliczoną ilość esejów, recenzji, redagowałem cały szereg publikacji, wyborów et cetera ...".

W. P.: W jaki sposób rozpoczęła się Twoja praca tłumacza literatury polskiej, a raczej od kogo rozpoczynałeś?

OLDŘICH RAFAJ: Kochałem Staffa. Chcę go kiedyś przetłumaczyć osobno: swój niewielki, ale świeży, odkrywczy wybór ... Pamiętam trochę, jak to było z wyborem zatytułowanym „Pamięć". Od tej książki kiedyś rozpoczynałem. Potem doszedł Grochowiak, z którym, mimo że dzieli nas granica — jestem związany generacyjnie. I to wewnętrznie głęboko. Grochowiak mnie fascynuje. Jego także będę kiedyś tłumaczył — według własnego gustu, będzie to obszerny wybór. Bardzo mnie zainteresował Andrzej Bursa. I także Tadeusz Kijonka, z którym poznałem się w roku 1963. Znam go od czasu, kiedy zmarł na raka jego brat i ja przetłumaczyłem całą, dziesięcioczęściową, elegię Tadeusza, piękną i prostą. Tego poetę chcę również kiedyś przetłumaczyć. Prawie nikt go u nas nie zna, a jest to oryginalny i silny poeta.

— Gdzie się uczyłeś języka polskiego?

— Parę zdań, a raczej parę słów zapamiętałem od swojej mamusi, która przed pierwszą wojną światową żyła ze swoim ojcem i matką w okolicach Starego Sącza. Dziadek był tam administratorem, a raczej zarządcą — tartaku. Przed wojną wrócili ... Reszty uczyłem się na studiach uniwersyteckich. Chodziłem na wykłady prof. Karola Krejčíego w Pradze, a w Brnie studiowałem

u Maksymiliana Kolaja i Jerzego Krystynka. Byli to wspaniali ludzie. Od samych początków starałem się czytać wszystko w oryginale. Na nocnych brygadach zarobiłem na słowniki, które mi wiernie służą do dnia dzisiejszego!

— Czy w trakcie wyboru autora do przekładu decyduje u Ciebie temat, osobista sympatia czy też przypadek?

— Oczywiście decyduje często również przypadek: Stanisława Lema przesłał mi do tłumaczenia niezastąpiony Bořivoj Křemenák z Odeonu, który później, już jako dyrektor tego wydawnictwa, zginął tak tragicznie. Ale na pewno jest lepiej, jeśli człowiek może tłumaczyć zgodnie ze swoim zamiłowaniem. Jeśli może wybierać według wewnętrznej harmonii z autorem. Tak było właśnie w trakcie moich wszystkich tłumaczeń w ostatnim czasie.

— Czy utrzymujesz osobisty kontakt z autorem, którego tłumaczysz?

— Tak, utrzymuję. Zawsze, kiedy to tylko jest możliwe.

— Z którymi wydawnictwami czechosłowackimi współpracujesz najchętniej?

— Bardzo dobrze mi się współpracowało z wydawnictwami Mladá fronta, z wydawnictwem Práce i z Odeonem. Ale nawet kilka lat wystarczy, żeby się wiele zmieniło. Po Pradze w tej chwili chodzi kilku młodych ludzi, którzy wprawdzie nie umieją za bardzo po polsku, a mimo to tłumaczą. I jak im idzie praca od ręki, jakże oni są pilni! Sam dobrze wiesz, że na dobry przekład musi mieć człowiek wiele czasu i do tego jeszcze potrzebna jest odpowiednia dawka ochoty wewnętrznej. W ciągu dwudziestu lat miałem kolosalnie dużo pracy i jestem coraz bardziej zmęczony ...

— Nad czym pracujesz w tej chwili?

— No właśnie ... Jeśli chodzi o tłumaczenia — to nie mam w tej chwili na warsztacie nic. Czyli w tym sensie nie pracuję nad niczym. Obecnie. Ale muszę powiedzieć, że bardzo chciałbym pracować, ciągnie mnie do tłumaczenia. Ja powiem, a ty w dodatku to opublikujesz, ktoś tam zabierze mi mój typ i od razu zaproponuje któremuś wydawnictwu ... I zanim ja się wezmę do pracy, zanim ja rozczytam się w autorze, którego mam zamiar przełożyć — to ten ktoś inny, ten ktoś bardzo pracowity
i szybki — książkę nie tylko przetłumaczy, ale w dodatku zdąży ją nawet wydać!

Ale teraz serio — przygotowuję się do tego, żeby zrealizować moje dawne postanowienia: Grochowiak — obszerny wybór, Staff — niewielki wybór, ale taki wysmakowany, mój odkrywczy. No i Tadeusz Kijonka — chciałbym go wprowadzić w świadomość czeskiego czytelnika, bo na to zasługuje ...

— Twoje osobiste wyznanie ...

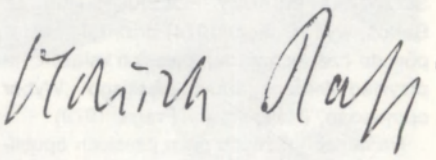
— Sądzę, że należy bardzo dużo przekładać z literatury polskiej. Przecież literatura polska jest tak wspaniała i bogata! Ale literatura czeska także, nie należy o tym zapominać! Na pewno wrócę do pracy tłumacza. Każdy piękny przekład wzbogaca człowieka wewnętrznie. Tak, na pewno wiem, że wrócę do tej pracy, cieszę się już na ten moment ...

— Dziękuję serdecznie za rozmowę! Czy można na zakończenie poprosić cię o autograf?

— A jakże? Miałbym ci odmówić podpisu?

— To nie tyle dla mnie, co dla czytelników ZWROTU ...

— No to tym bardziej ... proszę ...



WILHELM PRZECZEK

OKIEM RECENZENTA

MALARSTWO NIEDZIELNE

Władysław Ćmiel: Obrazy. Kawiarnia klna Centrum w Karwinie-Mizerowie, 4—30. 9. 1987.

Malarstwo Władysława Ćmiela jest z gatunku chętnie określanego mianem ,,niedzielnego" i traktowanego, delikatnie mówiąc, nieco z góry przez wyjadaczy z wyższych regionów sztuki. Prawdę mówiąc, sztuka amatorów, zwana ,,niedzielną", jest i musi być odmienna od tej ,,wysokiej". Rządzi się własnymi odrębnymi prawami. Nie ma ambicji odkrywania wielkich prawd ani nowych rewolucyjnych dróg artystycznych. Malarstwo W. Ćmiela, jak wielu jemu podobnych, pozostaje w kręgu tak zwanego małego realizmu. Autor skupia się na możliwie wiernym odtworzeniu szczegółów malowanych przedmiotów. Tematyka jego prac jest dość różnorodna — od pejzażu miejskiego, poprzez martwą naturę, scenki rodzajowe, portret, po akt. W. Ćmiel jest amatorem doskonalącym swoje umiejętności jako słuchacz Ludowego Konserwatorium Artystycznego w Ostrawie pod przychylnym okiem pani prof. Ovčačkowej. Jak się zdaje, owo dokształcanie pozwala mu ulepszać technikę, eliminować błędy, może także uwrażliwia jego widzenie. Nie zmienia za to treści jego sztuki, poglądów na sens i wymowę malarstwa, które to poglądy ma już artysta ugruntowane. A sprowadzają się one chyba do szacunku i uczciwości wobec malowanego tematu, czy to będzie portret górala w tradycyjnym stroju, frysztacki rynek, czy wnętrze gospody. Pasja dokumentalisty — nie opuszczającego żadnego ważnego szczegółu sprawia, że czasem chęć dania najpełniejszego świadectwa prawdzie przeważa nad prawdą widzenia według prawideł sztuki malarskiej. Te właśnie obrazy, gdzie jakaś ważna przyczyna każe autorowi malować więcej niż dałoby się ogarnąć niedoskonałym ludzkim wzrokiem, żyją naprawdę. Zapewne wprawne oko dostrzeże tu i ówdzie jakieś usterki techniczne, ale one dodają tylko tym pracom swoistego wdzięku. Najbardziej technicznie poprawne prace wydają się trochę oschłe, natomiast tam, gdzie artysta pozwolił ponieść się wyobraźni popełniając drobne ,,wykroczenia" przeciw zasadom kompozycji czy perspektywy, obrazy zyskały bardziej osobisty wyraz.

Ta skrupulatność w pomieszczeniu na obrazie wszystkich ważnych elementów, czułość, z jaką autor traktuje każdy szczegół, odbija się w obrazie jego nastrojem. Malarstwo W. Ćmiela nie stawia wielkich pytań, lecz karmi się pogodą i spokojem rzeczy małych, codziennych, którym autor stara się przekazać na swoich obrazach trochę ciepła płynącego z jego przyjaznego stosunku do świata.

A.M.R.

FOTOGRAFICY SLA

Z pokłosia pleneru fotograficznego w Gutach



RADOMIR KRYGIEL



PRZECHODNIU, POWIEDZ POLSCE ...

Uśmiechnięte, jasne słońce pnie się coraz wyżej po sklepieniu niebieskim, wreszcie zawisa w jego zenicie. Złociste promienie padają na gronie Przełęczy Jabłonkowskiej pokryte brunatnożółtymi szachownicami pól, płowymi płachtami pastwisk, ciemnymi plamami lasów.

Hen, w dole, u podnóży stromych groni, wije się droga cesarską zwana. Biegnie pod górę na szczyt tunelu Koszycko-Bogumińskiej Kolei, skąd gwałtownie opada w stronę słowackiej granicy. Stary to trakt. Tędy z południa na północ maszerowały rzymskie legiony, tędy szły kupieckie karawany. Wybudowane na pobliskim wzgórzu szańce odegrały ważną rolę obronną w wojnach z Węgrami za dynastii Batorych. W niespokojnych latach wojny trzydziestoletniej, okupowane przez hrabiego Mansfelda, przechodzą w posiadanie „wybrańców", śląskich Wałachów. Zajęli je później Szwedzi pod generałem Koenigsmarkiem. Przed nimi schroniła się tutaj Elżbieta Lukrecja, księżna cieszyńska. W drugiej połowie XVII wieku w obliczu tureckiego zagrożenia, ulegają przebudowie, w wyniku której przybrały kształt sześcioramiennej gwiazdy. W XVII i XVIII wieku ich załogi tworzyli Brandenburczycy, po nich Prusacy, wreszcie Węgrzy.

Niedaleko stąd, wśród stuletnich dębów, stoi przy drodze, pamiętająca sławną przeszłość, kaplica o kształcie rotundy z wieżyczką i zawieszonym w niej dzwonkiem, którego jękliwe tony odprowadzały poległych w bojach obrońców na pobliski górski cmentarzyk położony na zboczu niedalekiego wzgórza. Dzisiaj po cmentarzu nie ma już żadnych śladów. Stoi tutaj w cieniu wiekowych lip samotny krzyż, do którego corocznie w lipcu przychodzą z procesją pobożni mieszkańcy wioski, zaś dźwięki dzwonka z kaplicznej wieżyczki ogłaszają porę południową, a w czasie burzy rozpędzają chmury brzemienne w grad.

* * *

W maju 1928 roku grupa społecznych działaczy w Mostach koło Jabłonkowa pod kierownictwem Antoniego Paździory, kierownika miejscowej szkoły, dała początek 30-osobowemu chórowi mieszanemu Macierzy Szkolnej. Jego ofiarnym dyrygentem był nauczyciel, Alfons Brzuska. Postać tę obywatele Mostów jeszcze dzisiaj, po

sześćdziesięciu latach, bardzo ciepło wspominają. Pamiętają, jak wraz z kierownikiem Paździorą odwiedzał śpiewaków w ich domach, kiedy było trzeba apelować o udział w próbach, przypominać o koncertach, organizować występy.

Konieczność nadania całemu polskiemu ruchowi śpiewaczemu na Śląsku za Olzą jednolitego kierunku, potrzeba dostarczania nut, kształcenia dyrygentów, skłoniły amatorskie koła śpiewacze Macierzy Szkolnej do połączenia się w jedną organizację śpiewaczą. Nadano jej nazwę Związek Polskich Chórów w Czechosłowacji. Jeszcze w tym samym 1927 roku Chór Mieszany Macierzy Szkolnej w Mostach k. Jabłonkowa stał się jej członkiem. Brał udział w tradycyjnych przeglądach chórów, śpiewał na festynach, dożynkach, na uroczystościach rocznicowych świąt państwowych, występował na jubileuszowych akademiach, na ślubach, weselach ... Pod fachowym kierownictwem dyrygenta chór podnosił swój poziom artystyczny i w zawodach eliminacyjnych, które odbyły się w 1937 roku, zakwalifikował się do Związkowych Zawodów Śpiewaczych.

* * *

Próby chóru odbywają się wieczorami w klasie miejscowej szkoły przy świetle lampy naftowej. Wioska nie jest jeszcze zelektryfikowana. Wieść o zbliżającym się terminie otwarcia nowego Domu Kultury obiega całą gminę. W ostatnim miesiącu przed terminem „poświącki", próby odbywają się już dwa razy w tygodniu. Młodzi nie żałują swego wolnego czasu i pilnie ćwiczą także w soboty i niedziele. Dyrygent chóru wspólnie z kierownikiem miejscowej polskiej szkoły Antonim Paździorą przemierzają dalekie drogi i polne dróżki wiodące nieraz do odległych górskich osad, wzywają do udziału w próbach, przypominają o zbliżającym się terminie uroczystości, jakiej jeszcze w Mostach nie było a może już nigdy nie będzie. W wigilię występu odbywa się próba generalna a po niej nadchodzi niedziela 11 października 1936 roku — długo oczekiwany dzień uroczystego otwarcia Domu Kasowego, dostojnego przybytku kultury i sztuki, wybudowanego przez obywateli gminy w czynie społecznym. Już w godzinach rannych panuje w nowej sali widowiskowej ożywiony ruch. Młodzi amatorzy, śpiewacy i aktorzy, czynią ostatnie przygotowania do występów. Na zagajenie części oficjalnej następuje pod gołym niebem sześć połączonych chórów okręgu jabłonkowskiego — w sumie 150 śpiewaków. Po przemówieniach i przecięciu wstążki sala wypełnia się zgromadzoną publicznością. Na scenie staje miejscowy chór mieszany Macierzy Szkolnej. Płyną słowa pieśni:

Śpiewaj ludu, polski, złoty,
Wypowiadaj swe tęsknoty,
U orania, u zasiewu,
Póty życia, póki śpiewu!

Wszyscy obecni powstają z miejsc, wzruszeni do głębi, słuchają hymnu stojąc. Po odśpiewaniu śpiewacy schodzą ze sceny na salę, równocześnie zza kulis wychodzą na scenę aktorzy. Zaczyna się przedstawienie „Karpaccy górale". Aktorzy, z których większość występuje na deskach scenicznych po raz pierwszy, zyskują sobie poklask i sympatię widzów. Pierwsze na obszernej scenie nowego Domu Kasowego udane przedstawienie, poprzedzone koncertem połączonych chórów okręgu jabłonkowskiego i miejscowego chóru Macierzy Szkolnej, staje się bodźcem do wzmożonej działalności kulturalno-oświatowej w leżącej na Przełęczy Jabłonkowskiej malowniczej wiosce Mosty.

W następnych latach mostecki chór bierze udział w Związkowych Zawodach Śpiewaczych w Karwinie 11 kwietnia 1937 roku, w występie połączonych chórów okręgu jabłonkowskiego na Wiankach w ogrodzie jabłonkowskiej Czytelni, na uroczystości 10-lecia Polskiej Szkoły Wydziałowej w Jabłonkowie w 1937 roku. Do wybuchu wojny w 1939 roku na scenie w sali nowego Domu

Kasowego przesuwa się przed zawsze liczną publicznością prawdziwa rewia przedstawień teatralnych i koncertów, zorganizowanych przez Miejscowe Koło Macierzy Szkolnej. Nowe kulisy, barwne reflektory, kolorowe horyzonty i sufity dodają występom blasku i okazałości, stają się zachętą do dalszej pracy.

* * *

Jest godzina piąta rano, dnia pierwszego września 1939 roku. Na Przełęczy Jabłonkowskiej rozlega się butny śpiew, iż ,,heute gehört uns Deutschland ung Morgen die ganze Welt!" Idą na podbój Europy i świata, aby ogniem i mieczem wprowadzać w życie hitlerowski ,,Neuordnung". Butni, sfanatyzowani, przepojeni chorobliwą nienawiścią do wszystkiego co postępowe, mijają przełęcz, idą dalej ku swemu przeznaczeniu. Na chórze miejscowego kościoła, w którym odbywa się nabożeństwo poranne, organista intonuje w proroczym natchnieniu pieśń: ,,Z tej biednej ziemi, z tej łez doliny, tęskny się w niebo unosi dźwięk!...

W ślad za Wehrmachtem pojawiają się na drodze wiodącej od słowackiej Czadcy gromady cywilów z przepaskami na rękawach marynarek. Na przepaskach złowrogie, z daleka widoczne, czarne, połamane krzyże. Wracają do kraju, który jest teraz ,,endlich frei"! Opuścili go niedawno. Wracają teraz, żeby wziąć na swoich ziomkach krwawy odwet, żeby mścić się na swoich rodakach wśród których wyrośli, z którymi jako dzieci uczęszczali do szkoły, modlili się i śpiewali pieśni nabożne w miejscowym kościele, mówili tym samym językiem. Niedawno jeszcze obywatele gminy Mosty i miasteczka Jabłonkowa, a teraz hitlerowscy bojówkarze, członkowie hitlerowskich bojówek ,,Jablunka" i ,,Sillein" (Jabłonków i Żylina) idą teraz, aby dochodzić swych domniemanych krzywd. Oni to w pierwszych dniach października zagnali do sali miejscowego Domu Kasowego kilkunastu członków miejscowego chóru Macierzy Szkolnej. Oficer gestapo pozostawia oprawcom wolną rękę w znęcaniu się nad niewinnymi ofiarami, zwłaszcza nad dyrygentem chóru Alfonsem Brzuską i reżyserem zespołu teatralnego, kierownikiem miejscowej, polskiej szkoły Antonim Paździorą. (Pierwszy po powrocie z Gusen już nigdy nie odzyskał zdrowia, zmarł na zawał, drugiego zamęczono w Oświęcimiu). Hitlerowscy bojówkarze nie znają języka niemieckiego, zmuszeni są korzystać z usług tłumacza, mosteckiego Zołzikiewicza, który w całym międzywojennym dwudziestoleciu pełnił obowiązki sekretarza gminy. Obecnie on oskarża i ma główne słowo podczas prowadzonych przez oficerów gestapo przesłuchań. Z tego miejsca każni prowadzi już tylko jedna droga: poprzez więzienie w Cieszynie do obozu zbiorczego w Skrochowicach, skąd po jego likwidacji w grudniu 1939 roku do obozów zagłady Dachau, Sachsenhausen, Oranienburg, Flossenbürg, Mauthausen, Gusen, Oświęcim, Ravensbrück...

* * *

Złowieszcze autobusy — widma toczą się po drogach naszych śląskich miast i wsi, zabierając kwiat naszej młodzieży — setki polskich działaczy-członków zespołów śpiewaczych i teatralnych Macierzy Szkolnej. Już w pierwszych miesiącach po aresztowaniach otrzymują najbliżsi krewni zawiadomienia o śmierci wielu spośród uwięzionych wraz z puszkami zawierającymi prochy ich ciał spalonych w krematoriach.

Ponury, słotny listopadowy dzień. Od rana pada lodowaty deszcz przetykany płatami śniegu. Jest późny wieczór. Leżymy pokotem na podłogowych siennikach. Wkrótce zgaśnie światło i nastanie cisza nocna. Nagle w otwartych drzwiach stają dwaj nadludzie w uniformach SS z automatami przewieszonymi przez plecy. Patrzą szyderczo w naszą stronę, nie mogąc dostatecznie nasycić swych oczu widokiem nowożytnych helotów,

leżących u ich stóp. Podbiegają do nich i stają na baczność blokowy z izbowym i blokowym pisarzem. Rozmowa prowadzona jest półgłosem. Do naszych uszu dolatują przechwałki na temat pokonanej w czerwcu Francji, zwycięskiej ofensywy powietrznej nad Anglią i pogróżki pod adresem reszty świata. Niemieccy więźniowie funkcyjni gorliwie przytakują. Blokowy pisarz wyciąga nagle z kieszeni pasiaka książeczkę ze spisem więźniów naszego trzynastego bloku. Stroiąc pozornie żałosne miny czyta głośno:

Häftlinge: Lipka — gestorben, Knag — gestorben, Przespolewski — gestorben, Mazanek — gestorben, Dr. Robota — gestorben, Olszański — gestorben, Bartoš — gestorben, Kuruc — gestorben, prof. Kłoniecki — gestorben, Prymus — gestorben, Sztwiertnia — gestorben, Wójcik — gestorben, prof. Burian — gestorben, prof. Czapla — gestorben, ks. Unucka — gestorben, ks. Gnida — gestorben, ks. Galocz — gestorben, Bilko — gestorben ...

Złowieszcze „gestorben" rozlega się ponuro w półmroku barakowej izby. Blokszrajber zamyka książeczkę, cofa się dwa kroki, wykonuje cały obrót na pięcie, tupie nogą i składając wachmanom głęboki ukłon, wybucha szyderczym śmiechem. Jeden z wartowników klepie go z uznaniem po ramieniu: „Die europeische Unterwelt geht seinem Ende entgegen!"

* * *

... Hen, w dole, u podnóży stromych groni jabłonkowskiej przełęczy, wije się droga, ongiś cesarską zwana. Biegnie pod górę, mija starą szkołę, przed którą w ogrodze stoi granitowy pomnik. Ktokolwiek będziesz w tych stronach i pójdziesz tą drogą, zatrzymaj się i przeczytaj imiona i nazwiska trzydziestu trzech ofiar, wyryte w granicie. Dziesięciu z nich to więźniowie Oświęcimia, powieszeni na szubienicy w Mostach koło Jabłonkowa 26 października 1943 roku w odwet za zastrzelenie gestapowca. Reszta to członkowie miejscowego chóru Macierzy Szkolnej, zamęczeni w obozach zagłady. Postój chwilę i posłuchaj skargi niewinnych męczenników:

„Nie mamy nigdzie naszych mogił,
w których moglibyśmy odpoczywać!
Prochy naszych ciał spalonych w krematoriach
rozniosły wiatry na cztery strony świata!
Za to, że byliśmy członkami legalnych organizacji
kulturalno-oświatowych, za to, że byliśmy Polakami i społecznikami,
musieliśmy ponieść męczeńską śmierć!

Przechodniu, powiedz Polsce,
że wierne jej syny,
byliśmy jej prawom
do ostatniej posłuszni godziny!

ALOJZY KLUZ

Materiał ten, wyróżniony w ogłoszonym przez ZOŚ Polskiego Związku Chórów i Orkiestr w Katowicach Konkursie na pamiętniki i wspomnienia działaczy ruchu śpiewaczego i muzycznego, drukujemy na zakończenie roku jubileuszowego 60-lecia śpiewactwa.

WĘDRÓWKI NAZEWNICZE

LIGOTA I PODOBORA (5)

Droga prowadząca od Czeskiego Cieszyna przez Ligotę do Podobory miała dawniej w Łęgu niebezpieczny zakręt, który był przyczyną częstych wypadków drogowych. Z tego powodu ją w tym miejscu w ostatnich latach wyprostowano, zbudowano nowy odcinek drogi aż ***Ku Krziżu***, zaś część dawnej drogi wzdłuż toru kolejowego zlikwidowano. Dawną drogę upamiętnia dziś tylko nazwa ***Na Zakryncie***, odnosząca się do najbliższej okolicy domu Ludwika Franka. Za krzyżem wkraczamy na teren Podobory. Kopiec wznoszący się w odległości ok. 300 m na zachód od krzyża jest nazywany ***Nad Papojym***. Nazwa ta pochodzi od nazwiska właściciela pobliskiego gospodarstwa, którym był kiedyś Papaj. Obecnie mieszka tam Paweł Supik. Trzeba powiedzieć, że mieszkańcy Podobory używają niewiele miejscowych ludowych nazw terenowych. Tak na przykład zadziwiło mnie to, że informatorzy mogli mi podać tylko jedną nazwę części lasu ***Obora***, zajmującego przecież aż 70 % katastru Podobory. (obszar Podobory 241 ha, z czego na las przypada 169 ha.)

Chciałbym zachęcić do zrobienia przyjemnej i niemęczącej przechadzki w głąb Obory. Z drogi głównej schodzimy na drogę oznakowaną kolorem zielonym. Jest to ***Cesta na Kocobyndz***, mająca czeską nazwę urzędową *Lesní*. Droga ta prowadzi od Olzy w kierunku zachodnim (o jej początkowym odcinku będzie jeszcze mowa), przecina Oborę, mniej więcej w połowie przebiega koło ***Doliny u Potoka*** i kończy się w Kocobędzu ***Na Zadkach***. Nawiązuje tu na drogę prowadzącą z centrum Kocobędza ku Oborze i drugą drogę wiodącą w stronę gajówki (w kierunku północno-zachodnim), noszącą czeską nazwę urzędową *Severní* (czes. *severní* ‚północna'). Długość całej trasy przez Las Podoborski wynosi w jednym kierunku 1 250 m.

Pierwszym większym obiektem, stojącym na lewej (południowej) stronie drogi, jest dawny ***Santariusów Młyn***. W budynku tym znajdowała się dawniej oprócz młyna również piekarnia z czterema piecami (*piyk tam Karkoszka Michoł*) oraz sklep spożywczy. *Jak starzi Santariusi pomrzili, dostoł tyn młyn młody Santarius Gustaw, ale ón był hitlerowiec, tóż po wojnie wyjechoł do Niymiec, a umrził kajsi w Bawaryji.* Obecnie w zabudowaniach tych znajduje się ferma drobiarska Państwowego Gospodarstwa Rolnego. Hoduje się tu brojlery — przeznaczone na ubój młode, intensywnie tuczone kury.

Kopiec wznoszący się za *Santariusowym Młynym*, na południe od *Cesty na Kocobyndz*, nosi nazwę ***Nad Młynym***. Naprzeciwko niego, na północ od drogi, rozciąga się ***Liszków Kopiec***. Znajdowało się tu dawniej gospodarstwo Gustawa Liszki na Kopcu, a po wojnie przez pewien czas spółdzielnia

rolna hodowała tu *trusioki* (gwarowe *trusiok* ‚indyk'). W ogrodzie Gustawa Liszki odkryto około roku 1933 podziemny chodnik. Była o nim mowa w naszych wędrówkach po Kocobędzu („Zwrot" 3/87, s. 63 i 4/87, s. 61). Liczni informatorzy twierdzą, że chodnik ten prowadzi na *Cieszynisko* (*Stary Cieszyn*).

Idąc dalej *Cestóm na Kocobyndz* wchodzimy do lasu *Obora*. Urbarz z roku 1755 pisze o tym lesie następująco (po niemiecku): *„Obora, położona o godzinę drogi od Cieszyna, piękny las, który na wyraźny rozkaz Jego Cesarskiej Mości już od dwudziestu lat jest chroniony."* Nie możemy sobie dziś wyobrazić, jak Obora wyglądała przed 250 laty i co składało się na jej piękno, dla którego sam cesarz raczył zwrócić na nią swą uwagę. Być może pragnął tylko mieć w pobliżu siedziby Komory Cieszyńskiej las o szczególnych walorach przyrodniczych, w którym by „wysoko urodzeni" goście mogli znajdować rozrywkę, odpoczynek po hucznych ucztach i zaspokojenie swych łowieckich pasji. Bez względu na to, z jakich pobudek cesarz otoczył wówczas Oborę swą opieką, musimy przyznać, że jego wybór był trafny. Obora była i jest nadal pięknym kompleksem leśnym. Ponieważ jednak — jak się mówi — każda rzecz ma swoje ale, również i wobec tego dzisiejszego lasu wysuwają informatorzy swoje zastrzeżenia. Najstarsi mieszkańcy Podobory twierdzą, że najlepszy porządek był w Oborze wtedy, gdy gajowym był tu Emil Kufa, pochodzący z Łomnej. Żona Karola Dudy, byłego gajowego w Lesie Łęckim, mówi: *Kiejsi w Podoborszczoku był taki porzóndek, jak na placu. Dzisio to je wszystko zarosłe, pełno kołków, aj drzewa tam leżóm przewalóne*. W niektórych częściach Obory istotnie pod drzewami zalega obecnie dużo chrustu. Jest tak dlatego, że dziś nikt nie chodzi — jak dawniej — do lasu zbierać suche gałęzie. Były przewodniczący MRN w Kocobędzu Adolf Chlebus wspomina: *Kiejsi sie gałynzie w lesie zbiyrało. Baby chodziły z dzichtami na patyki. Z rężnej słómy sie zrobiło porwósła, z gałynzi sie zrobiło ociypki, poukłodało sie pieknie, a tym sie potym topiło. Aj jo chodził z tatóm, jako synek, pnie kopać a zbiyrać suszki.* Kto by się dziś tak trudził, jeśli z kopalni przywożą deputat opałowy aż do domu, a wszyscy żyją teraz u nas w nieporównanie lepszych warunkach materialnych?

Leśników dziś dręczy inny, poważniejszy problem. Drzewa szpilkowe, zwłaszcza świerki, schną i obumierają, bo nie mogą znieść wyziewów kominów hutniczych, które zatruwają atmosferę i powodują zakwaszenie gleby. Huta trzyniecka co prawda poważnie obniżyła emisję pyłu unoszonego wraz z gazami hutniczymi do atmosfery, ale nie będzie mogła w przewidywanym czasie oczyszczać gazów hutniczych od szkodliwych składników gazowych. Łączyłoby się to bowiem z olbrzymimi kosztami, na które nas na razie nie stać. Według doświadczonego leśnika inż. Józefa Štirby perspektywa w tej sprawie jest następująca. Lasy szpilkowe, przede wszystkim sztuczne, jednogatunkowe drzewostany świerkowe, będą nadal obumierały. Po ich wycięciu będą wysadzane odmiany i gatunki odporne na zanieczyszczenia przemysłowe. Jest to program długofalowy, na którego wyniki trzeba będzie czekać następnych 50 czy nawet 100 lat.

Drugi spacer można zrobić w Podoborze na *Cieszynisko*. Z przystanku kolejowego Chotębuz albo z pobliskiego przystanku autobusowego idziemy drogą główną w kierunku północnym. Po lewej mijamy *Ośrodek Agitacyjny*, zajmujący dawną gospodę Andrzeja Pawlasa, który nabył ją od Emila Liszki. Ponieważ Liszków było dawniej w Podoborze trzech, Gustaw Liszka miał przydomek ***Na Kopcu***, drugi Gustaw Liszka ***U Piły*** lub ***Na Dole***, albo też ***U Młynki***, a trzecim był Emil Liszka ***Gospodzki***, który nie odznaczał się gospodarnością i gospodę musiał sprzedać. Po dojściu do rozwidlenia dróg (znajdującego się już na katastrze Łąk) nie skręcamy na wiadukt nad torami kolejowymi, tylko idziemy dalej na wprost starą drogą. Po lewej widzimy w odległości kilkudziesięciu metrów zalesione wzniesienie będące wschodnim obrzeżem Lasu Podoborskiego. W miejscu, gdzie teren się obniża, wpływa do *Młynki* z zachodu mały potoczek, nazywany ***Łyncki Potok*** albo ***Kocobyndzki Potok***. (Jego źródła znajdują się

na zachód od Obory, na granicy Łąk i Kocobędza.) U ujścia *Łynckigo Potoka* znajdowała się na prawym brzegu *Młynki* ***Bardoniowa Piła***, dawny tartak. *Było to kiejsi Bardoniowe, ale jak Karol Bardoń, ujec Gustawa Santariusa, pojechoł do Ameryki, darowoł te piłe Przeczkowi, kiery był z jego dalszej rodziny. Karol Bardoń już umrził w Argentynie. Przeczek przestoł rzazać może w sztyrycatym szóstym roku. Na tej pile sie urodziła Helyna Wałoszkowa, za swobody Przeczkowa. Jak żech był synkym, to my chytali przi pile ryby; chytali my tam aj wyngorze.* Drewno wożono do tartaku z *Łynczoka* i z *Podoborszczoka* ***Pilarskóm Cestóm***. ***Pilarsko Cesta*** prowadziła prawie że na całej swej długości po lewym (północnym) brzegu *Łynckigo Potoka;* tylko w pobliżu tartaku przechodziła na prawy brzeg. *Trómy sie downij woziło na piłe kóniami na wozach, a w zimie na saniach.* (Gwarowe *tróm* ‚kloc drzewa, kłoda, pień; staropolskie *trom* ‚belka główna inne podpierająca, podciąg': *„szynkarze na trom długi piszą"* — wg Mikołaja Reja 1505—1569.) Przez czterdzieści lat nie używana i nie naprawiana *Pilarsko Cesta* jest dziś już tylko chodnikiem. Tartak także już nie istnieje. Obecnie na miejscu dawnego tartaku ma budynek mieszkalny Jerzy Szotkowski.

Młodszych czytelników zapewne zaciekawi informacja, że na poboczu drogi, którą idziemy pod Cieszynisko, były przed pięćdziesięciu jeszcze laty ułożone dwa równoległe ciągi belek drewnianych (szyn) konnej kolejki wąskotorowej. Wożono tędy zboże, mąkę i inne towary z dworca kolejowego w *Wielkich Łynkach* aż do młyna Santariusa i z powrotem. *Pachołek Nikiel (pochodził z Boguszowic) woził jednym kóniym sztyry drzewianne wózki, pospinane ze sobóm.* Kolejkę tę zlikwidowano około roku 1930.

Po przejściu 900 m od przystanku autobusowego znajdziemy się w miejscu, gdzie Młynka przybliża się do drogi. Na lewej stronie postawiono dwie tablice, na których umieszczono opisy podoborskiego grodu i życia w nim. Znajdujemy się pod *Cieszyniskiem*, czyli *Starym Cieszynym*. Przechodzimy przez mostek, wspinamy się w górę stromym chodnikiem zaopatrzonym w niektórych miejscach w prymitywne schody i po kilku minutach docieramy do wnętrza grodziska. Wychodzimy na szczyt wału ziemnego i zauważamy, że jeszcze dzisiaj przewyższa on okoliczny teren. W środku grodziska widzimy wykopy przeprowadzane corocznie w miesiącach letnich przez pracowników naukowych instytutu archeologicznego, a od strony zachodniej potężny rów wykopany tu prawdopodobnie przed jedenastu lub dwunastu wiekami. Wrażenie się potęguje, jeśli zejdziemy na dno rowu, spojrzymy w górę i wyobrazimy sobie, że ponad istniejącym dziś wałem wznosił się kiedyś jeszcze ostrokół zbudowany z mocnych, drewnianych, zaostrzonych u góry pali osadzonych w ziemi, nazywany też palisadą. Warto w tym prastarym grodzisku usiąść, zamyślić się nad zamierzchłymi dziejami tego miejsca.

Zapewne niejeden z naszych czytelników zada sobie w tym miejscu pytanie: czy też nauczyciele szkół podstawowych i instruktorzy drużyn pionierskich wyprowadzają swych podopiecznych do naszego najstarszego i najlepiej w naszym okręgu zachowanego grodziska, czy robią tu dla nich pogadanki, gawędy i czy mają taką wycieczkę naukową w swoich corocznych planach dydaktyczno-wychowawczych?

Cdn.

WŁADYSŁAW MILERSKI

NADRENSKA MOZAIKA

W NAJWIĘKSZEJ WIOSCE EUROPY

Na samym wstępie mała powtórka z języka niemieckiego, która nam przypomni, że koza to „Ziege", mucha to „Fliege" i wreszcie że słowo „Dorf" oznacza wioskę. Uzbrojeni w te wiadomości, z łatwością możemy wywnioskować, że Düsseldorf to nic innego, jak wioska nad rzeczką Düssel. Rzeczka ta wpływa do szeroko rozlanego Renu — największej i legendami osnutej rzeki Niemiec. Dogodne to miejsce wybrali za swą siedzibę pierwsi osadnicy tych stron i dali początek wiosce. Z upływem lat, a głównie dzięki rozwojowi górnictwa, hutnictwa i przemysłu metalowego w pobliskim Zagłębiu Ruhry, wioska rozrosła się w potężny ośrodek miejski. Dziwnym jednak zbiegiem okoliczności — może z powodu zbytniego pośpiechu w burzliwym rozroście — zapomniano jakoś, na którymś etapie rozwoju, zmienić nazwę i dzisiaj, pomimo swej rozległości, znaczenia, liczby mieszkańców nazwa miasta jednoznacznie nam mówi, że chodzi o wioskę. Wioskę wszakże chyba największą w Europie, a może nawet na świecie.

Najstarsza i największa część miasta leży na prawym brzegu Renu, który w tym miejscu zatacza szeroki łuk. Nad miastem góruje iglica wieży telewizyjnej, sterczą pylony śmiałej konstrukcji mostu wiszącego, łączącego oba brzegi Renu. Obok tych akcentów wysokościowych kształtują sylwetkę miasta wieżowce banków, „Kreditanstaltów" i różnych innych instytucji zajmujących się obrotem i przemienianiem pieniądza w jeszcze większy pieniądz. Pomiędzy nimi gubią się jakby i zanikają wieże historycznych budowli i kościołów. Miasto w znacznym stopniu ucierpiało w wyniku bombardowań podczas ostatniej wojny. Odbija się to wyraźnie na charakterze zabudowy i architekturze odbudowanych budynków.

Düsseldorfska starówka to plątanina wąskich uliczek, do których nie ma wstępu absolutny władca w innych częściach miasta — samochód. Wzdłuż ruchliwych ciągów pieszych tłoczą się małe sklepiki, restauracje, bary, bistra, knajpki i piwiarnie. Nie bez powodu przylgnęła do Düsseldorfskiej starówki nazwa „najdłuższej lady świata". Różnonarodowe, specjalistyczne

restauracje nęcą kolorowymi reklamami, zachęcając gości do wejścia do swych stylowych, utrzymanych w charakterystycznym dla danego kraju wystroju wnętrz. Na przykład zakład gastronomiczny „La Paella" oferuje znakomitości hiszpańskiej kuchni. Cała plejada włoskich restauracyjek o dźwięcznych nazwach „Capriccio", „Il Diavolo" czy też „Piccolo Pizzeria" wabi gości przede wszystkim słynną pizzą w tysiącu i jednej postaci. „Hermes", „Achilles" czy też „Orpheus" to nazwy kilku z wielu greckich zakładów zbiorowego żywienia. Meksykańskie specjalności kulinarne można spożyć przy stołach groźnej z nazwy gospody „Pssst Bandido". Turecka restauracja „Kösk" zaprasza na potrawy z rożna opalanego węglem drzewnym. Egzotyczny Coctail — Bar „Mai Tai" (w tłumaczeniu — to najlepsze) zaprasza na tropikalne, alkoholowe i bezalkoholowe drinki do swego tchnącego egzotyczną karaibską atmosferą wnętrza. Dalekowschodnie kraje reprezentują takie restauracje, jak „Daitokai", „Baan Thai", „Peking Duck House" czy też „Pai Thong". Rosyjską kuchnią można się delektować w stylowej restauracji „Trojka". „Halina" — ta swojsko brzmiąca nazwa bynajmniej nie reprezentuje lokalu szczycącego się osiągnięciami polskiej kuchni, lecz jest najprawdziwszym przedstawicielem egzotycznej filipińskiej gastronomii.

Atrakcyjne okna wystawowe, reklamy, neony przypuszczają frontalny atak na psychikę i kieszeń przechodnia. Bohatersko odpieramy te podstępne manewry, oczy i obiektywy aparatów kierując raczej w stronę ciekawych budynków i szczegółów architektonicznych. W nowoczesnej

Spiżowa kompozycja figuralna w jednej z uliczek düsseldorfskiej starówki przyciąga wzrok i obiektywy aparatów fotograficznych turystów



fot. TADEUSZ WRATNY

fasadzie Galerii Westfallen — Nordrhein przy Grabbeplatz niby w lustrze odbija się panorama kamienic starówki z wieżami historycznych kościołów. Z zieleni dostojnego parku Hofgarten wyłania się pełna krzywizn biała bryła teatru. Jego pełne wdzięku rozfalowane formy tworzą jakby podstawę pod strzelistą, kanciastą i raczej surową bryłę biurowca koncernu Thyssen.

W jednej z uliczek starówki, wprost z bruku, wyrastają dwie zakute w spiżu ludzkie postacie. W pierwszym momencie odnosi się wrażenie, że jesteśmy naocznymi świadkami jakiegoś zatargu pomiędzy nimi. Gruba postać mężczyzny z pokaźnym brzuchem, z pełnym gniewu grymasem na twarzy beszta stojącego niemal w pozycji na baczność wystraszonego chudzielca, który chyba za chwilę całkowicie się załamie. Ta ciekawa kompozycja figuralna stwarza wspaniałą okazję dla turystów, którzy na niby włączają się do tej „dyskusji" i stają się ciekawym motywem fotograficznym.

W jednym z licznych salonów samochodowych prezentuje swe wdzięki nowy model, do budowy którego zastosowano wyłącznie blachę ocynkowaną. A więc żegnaj rdzo! Niestraszne nam już będą przesolone drogi ...

Jakiś umundurowany śniadolicy gastarbeiter eleganckim ruchem trzymanej w ręce miotły kieruje strumień Mercedesów, Oplów, Fordów i innych „porschaków" do podziemnych i nadziemnych parkingów domu towarowego Horten. Dyskretnie podświetlony napis zaprasza do „Ramada Hotelu" przy Nödlicher Zubringer 6. Włochate dywany tłumią kroki, lustrzane ściany i sufit pomnażają już i tak imponującą liczbę małych lampek, dyskretnie, lecz nie skąpo, oświetlających wnętrze hali bogato ozdobione pnącą się, wolno stojącą i zwisającą z balkonów roślinnością. Bajkowa sceneria, elegancja i wysoki połysk każą przewidywać odpowiednio ukształtowane, dostosowane raczej do kieszeni petrodolarowych szejków, ceny.

Mocne dźwięki dyskotekowej muzyki i kolorowo migające neony zapraszają do pasażu pod intrygującą nazwą Mata Hari. Zatrzęsienie butików, które oferują różne świecidełka, fatałaszki i inne, niekiedy zbędne drobiazgi po niebagatelnych cenach. W maleńkim bistro siedzi jakiś, jakby żywcem z paryskiego Montmartru przeniesiony, siwo- i długowłosy artysta, w czarnym kapeluszu o fantazyjnie szerokim rondzie. Sączy powoli czerwone winko i ze znawstwem ocenia kształty i urodę poruszających się po ulicy kociaków.

Na Schadowstrasse zaimprowizowany występ jakiegoś traditional-jazz-bandu ściąga tłumy ciekawskich. W ten niekonwencjonalny sposób wabi właściciel domu towarowego do wnętrza klientów, by wyciągnąć z ich kieszeni choćby kilka marek. Opodal stoi w mocno wyświechtanym palcie siwowłosy mężczyzna w ciemnych okularach i ... z kapeluszem w ręce. Tylko nieliczni przechodnie decydują się na wrzucenie drobnej monety.

Po kilkugodzinnej intensywnej wędrówce każdy musi się zgodzić z stwierdzeniem, iż Düsseldorf to naprawdę imponujących rozmiarów, pełne dynamiki miasto, a nie jak sama nazwa na to wskazuje — wioska.

TADEUSZ WRATNY

TRYBUNA CZYTELNIKÓW

Na listopadowe forum czytelnicze składają się korespondencje Gustawa Folwarcznego na temat spraw trudnych, ale, zdaniem autora, możliwych do zrealizowania, Joanny Sikorowej, byłej członkini nieistniejącego już Koła na Kamienitym oraz list Rudolfa Fronca, który reaguje na artykuły umieszczone w sierpniowym numerze „Zwrotu". Najświeższy z listów dotarł do nas w dniu oddania numeru do druku z Kanady, od Władysława Cupka.

CHYBA DA SIĘ ZREALIZOWAĆ? ...

Redakcja „Zwrotu" od dłuższego czasu realizuje plan: „Wieczornych rozmów Polaków". Z pewnością nie wyczerpano dotąd wszystkich tematów. Osobiście przypuszczam, że zaczynamy dreptać w kółko.

Bardzo, ale to bardzo dawno wydrukowano w „Zwrocie" moje uwagi na temat pracy Kół pt. „Planować już umiemy" ... Ubiegły lata i stale brak nam realizatorów. Oczywiście nie wszędzie i nie zawsze, niemniej do rzadkości nie należy zanikanie czy rozwiązywanie zespołów — w tym czy innym Kole. Ogólnie, ma się rozumieć, praca postępuje naprzód, impreza goni imprezę i, przy odrobinie skromności, można być zadowolonym ...

Zestawienia liczbowe, przemierzłe statystyki nie potrafią jednak oddać np. jakości. Również udział społeczeństwa w tych imprezach stoi pod znakiem zapytania. Bądźmy szczerzy — w pracy Koła, w zespołach, ale i w odbiorze programu powtarzają się za zrozumiałymi wyjątkami, jedni i ci sami.

Odwróćmy medal. Tego, co w zakresie zespołów posiadamy, nie umiemy właściwie wykorzystać. Chodzi zwłaszcza o zespoły reprezentacyjne oraz takie, które bez przerwy kontynuują przez wiele lat swoją działalność artystyczną, a oglądamy je raczej odświętnie, np. na Festiwalu, Święcie Gorolskim albo na większych czy mniejszych imprezach lokalnych o ustalonej renomie. Jeżeli weźmiemy pod uwagę amatorstwo, włożony trud i poświęcony czas, to zasługują na pokazanie szerszej, mieszanej publiczności. Ale chyba nie w ten sposób, jak np. „Wieczory Przyjaźni", które corocznie organizuje Komitet Miejski w Hawierzowie a na których trudno doszukać się nawet przedstawicieli miasta. Uczestniczyłem kiedyś w przyrzeczeniu pionierskim. Przepełniona sala oglądała ciekawy program dzieci szkolnych, w który zapłonął jak gwiazda występ grupki dzieci byłej polskiej szkoły. Gromkie oklaski przekonywująco potwiedzały, że było pięknie. Z okazji walnego zebrania Koła podkreśliłem ten moment i sukces propagacyjny naszej pracy wśród czeskiego społeczeństwa.

Szkoda, że chodziło o rzadki wyjątek, a przecież istnieją inne okazje. Od 1973 roku odbywa się ogólnomiejska impreza „Hawierzów w kwiatach". O ile mi wiadomo, ani razu nie znalazł się w długim barwnym korowodzie ani jeden zespół reprezentacyjny, nie mówiąc już o udziale w bogatym programie kulturalnym. Ile to zmarnowanych lat!?

Należy postawić pytanie, dlaczego o udział nie usiłuje KM PZKO czy wręcz ZG, skoro tyle sprowadza się innych zespołów z bliska i z daleka!?

Z okazji święta górników i energetyków obejrzałem program TV transmitowany z Hawierzowa. Występujące zespoły folklorystyczne pokazały raczej mierny program. Na tle takiego chociażby występ „Górnika" czy „Olzy" musiał zabłysnąć nieskazitelną pięknością brylantu. Znowu nas brakowało, znowu zaprzepaszczona okazja! Uważam, że są to wnioski do zrealizowania. Przecież nie tylko przy urabianiu węgla, produkcji stali, mleka, mięsa na swoich stanowiskach pracy stoimy w pierwszych szeregach. To dlaczego nie możemy (a może nie chcemy?) prezentować rodzimego folkloru na takim forum, zwłaszcza że śpiew i taniec w wykonaniu naszych zespołów zrozumie nawet Turek. No więc doczekamy się?

GUSTAW FOLWARCZNY
Hawierzów-Sucha

TAM, GDZIE BYŁ KONIEC CHLEBA, ALE NIE OŚWIATY

Powoli kończą się obchody 40-lecia naszego Związku. Niestety jak dotąd nikt jakoś nie wspomniał o działalności nie istniejącego już Koła na Kamienitym. Było to jedno z najmniejszych, ale za to najwyżej położonych Kół w Beskidach. Kamienite zamieszkiwały liczne rodziny Lisztwanów, Gomolów, Czeczotków, Kohótów i Krzyżanków. Nikt z nich w tych pierwszych latach wolności nie myślał o przeniesieniu się w dolinę. Trud bytowania na groniu, gdzie był przysłowiowy początek wody a koniec chleba, wydawał się być rzeczą naturalną. Deklarację członkowską do PZKO podpisaliśmy gremialnie na przełomie lat 1947—1948 w Górnej Łomnej — Sałajce, ale działaliśmy w własnym Kole na Kamienitym. Któż policzyłby te wszystkie przedstawienia, spotkania przy choince, prelekcje, które odbywały się w kamienickiej szkole. To na Kamienitym koncertował Chór Nauczycieli Polskich, ćwiczył przedstawienia pierwszy powojenny nauczyciel Gustaw Sajdok, organizował tradycyjne dożynki Władysław Młynek. Do „kamieniciorzy" przybywali z prelekcjami literaci i dziennikarze polscy. Na ten właśnie groniczek prowadził swoich folklorystów dr Daniel Kadłubiec.

Jednak na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych osada między Kozubową a Hadaszczokiem zaczęła się wyludniać. Trzeba było dojeżdżać do pracy, a nie każdy wytrzymywał fizycznie, kiedy na przykład zimą po popołudniowej zmianie trzeba było brnąć ponad godzinę w zaspach z przystanku autobusowego w górę. Ostatnią obywatelką, która opuściła swój dom rodzinny i zeszła w dolinę do córek, była dziś już 87-letnia Anna Gomolowa. A z jej trzech synów, czterech córek, osiemnastu wnuków i 22 prawnuków już chyba nikt nie zdecydowałby się na powrót do rodzinnego gniazda. Wprawdzie w samotnej zagrodzie „Pod Kamienitym" krząta się jeszcze po obejściu ponad 90-letnia Zuzanna Sikorowa, ale z jej domu do ludzi jednak troszeczkę bliżej.

„Hore" jak mówi się w Łomnej z naszych nie ma już nikogo. Kartoteka Koła PZKO na Kamienitym została już definitywnie zamknięta.

JOANNA SIKOROWA
Łomna Dolna 88

SZANOWNY REDAKTORZE NACZELNY!

Kiedy przeczytałem w „Zwrocie" nr 8/87 artykuł „Forum młodzieży PZKO" i artykuł „Stosunki generacyjne" oraz w Trybunie czytelników artykuł „Brak tolerancji" (Erwina Jonszty) postanowiłem na te artykuły zareagować!

Co do artykułu „Forum młodzieży PZKO" chciałbym zapytać, kto był winien, że termin forum został kilkakrotnie przesuwany i czy przesłały już te Kluby Młodych, które tak nie uczyniły w terminie, raport o swej pracy. Pytam, jakie mają poczucie odpowiedzialności? Dalej, kto ma sprawdzać zainteresowania młodych członków PZKO (chodzi chyba o pozyskanych uczniów ósmych klas szkół podstawowych) i wskazać im możliwości wyżycia w tym czy innym kierunku? Chciałbym zauważyć, że gdyby Kluby Młodych dały zarządom Kół wnioski na członków zarządu, na pewno młodzi by się tam znaleźli. Gdyby młodzi wysuwali na Walnych Zebraniach postulaty (słuszne, które zarząd Koła może spełnić) na pewno by je realizowano.

Dlaczego „stara gwardia" (młodzi po trzydziestce) nie stara się wdrażać ich do pracy w Klubach Młodych?

Dlaczego na przykład w artykule nie mówi się o bezsensownym przyczynku, że Klubom Młodych należą się wszystkie pieniądze (zysk) z każdej ich akcji? Przecież Koło musi utrzymywać świetlicę czy Dom PZKO, płacić za wodę, prąd elektryczny itd. To kosztuje wiele pieniędzy i na to muszą zarobić wszystkie kluby i zespoły Koła.

RUDOLF FRONC
Hawierzów-Miasto

SZANOWNA REDAKCJO!

Przypuszczam, że po wielu moich listach z piosenkami i innymi wiadomościami przesłanych do redakcji „Zwrotu" może jesteście po trosze zaciekawieni i pomyślicie sobie „A cóż też to jest za synek, tyn z tych Mistrzowic?" Otóż jak wielu innych okrutny los rzucił mnie w wir i burzę wojny. Tułałem się po włoskim froncie, stale zaciskając pasa, przeklinając każdą godzinę wojny i wojskowego życia. Jednego dnia los uśmiechnął się do mnie, wpadłem do niewoli Nowozelandczyków. Za 10 dni nosiłem mundur żołnierza polskiego z orzełkiem na berecie ... Tam i tu służyłem w ciężkiej artylerii. Zostałem odkomenderowany do 12. szwadronu żandarmerii przy 3. Dywizji Strzelców Karpackich. Za mnie nie musiał się nikt wstydzić, byłem żołnierzem dobrym. Z wynikiem dobrym ukończyłem szkołę żandarmerii wojskowej w mieście Urbino nad Adriatykiem i zostałem przydzielony do głównego dowództwa 3. Dywizji Strzelców Karpackich jako ochrona sztabu i generała Władysława Ducha w mieście San Benedetto di Tronto nad Adriatykiem. No tóż wiecie, było to coś niesłychanego dla synka z Mistrzowic, co niedawno na bosaka za krowami biegał ... W załączeniu zasyłam Wam parę zdjęć wojskowych z tamtych czasów i obecne zdjęcie po 40 latach z miasta Cezarei (Izrael). Cezareja jest położona nad Morzem Śródziemnym, zbudował ją król Herod. Teatr ten na 12 000 widzów jest tylko w 10 % zniszczony za 2 000 lat! Jak widzicie na zdjęciu, nasza wycieczka słucha, a jedna dobra śpiewaczka, uczestniczka naszej wycieczki, śpiewa solo „Góralu czy ci nie żal ..." Akustyka jest wspaniała. I tutaj, gdzie kiedyś siedział król Herod, Pontus Piłat, cesarz Oktawian August i może Neron ... rozbrzmiewa piosenka „Góralu ..." Zasyłam Wam także album Kanady. Z poważaniem

WŁADYSŁAW CUPEK
Toronto, Kanada

Głęboko wzruszona po przeczytaniu tego listu i oglądnięciu wspaniałego kolorowego albumu fotograficznego Kanady redakcja składa naszemu rodakowi i wiernemu korespondentowi Władysławowi Cupkowi serdeczne wyrazy podziękowania.



Starszy szeregowy Władysław Cupek na posterunku ochronnym w dowództwie 3. Dywizji Strzelców Karpackich

SPROSTOWANIE

W numerze 8/87 w artykule pt. „Od kwartetu do rewelersów" (Trybuna czytelników) doszło do pomyłki. Zamiast: W roku 1936 został zaproszony na nagranie do ostrawskiego studia radiowego ... powinno być: W roku 1938. Przepraszamy.

TO I OWO

„Głos Ziemi Cieszyńskiej" (nr 34/87) publikuje notatkę na temat 40. Święta Gorolskiego pt. „Jubileuszowe święto" oraz nekrolog prof. Jana Kotasa pn. „Pedagog i redaktor".

W miesięczniku społeczno-kulturalny „Opole" (nr 8/87) w rubryce „Przegląd kulturalny" przeczytaliśmy m. in.: Do Zaolzia daleko, tym bardziej, że po drodze rzeka, a na rzece granica, ale refleksy tamtejszego święta padają i na nasz region. To święto to czterdziestolecie PZKO w Czechosłowacji. Silnego także osiągnięciami w sferze plastyki i literatury. O czym mieliśmy okazję ostatnio się przekonać, ponieważ do Opola zjechali przedstawiciele Sekcji Literacko-Plastycznej, wraz z wymownymi prezentami: wystawą rzeźby, malarstwa, grafiki i rysunku, plakatami poetyckimi (...), z tomikami wierszy i radosną gotowością być z nami.

Krakowskie „Życie Literackie" (nr 37/87) publikuje artykuł pióra Wojciecha J. Podgórskiego pod wymownym tytułem „Ciupaga", w którym kolejny raz poddawany zostaje analizie almanach młodych „Spotkanie". Cytujemy: Nie szukają powinowactwa i materiału do naśladowania, mimo że stanowią przecież kontynuację poezji polskiej: raz echo Gałczyńskiego, kiedy indziej motto z Baczyńskiego. Mało tu znajdujemy świadectw nazywania ziemi i ludzi. Wyjątkiem twórczość Jacka Sikory (syn Władysława, student WSE w Pradze), jedynie potwierdzająca regułę.

Redaktor naczelny śląskiego kwartalnika społeczno-artystycznego „Tak i Nie" (nr 6/87) Kazimierz Zarzycki już w artykule wstępnym pisze: Macie w rękach kolejny numer, a w nim dość zróżnicowane materiały. Dwa wątki wyraźnie się tu zaznaczają: robotniczy i cieszyńsko-zaolziański (...) Nurt drugi dotyczy polsko-czechosłowackiego pogranicza: patriotyzmu, dramatów, lecz i wspólnych losów (...). Również zainteresowań kulturą sąsiadującego narodu (rozmowa z Janem Pilařem — „Nasz czeski poeta"). Wspomnieć przy okazji wypada, że Polski Związek Kulturalno-Oświatowy w CSRS obchodził niedawno swoje 40-lecie. *Dalej w numerze artykuł Oswalda Guziura „Szubienice nad Olzą", artykuł Józefa Świdra z cyklu Mój Śląsk — „Czarny i zielony", gdzie czytamy m. in.:*

Lepiej (...) dzieje się po drugiej stronie Olzy, gdzie w przygranicznych miejscowościach Zaolzia istnieje kilkadziesiąt zespołów chóralnych, a w tym kilkanaście bardzo dobrych. Z chórami tymi, które z ogromnym przejęciem śpiewają polskie pieśni, współpracuję od dawna — jako juror ich przeglądów, jako konsultant muzyczny, a także jako autor kilku pieśni pisanych do tekstów poetów zaolziańskich. Łączą mnie też długoletnie więzy przyjaźni z tamtejszymi zasłużonymi dla ruchu chóralnego ludźmi, takimi, jak: kompozytorzy Paweł Kaleta i Eugeniusz Fierla, dyrygenci — Władysław Winkler, Alojzy Kaleta, Alojzy Suchanek, Krystyna Pieknik, Bruno Rygiel i inni. *Na kilku stronicach wydrukowano tu też artykuł Renaty Ostruszka o naszych domach PZKO pn. „Żeby coś po nas pozostało".*

Pn. „Zwierciadlana przeróbka poetycka" (Zrcadlové přebásnění) przynosi ostrawski „Miesięcznik Kulturalny" (9/87) recenzję podwójnej wersji książki Gustawa Sajdoka „Zaczarowany młynek". O ile się nie mylę — *pisze recenzent* — chodzi o pierwszą zwierciadlaną edycję w Profilu, dokładniej powiedziawszy, że w tej samej szacie graficznej w podwójnym samodzielnym wydaniu książkowym proponowane są wiersze w oryginale polskim i czeskim przekładzie. Gustaw Sajdok, piszący po polsku autor z Cieszyńskiego, napisał książkę wierszy dla dzieci „Zaczarowany młynek", a książkę tę przetłumaczył, poddał poetyckiej przeróbce z języka polskiego, jak bardziej dokładnie określono to w książce, Karel Vůjtek.

Ten sam wrześniowy numer „Miesięcznika ..." drukuje również w przekładzie Ewy Sobkowej wiersze Stanisława Jedzoka („Kołysanka miejska") i Renaty Putzlacher („Smutek w Krakowie").

KRONIKA

ZG PZKO

■ Klub Nauczycieli Emerytów przy ZG PZKO odbył 2. 9. wycieczkę do Luhaczowic i Pieszczan. Uczestniczyło w niej 45 osób.

■ Seminarium Klubu Medyków przy Zarządzie Głównym przebiegło jako wyjazdowe 5 i 6. 9. w Mokrzynkach w powiecie opawskim. Obecni wysłuchali informacji przewodniczącego Klubu MUDr. B. Chwajola z jego udziału w konferencji naukowej medyków w Lublinie nt. „Ochrona środowiska".

■ Od 7 do 9. 9. gościli u nas na zaproszenie ZG PZKO aktorzy Teatru Popularnego w Warszawie — Mira Maludzińska i Jerzy Zydkiewicz. Aktorzy odbyli 4 spotkania: z młodzieżą SSE w Cz. Cieszynie, PSP w Cz. Cieszynie, PSP w Bystrzycy oraz z młodzieżą i dorosłymi w Powiatowej Bibliotece Publicznej, Oddziale Literatur Narodowych we Frysztacie, przedstawiając program pt. „Chwile wspomnień o Bolesławie Prusie".

■ 27. 8. odbyło się w siedzibie ZG PZKO zebranie pionu plastycznego SLA. Wysłuchano informacji z pobytu plastyków, członków SLA na tegorocznych plenerach w PRL, omówiono plan wystaw u nas i w PRL do końca 1987, przedyskutowano przygotowania do Jesiennego Seminarium SLA, które przebiegnie 18. 10. w Domu PZKO w Błędowicach, oraz projekt planowanego konkursu „O Laur Ikara".

■ Szkolenie Kierowniczek Zespołów Kobiet w Kołach PZKO zorganizowane przez Sekcję Zespołów Kobiet przy ZG PZKO odbyło się 5 i 6. 9. w Koszarzyskach. Udział w szkoleniu wzięło 60 kierowniczek ZK Kół z całego terenu. Zajęcia szkoleniowe prowadziła Henryka Żabińska, przewodnicząca Sekcji ZK przy ZG PZKO.

■ 16. 9. w sali Klubu PZKO w Cz. Cieszynie odbyło się jesienne zebranie członkowskie Klubu Nauczycieli Emerytów przy ZG PZKO. Program kulturalny wykonali studenci miejscowego Gimnazjum polskiego. Wygłoszono dwa referaty: prof. K. Polak mówił na temat historii szkolnictwa górniczego na naszym terenie (część II), zaś dr J. Macura referował o szkolnictwie na Śląsku Cieszyńskim w wiekach XVI i XVII. Referaty uzupełniono tematycznymi wystawkami w Klubie PZKO. Obecnych na zebraniu było ponad 90 członków KNE.

■ XVIII Święto Folkloru w Łomnej Dolnej, tzw. „Śląskie Dni" odbyły się 12. i 13. 9. br. w tamtejszym amfiteatrze. W programie kulturalnym wystąpił dwukrotnie zespół folklorystyczny „Sibica". Delegację ZG PZKO na tych uroczystościach tworzyli członkowie Prezydium ZG J. Cieślar i E. Hyrnik.

■ Turniej siatkówki męskiej o Puchar ZG PZKO odbył się 13. 9. na boisku KS w Ropicy. Wygrała drużyna PZKO Błędowice przed PZKO Ropica i PZKO Trzyniec VI-Osiedle.

■ Od 11. do 13. 9. przebiegły w Tarnowskich Górach uroczystości pn. „Dni Gwarków'87". Nasz Związek na tych uroczystościach reprezentował ZPiT „Olza" przy ZG PZKO, który wystąpił z godzinnym programem, prezentując tańce rzeszowskie, cieszyńskie i słowackie. Delegacji ZG PZKO przewodniczył R. Suchanek, wiceprezes Związku.

■ Telewizja Polska nadała w I programie 26. 9. w ramach serialu pn. „Z Polski rodem" krótki publicystyczny reportaż z tegorocznego Święta Gorolskiego.

■ 18. 9. w salce ZG PZKO w Cz. Cieszynie odbyła swoje zebranie Rada Artystyczno-Programowa przy Sekcji Śpiewaczo-Muzycznej ZG razem z uczestnikami kursu dla początkujących dyrygentów w Bydgoszczy. Zapoznano się ze sprawozdaniem z kursu w Bydgoszczy, omówiono zaangażowanie kursistów w chórach, ich problemy, przedyskutowano zapotrzebowanie pod adresem Sekcji Śpiewaczo-Muzycznej, tematykę przyszłych kursów oraz

współpracę z SŚM w 1988 roku.

■ W XVI ogólnopolskim konkursie poetyckim Jesieni Tatrzańskiej na wiersz o tematyce góralskiej wzięło udział 56 autorów, którzy nadesłali 155 utworów. Wiersze nadesłano także z Czechosłowacji i z USA. Z naszego terenu w konkursie ucestniczył Stanisław Jedzok, członek SLA, którego wiersze „Pod Czantorią" i „Śmierć konia" uhonorowane zostały drugą nagrodą (pierwszej nagrody nie przyznano) równolegle z wierszem „Kołysanki" Franciszka Łojasa-Kośli z Poronina. Ogłoszenie wyników konkursu przez jury nastąpiło 5. 9. w Zakopanem.

■ 18. 9. w Domu PZKO w Błędowicach TL „Bajka" przy ZG PZKO wystawił premierę sztuki lalkarskiej Josefa Pehra pt. „Wiercipięta" w adaptacji i inscenizacji Jana Dormana, w reżyserii G. Lewandowskiego. W premierowym spektaklu przy wypełnionej widowni przez dzieci i młodzież z Błędowic uczestniczyli także zaproszeni G. Lewandowski, reżyser spektaklu i dyrektor Teatru Dzieci Zagłębia, oraz L. Wójcik, redaktor miesięcznika teatralnego „Scena" ukazującego się w Warszawie.

■ Dziewiąte w br. zebranie Prezydium ZG PZKO odbyło się 22. 9. w Cz. Cieszynie. Obradom przewodniczył S. Kondziołka, prezes Związku. Omó-

Z okazji 55. rocznicy tragicznej śmierci Franciszka Żwirki i Stanisława Wigury odbyła się 12. 9. na miejscu katastrofy w Cierlicku-Kościelcu uroczystość wspomnieniowa połączona z Manifestacją Przyjaźni. Organizatorami uroczystości byli KP FN i KP „Swazarmu" w Karwinie, ZG PZKO oraz Miejski Komitet FN w Cierlicku. Udział w manifestacji wzięli m. in. przedstawiciele KP KPCz, PRN i KP FN w Karwinie z sekretarzem M. Flasarem, konsul Konsulatu Generalnego PRL w Ostrawie S. Brzeziński, przedstawiciele ZG PZKO z przewodniczącym Związku St. Kondziołką, delegacja lotników polskich z płk. K. Grzybowskim, sekretarz KO „Svazarmu" mjr P. Vlček, goście z Wodzisławia, harcerze i pionierzy. W programie kulturalnym wystąpił Chór Nauczycieli Polskich przy ZG oraz Irena Żabińska i Bogusław Raszka z recytacjami. Imprezą towarzyszącą uroczystości w Cierlicku był IV Rowerowy Rajd Żwirki i Wigury zorganizowany przez MK PZKO Cierlicko-Kościelec.



fot. FRANCISZEK BAŁON









Od 18 do 20. 9. w Domu PZKO w Gutach trwał mini-plener fotograficzny, którego organizatorem był pion foto-filmowy SLA. Na mini-plener przybył zaproszony członek Zarządu Głównego Związku Polskich Artystów Fotografików Andrzej Baturo (na zdjęciu w lewym dolnym rogu), który pokazał przezrocza o tematyce „Historia polskiej fotografii socjologicznej". 19. 9. przebiegła prezentacja twórczości SLA — pionu foto-filmowego.

fot. FRANCISZEK BALON



24. 9. w Domu Polonii w Krakowie odbył się wernisaż zbiorowej wystawy plastyków i fotografików, członków SLA przy ZG PZKO pt. „40 lat PZKO". W wernisażu udział wzięła liczna delegacja ZG PZKO.

wiono i z drobnymi poprawkami zaakceptowano materiał pt. „POZ zebrań sprawozdawczo-programowych", które przebiegną pod koniec IV kwartału 87 i I kwartału 88 w Kołach PZKO. Następnie przedyskutowano materiał pn. „Ocena pracy letniej" '87. Zapoznano się z obszerną informacją przedłożoną przez I sekretarza ZG PZKO Wł. Orszulika na temat przygotowań do XV Zjazdu PZKO. W wyniku dyskusji przyjęto odpowiednie zalecenia. Prezydium ZG zatwierdziło do realizacji materiał pt. „Program gospodarności w ZG PZKO do roku 1990" oraz dotacje finansowe na akcję budowy świetlic dla niektórych Kół PZKO.

BOGUMIN

■ 29. 8. w Domu PZKO w Skrzeczoniu odbyło się robocze spotkanie członków zespołu teatralnego „Świt", działającego od 40 lat przy skrzeczońskim Kole PZKO. Zebranie prowadziła reżyser Maria Sładeczkowa. Powitała serdecznie Konstantego Krzystka, nestora tegoż zasłużonego zespołu, który funkcję reżysera w zespole „Świt" pełnił przez 35 lat. Omówiono przygotowania obchodów 40-lecia zespołu „Świt", które odbędą się 14 listopada br. w Klubie Zakładowym Huty i Druciarni w Boguminie.

■ Komitet Miejski PZKO w Boguminie urządził 26. 9. w Klubie Zakładowym RZZ HD w Boguminie Uroczystą Akademię poświęconą 40-leciu PZKO i 70. rocznicy WSRP. Bogaty program kulturalny wykonały zespół regionalny PZKO „Sibica" oraz zespoły PZKO obwodu bogumińskiego. Z ramienia ZG PZKO w Uroczystej Akademii uczestniczył W. Orszulik, I sekretarz związku.

CZESKI CIESZYN

■ Sekcja Turystyczno-Krajoznawcza przy MK PZKO Cz. Cieszyn-Sibica zorganizowała we wrześniu br. 4 wycieczki krajoznawcze do Ligotki Kameralnej i na Praszywą, do Czeladnej i na Smrk, do Mostów k. Jabł. i na Połom oraz do Koszarzysk i na Ostry.

fot. FRANCISZEK BAŁON



Plenery malarskie bez wątpienia stały się chlebem powszednim dla plastyków slaowskich. Tu bowiem ścierają się poglądy różnych twórczych indywidualności, tu zawierane są przyjaźnie. Zdjęciem z dyskusji nad pracami wracamy do pleneru w Raciborzu, w którym uczestniczyli slaowcy Bronisław Firla oraz Oskar Pawlas.

■ Zarząd sibickiego Koła PZKO zorganizował 25. 9. w swoim Domu PZKO prelekcję MUDr. Barbary Sittkowej pt. „Choroby kobiece".

■ Zespół Kobiet przy MK PZKO Cz. Cieszyn-Centrum odbył swoje regularne powakacyjne spotkanie w dniu 8. 9., a uroczyste zagajenie w nowym sezonie w Klubie PZKO przy ul. Bożka.

■ W dniach 19 i 20. 9. bawiły w Katowicach i Rybniku na zaproszenie Zarządu Oddziału Polskiego Związku Chórów i Orkiestr w Katowicach oraz KWK „Wujek" i Zarządu Okręgu Śpiewaczego w Rybniku zespoły śpiewacze „Harfa" z Koła PZKO Cz. Cieszyn-Centrum. Zespoły „Harfa" wystąpiły jako chóry żeński, męski i mieszany na uroczystościach jubileuszowych 75-lecia chóru męskiego „Hejnał" i 50-lecia orkiestry dętej przy Kopalni „Wujek" w Domu Kultury tejże Kopalni oraz na Zlocie Okręgu Śpiewaczego w Rybniku w sali Domu Kultury Rzemiosła w Rybniku.

■ Klub Propozycji przy Kole PZKO Cz. Cieszynie-Osiedlu zrealizował 7. 9. „Spacer po zdrowie" dzielnicami miasta Cz. Cieszyna. 19. 9. zarząd tutejszego Koła zorganizował wycieczkę do Sztramberka, Koprzywnicy i Rożnowa.

■ Klub Propozycji przy Kole PZKO Cz. Cieszyn-Osiedle zaoferował dla dorosłych i dzieci 21. 9. w swoim lokalu na Mojskiem seans filmowy polskiego filmu pt. „Podróże pana Kleksa".

■ Klub Seniora przy Kole PZKO w Cz. Cieszynie-Mostach urządził 12. 9. wycieczkę na Kamienite.

■ Wystawę poświęconą pszczołom i produktom pszczelim pn. „Wszystko o miodzie" zorganizował w dniach 19 i 20. 9. w swoim Domu PZKO Zespół Kobiet przy MK PZKO Cz. Cieszyn-Mosty. Wystawę urządzono dla uczczenia 40. rocznicy PZKO. Prelekcje wygłosili Emil Macura z Nydku, uczestnik tegorocznej ogólnoświatowej konferencji o apomonii w Warszawie oraz Gertruda Remeszowa z Cz. Cieszyna z zakresu apiterapii. Wystawę zwiedziło ponad 1 600 osób.

HAWIERZÓW

■ MK PZKO Hawierzów-Sucha

fot. TADEUSZ RYSZARD SMYK

Średnia urządziło 29. 8. w ogrodzie i lokalach świetlicy PZKO „Dożynki suskie". W programie zaprezentowano obrządek dożynkowy oraz koncert zespołu regionalnego MK PZKO Błędowice.

■ Zarząd tego Koła zorganizował 31. 8. wycieczkę autokarową do Piersnej, dzielnicy Piotrowic.

■ Z okazji 40-lecia PZKO Zespół Kobiet przy średniosuskim Kole PZKO zrealizował 26 i 27. 9. w swojej świetlicy „Wystawę robót ręcznych i kulinariów".

■ „Dożynki Śląskie" zorganizowało 13. 9. w ogrodzie Domu PZKO Koło PZKO w Błędowicach. Odbył się pochód dożynkowy od restauracji „Orion". Gwoździem programu był koncert Zespołu Pieśni i Tańca „Strzecha" z Raciborza (PRL). W „Dożynkach" uczestniczyli m. in. konsul Konsulatu Generalnego PRL w Ostrawie St. Brzeziński, przewodniczący KM KPCz i MRN w Hawierzowie L. Jindrak i V. Klečatský, I sekretarz ZG PZKO Wł. Orszulik i in. Imprezą towarzyszącą tegorocznym błędowickim „Dożynkom Śląskim" była wystawa grafiki i rysunków Romana Chmiela, członka SLA i błędowickiego Koła. Jego wystawa w Domu PZKO w Błędowicach zainstalowana była od 11 do 19. 9.

■ Klub Seniora przy błędowickim Kole PZKO zorganizował 17. 9. wycieczkę autobusową na Żwirkowisko.

■ Komitet Miejski PZKO w Hawierzowie obradował 16. 9. w Domu PZKO w Błędowicach. Omówiono imprezę obwodową „Wieczór Pieśni i Tańca", która odbędzie się 5. 12. w DK PB w Hawierzowie z okazji zakończenia Roku Jubileuszowego 40-lecia PZKO i 70. rocznicy WSRP, imprezy Kół obwodu hawierzowskiego na 40-lecie PZKO, oraz działalność MK PZKO w Szumbarku.

■ Klub Emerytów Koła PZKO Hawierzów-Centrum odbył swoje tematyczne spotkanie 3. 9. w świetlicy Koła „Pod Arkadami". W dniu 17. 9. Klub ten urządził udaną wycieczkę na Żwirkowisko.

■ Pierwsze powakacyjne spotkanie Zespół Kobiet przy MK PZKO w Suchej Górnej odbył 9. 9. w świetlicy Koła.

■ 10. 9. członkowie Koła PZKO w Cierlicku-Kościelcu pracowali w czynie społecznym na Żwirkowisku.

■ Zarząd tego Koła zorganizował 11. 9. w sali kina DK w Cierlicku-Centrum koncert rockowy grupy „Hrot" oraz zespołu „Nemezis" z PRL.

■ Rada Obwodowa Klubów Młodych w Hawierzowie, Sekcja Młodzieży Związkowej przy ZG PZKO oraz MK PZKO i Klub Młodych w Błędowicach urządzili 19. 9. „Pożegnanie lata". Na program złożyły się występy zespołu małych form scenicznych „Bla, bla, bla ..."

Dużym zainteresowaniem cieszyła się wystawa „Portret '87", którą urządził pod gołym niebem w sobotę 19 września Klub Karwińskich Plastyków przy Miejskim Domu Kultury w Karwinie. Dwunastu karwińskich plastyków, m. in. slaowcy Walter Taszek i Tadeusz Wratny, wystawili tu prawie 50 plastyk i obrazów.



fot. EDMUND KIJONKA

75-LECIE PAWŁA KALETY

Zacny jubileusz obchodzi 11 listopada br. trzyniecki kompozytor i muzyk Paweł Kaleta. Fachowe publikacje (również czeskie) oceniają go jako najwyraźniejszą osobowość twórczą wśród żyjących polskich twórców muzyki na naszym terenie.

Muzykę zaczął studiować w Ostrawie, a studia te kontynuował w klasie kompozycji praskiego konserwatorium, którego wojna nie pozwoliła mu dokończyć.

Paweł Kaleta jest znany nie tylko jako kompozytor, ale także jako długoletni kierownik trzynieckiego Kwartetu Smyczkowego, który w latach 1932—1976 wyraźnie kształtował miejscowe życie muzyczne. W okresie szczytowym kwartet ten należał niewątpliwie do najlepszych amatorskich zespołów tego rodzaju w skali ogólnokrajowej. Zdobył między innymi złoty medal na Festiwalu Ludowej Twórczości Artystycznej w Pradze w roku 1955 oraz szereg innych cennych odznaczeń.

W dorobku artystycznym Pawła Kalety dominuje bliska mu wewnętrznie twórczość kameralna. Dwa kwartety smyczkowe, dwa cykle Miniatur, Kwartetino, tria smyczkowe to reprezentacyjne pozycje jego twórczości w tym zakresie. Kompozytor wychodzi pierwotnie z pierwiastków neoromantycznych, ale w późniejszych kompozycjach już odważniej operuje bardziej skomplikowaną harmonią, politonalnością i dodekafonią. Szereg jego kwartetów wykonywały zespoły zawodowe z Brna, Warszawy i Katowic. Niektóre jego utwory kameralne zostały wykonane w odległej Australii.

Inwencja twórcza Kalety znalazła także odbicie w twórczości symfonicznej. Przypomnijmy chociażby obraz symfoniczny Beskidy. Niektóre jego utwory orkiestralne zostały nagrane w radiu przez Filharmonię Janáčka w Ostrawie, częściej jednak były grywane przez polskie orkiestry symfoniczne.

Duże znaczenie mają także jego kompozycje wokalne i chóralne. Częstym źródłem inspiracyjnym jest miłość do rodzinnych stron. Są to utwory o wysokim poziomie artystycznym, a pomimo to w większości wypadków są przystępne dla amatorskich zespołów chóralnych i często przez nie wykonywane.

Grono Muzyki Poważnej w Trzyńcu z okazji jubileuszu trzynieckiego kompozytora włączyło do programu wybór jego Miniatur w ramach koncertu abonamentowego w dniu 10 listopada br. Również amatorskie zespoły artystyczne trzynieckiego Domu Kultury przygotowały się do uroczystych obchodów urodzin Pawła Kalety.

Kompozytor całe życie został wierny swemu rodzinnemu miastu, poświęcając się pracy twórczej w chwilach wolnych od swej prozaicznej pracy biurowej. Niechaj jeszcze długo rozdaje ludziom radość swoją muzyką!

(rr)

przy MK PZKO Sucha Średnia, Urszuli Błanik oraz zespołu instrumentalnego „Brygada" PZKO Gródek, wokalnego „Nota bene" z Błędowic i kapeli zespołu regionalnego „Błędowice".

■ Koło PZKO w Hawierzowie III-Szumbarku odbyło 25. 9. w Ośrodku Agitacyjnym DK zebranie członkowskie. Po zebraniu prelegent J. Potoczek wygłosił odczyt pt. „Kryminalistyka".

JABŁONKÓW

■ Młodzież zrzeszona przy Kołach Miejscowych PZKO w Łomnej Dolnej i Boconowicach zorganizowała 28. 8. w Łomnej Dolnej koncert zespołu rockowego „Turbo" z PRL, który gościł na zaproszenie „Pragokoncertu" w Czechosłowacji z serią koncertów, wraz z ostrawskim zespołem „Citron". Wystąpiły również zespoły z PRL „Walery Pająk" oraz „Stos".

■ 25. 8. w Domu PZKO w Jabłonkowie odbyło się zebranie wszystkich aktywistów — członków MK PZKO w Jabłonkowie uczestniczących w przygotowaniach i realizacji 40. Święta Gorolskiego.

KARWINA

■ Festyn ogrodowy zorganizowało 29. 8. w areale obok swojej świetlicy Koło PZKO w Karwinie na Sowińcu.

■ Miejscowe Koło PZKO Karwina-Stare Miasto zorganizowało 19. 9. w swoim Domu PZKO prelekcję MUDr. Z. Wranki pt. „Choroby wewnętrzne".

■ W Stonawie odbyło się 19. 9. w sali Domu PZKO zebranie członkowskie MK. Po wysłuchaniu sprawozdania z działalności Koła za II kwartał 87 oraz dyskusji wyświetlono film polski pt. „Romans Teresy Hennert".

■ Klub Młodych „Syzyf" przy Kole PZKO w Stonawie oraz Klub Młodych Koła PZKO w Karwinie-Granicach zorganizowały 26. 9. w Domu PZKO w Stonawie drugą edycję „Apokalipsy" dla zwolenników dobrej zabawy. Organizatorzy zaprezentowali ciekawy program estradowy, niespodzianki, specyficzną scenografię, muzykę „na żywo" w wykonaniu Tomka Michalskiego i Zbyszka Głaca. Imprezą towarzyszącą była wystawa Biura Wystaw Artystycznych w Opolu pn. „Opole w plastyce". Zaprezentowano 26 obrazów i 1 gobelin.

■ Frysztacki PZKO-wski chór męski „Hejnał-Echo" wystąpił 13. 9. na rynku w Tarnowskich Górach z okazji „Dnia Gwarków '87". Koncert wypełniły chóry, laureaci tegorocznego czerwcowego konkursu w Tarnowskich Górach o „Kaganek Gwarków Tarnogórskich". Po występie wręczono członkom zespołu nagrodę za zajęcie II miejsca w czerwcowym konkursie — Srebrny Kaganek.

■ W ramach XII „Dni Zdrowia", które przebiegły od 14 do 27. 9. w sanatorium w Darkowie z okazji 70. rocznicy WSRP, 20. 9. odbył się „Dzień Kultury Polskiej". Zagaił go występ karwińskich przedszkolaków. Główną atrakcją była wystawa prac ręcznych i wyrobów cukierniczych, przygotowana przez Zespół Kobiet przy MK PZKO Cz. Cieszyn-Mistrzowice. Zaprezentowano na niej stroje cieszyńskie, hafty, przedmioty dekoracyjne do mieszkania, haftowane żywotki i świąteczne pieczywo. Dla kuracjuszy wystąpił z koncertem chór mieszany PZKO „Dźwięk" przy MK PZKO Karwina-Raj.

■ Klub Młodych „Syzyf" przy MK PZKO w Stonawie zorganizował 13. 9. w Domu PZKO spektakl, w którym zespół małych form scenicznych „IKRA" przy ZG PZKO zaprezentował po raz pierwszy nowy spektakl Janusza Klimszy pt. „Ćma" w reżyserii autora.

■ Koło PZKO Karwina-Kopalnie-Centrum urządziło 26. 9. w swoim lokalu uroczystą świetlicę z okazji 40-lecia PZKO. W programie kulturalnym wystąpili studenci Gimnazjum polskiego w Orłowej-Łazach oraz zespoły z MK PZKO w Rychwałdzie i Suchej Górnej.

ORŁOWA

■ Zarząd i Zespół Kobiet przy Kole PZKO w Orłowej-Łazach urządziły 12. 9. w Klubie Emerytów udaną świetlicę w przyrodzie pt. „Pożegnanie lata".

■ MK PZKO w Dąbrowej zorganizowało 25. 9. w Domu PZKO odczyt dr. J. Macury pt. „Historia Śląska Cieszyńskiego do I wojny światowej".

TRZYNIEC

■ MK PZKO w Gutach zorganizowało 30. 8. w Domu PZKO i jego otoczeniu „Dożynki Śląskie". Gospodarzami dożynek byli inż. Roman Suchanek, wiceprzewodniczący Związku, z małżonką. Delegacji ZG PZKO przewodniczył St. Kondziołka, prezes Związku. Na program kulturalny złożyły się występy Zespołu Folklorystycznego „Jaworze" z Jaworza (PRL), który zaprezentował obrządek dożynkowy, Zespół Regionalny „Bierawianie" z Zakładów Azotowych w Kędzierzynie-Koźlu (PRL) oraz Zespół Folklorystyczny PZKO „Sibica".

■ Klub Seniora przy MK PZKO w Wędryni zorganizował 5. 9. nietypową wycieczkę „Z łopatą" do Ośrodka Szkoleniowego ZG w Koszarzyskach. Członkowie Klubu przepracowali sporą ilość godzin przy różnych pracach porządkowych w Ośrodku. Po pracy uczestnicy wycieczki wzięli udział w uroczystościach otwarcia Domu PZKO w Milikowie-Pasiekach.

■ Pierwsze powakacyjne spotkanie Zespołu Kobiet MK PZKO Trzyniec 1-Miasto odbyło się 1. 9. w świetlicy Koła.

■ MK PZKO Trzyniec VI-Osiedle zorganizowało 2. 9. w Domu PZKO im. A. Wawrosza pierwsze powakacyjne spotkanie Zespołu Starszych i Młodszych Kobiet. Omówiono wycieczkę do PRL.

■ Zespół Kobiet przy Kole PZKO w Trzyńcu III-Kanadzie zorganizował 23 i 24. 9. w wyremontowanej świetlicy pieczenie tortów. Zarząd Koła urządził 25. 9. Festyn w odrestaurowanym Klubie PZKO. W programie wystąpili przedszkolacy oraz młodzież szkolna.



fot. EDMUND KIJONKA

MOZAIKA

TEMAT DLA EWY

JESIENNE ZABIEGI

PIELĘGNACYJNE

Mamy więc już pełnię jesieni. Główną cnotą szarych dni tego miesiąca będzie przedłużenie i utrwalenie zdrowotnych i estetycznych osiągnięć minionego lata, więc hartowanie ciała, zalecane wszystkim osobom młodym i młodszym, naprzemienne natryski, nacieranie szorstką, wilgotną rękawicą, masaże i automasaże całego ciała. Listopad należy bezspornie do najmniej lubianych miesięcy roku. Zwiastuje przeziębienia, grypy, bóle reumatyczne, przemakające buty, parasole, zachlapane samochody i tym podobne nieprzyjemności.

To jeszcze jedna racja, aby właśnie teraz nie poddawać się ani fizycznie, ani psychicznie zniechęceniu, słabościom i nudzie. Kto jest sprawny fizycznie i zdrowy, a ma w sobie trochę bohaterskiej determinacji, może nawet nie zmieniać trybu codziennej zaprawy fizycznej. Ale osoby nie pierwszej młodości i kobiety o bardziej kruchym zdrowiu muszą raczej przejść do defensywy: ubierać się ciepłej i stosownie do zmiennej pogody, a przede wszystkim dbać o stopy (aby były suche i ciepłe), szyję i miednicę. Nieprzemakalne obuwie i ciepłe ineskrymable oraz szalik są szczególnie ważne w pierwszych dniach listopada, gdy panuje na ogół wilgotna i wietrzna pogoda, a nasz organizm dopiero się do niej przyzwyczaja.

W przewidywaniu chorób z przeziębienia dobrze jest w listopadzie popijać napar z dzikiej róży i — ewentualnie — przyjmować witaminę C — 2 lub 3 drażetki dziennie; więcej nie warto, bo i tak nadmiar zostanie wydalony. Dobrze zrobi nam również krótkie naświetlanie lampą kwarcową, o ile mamy taką w domu. Ostrzegamy przed kwarcówką kobiety koło czterdziestki — działa ona bardzo szkodliwie przy rozszerzonych naczyniach krwionośnych i zaczerwienionej twarzy. W tym miesięcu panie mogą stosować trochę obfitszy makijaż; pierwsze silniejsze chłody i mrozy łatwiej znieść skórze przypudrowanej. Najważniejsze, to nie dać się nadchodzącej zimie!

KRZYŻÓWKA

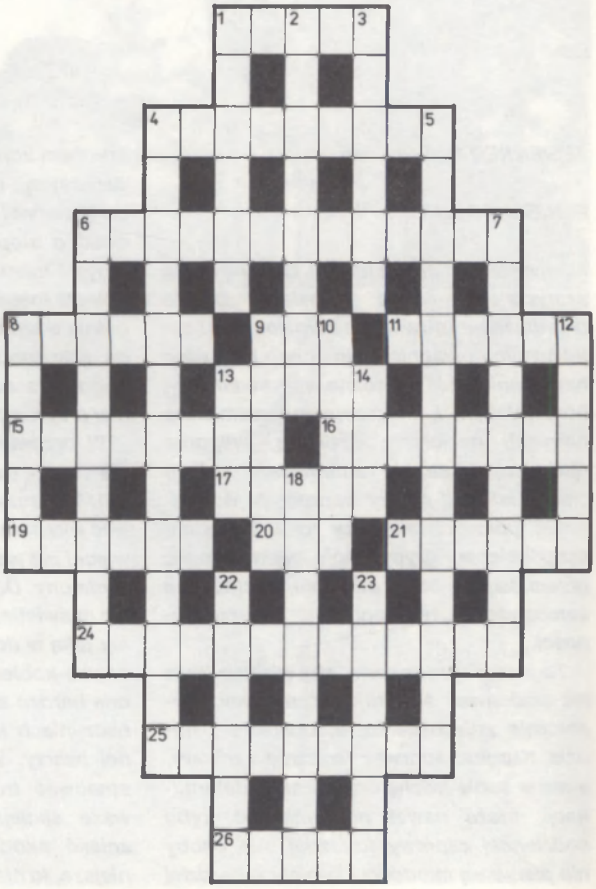
Znaczenie wyrazów:

POZIOMO:

1 ,,Radegast" Czyngis-Chana
4 dla Bolka i Lolka komponował
6 do niej ze złamanym paznokciem
8 jeden z muzykujących ,,Goroli"
9 list nim zapieczętujesz
11 jeden z trzech (albo czterech?)
13 ponoć zmądrzeje, gdy szkodę ucierpi
15 znakomita w sali koncertowej
16 28 m p. p. m.
17 autor ,,Komorników"
19 towarzysz broni Che Guevary
20 do Renu wpływa
21 np. przybrzeżna
24 superpozycja
25 cacanka
26 miasto w woj. warszawskim z pomnikiem-mauzoleum

PIONOWO:

1 pustorożec gustujący w taternictwie
2 miejsce triumfu Wszoły i Ślusarskiego
3 Czomolungma
4 rozmyślne odwlekanie decyzji
5 specyficzne wykonanie
6 ,,Seksmisja" to jego dzieło
7 nastrój

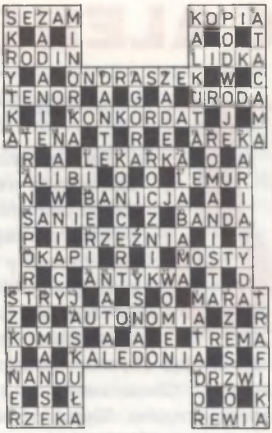


8 Mont
9 żeglowna od Roanne do Nantes
10 bratankom przewodzi
12 niekiedy nawet gra
13 tam ulokuj swoje oszczędności
14 Hugo Kołłątaj był jej członkiem
18 od wyborów do wyborów
22 prawda oczywista
23 gdy nastanie, latarka ci niepotrzebna

oprac. (JO)

Wśród autorów prawidłowych rozwiązań nadesłanych pod adresem redakcji najpóźniej do 30 listopada br. rozlosowane zostaną trzy nagrody książkowe.

Obok prawidłowe rozwiązanie krzyżówki z numeru wrześniowego. Nagrody otrzymują: Paweł Santarius — Olbrachcice, Anna Březinová — Trzyniec VI, Igor Stonawski — Czeski Cieszyn.





fot. BOGUSŁAW RAJSKI

GALERIA SLA



FRANCISZEK BAŁON: Jesień, fotografia barwna 1986 (4. str. okładki)

Ten fotogram pokazuje i po raz kolejny potwierdza wysokie umiejętności techniczne swego twórcy. Franciszek Bałon uczynił „bohaterem" swego dzieła pozornie kilka listków wyraźnie widocznych pośrodku, ale właściwym bohaterem tego obrazu jest ruch i światło. Autor jest nimi najwyraźniej zafascynowany i daje się ponieść radosnemu przeczuciu możliwości technicznych, jakie te dwa elementy dają fotografii. Cała powierzchnia kolorowego fotogramu jest poruszona. Ruch odbywa się tutaj koncentrycznie. Wszystkie elementy — ziemia, drzewa, nawet fragmenty nieba jakby uciekały w głąb obrazu, rozmazują się, tracą ostrość, jak pejzaż oglądany z okien pędzącego pojazdu. Obraz zamienia się w ruchliwe, migocące plamy barwno-świetlne — w samą esencję ruchu. Wyraźnie rozpoznawalne pozostają jedynie jesienne liście klonowe na pierwszym planie. Autor, opanowawszy do perfekcji technikę fotografowania, bawi się nią: porwany kreacyjną siłą światła stwarzającego kolory, ożywiającego przedmioty, wprawiającego wszystko w ruch. „Las" Bałona jest w swej wymowie nieco przewrotny. Mimo gwałtownego ruchu, nie ma w nim dramatyzmu, mimo całego swego rozwichrzenia, jest dekoracyjny, estetycznie wysmakowany. Całą jego treścią jest gra — światła, cienia i zmieniających się w nich barw. Jest to impresja, etiuda na temat jesiennego słonecznego lasu oglądanego oczami wyrafinowanego estety.

A.M.R.

JAK JEST POPRAWNIE

CZYLI O ZAGRANICY

Rzeczownik *zagranica* oznacza obce kraje. Jeżeli chcemy napisać, że ktoś przybył z obcego kraju, to piszemy *z* jako oddzielny przyimek a potem *zagranicy* jako dopełniacz rzeczownika zagranicy pisanego oczywiście łącznie: *z zagranicy*. Jeżeli mamy na myśli przekroczenie jakiejś konkretnej linii granicznej w polu lub w lesie, to wtedy napiszemy, że ten ktoś przyszedł *zza* — łącznie jako przyimek złożony — i *granicy* — oddzielnie od tego przyimka: *zza granicy*.

Zastrzeżenie wywołuje wysyłanie przesyłek do zagranicy, kiedy wystarczy po prostu *za granicę*. Niepoprawne jest również wyrażenie do zagranicy, bo zagranica to właściwie wszystkie państwa znajdujące się poza granicami naszego kraju, więc obszar przestrzennie dosyć nieokreślony, a przyimek *do* wyraźnie wyznacza kierunek ruchu. Tak samo unikajmy sformułowania, że ktoś przebywał w zagranicy, poprawnie brzmi to: *przebywał za granicą*.

ZIELNIK

CZEREŚNIA

Nazwa łacińska — Prunus avium L. (Słowo *prunus* wywodzi się z greckiego *prunos* — tą nazwą oznaczano w starożytnej Grecji dzisiejszą śliwkę i *pados* — wiśnię. Chodzi więc o oznaczenie owoców z pestką. Łacińskie słowo *avium* znaczy ptasi — pestki są ulubioną potrawą wielu ptaków.)

Uważa się, że czereśnia pochodzi z okolic Morza Czarnego. Według Pliniusza Starszego czereśnie przywiózł do starożytnej Italii słynny Luculus, z miasta Keras, leżącego na południowowschodnim wybrzeżu Morza Czarnego. W tym czasie znano w Italii tylko czereśnie z malutkimi, słodkimi owocami. Grecy znali czereśnię o wiele wcześniej. Pisze o niej pisarz Diphilos, żyjący w IV wieku p. n. e.

Zasługą Rzymian czereśnia rozszerzyła się do krajów na północ — do Alp i na Wyspy Brytyjskie, gdzie przyjęła się nad podziw dobrze — jej owoce miały w surowszym klimacie smaczniejsze owoce niż gatunki rosnące w łagodnym klimacie na wybrzeżu Morza Śródziemnego.



Według wierzeń ludowych gałązka ucięta w dniu św. Barbary i posadzona do naczynia z ziemią rozkwita w wigilię Bożego Narodzenia godzinę po północy. Kwiatami tymi może dziewczyna przywabić młodzieńca, który ją potajemnie kocha. W niektórych miejscach dziewczęta, idące o północy do kościoła, przypinały sobie owe kwitnące gałązki do sukni; młodzieniec, który zabrał gałązkę, miał zostać jej mężem. Na Morawach i Słowacji wierzono, że jeżeli gałązka nie zakwitnie, dziewczyna nie wyjdzie za mąż.

Czereśnia jest wysokim drzewem z gładką korą, elipsoidalnymi, ząbkowanymi liśćmi. Blisko ogonka liścia znajdują się 1—2 ciemnoczerwone gruczoły, wydzielające słodką ciecz ulubioną przez mrówki, które usadawiają się wokół nich, chroniąc liście przed różnymi szkodnikami.

Czereśnia kwitnie w kwietniu i maju. Surowcem farmaceutycznym są przede wszystkim dojrzałe owoce, ale także ich ogonki i pestki. Lecznicze właściwości wykorzystuje się zwłaszcza w medycynie dziecięcej (dodaje się 10—30 % syropu do różnych mikstur). Syrop z owoców zawiera substancje chemiczne, które bardzo łatwo wiążą się ze szkodliwymi produktami metabolizmu.

W ludowej medycynie wykorzystywane są także jądra pestek (przeciwko kamieniom moczowym). Należy je macerować 10 dni w 60 % spirytusie, odfiltrować i pić 2 razy dziennie po małej łyżeczce. Ogonki owoców czereśni są częścią składową różnych mieszanek ziołowych stosowanych przy dietach odchudzających. Owoce stosuje się przy zapaleniu dróg moczowych, zapaleniu nerek, kamieniach moczowych, reumatyzmie stawów, chorobach serca, niewydolności i zapaleniu wątroby.

Oprócz smacznych owoców, które je się surowe lub zagotowane, czereśnia posiada również bardzo dobre drewno, które wykorzystuje się w rzeźbiarstwie oraz do produkcji fajek. Z owoców produkuje się też wysokoprocentowe napoje alkoholowe i likiery.

M.C.

ZWROT
MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO - KULTURALNY
ROK XXXVIII ● NR 456 ● CENA 2,50 Kčs

11/87

[1] W 30. rocznicę WSRP
[2] Jaki będzie „Zwrot" *MARIA GRZEGORZ PIOTR PRZECZEK*
[8] Dni Folkloru w Mostach *ALEKSANDRA NIEMIEC*
[11] „Świt" ma 40 lat *HENTYKA BITTMAR*
[16] Drugi dom rodzinny *ELŻBIETA WANIA*
[19] Otwarcie Domu PZKO w Milikowie-Pasiekach
[20] Polska w Brnie *PIOTR PRZECZEK*
[23] Autobusy . . . (Pezetkaowcy inaczej) *OTYLIA TOBOŁA*
[28] Odgłosy Wielkiego Października nad Olzą [3] *WŁADYSŁAW JOSIEK*
[32] Z kart historii *JAN ZOLICH*
[34] Paweł Finn: Spokojne życie miejskie
[42] Henryk Mażul: Wygaszanie ogniska, Żurawie, W ścianach, Wróżba, Samozniszczenie, Kominy
[46] Oldřich Rafaj (Tłumacze literatury polskiej) *WILHELM PRZECZEK*
[49] Malarstwo niedzielne (Okiem recenzenta) *A.M.R.*
[52] Przechodniu, powiedz Polsce *ALOJZY KLUZ*
[56] Ligota i Podobora (Wędrówki nazewnicze) *WŁADYSŁAW MILERSKI*
[59] W największej wiosce Europy (Nadreńska mozaika) *TADEUSZ WRATNY*
[62] Trybuna czytelników
[65] To i owo
[66] Kronika
Mozaika:
[75] Temat dla Ewy
[76] Krzyżówka *(JO)*
[78] Galeria SLA *A.M.R.*
Jak jest poprawnie
[79] Zielnik *M.C.*
[80] Spis treści

1. STRONA OKŁADKI — fot. OTTO SZLAUER

WYDAWCA:
POLSKI ZWIĄZEK KULTURALNO-OŚWIATOWY ZARZĄD GŁÓWNY W CZESKIM CIESZYNIE

ADRES REDAKCJI:
UL. J. BOŻKA 16
737 21 CZESKI CIESZYN
TEL. 569 83

ZESPÓŁ REDAKCYJNY:
KAZIMIERZ GAJDZICA
MARIA GRZEGORZ
URSZULA HUDECZEK
PIOTR PRZECZEK
(redaktor naczelny)

RADA REDAKCYJNA:
FRANCISZEK BAŁON
MARIA BIŁKO
WIESŁAWA BRANNA
BRONISŁAW FIRLA
TADEUSZ CHRZĄSZCZ
KAZIMIERZ JAWORSKI
STANISŁAW JEDZOK
WŁADYSŁAW ORSZULIK
RUDOLF POPIOŁEK

Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca. Drukarnia: Tisk, knižní výroba, n. p., Brno, zakład 3 — Cz. Cieszyn, ul. Rewolucyjna 1. Cena prenumeraty rocznej Kčs 30,—, półrocznej Kčs 15,—. Zgłoszenia prenumeraty w CSRS przyjmuje redakcja i administracja „Zwrotu", w PRL Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch", Warszawa, ul. Wronia 23. Zezwolenie na ulgową opłatę pocztową wydał Powiatowy Urząd Pocztowy w Karwinie 20. 8. 1963. 1268/63. Numer indeksu R 389, nakład 4250 egz.

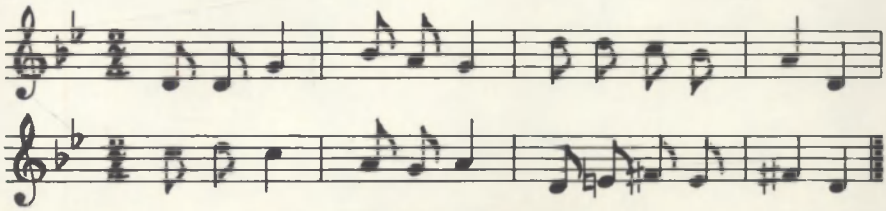
ilustracja JANINA SZOTKOWSKA

PIEŚNI GÓRALSKIE

SYNECZKU, SYNECZKU

Bukowiec

Pieśń zapisana w 1908 roku przez zbieracza Rudolfa Zahradnička u pani M. Sikorowej, złożona jest z 3 części (1—2, 3—5, 6—7 strofa). Druga, a w jeszcze większym stopniu trzecia część figurują często jako samodzielne pieśni na całych wschodnich Morawach i w przylegających regionach Słowacji. Pieśń tę o bardzo podobnym wyglądzie zapisał w Gródku J. Tacina w 1934 roku, ułamek tekstowego motywu pierwszej części na początku wieku w Wędryni. Z tego można sądzić, że rdzeń prezentowanej pieśni jest miejscowego pochodzenia. Trzecia część jest szeroko rozpowszechniona na Morawach i Słowacji.



1.
Syneczku, syneczku
Ty prawy gwoździćku
Co sie tak rozwijosz
W tym mojim serdećku

2.
A mie sie rozwinył
Jedyn karafijoł
Powiadajóm ludzie
Że mie bedziesz bijoł

3.
Jeszczech cie nie znała
Už jech cie dostała
Powiadajóm ludzie
Żech ci czarowała

4.
Czarowała tebie
Jedwobno szateczka
Co ci darowała
Chudobno dziyweczka

5.
Czarowały tebie
Moje czorne łoczi
Jak sie nie wyspały
We dnie ani w nocy

6.
Przi studziynce stoła
Wodym nabiyrała
Moja mamuliczka
Na mie zawołała

7.
Podej mi, cerziczko
Wody do żbóneczka
A jo ci dóm za to
Szwarnego syneczka



Trzaskali Fr
Těrlická 462
735 35 HAVÍŘOV-H Suchá

FRANCISZEK BAŁON: Jesień, fotografia barwna 1986



ZWROT

12/87





Związkowy sezon karnawałowy od początku lat 60. inauguruje „Bal Akademicki" organizowany przez Sekcję Akademicką „Jedność" ZG PZKO. Od dwu sezonów tradycją staje się kończący mięsopustowe zabawy WETERANIK, bal byłych studentów, członków SA „J"-u. Na zdjęciu górnym m. in. niezapomniany wodzirej tych bali Karol Gąsior na „Akademiku 1972" w czeskocieszyńskim „Piaście". Poniżej Janina Kopeć i Jerzy Cienciała — pierwsza para pierwszego „Balu Akademickiego" na tegorocznej 2. edycji WETERANIKA w Klubie PZKO przy ul. Bożka.



fot. ARCHIWUM ZG PZKO, PIOTR WOJOCZEK

Biblioteka Czeskiego Klubu

NIEZMIENNY CEL

Od pierwszego numeru rocznika '87 „Zwrotu" drukujemy w tym miejscu fragmenty dokumentów historycznych, związanych z wydarzeniami, jakie na przestrzeni czterdziestu lat istnienia naszego Związku kształtowały jego działalność. Cykl ten kończymy jednym z materiałów, przyjętych podczas październikowego XV Zjazdu PZKO — a więc dokumentem, wskazującym na dalsze plany działania, na zamiary i ideały, którymi kierować się będziemy w następnych latach; chodzi o list, który delegaci zjazdu wysłali do Komitetu Centralnego KPCz oraz Komitetu Centralnego Frontu Narodowego CSRS. Jego treść stanowi potwierdzenie niezmienności zasadniczych celów pracy Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego.

Szanowni towarzysze!

W dniu dzisiejszym obradował XV Zjazd Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w CSRS, podsumowujący nie tylko działalność Związku od XIV Zjazdu, lecz również za ukończone czterdzieści lat istnienia naszej organizacji.

My, delegaci z wszystkich 94 Kół Miejscowych, zgromadzeni na XV Zjeździe PZKO, przekazujemy w imieniu całej 24- tysięcznej rzeszy członków nasze gorące pozdrowienia na ręce Sekretarza Generalnego Komunistycznej Partii Czechosłowacji, Prezydenta Republiki i Przewodniczącego KC FN tow. Gustawa Husáka.

Nasz Zjazd obraduje na kilka dni przed obchodami 70. rocznicy WSRP. Ideały, których wdrażanie w życie zapoczątkował Wielki Październik, określają również kierunek naszego działania. Zdajemy sobie sprawę z tego, że Polski Związek Kulturalno-Oświatowy w Czechosłowacji mógł powstać i pomyślnie rozwijać swoją działalność dzięki polityce KPCz. Z tym większą więc odpowiedzialnością podchodzimy do zadań, jakie przed całym naszym społeczeństwem postawił XVII Zjazd KPCz. Nasz Zjazd omówił i przyjął takie kierunki działania, które poprowadzą wszystkich naszych członków do jeszcze większego zaangażowania społecznego, do realizowania wspólnego dzieła: budowania rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego.

W pracy kulturalno-oświatowej, będącej podstawową treścią naszego działania, nadal wdrażać będziemy zasady marksizmu-leninizmu, internacjonalizmu proletariackiego i patriotyzmu socjalistycznego, dążyć będziemy do umacniania naukowego światopoglądu. Najwyższym celem naszej pracy będzie rozwijanie naszej Ludowej Ojczyzny — Czechosłowackiej Republiki Socjalistycznej.

DELEGACI XV ZJAZDU
PZKO

W Czeskim Cieszynie, 24. 10. 1987



XV ZJAZD PZKO

fot. FRANCISZEK BAŁON

W sobotę 24 października w sali czeskocieszyńskiego hotelu „Piast" obradował XV Zjazd Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego. W jego obradach udział wzięło ponad 230 delegatów z wszystkich 94 Kół PZKO oraz zacni goście: przedstawiciele Komitetu Okręgowego KPCz w Ostrawie z członkiem KC KPCz, I sekretarzem KO KPCz tow. Václavem Václavíkiem, Okręgowej Rady Narodowej z członkiem Prezydium KO KPCz, przewodniczącym ORN Františkiem Skácelem, wiceprzewodniczący KC Frontu Narodowego CRS Miloslav Vacík, pracownik KC KPCz Ján Ulbricht, przedstawiciel rządu CRS i rady ds. narodowości Miroslav Petráň. Zjazd zaszczycili również swoją obecnością Ambasador PRL w Pradze Andrzej Jedynak, sekretarz generalny Towarzystwa Łączności z Polonią Zagraniczną „Polonia" w Warszawie Józef Klasa. Przybyli również przedstawiciele władz partyjnych i państwowych obu powiatów z Oldřichem Blažkiem i Ladislavem Ručką, I sekretarzami KP KPCz w Karwinie i Frydku-Mistku oraz Milan Bystroň i Lev Svoboda, przewodniczący PRN w Karwinie i Frydku-Mistku. Przybyli również przedstawiciele zaprzyjaźnionych organizacji społecznych z Czechosłowacji, Polski i NRD.

Referat sprawozdawczo-programowy przedstawił I sekretarz ZG PZKO Władysław Orszulik. W dyskusji zabrało głos piętnastu delegatów i dziesięciu gości. Obszerne fragmenty niektórych przyczynków przestawiamy na naszych łamach.

Delegaci XV Zjazdu PZKO przyjęli wniosek nowelizacji Statutu PZKO oraz uchwałę wytyczającą główne kierunki dalszego rozwoju działalności związkowej do roku 1991. XV Zjazd wybrał nowe władze Związku: 45-osobowe Plenum ZG PZKO, 9 zastępców członków ZG PZKO, 15-osobowe Prezydium oraz 7-osobową Komisję Rewizyjną.

PLENUM ZG PZKO:

Inż. Jerzy Bilan, Henryka Bittmar, Bogusław Branny, Czesław Bugdol, Jan Cieślar, inż. Bogusław Czapek, Jan Czudek, inż. Stanisław Dudys, inż. Piotr Horzyk, Eugeniusz Hyrnik, inż. Brunon Kalina, Wacław Kapsia, Eugenia Kaňowa, Józef Kazik, Henryk Kiedroń, inż. Karol Kielar, Bogdan Kisza, dr Stanisław Kondziołka, Władysław Konesz, dr Jan Kowala, Halina Kowalczyk, Henryk Kraina, Jan Łabaj, Helena Macurowa, Karol Michalski, Władysław Młynek, Władysław Niedoba, Tadeusz Nierostek, Władysław Orszulik, inż. Paweł Pieter, Rudolf Popiołek, Jan Przywara, Jan Pyszko, Bogusław Raszka, inż. Roman Suchanek, dr Emanuel Szarowski, inż. Jan Szmek, Franciszek Szopa, Emil Śliwka, inż. Karol Toboła, Milan Wacławiec, Wanda Walkowa, dr Józef Wierzgoń, Halina Wojnar, dr Henryka Żabińska.

ZASTĘPCY CZŁONKÓW ZG PZKO:

Władysław Brózda, inż. Marcela Fikoczek, Tadeusz Grycz, Stanisław Hila, inż. Henryk Michalski, Leszek Szczuka, Helena Śliwkowa, dr Irena Żabińska, Jan Żaludek.

PREZYDIUM ZG PZKO:

Jan Cieślar — wiceprzewodniczący ZG PZKO, Jan Czudek, inż. Piotr Horzyk, Eugenia Kaňowa, Henryk Kiedroń, dr Stanisław Kondziołka, Halina Kowalczyk, Helena Macurowa, Karol Michalski, Władysław Niedoba, Władysław Orszulik — I sekretarz ZG PZKO, Rudolf Popiołek — wiceprzewodniczący ZG PZKO, Bogusław Raszka, inż. Roman Suchanek — przewodniczący ZG PZKO, inż. Karol Toboła.

CZŁONKOWIE KOMISJI REWIZYJNEJ ZG PZKO:

Karol Heczko, dr Henryk Jonszta, Leopold Kołorz, inż. Jan Kubiena, CSc., inż. Jadwiga Ondrejičkowa, Jan Paszek, Tadeusz Pawlus.

GŁÓWNE KIERUNKI DALSZEGO ROZWOJU DZIAŁALNOŚCI ZWIĄZKOWEJ DO ROKU 1991

Pod kierownictwem Komunistycznej Partii Czechosłowacji, która konsekwentnie realizuje program przebudowy mechanizmu gospodarczego zgodnie z uchwałą XVII Zjazdu, dochodzi do ogólnospołecznej aktywizacji. Polski Związek Kulturalno-Oświatowy jako trwałe ogniwo Frontu Narodowego nie może stać na uboczu tych ogólnospołecznych zmian jakościowych. Główne kierunki dalszego rozwoju działalności związkowej po XV Zjeździe PZKO wytyczają zadania podniesienia poziomu wszelkiej działalności związkowej tak, aby PZKO przyczynił się do dalszego rozwoju i jakościowego wzrostu budownictwa socjalizmu. W tym celu XV Zjazd wytycza następujący program działalności:

1. W ZAKRESIE PRACY MASOWO-POLITYCZNEJ I ORGANIZACYJNEJ

— Wpływać na formowanie socjalistycznej świadomości członków i światopoglądu naukowego, pielęgnować uczucia internacjonalizmu socjalistycznego oraz pozytywny stosunek członków do socjalistycznej ojczyzny; we wszystkich dziedzinach działalności związkowej stosować kryteria klasowe, wyposażać członków w argumenty do obrony polityki Partii;

— zaznajamiać członków ze strategią przyśpieszenia budowania socjalizmu i prowadzić ich do udziału w konsekwentnej realizacji uchwał XVII Zjazdu KPCz i zadań gospodarczych 8. pięciolatki;

— w pracy z kadrami poświęcić więcej uwagi podnoszeniu jakości politycznego i fachowego przygotowania aktywistów — członków organów wybieralnych, kierowników zespołów i pracowników aparatu ZG PZKO, systematycznie pracować z rezerwą kadr na wszelkich stopniach działalności związkowej;

— przyczyniać się do szerokiego zaangażowania członków w socjalistycznym współzawodnictwie w zakładach pracy, poszerzać ich udział w realizacji programu wyborczego Frontu Narodowego;

— brać aktywny udział w organizowaniu czynów społecznych FN, zwłaszcza zadań inwestycyjnych, w zbiorze surowców wtórnych, kontynuować budowę i modernizację obiektów użyteczności publicznej i związkowych; uczestniczyć w akcjach skierowanych na ochronę środowiska naturalnego;

— propagować przyjaźń pomiędzy państwami wspólnoty socjalistycznej, zwłaszcza ze Związkiem Radzieckim i PRL; upowszechniać zasady pokojowego współżycia, zwłaszcza inicjatywy pokojowe państw socjalistycznych;

— nadal współpracować z zaprzyjaźnionymi organizacjami w PRL i NRD; przy okazji zagranicznych występów propagować osiągnięcia socjalistycznej Czechosłowacji i polityki narodowościowej KPCz;

— nadal rozwijać socjalistyczny styl życia, stwarzać członkom, zwłaszcza zaś młodzieży i dzieciom, warunki odpowiedniego wykorzystania wolnego czasu;

— rozwijać wśród członków Związku, zwłaszcza wśród młodzieży, poczucie dumy narodowej i patriotyzmu socjalistycznego, prowadzić ich do odpowiedzialnej realizacji zadań budowniczych i obrońców socjalistycznej ojczyzny;

— na odcinku pracy z młodzieżą w ramach popularyzacji nauki i techniki współpracować z placówkami naukowymi, szkołami, zakładami pracy, popularyzować sukcesy zawodowe młodych ludzi;

— we współpracy z organami politycznymi i państwowymi troszczyć się o pogłębianie naukowego badania historii i współczesności życia polskiej grupy narodowościowej w CSRS;

— nadal poszerzać bazę członkowską PZKO; do przyszłego Zjazdu powiększyć bazę członkowską o 3 %; zyskać nowych ak-

tywistów i przygotować ich do pracy w funkcjach kierowniczych;

— ulepszać system informacyjny tak, by pomagał niższym ogniwom (zarządom, kolektywom amatorskiej twórczości artystycznej, Kołom PZKO) w ich działalności; racjonalizować działalność administracyjną;

— udoskonalać system kontroli w myśl wytycznych KC FN poprzez analizę działalności związkowej, mając na uwadze stały wzrost jej jakości; według potrzeby zapewnić bezpośrednią pomoc wyższych organów PZKO słabszym ogniwom, Miejscowym Kołom, zespołom Związku;

— dbać o wzrost autorytetu Związku; zwracać uwagę na osobisty przykład działaczy związkowych, ich kontakty osobiste z zarządami Kół i Obwodów; rozwijać współpracę z radami narodowymi, miejscowymi organami FN i innymi organizacjami FN.

2. W ZAKRESIE PRACY KULTURALNO-OŚWIATOWEJ

— Podnosić poziom ideowy i artystyczny zespołów, przede wszystkim poprzez odpowiednio dobrany repertuar; zapewnić im możliwość szkolenia kadr kierowniczych i pomoc materialno-metodyczną ZG PZKO; wykorzystać wszelkie możliwości do zakładania amatorskich zespołów artystycznych;

— popularyzować i wykorzystywać w działalności związkowej postępowe tradycje regionu; umacniać świadomość wysokiej wartości polskich i regionalnych tradycji kulturalnych;

— w działalności oświatowej zwracać uwagę na doniosłe problemy współczesności, przede wszystkim na obronę pokoju, współczesne zadania gospodarki narodowej, pogłębianie światopoglądu i moralności socjalistycznej;

— organizować imprezy sportowe, turystyczne i obronne, rozwijać działalność sportowo-rekreacyjną;

— rozwijać twórczość członków Sekcji Literacko-Artystycznej (SLA), preferować utwory ideowo i artystycznie potrzebne; rozwijać współpracę członków SLA z artystami w kraju i za granicą, pogłębiać współpracę z ostrawskim wydawnictwem „Profil", a zwłaszcza z okręgowymi filiami związków twórczych;

— za pośrednictwem miesięcznika „Zwrot" propagować w oparciu o plan pracy masowo-politycznej i wydawniczej działalność Związku, wskazywać na rezerwy i pomagać w ich wykorzystaniu; specjalną uwagę poświęcić podnoszeniu poziomu ideowo-wychowawczego publikowanych materiałów, stosować uchwały XVII Zjazdu KPCz w działalności związkowej; poszerzać krąg współpracowników;

— rozwijać działalność Teatru Lalek „Bajka", orientować ją na współczesne zadania w zakresie wychowawczej pracy z dziećmi;

— wspólnie z polskimi oddziałami bibliotek publicznych rozwijać kulturę czytelniczą poprzez pogadanki, konkursy czytelnicze z uwzględnieniem literatury postępowej;

— umacniać współpracę ze Sceną Polską Teatru Cieszyńskiego, zyskiwać nowych abonentów;

— we współpracy z powiatowymi organami szkolnymi (poprzez umowy) pogłębiać i rozwijać współpracę ze szkołą, OP SZM, SZM i SRPS.

3. W ZAKRESIE DZIAŁALNOŚCI GOSPODARCZEJ

— Dbać o maksymalną efektywność, oszczędność i dyscyplinę finansową; usprawniać planowanie, ewidencję i ocenę wyników działania gospodarczego;

— w związku z nowymi warunkami gospodarczymi wytwarzać źródła koniecznych dochodów, przede wszystkim poprzez rozwój działalności usługowej; popierać nowe inicjatywy i wynalazczość w tym kierunku;

— kierować metodycznie działalnością gospodarczą Zarządów Obwodowych i Miejscowych Kół PZKO;

— poszerzać i modernizować bazę materialną PZKO (środki trwałe — budowy, pomoce dla działalności kulturalnej i oświatowej) wprowadzać nowoczesną technikę do pracy kulturalno-oświatowej oraz administracyjnej;

— udoskonalać działalność kontrolną na wszystkich stopniach działalności Związku.


PZKO




PZKO PEVNÝM ČLÁNKEM NÁRODNÍ FRONTY
PŘI REALIZACI USNESENÍ XVII SJEZDU KSČ







fot. FRANCISZEK BALON

GŁOSY Z TRYBUNY ZJAZDOWEJ

VÁCLAV VÁCLAVÍK, członek KC KPCz, I sekretarz KO KPCz w Ostrawie

Szanowny Towarzyszu Ambasadorze!

Towarzyszki i Towarzysze!

Pozwólcie mi, bym z polecenia okręgowych i obu partyjnych oraz państwowych organów i organów Frontu Narodowego powitał Was — delegatów XV Zjazdu PZKO i życzył waszym obradom wiele pomyślności. Naczelne hasło waszego zjazdu: „PZKO mocnym ogniwem Frontu Narodowego w realizacji wytycznych XVII Zjazdu KPCz" rozumiemy jako szczery wyraz waszego stosunku do polityki naszej partii.

Obrady waszego zjazdu są nie tylko przeglądem osiągnięć waszego Związku, ale równocześnie udokumentowaniem dociekliwych poszukiwań w celu udoskonalenia waszej działalności. Nasze organy okręgowe niejeden raz wysoko oceniały waszą działalność. Jeszcze raz pragnę w ich imieniu podziękować za wasz wkład w rozwój gospodarczego, społecznego i kulturalnego życia okręgu. Jestem przekonany, że tak samo aktywnie będziecie pracowali również w przyszłości. (. . .)

My komuniści zawsze podkreślamy, a praktyka to potwierdza, że cele naszej polityki, to jest systematyczne podnoszenie poziomu zaspokajania materialnych i kulturalnych potrzeb ludu, można osiągnąć tylko poprzez systematyczny rozwój produkcji socjalistycznej. Mógłbym mówić o naszych sukcesach, które dokumentują, że poprzez rozwój bazy materialnej socjalizmu rozwiązaliśmy u nas szereg problemów społecznych najszerszych warstw obywateli. Usunęliśmy źródło biedy i braku gwarancji socjalnych. Antagonizmy klasowe i sprzeczności narodowościowe zastąpione zostały przez stosunki popierające wzajemne współżycie, równouprawnienie i ujednolicenie interesów wszystkich warstw naszego społeczeństwa.

Przekonujących argumentów można by znaleźć dużo. Trzeba jednak, aby ludzie byli ich w pełni świadomi. Wasz Związek również poprzez swoją działalność oświatową wiele może zdziałać w tym kierunku. Zbliżające się obchody 70. rocznicy Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej i 40. rocznicy Zwycięskiego Lutego stanowią po temu okazję. Wierzymy, że w pełni ją wykorzystacie. (. . .)

W interesie każdego obywatela leży realizacja zadań produkcyjnych. Bez względu na to, czy to sobie uświadamiamy, czy nie. Tylko

w ten sposób można bowiem zagwarantować realizację kolejnych programów gospodarczych i społecznych. Można postawić pytanie, w jaki sposób działalność waszego Związku wpływa na rozwiązywanie naszych problemów. Odpowiedź jest prosta. Każda organizacja społeczna, a tym bardziej kulturalno-oświatowa, poprzez swoją działalność wpływa na świadomość swych członków. Należy dążyć do tego, aby dla każdego członka PZKO najwyższą wartością moralną była praca. Jestem przekonany, że znajdziecie dostateczną liczbę metod bardziej skutecznego formowania socjalistycznego stosunku do pracy swoich członków.

Zawsze uważało się i uważa, że bohaterem staje się ten, kto w danej chwili robi to, co ludzkość potrzebuje. W naszych warunkach jest to twórcza praca. Zróbmy wszystko, by mobilizującym przykładem stali się bohaterowie pracy.

Towarzyszki i Towarzysze!

Wszystkie Koła waszego Związku mają ogromne możliwości, by swą codzienną pracą popierać wspólny wysiłek partii, rad narodowych, całego Frontu Narodowego, by wszyscy nasi obywatele bez względu na narodowość, wiek, pozycję społeczną i zawodową byli pełnymi zapału i ofiarności budowniczymi i obrońcami naszej socjalistycznej ojczyzny. Dlatego zwracam się do was z apelem, by jeszcze lepiej wykorzystać wszystkie formy waszej działalności na rzecz marksistowsko-leninowskiego wychowania swych członków, zwłaszcza młodzieży. Nie chodzi o wprowadzenie do waszej działalności form wychowania partyjnego. Jest jednak bardzo potrzebne, by organizowane przez was imprezy propagandowe i inne przekraczały wąski charakter oświatowy. Można to osiągnąć przez oparcie pracy ideologicznej na zasadach światopoglądu naukowego. Chcemy, aby wasi członkowie poprawnie pojmowali odpowiedzialność każdego z nas, całego społeczeństwa, za rozwój rewolucyjnego ruchu robotniczego, za pokój i postęp społeczny w świecie.

My wszyscy szczególnie wielką odpowiedzialność ponosimy za socjalistyczne wychowanie młodzieży. Nasz Komitet Okręgowy Komunistycznej Partii Czechosłowacji dąży do tego, by nie tylko szkoła i rodzina, ale wszystkie organy społeczne i państwowe systematycznie poświęcały swoją uwagę zagadnieniom przygotowania młodzieży do życia w socjalizmie.

Z zadowoleniem stwierdzamy, że wasz Związek organizuje szereg interesujących akcji wpływających na życie młodzieży w czasie wolnym od pracy. Za pozytywny uważamy również fakt stwarzania przez was warunków do włączania się młodych w pracę społeczną, w organizowanie waszego życia związkowego. Praktyczne działanie społeczne jest przecież ważną szkołą życia. Bardzo potrzebne jest zrozumienie, że pracy z młodzieżą nie można traktować w wąskim znaczeniu udziału w życiu organizacji, ale jako możliwości jej poprawnej orientacji światopoglądowej. Komunistyczne wychowanie młodzieży wymaga jasnej orientacji ideowej, poprawnego wyboru form i metod zapewniających kompleksowy rozwój duchowych, moralnych, zawodowych i fizycznych sił młodych ludzi. Dlatego konieczna jest współpraca wszystkich, którzy z młodzieżą pracują, szczególnie współpraca z Organizacją Pioniera SZM i Socjalistycznym Związkiem Młodzieży.

Towarzyszki i Towarzysze!

Wspominałem już o tym, że zbliżamy się do doniosłych uroczystości, do obchodów 70. rocznicy WSRP i 40. rocznicy Zwycięskiego Lutego. Praktyka rozwoju w Związku Radzieckim i u nas potwierdziła, że nie tylko socjalno-klasowe, ale również bardzo skomplikowane i drażliwe stosunki pomiędzy narodami i narodowościami najlepiej potrafi rozwiązać socjalizm. W naszej Konstytucji zakotwiczone są podstawowe stosunki pomiędzy dwoma narodami i czterema narodowościami, które tworzą socjalistyczną Czechosłowację.

Organy partyjne i państwowe wytworzyły w naszym okręgu polityczne, materialne, społeczne i kulturalne warunki do realizacji ustaw konstytucyjnych. Znacie je, dlatego nie uważam za potrzebne wyliczanie wszystkiego, co robimy na rzecz równouprawnienia obywateli wszystkich narodowości. W końcu

z okazji obchodów 40-lecia założenia PZKO zarówno wy, jak i my mówiliśmy o tym dostatecznie wiele. Naturalnie, nawet w stosunkach między Czechami, Słowakami, Polakami i obywatelami innych narodowości, które żyją w naszym okręgu, nie wszystko układa się absolutnie doskonale. Z tej czy innej strony, tu i tam, pojawiają się różne wyskoki, u których postawy leży nacjonalizm. Te wyskoki nie mają jednak nic wspólnego z naszymi wysiłkami zmierzającymi do prowadzenia konsekwentnej leninowskiej polityki narodowościowej.

Również w przyszłości będziemy popierać wszystko, co umocnić może równouprawnienie obywateli wszystkich narodowości, co przyczyni się do ich zbliżania. W tym duchu prowadziliśmy i nadal będziemy prowadzić wszystkie organizacje partyjne, wszystkich komunistów pracujących w organach i organizacjach społecznych i państwowych. Nasze zamiary popierają wszyscy postępowi obywatele okręgu. Wysoko oceniamy również udział PZKO w realizacji wymienionych zasad.

Towarzyszki i Towarzysze!

Integralną częścią socjalistycznego sposobu życia jest kultura. Szeroko rozgałęziona działalność kulturalna waszego Związku nie tylko umożliwia kulturalne wyżycie się współbywateli narodowości polskiej w języku ojczystym, ale w znacznym stopniu wzbogaca życie kulturalne naszego okręgu. Cieszy nas fakt, że wzrosła liczba występów waszych czołowych zespołów kulturalnych poza granicami okręgu. Ważną funkcję polityczno-wychowawczą spełniają wasze zespoły również w czasie prezentowania swojego dorobku za granicą, szczególnie w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Ta wasza działalność zasługuje na jeszcze większe poparcie ze strony organizatorów życia kulturalnego w okręgu.

W związku z tym komuniści, pracujący na tym odcinku, otrzymali już odpowiednie zadania. (. . .)

Towarzyszki i Towarzysze!

W imieniu organów, których jestem przedstawicielem, dziękuję wam za uczciwą pracę na rzecz społeczeństwa socjalistycznego, życzę wam wielu sukcesów i mocnego zdrowia podczas realizacji uchwał, które podejmie wasz zjazd! (. . .)

ANDRZEJ JEDYNAK, ambasador PRL w CSRS

Szanowne Towarzyszki i Towarzysze!

Zarówno Polska Rzeczopospolita Ludowa, jak i Czechosłowacka Republika Socjalistyczna, podobnie zresztą jak wszystkie kraje naszej wspólnoty, przeżywają obecnie niezwykle ważny okres swego socjalistycznego rozwoju. Mamy pełną świadomość konieczności przyspieszenia rozwoju społecznego i ekonomicznego naszych krajów, którego główne kierunki i założenia wytyczone zostały w uchwałach zjazdów naszych partii marksistowsko-leninowskich — X Zjazdu Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej i XVII Zjazdu Komunistycznej Partii Czechosłowacji. W Polsce proces ten uzyskał miano reformy gospodarczej, która właśnie wkracza w swój II etap. Dzisiaj właśnie Sejm PRL podejmuje niezwykłej wagi decyzje, które stanowić będą ramy prawne dla podejmowanych dalekosiężnych przedsięwzięć. W Czechosłowacji przygotowana jest przebudowa mechanizmu gospodarczego. Tak więc obecny okres stwarza nieograniczone wręcz możliwości działania i wniesienia swojego wkładu w rozwój socjalistycznej ojczyzny dla wszystkich aktywnych, zaangażowanych i świadomych obywateli. Za takich właśnie uważać należy wielotysięczną rzeszę członków i działaczy Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego, stanowiącego ważne ogniwo Frontu Narodowego CSRS. Dotychczasowy Wasz dorobek w pełni uzasadnia to stwierdzenie i pozwala wyrazić przekonanie, że w procesach zachodzących przemian organizacja ta nie zawiedzie oczekiwań, że jak zawsze dotąd jej członkowie z prawdziwie społecznikowskim zaangażowaniem włączą się w nurt realizacji tych celów, których efektem będzie wyższy poziom życia materialnego i duchowego społeczeństwa socjalistycznego. Upoważnia mnie to do sformułowania takiego przekonania żywy i aktywny udział PZKO w kampanii przedwyborczej do rad narodowych i Zgro-

madzenia Narodowego CSRS, a następnie uczestnictwo w realizacji programów wyborczych, w czynach społecznych wyrażających się dziesiątkami tysięcy przepracowanych godzin na rzecz zaspakajania potrzeb regionu. Na najwyższe uznanie i szacunek zasługuje Wasza działalność wychowawcza wśród młodzieży szkolnej i akademickiej, kształtowanie w niej szacunku dla chlubnych kart wspólnej przeszłości, przede wszystkim wspólnej walki przeciwko faszyzmowi. Realizacji tego celu służą Rajdy Szlakiem Ofiar Faszyzmu, Pionierskie Rajdy Zwycięstwa, manifestacje w Żywocicach, opieka nad miejscami upamiętnionymi krwią bojowników o wolność i niepodległość. (. . .) Ważną częścią działalności PZKO jest także współpraca z Towarzystwami Regionalnymi na terenie Polski. Wzbogaca ona niewątpliwie formy i zakres Waszej pracy. Pragnę zapewnić Was, iż zarówno Ambasada, jak i Konsulat Generalny PRL w Ostrawie dokładają wszelkich starań, by kontakty te mogły rozwijać się jak najszerzej i jak najpomyślniej, zwłaszcza w rejonach przygranicznych, zgodnie z ustaleniami zawartymi w dwustronnych dokumentach międzyrządowych. (. . .) Pragnę również gorąco podziękować władzom partyjnym i państwowym Województwa Północnomorawskiego, kierownictwu Frontu Narodowego CSRS za stworzenie polskiej grupie narodowościowej możliwości pielęgnacji i rozwijania tradycji kulturalnych, folkloru beskidzkiego, prowadzenia działalności oświatowej i wydawniczej w języku polskim, dla których bazę stanowi Polski Związek Kulturalno-Oświatowy. Jest to wyraz konsekwentnej realizacji zasad leninowskiej polityki narodowościowej w warunkach socjalistycznego państwa. Równocześnie pamiętać powinniśmy o tym, iż już ponad 40-letnia działalność PZKO w istotny sposób wzbogaca skarbnicę dorobku kulturalnego obu naszych krajów, przyczynia się do kształtowania nowej, socjalistycznej kultury, zawierającej elementy socjalistycznego patriotyzmu i proletariackiego internacjonalizmu. Jest ona zgodna z duchem, jakim nacechowane są stosunki między obu naszymi krajami, prawdziwie przyjazne i braterskie, oparte na wspólnych podstawach ustrojowych i wspólnej ideologii. Ostatnie lata przyniosły burzliwy ich rozwój we wszystkich dziedzinach, którego głównym impulsem są coroczne spotkania naszych przywódców, towarzyszy Wojciecha Jaruzelskiego i Gustawa Husáka. W realizacji postanowień z tych spotkań, podczas których wiele uwagi poświęca się wzajemnemu poznaniu i zbliżeniu naszych narodów, niemałą rolę odegrać może właśnie Polski Związek Kulturalno-Oświatowy, którego członkowie są niejako naturalnymi łącznikami między narodem polskim a narodami czeskim i słowackim.

KAROL MICHALSKI, poseł do Zgromadzenia Federalnego CSRS

Szanowne Towarzyszki, Towarzysze, mili Goście!

Zeszliśmy się dzisiaj na XV Zjeździe naszego Związku, by podsumować pracę, jaką wykonaliśmy od ostatniego zjazdu. Jest tu o czym mówić, jak wynika z referatu I sekretarza możemy mówić o osiągnięciach i sukcesach w naszej pracy. Jest jednak i dużo do zrobienia w naszym Związku. W tym roku uroczyście obchodzimy 40-lecie założenia PZKO, to nas zobowiązuje do jeszcze lepszej pracy w terenie, podczas realizacji zadań wytyczonych przez XVII Zjazd KPCz. Członkowie naszego Związku w większości są przykładem dla swych współobywateli w realizacji zadań programu wyborczego w miejscu pracy i zamieszkania. Żyjemy dzisiaj w czasach rewolucyjnych przeobrażeń, co nas również zobowiązuje do pełnego poparcia polityki przebudowy systemu ekonomicznego. Ale to byłoby mało. Żyjemy na pograniczu i obowiązkiem naszym jest umacniać przyjaźń i współpracę z Polską Rzeczypospolitą Ludową. Jesteśmy pomostem łączącym oba bratnie narody i chcemy propagować wszystko, co demokratyczne i postępowe w życiu i kulturze polskiej. Do tego nam posłuży i w tym dniach otwarta — odnowiona księgarnia polska w Cz. Cieszynie. Przykro, że biurokraci zarówno u nas, jak i w Warszawie tak długo załatwiali cenę książek polskich. Proponuję otworzyć filię

Ośrodka Kultury Polskiej w Pradze — w Ostrawie przy Konsulacie Generalnym PRL, co przyczyniłoby się do dalszego zbliżenia i współpracy obu bratnich regionów Ostrawy i Katowic.

BOGUSŁAW RASZKA, MK PZKO Wędrynia

Szanowni Delegaci, drodzy Goście!

„Nasz świat jest w krytycznym stadium. Dzieci nie słuchają swoich rodziców. Koniec świata nie jest widać zbyt daleko".

Mój przyczynek dyskusyjny nieprzypadkowo rozpocząłem cytatem, odcyfrowanym mozolnie z egipskiego papirusu sprzed czterech tysięcy lat. Jest ten cytat klasycznym przykładem tego, że już wtedy istniały problemy generacyjne, że już wtedy rodzice uskarżali się na zachowanie swoich dzieci. Ja jednak nie będę mówił o konfliktach generacyjnych w rodzinie, ale o współżyciu młodej i starszej generacji w naszym Związku.

W roku jubileuszowym naszego Związku podsumowaliśmy jego dotychczasową działalność, mieliśmy okazję dowiedzieć się wielu ciekawych szczegółów z jego historii. Pora jednak myśleć o jego przyszłości. Nad nią właśnie powinni zastanawiać się przede wszystkim ludzie młodzi, bo oni będą musieli zastąpić starszych działaczy w ich naprawdę trudnej, odpowiedzialnej pracy, za którą nie bierze się pieniędzy, która daje satysfakcję, słowa podziękowania czy odznaczenie związkowe z okazji jubileuszu.

Często słyszy się głosy, że kto wie, jak dalej będzie wyglądała nasza działalność, że młodym ludziom po prostu nie zależy, że żyją zupełnie inaczej, odpowiada im inny styl życia i nie pociąga ich praca społeczna. Zdarza się także, że młodym nie dowierza się, nie daje im się pełni zaufania. Niektórzy starsi działacze żyją w przekonaniu, że wszystko, co robią, robią najlepiej — „Wy młodzi nie macie jeszcze głosu" — mówią. Dużo niedobrego w naszym Związku zrobiła taka właśnie postawa starszych działaczy. Działalność niejednego Klubu Młodych rozbiły naciski ze strony zarządu, że młodzież musi założyć zespół taneczny czy wyćwiczyć przedstawienie. Takie ultymatywne podejście w niejednym wypadku doprowadziło do rozbicia kolektywu, który prawdopodobnie sam po pewnym okresie spotkań „bez programu" doszedłby do konkretnej działalności. (. . .) Większość działaczy Klubów Młodych udziela się aktywnie w pracy SZM w swoich szkołach średnich czy zawodowych, w zakładach pracy. Zaś w miejscu zamieszkania działają oni w Klubach Młodych PZKO i to jest chyba właściwe. Dlatego niepokoją nas występujące sporadycznie wprawdzie, ale jednak tendencje, by ograniczać działalność KM PZKO na rzecz ożywiania działalności wiejskich organizacji SZM. W naszych wioskach i gminach jest sporo młodzieży nie udzielającej się w żadnej organizacji, do niej właśnie trzeba szukać dróg dojścia. Nikt nie może nam zarzucić jakiegoś „narodowościowego separatyzmu", bo rzeczywistość wskazuje na coś zgoła innego. Na imprezy Klubów Młodych przychodzą również młodzi ludzie narodowości czeskiej, mamy nawet przykłady, że pracują oni w naszych zespołach artystycznych. Praca z młodzieżą jest nie tylko obowiązkiem SZM, tow. Jaroslav Jenerál, przewodniczący KC SZM, mówił z trybuny niedawnego IV Zjazdu SZM o tym, że wychowaniem młodej generacji mają nie tylko prawo, ale wręcz obowiązek zajmować się wszystkie organizacje Frontu Narodowego w naszym kraju. W tym również, oczywiście, PZKO.

dr JÓZEF WIERZGOŃ, MK PZKO Karwina-Frysztat

. . . Osobisty przykład wychowawców i rodziców to niewątpliwie jeden z najskuteczniejszych środków pozyskania młodych w szeregi naszego śpiewactwa. Środek o tyle skuteczniejszy, a przede wszystkim niezbędny, że wychowanie muzyczne w naszym szkolnictwie podstawowym, nie mówiąc już w ogóle o szkolnictwie średnim, znalazło się poza marginesem oddziaływania na młode pokolenie w szkole i mocno zachwiało nasze dążenie zmierzające do wychowania człowieka wszechstronnie i harmonijnie rozwiniętego. Z tym podstawowym, wręcz kardynalnym przestępstwem, jakiego

dokonujemy na naszym młodym pokoleniu, wiąże się ściśle drugi bardzo istotny problem nurtujący nasze śpiewactwo coraz bardziej dotkliwie — brak nowej kadry dyrygenckiej. Wykruszają się mocno szeregi rodzimych, z naszego regionu wywodzących się dyrygentów. A gdzie wyrosła kadra dyrygencka średniego np. pokolenia (o ile do niej zaliczyć można jeszcze pięćdziesięciolatków) — za wszystkich wymienię choćby Władka Winklera, Alojzego Suchanka, Otka Winklera, Wierzgonia — w ogólnokształcącym gimnazjum orłowskim i gimnazjum pedagogicznym, gdzie pod baczną batutą prof. E. Fierli, potem jeszcze prof. Jędrzejczyka pulsowało bogate życie śpiewacze i muzyczne, gdzie rozwijały swą działalność blisko stuosobowe chóry studenckie, orkiestry — ale też i zespoły teatralne, taneczne, recytacyjne. Tam właśnie — w szkole — wyrastało młode pokolenie przyszłych chórzystów, dyrygentów, aktorów naszych amatorskich zespołów teatralnych. A jaki jest aktualny stan rzeczy? W ilu to już chórach działają dyrygenci, nauczyciele filii UŚ w Cieszynie? Nie chciałbym zostać źle zrozumiany. Jak najgłębsze ukłony i podziękowania, słowa podziwu należą się Halinie Goniewicz-Urbaś, Cezaremu Drzewieckiemu, Zbigniewowi Niemczykowi, Alojzemu Kopoczkowi. Ale czy taki stan posiadania rozwiązuje na przyszłość sprawę dotkliwego braku dyrygentów w naszych zespołach? Wątpię. Można go uznać jako środek prewencyjny, tymczasowy — ale nie ostateczny. Szkoda, że wysyłanie na kursy dyrygenckie młodych ludzi do PRL nie przynosi na razie wyraźniejszych rezultatów. Moim zdaniem — uzdolnienia i nawyki wypielęgnowane w szkole od najmłodszych lat przynosiły o wiele wyraźniejsze rezultaty.

LEOPOLD MORAWIEC, Komitet Miejski PZKO Cz. Cieszyn

. . . Dla każdego społeczeństwa, także i naszego, jedną ze spraw najważniejszych jest język ojczysty. Bez niego bowiem nie byłoby ani kultury, ani oświaty, ani techniki. Dbałość o niego należy więc do zasadniczych obowiązków każdego człowieka, społeczeństwa, jak również naszego Związku. Konstytucja i ustawa o narodowościach w CSRS jednoznacznie gwarantują możliwość używania języka ojczystego we wszystkich dziedzinach życia publicznego na terenach przez te narodowości zamieszkałych. Jest to wybitne osiągnięcie polityki Komunistycznej Partii Czechosłowacji. I ten fakt należy sobie uświadomić. Jednak jak już to w życiu bywa, w praktyce może być różnie. Zresztą świadczy o tym „Trybuna czytelników" w tegorocznych numerach naszego Zwrotu. Ale to, że bywa różnie, nie musi wynikać ze złej woli. Dlaczego? Osiedla się u nas coraz więcej współobywateli z innych regionów naszego państwa, którzy nigdy nie zetknęli się ani z naszą gwarą, ani z polskim językiem literackim. I jeżeli pracują np. na poczcie, w handlu, usługach, może dojść do tego, że nie będą rozumieli kogoś, kto się zwraca do nich po polsku. Jedną z możliwości rozwiązania problemu jest wprowadzenie elementów języka polskiego, zwłaszcza terminologii — do szkół zawodowych lub zakładowych szkół pracy, przygotowujących dla terenu narodowościowo mieszanego pracowników usług, handlu, biur, restauracji itp. Wówczas odpadłby argument, że ktoś nie rozumie. Warto się nad tym zastanowić w imię praktyki życiowej, która jest w końcu najważniejsza.

TADEUSZ NIEROSTEK, przewodniczący Sekcji ds. Współpracy ze SP TC

W swym przyczynku pragnę poruszyć temat bardzo aktualny i pożądany, temat współpracy naszego Związku ze Sceną Polską TC oraz jej problemy. Zauważamy spadek zainteresowania widowni, obniża się liczba stacji-wyjazdów, dochodzi do likwidacji czy łączenia grup abonamentowych w terenie. Przyczyne są znane i jest ich wiele — konkurencja telewizji, wygodnictwo, starzenie się widowni (ponad 70 %), brak zainteresowania młodzieży zwłaszcza starszej, czasem i brak zainteresowania inteligencji, obniżanie liczby przedstawień dla szkół i inne. A może i czasem repertuar, i częste odwoływanie przedstawień z wiadomych przyczyn.

Potrzebę większej opieki i pomocy Scenie Polskiej widzi ZG, a jednak do powołania odpowiedniej Sekcji do Spraw Współpracy ze SP TC dochodzi dopiero w kwietniu ubiegłego roku. Powstał więc kolektyw ludzi, których zadaniem jest koordynacja współpracy terenu pezetkaowskiego ze SP, zapewnienie stałej widowni, odpowiednia propagacja i inne formy pomocy. W ramach sekcji powołano komisję repertuarową i propagacyjną. Odbyły się zebrania prezydium i plenum wspomnianej sekcji, były wyjazdy do Kół i Komitetów Miejskich i Obwodowych. Zrobiono analizę abonamentów SP członków PZKO. Z jej wynikami zaznajomione zostały wszystkie Koła i KM. Wyniki analizy uzyskane ogromnym wysiłkiem wykazały rzeczywisty stan w niektórych Kołach zadawalający, zaś w niektórych alarmujący. Zarządy Kół ustaliły członka odpowiedzialnego za współpracę ze SP. Na wspólnym zebraniu Plenum podjęte zostało zobowiązanie do pozyskania w Kołach 400 nowych abonamentów. Dzisiaj pragnę zgłosić zrealizowanie tego zobowiązania. W Kołach pozyskano 560 nowych właścicieli biletów abonamentowych.

HELENA LEGOWICZ, przedstawiciel Sekcji Czytelniczo-Bibliotekarskiej ZG PZKO.

Problemem, który wymaga szybkiego rozwiązania, jest sprawa ustalania wysokości nakładów książek ukazujących się w Edycji Polskiej wydawnictwa PROFIL.

Ustalenie optymalnego nakładu poszczególnych pozycji jest sprawą bardzo trudną. Nie wystarczy oprzeć się na ocenie księgarzy polskiej księgarni w Czeskim Cieszynie. Należy uzupełnić te oceny ankietami w Kołach i w całym terenie. Niestety, kiedy rozesłano ankietę z propozycjami wydawniczymi na rok 1988, do księgarni napłynęło tylko 18 odpowiedzi z Kół i 15 odpowiedzi ze szkół. (Np. jedna z największych szkół zgłosiła zapotrzebowanie tylko na jeden egzemplarz z każdej proponowanej pozycji, nawet literatury dziecięcej!) Zapominamy zupełnie o propagacji książek naszych autorów. Czy ktoś z Państwa widział na Festiwalu PZKO czy na Gorolskim Święcie kiosk z publikacjami Polskiej Edycji (ZG PZKO swe publikacje sprzedaje) ewentualnie autora podpisującego swoje książki? Jak często w Kołach są organizowane wieczory autorskie z rodzimymi autorami?

Wiadomo, że każdy towar (a książka w pewnym sensie też jest towarem) potrzebuje reklamy. Niestety w organizacji spotkań i wieczorów autorskich nie możemy liczyć na pomoc księgarni i dlatego apeluję do Kół, by miast narzekać na brak prelegentów pomyśleli o zaproszeniu na wieczory autorskie naszych twórców.

Jest sprawą co najmniej żenującą, gdy wydawnictwo Profil zwraca się do nas o pomoc w propagacji polskiej książki. Cytuję z listu red. Ewy Sobkowej skierowanego do ZG: „Prosím Vás, abyste nám podle svých sil a možností pomohli při šíření polské literatury vznikající v našem kraji. Bylo by škoda, kdyby byl přerušen rozhovor mezi čtenářem a tvůrcem".

Nie pozwólmy więc na to, by książka polska przestała pełnić funkcję łącznika kulturowego w naszym społeczeństwie.

LUTY '48 A POLSKA GRUPA NARODOWOŚCIOWA

I. WALKA O PRZYZNANIE PRAW NARODOWOŚCIOWYCH

Jednoznaczne i pełne zaangażowanie po stronie KPCz i demokracji ludności polskiej na terenie czechosłowackiego Śląska Cieszyńskiego w Wydarzeniach Lutowych było w znacznej mierze konsekwencją polityki narodowościowej poszczególnych partii politycznych po drugiej wojnie światowej. Stąd też prześledzenie danej polityki w relacji z postulatami i działalnością miejscowej społeczności polskiej pomoże nam zrozumieć jej postawę w przełomowych dniach lutego 1948 r.

Program pierwszego powojennego rządu czechosłowackiego (Koszycki Program Rządowy) z dnia 5 IV 1945 wyraźnie podkreślił narodowy charakter państwa Czechów i Słowaków, nie gwarantując żadnych praw narodowościowych poszczególnym mniejszościom narodowościowym. Motywacji do takiego stanowiska rządu dostarczyła przede wszystkim irredenta sudeckich Niemców, a wespół z nimi i węgierskiej oraz polskiej grupy narodowościowej w republice przedmonachijskiej. Koszycki Program, redukując liczbę partii politycznych w krajach czeskich do czterech, uderzył nie tylko w ogólnopaństwowy partykularyzm polityczny, ale przekreślił m. in. możliwość wyłonienia politycznej reprezentacji ludności polskiej.

Również opublikowany w lipcu 1946 r. program rządu wybranego w pierwszych powojennych wyborach (Budovatelský program) stał na podobnym stanowisku, co program Rządu Koszyckiego: „Napříště bude o věcech národních a státních rozhodovat jen český a slovenský národ; občanská práva příslušníků jiných slovanských národů budou respektována".

Interpretacja pojęcia państwa narodowego i słowiańskiego nie była u wszystkich partnerów we Froncie Narodowym jednakowa. KPCz, podkreślając słowiański charakter powojennego państwa, usiłowała zadbać o nieco odmienne rozwiązanie z jednej strony kwestii niemieckiej i węgierskiej, z drugiej zaś ukraińskiej i polskiej. Stąd też władze dzięki interwencji KPCz otworzyły polskie szkoły i przedszkola, zezwoliły na kontynuowanie powojennych klubów sportowych, częściowy rozwój własnej kultury itp.

Dodajmy, iż bezpośrednio po kataklizmie wojennym w oparciu o dekret prezydenta republiki nr 81/45 złożyło podanie z prośbą o wznowienie działalności 394 lokalnych grup polskich stowarzyszeń i związków. Większość z nich, np. „Macierz Szkolna", „Rodzi-

na Opiekuńcza", „Ochotnicza Straż Pożarna", związki wyznaniowe itp., została od razu zakazana. Nieliczne, jak socjalistyczna „Siła", PTTS „Beskid Śląski" czy „Towarzystwo Nauczycieli Polskich", nie doczekawszy się urzędowej odpowiedzi, działały bez względu na piętrzące się przeszkody do chwili narodzin Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego i Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej.

Kwestia narodowościowa i jej rozwiązanie w praktyce politycznej poszczególnych partii stanowiły część składową walki klasowej. W bezwzględnym i bezkrytycznym ataku na ludność polską celowała partia narodowych socjalistów. Taka kalkulacja, zmierzająca do pozyskania jak największej liczby miejscowej ludności czeskiej, miała w efekcie przynieść osłabienie pozycji KPCz. Nadto nie rozwiązana kwestia granicy państwowej i problemu narodowościowego stwarzała zawsze potencjalne niebezpieczeństwo ingerencji mocarstw kapitalistycznych.

W odróżnieniu od partii narodowosocjalistycznej stosunek partii ludowej i socjalno-demokratycznej do ludności polskiej nie był jednoznacznie negatywny. Uległ on poważnej zmianie po wyborach w maju 1946 r., a szczególnie w drugiej połowie roku 1947. Obie partie nie chciały całkowicie zrezygnować z Polaków jako masy wyborczej. Dlatego też przedstawiciele partii ludowej w ostrawskiej ekspozyturze Okręgowego Komitetu Narodowego głosowali wraz z komunistami za przyjęciem Statutów Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego i Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej. Bardziej tolerancyjny kurs kierownictwa na szczeblu okręgu był w opozycji do nacjonalizmu lokalnych organizacji. Jako przykład może nam posłużyć działalność przewodniczącego MRN w Czeskim Cieszynie, ludowca Wilhelma Pavlíka i kilku radnych z ramienia tej partii.

Adekwatnie do polityki narodowościowej poszczególnych partii politycznych wyglądał skład kandydatów do rad narodowych w majowych wyborach 1946 r. KPCz delegowała 41 % Polaków, do funkcji przewodniczących rad narodowych przeforsowano niespełna połowę. Socjaldemokraci proponowali 84 % Czechów i 16 % Polaków, partia ludowa 90 % Czechów i 10 % Polaków, przy czym z ramienia tej partii do funkcji przewodniczących MRN Polaków nie proponowano. Globalnie w powiecie czeskocieszyńskim, gdzie odsetek Polaków był większy, posiadali oni w ogólnej liczbie 771 członków MRN 212 swych przedstawicieli, z tego 127 komunistów, 22 socjaldemokratów, 12 ludowców i 51 bezpartyjnych.

Przy omawianiu polityki narodowościowej KPCz nie sposób pominąć faktu, iż znaczny odsetek jej członków był narodowości polskiej. Poza lansowaniem swych kandydatów bez różnicy narodowości, wypływającym z internacjonalistycznego charakteru polityki KPCz, nie mogła pójść w zapomnienie tradycja z okresu Pierwszej Republiki, kiedy to przeważało na tym terenie polskie oblicze ruchu komunistycznego, włącznie z jego kierowniczymi działaczami (Karol Śliwka, Fryderyk Kraus, Paweł Klus itd.).

Nadto wiele miejscowości w obydwu powiatach posiadało przewagę ludności polskiej. Stąd też nierzadko w pierwszych tygodniach po wyzwoleniu w składzie MRN przeważali Polacy. Do gmin o przewadze Polaków należały m. in. Nowy Bogumin, Trzyniec, Łąki, Wędrynia, Ligotka Kameralna, Leszna, Jabłonków, Guty, Sucha Górna, Tyra, Mosty k. Jabłonkowa, Karwina.

Pierwotny pookupacyjny skład władz terenowych, korzystny dla Polaków, nie trwał długo. Został on wkrótce zmieniony; zastosowano zasadę równej reprezentacji liczebnej poszczególnych partii politycznych. Nowi członkowie z ramienia niekomunistycznych partii zajęli stanowisko antypolskie.

Z bogatego wachlarza antypolskich ekscesów reakcji wymieńmy chociażby pozbawienie praw obywatelskich tych Polaków, którzy pod presją podpisali 3. i 4. grupę niemieckiej listy narodowej (w wypadku wielu obywateli narodowości czeskiej reakcja była bardziej tolerancyjna) czy kwestię otrzymywania zaświadczenia o lojalności państwowej (státní spolehlivost). W rozwiązywaniu tych spraw obrano bezwarunkowo ostrzejszy kurs wobec Polaków. Stąd też wielu ludzi skompromitowanych kolaboracją w czasie wojny podało po wyzwoleniu narodowość czeską, uciekając się pod opiekuńcze skrzydła partii nieko-

munistycznych, przede wszystkim narodowo-socjalistycznej. W stosunku do Polaków nadto brano pod uwagę okres rządów sanacyjnej Polski, wyolbrzymiając i często bezpodstawnie oskarżając ich o działalność antyczeską. Posiadanie lojalności państwowej stało się nierzadko warunkiem zatrudnienia, otrzymania emerytury, kartek żywnościowych itp.

Kolejnym zapalnym problemem, załatwionym dzięki KPCz w zasadzie pomyślnie dla Polaków, był problem tzw. „polských okupantů". W 1946 r. w obu powiatach z ogólnej liczby 9276 osób posiadających obywatelstwo polskie, sprowadziły się na ten teren 6182 osoby w okresie rządów polskich. W styczniu 1946 r. na naradach w prezydium Rady Ministrów zapadła decyzja wysiedlenia do Polski osób sprowadzonych stamtąd po Monachium. Przeciwnego zdania była KPCz oraz ministerstwo spraw wewnętrznych i zagranicznych, szczególnie od chwili rozpoczęcia pertraktacji pomiędzy Czechosłowacją i Polską.

Bodajże najbardziej drastycznie przedstawiała się sprawa odrodzenia zlikwidowanego przez Niemców szkolnictwa polskiego. Nie rozwiązany bezpośrednio po wyzwoleniu problem przynależności państwowej regionu, brak gwarancji dla mniejszości polskiej, straty moralne spowodowane wojną, nie przebierająca w środkach kampania przeciw szkolnictwu polskiemu spowodowały ubytek liczby uczniów w polskich szkołach wydziałowych i ludowych ze stanu 9045 w roku szkolnym 1938/39 do 7665 w roku szkolnym 1945/46. W roku szkolnym 1946/47 do szkół polskich uczęszczało już tylko 6964 dzieci.

Minister szkolnictwa, narodowy socjalista Jan Stránský, pozostawił wolną rękę Franciszkowi Uhlířovi (pochodził z Pietwałdu) w kwestii szkolnictwa polskiego. Ten, jako naczelnik wydziału wychowania przedszkolnego w ministerstwie szkolnictwa, przeforsował zamknięcie w jednym dniu wszystkich 21 przedszkoli. Reakcja ponadto nie dopuściła do mianowania przyrzeczonego przez ministerstwo polskiego inspektora, odmawiała zgody na pokrywanie wydatków rzeczowych szkół polskich przez gminy; szykanowano w najróżniejszy sposób nauczycieli polskich, dotacje rządowe dla szkół polskich dostawały się do rąk czeskich, zakazywano urządzanie różnych akcji kulturalnych przez szkoły itp. Patron tych akcji, honorowy obywatel Czeskiego Cieszyna i Pietwałdu, Uhlíř, wysłał nawet telegram z gratulacjami dla MRN w Lutyni Górnej z powodu zamknięcia tamtejszej polskiej szkoły.

Po podpisaniu Układu o Przyjaźni i Wzajemnej Pomocy pomiędzy Polską i Czechosłowacją oraz jego Protokołu Dodatkowego (10 III 1947 r.) KPCz w jeszcze większym stopniu niż do tej pory zaangażowała się w walce o prawa ludności polskiej. W konsekwencji notujemy w interesujących nas powiatach wzrost bazy członkowskiej KPCz. W okresie od 1 marca 1947 r. do 1 marca 1948 r. przybyło w powiecie frysztackim 4749 członków, w czeskocieszyńskim — 1954 członków. Dodajmy, iż stale wzrastał odsetek inteligencji wśród nowych członków: wielu z nich to nauczyciele uświadamiający sobie, iż gwarancji lepszej perspektywy należy szukać w polityce partii komunistycznej.

Protokół Dodatkowy stworzył sprzyjającą atmosferę do tworzenia nowych form organizacyjnych polskiej grupy narodowej. Intensywne prace nad koncepcją tego życia i statutami dla przyszłych stowarzyszeń zostały uwieńczone sukcesem, aczkolwiek niekomunistyczne stronnictwa polityczne na ogół przeciwstawiały się powołaniu do życia polskich związków.

Dnia 27 czerwca 1947 r. Krajowy Komitet Narodowy w Brnie — ekspozytura w Ostrawie zatwierdził przewagą jednego głosu statuty czterech nowo powstałych polskich organizacji: PZKO (osobno dla powiatu czeskocieszyńskiego i frysztackiego) i SMP (również osobno dla obu powiatów).

cdn.

WŁADYSŁAW JOSIEK

PEZETKAOWCY INACZEJ

spotkanie 12.

W TODZE SĘDZIEGO

Biuro przewodniczącej składu orzekającego JUDr Alicji Klimeš połączone jest z salą rozpraw. W dni nieparzyste tu prowadzi procesy w sprawach cywilnych, w pozostałe dni tygodnia zajmuje się rozprawami przy swoim biurku, zastawionym stosem teczek z dużymi napisami: „Věc . . . ". Piękna blondynka znana z dawniejszych imprez PZKO-wskich i olziańskich z roli konferansjerki miała już na początku swej kariery wszelkie predyspozycje do pracy ze słowem.

— *Według tych stosów domyślam się, że pracy jest tu naprawdę dużo.*

— To tylko część spisów. I rzeczywiście spraw z roku na rok przybywa. Czasami odnoszę wrażenie, że ludzie chyba lubią się procesować.

— *Czy to wrażenie odnosi pani również później w bezpośrednim zetknięciu się ze stronami?*

— Nie, wówczas wydaje mi się, że strony jakby nie chciały przychodzić do sądu. Odnoszę wrażenie, że ludzie nie bardzo rozumieją, jaką funkcję sąd spełnia, zwłaszcza sąd cywilny. Często nie wiedzą, że sąd jest tu po to, by chronić interesy osób, które mają rację, którym dzieje się krzywda. Do częstych spraw w procesach majątkowych należy egzekwowanie długów . . .

— *Może społeczeństwo jest niedoinformowane . . .*

— Takie odnoszę wrażenie, a przecież leży to w interesie stron — znać prawa i obowiązki. Podam przykład. Poręczyciele dają gwarancję za dłużników przy wysokich sumach pieniężnych, a najczęściej wcale nie wiedzą, za co poręczają, jakie są ich obowiązki w wypadku, gdy dłużnik nie spłaca pożyczki w trybie określonym umową. Zauważyłam w ciągu prawie dziesięcioletniej praktyki, że zarówno strony, jak i osoby trze-

cie nie znają swoich praw i obowiązków procesowych. Jeśli chodzi na przykład o prawo materialne, to oczywiście trudno zapoznać obywateli z ich wszystkimi prawami, od tego są poradnie adwokackie, ale jeśli chodzi o sprawy procesowe, to uważam, że obywatelom należałaby się rzetelniejsza informacja na temat tego, kto powinien występować w charakterze świadka, jakie świadek ma prawa i obowiązki. Często spotykamy się tu z poglądami graniczącymi z ignorancją . . .

— Wspomniała pani o poręczycielstwie, więc pozwolę sobie poprosić o poradę. Pewna moja znajoma poręczyła swojej znajomej, która potem umarła. Ale został mąż dłużniczki — korzystał z przedmiotów kupionych za pożyczkę, a poręczycielka musiała dokonywać spłaty.

— To już konkretna sprawa, ale mogę odpowiedzieć. Poręczyciel poręcza wobec wierzyciela, że zapłaci dług za dłużnika, jeśli dłużnik długu nie zapłaci, pomimo że był do tego pisemnie wezwany. Ale może zdarzyć się sprawa, że dłużnik nie pracuje, ma niskie zarobki, dobrowolnie pożyczki nie spłaca, wobec tego wierzyciel żąda spłaty od poręczyciela. Oczywiście poręczyciel może potem żądać zwrotu pieniędzy od rzeczywistego dłużnika. Ale wobec wierzyciela zobowiązał się on b e z j a k i c h k o l w i e k warunków dług spłacić . . .

— Z jakimi pani sprawami tu w sądzie najczęściej się spotyka?

— Najczęstszymi przypadkami w sprawach cywilnych są rozwody, sprawy alimentów, spory o ojcowstwo, dużo jest spraw majątkowych, mieszkaniowych, spadkowych. Każdy rozwód pociąga z reguły za sobą sprawę mieszkaniową, po rozwodzie trzeba orzec, który z małżonków może zostać, a który ma się wyprowadzić. Wiele jest również procesów dotyczących podziału wspólnoty majątkowej po rozwodzie, są i inne sprawy majątkowe, inwestycje jednego z małżonków czy inwestycje wspólne do majątku jednego tylko z małżonków, spektrum spraw majątkowych bywa bardzo różnorode. Są to sprawy długotrwałe, zawiłe no i co tu ukrywać, dla stron najkosztowniejsze.

— Czy pani tych rozwodów tu w sali rozpraw przybywa?

— No, na pewno rozwodów przybywa, mówią o tym statystyki, i chociaż w roku 1985 doszło do pewnego zahamowania spraw cywilnych, to od roku 1986 zauważyliśmy gwałtowny wzrost ich liczby. Przybywa spraw rozwodowych, może i poglądy na sprawy moralności w związkach małżeńskich są bardziej swobodne . . .

— Czy można lubić swych, nazwijmy ich, petentów?

— Sędzia nie powinien lubić petentów. Może źle się wyraziłam, bo słowo lubić jest słowem z zabarwieniem uczuciowym, a sędzia powinien być bezstronny, sędzia nie może kierować się emocjami, musi zachować objektywizm, zgodnie z porządkiem prawnym powinien rozstrzygnąć sprawę. Ale z drugiej strony lubię tę pracę, więc w ten sposób muszę lubić również ludzi, czyli strony, bo inaczej tego zawodu nie można by wykonywać. Ale uczuciowe podejście do jednej ze stron nie może mieć w pracy sędziego miejsca . . .

— . . . W pracy sędziego, ale i kobiety? Nie czuje pani pewnej solidarności z tymi pokrzywdzonymi słabymi kobietami?

— No, jeśli prawo stoi po ich stronie, to owszem, i wyrażam to później w orzeczeniu, ale nie zawsze, muszę pani powiedzieć, te pokrzywdzone słabe kobiety są rzeczywiście takie pokrzywdzone. Często sprawa po szczegółowym przeanalizowaniu wygląda zupełnie inaczej . . .

— Ale musi być pani niejednokrotnie świadkiem scen niezbyt sympatycznych. Czy nie nastrajają one panią pesymistycznie do instytucji małżeństwa?

— A, to już sprawa osobista. Na pewno jest to zawód, który postarza każdego psychicznie, bo bądź co bądź zawsze jest takie zestawienie: małżeństwo w moim wieku, z moim stażem małżeńskim i takie problemy. Człowiek może porównywać z sobą: czy ja też

mam takie problemy, czy mogą one zaistnieć . . . ? Ale jest na to recepta. Po pracy już o pracy nie myśleć, nie wolno tych spraw przenosić do swojego życia prywatnego, bo nie wpłynęłoby to korzystnie na życie osobiste, a korzyści wypływających z tego dla pracy zawodowej też nie widzę.

— *Dla laika wydawać by się mogło, że jest to praca bardzo frapująca, ciekawa, wciąż nowe sprawy. Które z nich były dla pani najciekawsze?*

— Sprawy są rzeczywiście ciekawe i zdarzają się często takie, które naprawdę potrafią wciągnąć lub zdenerwować, ale o żadnej konkretnej nie wypada mi mówić, bo wiąże mnie jednak tajemnica służbowa, z tym że nie zawsze sprawy, które mają posmak afery czy wręcz sensacji są ciekawe dla prawnika. Niekiedy sprawy dla osób postronnych błahe są dla prawnika pasjonujące. Przebiega na przykład proces o zapłacenie miliona koron, budzi sensację, ale z punktu widzenia prawa jest to sprawa nieszczególna. Natomiast sprawa o zapłacenie stu koron niekiedy może być tak zawiła, że daje o wiele więcej pracy sędziemu, niż ta, która nabrała rozgłosu dzięki pokaźnej sumie pieniężnej.

— *Czy nie wydaje się pani, że często ludzie procesują się niepotrzebnie?*

— Na pewno, ale mają prawo zwracania się do sądu o rozstrzygnięcie swych sporów, więc z tego prawa korzystają. Tak na marginesie uważam jednak, że często wykazanie dobrej woli zarówno ze strony powoda, jak i pozwanego umożliwiłoby niejedno załatwienie sprawy poza sądem.

— *Co pani sądzi o filmach, pełnych napięcia i sensacji, z tematyką z zakresu sądownictwa?*

— One wywierają raczej niekorzystne wrażenie na ludziach z branży i dezorientują laików. Na pewno artyści mają prawo do swoich artystycznych skrótów i wizji, ale widz może odbierać tę ich wizję jako płatną monetę i potem stara się u nas w sądzie aplikować poglądy, które wyrobił sobie na podstawie filmu czy teatru, czy nawet artykułu w czasopismach, i uważa, że to jest PRAWO. A tamta fikcja artystyczna nie zawsze odzwierciedla prawdę, nie zawsze jest z punktu widzenia prawa rzetelna. Sędzia z czarną czapeczką i ze złotym łańcuchem na szyi to już jest anachronizm. Sędzia oczywiście występuje w todze, ale spełnia inną rolę niż ta, którą widzimy w filmach, nie mówiąc już o filmach zagranicznych . . .

— *A czy również fikcją są przepełnione sale rozpraw sądowych?*

— To już zupełna fikcja. Każda rozprawa bywa publiczna, to znaczy może być publiczna, z wyjątkiem niewielkiej liczby rozpraw, gdzie orzekający składu sądowego zabroni publiczności wstępu. W rzeczywistości jednak rozprawy nie znajdują widzów . . .

— *A pani osobiście woli mieć widownię?*

— Może w niektórych wypadkach, wówczas, gdy sprawa jest ciekawa, to znaczy, gdy nie chodzi o sprawy osobiste, ale o takie, które mogą dotyczyć większej liczby osób. Może byłoby wskazane, gdyby w czasie procesów mieszkaniowych lub niektórych majątkowych ludzie przychodzili popatrzeć, jak takie sprawy się rozstrzygają. To służyłoby sprawom szerzenia oświaty na tematy prawne.

— *Na zakończenie naszej rozmowy zapytam, czy jest pani zadowolona z wyboru, jaki uczyniła kilkanaście lat temu?*

— To bardzo trudne pytanie. To już nawet deformacja zawodowa, po dziesięciu latach pracy, po tylu przewodach sądowych nie wyobrażam sobie siebie w innym zawodzie. Ale jeśli chodzi o zmianę pracy w ramach zawodów prawniczych, to widzę swoje miejsce również w innych instytucjach.

— *Dziękuję.*

OTYLIA TOBOŁA

RINGO

SPORT I REKREACJA

Zrodziło się pod koniec lat pięćdziesiątych, przed 28 laty. Najpierw jego twórca i niestrudzony propagator Włodzimierz Strzyżewski, z zawodu dziennikarz, publicysta międzynarodowy Polskiej Agencji „Interpress", a społecznie wiceprzewodniczący Rady Sportu i Rekreacji tej agencji, nazwał ją „grą w kółko" i zasady tej gry opublikował w harcerskim tygodniku „Na przełaj". Nazwa ringo powstała spontanicznie w czasie turnieju propagacyjnego na olimpiadzie w Meksyku w roku 1968, w której twórca ringo brał udział jako wieloletni członek narodowej kadry polskich szpadzistów. W Acapulco zaprosił do współzawodnictwa olimpijczyka, kapitana drużyny Meksyku, najlepszego z obecnych sportowców. Meksykanin przegrał, ale zachwycony grą zapytał, gdzie można kupić takie kółko. Zacinając się kilkakrotnie usiłował powtórzyć nazwisko swojego przeciwnika, co okazało się dla niego za trudne. Zdenerwowany wykrzyknął więc — „Mister Ringo" i ta angielsko-hiszpańska wersja przylgnęła na zawsze do tego sportu.

— *Propagujemy ringo jako polski sport przyjaźni i pokoju* — mówi W. Strzyżewski — *na międzynarodowych obozach, w których uczestniczą dzieci z wielu krajów świata, by tam spotkały się, razem bawiły i zaprzyjaźniły. Zdaję sobie sprawę z tego, że każdy inny sport jest na wielu odcinkach piękniejszy, bardziej widowiskowy, może bardziej emocjonować publiczność, bardziej cieszyć oko. Ringo, jak kiedyś usłyszałem, a powiedzieli to dwaj zupełnie różni ludzie, wielcy sportowcy, to wszystkie sporty świata sprowadzone do wspólnego mianownika. Od 15 lat odbywają się mistrzostwa Polski w ringo, a jeszcze nigdy nie zdarzyła się tam żadna kontuzja, przeciwnie, wielu młodych zawdzięcza tej grze harmonijny rozwój.*

Postronny obserwator, który przypadkowo znajdzie się w pobliżu boiska do ringo nie różniącego się rozmiarami od boiska do gry w siatkówkę, uznać może ten sport za co najmniej dziwny — jakieś tam rzucanie kółkiem. Jeżeli jeszcze trafi na grupę niedoświadczonych, początkujących zawodników, zrazić się może jego pozorną statycznością. Dopiero widz uczestniczący w prawdziwych zawodach, w grze wysokiej klasy przeciwników, widzi, że w tym sporcie współpracują ze sobą wszystkie elementy lekkiej atletyki oraz gier zespołowych. Bo ringo można grać w pojedynkę, dwójkami lub trójkami mieszanymi. Zawodnik biega, skacze, rzuca kółkiem, koziołkuje jak bramkarz chwytający piłkę.

Wręcz kaskaderskie wyczyny mogłam zaobserwować w czasie finałów X edycji Pucharu o Nagrodę Beskidów, zorganizowanego przez czeskocieszyńskich PZKO-wców, które odbyły się w sobotę 5 września na boisku czeskiej szkoły podstawowej w Czeskim Cieszynie przy ulicy Ostrawskiej. W tym turnieju drużyn wzięli udział ringowcy z Warszawy, Ustki, Częstochowy, Słupska, Wrocławia, Ostrawy, Przerowa, początkująca drużyna Zakładu Naprawczego 065 w Czeskim Cieszynie oraz dwie drużyny gospodarzy — Sekcji Sportowej Ringo MK PZKO Cz. Cieszyn-Centrum — starsza i młodsza. Szkoda, że mecze odbywały się przy pustych trybunach. Były zaproszenia, plakaty, zapowiedź w „Głosie Ludu". A na stadionie spotkali się ringowcy — zawodnicy, zmieniający się co chwila w ringowców-widzów. Dlaczego? „Jest nas tylko piętnastu, to trochę za mało jak na organizację takiej imprezy — usłyszałam w odpowiedzi — nikogo na siłę na stadion ściągnąć nie możemy."

Tam właśnie spotkałam Włodzimierza Strzyżewskiego, który nawet mnie usiłował przekonać do złapania za kółko i przerzucenia go ponad rozpiętą na aluminiowych słupkach siatką, dzielącą dwie połowy boiska. To od niego dowiedziałam się wielu ciekawych rzeczy na temat tego sportu, na przykład tego, że prototypem dzisiejszej lekkiej „oponki" jest kółko od dziecinnego wózka, które jako chłopak przerzucał z kolegami ponad furgonami jadącymi na targ w rodzinnym Sochaczewie.

— *Ringo, dzięki symetrii rzutów na boisku, przyśpiesza rozwój czynnościowy mózgu* — twierdzi mistrz. — *Człowiek ma w mózgu dwie półkule, jakby dwa komputery, ale wszyscy na co dzień używamy tylko jednego z nich. Człowiek, który używa tylko prawej ręki, wykorzystuje tylko lewy komputer i na odwrót. Tak więc ten, który całe życie używa tylko jednej połowy mózgu, umiera jako półgłówek, co jest wielką stratą dla ludzkości. Tu jest nasza największa rezerwa, rezerwa inteligencji. Dlatego wprowadziłem do ringo taką zasadę, że kiedy chwyta lewa ręka, rzuca również lewa, kiedy chwyta prawa, rzuca prawa. Nie wolno kółka przekładać, nie wolno ujawniać, która półkula jest niższa, nędzniejsza, tylko trzeba ją rozwijać. Zauważyłem to na podstawie szermierki, sportu, któremu poświęciłem ponad 20 lat życia. Kiedyś spostrzegłem, że w walkach finałowych florecistów zostali sami leworęczni. O ile leworęcznych florecistów jest zaledwie kilkanaście procent z ogółu, to w finale znalazło się ich 100 %. Leworęczni są bardziej inteligentni! Żyjąc w świecie praworęcznych zmuszeni są być symetryczni, muszą używać obu rąk.*

Obserwacje te potwierdzili naukowcy zajmujący się sportem wyczynowym i selekcją sportową.

Ringo jest nie tylko sportem wyczynowym, ale równocześnie doskonałym sportem rekreacyjnym. Do ringo nadaje się każdy, a grać można prawie wszędzie. Zagrać może nawet dziecko po kilku minutach wyjaśnień podstawowych zasad. Ringo to polski sport dla każdego. Włodzimierz Strzyżewski opowiedział mi, jaką radość i satysfakcję przeżył wyjeżdżając z międzynarodowego obozu harcerskiego w Belgii, gdzie propagował ringo. Otóż jadąc samochodem zza drzew usłyszał głos: Gotowi, zero, zero, start! Tę komendę mówiła czarnoskóra dziewczyna z Namibii, sędziująca mecz — po polsku!

Ringo poszło w świat. W najbliższym czasie spodziewane jest powstanie Związku Ringo Republiki Federalnej Niemiec, zanosi się na to, że powstanie Królewski Belgijski Związek Ringo, od lat istnieje Polski Związek Ringo. Żeby mogła powstać Międzynarodowa Federacja Ringo, muszą istnieć trzy narodowe związki tego sportu. A stąd już tylko krok do zaliczenia go w poczet dyscyplin olimpijskich. Chyba jedynej z polskim językiem sędziowania — bo takie są dotychczasowe przepisy tej gry.

Na grunt PZKO-wski, a raczej czeskocieszyński, bo jak na razie tylko tu zapuściło głębokie korzenie, ringo przedostało się

dwoma drogami, znajdując gorących zwolenników w Leo Widence i Tadeuszu Franku.

Pierwszy z nich uczestniczył w III Polonijnych Igrzyskach Sportowych w Krakowie w r. 1978 i tam zetknął się z ringo i jego twórcą. Wymieniono kilka adresów, Leo z kolegami wrócił do Czeskiego Cieszyna, by dopiero po jakimś czasie przekonać się do tego sportu. *Początkowo widziałem to tak, jak dziś widzi ringo postronny obserwator. Ale z czasem zauważyłem, że coś mi to daje, wyrabia refleks, orientację, kondycję.*

Tadeusz Franek spotkał się z ringo i Strzyżewskim na Festiwalu Polonijnych Zespołów Folklorystycznych w Rzeszowie, już w 1977 roku, gdzie bawił z Zespołem Regionalnym „Sibica". „Sibiczanie" pograli trochę w ringo, zasmakowali w nim i po powrocie do domu postanowili — grać dalej, traktując to jako rozrywkę i rekreację.

Dopiero spotkanie Franka z Widenką dało początek sportowej grze w ringo w Czeskim Cieszynie. Obydwaj pilnie razem trenowali, grupując koło siebie kilku innych zapaleńców. W ten sposób powstała Sekcja Sportowa Ringo przy MK PZKO Czeski Cieszyn-Centrum.

W roku 1978 biorą udział w turnieju w Nowym Sączu, w r. 1979 na zaproszenie Strzyżewskiego wyjeżdżają na Mistrzostwa Polski w Warszawie i od razu obaj stają się zwycięzcami w trójkach mieszanych — wraz z Danką Rakowską. Przez kilka lat PZKO-wscy ringowcy bezapelacyjnie królują na boiskach ringo w całej Polsce, wygrywając indywidualnie i zespołowo wiele turniejów.

Sekcja Ringo z Czeskiego Cieszyna robi wiele dla propagacji tego sportu w terenie PZKO-wskim. Pomimo kilkudziesięciu akcji i turniejów propagacyjnych od Zlotu Młodzieży Związkowej w Bystrzycy, przez kursy PZKO-wskie w Koszarzyskach i Milikowie, Pożegnanie lata w Błędowicach, po odbywające się corocznie od 10 lat Mistrzostwa PZKO, nikt na razie poza Cieszynem nie założył stałej PZKO-wskiej sekcji ringo. Kiedyś grał klub z Bystrzycy, trochę Błędowice.

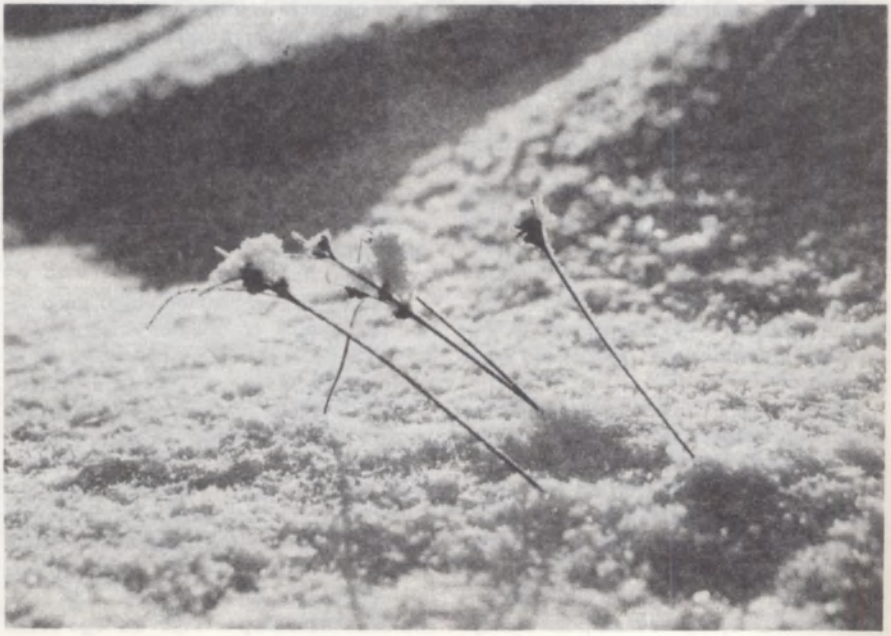
— *Dziś, żeby coś znaczyć w tym sporcie* — mówi szef czeskocieszyńskich ringowców Leo Widenka — *nie wystarcza sam talent. Trzeba wiele trenować. Na razie mamy swoich mistrzów, utytułowanych wielokrotnie na wielu mistrzostwach i turniejach, między innymi na pierwszych mistrzostwach Czechosłowacji, które odbyły się w tym roku w Ostrawie. Tytuły mistrzów indywidualnych przywieźli z ostatnich mistrzostw Polski Jola Urbaś i Milan Walach z Cieszyna. Nie możemy przyjmować wielu nowych, nie o to chodzi, by rosła nam Sekcja, nie mamy warunków treningu dla większej grupy niż dzisiaj. Chodzi o to, by powstały inne sekcje, w kolejnych Kołach PZKO. Nasza sekcja liczy około piętnastu członków, wielu przestało już grać, przychodzą nowi, młodzi, nawet spoza Cieszyna. Naszym następcom nie chce już się tak harować, jak nam kiedyś, spędzać na treningach, zwłaszcza przed zawodami, kilku dni w tygodniu włącznie z sobotą i niedzielą. Świadczą o tym również wyniki ostatniego Pucharu o Nagrodę Beskidów, gdzie starsi PZKO-wcy, stara gwardia, wywalczyli pierwszeństwo, a młodsza drużyna uplasowała się daleko w tyle, poza finałem. Nie chcę, żeby zabrzmiało to pesymistycznie, ale taka jest prawda. Myśmy nauczyli grać w ringo Czechów, oni teraz rosną w potęgę, a my zaledwie trwamy na ustalonych pozycjach. Jak długo?*

Jeszcze na początku tego roku, jak poinformował mnie propagator ringo w Czechosłowacji, Ivan Čáp, pracownik Akademii Górniczo-Hutniczej w Ostrawie i działacz SZM-u do spraw rozwoju kultury fizycznej, można było powiedzieć, że ringo przyjęło się tylko na północy Moraw, w Ostrawskiem, przede wszystkim wśród studentów szkół wyższych. W tym roku wspólnie z Komitetem Centralnym oraz Czeskim Komitetem SZM-u ostrawska AGH zorganizowała pierwsze, na razie nieoficjalne, mistrzostwa Czechosłowacji w ringo. Od tego czasu

grają już w prawie wszystkich okręgach republiki. Zainteresowanie przeszło wszelkie oczekiwania organizatorów. *W skali masowej jest to idealny sport rekreacyjny* — twierdzi Ivan Čáp — *ale kiedy trenowany jest regularnie — staje się sportem bardzo trudnym i wymagającym, w którym nie tylko się biega, skacze, ale również intensywnie myśli.*

Idea polskiego sportu dla każdego, którą zaszli w Czechosłowacji PZKO-wcy z Cz. Cieszyna, wydaje pierwsze owoce. A wzięła się ona z prostego pomysłu wykorzystania w czasie letniej kanikuły zielących pustką boisk do siatkówki. „A gdyby tak wziąć do ręki kółko i rzucać na boisku" — pomyślał wtedy Strzyżewski, któremu szef nie pozwolił wyjechać na turniej szermierczy do Włoch — to będzie wtedy szermierka, bo boisko będzie symbolem ciała przeciwnika, jak go trafię — to punkt dla mnie, jak on mnie zaatakuje, to ja muszę obronić. Parada — riposta! Parada — riposta! Muszę obronić i odpowiedzieć. To jest moja ojczyzna, nie mogę przegrać, kółko nie może upaść na moją stronę". Oto cała idea ringo.

MARIA GRZEGORZ



fot. DRAHOSLAV RAMÍK

EXPRESS

ZNACZY KRÓCEJ I CIEKAWIEJ

— Chce pan robić zdjęcia? Zgoda, ale mam wzamian dla pana propozycję — wita mnie sympatyczna pani w okularach. — Niech pan stanie tam za szybą, tak, aby mieścił się pan w kadrze kamery.

Szybko zajmuję wskazane miejsce w studiu. Poza parą młodych ludzi w podobnej roli co ja nie ma tutaj nikogo, ale za to w reżyserce jest ciasno. Oprócz kilku mężczyzn za konsoletą w rogu za kamerą stoi kamerzysta, kilka osób kręci się ustawiając światła, mikrofon . . . Wspomniana pani w okularach wszystko bacznie obserwuje, wprowadzając ewentualne poprawki. W centrum całego tego zamieszania znajduje się redaktor Wojciech Reszczyński, przegląda jeszcze swoje notatki i poprawia marynarkę, krawat.

— Gotowi? — pyta pani — Proszę o ciszę, jedziemy!

— Dzień dobry, tu Teleexpress . . . — rozpoczyna red. Reszczyński wstęp do kolejnego wydania tej popularnej audycji informacyjnej.

— Dziękuję, proszę dalej — dyryguje pani.

Wojtek Reszczyński w reżyserce zapowiada następne pozycje, tymczasem w studiu pojawia się Marek Sierocki, siada za stołem, kamerzysta cezyluje obraz . . .

— Pora na telehit — Marek Sierocki! — Zapowiada Wojtek.

— Dzień dobry, dziś . . . — reaguje natychmiast Marek.

— Stop! Jeszcze raz — mówi pani w okularach — była tam zbyt duża przerwa.

Zapowiedź się powtarza i na monitorze kontrolnym w studiu Marek ustępuje miejsca zapowiedzianemu przez siebie teledyskowi.

Jeszcze złota czcionka i kilka innych zapowiedzi. Koniec. Patrzę na zegarek, jest 11.15. Całe nagranie z poprawkami trwało niewiele ponad 5 minut. Studio szybko pustoszeje i wszyscy przenoszą się z sutereny do biura redakcji na pierwszym piętrze.

Wchodząc do sekretariatu redakcji odnoszę wrażenie, iż skądś znam to pomieszczenie, w każdym razie jego fragment. Oczywiście, to jest dziupla, z której czytane są teleksy.

Jest tłoczno, znajduje się tutaj kilkanaście osób. Każdy zajęty swoimi obowiązkami, obydwa aparaty telefoniczne zajęte. Obok przy biurku spotkana przeze mnie w studiu para spiera się o coś nad grubym zeszytem — ze strzępków rozmowy wnioskuję, iż chodzi o kamerę.

Zza szklannego przepierzenia dobiegają odgłosy w języku angielskim — to jakiś pan ogląda po fragmentach zarejestrowany materiał i tłumaczy tekst z angielskiego na polski.

Nie mam czasu na dalsze rozglądanie się.

zostaję przedstawiony wspomnianej pani w okularach. Małgorzata Wojnowska jest szefem dzisiejszego wydania, czyli odpowiedzialna za całość kwadransa programu, który zostanie wyemitowany dzisiaj o godzinie 17.15 w programie I TVP pod nazwą Teleexpress.

Wojtek Reszczyński ma wolną chwilę, więc wykorzystuję ją na rozmowę.

— Kiedy jeszcze pracowałeś w Trójce, to niezbyt pochlebnie wyrażałeś się o Telewizji.

— Nie zmieniłem zdania, ale na swoje usprawiedliwienie powiem, że pracuję w najlepszym programie informacyjnym Telewizji. Powinni to ocenić sami telewidzowie.

— Na czym polega popularność Teleexpressu?

— Bo jest krótki.

— Tylko?

— Pełny i wiarygodny.

— To znaczy?

— Mam pełny wpływ na to, co sam robię, co mówię.

— I nikt nigdy nie interweniował?

— Nie było żadnej interwencji.

— To znaczy, że szefowie mają do ciebie zaufanie?

— Do mnie czy do ustawy o cenzurze? Zresztą cenzura nie jest nigdy największą barierą dla dziennikarza, tylko jego szefowie i ich autocenzura.

— Twoja dewiza dziennikarza?

— Zachować twarz nawet w najtrudniejszej sytuacji.

— A gdybyś musiał skłamać?

— W takiej sytuacji trzeba spojrzeć w lustro i powiedzieć sobie: „Pomimo że nie jestem najpiękniejszy, chciałbym nadal tak wyglądać . . . "

— Jak znosisz popularność? Ludzie rozpoznają cię na ulicy . . .

— Rzecz miła, bo spotykam się z dowodami prawdziwej sympatii, i trochę męcząca.

— Czy nigdy nie korzystałeś z tej popularności, by coś załatwić?

— Są takie sytuacje. Jedni oferują swoją pomoc z czystej życzliwości, inni z wyrachowania, inni ze zwykłego lęku. „Proszę, proszę, panie redaktorze, bo opowie potem pan w Teleexpressie . . . "

— Jednak rozmawiasz z ludźmi . . .

— I tu również cała gama zachowań. Niektórzy zachowują się normalnie i normalnie rozmawiają, jakby mnie nie znali z telewizji. Inni grają jakąś rolę, przez co nie są zbyt szczerzy. Z rozmów wynika, że zdobyłem spory kapitał zaufania. To bardzo zobowiązuje, tak bardzo, że momentami w pracy wręcz paraliżuje.

— Masz jakieś dowody zaufania widzów zza Olzy?

— Są listy. Większość oczywiście z prośbą o teledyski. Ogólnie mówiąc, Polacy zza Olzy żyją swoimi sprawami.

— Jak przygotowujesz się do następnej audycji?

— Wieczorem od 11 do 2 piszę swoje teksty. Jestem wtedy bardziej cięty. Rano dochodzi tak zwana autocenzura. Potem to jeszcze raz czytam przed anteną i potem jeszcze raz, w ten sposób wykorzystuję do maksimum czas antenowy. W sumie jestem na wizji 1 minutę czyli 1/15 programu. A i tak złośliwi twierdzą, że pracuję tylko 15 minut.

— Skąd bierzesz pomysły?

— Z głowy, czyli z niczego. A tak naprawdę, to w pierwszej kolejności są to własne przemyślenia, następnie listy, prasa i rozmowy telefoniczne.

— Nie boisz się, że się wyczerpiesz?

— Może mi się wyczerpać wszystko począwszy od głosu poprzez wątrobę . . . , ale nigdy nie zabraknie ciekawych tematów.

— Czy nie poszukujesz zastępcy?

— Zgłosiłem taką propozycję w TV, ale bez efektów, chociaż byłem i jestem za konkurencją w każdej dziedzinie.

— To czego ci życzyć — konkurenta?

— Zawsze życzy się zdrowia.

— W takim razie życzę ci go jak najwięcej.

— Dziękuję, z tym coraz gorzej.

— A ja dziękuję za rozmowę.

Wojtek odchodzi do innych zajęć, zabierając ze sobą sporą paczkę listów. Trzeba je wszystkie dokładnie przeczytać, by nie przeoczyć jakiejś poważnej sprawy i nie zawieść zaufania widza.

Tymczasem sytuacja wokół trochę się zmieniła, to znaczy ludzie się zmienili — niektórzy odeszli, inni przyszli. Zauważam Jolantę Fajkowską, Wojciecha Nowakowskiego,



— Chwileczkę . . . Może trochę wyżej ten mikrofon . . .

Zbigniewa Krajewskiego — przygotowują się do czytania teleksów.

Za kilka dni rozpoczyna się Festiwal Interwizji w Sopocie, jest więc Majka Jeżowska — będzie rozmowa. Miała być również najnowsza Miss Polonia, panna Nowosadko, ale odmówiła.

Wszyscy są podenerwowani, dawno minęła godzina 12.30 (pora nagrywania teleksów), a kamera jeszcze nie wróciła. Okazuje się, że redakcja Teleexpressu dysponuje tylko jedną ruchomą wideokamerą i trzeba się na nią zapisywać w specjalnej kolejce.

Korzystając z chwili czasu przeglądam wycinki prasowe z artykułami o Teleexpressie. Jest tego spora teczka. Połowa to wycinki z prasy zagranicznej i to często dla nas egzotycznej: Kuwait Times, Coriere Della Sera, Herald Tribune, . . . Można by tak długo wymieniać. Na ile udaje mi się rozszyfrować obce teksty, to wszyscy Teleexpress bardzo chwalą i nawet stawiają za wzór dla własnych telewizji.

Godzina 13.00 — jest kamera.

— Szybko ustawiamy i jedziemy — dyryguje Małgorzata Wojnowska.

Na pierwszy ogień idzie Majka Jeżowska. Wojtek Nowakowski podśpiewując — „A ja kocham swoją Mamę" — zagaja rozmowę. Rozmowa przebiega gładko, na luzie, jest mowa między innymi o pieniądzach, głównej nagrodzie w Sopocie.

— Dobrze. Jeszcze raz, wydawało mi się, iż obraz drgnął — pani Małgorzata Wojnowska uważnie obserwuje monitor.

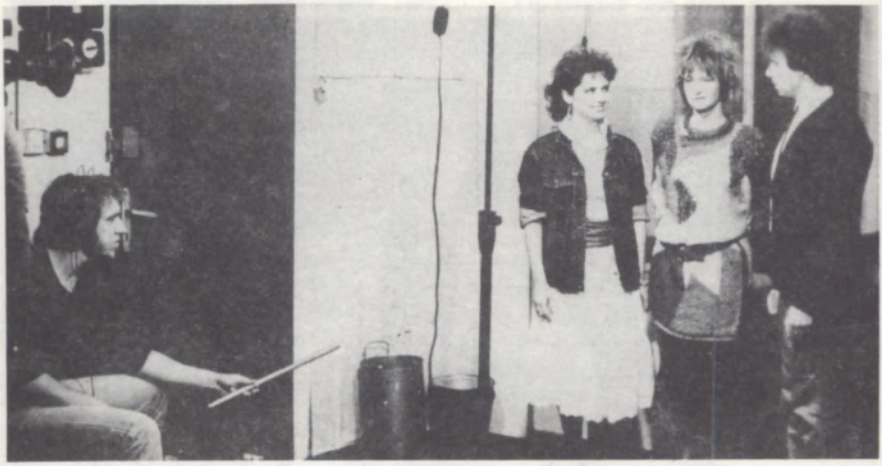
Rozmowa zostaje bez szemrania powtórzona.

— Dziękuję. Kupujemy — kwituje pani szef.

Majka Jeżowska szybko opuszcza redakcję, śpiesząc się do innych zajęć. Na odchodnym żartuje, nawiązując do rozmowy: — O ile uda mi się zdobyć główną nagrodę, to zafunduję wam drugą kamerę.

Teraz jeszcze czytanie wiadomości. Koniec rejestracji. Kaseta z nagraniem wędruje do magnetowidu — wszyscy śledzą ekran.

fot. WIESŁAW PRZECZEK



Wojciech Nowakowski i Jolanta Fajkowska przed „dziuplą" prowadzą rozmowę z Majką Jeżowską

— To tylko monitor drgnął, nie trzeba było powtarzać — komentuje ktoś nagranie.

— No to wybierzemy lepszą wersję — broni swego zdania pani Wojnowska. Jak widać, dba o jak najlepszą jakość programu.

Do emisji pozostały jeszcze blisko cztery godziny, rozpoczynam więc wędrówkę po gmachu Telewizji przy placu Powstańców Warszawy, gdzie mieszczą się redakcje publicystyki i dzienników. Zaglądam do pozostałych pokoi redakcyjnych Teleexpressu. Spotykam przeważnie samych młodych dwudziestokilkuletnich ludzi, przeważają dziewczyny. Większość z nich to studenci dziennikarstwa. Na biurkach zalegają teleksy PAP, prasa . . .

— Jak powstają krótkie migawki? — pytam.

— Po prostu bierze się informację z PAP-u, z prasy lub z własnych obserwacji, zabiera kamerę z ekipą i kręci, następnie montuje obraz, pisze się komentarz i jest.

— Wszystko ładnie, tylko kamery nie ma — denerwuje się Bartosz Ławski — student dziennikarstwa. — Kornelia pojechała z kamerą i już powinna dawno wrócić. Mam fajny temat — makulatura — pokazuje mi fragment PAP-owskiego teleksu — punkty skupu makulatury są przepełnione i nie chcą odbierać makulatury, a papieru ciągle brakuje. Zebrałem kilka paczek starych gazet, spróbuję je upchnąć w skupie i nakręcę to. Chcesz zobaczyć, jak to się robi, to jedź ze mną! — zaprasza mnie.

Wychodzimy przed budynek, aby pojechać zaraz, jak tylko zjawi się kamera. Niestety, mija pół godziny i nic.

— Wracamy — rezygnuje Bartosz, ale zaraz dodaje — może uda mi się załapać z kamerą z Panoramy Dnia lub Kuriera Warszawskiego.

Piętro wyżej nad redakcją Teleexpressu mieszczą się stanowiska montażowe. W jednym z pokoi, do którego właśnie zaglądam, na ekranie monitora pojawia się znak Interwizji. Jest godzina 15.15. Codziennie o tej porze kolejno poszczególne kraje socjalistyczne zrzeszone w tej organizacji „sprzedają" najciekawsze z ich punktu widzenia informacje. Jeden z redaktorów pilnie je śledzi, rejestrując najbardziej interesujące pozycje. Jest ich niewiele. Przeważają migawki z oficjalnych narad i wizyt na różnych szczeblach (pomimo sezonu urlopowego), ewentualnie informacje sportowe.

— Coś mało materiału na dzisiaj? — zwracam się do redaktora.

— Bez obaw. Serwis Eurowizji nadawany w odróżnieniu od Interwizji dwa razy dziennie

fot. WIESŁAW PRZECZEK

— przed południem i po południu jest o wiele bogatszy i bardziej interesujący, nie mówiąc już o CNN.

Właśnie CNN. Ten amerykański program informacyjny jest nadawany via satelita na cały świat. Na dachu budynku telewizji umieszczono antenę do bezpośredniego odbioru tego programu. Notabene antenę zainstalowano z początku nielegalnie, zanim jeszcze władze zaczęły wydawać zezwolenie na jej posiadanie. W sekretariacie Teleexpressu na monitorze można ten program oglądać na bieżąco. W każdej wolnej chwili zezuję więc w stronę ekranu i muszę przyznać, iż jest świetnie redagowany. Krótkie informacje z całego świata, od politycznych po ciekawostki, podawane w bardzo atrakcyjnej formie, z wykorzystaniem wszystkich możliwości, jakie daje elektroniczna obróbka obrazu, lecą non stop przez 24 godziny na dobę. Spikerzy się praktycznie nie pojawiają — tylko obraz i komentarz. Nic więc dziwnego, że Teleexpress połowę wiadomości ze świata przejmuje z tego programu.

Obce lub własne nakręcone przy pomocy kamery materiały trafiają do magnetowidów montażowych firmy Sony, przy pomocy których zręczne montażystki kierowane przez redaktorów nadają im ostateczny kształt.

Praca wre na całego. Do emisji pozostaje jeszcze niewiele ponad godzinę. W sekretariacie maszynistka przepisuje pod dyktando autorów komentarze do ich materiałów.

W małym pokoju montażowym robi się ciasno. Główne miejsce zajmuje redaktor Zbigniew Krajewski. Dwa monitory — na jednym obraz, na drugim zegar wskazujący godz. 16.50. Magnetowid rusza i Z. Krajewski próbuje czytać komentarz pod obraz na ekranie. Nie zawsze mieści się z tekstem, wtedy idzie w ruch długopis i przy aktywnej współpracy autora materiału wprowadza się ostatnie korekty.

Godzina 17.02. Dopiero połowa gotowa, a za 13 minut emisja! O dziwo, wszyscy są spokojni. Szybko, ale bez podniecenia pracują dalej.

Godzina 17.13 i 15 sekund.

— W porządku. Schodzimy na dół — komenderuje pani Wojnowska.

W pokoju pozostaję sam z montażystką, która komunikuje się za pośrednictwem interkomu z reżyserką. Dostraja aparaturę. Wskazówka sekundnika zegara na ekranie zbliża się do dwunastki.

Godzina 17.15.

Montażystka naciska guzik. Magnetowid rusza.

— Dzień dobry, tu Teleexpress . . . — Na jednym ekranie obraz prosto z magnetowidu, na drugim już gotowy, z napisami i komentarzem czytanym na żywo o dwa piętra niżej przez Zbigniewa Krajewskiego, w postaci wędrującej prosto do nadajnika. Wszystko biegnie gładko. Red. Krajewski ani razu się nie myli, teksty mieszczą się dokładnie w obrazie. Profesjonalna robota.

— Teleexpress znowu jutro o 17.15. Do zobaczenia — żegna się z ekranu Wojtek Reszczyński.

Jest 17.30. Magnetowid staje. Montażystka przez interkom dziękuje za współpracę niewidzialnym kolegom.

Schodzę do redakcji. Pomimo iż program został wyemitowany, panuje tam ożywiony ruch. Bartosz dyskutuje z dziewczynami na temat nowych pomysłów. W sekretariacie, za przepierzeniem, Wojciech Nowakowski montuje swój materiał. Trwa praca nad następnym, jutrzejszym wydaniem Teleexpressu.

I tak codziennie po kilkanaście godzin około 40 osób (dziennikarze, producenci, technicy) troszczy się, aby telewidz w ciągu kwadransa w nienużącej, nowoczesnej i atrakcyjnej formie otrzymał ilościowo taką samą lub nawet większą porcję informacji, jak w klasycznym półgodzinnym dzienniku telewizyjnym. O tym, jak się to udaje, świadczą dane Biura Badań Opinii Publicznej, plasując pod względem oglądalności Teleexpress na pierwszym miejscu. Teleexpress udowodnił, iż informacje można podawać całkiem inaczej. W ślad za Teleexpressem powstają następne, nowe audycje informacyjne, np. Panorama Dnia. W redakcji Teleexpressu goszczą często przedstawiciele sąsiednich telewizji, zainteresowani przeszczepieniem tej audycji na swój grunt. Oby tak się stało jak najszybciej.

WIESŁAW PRZECZEK

STANISŁAW JEDZOK

WIDOK Z WERANDY

W środku wsi wyrastał garb. Zimą biały od śniegu. Wiosną obsypany kwiatem czereśni. Tu był koniec doczesności, na starym cmentarzu. Pod cmentarzem rosły wspaniałe czereśnie — najwspanialsze w całej wsi. Podobno dzięki temu, że dobrze przygnojone. Z drugiej strony kopca spływały w dół pastwiska spółdzielni rolnej, gdzie roiło się od pieczarek, które swoimi białymi główkami rozrywały twarde skorupy krowich łajn. Z tego kopca też, w czasie ładnej pogody, widać kościół na Wyższej Bramie w Cieszynie.

W dolinie gromadziło się stadko gospodarstw, od których wyraźnie odstawało jedno. Jakby przykucnięte na mniejszym wzgórzu, czaiło się nad wsią. Koło tego domu wiła się zygzakiem droga do Cieszyna. Od strony drogi widoczna była piękna drewniana weranda, na którą dziadek wychodził zawsze w niedzielę po południu i wzrokiem właściciela wodził po okolicy, i mruczał pod nosem: „Święte miejsce. Urocze. Póki ja tu będę czuwać, nic nikomu się nie stanie."

Ojciec mawiał zawsze, że jest to zboczenie zawodowe, bo dziadek był kiedyś żandarmem policji austriackiej. A werandę sam zbudował. I budował ją przez siedem lat. A w czasie tych siedmiu lat tak zapuścił pole, że zdawało się być niemożliwością uprawianie na nim czegokolwiek. Ale dziadek miał szczęście, bo we wsi zakładano spółdzielnię rolną, więc oddał swoje pole do spółdzielni, dziękując za to komu popadło, co niedzielę oddając w kościele pokaźne datki to na kaznodzieję, to na organistę, to na kościelnego. I tak pod jego

czuwającym wzrokiem życie we wsi płynęło cicho i spokojnie, i wszyscy patrzyli na werandę z pokorą i bojaźnią. A nawet głupi Kuczera, który wyśmiewał wszystkich, kogo spotkał i kogo nie spotkał, i ludzi ze wsi, i miastowych, i papieża, i komunistów, i kapitalistów, i biednych, i prezydentów, bez różnicy, jakim kierowali państwem (naprawdę mógł sobie na to pozwolić, bo przecież każdy wiedział, że jest głupi) a czasami, kiedy nie panował nad sobą, wyśmiewał nawet siebie i prezesa spółdzielni rolnej — a więc nawet ten głupi Kuczera chodził koło werandy mojego dziadka z powagą i nabożnym skupieniem. Niech mu ziemia lekką będzie.

Tamtego dnia było duszno, a ja, z trudem łapiąc oddech, podążałem za matką pod górę wzdłuż ogrodzenia pastwiska. Z daleka słyszeliśmy już niespokojne pobukiwanie. Po chwili, jakby gdzieś z góry, zerwał się tętent i pojawiło się całe stado. Na nasz widok stanęły krowy jak wryte. Kiedy mijaliśmy je, odwracały się jedna po drugiej i podążały za nami. Matka dotarła wreszcie pod olbrzymi kasztan. Stanęła, jakby nasłuchując, podniosła głowę do góry. Za nią, jak na rozkaz, zaczęły się podnosić krowie łby i ogony. I taka cisza zapadła i rozlała się aż na koniec świata, że słychać było w tej chwili każdy najmniejszy szmer, a ja nie mogłem nawet obetrzeć swego nosa do rękawa, bo moc tej ciszy była tak ogromna, i czułem, jak usta zamyka mi ten właśnie śluz spływający na wargi. Aż po chwili usłyszałem dźwięk. Wpierw jakby nierealny, po chwili wyraźny i coraz mocniejszy, podskakiwał na horyzoncie. I matka lekko opuszczając głowę zaszeptała:

— Słyszysz?

— Tak. — odpowiedziałem.

— To zmarła babcia — dodałem pewny siebie.

— Co ty wygadujesz, głuptasie — strzeliło niespodziewanie w moją stronę. I zaraz po tych słowach wystrzeliła również ręka matki i po chwili poczułem ogień w policzku, rozlewający się po głowie.

I dzwony rozprysły się.

I na kopiec zlała się szarość, i zrobiło się jeszcze bardziej duszno, i to trwało przez całe cztery dni. Aż do chwili, kiedy wróciliśmy z pogrzebu babci. I całe szczęście, że było już po pogrzebie, bo babcia prześladowała mnie we śnie, tak jak tamtego dnia, kiedy otworzyłem drzwi do łazienki i zobaczyłem babcię, jak stoi nago, z rozpuszczonymi długimi białymi włosami, z wielkim brzuchem i zwiędłymi piersiami, i goli sobie brzytwą brodę, która jej na przekór wyrastała na twarzy jak białe igły. I tak mnie ten obraz zaskoczył, że stałem w tych drzwiach jak głaz a babcia śmiała się przeraźliwym głosem. I wreszcie zerwałem się do biegu i biegłem do drugiego pokoju, gdzie siedział dziadek, i z całą szczerością wyrzuciłem z siebie ten obraz z łazienki, a dziadek uśmiechnął się tylko, wstał i krzesło rozluźniło swoje naprężone mięśnie, i wyszedł na werandę z podniesionymi

rękami, jakby dotknąć chciał błękitu. I wtedy rozległ się trzask łamanych desek i dziadek zaczął się osuwać w dół, aż w końcu zawisnął na drewnianej konstrukcji werandy jak worek z ziemniakami. I zbiegli się sąsiedzi, bo każdy we wsi musiał słyszeć ten straszny łomot. I medytowali nad znaczeniem pozycji, jaką dziadek przyjął w tym zawieszeniu. I przybiegł ojciec i przeklinał głośno swój los:

— O ty moja dolo zapieprzona.

A dziadek wiedział, że chociaż ojciec zwraca się do swej doli, to te przekleństwa są również przeznaczone dla niego.

I tak ojciec biegał, a sąsiedzi medytowali, aż dziadek nie mógł już wytrzymać i zaczął prosić, żeby go wyciągnęli. Więc sąsiedzi zaczęli medytować nad tym, jakim sposobem można pomóc dziadkowi, a ojciec zaczął wtedy pluć pod nogi dziadka i w głos go przeklinać:

— O ty niezdaro zgrzybiała!

A dziadek wiedział, że chociaż ojciec zwraca się do niego, to te przekleństwa są również przeznaczone dla doli ojca, która zmusi go do naprawienia całej konstrukcji werandy. W końcu ojciec nie wytrzymał i przełamał swoje twarde zasady i jął prosić sąsiadów, by pomogli mu wydobyć dziadka, lecz sąsiedzi dalej tylko medytowali nad metodą wyzwolenia dziadka z tej kłopotliwej sytuacji. Wtedy ojciec jeszcze bardziej przełamywał swoje twarde zasady, schodził do najciemniejszej piwnicy naszego domu i stamtąd taskał dużą butlę bimbru. I kiedy tę butlę wynosił na światło dzienne, ona ożywała i migotała tęczowo w słońcu, a sąsiedzi podawali ją sobie jak fajkę pokoju i wszyscy w tym momencie zapominali o waśniach. A kiedy butelka mętniała, wracała do rąk ojca, który z oczekiwaniem patrzył na sąsiadów.

I stało się.

Sąsiedzi w tym momencie jednoczyli się i wspólnymi siłami wydobywali dziadka z drewnianej konstrukcji werandy.

I tak właśnie było tego dnia, kiedy wróciliśmy z pogrzebu babci. Ta szarość i duszność męczyła mnie już od czterech dni. I nawet wysoka jasna kopuła nad trumną babci w kościele na Wyższej Bramie nie rozjaśniła moich myśli. I wszyscy byliśmy smutni. A dziadek był najsmutniejszy, bo był również wściekły, i mówił, że to wstyd i hańba, by na stypie nawet rumu do herbaty nie podać. I jeszcze bardziej się zdenerwował, kiedy stwierdził, że nie może wyjść na werandę, bo ojciec dużym gwoździem zabił drzwi. I dziadek tak długo szarpał drzwiami, aż wyrwał je z całą framugą. Wyszedł na werandę, podniósł ręce, jakby chciał dotknąć nieboskłonu, i wtedy rozległ się trzask desek i dziadek osunął się w dół, zawisając na konstrukcji werandy jak worek ziemniaków. I dla sąsiadów znowu nastała chwila medytacji, a dola ojca była znowu zapieprzona.

W nocy usłyszałem krzyk. Wybiegłem z domu. Matka chwyciła mnie za rękę — biegliśmy razem wzdłuż drogi, potem na przełaj.

rys. JAN RUSNOK



Gdzieś w dali rozbrzmiewał głuchy odgłos. Dopiero pod wielkim kasztanem dostrzegłem jakiś błysk, jakby metalowego przedmiotu, a potem dwie twarze, nie — trzy, cztery. Tak, to był ojciec, skrzywiona twarz Kilara, przestraszona twarz Michalika i błyszczące oczy Kańcowej. A potem usłyszałem jęk. Zwróciłem głowę w tę stronę. Masę puszystej ciemności rozrywała postać nagiej dziewczyny, z rękoma uniesionymi do góry, które na końcach zamieniały się w gałęzie. I ten błysk ostrza siekiery, które zacinało się w ciało dziewczyny. I dziwiło mnie, że nie ma ani kropli krwi. A matka przesłaniała mi oczy i mówiła:

— „Nie patrz, nie patrz, jesteś jeszcze za mały".

I za każdym uderzeniem siekiery rozlegał się jęk i trzask pękającej gałęzi. A ja wołałem:

— Nie, nie róbcie tego!

A ojciec krzyczał coś w niezrozumiałym dla mnie języku.

I wtedy wokół zabieliło się tak. I ta biel była stokroć straszniejsza od ciemności. A w tej bieli gdzieś za oknem ledwie rysował się cień ojca, młodego Kilara, starego Michalika i Kańcowej.

Rano obudził mnie jakiś łomot. Wybiegłem przed dom. Matka stała trzymając się kurczowo muru. Kilka kroków dalej ojciec z młodym Kilarem i starym Michalikiem burzyli werandę. Tuż za nimi błyszczały obłędnie oczy Kańcowej. Belki spadały miękko na trawę. I każda, która poległa — westchnęła.

Dopiero po chwili zobaczyłem dziadka. Siedział, twarzą zwrócony w stronę cmentarza. A ja wiedziałem, o czym myśli, bo trudno było nie wiedzieć, skoro jego życzenie w tej chwili było tak mocne. I ja jasno widziałem ten kondukt, taskający pod górę trumnę. I dziadka w tej otwartej trumnie, z miną taką, jakby nie z trumny, a z werandy spoglądał na wieś, i kondukt żałobny zlany potem. A niby czemu nie, kiedy trumna dębowa a dziadek ciężki jak trzy worki zboża.

I nadeszły dni, kiedy ludzie przestali umierać spokojnie. Los hulał sobie po wsi jak zwariowany tajfun. A zaczęło się prowokacją u starej Kańcowej. Nasz kot Mateusz zadusił Kańcowej kurczaka. I wtedy Kańcowa, jakby jej nie dość było naszej werandy, złapała Mateusza za tylne nogi i waliła nim w drzewo. Biedak Mateusz — taki twardy miał charakter. Ludzie zbiegli się, matka prosiła ją, przyniosła jej kurę — najlepszą nioskę, a Kańcowa nic, tylko wali Mateuszem w drzewo. I nie wiadomo było, kto wytrzyma dłużej. Bo Kańcowa też już była u kresu sił. Ślina żółta i gęsta rozwierała i zamykała jej usta. W końcu Mateusz zdecydował się i wyzionął ducha. Kańcowa waliła nim w drzewo bez opamiętania. Kiedy zakończyła to makabryczne widowisko, rzuciła kota na drogę, a ten był już twardy, że ho, ho.

Potem los nawiedził dom Kilara. Stary Kilar dostał pomieszania zmysłów i przywiązał Kilarową do drzewa sznurem grubym jak ręka. I z dubeltówką klęczał przed nią i wołał: „Ty zdziro stara. Pieprzyć ci

się zachciało nad grobem. Kupa gnoju z ciebie zostanie. Modliszko . . . "

I tak dawałby upustu swej fantazji do sądnego dnia, gdyby nie syn, który zamknął starego Kilara w chlewiku z baranami. Kiedy odwiązywał Kilarową, ta już dogorywała. A kiedy ostatni raz zamknęła oczy, z tej jabłoni, do której była przywiązana, posypały się wszystkie jabłka. I pogrzebano Kilarową razem z tymi jabłkami.

I ten rozhukany los nie ominął również chałupy Michalika. I było tak, że rzeźnik Michalik wyszedł rano do drugiej wsi, bo miał zabić świnię na wesele młodej Paczkowej. Ale Paczkowej uciekł narzeczony, więc darowano świni życie. Wraca więc Michalik do domu. Drzwi otwarte. W kuchni po stole kury chodzą. Szuka Michalik. Wchodzi do stodoły. A tam Józik sąsiada wciąga portki do goły tyłek, Michalikowa plackiem na gumnie leży, a na niej jak żaba na kamieniu — Tadzik Kozieł. I mimo tego, że ta Michalikowa plackiem leży, to jęczy i stęka jak ten wóz drabiniasty, co do pełna sianem wyłożony i pod górkę się wlecze. Michalik stał bez słowa. Smutek wylewał mu się z oczu. W końcu coś zacharczało w jego piersi i zamruczał:

— Ty świnio.

Potem wyjął z torby strzelbę do uboju świń. Przyłożył ją do swej skroni. Strzelił. A Józik z Tadzikiem i Michalikową patrzyli zdumieni, jak Michalikowi oczy wzlatują w górę a krew z nosa spływa w dół i tak ciąży, że ciało jego pociąga za sobą. I nikt się nie gniewał, bo do dziś nie wiadomo, do kogo Michalik powiedział te słowa ostatnie: — Ty świnio.

Ojciec nie czekał, aż przyjdzie kolej na nasz dom. Zabrał się do budowy. Wybudował jeszcze piękniejszą werandę. I dziadek zaraz nazajutrz wszedł na tę werandę i zapadł się, chociaż przytrzymywał się błękitnego nieboskłonu. I zbiegli się sąsiedzi. I z najciemniejszej piwnicy naszego domu wyleciała butla bimbru jak radosny ptak. I od tej pory dziadek bardzo często zapadał się w werandzie, bo ojciec pędził najlepszy bimber w okolicy. I jak się później okazało, dziadek był w zmowie z sąsiadami, którzy mu kupili piłkę. Tą piłką nacinał deski werandy, żeby łatwiej się zapadać. A ojciec pojechał na tartak i zamówił dużo pięknych świerkowych desek, bo dziadek czuł się nadzwyczaj zdrowo jak na swój wiek.

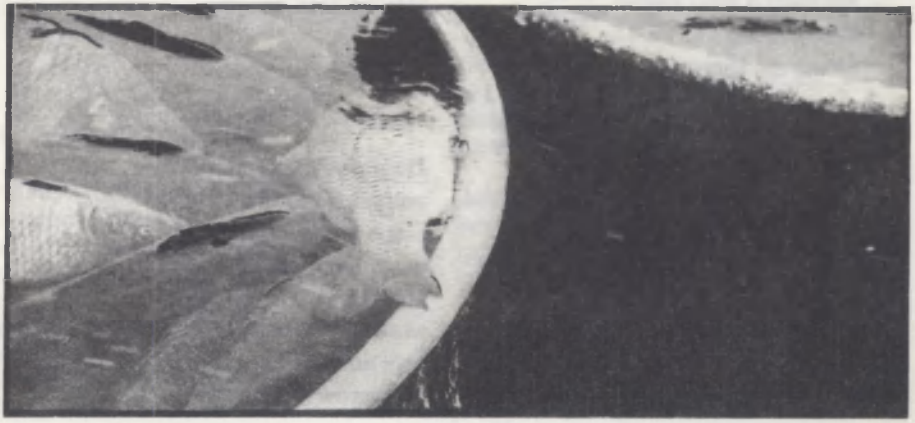
VLADISLAV JASIOK

Po karpia









WŁADYSŁAW SIKORA

PRZEBITKA ZIOŁOWA

Jesteś jak oddech
usta przy ustach
zieleń zielona
mrówka mrówkojad

— Coś nam lato stygnie
— Nie można tchu złapać
— Było jest nie będzie
— Splata się rozplata

Posunęło nam się
jak garbusek wiersza
— Lata lato gonią
była sprawa przeszła

Świetlik macierzanka
wrzosy ku jesieniom
krwawnik wilcze ziele
dygot podorówek

Nim dorośniesz nie Iza
nie jedź niezabudko
po sól do Wieliczki
będziesz solą w oku

Olza spływa w olchy
czekaj echa wiatru
nim cię pozamiata
śląskie koło dziejów

Romanowi B.

Zioła zioła zioła
pełna ich stodoła
siano siano siano
w słońce wyśpiewano
żniwa żniwa żniwa
wiatr słowacki przywiał
całą nockę wiało
kamratów nie stało

OKRZASY

Lata strona po stronie
odkładane ciasno
i przebiśniegi — zwiastowanie
przyparte do stodół i gromadzisk
którędy milczkiem cieknie czas

Od Zorąbku trzęsawisko
wieki zwieźli w Katryniocz kę
lata ciasno odprawiane
na zielono chyłkiem na czczo
przy niedzieli prostopadłej
w gęste lato ssące w górę
stare w nowe odmienione
podług woli podług wiary
najbeskidziej wyrastanej

Zieleń szczelna góra krwawi
gęstwa — mżawka po okrzasy
zapowiedzi żale bólów żyworodnych
brzozy do dnia jak zawiasy
schodzą o białych laskach

Las na przemian postępuje
Las na szczęście na powroty
gubi ojców partyzantów
i wydziela im postoje
raz na lata na przepierkę
A gdy wesprzesz się by wytchnąć
gorzko w ustach od pamięci
i poszycia

BALLADA NIEUSTAJĄCA

W Jabłonkowie na rynku
drużbom słowo dali
w Jabłonkowie na rynku
drużbom bębnowali

Czasy szły nieprzebyte
dziurawymi drogami
wuj się Szturc z dnia na dzień
przez ocean oddalił

Gęstwą las się sposobił
aj gęste było życie
rodzono się umierano
wadzono pracowicie

Ona była łagodna
macierzanka z piołunem
nim się w oczach na odlew
nie spotkały bieguny

Kaskadera za męża
brała w czystej bieli
bo hosanna z górali
i z kipieli się wzięli

W Jabłonkowie na rynku
halleluja śpiewają
w Jabłonkowie na rynku
młode wiosny chowają

Było kiedy hosanna
jak Szturców przy bachorach
wuj się Szturc z Ameryką
po dziś nie uporał

Przyszli nawet wałasi
przeciw Turkom radzić
Przychodźcie dość roboty
każdemuśmy radzi

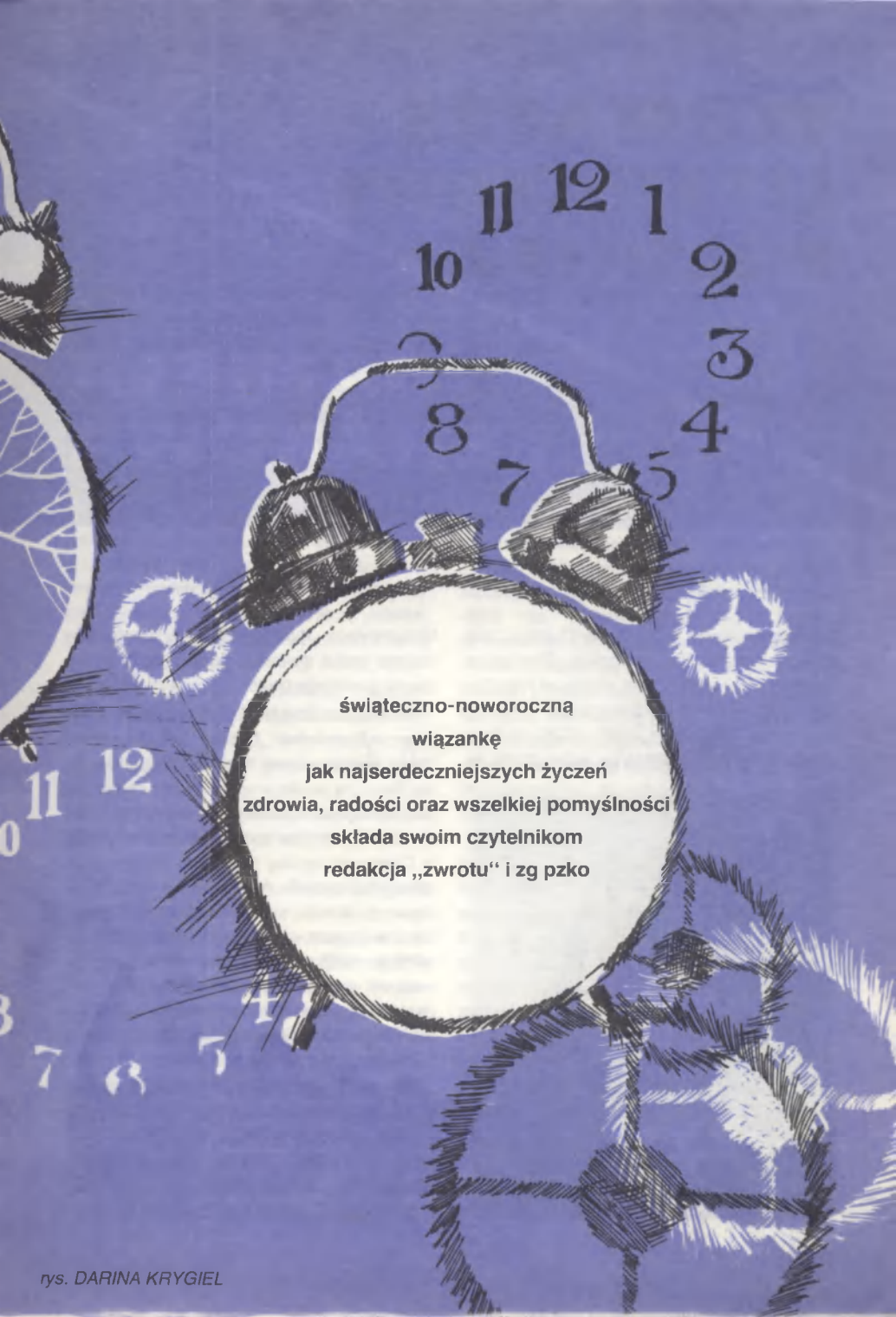
ale nam zostawcie
nasze prawa stare
bowiem język z sumieniem
nie są na ofiarę

Gorol długo cierpliwy
ale nie wystoi
dlatego po gorolu
bardzo źle się goi

Jeszcze trwamy poniekąd
jak sójki w trójnasób
gdy błękitnie po prośbie
chodzą z lasu do lasu

W Jabłonkowie na rynku
wiosny wyglądają
w Jabłonkowie drużby
stoją ku rozstajom


12
1
2
3
4
5
6
7
8
9
10
11



świąteczno-noworoczną
wiązankę
jak najserdeczniejszych życzeń
zdrowia, radości oraz wszelkiej pomyślności
składa swoim czytelnikom
redakcja „zwrotu" i zg pzko

rys. DARINA KRYGIEL

TŁUMACZE LITERATURY POLSKIEJ

DANIELA LEHÁROWA

Daniela Lehárowa urodziła się 17 maja 1954 roku w Pradze. Po ukończeniu Gimnazjum (matura 1973) rozpoczęła studia na Fakultecie Filozoficznym Uniwersytetu Karola w Pradze. W latach 1975—1976 studiuje przez okres dwu semestrów język polski na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Następnie wraca do Pragi, gdzie kończy studia języka czeskiego i polskiego w roku 1978.



Po studiach objęła posadę redaktora praskiego wydawnictwa „Odeon", pracując w redakcji obcojęzycznej. Przeważnie zajmowała się literaturą polską współpracując ze znanymi tłumaczami poezji i prozy polskiej w CSRS. Wydawnictwo „Odeon" należy w Czechosłowackiej Republice Socjalistycznej do najlepszych, jeśli chodzi o wydawanie literatury polskiej w tłumaczeniach. Daniela Lehárowa pracowała tu pięć lat (w czasie od 1978 do 1983 roku). W roku 1983 zrezygnowała ze względów zdrowotnych z pracy redaktorskiej i przeszła na posadę pracownicy Biblioteki Słowiańskiej (Slovanská knihovna) w Pradze.

W tych latach Daniela Lehárowa często wyjeżdżała służbowo i prywatnie do Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, nawiązując kontakty z licznymi polskimi wydawnictwami, a także z szeregiem polskich pisarzy i poetów. Nawiązane kontakty i przyjaźnie pod-

trzymuje nadal. Należy do najmłodszego grona czeskich tłumaczy literatury polskiej. Jest nie tylko bardzo dobrą tłumaczką literatury polskiej, ale w pierwszym rzędzie należy do wybitnych znawców polskiej poezji. Znajomość przedmiotu wykorzystuje w swojej pracy krytyczno-literackiej oraz w publikacjach popularyzatorskich.

Napisała szereg omówień twórczości polskich poetów i jest także autorką kilku wyborów z poezji polskiej. W bieżącym roku pokazała się np. w „Odeonie" ciekawa książka, zawierająca obszerny wybór z twórczości Juliana Przybosia „Przestrzeń słowem wzniesiona" (Prostor slovem vzklenutý). Tłumaczem poezji Przybosia jest Erich Sojka (prezentowaliśmy jego sylwetkę w kwietniowym numerze Zwrotu). Autorką wyboru i posłowia do tej publikacji jest właśnie Daniela Lehárowa. Poza wymienionym wyborem D. Lehárowa napisała posłowia do następujących wydań przekładów z literatury polskiej: Leopold Buczkowski „Czarny potok" (Černý potok, Odeon, Praga, 1982). Miron Białoszewski „Pamiętnik z Powstania Warszawskiego" (Památník z Varšavského povstání, Odeon, Praga, 1985), Tadeusz Borowski „Wybór poezji" (Výbor poezie, Odeon, Praga, 1987).

W. P.: W jaki sposób rozpoczęła się pani praca tłumaczki, a raczej od kogo pani rozpoczynała?

DANIELA LEHÁROWA: Swoją przygodę z przekładami literatury polskiej rozpoczęłam w roku 1978. To znaczy w tym samym czasie, kiedy zakończyłam studia bohemistyczno-polonistyczne w Pradze. Na początku próbowałam tłumaczyć tych autorów, których twórczość jest mi bardzo bliska i których bardzo sobie cenię. To znaczy konkretnie — Tadeusz Różewicz. W pierwszej kolejności tłumaczyłam jego utwory sceniczne. Następnie byłam zafascynowana twórczością Ireneusza Iredyńskiego i próbowałam przekładów jego prozy, a także tłumaczyłam dramaty Iredyńskiego. Zaczęłam sięgać do przekładów poezji. Przede wszystkim w polu mojego zainteresowania znaleźli się Bolesław Leśmian i Jan Twardowski. Nie przychodziło mi to łatwo. Przy tej okazji chciałbym podkreślić, że nie chodziło tu o przekłady na zamówienie. Po prostu chciałam sprawdzić, czy dam rady przetłumaczyć tak znakomitą literaturę. Muszę wyznać, że załamałam się przy przekładach poezji Leśmiana. Czasami wracam do niego, ale wyniki moich wysiłków nie są jeszcze najlepsze. Może w przyszłości coś z tego wyjdzie . . .

— Gdzie się pani uczyła języka polskiego?

— A więc tak — podstaw języka polskiego nauczyłam się podczas moich studiów na Fakultecie Filozoficznym Uniwersytetu Karola w Pradze. Przyzwoicie po polsku nauczyłam się jednak w czasie moich studiów na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Od tego czasu wyjeżdżam do Polski co najmniej raz w roku. Uważam, że kontakt z żywym językiem jest dla każdego tłumacza niezmiernie ważny. I nie mam zamiaru z tych wyjazdów rezygnować . . .

— Czy w trakcie wyboru autora do pracy translatorskiej decyduje temat, sympatia osobista czy też przypadek?

— Do tłumaczenia wybieram wyłącznie tylko to, co mi się osobiście podoba. Przekładam takie pozycje literackie, które uważam za świetną literaturę. Polskich książek, jak pan doskonale wie, nie pokazuje się u nas zbyt dużo. I w dodatku znakomitych tłumaczy średniej i starszej generacji jest w CSRS bardzo wielu. Czeskie wydawnictwa współpracują przede wszystkim z tymi tłumaczami, którzy mają już swoje wyrobione nazwisko. Młodzi (młodsi) tłumacze mają więc bardzo mało okazji do realizowania swoich przekładów. Po prostu możliwości publikacyjne są znacznie ograniczone. W konsekwencji tego, jeśli ktoś z młodych (młodszych) tłumaczy

chce się poświęcić tego rodzaju działalności, pozostaje tylko jedno jedyne wyjście: tłumaczyć „do szuflady", jak to się popularnie mówi. W tej sytuacji jest wybór jasny: tłumaczę to, co lubię. Biorę się za przekłady książek, które kocham . . .

— Utrzymuje pani osobisty kontakt z autorem, którego pani tłumaczy?

— Różnie to bywa. W niektórych wypadkach utrzymuję taki kontakt, w innych nie. Martwi mnie na przykład to, że nie mogłam poznać osobiście Mirona Białoszewskiego. Jego „Pamiętnik z Powstania Warszawskiego" jest — jak do tej pory — moim jedynym przekładem, który pokazał się w formie książki wydanej przez wydawnictwo profesjonalne. Bliskie i serdeczne kontakty utrzymuję od szeregu lat na przykład z Leopoldem Buczkowskim. Napisałam posłowie do jego czeskiego wydania „Czarnego potoku". Z autorem znałam się jednak o wiele wcześniej . . .

— Z którymi wydawnictwami czeskimi utrzymuje pani serdeczny kontakt i najchętniej z nimi pani współpracuje?

— Na to pytanie odpowiem z radością. Najlepiej współpracuje mi się z wydawnictwem praskim „Odeon". Nie tylko dlatego, że jest to moje macierzyste wydawnictwo (pracowałam w „Odeonie" pięć lat jako redaktor literatury polskiej), ale przede wszystkim dlatego, że jest to wydawnictwo, które wydaje to, co jest najlepsze w literaturze polskiej. I trzeba tu podkreślić, że nie dzieje się tak żywiołowo, ale wydawnictwo to posiada swoją dobrą i określoną koncepcję edytorską. Doprawdy, bardzo dobrze się współpracuje z takim wydawnictwem.

— Nad czym pracuje pani w tej chwili?

— No właśnie. Pracuję teraz nad wyborem polskich opowiadań współczesnych, które będą stanowiły wysmakowaną antologię. Całość pokaże się we wzmiankowanym już wielokrotnie wydawnictwie, w „Odeonie" . . .

— Pani osobiste wyznanie . . .

— Nie chciałabym, żeby to zabrzmiało patetycznie, chociaż tak zapewne będzie . . . Po prostu kocham Polskę. Kocham polską literaturę, kocham w ogóle polską kulturę, mam w Polsce wielu przyjaciół, jest mi bliska polska atmosfera duchowa, polski styl życia, polski charakter narodowy.

— Serdecznie pani dziękuję za wywiad i na zakończenie poproszę o pani podpis . . .

— Otóż i on . . .

Daniela Lehárová

WILHELM PRZECZEK

Wywiad z p. Danielą Lehárową był ostatnim z cyklu „Tłumacze literatury polskiej", który ukazywał się na łamach Zwrotu od pierwszego numeru 1987 r. Przypomnijmy kolejność tych tłumaczy, których miałem okazję zaprezentować: Doc. Jan Pilař, Helena Teigowa (był to jej ostatni wywiad, jakiego udzieliła, zmarła 12. 10. 1986). Helena Stachowa, Erich Sojka, dr Vlasta Dvořáčkowa, dr Ludvík Štěpán, doc. Otokar Bartoš, dr Anetta Balajkowa, Milan Rusinský, Olga Hostovska-Castiellowa, dr Oldřich Rafaj i Daniela Lehárowa. W następnym roku na łamach Zwrotu pojawią się wypowiedzi w ankiecie, do której zaprosiłem najwybitniejszych słowackich tłumaczy literatury polskiej (między innymi doc. Ján Sedlák, Vojtech Mihálik, Vlastimil Kovalčík, dr Marián Servátka, dr Matej Andráš, dr Štefan Drug, dr Marianna Minárikowa, dr Jozef Hvišč CSc, inż. Jaroslav Marušiak, Pavol Winczer i in.)

WP

JAN HEWELIUSZ

Rok 1987 obfitował w znaczące dla astronomii i w ogóle nauki rocznice. Tysiąc dziewięćset lat temu urodził się Klaudiusz Ptolemeusz, twórca geocentrycznej koncepcji budowy Wszechświata. Wprawdzie data jego przyjścia na świat nie jest dokładnie znana, ale za najbardziej prawdopodobną historycy przyjmują dziś rok 87 naszej ery. Natomiast przed trzystu laty ukazało się drukiem wielkie dzieło Izaaka Newtona „Matematyczne zasady filozofii przyrody", które dało podwaliny całej nowożytnej nauce. Nas jednak najbardziej będzie interesować trzechsetlecie śmierci jednego z najwybitniejszych polskich astronomów Jana Heweliusza, które jest powodem licznych obchodów trwającego jeszcze roku heweliuszowskiego.

Jan Heweliusz wywodził się z zamożnej rodziny gdańskich browarników, której właściwe nazwisko brzmiało Hewelke. Urodził się 28 stycznia 1611 roku. Zasadnicze wykształcenie zdobył w Gimnazjum Akademickim, które wśród rozlicznych szkół niższego szczebla w ówczesnym Gdańsku wyróżniało się wysokim poziomem. Tam też pod wpływem nauczyciela matematyki i astronomii rozbudziło się u młodego Heweliusza żywe zainteresowanie astronomią. W 1630 r. wyjechał na zagraniczne studia kierując się najpierw do Holandii. Po przybyciu do Holandii rozpoczął w Lejdzie — zgodnie z życzeniem ojca, który miał na oku cele głównie praktyczne związane z przyszłą działalnością zawodową i obywatelską — studia prawnicze.

Studia prawnicze nie stępiły u Heweliusza zainteresowania astronomią. W Lejdzie nie miał jednak możliwości rozwijania swej wiedzy astronomicznej, dlatego udaje się kolejno do Anglii i Francji, gdzie zawarł wiele interesujących znajomości w kręgach przedstawicieli nauk ścisłych. Choroba ojca zmusiła go jednak do szybkiego powrotu do Gdańska.

W 1635 r. zawarł związek małżeński z Katarzyną Rebeschke, córką bogatego browarnika. W 1636 r. Heweliusz wstąpił do cechu browarników, zaś w 1643 r. został starszym cechu. Swą obywatelską działalność rozpoczął skromnie jako członek rady parafii św. Katarzyny, ale już w 1641 r. został ławnikiem na Starym Mieście. W 1651 r. wszedł w skład Rady Miejskiej w charakterze radnego ze Starego Miasta.

Na początku działalności astronomicznej sprawą zasadniczą stało się dla Heweliusza stworzenie sobie warsztatu pracy naukowej. Swe pierwsze obserwatorium ulokował na

poddaszu tylnej części własnego domu przy ulicy Korzennej. Wyposażywszy je w duże okna pozwalające obserwować w różnych kierunkach umieścił tam podstawowe instrumenty, jak kwadranty, sekstanse, oktant oraz pierwsze jeszcze niezbyt duże lunety.

W tej dostrzegalni Heweliusz podjął regularne obserwacje. Jego pierwszym wielkim tematem była kartografia powierzchni Księżyca. Wyniki tych obserwacji ujął w wydanej w 1647 r. „Selenographii", którą poprzedził przedmową zawierającą pochwałę rządów Władysława IV. Drugim gestem wobec króla było nadanie grupce kilku małych gwiazdek nazwy „Stellae Vladislavianae" (Gwiazdy Władysławowskie). Tym sposobem Heweliusz szukał mecenatu na dworze królewskim w Warszawie, a o tym, że mu się to udawało, świadczy fakt, że często był nazywany „ulubieńcem królów i książąt".

Wkrótce stara dostrzegalnia, bardzo zresztą niedoskonała, stała się za ciasna. Heweliusz wybudował więc na dachach swoich trzech domów rozległy taras, na którym zaczął umieszczać nowe instrumenty.

Instrumentarium Heweliusza zajmuje szczególną pozycję w dziejach astronomii, ich twórca działał bowiem w epoce pod tym względem przełomowej. Zbliżała się ku końcowi era starych, wywodzących się ze średniowiecza, a właściwie nawet ze starożytności instrumentów, otwierała się epoka nowych przyrządów astronomicznych.

Spoglądając na instrumentarium Heweliusza zauważamy od razu, że dzieli się ono na dwie niezależne od siebie części. Pierwszą z nich stanowiły przyrządy do obserwacji pozycyjnych — kwadranty, sekstanse i oktanty, drugą — lunety.

Instrumenty pozycyjne Heweliusza oparte były na starych jeszcze zasadach. Heweliusz korzystając w dużej mierze z doświadczeń Brahego wybrał najkorzystniejsze typy i w znacznym stopniu je udoskonalił, stosując w nich takie nowe urządzenia, jak śruby do drobnych ruchów, noniusze i mikrometry, choć cofnął się przed zastosowaniem lunet jako celownic. Dużo starań włożył w udoskonalenie konstrukcji instrumentów, poprawiając w pierwszym rzędzie ich zrównoważenie, ale nie szukał nowych rozwiązań. Na nim więc kończy się właściwie epoka instrumentów dawnego typu. Ale właśnie dlatego jego instrumentarium jest tak interesujące, gdyż ukazuje nam szczytowe osiągnięcia w budowie tego rodzaju instrumentów.

W dziedzinie budowy lunet Heweliusz nie osiągnął postępu. Pod względem optycznym wzorował się na poprzednikach i współczesnych mu, wprowadzając jedynie innowacje do konstrukcji mechanicznych. Większość swych lunet budował sam, szlifując do nich własnoręcznie soczewki. Wykazał tu znaczną inwencję i wyczucie istoty problemu.

Sporą pomysłowość i niezależność od wzorów Brahego wykazał Heweliusz przy budowie swych obserwatorów, szczególnie w wypadku drugiego. Uderza przy tym niezwykle racjonalne wykorzystanie przez niego niezbyt dużej w gruncie rzeczy powierzchni tarasu, pomysłowość w rozmieszczeniu instrumentów i ciekawe rozwiązanie budowy pawilonów obserwacyjnych. W sumie stworzył on typ obserwatorium nie spotykany ani przedtem, ani potem. Należy też podkreślić, że przez pewien czas było to praktycznie jedyne poważne obserwatorium w Europie. Z istniejących bowiem w czasach Heweliusza obserwatorów starsze było tylko obserwatorium uniwersyteckie w Lejdzie (założone w 1633 r.), które było małe i nie mogło się równać z heweliuszowskim. Dopiero obserwatoria w Paryżu (założone w 1672 r.) i w Greenwich (założone w 1675 r.) przewyższyły obserwatorium Heweliusza.

Jest rzeczą zrozumiałą, że wyposażenie i utrzymanie tak wielkiego obserwatorium wymagało znacznych nakładów finansowych. Heweliusz był wprawdzie człowiekiem zamożnym, lecz niewątpliwie było to dla niego znacznym ciężarem. Nic więc dziwnego, że rozglądał się za odpowiednim mecenatem. Stąd zrozumiałe są jego kontakty z dworem królewskim w Warszawie, w których nieoce-

nionym pośrednikiem był bardzo mu życzliwy Des Noyers — sekretarz królowej Ludwiki Marii Gonzagi.

Kontakty te nie przyniosły znaczniejszych korzyści materialnych. Niemniej Heweliusz pozyskał życzliwość królewską. W 1660 r. podczas dłuższego pobytu w Gdańsku Jana Kazimierza i Ludwiki Marii związanego z pokojowymi pertraktacjami ze Szwedami Heweliusz otrzymał od króla jakąś posiadłość ziemską oraz szlachectwo. To ostatnie wymagało jednak zatwierdzenia przez sejm, co wszakże z niewiadomych powodów nie nastąpiło. Na początku 1662 r. Heweliusz uzyskał natomiast od Jana Kazimierza przywilej na własną drukarnię. W miesiąc później cesarz Leopold I wydał Heweliuszowi przywilej zapewniający mu wyłączność druku i sprzedaży swych dzieł na terytorium cesarstwa.

W 1660 r. Heweliuszowi zmarła żona. Po roku żałoby poślubił młodziutką Elżbietę Koopmann. Wkrótce stała się ona cennym pomocnikiem przy obserwacjach, co Heweliusz zarówno odnotował w swych pracach, jak również uwiecznił na rysunkach niektórych własnych instrumentów.

W czasie panowania Michała Korybuta Wiśniowieckiego kontakty Heweliusza z dworem zamarły. Przyczyną było dojście do wpływów stronnictwa prohabsburskiego połączone z odsunięciem stronnictwa profrancuskiego, do którego zbliżony był Heweliusz.

Poprzednia sytuacja powróciła po wstąpieniu na tron Jana III Sobieskiego. Zresztą bliskie stosunki nawiązał on z Heweliuszem jeszcze jako hetman wielki koronny. Do końca swego życia astronom cieszył się życzliwym mecenatem tego króla, który wspierał go także finansowo.

Wróćmy teraz do prac naukowych Heweliusza. Na wstępie wypada podkreślić szeroki zakres prowadzonych przez niego obserwacji. Stosunkowo wcześnie rozpoczął on prace obserwacyjne mające na celu wyznaczenie pozycji gwiazd, a prowadzone potem przez wiele lat. Ważnymi obiektami obserwacyjnymi stały się również komety i im poświęcił sporo uwagi. Obserwował też plamy słoneczne, planety, zaćmienia i różne okazjonalne zjawiska. Sięgał też i poza problematykę astronomiczną zajmując się pomiarami magnetycznymi.

Spośród wielu prac należy wymienić następną po „Selenographii" wielką pozycję wydaną w 1675 r. „Machinae coelestis pars prior" (Część pierwsza machiny niebieskiej). Zawierała ona szczegółowy opis instrumentarium Heweliusza uzupełniony licznymi i doskonałymi rysunkami. Stanowi ona dziś nieoceniony wręcz materiał pozwalający nie tylko uzyskać dokładny obraz nie istniejącego już instrumentarium Heweliusza, ale też zorientować się w sposobach obserwacji.

We wrześniu 1679 r., w czasie gdy Heweliusz przebywał w swej wiejskiej posiadłości, wybuchł pożar, który doszczętnie strawił jego domy wraz z obserwatorium, biblioteką, pracowniami i całym majątkiem. Tylko nieliczne rzeczy udało się ocalić.

Heweliusz niezwłocznie przystąpił do usuwania skutków pożaru. Z finansową pomocą Jana III, a także i Ludwika XIV odbudował swe domy i urządził obserwatorium, choć już znacznie skromniejsze. W 1682 r. przystąpił do regularnych obserwacji.

Odsiecz wiedeńska dała Heweliuszowi okazję do nazwania na cześć zwycięskiego króla gwiazdozbioru Tarczy Sobieskiego. Rysunek tego nowego gwiazdozbioru astronom przesłał w 1684 r. Janowi III i w tym samym roku ogłosił go w wydawanych w Lipsku Acta Aruditorum (Dzieła uczonych).

Rok 1686 Heweliusz poświęcił na kończenie dwóch ściśle ze sobą związanych prac, jakimi były katalog gwiazd i atlas nieba. Jednakże pogorszenie się stanu zdrowia, a na koniec śmierć w dniu 28 stycznia 1687 r. nie pozwoliła mu doprowadzić dzieła do końca. Druk obydwu ukończyła — korzystając z pomocy finansowej Jana III — wdowa po astronomie, wydając w 1690 r. „Prodromus Astronomiae" (Wysłannik Astronomii) i „Firmamentum Sobiescianum" (Firmament Sobieskiego).

„Prodromus Astronomiae" zawiera opis i gruntowną dyskusję stosowanej przez Heweliusza metody wykonywania i opracowywania pozycyjnych obserwacji astronomicznych. Stanowiło to wstęp do zamieszczonego w drugiej części katalogu gwiazd.

Wspomniany katalog stanowił podstawę do opracowania „Firmamentum Sobiescianum", przy czym gwiazdozbiory nieba południowego zostały naniesione na mapy na podstawie katalogu gwiazd zestawionego przez Halleya w oparciu o obserwacje wykonane przez niego na wyspie św. Heleny. Atlas ten był poświęcony Janowi III, co podkreślał nie tylko tytuł, ale też i zawarte wewnątrz dedykacje dla króla i królewicza Jakuba. Przedstawiona szczególnie ozdobnie mapa zawierająca Tarczę Sobieskiego zaopatrzona była w uroczystą dedykację poświęconą zwycięskiemu królowi. Tarcza Sobieskiego nie była zresztą jedynym gwiazdozbiorem nazwanym przez Heweliusza. Należały do nich jeszcze Psy Gończe, Jaszczurka, Lew Mały, Ryś, Sekstana Uranii, Strzała, Trójkąt Mały, Antinous, Cerber i Góra Moenalis. Znaczna część tych gwiazdozbiorów zachowała się do dziś, odpadły tylko cztery ostatnie. Jednakże w wyniku uproszczeń nazw gwiazdozbiorów Tarczę Sobieskiego skrócono teraz do formy Tarcza, zaś Sekstans Uranii — do brzmienia Sekstans.

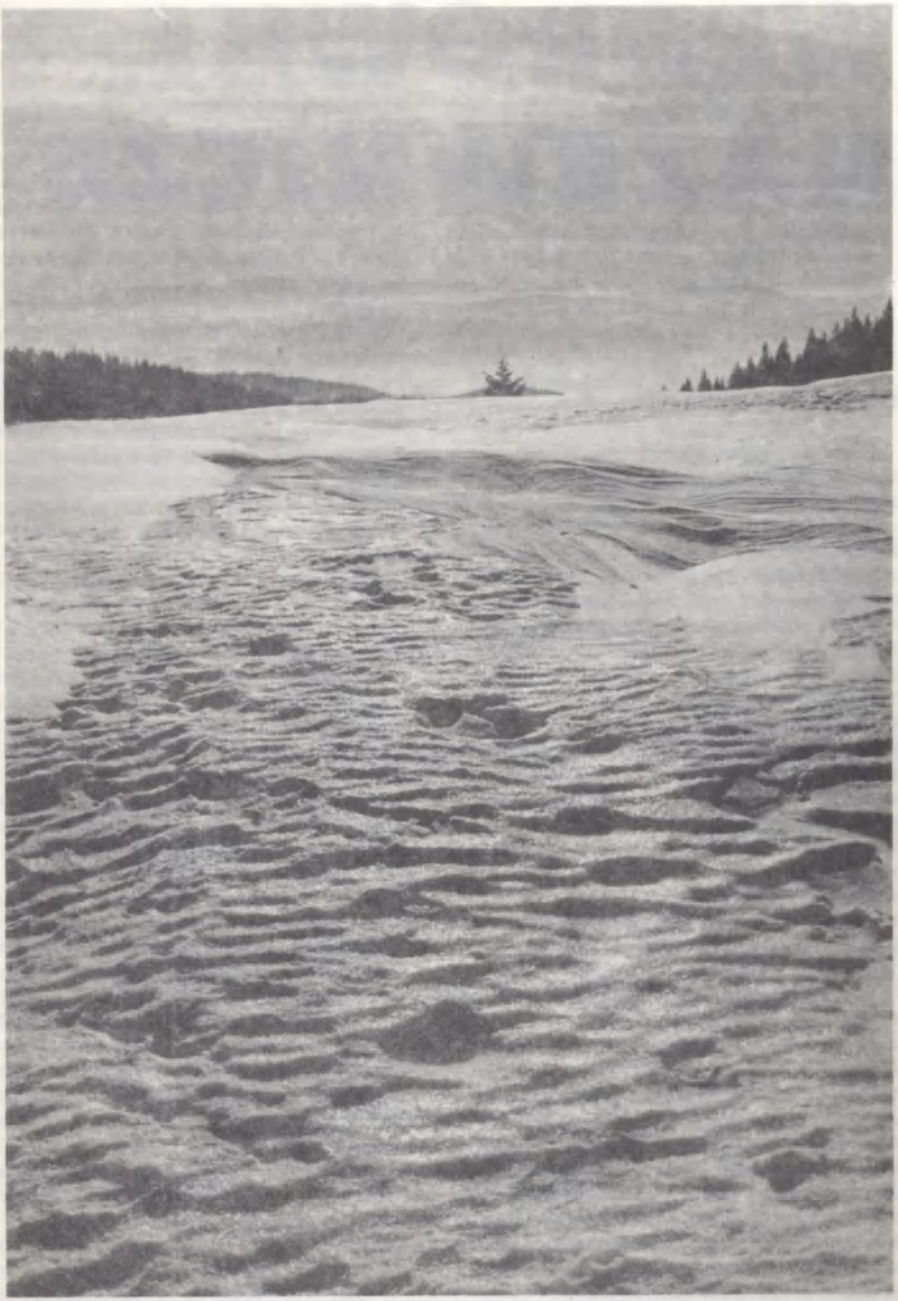
Te dwa ważne dzieła stanowiły zakończenie naukowej działalności Heweliusza. Ostatecznie jednak najbardziej wartościową okazała się „Selenographia". Niemniej ogrom całego dorobku naukowego Heweliusza budzi prawdziwy szacunek.

Należy również spojrzeć na Heweliusza jako na uczonego-artystę. U podstaw wszelkiego poznania naukowego leży zdziwienie, czasem zachwyt. Ale umiejętność wyrażenia go w kategoriach zarówno naukowych, jak i artystycznych nie jest zbyt częsta u badaczy. Wyjątkowość jego indywidualności polega na tym, że potrafił on nie tylko odbierać sam wrażenia estetyczne związane z poznaniem Wszechświata, lecz również, jak nikt ze współczesnych mu astronomów, przekazywać je innym poprzez własnoręczne zanotowania obserwacyjne, poprzez niezwykłe i bogate ilustracje naukowe swoich dzieł. Twórczość Heweliusza można charakteryzować pojęciami „konieczność" i „ozdobność" w konstrukcji instrumentów oraz „użyteczność" i „przyjemność" w pracach obserwacyjnych. Dlatego też wartości humanistyczne dzieła Heweliusza nieraz skuteczniej niż naukowe oparły się próbie czasu.

Na zakończenie warto wspomnieć, że jeszcze przed rokiem nie było znane miejsce wiecznego spoczynku Jana Heweliusza. Dopiero w 1983 r., w czasie rozpoczynających się przygotowań do obchodów rocznicowych, zapadła decyzja o odnalezieniu grobu tego sławnego gdańszczanina. Sprawa ta jednak nie była łatwa. O położeniu grobu nie było nic wiadomo poza tym, iż niegdyś pochowano astronoma w prezbiterium kościoła św. Katarzyny, które jeszcze zalegały góry gruzów po zniszczeniu kościoła w 1945 roku.

W lipcu 1986 r., po usunięciu gruzów i częściowym usunięciu posadzki z XIX wieku, natrafiono na płytę z czarnego marmuru z imieniem i nazwiskiem astronoma. Po usunięciu tej trzytonowej płyty znaleziono szczątki pochowanych tu: Jana Heweliusza, jego drugiej żony Elżbiety, ich córki Renaty i rocznej wnuczki, która urodziła się w sześć lat po śmierci swego dziadka. Natychmiast zrekonstruowano epitafium z napisem „Człowiekowi z całą czcią, na jaką zasłużył", klepsydrę z grobu Heweliusza oraz scalono płytę z czarnego marmuru pokrywającą grób Heweliusza i jego rodziny.

ROMAN STRZĄDAŁA



fot. OTTO SZLAUER

WĘDRÓWKI NAZEWNICZE

LIGOTA I PODOBORA (6)

Pozostała nam jeszcze do zwiedzenia część Podobory znajdująca się pomiędzy torami kolejowymi a rzeką Olzą.

Najbardziej na północ wysunięta odnoga Podobory jest częścią pasa dawnych nadolziańskich łęgów. W Łąkach pola te noszą ludową nazwę *W Łyngu*, natomiast w Podoborze były nazywane dawniej ***Na Pańskim.*** Nazwa *Na Pańskim* nie jest już w czasie obecnym aktualna m. in. dlatego, że części tutejszych dawnych dworskich pól nabyli drobni właściciele i zbudowali sobie na nich domki rodzinne. Ma tu również swój dom były przewodniczący Rady Narodowej w Kocobędzu Adolf Chlebus. W pobliżu płynąca rzeka Olza skręca tu swój bieg nieco ku wschodowi, ale wkrótce znajduje swój właściwy kierunek północno-zachodni. Zalewane niekiedy wezbranymi wodami zakole koryta rzeki porosło wodolubnymi i niewybrednymi wierzbami. Zagajnik ten nazywany jest ***Wiyrzbina.***

W rzadko której miejscowości znajdziemy takie zagęszczenie wykopów, nasypów i wałów, jak w północno-wschodniej części Podobory. Jeśli nie weźmiemy pod uwagę wałów i wykopów przedhistorycznych na *Cieszynisku*, w Podoborze znajdują się obecnie trzy potężne nasypy kolejowe, wykop kolejowy, nasyp drogowy i wał przeciwpowodziowy. Zdaje się, że na tym nie koniec. W związku z budową kopalni i olbrzymiej płuczki w Darkowie planuje się budowę dużego dworca towarowego (stacji rozrządowej) w Kocobędzu-Podoborze. Do istniejących obecnie 4 torów przybędzie tu jeszcze dalszych 8. (Pisał o tym obszernie Kazimierz Santarius w „Głosie Ludu" z 21. 2. 1985 r.) Po zrealizowaniu tych zamierzeń dzisiejszy przystanek kolejowy *Chotěbuz* (dawniej *Podobora*) stanie się jednym z najważniejszych dworców towarowych CSRS.

Na południe od przystanku kolejowego przechodzi wschodni odcinek *Cesty na Kocobyndz.* Prowadziła ona dawniej przez drewniany most na Olzie i łączyła Kocobędz czy Podoborę z Marklowicami. *W roku siedymnostym zastawiało w Podoborze mało cugów, tak my za młodu chodzili tu stela, z Podobory, ku cugu do Marklowic a jeździli my do Cieszyna. Za republiki, jak granice zrobili na Olzie, już my jeździli z Podobory do Czeskiego Cieszyna. Aj młynorz Santarius jeździł za Austryje z mónkóm Kocobyndzkóm Cestóm przez most na Cysarskóm Ceste w Marklowicach. Tu po czeskij strónie nie było wtedy cesty ku Ligocie, jyny tako miedza. Dziepro w sztyradwacatym roku zrobili kole nas ceste do Czeskigo Cieszyna; potym też most przez Olze zlikwidowali.*

NAZWISKA

Wyszukanie nazwisk dawnych mieszkańców Kocobędza, Ligoty i Podobory nie jest sprawą łatwą. Urbarze cieszyńskie nazwisk tych nie podają, ponieważ wymienione wsie weszły w skład dóbr Komory Cieszyńskiej dopiero w roku 1802. Trzeba zatem szukać innych źródeł. W kościele ewangelickim w Cieszynie *Na Wyszni Brónie*, założonym w roku 1709, znajdują się księgi metry-

kalne od roku 1709, w których zapisywano m. in. również nazwiska zborowników z zachodniej części Śląska Cieszyńskiego, ponieważ kościół ten był wtedy jedynym kościołem ewangelickim w Księstwie Cieszyńskim. Przypatrzmy się zatem nazwiskom zapisanym w latach 1709—1719 w księdze ślubów (*Matricae Copulatorum*). Kocobędz: **Boszczyk** siedlak, **Broncel** chałupnik, **Czakoj** siedlak, **Dubiel, Jurczyk** siedlak, Jan **Kisza** fojt, **Lokaj, Matysik** zagrodnik, **Poncza** siedlak, **Wala** siedlak, **Witosz** zagrodnik, **Wocławik** siedlak. Ligota *pod Koczobendzem:* **Czakoj, Folwarczny, Kisza** zagrodnik, **Matuszek** chałupnik, **Matysik** zagrodnik, **Pawlica** siedlak, **Szpandrzyk, Wania** zagrodnik, **Witosz.** Podobora: **Charwat** dwornik (staropolskie *dwornik* 'dozorca, rządca, włodarz dworski'). Wykaz tych nazwisk jest niepełny. W innych księgach metrykalnych znalazłyby się na pewno jeszcze dalsze nazwiska.

Z napisów nagrobnych, znajdujących się na miejscowych cmentarzach ewangelickich i katolickim oraz na cmentarzu katolickim w Cierlicku-Kościelcu dowiadujemy się, że mniej więcej w połowie wieku XIX występowały w omawianych miejscowościach jeszcze dalsze nazwiska (oprócz niektórych już wymienianych na początku wieku XVIII). Kocobędz: **Polok** rolnik, **Smelik** chałupnik, **Rzyman** gospodzki, **Zielina** rolnik. Ligota: **Dziadek, Kabot, Klimsza, Ostruszka, Pawlas, Pinkas.** Podobora: **Bardoń** młynarz, **Liszka** gospodzki, **Mamica** rolnik, **Santarius.**

Na początku XX wieku dochodzą do nich jeszcze inne. Kocobędz: p. „Zwrot" 6/87. Ligota: **Biedrawa, Błahut, Branny, Burlański, Cienciała, Chałupski, Chrobok, Czader, Czopnik, Fajkosz, Filip, Gembala, Kłoda, Kuźnik, Kocur, Mach, Macura, Mołdrzyk, Morcinek, Morys, Mrózek, Nowak, Nowok, Pieter, Putniorz, Sikora, Sołowski, Starzyczny, Stęchły, Suchanek, Szonowski, Szromek, Śniegoń, Tłołka, Tomanek, Tomiczek, Unucka, Zmełty, Zwierzyna.** Podobora: **Brudny, Chlebus, Drobisz, Franek, Kula, Lipowczan, Papaj, Pawlas, Wałoszek** i in.

Stwierdzić zatem musimy, że nazwiska występujące dawniej w omawianych miejscowościach są prawie bez wyjątku typowymi cieszyńskimi nazwiskami chłopskimi, nazwiskami autochtonicznymi, świadczącymi, że ich nosiciele nie są przybyszami, ale należą do rdzennej ludności Ziemi Cieszyńskiej.

Kiedy już mowa o pomnikach, należałoby zwrócić uwagę miarodajnym czynnikom w Ligocie lub Czeskim Cieszynie na fakt, że na pomniku ofiar faszyzmu, stojącym obok cmentarza katolickiego w Ligocie, brakuje nazwiska Władysława Buriańskiego, byłego ucznia polskiej szkoły ludowej w Kocobędzu, który zginął w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu. Władysław Buriański nie jest też zapisany w kartotece Związku Bojowników Przeciwfaszystowskich w Czeskim Cieszynie.

Przewędrowaliśmy trzy stare podcieszyńskie miejscowości wchodzące dziś w skład Kocobędza, dzielnicy miasta Czeskiego Cieszyna. Zanim jednak przymierzymy się do dalszej naszej wędrówki nazewniczej po sąsiednich Mostach, wypada ustosunkować się do uwag dwóch naszych czytelników.

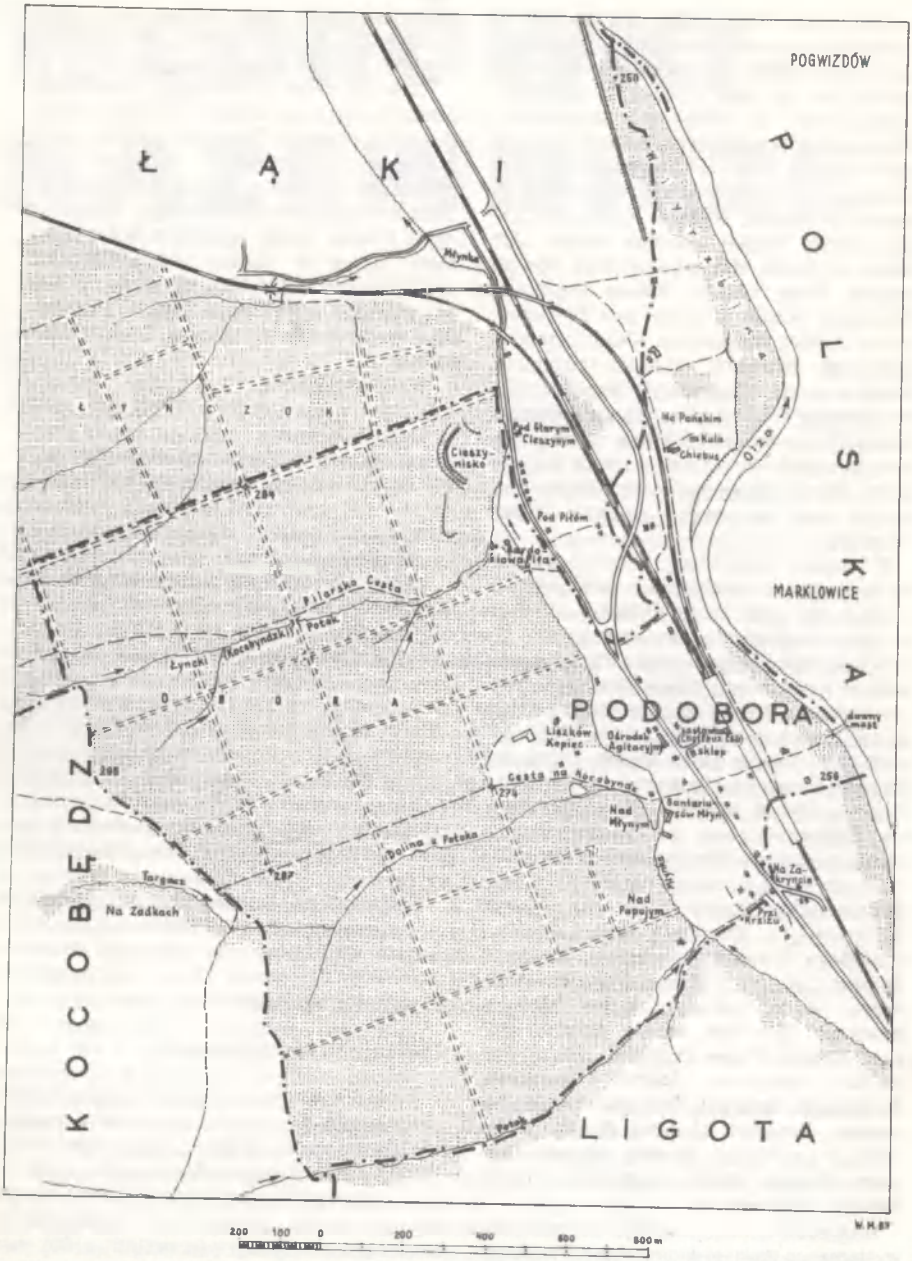
W numerze 5/87 przytoczyliśmy na str. 60 wypowiedź ustną informatorki o obozie harcerskim w Kocobędzu. Na podstawie otrzymanego obszernego listu w tej sprawie podajemy do wiadomości, że chodziło o kurs dla drużynowych, który trwał od 10 VII do 24 VII 1934 r. Komendantem krusu był Alfred Kocur, zaś Jan Pribula był na tym kursie instruktorem. Dziękujemy serdecznie sędziwemu i bardzo zacnemu czytelnikowi za szczegółowe informacje oraz za wyrażenie uznania pod adresem naszych Wędrówek Nazewniczych.

Drugą uwagę wypowiedział dr D. Kadłubiec, zarzucając autorowi Wędrówek Nazewniczych, że nie wyjaśnił znaczenia imienia osobowego Chociebąd. Uwaga jest słuszna, sprawa wymaga wyjaśnienia, a więc

CHOCIEBĄD JESZCZE RAZ!

W naszych Wędrówkach Nazewniczych wskazaliśmy, że nazwa miejscowa *Kocobędz* została utworzona od imienia rodowego *Chociebąd*, zawierającego pełne imię dwuczłonowe w temacie. Przypomnieliśmy też, że nazwy tego typu należą do najstarszej warstwy polskich nazw miejscowych (p. nr 2/87, s. 60).

Przede wszystkim musimy sobie powiedzieć, że imię *Chociebąd* należy do formacji



Mapka topograficzna Podobory

skostniałej, odziedziczonej z okresów poprzednich, ale zostało utworzone zgodnie z prasłowiańskim układem złożonych imion osobowych. W imieniu tym występują dwa składniki wyrazowe: *chocie-bąd*.

Pierwszy człon ***chocie-*** jest tematem czasownika (w bezokoliczniku), który w języku staro-cerkiewno-słowiańskim brzmiał *chotěti*, w staropolszczyźnie *chocieć* ‚chcieć'. W czternastowiecznym odpisie z XIII-wiecznego brulionu lub oryginału tzw. Kazań świętokrzyskich jest zdanie: *Przysiągł jeśm, iż wam chociał jeśm podać ziemi wrogów waszych*. Drugi przykład znajdujemy w najdawniejszym Dziesięciorgu rymowanym z XIV wieku: *chceszli mą łaskę mieć*. W dzisiejszym języku polskim znajdujemy to starodawne *o* już tylko w przysłówku *choć, chociaż*. Natomiast w języku czeskim ocalało już tylko prasłowiańskie *chot'* ‚kochanek', dziś oznaczające ‚oblubieńców i małżonków', ale uważane już za wychodzące z użycia przestarzałe wyrażenie książkowe.

Mamy pięć staropolskich złożonych imion osobowych, których pierwszy człon jest tematem infinitiwu *chocie-*: (gwiazdka oznacza imiona rekonstruowane z nazw miejscowych; liczba oznacza rok najstarszego poświadczenia imienia w zabytkach historyczno-językowych) **Chociebąd* 1229, *Chociebor* 1301, *Chociemir* 1204, **Chociemysł* 1310, *Chociesław* 1415.

Drugi człon ***-bąd*** jest tematem pochodzącym (według W. Taszyckiego i S. Urbańczyka) od czasownika staro-cerkiewno-słowiańskiego *bǫdǫ, byti* ‚być' (porównaj polskie *bądź*). Mamy następujące staropolskie imiona złożone na *-bąd*: **Chociebąd*, **Dobrobąd*, **Małobąd*, **Miłobąd*, *Niesiebąd*, *Przebąd*, **Radobąd*, **Sirobąd*, *Wszebąd*, *Zbąd* i *Zdziebąd*.

Niedokładna pisownia średniowieczna nie pozwala niekiedy na jednoznaczne odczytanie form drugiego członu. Trudność sprawia brak dokładności w oznaczaniu samogłosek nosowych, a przede wszystkim fakt, iż mogły być one oznaczane także przez *u* (por. np. pisownię imienia *Bogusąd*: *Boguzudus* w XIII wieku, ale później *Bogusand* 1388, *Boguszanth* 1424, a także zapis nazwy miejscowej *Choczembudz* 1447). Wynika z tego, że pisownia *-bud* może oznaczać również *-bąd*. (Maria Malec: Budowa morfologiczna staropolskich złożonych imion osobowych, Wydawnictwo Polskiej Akademii Nauk, 1971, s. 50 i 65.) Polski filolog A. Brückner widzi (odmiennie od W. Taszyckiego i S. Urbańczyka) w formie *—bąd* oboczność do *-bud*, a więc uznaje współistnienie wymieniających się elementów fonetycznych i morfologicznych w tym drugim członie imienia i przypuszcza, że człon ten pochodzi od staro-cerkiewno-słowiańskiego *buditi* ‚czuwać'. Również J. Svoboda łączy drugi człon *-bud* w licznych imionach czeskich z czasownikiem *buditi* ‚pobudzić', excitare'.

Co zatem oznaczało imię **Chociebąd* przed ośmiu wiekami? Można powiedzieć, że imię to wyrażało — być może — życzenie lub przekonanie rodziców, że ich syn, nazwany tym imieniem będzie zawsze chętnym, dążącym do zamierzonego celu, kochanym człowiekiem, może też osobą czujną i energiczną.

WŁADYSŁAW MILERSKI

TRYBUNA CZYTELNIKÓW

W ostatniej w tym roku „Trybunie" zamieszczamy korespondencję Władysława Małysza z Cierlicka nt. występów wędryńskiego zespołu teatralnego na Opolszczyźnie oraz Erwina Jonszty z Hawierzowa-Szumbarku, który dzieli się z nami gorzką refleksją dotyczącą jakże częstego zapominania o naszych wybitnych rodakach.

WĘDRYŃSKI „ONDRASZEK" PODBIŁ SERCA OPOLAN

W dniach 24—27 września br. gościł na Ziemi Opolskiej ze sztuką Karola Bergera „Ondraszek, zbójnik śląski" amatorski zespół teatralny MK PZKO w Wędryni. Towarzyszyłem zespołowi z ramienia Sekcji Kultury Teatralnej przy ZG PZKO i chciałbym podzielić się z Czytelnikami wrażeniami z tego niezwykle pożytecznego i pracowitego maratonu teatralnego wędrynian po Opolszczyźnie.

Czwartek, 24 września. Do Błotnicy, miejsca zakwaterowania i, jak się wkrótce okazuje, naszej stałej bazy wypadowej na czas pobytu w Opolskiem, docieramy późnym popołudniem. Przychodzi nam zamieszkać na terenie położonego w rozległym parku pałacu. Dawna siedziba książąt i baronów jest obecnie ośrodkiem Zarządu Głównego Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej i mieści się w niej Uniwersytet Ludowy. Na frontonie, tuż obok wejścia, widnieje tablica upamiętniająca powstańczy zryw ludu śląskiego. Czytamy ze wzruszeniem ... „Kiedy pod Górą św. Anny w 1921 roku
ważyły się losy i lała się krew
serdeczna jego ludzi,
w tym budynku mieścił się sztab powstańczy".

Serdecznie witani przez kierownictwo obiektu z panią Aliną Stępień na czele podejmowani jesteśmy uroczystą kolacją. Następnie udajemy się na odpoczynek, krótki zresztą, bo już o ósmej wieczorem siedzimy w parku przy wspólnym ognisku i delektujemy się opiekanymi kiełbaskami. Do późnych godzin wieczornych rozbrzmiewają w parku raz po raz pieśni ludowe, nie brakuje oczywiście góralskich przyśpiewek.

Piątek, 25 września. W samo południe jesteśmy oczekiwani w Teatrze im. Jana Kochanowskiego przez jego dyrektora Macieja Korwina i działaczy kultury i oświaty ze wszystkich środowisk Opolszczyzny. Przewodniczący Sekcji Kultury Teatralnej Jan Pyszko omawia z gospodarzami sprawy dalszej naszej współpracy z Opolszczyzną.

Po obiedzie zespół przygotowuje się do pierwszego przedstawienia. Rodzą się pierwsze wątpliwości. Mała wioszczyna, kilka zaledwie zabudowań wzdłuż drogi, nie zwiastuje licznej widowni. Reżyser Jerzy Cienciała zdaje się być nieco nerwowy, jego stan zaczyna się powoli udzielać również zespołowi. Po odsłonięciu kurtyny naliczyłem na maleńkiej pałacowej widowni 116 osób. Jest godz. 18.30. Choć na scenie ciasno, zespół wali ciupagami aż iskry lecą. Lody pękają, kurczy się dystans między sceną a widownią ... Sukces!

Sobota, 26 września. Gospodarze organizują dla nas wycieczkę do Muzeum Czynu Powstańców Śląskich i do pomnika Powstańców Śląskich na Górze św. Anny. Oprowadzani przez dyrektora Ośrodka Kultury w Leśnicy, pana Wróbla, poznajemy szczegółowo historię tej ziemi i wydarzenia sprzed 60 z górą lat. Po obiedzie wracamy do Leśnicy. Zauważamy afisze zapowiadające nasz występ: „Miejsko-Gminny Ośrodek Kultury zaprasza na występ Polonijnego Zespołu Teatralnego (CSRS) — Spektakl „Rozbójnik śląski Ondraszek" — Sala kina „Rodło" o godz. 16.00 — Wstęp wolny". Oj, uśmialiśmy się z tego „rozbójnika". Jesteśmy zaskoczeni dużą, nowoczesną sceną tudzież zapleczem scenicznym. Na widowni tłoczy się 350 osób. Nasi grają i śpiewają z zaciekłością zawodowców. Reakcja publiczności przechodzi najśmielsze nawet oczekiwania. Zespół zbiera owacje, kwiaty. Odnosi kolejny sukces sceniczny. Żal nam się robi tej najmłodszej widowni. Przy naszym odjeździe maluchy ocierają łzy i domagają się, żeby pokazać im Ondraszka żywego ...

Niedziela, 27 września. Ruszamy do położonych niedaleko od Błotnicy Strzelców Opolskich, gdzie czeka nas o godz. 10.00 występ w Miejsko-Gminnym Ośrodku Kultury. 250 widzów, ładna scena, dużo światła — zupełnie jak w prawdziwym teatrze. Finał przedstawienia niczym nie różni się od poprzednich. Brawa, wiązanki kwiatów, serdeczne podziękowania. Od kierownictwa OWKZ w Strzelcach Opolskich otrzymujemy zaproszenie na „Dożynki wiejskie" do jednej z podmiejskich gmin. Przez cztery dni oglądali się Opolanie za naszym rozśpiewanym autobusem.

Co więcej dodać? Chyba to, że chciałoby się mieć więcej podobnych zespołów, które wyjeżdżałyby nie tylko na Ziemię Opolską, lecz jeszcze dalej, w głąb Polski, i podbijały serca, jak to uczynił wędryński zespół teatralny PZKO wobec Opolan i mnie samego.

WŁADYSŁAW MAŁYSZ

NIE BĄDŹMY NIEWDZIĘCZNI

W czerwcowym numerze „Zwrotu" Władysław Milerski na zakończenie artykułu o Kocobędzu pisze: „wstyd mię ogarnia, gdy widzę na co dzień, jak niefrasobliwie przyglądamy się wytrwałemu zamazywaniu i puszczaniu w niepamięć naszej chlubnej przeszłości narodowej, chłopskiej, robotniczej ..."

Jest to prawdziwe a zarazem smutne stwierdzenie! W pogoni za wygodami materialnymi zapominamy o tych, którzy na przestrzeni ostatniego stulecia tak dużo zrobili dla nas! Z pełną odpowiedzialnością mogę napisać, że nie ma u nas na Śląsku miejscowości, gdzie nie znaleźlibyśmy w przeszłości dzielnych przemysłowców, którzy nie szczędzili grosza i pracy na sprawy polskie. Byli ofiarni rolnicy, stojący w czele walki o byt. Znajdziemy jakże ofiarnych działaczy polskich organizacji. Są dziesiątki innych, którzy jakże często swoje poświęcenie dla sprawy polskiej przypłacili życiem w kaźniach hitlerowskich. A my o nich milczymy. Nie dziwmy się wobec tego, że nasza młodzież tak często staje się obojętna na nasze sprawy.

Dnia 23 stycznia 1942 został publicznie stracony na zaimprowizowanej szubienicy w Dolnym Cierlicku działacz polski Franciszek Trela. Marnie by ktoś szukał choćby skromnej tablicy w Cierlicku o tym potwornym wydarzeniu. Podobnie coraz bardziej zatracamy pamięć o ofiarodawcy rozległych terenów na Park Sikory w Cz. Cieszynie. Początkiem lipca br. byłem na wycieczce w Słowacji. Zwiedziliśmy m. in. stare miasto Liptowski Mikulasz. Tam prawie na każdej starszej ulicy można natrafić na tablicę wmurowaną w dom, która donosi — tutaj żył i pracował ten i ten działacz słowacki. Czy nas już nie stać na zafundowanie takich tablic?

Ale nie tylko tablice wmurowywane do domów mogą przypominać potomnym naszych działaczy. Dalszym znakiem poza pomnikami mogą być nazwy ulic. Po drugiej wojnie światowej na naszym terenie w nowych osiedlach i miastach powstały setki nowych ulic. Ale na palcach można by policzyć te ulice, które noszą nazwę naszych działaczy.

ERWIN JONSZTA
Hawierzów-Szumbark

TO I OWO

„Polski Związek Kulturalno-Oświatowy" — pod takim tytułem w organie CSEMADOKU, bratnim tygoniku „Hét", ukazującym się w języku węgierskim w Bratysławie (nr 42/87) opublikowany został zajmujący dwie stronice reportaż Ferenca Keszeli, dotyczący 40-lecia PZKO. Cytujemy: W sekretariacie zaprzyjaźnionego związku kulturalno-oświatowego PZKO już nas oczekują i zaznajamiają z obiecującym programem trzydniowego pobytu. Chodzi przede wszystkim o zwiedzenie domów PZKO i festiwalu podobnego do naszego przeglądu folklorystycznego w Żeliezowcach (*chodzi tu o jabłonkowskie „Święto Gorolskie" — przypis red.*) Według słów Zoltana Sidó nie będziemy wierzyć własnym oczom ... Ale to niech stanowi niespodziankę dla czytelnika.

Rzeczywiście było to niecodzienne zaskoczenie: z 94 podstawowych organizacji PZKO 76 ma swój własny dom, co oznacza, że ... działa 76 takich — przeważnie małych, wiejskich — organizacji, gdzie przed kilku dziesiątkami lat nie było żadnego ośrodka kultury, a o ile były, to nie miały odpowiednich warunków do ożywienia życia społecznego, świadomej celu i regularnej działalności organizacji. Te osady i wioski zamieszkiwane są w przeważającej mierze przez Polaków — ludzi upartych, zdecydowanych na wielką rzecz, zdecydowanych na zrealizowanie przedsięwzięcia: „wybudujemy dla siebie dom" (...) *Artykuł ilustrowany jest kolorowymi zdjęciami. Na okładce tego numeru widzimy uśmiechnięte twarze „Góroli".*

„Wierni nadolziańskiej ziemi. XV Zjazd Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w CSRS" to tytuł notatki wysłanniczki „Dziennika Zachodniego" Teresy Semik w 248 nr. (24 października) tej katowickiej gazety. Autorka tak kończy swoją notatkę: Szkoda, że w Polsce tak mało o nich wiemy, o ich troskach i twórczych osiągnięciach, o dorobku całego 40-lecia Związku w przedszkolach i szkołach z polskim językiem nauczania, w poszczególnych kołach PZKO rozsianych po Zaolziu. Wspólne jest dla nich hasło ostatniego festiwalu PZKO: „Tu byliśmy. Tu będziemy. Wierni nadolziańskiej ziemi."

Już w następnym numerze „Dziennika Zachodniego" (249/87) pojawił się kolejny artykuł pn. „Polskie słowo na Zaolziu. XV Zjazd PZKO nakreślił program i wybrał nowe władze" pióra tej samej wysłanniczki „DZ". Cytujemy wypowiedź nowo wybranego przewodniczącego ZG PZKO inż. Romana Suchanka: Myślę, że podołam i sprostam oczekiwaniom. Mam przecież wokół siebie tylu wspaniałych ludzi. Niektórzy z nich przez 40 lat odbudowywali życie kulturalno-oświatowe na Śląsku Cieszyńskim. O nich przede wszystkim nie zapomnę.

„Głos Ziemi Cieszyńskiej" (nr 42/87 z 16—22. 10.) pisze pn. „Dni PZKO" o obchodach 40-lecia Związku po drugiej stronie Olzy, w Filii UŚ w Cieszynie, które odbyły się w dniach 21—24. 10.: Ukoronowaniem Dni PZKO będzie koncert (...) w auli akademickiej. Wezmą w nim udział: „Górole" (...) oraz „Collegium Canticorum" — młody ambitny zespół reprezentacyjny ZG PZKO.

Miesięcznik społeczno-kulturalny „Opole" (nr 10/87) w rubryce „Przegląd kulturalny" pod nagłówkiem „Plastyka" zamieszcza notatkę nt. ożywienia współpracy opolskich i SLA-owskich plastyków w ostatnim okresie.

„Chłopska droga", pismo KC PZPR (nr 37/87) publikuje artykuł Heleny Kozickiej dotyczący Teatru Cieszyńskiego. Tytuł: „Pod jednym dachem" sugeruje, iż mowa będzie o obu Scenach tej

placówki — Polskiej i Czeskiej. Obok zdjęcia ze spektaklu „Nowe szaty króla".

Ta sama gazeta w nr. 29 pn. „Język nie zna granic" drukuje artykuł tej samej autorki nt. Festiwalu Piosenki Polskiej w Karwinie. Tekst uzupełnia zdjęcie Renaty Worek-Drössler z koncertu na XIX FPP.

„Echo Chełmka" (nr 13/87) pt. „Order uśmiechu dla dziennikarki z Zaolzia" informuje o nadaniu tego odznaczenia przez Kapitułę „Orderu Uśmiechu" Janinie Kowalskiej, zastępcy redaktora naczelnego „Gazetki Pioniera".

Ten sam numer gazety w artykule „Poeci nie spadają z nieba" przynosi wywiad z Adrianem Horzykiem z Cz. Cieszyna, ubiegłorocznym ósmoklasistą, który został nagrodzony w konkursie ogłoszonym przez pismo.

Z życzliwie do nas usposobionego dwutygodnika zakładowego „Echo Chełmka" (nr 17/87) z satysfakcją cytujemy z artykułu pn. „Zwrot — miesięcznik": Podczas wizyty na czechosłowackim Śląsku Cieszyńskim zawarliśmy przyjacielską znajomość z Piotrem Przeczkiem, naczelnym miesięcznika „Zwrot". Pismo to wydawane jest naprawdę luksusowo i trudno będzie znaleźć jakiś jego odpowiednik w kraju, zwłaszcza wśród pism wydawanych przez organizacje społeczno-kulturalne. Ma ponad 80 stron druku, wielobarwne okładki, format „Magazynu Polskiego", znakomity papier oddający z maksymalną wiernością tak grafikę, jak i finezyjne fotografie artystyczne zdobiące poszczególne numery.

Pod nagłówkiem „Celem upowszechnienie dziedzictwa polskiej kultury" ukazała się w nawiązaniu do XV Zjazdu PZKO notatka katowickiej popołudniówki „Wieczór" (nr 208 z 26. 10.)

„Trybuna Robotnicza" (nr 250/87) zamieszcza pn. „XV Zjazd PZKO. Kultywowanie bogatych polskich tradycji" reportaż swojego stałego korespondenta w CSRS Jerzego Gołębiewskiego.

Również „Rudé právo" w poniedziałkowym wydaniu (nr 251 z 26. 10.) przynosi artykuł własnego wysłannika o PZKO-wskim szczycie pt. „Rozwijają postępowe tradycje".

Na 1. i 2. stronie „Nowej Swobody" (nr 251 z 26. 10.) przeczytaliśmy artykuł pn. „W mocnej jedności internacjonalistycznej". Obok zamieszczono fragmenty przemówienia tow. Václava Václavíka, I sekretarza KO KPCz w Ostrawie.



fot. DRAHOSLAV RAMÍK

KRONIKA

ZG PZKO

■ MK PZKO w Mistrzowicach wraz z Sekcją Młodzieży Związkowej ZG PZKO zorganizowały 4. 10. w Mistrzowicach XI mistrzostwa PZKO w biegu przełajowym o Memoriał Wandy Delong. W mistrzostwach udział wzięło tylko 19 zawodników, w tym aż osiem startujących z MK PZKO Łomna Dolna. W klasyfikacji indywidualnej — wśród chłopców wygrał St. Marszałek, wśród dziewczyn P. Krupa — oboje z MK PZKO Łomna Dolna, drużynowo wygrały dziewczyny i chłopcy z PZKO Łomna Dolna. W punktacji generalnej (o Memoriał Wandy Delong) po raz siódmy z rzędu wygrała drużyna PZKO z Łomnej Dolnej.

■ Sekcja Kultury Teatralnej przy ZG PZKO odbyła zebranie 17. 9. w siedzibie ZG. Oceniono tegoroczny internatowy Kurs Reżysera i Aktora. Mówiono o przygotowaniach Sekcji Kultury Teatralnej do XV Zjazdu PZKO, składzie SKT na nową kadencję oraz gościnnych występach zespołu teatralnego MK PZKO Wędrynia na tourneé po Ziemi Opolskiej 24—27. 9. 87.

■ Klub Medyków działający przy ZG PZKO odbył 2. 10. w Klubie PZKO w Cz. Cieszynie spotkanie, na którym dr Otokar Macura wygłosił pogadankę pt. „Moje wrażenia z V i VI Polonijnych Igrzysk Sportowych w Warszawie i Krakowie."

■ Macierz Ziemi Cieszyńskiej — Towarzystwo Miłośników Regionu w Cieszynie, Towarzystwo Miłośników Wisły w Wiśle, Opolskie Towarzystwo Kulturalno-Oświatowe w Opolu oraz Oddział PTTK w Wiśle ogłosiły konkursy na prace z zakresu plastyki z okazji nadania wodospadom na Białej Wisełce nazwy „Kaskada Rodła u Źródeł Wisły". W konkursie m. in. uczestniczyli nasi plastycy, członkowie SLA. Wyniki konkursu ogłoszono 19. 9. 1987 w Wiśle. Jury przyznała wyróżnienia pracom Bronisława Firli oraz Oskara Pawlasa.

■ 26 i 27. 9. odbył się w Złotym Potoku koło Częstochowy młodzieżowy turniej ringo pn. „Jurajskie ringo '87". Uczestniczyło około 200 chłopców i dziewcząt, w tym także szóstka juniorów z MK PZKO Cz. Cieszyn-Centrum. Młodzi PZKO-wcy, dwójka chłopców M. Putzlacher — M. Pindej zajęła czwarte miejsce, dwójka dziewcząt A. Štirba — J. Piszkiewicz 5. miejsce, a R. Pawera 6. miejsce. W starszych kategoriach zwyciężyli M. Wałach w klasie otwartej mężczyzn oraz dwójka M. Wałach — L. Widenka.

■ Bronisław Liberda, plastyk i członek SLA przy ZG PZKO wystawił swoje obrazy i grafiki od 25. 9. do 24. 10. w foyer Teatru Cieszyńskiego. Organizator wystawy, Miejski Ośrodek Kultury w Cz. Cieszynie zrealizował ją z okazji Abrahamowin artysty. W ekspozycji znalazły się 33 obrazy i 12 grafik.

■ Ostatnie posiedzenie Plenum ZG PZKO w bieżącej kadencji przed XV Zjazdem PZKO odbyło się 6. 10. w Klubie PZKO w Cz. Cieszynie. Obradom przewodniczył St. Kondziołka, prezes Związku. Przyjęto sprawozdanie z działalności ZG PZKO za I półrocze 87 i zaakceptowano sprawozdanie z realizacji budżetu ZG PZKO za I półrocze 87. Plenum omówiło i zaakceptowało materiały przygotowane na XV Zjazd PZKO: osnowę referatu sprawozdawczo-programowego, nowelizację Statutu PZKO, skład zaproszonych oficjalnych gości, projekt uchwały i głównych kierunków działalności związkowej do roku 1991 oraz projekty kadrowe nowych organów ZG PZKO.

■ 9. 10. w Domu Wczasowym „Maciejka" w Ustroniu odbyło się spotkanie współorganizatorów Festiwalu Piosenki Czeskiej i Słowackiej. Za ZG PZKO w spotkaniu uczestniczyli Henryk Sumera, przewodniczący pionu muzyki rozrywkowej przy Sekcji Śpiewaczo-Muzycznej ZG, oraz Maryla Hupka, instruktor SŚM.

■ W I i II dekadzie października 87 odbyły się we wszystkich Komitetach Miejskich i Obwodowych PZKO spotkania z delegatami i gośćmi XV Zjazdu

PZKO. Były one częścią przygotowań do kolejnego Zjazdu PZKO. Przyjęto na nich do wiadomości szczegółowe informacje o przygotowywanych materiałach zjazdowych i organizacji Zjazdu. Dyskutowano o kadrach do nowych organów naczelnych PZKO. Delegatom i gościom przekazano karty delegacyjne.

■ XI mistrzostwa PZKO w tenisie ziemnym przebiegły 3 i 4. 10. na kortach Spartaka Kovona w Karwinie. Do zawodów stanęło 16 tenisistów z 9 Kół PZKO. W grze pojedynczej zwyciężył po raz ósmy trzykrotny zwycięzca Polonijnych Igrzysk Sportowych Zbigniew Nowak z Koła PZKO Karwina-Nowe Miasto przed Peterkiem z MK PZKO Gnojnik. W grze podwójnej również po raz ósmy wygrali ojciec i syn J. i Z. Nowakowie z PZKO Karwina-Nowe Miasto, wyprzedzając Peterka i Chlebika z MK PZKO Gnojnik.

■ 10. 10. w sali Domu Kultury RZZ „Slezan" we Frydku-Mistku odbył się Okręgowy Przegląd Chórów Męskich i Żeńskich z okazji 70. rocznicy WSRP. Organizatorami przeglądu były: Okręgowy Ośrodek Kultury w Ostrawie, Powiatowy Ośrodek Kultury we Frydku-Mistku, komisja PRN we Frydku-Mistku oraz Obwodowa Komisja Unii Czeskich Zespołów Śpiewaczych. Wśród wielu zespołów śpiewaczych w przeglądzie uczestniczyły także: chór żeński „Kalina" pod batutą O. Winklera i chór męski „Hejnal-Echo" z dyrygentem Z. Niemczykiem z MK PZKO Karwina-Frysztat.

■ 25. 9. Grupa Literacka '63 działająca przy DK RZZ HT WSRP spotkała się przed Pomnikiem Tragedii w Żywocicach. Oddano hołd pamięci 36 pomordowanych, złożono kwiaty i zwiedzono Ekspozycję Walki Przeciw Faszyzmowi w żywocickim Muzeum. Członkowie GL '63 złożyli na ręce przedstawicielki Ekspozycji swoje prace tematycznie związane z Tragedią Żywocicką, które ofiarowali do zbiorów Muzeum Walk Rewolucyjnych i Wyzwolenia w Ostrawie.

■ IV indywidualne mistrzostwa PZKO w tenisie stołowym odbyły się 11. 10. w sali gier HD w Boguminie. Organizatorami byli MK PZKO Skrzeczoń oraz Sekcja Sportowa ZG. W grze pojedynczej mężczyzn startowało 19 zawodników z 9 kół PZKO: 1. miejsce zajął W. Niedoba PZKO Jabłonków, 2. miejsce Z. Nowak PZKO Karwina-Nowe Miasto, 3. miejsce M. Kożdoń PZKO Cz. Cieszyn-Park Sikory. W grze pojedynczej dziewcząt wygrała Ilona Gryń przed Sabiną Gryń i Ireną Pietrzyk (wszystkie PZKO Skrzeczoń). W grze podwójnej startowało 8 par. Zwyciężyła para Zb. Nowak — B. Chorzempa (PZKO Karwina-Nowe Miasto, Karwina-Granice), wyprzedzając parę R. Chorzempa — M. Kożdoń (PZKO Karwina-Granice — Cz. Cieszyn Park A. Sikory) oraz W. Niedoba — R. Pawłowski (PZKO Jabłonków). Dyplomy i nagrody rzeczowe ufundowały ZG PZKO i MK PZKO Skrzeczoń.

■ I mistrzostwa PZKO w pięcioboju lekkoatletycznym weteranów (od lat 35) przebiegły 10. 10. na stadionie HT WSRP w Trzyńcu. Startowało 10 zawodników z 8 kół PZKO. Zwyciężył Franciszek Drap z PZKO Ropica przed Janem Ferencem z PZKO Trzyniec VI Osiedle oraz Romanem Zagórą z PZKO Trzyniec I. Startowano w dyscyplinach: bieg na 100 m, skok w dal, rzuty kulą, dyskiem i oszczepem.

■ Sekcja Sportowa ZG PZKO zorganizowała 21. 10. w Klubie PZKO w Cz. Cieszynie spotkanie uczestników Polonijnych Igrzysk Sportowych 1987 w Krakowie. Omówiono tegoroczny PIS i udział w nim naszej ekipy sportowej. Zaprezentowano także wystawkę fotografii i wyświetlono przezrocza z tej imprezy. Omówiono również kalendarz imprez sportowych PZKO w 1988 roku.

■ Od 21 do 24. 10. w Filii Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie przebiegły „Dni Kultury PZKO". Dokonano otwarcia wystawy pn. „40 lat PZKO" oraz wystaw pt. „Plastycy ludowi" i „Fotograficy SLA". Przemówienie okolicznościowe wygłosił Bronisław Firla, przewodniczący Pionu Plastyków SLA. Odbyło się spotkanie rektora doc. dr. W. Kojsa z delegacją ZG PZKO. Fotofilmowcy SLA pokazali swoje filmy. Literat Władysław Sikora wygłosił referat pt. „Polskie związki twórcze na Śląsku Cieszyńskim", a dr Daniel Kadłubiec mówił nt. „Uwarunkowań kulturowych Śląska Cieszyńskiego". W ramach „Dni kultury PZKO" w Auli Filii UŚ odbył się koncert galowy, w programie którego wystąpił dziecięcy zespół taneczny „Łączka" z Koła PZKO w Bystrzycy oraz chór młodzieżowy ZG „Collegium Canticorum" pod batutą Leszka Kaliny. Przed koncertem wystąpili doc. dr W. Kojs — rektor Filii UŚ oraz dr St. Kondziołka — prezes Związku. Odbył się również mecz piłki nożnej drużyn SAJ-u przy ZG i studentów Filii UŚ w Cieszynie, który zakończył się zwycięstwem drużyny UŚ.

■ Dziesiąte i ostatnie w kadencji przed XV Zjazdem PZKO zebranie Prezydium ZG odbyło się 20. 10. w siedzibie Związku w Cz. Cieszynie. Zapoznano się, omówiono i zaakceptowano realizację budżetu ZG za 3 kwartały 1987 roku. Podziękowano członkom Prezydium i przewodniczącemu Komisji Rewizyjnej za ofiarną pracę w kończącej się kadencji.

■ 14. 10. w salce posiedzeń ZG PZKO w Cz. Cieszynie odbyło się spotkanie kierownictwa



Z okazji 25-lecia działalności Dziecięcego Zespołu Rytmiki i Tańca ZG PZKO „Rytmika" Wydział Kultury i Oświaty ZG zorganizował 23. 10. w sali Teatru Cieszyńskiego Uroczysty Koncert. Zespół liczący 93 dzieci, pracujący pod kierownictwem artystycznym Haliny Cienciała i Heleny Wojnar, przygotował nowy premierowy program. Zespół Jubilat zaprezentował 15 różnych układów tanecznych w choreografii H. Wojnar, H. Cienciała, A. Wałach, M. Mikula i Zd. Kyselej. Akompaniował T. Przyhoda. Wariacje taneczne z baletu „Giselle" wykonała Halina Cienciała, wystąpił także zespół wokalny PSP Mosty k. Jabł. pod kierownictwem H. Niedoba. Obecni byli oficjalni goście zjazdowi, przedstawiciele Konsulatu Generalnego PRL w Ostrawie oraz ZG PZKO. Zespołowi oraz niektórym jego współpracownikom zostały wręczone oznaczenia związkowe.

sekretariatu ZG, kierownika TL „Bajki" i Sekcji ds. Współpracy ze Szkołą ZG z dyrektorami PSP i średnich szkół w obecności inspektorów powiatowych i krajowego oraz pracowników Okręgowego Instytutu Pedagogicznego. Omówiono i oceniono akcję „Szkoła w kwiatach '87", akcje letnie pionierów, kolonie letnie w PRL z udziałem naszej młodzieży oraz repertuar TL „Bajka" oferowany naszym przedszkolom i szkołom. I sekretarz ZG Wł. Orszulik podziękował za udział szkół i przedszkoli w obchodach 40-lecia PZKO, zwłaszcza w Festiwalu. Omówiono dalszą współpracę między PZKO a przedszkolami i szkołami.

■ Trzecią wycieczkę Klub Nauczycieli Emerytów przy ZG PZKO zorganizował 7. 10. do polskich Beskidów. Trasa prowadziła przez Wisłę, Istebną, Koniaków, Żywiec i Bielsko-Białą. W Żywcu w Młodzieżowym Domu Kultury, gdzie odbyło się spotkanie z członkami tamtejszego Związku Nauczycieli Polskich — emerytów, zaprezentował się Zespół Regionalny ze szkoły podstawowej w Kamesznicy. KNE zwiedził również muzeum koronkarskie w Istebnej.

BOGUMIN

■ Zespół Kobiet przy Kole PZKO w Lutyni Dolnej zorganizował 28. 9. w świetlicy spotkanie tematyczne.

■ Zarząd dolnolutyńskiego Koła urządził 24. 10. w sali Domu Kultury uroczystą akademię z okazji 40-lecia PZKO oraz 70. rocznicy WSRP. Wystąpili przedszkolacy, młodzież szkolna oraz własne zespoły Koła. Zespół Kobiet tego Koła z tej samej okazji urządził 24 i 25. 10. wystawę robót ręcznych.

■ 10. 10. w Klubie Zakładowym ČSD „Astoria" w Bogumine odbył się przegląd amatorskiej działalności muzycznej i śpiewaczej PZKO pn. „Muzyczna Jesień '87". Organizatorem było skrzeczońskie Koło PZKO pod patronatem Sekcji Młodzieży Związkowej ZG PZKO. Wystąpiły dwa PZKO-wskie zespoły instrumentalne: „Krater" z MK PZKO Skrzeczoń i „Brygada" z MK PZKO Gródek, pianistka Joanna Chwajol z MK PZKO Orlowa-Lutynia oraz trzech skrzypków — solista Stanisław Holesz z MK PZKO Karwina-Granice oraz duet skrzypcowy Zbigniew Jeżowicz i Vitěslav Mojžíšek

fot. FRANCISZEK BAŁON

z MK PZKO Orłowa-Lutynia. W ankiecie publiczności o najsympatyczniejszego wykonawcę zwyciężyła Joanna Chwajol. Wystąpił również zespół instrumentalny „Blues Power" z Grodkowa (PRL).

■ Koło PZKO w Skrzeczoniu zameldowało o realizacji podjętego zobowiązania z okazji 70. rocznicy WSRP i 40-lecia PZKO. W czynie społecznym skrzeczoniacy przepracowali łącznie 8636 godzin w ramach akcji „Z", przy utrzymaniu i porządkowaniu Domu PZKO, w ramach pomocy bogumińskiej szkole, w zakładach pracy i rolnictwie oraz w charakterze opieki nad sędziwymi ludźmi w obrębie Koła i przy utrzymaniu miejsca pamięci na cmentarzu. Zespoły Koła dały 112 występów kulturalnych. Pozyskano 12 abonentów Sceny Polskiej TC, 3 abonentów „Zwrot".

■ 16. 10. Koło PZKO w Boguminie zorganizowało jesienny czyn społeczny przy porządkowaniu otoczenia Domu PZKO.

■ Zarząd bogumińskiego Koła urządził 18. 10. w Domu PZKO popołudnie z okazji MOKiP '87. Dr St. Gawlik mówił o ochronie środowiska naturalnego. Czynna była wystawa i sprzedaż książki polskiej.

BYSTRZYCA

■ 3 i 4. 10. bawiła w Katowicach na zaproszenie Wojewódzkiego Zrzeszenia Sportu i Turystyki „Ogniwo" 20-osobowa delegacja aktywistów MK PZKO z Bystrzycy. PZKO-wcy uczestniczyli w imprezie pn. „Jesień Komunalnych '87" w Katowicach. Odbyły się tam współzawodnictwa sportowe, w których bystrzyczanie zdobyli wiele laurów.

■ Zespół Kobiet i zarząd Koła PZKO w Milikowie-Pasiekach zorganizował 24 i 25. 10. w swoim nowym Domu PZKO wystawę prac ręcznych, haftu i szycia oraz wystawę owoców i warzyw członków kółka ogrodniczego Koła. Wystawy m. in. zwiedziła liczna delegacja oficjalnych gości zjazdowych z PRL, którzy przybyli tu na spotkanie z członkami nowego Prezydium ZG PZKO.

■ 25. 10. w Domu PZKO w Nydku odbyło się spotkanie autorskie naszych twórców, członków SLA — Władysława Sikory i Kazimierza Jaworskiego z członkami nydeckiego Koła PZKO. Czynna była również wystawa i sprzedaż polskiej książki.

CZESKI CIESZYN

■ Sekcja Turystyczno-Krajoznawcza przy MK PZKO w Sibicy zorganizowała w październiku 6 wycieczek: do Czernej oraz na Girową i Hrczawę, do Trzyńca i na Jagodną, do Bystrzycy n. Olzą i na Stożek, do Czadcy i Oszczadnicy, do Frensztatu i na Jawornik oraz do Jabłonkowa i na Filipkę.

■ Przy Kole PZKO Cz. Cieszyn-Centrum wznowił swoją działalność Klub Emerytów. Przewodniczącym Klubu wybrano Adolfa Szurmana. Klub odbywa swoje spotkania w każdą sobotę w Klubie PZKO w Cz. Cieszynie.

■ Zespoły śpiewacze „Harfa" MK PZKO Cieszyn-Centrum zorganizowały 26. 9. wycieczkę autokarową do Niskich Tatr. Zwiedzono m. in. Demenowskie Jaskinie.

■ Wznowił również swoją działalność Klub Propozycji MK PZKO Cz. Cieszyn-Centrum. Pierwsze spotkanie odbyło się 29. 10. w Klubie PZKO w Cz. Cieszynie. Prelekcję pt. „Z dziejów kultury Śląska Cieszyńskiego" wygłosił dr D. Kadłubiec.

■ Klub Propozycji przy MK PZKO Cz. Cieszyn-Osiedle urządził 5. 10. w salce na Mojskiem spotkanie z Aleksandrą Humel, która wygłosiła prelekcję pt. „Na progu nowego sezonu teatralnego". 19. 10. w tej samej salce odbył się Wieczór Wspomnień dotyczący początków PZKO.

■ Na piątkowym spotkaniu Koła PZKO w Cz. Cieszynie-Parku A. Sikory 23. 10. prelekcję uzupełnioną przezroczami pt. „Przez Macedonię i Czarnogórę do Dubrownika" wygłosili Jadwiga i Władysław Galuszkowie.

GNOJNIK

■ 4. 10. odbyła się w Gnojniku uroczystość otwarcia nowego Domu PZKO, który powstał w wyniku przeróbki i adaptacji starego młyna. Do rekonstrukcji przystąpiono w roku 1982. W uroczystości otwarcia uczestniczyła delegacja ZG PZKO z Romanem Suchankiem, wiceprzewodniczącym Związku, oraz przedstawiciele miejscowych władz politycznych i administracyjnych, bratnich organizacji FN, działacze z wielu Kół PZKO. Wystąpiły dzieci gnojnickiej PSP i miejscowego przedszkola.

■ 25. 10. Koło PZKO w Ligotce Kameralnej urządziło w ramach 40-lecia PZKO Uroczystą Akademię z programem kulturalnym.

HAWIERZÓW

■ Zarząd MK PZKO w Suchej Górnej zrealizował 30. 9. w świetlicy prelekcję MUDr. Zobaczowej pt. „Choroby starszego wieku".

■ Siódme już „Wykopki" zorganizowało górnosuskie Koło PZKO wspólnie z SRPS szkoły i przedszkola 10. 10. w Domu Robotniczym. Oprócz przedszkolaków i uczniów miejscowej PSP wystąpił zespół regionalny PZKO „Błędowice". Zabawę zapewnili muzyką i przyśpiewkami D. Kadłubiec i J. Wierzgoń.

■ Górnosuskie Koło PZKO urządziło 25. 10. w DK Kopalni „Prezydent Gottwald" z okazji 70. rocznicy WSRP i 40-lecia PZKO uroczystą akademię pn. „Program Jubileuszowy". Zaprezentowały się zespół taneczno-wokalny przedszkola, chór szkolny PSP, zespoły Koła: Zespół Pieśni i Tańca „Suszanie", zespół wokalny „Gama", chór żeński „Tęcza", chór męski „Sucha" oraz gościnnie czeski chór żeński „Šárka" działający przy DK Kop. „Prezydent Gottwald" i grupa estradowa „Hulanka" MDK „Metalowiec" FSM Bielsko-Biała.

■ Kolejne spotkania Klubu Seniora przy MK PZKO w Błędowicach odbyły się 30. 9. i 14. 10. w Domu PZKO. 28. 10. Klub ten wspólnie z Zespołem zwiedził Muzeum Ofiar Faszyzmu w Żywocicach.

■ Zarząd błędowickiego Koła PZKO urządził 10 i 11. 10. w Domu PZKO w ramach obchodów 40-lecia PZKO oraz 70. rocznicy WSRP wystawę owoców i kwiatów.

■ Na zaproszenie władz miasta Raciborza 17. 10. zespoły Koła wokalny i taneczny „Błędowice" wystąpiły z koncertem na Akademii Miejskiej z okazji Dnia Nauczyciela w Domu Kultury „Strzecha".

■ 25. 10. na zagajenie wystawy „40-lecia PZKO" odbył się w sali Domu PZKO w Błędowicach Uroczysty Koncert. Wykonawcami był zaproszony chór mieszany „Lira" z MK PZKO Darków pod batutą Alojzego Kopoczka oraz własny zespół wokalny.

■ MK PZKO Cierlicko-Kościelec pracowało w jesiennym czynie społecznym 4. 10. przy budowie autocampingu.

■ Zarząd kościeleckiego Koła zorganizował 18. 10. w gospodzie na Kościelcu wystawę pt. „Jesienne kwiaty i mieszkanie". Prelekcję uzupełnioną przezroczami pt. „Cuda świata" wygłosił inż. G. Folwarczny. 24. 10. w tym samym lokalu zarząd Koła zorganizował tradycyjne „Winobranie". Czynna była wystawa i sprzedaż polskiej książki.

■ Klub Emerytów przy Kole PZKO w Hawierzowie-Centrum odbył spotkanie 1. 10. w świetlicy „Pod Arkadami". Odbyła się prelekcja dr. P. Paszka. Następne spotkanie tematyczne trealizowano 15. 10.

■ MK PZKO w Hawierzowie-Suchej Średniej zorganizowało 11. 10. w Domu Kultury na Osiedlu udaną akademię poświęconą 40-leciu PZKO oraz 70. rocznicy WSRP. Po referacie okolicznościowym i przekazaniu odznaczeń związkowych wystąpił zespół taneczny z MK PZKO Bystrzyca.

■ Uroczystą Akademię z okazji 40-lecia PZKO zorganizowało 25. 10. w sali restauracji „Pod Jeleniem" Koło PZKO w Szumbarku. Program wykonały zaproszony PZKO-wski Zespół Pieśni i Tańca „Bystrzyca" oraz własny chór mieszany. Przekazano także odznaczenia zasłużonym członkom Koła.

■ Z okazji 40-lecia PZKO Koło PZKO w Grodziszczu zorganizowało 25. 10. w sali Domu Kultury uroczystą akademię. Po przemówieniu prezesa i przekazaniu odznaczeń związkowych bogaty program kulturalny wykonały Zespół Regionalny PZKO „Błędowice" oraz dzieci z PSP z Cierlicka.

JABLONKÓW

■ Od dwóch lat pracuje przy PSP w Bukowcu dziecięcy zespół folklorystyczny, który wystąpił nawet na tegorocznym 40. Święcie z Gorolskim. Przygotowano już widowiska „Zaczepiny" i „Na posiónku". Kierowniczką zespołu jest nauczycielka Dorota Łysek, pomaga jej dyrektor szkoły w Bukowcu Władysław Młynek.

■ Komitet Miejski PZKO Jabłonków zorganizował 3. 10. w Domu Kultury w Jasieniu kolejny, dziewiąty już „Jesienny Wielki Szpan" zrealizowany przez „Kabaret przy Stole". „Kabaret przy Stole" zaprezentował półtoragodzinny premierowy program. Gośćmi wieczoru byli trzyniecki „Moscet" i jako pianista Bronisław Liberda, a dyskotekę zaproponował Jan Młynek. Całość wyreżyserował Karol Kawulok a scenografię opracowali Józef Rozbrój i Jan Cieślar.

■ Klub Młodych przy Kole PZKO w Jabłonkowie zrealizował 24. 10. w Domu PZKO w Jabłonkowie II edycję maratonu tanecznego.

KARWINA

■ Klub Propozycji przy Kole PZKO w Karwinie-Frysztacie urządził 28. 9. w Domu PZKO prelekcję O. Durczoka pt. „Trójmiasto pachnie morzem". 26. 10. MUDr. J. Kubatko wygłosił odczyt pt. „Dializa nerek".

■ Zarząd frysztackiego Koła zorganizował 29. 9. wycieczkę autokarową dla rejonowych i działaczek Zespołu Kobiet do Słuszowic, Gottwaldowa i Luhaczowic. Drugą wycieczkę do PRL zarząd Koła zorganizował 24. 10. dla członków i sympatyków. Trasa wycieczki prowadziła do Pszczyny, Katowic i Chorzowa.

■ Zespół Kobiet przy frysztackim Kole zrealizował 1. 10. w lokalu klubowym MK swoje tematyczne spotkanie.

■ 4. 10. chór męski Koła „Hejnał-Echo" występował na zaproszenie na uroczystości jubileuszowej 65-lecia chóru „Polonia", działającego przy KZ Kop. „Marcel" w Radlinie.

18. 10. w Domu PZKO w Błędowicach odbyło się Jesienne Seminarium Sekcji Literacko-Artystycznej ZG PZKO. W ramach seminarium odbyły się konkursy Jednego Wiersza, Jednej Pracy Plastycznej oraz Jednej Pracy Fotograficznej. Przyjęto także nowych twórców w szeregi SLA, wręczono odznaczenia związkowe z okazji 40-lecia PZKO. Odbyło się spotkanie z gościem seminarium Harrym Dudą z PRL. W seminarium udział wzięli zaproszeni goście opolskiego środowiska plastycznego — Zygmunt Moryto, prezes Związku Polskich Artystów Plastyków i Grafików, Zarządu Okręgu w Opolu. Imprezą towarzyszącą była wystawa ze zbiorów Biura Wystaw Artystycznych w Opolu pn. „Opole w plastyce". Zebrani wysłuchali referatu pracownika naukowego Instytutu Pedagogicznego w Opolu i poety Harry'ego Dudy. Na seminarium odbył się również Konkurs Jednego Wiersza oraz Konkurs Jednej Fotografii i Rysunku. Wiesław Adam Berger (zdjęcie środkowe) odpowiadał na pytania dotyczące książki „Most nad Łucyną", które ukazał się w tym roku w wydawnictwie „Profil". Wręczono również najwyższe odznaczenie związkowe „Zasłużony dla Związku" — złote — zasłużonemu działaczowi Andrzejowi Kubiszowi.







fot. ADAM SZOP

Odbyła się patriotyczna manifestacja dziewięciu chórów biorących udział w uroczystościach. Złożono kwiaty pod pomnikiem Powstańców Śląskich. Uroczysty koncert odbył się w zakładowym DK Kop. „Marcel".

■ Koło frysztackie urządziło 18. 10. w Domu PZKO wieczór świetlicowy z okazji MOKiP '87. Wyświetlono film polski pt. „Przygody pana Kleksa". Czynna była wystawa i sprzedaż polskich książek.

■ MK PZKO Karwina-Stare Miasto zorganizowało 3. 10. czyn społeczny przy porządkowaniu terenu koło Domu PZKO.

■ Koło PZKO w Karwinie-Henryku urządziło 10. 10. w sali „Altmana" uroczystą akademię z okazji 40-lecia PZKO i 70. rocznicy WSRP. Okolicznościowe przemówienie wygłosił K. Kroczek, prezes Koła, a referat na temat 40-lecia Koła przedstawiła prof. H. Paweorowa. Wystąpiły chóry PZKO „Dźwięk" z Raju i „Hejnał-Echo" z Frysztatu oraz zespół taneczny PZKO z Orłowej-Lutyni.

■ Zespół Kobiet i Klub Seniora przy Kole PZKO w Karwinie-Raju zorganizował 15. 10. w Domu PZKO spotkanie oświatowe, na którym JUDr Stanisław Potoczek mówił o przestępczości młodzieży.

■ Tradycyjną „Kopaczówkę" urządziło rajskie Koło PZKO 24. 10. w Domu PZKO w Raju.

■ MK PZKO w Karwinie-Sowińcu zorganizowało 25. 10. w świetlicy Koła imprezę z okazji MOKiP '87. Wystąpiła „Kapela Podwórkowa" oraz zespoły MK PZKO z Piotrowic pod kierownictwem Erwina Masłowskiego.

■ Klub Propozycji Koła PZKO w Stonawie zrealizował 22. 10. w Domu PZKO imprezę oświatową, na której MUDr. M. Cieśla wygłosił prelekcję pt. „Zaburzenia psychiczne".

ORŁOWA

■ Pierwsze powakacyjne spotkanie Klubu Seniora przy MK PZKO w Orłowej-Lutyni odbyło się 29. 9. w świetlicy PZKO. Swój jesienny czyn społeczny członkowie tego Koła wykonali 3. 10. Zarząd Koła zorganizował 17. 10. w świetlicy zebranie członkowskie przygotowane z okazji 40-lecia PZKO. W programie wzięły udział wszystkie zespoły Koła. Wręczono odznaczenia związkowe najaktywniejszym członkom Koła. Wyświetlono przezrocza z najbardziej udanych imprez pezetkaowskich oraz migawki z Festiwali PZKO. Czynny był także kiermasz książki polskiej.

■ Zarząd i Zespół Kobiet MK PZKO w Rychwałdzie zrea-

25. 10. w Teatrze Cieszyńskim odbył się jubileuszowy koncert zespołu regionalnego „Goral" przy MK PZKO Jabłonków z okazji jego 40-lecia. Obok Jubilata wystąpiły dziecięcy zespół folklorystyczny „Nowina" z PSP Jabłonków oraz ZPiT „Olza" ZG PZKO. Imprezę zaszczycili swoją obecnością: delegacja Konsulatu Generalnego PRL w Ostrawie z konsulem H. Zielińskim na czele, delegacje z PRL uczestniczące w XV Zjeździe PZKO oraz delegacja ZG PZKO z I sekretarzem Związku Wł. Orszulikiem. Przemówienie okolicznościowe wygłosił Jan Cieślar, wiceprzewodniczący MK PZKO w Jabłonkowie oraz wiceprezes Związku.



fot. CZESŁAW GÓRAL

lizowały 10 i 11. 10. w Domu PZKO wystawę robót ręcznych. Swoje prace prezentowały panie, które ukończyły kurs haftu pod kierownictwem H. Raszkowej, oraz Otakar Szczerba, który wystawiał wyroby z drewna. Na zakończenie wystawy urządzono uroczysty wieczór świetlicowy poświęcony 40-leciu PZKO z udziałem przedstawicieli MRN, ZG PZKO, KM PZKO i sąsiednich Kół. Program kulturalny wykonali w całości członkowie Koła. Uroczyste obchody 40-lecia PZKO poprzedził remont Domu PZKO, przy którym przepracowano 584 godzin w czynie społecznym.

■ 10. 10. w Orłowej-Porębie odbyła się uroczystość oddania wyremontowanych i odnowionych lokali świetlicy MK PZKO. Uczestniczyli w niej wiceprzewodniczący MRN w Orłowej Z. Kożusznik oraz I sekretarz ZG PZKO Wł. Orszulik. Porębscy pezetkaowcy wykonali dzieło z dużym wyprzedzeniem na cześć 40-lecia PZKO i 70. rocznicy WSRP. Przy remoncie przepracowali 2 800 godzin. Dalszą część remontu porębscy pezetkaowcy zrealizują w ramach zobowiązania motywowanego 40. rocznicą Zwycięskiego Lutego.

■ Zespół Kobiet przy porębskim Kole zrealizował 10 i 11. 10. w odrestaurowanym lokalu Koła wystawę robótek ręcznych, kulinariów i jesiennych bukietów pn. „Cztery pory roku w domu i w ogrodzie". Imprezę zorganizowano w ramach ogólnozwiązkowych obchodów MOKiP '87, a dedykowano ją 40-leciu PZKO, 70. rocznicy WSRP oraz XV Zjazdowi PZKO.

■ Zespół Kobiet Koła PZKO w Łazach odbył swoje tematyczne spotkanie 13. 10.

■ Zarząd łaziańskiego Koła PZKO zrealizował 26. 10. w swojej salce prelekcję z przezroczami inż. M. Fajkusa pt. „Mongolia".

■ Zespół Kobiet przy MK PZKO Orłowa-Miasto odbył swoje spotkanie 13. 10. w świetlicy. Omówiono przygotowania wystawy z okazji 40-lecia PZKO.

■ Komitet Miejski PZKO Orłowa urządził 24 i 25. 10. w Miejskim Domu Kultury w Orłowej-Lutyni wystawę z okazji 40-lecia PZKO i 70. rocznicy WSRP. Równocześnie komitet orłowski zorganizował 25. 10. w sali MDK w Orłowej-Lutyni Uroczystą Akademię z okazji tych rocznic. Program kulturalny wykonały przedszkole, szkoła podstawowa, Gimnazjum z Orłowej-Łazów oraz zespoły PZKO środowiska orłowskiego.

TRZYNIEC

■ 26. 9. Koło Miejscowe PZKO Trzyniec-Wieś zorganizowało udaną uroczystą akademię z okazji 40-lecia PZKO z bogatym programem kulturalnym.

■ Zespół Kobiet Koła PZKO w Trzyńcu II-Osówki odbył 12. 10. w świetlicy spotkanie połączone z prelekcją.

■ Zespół Kobiet Koła PZKO w Trzyńcu II-Osówkach odbył 13. 10. w lokalu „W lasku" tematyczne spotkanie. Zarząd tego Koła zorganizował 18. 10. w sali gospody na Osówkach zebranie członkowskie z okazji MOKiP '87. Odbyła się prelekcja dr. Karola Rzymana nt. Korei, uzupełniona przezroczami. Czynna była również wystawa i sprzedaż książki polskiej.

■ MK PZKO w Lesznej Dolnej zrealizowało 25. 10. w sali „Braterstwa" zebranie członkowskie. Wyświetlono m. in. film polski pt. „Przygody pana Kleksa". Czynna była wystawa i sprzedaż polskiej książki.

■ Koło PZKO Trzyniec VI-Osiedle urządziło 28. 10. z okazji MOKiP '87 świetlicę w Domu PZKO im. A. Wawrosza. Wygłoszono referat z przezroczami pt. „Wrażenia z podróży po ZSRR". Czynna była również wystawa i sprzedaż książki polskiej.

CALENDAE IANUARIAE
A X BAL GÓROLSKI

Kolęda dla człowieka współczesnego jest czymś magicznym, kojarzącym się ze świętami. Starsi wracają pamięcią do lat dzieciństwa i przypominają sobie słowa pieśni i „winszów", małych połaźników, ich świąteczne życzenia i sny o szczęśliwym i spokojnym życiu.

Dzisiaj kolęd słuchamy z radia, telewizji i płyt. Coraz mniej jest rodzin, w których śpiewanoby kolędy przy wigilijnym stole, a już zupełnie nieliczni uświadamiają sobie istotę tego zwyczaju.

W książce V. Frolca możemy sobie przeczytać, że „... nazwa KOLĘDA wywodzi się od rzymskich, styczniowych życzeń — Calendae Ianuariae. Jest to tradycyjny zwyczaj, którego pierwotnym celem było wniesienie szczęścia, pomyślności i dostatku do gospodarczego i rodzinnego życia."

Kolędowanie rozpowszechnione było również w naszym regionie. Wielu pamięta bardzo dobrze grupy „mikołajów", „połaźników" czy „kolędników" i żeby odtworzyć te zwyczaje, nie trzeba szperać po muzeach, wystarczy pamiętających te czasy po prostu zapytać.

Od trzech lat na Balu Górolskim w Mostach koło Jabłonkowa odbywają się, nazwijmy to, tematyczne mini-seminaria. W zeszłym roku mówiło się np. o muzyce góralskiej. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie to, że na Balu wszystko demonstrowane jest, że tak powiem, na żywym przykładzie.

W styczniu odbędzie się jubileuszowy, X Bal Górolski. Pierwotny zamiar organizatorów (ZR „Górole", MK PZKO w Mostach koło Jabłonkowa oraz od dziesiątej edycji Balu również Sekcja Folklorystyczna ZG PZKO) — „Na dziesiąty Bal — dziesięć kapel!" — zostanie tym razem spełniony. Mając więc do dyspozycji wybór indywidualności muzycznych oraz zespołów z tylu regionów, postanowiono, by tematem seminarium, które odbywa się bezpośrednio przed oficjalnym rozpoczęciem Balu, były zwyczaje i obrzędy ludowe obejmujące interwał czasowy „od Lucyje po Trzóch Króli".

A kogo na Balu zobaczymy?! Przede wszystkim starych bywalców.

Z Zakopanego — Jan Karpiel — Bułecka z kapelą. Dwie grupy z Istebnej — Józef Broda z zespołem dziecięcym oraz kapela z solistami. Kapela góralska „Skalni" z Krakowa. Region żywiecki reprezentować będzie Czesław Węglarz wraz z kolędnikami z Ciśca a górali czadeckich reprezentować będzie grupa ze Skalitego. Z Terchowej przyjedzie sławna kapela braci Muchów. Zobaczymy również znanego gajdosza z Hrczawy — V. Zogatę. Nie zabraknie oczywiście naszej najpopularniejszej kapeli — Olzian oraz ZR „Górole".

Więcej chyba nie trzeba pisać. Dodam może tylko to, że tym razem swój wkład w Bal wnoszą plastycy ludowi, organizując mini-wystawę swoich prac i przeznaczając zarazem niektóre na wygrane. Bal odbędzie się 9. 1. 1988 w Mostach koło Jabłonkowa. Początek całej imprezy o godzinie 17.00. Wstęp, oczywiście, w strojach ludowych.

ANDRZEJ NIEDOBA

OWACJE DLA COLLEGIUM CANTICORUM

Trzyniecki Polski Zespół Śpiewaczy Hutnik w ciekawy sposób wzbogaca sezon kulturalny, zapraszając do Domu Kultury różne zespoły śpiewacze. Jest to gest godny pochwały i wspaniałomyślny zarazem, jako że Hutnik zaprasza również chóry o wysokim poziomie artystycznym, przerastające jego możliwości. (W żywej pamięci mamy jeszcze koncert chóru Kysuca.)

Podobnie było na koncercie 10 października, gdzie serca publiczności całkowicie podbił chór Collegium Canticorum. Był to swego rodzaju mniejszy festiwal, gdzie w sumie wystąpiły cztery zespoły śpiewacze. Koncert ten cechowała przyjemna atmosfera oraz jak najlepsze chęci osiągnięcia dobrego poziomu tak przez gospodarzy (Hutnik), jak również przez dwa zaprzyjaźnione chóry węgierskie z południowej Słowacji. Chór z Galanty wykazał miejscami godne uwagi wyczucie dynamicznych odcieni. Chór mieszany Collegium Canticorum (ZG PZKO) miał najobszerniejszy repertuar i swym poziomem wyraźnie górował nad pozostałymi, chociaż pewne zastrzeżenia można tu mieć. Program był przygotowany z wyczuciem kontrastu stylów. Pozycje starej polifonii (Marenzio, Gomółka) znowu potwierdziły znany fakt, iż żaden chór z wyższymi ambicjami nie może w swym repertuarze pominąć tej retrospekcji europejskich tradycji. Miłośnicy twórczości chóralnej a cappella mogli podziwiać nie tylko staranne wykonanie, wyraźnie młodzieńczy koloryt głosu, ale także zdolność doskonałej koncentracji chórzystów. Zespół ten posiada szeroki zakres dynamiczny i jednolitość głosu, cechy jak gdyby stworzone dla starej rosyjskiej muzyki wokalnej (D. S. Bortnianski). Powodzeniem cieszyły się wywodzące się z folkloru utwory polskich kompozytorów (Prosnak, Maćkowiak). Wyjątkową zdolność techniczną wykazał chór w opracowaniu bułgarskiej pieśni ludowej Kakwa moma i pozycji z gatunku negro spirituals. Zespół udowodnił także, iż z entuzjazmem wykonuje również nietradycyjne eksperymentalne kompozycje.

Chór ten w ciągu roku istnienia zrobił bardzo dużo. Jeżeli będzie chciał nadal piąć się w górę, będzie musiał jeszcze wiele popracować nad jakością swej interpretacji, będzie musiał także zaszeregować do swego repertuaru trudniejsze i ambitniejsze kompozycje. Kto wie — być może, iż po pewnym czasie włączy się nawet do elity, wśród laureatów konkursów europejskich, jakimi są np. Chór Akademicki Politechniki Szczecińskiej, Zespół Fakultetu Pedagogicznego w Ostrawie lub wspomniana już tutaj Kysuca. W każdym razie młodzi czeskocieszyńscy chórzyści mają w tym zakresie pewne szanse, a ich dyrygent, Leszek Kalina, obrał właściwy kierunek.

(rr)



fot. CZESŁAW GÓRAL



fot. EDMUND KIJONKA

MOZAIKA

TEMAT DLA EWY

NA WYSOKI POŁYSK

Przed nami święta i Nowy Rok, wieczerza wigilijna w kręgu najbliższej rodziny i wieczór sylwestrowy w szerszym gronie przyjaciół i znajomych. Już dziś warto pomyśleć, co można przygotować wcześniej, aby uniknąć spiętrzenia robót w ostatnich dniach poprzedzających święta.

Na takie okazje wyjmujemy zwykle naszą najlepszą zastawę stołową, ozdobną porcelanę, piękne kieliszki, najładniejszy obrus i ubieramy się odświętnie.

Przegląd zastawy stołowej możemy zrobić już nawet dwa tygodnie przed świętami. Z kredensu czy szafki wyjmujemy porcelanę, która choć po poprzednim używaniu była starannie umyta, teraz wygląda nieświeżo, jest matowa i jakby lepka. Umyjemy ją zatem w ciepłej wodzie z dodatkiem płynu do mycia naczyń. Po wysuszeniu pocieramy miękką ściereczką. Czystą i suchą porcelanę wstawiamy ponownie do kredensu czy szafki, przykrywając bardzo dokładnie kawałkiem płótna, aby się nie zakurzyła do świąt.

Szkło stołowe, karafki, kieliszki, szklaneczki, zarówno kryształowe, jak i ze szkła myjemy jeszcze ostrożniej niż porcelanę. Do mycia kryształów używamy cieplejszej wody, do szkła chłodniejszej. Płuczemy najpierw w letniej, a następnie w zimnej wodzie (do drugiego płukania należy dodać trochę octu). Nie wycieramy, bo wtedy najłatwiej uszkodzić kruche brzegi kieliszków. Jeszcze wilgotne stawiamy dnem do góry na czystej lnianej ściercе. Osad pozostający często na dnie karafki po starej nalewce usuwamy w następujący sposób: przygotujemy mieszaninę octu (1 łyżka), soli (1 łyżeczka) i pokruszonych skorupek z 1—2 jaj. Mieszaninę podgrzewamy (nie gotować), odstawić z ognia, ostudzić i letnią wlać do karafki, energicznie nią kilka razy potrząsając. Wylać i następnie karafkę obficie opłukać wodą.

Sztućce ze stali nierdzewnej, ale te bez drewnianych trzonków, wymyte i wypłukane wkłada się na parę minut do wody, w której gotują się ziemniaki w łupinach. Po wysuszeniu (bez płukania) przetrzeć miękką flanelką — będą jak nowe.

Srebrne sztućce i patery często czernieją i trzeba je dokładnie oczyścić. Można je zanurzyć w wywarze z gotowanego szpinaku, szczawiu czy rabarbaru, a nawet ziemniaków w łupinach. Można też przygotować mieszaninę wody (3 l), octu (5 łyżek) i sody oczyszczonej (4 łyżki). Doprowadzić ją do wrzenia, zdjąć z ognia i natychmiast wkładać do niej sztućce, pozostawiając je w wodzie przez 10—12 minut. Następnie płucze je się w zimnej wodzie i miękką flanelką poleruje do połysku. Sproszkowana kreda, lekko zwilżona wodą, lub popiół z tytoniu, zmieszany z paroma kroplami cytryny — to najprostsze sposoby czyszczenia sztućców na sucho. Wystarczy je potem opłukać zimną wodą, osuszyć i wypolerować.

Czyste i suche sztućce zawijamy szczelnie w kawałek ciemnej flanelki lub wełny, owijamy folią i chowamy do pudełka czy szuflady, starając się, aby nie miało do nich dostępu ani światło, ani powietrze. Wykładając na stół przecieramy je lekko flanelką.

Obrus na tak uroczystą okazję powinien

być biały i nieskazitelnie czysty. Jeśli znajdziemy na nim szpecącą plamę z rdzy, zwilżamy ją 10% roztworem kwasku cytrynowego, smarujemy dobrym mydłem toaletowym i parokrotnie przeprasujemy gorącym żelazkiem.

Świece dekoracyjne ustawione na stole w starych czy nowoczesnych świecznikach nadają każdemu przyjęciu uroczysty charakter, a w ich migotliwym kameralnym świetle biesiadnicy wyglądają nader korzystnie i młodo. Aby przedłużyć żywotność świec, obok palącego się knota umieszczamy kilka ziarenek grubej soli kuchennej. Skapywaniu stearyny (wosku) na obrus czy meble można zapobiec mocząc świece przez całą noc w mocno słonej wodzie lub przecierając je wilgotnym mydłem toaletowym.

Kiedy o wygląd stołu jesteśmy spokojne, poświęćmy trochę uwagi własnej osobie i naszym najbliższym.

KRZYŻÓWKA

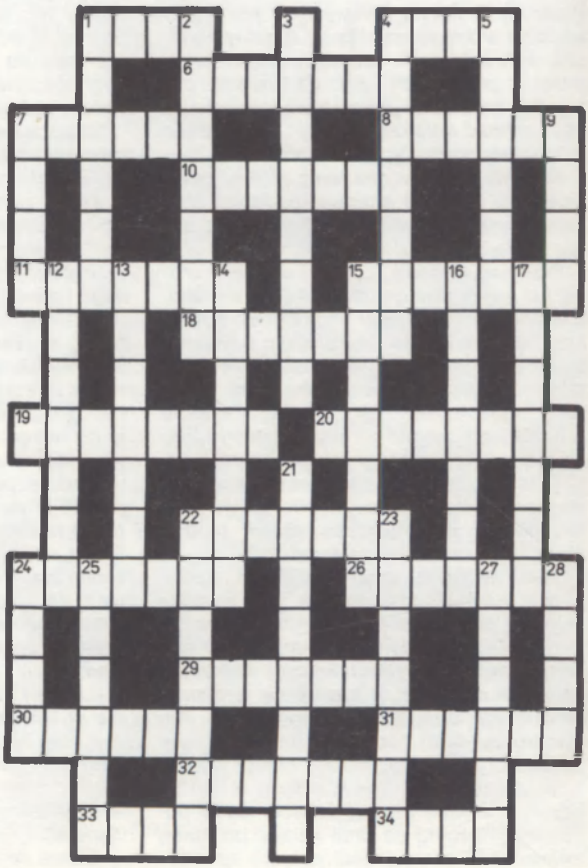
Znaczenie wyrazów:

POZIOMO:

1 grubianin, ordynus
4 spławia towary rzeką
6 nie znajduje wspólnego języka z altruistą
7 pracowity owad społeczny
8 D
10 podpisuje się na odwrocie koperty
11 pachnący i nie z kapustą
15 szpilka z zamkiem
18 wspólny punkt zainteresowań Fibaka i Ciołkowskiego
19 w siodle
20 w nim 220 V
22 usynowienie
24 spodniowy archipelag
26 kłopot wg Boya
29 cudowny życiodajny napój
30 chatka Robinsona
31 Cu + Ni + Zn
32 substancja uczulająca
33 dobry wart tynfa
34 górna część tułowia

PIONOWO:

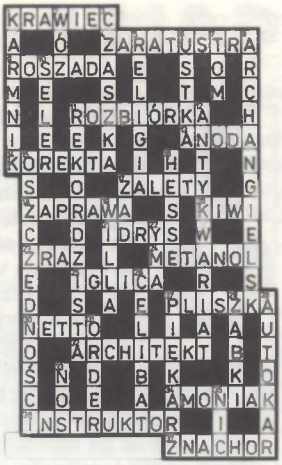
1 z rodziny łódek
2 charakterystyczny zakręt rzeki nizinnej



3 miejsce przeznaczone do spożywania napojów pewnego rodzaju
4 starogrecki szyk zwarty
5 westernowy stróż prawa
7 jedna z chińskich dynastii cesarskich
9 na strunie G
12 okrągłego stołu
13 „... w szkarłacie", czyli narodziny Sherlocka Holmesa
14 u starożytnych Rzymian „pierwszego"
15 poważanie i szacunek do okazywania
16 sąsiadka Teksasu
17 spadająca woda
21 przygotuje i wyda ci lek
22 listobiorca
23 różowa czerwień z odcieniem fioletu
24 z rodziny czartów
25 pięknym za nadobne
27 odprężenie ciała i duszy
28 literacka kronika rodu

opracow. (m)

Wśrod autorów prawidłowych rozwiązań nadesłanych pod adresem redakcji najpóźniej do 31 grudnia br. rozlosowane zostaną trzy nagrody książkowe. Obok prawidłowe rozwiązanie krzyżówki z numeru październikowego. Nagrody otrzymują: Maria Kolberowa — Czeski Cieszyn, Stanisław Miczek — Brno, Bronisław Walicki — Praga.



JAK JEST POPRAWNIE

CZYLI O PREZESIE I PRZEWODNICZĄCYM

Jaki jest stosunek znaczeniowy wyrazów *przewodniczący* i *prezes*, bardzo sobie bliskich, w wypadku funkcji pełnionych przez stojących na czele naszego Związku używanych wymiennie, ale jednak pod względem znaczeniowym nieidentycznych?

Różnica polega przede wszystkim na tym, że nazwa *przewodniczący* odpowiada funkcji, którą tak nazwana osoba wykonuje: *przewodniczący* zebrania istotnie *przewodniczy* zebraniu. *Prezes*, jeżeli robi to, co do niego należy, to *przewodniczy*, ale nazwa jego nie tłumaczy funkcji. Pod względem etymologicznym prezes to „ten, kto siedzi przed innymi" (łac. *prae-ses*), to znaczy na ważniejszym miejscu niż inni. Gdy mówimy o kimś, że jest *prezesem* jakiejś instytucji, to mamy na myśli jego rolę jako kierownika tej instytucji, a nie tylko to, że ten ktoś *przewodniczy* na zebraniach. *Prezes* jest więc przede wszystkim tytułem, *przewodniczący* — bywa nazwą wykonawcy funkcji.

GALERIA SLA



ADAM SZOP: Z cyklu „Obrazki z wystawy", fotomontaż 1982 (4. str. okładki)

Tematem tego niekonwencjonalnego fotogramu jest portret. Portret dziewczyny z pochyloną głową, w którym główne akcenty stanowią — odsłonięty fragment ciała i dłonie portretowanej. Dopiero uważniejsze spojrzenie wyławia z mroku słabe światło odbijające się we włosach zakrywających twarz. Na (lub pod) ten portret założone jest zdjęcie nieba, które w jaśniejszych miejscach prześwituje błękitem i chmurkami. Wygląda to tak, jakby dziewczyna wpatrywała się „w siebie", może zdumiona tym błękitnym niebem i tymi pierzastymi białymi chmurkami? W ciemnym tle po bokach postaci zarysy chmur są również widoczne. To niebo zajmuje całą powierzchnię obrazu, ale dopiero „przepływając" przez postać dziewczyny staje się jasne i pogodne. I choćby ta fotografia powstała tylko z chęci wypróbowania możliwości technicznych albo z chęci żartu, to efekt skłania do szukania w nim treści symbolicznych. Kobieca postać, z chmurami i niebem wokół i wewnątrz siebie stała się nierzeczywista, a jednocześnie stanowi jakby ekran odbijający myśli, może marzenia senne autora. Mogłyby to być myśli o trwaniu i przemijaniu, o wiecznej wędrówce ludzi na ziemi, zmiennych i nietrwałych jak obłoki. A może niczego takiego autor nie zamierzał powiedzieć, tylko podobała mu się dziewczyna i postawił ją zabrać żywcem do nieba ...?

A.M.R.

ZIELNIK

ROŚLINY LECZNICZE W KUCHNI

W czasie przygotowywania potraw używamy często przypraw korzennych, nie zdając sobie czasami sprawy, że większość to rośliny lecznicze. Przyprawy były już w starożytności wysoko cenionym dodatkiem do mięs. Wiele z nich sprowadzano do Europy ze wschodniej Azji, były to więc towary bardzo drogie. W dawnej kuchni polskiej przyprawy stosowane były w dużych ilościach, a zamiłowanie do nich przetrwało do dnia dzisiejszego. Są używane powszechnie, chociaż działanie niektórych z nich bywa czasem szkodliwe. Często nie tylko dodają potrawie aromatu i zapachu, ale dobrze wpływają na niektóre procesy przemiany materii w organizmie.

Podczas gdy wywarów z roślin leczniczych używają najczęściej ludzie chorzy, to z przypraw korzystają przede wszystkim ludzie zdrowi, dla których są właściwie jednym ze środków prewencyjnej ochrony zdrowia. Jej skuteczność zależy w dużej mierze od rodzaju przypraw.

Liczba roślin leczniczych wykorzystywanych na całym świecie jako przyprawy jest olbrzymia. Oto w skrócie najważniejsze z nich:

Archangelica officinalis — Arcydzięgiel lekarski

Jako przyprawa wykorzystywany jest korzeń — głównie do produkowania likierów (Benedyktynka). Bywa częścią składową „Maggi". Owoce i liście dodawane są do sosów, sałatek i zup (płn. Europa).

Ocimum basilicum — Bazylia wonna

Kiedyś była przyprawą królewską. Dziś wykorzystuje się ją do przyrządzania potraw rybnych, pieczeni i zup (suszona nać). We Włoszech dodaje się do pizzy. Świeże liście podnoszą smak wszelkiego rodzaju surówek. Bardzo dobrze nadają się do przyprawiania potraw dietetycznych.

Pimpinella saxifraga — Biedrzeniec mniejszy
Świeże liście są popularną przyprawą wykorzystywaną w południowoeuropejskiej i zachodnioeuropejskiej kuchni do przyprawiania zup, sałaty, majonezów. Można z nich przygotować sałatkę ze śmietaną i sokiem z cytryny.

Juniperus communis — Jałowiec pospolity
Dojrzałe, dobrze wysuszone owoce są wyśmienitym dodatkiem do dziczyzny, mięs przygotowanych „na dziko" i marynat. Mają szerokie zastosowanie w produkcji alkoholu (dżin).

Vaccinium vitis — idaea — Borówka brusznica
Owoce są najczęściej zagotowywane, ale można z nich przygotowywać marmelady i dżemy. Służą też do przyprawiania mięs i sosów śmietanowych.

Anethum greveolens — koper
Przyprawą jest cała roślina (oprócz korzenia). Dodawany jest do sałatek, zup, sosów, ryb. Łodygi kopru dodaje się do kiszenia ogórków.

Armoracia rusticana — Chrzan pospolity
Świeży tarty korzeń chrzanu stosowany jest jako przyprawa do mięs i wędlin oraz jako dodatek do surówek i ostrych sosów.

Allium sativum — Czosnek pospolity
Jest jedną z najstarszych przypraw. Ma wybitne właściwości lecznicze i jest szeroko stosowany w dietetyce. Dodawany do mięs, sałatek, surówek urozmaica ich smak. Jest niezbędny przy kiszeniu ogórków.

Levisticum officinale — Lubczyk ogrodowy
Jako przyprawę stosuje się młode liście, które mają zapach podobny do selera i gorzko-słodki smak. Świeże liście są dodawane w małych ilościach do sałatek, zup i mięs. Owoce można dodawać do octowych marynat. Jest bardzo dobrą przyprawą w kombinacji z majerankiem, cebulą i czosnkiem.

Thymus serpylum — Macierzanka piaskowa
Suszona kwitnąca nać jest szeroko stosowana jako przyprawa w południowoeuropejskiej kuchni. Dodaje się do wszystkich mięs, wędlin, serów, sałatek i duszonych jarzyn. Ma bardzo silny aromat i dlatego bywa główną przyprawą.

Levandula angustifolia — Lawenda szerokolistna
Suszone liście mają gorzki aromat i w małych ilościach są używane przy pieczeniu mięs, ryb oraz dodawane do jarzynowych surówek. Przy pieczeniu na ogniu dodaje się je do ognia.

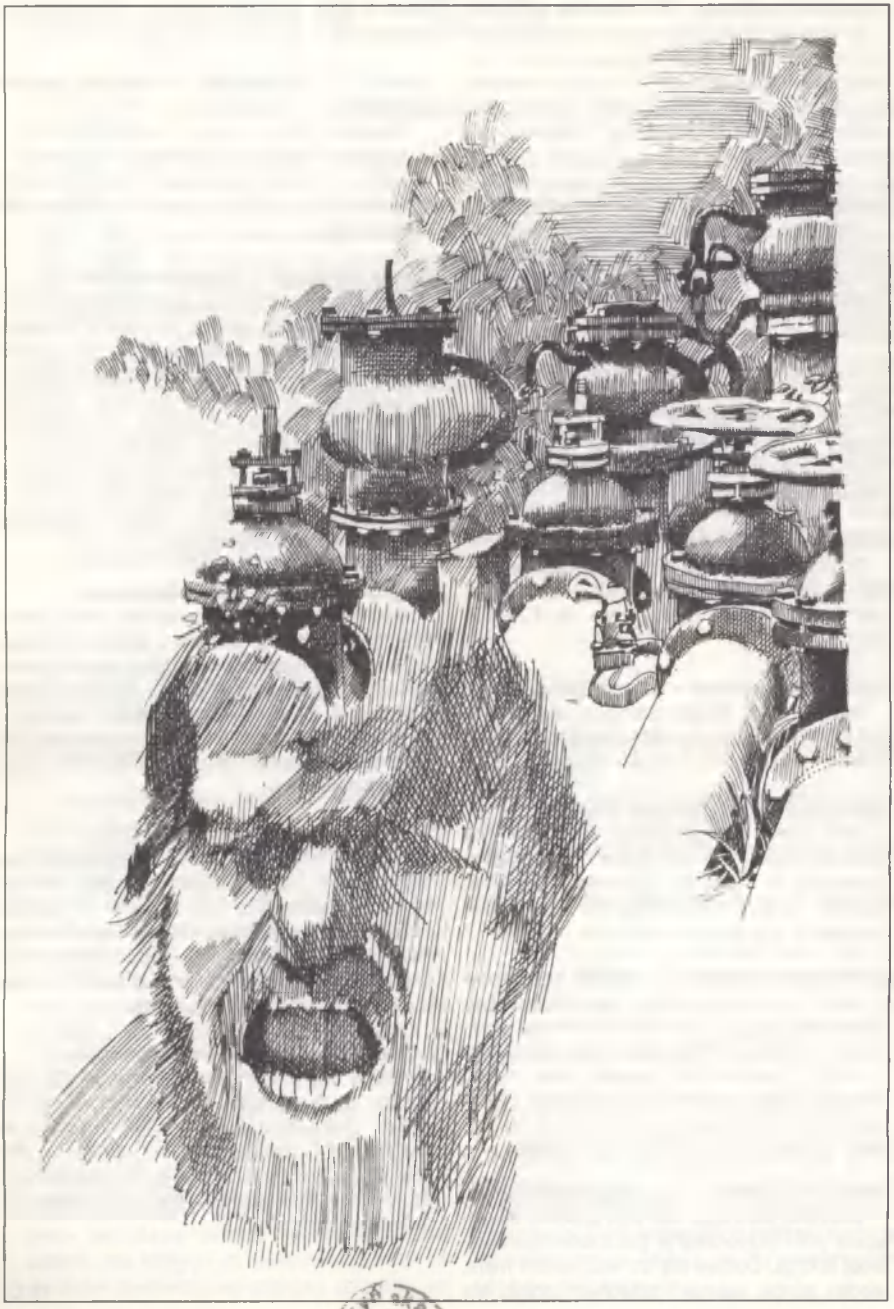
Salvia officinalis — Szałwia lekarska
Znakomita przyprawa aromatyczna, ułatwiająca trawienie ciężko strawnych potraw. Stosuje się młode suszone liście. W kuchni Europy południowej jest najpopularniejszą i najczęściej stosowaną przyprawą. Szałwię dodaje się przede wszystkim do pieczeni cielęcej, wołowej, którym daje smak dziczyzny, do pieczonego drobiu i ryb, sosów i sałatek. Świeże liście można dawać do zup i surówek. Ma bardzo silny zapach i dlatego należy ją stosować ostrożnie.

Mentha piperita — Mięta pieprzowa
Pachnie przyjemnie mentolem. Jako przyprawę stosuje się świeże i suszone liście, które dodane do sosów, mięs, jarzyn, ziemniaków podnoszą ich smak. Suszone liście dodawane są do owczego sera i twarogu. W Stanach Zjednoczonych wzbogaca się nimi smakowo sałatki jarzynowe, surówki i napoje pomidorowe.

Mentha crispa — Mięta kędzierzawa
Roślina, znana u nas jako „bałuszanek czy bałuszónka", ma charakterystyczny, mocny zapach. Stosowana jest głównie w kuchni południowoeuropejskiej. Dodaje się ją do zup jarzynowych i sosów, do pieczonych mięs i sałatek jarzynowych oraz surówek i potraw z grzybami — podnosi ich smak.

Urtica dioica — Pokrzywa zwyczajna
Młode świeże listki dodawane są do zup jarzynowych i sałatek. Mają przyjemny gorzki smak. Żeby listki przestały palić, należy je nagrzać do temperatury 60 stopni C. Są bardzo dobre w kombinacji ze szpinakiem. W kuchni francuskiej robi się z nich sałatę do potraw mięsnych.

M.C.



Biblioteka Śląska

rys. JÓZEF DRONG

SPIS TREŚCI

ROCZNIK XXXIX – NR. 1–12 (446–457)

ARTYKUŁY NAUKOWE, POLITYCZNE, OGÓLNE

an: Dni folkloru w Mostach, nr 11, str. 9–12.
Bittmar Henryka: Już wszystko jasne – „Najszykowniejsza" to Ewa Branna, nr 7, str. 25–28.
„Świt" ma 40 lat, nr 11, str. 11–15.
Cieślar Henryk: Sporty zimowe w PZKO, nr 4, str. 16–20.
EWa: Z wizytą pod Jaworowym, nr 5, str. 21–22.
Generacja założycieli (dr J. Macura, J. Kazik), nr 5, str. 23–24.
Głosy z trybuny zjazdowej, nr 12, str. 8–14.
Główne kierunki dalszego rozwoju działalności związkowej do r. 1991, nr 12, str. 4–5.
Grzegorz Maria: W gościnie u „Przemian", nr 1, str. 26–29.
Miss Polonia '86, nr 3, str. 6–9.
Piramidy pod Staszowem, nr 3, str. 20–23.
Szkoła usportowiona, czyli recepta na sukces, nr 6, str. 16–20.
Zaczęło się od Tarnowskich Gór, nr 7, str. 10–12.
Ringo – sport i rekreacja, nr 12, str. 21–24.
Humel Aleksandra: Rozmowy o piosence, nr 2, str. 13–15.
iza: Forum młodzieży PZKO, nr 8, str. 27–28.
Josiek Władysław: Konieczność dziejowa, nr 3, str. 16–18.
Odgłosy Wielkiego Października, nr 9, str. 27–28; nr 10, str. 34–36; nr 11, str. 28–31.
Luty '48, nr 12, str. 15–17.
Juřica Leon: Konkurs chórów, nr 2, str. 9–12.
Kadłubiec Daniel: Folklor zagrożeniem?, nr 9, str. 62–63.
Kazik Józef: Pieśń za drutem kolczastym, nr 4, str. 25–27.
Kisza Bogdan: Polacy w Czechosłowacji, nr 5, str. 5–7.
Kluz Alojzy: Przechodniu powiedz Polsce, nr 11, str. 52–55.
Korpak Renata: Informacja o ochronie środowiska naturalnego, nr 9, str. 33–34.
Korzenny Jan: Z piosenką na ustach, nr 4, str. 56–58.
Kozieło-Fudali Danuta: Refleksje po premierze, nr 1, str. 15–18.
Kulminacja obchodów, nr 7, str. 5.
List i sekretarza KC PZPR, Wojciecha Jaruzelskiego, nr 6, str. 1.
Lommatzsch B., Saneja E.: O dwujęzycznym wychowaniu dzieci, nr 1, str. 32–35.
MaG: Festiwal PZKO, nr 4, str. 15.
Tańczy i śpiewa „Varsovia", nr 7, str. 12–13.
MaG, hb: Mówią delegaci na XV Zjazd PZKO, nr 10, str. 8–10.
Młynek Władysław: Nigdy nie zaginie, nr 8, str. 17–18.
Niedoba Andrzej: Pieśni góralskie, nr 1, str. 55–56.
Wierchowe nuty '87, nr 8, str. 20–23.
Niezmienny cel, nr 12, str. 1.
Odezwa z lutego 1948, nr 2, str. 1.
Ostruszka Renata: Uroczystości jubileuszowe SLA, nr 5, str. 33–39.
Trzy dni w Strażnicy, nr 9, str. 16–18.
Góralszczyzna po raz czterdziesty, nr 10, str. 15–21.
Oszelda Władysław: Budowanie mostów przyjaźni, nr 1, str. 30–31.
Otwarcie Domu PZKO w Milikowie-Pasiekach, nr 11, str. 19.
Piegzowa Agnieszka: Pierwsze lata PZKO i SMP, nr 5, str. 29–32.
Pierwszy statut, nr 1, str. 1.
XV Zjazd PZKO, nr 12, str. 2–3.
Podgórski Wojciech Jerzy: Punkty styczne, nr 3, str. 29–30.
Przeczek Piotr: Górnicy, nr 1, str. 2–6.
Dobre chęci to mało, nr 4, str. 2–5.
Przyszłość to praca z kadrami, nr 5, str. 17–19.
Chcemy być sobą, nr 6, str. 8–11.
Polonijne spotkania, nr 9, str. 7–13.
Polska w Brnie, nr 11, str. 20–22.
Przeczek Wiesław: Mekka rocka, nr 10, str. 31–33.
Express – znaczy krócej i ciekawiej, nr 12, str. 25–29.
Przeczek Wilhelm: Noc poetów w Krakowie, nr 9, str. 14–15.
Wakacje literackie nauczycieli w Krakowie, nr 10, str. 24–27.
Przedostatni etap działalności związkowej, nr 10, str. 1.
Przemówienie towarzysza Henryka Połednika, nr 7, str. 1–5.
Putzlacher Renata: Wieża, lochy i teatr satyry, nr 4, str. 32–33.
(ro): Konkurs recytacji, nr 4, str. 9–11.
Rygiel Brunon: Międzyzdroje '87, nr 10, str. 28–29.
Santarius Kazimierz: Wy musicie im pomóc, nr 5, str. 13–17.
Szlaur Karol: Garść gorolskich wspomnień, nr 8, str. 14–16.
Szpyrc Antoni: Dawni górole, nr 8, str. 12.
tob, EWa, ro: Migawki z Festiwalu, nr 7, str. 6–8.
Trębska Anna: Polonistyka w Ołomuńcu, nr 10, str. 37–39.
Uchwała XII Zjazdu PZKO, nr 8, str. 1.
Umowa o przyjaźni, nr 3, str. 1.

Wania Elżbieta: Drugi dom rodzinny, nr 11, str. 16—17.
Wantuła Tadeusz, Möhwald Jerzy: Melpomenki '86, nr 2, str. 24—27.
Warunki prenumeraty, nr 7, str. 79.
Wczoraj, dziś, jutro: najmłodsi, nr 5, str. 9—11.
W 10. rocznicę wyzwolenia, nr 5, str. 1.
W. S.: Karwińska głosa, nr 7, str. 38—39.
Nad społecznym kontekstem Świąt Gorolskich, nr 8, str. 7—11.
W 30. rocznicę WSRP, nr 11, str. 1.
Wyniki konkursów twórczych z okazji 40-lecia, nr 5, str. 39.
Zjazd sukcesów i nadziei, nr 9, str. 1.
Zjazdy PZKO (od I—XIV, Prezydia), nr 10, str. 6—7.
Zjednoczeniowy Zjazd PZKO, nr 4, str. 1.
Zolich Jan: Z kart historii, nr 11, str. 32—33.
Z życzeniami dalszych sukcesów (z przemówienia tow. Č. Miloty, Plenum ZG PZKO, 12 XI 1986) nr 5, str. 2—4.

NAD UCHWAŁĄ XIV ZJAZDU PZKO

Grzegorz Maria: Taniec powszedni, nr 1, str. 7—13.
Oświata na miarę czasu, nr 9, str. 2—6.
Grzegorz Maria, Przeczek Piotr: Gdzie usłyszysz śpiew, tam wejdź, nr 2, str. 2—5.
Sprawozdania, sprawozdania, nr 4, str. 6—8.
Pod pokrywką „Forum Młodzieży", nr 6, str. 2—6.
Jaki będzie „Zwrot", nr 11, str. 2—6.
Przeczek Piotr: Najszykowniejsza, nr 3, str. 2—5.
Krok naprzód, nr 8, str. 2—6.
Uchwała zrealizowana, nr 10, str. 2—4.

PEZETKAOWCY INACZEJ

-tob-: Pracować w eksporcie (inż. Bronisław Haratyk), nr 1, str. 22—25.
Toboła Otylia: Gospodarz na 600 hektarach (inż. Mieczysław Harnol), nr 2, str. 20—22.
Czekając na nerkę (MUDr Janusz Kubatko), nr 4, str. 21—24.
Bez słomkowego kapelusza (Edyta Sladkowa), nr 5, str. 26—28.
Czuć się jak w domu (inż. arch. Bronisław Zwyrtek), nr 6, str. 26—30.
Czy będziemy pana pacjentami? (Dr Mieczysław Cieśla), nr 7, str. 20—24.
Pod semaforem (Józef Kubatko), nr 8, str. 29—32.
Ratownik (inż. Piotr Krzywoń), nr 9, str. 24—26.
Nie tylko urzędniczka (Halina Cieślar), nr 10, str. 12—14.
Autobusy ... (inż. Jan Trombik), nr 11, str. 23—27.
W todze sędziego (JUDr Alicja Klimeš), nr 12, str. 18—20.
Wania Elżbieta: Tańczący pedagog (Maria Podzemna), nr 3, str. 10—13.

SYLWETKI

Bittmar Henryka: Pedagog i społecznik (A. Kubeczka), nr 6, str. 21—23.
Buława Edward: Kazimierz Popiołek, nr 3, str. 31—32.
Cieślar Henryk: Miejsce w reprezentacji kraju (D. Brózda), nr 2, str. 28—29.
EWa: Jestem poetą ludowym (F. Rak), nr 4, str. 29—31.
Grzegorz Maria: Ze „Zbrodnią i karą" w świat, czyli co słychać u Tulipana? (Jan Monczka), nr 7, str. 30—34.
Guzlur Oswald: O Pawle Musiole, nr 3, str. 24—28.
Humel Aleksandra: O teatrze Leona Schillera (w 100-lecie urodzin), nr 3, str. 57—60.
Jaworski Kazimierz: Ogrodnik i jego dyrektorzy (A. Plinta), nr 9, str. 29—31.
JM: Profesor Jan Kotas nie żyje, nr 10, str. 68—69.
-jp-: O człowieku, który odszedł (W. Słowiaczek), nr 1, str. 62.
(rr): 75-lecie Pawła Kalety, nr 11, str. 72.
Rygiel Brunon: Mieczysław Piechaczek, nr 7, str. 61—63.
Santarius Kazimierz: Leon Sztuła: Wiem coś o tym, nr 7, str. 16—18.
Zapał nie pozwalał na chwilę wytchnienia (K. Hracki), nr 6, str. 12—15.
Z myślą o przyszłości (dr hab. Daniel Kadłubiec), nr 7, str. 16—20.
Lat przybyło — pasja pozostała (Jan Zolich), nr 8, str. 33—36.
Sikora Władysław: O Macieju (L. Cienciała), nr 4, str. 34—37.
Strzondała Roman: Jan Heweliusz, nr 12, str. 45—49.
Wania Elżbieta: Tomek na łamach „Zwrotu" (A. Szklarski), nr 9, str. 19—21.
WJ: Leon Sztuła nie żyje, nr 10, str. 70—71.

POEZJA

Echaust Jadwiga: Wrosnę deszczem, nr 10, str. 26.
Gadzicki Ludwik: Oni, nr 10, str. 26.
Goczoł Jan: * * * (Jeżeli ktoś rozpowiada), Sen jawa, Do J. G., Stadion, nr 3, str. 42—43.
Jedzok Stanisław: Etiudy wiosenne, Poszukiwanie, Wspomnienie, Odpowiedź, nr 4, str. 48—49.
Konarski Krzysztof: Wymiar stołu, nr 10, str. 26.
Kulińska Irena: Wspomnienie, nr 10, str. 26.
Lenartowski Andrzej: delegacyjna wyprawa w życie, z cyklu „zaproszenie do piekła", miłość dojrzała, nr 2, str. 46—47.
Mażul Henryk: *Wygaszanie ogniska, żurawie, w ścianach, wróżba, samozniszczenie, kominy,* nr 11, str. 42—43.
Nastulczyk Franciszek: Otwieranie domu, Księga, Początek lata, Ogród, Raj, Kto, nr 8, str. 46—47.
Pałowski Gabriel: Chciałem, * * * (pamiętam), Babie lato, * * * (płynę), * * * (wypuściłem latawca), * * * (kiedy odlecą ptaki), nr 10, str. 48—49.
Przeczek Lucyna: Świece, Bunt włosów, nr 3, str. 51.
Wiersz, Jabłonków, Szminka, Dzień z koperkiem, nr 7, str. 48—49.
Przeczek Wilhelm: Praskie piwiarnie, Z dziennika, Wiersze, Ucieczka z pastwiska, Podróż, nr 6, str. 40—41.
Przeczek Wilhelm, Pyszko Jan: Malowanki (wiersze dla dzieci) nr 9, str. 44—45.
Putzlacher Renata: Do sąsiada z naprzeciwka, * * * (Czasem czujesz się), nr 2, str. 43.

* * * (Jamnik kolejnego tygodnia), Bezsilność, * * * (A ja ci nie powiem) * * * (Jeszcze kiedyś zaskrzypi), * * * (Była otwartą książką), * * * (To można przeżyć), nr 5, str. 48—49.
Sikora Władysław: Las (fragment poematu), nr 1, str. 42—43.
Przebitka ziołowa, Okrzasy, Ballada nieustająca, nr 12, str. 38—39.
Śliwiak Tadeusz: Homo sum, Świeca, Pracownia literacka, Uczeń diabła, nr 3, str. 46—47.

PROZA

Berger Wiesław Adam: Budapeszt, nr 4, str. 42—45.
Mikołaj, nr 6, str. 34—39.
Finn Paweł: Spokojne życie miejskie (tł. K. Jaworski), nr 11, str. 35—41.
Grabacký Jindřich: Kochajmy się (tł. W. S.), nr 2, str. 34—42.
Jedzok Stanisław: Widok z werandy, nr 12, str. 30—35.
Leoniak Zbigniew: Nocleg mistrza, nr 1, str. 36—41.
Palowski Gabriel: Dojrzewanie głogu, nr 9, str. 37—43.
Przeczek Wilhelm: Garb krawca Gawlika, nr 5, str. 40—45.
Sikora Władysław: Hrycek, nr 7, str. 40—45.
Szkice, nr 10, str. 42—45.
Štěpán Ludvík: Miasteczko na granicy (prolog, tł. JP), nr 3, str. 38—41.
Wojnar Kazimierz: Światłocienie, nr 8, str. 41—45.

TŁUMACZE LITERATURY POLSKIEJ

Przeczek Wilhelm: Jan Pilař, nr 1, str. 46—48.
Helena Teigowa, nr 2, str. 48—50.
Helena Stachowa, nr 3, str. 48—50.
Erich Sojka, nr 4, str. 50—52.
Vlasta Dvořáčkowa, nr 5, str. 50—52.
Ludvík Štěpán, nr 6, str. 44—46.
Otakar Bartoš, nr 7, str. 50—51.
Anetta Balajkowa, nr 8, str. 50—52.
Milan Rusinský, nr 9, str. 48—50.
Olga Hostovská, nr 10, str. 50—52.
Oldřich Rafaj, nr 11, str. 46—48.
Daniela Lehárowa, nr 12, str. 42—44.

ZIELONE NURTY

Czudek Stanisław: Olza, Stress, nr 2, str. 51—52.
Kufa Tania: Jesienią, Zapomnienie, Wrzosy, nr 4, str. 53.
Lotter Danuta: Nagroda specjalna, nr 1, str. 49.
Mrózek Wanda: Przygoda Jury z Chrostu, nr 5, str. 53—55.
Sikora Zbigniew: * * * (Wiatrem malowany dom), nr 1, str. 50.
Strzyż Romana: * * * (Jak szafa bez ubrań), nr 1, str. 50.

OKIEM RECENZENTA

A.M.R.: Kolorowy las Franciszka Bałona, nr 1, str. 51—52.
Beskidy '86, nr 2, str. 53—54.
Nowoczesny manieryzm Helgi Berger, nr 6, str. 47—48.
Pejzaż intymny Janiny Szotkowskiej i Cezarego Chmiela, nr 8, str. 53—56.
Plastycy SLA w roku jubileuszowym, nr 9, str. 51—52.
Malarstwo niedzielne (Władysław Ćmiel), nr 11, str. 49.
Firla Bronisław: Talent i praca (T. Berger), nr 6, str. 48—49.
Guziur Oswald: „Gdy drzewa szubienic wyrosły", nr 2, str. 55—57.
Humel Aleksandra: Teatr jubileuszowy (J. Szaniawski: Dwa teatry), nr 1, str. 52—54.
Jaworski Kazimierz: Kalendarz Śląski 1987, nr 2, str. 54—55.
Karel Havlíček Borovský w kręgu literatury polskiej (K. Kardyni-Pelikánová), nr 3, str. 56.
Kopoczek Alojzy: Cieszyński śpiewnik Daniela Kadłubca, nr 6, str. 51—52.
Pieśni ludowe miasta Katowic (Adolf Dygacz), nr 10, str. 53—54.
Sikora Władysław: O dziecięcej wieczności (W. A. Berger: Most nad Łucyną), nr 10, str. 54—56.
Slíva Ladislav: Nowe szaty króla (A. Maliszewski), nr 3, str. 54—56.
Szymik Jan: O sztuce ludowej i jej twórcach (doc. dr hab. B. Bazielich: Twórca ludowy i jego dzieło), nr 7, str. 53—54.
W.S.: Podwójna książka Gustawa Sajdoka (Zaczarowany młynek), nr 6, str. 50—51.
Z.O.: Między panem a sumieniem (Mikulaš Kočan: Gorący ziemniak, czyli przypowieść o Janosiku), nr 6, str. 52—56.
Kto się boi Gombrowicza (Iwona, księżniczka Burgunda), nr 7, str. 54—57.

PODRÓŻE

Jaworski Kazimierz: Podróż do miast odległych i bliskich, nr 2, str. 30—33; nr 3, str. 34—37; nr 4, str. 38—41.
Wratny Tadeusz: Nadreńska mozaika: W rzymskim obozie, nr 6, str. 32—33.
Miasto nad Pegnitz, nr 7, str. 35—37.
Mainhattan, nr 8, str. 37—40.
W cieniu gotyckich wieży, nr 9, str. 35—36.
Barok i wino, nr 10, str. 40—41.
W największej wiosce Europy, nr 11, str. 59—61.

WĘDRÓWKI NAZEWNICZE

Milerski Władysław: Ludowe nazwy miejscowe Lutyni Dolnej (4), Dolnolutyńskie stawy, nr 1, str. 57—59.
Kocobędz: Nazwa miejscowości, Tło historyczne, nr 2, str. 58—60.
Z opowiadań ludowych, Położenie Kocobędza, Zamek, Szkoła Rolnicza, nr 3, str. 61—63;
Dziedzina (mapka topograficzna Kocobędza) nr 4, str. 59—61;
Krańce wsi, nr 5, str. 58—60; nr 6, str. 57—59.
Ligota i Podobora: Nazwa miejscowości, nr 7, str. 58—60.

Tło historyczne, Grodzisko, (Plan sytuacyjny Kocobędza wraz z Ligotą i Podoborą, Plan grodziska w Podoborze), nr 8, str. 57—59.
Warunki naturalne (mapka topograficzna Ligoty), nr 9, str. 53—56; nr 10, str. 58—60; nr 11, str. 56—58.
Nazwiska, Chociebąd jeszcze raz! (mapka topograficzna Podobory), nr 12, str. 50—53.

TRYBUNA CZYTELNIKÓW

nr 1, str. 60—62; nr 2, str. 61—63; nr 3, str. 64—65; nr 4, str. 62—64; nr 5, str. 61—64; nr 6, str. 60—64; nr 8, str. 60—64; nr 9, str. 58—61; nr 10, str. 61—64; nr 11, str. 62—64; nr 12, str. 54—55.

KRONIKA

nr 1, str. 65—71; nr 2, str. 66—71; nr 3, str. 69—73; nr 4, str. 66—71; nr 5, str. 66—71; nr 6, str. 66—73; nr 7, str. 64—72; nr 8, str. 66—73; nr 9, str. 66—71; nr 10, str. 67—72; nr 11, str. 66—73; nr 12, str. 58—67.

TO I OWO

nr 1, str. 63—64; nr 2, str. 64—65; nr 3, str. 67—68; nr 4, str. 65; nr 5, str. 65; nr 6, str. 65; nr 7, str. 73; nr 8, str. 65; nr 9, str. 64—65; nr 10, str. 65—66; nr 11, str. 65; nr 12, str. 56—57.

MOZAIKA

TEMAT DLA EWY

Dobre samopoczucie, nr 1, str. 73—74.
Mieć charme, nr 2, str. 73—74.
Włosy — żywa ozdoba kobiety, nr 3, str. 75.
Rośliny, które odchudzają, nr 4, str. 73—74.
O potrzebie więzi, nr 5, str. 73—74.
O kąpielach słonecznych, nr 6, str. 75.
Razem czy osobno, nr 7, str. 75.
Przysmaki z łąk i pól, nr 8, str. 75—76.
Ewka i inni, nr 9, str. 73—74.
Kobieta czterdziestoletnia, nr 10, str. 75—76.
Jesienne zabiegi pielęgnacyjne, nr 11, str. 75.
Na wysoki połysk, nr 12, str. 69—70.

KRZYŻÓWKA

(JO): nr. 1, 3, 5, 7, 9, 11, str. 76—77.
(m): nr. 2, 4, 6, 8, 10, str. 76—77; nr 12, str. 70—71.

JAK JEST POPRAWNIE

Czyli o ruchomości końcówki, nr 1, str. 79.
Czyli jak to czytać, nr 2, str. 78.
Czyli kto powinien, nr 3, str. 77.
Czyli mój czy swój, nr 4, str. 74.
Czyli co nas razi, nr 5, str. 77.
Czyli o chodzeniu za kimś, nr 6, str. 77.
Czyli o cudzysłowie, nr 7, str. 77.
Czyli o regularności, nr 8, str. 77.
Czyli gdzie postawić kropkę, nr 9, str. 77.
Czyli o łączniku, nr 10, str. 79.
Czyli o zagranicy, nr 11, str. 78.
Czyli o prezesie i przewodniczącym, nr 12, str. 71.

PORTRET CZTERDZIESTOLATKA

nr 1, str. 78—79.

GALERIA SLA (4. str. okładki)

A.M.R.: Halina Szkopek: Fabryka, olej, nr 1, str. 78.
Rudolf Kobiela: Pejzaż z Gutów, olej, nr 2, str. 75.
Walter Taszek: Kopalnia CZM, olej, nr 3, str. 78.
Janina Szotkowska: Z cyklu Impresje, tkanina artystyczna, nr 4, str. 78.
Edward Kaim: Beskidy, akwarela, nr 5, str. 78.
Darina Krygiel: Ilustracja do ballady „Dwie koszule", pastel, nr 6, str. 78.
KAGA (Kazimierz Gajdzica): Hołd dla średniowiecza (z cyklu Wzlot archetypów), olej, nr 7, str. 78.
Władysław Pasz: Jesień w Łomnej Dolnej, olej, nr 8, str. 78.
Gustaw Nowak: Martwa natura, olej, nr 9, str. 78.
Władysław Cejnar: projekt scenografii do sztuki M. Kożmiana „Gorący ziemniak", tech. mieszana, nr 10, str. 78.
Franciszek Bałon: Jesień, fotografia barwna, nr 11, str. 78.
Adam Szop: Obrazki z wystawy, fotomontaż, nr 12, str. 72.

ZIELNIK

M.C.: Pierwiosnek lekarski, nr 1, str. 74—75.
Podbiał pospolity, nr 2, str. 74—75.
Dziurawiec, nr 3, str. 78—79.
Pokrzywa, nr 4, str. 78—79.
Rumianek pospolity, nr 5, str. 78—79.
Cykoria podróżnik, nr 6, str. 78—79.
Kozłek lekarski, nr 7, str. 78—79.
Krwawnik pospolity, nr 8, str. 78—79.
Arcydzięgiel lekarski, nr 9, str. 78—79.
Jałowiec pospolity, nr 10, str. 78—79.
Czereśnia, nr 11, str. 79.
Rośliny lecznicze w kuchni, nr 12, str. 72—73.

PIEŚNI GÓRALSKIE (3. str. okładki)

Už se mi ławeczka (Łomna Górna), nr 1.
Zasnyła dziyweczka pod lelujóm (Mosty-Szańce), nr 2.
Wydali rodzice (Mosty-Szańce), nr 3.
Idzie synek do masztale (Mosty k. Jabłonkowa), nr 4.
Za stodołóm słónko wschodzi (Szańce), nr 5.
Starego mi dali (Mosty k. Jabłonkowa), nr 6.
Gnało dziywczyn krowy (Mosty k. Jabłonkowa-Szańce), nr 7.
A spod tego jawora (Mosty k. Jabłonkowa), nr 8.
Słóżiło dziywczyn we dworze (Mosty k. Jabłonkowa), nr 9.
Szoł Janiczek przez gróniczek (Mosty k. Jabłonkowa), nr 10.
Syneczku, syneczku (Bukowiec), nr 11.
Po tej strónie jeziora (Szańce), nr 12.

RYSUNKI, REPRODUKCJE

Berger Helga: nr 6, str. 37, 39, 48.
Chmiel Cezary: nr 8, str. 55.
Drong Józef: nr 2, str. 40, 77; nr 5, str. 75; nr 9, str. 75; nr 12, str. 74.
Firla Bronisław: nr 1, str. 77; nr 3, str. 44, 45; nr 4, str. 24; nr 9, str. 74.
KAGA: nr 1, str. 39.
Klimsza Krystyna: nr 5, str. 55.
Kraus Stanisław: nr 7, str. 43.
Krygiel Darina: nr 5, str. 43; nr 12, str. 40, 41.
Kubeczka Zbigniew: nr 1, str. 19; nr 4, str. 46, 47; nr 9, str. 52.
Liberda Bronisław: nr 11, str. 37.
M.C.: nr 1, str. 75; nr 2, str. 75; nr 3, str. 79; nr 4, str. 79; nr 5, str. 79; nr 6, str. 79; nr 7, str. 79; nr 8, str. 79; nr 9, str. 79; nr 10, str. 79; nr 11, str. 79; nr 12, str. 73.
Morávek Aleš: nr 1, str. 71; nr 4, str. 74; nr 10, str. 66.
Ramik Tadeusz: nr 8, str. 42; nr 9, str. 41.
Rusnok Jan: nr 12, str. 33.
Szotkowska Janina: nr. 1—12 (3. str. okładki); nr 4, str. 77; nr 8, str. 54.
Wratny Tadeusz: nr 7, str. 36.
Zwyrtek Bronisław: nr 6, str. 28.

FOTOGRAFIE

Archiwum: nr 1, 2. str. okładki; nr 2, 2. str. okł., 17, 59; nr 3, 2. str. okł., 27, 31; nr 4, 2. str. okł.; nr 5, 2. str. okł., 12, 16, 20, 63; nr 6, 2. str. okł., 61, 62; nr 7, 2. str. okł., 32, 63; nr 8, 2. str. okł., 23, 35, 63, 64; nr 9, 2. str. okł., str. 31; nr 10, 2. str. okł., 62; nr 12, 2. str. okł.
Bałon Franciszek: nr 1, str. 9, 14, 17, 44, 45; nr 2, str. 6, 7, 14, 15; nr 3, 2. str. okł.; nr 5, str. 23; nr 6, str. 23, 67, 68, 71; nr 8, 2. str. okł., 48, 49; nr 9, str. 72; nr 11, str. 8, 45, 67, 68, 69; nr 12, str. 2, 6, 7, 60.
Borovička Milan: nr 2, str. 72; nr 10, str. 74.
Branny Kazimierz: nr 7, str. 66, 68; nr 8, str. 19.
Brzuska Jan: nr 6, str. 73.
Byrtus Jan: nr 1, str. 25; nr 6, str. 31; nr 10, str. 14.
Cieślar Henryk: nr 2, str. 29, 68; nr 3, str. 71; nr 4, 2. str. okł., 17, 18, 19, 20; nr 7, str. 71.
Danel Pavel: nr 4, str. 75.
Dobřický Igor: nr 6, str. 64.
Franek Władysław: nr 5, 2. str. okł.
Gabryś Tadeusz: nr 7, str. 67.
Góral Czesław: nr 2, str. 8, 10, 11; nr 3, str. 14, 15; nr 6, str. 7, 24, 25; nr 7, str. 4, 10; nr 9, 2. str. okł.; nr 11, 2. str. okł.; nr 12, str. 64, 67.
Hanusik Jan: nr 3, str. 58.
Homa Rudolf: nr 2, str. 79; nr 3, str. 74; nr 10, str. 46, 47.
Jasiok Vladislav: nr 12, str. 36, 37.
Jaworski Kazimierz: nr 2, str. 31, 32; nr 3, str. 35, 36; nr 4, str. 40, 41.
Kaleta Karol: nr 8, str. 12, 13.
Kijonka Edmund: nr 3, str. 13; nr 5, str. 72; nr 7, str. 6, 7, 8, 9; nr 8, str. 5, 8, 71; nr 10, str. 77; nr 11, str. 71, 74; nr 12, str. 68.
Konderla Jan: nr 6, str. 17, 18, 19.
Krygiel Radomir: nr 1, str. 11; nr 8, str. 24, 25; nr 11, str. 50.
Lipowczan Bogusław: nr 8, str. 26.
Michalski Henryk: nr 6, str. 60.
Milerski Jan: nr 8, str. 19; nr 9, str. 68, 69.
Mleczko Eugeniusz: nr 5, str. 19; nr 11, 2. str. okł.
Nasierowska Zofia: nr 3, str. 9.
Noga Jan: nr 1, str. 59; nr 10, str. 16, 17, 18, 19; nr 11, str. 18, 19.
Przeczek Piotr: nr 1, str. 3, 4, 5, 6, 10, 28,29; nr 2, str. 23; nr 3, str. 4, 5; nr 4, str. 4, 5, 30, 69; nr 6, str. 10; nr 8, str. 69, 70; nr 9, str. 9, 10, 11, 12, 13, nr 11, str. 3, 4, 12, 13, 21.
Przeczek Wiesław: nr 10, str. 30; nr 12, str. 27, 28.
Rajski Bogusław: nr 1, str. 46; nr 2, str. 48; nr 3, str. 48; nr 4, str. 50; nr 5, str. 38; nr 6, str. 44; nr 7, str. 50; nr 8, str. 50; nr 9, str. 48; nr 10, str. 50; nr 11, str. 77; nr 12, str. 42.
Ramik Drahoslav: nr 1, str. 35, 72; nr 4, str. 28; nr 5, str. 60; nr 8, str. 74; nr 9, str. 32; nr 12, str. 24, 57.
Rogowski Bogusław: nr 1, str. 69.
Rubiś Jadwiga: nr 1, str. 66.
Santarius Anna: nr 9, str. 70.
Santarius Kazimierz: 5, str. 15; nr 6, str. 13, 14.
Sláma Ivan: nr 6, str. 74; nr 7, str. 74.
Smyk Tadeusz Ryszard: nr 11, str. 70.
Szlauer Otto: nr 4, str. 37; nr 5, str. 46, 47; nr 7, str. 27, 4. str. okł.; nr 9, str. 57, 4. str. okł.; nr 10, str. 22, 23, 29; nr 12, str. 49.
Szop Adam: nr 1, 2. i 4. str. okł., 19, 20, 21; nr 2, str. 25, 4. str. okł.; nr 3, str. 66, 4. str. okł.; nr 4, 4. str. okł., 54, 55; nr 5, str. 34, 35, 4. str. okł.; nr 6, 2. i 4. str. okł.; nr 8, 4. str. okł.; nr 9, str. 22, 23, 46, 47; nr 11, str. 51; nr 12, 4. str. okł., 63.
Szop Ivana: nr 3, str. 52, 53; nr 7, str. 46, 47; nr 10, str. 64; nr 11, str. 44.
Szpyrc Antoni: nr 11, str. 8.
Tillová Zdeňka: nr 1, str. 50.
Wojnar Władysław: nr 1, str. 53; nr 3, str. 54, 55, 59; nr 6, str. 54, 55; nr 7, str. 56, 57; nr 8, str. 56.
Wojoczek Piotr: nr 2, str. 26, 44, 45, 52; nr 3, str. 7, 33; nr 4, str. 12, 13, 72; nr 5, str. 11, 56, 57; nr 6, str. 4; nr 7, str. 3, 14, 15, 26, 27, 29; nr 8, str. 11, 16, 54, 55; nr 9, str. 65; nr 10, str. 11, 57, 73, 4. str. okł.; nr 11, str. 7; nr 12, 2. str. okł.
Wratny Tadeusz: nr 6, str. 33, 42, 43; nr 7, str. 39; nr 8, str. 38, 39, 77; nr 9, str. 36; nr 10, str. 41; nr 11, str. 27, 60.

OKŁADKI

Bałon Franciszek: nr. 1, 2, 4, 6, 9, 10.
Byrtus Jan: nr 7.
Rubal Petr: nr 5.
Szlauer Otto: nr 8, 11.
Szop Adam: nr 12.
Wojoczek Piotr: nr 3.

SPIS TREŚCI

nr. 1—12, str. 80.

ZWROT MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO - KULTURALNY
ROK XXXVIII ● NR 457 ● CENA 2,50 Kčs

12/87

[1] Niezmienny cel
[2] XV Zjazd PZKO
[4] Główne kierunki dalszego rozwoju działalności związkowej do roku 1991
[8] Głosy z trybuny zjazdowej
[15] Luty '48 *WŁADYSŁAW JOSIEK*
[18] W todze sędziego (Pezetkaowcy inaczej) *OTYLIA TOBOŁA*
[21] Ringo — sport i rekreacja *MARIA GRZEGORZ*
[25] Express — znaczy krócej i ciekawiej *WIESŁAW PRZECZEK*
[30] Stanisław Jedzok: Widok z werandy
[38] Władysław Sikora: Przebitka ziołowa, Okrzasy, Ballada nieustająca
[42] Daniela Lehárowa (Tłumacze literatury polskiej) *WILHELM PRZECZEK*
[45] Jan Heweliusz *ROMAN STRZONDAŁA*
[50] Ligota i Podobora (Wędrówki nazewnicze) *WŁADYSŁAW MILERSKI*
[54] Trybuna Czytelników
[56] To i owo
[58] Kronika
Mozaika:
[69] Temat dla Ewy
[70] Krzyżówka *(m)*
[71] Jak jest poprawnie
[72] Galeria SLA *A.M.R.*
Zielnik *M.C.*
[75] Spis treści — rocznik XXXIX
[80] *Spis treści*



1. STRONA OKŁADKI — fot. ADAM SZOP

WYDAWCA:
POLSKI ZWIĄZEK KULTURALNO-OŚWIATOWY ZARZĄD GŁÓWNY W CZESKIM CIESZYNIE

ADRES REDAKCJI:
UL. J. BOŻKA 16 737 21 CZESKI CIESZYN TEL. 569 83

ZESPÓŁ REDAKCYJNY:
KAZIMIERZ GAJDZICA MARIA GRZEGORZ URSZULA HUDECZEK PIOTR PRZECZEK (redaktor naczelny)

RADA REDAKCYJNA:
FRANCISZEK BAŁON MARIA BIŁKO WIESŁAWA BRANNA BRONISŁAW FIRLA TADEUSZ CHRZĄSZCZ KAZIMIERZ JAWORSKI STANISŁAW JEDZOK WŁADYSŁAW ORSZULIK RUDOLF POPIOŁEK

Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca. Drukarnia: Tisk, knižní výroba, n. p., Brno, zakład 3 — Cz. Cieszyn, ul. Rewolucyjna 1. Cena prenumeraty rocznej Kčs 30,—, półrocznej Kčs 15,—. Zgłoszenia prenumeraty w CSRS przyjmuje redakcja i administracja „Zwrotu", w PRL Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch", Warszawa, ul. Wronia 23. Zezwolenie na ulgową opłatę pocztową wydał Powiatowy Urząd Pocztowy w Karwinie 20. 8. 1963, 1268/63. Numer indeksu R 389, nakład 4250 egz.

ilustracja JANINA SZOTKOWSKA



1988

STYCZEŃ

1	P	Nowy Rok
		Mieczysław
2	S	Karina, Izydor
		Danuta, Genowefa
4	P	Eugeniusz, Aniela
5	W	Edward, Szymon
6	Ś	Trzej Królowie
7	C	Julian, Lucjan
8	P	Bogdan, Seweryn
9	S	Marcjanna, Antoni
10	N	Jan, Wilhelm
11	P	Honorata, Matylda
12	W	Czesław, Ernest
13	Ś	Edyta, Weronika
14	C	Feliks, Hilary
15	P	Alicja, Paweł
16	S	Marceli, Włodzimierz
17	N	Antoni, Rościsław
18	P	Piotr, Władysław
19	W	Erwin, Henryk
20	Ś	Ilona, Sebastian
21	C	Agnieszka, Jarosław
22	P	Anastazy, Wincenty
23	S	Janusz, Rajmund
24	N	Milena, Rafał
25	P	Miłosz, Paweł
26	W	Paula, Zora
27	Ś	Jan, Przybysław
28	C	Otylia, Karol
29	P	Franciszek, Zdzisław
30	S	Marta, Maciej
31	N	Ludwika, Piotr

LUTY

1	P	Brygida, Ignacy
2	W	Maria, Gromnica
3	Ś	Błażej, Hipolit
4	C	Weronika, Andrzej
5	P	Adelajda, Agata
6	S	Dorota, Bohdan
7	N	Romuald, Ryszard
8	P	Milada, Jan
9	W	Apolonia, Cyryl
10	Ś	Renata, Jacek
11	C	Bożena, Maria
12	P	Grzegorz, Modest
13	S	Katarzyna
14	N	Walenty, Zenon
15	P	Jowita, Jerzy
16	W	Danuta, Julianna
17	Ś	Sylwia, Łukasz
18	C	Konstancja, Zuzanna
19	P	Konrad, Patryk
20	S	Leon, Oldrzych
21	N	Eleonora, Lenka
22	P	Małgorzata, Marta
23	W	Damian, Roman
24	Ś	Bogusz, Maciej
25	C	Zwycięstwo czechosłowackiego ludu pracującego (1948)
26	P	Aleksander, Mirosław
27	S	Anastazja, Gabriel
28	N	Lubomir, Roman
29	P	Ludosław

MARZEC

1	W	Antonina, Albin
2	Ś	Agnieszka, Helena
3	C	Kunegunda, Kamil
4	P	Lucja, Kazimierz
5	S	Adrian, Fryderyk
6	N	Róża, Mirosław
7	P	Felicja, Tomasz
8	W	Międzynarodowy Dzień Kobiet
9	Ś	Katarzyna, Franciszek
10	C	Wiktoria, Cyprian
11	P	Aniela, Konstanty
12	S	Bernard, Grzegorz
13	N	Krystyna, Ernest
14	P	Bożena, Matylda
15	W	Ida, Klemens
16	Ś	Izabela, Amos
17	C	Kornelia, Zbigniew
18	P	Cyryl, Edward
19	S	Bogdan, Józef
20	N	Klaudia, Anatol
21	P	Benedykt, Lubomir
22	W	Katarzyna, Leon
23	Ś	Pelagia, Zygmunt
24	C	Gabriel, Marek
25	P	Maria, Ireneusz
26	S	Emanuel, Teodor
27	N	Dita, Lidia
28	P	Aniela, Sonia
29	W	Tatiana, Cyryl
30	Ś	Amelia, Arnold
31	C	Balbina, Kornelia

KWIECIEŃ

1	P	Grażyna, Hugon
2	S	Eryka, Franciszek
3	N	Niedziela Wielkanocna
4	P	Poniedziałek Wielkanocny
5	W	Irena, Wincenty
6	Ś	Celestyna, Wilhelm
7	C	Apolonia, Herman
8	P	Emma, Krystyna
9	S	Maria, Duszan
10	N	Michał, Radomil
11	P	Filip, Leon
12	W	Juliusz, Lubosław
13	Ś	Justyna, Przemysław
14	C	Walerian, Wincenty
15	P	Anastazja, Bazyli
16	S	Julia, Ksenia
17	N	Robert, Rudolf
18	P	Bogusława, Waleria
19	W	Adolf, Rościsław
20	Ś	Krzysztof, Marcela
21	C	Aleksandra, Szymon
22	P	Leon, Łukasz
23	S	Jerzy, Wojciech
24	N	Grzegorz
25	P	Jarosław, Marek
26	W	Oton, Zbigniew
27	Ś	Jarosław, Teofil
28	C	Karol, Paweł
29	P	Piotr, Robert
30	S	Katarzyna, Marian

MAJ

1	N	Święto Pracy
2	P	Anatol, Zygmunt
3	W	Antonina, Maria
4	Ś	Monika, Florian
5	C	Majowe powstanie ludu czeskiego (1945)
6	P	Judyta, Jan
7	S	August, Stanisław
		Stanisław, Wiktor
9	P	Święto państwowe CSRS
10	W	Antonina, Izydor
11	Ś	Franciszek, Wojciech
12	C	Dominik, Pankracy
13	P	Robert, Serwacy
14	S	Bonifacy, Dobiesław
15	N	Zofia, Jan
16	P	Andrzej, Wieńczysław
17	W	Weronika, Brunon
18	Ś	Natasza, Feliks
19	C	Celestyna, Mikołaj
20	P	Bazyli, Bernard
21	S	Helena, Monika
22	N	Julia, Emil
23	P	Iwona, Dezydery
24	W	Joanna, Jan
25	Ś	Wiola, Grzegorz
26	C	Paulina, Filip
27	P	Jan, Juliusz
28	S	Magdalena, Wilhelm
29	N	Teodozja
30	P	Ferdynand, Hilary
31	W	Aniela, Kamila

CZERWIEC

1	Ś	Międzynarodowy Dzień Dziecka
2	C	Marianna, Erazm
3	P	Tamara, Leszek
4	S	Franciszek, Karol
5	N	Waleria, Dobrosław
6	P	Paulina, Norbert
7	W	Robert, Wiesław
8	Ś	Maksym, Medard
9	C	Pelagia, Felicjan
10	P	Małgorzata, Bogumił
11	S	Barnaba, Bazyli
12	N	Antonina, Onufry
13	P	Antoni, Lucjan
14	W	Walery, Wasyl
15	Ś	Joanna, Wit
16	C	Alina, Justyna
17	P	Adolf, Lech
18	S	Elżbieta, Marek
		Gerwazy, Protazy
20	P	Bogna, Regina
21	W	Alicja, Marta
22	Ś	Paulina, Paweł
23	C	Wanda, Zenon
24	P	Danuta, Jan
25	S	Łucja, Wilhelm
26	N	Jan, Paweł
27	P	Marta, Władysław Powołano do życia PZKO (1947)
28	W	Ireneusz, Lubomir
29	Ś	Paweł, Piotr
30	C	Emilia, Lucyna

LIPIEC

1	P	Halina, Laura
2	S	Maria, Urban
3	N	Jacek, Kornel
4	P	Prokop, Teodor
5	W	Cyryl, Metody
6	Ś	Mistrz Jan Hus (1415)
7	C	Estera, Lech
8	P	Elżbieta, Prokop
9	S	Weronika, Zenon
10	N	Amalia, Filip
11	P	Olga, Pelagia
12	W	Weronika, Jan
13	Ś	Małgorzata, Ernest
14	C	Karolina, Marcelin
15	P	Henryk, Włodzimierz
16	S	Maria, Lubosz
17	N	Aleksy, Bogdan
18	P	Kamil, Szymon
19	W	Wincenty, Włodzimierz
20	Ś	Czesław, Eliasz
21	C	Andrzej, Daniel
22	P	Święto państwowe PRL
23	S	Bogna, Apolinary
24	N	Kinga, Krystyna
25	P	Jakub, Krzysztof
26	W	Anna, Mirosława
27	Ś	Marta, Natalia
28	C	Olga, Wiktor
29	P	Bożena, Helena
30	S	Ludmiła, Ignacy
31	N	Inocenty, Lubomir

SIERPIEŃ

1	P	Wiera, Piotr
2	W	Karina, Gustaw
3	Ś	Lidia, Nikodem
4	C	Dominik, Protazy
5	P	Maria, Stanisława
6	S	Sława, Jakub
7	N	Dorota, Kajetan
8	P	Emilia, Krystyna
9	W	Roman, Romuald
10	Ś	Borys, Wawrzyniec
11	C	Olga, Zuzanna
12	P	Klara, Lech
13	S	Alena, Diana
14	N	Sylwia, Alfred
15	P	Maria, Napoleon
16	W	Joachim, Roch
17	Ś	Anastazy, Jacek
18	C	Helena, Bronisław
19	P	Ludwika, Bolesław
20	S	Bernard, Sobiesław
21	N	Joanna, Wiesław
22	P	Bogusław, Tymoteusz
23	W	Apolinary, Filip
24	Ś	Bartłomiej, Jerzy
25	C	Luiza, Ludwik
26	P	Maria, Aleksander
27	S	Róża, Marian
28	N	Augustyn, Wyszomir
29	P	Słowackie Powstanie Narodowe (1944)
30	W	Róża, Feliks
31	Ś	Bohdan, Rajmund

WRZESIEŃ

1	C	Bronisław, Idzi
2	P	Julian, Stefan
3	S	Izabela, Szymon
4	N	Julianna, Rozalia
5	P	Dorota, Wawrzyniec
6	W	Beata, Eugeniusz
7	Ś	Regina, Melchior
8	C	Maria, Radosław
9	P	Piotr, Eugeniusz
10	S	Łukasz, Mikołaj
11	N	Jacek, Prot
12	P	Maria, Gwidon
13	W	Eugenia, Filip
14	Ś	Bernard, Cyprian
15	C	Albin, Nikodem
16	P	Edyta, Kornel
17	S	Franciszek, Justyn
18	N	Irena, Tomasz
19	P	Konstancja, Wilma
20	W	Filipina, Eustachy
21	Ś	Hipolit, Mateusz
22	C	Maurycy, Tomasz
23	P	Bogusław, Tekla
24	S	Gerard, Teodor
25	N	Aurelia, Kleofas
26	P	Justyna, Cyprian
27	W	Damian, Kosma
28	Ś	Marek, Wacław
29	C	Michalina, Michał
30	P	Zofia, Hieronim

PAŹDZIERNIK

1	S	Danuta, Remigiusz
2	N	Dionizy, Teofil
3	P	Lukrecja, Teresa
4	W	Rozalia, Franciszek
5	Ś	Franciszka, Arnold
6	C	Artur, Roman
7	P	Maria, Marek
8	S	Brygida, Pelagia
9	N	Bogdan, Dionizy
10	P	Paulina, Franciszek
11	W	Emilia, Brunon
12	Ś	Eustachy, Maksymilian
13	C	Bogumił, Edward
14	P	Strajk Gener. (1918)
15	S	Jadwiga, Teresa
16	N	Ambroży, Gerard
17	P	Marianna, Małgorzata
18	W	Julian, Łukasz
19	Ś	Piotr, Ziemowit
20	C	Irena, Kleopatra
21	P	Urszula, Hilary
22	S	Filip, Jan
23	N	Rafał, Teodor
24	P	Salomea, Marcin
25	W	Daria, Inga
26	Ś	Ewaryst, Lucjan
27	C	Iwona, Sabina
28	P	Dzień upaństwowienia (1945) Ogłoszenie samodzielności CRS (1918) Przyjęcie ustawy o federacji czechosłowackiej (1968)
29	S	Narcyza, Wioletta
30	N	Deklaracja w Martinie (1918)
31	P	Lucylla, Urban

LISTOPAD

1	W	Feliks
2	Ś	Święto zmarłych
3	C	Sylwia, Hubert
4	P	Karol, Olgierd
5	S	Elżbieta, Sławomir
6	N	Lidia, Leonard
7	P	Wielka Socjalistyczna Rewolucja Październikowa (1917)
8	W	Wiktoria, Seweryn
9	Ś	Teodor, Ursyn
10	C	Andrzej, Ludomir
11	P	Bartłomiej, Marcin
12	S	Renata, Witold
13	N	Mikołaj, Stanisław
14	P	Emilia, Wawrzyniec
15	W	Albert, Gertruda
16	Ś	Edmund
17	C	Salomea, Grzegorz
18	P	Aniela, Roman
19	S	Elżbieta, Seweryn
20	N	Anatol, Feliks
21	P	Janusz, Konrad
22	W	Cecylia, Marek
23	Ś	Adela, Klemens
24	C	Emilia, Jan
25	P	Katarzyna, Erazm
26	S	Konrad, Sylwester
27	N	Walerian, Wirgiliusz
28	P	Blanka, Zdzisław
29	W	Błażej, Zdzisław
30	Ś	Andrzej, Ludosław

GRUDZIEŃ

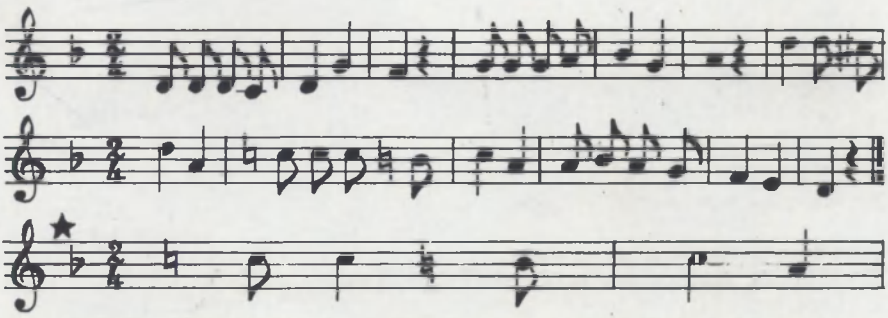
1	C	Natalia, Eugeniusz
2	P	Aurelia, Paulina
3	S	Franciszek, Ksawery
4	N	Barbara, Bernard
5	P	Krystyna, Saba
6	W	Emilia, Mikołaj
7	Ś	Agata, Marcin
8	C	Maria
9	P	Leokadia, Joachim
10	S	Judyta, Daniel
11	N	Julia, Waldemar
12	P	Adelajda, Aleksander
13	W	Łucja, Otylia
14	Ś	Alfred, Lidia
15	C	Celina, Walerian
16	P	Albina, Zdzisław
17	S	Olimpia, Łazarz
18	N	Bogusław, Gracjan
19	P	Dariusz, Urban
20	W	Bogumiła, Dominik
21	S	Tomasz, Seweryn
22	C	Beata, Honorata
23	P	Wiktoria, Sławomira
24	S	Adam, Ewa
		Ukazał się 1. nr „ZWROTU" (1949)
25	N	1. Święto Godowe
26	P	2. Święto Godowe
27	W	Jan, Maksym
28	Ś	Antoni, Teofil
29	C	Milada, Dominik
30	P	Dawid, Eugeniusz
31	S	Melania, Sylwester

PIEŚNI GÓRALSKIE

PO TEJ STRÓNIE JEZIORA

Szańce

Pieśń o trzech ptaszkach — kawalerach ma szerokie pokrewieństwo czeskie, ale zwłaszcza polskie. W Polsce ma pieśń naprawdę szerokie zaplecze sięgające nawet do odległejszej przeszłości (porównawczo Kolberg VI, str. 165 z Krakowskiego)! Podobne pieśni czeskie (zwłaszcza z Valašska) są często bliskimi wariantami wersji polskich i były tutaj prawdopodobnie przyniesione, chociażby dlatego, że pieśń zachowała stały kształt i w tradycji nie uległa wielkim zmianom. Brzmienie z Mostów-Szańców nosi znaki wpływu słowackiej melodyki (porówn. Spevy II 764 z Trenčanska).



1.
Po tej stronie jeziora
Stoji lipka zielóno
Ej, stoji, stoji, lipeczka zielóno
Na nij siedzóm ptaszkowie

2.
Nie byli to ptaszkowie
Byli to kawalerowie
Ej, zmawiajóm sie to jednóm
dziyweczkym
Kierymu sie dostanie

3.
Jedyn prawi: Bedzie ma
A tyn drugi: Jak Bóg da
Ej, a tyn trzeci: Serdeńko moje*
Co żeś mi tak smutno je

4.
Jakóż ni móm smutno być
Za starego musim iść
Rozżalało sie serdeńko moje*
Ni mogym go pocieszić.

5.
A w tej naszij kómorze
Jest malowane łoże
Ej, łoże, łoże, malowane łoże
Gdo na tebie spać bedzie.

6.
A jak bedzie stary społ
Bodej rana nie doczkoł
A jak by młody, ślicznej urody*
By mu Pón Bóg zdrowi doł.



Książnica Cieszyńska
CZ III 375/ 1987

Trzaskali Fr
Těrlická 462
735 35 HAVÍŘOV-H Su

ADAM SZOP: z cyklu Obrazki z wystawy, fotomontaż 1982

